



IAN C.
ESSLEMONT
POWRÓT
KARMAZYNOWEJ
GWARDII

IMPERIUM MALAZAŃSKIE

Ian Cameron Esslemont

POWRÓT KARMAZYNOWEJ GWARDII

**Imperium Malazańskie
tom II**

Przełożył Michał Jakuszewski

**Wydawnictwo MAG
Warszawa 2023**

Tytuł oryginału: *Return of the Crimson Guard*

Copyright © 2008 by Ian Cameron Esslemont

Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce: Steve Stone

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Projekt typograficzny: Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-67793-79-7

Wydanie III

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10, 00-657 Warszawa

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Podziękowania

Dramatis personae

Prolog

Księga pierwsza Koniec Diaspory

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Księga druga Wieczny powrót

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Księga trzecia Los i przypadek

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Epilog

Glosariusz

*Ta powieść jest dedykowana gangom z Winnipeg:
pierwszemu, z Treherne Room, i drugiemu, od Ricka.
Za wszystkie popołudnia i wieczory
poświęcone doskonaleniu umiejętności.*

Podziękowania

Z wyrazami wdzięczności dla Petera Crowthera, który umożliwił powstanie tej książki; Johna Jarrolda, który zainwestował w nią mnóstwo wiary, oraz Simona Taylora, którego wsparcie i słowa zachęty znaczyły, i nadal znaczą, dla mnie znacznie więcej, niż mu się zdaje.

Dziękuję też Billowi Hunterowi oraz Chris, za czytanie wczesnej wersji. Geri, Conor, Ross i Callum: Wy nadaliście temu znaczenie.

Dramatis personae

W Uncie

Imperialne Dowództwo Naczelne

Laseen: cesarzowa

Wielka pięść Anand: dowódca malazańskiej Czwartej Armii (Quon Tali)

Havva Gulen: nowy wielki mag imperialny

Korboło Dom: wielka pięść i Miecz Imperium

Opos: mistrz Szponu (imperialnych skrytobójców)

Mallick Rel: radca i rzecznik Zgromadzenia

Untańska Straż Portowa

Atelen Blacharz: sierżant drużyny

Rigit Rączka: kapral drużyny

Nait: sabotażysta drużyny

Heuk: mag kadrowy

Miodzio Chłopak: żołnierz

Najmniejszy: żołnierz, półkrwi Barghast

Inni w Uncie

Spirala: szpon wysokiej rangi

Pani Batevari: jasnowidząca i wróżka z Darudżystanu

Oryan: mag z Siedmiu Miast, ochroniarz Mallicka Rela

Taya Radok: tancerka i skrytobójczyni z Darudżystanu

W Li Heng

Armia malazańska

Harmin Els D'Shil: kapitan z garnizonu

Gujran: kapitan z garnizonu

Banath: sierżant z garnizonu

Odłóg: uzdrowiciel z garnizonu

Drużyna Storo Matasha

Storo Matash: kapitan kompanii sabotażystów, weteran z Trzeciej Armii

Drżączka: starszy rangą sabotażysta

Rzut: sabotażysta

Słoneczko: sabotażysta

Jedwab: kapral i mag kadrowy drużyny

Jalor: rekrut z Siedmiu Miast

Rell: rekrut z Genabackis

Cywile z Li Heng

Sędzia Ehrlann: członek Rządzącej Rady Sędziów

Jamaer: służący Ehrlanna

Sędzia Plengyllen: członek Rządzącej Rady Sędziów

Liss: miejski mag

Ahl: miejski mag (z braćmi Thalem i Larem)

W Cawn

Nevall Od'Orr: główny faktor Cawn

Groten: osobisty strażnik Nevalła

Na Równinach Seti

Toc Starszy: wódz wojenny Seti, członek malazańskiej „Starej Gwardii”

Dzikus: obrońca Seti, znany także jako „Odyniec”, Słodka Trawa

Imotan: szaman Związku Szakali

Hipal: szaman Związku Fretek

Kapitan Mech: oficer malazańskiej kawalerii

Redden Złamana Noga: ataman (wódz) Zgromadzenia Równinnych Lwów

Ortal: ataman (wódz) Zgromadzenia Czarnych Fretek

Na pograniczu wickańskim

Armia malazańska

Rillish Jal Keth: porucznik malazańskiej Czwartej Armii

Żyłka: sierżant kompanii

Talia: malazańska weteranka

Wickanie

Czysta Woda: wickański szaman

Nul: wickański czarnoksiężnik, weteran kampanii w Siedmiu Miastach

Nadir: wickańska czarownica, weteranka kampanii w Siedmiu Miastach

Grzywa: młoda wickańska wojowniczką

Udep: wickański hetman (wódz)

W Jamie

Ho (Hothalar): mag z Li Heng

Yathengar Amal: kapłan („faladan”) z Siedmiu Miast

Sessin: osobisty strażnik Yathengara

Smętek: nowy więzień

Frykas: nowy więzień

Devaleth: korelrijska wiedźma morska i nowa więźniarka

Su: wickańska czarownica

W Prowincji Quon Tali

Ghelel Rhik Tayliin: diuszesa, ostatni ocalały potomek rodu Tayliinów

Amaron: członek malazańskiej „Starej Gwardii”, były dowódca pazurów

Choss: członek malazańskiej „Starej Gwardii”, dawniej wielka pięść

Markiz Jhardin: dowódca Straży Pogranicznej

Rotmistrz Razala: kapitan kawalerii

Molk: agent Amarona

Karmazynowa Gwardia

Ocalali Nazwani Zaprzysiężeni

Kazz D'Avore: dowódca, noszący rozmaite tytuły

Pierwsza Kompania

Oprawca: kapitan

Mara: mag kompanii

Gwynn: mag kompanii

Płatek: mag kompanii

Kalt: porucznik

Farese

Hist

Shijel

Czarny Mniejszy

Druga Kompania

Blask: kapitan

Czepiec: wielki mag i mistrz skrytobójców (welonów)

Przechył: mistrz oblężeń Gwardii

Dymek: mag kompanii

Shellarr (Shell): mag kompanii

Blues: mag i fechtmistrz kompanii

Palczak: mag kompanii

Opal: mag kompanii

Isha: skrytobójczyni (welon)

Keitil: skrytobójca (welon)

Cole

Frykas

Tępy

Trzcina

Amatt

Sept

Lazar

Półdan

Chuda

Inese

Turgal

Trzecia Kompania

Tarkhan: kapitan i skrytobójca (welon)

Lor-Sinn: mag kompanii

Kwaśny: mag kompanii

Toby: mag kompanii

Balkin: skrytobójca (welon)

Koronka

Czarny

Piekarz

Janeth

Łupek

Altana

Szczęściarz

Czwarta Kompania

Cal-Brinn: kapitan i mag kompanii

Żelazna Krata

Jup Alant

Z Pierwszego Poboru

Sierzant Okop

Corlo

Voss

Ambrose

Palla

Z Drugiego Poboru

Lurgman Parsell („Krętacz”)

Jaris

Pielgrzym

Ogilvy

Bakar

Tolt

Cichy

Harman

Grere

Geddin

Boll

Z Trzeciego Poboru

Skradacz

Głusza

Weszka

Kyle

W Lidze Taliańskiej

Urko Crust: dowódca sił falarskich, członek „Starej Gwardii”, znany jako „Zgniatacz”

V'thell: dowódca sił Złotych Moranthów

Choss: dowódca sił taliańskich, członek „Starej Gwardii”

Toc Starszy: wódz wojenny Seti, członek „Starej Gwardii”

Amaron: szef wywiadu, członek „Starej Gwardii”

Ullen Khadeve: prawa ręka i szef sztabu Urka, członek „Starej Gwardii”

Bala Jesselt: mag kadrowy, członek „Starej Gwardii”

Eselen Tonley: kapitan falarskiej kawalerii

Orlat Kepten: kapitan sił taliańskich, członek „Starej Gwardii”

Inni

Liossercal: Ascendent noszący tytuł Syna Światła, znany też jako Osserc albo Osric

Anomandaris: Ascendent noszący tytuł Syna Ciemności

Jhest Golanjar: mag z Jacuruku

Shen: czarnoksiężnik

Tayschrenn: wielki mag imperialny

D’Ebbin: dowódca malazańskiej Czwartej Armii, „pięść”

Wyłam Ząb: malazański starszy sierżant sztabowy

Harcik: malazański starszy sierżant

Kwiat: oficer Żółtych Moranthów

Turmalin: sierżant piechoty Żółtych Moranthów

Cartharon Crust: kapitan *Utkanego Szmatami*, ponoć członek „Starej Gwardii”

Denuth: pradawny, jeden z pierworodnych Matki Ziemi

Draconus: pradawny bóg

Ereko: prastary włóczęga

Szara Grzywa: dawniej malazańska pięść, obecnie wyjęty spod prawa

Lim Tal: była prywatna strażniczka untańskiego szlachcica

Wędrowiec: włóczęga mieszanej, dalhońsko-quońskiej krwi

Szmaciarz/Przebieraniec: podróżnik po Grocie Imperialnej

Paroksyzmy owej pierwszej z wojen trwały przez czas niezmierny. Światło raz po raz uderzało, ale się rozpraszało, Noc zaś cofała się, lecz gęstniała. Tak oto dwoje rywali sprzęgło się we wciąż narastającym wirze tworzenia i niszczenia. W obu Domach pojawili się niezliczeni wojownicy, pustoszący swą mocą powierzchnię wszechświata, ale wszyscy ginęli jeden po drugim, a ich imiona popadły w zapomnienie.

Wreszcie, jak twierdzą niektórzy, w dziesięcioletnim obrocie wiru dwóch zastępów, do migotliwego brzegu bitwy zbliżył się ktoś nieznanu obu Domom i skarcił walczących.

- Kim jesteś, że tak do nas przemawiasz? - zapytał ten, kto później miał być znany jako Draconus.

- Kimś, kto wędrował przez Pustkę wystarczająco długo, by wiedzieć, że to się nigdy nie skończy.

- Tak zrzędził los - rzekł wojownik Światła. Liossercal. - Jedno zawsze musi triumfować, a drugie upadać.

Przybysz rozdzielił ze wzgardą przeciwników.

- Zgódźcie się więc, że tak się stało, i zakończcie sprawę!

Oba Domy rzuciły się na nieznanego, rozszarpując go na niezliczone fragmenty.

Tak oto narodził się Cień i zakończyło się pierwsze wielkie podzielenie.

Prolog

Pradawna era

Czas niezmierny

Erupcja zraniła świat. Denuth, Dziecko Ziemi, pierwszy przeniknął przez zaslonę unoszących się na wietrze popiołów i odnalazł krater. Pośrodku szerokiej na wiele mil niecki gromadziła się szara, parująca woda. Nagie, skalne zbocze opadało ku milczącemu wybrzeżu. Wokół panował bezruch, popiół pokrywał ziemię na podobieństwo śniegu. Uwagę Denutha przyciągnęło jednak jakieś poruszenie. Podeszedł do brzegu i ujrzał tam jestestwo o postaci podobnej do jego własnej. Miało dwie ręce i dwie nogi, naznaczyły je jednak straszliwe rany. Skórę istoty pokrywała czarna skorupa zakrzepłej krwi, nadającej wodzie ciemny kolor.

Denuth delikatnie odwrócił leżącego na plecy i poderwał się zdumiony.

– Liossercalu! Pierworodny synu Ojca! Kto na ciebie napadł?

Ranny odsłonił tępe jak u psa kły w okrutnym uśmiechu.

– Ależ nikt. Zapytaj lepiej, na kogo ja napadłem. Czy nie ma tu innych?

– Nikogo nie widziałem.

Uśmiech przerodził się w złowrogi grymas.

– A więc wszyscy zginęli. Pochłonął ich wybuch.

– Wybuch? – Denuth przymrużył powieki, przypatrując się obcej mocy. Tak jest, obcej, któż bowiem potrafiłby zgłębić umysł tego, kto zrodził się wraz z pierwszą erupcją Świata? – Co tu właściwie się stało?

Liossercal skrzywił się z bólu, wysuwając się z objęć Denutha. Siedział zgarbiony, oplatając się ciasno rękoma, jakby chciał uchronić swe ciało przed rozpadem. Z głębokich ran wypływała gęsta, ciemna krew.

– To był eksperyment. Próba. Atak. Możesz to nazwać, jak chcesz.

– Atak? Na co? Nie było tu nic oprócz... – Głos Denutha umilkł nagle niczym gęste od popiołu wody. – Matko, broń nas! Azath! – Spojrzał na ogromny krater, próbując uzmysłwić sobie skalę katastrofy.

Wszyscy cierpimy z jej powodu!

– Ty głupcze! Czy nie cofniesz się przed niczym, by spełnić swą misję?

Jasna głowa uniosła się, w bursztynowych oczach zapłonął ogień.

– Czynię, co uznam za stosowne.

Denuth wzdrygnął się.

Zaiste. Na tym właśnie polegał dylemat. Trzeba było podjąć jakieś działania w sprawie tych starożytnych mocy, nim ich antagonizmy i nieograniczone ambicje po raz kolejny zniszczą wszelki ład. Rozwiązanie proponowane przez Draconusa przeraża, zbliżam się jednak do zrozumienia podobnego... radykalizmu. W końcu, czyż wieczne uwięzienie nie jest lepsze od podobnego potencjału zniszczenia?

Liossercal podniósł się sztywno na nogi, sycząc z bólu w wielu ranach. Denutha nawiedziła straszliwa pokusa. Nie słyszał dotąd żadnej opowieści, w której ta istota byłaby tak bardzo osłabiona i narażona na atak. Jednopochwycony, Eleint, cóż znaczyły podobne określenia dla mocy, która mogła wędrować przez Światło, nim jeszcze poznało Ciemność? Teraz jednak Liossercal był ranny i straszliwie wycieńczony. Czy Denuth powinien uderzyć? Czy ktokolwiek będzie jeszcze kiedyś miał taką szansę?

Liossercal uśmiechnął się, odsłaniając sterczące ku górze kły, jakby śledził tok myśli Dziecka Ziemi.

– Niech cię nie kusi, Denuth. Draconus to głupiec. Jego konkluzje są błędne. Sztywność nie stanowi rozwiązania.

- A co je stanowi?

Liossercal skrzywił się, dotykając delikatnie palcami głębokiej rany na policzku.

- Badałem alternatywne możliwości.

- To badaj je gdzie indziej.

Rozbłysnął biały gniew, ale natychmiast zgasł.

- Słusznie, Dziecko Ziemi. On się zbliża, prawda?

- Tak. I niesie ze sobą swą odpowiedź.

- Lepiej będzie, jak się oddalę.

- Zaiste.

Liossercal unióśł ręce nad głowę. Jego sylwetka się zamazała. Zaczął zmieniać postać, lecz w połowie tego procesu westchnął nagle, ryknął z bólu i zwałił się na ziemię. Srebrno-złoty smok wił się na kruchych skałach u stóp Denutha, który odsunął się pośpiesznie. Skrzydła poruszały się z wysiłkiem, strącając głazy do jeziora. Wreszcie ogromne cielsko wzbilo się ciężko w powietrze i smok odleciał. Jego długi ogon smagnął na pożegnanie dymiące wody w kraterze.

* * *

Denuth został na miejscu. Stał nieruchomo. Taflę ospałego jeziora przebiegały drobniutkie zmarszczki. Sypiący się z nieba popiół plamił matową czernią bazaltu ramion Dziecka Ziemi. Wreszcie, na spękanej skale zachrzęściły kroki. Denuth poczuł u swego boku ciemność, przeraźliwie zimną, jak pustka rozciągająca się ponoć między gwiazdami. Pokłonił się, nie spoglądając na przybysza.

- Witaj, Draconusie, Małżonku Ciemności i Suzerenie Nocy.

- Już nie jestem Małżonkiem - odparł Draconus suchym, chrapliwym głosem. - A moją władzę Suzerena dawno podważono. Niemniej dziękuję ci.

Denuth nadal stał sztywno, nie chcąc spojrzeć na potężną, starożytną istotę i równie niepokojącą ciemność, jaką nosiła u swego boku. Jak wielu już pochłonęła owa Pustka i jaki przerażający kształt przybierze po ostatnim wykuciu? Tak ekstremalne rozwiązania budziły w nim odrazę.

- Ach - wydyszał Draconus. - To był sam Bękart Światła. I to osłabiony. Jego esencja będzie bardzo cennym dodatkiem.

W Denuthu zadrżało to, co uważał za swą duszę.

- On nie jest dla ciebie.

Poczuł, że padło nań zimne spojrzenie, nakazał sobie jednak nie patrzeć.

- Czy to Jej przepowiednia? - padło po chwili pytanie.

- Tylko moje skromne moce adepta. Podejrzewam, że może pewnego dnia znaleźć, czego szuka.

- To znaczy co?

- To, czego wszyscy pragniemy. Unię z Jednią.

* * *

Mijał czas. Denuth czuł, że jestestwo u jego boku myśli intensywnie. Gdy skrzyżowało ramiona, usłyszał zgrzyt trących o siebie łusek, których nie wykonano z metalu. Potem nadszedł przeciągły wydech.

- Niemniej jednak będę go ścigał. W końcu mam do zaoferowania własną wersję unii, czyż nie tak?

Raczej jej parodię.

Denuth nie odezwał się jednak ani słowem. Wiedział, że lepiej nie zadzierać z tą mocą, która mogła pozbawić go życia, gdyby tylko zapragnęła. Rękę starożytnej istoty powstrzymywała jedynie niechęć do antagonizowania jego Matki, rodzicielki wszystkich, którzy wywodzili się z Ziemi.

- Może Anomandaris... - zaczął Denuth.

– Nie mów mi o tym plebejuszu – wychrypiął Draconus. – Wkrótce się z nim policzę.

Mam nadzieję, że gdy dojdzie do tego spotkania, będę daleko...

Moc się poruszyła, rozpostarła ramiona.

– Proszę bardzo, Dziecko Ziemi, zostawię cię twojej... hmm, kontemplacji. Ten świat jest niepokojącą manifestacją bytu. Wszystko jest tu płynne. Mimo to wydaje mi się dziwnie atrakcyjne. Być może zostaną tu na pewien czas.

Ta perspektywa sprawiła, że Denuth zacisnął ze zgrzytem kamienne dłonie.

Nie padły już inne słowa. Po chwili zimna, paraliżująca duszę ciemność skupiła się, zawirowała i Denuth znowu został sam na pęsepnym brzegu. Nasunęła mu się myśl, że nikt nie zdoła odnaleźć pokoju, dopóki istoty podobne do tych dwóch będą chodziły po powierzchni świata, pochłonięte swymi pradawnymi wendetami, konfliktami oraz nieokiełznanymi ambicjami. Być może, gdy ostatnia z nich wycofa się w nieprzerwany sen – jak uczyniło bardzo wiele z nich – bądź też zostanie zabita albo pogrzebana, ci, którzy będą żyli w owej odległej epoce, poznają w końcu smak zgody.

Albo i nie. Denuth nie był przekonany. Jeśli obserwacja nieustannych walk czegoś go nauczyła, to tego, że nowe pokolenia niewolniczo kopiują cele i uprzedzenia poprzedników. To była smutna zapowiedź na przyszłość. Siedział na brzegu ze skrzyżowanymi nogami – bryła skały niczym się nieróżniła od otaczających go głazów. Odwieczna walka wszystkich przeciw wszystkim przyprawiała go o znużenie. Dlaczego musieli być tak swarliwi? Czy rzeczywiście winne były jedynie małostkowość i dziecinna drażliwość, jak sugerowała Kilmandaros? Zastanowi się, co mogłoby wreszcie położyć kres odwiecznym cyklom przemocy. Poradzi się też Matki. Przypuszczał, że minie długi czas, nim uda się znaleźć odpowiedź. O ile istniała.

Księga pierwsza

Koniec Diaspory

Rozdział I

Mędrcy powiadają, że kto składa śluby, zbiera owoce zrodzone z ich treści. Przekonałem się, że to prawda.

Książę Kazz D'Avore
Założyciel Karmazynowej Gwardii

Równiny Łez

Subkontynent Bael

1165 rok snu Pożogi

11 rok panowania cesarzowej Laseen

99 rok Ślubów Karmazynowej Gwardii

Na szczycie krytego dachówką dachu rozbito mały namiot, łopoczący na porywistym wietrze. Była to właściwie tylko peleryna z impregnowanej tkaniny, wsparta na kij, ledwie zapewniająca osłonę przed najgorszą ulewą. Siedzący pod nią młodzieniec wyteżał wzrok, wpatrując się w gęstniejącą ciemność. Od czasu do czasu dostrzegał otaczające go ruiny zniszczonych przez oblężenie budynków, a jeśli przyjrzał się wystarczająco dokładnie, mógł wypatrzeć majaczącą w górze sylwetkę wyniosłej Ostrogi.

Zadawał sobie pytanie, po co właściwie stać na straży, jeśli i tak ni cholery nie widać.

Samotna Ostroga wznosiła się setki stóp nad powierzchnię równin. Miejscowa legenda mówiła, że zbudowała ją starożytna moc, gdy świat był jeszcze młody. Być może był to czarnoksiężnik Shen, który obecnie ją zamieszkiwał. Kyle nie potrafił tego stwierdzić. Wiedział tylko, że Gwardia oblega skałę już od z górą roku i nadal nie zbliżyła się do jej zdobycia. Co więcej, zdawał też sobie sprawę, że siedzący w ulokowanej na szczycie fortecy Shen może stawić czoło całemu

kompanijnemu korpusowi magów jednocześnie, a po walce wszyscy będą dyszeć ze zmęczenia i gapić się przed siebie z szaleństwem w oczach. Był bardzo potężny. Przechył powiedział młodzieńcowi, że w takiej właśnie sytuacji do akcji muszą wkroczyć kopacze.

Przechył był sabotażystą i żył już na świecie tyle lat, że powinien wiedzieć lepiej. Trudził się teraz w piwnicy, wymachując kilofem. Nie był przy tym sam, towarzyszyła mu reszta Dziewiątego Ostrza, wraz z paroma innymi ludźmi wskazanymi przez sierżanta Okopa. Wszyscy tłukli w kamienną podłogę młotami albo kilofami.

Wicher smagnął nagle twarz Kyle'a strugą wody. Chłopak zadrżał. Jego zdaniem postąpili głupio, nie wspominając o tym nikomu.

- Nie chcielibyśmy, by ktoś ograbił nas z chwały - wyjaśnił mu Przechył, uśmiechając się jak kretyn.

Ale przecież wszyscy uśmiechali się w ten sposób, gdy Skradacz przedstawił Okopowi swój plan. Ufali jego znajomości okolicy, ponieważ pochodził z tego brzegu Głębi Poszukiwacza, podobnie jak Kyle. Skradacza zwerbowano przed kilku laty, gdy Gwardia migrowała przez region. Znał miejscowe dialekty i wierzenia. Kyle wiedział, że tego właśnie oczekuje się od zwiadowcy.

Gwardziści wykupili go z nabrajańskiej kolumny niewolników, by stał się dla nich przewodnikiem na stepach. On jednak nie mówił południowymi językami. Jego współplemieńcy częściej napadali na Nabrajan, niż z nimi rozmawiali.

Otulił się szczelnie płaszczem. Ojczysty język gwardzistów, taliański, również chciałby poznać lepiej. Gdy Przechył, Okop i Skradacz się naradzali, podczołgał się blisko, by ich podsłuchać. Trudno mu jednak było zrozumieć dialekt, jakim się posługiwali. Musiał długo obracać słowa w głowie, by nabrały dla niego sensu. Wyglądało na to, że Skradacz złożył w całość dwie legendy: o starożytnym Ascendencie, który ponoć wznosił Ostrogę, dając początek złotemu wiekowi, i tę nową, o „Królestwie Nocy” i pozostałych po nim ruinach. Od tej pory wszyscy siedzieli pod ziemią, rozbijając mury i kamienną podłogę. Prze-

chył z pewnością mamrotał pod nosem o tej cholernej „ukradzionej chwale”. Kyle odmówił krótką modlitwę do Ojca Wiatru, ducha przewodniego jego ludu. Doszedł do wniosku, że jeśli się uda, zdobędą więcej chwały, niżby chcieli.

Dochodziła też kwestia rywalizacji i zazdrości w „starej gwardii”. Kyle nie potrafił tego zrozumieć, choć służył z nimi już blisko rok. Tradycja Gwardii utrzymywała, że Dziewiąte Ostrze jest jednym z tych legendarnych, założono je przed stuleciem, a jego pierwszym dowódcą była legendarna postać imieniem Oprawca. Przechył przywiązywał do tych opowieści wielką wagę. Przytupywał z niecierpliwością na myśl, że przewyższą korpus magów Gwardii i jej działających potajemnie welonów.

Deszcz lał coraz gwałtowniej. Pojawiły się w nim kulki gradu. Pociemniałe niebo całkowicie przesłoniły skłębione chmury, jednak uwagę Kyle’a przyciągnął jakiś ruch. W chmurach przesuwaly się mroczne sylwetki. Skrzydlate biesy przywołane przez Shena. Choć wokół rozbłyskiwały oślepiające wyładowania, istoty kołowały leniwie, opadając powoli ku ziemi. Kyle uniósł wzrok, przyglądając się szeroko rozpostartym skrzydłom i gorejącym ślepiom. Modlił się do Wiatru, by stworzenia poleciały dalej.

Nagle pierwsze z nich rozszczepiło się od paszczy aż po pachwinę, jakby rozciął je niewidzialny miecz, i rozpadło się, tworząc chmurę ciemnego jak inkaust dymu. Jego towarzysze wrzasnęli trwożnie i pochyliłi jednocześnie skrzydła, zwracając się w stronę, z której przyszło uderzenie. Kyle wymamrotał kolejną modlitwę, tym razem dziękczynną. Z pewnością służbę miał dziś Czepiec. Tylko pierwszy mag kompanii potrafiłby wyprowadzić tak morderczy atak.

Kyle ziewnął i przeciągnął się, choć w górze trwała walka. Mokre ubranie przylegało mu do skóry, sprawiając, że drżał z zimna. Przed rokiem, widząc coś podobnego, natychmiast by zwiął. Na oczach Kyle’a ożyły najstraszliwsze legendy opowiadane przez jego lud: biesy grasujące w nocy; ludzie, którzy władali mocą szamanów, ale zwrócili

się ku złu, czarnoksiężnicy. Wówczas skryłby się trwożnie pod zniszczonym dachem. Teraz, po zaledwie kilku miesiącach obserwacji straszliwych, magicznych starć, zobojętniał na nie całkowicie. Fajerwerki trwały pół dzwonu. Fajerwerki – kolejne pojęcie nieznanne Kyle’owi przed wcieleniem do Gwardii. Obserwował zielono-różowy nimb spowijający jeden z budynków w dzielnicy kupieckiej, jakby widowisko urządzono dla jego rozrywki. Biesy zatoczyły krąg nad światłami, krzycząc ochryple, niemal wyzywająco, a potem rzuciły się do ataku. Znikały jeden po drugim – unicestwione, wygnane albo zmuszone do odwrotu na ciemne niebo. Potem nie było już nic poza szumem deszczu i nieustannym, niskim łoskotem gromów. Kyle’owi chciało się od tego spać.

Ocknął się, słysząc kroki zbliżające się od strony wieży w narożniku dachu. Na górę wszedł Skradacz. W stożkowatym hełmie oplecionym szamerowanym, jedwabnym sznurkiem wydawał się wyższy, a nawet wyglądał elegancko. Zamiast płaszcza nosił dziś karmazynową gwardyjską opończę, narzuconą na brygantynę z utwardzanej skóry nabijaną żelaznymi ćwiekami. I jak zwykle, włożył sięgające kolana mokasyny. Przymrużył powieki i powąchał deszcz. Osłonięte jasnymi wąsami usta rozciągał w leniwym uśmieszku. Uśmiechy Skradacza zawsze niepokoiły Kyle’a, być może dlatego, że usta zwiadowcy wyraźnie do nich nie przywykły, a do tego wesołość nigdy nie obejmowała jego piwnych oczu.

– Wszystko w porządku – oznajmił mężczyzna, nie wychodząc na deszcz. – Zbieramy się na dole.

Kyle pozwolił, by peleryna opadła mu z głowy, a potem ruszył przed siebie po popękanych dachówkach, między którymi było pełno dziur. Skradacz szedł już w dół krętymi schodami, więc młodzieniec podążył za nim. Dopiero w połowie drogi przyszło mu do głowy, że gdy zwiadowca się uśmiechnął, patrzył na Ostrogę.

Piwnica była jedynie małą jaskinią o kopulastym sklepieniu. Około trzydziestu uzbrojonych, zakutych w zbroje ludzi stało w niej obok siebie. Kyle nie znał nawet połowy z nich. Z niektórych sylwetek buchała para, mieszająca się z czarnym dymem lamp i pochodni. Oczy młodzieńca zaszyły od tego łzami. Potarł je grzbietem dłoni i odkaszła.

W ściśle do siebie przylegających kamiennych blokach podłogi wybito dziurę. Kyle widział w niej biegnące w dół schody. Zadrzał, gdy po szyi spłynęła mu zimna kropla. Wszyscy najwyraźniej na coś czekali. Zakasłał w dłoń, przebierając mokrymi nogami. Nieopodal jakiś potężnie zbudowany mężczyzna rozmawiał z sierżantem Okopem. Nagle zwrócił się w stronę Kyle'a. Chłopak wciągnął powietrze z wrażenia, poznając spłaszczony nos, grube usta oraz głęboko osadzone, szaroniebieskie oczy. Porucznik Szara Grzywa. Nie był członkiem prawdziwej elity Gwardii, ale niewiele mu do niej brakowało. Wskazał otwór skrytą w pancерnej rękawicy dłonią i chuderlawy osobnik o szalonej, czarnej czuprynie, odziany w brązową szatę z samodziału, ruszył w dół pierwszy. Kyle przypomniał sobie, że mężczyzna nazywa się Dymek. Był magiem, jednym z Zaprzysiężonych. W kompanii zostało jeszcze około dwudziestu mężczyzn i kobiet, którzy złożyli Śluby wiecznej wierności jej założycielowi, księciu Kazzowi D'Avore.

Ludzie ruszyli gęsiego na dół: najpierw Szara Grzywa, a za nim sierżant Okop, Garm, Cichy, Harman, Grere, Pielgrzym, Białas, Ambrose i inni, których Kyle nie znał. Gdy chciał stanąć w kolejce, Skradacz położył mu dłoń na ramieniu.

- My dwaj będziemy tylną strażą.

- Świetnie.

Rzecz jasna, jako zwiadowcy Dziewiątego Ostrza tam właśnie powinni się znaleźć, biorąc pod uwagę, co leżało przed nimi. Zbyt długo już obserwowali fajerwerki. Cały kompanijny korpus magów był zmuszony przejść do defensywy. Kyle cieszył się, że może zostawić konfrontację ciężkozbrojnym żołnierzom zmierzającym przodem.

Schody prowadziły do długiego korytarza, zalanego stęchlą wodą głęboką na stopę. Po kamiennych ścianach ściekały strumyki. W wodzie pływały piszczące w panice szczury. Żołnierze odkopywali je na bok, przeklinając pod nosem. O ile chłopak mógł się zorientować w półmroku, tunel wiódł prosto do Ostrogi.

Wyobraził sobie, że szereg mrocznych postaci to zgraja duchów – znużonych widm brnących przez pełen wody korytarz na spotkanie z losem.

Wrócił myślą do młodzieńczych spacerów po wojennej ścieżce. Bracia, siostry i przyjaciele mierzyli się z młodymi wojownikami z sąsiednich klanów. Chodziło głównie o kradzież trofeów, mającą być dowodem dorosłości. Teraz mógł już też przyznać, że nie mieli wiele więcej do roboty. Nabranie nieustannie naciskali na ich ziemie. Zakładane przez nich osady były jedynie skupiskami chat, ale nieustannie rosły. Jego ostatnia wyprawa zakończyła się, gdy z braćmi i siostrami natrafili na coś, na co nie mieli nazwy: garnizon.

Kolumna zatrzymała się raptownie i Kyle wpadł na krępego, łysego mężczyznę idącego przed nim. Nieznajomy odwrócił się z nagłym uśmiechem. Jego krzywe zęby błyszcząły w ciemności.

– Jestem Ogilvy – przedstawił się głosem tak ochrypłym, że niemal niesłyszalnym. – Trzydzieste Drugie Ostrze.

– Kyle. Dziewiąte.

Ogilvy skinął głową, zerknął na Skradacza i powtórzył ten gest.

– Będziemy tym razem mieli magika. Szara Grzywa ściągnie tu Czepca.

Czepiec był Zaprzysiężonym, nie tylko najstraszliwszym magiem w kompanii, lecz również zastępcą Blask oraz komendantem welenów, bezlitosnych zabójców, jakich przed rokiem Kyle nawet nie potrafiłby sobie wyobrazić. Widział oboje dowódców tylko z daleka i wolałby, żeby tak zostało.

Skradacz zmarszczył brwi z niedowierzaniem.

– Lepiej, by Szara Grzywa rzeczywiście był taki dobry, jak wszyscy mówią.

Ogilvy zachichotał. W jego oczach rozbłysła nagle wesołość.

– Korelijczycy zaofierowali nagrodę za jego głowę. Malazańczycy również. Zdradził i jednych, i drugich. Zwią go Kamiennym Wojownikiem. Słyszałem, że jest wart bezułkę czarnych pereł.

– Dlaczego? – zainteresował się Kyle.

Ogilvy wzruszył potężnymi ramionami.

– Zdradził obie strony, tak? Mam nadzieję pewnego dnia się dowiedzieć, jak właściwie to zrobił. – Mrugnął znacząco do Kyle'a. – Jesteście tutejsi, zgadza się?

Kyle skinął głową. Skradacz tego nie zrobił. W ogóle nie ruszył się z miejsca.

Ogilvy potarł dłonią blizny na łysej czaszce.

– Ja służę w Gwardii już dziesięć lat. Zaciągnąłem się na Genabakis.

Młodzieniec wiele słyszał o tym kontrakcie. To było ostatnie większe zadanie kompanii, ale zakończyło się przed kilku laty, gdy malażańska ofensywa się załamała. Wszyscy weterani narzekali, że Imperium Malażańskie nie jest już takie, jak kiedyś. Choć niechętnie mówili o przeszłości swojej i Gwardii, Kyle zdołał się zorientować, że często się mierzyli z owymi Malażańczykami.

– To cholernie dziwny kontrakt – ciągnął Ogilvy. – My tylko staraliśmy się kryć, tak? A tymczasem korpus magów ćwiczy puszczenie dymu z dupy. To nie w stylu Gwardii. – Popatrzył na nich wymownie. – Zaciągnąłem się, by trochę się poruszać.

Kolumna znowu ruszyła i Ogilvy oddalił się, pluskając głośno.

– O co tu chodziło? – zapytał Kyle Skradacza.

– Nie mam pojęcia. Ogilvy służy w Gwardii już dziesięć lat i nawet on nic nie wie. Słucham uważnie, co ludzie mówią, i wygląda na to, że w kompanii jest podział. Starzy przeciwko nowym.

Wysoki, chudy zwiadowca złapał Kyle'a za ramię. Palce wpiły się w ciało niczym zęby psa. Zatrzymali się obaj. Młodzieniec odnosił wrażenie, że cisza dzwoni mu w uszach.

- Coś ci powiem - zaczął Skradacz, pochylając się. Twarz skrywały mu cienie. - W Karmazynowej Gwardii są tacy, którzy wędrują po świecie już od bardzo dawna. Zgromadzili mnóstwo mocy i wiedzy. Nie wierzę, by chcieli się tego wszystkiego wyrzec. To stara historia. Miałem nadzieję, że zostawiłem ją już za sobą.

Puścił ramię Kyle'a i ruszył w dalszą drogę, zostawiając chłopaka samego w ciemnym, cichym tunelu. Młodzieniec stał przez chwilę, zastanawiając się, co o tym wszystkim sądzić, aż wreszcie ośmielone szczury zaczęły mu się wdrapywać na nogi.

* * *

Znalazł Skradacza pod wyłamaną żelazną bramą, z pewnością zamykającą ongiś korytarz. Pochylony zwiadowca przyglądał się jej uważnie, trzymając w dłoni niemal całkowicie wypaloną świecę.

- Co to jest? - wyszeptał Kyle.

- Szczątki. Ważne pytanie brzmi jednak nie „co?”, tylko „kiedy?”. Niedawno. Żelazo jeszcze nie ostygło. Słyszałeś coś?

- Tak mi się zdawało... przedtem.

- Ehe. Ja również. - Popatrzył przed siebie w słabym, złocistym blasku. Tył idącej naprzód kolumny nikał powoli w mroku. Złapał za skórzany woreczek wiszący na szyi i potarł go. Chłopak już przedtem zauważył u niego ten nawyk. - Słyszałem, co mówią o Szarej Grzywie. Ponoć jest kimś znacznie więcej, niż się wydaje...

Kyle przyjrzał się rozbitej, powyginanej bramie. Pręty były o połowę grubsze od jego nadgarstka. Czyżby zwiadowca sugerował, że to Szara Grzywa ją wyłamał? Prychnął pogardliwie. To było śmieszne!

Skradacz skierował na niego błyszczące w blasku świecy oczy.

– Nie śpiesz się z osądem. Walczyłem już z najróżniejszymi przeciwnikami i widziałem wiele rzeczy, w które nadal nie potrafię uwierzyć.

Kyle miał ochotę zapytać go o te dawne wojny, ale męczyzna sprawiał wrażenie, że coś go gryzie. Zerknął na młodzieńca jeszcze dwa razy. W jego oczach widniał błysk niepokoju, jakby żałował, że powiedział, co myśli.

W świetle trzymanej przez Skradacza świecy Kyle ujrzał krótkie schody, zaczynające się tuż za bramą. Były ciemne. To był czarny bazalt, skała Ostrogi. Pośrodku wytartych stopni utworzyły się zagłębienia. Wyprostował się, jego dłoń odruchowo znalazła rękojeść tulwara. Zwiadowca zgasił świecę i chłopak ujrzał przed nimi światło lampy.

Dogonili Ogilvy'ego, który wskazał w górę, gwizdząc z uznaniem. Tunel przechodził w okrągłą komnatę, wykuta w tej samej skale, co schody. Czarny bazalt, macierzysta skała Ostrogi. Kyle'a niepokoili rozmiary komory, po chwili uświadomił sobie jednak, że stanowi ona podstawę szybu schodów, wznoszących się ciasną spiralą po wewnętrznej ścianie pomieszczenia. U ich podnóża migotały pochodnie. Kyle wyteżył wzrok i zobaczył, że kolumna posuwa się powoli w górę. Szli teraz dwójkami, Dymek i Szara Grzywa na czele. Wyszedł na środek komnaty i uniósł wzrok. Wysoko w górze mgiełkę deszczu rozjaśniały kaskady ciemnoniebieskiego światła. Wilgoć muskała zwróconą ku górze twarz młodzieńca. Wypatrzył w blasku błyskawic maleńki jak moneta dysk na samym szczycie wydrążonego w skale szybu. Zakręciło mu się w głowie. Dopadły go mdłości. Musiał się oprzeć o zimną, śliską ścianę. Wysoko nad nim wiatr wył jak pies na łańcuchu. Od czasu do czasu było też słychać łoskot piorunów.

Skradacz wszedł bez słowa na schody, nie zdejmując dłoni z rękojeści miecza. Mokasyny pozwalały mu poruszać się zupełnie bezgłośnie. Ogilvy klepnął Kyle'a w plecy.

- Chodź, chłopcze. Jeszcze tylko krótka przechadzka i będziemy mieli noc za sobą – stwierdził, chichocząc.

* * *

Po dwudziestym pełnym obrocie schodów Kyle przyjrzał się uważnie symbolom wyrytym nierówno w skale na wysokości jego barku. Ich szereg piał się w górę razem ze schodami i tu i ówdzie – tam, gdzie strącono mech i pajęczyny – można je było odczytać. Kyle nie znał jednak tych znaków. Rozpoznawał tylko jeden: zwiniętą spiralę Wiatru, totem swego ludu.

Po pewnym czasie nogi zupełnie mu zdrętwiały. Oddychał z wysiłkiem. Kto czeka na nich na górze? I – co ważniejsze – jak Dymek i Szara Grzywa zamierzali sobie z nim poradzić? Idący przed nim Ogiłvy postękiwał i dyszał głośno. Weteran utrzymywał miarowy krok, mimo że dźwigał pełen kolczy czepiec, koszulę i fartuch, szeleszczące przy każdym kroku. Zbroja Kyle'a – złożona z fragmentów niepotrzebnych nikomu innemu – ocierała mu szyję i piła boleśnie w ramiona. Składała się z za dużej brygantyny z fragmentów lakierowanego rogu i kości, nałożonej na przesywanicę, rękawów z miękkiej skóry wyszywanych stalowymi pierścieniami – wielu brakowało – nabijanego ćwiekami fartucha włożonego na skórzane nogawice, oraz nagiego, żelaznego hełmu z nosalem tak wielkim, że prawie dotykał piersi chłopaka. Kyle włożył do środka szmatę, żeby hełm lepiej pasował. Cały ten ciężar zmienił wspinaczkę w torturę. A przecież przed rokiem, tego ranka, gdy Przechył zwałił mu fragmenty zbroi na kolana, Kyle był gotowy się uznać za najbogatszego człowieka w całym Baelu. Nawet wódz wojenny ich plemienia nie mógł się pochwalić taką kolekcją. Teraz czuł się jak kompanijny głupek i żebrak.

Skupił się na tym, gdzie stawia nogi, starając się zapomnieć o przesywającym uda bólu, otartych ramionach i ogniu wypełniającym płuca. Wśród braci i kuzynów uchodził za jednego z najlepszych bie-

gaczy. Potrafił przetruchtać cały dzień, od wschodu do zachodu słońca. Nie pozwoli, by stary weteran zostawił go z tyłu.

Z góry dobiegł krzyk. Kyle przystanął. Słyszał dźwięk odległych ciosów i krzyki zaalarmowanych ludzi. Broń wysunęła się ze świstem z pochew. Chłopak wychylił się w bok, by zobaczyć, co się dzieje na górze, ale nic nie zobaczył. Spojrzał pytająco na Ogilvy'ego, lecz weteran uciszył go, unosząc dłoń. Jego oczy błyszczały w ciemności. Miecz trzymał przed sobą. Maską żartownisia zniknęła, odsłaniając twarz zimnokrwistego zabójcy. Uśmiech przerodził się w drapieżny grymas. Ta transformacja mroziła krew w żyłach.

Kolumna znowu ruszyła przed siebie, stal pobrzękiwała o kamień. Po trzech kolejnych obrotach Kyle dotarł do płytkiej niszy w ścianie. Leżały pod nią zakute w zbroje szczątki kogoś martwego już od wieków. Zmumifikowane ciało miało ciemnobrązową barwę. Kyle gapił się na trupa, aż wreszcie Ogilvy popchnął go naprzód.

- Co to było, w imię Wiatru? - wyszeptał chłopak.

Weteran chciał wzruszyć ramionami, powstrzymał się jednak i splunął do szybu.

- Strażnik. Ożywieniec. Słyszałem o nich.

Kyle uświadomił sobie ze zdziwieniem, że trzyma w ręce tulwar. Nie przypominał sobie, w której chwili go wyciągnął.

- Czy był... martwy?

Ogilvy przeszył go spojrzeniem.

- Teraz już jest. Bądź cicho i miej oczy otwarte. Zaraz się zaczną kłopoty.

- Skąd wiesz?

- Jak ryby w beczce. - Wskazał głową za siebie. - Poruszyliśmy alarm. Shen będzie na nas czekał. Tak przynajmniej sędzę. Trzymaj się między mną a ścianą, dobra?

To brzmiało nieźle. Kyle chciał już zapytać dlaczego, gdy na górze rozbłysło oślepiające światło. Potem schody przeszył potężny wstrząs.

Ogilvy złapał chłopaka za rękaw i odciągnął od krawędzi. Nadszedł gwałtowny powiew i szybko poleciało w dół coś wielkiego. Ciszę, która nastąpiła po wstrząsie, zmącił krzyk. Kyle odzyskał wzrok akurat na czas, by ujrzeć spadającego w ciemność Gwardzistę. Jego głowa i szyja zmieniły się w krwawą miazgę.

– Załatwia nas jednego po drugim! – wściekał się Ogilvy. – Gdzie Szary?

Kyle wyteżył wzrok, spoglądając w górę. Widział już, że zbliżają się do szczytu, gdzie strugi deszczu rozjaśniał blask księżycy oraz błyskawic. Unosiła się tam jakaś mroczna sylwetka. Czarnoksiężnik, Shen. Gwardziści wymachiwali pochodniami i mieczami, próbując go dosięgnąć. Stał wyprostowany, spowity w migotliwe cienie. Jego dłonie wyglądały jak wielkie, białe szpony. Sięgnął jednym z nich po kolejnego Gwardzistę, ale ten zdołał sparować atak. Shen warknął i skinął ręką. Rozbłysło błękitne światło. Gwardzista zgiął się wpół, jak uderzony mieczem w brzuch, zachwiał się i runął do szybu, tak blisko ściany, że omal nie uderzył butami w zwróconą ku górze twarz Kyle'a.

Gwardziści zawyli z wściekłości. Rzucana broń i bełty z kusz odbijały się od smukłej sylwetki. Czarnoksiężnik wybuchnął śmiechem, przenosząc spojrzenie na następnego przeciwnika. Kyle wychylił się tak daleko, jak tylko śmiał, wrzeszcząc z bezsilnego gniewu i strachu.

– Niech Kaptur ściągnie cię w dół, ty kupo nieludzkiego gówna! – ryknął Ogilvy, potrząsając pięścią.

Dymek pochylił się ku Shenowi, rozpościerając dłonie na wysokości żołądka. Gwardziści stojący na schodach odwrócili się, zasłaniając twarze ramionami.

– Kryj się! – warknął Ogilvy, pociągając Kyle'a do tyłu za koleczko.

W szybie eksplodowały płomienie, parząc młodzieńca niczym płynny metal. Osłonił twarz, wciągając w płuca rozgrzane powietrze. Otworzył się przed nim piec garncarski. Ogień wypełniał mu uszy, parzył grzbiety dłoni. Nagle nadszedł powiew. Chłopakowi strzeliło w uszach i pożar zgasł. Kyle dyszał spazmatycznie. Wokół unosiły się

kłęby dymu, śmierdzącego spalonymi włosami i osmaloną, garbowaną skórą.

- Na zęby Togga, Dymek, przyhamuj trochę - wychrypiał Ogilvy.

Obaj spojrzeli w górę, wypatrując czarnoksiężnika. Skłębione opary skupiły się, jak wessane przez nagły wiatr, i zniknęły, odsłaniając unoszącego się w powietrzu Shena. Najwyraźniej nic mu się nie stało. Czarnoksiężnik skierował na Dymka spojrzenie bursztynowych oczu, wyciągając bladą, szponiastą dłoń. Kyle pragnął być na górze, pomóc Dymkowi, jedynemu magowi towarzyszącemu ich grupie. Uświadomił sobie, że przeciwnik okazał się stanowczo za silny.

Czarnoksiężnik wyciągnął rękę do Dymka i skinął na niego palcem. Gwardziści stojący blisko machnęli mieczami, ale bezskutecznie. Nagle pojawiła się potężna postać Szarej Grzywy. Porucznik wystąpił z cieni i pchnął przed siebie szerokim, dwuręcznym mieczem. Klinga wbiła się w ciało Shena. Zdumiony czarnoksiężnik wytrzeszczył oczy. Otworzył usta i wydał z siebie przeszywający wrzask, a potem złapał obiema rękami za miecz i skoczył do tyłu, zsuwając się z ostrza. Nim Szara Grzywa zdążył pchnąć po raz drugi, czarnoksiężnik umknął przez otwór.

Stojący obok Kyle'a Ogilvy podrapał się po podbródku, spoglądając z namysłem w górę.

- I co, nie było tak źle? - zapytał, mrugając znacząco.

Kyle zaniemówił. Potrząsnął głową, przerażony i pełen ulgi. Nagle jednak się poderwał. Coś sobie przypomniał.

- Skradacz!

Przeszukał wzrokiem szereg Gwardzistów i wypatrzył Skradacza blisko Szarej Grzywy. Spojrzeli na siebie, a potem zwiadowca odwrócił oczy, błyszczące jasno na tle ciemnej twarzy.

Ogilvy pociągnął nosem i schował miecz.

- Ehe, prosił mnie, żebym miał na ciebie oko. Jak byliśmy na dole.

- Nie potrzebuję niczyjej opieki.

– Jeśli chcesz zachować życie w tym fachu, musisz się nauczyć jednego. – Weteran zakasał i splunął do szybu. – Zawsze się zgadzaj, kiedy ktoś chce ci pomóc, bo to się zdarza rzadko.

Kolumna znowu ruszyła w górę.

* * *

Wyszli z narożnej wieży na prostokątny, otoczony murami dziedziniec. Deszcz siekł ich z boku, niesiony wichrem jak piasek na pustyni. Ludzie zbijali się w grupy, gdy tylko znaleźli osłonę. Kyle wciągnął skórzaną pelerynę, podbiegł do sięgającego mu pasa murku otaczającego przelewający się staw i przycupnął za nim. Osłaniające szczyt Ostrogi chmury spowijały go gęstą mgłą. Zawodzenie wiatru i łoskot piorunów były tak głośne, że ludzie stojący obok siebie musieli krzyczeć sąsiadom do uszu, by ci ich usłyszeli. W niemal ciągłym świetle błyskawic Kyle zauważył, że jest to nie tyle forteca, ile otoczona murem rezydencja. Centralny dziedziniec, mury, ławy, budynki – wszystko to wykuto z czarnego bazaltu Ostrogi. Zdumiewała go myśl, ile pracy z pewnością w to włożono.

Tylko Szara Grzywa stał prosto. Szeroko rozstawił grube jak pnie drzew nogi. Wiatr szarpał długimi, siwymi włosami, wysuwającymi się spod hełmu porucznika. Gestami zakuty w pancerne rękawice dłoni podzielił swych ludzi na oddziały. Kyle zastanawiał się, co renegeat zrobił z dwuręcznym mieczem, którym przebił Shena. Nie miał pochwy, w której mogłaby się pomieścić taka broń, tylko wąski, jednoręczny miecz wiszący u pasa.

Nagle pojawił się Dymek. Mag pomknął w stronę Kyle'a jak niesiona wichrem wrona. Przemoczone szaty przylegały do jego chudego ciała. Czarne włosy, pozlepiane od deszczu, nadawały wąskiej twarzy wyraz przerażonego, podtopionego szczura.

– Ty jesteś zwiadowca Kyle?! – wrzasnął mag ochryple.

Młodzieniec skinał głową.

Mag zadrzał, skrzywił się boleśnie i otulił szczelniej mokrym strojem. Po twarzy spływały mu strumienie wody. Wskazał czterech mężczyzn stojących obok Kyle'a. Wszyscy pokiwali głowami. Chłopak znał tylko jednego z nich, potężnie zbudowanego rębajłę imieniem Geddin. Ucieszył się z jego towarzystwa.

Dymek zbliżył usta do ucha zwiadowcy. Choć lał deszcz i mag przemókł do suchej nitki, z jakiegoś powodu nadal biła od niego woń drzewnego dymu i gorącego metalu. Wskazał sękatym palcem na odcinek muru, wzdłuż którego biegła długa kolumnada w całości wykuta z czarnego bazaltu: dach, filary oraz mroczne wejścia do położonych dalej pomieszczeń.

- Sprawdzimy te pokoje. Wy pójdzicie na szpicy.

Mag zauważył reakcję Kyle'a i ryknął śmiechem, który zaraz przerodził się w gwałtowny kaszel.

Młodzieniec wyciągnął tulwar i spojrzał we wskazanym kierunku, szukając po drodze jakiejś osłony. Na szpicy. Rewelacja.

- Zaczekaj.

Dymek złapał go za prawą rękę.

Kyle omal mu się nie wyrwał, przypomniał sobie jednak słowa Ogi-ly'ego. Mag zmarszczył brwi, przyglądając się jego bronii. Chłopak czekał, nie wiedząc, o co tu chodzi. Deszcz siekł jego ramiona. Dłoń Dymka była nieprzyjemnie gorąca. Mag odwrócił się, spoglądając na Szarą Grzywę i grupkę towarzyszących mu ludzi. Kyle dostrzegał za strugami deszczu tylko niewyraźne sylwetki. Dymek podniósł rękę młodzieńca razem z mieczem, unosząc brwi w niewypowiedzianym pytaniu. Kyle wyteżał wzrok, ale nie był w stanie zobaczyć twarzy ani gestów Szarej Grzywy. Mag chrząknął, najwyraźniej zauważywszy jakąś odpowiedź, i wyciągnął spod szaty cienką stalową igłę. Zaczął nią drapać po zakrzywionej klindze.

- Mam wyskrobać coś szczególnego? Twoje imię? Łaskawość Oponn? Może Ogień?

- Wiatr - odpowiedział Kyle, myśląc o swym totemie.

Igła znieruchomiła. Krople deszczu tłukły o ramiona chłopaka z siłą pocisków z procy. Dymek przyjrzał się jego twarzy, mrużąc powieki, a potem uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Ty też widziałeś te historie po drodze, he? Celny wybór.

Wydrapał na klindze spiralę Wiatru. O dziwo, hartowane żelazo topiło się pod jego naciskiem jak wosk. Uchwyt zrobił się gorący w uścisku Kyle'a. Krople deszczu padające na klingę parowały z sykiem. Mag zwolnił uścisk. O co mu chodziło z tym Wiatrem? Jak to mawiał ojciec chłopaka...

„Wszyscy są zdani na łaskę Wiatru”.

Kyle uniósł wzrok. Mag skinął niecierpliwie dłonią, każąc mu ruszać.

* * *

Wykute w litym bazalcie pokoje były puste. Kyle odtrącał nogą zbutwiałe liście oraz szczątki drewnianych mebli. Ogarnęło go rozczarowanie, ale ku swemu wstydydzi czuł również ulgę. Miał wrażenie, że jest odsłonięty, całkowicie bezradny. Jakże miałby szanse w walce z czarnoksiężnikiem? W żołądku czuł kwaśny ucisk, kończyny drżały mu niepowstrzymanie.

Przed nim zawodził wicher, a do środka wpadały krople deszczu, zdradzając lokalizację wyjścia. Kyle wszedł do pokoju o trzech ścianach, wychodzącego na krawędź Ostrogi. Wiatr szarpał nim gwałtownie i młodzieniec musiał się złapać ścian. W pomieszczeniu znajdowała się wielka klatka z drewna i sznurów, wisząca na drewnianym ramieniu, które najwyraźniej dawało się wysuwać na zewnątrz. Lina biegła od klatki do wnęki w suficie, a z tyłu pokoju opadała znowu ku bębnowi wciągarki wielkości wzrostu mężczyzny.

Dymek zajrzał do środka przez ramię Kyle'a i poklepał go po plecach.

- To nasza droga na dół.

- Nie przy tym wietrze - poskarżył się jeden z mężczyzn czekających za magiem. - Roztrzaska nas na kawałki.

Dymek skrzywił się wściekle, spoglądając na Gwardzistę - być może jedynego niższego niż on żołnierza w całej kompanii.

- Zawsze musisz narzekać, Młodziak?

Podłogę przeszył nagły wstrząs, kładąc kres rozmowom. Od odległych ech pękających skał Kyle'a rozboleły zęby. Dymek odzyskał równowagę i zachichotał.

- Staruszek Szary go wyłowił!

Skałą wstrząsnął kolejny wybuch. Kyle mógłby przysiąc, że zadrzała cała Ostroga. Rozstawił szeroko nogi. Klatka z drewna i sznurów zakolysała się ze skrzypieniem i łoskotem. Z twarzy maga zniknął uśmiech.

- Tak mi się zdaje - uściślił, ocierając wodę z twarzy.

- Wracajmy - zasugerował kolejny Gwardzista. Kyle go nie znał. Mówił po taliańsku, w ojczystym języku kompanii. - Braciszkanie się niepokoją.

Dymek chrząknął na znak zgody, poprawiając przemoczone szaty. Kyle przyjrzał się nieznanemu Gwardziście. Mężczyzna powiedział „Braciszkanie”. Chłopak słyszał już przedtem to słowo. Miało coś wspólnego z elitą Gwardii, pierwszymi Gwardzistami, Zaprzysiężonymi. Być może tak nazywali się między sobą? Nadal spoglądał z ukosa na mężczyznę. Miał na sobie poobtłukiwaną łuskową zbroję, na plecach nosił wielką tarczę, a u pasa miecz w pochwie. Równie dobrze mógł być Zaprzysiężonym. Oni nie nosili obręczy ani epoletów. Nie sposób ich było odróżnić od innych gwardzistów. Przechylił tłumaczył mu, że robią to celowo.

„Chodzi o strach. Przeciwnik nie wie, z kim się mierzy. To skłania do zastanowienia”.

Gdy wrócili do wewnętrznych pokoiów, roilo się w nich od Gwardzistów. Najwyraźniej tu właśnie wyznaczono punkt zborny. Kyle obserwował schodzących się najemników przez łuki między kolumnami. Ludzie ślizgali się na gładzonych, mokrych od deszczu kamieniach. Spojrzał na niskiego najemnika stojącego obok.

- Co jest grane, Młodziak?

W widocznych pod brzegiem owiniętego w mokrą tkaninę hełmu oczach mężczyzny pojawił się błysk gniewu.

- Nie nazywam się Młodziak - wysyczał Gwardzista przez zacisnięte zęby.

Kyle przeklął własną głupotę i te dziwaczne, cudzoziemskie imiona.

- Przepraszam. Dymek tak do ciebie mówił...

- Dymek może każdego nazywać, jak mu się podoba. Ty lepiej okaż trochę szacunku...

- Przepraszam, nie...

Ktoś pociągnął Kyle'a za koleczkę. Chłopak odwrócił się i zobaczył Przechyłę. Stary saper mrugnął do niego znacząco.

- Nie zawracajmy naszemu przyjacielowi Bollowi głowy pytaniami. On nie zwykł nikomu pomagać.

Boll zacisnął wargi jeszcze mocniej, wykrzywiając je w gniewnym grymasie. Pozdrowił Przechyłę pochYLENIEM głowy, odepchnął się od ściany i wmieszał w tłum Gwardzistów.

- Co tu się dzieje? - wyszeptał Kyle.

- Nie jestem pewien - przyznał szczerze weteran. - Zaczekamy, to się dowiemy. No wiesz, w takich sprawach tak to najczęściej wygląda.

Kyle omal nie zapytał: „W jakich sprawach?“, ale wszyscy stanęli nagle na baczność, prezentując broń. Zdziwiony chłopak rozejrzał się wokół. Co tu było grane? Dlaczego zawsze dowiadywał się o wszystkim ostatni? Odniósł wrażenie, że żołnierze wyprostowali się jednocześnie, jak marionetki na sznurku. Może weteranów Gwardii łączył jakiś

bezglębny język albo instynkt, którego on nie miał? Mnóstwo razy, gdy siedział w pokoju, przyglądając się grze w karty, albo drzemał sobie spokojnie w koszarach, był świadkiem tego, jak wszyscy zrywają się nagle, jakby usłyszeli werbel. W takich przypadkach niedawno zwerbowani zawsze przygotowywali się ostatni i zamykali kolumnę.

Tym razem młodzieniec zauważył, że ośrodkiem uwagi zgromadzonych jest otwarte wejście do głównego budynku, położonego po drugiej stronie dachowego ogrodu. Ludzie stojący pod kolumnadą unieśli naładowane kusze, kierując je ku drzwiom. Pierwszy szereg uklęknął, a drugi stał za nim. Kyle'owi nie dano tego rodzaju broni, bo kompania miała jej za mało.

- Idą - wyszeptał Przechył.

W strugach deszczu pojawiła się wychodząca z budynku drużyna żołnierzy. Szara Grzywa szedł na końcu. W pojedynkę przesunął kamienną płytę drzwi, zamykając je za sobą. Ludzie przebiegli truchtem przez przylegające do siebie ogrody i patia, kryjąc się za ławkami i kamiennymi donicami ogrodowymi, w których pozostały już tylko ogołocone przez deszcz, martwe krzewy. Ci żołnierze celowali w drzwi, podczas gdy ich towarzysze przebiegli do innej części dziedzińca. Był wśród nich unoszący wysoko kuszę Skradacz. Szara Grzywa zamykał kolumnę. Kroczył powoli i ciężko, jakby był pogrążony w zamyśleniu. Ani razu się nie obejrzał. O dziwo, strugi niesionego wiatrem deszczu powiewały za nim na podobieństwo chorągwi.

Gwardziści dotarli do kolumnady. Gdy Szara Grzywa wychynął zza zasłony deszczu, Kyle zauważył, że pokrywa go warstwa lodu. Z fartucha zbroi malazańskiego renegata zwisały sopele. Strącał je, sypiąc odłamkami na kamienną powierzchnię. Para buchała z niego jak kłęby dymu. Ku zdumieniu młodzieńca nikt nie skomentował tego ani słowem.

Dymek podszedł do porucznika.

- Nie możemy opuścić klatki! - zawołał. - Wiatr jest za silny.

Szara Grzywa skinął ze znużeniem głową.

– Schody na nic się nam nie zdadzą. Shen już się o to postarał.

Lita skała pod stopami Kyle'a podskoczyła nagle, jakby ktoś ją kopnął. Jedna z kolumn pękła, rozszerzając się jak suchy pień drzewa. Ludzie uchylali się przed odłamkami. Nozdrza młodzieńca wypełniła ostra woń skalnego pyłu.

– Ocknął się – rzekł Szara Grzywa, odpowiadając na bezgłośnie pytanie Dymka. – Lada chwila tu będzie. – Zwrócił się w stronę głównego budynku, długiego, niskiego, czarnego bunkra pozbawionego okien i ozdób. – Shen go obudził, nim zdążyłem temu zapobiec. Przekłeta grotowa pijawka.

Stojący obok sierżant Okop skinął na ludzi, każąc im rozciągnąć szereg. Przesunęli się w obie strony, szukając kryjówek. Kusze cały czas kierowali ku drzwiom.

Dymek potarł szczurze wąsiki, przygryzając dolną wargę.

– Może powinniśmy sprowadzić Czepca – zasugerował.

W jasnyniebieskich oczach Szarej Grzywy pojawił się błysk. Porucznik potarł je urękawiczoną dłonią i westchnął.

– Nie. Jeszcze nie. – Skrzyżował ręce na piersi. – Przekonajmy się, co obudziliśmy.

Kyle omal nie zapytał, co się dzieje. Wyglądało na to, że ci dwaj zaprowadzili wszystkich w miejsce, skąd nie było ucieczki. Co było nie tak ze schodami? Przechylił spojrzał chłopakowi w oczy, jakby czytał w jego myślach, i popatrzył znacząco na tylne pokoje. Kyle skinął głową.

Spotkał się ze zwiadowcą przy ostatnim wejściu, z którego było widać dziedziniec. Ludzie kucali albo wychylali się zza kolumn, unosząc gotowe do strzału kusze. Rozmawiali cicho, spoglądając ze znużeniem na Szarą Grzywę. Kyle usłyszał nawet śmiech przebijający się przez uderzenia piorunów i szum deszczu. Zadał sobie pytanie, czy najważniejsza w zajęciu najemnika nie jest przypadkiem umiejętność okazywania obojętności w obliczu zagrażającej śmierci.

Przechył uśmiechnął się doń zachęcająco, pocierając udo otwartą dłonią.

- O co chodzi, chłopcze? Wyglądasz, jakby przed chwilą padł twój ulubiony koń.

Kyle mimo woli parsknął krótkim śmiechem. Niech go Wielki Wiatr ma w swojej opiece! Czyżby był szalony?

- Jesteśmy tu uwięzieni, prawda? Nie mamy drogi ucieczki i tylko Bliźniaczy Kpiarze wiedzą, co przyjdzie nas zeżreć.

Przechył uniósł brwi, ściągnął czapeczkę z utwardzanej skóry służącą mu jako hełm i podrapał się po głowie.

- A niech to, ależ ze mnie głąb. No wiesz, człowiek zapomina, że przesłużył już tyle lat w tym samym oddziale, że prawie potrafi czytać w ich myślach. - Pomacał granicę ostrzyżonych na jeża włosów i zmiażdżył coś między palcami. Popatrzył na Kyle'a. Oczy miał tak jasne, że wydawały się niemal bezbarwne. - Przepraszam, chłopcze. Zapomniałem, że jesteś zupełnie zielony. A przecież to ja odbierałem twoją przysięgę. Ale się narobiło.

Zachichotał i odwrócił wzrok.

- I co dalej? - nie ustępował Kyle.

- Ach! No tak, chłopcze. Posłuchaj, Shen, ten czarnoksiężnik, nie żyje. Szara Grzywa go wykończył. Ale Czepiec i Dymek obawiali się, że coś tu jest, i okazało się, że to prawda. Shen cały czas karcił się jego mocą, a przed śmiercią go obudził. Jest potężny i cholernie starożytny.

- Kto to taki?

- Jakiś potężny mag. Magus, może nawet Ascendent. Mistrz grotty Serc.

Ascendent. Kyle słyszał już kilkakrotnie tę nazwę. Ktoś, kto włada potężną mocą? Znał plemienne określenia grot - niektórzy starcy nadal uparcie zwali je „Twierdzami” - nie wiedział jednak, jak się nazywają po taliańsku.

- Serc. Która to grota?

- Nieba.

Kyle poczuł się, jakby zawodzący wokół wichur porwał go nagle w górę i poniosł na łeb na szyję. Głos wichury przerodził się w grzmiący śmiech. Łoskot gromów wypełnił głowę chłopaka, przeganiając wszelkie myśli. Przypomniał sobie, jak ojciec mu mówił, że pioruny to głos Wiatru śmiejącego się z zarozumiałych ludzi i ich absurdalnych wysiłków. Pole widzenia chłopaka zacieśniło się, przechodząc w wąski tunel, jakby znowu miał przed oczyma klatkę schodową Ostrogi. Zamrugał i potrząsnął głową. Nadal mu się w niej kręciło.

Przechył odwrócił wzrok. Jego uwagę przyciągnęło coś innego.

- Muszę już iść, chłopcze.

Nie czekając na odpowiedź, stary sabotażysta klepnął Kyle'a w bark i wrócił do towarzyszy.

Chłopak oparł się o ścianę. Kolana mu zdrętwiały. Uniósł tulwar, przyglądając mu się uważnie. Z symbolu Wiatru wytrawionego w klin-dze spływały kropelki wody. Czy to możliwe? Czy ta istota była jednym z nich? Założycielem ich plemienia? Błogosławionym Duchem Wiatru?

Deszcz zaczynał słabnąć. Kyle wbił wzrok w litą ścianę chmur. Wyglądało to, jakby szczyt Ostrogi sięgał do jakiegoś innego królestwa, świata pełnego ciemnoszarych chmur i bezlitosnego wiatru. Wichura przerodziła się nagle w huragan, rozbryzgując kałuże. Wszyscy schowali się pośpiesznie, tylko Szara Grzywa stał z rozstawionymi szeroko nogami, osłaniając twarz zakutym w zbroję ramieniem.

Drzwi głównego budynku wypadły nagle na zewnątrz, jak wysadzone pociskiem Moranthów, o których opowiadano Kyle'owi. Rozpadły się na kawałki, odbijające się z trzaskiem od kolumn i murów jak wystrzelone z kuszy bełty. Chłopak wzdrygnął się, gdy jeden z nich skaleczył go w nogę. Jakiś Gwardzista zważył się na plecy. Padł tak sztywno, że nikomu nawet nie chciało się sprawdzać, czy żyje.

Z drzwi wyłonił się mężczyzna. Kyle'a zdumiało, jak bardzo masywny się wydaje, choć szerokością w barach ustępował Szarej

Grzywie. Włosy miał gęste, białe jak kość i splecione w warkoczyki. Wiatr w ogóle nimi nie poruszał. Cera nieznanego była biała jak śnieg. Ozdobione frędzlami wełniane szaty opadały mu z ramion aż do stóp. One również w ogóle się nie poruszały na wietrze. Był oazą spokoju pośród burzy.

Wodził gorejącym srebrnym blaskiem spojrzeniem od twarzy do twarzy. Gdy zatrzymał je na Kyle'u, chłopak był zmuszony odwrócić wzrok. Te oczy go przerażały, groziły opętaniem. Poczul, że twarz zapłonęła mu wstydem, jakby z jakiegoś powodu nie był ich godny. Wiatr uspokoił się nagle, zawroźnienie ucichło. Gęste, skłębione chmury wycofały się, jakby zbierały siły przed ostatnim atakiem.

W tę ciszę wkroczył Dymek. Jego sandały kłaskały na mokrej skale dachu. Magus – Kyle nie wątpił, że istota ma co najmniej taką rangę – obserwował niskiego człowieczka z wyraźnym rozbawieniem. Dymek uklękł i przesunął ręce nad kamienną nawierzchnią. Z jego dłoni trysnęły płomienie. W stronę jestestwa pomknęła wijąca się jak wąż linia ognia. Magus przyglądał się temu cierpliwie i z zaciekawieniem. Pochylił nieco głowę, śledząc wzrokiem trasę płomienia.

Linia zbliżyła się do obutych w sandały stóp i podzieliła na dwie gałęzie, otaczając magusa kręgiem. Istota przeniosła spojrzenie na Dymka, który wzdrygnął się pod jego ciężarem. Magus strzelił palcami i promienie rozprysły się na wszystkie strony niczym stłuczona szyba. Dymek padł na plecy jak uderzony i przesunął się kawałek po mokrym kamieniu, zatrzymując się u stóp Szarej Grzywy.

– Czegoś takiego nie ogląda się co dzień – wydyszał człowieczek.

Magus stał nieruchomo, ale Szara Grzywa nie oderwał od niego wzroku, by sprawdzić co z Dymkiem.

– Powinniśmy wezwać jego – stwierdził czarodziej, podnosząc się z dachu.

Magus rozpostarł powoli ramiona, jakby był ptakiem gotowym się zerwać do lotu. Szara Grzywa zaczerpnęła tchu, chcąc coś powiedzieć, powstrzymał się jednak i spojrzął w bok. Wzdłuż kolumnady zbliżały

się trzy sylwetki odziane w ciemne, targane wiatrem płaszcze – dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Kyle był pewien, że nie przyszli tu z ich grupą. Szara Grzywa zaklął pod nosem. Dymek dmuchnął w dłonie i splótł je mocno.

Gwardziści schodzili z drogi trojgu przybyszom. Kyle wiedział, że pierwszy z nich to Czepiec. Miał twarz o ostrych rysach, niebieskie spirale tatuaży na podbródku i gęstą siatkę blizn od noża na szyi. Drugim zapewne był Keitil. Smagłolicy mężczyzna był koczownikiem, podobnie jak Kyle, choć pochodził z krainy zwanej Równiną Wickańską. Trzecią była Isha, masywna kobieta o szerokich biodrach i długich, ciemnych włosach splecionych w pojedynczy warkocz. Wszyscy troje byli welonami – najemnymi skrytobójcami.

Szara Grzywa zerknął pytająco na Dymka.

– Na pewno zwrócili się do niego Braciszkwowie – stwierdził mag, wzruszając ramionami.

– Widzę, że osiągnęliście pewne postępy! – zawołał do Szarej Grzywy Czepiec.

Renegat zgarbił się, nie odpowiadając ani słowem.

– Nie prosiliśmy o waszą pomoc – wykrztusił po chwili.

Czepiec machnął urękawiczoną dłonią.

– Proszę bardzo, zakończcie to sami. Jeśli potraficie.

Szara Grzywa znowu spojrział na nieruchomego magusa.

– Wy zawsze stosujecie to samo rozwiązanie. Nie trzeba się zastanawiać...

– Coś się dzieje – ostrzegł go Dymek.

Magus odchylił głowę, spoglądając na chmury. Wyprostował ramiona jeszcze bardziej, otworzył dłonie i rozpostarł palce. Grube wełniane rękawy opadły, odsłaniając niebieskie tatuaże w kształcie spiral i fal, otaczające obie kończyny od dłoni aż po barki. Symbole Wiatru.

– Nie! – wykrztusił Kyle.

Duch Wiatru! To z pewnością był on. Błogosławiony Przodek, według nauk jego plemienia. Chłopak pochylił się i otworzył usta gotowy coś wykrzyknąć. Ostrzeżenie? Błaganie?

– Kryć się! – zawołał Czepiec.

Magus uniósł ręce nad głowę, jakby chciał sięgnąć ku chmurom. Zaciśnął dłonie w pięści i opuścił gwałtownie ręce.

Na Ostrogę spadła kanonada błyskawic. Kamień trząsał się pod ich ciosami. Ludzie wrzeszczeli przeraźliwie głosami załamującymi się z przerażenia. Kyle padł na drżącą powierzchnię. Oślepiały go nieustanne błyskawice. Osłonił głowę ramionami. Z jego ust wyrwał się nieartykułowany krzyk. Kiedy to się skończy?

Burza minęła. Kyle słyszał jeszcze huk gromów dobiegający z odległych o wiele mil równin. Uniósł się i zamrugał. Czuł się, jakby zbito go drewnianymi pałkami. Wszyscy Gwardziści podnosili się z wysiłkiem, jęczeli i chwiali się na nogach. O dziwo, Szara Grzywa wciąż stał. Chłopak zadał sobie pytanie, czy cokolwiek mogłoby zwalić rene-gata z nóg. Jednakże nawet on krzywił się z bólu i pochylał głowę, by osłonić oczy. Dymek leżał nieruchomo u jego stóp. Przechył trzymał w objęciach jego głowę, przyglądając się z uwagą oczom.

Magus nie ruszył się z miejsca. Krzyżował teraz ręce na piersiach.

Kyle podczołgał się do Przechyła.

– Nic mu się nie stało?

Sabotażysta trzepnął maga w policzek.

– Chyba nic. To twarda sztuka.

Chłopak się rozejrzał. Czepiec zniknął razem z dwojgiem swoich ludzi.

– Gdzie są welony?

– Wzięli się do roboty.

– Jak to do roboty? – zapytał Kyle, prostując się nagle.

Stary sabotażysta wskazał głową magusa.

– Nie!

Kyle wstał.

- Chłopcze? - Przechył przyjrzał mu się z uwagą. - O co chodzi, chłopcze?

- Nie mogą tego zrobić! Nie mogą...

Przechył złapał go za ramię.

- Ten bies jest groźbą dla wszystkich. Mieliśmy swój udział w jego przywołaniu, więc...

- Nie! Nie groził nikomu.

- Przykro mi, ale nie tak się to robi - odparł Przechył, kręcąc głową. - Nie możemy podejmować podobnego ryzyka.

Kyle wyrwał mu się i wyszedł chwiejnym krokiem na dziedziniec.

- Chłopcze!

Zerwał się do biegu, choć krzywił się z bólu przy każdym kroku. Był przekonany, że zaraz uderzy piorun, zmieniając go w zwęglonego trupa. Nic się jednak nie stało. Nie rozbłysła błyskawica, nie oberwał bełtem z kuszy - obawiał się również, że Gwardia natychmiast ukarze go za niewykonanie rozkazu. Słyszał krzyki zagłuszane przez wycie wiatru. Magus nadal stał nieruchomo, jak zdobiące dziedziniec kamienne posągi. Przechylił głowę o potężnych łukach brwiowych, jakby nasłuchiwał jakiegoś odległego przekazu.

Kyle przeskakiwał przez ławki, przebiegał po mozaikach z białych i różowych kostek. W pewnej chwili wyciągnął miecz. Zapewne nie było to najrozsądniejsze pociągnięcie, gdy biegł w stronę magusa, czy może nawet Ascendentu, ale musiałby się zatrzymać, by schować broń, a nie potrafił się zdobyć na to, by ją wyrzucić. Gdzieś w pobliżu czaił się Czepiec z dwójką swych welonów.

- Prastary! - zawołał. - Uważaj!

Istota rozprostowała ręce. Krzywy grymas na jej twarzy przerodził się w szeroki uśmiech. Za jej plecami znikąd pojawił się Czepiec. Kyle potknął się o coś i runął na kamień, ślizgając się naprzód. Czepiec zamachnął się obiema rękami i uderzył.

Chłopak wrzasnął z gniewu i frustracji. Świat rozpadł się na odłamki białego światła. Rozległ się wybuch. Kyle nie przestawał spadać. Huk odbijał się kolejnymi echemi, przechodząc w przerażający śmiech, wstrząsający wszystkim. Śmiech nie milkł, a chłopak leciał na łeb na szyję, przerażony, że to się nigdy nie skończy albo że za chwilę roztrzaska się o skały.

Przez ten ryk przebił się głos kobiety, mówiącej w ojczystym języku Gwardii:

– Co to było, na uśmiech Cienia?

– Nie jestem pewien – odpowiedział mężczyzna.

– Trafieś?

– O dziwo, tak. Był materialny. Ale pod koniec wrażenie zrobiło się jakieś dziwne. Tak czy inaczej, jestem pewien, że pozbyliśmy się go na dobre.

– A co z tym tutaj? – zapytała kobieta. Tym razem jej głos był bliżej.

– Żyje. Wygląda na to, że miecz pochłoniął większą część podmuchu.

Chłodna, wilgotna dłoń ujęła Kyle'a za podbródek i poruszyła jego głowę w przód i w tył.

– Słyszysz mnie? – zapytała kobieta.

Nie był w stanie jej odpowiedzieć. Miał wrażenie, że całkowicie utracił kontakt z ciałem. Ciemność skupiła się powoli wokół niego. Miękką, puszystą ciemność, tłumiącą wszelką świadomość. Kobieta znowu coś powiedziała, ale jej głos był jedynie szeptem. Potem zapadła cisza.

* * *

Obudził go ból. Straszliwy ogień trawiący prawą dłoń. Uniósł ją ospale do oczu i zobaczył, że jest owinięta szmatami. Zmarszczył brwi, próbując coś sobie przypomnieć.

– Wróciłeś do nas, hej? – usłyszał znajomy ochryply głos.

Kyle podźwignął z wysiłkiem głowę. Syknął, czując ból pulsujący pod czaszką. Przechył siedział obok niego. Znajdowali się w jednym z pokojów wykutych w czarnym bazalcie. Pod ścianą za sabotażystą spoczywał jakiś Gwardzista. Twarz miał owiniętą szmatami, było widać tylko jedno brązowe oko, przyglądające się mu niczym odległe światło przewodnie zapalone nocą na równinach.

Kyle odwrócił wzrok. Przełknął ślinę, by złagodzić suchość w gardle.

– Co... co się stało?

Przechył wzruszył ramionami. Wyciągnął z woreczka u pasa glinianą fajkę.

– Czepiec pchnął nożem magusa, Ascendent, czy kim on tam, na Kult Tragedii, właściwie był. Rozbłysły błyskawice, jakby nadszedł koniec świata, jaki zapowiadają niektóre religie. Kiedy się uspokoiły, na miejscu została tylko trójka welonów. Skurwysyn zniknął bez śladu. Zamienił się w popiół. Masz cholerne szczęście, że żyjesz. Ale twoja łapa wygląda jak pieczona kuropatwa.

Kyle znowu przyjrzał się zabandażowanej ręce. Zniknął? Zginął?

– Jak to możliwe?

Przechył wepchnął kciukiem rdzawy liść do fajki.

– Och, nie znasz Czepca tak dobrze, jak ja. Jeśli coś żyje, on potrafi to zabić. – Przechył pochylił się. – Powiedziałem im, że chciałeś sam go załatwić. No wiesz, okryć się chwałą i zdobyć dla siebie imię. Na przykład Cholerny Dureń z Przypaloną Łapą. Coś w tym stylu. Kapujesz?

Kyle parsknął śmiechem, lecz zaraz złapał się z jękiem za bolącą głowę.

– Ehe, kapuję. I co teraz?

Przechył wsunął ustnik między zęby.

- Teraz musimy poczekać. Wiatr już się uspokaja. Wkrótce będziemy mogli bezpiecznie opuścić kosz. Kontrakt jest wykonany.

- I udało wam się?

Przechył zmarszczył krzaczaste brwi.

- Co miało nam się udać?

- Ukraść chwałę.

Stary sabotażysta wyjął z westchnieniem fajkę z ust i schował ją z powrotem do woreczka.

- Posłuchaj, chłopcze, niech ci się nie...

- Wiedzieliście, że ktoś, czy może coś, tu będzie, tak? Od samego początku. - Wsparł się na łokciu i spróbował się podnieść na kolano. Przechył ujął go pod ramię i postawił na nogi. Chłopak oparł się o ścianę i jej chłód przywrócił mu siły. Dotknął lewą dłonią czoła, chcąc powstrzymać zawroty głowy. - Dlatego właśnie tu przyszedliście, prawda? Dlatego przyjęliście ten kontrakt, mimo że to nie jest typowe zadanie dla Gwardii?

Przechył przystanął obok Kyle'a, gotów go podtrzymać, gdyby chłopak zemdlał.

- Nie musisz się tak ekscytować. Pewnie, że podejrzewaliśmy, że będzie tu coś godnego naszej uwagi. W przeciwnym razie po prostu pomaszeralibyśmy przed siebie. Przykro mi, że ślubował Wiatrowi, tak samo jak ty.

Kyle znowu parsknął śmiechem. Ślubował!

- To pech, nic więcej. Żołnierze muszą się przyzwyczaić do takich rzeczy. Połowa ludzi, których zabiłem, przysięgała Toggowi, tak samo jak ja. To nic nie znaczy, chłopcze.

Kyle potrząsnął głową.

- Nic nie rozumiesz.

Jak ktoś, kto nie pochodził z jego ludu, mógłby pojąć, że ta istota z pewnością była samym Duchem Wiatru? A oni go zabili. Jak Cze-

piec, zwykły śmiertelnik, mógł uśmiercić ducha? To z pewnością było niemożliwe.

- No cóż, może rzeczywiście tego nie rozumiemy. W końcu tylko przechodzimy przez ziemie Baelu. To prawda. Jest jednak coś, co my rozumiemy, a ty nie. - Przechył wskazał na zachód. - Gwardia toczy bój na śmierć i życie z wielką potęgą, chłopcze. Potęgą zdolną spustoszyć całą tę krainę tylko po to, by się do nas dobrać.

- Z Malazańczykami.

- Masz rację. Cieszę się, że słuchałeś, co do ciebie mówimy. No więc... potęga to potęga. Wiemy, że ten czarnoksiężnik, Shen, miał mało mocy, by wywołać taką burzę. Zakłócił pogodę na całym subkontynencie. Na waszych równinach zapanowała susza, bo ściągnął wszystkie deszcze tutaj, na wschodnie wybrzeże. Mieliśmy nadzieję, że to będzie coś, co moglibyśmy wykorzystać w wojnie z przekłętymi Malazańczykami, ale, jak sam widziałeś, to był tylko cholerny magus snów.

- Snów?

- Ehe. Czepiec mówi, że całą tę burzę wezwały i podtrzymywały tylko sny magusa. Wyobrażasz to sobie, hej?

Kyle omal nie rzucił się na sabotażystę.

Wy durnie! Zabiliście boga naszego ludu!

Czaszkę rozsadał mu jednak osłepiający ból. Zawzięcie potarł czoło zdrową ręką.

- Dobrze się czujesz, chłopcze?

Skinął energicznie głową.

- Przydałoby mi się trochę świeżego powietrza.

Przechył ujął go za ramię i wyprowadził do korytarza. Na zewnątrz, za kolumnadą, gwardziści siedzieli na ławkach i donicach ogrodowych, rozmawiając, odpoczywając, smarując broń i zbroje. Sabotażysta posadził chłopaka na szczycie szerokich schodów opadających na położone niżej patio, które przerodziło się teraz w cuchnącą

sadzawkę, pełną gnijących liści i gałęzi. Szczyt Ostrogi nadal krył się w chmurach. Kyle przypuszczał, że nie zmieni się to jeszcze przez pewien czas, burza już jednak minęła. Pioruny nie uderzały o wierzchołek ani nie niosły się echem na równinach na dole. Wysoko w górze rozjarzały się jeszcze bezgłośnie błyskawice.

To nie mogło się stać. Jak coś takiego mogło być możliwe? Kyle doszedł do wniosku, że nic już go w życiu nie poruszy. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że coś się wydarzyło. Przyjrzał się swej zabandażowanej dłoni. Nie czuł w niej nic poza tęnym, nieustającym bólem. Na pewno posmarowali mu ją maścią. Zauważył też, że jakaś życzliwa dusza schowała jego tulwar do pochwy. Wyciągnął broń lewą ręką. Skóra uchwytu przypominała w dotyku suchą korę. Kyle strzepnął spaloną powłokę, odsłaniając osmalony trzpień. Klinga była jednak czysta i nienaruszona. Tańczyły wzdłuż niej spirale i łuki Wiatru. Kyle odwrócił zakrzywiony oręż i poderwał się nagle. Nie przypominał sobie, by Dymek wyrzył znaki po obu stronach.

Dotknął zimną klingą czoła i odmówił modlitwę do Wiatru. Będzie musiał zrobić nowy uchwyt. Nada broni nazwę *Tcharka*, Dar Wiatru. Nigdy nie zapomni, co się dziś wydarzyło.

– Odpocznij chwilę – poradził mu Przechył. – Mamy jeszcze czas.

Kyle pozwolił, by głowa opadła mu na kamienny mur. Spoglądając spod przymkniętych powiek, zauważył Skradacza. Zwiadowca przykucnął obok dwóch Gwardzistów, których chłopak nie znał. Jeden z nich był wyjątkowo kudłaty i naznaczyły go straszliwe blizny, drugi zaś był mężczyzną w starszym wieku, o brodzie splecionej w drobne warkoczyki. Obaj mieli smagłą skórę i potężną budowę godną niedźwiedzi. Przypominali Kyle'owi ludzi z Gór Kamiennych, położonych daleko na zachód od jego ojczyzny. Przechył skierował na chłopaka spojrzenie lśniących, brązowych oczu, szepcząc coś do towarzyszy. Wyczerpany Kyle zasnął w podmuchach słabnącego wiatru.

Tuż przed świtem Kyle doczekał się wreszcie swej kolejki, by zjechać na dół. Wsiadł z czterema towarzyszami do skleconego z wikliny, sznurów i drewna kosza kołyszącego się nad przepaścią. Żelazne ramiona wciągarki obracało ośmiu Gwardzistów. Porywisty wiatr targał włosami trzymającego hełm pod pachą chłopaka.

- A jak oni zejda na dół? - zapytał towarzyszącego mu w koszu mężczyzny, gdy Gwardziści wykonali pierwszy obrót.

Mężczyzna zerknął leniwie na trudzących się przy wciągarcie ludzi. Na jego ustach pojawił się blady, okrutny uśmiešek.

- Skurwysyny mają pecha. Lepiej oni niż my. Będą musieli zejść po linach.

Gdy kosz zbliżył się do nagiego urwiska, wiatr wzmógł się nagle. Kołysał wiał konstrukcją i szarpał karmazynową opończą Kyle'a. Gwardzista powiedział „my”. Chłopak uświadomił sobie, że stał się teraz jednym z nich, choć nigdy nie będzie należał do nich w pełni. Był członkiem bractwa, ale to bractwo zabiło kogoś, kto był dla niego czymś w rodzaju boga. Jednego z przodków, przewodników albo obrońców jego ludu, być może nawet awatar wielkiego Ojca Wiatru. Wiedział, że od tej chwili łatwiej mu będzie robić użytek z broni, którą miał u boku. Patrząc obojętnym wzrokiem na śmierć i zabijanie. Robić to, co konieczne. Przyjrzał się ludziom towarzyszącym mu w krótkiej podróży, która mogła się dla nich zakończyć śmiercią. Dwaj spoglądali na chmury, być może wypatrując oznak zmiany pogody. Trzeci kierował wzrok w dół - zapewne zastanawiał się, gdzie wylądują. Ostatni gapił się przed siebie, w pustkę. Ich otoczone drobnymi zmarszczkami oczy były całkowicie pozbawione wyrazu. To byli ci, których nic już nie mogło dotknąć. Kyle'a coś do nich ciągnęło. Miał wrażenie, że zamieszkał wraz z nimi w martwym świecie. Obserwował ich spocone, ogorzałe, naznaczone bliznami twarze i czuł, że jego oblicze również upodabnia się do tej maski. Mógł teraz patrzeć na każdego, żywego lub umarłego, i nic nie widzieć.

Rozdział II

Od pokoleń biegunami quontaliańskiego kontynentu były prowincja untańska na wschodzie oraz prowincja Quon Tali (od której pochodzi nazwa ładu) na zachodzie. Na zmianę przejmowały one dominację nad szlakami kupieckimi, starając się zmiażdżyć odległego rywala, podczas gdy pomniejsze państwa – Itko Kan, Cawn, Gris i Dal Hon – płały w tańcu niezliczonych sojuszy, unii handlowych i trojek tworzonych przeciwko jednemu z owych biegunów. Któż mógłby przewidzieć, że obie wielkie stolicy szybko padną ofiarą najeźdźcy, podczas gdy biedniejsze prowincje będą stawiać opór przez wiele lat?

Kronikarz Denoshen

Pustelnie południowego Kan

Było południe i tłum przepychający się w palących promieniach słońca ulicą Opalową w Uncie gęstniał z każdą chwilą, tworząc nieruchomą, zgiełkliwą masę. Ulica wychodziła na plac Sięgacza. Dobiegający stamtąd zwierzęcy ryk dziesiątek tysięcy gapiów uderzał w próbujących dołączyć do nich ludzi. Wychodzące na ulicę balkony na pierwszym piętrze ugiwały się pod ciężarem nierozsądnie licznych płacących gości.

Sfrustrowani obywatele uwięzieni na ulicy nie mogli już posuwać się dalej, ale Opos bez trudu poruszał się pośród tłumu, przeskakując od jednej luki do drugiej. Tu posługiwał się muśnięciem, ówdzie celnym uderzeniem łokcia. Tych, którzy wykonywali jego zawód, uczono wykorzystywania tłumów. Między innymi dlatego tak bardzo je lubił. Był przekonany, że gęsta ciżba zapewnia mu anonimowość, a do tego miał niską opinię o naturze ludzkiej i sądził, że w tak licznej rzeszy nikt niczego nie zorganizuje.

Wyszedł na zaśmieconą, wykładaną cegłami nawierzchnię placu Sięgacza i ujrzał przed sobą falujący tłum obywateli imperium. Dzisiaj był dzień egzekucji. Cesarzowa pozbywała się wrogów w tak okrutny sposób i na oczach tak wielu świadków, jak to tylko możliwe. Miało się to stać zbawiennym ostrzeżeniem dla wszystkich, którzy rozważali popełnienie podobnych zbrodni, i, rzecz jasna, również dostarczyć rozrywki masom wiernych poddanych. Opos posuwał się naprzód brzegiem olbrzymiego placu, tuż pod otaczającym go murem. Według jego oceny zebrało się tu około pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Wszyscy skupili uwagę na centralnym podwyższeniu, gdzie wielu pomniejszych przestępców spotkała już dekapitacja, wyprucie trzewi bądź wbicie na pal.

W tym miesiącu tłum był ponadprzeciętnie liczny. Opos nie wątpił, że nadliczbowych gapiów przyciągnął tu najatrakcyjniejszy więzień, czekający dziś na krwawy i okrutny kres: Janul z prowincji Gris, mag i w swoim czasie również wielka pięść, który podczas niedawnych zaburzeń ogłosił się tyranem Delanssu. Stłumienie buntu wymagało wielkiego nakładu środków. Z tego powodu Janul zasłużył sobie na gniew cesarzowej oraz publiczną kaźń. Niewykluczone jednak, że wszyscy ci tłoczący się na placu obywatele – Opos przyznawał, że on również – zadawali sobie pytanie, czy za tą egzekucją nie kryje się również inny powód. Janul był ongiś członkiem doborowej kadry cesarza. Jednym ze Starej Gwardii.

Przemykający za plecami zebranych Opos usłyszał nagle czyjś głos. Samo w sobie nie było to niczym niezwykłym. Grota Mockra zmieniła jego wygląd tylko w minimalnym stopniu. Zadowolił się przebraniem za zwykłego robotnika. W gęstej ciżbie ludzie plotkowali, oferowali na sprzedaż rozmaite towary i zakładali się o los skazańców. Ten głos dobiegał jednak ze Ścieżek Kaptura. Opos wyprostował się i rozejrzał. Nikt nie poświęcał mu zbytnej uwagi.

– *Na górze* – słyszał zniecierpliwiony głos. – *Na górze.*

Opos uniósł wzrok. Gładki mur zbudowano z ciasno ułożonych kamiennych bloków, upstrzonych plamami pleśni i porostów. Na samym szczycie, prawie cztery wzrosty mężczyzny nad ziemią, ciągnął się szereg kul, parodia blanków godna jednego z błaznów Oponn. Ludzkie głowy nadziane na szpikulce.

Mężczyzna odwrócił się i rozejrzał wokół. Czy to możliwe?

– *Tak. Na górze.*

Opos oparł się o mur, kierując twarz ku plecóm tłumu.

– Słyszysz mnie? – wyszeptał.

– *Mam uszy.*

– I niewiele więcej.

Skrytobójca poczuł napływającą z drugiej strony Ścieżek Kaptura irytację.

– *Świetnie. Załatwmy wszystkie jak najszybciej.*

– O czym ty gadasz?

– *O dowcipach o głowach. Czuję, że masz ochotę jakiś powiedzieć. Na przykład: „głowa do góry”, tak?*

Opos parsknął śmiechem. Kilka osób popatrzyło w jego stronę. Zakasłał, zebrał flegmę w ustach i splunął.

– Kapturze, broń! To byłby zupełny brak wrażliwości.

– *Gadaj zdrów. Nie tkwię tu od wczoraj.*

– Dlaczego właściwie rozmawiamy? Masz na górze kiepskie towarzystwo? Wrony zjadły im języki?

– *Mam dla ciebie wiadomość.*

Opos zeszytniał raptownie, choć zawsze świetnie nad sobą pannał. Tego typu wiadomość mogła pochodzić tylko z jednego źródła.

– Słucham – wykrztusił jeszcze cichszym głosem.

– *Wracają.*

– Kto wraca?

– *Ci, którzy oszukali śmierć. Rebelianci. Wszyscy zawłaszczacze i uzurpatorzy.*

– Kto?

– O, właśnie nadchodzi jedna z nich.

Opos odsunął się nagle od muru. Przykucnął, a w jego dłoniach znalazły się noże. Przyjrzał się plecom najbliższych ludzi. Kto? O kim mówił duch? Z tłumy wyłoniła się niska, atletycznie zbudowana kobieta o krótkich, rozczochranych włosach upstrzonych plamkami siwizny. Nosila ubiór służącej: prostą koszulę i wystrzępione, płóciennie spodnie. Stopy miała bosc i brudne.

To była jego zwierzchniczka, cesarzowa Laseen.

– Nie sądziłem, że tu przyjdiesz – powiedział Opos, prostując się.

Popatrzyła nań spod opadających powiek.

– Z kim przed chwilą rozmawiałaś?

– Z nikim. Mówiłem do siebie.

– Doprawdy? To bardzo nudne zajęcie.

Przed oczyma Oposa rozbłysły plamy gniewu. Wypuścił powietrze z płuc i rozprostował ramiona.

W swoim czasie. Wszystko w swoim czasie.

Laseen nadal przyglądała mu się leniwie. Opos jak zawsze odnosił wrażenie, że cesarzowa poddaje go osądowi. Jak daleko mogła się posunąć? Jak bardzo się jej bał?

Nagle parsknęła śmiechem.

– Biedny Urdren. Tak łatwo cię przejrzeć.

Zdumiony Opos wytrzeszczył oczy. Urdren? Skąd znała jego pierwsze imię? Zostawił je za sobą razem z trupem ojca.

Cesarzowa odwróciła się od niego.

– Ona tu jest. Nie wątpię w to. Miej oczy otwarte. Będę krążyła w tłumie.

Opos omal się nie pokłonił, zdążył się jednak powstrzymać na czas. Laseen zniknęła w ciżbie. Mężczyzna znowu oparł się o mur.

– Mówił, że nic jej nie powiesz.

– Kto ci to mówił?

Z drugiej strony dobiegło westchnienie.

– *Zastanów się.*

– O co chodziło z tym oszukiwaniem śmierci?

– *Skąd mam wiedzieć? Jestem tylko postać, chłopcze.*

– A co...

– *Oto on. Główna atrakcja.*

Przez tłum przebiegł niecierpliwy szmer, przegradzający się powoli w ogłuszający ryk. Opos stał na samym końcu i w ogóle nie widział podwyższenia.

– Masz stamtąd dobry widok?

– *To najlepsze miejsce na widowni.*

Przedstawienie właściwie nie obchodziło Oposa. Nie dla niego tu przybył. Przyglądał się tyłom głów gapiów, wypatrując jakiegoś ruchu albo rozbłysku magii grot.

– I co tam się dzieje? – zapytał.

– *Wyprowadzili Janula. Chyba go przedtem torturowali. Związali mu ręce za plecami, ubranie ma podarte. Może czymś go oszołomili. Tak robiliśmy w dawnych czasach, przed nadejściem cesarza. Ale z drugiej strony nie przypominam sobie, by kiedyś stracono tu talent. Jak właściwie to robią?*

– Pył otataralowy.

– *Aha. Rozumiem.*

– A co z tobą? Niewątpliwie jesteś talentem. Czy cię nie stracili?

– *My na tym murze jesteśmy wszystkim, co pozostało z ostatniej rady rządzącej Unty.*

Opos był pod wrażeniem. To wydarzyło się na długo przed jego narodzinami.

– *Gdy flota Kellanveda zdobyła port, uciekłem w głąb łądu z połową miejskiego skarbcza. Konie wpadły w panikę i cholerna karetka się przewróciła. Złamałem sobie kark.*

Thum zaryczał. Wszyscy krzyczeli jednocześnie, potrząsając uniesionymi pięściami.

– Co się dzieje?

– *Odczytują zarzuty. Ustawili piecyk koksowy. Ostrzą noże. Chyba ugotują Janulowi wnętrzości na jego oczach, utrzymując go przy życiu, jak długo się da. Nigdy nie widziałem, żeby to się udało.*

– Tym razem się uda.

– *A dlaczego?*

– Zajmie się nim uzdrowiciel władający Denul.

– *A co z otataralem?*

– Użyto go bardzo niewiele. Rzecz jasna, konflikt mocy otataralu i uzdrawiającej magii w końcu zabije Janula. O ile pożyje tak długo.

– *Rozumiem. Przytrzymują go, pochylają mu głowę, żeby musiał patrzeć. Zerwali z niego koszulę. Przecięli mu nisko brzuch, z boku na bok. Drugie cięcie, tym razem pionowe. Przysunęli piecyk bliżej. A teraz...*

Thum zaryczał głośno. Opos słyszał w tym głosie mieszkankę obrzydzenia, strachu, bojaźni i fascynacji. Thuszcza cisnęła się w stronę podwyższenia, potwierdzając opinię Oposa o ludzkiej naturze.

– *Rzucili jego trzewia na gorące węgle, a on nadal stoi! Nie mam pewności, czy ciągle jest przytomny. A co to? Wielki topór?*

– Teraz go poćwiartują, poczynając od dłoni, przyżegając kikuty.

– *Muszę przyznać, że Malazańczycy urządzają lepsze przedstawienia od nas. Już po ręce. Na pewno jest nieprzytomny, podtrzymują go pomocnicy kata. Ale nie, widzę, że porusza ustami. Idzie następna rebeliantka.*

Zaskoczony Opos odsunął się od muru i przykucnął, wodząc wzrokiem po plecach gapiów. Z tłumy wyłoniła się kolejna kobieta i spojrzała na niego. Nie przypominała drobnej, atletycznej cesarzowej. Była starsza, masywnie zbudowana i siwowłosa. Zaciskała mocno usta i marszczyła brwi w wyrazie dezaprobaty. To był jego dzisiejszy cel: siostra i współniczka Janula, Janelle.

- To ty - warknęła. - Piesek pokojowy. Miałam nadzieję spotkać panią.

- Lubię się uważać za pokojowego psa obronnego - odparł z uśmiechem Opos.

- Daruj sobie te kiepskie dowcipy. - Kobieta wyprostowała się, zaplatając ręce na piersi. - Wiem, czego chcesz, i nie dam ci tego.

Opos wysunął nogę naprzód, przyglądając się z uwagą kobiecie. Była niebezpiecznym magiem, adeptką groty D'riss. Dwoje bliźniaków wykonało razem wiele ryzykownych misji dla Kellanveda. Nie wykrywał jednak aktywnej magii. Co tu było grane?

Wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Pośpiesz się, do cholery - wyszczała. - Bo stracę odwagę.

Opos rzucił się na kobietę, objął ją i wbił jej w brzuch długi sztylet, unosząc ostrze ku górze. Uczepiła się go mocno ze zdziwionym wyrazem twarzy, jaki zawsze pojawia się w chwili, gdy zimna stal wnika w serce.

- Przynajmniej potrafisz pchnąć prosto - wyszeptała mu ochryple do ucha.

Stojący w pobliżu ludzie zwracali się ku nim.

- To przezupał - wyjaśnił Opos. - Biedna kobieta. - Ludzie odwrócili spojrzenia. Przynajął twarz do jej ucha. - Dlaczego?

Twarz Janelle przybrała rzewny wyraz.

- To on, będą mówili - wyszeptała. - Załatwił Janelle, będą mówili... ale ty będziesz wiedział. Będziesz wiedział to, co zawsze wiedziałeś. - Z jej ust wyrwało się drżące, wilgotne westchnienie. - Że jesteś tylko... oszustem.

Opos położył kobietę na ziemi i uklękł nad nią.

Przeklęta suka! To nie tak miało być!

Odsunął się od ciała i wmieszał w tłum gapiów, posuwając się ku wylotowi Opalowej. Rozluźnił mięśnie, pozwalając, by poniosła go fala opuszczających plac ludzi. Za jego plecami mięso, jeszcze do nie-

dawna będące Janulem, rąbano na kawałki, które następnie rzucano do ognia, by spłonęło na popiół. Później wrzucił się go do Zatoki Untańskiej.

Opos stał się jednym z tłumu. Przepychał się wśród ciżby, zwieszając nisko głowę. Cały czas jednak zastanawiał się nad żelaznym opanowaniem, jakiego wymagało obrócenie śmierci w zwycięstwo w chwili, gdy nie zostało już nic. Czy potrafi zrobić to samo, kiedy nadejdzie jego czas? Odmówić swemu zabójcy wszystkiego, nawet profesjonalnej satysfakcji? Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Głupiec mógłby zlekceważyć jej uczynek jako akt rozpacz, Opos jednak rozumiał, że to był policzek. Czyżby różnica między nimi była tak mała, że zależała wyłącznie od punktu widzenia?

Poznał bose, brudne, stwardniałe stopy, które nagle pojawiły się obok. Wyprostował się wyrwany z zadumy.

Laseen również milczała. Dłonie splotła za plecami. Opos przypuszczał, że ona także myśli o zabitej kobiecie. Zabitej towarzysze, poprawił się. Skoro już o tym mowa, jak długo znało się tych troje? Doszedł do wniosku, że powinien o tym pamiętać.

Rozejrzał się i zauważył, że podążają za nimi strażnicy osobiści.

Strażnicy wyznaczeni przeze mnie po tym, jak klęska Perły w Malazie pochłonęła tak wielu.

Po chwili Laseen skinęła głową, jakby zakończyła wewnętrzny dialog. Odchrząknęła.

– Chcę, żebyś osobiście zajął się kilkoma sprawami, które ostatnio mnie niepokoją. Chodzi o lokalne zaburzenia. Pogłoski o zwiększonych aspiracjach prowincji.

– I zniknięcia w Cesarskiej Grocie...?

W szeregach Szponu rozmawiano o tym bardzo często.

– Nie. Nie wysłę już więcej ludzi w tę otchłań.

– Jestem przekonany, że coś w niej straszy. Prawdę mówiąc, nie wiemy o niej prawie nic.

– Zawsze była niepewna. Najbardziej niepokoją mnie te pogłoski z prowincji. Czy za tymi wszystkimi kłopotami ktoś stoi? Kto? Skieruj do tej sprawy tylu ludzi, ilu będzie trzeba. Muszę się dowiedzieć, kto jest odpowiedzialny.

Opos pochylił lekko głowę. A więc doszło do wewnętrznych zaburzeń. W szeregach urzędników imperium narastała korupcja, być może nawet pojawiły się wendety. Tu głosy ośmielonych nacjonalistów, ówdzie zakrojone na dużą skalę ataki koczowników. Dawne konflikty między plemionami ożywały na nowo. A Cesarska Grota stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Czy to wszystko się ze sobą łączyło? Kto był tym połączeniem? Laseen jest zaniepokojona. Zadaje pytania. Czy to mogą być oni? Po tak długim czasie? Dlatego, że została sama?

A może, pomyślał Opos, uśmiechając się szyderczo w duchu, po prostu dlatego, że się nudzą?

Laseen zwolniła nagle i przystanęła. On również się zatrzymał. Spojrzała na niego.

– No wiesz, byliśmy kiedyś przyjaciółkami – odezwała się. – Myślałam, że się rozumiemy...

Odrzuciła wzrok. W kąciach jej oczu pojawiły się zmarszczki.

Dlaczego więc to zrobiła? Dlaczego cię zdradziła? Czy nad tym się zastanawiasz? A może nad tym, czy wiedzieli o czymś, o czym ty nie wiesz?

Laseen zacisnęła zęby.

– A więc ją załatwiłeś. Znakomicie. Nie sądziłam...

– Że potrafię to zrobić?

Zamrugła.

– Że zginie tak łatwo.

Opos wzruszył ramionami.

– Zaskoczyłem ją.

Spojrzała na niego z ukosa. Opos udał, że tego nie zauważył. Niech sobie myśli, co chce. Czyż nie była kiedyś prawą ręką tamtego? A czy

teraz on nie zajmował tej pozycji u jej boku? Niech się zastanawia.

Cesarzowa ruszyła bez słowa naprzód. Opos podążył za nią.

* * *

Czaszka nadziana na szpikulec na szczycie muru otaczającego plac Sięgacza roześmiała się, ale nikt tego nie słyszał.

* * *

Ereko i Wędrowiec zostawili góry za sobą i dotarli do ciągnącego się niezliczonymi milami, wiecznie zielonego lasu leżącego na południu. Tam właśnie napotkali pierwszych bandytów. Ereko nie zdziwił się, gdy wdali się w rozmowę z Wędrowcem, bo choć byli zbójcami i mordercami, byli też ludźmi i pragnęli towarzystwa oraz wieści z szerokiego świata, rzadko docierających do ich górskich kryjówek.

Byli odziani w butwiejące futra i resztki nogawic oraz koszul z utwardzanej nad ogniem skóry. Mieli też bezładnie dobrane fragmenty zrabowanych zbroi oraz uzbrojenia. Ereko odnosił wrażenie, że na tej odludnej przełęczy trudno o łupy. Dla jego wrażliwego nosa śmierdzieli gorzej od zwierząt. Wędrowiec przykucnął przy ich ognisku, by wymienić wieści.

Ereko trzymał się na uboczu, stojąc z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Wędrowiec powiedział mu, że w tej pozie wygląda szczególnie imponująco. Olbrzym widział, że zbójcy przyglądają mu się z uwagą. Miał nadzieję, że robi na nich wrażenie jego wzrost. Był co najmniej dwukrotnie wyższy od krępych, niedożywionych bandytów. Wędrował już jednak wśród ludzi od bardzo dawna i znał ich sposób myślenia. Ich wymieniane z ukosa spojrzenia wyrażały myśl, że każdy, nawet zdumiewająco wielki przedstawiciel nieznaney rasy, padnie trupem, jeśli zrobić w nim wystarczająco wiele dziur.

– To późna pora dla wędrowców schodzących z Juorilanu – zauważył herszt o twarzy czarnej od brudu i tłuszczu. Jego natłuszczoną brodę upstrzyły nitki siwizny. Długie czarne włosy miał zaczesane do góry i u szczytu głowy związane rzemieniem. – Czy Rada nadal włada Jasstonem i odmawia wszystkim dostępu do Zatoki Damos?

– Tak – potwierdził Wędrowiec.

– A kim jest ten twój towarzysz? – zapytał herszt, wskazując Ereka naostrzonym nożem, który obracał w rękach. – Widziałem już Thelomenów. Nawet Toblakai. On nie jest jednym z nich. Jest stanowczo za wysoki. Kim w takim razie jest?

Wędrowiec obejrzał się. Ereko nie dostrzegł w ciemnoniebieskich oczach towarzysza wesołości, choć ostatnio często się skarżył na ludzką ignorancję i uprzedzenia.

– Zapytaj go – odparł Wędrowiec. – On umie mówić.

– Tak? – Herszt zbójców uniósł głowę, spoglądając na olbrzyma. – Jak się nazywa twój lud?

Choć Wędrowiec był odwrócony do niego plecami, Ereko zauważył, że wzdrygnął się pod licznymi warstwami koszul, zbroi i futer, usłyszawszy te słowa. Olbrzym podziękował mu w duchu za ten gest empatii.

– Jesteśmy kuzynami. Ci, których wymieniłeś, i ja. Można powiedzieć, że jesteśmy kuzynami.

Herszt chrząknął z zadowoleniem i odkroił sobie pas mięsa z dziczego udźca piekącego się nad węgielkami.

– A co z Malazańczykami? Kupcy mówili, że przez całe lato siedzieli cicho jak kamienie.

– To prawda. Kobylanie i Korelrijczycy uwięzili ich w Pięści i tam sobie gniją.

Herszt klepnął się z radością w udo.

– Świetnie!

Ereko cały czas obserwował las. Czy herszt grał na zwłokę, by jego hołota mogła zamknąć pierścień wokół nich? Między mizernymi świerkami i niskimi sosnami rzadko porastającymi niemal nagą skałą nikt się jednak nie poruszał. Herszt wyszedł im na spotkanie w towarzystwie sześciu mężczyzn. Dwóch z nich wyglądało na jego synów. Ereko widział, że mają ochotę zabić obu przybyszy. Spojrzenie herszta bardzo często wędrowało ku smukłemu mieczowi wiszącemu na plecach Wędrowca. Spokojne zachowanie właściciela oręża hamowało jednak zbójców, na spółkę ze wzrostem Ereka i jeszcze większą długością jego włóczni.

– Mówię, że to świetnie, bo wszyscy tu jesteśmy czystej krwi potomkami Karmazynowej Gwardii. Wiedziałeś o tym, przyjacielu?

Wędrowiec pokiwał głową.

– Tak jest – ciągnął herszt coraz donośniejszym głosem. Wskazał otaczający ich las. – Malazańczycy boją się tu przychodzić, bo tych lasów strzegą kości Gwardzistów. Ja jestem potomkiem Hapa Starszego, sierżanta służącego pod rozkazami porucznika Młoteczka. W tych północnych lasach spoczywają szczątki wielu Gwardzistów. No wiesz, mamy też taką starożytną legendę. Proroctwo. Zapowiedź, że jeśli Malazańczycy kiedyś tu wrócą, Gwardziści powstaną z grobów, żeby ich zmiażdżyć. Dlatego właśnie nigdy nie przybywają do naszej krainy. Boją się. Raz już ich pokonaliśmy.

– To prawda – zgodził się Wędrowiec. – Raz ich pokonaliście.

– A ty, przyjacielu? Wśród Malazańczyków jest wielu czarnoskórych ludzi. Wśród Korelrijczyków też można ich spotkać. Ale ty nie jesteś Korelrijczykiem. Dobrze mówisz po taliańsku.

Wędrowiec wzruszył ramionami ukrytymi pod kosmatym niedźwiedzim futrem.

– Ja urodziłem się w Jakata. Mój towarzysz, jak widzisz, pochodzi z bardziej odległych stron. Zmierzamy na południe, w poszukiwaniu miejsca, gdzie można by wybudować statek. Mój towarzysz chce popłynąć do Północnej Cytadeli i dalej na wschód, omijając Przylądek.

Herszt uśmiechnął się, jakby spodziewał się podobnej odpowiedzi.

– Potrzeba sporo złota, by wybudować statek albo zapłacić za przewóz. Kupcy wędrujący co rok przez tę przełęcz wiozą ze sobą wiele bogactw potrzebnych właśnie w tym celu.

Wędrowiec roześmiał się swobodnie, nie zważając na złowrogą groźbę.

– Ci ludzie to majętni kupcy. Mogą sobie pozwolić na wynajęcie wielu strażników, czyż nie tak? Nam nie towarzyszą strażnicy, ponieważ nie mamy bogactw wymagających ochrony. Zbuduję statek własnymi rękami. Mój przyjaciel zamierza zapłacić pracą za podróż na wschód. Jest bardzo użyteczny na morzu.

Herszt roześmiał się razem z Wędrowcem, wpychając do ust kolejne kęsy tłustego dziczego mięsa.

– Oczywiście, oczywiście. Udajcie się na wybrzeże, jeśli chcecie. Ciekawe, czy wam się tam spodoba.

Znowu się roześmiał.

Wędrowiec podał mu bukłak nad ogniskiem. Ereko skrzywił się, widząc, że to jedno z ich trzech naczyń z jourilańską brandy. Bandyta przełknął trunek bez słowa komentarza i rzucił pusty pojemnik za plecy. Olbrzym jęknął w duchu. Czyżby Wędrowiec chciał, by herszt myślał, że się boją i próbują go przekupić?

– Korelrijczycy ponoć opowiadają, że Malazańczycy zawarli niegodziwy pakt z Lodowymi Demonami. Co sądzisz na ten temat?

Wędrowiec odpowiedział, że nie widział ani nie słyszał nic, co mogłoby potwierdzić takie pogłoski. Obaj mężczyźni wymienili jeszcze trochę wieści dotyczących Rady Wybranych, możliwości, że nadchodząca zima okaże się surowa, i tak dalej. Jak zwykle, gdy mówiono o płytkich, szybko się zmieniających sprawach, takich jak ludzka polityka, Ereko zaraz się znudził. Sześciu bandytów odzianych w skóry, wysadzane ćwiekami brygantyny, zardzewiałe żelazne hełmy oraz kolcze koszule nie spuszczało wzroku z dwóch przybyszów. Gdy

przenosili spojrzenia między Wędrowcem a olbrzymem w ich oczach błyszczały chciwość, zdumienie, fascynacja oraz tępy gniew.

Posiłek się przeciągał. Dawno już minęło południe, a Wędrowiec nadal nie zamierzał się pożegnać. Erekto zdumiewał się tą niezwykłą dla jego towarzysza cierpliwością. Na ogół to Wędrowiec pragnął jak najszybciej ruszyć dalej, irytowały go wszelkie przeszkody na ich drodze. Z pewnością dostrzegał, że herszt próbuje zyskać na czasie. Być może wysłał kogoś po resztę swych ludzi i teraz czekał na ich przybycie.

Rozmowa przeszła na temat frapujący wszystkich mieszkańców położonego na północy kontynentu: stan Sztormowego Muru, siłę oddziałów Wybranych oraz pytanie, czy Korelrijczycy zdołają zimą odeprzeć kolejny atak Jeźdźców. W ostatnich latach spekulacje stawały się coraz bardziej nerwowe, ponieważ Malazańczycy odciągnęli z Korelu znaczną część sił.

Erekto obserwował z uwagą herszta, wypatrując jakiegoś znaku, świadczącego, że wiedział – że wiadomość dotarła do niego za pośrednictwem kupców wędrujących tędy przed nimi. Wieści o dwóch cudzoziemcach, których ogłoszono dezertarami z Muru. Na północy przeciwko zdrajcom skazanym przez Radę Wybranych podnosiły się wszystkie dłonie i miecze. Nie dostrzegał jednak w oczach mężczyzny podobnej wiedzy. Czaił się w nich zwierzęcy spryt, tak jest, ale nie towarzyszyły mu satysfakcja i poczucie triumfu płynące z posiadania ukrytej przewagi.

W końcu, po długim czasie, chaotyczna rozmowa dobiegła końca. Herszt wstał, stękając głośno i mamrocząc coś pod nosem. Jego ludzie również się podnieśli. Ich ręce powędrowały ku rękojeściom noży i toporków. Wszyscy spoglądali na swego wodza, czekając na wskazówki. Wędrowiec odsunął się tyłem od ognia.

– Serdecznie dziękuję za gościnność.

Herszt roześmiał się z przesadną wesołością.

- Tak, tak. Oczywiście, oczywiście. - Odesłał skinieniem dłoni swych ludzi. - Życzę szczęśliwej podróży. Na wybrzeże. Ha!

Ereko i Wędrowiec odsuwali się tyłem jeszcze przez pewien czas, po czym wrócili na ścieżkę i podążyli na południowy zachód. Szli bez słowa, wyteżając słuch. Dotarli do wąskiego strumienia, spływającego na zachód ze stromego, usianego głazami urwiska, i Wędrowiec skierował się w dół szemrzącego potoku.

- Chyba jest ich dwóch - odezwał się po chwili.

- Tak. To pewnie będą ci najmłodsi.

- Zaczekają do nocy.

- Tak. Jak myślisz, ilu?

- Na pewno więcej niż sześciu.

Przedzierali się przez gąszcz paproci, zwalonych pni i suchych gałęzi, przeskakując z kamienia na kamień.

- Dlaczego nie przerwałś tego wcześniej?

Wędrowiec wykrzywił ciemną twarz w bolesnym grymasie.

- Miałem nadzieję zademonstrować mu, że nie boimy się podróżować sami. Skłonić go do zastanowienia się nad implikacjami. - Potrząsnął głową. - Ale ten dureń nie wyglądał na skłonnego do refleksji.

- Być może wie.

Wędrowiec spojrział nagle na towarzysza.

- W takim przypadku nic ich nie powstrzyma przed zaatakowaniem nas nocą.

* * *

Rozbili obóz na ospisku głazów. Wędrowiec rozpałił małe ognisko, ale usiadł zwrócony do niego plecami. Ereko zajął miejsce po drugiej stronie. Czasami wpatrywał się w ciemność, a w innych chwilach spoglądał na przyjaciela. Wędrowiec trzymał na kolanach schowany w pochwie miecz. Czekał. Ereko po raz kolejny zastanowił się nad tym

mężczyzną, który potrafił okazać tak wiele dobroci oraz tego, co zwano ogólnie człowieczeństwem, a mimo to nie wahał się przed zaszlachtowaniem grupy marnie uzbrojonych i kiepsko wyszkolonych zbirów, wśród których byli również młodzi chłopcy. Żaden z nich nie miał szans w starciu z nim.

- Po prostu się nie zatrzymujemy - nalegał Erek. - Nie musimy tego robić.

- Nie mam zamiaru oglądać się za siebie przez całą drogę do Północnej Cytadeli. Każdy głupiec może czasem trafić z łuku.

Olbrzym przyjrzał się przyjacielowi ze zdziwioną miną. W jego przypadku z pewnością była to prawda. Choć starzał się bardzo powoli, nadal mógł go zabić zwykły fizyczny uraz. Co jednak z Wędrowcem? Czy nie zostawił już takich spraw za sobą? Najwyraźniej nie. Nadal był człowiekiem. Nadal żył i obawiał się niespodziewanej strzały w plecach. Bez względu na niezwykłą - czy w jego przypadku nadzwyczajnie cudowną - umiejętność władania mieczem, przypadkowy bełt albo strzała wciąż mogły położyć kres jego życiu.

Erek rozciągnął swą świadomość w otaczającej ich ziemi i wyczuł zbójców. Garstka ludzi zebrała się w dole strumienia. Być może wahali się jeszcze, ponieważ Wędrowiec nie chciał zasnąć. Czy będą czekali, aż obaj to zrobią? Modlił się, by tak nie postąpili. Zwłoka już przyprawiała go o cierpienie.

Obejrzał się na siedzącego po drugiej stronie ogniska Wędrowca i zauważył, że jego przyjaciel doszedł do tego samego wniosku. Owinął się niedźwiedzim futrem i udawał, że śpi. Olbrzym podążył za jego przykładem. Osunął się na skałę, o którą się opierał, i - choć nie czuł ciepła i zimna tak ostro, jak ludzie - podciągnął zszyte z wielu skór futro i opuścił głowę.

Czekali. Wysoko w górach zawył wilk. Erek zastanawiał się, czy to jeden ze stada kudłatych drapieżników, które podążały za nimi przez skute lodem pustkowiec na północ od gór. Odezwały się sowy, a potem

usłyszał jeszcze bardziej odległy łoskot schodzącej lawiny lub pól lodowych pękających gdzieś pośród górskich stoków.

Zza gęstych chmur wyłonił się bliski pełni księżyc. Ereko wyczuł, że zbójcy się zbliżają. Czekali, aż zrobi się jaśniej. Przeklął się za to, że o tym nie pomyślał.

* * *

Wędrowiec rzucił się na bok. Strzały i bełt z kuszy uderzyły z łoskotem w jego posłanie. Ereko zdążył się już przetoczyć w cienie i przykucnąć. Unosił włócznię tępym końcem do przodu, gdyż nie potrafił jeszcze zapomnieć o litości.

W zimnym nocnym powietrzu poniósł się zdumiony krzyk. Głos umilkł jednak niemal natychmiast i olbrzym zrozumiał, że to Wędrowiec wpadł między napastników. Nie mogło już być mowy o zaskoczeniu, wszędzie więc rozbrzmiały nawoływania.

– Gdzie on się podział?

– Pullen? Widzisz go?

Sandały szurały o kamienie. Gałęzie trzaskały pod stopami. W srebrnym blasku księżyca pojawił się zarys głowy. Ereko uderzył tępym końcem włóczni i usłyszał głuchy łoskot. Żelazo szczęknięło o kamień. Zadźwięczała kusza i nagły ból pozbawił go tchu w pierśiach. Olbrzym zakołysał się i runął na plecy. Leżąc, błogosławił skuteczność ludzkiej kolczugi, której nauczył się używać, i przeklinał również wynalezione przez ludzi łuki oraz kusze. Ta broń była prawdziwą plagą.

Ktoś stanął nad nim. Ereko ujrzał w blasku księżyca, że to jeden z młodzieńców. Wyciągnął rękę, zwałił go z nóg, a potem zamknął mu dłońią usta.

– Psst! – wyszeptał i znieruchomiał ukryty w cieniu.

Ktoś podszedł do dogasającego ogniska i zatrzymał się przy nim. W migotliwym świetle Ereko zobaczył, że to Wędrowiec. Świetnie się

prezentował w blasku czerwonego koloru wojny. W jednej ręce trzymał miecz o mokrej, błyszczącej klindze. Zrzucił futra, odsłaniając obcisłą, poczernianą kolczą koszulę. Podszedł do olbrzyma i dotknął sztychem miecza piersi chłopaka. Krew, czarna w mroku, spływała po ostrzu, gromadząc się na niewyprawionych skórkach. Młodzieniec wybałuszył oczy. Jego gorący oddech ogrzewał dłoń olbrzyma. Ereko czuł się, jakby trzymał drżącego, przed chwilą narodzonego źrebaka.

- Co z resztą? - zapytał.

- Jeden uciekł.

Wędrowiec cały czas patrzył na młodzieńca. Opuścił sztych miecza, przebijając futro.

- Nie. Nie pozwalam.

- Wróci. On i jego kumple pójdą za nami. Będą czekali na szansę zemsty.

- Nie. Nie mogę na to pozwolić. To tylko dziecko.

W oczach Wędrowca pojawił się błysk. Całun szahu bojowego zniknął, odsłaniając coś, co kryło się pod spodem. Ereko spuścił wzrok. Mężczyzna się odwrócił.

- Zabierz mi go z oczu.

- Uciekaj - wyszeptał olbrzym. - Nie zatrzymuj się nawet na chwilę.

Chłopak pognał przed siebie. Jego spazmatyczny oddech przechodził w łkanie.

Wędrowiec zwał się na niedźwiedzie futro. Ereko leżał nieruchomo, nie odzywając się ani słowem, jakby dźwięk albo ruch mogły sprawić, że czar pryśnie. Po chwili mężczyzna zasnął, jego oddech się uspokoił. Olbrzym wyteżał słuch, próbując określić nastrój panujący w tej okolicy. Odnosił wrażenie, że to nastrój oczekiwania. Zadał sobie pytanie, czy ból, jaki dostrzegł w oczach towarzysza, można będzie kiedykolwiek uzdrowić. Być może nie stanie się to nigdy. On powinien wiedzieć najlepiej.

Przed nastaniem nowiu Erek i Wędrowiec wspięli się na pagórek i ujrzeni przed sobą zalesione wybrzeże, zalewane pływami błota, oraz ocean ciągnący się aż po zachodni horyzont. Olbrzym wiedział, że niektórzy ludzie zwą go Morzem Podróżnika, ponieważ zostało na nim jeszcze bardzo wiele do odkrycia. Inni nazywali go Oceanem Białych Wież, z uwagi na wyspy pływającego lodu stanowiące zagrożenie dla marynarzy. Jego rasa, Thel Akai, używała nazwy Gal-Eresh, Lodowy Tancerz.

– I co teraz? – zapytał Wędrowca.

Przykucnięty mężczyzna wyjął z ust gałązkę sosny i wzruszył ramionami.

– Pójdziemy wzdłuż wybrzeża. Znajdziemy jakąś osadę.

– Na południe? Idziemy na południe?

– Na razie.

Człowiek ruszył w dół zalesionego stoku. Erek podążył za nim, wdychając z irytacją. Och, bogini, dlaczego powiedziałaś mi o tym najtrudniejszym z ludzi? Dlaczego po raz pierwszy od stuleci przerwałaś milczenie, gdy przywleczono go w łańcuchach na Sztormowy Mur, by oznajmić: „Oto ten, który przyniesie ci wolność”.

Erek dawno już stracił rachubę lat, które spędził na Sztormowym Murze. Korelrijskie zimy przychodziły i odchodziły jedna po drugiej. Towarzyszące Jeźdźcom gwałtowne sztormy przynosiły pełne kry fale oraz ogień mocy, migoczące na nocnym niebie niczym zorze. Wicher zawsze dał jednostajnie z południowo-południowego zachodu, przynosząc chłód wnikający nawet w kości olbrzyma. Nocą wszystko pokrywał szron, błyszczący w świetle poranka na kamiennych blankach. Podczas najgorszych sztormów mur zasypywały śnieżyce, a Jeźdźcy zawsze zjawiali się wkrótce po nich.

Malazańscy żołnierze – zakuci w łańcuchy jeńcy wojenni – trafiali na mur już od kilku lat. Korelrijscy strażnicy rzucali im broń dopiero

na krótko przed zjawieniem się Jeźdźców. Spisywali się dobrze. Najodważniejsi i najsprytniejsi z nich zwracali broń przeciwko sobie, tworząc w ten sposób lukę w szyku do chwili sprowadzenia zastępcy. Nie liczni kulili się trwożnie albo płakali, gdy pojawiali się Jeźdźcy mknący na grzbietach upstrzonych lodem fal, by zaatakować mur. Od czasu do czasu zdarzało się to nawet wyszkolonym Wybranym, któż bowiem mógłby się przygotować na podobny widok? To była kolizja królestw, jeśli wierzyć niektórym uczonym specjalizującym się w teurgii. Potężna fala niesamowitych, obcych czarów powstrzymywana jedynie przez zwykły upór, odwagę i brutalną waleczność.

– Kto to jest? – zapytał korelrijskich strażników.

Odpowiadali mu bez oporów, ponieważ stał na murze od czasów, gdy niektórych z nich nie było jeszcze na świecie.

– Podobno to malazański dezerterski – wyjaśnili. – Kobylańska piechota morska złapała go na statku próbującym się przedrzeć przez blokadę. Kobylanie mówią, że walczył jak tygrys. Musieli podpalić statek, żeby go wykurzyć. Dopiero to przemówiło mu do rozsądku. Skoczył do morza i popłynął do nich, a oni przekazali go na mur.

Powlekli Malazańczyka na puste miejsce, kilkaset jardów od Ereka, przykuli mu nogi do zardzewiałych żelaznych pierścieni wprawionych w granit, a potem uwolnili ręce. Ereko spojrział na łańcuchy u swych nóg i wytężył słuch, pragnąc usłyszeć cichy głos Czarodziejki. Ale bogini milczała. Nie dała mu już więcej wskazówek.

Postanowił, że podejmie próbę, gdy tylko nadejdzie spokojna noc. Nie doczekał się jej jednak, a po kilku tygodniach przybyły sztormy i Jeźdźcy. Mur gęsto obsadzili korelrijscy żołnierze.

* * *

Szli południowym skrajem lasu. Wieczorami schodzili na skalisty lub piaszczysty brzeg, by zbierać małże. Pierwszymi śladami ludzkiego osadnictwa, na jakie natrafili, były osmalone, zarośnięte zielskiem

ruiny fortu: zasypana fosa, zniszczone, nadpalone kłody, a za nimi dziedziniec, na którym stały resztki spalonego długiego domu, zapewne służącego jako koszary, oraz zaczątki donżonu z połączonych zaprawą kamieni. Jego budowę jednak zarzucono. Położyli się spać, owinięci w futra, na suchym, porośniętym trawą dziedzińcu. Ogień rzucał słaby blask na pokryty pnączami mur donżonu.

- Byli tutaj - oznajmił Wędrowiec. Oparł się o futra, kierując posępne spojrzenie na ruiny wieży.

Ereko oderwał spojrzenie od swej porcji ryby złapanej w nadmorskiej kałuży.

- Kto? Kto tu był?

- Karmazynowi Gwardziści. Stary bandyta miał rację. To ich robota.

- Kiedy?

- Ponad pół wieku temu.

- Znałeś ich?

Wędrowiec zerknął na niego nad ogniskiem. Olbrzyna przeszył dreszcz, jakiego nigdy nie wzbudził w nim żaden człowiek. Jak to możliwe, że spojrzenie tego mężczyzny miało ciężar i bolesną głębię godną starożytnych? Czyżby zastanawiał się, czy zabić mnie za moją ciekawość? Straszliwa rozpacz widoczna w tych oczach przypomniła olbrzymowi nieszczęsnego Togga, którego spotkał ongiś w innej lesistej krainie, albo jego towarzyszkę, zwaną przez niektórych Fanderay. Nie widział jej już od bardzo dawna.

Wędrowiec opuścił wzrok.

- Tak. Znałem ich. To może być Sosnowy Fort, ich najdalej wysunięta na północ placówka na tym wybrzeżu Stratemu. Następną osadą powinna być Północna Cytadela, ale ona leży spory kawał drogi na południe, a poza tym moje informacje są przestarzałe. Mam nadzieję, że spotkamy kogoś wcześniej.

- Co się z nimi stało?

– Naprawdę nie znasz tej opowieści?

– Wiem tylko to, co usłyszałem od Korelrijczyków. Wspominali o wojnie w taliańskich krainach na północy.

– Tak. Ta wojna ciągnęła się przez dziesięciolecia, aż wreszcie Kellanved podbił cały kontynent. Dokądkolwiek pomaszerowały jego oddziały, opór stawiały im kontyngenty Gwardii. Od Kan po Tali, a nawet na równinach Seti najemne kompanie Karmazynowej Gwardii walczyły pod chorągwiami ze srebrnym smokiem przeciwko berłu widniejącemu na sztandarach malazańskich najeźdźców. W końcu jednak, po kilkudziesięciu latach, padła ostatnia z ich rodowych twierdz, forteca rodziny D'Avore w Górach Fennów, zwana Cytadelą. Kellanved zniszczył ją trzęsieniem ziemi, zabijając przy tym tysiące własnych ludzi.

Wędrowiec umilkł, wpatrując się w ogień. Otworzył się z jakiegoś nieznanego powodu i ostatnio powiedział Erekowi więcej niż podczas wszystkich spędzonych razem miesięcy.

– Słyszałem wiele opowieści o tym cesarzu – odezwał się cicho olbrzym po chwili oczekiwania. – Dlaczego nie rzucił przeciwko Gwardii swych straszliwych Imassów?

Wędrowiec wpatrywał się w ogień tak intensywnie – być może przywołując dawne wspomnienia – że Ereko był przekonany, że nie usłyszy odpowiedzi.

– Słyszałeś o Ślubach K'azza? – zapytał jednak mężczyzna, nie ruszając się z miejsca.

– Wiem, że poprzysiągł walczyć z Malazańczykami.

– To i więcej. Znacznie więcej. Wieczna walka aż do chwili upadku imperium. Przysięga połączyła sześciuset mężczyzn i kobiet w jedną całość. Podejrzewam, że te więzy okazały się silniejsze, niż tego oczekiwali. Kellanved rozkazał Imassom ich zmiążdżyć, ale oni odmówili.

To zaskoczyło Ereka.

– Dlaczego mieliby tak postąpić?

Niewiele rzeczy na świecie w tej młodej epoce budziło w nim strach, a jedną z nich była ta armia martwiaków.

– Nikt nie wie na pewno. Słyszałem jednak...

Wędrowiec umilkł, pogrążając się w zamyśleniu.

– Tak? Co słyszałeś?

Mężczyzna skrzywił się, być może uważając, że powiedział już za wiele. Połamał gałązkę na kawałeczki, rzucając je kolejno do ognia.

– Słyszałem tylko, że oznajmili, że nie godzi się im sprzeciwić takim Ślubom. Jestem jednak pewien, że w tej chwili wszyscy, którzy je złożyli, uważają je raczej za klątwę.

* * *

Po trzech dniach natknęli się na pierwszą osadę. Nędzną wioskę rybacką. Wędrowiec kazał Erekowi schować się w lesie i ruszył sam do osady, by nie wywoływać paniki. Okazało się jednak, że widok samotnego człowieka wyłaniającego się z lasu i tak ją spowodował. Z chat wybiegli starcy i młodzieńcy, uzbrojeni we włócznie, oszczepy oraz łuki. Wędrowiec pertraktował z nimi na skraju wioski, gdzie pomiędzy drzew wyływał strumień, przecinający błota i wpadający do oceanu.

Wrócił sam.

– To nieufna zgraja. Boją się tego co zawsze. Nie jestem pewien, czy zdołałem ich uspokoić. Ruszajmy dalej na południe. Miej oko na dobre drzewa.

– Drzewa? A więc rzeczywiście chcesz zbudować łódź.

– Tak.

– I co potem?

– Potem zaczekamy.

Ruszył przed siebie. Ereko omal nie roześmiał się w głos z własnej frustracji. Rozmowa z tym człowiekiem była niemal tak samo trudna,

jak negocjacje z najbardziej izolacjonistyczną z ras, Assailami. Pokręcił głową i podążył za towarzyszem. I pomyśleć, że przez całe swoje niezwykle długie życie szczylił się własną cierpliwością!

Wędrowiec brnął przez gęste zarośla, od czasu do czasu zatrzymując się, by wskazać jakieś drzewo i wyliczyć jego zalety. Po chwili olbrzym przyłączył się do tych spekulacji i zaczęli się wymieniać wiedzą na temat sztuki wybierania drzew do budowy mocnych, ale elastycznych statków oceanicznych.

Doszedł do wniosku, że Wędrowiec wie na ten temat całkiem sporo jak na człowieka.

* * *

Zapłata za nabrajański kontrakt przybyła pod postacią ekwipunku i broni, garbowanych skór, żelaznych sztab oraz zwierząt jucznych. Domy kupieckie, tradycyjnie zajmujące się handlem niewolnikami, z radością płaciły też żywym towarem, a Blask przyjmowała tę walutę bez oporu. Maszerowali na wschód, w dół rzeki, przez pagórkowate tereny rolnicze, ciągnące się aż do wybrzeża. Gdy dotarli do traktu handlowego wiodącego do nadmorskiego miasta Kurzan, którego istnienie było dla plemienia Kyle'a jedynie pogłoską, Blask rozkazała zebrać niewolników na błotnistym polu.

Oslonięta od szyi po łydki lśniąca kolczugą kobieta trzymała hełm pod pachą, a jej długie czarne włosy powiewały na wietrze.

- My, Gwardziści, nie uznajemy niewolnictwa - oznajmiła zbranym. - I w związku z tym uwolnimy was wszystkich.

Odpowiedziała jej pełna zdumienia cisza. Nawet współplemieńcy Kyle'a łypali na kobietę z nieufnością i niedowierzaniem. Chłopak wstydział się za nich.

- Ci, którzy wybiorą to zajęcie i z własnej woli zgodzą się służyć w Gwardii, niech udadzą się pod sztandar celem przebadania i zaprzysiężenia. Reszta może odejść swobodnie.

Mężczyźni i kobiety pragnący się zaciągnąć do Gwardii stali w kolejce przez cały dzień. Ci, których odrzucono z powodu zaawansowanego wieku albo złego stanu zdrowia, wracali do czekających na uwolnienie towarzyszy. Gdy wreszcie zapadł zmierzch, przyjętym do służby ochotnikom kazano odmaszerować.

Nie trzeba dodawać, że pozostałych wcale nie uwolniono. Z powrotem zakuto ich w kajdany i odprowadzono. Nawet się zbytnio nie skarżyli. Byli tak stłamszeni, że prawdopodobnie sądzili, że wszystko to był jedynie podstęp, by wybrać najsilniejszych i najmłodszych i sprzedać ich gdzie indziej. Być może w pewnym sensie rzeczywiście tak było.

Złożona z blisko siedmiu tysięcy żołnierzy armia maszerowała na wschód wzdłuż Wąskiej Rzeki. Po dwóch tygodniach Gwardia rozbiła obóz na wybrzeżu, na południe od Kurzanu, nad Przesmykiem Anati, gdzie statki kotwiczyły na spokojnych, osłoniętych wodach. Na północy Kyle dostrzegał blade zarysy szaro-brązowych wież portowych murów.

– Statki! – zawołał Przechyl, klepiąc Kyle'a po plecach. – Statki – powtórzył, napawając się brzmieniem tego słowa.

– Statki – powtórzył chłopak. Znał je dotąd tylko z opowieści. Nie podobała mu się myśl o wejściu do brzucha jednego z nich. To wydawało się nienaturalne. – I co teraz?

– Rozbijemy obóz. Będziemy ćwiczyć. I czekać.

– Co się dzieje?

Przechyl poprawił skórzaną czapeczkę i podrapał się po szarej szczecinie porastającej mu twarz.

– Trwają negocjacje, Kyle. Blask rozmawia w mieście o wynajęciu statków. – Stary sabotażysta skrzywił się, miażdżąc coś między paznokciami. – Powiedz mi, chłopcze, co sądzisz o pływaniu?

– To nienaturalne, żeby ludzie wchodzili do wody.

– No cóż, będziesz miał okazję się nauczyć.

W następnym tygodniu Kyle dołączył do grupy około czterdziestu rekrutów obojga płci, zmuszanych do zanurzania się w błotnistych wodach jednej z szerszych odnóg delty Wąskiej Rzeki. Weterani nadzorujący naukę tłumili wszelkie oznaki buntu za pomocą pałek. Kyle czasami widział Przechyła, który siedział na brzegu, paląc fajkę, i dodawał ćwiczącym odwagi głośnymi okrzykami.

Już pierwszego dnia praktyki Kyle przekonał się, że pilnujący ich Gwardziści mają też inne zadanie. Nagle rozległ się krzyk i ku ciemnej tafli pomknęły bełty. Wody spieniły się nagle i wynurzyła się potężna, długa bestia, kłapiąca paszczą i uderzająca długim, pokrytym łuską ogonem. Wszyscy pływacy pomknęli panicznie ku brzegowi. Gdy bestia zniknęła w głębinie, ci sami żołnierze zagonili pałkami rekrutów z powrotem do wody. Trzech młodzieńców, którzy kategorycznie odmówili wejścia do niej, pobito do nieprzytomności i powleczono gdzieś na bok.

Kyle zdecydował, że nie podda się bez walki. Gdy żołnierka imieniem Jaris, weteranka z Genabackis, spróbowała go wepchnąć do błotnistej kanału, pociągnął ją za sobą. Oboje zsunęli się ze skarpy i wpadli do wody. Stojący na brzegu i na płycznach żołnierze śmiali się i krzyczeli, gdy Kyle i Jaris miotali się w mętnej wodzie. Miał szczęście i udało mu się zająć kobietę od tyłu. Otoczył jej szyję ramieniem i myślał już, że uda mu się ją zmusić do zajęcia jego miejsca. Gdy jednak spróbował zanurzyć jej głowę, coś zimnego i ostrego ukłuło go w krocze. Szarpnął się, próbując wspiąć się na palce.

– Tak jest, chłopcze – rzekła ze śmiechem Jaris. – W rzece jest też inny kłacz i chce się dobrać do twojej małej rybki. – Znowu ukłuła go w krocze. – To jak będzie? Chcesz poczuć jego ukąszenie?

Kyle puścił kobietę. Odsunęła się od niego, brnąc w sięgającej pasa wodzie. Uniosła sztylet o groźnym wyglądzie.

– Mądra decyzja, chłopcze. Ale głupi pomysł. Są tu tacy, którzy pchnęliby cię tylko za to, że ich zamoczyłeś.

W końcu Kyle'a przydzielono do oddziału. Wydano im pływaki z nadmuchanych, pokrytych smołą skór i kazano wiosłować po rzece przez wiele godzin dziennie. Gwardziści obserwowali ich z brzegu i z wysokich, bagiennych traw.

* * *

Ósmego dnia Kyle poznał kolejne zadanie wykonywane przez pilnujących ich Gwardzistów. Z brzegu błotnistej wyspy pośrodku odnogi dobiegły nagle krzyki. Zewsząd zbiegali się najemnicy. Brodzili przez mroczne płycizny, a potem wpadali w wysoką trawę. Kyle i pozostali pływacy zatrzymali się, by zobaczyć, co się dzieje.

Pojawił się chłopiec w podartej bluzie, wypłoszony z traw i rogoży. Wpadł boso na błotnisty brzeg, oczy wypełniało mu przerażenie. Jeden z Gwardzistów wyskoczył z ukrycia i wepchnął go do wody. Obaj zniknęli pod brązową powierzchnią. Kyle płynął ku nim tak szybko, jak tylko mógł.

Najemnik wynurzył się i wyciągnął na brzeg bezwładne ciało. Kyle dopłynął do brzegu i zobaczył krew, która splamiła błoto i pierś chłopaka. Zabójcą był niski weteran, Boll, ten sam, przed którym ostrzegał go Przechył. Mimo to Kyle pognał ku niemu przez płytką wodę. Uniósł głowę martwego chłopaka.

– Dlaczego musiałeś go zabić?

Weteran zaczął czyścić i oliwić nóż, ignorując Kyle'a.

– To był tylko dzieciak. Dlaczego musiałeś go zabić?

– Zamknij się. To rozkaz. Nie tolerujemy szpiegów.

– Szpiegów? – Kyle nie wierzył własnym uszom. – Szpiegów? Może chciał tylko popatrzeć? Może był ciekawy? Każdy by się zainteresował.

– Uważaj, co mówisz. Ja nie jestem taki miły, jak ta genabackańska krowa, Jaris.

Kyle omal nie rzucił się na krępego nożownika, pochodzącego ponoć z jakiegoś miejsca zwanego Ehrlitanem. Boll jednak nadal trzymał w rękach nóż, on zaś miał tylko ten śmieszny pęcherz z koziej skóry. Uniósł go nad głowę.

– Jesteś jak ten worek, Boll. Tak samo nadęty. – Chłopak rozerwał zamknięty smołą otwór. Strumień powietrza wydostał się na zewnątrz z odgłosem przypominającym pierdnięcie. – I też robisz mnóstwo hałasu.

Boll wyrwał mu pęcherz z rąk.

– Nie prowokuj mnie. To nie zabawa.

Pojawili się inni Gwardziści i przegonili Kyle'a gestami. Chłopak poszedł poszukać nowego pęcherza, a najemnicy cisnęli ciało w gęstą, bagienną trawę.

* * *

W następnym tygodniu ktoś obudził Kyle'a kopniakiem w samym środku nocy. Chłopak wpatrzył się w ciemność. Noc była bezksiężycowa i ledwie zdołał dojrzeć sylwetkę stojącego nad nim mężczyzny.

– Wstawaj. Zbiórka na plaży. Biegiem.

To był Okop, jego sierżant.

– Tak jest.

Zebrał zbroję i ekwipunek w słabym blasku węgielków, a potem poszedł na plażę. Zgromadziła się tam mieszanina rekrutów i weteranów zbitych w małe grupki. Okop, ubrany tylko w pantaloney i skórzaną kamizelkę, wyrwał chłopakowi z rąk ładunek.

– Nie będziesz tego potrzebował.

Sierżant ruszył ku pozostałym rekrutom. Skradacz podszedł do Kyle'a i uklękła obok, by pomóc mu przejrzeć rynsztunek.

– Zabierz nóż – wyszeptał. – Owiąż sznurek ciasno wokół szyi. – Przerzucił niedobre fragmenty zbroi. – Włóż samą skórę, bez

wyściółki. Fartuch jest w porządku. Idź boso.

- Co jest grane?

- Płyniemy do statków. Słyszałem, że negocjacje zakończyły się niespodziewanym fiaskiem.

Kyle włożył skórzane fragmenty zbroi.

- Niespodziewanym? Mam wrażenie, że tę akcję przygotowywano już od dłuższego czasu.

- To była jedna z opcji. Muszę przyznać, że Blask wygląda na sprytną.

Kyle spojrzął na morze, ale nic tam nie zobaczył. Wody Przesmyku były spokojne i gładkie. Nie czuł nawet śladu wiatru, ale panowały tu ciemności jak w jaskini.

- Ni cholery nie widzę.

- Nie przejmuj się. Będziemy mieli światło.

Chłopak wziął w rękę tulwar. Oręż ważył z górą kamień.

- Zostaw go - poradził Skradacz.

- Chcę go zabrać.

- To chociaż pozbadź się tej cholernej pochwy. Zawieś go sobie na szyi. Jeśli okaże się za ciężki, przetnij rzemień.

- Nigdy się z nim nie rozstanę.

Po czole Skradacza przebiegł spazm irytacji.

- A niech cię Mroczny Łowca porwie! To twój pogrzeb.

Wysoki zwiadowca oddalił się ze złością. Kyle znalazł w koszach pęcherze. Żołnierze i żołnierki przytracali je sobie do piersi. Chłopak owiązał rzemień wokół nowego uchwyty tulwara, przełożył go przez ramię i zawiesił na szyi. Najemnicy przepychali się obok niego, zanurzając stopy w niemal całkowicie nieruchomej wodzie.

- Dokąd płyniemy? - zapytał Kyle.

- Cisza - wysyczał ktoś.

- Niech Kaptur połknie ci język.

Chłopak przełknął ripostę i dołączył do szeregu prawie zupełnie nagich mężczyzn i kobiet wchodzących do wody.

Okazała się przerażająco zimna. Palce jego nóg i rąk niemal natychmiast wypełniło mrowienie. Co mu przyjdzie z broni, jeśli po dopłynięciu na statek będzie zbyt odrętwiały, by jej użyć? Czy ktoś o tym pomyślał?

Zatrzymał się, gdy woda sięgnęła mu pasa. Odwrócił się, chcąc kogoś zapytać, co dalej, ale go popchnięto.

- Ruszajmy.

- Nie zostało nam wiele czasu.

- Do czego? - wyszczał.

Łapa wielkości łopaty złapała go za koleczkę i pociągnęła do tyłu. Chłopak odwrócił się i ujrzał w mroku potężną sylwetkę Szarej Grzywy. Nigdy dotąd nie widział go bez zbroi. Renegat wyglądał bez niej chyba jeszcze bardziej imponująco. Potężną pierś porastały mu siwe, pozlepiane od wody włosy. Na muskularnych ramionach były czarne.

- Płyn do czwartego statku - mruknął basem, potrząsając Kyle'em.

- Czwartego?

- Czwartego od końca, chłopcze.

- Aha. Tak. A co z zimmem?

Renegat zamrugnął, wyraźnie zdziwiony.

- Jakim zimmem?

Niech go Wiatr ma w swej opiece.

- A ty do którego statku płyniesz?

- Statku? Na zęby Treacha, nigdzie nie płynę.

- Nie?

- Nie. Woda i ja nie zgadzamy się ze sobą.

Renegat popchnął Kyle'a naprzód, nim chłopak zdążył zadać sobie pytanie, czy mówił poważnie. Płynął, poruszając miarowo nogami, jak go uczono. Trzymał pęcherz przy piersi, ale nie naciskał na niego

mocno, nie wyteżał mięśni rąk i nóg, oszczędzając siły. Wkrótce otoczyła go ciemność. Gwiazdy wypełniały cały firmament, odbijając się w niesamowicie spokojnej tafli zatoki. Ludzie poruszali gwałtownie nogami, rozpryskując wodę. Ze wszystkich stron dobiegały go przekleństwa i westchnienia. Kyle wyteżał wzrok, ale nie widział ani jednego statku, nie wspominając już o czterech.

Nie przestawał poruszać nogami. Zimno wnikało mu w kończyny, wywołując narastające odrętwienie. Zadał sobie pytanie, czy nie pływa wkoło. Jak mógłby się zorientować? On albo ktokolwiek z nich? Nie miał jednak sił, by zawołać towarzyszy. Zęby mu dzwoniły, a w mięśniach ramion chwytaly go kurcze.

Usłyszał niezbyt odległe wołanie. Błaganie o pomoc. Rekrut – głos brzmiał młodo. Wpadł w panikę albo dopadły go kurcze. Rozległ się plusk, a po nim nagle westchnienie. Potem zapadła przerażająco długa cisza. Kyle przestał poruszać nogami. Unosił się na wodzie, wyteżając słuch. Bogowie, wszędzie wokół. Do jakiego bractwa wstąpił? Czy... czy mogli zabić jednego ze swoich?

Ktoś na niego wpadł. Chłopak się wzdrygnął, pęcherz omal nie wysliznął mu się z rąk, jak wysmarowana tłuszczem świnia. Mało brakowało, a krzyknąłby: „Nie!”.

– Ruszaj się.

Kyle nie znał tego głosu, choć poznawał północnogenabackański akcent.

– Ni cholery nie widzę – wysapał.

– Nieważne. Ruszaj się, żeby się ogrzać.

Z tym nie sposób było się spierać. Mroczna sylwetka go wyprzedziła. Zaczął poruszać nogami, starając się nie stracić Gwardzisty z oczu.

Dolną połowę jego ciała zawładnęło zimno. Tak przynajmniej się czuł; lodowaty uścisk wody przeciął jego ciało w pasie. Nadal poruszał dolnymi kończynami, choć w ogóle już ich nie czuł. Przyciskające pęcherz do piersi ręce również odrętwiały mu całkowicie. Ciężar

wiszącego z lewej strony miecza ciągnął go w głębinę. Zęby dzwoniły mu bez ustanku.

- Już blisko - wyszeptał ktoś za nim. Kyle mógł jedynie chrząknąć w odpowiedzi. - W prawo.

- Czwartý statek? - wyjąkał chłopak.

- Niech to Kaptur całuje. To statek, tak? No to włazimy! Teraz skręć. Wyciągnij rękę.

Kyle uniósł odrętwiałą kończynę i poczuł zimne, śliskie deski.

- Jak...?

- Tam jest drabinka.

Przesunął się naprzód i zdołał zahaczyć rękę o drabinkę sznurową. Powoli wspiął się na pierwsze drewniane szczeble. Z góry wysunęły się pomocne ręce i wciągnęły go na pokład. Leżał na ciepłych deskach, oddychając z wysiłkiem.

- Jest jeszcze jeden... pomóżcie mu.

Mroczna sylwetka wychyliła się za burtę.

- Nie ma tam nikogo - stwierdził mężczyzna i oddalił się bezgłośnie.

* * *

Okazało się, że statek już zdobyto. Kyle grzał się przy piecyku koksowym ustawionym na śródkręciu. Obok przebiegli dwaj Gwardziści.

- Odplywamy? - zapytał jednego z nich chłopak.

Najemnik zatrzymał się, omiatając go wzrokiem.

- Jesteś nowy, hej?

- Tak.

- Kto odebrał twoją przysięgę?

- Przechył.

Mężczyzna skinął głową. To imię zrobiło na nim wrażenie. Kyle zadał sobie pytanie, co jest tak imponującego w starym, jednorękiem

sabotażysty.

– Wiesz coś o statkach?

– Nie.

– W takim razie od tej chwili oficjalnie jesteś w piechocie morskiej. Znajdź sobie jakąś broń i broń, przede wszystkim coś do strzelania. Przygotuj się do blokady.

– Blokady?

– Ehe. Musimy im zabrać wszystkie statki.

Kyle stłumił śmiech niedowierzania.

– To całe miasto!

Gwardzista uśmiechnął się. Białe zęby błysnęły w ciemności.

– No to wystarczą nam najlepsze. – Uśmiech zniknął. – Zejdź pod pokład po ekwipunek.

– Tak jest.

Kyle spodziewał się zobaczyć na dole krwawą jatkę, szedł więc po stromych schodkach bardzo powoli. To, co tam ujrzał, zaniepokoiło go jednak znacznie bardziej. Wszystkie ładownie i korytarze z kojami pod ścianami były puste. Nie było tu nikogo, żywego ani martwego. Gdzie się wszyscy podziali? Co tu się wydarzyło? Nigdzie nie znalazł też broni ani zbroi.

Wtem od strony rufy dobiegł szczeł metalu. Kyle uniósł tulwar i ruszył w tamtą stronę. Wąski korytarz kończył się pomieszczeniem zapchanym ławami i stołami. Otwarte drzwi prowadziły dalej. Metaliczny odgłos nie cichł. Chłopak zajrzał za nie i zobaczył plecy bosego mężczyzny w mokrej koszuli i spodniach, szarpiącego się z zamkniętymi na rygiel i łańcuch drzwiami szafki.

– Chwileczkę – rzekł mężczyzna po taliańsku, nie odwracając się.

Kyle zadał sobie pytanie, skąd mógł wiedzieć o jego obecności. Był pewien, że skrzywienie kołyszającego się statku zagłuszyło jego kroki.

– Dobra.

Znowu rozległ się grzechot i łańcuch opadł.

- Ha! - Mężczyzna otworzył drzwi.

W środku znajdowały się półki z włóczniami, łukami i mieczami.

- Pomóż mi wnieść to na górę.

- Gdzie są wszyscy? To znaczy załoga.

Gwardzista zajął się otwieraniem kolejnych zamków. Kyle zauważył, że ma wielki pierścień z kluczami.

- Kupcy - stwierdził z westchnieniem. - Zamykają broń, ale domagają się ochrony przez cały czas. - Jego czarne, krótko obcięte włosy błyszczały jak mokre futro. Głębokie bruzdy na twarzy sprawiały wrażenie gotowych przerodzić się w permanentny uśmiech. - Załoga? Została tylko symboliczna wachta. Niektórzy walczyli, inni wyskoczyli za burtę.

- Jak wygląda plan?

Mężczyzna znieruchomiał, zmarszczył brwi, a potem znowu się uśmiechnął.

- Plan? Aha, jesteś nowy. Mamy zdobyć statki.

- Rozumiem. Zdobyć statki.

Gdzieś, niebyt daleko, zahuczał grom. Statek zakotłosał się gwałtownie. Kyle zasepił się zdziwiony. W uśmiechu Gwardzisty pojawiła się nuta niecierpliwości.

- Zaczęło się. Ruszajmy - rzekł, unosząc naręczce broni.

* * *

Na pokład padała słaba, pomarańczowa luna. Kurzańskie nabrzeże stało w płomieniach. Na oczach Kyle'a jedną z portowych wież wstrząsnęła eksplozja żółto-białego ognia. Budowla pochyliła się, a potem runęła na ziemię ze straszliwą, powolną gracją. W zatoce rozległ się kolejny wybuch.

- Coś wpieniło Dymka - wyszeptał Gwardzista.

- Co będzie ze statkami?

- Nie martw się. Czepiec by go zabił.

- Zbliżają się! - zawołał ktoś na dziobie.

- Widzisz? - zapytał ze śmiechem Gwardzista. - Potrzebowali tylko odrobiny zachęty.

- A co mamy zrobić, jak już się zjawią? - zapytał młodzieniec.

Najemnik popatrzył nań z zaskoczeniem.

- Przepraszam, ciągle zapominam. Nam, weteranom, trudno o tym pamiętać. Nazywam się Cole. A ty?

- Kyle. Czy jesteś... Zaprzysiężony?

- Tak. - Cole wskazał dwóch stojących obok Gwardzistów. - Ja będę bronił pokładu. Wy osłaniajcie mnie z flank. Umiesz strzelać z łuku? - zapytał, wskazując Kyle'a.

- Tak.

- Świetnie. Dołącz do człowieka stojącego na fordeku. Słuchaj jego rozkazów.

- Tak jest.

Kyle zebrał tyle strzał, ile zdołał udźwignąć.

Mężczyzna stojący na wysoko uniesionym pokładzie dziobowym był chudy i blady. Miał na sobie mokrą płócienną koszulę i spodnie z niegarbowanej skóry. Nie ulegało wątpliwości, że marznie straszliwie, bo oplótł się rękoma i tupał w pokład.

- Jesteś łucznikiem? - zapytał Kyle'a, mówiąc po taliańsku z wyraźnym akcentem.

- Umiem strzelać.

- Dobra. Wypróbuj te łuki. Znajdź jakiś, który ci odpowiada.

Chłopak naciągnął cięgiwę i oddał próbny strzał w ciemność. Łuk był słaby, ale celny.

- Jak wygląda plan?

- Ja wybieram cele. Ty w nie trafiasz.

- Dobra.

Chcąc lepiej poznać łuk, Kyle oddał jeszcze kilka próbnych strzałów.

– Jesteś miejscowym rekrutem? – zapytał mężczyzna.

– Tak. Nazywam się Kyle. A ty?

– Parsell. Lurgman Parsell. Pochodzę z Genabackis. – Mężczyzna spojrział na ciemną zatokę. W jej spokojnych wodach odbijał się blask płomieni. – Niespełna trzy mile! – zawołał do ludzi na śródokręciu.

– Widzę ich! – odkrzyknął Cole.

Kyle wyteżył wzrok. Ledwie mógł wypatrzeć mroczne sylwetki i jasne linie na dziobach. O zauważeniu celów nie było mowy. Jak miał w cokolwiek trafić?

– Hmm, jest pewien problem. Nic nie widzę.

– Nie widzisz? – Lurgman westchnął, sięgnął pod koszulę, wydobyl stamtąd skórzany woreczek i wyciągnął z niego kawałek naoliwionej szmatki. – Spróbuj, może coś jeszcze zostało.

– Co mam z tym zrobić?

– Potrzyj sobie oczy. Tylko ich nie zamykaj. Muszą być otwarte.

– Czy to boli?

– Jakbyś jeździł pilnikiem.

Kyle przyjrzał się szmatce z niepewną miną.

– Muszę to zrobić?

Nad zatoką poniósł się echem łoskot odległych strzałów z kusz i katapult. Zapalające pociski pomknęły wysoko w noc. Gdy opadały, ujrzeli w ich świetle dziesiątki zbliżających się okrętów.

– Nie ma wyboru.

Kyle otworzył szeroko oko i przycisnął do niego szmatkę. Wzdrygnął się, warcząc i przeklinając, gdy poczuł działanie kwasu.

– Niech cię Wiatr porwie! Bogowie, człowieku! Bogowie!

– Teraz drugie. Szybko!

– Pozbądźcie się tych dwóch galer! – ryknął Cole. – Nie chcemy ich tutaj.

- Tak jest.

Kyle zamrugał. Oczy zaszyły mu łzami. Wyprostował się i ujrzał przed sobą niemal monochromatyczny obraz. Pożary gorzały oslepiającym blaskiem, gwiazdy były palącymi punktami na nocnym niebie. Wyraźnie widział zbliżające się powoli galery. Z oddali dobiegł łoskot walki. Okręty zwarły się ze sobą.

Lurgman stękał i syczał z wysiłku. Zaciśnął powieki, wyciągając ręce przed siebie. Włoski na karku i rękach Kyle'a stanęły nagle dęba. Chłopak uświadomił sobie, że jego towarzysz jest magiem, być może kolejnym Zaprzysiężonym.

- Czy są w zasięgu? - wykrztusił Lurgman przez zaciśnięte zęby.

Dwie najbliższe galery, statki kupieckie o szerokich kadłubach, próbowały ich wyminąć z dwóch stron. Obie utraciły całą prędkość i kołysały się na wodzie, jakby nagle stały się niesterowne. Na ich pokładach roilo się od żołnierzy. Kyle ze zdziwieniem zauważył, że wszystkie wiosła są wypaczone i powyginane. Nie nadawały się już do niczego.

- Teraz tak.

Posypały się na nich strzały. Kyle skrył się za nadburciem, lecz Lurgman nie ruszał się z miejsca.

- Wstań. Nie trafiają w nas. - Nagle wzdrygnął się jak uderzony. - Strzeż się maga! - ryknął.

W tej samej chwili na pokład spadła kula gorejącej jaskrawym blaskiem energii. Krążyła bezładnie, aż wreszcie odbiła się rykoszetem od masztu i trafiła w beczkę, pochłaniając ją w ogłuszającej eksplozji.

- Załatwcie go! - wrzasnął oburzony Cole.

- Tak jest - odpowiedział Lurgman. Przyjrzał się z uwagą obu nieprzyjacielskim galerom.

Na nadburcia spadły haki abordażowe. Statki zbliżały się do nich z obu stron. Za nimi dwie wojenne galery, z jakiegoś niedostrzegalnego dla Kyle'a powodu zaczęły nagle pograżać się w stosunkowo spokojnych falach. Żołnierze wylegli na pokłady, rozpaczliwie próbując

zrzucić broń. Niektórzy wypadali za burty, by natychmiast zniknąć w morskich odmętach. Chłopak po raz pierwszy poczuł się bezpiecznie w cienkim, skórzanym stroju.

– Tam! – zawołał Lurgman, łapiąc go za ramię. – Na rufie. Stary facet w ciemnym kapeluszu przypominającym kaptur. Ma na szyi złoty łańcuch.

Kyle zauważył go, wycelował i wystrzelił. Strzała zawisła na moment w ciemności, a potem wbiła się w gardło mężczyzny stojącego obok maga. Ten skierował wzrok na Kyle'a. Jego oczy zamieniły się w świetliste szparki. Uniósł dłonie i wykonał kilka gestów. Na palcach lśniły mu klejnoty i złoto.

– Uwważaj na plecy! – krzyknął ktoś za Kyle'em.

Chłopak odwrócił się i zobaczył na drugim końcu pokładu ciemniejącą plamę, kłębiącą się jak oleisty dym.

– Lurgman! – ostrzegł towarzysza.

Mag odwrócił się i rozdziawił usta z wrażenia.

– Niech to Kaptur przeklnie! Cole! Przywołanie!

Kyle zerknął na śródokręcie i zobaczył, że Cole'a i jego dwóch towarzyszy otoczyło morze kurzańskich żołnierzy.

Mag pociągnął chłopaka do przodu.

– Daj mi trochę czasu. Czasu!

Z portalu grotty wyłoniła się szponiasta, pokryta łuską stopa. Potem wyjrzała z niej długa twarz, również pokryta oliwkową łuską, jak u owada. Kyle uniósł tulwar i przycisnął klingę do ust.

Niech mnie Wiatr ma w swojej opiece!

Ruszył przed siebie. Zgarbił się gotowy na potężne ciosy.

Demon, przywołaniec, czy co to właściwie było, wyciągnął rękę, jakby chciał po prostu złapać chłopaka w szponiastą dłoń. Kyle zamachnął się tulwarem. Broń gładko przecięła przedramię i dłoń runęła na pokład. Monstrum wrzasnęło. Na młodzieńca trysnął stru-

mień gorącej posoki. Poparzony chłopak odskoczył do tyłu. Zamrugał, by oczyścić oczy.

Na schodach wiodących na fordek pojawili się kurzańscy żołnierze, cofnęli się jednak na widok trwającej tam walki.

Bestia złapała się za koniec przedramienia. Z rany buchnął dym. Bies cofnął rękę, odsłaniając pokryty stwardniałą blizną kikut. Poruszył szczękami, wydając serię trzasków i zgrzytów. Kyle w jakiś sposób zrozumiał słowa.

- Kim jesteś, że mi to uczyniłeś?

- Tylko żołnierzem - odpowiedział. Sam nie miał pojęcia, co się właściwie przed chwilą stało.

Posypały się na nich strzały, ale coś je odbijało. Wodę pokryły płomienie, ogarniając galerę, która staranowała statek sąsiadujący ze statkiem Kyle'a. Stwór się wyprostował.

- Nie ostrzeżono mnie, że czeka tu ktoś tak wysokiej rangi. Spróbujmy się więc.

Nagle bies zaczął topnieć. Młodzieniec nie potrafił opisać tego inaczej. Jego keratynowe łuski, szkielet zewnętrzny, czy może zbroja, odkształcały się i spływały w dół. Istota zwała się na kolana. Nim jej czaszka zapadła się niby stopiony wosk, Kyle zdążył ujrzeć w czarnych oczach coś, co uznał za grozę i zdumienie.

Chłopak wrócił do burty i zobaczył, że Lurgman osunął się na pokład z jedną ręką przewieszoną przez nadburcie. Pomógł mu wstać.

- Jak to zrobiłeś? - wyszeptał zdumiony.

- Mógłbym o to samo zapytać ciebie - odparł mag ochryplym głosem.

Z nosa ciekła mu krew. Jego oczy przybrały karminową barwę. Przymrużył powieki i zwrócił się w stronę wody. Kyle spojrział w tym samym kierunku. Kurzańskiego maga podtrzymywało kilku ludzi. Kapeluszał spadł mu z głowy, odsłaniając błyszczącą łysinę.

- A więc zostaje nam brutalna siła – warknął pod nosem Lurgman.
- Czy rzucasz lepiej, niż strzelasz?
- Z tej odległości tak.
- To rzuć tym.

Mag wręczył mu kulkę przypominającą kamień do procy. Kyle zważył ją w ręce i skinął głową. Wycelował, zamachnął się szeroko i rzucił. Kamyk wylądował niepostrzeżenie gdzieś obok maga. Stojący na pokładzie rufowym ludzie złapali się nagle za twarze. Rozdziawili usta wyglądające jak ciemne owale. Wybałuszyli oczy. Wbijali zakrzywione palce we własne ciała, aż wreszcie wszyscy runęli na pokład. Mag również. Kyle odwrócił się. Poczul, że żołądek podchodzi mu do gardła. Lurgman usiadł zwrócony tyłem do wody.

Chłopak osunął się na pokład obok niego. Kończyny drżały mu z nadmiaru niewykorzystanej energii.

- A więc tak Zaprzysiężeni zwykli kończyć spory.
- Zaprzysiężony? Ja? Bogowie, nie. Nie mam tak wysokiej rangi. Zresztą jestem z Genabackis. Żaden Zaprzysiężony nie pochodzi stamtąd.

Kurzańscy żołnierze ruszyli ostrożnie w górę. Lurgman uniośł rękę w groźnym geście i cofnęli się trwożnie.

- Ja byłem tylko uzdrowicielem w Kocie, gdy na miasto napadli Malazańczycy. Zwali nas kosztnymi magami. Byłem w tym cholernie dobry. Leczyłem złamania, prostowałem kości, usuwałem zakażenia. Jak sam widziałeś, nie jestem prawdziwym magiem bojowym.

- Mógłbyś mnie nabrać.

Brzęk stali i szcęk zbroi na dolnym pokładzie ucichły.

Lurgman zerknął z ukosa na Kyle'a.

- A co z tobą? Jak brzmi opowieść o tym mieczu?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Dymek umieścił na nim inskrypcję, jeśli o to pytasz.

Na szczycie schodów pojawił się Cole. Bluza zwisała mu w krwawych strzępach wokół pasa. Na ramionach i piersi miał pełno płytkich ran. Z mokrych włosów spływał pot. Rozejrzył się po fordeku i zmarszczył brwi.

– Myślałem, że demon was zeżarł.

– Mieliśmy farta – odparł Lurgman.

– No to złażcie na dół, Krętacz. Trzeba uzdrowić moich pomocników, zbliżają się też kolejne okręty.

Kyle pomógł Lurgmanowi wstać.

– Krętacz?

Mag uśmiechnął się ironicznie.

– Krętacz – potwierdził. – Uparli się tak mnie nazywać.

* * *

Nocą, w jałowej, kamienistej dolinie płonęło ognisko. Siedział przy nim mężczyzna opatulony w gruby płaszcz. Skalne urwiska lśniły w migotliwym blasku płomieni. Mężczyzna nasłuchiwał odległego szumu fal, rzucając patyki do ognia. Wtem nad doliną rozległ się furkot. Człowiek wstał i wpatrzył się w nocne niebo.

Pośród krzaków i kamieni nieopodal wylądował skrzydlaty owad przypominający gigantyczną ważkę. Zsiadła zeń zakuta w zbroję postać, poruszająca się sztywno i powoli.

Mężczyzna zrzucił płaszcz i podszedł do przybysza. Długie, potężnie umięśnione ręce zwisały mu luźno u boków. Stara, ogorzała twarz zmarszczyła się z radości.

– Spóźniłeś się, Hunchell! – zawołał. – Ale i tak serce mi się raduje na twój widok.

Zbroja przybysza lśniła złoto w blasku ogniska.

– Mój ojciec, Hunchell, jest już za stary na takie loty, Zgniatacz. Niemniej przysłała ci pozdrowienia i zapewnia o swej wierności.

Jestem V'thell, jego pierworodny syn.

- Witaj na mojej skromnej wyspie.

Mężczyźni uścisnęli sobie przedramiona.

- To ma być nasz punkt zborny?

- Tak. Wyspa jest bezpieczna. Będzie jednym z naszych składów i punktów etapowych.

- Rozumiem.

Złoty Moranth, który przybył tu z odległej północnej Genabackis, przyglądał się przez chwilę mężczyźnie, nie odzywając się ani słowem. Z chitynowej zasłony jego hełmu nie sposób było nic wyczytać.

- No dobra, zapytaj o to - wychrypiął mężczyzna.

- Proszę bardzo. Dlaczego podjęliście taką decyzję? Ryzykujecie zniszczenie... wszystkiego.

- Nie możemy już dłużej przyglądać się biernie, V'thell. Wszystko, co próbowaliśmy zbudować, stopniowo się rozpada. Ona nie rozumie, jak powinna funkcjonować maszyna, którą stworzyliśmy.

- Przecież sama uczestniczyła w jej budowie.

Mężczyzna zacisnął mocno usta.

- Ehe, masz rację. Nie twierdziłem, że to było łatwe. - Zbył tę kwestię machnięciem ręki. - A co ze Srebrnymi? Czy będą z nami?

- Tak.

- Tak. Możemy liczyć na eskadrę Srebrnych. Przyłączyła się też do nas garstka Zielonych. Jeśli zaś chodzi o Czarnych i Czerwonych... no cóż, zobaczymy. Niebiescy zawierają umowy transportowe z każdym. Podejrzewam, że to oni najwięcej skorzystają na tym interesie.

- Czyż nie jest tak zawsze? Odpoczniesz chwilę?

- Nie, muszę zaraz lecieć.

- Pozdrów ode mnie ojca. Powiedz mu, że trzeba zacząć transportować ekwipunek. Wynajmijcie tyle statków Niebieskich, ile tylko się da.

V'thell pochylił skrytą pod hełmem głowę.

- Proszę bardzo.

Złoty Moranth wspiął się na siodło. Skrzydła quorla poruszyły się, przeradzając się w zamazaną plamę. Mężczyzna pochylił głowę, by się osłonić przed piaskiem i pyłem wzbitym przez startujące stworzenie. Quorl zniknął w ciemnościach nocy. Po pewnym czasie z mroku wyłoniła się kolejna postać, odziana w długi ciemny płaszcz z kapturem.

- Możemy im ufać?

Mężczyzna nazwany przez Morantha Zgniataczem parsknął ochryłym śmiechem.

- Ehe, dopóki zachowamy szansę zwycięstwa. Potem renegocjują porozumienie. A co z tobą?

- Z moją wiernością? Czy moimi wieściami?

Zgniatacz uśmiechnął się półgębkiem.

- Krążą pogłoski o powrocie Karmazynowej Gwardii - oznajmił przybysz.

Mężczyzna prychnął pogardliwie.

- Słyszemy je co roku. Zwłaszcza gdy czasy są złe. Nie przywiązywałbym do tego wagi.

Przybysz uniósł głowę, ale pod kapturem nadal panowała nieprzenikniona ciemność.

- Czy rozważałeś możliwość, że mogą rzeczywiście wrócić? W końcu są wśród nich tacy, których imiona wciąż niosą się koszmarowym echem.

- Wśród nas też.

- Kogo masz na myśli, mówiąc o nas? Dassem odszedł. Kellanved i Tancerz również. Któż z pozostałych zdoła się im oprzeć?

- Zawsze zwyciężaliśmy w starciu z nimi.

- Jak dotąd.

Zgniatacz potarł kark.

- Jeśli pragniesz zapewnień, ja ci ich nie udzielę. Rzucamy kości, a Bliźniaki decydują.

- Nie chcę nic zostawiać przypadkowi.
- Zawsze o wszystkim decyduje przypadek. Jeśli nadal tego nie rozumiesz, pewnie już nic cię nie zmieni.
- Co miałoby mnie zmienić, jeśli nic nie zostawiam przypadkowi?
- Jest coś jeszcze?
- Nie. Przekonałeś mnie w sprawie Moranthów. Złożę stosowny meldunek.

- Zrób to.

Zakapturzona postać pochyliła głowę.

- Będziemy w kontakcie przez zwyczajowe kanały.

- Ehe. Przez nie.

Mężczyzna - a może kobieta? - oddalił się w noc.

Zgniatacz wpatrywał się w płomienie jeszcze przez pewien czas. Wreszcie westchnął i strzelił palcami. Rozmowy ze zdrajcami zawsze go irytowały. Zwłaszcza zdrajcami ze Szponu. Ale z drugiej strony sam teraz zaliczał się do tej kategorii. Pamiętał swe pierwsze kontakty z Moranthami. Zmiażdżył wówczas w uścisku tułowiową broję jednego z nich. Wtedy właśnie nadali mu to śmieszne imię. Prościej by było, gdyby mówili na niego „Crust” albo „Urko”.

Wrócił w myślach do obaw zdradzieckiego szpona. W jego umyśle pojawiła się wizja Oprawcy, który kroczył przez usiane trupami pole bitwy i odpierał wszelkie możliwe ataki, nie przestając zabijać. Zadrzał. Niech Kaptur jej pomoże, jeśli Oprawca wróci. Ale nie, wszelkie analizy wskazywały, że po prostu wysłałaby przeciwko nim cały stan Szponu, aż wreszcie zostaliby tylko regularni żołnierze. To może ją kosztować setki ofiar, ale w końcu zadecyduje przewaga liczebna.

Tak czy inaczej, muszą działać. To było twarde i okrutne, ale zamierzali zwyciężyć, a to będzie najlepsza szansa w tym pokoleniu. Poniekąd było mu jej żal. Stała się więźniem koszmaru, który sama stworzyła. Na Otchłań, może nawet im za to podziękuje. Był przeko-

nany, że Laseen w końcu zrozumie ich decyzję. Zawsze wiedziała, co znaczy konieczność.

* * *

– Nie wytrzyma.

– Pewnie, że wytrzyma.

– Nie. Ma za słabe wsparcie z prawej. Mur z tej strony się załamie i całość runie.

– Nie runie. Ciasno je ułożyliśmy. Przeciwnapężenie jest wystarczająco silne.

Dwoje żołnierzy malazańskiej piechoty morskiej siedziało na sterce cegieł pod zwróconą na wschód bramą Li Heng, zwaną Bramą Świtu, przyglądając się wyniosłemu zewnętrznemu łukowi masywnej wieży bramnej. Na północ i na południe od niej ciągnęły się legendarne mury kurtynowe miasta: wysokie na dziesięć wzrostów mężczyzny i niemal niezniszczalne.

Z cienistej bramy – tak szerokiej, że mogłyby nią przejechać obok siebie cztery rydwany – wyłonił się mężczyzna w długich szatach. Rozejrzał się, osłaniając oczy dłonią, i zauważył dwoje żołnierzy. Odwrócił się i wrzasnął coś. Akustyka długiego tunelu sprawiła, że jego słowa poniosły się echem, przechodząc w nieartykułowany ryk. Z tunelu wypadł drugi mężczyzna. Podbiegł do pierwszego i uniósł nad jego głową parasol. Ten pierwszy poprawił szaty o szerokich rękawach i ruszył ku Malazańczykom. Drugi dotrzymywał mu kroku, unosząc wysoko parasol.

– Hej, wy! Gdzie wasz dowódca?

Żołnierze popatrzyli po sobie. Kobieta dotknęła palcem sfatygowanej skórzanej czapeczki.

– Sędzio Ehrmann, cóż cię sprowadza na budowę, którą kierujesz? Idę o zakład, że to złe wieści.

Ehrlann otarł twarz białą jedwabną chusteczką, uśmiechając się blado.

– Już dawno zauważyłem, że wy, hmm, saperzy, nie potraficie okazać szacunku. Jestem przekonany, że wyrok sądowy poprawi wasze maniery.

– Słyszałeś, Słoneczko? – zapytała kobieta. – Jesteśmy saperami. Jak mamy budować wam mury, jeśli nas skażesz?

– Pewnie w łańcuchach – odparł z uśmiechem sędzia. – Gdzie wasz dowódca?

– Pracuje.

Ehrlann machnął ręką, odganiając muchy.

– Chciałaś powiedzieć, że jest pijany. Jamaer! Miotelkę!

– Skąd ci wezmę miotelkę? – zapytał Słoneczko.

– Nie mówiłem do was, durnie.

Służący uniósł wolną ręką kij zakończony pękiem włosów bhederin. Ehrlann wziął od niego miotelkę i zaczął nią machać przed twarzą.

– Nie zadawajcie sobie trudu. Sam go znajdę.

Sędzia ruszył naprzód, potykając się o walające się na ziemi cegły i kamienie. Jamaer konsekwentnie podążał za nim, unosząc parasol.

Żołnierze popatrzyli na siebie.

– Mamy za nim iść? – zapytała sabotażystka, poprawiając czapkę na krótko obciętych kasztanowych włosach.

– Storo może go zabić. To by źle wyglądało w sądzie.

– Masz rację.

Ruszyli za Ehrlannem.

* * *

Sędzia zatrzymał się przed czymś w rodzaju markizy, zrobionej z wojskowego płaszcza zwisającego ze szczytu wyniosłego bloku wapienia,

do połowy pogrzebanego w ziemi. Spod zasłony wyłonił się mężczyzna. Wyprostował się chwiejnie, zakasłał i wytarł dłonie o luźną, brudną kurtkę.

Dwoje saperów zasalutowało dziarsko.

– Meldujemy się na rozkaz, kapitanie Storo!

Storo przeszył ich złowrogim spojrzeniem, przełknął ślinę i skrzywił się, poczuwszy jej smak.

– Sierzancie. Co się znowu stało, Ehrlann?

– Przyszedłem zażądać otwarcia Bramy Świtu. Zażądać, dowódco. Nasi budowniczo wie zapewniają, że renowacja dawno już się skończyła, a konstrukcja jest bezpieczna. Najwyższy czas otworzyć bramę dla kupców.

Storo podrapał się po poźółkłych, porośniętych szczecina policzkach. Uniósł rękę, osłaniając oczy przed słońcem.

– Czy to ci sami budowniczo wie, których pięść rozkazała ci zwolnić za przymykanie oczu na kradzież budulca z muru?

– To był drobiazg. Winne są te niepożądane elementy.

Sędzia wskazał miotelką obóz uchodźców rozciągający się po obu stronach wschodniego traktu.

Storo spojrział w tamtą stronę.

– Oni mieszkają w namiotach, Ehrlann.

– Tak czy inaczej, nie będziecie dłużej zwlekać. Prace przy bramie dobiegły końca. Jeśli okaże się to konieczne, Rada zawiadomi wielką pięść Ananda, że nie potrzebujemy już usług jego saperów, a fortyfikacje Li Heng odzyskały swą starożytną chwałę.

Na Ehrlanna padły promienie słońca. Sędzia skrzywił się ze złością.

– Wyżej, ty durniu! – warknął.

Jamaer uniósł parasol.

– Możesz go zawiadamiać, o czym chcesz – odparł ze spokojem Storo. Przykucnął, by unieść leżący pod baldachimem hełm, i go zało-

żył. – Anand i tak wysłucha tylko mojego raportu.

Ehrlann otarł kropelki potu perlące mu się na twarzy. Złapał się od przodu za szaty.

– Nie zmuszaj Rady Sędziów do postawienia formalnych zarzutów, kapitanie.

– Na przykład jakich? – zapytał Storo, mrużąc powieki.

– Zdarzyły się przypadki ataków na obywateli, dowódco. Nękania urzędników wykonujących swe obowiązki.

Storo prychnął pogardliwie.

– Na twoim miejscu nie próbowałbym aresztować żadnego z moich ludzi, Ehrlann. Na przykład Jalor pochodzi z jednego z plemion z Siedmiu Miast. To by mu się nie spodobało. A Rell... – Storo pokręcił głową. – Wolę nie myśleć, co on by zrobił. Zresztą pięść Rheena nie uzna waszych cywilnych nakazów.

– Uzna. Miejski garnizon was nie poprze, dowódco.

– Chcesz powiedzieć, że ich przekupiłeś?

– Dowódco! Protestuję przeciwko takim insynuacjom!

– Nie zadawaj sobie trudu, Ehrlann. Rzut, Słoneczko, jak brzmi wasza opinia na temat wieży bramnej, tunelu i luków?

– Spokojnie wytrzymają pięćdziesiąt lat – zapewniła Rzut.

– Wkrótce się zawala. Raczej prędzej niż później – sprzeciwił się Słoneczko.

– Sam widzisz – oznajmił sędziemu Storo.

Ehrlann machnął miotełką przed twarzą, spoglądając na rozmówcę.

– To znaczy...?

– To znaczy, że dostaniesz swoją bramę. Jutro możecie ją otworzyć dla ruchu.

Sędzia się rozpromienił. Rozpostarł szeroko ramiona, jakby miał zamiar uściskać Stora.

- To wspaniale, dowódco. Wiedziałem, że dasz sobie przemówić do rozsądku. Muszę przyznać, że pertraktacje z weteranami, takimi jak wy, były dla nas cenną lekcją. Tu, w głębi łądu, nie spotykamy takich ludzi zbyt często. Powiedz mi, jak to się nazywa ten kontynent, który podbiliście ku chwale cesarzowej? Gangabaka? Bena-gagan?

- Genabackis - odparł z westchnieniem Storo. - Jeszcze nie skończyliśmy pracy.

Ehrlann zmarszczył brwi w grymasie nieufności.

- Słucham, dowódco?

- Chodzi o tamto wzgórze.

Storo uniósł podbródek, wskazując nim na północ.

- Tak? Wzgórze Katowskie?

- Chcę je obniżyć o jeden wzrost mężczyzny...

- Dwa wzrosty - wtrąciła Rzut.

- Tak jest. O dwa.

Miotelka znieruchomiała.

- Chyba żartujesz, dowódco. - Ehrlann wskazał miotelką wzgórze.

- Tam właśnie tracimy przestępców. Tam miasto wymierza sprawiedliwość. To starożytna tradycja. Nie możecie w nią ingerować. To po prostu niemożliwe.

- Wcale nie jest taka starożytna.

- Kto tak powiedział?

- Mój mag Jedwab. Mówi, że ta tradycja ma tylko siedemdziesiąt lat, i jego słowa w zupełności mi wystarczają. Zresztą możecie sobie garotować głodujących nędzarzy gdzie indziej, Ehrlann. Jak już dacie nam robotników, którzy obniżą wzgórze, zaczniemy kopać fosę.

- Fosę? Fosę? A gdzież ona ma przebiegać?

- Właśnie tu, gdzie stoisz. - Storo podniósł pas z mieczem i zakurzona kolczuga. - Życzę dobrego dnia, sędzio. Rzut, Słoneczko, muszę się napić.

Sędzia Ehrlann odprowadzał wzrokiem zmierzających ku Bramie Świtu weteranów. Potem spojrzął na luźną ziemię, cegły oraz zdeptane śmieci, które miał pod nogami. Wzdrygnął się, gdy czubka jego głowy dotknęły promienie słońca.

– Jamaer! Parasol!

* * *

Grubas w szatach błękitnej barwy oceanu zmierzał Zaułkiem Wróżbitów – untańską ulicą, przy której rezydowali interpretatorzy Talii Smoków, woskowe wiedźmy i grotowi jasnowidze – z cierpliwością poszukiwacza wypatrującego skarbów na bezludnej plaży. Zaułek nie był jednak bynajmniej bezludny. Unta, stolica imperium, była magnesem, ośrodkiem przyciągającym wszelkiego rodzaju talenty, legalne i nie. Byli wśród nich magowie, użytkownicy rozmaitych grot, lecz również posiadacze pomniejszych talentów, interpretatorzy Talii Smoków, prawdomówcy, wszelkiego rodzaju wróże posiłkujący się zwierzęcymi wnętrznościami albo odczytujący regularności dostrzeżone w dymie, pęknięciach spalonej kości bądź też układzie rzuconych patyków.

Wróżbiarstwo było w imperium najnowszym krzykiem mody. Gdy upał mijał, a niebo przybierało granatową barwę, w zaułku zjawiały się tłumy ludzi o najróżniejszych pozycjach społecznych. Wszyscy szukali informacji o kaprysach Bliźniaków Oponn – pchnięciach Chłopa i pociągnięciach Pani – albo ochrony przed nimi. Tłum sprzedawców cudownych przedmiotów zachwalał swe grzechoczące relikwie, ikony oraz amulety. Właściciele straganów zaczęli przechodzić.

- Dowiedz się, co ci przyniesie fortuna, szlachetny!
- Obejrzyj mapę wpływów Wielu Królestw na swą ścieżkę!
- Poznaj tajemnice ascendencji, wielmożny panie!
- Otacza cię mnóstwo wrogów.

Thusty mężczyzna w niebieskich szatach stanął jak wryty. Spojrzał na brudnego ulicznika, tylko nieco niższego niż on.

– Ryzykujesz wszystko – ciągnął chłopak, zaciskając powieki. – Ale w zamian za nagrodę, która wykracza poza twoje wyobrażenie.

Mężczyzna uniósł brwi i zacisnął pulchne wargi, a potem odrzucił głowę do tyłu i ryknął głośnym śmiechem. Pokryte blaknącymi zielonymi plamami zęby robiły wrażenie brudnych i niezdrowych.

– Oczywiście! – zgodził się. – Ależ oczywiście! Trafnie przewidziałeś przyszłość. Wielki talent twój jest, chłopcze. – Pogłaskał młodzieńca po brudnych włosach i wręczył mu monetę. Potem skinął dłonią do pobliskiego straganiarza. – Wielką przyszłość przepowiadam temu śmiałemu chłopcu! – zawołał i ruszył w dalszą drogę.

Zdziwiony zapowiadacz wizyt Umarłej Poliel wpatrzył się w tłum.

* * *

Podsuwali mu swe towary sprzedawcy Talii Smoków. Spoglądał na wszystkich tolerancyjnym okiem. Sprawdzał zalety każdej starożytnej, owiniętej w aksamit kolekcji kart, aż wreszcie nabył jedną z nich, oferowaną na sprzedaż za wyjątkowo niską sumę z powodu nagłych nieszczęść, jakie spadły na rodzinę, w której posiadaniu znajdowała się od pokoleń.

Mijając stragan z relikwiami, nasyconą biżuterią i stosami amuletów, zatrzymał się nagle i odwrócił. Siedzący za ladą mężczyzna wstał ze stołka, zauważywszy, że spojrzenie grubasa w drogich szatach padło na zestaw naszyjników. Uśmiechnął się z mądrą miną.

– Tak. Masz dobry gust, szlachetny panie. – Zdjął splecione naszyjniki i podsunął je mężczyźnie, który cofnął się nagle. – Spójrz na ogniwa, panie, to miniaturowe łańcuchy. A wisiorki! To gwarantowane odpryski kości nieszczęsnych ofiar śmiertelnego marszu tego diabła Coltaine'a. – Grubas wybałuszzył raptownie oczy. Przelknął z wysiłkiem ślinę. – Znasz historię tego smutnego epizodu, panie?

Mallick Rel wziął się w garść.

- Tak - zdołał wychrypieć.

- Czyż to nie haniebna tragedia?

Mallick rozprostował ramiona. Rozciągnął usta, odsłaniając pokryte kolorowymi plamami zęby.

- Tak. To było straszliwe niepowodzenie. Jego wspomnienia po dziś dzień wracają do mnie niczym fale.

- Dziękujemy mądrości cesarzowej, która wezwała cały Quon do zemsty na zdradzieckich Wickanach.

- Tak. Dziękujemy jej.

- Musisz nabyć tę relikwię, panie. Obyśmy wszyscy nauczyli się czegoś z tego, co ona zawiera.

Sprzedawca pokłonił się i nie zauważył, że spojrzenie oczu Mallicka, ukrytych głęboko w fałdach tłuszczu, nabrało dziwnej intensywności.

- Tak - potwierdził grubas. - O tej lekcji warto pamiętać. - Uśmiechnął się błogo. - Z pewnością kupię twą znakomitą relikwię. A czy to, co widzę obok, to amulet chroniący przed wiecznym głodem Kaptura?

* * *

Gdy wieczór przeszedł w noc i pojawiły się ćmy oraz nietoperze, służący zapalili lampy przed sklepami najbardziej pracowitych wróżbitów i interpretatorów. Mallick wszedł do lokalu będącego własnością niejakiej pani Batevari. Kobieta ta przybyła do stolicy dopiero niedawno, lecz w bardzo krótkim czasie okryła się wielką sławą dzięki swej niezwyklej wrażliwości na znaki i zapowiedzi przyszłości, jakie można było dostrzec we wpływie wywieranym przez grotty. Na ulicach znano ją jako wielką kapłankę Królowej Snów, ale jej oficjalna pozycja w kulcie pozostawała niepewna. Pani Batevari i Wielka Świątynia na Rondzie Bogów z determinacją ignorowały się nawzajem. Niektórzy

zapewniali, że kobieta jest szarlatanką, zauważając, że choć twierdziła, iż pochodzi z Darudżystanu, nikt, kto był w tym mieście, nie słyszał, by wspomniano tam jej imię. Inni zapewniali, że jest autentyczną kapłanką kultu, traktując jako dowód jej niezaprzeczalnie trafne proctwa i przepowiednie. Obie strony sporu uważały sympatię okazywaną kobiecie przez Mallicka Rela za potwierdzenie słuszności własnego stanowiska.

Mallick – który nic nie wiedział o tej debacie, albo może wiedział o niej bardzo wiele – wszedł do holu. Spotkał go tam sługa ubrany w tradycyjne nogawice i tunikę mieszkańca Pale, miasta w północnej Genabackis. Ostatnio w bogatych domach zapanowała moda na zatrudnianie emigrantów oraz uchodźców z podbitych przez imperium krajów jako lokajów, strażników oraz panny do towarzystwa. Gość wręczył mężczyźnie szaty podróżne koloru morza. Lokaj pokłonił się i wskazał ręką drogę do salonu.

W wejściu Mallick zamarł w bezruchu, krzywiąc się z bólu. Jego zmysły zaatakował fantasmagoryczny zestaw mebli, tkanin i dzieł sztuki ze wszystkich prowincji imperium, a także ziem położonych poza jego granicami. Gdyby cyklon – jeden z tych, jakie niekiedy atakowały jego falarską ojczyznę – spustoszył Wielki Bazar w Arenie, tak właśnie mogłyby wyglądać ślady jego przejścia. Uśmiechnął się szyderczo na widok falarskiego dywanu – taniej szmaty dla turystów – powąchał barghascki totem – oczywisty falsyfikat – i skrzywił się na widok przykładowego letheryjskiego malarstwa deskowego – wyjątkowo nieudanej kopii.

– Czy to ty, młody Mallicku? – dobiegł z wnętrza drżący głos starej kobiety.

Odrzucił się i zobaczył siwą staruszkę o patykowatych kończynach, jeszcze niższą od niego. Młode dziewczątko w białych szatach tancerki, Taya, trzymało ją pod rękę. Mallick pokłonił się z szacunkiem.

– Witaj, pani.

Taya poprowadziła panią Batevari do najwygodniejszego fotela i usiadła na dywanie obok niej, kryjąc stopy pod obszerną szatą. Jej umalowane kohlem oczy spoglądały figlarnie na Rallicka spod przezroczystego welonu tancerki. Lokaj przyniósł tacę ze słodyczami i winem w wysokich kryształowych kielichach. Mallick i pani Batevari wzięły je.

– Niepokoje w szeregach tak zwanych bogów nie cichną, Mallick – oznajmiła Batevari z wyraźną satysfakcją. – Rzecz jasna, towarzyszą im analogiczne zaburzenia w naszym królestwie śmiertelników.

Mallick rozpromienił się.

– Z całą pewnością – wyszeptał.

Wyprostowała się, zaciskając palce na poręczach fotela niczym szpony.

– Pierzchają jak szczury zaskoczone w domu ogarniętym pożarem!

Mallick zakrztusił się winem.

Bogowie, to cud, że wszyscy klienci tej baby nie poszli się utopić w Zatoce Untańskiej.

– Tak jest. Z pewnością! – zawołał, kaszłąc.

Pani Batevari znowu usiadła głębiej w fotelu i opróżniła kielich jednym, długim haustem. Taya mrugnęła teatralnie do Mallicka.

– Powiedz, bohaterze stłumienia buntu w Siedmiu Miastach, co może ci zaoferować to marne naczynie? – zaintonowała staruszka. Jej czarne oczy zmieniły się w wąskie szparki. – Masz jeszcze do pokonania długą drogę, ale pokonasz ją, Mallick. Zajdziesz bardzo wysoko. Powtarzałam ci to wiele razy...

– Jesteś bardzo uprzejma, pani.

– To nie była przepowiednia. – Uśmiechnęła się szyderczo. – To prawda. Widziałam to.

Mallick wymienił spojrzenie z Taya, która uniosła oczy ku niebu.

– To mnie uspokaja – rzekł, starając się, by jego z natury cichy głos zabrzmiał jak najgłośniej.

– Ale czy słusznie?

Mallick powstrzymał pragnienie spiorunowania jej gniewnym spojrzeniem.

– Tak czy inaczej, mówiliśmy o tak zwanych bogach – ciągnęła. Być może nie zauważyła jego irytacji. Nagle wpatrzyła się w dal i umilkła na dłuższą chwilę.

Mallick przyjrzał się twarzy staruszki. Jej oczy niemal całkowicie niknęły w zmarszczkach. Czy czekała go kolejna porcja jej nieznośnego kabotyństwa?

– Widzę potężne starcie przeciwstawnych dążeń, które nadejdzie szybciej, niż się komukolwiek wydaje – zaintonowała sennie. – Widzę spiski ukryte w spiskach i pierzchające tłumy! Widzę, jak Nowe ściera się ze Starym i z Uzurpacją! Widzę odwrócenie porządku! A gdy Domy się walą, moce zwracają się przeciwko sobie jak szczury, którymi przecież są. Brat przeciwko siostrze! Wszyscy spoglądają na rannego, ale on wcale nie jest najsłabszy. Nie, jego czas jeszcze nadejdzie. Ci, którzy wydają się najsilniejsi, są... Zbyt długo już nikt nie rzucił im wyzwania! Jeden ukrywa się w ciemności, gdy oni walczą, ale czy widzi dokładnie swą ścieżkę... czy w ogóle ją widzi? Najciemniejszy...

– Wciągnęła nagle powietrze. Dopadł ją gwałtowny kaszel. – Jego zguba jest już blisko! Jeśli zaś chodzi o najjaśniejszego... zawsze jest najbardziej odsłonięty. Ta, która obserwuje, przegapi swą szansę i pojawią się bestie, by ścigać ostatnią możliwość przetrwania nadchodzącej transformacji. Panteon czeka zagładą. A z popiołów powstanie... powstanie...

Mallick nie spuszczał z niej wzroku. Zapomniał o trunku, choć traktował słowa staruszki z maksymalnym sceptycyzmem.

– Tak? – zapytał, unosząc brwi. – Co powstanie?

Pani Batevari zamrugnęła.

– No właśnie? Co? – Uniosła pusty kielich i zmarszczyła brwi. – Hernon! Przynieś więcej poczęstunków!

Mallick stłumił pragnienie uduszenia staruchy. Czasami nawet on, choć powinien wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, zadawał sobie pytanie... Zerknął na Tayę. Dziewczyna spoglądała na panią Batevari z niezwykle zaniepokojoną miną.

- Twoje przeczucia i przepowiednie jak zwykle mnie zdumiewają - oznajmił, gdy sługa, Hernon, napełnił pani kielich. - Na przykład proctwa dotyczące Karmazynowej Gwardii - ciągnął, spoglądając na opuszczającego salon lokaja. - Gwardziści z pewnością są już blisko. Znacznie bliżej, niż się komukolwiek wydaje. Zgodnie z twoimi przewidywaniami. Potrzebna będzie silna ręka, by ich powstrzymać...

Pani Batevari znowu wypila wino jednym haustem.

- Zgodnie z moimi przewidywaniami... - wyszeptła sennym głosem. - A teraz... - Spróbowała wstać z fotela i Taya pośpieszyła jej z pomocą. - Zostawię was samych, byście mogli porozmawiać w cztery oczy. - Wyciągnęła szponiastą dłoń do Mallicka. - Znam prawdziwe motywy, które skłoniły cię do odwiedzenia mojego skromnego domku na wygnaniu, Mallicku, pogromco buntowników.

Mallick również wstał i uśmiechnął się bez wyrazu. Wymienili z Tayą pośpieszne, niespokojne spojrzenia.

- Tak? Naprawdę?

Pochyliła się ku niemu, uśmiechając się lubieżnie.

- Chcesz mi ukraść ten młody kwiatek, ty zbereźniku! Tę towarzyszkę, która była dla mnie jedyną pociechą podczas wygnania z ośrodka cywilizacji, słodkiego Darudżystanu. - Uniosła rękę. - Kimże jednak jestem, by stawać na przeszkodzie namiętności młodych?

Mallick pokłonił się i machnął ręką, wyrzekając się podobnych intencji.

- Nigdy bym tego nie zrobił, pani - zapewnił.

- Tak tylko mówisz, krzyżujący szyki buntowi w Siedmiu Miastach. Ale nie ulegaj rozpacz. - Pani Batevari mrugnęła znacząco. - Ona może jeszcze ci ulec. Nie zwijaj obłężenia.

Taya pochyliła głowę, zasłaniając usta.

Mallick wiedział, że dziewczyna ukrywa śmiech, ale słowa staruszki go zirytowały.

– Wracam na swe pokoje, pomedytować o niewysłowionym. Heron! Chodź!

Lokaj wrócił i wyprowadził panią Batevari z salonu. Mallick pokłonił się, a Taya dygnęła.

– Pamiętaj, dziecko, Heron będzie czekał pod drzwiami, na wypadek gdyby nasz gość się zapomniał i dał się ponieść namiętności! – zawołała z korytarza staruszka.

Taya znowu zakryła usta, lecz tym razem nie udało się jej w pełni zamaskować chichotu. Mallick zdziwił się spazmem gniewu, który nagle go dopadł. Gdyby tylko wiedział na pewno czy to skleroza, czy świadoma obelga. Nalał sobie kolejny kielich białego untańskiego wina.

Taya osunęła się na krzesło. Śmiała się głośno, zakrywając twarz dłońmi.

Mallick zaczekał chwilę, by mieć pewność, że starucha sobie poszła. Zakreślił winem, obserwując opadające na dno męty.

– Gdybym nie był tak bardzo pewien, że wody są płytkie – wydyssał. – Obecność ukrytych głębin czasami bym podejrzewał.

Taya uśmiechnęła się figlarnie, podkulając nogi pod siebie.

– Jej praca wymaga iluzji głębi, Mallick. Naprawdę jest niezła, nie sądzisz?

Upił łyk wina. Było zbyt wytrawne jak na jego gust.

– A ta ostatnia mowa? Te najnowsze prorocze oznajmienia?

– To jej aktualny tekst. – Dziewczyna poprawiła przejrzysty strój tancerki, odsłaniając ramiona. – Nie ma w nim nic szczególnie śmiałego, jeśli się nad tym zastanowić. Fener upadł, Trake chce zająć jego miejsce, w talii pojawiły się nowe, ambitne Domy i mnóstwo świeżych kart. Właściwie to raczej konwencjonalne.

- Niemniej pewna niepokojąca elegancja...

Taya odgarnęła długie czarne włosy i związała je w węzeł.

- Mallick, mój drogi - rzekła z uśmiechem. - Jeśli jest tu jakaś elegancja, zawdzięczamy ją tylko tobie.

Mallick pokłonił się jej.

- Zatem... Karmazynowi Gwardziści. - Taya pogłaskała koniuszkami palców obite pluszem poręcze fotela. - Oczywiście w Darudźy stanie wiele o nich słyszałam. Bardzo wtedy pragnęłam ich tam ujrzeć. A więc rzeczywiście nadchodzą?

Mallick wydał usta. Zastanowił się, czy usiąść naprzeciwko dziewczyny, i postanowił tego nie robić. Spacerował jeszcze przez chwilę po pokoju, udając, że podziwia dzieła sztuki. Wreszcie odchrząknął.

- Jak przyływ. Są już blisko i nie sposób ich powstrzymać. Śluby wciąż gnają ich naprzód. Jak zwykle są ich największą siłą i największą słabością. Dlatego nie sądzę, by mieli się biernie przyglądać.

Taya zerknęła na niego.

- Przyglądać się biernie czemu?

- Ależ aktualnym trudnościom, oczywiście - odparł, uśmiechając się bez wyrazu.

Taya wydeła demonstracyjnie usta i zdmuchnęła opadający na oczy kosmyk.

- Nie lubię, gdy coś przede mną ukrywasz, Mallick. Nieważne. Mam swoje źródła i uważnie słucham wszystkich gości tego starego babska. Zdziwiłbyś się, kto zwraca się do niej po radę. Ale z drugiej strony pewnie byś się nie zdziwił. Nikt z nich nic o tym nie wie. Nie mów, że masz informatorów w samej Gwardii.

Mallick uśmiechnął się, jakby rozbawiła go dziwaczność tej sugestii. Pokręcił głową.

- Nie, dziecko. Gdybyś coś o niej wiedziała, nigdy nie wpadłabyś na tę myśl. To niemożliwe.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Każdą organizację można spenetrować. Zwłaszcza złożoną z najemników.

Mallick zatrzymał się nagle i spojrzał na Tayę.

- Muszę podkreślić, że bardzo się mylisz. Nigdy nie uważaj Gwardzistów za najemników. To raczej wojskowy zakon.

Taya westchnęła, spoglądając ku sufitowi.

- Bogowie, tylko nie taki, jak ci z Elingarthu. To straszliwie nudne.
- Przeciągnęła się, unosząc ręce nad głowę. Cienka tkanina opadła jeszcze bardziej, odsłaniając jasne, muskularne barki. - Czemu mnie dziś odwiedziłeś, Mallick? O kogo chodzi tym razem?

Mallick przyglądał się, jak Taya wygina plecy coraz bardziej. Jej małe, sterczące piersi rozciągały przejrzystą tkaninę.

Ty również próbujesz ze mnie drwić, dziewczyno? Potrzebuję twych niezrównanych umiejętności, ale jestem jak głębin. Pamiętam wszystko.

Odchrząknął, osuszył kielich i usiadł.

- Deputowany Imry, reprezentujący Konfederację Kańską, musi ustąpić. Sugeruję chorobę, jego własną albo w rodzinie...

- Nie ucz mnie, jak mam wykonywać swą pracę, Mallick. Ja ci nie mówię, jak manipulować Zgromadzeniem.

- Ależ mówisz, najmilsza - odparł grubas głosem tak cichym, że prawie nie było go słyszać.

Zachichotała.

- To prerogatywa kobiety, Mallick.

Uniósł kieliszek, uznając prawdziwość jej słów.

- Poseł Imry... to wymaga czasu.

- Bezwłocznie.

- Czasu - powtórzyła Taya. Nagły ostry ton w jej głosie zabrzmiał zaskakująco u tak drobnego dziewczątka.

Mallick uspokoił ją, unosząc rękę.

– Proszę, kochanie. Wysłuchaj mnie. Czasy subtelności i sprytu szybko mijają. Wody się podnoszą i wszystko wskazuje, że niedługo nadejdzie chwila, by pozwolić prądowi wydarzeń ponieść nasz skromny stateczek.

Taya odchyliła się, skubiąc białą, delikatną jak piórko tkaninę pokrywającą jej udo.

– Rozumiem. Proszę bardzo, ale to nie będzie wyglądało przyjemnie. Mogą się pojawić pytania.

Mallick odstawił kieliszek i wstał.

– Nadchodząca burza uniesie je wszystkie ze sobą. Zostawię cię twojej pracy.

– Mam zacząć już dzisiaj? W takim stroju?

Rozpostarła szeroko ramiona.

Mężczyzna popatrzył na nią obojętnie.

– Jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej. Nigdy bym nie śmiał cię pouczać, jak masz wykonywać swoją pracę.

Taya trzepnęła dłońmi w obite pluszem poręcze.

– Obyś dzielił ból Przykutego, Mallick. Nie mam pojęcia, dlaczego cię toleruję.

Pokłonił się jej.

– Być może dlatego, że wyłącznie razem mamy szanse zrealizować swe ambicje.

Zbyła jego słowa machnięciem dłoni.

– Tak. Być może. W końcu tylko w ostatnim miesiącu zapobiegłam dwóm zamachom na ciebie. – Spojrzała na niego spod opadających powiek. – To chyba znaczy, że twoje wpływy rosną.

Mallick zawahał się porażony nagłą niepewnością. Czy to miało być zwykłe przypomnienie, czy zawołowana groźba? Postanowił, że pokłoni się jeszcze raz. Ostrożność przede wszystkim. W końcu Taya była dla niego niezwykle cenna. Talent nieznanany nikomu poza nim w całej stolicy.

– Jesteś dla mnie zbyt uprzejma. Pamiętaj, by przypomnieć starszce o Karmazynowej Gwardii. I o tym, że potrzebna jest silna ręka. Musi wspominać o tym częściej.

Dziewczyna skinęła głową.

– Tak, Mallick. Jak zwykle.

* * *

Wieczór robił się chłodny i po wyjściu na dwór grubas otulił się szczelniej szatami. Wydał mięsiste wargi. Przygnębiała go myśl, że musi się zniżyć do próśb i obmierzłych pochlebstw, by osiągnąć swój cel. Niemniej inwestycja okazała się opłacalna. Nikt, nawet Laseen i jej szpony, które ongiś trzymały całe miasto w garści, nie mógł podejrzewać, kto ukrył się tak skutecznie w zasięgu ręki od Pałacu Cesarzowskiego. Tylko szczególne talenty dziewczyny pozwoliły Mallickowi ją wykryć. Taya Radok z Darudżystanu. Córka samej Vorcan Radok, najlepszej ze skrytobójców w owym mieście. Uczyla się od matki sztuki potajemnego zadawania śmierci, nim jeszcze posiadała umiejętność chodzenia. Przybyła do Unty, by zemścić się na imperium, które zabiło jej matkę. Ach, jakże cudowną zemstę razem wywrą – choć nie będzie ona wyglądała tak, jak mogłaby tego pragnąć dziewczyna.

Wyszedł na głośną, jasno oświetloną latarniami ulicę. Myśli o skrytobójcach i eliminacji przypomniały mu o jego własnym bezpieczeństwie. Rozejrzał się, wypatrując swego stróża, uświadomił sobie jednak, że oczywiście nie ma szans go zauważyć. Niemniej wyczuwał jego bliskość. Kolejna sierota na jego usługach. Miał chyba talent do ich wyszukiwania. Stary, wytatuowany mag spędził wiele lat w areńskim więzieniu. Mallick bez trudu zaaranżował ucieczkę starszka, zdobywając w ten sposób jego lojalność. I jakże użyteczne okazały się – jakby to ująć – niekonwencjonalne talenty Oryana.

Grubas wmieszał się w tłum obywateli i służących wypełniający Zaulek Wróżbitów. Pozwolił sobie na lekki śmieшек satysfakcji. Tylko

dwa, najdroższa Tayo? Stracił już rachubę czarodziejskich ataków odpartych przez Oryana dzięki jego niezwykłej magii pradawnych grot. Taya i Oryan, dwoje potężnych sług podobnego rodzaju. Rzecz jasna, był też Mael – jego bóg, a także coś jeszcze. Mogłoby się niemal zdawać, że los wytyczył dla niego ścieżkę prowadzącą aż do...

Zatrzymał się tak raptownie, że omal się nie przewrócił – a razem z nim ci, którzy szli przez ciżbę tuż za nim. Przypomniawszy sobie bredzenia staruszki. Bogowie ingerują? W jego sprawy? Nie. To niemożliwe. Żaden z nich by się nie ośmielił. Nikt nie kierował jego krokami.

Złapała go za łokieć twarda, powykęciana reumatyzmem dłoń. Spojrzały na niego oczy ciemne i matowe jak mokre kamyki. Oryan. Mallick odtrącił maga. To niemożliwe. Musi zamienić słówko z Maelem. I to zaraz.

* * *

Ghelel po raz pierwszy zwietrzyła kłopoty, gdy Quinn, pracujący dla ich rodziny nauczyciel szermierki, uniósł dłoń, w której trzymał sztylet, zarządzając przerwę. Wykorzystała tę okazję, by złapać się za bok. Bolała ją z wysiłku tak bardzo, że omal nie zgięła się wpół.

– Czemu się zatrzymałeś? – Wydyszała. – Miałeś mnie.

Wiekowy mężczyzna zignorował ją, podszedł do zamkniętych drzwi stajni i uchylił je sztychem noża.

– O co chodzi? Ojciec znowu jest niezadowolony, że mnie uczysz? – Usłyszała tętent koni i wyprostowała się, poruszając z bólu barkiem. – Kto to jest? Rodzina Adalów wróciła wcześniej z Tali? Powinnam się przebrać.

– Cicho, pani.

Schowała lewak i wąski miecz, a potem odgarnęła włosy przylepione do twarzy. Przód sznurowanej skórzanej kamizelki miała mokry od potu. Podniosła szmatę, by otrzeć twarz. Będą oburzeni i przerażeni, gdy zobaczą ją w takim stanie. W ostatecznym rozrachunku nie

miało to jednak znaczenia. Była tylko podopieczną Sellathów, nie łączyły jej z nimi więzy krwi. Wypuściła z rąk szmatę, słysząc dobiegające z głównego budynku głosy. Krzyki?

– Co się dzieje, Quinn?

Odrzucił się od drzwi. W wąskim snopie wpadającego do stajni światła unosiły się drobinki kurzu. Konie zarżały niespokojnie za plecami Ghelel. Quinn nie schował wąskiego kańskiego miecza ani lewaka. Spoglądając spod upstrzonej siwizną czupryny, omiół wzorkiem stajnię. Nadal ignorował Ghelel.

Trzask wyłamywanych kopniakami drzwi, tętent kopyt, szczerk metalu... miecze! Ruszyła ku drzwiom. Przez szczelinę ujrzała żołnierzy z malazańskiego garnizonu. Przekleci Malazańczycy! Czego mogli tu chcieć? Zaczerpnęła tchu, żeby krzyknąć, ale Quinn wypuścił sztylet i zamknął jej usta dłonią.

Jak śmiał? Co się działo? Czyżby był z nimi w zмовie?

Szarpała się, próbując wepchnąć łokiec pod jego podbródek.

Zdołał ją jakoś obrócić i unieść w pasie. Zaczął się cofać w głąb stajni.

– Cicho, dziewczyno – szeptał cały czas. – Pani, bądź cicho.

Porwanie! Czy to był jakiś malazański spisek? Ale dlaczego ją? Czego mogli od niej chcieć? Zdołała wreszcie wyszarpnąć rękę i wyciągnęła sztylet. Mężczyzna zrobił coś z jej łokciem – uszczypnął go albo nacisnął kciukiem – i broń wypadła z odrętwiałych palców dziewczyny. Jak tego dokonał? Podniósł nóż i ruszył w dalszą drogę.

Zaniósł ją do boksu, uspokoił delikatnym gestem stojącą w nim klacz, a potem odkopnął na bok słomę i łajno. Ściskając oba nadgarstki Ghelel w jednej ręce, zaczął obmacywać deski podłogi.

– Musimy się ukryć – wyszeptał. – Przed nimi. Rozumiesz?

– Ukryć? Musimy coś zrobić! Jesteś tchórzem, czy co?

Skrzywił się, słysząc jej ton.

– Ciszej, niech cię Pożoga przeklnie! Bo uspokoję cię tym.

Uniósł sztylet zwrócony gałką do przodu.

– Nie muszę się ukrywać. Nie jestem ważna.

Mocna klinga lewaka znalazła w końcu szczelinę. Otworzyła się ukryta zapadnia, nie szersza niż ramiona mężczyzny.

– Jesteś.

Zdumiona Ghelel wytrzeszczyła oczy. Co takiego? W tej samej chwili Quinn rzucił ją głową do przodu w ciemność.

Wylądowała twarzą na stercie cuchnących zgnilizną szmat.

– Au, bogowie! Niech cię Kaptur weźmie, ty głąbie! Ratunku! Niech ktoś mi pomoże!

Kłapa się zamknęła i zapadła ciemność. Ghelel usłyszała łoskot zeskakującego na dół Quinna.

– Jeśli jeszcze raz krzykniesz, ogłuszę cię – wysyczał cicho mężczyzna. – Wybór należy do ciebie.

– Jak mnie ogłuszysz? Żadne z nas nic nie widzi!

– Oczy ci się przyzwyczajają.

Zapadła cisza, maćona tylko wysilonym oddechem dziewczyny.

– Co się dzieje? – zapytała wreszcie Ghelel.

– Psst...

Usłyszała cichy szelest wysuwanego z pochwy miecza.

Widziała już blade smużki światła przedostające się do środka przez szczeliny między deskami.

– Czy chcesz mnie... zamordować?

– Nie, ale dźgnę każdego, kto otworzy tę kłapę.

– Co się dzieje?

– Wygląda na to, że miejscowy pięść zbiera zakładników ze wszystkich pierwszych rodzin.

– Zakładników? Dlaczego?

Ledwie widziała błądy owal twarzy spoglądającego na nią mężczyzny.

- Nie interesowałaś się zbyt ostro ostatnimi wydarzeniami, co? -
Wzruszył ramionami. - No, ale czemu właściwie miałabyś się interesować...

- O czym mówisz?

- O powstaniu. Secesji. Nazwij to, jak chcesz. Taliańskie rody szlacheckie nigdy nie zaakceptowały władzy Kellanveda, a już z pewnością nie Laseen.

- Mój ojciec...

- Przybrany ojciec...

- Tak, jestem podopieczną! Ale równie dobrze mógłby być moim ojcem! Czy nic mu nie grozi? Jest jeszcze Jhem! I mały Darian!

- Niewykluczone, że wszystkich zabrano.

Ghelel rzuciła się na drabinkę, którą ledwie widziała. Quinn ściągnął dziewczynę na dół. Biła i kopała, ale on przycisnął ją mocno do siebie i uciszył cichymi szeptami, zupełnie jak klacz na górze. Po chwili uspokoiła się w jego ramionach.

- Cicho, pani - wyszeptał. - Bo inaczej ciebie też zabrają.

- Nie jestem ważna.

- Jesteś.

- Co...

Przyłożył palec do jej ust. Znieruchomiała. Wyteńczyła słuch, odprężyła się, skupiła na własnym oddechu, starając się oddychać głęboko, nie płytko. Tych metod nauczył ją sam Quinn.

Na górze rozległy się kroki. But zatrzymał się na słomie. Quinn uniósł miecz. Podał Ghelel sztylet, a ona go przyjęła.

Nastąpiła chwila ciszy, potem kroki się oddaliły. Z oddali dobiegły ciche głosy. Quinn się uspokoił.

- Zaczekamy do nocy - wydyszał.

Ghelel czuła się z tego powodu okropnie, ale skinęła głową.

Ktoś trącił ją lekko i obudziła się w nieprzeniknionej ciemności. Pode-
rwała się w nagłej panice.

– Psst – dobiegł ją cichy głos.

Przypomniała sobie wszystko i uspokoiła się.

– Bogowie, ależ tu ciemno.

– Tak. Sprawdźmy, co się dzieje.

Słuchała, jak Quinn wchodzi ostrożnie po drabinie i otwiera kłapę. Do środka napłynęło światło gwiazd. Ghelel sprawdziła broń, popra-
wiła skórzaną kurtkę i spodnie. Quinn zniknął jej z oczu. Po chwili
ujrzała jego dłoń. Skinął na Ghelel, każąc jej wejść na górę.

Stajnię przetrząsnęto, ale większość koni pozostała na miejscu. Dwuskrzydłowe wierzaje były szeroko otwarte. W kuchniach głów-
nego budynku paliło się światło. Ghelel wyteżęła słuch, ale słyszała
tylko zawodzenie wiatru między drzewami. Nie przypominała sobie,
by w domu kiedykolwiek było tak cicho. Quinn dał jej skinieniem
znak, że pójdzie zbadać sytuację. Pokiwała głową.

Mężczyzna wyciągnął broń, podkradł się do drzwi i zajrzał do
środka. Znieruchomiał na bardzo długą chwilę, a potem prychnął
z pogardą.

– Czuję wasz zapach! – zawołał.

Ze wszystkich stron dobiegły hałasy: chrzęst żwiru, poskrzypywa-
nie skórzanej zbroi.

– Oddaj nam dziewczynę, Quinn, czy jak tam naprawdę się nazy-
wasz! – zawołał ktoś. – Chodzi nam tylko o nią. Odwróć się i idź przed
siebie.

– Pójdę po nią.

Quinn pokuśtykał z powrotem do środka, pochylając głowę. Bełty
wbiły się w drzwi, które zakołysały się gwałtownie.

– Nie strzelać! Niech wam urwie te małe kutasiki, to tylko jeden
człowiek!

Pochyłony Quinn złapał Ghelel za ramię i wskazał głową tyły stajni. Pobiegli tam tak szybko, jak tylko mogli.

- I co teraz? - wyszeptwała.

- Jeśli ten facet wie, co robi, bardzo szybko może się zrobić cholera nieprzyjemnie. Musimy uciec inną drogą.

Tuż pod wieżami rozległ się głośny łoskot. Do środka wpadły trzy zapalone pochodnie. Po pokrytym słomą klepisku biegly niebieskie płomienie.

- Cholera - mruknął Quinn. - Wie, co robi. - Ścisnął Ghelel za ramię. - Bez względu na wszystko, nie zatrzymuj się! Uciekaj! Do lasu, dobrze?

- Tak.

- Dobra. Wypadamy stąd na pełnym biegu.

Otworzył kopniakiem tylne drzwi, zaczekał chwilę, a potem padł na ziemię i się przetoczył. Ghelel bez zastanowienia podążyła za jego przykładem, jakby to była po prostu kolejna lekcja. Uczył jej szermierki i jazdy konnej już od lat. Była tylko podopieczną i nie miała wiele więcej do roboty. Coś przemknęło nad jej głową i wbiło się z łoskotem w drewno. Przed nią Quinn wdał się w walkę z dwoma malazańskimi żołnierzami. Potem znowu zerwał się do biegu, chociaż obaj mężczyźni nadal stali. Przebiegając obok nich, Ghelel uniosła broń, ale żaden nie zwracał na nią uwagi. Jeden trzymał się ręką za szyję, a spomiędzy palców wypływała mu krew, drugi zaś opuścił wzrok i ścisnął się za pierś, jakby chciał wcisnąć do niej z powrotem oddech. Zostawiła ich za sobą.

Z tyłu zabrzmiały krzyki. Usłyszała głośne kroki. Quinn zmierzał ku najbliższej wypustce lasu, omijając pobliskie winnice. Rozległ się świst kolejnych bełtów. Ghelel usłyszała też tętent kopyt. Zakłęła. Nie mieli szans umknąć przed konnym pościgiem. Co Quinn sobie myślał? Ale z drugiej strony nie mogli przecież zostać w środku.

Obok niej przemknęły następne pociski. Ghelel zapomniała o nich, koncentrując się na biegu. Przed sobą mieli jeszcze tylko ska-

pane w blasku księżycy zorane pole. Potem skryją się w lesie. Quinn wskazał ręką w prawą stronę. Wzdłuż skraju lasu pędzili jeźdźcy odziani w szare malazańskie stroje. Niech ich Fanderay weźmie! Byli już tak blisko!

Quinn ciągle się oglądał.

- Nie zatrzymuj się!

Ghelel wkładała w bieg wszystkie siły, ale miękka, nierówna ziemia przylepiała się do jej butów. Jeźdźcy przecięli im drogę i zwrócili wierzchowce ku nim. Miecze lśniły w zimnym blasku księżycy. Quinn skierował się prosto na najbliższego z Malazańczyków. Ghelel omal nie krzyknęła z podziwu na widok takiej odwagi. Jej nauczyciel uchylił się przed ciosem przeciwnika, a potem zrobił koniowi coś, co sprawiło, że zwierzę stanęło dęba z przeraźliwym kwiczeniem. Jeździec zwałił się na ziemię. Quinn zignorował go, zwracając się ku następnemu. Ghelel dotarła do linii Malazańczyków. Najbliższy z nich zdążył już zeskoczyć na ziemię. Zamachnął się niezgrabnie mieczem, jakby liczył na to, że dziewczyna będzie tak uprzejma i sama się nadzieje na ostrze. Ona jednak zatrzymała się, unikając ataku, a potem uderzyła lewakiem, wkładając w cios całą siłę. Broń uderzyła w brzuch, ale zatrzymała ją kolczuga. Być może tylko cal klingi wbił się w ciało. Ghelel jednak nauczono się tego spodziewać. Ważne było, że cios wybił przeciwnikowi dech z piersi. Uklękła, a potem wyprostowała się, uderzając w górę krótką bronią. Poczula, że ostrze wbiło się pod podbródek. Ugrzęzło tak mocno, że konwulsje mężczyzny wyrwały jej nóż z ręki. Odwróciła się ku kolejnemu przeciwnikowi.

Niech mi Pożoga wybaczy, zabiłam człowieka, pomyślała.

Quinn walczył z dwoma Malazańczykami, następni byli coraz bliżej.

- Uciekaj, do cholery! - zawołał.

- Nie.

Zaatakowała bliższego przeciwnika. Odbił jej cios, ale nie próbował kontratakować.

Niech to szlag! Tylko nas powstrzymują.

Tętent z tyłu był coraz bliżej. Odwróciła się. Kawalerzysta pochylał się w siodle, unosząc broń. Zasłoniła się mieczem. Cios przeszył bólem jej ramię, jelec uderzył ją wysoko w pierś. Padła na ziemię.

Słyszała krzyki, z trudem przebijające się przez dzwonienie w uszach. Konie stawały dęba, bryzgając błotem na wszystkie strony. Oddech Ghelel zamieniał się w parę w zimnym powietrzu. Podniosła się chwiejnie. Zamrugła. Quinn nadal stał, odbijając ciosy bądź uchylając się przed nimi. Pochyliła się, by podnieść miecz ze zdeptanego błota. Kolejny koń zakwiczął, stanął dęba i zwałił się w zarośla. Quinn pchnął ją na niego. Przewróciła się na usiłujące się podnieść zwierzę. Jeździec leżał pod nim, zignorowała go. Quinn popchnął ją dalej. Zwalili się razem w gąszcz. Gałęzie smagały ją po twarzy, kaleczyły policzki, wplatały się we włosy. Parła wciąż naprzód.

Wypadli z gąszczu między niskie krzewy i splecione gałęzie młodych sosen. Quinn złapał ją za ramię. Nagle się zorientowała, że to ona musi go podtrzymywać. Pociągnęła go ku sobie, nie wypuszczając z ręki miecza. Jego lewy bok zbroczyła krew. Przecięta koszula zwisała luźno. Uśmiechnął się do niej blado. Posiwiałe włosy miał wilgotne od potu.

- Nie sprzedaliśmy tanio skóry. Jestem z ciebie dumny.

- Psst. Wszystko będzie dobrze.

- Nie, nie. Zostaw mnie. Uciekaj.

- Nie.

Uniósł miecz w salucie dla niej.

- Jestem z ciebie dumny. Dobrze się sprawiłaś, Ghelel Rhik Tayliin. Cieszę się, że mogłem ci służyć.

Wzdłuż skraju lasu krążyli jeźdźcy. Wzywano krzykiem kuszników.

- Jeszcze się nie rozstaliśmy.

Jak to Tayliin? Jedyni Tayliinowie, o jakich słyszała, sprawowali rządy podczas ostatniej hegemonii. Kellanved i Tancerz zabili wszyst-

kich po podboju Tali.

Polem zbliżali się kolejni jeźdźcy. Quinn znowu kazał Ghelel uciekać, ale kiedy spróbował ją odepchnąć, osunął się na kolana. Nie mogła tak zostawić starego nauczyciela. Objęła go i spróbowała podnieść.

- Przepraszam - wymamrotał.

- Jak to Tayliin?

Uśmiechnął się tylko. Twarz miał bladą jak wyblakłe na słońcu płótno. Odwróciła się, słysząc gniewne krzyki i szcęk broni. Co tam się działo, na Królową Misteriów? Dlaczego nie przyszli po nią?

Zapadła cisza, maçoną jedynie rżeniem koni i tętentem kopyt.

- Hej, wy! Jesteś tam, Quinn?! - ryknął ktoś na polu.

Nauczyciel uniósł palec do ust i mrugnął znacząco do Ghelel.

- To ja, do cholery! Nie poznajesz mnie po głosie?

Quinn spróbował schować miecz. Ghelel mu pomogła.

- No dobra! - zawołał mężczyzna z narastającą irytacją. - To ja, Amaron!

Quinn uśmiechnął się.

- Co tu robisz?! - odrzyknął, krzywiąc się z bólu. - Nie wiesz, że takie zadania zleca się podwładnym? - dokończył ciszej.

- Tak, tak. Dotarłem tu tak szybko, jak tylko mogłem. Wyjdź już, dobra?

Quinn skinął na nią, nakazując jej wyjść.

- Jest bezpiecznie, pani. Amaron był moim dowódcą.

- Twoim dowódcą?

- Kiedy byłem, hmm, w wojsku. Służyłem pod jego rozkazami. Spróbował iść, ale się zachwiał. Podtrzymała go.

- Dziękuję... przepraszam.

Ghelel objęła go i poprowadziła.

- Dziękuję. Nie takie wrażenie chciałem wyrzucić.

- Niech Togg porwie wrażenie.

- Przeklinasz jak żołnierz, pani. Doprowadzasz mnie do rozpacz.
- Przepraszam.
- Nie przepraszaj. Reaguj sarkazmem.
- Wciąż jesteś nauczycielem, tak?
- Brawo.

Wyszli na pole i ujrzeli oddział złożony z około trzydziestu jeźdźców. Z końskich pysków buchała para i unosiła się w nocnym powietrzu. Niemal cały ciężar Quinna wspierał się na ramieniu Ghelel. Zsiadający z koni żołnierze bezzwłocznie przejęli go od niej. Zawołano uzdrowiciela i położono rannego na końskiej derce.

- Który z was to Amaron? - zapytała.
- Ja.

Mężczyzna zeskoczył z łoskotem z konia. Był potężnie zbudowanym Napańczykiem, pod ciemnozielonym płaszczem do konnej jazdy miał poczernianą, pozbawioną ozdób koczującą.

- Stracił mnóstwo krwi.
- Ma dobrą opiekę.
- Co z Sellathami? Możecie mnie do nich zabrać?

Amaron wsparł na biodrach zakute w pancerne rękawice dłonie i przyjrzał się uważnie dziewczynie. Potem opuścił wzrok.

- Przykro mi... Ghelel. Zabrano ich. Pięść Kal'il z pewnością użyje ich, razem z innymi, jako zakładników, mających umożliwić mu bezpieczną ucieczkę.

- Ucieczkę?
- Opuści Tali. Zapewne na pokładzie statku. Władzę w stolicy sprawuje obecnie trójka szlacheckich rodzin.

Ghelel popatrzyła na jeźdźców. Nie nosili szarych malazańskich mundurów. Amaron nie miał żadnych insygniów ani godła, reszta zaś wdziała stroje ciemnoniebieskiej barwy dawnego Tali.

- Kto dowodzi?
- Choss. Dowództwo nad armią zlecono generałowi Chossowi.

- To chyba nie ten sam Choss, który był w swoim czasie wielką pięścią?

- Nie kto inny.

- Myślałam, że on nie żyje.

- Większość w to wierzyła.

Ghelel uważnie przyjrzała się rozmówcy. Quinn mówił, że to jego dawny dowódca.

- A co z tobą? Czy mogę zapytać, czym się zajmujesz?

Napańczyk wzruszył ramionami.

- Robię to, co trzeba zrobić. Można powiedzieć, że kieruję wywiadem.

Oho.

- Dziękuję za ratunek, Amaron. - Pokłonił się. - Czy mogę towarzyszyć Quinnowi?

- Z pewnością. Zabierzemy go do rezydencji, tak? Będziemy tam mogli porozmawiać w cztery oczy.

Ehe, być może o majaczeniach pewnego rannego?

Dopóki się nie dowie, czy Quinn powinien jej zdradzić to, co od niego usłyszała, będzie udawała niewiniątko. Nie była jeszcze pewna, w jakim stopniu może ufać temu człowiekowi. Quinn z pewnością darzył go zaufaniem, na niej jednak Amaron zrobił wrażenie zimnego i dziwnie obojętnego. W ogóle nie przejął się ciężkim stanem dawnego towarzysza. Potrzebowała Quinna, przytomnego i zdrowego. Uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że stary nauczyciel może być ostatnim ogniwem łączącym ją z dawnym życiem. Pośpieszyła za żołnierzami niosącymi go w stronę domu. Drogę oświetlały im płomienie buchające pod niebo z trawionej pożarem stajni.

Dwanaście dni po opuszczeniu gór dotarli do nędznej wioski zwanej przez Wędrowca Przystanią Cantona. Była to jedynie grupka krytych strzechą chat, oddzielonych wypełnioną stęchlą wodą fosą oraz resztkami spalonej palisady od błot ciągnących się wzdłuż brzegów Morza Podróżnika.

– Musimy tu czekać? – zapytał Ereko.

Wędrowiec skinął głową. Z jego smagłej, naznaczonej bruzdami twarzy nie sposób było nic wyczytać.

Olbrzym westchnął.

Czarodziejko, daj mi cierpliwość, bym mógł to znieść.

Nadciągał już zmierzch. Zajęli dla siebie opuszczoną chatę. Ereko próbował rozluźnić dręczone kurczami kończyny, lecz bez powodzenia. Po prostu nie pasował do ludzkich domostw. Zawsze lepiej się czuł, śpiąc pod gołym niebem. Stara, utykająca wieśniaczka przyniosła im kosz pod pachą.

– Dadzą nam posiłek – oznajmił Wędrowcowi olbrzym. – Wolałbym, żeby tego nie robili. Sądząc z wyglądu, potrzebują jedzenia bardziej niż my.

– Boją się nas, a to wszystko, co mają do zaoferowania. Odnoszę też wrażenie, że chcą, żebyśmy coś dla nich zrobili.

Staruszka rozciągnęła bezzębne usta w uśmiechu, pokłoniła się i postawiła na ziemi miski z rozgotowanymi rybami i sucharami.

– Przyślij tu wójta – rzekł do niej Wędrowiec. – Porozmawiamy z nim.

– Wójt nie żyje. Jego bratanek z wami pomówi. Przyślę go jutro.

* * *

Potem, gdy Wędrowiec już zasnął, Ereko oderwał wzrok od ogniska, spoglądając na fosforyzujące fale. Oczyma duszy widział inne morze, znacznie gniewniejsze i bardziej gwałtowne. Miało barwę żelaza i piętrzyły się na nim wysokie jak urwiska fale. Ostatniej zimy Jeźdźcy

przybyli na Sztormowy Mur wcześniej niż zwykle. Na odcinku, którego strzegł Erek, panował jednak spokój. Jeźdźcy nie próbowali już rzucać mu wyzwania. W gruncie rzeczy przez kilka ostatnich lat wręcz się nudził. Rzecz jasna, jego korelrijscy strażnicy byli zachwyceni: kolejny odcinek muru, o który nie musieli się martwić.

Erek obserwował odległą postać, przykutą za kostkę jak wszyscy. Mężczyznę opuszczono z muru na wąską skalną półkę. Nie wrywał się ani nie stawiał oporu. Siedział spokojnie, gdy pokryte krą fale uderzały o mur. Potem bryzgi zasłoniły go przed wzrokiem Erika. Ludzie wyciągali ręce, wskazując wynurzających się w cieśninie Jeźdźców. Niektórzy krzyczeli, błagając o uwolnienie, nieznajomy siedział jednak spokojnie. Olbrzyna nawiedziło straszliwe podejrzenie: czyżby to był jeden ze śmiałków, którzy odmawiali obrony własnego odcinka muru, gotowi poświęcić życie, by choć w niewielkim stopniu przyczynić się do erozji olbrzymiej budowli?

Daleko na falach unosiły się mroczne sylwetki Jeźdźców. Byli coraz bliżej. Towarzyszące im nieziemskie zimno wnikało nawet w kończyny Erika. Na jego skórzanych rękawach i spodniach pojawił się szron. Ślizgał się na pokrywanym kamienie lodzie. Gdy Jeźdźcy byli już blisko, korelrijscy Wybrani rzucili broń nieszczęśnikom, którzy znajdowali się na samym dole i byli najbardziej narażeni.

Olbrzym poczuł ulgę, gdy nieznajomy wstał z mieczem w dłoni. Fale wzniosły się jeszcze wyżej. Ich spienione grzbiety w całości przykryły niektórych obrońców. Erek przyglądał się teraz bardzo uważnie. Wkrótce uderzy pierwszy szereg. Z góry na Jeźdźców posypały się strzały i bełty. Gnali przed siebie, unosząc wyszczerbione, lodowe lance. Ich wierzchowce w połowie były falami, a w połowie wyrzeźbionymi z lodu końmi. Zbroje z lodowych łusek lśniły opalizującym i szmaragdowym blaskiem pośród grzbietów fal.

Pierwsze uderzenie przesłoniły bryzgi. Gdy wody opadły, nieznajomy wciąż stał. Wzdłuż całej długości muru obrońcy ścierali się z dosiadającymi fal Jeźdźcami. Większość, rzecz jasna, padała, cóż

bowiem mogli dziać zwykli ludzie przeciwko niesamowitym, obcym czarom? Zorze przebiegały po nocnym niebie zupełnie jak fale. Korelrijczycy utrzymywali, że to światła innego świata.

W przerwie między atakami wody się cofnęły i można było zobaczyć, że większość stanowisk jest pusta. Na niektórych zostali zabici więźniowie, zwisający na łańcuchach jak groteskowe owoce. Korelrijscy Wybrani zjeżdżali w dół na linach, by uprzętnąć trupy. Opuszczano nowych więźniów, wymachujących rozpaczliwie rękoma. Tym razem Wybrani nie zadawali sobie trudu zakuwania ich w łańcuchy.

Nieznajomy pozostał na miejscu. Znowu usiadł. Ereko uświadomił sobie, że to nie jest pokaz brawury. Podciągnął nogi do piersi, żeby się ogrzać.

Wybrani używali węzłów, które się rozwiązywały, gdy pociągnąć za nie w odpowiedni sposób. Dzięki temu mogli bezpiecznie zostawiać więźniów na dole. Niektórzy skazańcy łapali za liny w beznadziejnej próbie powrotu na górę, ale łucznicy szybko się z nimi załatwili. Pozostali wyciągnęli wnioski z tej nauki.

Fale w cieśninie wzniosły się po raz drugi. Krążący z dala od brzegu Jeźdźcy ponownie skierowali się ku niemu. Będzie to trwało całymi dniami, aż wreszcie sztorm się skończy. Potem na tydzień czy dwa zapanuje względny spokój i będą się musieli martwić tylko o naturalne zjawiska atmosferyczne. Niepojęte jestestwo ukrywające się w głębi cieśniny musiało zregenerować siły.

Owej nocy druga fala nadeszła szybko. Gdy była już blisko, malański jeniec wojenny przykuty daleko od Ereka ryknął słowa wyzwania czy może modlitwy, a potem rzucił się do morza. Pośpiesznie opuszczono korelrijskiego Wybranego, by zajął jego miejsce. Fala wstrząsnęła kamieniami Sztormowego Muru, jakby moc całego morza ruszyła do ataku na ląd.

Gdy woda i płyty lodu opadły z naznaczonych bliznami skał, nieznajomy nadal był na miejscu. Inny mężczyzna, sądząc po skrywających go łachmanach, również malański jeniec, krzyczał coś do

niego, wyciągając rękę w błagalnym geście. Nieznajomy zasalutował. Malazańczyk wyprostował się i z powagą odwzajemnił gest.

Sztorm nie przestawał się srożyć. W zasięgu wzroku Ereka nieznajomy był jedynym więźniem, który przetrwał całą noc. Ciągłe opuszczano nowych. Korelrijczycy uważali, że oferują skazanym mężczyznom i kobietom łaskę, umożliwiając im odzyskanie godności przez śmierć w obronie muru. Więźniowie z pewnością byli innego zdania.

Rytm ataków na ich odcinek muru zmieniał się powoli, niemal niedostrzegalnie. Nacisk zelżał. Jeźdźcy krążyli daleko od brzegu, a potem zaczęli się wycofywać. Czekający na górze Wybrani wyciągali ręce wyraźnie czymś podekscytowani. Ereko wyteżył wzrok. Z odmětów wyłoniły się ciemne plamy: Władający Różdżkami, magowie Jeźdźców Sztormu. Podciągnął się wyżej. Rzadko widywał te istoty. Zbroje miały z czarnego jak noc lodu, być może wykuto je w najmroczniejszych głębinach, gdzie nigdy nie dociera światło. Władający Różdżkami posługiwali się prętami z drogich kamieni i kryształów – oliwinu, granatu i serpentynu. Podczas najgwałtowniejszych ataków zasypywali mur niszczycielskimi ciosami mocy i strasliwego zimna.

Jeźdźcy krążyli pośród grzywaczy. Nagle jeden z nich ruszył wprost na mężczyznę, który według Czarodziejki miał się stać zbawcą Ereka. Fala, na której mknął, wznosiła się coraz wyżej, aż wreszcie uderzyła w mur. Gdy wodny pył i mgiełka opadły, nieznajomy nadal stał, a Jeździec zniknął.

Korelrijscy Wybrani zgromadzeni na górze wydali triumfalny, krwiożerczy okrzyk. Ereko odnosił wrażenie, że ich głosy wstrząsnęły murem równie gwałtownie jak fale.

Nieznajomy spojrział w górę, a potem odwrócił się demonstracyjnie.

Pojawił się kolejny samotny Jeździec, unoszący lancę przed sobą. Ereko z przerażeniem zauważył, że nieznajomy odrzucił miecz i czekał na przeciwnika z pustymi rękami. Jeździec zatrzymał się nagle, opuszczając lancę. Unosił się i opadł w rytm fal. Olbrzym miał wraże-

nie, że istota rozmawia z nieznanym. Potem Jeździec przechylił się i oddalił.

Daleko na morzu Władający Różdżkami opuścili swe pręty z błyszczących kryształów i wycofali się na boki, pomijając długi odcinek Sztormowego Muru. Dla tej jego sekcji atak się skończył.

Korelrijscy Wybrani zostawili mężczyznę przykutego na stanowisku. Nocą Ereko rozerwał przerdzewiałe kajdany na nodze, wspiął się na górę, zszedł do nieznanego, rozerwał jego okowy i przeniósł odrętwiałego z zimna mężczyznę na drugą stronę muru. Potem przepłynął Wąską Cieśninę położoną za murem, gdzie wody były cieplejsze, przerzuciwszy sobie więźnia przez ramię. Nim blask świtu dotknął najwyższych proporców na wieżach strażniczych, dotarli do bezludnych brzegów wyspy zwanej przez Korelrijczyków Resztkową.

Usiadł tam, osłonięty przez głazy, i czekał na wschód słońca. Mężczyzna leżał nieprzytomny, ledwie żywy z wychłodzenia. Nie ulegało jednak wątpliwości, że jest kimś znacznie więcej niż zwykłym człowiekiem. Wzrok Ereka, choć z pewnością nie tak przenikliwy jak u jego przodków, mówił mu to jednoznacznie. Interesowała się też nim Czarodziejka, zwana obecnie przez niektórych Królową Snów. Nieznajomy z pewnością wyglądał na sprawnego, choć nie był zbyt potężnie zbudowany, co wielu błędnie utożsamia z biegiem w walce. Nie, chodziło raczej o aurę, która go otaczała, nawet gdy leżał pozbawiony przytomności. Wielkie brzemię i straszliwe niebezpieczeństwo. Nie tylko w sensie fizycznym. Już prędzej duchowym. Potencjał. Olbrzymi potencjał tworzenia. Albo niszczenia. Stąd właśnie brało się niebezpieczeństwo.

Gdy tylko słońce go ogrzało, mężczyzna się ocknął.

– Nazywam się Ereko – przywitał go olbrzym.

– Wędrowiec. – Rozejrzył się, spoglądając na skalisty, porośnięty zielskim brzeg. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Planowałem ucieczkę już od dłuższego czasu, wiedziałem jednak, że moje szanse wzrosną, jeśli nie będę sam. Widziałem, jak

wczoraj walczyłeś, i uznałem, że jesteś towarzyszem, jakiego potrzebuję.

Mężczyzna roześmiał się w głos.

- Chyba nie zdałem ci się na wiele.

- Nie daj się nabrać. To jeszcze nie koniec. Jesteśmy w samym środku subkontynentu. Korelrijscy Wybrani z pewnością zaalarmowali już wszystkich. Zacznie się pościg. Przed nami długa droga.

Mężczyzna skinął głową. Erek nie był pewien, czy zaakceptował jego słowa, czy po prostu nie chciał drażnić sprawy.

- Kim właściwie jesteś? - zapytał. - Jesteś za wysoki na Jaghuta. Nie jesteś też Toblakai ani Trellem, chociaż masz z nimi coś wspólnego.

- Zwaliśmy się po prostu Ludem. Thel Akai.

Wędrowiec popatrzył nań ze zdziwieniem.

- To znaczy Tarthinoe... albo Thelomeni?

- Nie. Thel Akai. Ci, których wymieniłeś, są potomkami mojego ludu.

- Byliście ich przodkami? To niemożliwe. Nigdy nie słyszałem o takiej rasie.

- Wszyscy nie żyją już od wieków. Zostałem tylko ja. A przynajmniej nigdy żadnego nie spotkałem.

- Przykro mi.

- Dziękuję.

- Przykro mi też z innego powodu.

- A jakiego?

- Muszę wrócić na mur. Mają mój miecz.

Erek zaczerpnął głęboko tchu.

Czarodziejko, jak mogłaś mi to zrobić?

- Rozumiem. W takim razie będę musiał cofnąć uratowanie ciebie.

Gdy w Przystani Cantona nastał ranek, wybrali drzewa do budowy statku. W południe wrócili do chaty i znaleźli starego mężczyznę, który przykucnął w cieniu, czekając na nich. Czy to był bratanek? Wieśniak kiwał głową i uśmiechał się aż do chwili, gdy Wędrowiec uklęknął obok i położył mu rękę na ramieniu w uspokajającym geście.

– Przeżyliście tu tragedię – stwierdził, zaskakując staruszka.

– Tak, szlachetny panie. Spadła na nas klęska. Śmierć przychodzi z morza. Łupieżcy i łowcy niewolników. Przybywają raz po raz. Wkrótce w wiosce nie zostanie już nikt.

– Przenieście się w głąb lądu – zasugerował Ereko.

Staruszek uśmiechnął się, odsłaniając nieliczne zęby.

– Jesteśmy rybakami. Nie znamy innego sposobu życia.

– Bardzo nam przykro, ale nie możemy... – zaczął Ereko.

Wędrowiec przerwał mu, unosząc rękę.

– Macie coś, co należało do tych łupieżców? Broń? Zbroje?

Wieśniak pokiwał z zapalem głową.

– Tak, tak... tu i tam wała się stary ekwipunek.

– Pokaż go nam.

Zdziwiony Ereko ruszył z Wędrowcem i staruszką na plażę. Znaleźli fragment przerdzewiałego metalu, a później odprysk kamienia. Wędrowiec przykłęknął i wygrzebał z piasku kawał spłowiałego na słońcu drewna – złamaną rękojeść maczugi. Zwiślał z niej jakiś wisior. Mężczyzna potarł w palcach wystrzępione pióra i wyschniętą skórę, a potem wstał.

– Pomogę wam – oznajmił i otrzepał dłonie.

Ereko przeszył go zdumionym spojrzeniem.

Jaką niespodziankę ześle mi Pani tym razem?

– Tak, tak – ucieszył się staruszek. – Tak. Dziękuję, szlachetny panie. Nie mamy czym...

– Pomóżcie nam zbudować łódź.

– Tak. Oczywiście. Co tylko zechcecie.

Ruszyli z powrotem.

- Spodziewacie się ich wkrótce, prawda? - zapytał Wędrowiec, przekrzykując szum fal.

Staruszek wzdrygnął się znowu zaskoczony.

- Tak. Wkrótce. Przybędą przed odmianą pór roku. Szarzy łupieżcy z morza.

* * *

Patrol malazańskich żołnierzy stacjonujących na wickańskiej granicy dostrzegł dym z daleka i ruszył w tamtą stronę. Znaleźli spalone obozowisko Klanu Wron. Na ziemi wałyły się trupy Wickan. Dowódca patrolu, sierżant Żyłka, przyjrzał się ciałom. Starcy owinięci w koce modlitewne, troje oczywistych inwalidów oraz grupka młodzieży. Potem popatrzył na stratowane resztki proporców, drzewc, krytego wozu oraz malowanych jurt. Wszystko to sugerowało wickańską pielgrzymkę religijną albo uroczystą procesję. Wokół palącego się jasno ogniska siedziała banda najeźdźców, kolejni samozwańczy „osadnicy”, żrący mięso wickańskich koni na oczach spętanych jeńców. Wszyscy ignorowali żołnierzy.

- Zabrakło wam zapasów podczas długiego marszu, co?! - zawołał Żyłka do najbliższego z nich.

Zapytany uśmiechnął się, nie przerywając jedzenia. Z wejścia do jednej z jurt opadł filcowy koc. Wyłonił się z niego kolejny mężczyzna, poprawiający spodnie. Żyłka wypatrzył wewnątrz drobną, bladą sylwetkę.

- Witajcie, bracia Malazańczycy! - zawołał drugi mężczyzna.

- Nie jesteście waszymi braćmi.

- Dziękujemy, że się zjawiliście, ale jesteśmy już bezpieczni przed tymi barbarzyńcami.

- Wy tak.

- Zaatakowali nas.

- Najechaliście na ich ziemie.

- To malazańskie ziemie. Cesarzowa przypomniała o tym nam wszystkim. Nie chcieli nam sprzedać ani jednego konia, mimo że konaliśmy z głodu!

- Wickanie uważają konie za członków rodziny. Syna albo córki też by nie sprzedali.

- Oferowaliśmy im uczciwą cenę. Odmówili nam z czystego uporu. Żyłka przechylił się i splunął brązowym sokiem rdzawego liścia.

- Więc wzięliście je sobie sami.

Malazańczyk wyraził gestem zdziwienie.

- Odliczyliśmy uczciwą cenę i wybraliśmy najgorsze sztuki ze stada. Okulawione i bezużyteczne. A oni nas zaatakowali. Wszyscy! Dzieci! Stare baby! Są jak wściekłe bestie. Nie można ich zwać ludźmi.

Sierżant spojrzął na związanych jeńców, wkładając do ust kolejną porcję rdzawego liścia.

- A co z nimi?

- Należą do nas. To jeńcy wojenni. Sprzedamy ich.

- Hej? Co powiedziałaś? Jeńcy wojenni?

- Ehe. Trwa wojna o oczyszczenie równin. Ta wickańska hołota zbyt długo już je okupuje. Tyle żywej ziemi się marnuje.

Sierżant poprawił kuszę i przycisnął dłoń do boku, rozpościerając palce. Wszyscy żołnierze w patrolu jak jeden mąż skierowali kusze na bandę osadników.

Ci wytrzeszczyli oczy, nadal trzymając w rękach kawałki mięsa. Ich rzecznik znieruchomiał na chwilę, ale po chwili spokojnie wrócił do poprawiania ubrania.

- Co jest? Nie złamaliśmy żadnego prawa. Cesarzowa obiecała te ziemie każdemu, kto zechce się na nich osiedlić. Schowajcie broń i zostawcie nas.

- Zrobimy to, gdy tylko odbierzemy, co należy do nas.

- Do was? Co tu należy do was?

- Tak się składa, że studiowałem imperialne prawa i te prawa stanowią, że wszyscy jeńcy wojenni są własnością Tronu. Jako prawowity przedstawiciel tronu w tym miejscu, biorę ich w posiadanie.

- Co takiego? Nigdy nie słyszałem o takim prawie.

- Ja słyszałem. To wystarczy. Odsuńcie się.

Z namiotu wybiegła chuda dziewczynka, w podartej, za dużej koszuli. Zasypała sierżanta strumieniem słów po wickańsku. Żyłka uniósł brwi.

- Proszę, proszę. W dzisiejszych czasach każdy jest cholernym prawnikiem.

- O co chodzi? - zapytał rzecznik.

- Dziewczyna odwołała się do wickańskiego prawa przeciwko tobie. Żąda oczyszczenia przez krew.

- Co to znaczy, w imię Pożogi?

- Walkę na noże. Z reguły na śmierć i życie.

Mężczyzna wybałuszył oczy.

- Co? Z nią?

Osadnicy siedzący przy ognisku podnieśli się powoli.

- Młody, zajmij się nimi - rozkazał Żyłka, spoglądając w bok.

- Tak jest.

Patrol rozpostarł szyki, mierząc z kusz do grupki mężczyzn.

- Chyba nie mówisz poważnie? Wysłuchasz wickańskiego bachora?

- Tak.

- To jeszcze dziecko!

Sierżant znieruchomiał, przesywając mężczyznę bezlitosnym spojrzeniem.

- Była wystarczająco dorosła, byś miał ochotę ją zgwałcić, więc pewnie może też wymierzyć ci sprawiedliwość, tak?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Przybrał postawę bojową, wyciągając nóż z pochwy u pasa.

– Dobra. Będę musiał zabić i ją.

Żyłka rzucił dziewczynie własny nóż. Złapała go, wykrzyczała wickańskie przekleństwo i skoczyła.

Walka skończyła się jeszcze szybciej, niż spodziewał się sierżant. Musieli odciągnąć dziewczynę od zmasakrowanego ciała. Żołnierze ustawili młodych Wickan w szereg i poprowadzili ich w stronę fortu. Gdy odchodzili, osadnicy przysięgali, że opowiedzą o tym wszystkim i puszczą fort z dymem. Żyłka miał po cichu nadzieję, że spróbują, ale z drugiej strony niepokoił się, że ściągnął na porucznika zbyt wiele kłopotów i że ich złożony tylko z jednej kompanii w niepełnym stanie garnizon nie będzie w stanie sobie z nimi poradzić.

* * *

Kyle leżał na koi pod pokładem *Pustułki*, zaciskając mocno powieki. Cierpiał na chorobę morską, żołądek podchodził mu do gardła, i napręzał nerwowo mięśnie, gdy tylko statek przechylił się niepokojąco. Przebywali na morzu już prawie miesiąc, ostatni raz przybili do brzegu na zachodnim wybrzeżu Baelu, a od pięciu dni sztorm niósł *Pustułkę* na północny zachód – w kierunku, w którym przesądni marynarze nie chcieli nawet spojrzeć.

Coś mu się śniło, ale nie zdołał pochwycić snu na nowo. Jęknął, wracając z powrotem do jawy. Przez bardzo krótką chwilę odnosił wrażenie, że nozdrza wypełnia mu słodka woń perfum, a na jego czole spoczywa miękka dłoń. Teraz jednak wrócił na *Pustułkę*. Byli na morzu już od tygodni i tylko bogowie wiedzieli, jak długa droga dzieli ich od Stratemu, przybranej ojczyzny Karmazynowej Gwardii.

Dla Kyle'a ta nazwa nic nie znaczyła.

Dwie szerokości dłoni od jego nosa smołowane deski drżały, poskrzypując. Spływające z nich krople z każdą chwilą bardziej moczyły posłanie ze słomy i tkaniny workowej, na którym leżał. Kadłub drżał wyraźnie pod naporem sztormu, w każdej chwili mogą-

cego obrócić *Pustułkę* we wrak. Oczy chłopaka łzawiły od dymu rdzawego liścia i d'bayangu, unoszącego się warstwami w przejściu. Smród starych wymiocin, oleju, potu i stęchłej wody morskiej tworzył połączenie, od którego Kyle'a ścisnęło w żołądku jeszcze mocniej. Pod jego koją Gwardziści rozmawiali, grali w gry hazardowe albo studiowali Talię Smoków.

Obrócił się na bok. Krzywy nóż używany przez koczowników z równin, który zawiesił sobie na rzemieniu u szyi, wpijał mu się w bark. Blokujący korytarz ludzie skupili się w grupkę wokół małej, drewnianej planszy, na której rozłożono karty Tali Smoków. Łupek był talentem i potrafił ją czytać. Wszyscy się zgadzali, że jego odczyty należą do najlepszych w całej Gwardii.

Pojawiła się pokryta siwym zarostem twarz Przechyła. Sabotażysta wdrapał się po czterech kolejnych kojach do najwyższej, na której leżał Kyle. Wsunął kończący się w łokciu kikut pod brzeg pryczy i mrugnął znacząco, wskazując zebranych poniżej ludzi.

– Łupek jest wściekły jak Kaptur. Mówi, że dominuje Królowa Domu Życia. Twierdzi, że to cholernie dziwne i z tego odczytu jest tyle pożytku, co z kąpana D'rek w burdelu.

Kyle westchnął i położył się z powrotem na koi.

– Na kości Kaptura, to tylko sterta kart.

Od chwili wstąpienia do Gwardii zetknął się z mnóstwem przesądów i kultów. Nigdy nie przypuszczał, że jest ich tak wiele, nie wspominając już o zapamiętaniu ich nazw czy uwierzeniu w nie.

Przechył podrapał się brudnymi palcami po wystrzępionej brodzie.

– To coś znacznie więcej – mruknął.

– Spróbuj jeszcze raz – zachęcał ktoś Łupka.

– Nie mogę – sprzeciwił się ten. – Tylko jeden odczyt dziennie.

Zebrał ze stukiem cienkie, pomalowane deszczułki.

– Ale i tak spróbuj.

- To przynosi pecha.
- Boisz się, że przejrzymy ten kit, który nam wciskasz?
- Boję się, że ściągnę nam na głowę kupę kłopotów.

Kyle zauważył kącikiem oka, że Przechył pokiwał głową, słysząc te słowa. Jeden odczyt dziennie, nigdy w pobliżu świątyni, poświęconej ziemi, cmentarza albo niedawnego pola bitwy. Młodzieniec nie potrafił uwierzyć, że z talią wiąże się tak wiele przesądów i rytuałów. Karty miały ponoć przepowiadać przyszłość, ale co z nich za pożytek, jeśli w połowie przypadków nie wolno ich było używać? Uważał, że to stanowczo zbyt dogodne dla tych, którzy handlują tymi cholerstwami.

Znudzony, słaby i dręczony mdłościami z powodu nieustannego kołysania się statku chłopak zacisnął szczypiące od dymu oczy, próbując ponownie odszukać swój sen. Wymykał mu się on, ale Kyle miał nadzieję, że chociaż podrzemie.

Drzwi zejściówki otworzyły się z trzaskiem i po schodach spłynął strumień wody. Towarzyszył mu lodowaty, wilgotny powiew. Lamy się zakołysały. Wszyscy przeklinali schodzącego na dół człowieka. To był jeden z wynajętych kurzańskich marynarzy. Jego bose stopy uderzały o deski, a z wełnianej koszuli skapywała morska woda. Czarne włosy lepiły mu się do twarzy od deszczu i bryzgów, a brodata twarz pobladła.

- Kapitan chce, żeby wszyscy wzięli broń i wyszli na pokład - oznajmił po nabrajańsku i odsunął się na bok.

Ludzie wciągali skórzane kurty, przeszywanice, czy co tam mieli. Większość metalowych zbroi wysmarowano tłuszczem i schowano w skrzyniach, żeby nie rdzewiały. Zresztą na morzu zbroja była raczej zagrożeniem niż ochroną. Gwardziści zasypali marynarza pytaniami, ale nie potrafił im powiedzieć nic więcej. Kreślił tylko na piersi znaki chroniące przed złem. Odwracał od nich wzrok, a w jego oczach malowały się udręka i rezygnacja. Kyle wciągnął przeszywanicę, na głowę włożył skózaną czapkę, którą nosił pod hełmem, przypiął pas z bronią i ustawił się w szereg razem z pozostałymi. Ruszyli na górę

po schodach, omijając marynarza, który drżał, nadal nie unosząc spojrzenia.

Po wyjściu na pokład Kyle złapał sztormlinę, osłaniając jednocześnie oczy przed bryzgami. Żagle zrefowano, a wzburzone morze pokrywały białe bałwany. Ludzie unosili ręce, krzycząc głośno, ale ich słowa porywał wiatr. Młodzieniec spojrzał we wskazywanym przez nich kierunku. Nie potrafił uwierzyć własnym oczom. Wśród grzbietów fal poruszały się ludzkie postacie, odziane w coś, co wyglądało jak lśniące szafirowym i tęczowym blaskiem zbroje. Wydawało się, że jadą na falach jak na koniach. Otaczały je bryzgi białej piany. Na oczach chłopaka niektóre fale zmieniły się w podobne do koni sylwetki i zniknęły pod powierzchnią, zabierając ze sobą jeźdźców, po to tylko, by wynurzyć się nieco dalej. Ich zbroje błyszcząły jak szron. W rękach istoty trzymały wyszczerbione lance.

Kyle omiół wzrokiem horyzont. Z całej złożonej z dwudziestu okrętów floty Gwardii widział tylko *Obieżyświata*. Stojący najbliżej najemnik, Tolt, złapał chłopaka za ramię.

- Jeźdźcy Sztormu! - zawołał. - Zniosło nas do Przesmyku! Nie mamy szans!

Kyle'em zawładnęły bojaźń i tępy strach. Przed dwoma miesiącami, tuż po wyruszeniu w podróż, Przechył opowiedział mu trochę o niezwykłych archipelagach i kontynentach o zawilej linii brzegowej, które Karmazynowa Gwardia zwała domem. Quon Tali i na północ od niego Falar. Na południe Korel. Sabotażysta wyjaśnił mu, że Quon Tali od Korelu, zwanego niekiedy Pięścią, dzieli głęboki rów oceaniczny, a na jego wodach szaleją nieprzewidywalne sztormy. Odkąd ludzie sięgali pamięcią, Jeźdźcy Sztormu uważali ten przesmyk za swój. Malażanczycy dwukrotnie próbowali dopłynąć tą drogą do Korelu i w obu przypadkach Jeźdźcy zatopili ich floty. Nie pozwalali nikomu tędy przepłynąć i toczyli z Korelrijczykami nieustanne wojny o wybrzeże ich lądu.

Kyle podszedł do nadburcia. Dostrzegął przez bryzgi licznych Jeźdźców krążących wokół okrętów. Nagle zauważył z niedowierzaniem, że najbliższe istoty unoszą lance, pozdrawiając *Pustułkę*, i znikają w głębinie. Inne wyprzedziły okręt, płynąc przodem. Jedna wynurzyła się tuż przy burcie i chłopak miał wrażenie, że się mu przygląda. Nie mógł być jednak tego pewien, gdyż jej oczy osłaniał wysoki hełm. Pod wpływem nagłego impulsu uniósł tulwar przed twarzą, oddając honory Jeźdźcowi. Obca istota wyprostowała się i wysunęła lancę. Straszliwe zadziory zalśniły jasno. Kyle roześmiał się głośno pod wpływem ulgi i schował miecz. Nie wątpił, że Tolt miał rację. Gdyby doszło do walki, nie mieliby szans.

- Ten Jeździec ci zasalutował.

Kyle obejrzał się. Za nim stał Szara Grzywa, jedyny człowiek na pokładzie noszący pełną, żelazną zbroję. Rozstawiał szeroko nogi, ale i tak trzymał się sztormliny. Chłopak przypomniał sobie słowa, które usłyszał od malażańskiego renegata w Kurzanie: „Woda i ja nie zgadzamy się ze sobą”. W oczach weterana pojawił się wyrachowany wyraz, którego młodzieniec nigdy dotąd tam nie widział.

- A może raczej tobie?

Mężczyzna rozciągnął usta w sardonicznym uśmiešku. Również w jego jasnoniebieskich oczach pojawił się błysk wesołości.

- Nie. Już dawno kazałem im przestać.

Kyle odwrócił się. Nie to chciał usłyszeć od tego dziwnego malażańskiego apostaty. Żarty! Renegat odebrał mu coś niezastąpionego, coś, co skłoniło go do złożenia własnej przysięgi, niezrodzonej z sympatii do Gwardii. Zacisnął dłonie na relingu. Zimno było paraliżujące, ale po zaduchu panującym pod pokładem cieszył się z każdej odmiany. Gwardziści na wszystkich statkach byli ciasno upchani.

- Płynąłeś już tędy, prawda? - zapytał Kyle, spoglądając na ciemniejsze morze.

Jeźdźcy okrążali *Pustułkę* i zanurzali się jeden po drugim. Kilku najemników zostało jeszcze na pokładzie. Panika minęła i z ich twarzy

nie można było nic wyczytać. Chłopak przypomniał sobie, że niektórzy z nich widzieli już znacznie większe cuda.

Szara Grzywa nie odpowiadał mu przez dłuższą chwilę, Kyle czuł jednak jego bliskość. Słyszał, jak zbroja zgrzytała na ramionach i barkach, gdy renegat poruszał się w rytm kołyszącego się statku.

– Ehe. Wiele razy. Wychowałem się na Geni, wyspie położonej na południe od Quon. Ojciec łowił ryby w Przesmyku. W dzieciństwie często ich widywałem. Ale pewnego dnia ojciec wypłynął na morze i już nie wrócił. Niektórzy mówili, że zabili go Jeźdźcy. Wtedy wyrzekłem się morza i wstąpiłem do armii.

Renegat przerwał. Kyle potrafił sobie wyobrazić smętny uśmiezek na jego twarzy. Ta decyzja nie przyniosła mu wiele dobrego! Nie chciał jednak na niego patrzeć. Szara Grzywa odebrał mu wszystko, co chłopak uważał za cenne. Zamordował ducha przewodniego jego plemienia! Nie miał ochoty słuchać jego słów.

– Dowództwo uznało, że moja znajomość Przesmyku będzie użyteczna podczas inwazji na Korel – ciągnął Szara Grzywa. – Przez pewien czas była to prawda. Ale z upływem czasu przeciągający się pat skłonił mnie do spróbowania czegoś, czego nikt dotąd nie próbował...

Ostatni Jeźdźcy zniknęli w jasnoszmaragdowej pianie. Kyle zadrzał i odwrócił się mimo woli.

– Co takiego zrobiłeś?

Renegat zmarszczył brwi. Jego jasne oczy wpatrywały się w fale. Otarł mokrą twarz, a potem machnął ręką, jakby odrzucał coś od siebie.

– Powiedzmy tylko, że to rozwścieczyło Korelrijczyków jak nic do tej pory, a dowództwo kazało mnie aresztować. Popeliłem błąd. Żle oceniłem sytuację i w rezultacie mnóstwo ludzi niepotrzebnie zginęło.

– Przykro mi.

– Ehe, mnie też było przykro. Ale jakoś się z tym pogodziłem. Teraz jestem po prostu wkurzony.

Uśmiechnął się ironicznie. Jego oczy błyszczały jak lód pokrywający górskie szczyty w północnej części ojczyzny Kyle'a. Albo jak zbroje Jeźdźców.

Chłopak poczuł, że jego twarz robi się ciepła, choć dął lodowaty wiatr. Nie chciał słuchać wyznań. Nie tego człowieka. Człowieka z kompanii, którą poprzysiągł...

Niech go szlag!

– Lepiej zjedź na dół. Przez tych cholernych Jeźdźców będę musiał wszystko oliwić na nowo.

Kyle milczał. Bał się tego, co mógłby powiedzieć. Kiedy się obejrzał, renegata już nie było.

* * *

Zapadał zmierzch. Na zachmurzonym horyzoncie od zachodu pojawiła się różowo-pomarańczowa luna. Fale były teraz mniejsze, a wiatr słabł. *Pustułka* i *Obieżyświat* – ledwie widoczna plama na północy – zawracały ku południowi. Kyle pozostał na pokładzie, mimo że wiatr nadal wbijał mu w plecy lodowe ostrza. Od panującego pod pokładem zaduchu robiło mu się niedobrze. Na rufie ktoś zapalał właśnie fajkę. Stary sabotażysta, Przechył, siedział tam owinięty w derkę. Chłopak ruszył w jego stronę, cały czas trzymając się sztormlin.

Przechył przyjrzał się fajce, nabił ją kciukiem i wsadził z powrotem do ust.

– Uspokój się, chłopcze. Jesteś w domu.

– W domu?

– Oczywiście! Jesteś teraz Gwardzistą, synu.

– Naprawdę?

– Ehe. Sam odebrałem twoją przysięgę.

– A co z tobą? Gdzie jest twój dom?

Przechył zachnął się niecierpliwie.

– Domem żołnierza jest jego kompania, chłopcze. Powinieneś już o tym wiedzieć. Pewnie, że zawsze będą nam towarzyszyły słodkie jak miód wspomnienia miejsc, które opuściliśmy, ale co by się stało, gdybyśmy tam wrócili, hej? – Sabotażysta nie czekał na odpowiedź. –

Dowiedzielibyśmy się czegoś, o czym wcale nie chcemy wiedzieć. Tego, że to już nie jest nasz dom. Nikt tam nas nie poznaje. Jesteśmy obcy. Nikt nas nie rozumie. Po jakimś czasie uświadamiamy sobie, że popełniliśmy błąd. Nie ma powrotu.

Przechył westchnął, szczerzej owijając się derką.

– Nie, dla tych z nas, którzy wybrali zajęcie żołnierza, domem jest Gwardia, brygada, czy w czym tam służymy. Nie mamy innego. Są tacy, którzy wyśmialiby moje słowa, twierdząc, że to tylko sentymentalne gadanie i słyszeli to już mnóstwo razy, ale dla nas to pozostaje prawdą, tak?

Kyle nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl o drogim dla sabotażysty przekonaniu, że wszyscy w Gwardii są braćmi i siostrami.

– Pewnie masz rację. – Spojrzał na starego weterana z jego przekrwionymi oczyma, upstrzoną siwizną brodą i ogorzałą od słońca twarzą. – Długo służysz w Gwardii?

Przechył uśmiechnął się szeroko.

– Widziałem już sto sześćdziesiąt lat wojny, wszystkie pod dowództwem diuka, a przedtem jego ojca i dziadka.

Kyle wybałuszył oczy. Nie był w stanie zaczerpnąć tchu.

– Jesteś Zaprzysiężonym?

– Ehe. – Zaciągnął się. – Szkoda, że cię przy tym nie było, chłopcze. Tego wieczoru pod czyste niebo uniosło się może z sześćset mieczy i tyle samo głosów przemówiło jak jeden. Ślubowaliśmy wieczną wierność i służbę naszemu diukowi, dopóki będzie żył, a imperium będzie istniało. On nadal gdzieś żyje. – Sabotażysta przyjrzał się fajce i z powrotem wepchnął ją do kącika ust. – Diuk był wodzem godnym naszej służby. No wiesz, na pewien czas udało się nam ich powstrzymać. Tylko nam jednym. Oprawca stoczył z Dassemem, Mieczem

Imperium, nierozstrzygniętą walkę. Ale ten wysiłek nas zламаł. Byliśmy zmęczeni, tak bardzo zmęczeni. Wkrótce potem diuk zniknął. Podzieliliśmy się na kompanie i każda z nich poszła swoją drogą.

– A teraz wasze wędrówki się skończyły – stwierdził Kyle. Czuł płonący w piersi gniew. – W takim razie po co to wszystko? Po co kontrakty? Po co przybyliście do Baelu? Na... Ostrogę?

– Ehe, Diaspora się skończyła – potwierdził z westchnieniem Przechył. – Wracamy odzyskać nasze ziemie. Ale to nie były zwykłe wędrówki. Szukaliśmy diuka. My go nie znaleźliśmy, ale może jakaś inna kompania... nie wiem.

Przez pewien czas siedzieli obok siebie w milczeniu. Kurzańscy marynarze rozwijali żagle. Wreszcie fajka sabotażysty się dopaliła. Przechył wstał.

– Nie wiem, jak tobie, ale mnie przemarzła dupa.

Otulił się szczelniej derką i zszedł pod pokład.

Kyle został tam jeszcze przez chwilę. Patrzył na fale, ale właściwie ich nie widział. Jego myśli wciąż wracały do słów, które usłyszał od Przechyła na Ostrodze: „Podejrzewaliśmy, że będzie tu coś godnego naszej uwagi...”.

* * *

Następnego dnia sztorm ucichł i *Pustulka* posuwała się naprzód szybciej. Z pokładu dobiegły wieści, że utracono kontakt ze wszystkimi statkami poza *Obieżyświatem*. Mówiono o wrakach, Jeźdźcach i morskich potworach. Łupek zaproponował Kyle’owi, że wyrzuci mu przyszłość z Talii Smoków.

Chłopak leżał na koi. Nadal nie wrócił do siebie po wielu dniach sztormów. Był człowiekiem z równin, w imię Kaptura! Co robił na cholernym statku? Na początku rejsu śmiał się z grubego najemnika i jego odczytów, teraz jednak pragnął jakiegokolwiek rozrywki, choćby nawet najgłupszej. Łupek się ucieszył. Całej reszcie wróżył już tyle razy, że

nie potrafił tego zliczyć. Kyle był dlań ostatnią szansą ujrzenia czegoś nowego.

– Pole albo, jak niektórzy mówią, Królestwo można podzielić na cztery części – zaczął Łupek, oczyszczając fragment blatu.

Kyle przyklęknął na jednym kolanie naprzeciwko niego. Wisząca nad nimi lampa kołysała się szaleńczo w rytm ruchów statku. Gruby Gwardzista rozwiązał sznurówki filcowej koszuli, odsłaniając pierś pokrytą licznymi bliznami i porośniętą gęstym, czarnym włosom. Wziął w rękę talię, przewiązaną białą jedwabną wstążką i owiniętą w czarną skórę. Kyle wiedział, że kapral nosi karty w drewnianym pudełeczku, które chował w kocu. Twierdził, że są one własnością jego rodziny od pokoleń.

Łupek przejrzał karty.

– W tej chwili używam tego, co zwiemy „krótką talią”. Te cztery karty, Domy, władają Polem. – Pokazał je chłopakowi, jedną po drugiej. – Światło, Ciemność, Życie i Śmierć. – Uniósł piątą. – Ale kiedy byłem młody, pojawił się nowy Dom. Cień. – Wyłożył pięć kart i kolejno sięgał po następne, wyjaśniając ich znaczenie. – Każdy z czterech starych Domów ma Wielkich Dworzan, Króla, Królową i Rycerza albo Obrońcę, a także Małych Dworzan, czyli Sługi. W niektórych są one znane jako Herold, Mag, Żołnierz, Krawcowa, Murarz, Żona i tak dalej. Cień ma własnych Dworzan. Nazywają się Król, Królowa, Rycerz, Skrytobójca, niektórzy mówią Sznur, Kapłan albo Mag i wreszcie Ogar. W niektórych rozkładach Domom przypisuje się ćwiartki albo kierunki, w których ich wpływ jest najsilniejszy. Cienia to nie dotyczy. Może się pojawić zawsze i wszędzie. Jest jeszcze sześć tych kart. – Łupek je przerzucił. – One nie służą żadnemu Domowi. Oponn, symbolizujący przypadek albo szansę; Obelisk reprezentujący przeszłość albo przyszłość; i wreszcie te cztery: Korona, Berło, Jabłko i Tron.

– A reszta? – zapytał Kyle, spoglądając na karty nadal trzymane w dłoni przez najemnika.

Łupek się skrzywił.

– To nowe karty, należą do Domu, który pojawił się niedawno. Nowe moce, walczące o wpływy, pojawiają się bardzo często... nie wiem, czy te długo przetrwają.

Położył na stole kartę zupełnie niepodobną do pozostałych. Podobnie jak te z Domu Cienia różniła się od nich wykonaniem. Tamte niewątpliwie stanowiły zestaw, wycięto je według identycznego wzorca i pomalowano tą samą ręką. Karty Cienia zrobiono z nieco grubszego drewna, ale były już wygładzone przez lata używania. Ich wierzchy były ciemne jak dym, prawie czarne, sugerujące ukryte kształty i ruchy. Ta nowa karta nie była nawet prostokątna jak tamte. Miała nierówne brzegi, a prosty, niewykończony wierzch zdobił obrazek najwyraźniej wryty zwykłym nożem. Przedstawiał on chatę albo szalę, jakieś nędzne domostwo. Kyle pomyślał, że to drwina z Domów, jak zwał je Łupek.

– Ta nowa obecność zwie się Domem Łańcuchów – ciągnął kapral.
– Jak dotąd są w nim następujący Dworzanie: Król, Małżonka, Łupieżca, Rycerz, Siedmiu, Kaleka, Trędowaty i Głupiec.

Kyle zerknął na kartę wyobrażającą Króla Domu Łańcuchów. Ją również wykonano z nieobrobionego drewna, a na powierzchni widniało – być może wryte niewprawną ręką Łupka – krzesło o wysokim oparciu, tron. Schnąc, drewno pękło i z góry na dół biegła szczelina przesywająca solidne, imponujące krzesło. W porównaniu ze szczegółowymi, pięknie polakierowanymi kartami te nowe wydawały się Kyle'owi śmieszne, nie mógł jednak zaprzeczyć, że niezdarnie wykonany obraz wywiera groźne wrażenie. Powierzchnia karty wyblakła, ale pęknięcie odsłaniało krwawoczerwone wnętrze. Wyglądało to, jakby po tronie spływały strugi krwi. Chłopak nie zaniepokoiłby się aż tak bardzo, gdyby na stolcu ktoś siedział. Wtedy przynajmniej wiedziałby, gdzie jest ten cały król. Odnosił wrażenie, że wierzch karty zmienia się i migocze w świetle kołyszącej się lampy. Jej ziarnista powierzchnia przywodziła Kyle'owi na myśl niesiony wiatrem pył, jak

na wydmach spotykanych niekiedy na stepie. Tron był teraz bliżej, dominował nad znacznie większą częścią karty. Nie, to on i tron zbliżali się do siebie, tak szybko, że zarysy wydm zaczęły się zamazywać.

Nagle pojawiła się dłoń Łupka i odwróciła kartę. Kyle spojrzął na zaczerwienioną twarz kaprała. Mężczyzna przyglądał mu się spod opadających powiek. Plecy i ramiona chłopaka złał zimny pot, w głowie mu się kręciło.

- Niedobrze się tak gapić - oznajmił Łupek cichym, nerwowym głosem. Zebrał karty, przyglądając się im uważnie. - Może spróbujemy później.

Schował talię drżącymi rękami.

Kyle wrócił na koję, ujął w obie ręce miecz i wpatrzył się w kropelki wilgoci spływające po smołowanym drewnie. Wysunął klingę na szerokość dłoni z pochwy i potarł wytrawione w niej symbole. Zawsze zdumiewało go, że są tak głębokie, jakby hartowana klinga była wykonana z wosku. Odmówił krótką modlitwę do Króla Wiatru, starając się uwierzyć, że jest on blisko i czuwa nad nim. Czy to możliwe, by był nim ów magus czy Ascendent? To wydawało się absurdalne. Jego świat przewrócono do góry nogami. Z każdym miesiącem coraz lepiej rozumiał, jak bardzo naiwna i niewykonalna była złożona przezeń na stal miecza przysięga, że w jakiś sposób pomści to, co wydarzyło się na szczycie wyniosłej, kamiennej iglicy.

Nocą próbował śnić o kobiecej dłoni oraz fontannie, z pewnością pełnej najśodszej wody, jaką pił w życiu. Nawet jeśli mu się udało, nic z tego nie zapamiętał.

* * *

Nait Simal 'Ap Url, untański strażnik portowy, wygrzewał się w blasku popołudniowego słońca, przyglądając się, jak kolejny ociążały statek kupiecki pełen zagarniętych przez imperium łupów oddala się powoli od nabrzeża, ciągnięty przez napędzane wiosłami holowniki.

Śmierdzące szczury.

Pochylił się, by splunąć czerwonym kaffowym sokiem w oleiste fale przelewające się pod pirsem.

Thuste szczury. Z pewnością coś zwęszyły. Nie zwykłą, imperialną zgniliznę, którą takie szkodniki jak my czują regularnie. Nie, ich nosy na pewno poszukują innych zapachów unoszących się na wietrze. Smrodu wpływów, perfum potęgi.

Nait uśmiechnął się, jego usta przerodziły się w czerwoną plamę. To mu się spodobało.

Perfумы potęgi. Piżmo pieniędzy?

Zmarszczył brwi. No cóż, to może nie.

Gdzie jednak znajdują bezpieczny azyl, jeśli nie tu, w stolicy? W Malazie? Zachichotał i omal nie udławił się zwitkiem liści wypełniającym mu policzek. Kapturze, nie! Może małe kotwicowisko w jakiejś izolowanej zatoce. Daleko od uczęszczanych szlaków. Mogliby zapłacić za ochronę w ufortyfikowanych portach Napu albo Kartoolu...

Odchylił się do tyłu i walnął w ścianę budki strażniczej.

- Sierzancie?

- Słucham?

- Myślałem...

- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś tego nie robił, synu? To szkodzi na zdrowie.

- Myślałem o tym, że może powinniśmy pobierać opłatę za opuszczenie portu. No wiesz, coś jak podatek dla odpływających. Wykombinujemy jakąś wymyślną nazwę. Całe stado statków czeka na ostrzyżenie.

- Wydaje ci się, że te domy kupieckie już nie zapłaciły komu trzeba? Marzy ci się wizyta szponów?

- Szponów? A co im do tego? Prowadzimy swój interes, tak samo jak wszyscy. Każdy ma prawo do swojego kawałka tortu. Nikomu nie dzieje się krzywda. Zawsze tak było.

- Niektórzy chcą kierować całą cukiernią – mruknął sierżant tak cicho, że Nait ledwie go dosłyszał.

Coś nagle przesłoniło złocisty blask, w którym wygrzewał się Nait. Przymrużył powieki i wypatrzył czarne, skórzane buty wypucowane na wysoki połysk. Cholewy biegnęły ku górze aż ku szerokim biodrom, kończąc się pod przekrzywionym pasem do miecza i okazałym zadkiem kaprala straży, Rączki.

- Znowu żujesz to cudzoziemskie świństwo, Nait.

- Tak jest, pani kapral.

- Mówi się „tak jest, kapralu”, chudzielcu.

- Tak jest... kapralu.

- Wypluj to.

- Kurde, Rączka...

- Kapralu!

- Wydałem całą...

- Na co marnujesz pieniądze, obchodzi mnie równie mało, jak Kaptura zdechły szczur. Jesteś na służbie.

- To prawda – poparł ją sierżant Blacharz.

Nait skrzywił się wściekle i pochylił, otwierając szeroko usta. Wypchnięty językiem zwitek wylądował na szarych deskach pirsu. Buty Rączki splamiły kropelki czerwonej śliny.

- Niech cię Fener przeklnie!

Nait otarł usta rękawem.

- Przepraszam... kapralu.

Rączka uniosła rękę i pociągnęła się za kasztanowy warkocz zatknięty za łuskową zbroję.

- Porozmawiamy później, żołnierzu – oznajmiła, wskazując brodą budkę.

Kiedy odchodziła, Nait przesłał jej całusa.

- Już ci mówiłem, żołnierzu, to szkodzi na zdrowie – odezwał się sierżant.

- Nie boję się jej.
- A powinieneś.

Nait schylił się, podniósł zwitek i wetknął go z powrotem do ust. Ha! Poradzi sobie z nią. Może właśnie na to czekała. Chciała, by jej pokazał, kto jest tu szefem. Znowu się uśmiechnął. Nagle jednak zmarszczył brwi ze zdziwienia. Co to było, na Otchłań? Spojrzał na wodę. Na falach unosiły się małe miseczki przypominające liście. Wiele z nich zawierało miedziaki, skrawki wstążek, ryż, owoce albo końcówki świec. Kilka jeszcze się paliło. Płynęły w zwartej grupie, jak flotylla. To były cholerne ofiary składane przez popapraną kult boga morza. Ostatnio oglądał to coraz częściej. Splunął siarczyście, przewracając miseczki do góry dnem. Ha! Głupie przesady na niepewne czasy. Potrafił zrozumieć, że takie rzeczy dzieją się gdzieś na zacofanym Napie czy Geni. Ale w Uncie? Mieszkańcy stolicy powinni być bardziej oświeceni. Potrząsnął głową. Co to się działo z cywilizacją?

* * *

Jedno spojrzenie na Fort Saran wystarczyło, by doprowadzić pięć Genista D'Irdrela z Cawn do rozpacz. Cztery lata służby w tym wrzodzie na zadzie muła? Dlaczego nie można było przenieść kwatery dowództwa do jakiejś osady Seti, nawet gdyby była żalosna? Po raz kolejny otarł twarz sztywnym od potu rękawem malazańskiego żupana. Przymrużył powieki osłepiony słonecznym blaskiem i przyjrzał się niskim trawiastym wzgórzom barwy palonej umbry. Tu i ówdzie utrzymywały się jeszcze plamy blaknącej zieleni. Przede wszystkim jego uwagę przyciągnęły jednak zaskakująco liczne obozy Seti. Wokół fortu rozbito liczne namioty z filcu i niewyprawionych skór, palono ogniska, wzniesiono korrale dla koni, wszędzie też kręciły się należące do koczowników kundle. Na bogów, poprzysiągł, ktoś w kwaterze głównej zapłaci mu za tę zniewagę.

- Nie jest tak źle, jeśli przyjrzeć się uważnie - odezwał się jadący za nim mężczyzna.

Genist odwrócił się w siodle i przeszył go wściekłym spojrzeniem.

- Mówiłeś coś, kapitanie?

Kapitan, niedawno przeniesiony do Piętnastej Konnej, wzruszył ramionami. Ten gest poirytował dodatkowo Genista. Szczerze mówiąc, wszystko w tym oficerze drażniło pięść. Służył w pułku dopiero od kilku tygodni, ale sierżanci darzyli go szacunkiem. Genist zauważył, że gdy tylko wydaje rozkaz, ludzie spoglądają na kapitana Mcha, oczekując potwierdzenia. Niemniej coś w jego bystrym spojrzeniu, wytartych rękawicach i równie zużytych rękojeściach dwóch szabel o uchwytach z kości słoniowej nie pozwalało Genistowi traktować go tak ostro, jak pozostałych podkomendnych.

Dwa tysiące malazańskich jeźdźców ustawionych w dwa rzędy czekało w milczeniu w promieniach słońca.

- Zagraj sygnał - warknął Genist do trębacza.

Kapitan Mech odchrząknął.

- Co znowu? - wysyczał pięść.

- Zwiadowcy jeszcze nie wrócili z fortu.

- I co z tego? To jest fort! Widać go wyraźnie. Po co nam zwiadowcy, na oczy Kaptura?

- To sprzeczne z regulaminem.

- Z regulaminem! - Genist zamrugał. - Nie jesteśmy na froncie, ty cholerny durniu - ciągnął, ściszej głoś. - To sam środek kontynentu. - Zacerpnął tchu i spojrział na trębacza. - Sygnał.

* * *

Po drodze do fortu Mech nareszcie się zamknął. Genist doszedł do wniosku, że kapitan w końcu zaczyna pojmować, gdzie jest jego miejsce. Nad dalekimi wzgórzami we wciąż jeszcze gorącym powietrzu

unosily się tumany pyłu wzbijane przez oddziały konnicy Seti. Bogowie, poskarżył się w myśli Genist. Dwa lata wśród tych skundlonych barbarzyńców. Ciekawe, jak wyglądają miejscowe kurwy? Zapewne na całych równinach nie znajdzie się żadnej w miarę niezłej. Przyjrzał się najbliższym jeźdźcom. Szary, futrzany sztandar. Żołnierze Wilków. Przeszukał wzrokiem okoliczne wzgórza. Z tyłu wypatrzył sztandar z białego futra. Żołnierze Szakali, legendarna arystokracja związków wojowników, zaprzysiężeni postrachowi równin, Ryllandarasowi, białemu szakalowi. Według legend owa starożytna moc wywodziła się z tej samej krwi, co Pierwsi Bohaterowie, a wśród nich Treach, który został teraz Trakiem, nowym bogiem bitew.

Wysoka dwuskrzydłowa brama Fortu Saran otworzyła się przed nimi. Stojący przy niej oficer zasalutował Genistowi, a ten skinął głową w odpowiedzi. Główny plac apelowy znajdujący się za bramą był pusty. Pod północną palisadą wznosiła się szeroka, przysadzista kamienna wieża o trzech kondygnacjach. Dzięki Pani przynajmniej za to, pomyślał Genist. Przed wieżą czekał komitet powitalny.

– Zagraj sygnał na zbiórkę – rozkazał trębaczowi i skierował wierzchowca naprzód. Ku jego irytacji Mech podążył za nim. – Nie widzę pięści Darlat.

Jazda formowała szeregi za ich plecami.

– Nie znam jej – odparł Mech.

Zamiast pięści Darlat, mającej oficjalnie przekazać mu dowództwo, na Genista czekała zbieranina niechlujnych oficerów w wyblakłych, znoszonych opończach. To chyba były jakieś żarty! Co prawda, Saran był tylko fortem, ale rezydującego tu dowódcę uważano w praktyce za malazańskiego gubernatora wojskowego całych równin Seti! Regionu równie wielkiego jak leżące na południu Dal Hon. Czy to była celowa zniewaga?

Genist ściągnął wodze przed grupą oficerów i przyjrzał się im uważnie, próbując ustalić, kto tu dowodzi. Bez rezultatu. Nie zauważył żadnych insygniów ani epoletów, które pozwoliłyby odróżnić ich od

siebie. Wszyscy wyglądali tak samo. Mieli smagłe, ogorzałe od wiatru twarze i znoszony ekwipunek. Każdy z nich był weteranem. Dlaczego znaleźli się na tym pustkowiu? Czyżby niedawno przeniesiono ich z Siedmiu Miast? Niektórzy w jego sztabie sugerowali, że stąd właśnie wziął się Mech. Jak śmiali się tak na niego gapić? Niech ich szlag!

– Kto tu dowodzi? Gdzie pięść Darlat?

– Pięść Darlat jest niedysponowana – odparł najstarszy z nich, stojący na lewym skraju grupy.

Kimkolwiek był, nie ulegało wątpliwości, że ma za sobą wiele lat ciężkiej służby. Krótko obcięte włosy sterczały mu w kępkach. Być może były to ślady po poparzeniu. Jasne od słońca włosy upstrzyły pasma siwizny, a oczy były tylko szparkami w ogorzałej, pomarszczonej twarzy. Na plecach miał wielki, czarny refleksyjny łuk, jakich używali Seti.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Toc. Toc Starszy.

Po chwili milczenia Genist parsknął śmiechem.

– To z pewnością żart. Chyba nie ten Toc Starszy?

– Innego nie znam.

Genist spojrział na oficerów. Żaden się nie śmiał ani nawet nie uśmiechał. Mech również miał poważniejszą minę niż kiedykolwiek dotąd.

– To fantastyczne, niesłychane... myślałem, wszyscy byli przekonani, że... nie żyjesz.

– I bardzo dobrze. – Mężczyzna podszedł bliżej i pogłaskał wierzchowca Genista po szyi.

– Pięści Geniście D'Irdlel, czy mogę pożyczyć na parę chwil twojego konia?

Genist wytrzeszczył oczy.

– Słucham? Czy co możesz? Po co?

Kapitan Mech zsunął się pośpiesznie z siodła.

- Weź mojego.

Toc odwrócił się od Genista.

- Jak się nazywasz, żołnierzu?

- Mech. Kapitan Mech.

- Dziękuję za pożyczenie konia, kapitanie Mech.

Toc Starszy wspiął się na siodło, skinął głową do swych oficerów i pogalopował na plac apelowy.

Dwaj oficerowie podeszli do Genista i wyjęli mu wodze z rąk. Pięść sięgnął po miecz.

- Nie radzę - szepnął Mech. - Mają przewagę liczebną.

Genist przeszył go wściekłym spojrzeniem.

- Mam dwa tysiące...

- Na pewno? Przekonamy się.

- Co to miało znaczyć, na brodę Beru?

Mech wskazał podbródkiem w stronę placu apelowego. Genist odwrócił się i wbił wzrok w rozgrywającą się tam scenę.

Toc Starszy krążył przed szeregami jeźdźców.

- Są wśród was weterani?! - zawołał głosem tak donośnym, że docierał aż do Genista. - Żołnierze z dawnych kampanii? Sierżanci? Chorążowie? Czy mnie znacie? Poznajecie mnie? Kim jestem? Wykrzyknijcie to głośno!

Genist słyszał odpowiedzi, ale nie był w stanie rozróżnić słów. W szeregach rozległ się pomruk. Ludzie odwracali głowy, wymieniając słowa.

- Znacie mnie?! - krzyczał Toc. - Dowodziłem skrzydłem w armii Dassema pod Valanem, gdy padło Tali! Oczyszcilem Nom Purge! Poskromilem Seti!

Żyły Genista wypełnił chłód. Pięść zaczął rozważać możliwość, że to rzeczywiście może być Toc, a nie jakiś przypadkowy bandyta próbujący się pod niego podszyć. Na oddech Kaptura! Toc Starszy, najznakomitszy dowódca kawalerii w całej historii imperium! Na Otchłań,

przed nim imperialna kawaleria właściwie nie istniała. Genista przeszył dreszcz, gdy usłyszał dalsze słowa mężczyzny. Przypomniawszy ludziom, kto wynegocjował traktaty z plemionami Seti, za kim podążyły kolumny koczowniczych lansjerów, które opuściły te równiny i przemierzyły Quon, a nawet dotarły do Falaru. Pięść zwrócił się ku otwartej bramie fortu, bojąc się, co może tam ujrzeć. Pięciu plemiennych starszych siedziało na koniach, przyglądając się wydarzeniom. Na plecach mieli białe futra, a ich lance zdobiły również białe futrzane fetysze.

Bogowie na dole! Co tu się zaczęło?

W szeregach zabrzmiał okrzyk, z każdą chwilą przybierający na sile.

- Toc Starszy! Toc Starszy!

Ludzie wysuwali broń z pochew, unosząc ją ku niebu.

- Toc Starszy!

Nawet stojący obok Genista Mech potarł z namysłem usta kciukiem.

- Toc Starszy... - wydyszał cicho.

Rozdział III

Trake osiągnął ascendencję.

Któż może przewidzieć, jak wpłynie to na jego braci i siostry?

Na Pierwszych Bohaterów? Czy wszyscy pójdą w jego ślady? Czy nastały czasy okrutnych, niecywilizowanych bogów?

Brutalni bogowie na przygnębiająco brutalne czasy?

Tol Geth, Esteta Darudzystan

Zajazd „Pod Róźdzką i Berlem” znajdował się w południowej ćwiartce Ronda Zewnętrznego Li Heng. Ten adres nic nie mówił nowym przybyszom, ale ci, którzy mieszkali w mieście już od dawna, wiedzieli, że z pewnością oznacza jedno: nędzę. Li Heng było miastem złożonym z rond, koncentrycznych kręgów. Pośrodku znajdowało się Ognisko Wewnętrzne, w jego centrum zbudowano Pałac, a w samym sercu Pałacu Miejską Świątynię. Ongiś była poświęcona Protektorce, teraz jednak, pod malazańskim panowaniem, rekonsekrowano ją w imię pełnego panteonu quontaliańskich bogów, bohaterów i duchów opiekuńczych. Ognisko otaczało Większe Rondo Pośrednie, przeznaczone dla starożytnych rodów arystokratycznych miasta, bogatych domów kupieckich oraz urzędników rządowych. Dalej było Mniejsze Rondo Pośrednie, o jeszcze większym promieniu. Tam skupiała się aktywność handlowa. Li Heng leżało pośrodku Quon Tali, w jednakowej odległości od obu brzegów. Przez miasto biegł główny szlak kupiecki łączący Untę z położoną na dalekim zachodzie prowincją Tali. Handel był życiem miasta. Na zewnątrz znajdowało się czwarte rondo – Rondo Zewnętrzne o największym obszarze. Tu stały domostwa robotników, manufaktury, zagrody dla zwierząt oraz getta Seti i innych cudzoziemców.

Jeśli zaś chodzi o to, co zbudowano za legendarnymi murami, wiele mówił fakt, że w kupieckim żargonie Li Heng nie istniało na to żadne określenie. Wygnany na Rondo Zewnętrzne zajazd nie mógł się nawet pochwalić bliskością jednej z dwóch głównych bram: Bramy Świtu wychodzącej na wschód albo Bramy Zmierzchu skierowanej na zachód. W pobliżu znajdowała się znacznie mniej sławna i przynosząca mniejsze zyski Brama Górska, zwrócona ku południowi. Właściciel i goście mogli się cieszyć jedynie z tego, że nie jest to nieszczęsna Północna Brama Równin.

Zgodnie z tradycją w zajezdzie zatrzymywali się żołnierze. W złoty ch czasach – przed zamordowaniem Błogosławionej Protektorki i nastaniem malazańskiego jarzma – mieszkali tu osobiści strażnicy służący kupcom oraz ludzie ze Straży Miejskiej powołanej przez władczynię. Teraz stała się ona kwaterą strażników karawanowych oraz żołnierzy z malazańskiego garnizonu.

Obecnie kontyngent składał się z malazańskiej piechoty morskiej z Czwartej Dywizji Siódmej Armii oraz tymczasowej drużyny sabotażystów, Jedenastej, aktualnie przydzielonej do Dowództwa Naczelnego Czwartej Armii pod komendą pięści Rheeny, wojskowego gubernatora Li Heng.

Dowódcą sabotażystów, awansowanym na polu walki, był kapitan Storo Matash, rodowity Falarczyk z Wyspy Ciosu. Kapitan Storo siedział przy stoliku i pił *ale*, słuchając jednego ze swych ludzi, Drżączki.

– Nie ma sensu tego ciągnąć, kapitanie. Najmniejszego. To nie do zrobienia. Nie ma mowy. – Drżączka uniósł obie ręce. – Może i dałoby się to zrobić, ale trzeba by się mocno napracować. To jedyna możliwość.

– Jestem sierżantem, kapralu.

– Tak jest, kapitanie.

Storo westchnął i potarł otwartą dłonią ostrzyżone na jeża włosy. Potem spojrzął na dwoje pozostałych sabotażystów.

– A co wy na to powiecie? Rzut?

Kobieta spojrzała na sufit, pogrążając się w zamyśleniu.

- Jeśli miasto użyczy nam wszystkich swych zasobów, da się to zrobić w rok.

- Słoneczko?

Mężczyzna skrzywił się, osuszył kufel, kaszlnął i otarł usta dłonią.

- To bezużyteczny projekt. Pozbawiony sensu. Tu nigdy nie było żadnej fosy.

Storo rozejrzał się po mrocznym, niskim pomieszczeniu.

- Wszyscy tubylcy zapewniają, że była. Henganie są bardzo dumni ze swej starożytnej fosy.

Słoneczko prychnął pogardliwie.

- Nie było żadnej fosy.

- A co było?

Sabotażystę nazwano Słoneczkiem z uwagi na jego okropne uśmiechy, przypominające raczej szczyrzenie zębów w grymasie bólu. Obdarzył Stora takim właśnie wymuszonym grymasem.

- Po pierwsze, Idryn faktycznie przepływa przez miasto, ale rzeka niesie błoto z całej, suchej równiny. Jest zbyt niepewna, by mogła wypełnić fosę, a do tego tylko zatkałaby ją ilem. Po drugie... hej, Rzut, jak najłatwiej wybudować mury?

Kobieta mrugnęła znacząco. Jej uśmiech prezentował się znacznie sympatyczniej.

- Obniżyć grunt.

- Sama widzisz. To był wykop. Kurewsko głęboki wykop. Nie żaden piękny staw z żabami, lśniący w blasku księżyca, ale brudna latryna pełna zdechłych psów i gówna.

- Dobra! Rozumiem. - Storo skinął na żonę właściciela, Estal, zamawiając następną kolejkę. - Nie musisz się wdawać w szczegóły.

Słoneczko zmarszczył brwi.

- W nic się nie wdawałem. Wykopaliśmy we trójkę dół sięgający aż do dna tego wykopu i to właśnie tam znaleźliśmy. Zdechłe psy

i gówno.

Estal postawiła na stoliku dzban *ale*. Storo przyjrzał się swoim sabotażystom. Nie był pewien, czy się na nich gniewać, czy cieszyć z tego, że uparcie trzymają się gier i nawyków, które pozwoliły im przetrwać lata walk w północnej Genabackis. Gdy tylko zamknął oczy, znowu czuł się jak wtedy, gdy Słoneczko i Rzut grali w kamyki z obrońcami Mott, wykrzykując do siebie ruchy w ciemnościach nocy. Potarł czoło kciukiem i palcem wskazującym, a potem pociągnął długi łyk taniego hengańskiego *ale*.

– Dobra. W takim razie zapomnimy o fosie... o wykopie.

Drżączka pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Hmm, to znaczy niekoniecznie. Rzut ma pomysły.

Kobieta oplotła się rękoma i pochyliła nad blatem.

– Zalejemy ten dół – rzekła ściszym głosem.

Nagle spojrzała na drugi koniec sali. Zdziwiony Storo popatrzył w tym samym kierunku. W sali nie było nikogo poza kilkoma pijanymi strażnikami karawanowymi i Estal. Rzut ponownie pochyliła się nad blatem.

– Ten wykop to tylko wielkie śmietnisko pełne drewna, odpadków i szmat. Jest w nim mnóstwo dziur. Wypełnijmy je. Ale nie wodą. Co ty na to, kapitanie?

Słoneczko rozciągnął usta w swym upiornym uśmiechu.

* * *

Po czterech dzbanach *ale*, kiedy Drżączka, Rzut i Słoneczko zajęli się grą w karty, a Storo pił dalej, do sali weszło trzech malazańskich żołnierzy. Dwóch zasiadło przy wolnym stoliku w połowie odległości między Storem a drzwiami, trzeci zaś podszedł do kapitana, rozkładając szeroko ramiona.

– Spójrzcie, kto tu siedzi. – Zwrócił się ku swym towarzyszom. – To on. Jak mówiła Rheena. Sierżant Storo wrócił z Genabackis.

Drżączka, Rzut i Słoneczko nie odrywali wzroku od kart. Storo obrzucił mężczyznę zaspanym spojrzeniem.

– Czy ja cię znam?

Oficer przyciągnął sobie nogą krzesło i usiadł na nim. Spod pach sterczały mu gałki dwóch pojedynkowych mieczy. Odgarnął z twarzy czarne włosy, powiązane jaskrawymi pasemkami materiału w małe warkoczki.

– Nie. Nie miałem przyjemności cię poznać. Pozwól, że się przedstawię. Jestem Harmin. Kapitan Harmin Els D'Shil, ze sztabu pięści Rheeny.

Pochylił głowę w leciutkim pokłonie.

Drżączka, Rzut i Słoneczko zerknęli nań z ukosa. Storo chrząknął w odpowiedzi.

Choć gładki uśmiech Harmina stanowił przeciwieństwo szczerbatego grymasu Słoneczka, z jakiegoś powodu niesamowicie go przypominał.

– Wyobraź sobie zaskoczenie, nie, nawet trwogę, z jaką przywitałem wiadomość, że bohater kampanii w północnej Genabackis wrócił tu tylko po to, by grzebać w ziemi i dźwigać kamienie jak skazaniec.

Drżączka, Rzut i Słoneczko odłożyli karty.

– Bohater? – warknął Storo, wyciągając rękę Słoneczka z mieszka, który miał u pasa. – Jaki znowu bohater?

Radośnie uśmiechnięty Harmin przeniósł wzrok na Słoneczko.

– Twoi ludzie z pewnością słyszeli już tę opowieść wiele razy, prawda? – Znowu spojrzął na Stora. Jego uśmiech przywodził na myśl ostrze miecza. – O tym, jak sierżant Storo zabił Zaprzysiężoną z Karmazynowej Gwardii?

Rzut zdmuchnęła włosy opadające na jej brudne, spocone czoło i schowała ręce pod stół, obok rękojeści zatkniętych za pas noży.

– Ehe, słyszeliśmy. I Storo jest teraz kapitanem, hmm... kapitanie.

Harmin pochylił głowę.

- Rzecz jasna, z początku w to nie uwierzyłem. Myślałem, że to tylko jedna z tych szalonych opowieści, jakie się rodzą na froncie. - Skrzyżował ręce, trzymając dłonie blisko gałek mieczy. Uśmiechnął się do Stora, odsłaniając jeszcze więcej zębów. - Wiesz, o co mi chodzi... kłamstwa wymyślane przez żądnych sławy...

Słoneczko zaczął się podnosić z krzesła, ale Storo go powstrzymał. Harmin po raz kolejny uśmiechnął się do sabotażysty, nie ruszając się z miejsca. Storo ustawił z łoskotem łokcie na stole i wsparł twarz na dłoniach.

- Ale potem przekonałeś się, że to prawda.

Harmin skinął głową i wyprostował powoli ręce. Zabrał Drżączce kufel, powąchał jego zawartość i odstawił naczynie.

- Tak. Nie muszę dodawać, że byłem zdumiony. Niemniej pięść Rheena zapewnia, że relacja jest prawdziwa.

- Dlatego przyszedłeś mnie zobaczyć i wysłuchać tej opowieści.

- Tak. Chcę ci także przekazać wiadomość. - Uniósł rękę. - Proszę, nie zrozum mnie źle. Nie jestem po prostu zwykłym, tępym, ciekawskim żołnierzem. Łączą mnie z Gwardią pewne związki. Świadczy o tym moje nazwisko. D'Avore'owie są... to znaczy byli naszymi kuzykami.

Storo pociągnął łyk i wyprostował się ze znużonym westchnieniem.

- Dobra. Opowiem ci o tym.

Drżączka, Rzut i Słoneczko spojrzeli z zaskoczeniem na dowódcę. Drżączka pośpiesznie wylał resztkę *ale* na zasłane słomą klepisko i nalał sobie znowu. Storo pociągnął kolejny, długi łyk, a potem odchrząknął.

- To było pod Owndos, podczas oblężenia. Mojej drużynie rozkazano zaatakować wieżę wznoszącą się nad morzem o tej samej nazwie. Mieliśmy ją zdobyć, a gdyby to się nie udało, zniszczyć, żeby Brood nie mógł z niej korzystać. Mieliśmy farta, bo był z nami nasz

kadrowy mag bojowy, Jedwab, który nadal mi towarzyszy. Prawda, Jedwab? – zapytał kapitan podniesionym głosem.

Harmin rozejrzył się i poderwał nagle. Przy sąsiednim stoliku siedział szczupły, blady mężczyzna. Miał na sobie koszulę, kamizelkę i spodnie z pięknego ciemnego jedwabiu, wytarte już i znoszone. Uśmiechnął się drwiąco do Harmina, który odwzajemnił uśmiech, zaciskając zęby.

Storo pociągnął kolejny łyk.

– Jedwab zbadał wieżę i zameldował, że przebywa w niej spory kontyngent nieprzyjacielskich żołnierzy: ludzie z Wolnych Miast, Barghastowie i miejscowa milicja miejska. Z wieży rozciągał się strategiczny widok na okoliczny las i wybrzeże Owndosu. Tak czy inaczej, nie przejmowaliśmy się tubylcami. Mieliśmy nawet barghasckich sojuszników. Te dzikusy są gotowe walczyć wszędzie i z każdym. Nie, pchnięcie Chłopaka sprawiło, że dowództwo w wieży sprawowało czworo Karmazynowych Gwardzistów. To skłoniło nas do zastanowienia. Wiesz, jak dawniej brzmiały oficjalne wytyczne. Nie wdawajcie się w walkę z Gwardią bez co najmniej pięciokrotnej przewagi liczebnej. My takiej nie mieliśmy. Dlatego nocą kazałem Jedwabowi i reszcie zaminować wieżę. Rankiem wyszedł z niej patrol pod dowództwem trójki Gwardzistów. To było nam na rękę. Zaczekaliśmy, aż oddalą się na sporą odległość, a potem rzuciliśmy się do ataku. Plan przewidywał, że zaatakujemy ich wszystkimi siłami, zepchniemy do wieży, a potem ją wysadzimy. Faktycznie, wszystko poszło zgodnie z założeniami. Wieża zawaliła się, sypiąc na boki kamieniami i pyłem. Ocalali żołnierze z Wolnych Miast i Barghastowie byli tak oszołomieni, że przegnaliśmy ich bez trudu. Potem jednak z ruin wyłoniła się czwarta z Gwardzistów. Najwyraźniej była Zaprzysiężoną. W chwili wybuchu na pewno przebywała na najwyższym piętrze, bo nie ucierpiała zbyt wiele. Niemniej runęła na ziemię razem z czteropiętrową wieżą i to ją trochę spowolniło. Nie poruszała się zbyt sprawnie. Może złamała sobie biodro? Jedną rękę miała zmiażdżoną. Nasi Barghasto-

wie otoczyli ją pierścieniem i naszpikowali dzidami oraz oszczepami. Przybili ją do ziemi chyba dziesiątkiem drzewc, ale ona nadal się bro- niła, wrywając je kolejno. To okropnie zaimponowało Barghastom. Ich szamanka odwołała swoich chłopaków. Wrzeszczała coś o duchach i paktach, jasno dając im do zrozumienia, że mają zostawić Zaprzysię- żoną w spokoju. Tymczasem Gwardzistka zdołała już usiąść. Powstrzy- mywały ją tylko oszczepy wbite w nogi.

Storo pociągnął kolejny łyk. Uniósł, a potem opuścił potężne ramiona.

- Sprawa spadła na mnie. Rzuciłem się do ataku i choć Zaprzysię- żona miała tylko nóż, o mało nie urznęła mi nogi. Padłem na ziemię, a ona wróciła do wyciągania oszczepów. Czas mijał. Okrążyłem ją, utykając, i wyprowadziłem kilka oburęcznych cięć od strony uszko- dzonej ręki. To spowolniło ją jeszcze bardziej. Kilka razy udało mi się zahaczyć jej głowę. Dzięki temu mogłem podejść naprawdę blisko. Rąbałem tak długo, aż wreszcie głowa spadła jej z ramion. Wtedy umarła. Potem ktoś mi powiedział, jak się nazywała. Sarafa Lenesh.

Uśmiech zniknął z twarzy Harmina, przechodząc w wyraz nie- smaku. Mężczyzna wypuścił z sykiem powietrze.

- A więc zaatakowałaś ranną kobietę i uciałeś jej głowę, gdy była unieruchomiona.

Storo skinął głową.

- Tak to mniej więcej wyglądało.

Harmin wyraźnie zapomniał języka w gębie. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Jesteś barbarzyńcą. Zniszczyłeś coś niepowtarzalnego. Jedyne- go w swoim rodzaju.

- To był cholerny nieprzyjaciel - warknął Słoneczko.

Harmin zdołał znowu się uśmiechnąć. Wstał.

- Dziękuję za opowieść, Storo, choć nie przynosi ci zaszczytu.

- A wiadomość? - zapytał Storo, znowu popijając *ale*.

Harmin przymrużył powieki, aż jego oczy zamieniły się w wąskie szparki. Wyciągnął zza pasa złożoną kartkę papieru i rzucił ją na stół.

– Pięć Rheena kazała ci to oddać. Przybyło imperialnymi kanałami administracyjnymi. – Uniósł szyderczo kąciki ust. – Może to zawiadomienie o przeniesieniu w stan spoczynku. Zawsze można mieć nadzieję.

Pokłonił się płytko i odwrócił od stolika. Dwaj towarzyszący mu ludzie wstali. Tuż przed drzwiami zatrzymał się nagle, ujrawszy dwóch siedzących po obu stronach wejścia mężczyzn. Znał ich z widzenia jako mięśniaków z nielicznego oddziału Stora. Jalor był koczownikiem z Siedmiu Miast, jego krótko przycięta, naoliwiona broda nie zasłaniała blizn pokrywających smagłą twarz. Drugi, Rell, pochodził z Genabackis. Rozparł się na krześle, a czarne przetłuszczone włosy opadały mu na twarz. Do nich Harmin nie raczył się uśmiechnąć. Wolał ich zignorować, a oni odwdzięczyli mu się tym samym.

Gdy tylko wyszedł, Jalor i Rell podeszli do siedzących przy stoliku towarzyszy. Jedwab zerknął Storowi w oczy i spojrzął znacząco na drzwi.

Kapitan zmarszczył brwi.

– Niech sobie idą.

Potarł palcami złożoną kartkę.

– Myślicie, że to przeczytał? – zapytał Drżączka.

– Oczywiście – odparł Słoneczko.

Rzut ponownie zdmuchnęła włosy z czoła.

– Dlaczego Rheena wysłała akurat jego? Miała do wyboru cały garnizon.

– Zapewne wysłała kogoś innego – zasugerował Jedwab. – Ale on się wcisnął.

Storo chrząknął na znak zgody. Rozłożył kartkę, wpatrywał się w nią przez bardzo długi czas, a potem zmiął list w ręce. Pociągnął

łyk. Jego ludzie wymienili spojrzenia. Słoneczko trącił łokciem Jedwabia. Mag poruszył się nerwowo.

– Co tam jest napisane? – zapytał po chwili.

Storo nie odpowiedział. Wręczył kartkę Drżącze. Ten wygładził papier i przeczytał na głos:

– Storo Matash, zawiadamiamy cię z żalem, że *Wyrzute Serce* zatoneło podczas sztormu nieopodal Mewich Skał. – Żołnierz uniósł wzrok. – Znałeś kogoś z załogi?

– Nie, to kod. Stary kod przemytniczy, znany na Wyspie Ciosu, Malazie, Napie i kilku innych wyspach. To propozycja spotkania od kogoś, kogo znałem w latach młodości. To był przyjaciel mojego ojca. Myślałem, że od dawna nie żyje.

Później, gdy zapadła już noc, Rzut zgłosiła pewną propozycję:

– Hej, tak sobie myślę, że powinniśmy nadać temu Harminowi imię Uśmieszek.

* * *

Ruiny przybrzeżnej świątyni, położone na zachód od Zatoki Untańskiej, do połowy zalała woda. Połamane kolumny obróciły się w porośnięte pąklami kikuty sterczące z wody. Choć świątynię dzielił od Unty tylko dzień jazdy, brzeg był bezludny. Wysokie klify zamieszkiwały jedynie wydry morskie i wodne ptactwo. Niski, tłusty mężczyzna w ciemnoniebieskim płaszczu ostrożnie posuwał się naprzód zdradliwą ścieżką wiodącą ku podstawie urwiska.

Wyszedłszy na skalisty brzeg, otarł pot z puciołowatej twarzy, wyjął spod płaszcza składany stołek z drewna i skóry i z westchnieniem znużenia usiadł na nim zaledwie o krok od unoszącej się w powietrzu piany wodnej.

– Chodź tu! – zawołał do fal, wachlując się. – Zwlekanie nic ci nie da.

Thukące o skały u podstawy klifu fale uspokoiły się nagle. Wody trochę się cofnęły. Mężczyzna uniósł głowę, jakby spodziewał się usłyszeć w szumie fal jakiś głos. I głos rzeczywiście zabrzmiał, choć tylko niewielu spośród żywych byłoby w stanie go zrozumieć.

– Wzywałeś mnie, Mallick? – odpowiedziały szemrzące wody.

Mallick Rel wytarł z płaszcza krople wilgoci.

– Zaiste. Jak brzmią wieści o najemnikach?

– Ich okręty zmierzają na miejsce spotkania.

– A na ich pokładach są Zaprzysiężeni, prawda?

– Tak. Wyczuwam ich obecność. Co poczujesz, gdy po ciebie przyjdą, Mallick?

– Nie pożyją tak długo.

Odpowiedział mu chichot.

– Być może to ty nie pożyjesz tak długo.

– Pilnują mnie strażnicy. Nie masz pojęcia, do czego są zdolni.

– Potrafię cię przejrzeć bez trudu, Mallick. To ty nie masz pojęcia, do czego są zdolni twoi strażnicy. Wiem o tym, bo gdybyś je miał, błagałbyś mnie o ratunek.

– Kellanved miał swoją armię martwiaków, Imassów.

– To powszechne, ale błędne przekonanie. Oni nie umarli. Zakonserwowano ich. Zresztą nawet oni nie tolerowaliby twoich strażników ani ciebie.

– Na szczęście Imassowie nikomu już nie zagrażą.

Głos szumiącej i pluskającej wody umilkł na chwilę.

– Jakże krótka jest pamięć ludzi – zdumiał się wreszcie.

Mallick machnął ospale ręką.

– Tak, tak. Ale mówiliśmy o najemnikach. Nie próbuj mnie powstrzymać.

– Jeśli chodzi o Gwardię, jej końca jeszcze nie przewidziano.

– Nie okłamuj swego wielkiego kapłana, Maelu. Tylko dzięki jhistalskim rytuałom możesz być obecny w tym świecie.

Wody znieruchomiały, zrobiły się gładkie jak szkło. Nagle pojawił się szeroki słup wodny, który wznosił się coraz wyżej, próbując się pochylić ku siedzącemu mężczyźnie. Wreszcie rozprysnął się z głośnym szumem.

– Więzy trzymają – stwierdził głos. – Te rytuały są tak odrażające, że nawet Kellanved się ich brzydził, Mallick. Niestety, niektórym z was udało się uciec.

Mężczyzna opuścił kąciki pulchnych ust, imitując ból.

– To mnie naprawdę ubodło. Jak możesz zwać własny kult odrażającym? Czy mam wypruć przed tobą wnętrzności kolejnych niewinnych ofiar? A może się opierasz?

– Nie jestem odpowiedzialny za żaden z twoich uczynków, Mallick. Ty i twój kult służycie własnym interesom. Nie moim.

– Tak zawsze jest z kultami. Ale starczy już debat o teologii, nawet jeśli są frapujące. Gdy okręty najemników ruszą na Quon, masz zwiększyć ich prędkość. Muszą tu dotrzeć jak najszybciej. Rozumiesz?

– Tak.

– To samo zrób ze statkami secesjonistów.

– Ich również mam przyspieszyć?

– Tak.

Wśród skał znowu poniósł się echem chichot.

– Mallick, zdumiewasz mnie i budzisz mój wstręt. Ciekawe, którzy pierwsi dostaną twoją głowę.

– Nie boję się. Jeśli wszyscy pragną twojej głowy, to pewna zapowiedź sukcesu.

* * *

Kapitan Straży Królewskiej obudził protoplastkę o północy.

– T'enet przysłała wiadomość. Osłony czwartego pierścienia tracą moc.

Timmel Orosenn, protoplastka Umrygu, wstała naga z łoża i wezwała skinieniem sługi.

- Nic nie czuję.

- T'enet mówi, że ostatnią barierę atakują fizycznie.

- Fizycznie? - Timmel odwróciła się, pozwalając, by służący ją ubierali. - Fizycznie? Czy to możliwe?

- T'enet najwyraźniej sądzi, że tak.

Służka zakryła włosy władczyni jedwabną chustą i zasłoniła jej twarz kwefem.

- Immanentna, jak sądzę?

- Tak, protoplastko.

- Obejrzyjmy to.

* * *

Strażnicy eskortowali karetę protoplastki w głąb łądu, do jaskiń pogrzebowych. Wehikuł mijał szeregi wojska, podskakując na wałach starożytnych linii obronnych, aż wreszcie dotarł do pierwszego rzędu taumaturgów Diademu Umrygu. Wszyscy pokłonili się Timmel. Jeden z nich pokuśtykał do karety, wspierając się na wypaczonej lasce z kości słoniowej.

- Protoplastko - rzekł, kłaniając się po raz drugi. - Jesteśmy przekonani, że czwarty pierścień padnie dziś przed świtem.

- T'enet.

Timmel spojrzała przed siebie z wysokiej karety. Pochodnie oświetlały tam nagą, martwą ziemię przed granitowymi monolitami zamykającymi wejście do jaskini. Sprawdziła osłonę swymi zmysłami i przekonała się, że bariera słabnie niczym tkanina coraz bardziej rozciągana przez napierającą na nią pięść. Wkrótce pojawią się w niej rozdarcia. A potem się rozerwie.

Wysiadła z karety. T'enet pokłonił się po raz kolejny, zapraszając ją do małego namiotu rozbitego na szczycie niewysokiego pagórka naprzeciwko wejścia do jaskini. Strażnicy protoplastki otoczyli całą grupę pierścieniem.

- Dlaczego tutaj? - zapytała Timmel, wspinając się na wzgórze. - Czemu nie kopią w innych miejscach? Z pewnością wiedzą, że czekamy tu na nich.

- Bez wątpienia, Wasza Wysokość. Wygląda na to, że dokonaliśmy mądrego wyboru. Podobnie jak nasi przodkowie, którzy zbadali jaskinie tak dawno temu, te demony zrozumiały fakt, że choć labirynt jest rozległy, nie ma z niego innego wyjścia.

- Ale dlaczego atakują osłonę fizycznie?

- Istnieją dwie pierwszoplanowe możliwości, Wasza Wysokość. Albo ich użytkownicy magii zginęli bądź wyczerpali siły, albo zachowują je na chwilę ucieczki.

- A którą możliwość uważasz za bardziej prawdopodobną?

- Drugą, Wasza Wysokość.

Protoplastka weszła do namiotu i usiadła na skórzanym krześle bez oparcia, spoglądając na odległe wyjście. Taumaturdzy z Diademem zajęli pozycje przed nią. Dalej z przodu, na stoku stały zwarte szeregi umrygańskich żołnierzy. Jeszcze dalej przygotowano wielkie doły wypełnione olejem, czekające na podpalenie, wykopy o dnach pełnych ostrych palików oraz ukrytych pod ziemią sieci z żelaznych drutów.

Protoplastka skinęła na T'eneta, który pochylił ku niej łysą głowę, zaciskając mocno dłonie na białej w ziemię lasce.

- Tylko my dwoje spośród żywych pamiętamy czasy pogrzebania, T'enet. Ta wojna pochłonęła mnóstwo ofiar. Wtedy posłuchałam twojej rady. A teraz znaleźliśmy się w tym samym miejscu, jakby nic się nie zmieniło. Być może znowu nam się uda, może odtworzymy osłony i odbudujemy bariery. Coś mi jednak mówi, że nie przysłużylibyśmy

się w ten sposób naszym potomkom. Niewykluczone nawet, że przeklęliby nas za to.

– Rozumiem, protoplastko. Te obawy przynoszą ci zaszczyt. Z pewnością jednak uwięzienie znacznie ich osłabiło. Być może tym razem uda się nam ich zniszczyć.

Timmel nie odpowiedziała. Przypomniała sobie, jak straszliwe były koszty pogrzebania dwudziestu ocalałych potwornych cudzoziemców, wynajętych – niektórzy teraz mówili „przywołanych” – przez jej siostrę, by pomogli jej w próbie zagarnięcia tronu. Minęły dziesięciolecia, nim jej wyspiarskie królestwo odzyskało równowagę po zniszczeniach. Ten fakt – na spółkę z ciemnoczerwonymi mundurami wojowników – spowodował, że przezwano ich Krwawymi Demonami.

* * *

Późną nocą nasilająca się migrena towarzysząca słabnięciu i pękaniu jej najsilniejszych osłon sprawiła, że Timmel westchnęła z bólu. Tenet podtrzymał ją falą własnej mocy. Skinęła do niego głową.

– Teraz.

Uderzył laską w ziemię i w dolinie zabrzmiała potężna, dźwięczna nuta. Dowódcy wykrzyknęli rozkazy. Żołnierze przygotowali się z cichym szmerem brzmiącym jak szum odległego deszczu. Zapalono olej w wykopanych przed wejściem dołach. Naładowano obłężnicze katarpulty i balisty umieszczone na podwyższeniach.

Protoplastka wstała, gromadząc moc. Diadem utkał rytuał zamknięcia.

Czekali. Z granitowych bloków wielkich jak buhaje posypał się pył, jakby coś uderzyło gwałtownie w mur od środka. Żołnierze zakrzyknęli trwożnie.

Podświetlona płomieniami bariera poruszyła się, pojawiło się w niej wyrzucenie, jakby coś napierało na nią od środka.

Wielki Przodku, zakłęta w myślach Timmel. Tego się nie spodziewała.

Kamienne bloki runęły z hukiem do wykopu, rozbryzgując na wszystkie strony płonący olej. Zalani ognistym deszczem żołnierze cofali się z krzykiem. Ku mrocznemu wylotowi jaskini posypały się strzały i bełty, najwyraźniej jednak bez rezultatu.

Wewnątrz rozbłysła stłumiona moc. Potem coś się poruszyło. Z ciemności wyłoniła się szara ściana. Pył? Dym? Timmel spojrzała na T'enetą.

– Co to za czary?

– To nie czary... – Łysy mag przerwał, wpatrując się w posuwającą się naprzód szarą barierę. Pociski odbijały się od niej. – To taktyka, Wasza Wysokość. Zagraniczne źródła wspominają o tego typu formacjach. Ścianach połączonych ze sobą tarcz.

– Kiedy ich tam zamknęliśmy, nie mieli takich tarcz, T'enet.

– To prawda, Wasza Wysokość. Najwyraźniej wykuli je z kamienia.

Wypełnione olejem granaty rozbijały się o tarcze, eksplodując płomieniami. Potężny bełt ze skorpiona, trzy stopy żelaza, odbił się od pochylonej powierzchni, która nawet nie zdrząła.

Timmel przymrużyła powieki. Bariere utwardzono magicznie od wewnątrz. Proszę bardzo. A więc jednak nie obejdzie się bez walki.

– Mistrzu Diadem! Spowolnijcie ich.

– Tak jest.

T'enet skinął głową do towarzyszy. Diadem skierował swą wolę na sunącą powoli naprzód kopułę.

Protoplastka ze wszystkich sił starała się ignorować krzyki i szcęk bitwy. Gdy kopuła pokonała pierwszą wypełnioną płonącym olejem fosę, w głosach ludzi zabrzmiały zdumienie i strach. Timmel dotknęła swymi zmysłami niezwyklej, obcej obecności. Najpierw zauważyła potężną moc tajników ziemi. Trudno będzie ją sforsować bezpośrednim atakiem. Następnie jej zmysły musnęły przypominającą diament

sieć mocy, która przyprawiła ją o oszołomienie. To kosztowało lata pracy. Cóż za mistrzostwo! Oddałyby wszystko, by móc porozmawiać z autorem tego dzieła. To wykraczało poza jej umiejętności. A pod tym wszystkim krył się mroczny wir tajników Cienia, budzący jej niepokój. Skąd to się wzięło? Wpływ nie pochodził z wnętrza kopuły, docierającej już do pierwszego szeregu żołnierzy. Strumień był jednak potężny... Skąd się brał?

Przeniosła spojrzenie na wylot jaskini, szeroko otwarty, mroczny... zlekceważony.

Bogowie Pradawnego Lodu!

Skoczyła w bok, lecz zbyt wolno, by uniknąć płomienia przeszywającego bólu, który przesunął się wzdłuż jej łopatki, sięgając ku prawej pasze. Padła na plecy, przyciskając prawą rękę do boku. Uniosła spojrzenie ku zjawie, wyglądającej dla niej jak żywy trup. Biodra upiornie bladej kobiety owijały wystrzępione karmazynowe szmaty, w jej oczach błyszczało szaleństwo, a białe, skołtunionie włosy opadały do talii.

Demonica spojrzała na nią z góry, powiedziała coś w swoim języku i zniknęła. Timmel zrozumiała tylko jedno słowo, które głęboko nią wstrząsnęło.

Jaghutka.

Otoczyli ją strażnicy. Rozglądali się wokół, ściskając w rękach broń. Timmel podniosła się z wysiłkiem. Nadzwyczajna siła i odporność jej rodu, zapewniająca kobiecie również magiczne talenty, złądziła szok i ból wywołane przez ranę.

Spoglądając nad głowami niższych strażników, zauważyła, że T'enet nie miał tyle szczęścia. Leżał twarzą ku ziemi. Diadem nie zwracał nań uwagi, całkowicie zaprzątnięty rytuałem.

– Jesteś ranna...

Timmel przerwała kapitanowi swej straży machnięciem dłoni.

– Jak bitwa?

Oficer pokłonił się. Poszukała w pamięci jego imienia... Regar Y'linn.

- Przedstaw mi sytuację, Regar.

Mężczyzna znowu się pokłonił.

- Formacja tarcz posuwa się naprzód. Przerwała drugą linię obrony. Komendant Fanell padł ofiarą zamachu.

Timmel zbadała dolinę zmysłami, poszukując oznak tajników Cienia. Nie znalazła nic. Kobieta się ukryła.

- Kierunek?

Regar zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, protoplastko?

- W jakim kierunku posuwa się kopała tarcz?

- Aha! Na południowy wschód, w stronę rzeki.

Timmel skinęła głową. Tak jest, tak samo jak poprzednio. W dół, do wody. Zawsze do wody. Poprzednim razem T'enet sprzeciwiał się jej zawzięcie i wbrew głosowi rozsądku posłuchała jego rad. Tym razem zrobi to po swoimu.

- Każ rozproszyć szyki od południowego wschodu, kapitanie. Potem wróć do mnie.

Regar się zawahał.

- Kapitanie?

- Wedle rozkazu, protoplastko.

Timmel klapnęła na krzesło.

- Diadem?

- Tak, protoplastko? - odpowiedzieli wszyscy taumaturdzy miarowym, wypranym z emocji głosem.

Timmel odepchnęła od siebie paraliżujące przerażenie, jakim atakowała ją ich wspólna świadomość.

- Zaprzestańcie wysiłków.

- Tak jest, protoplastko.

Usiadła wygodnie. Z koniuszków jej znieczulonych palców skapywała krew. Po chwili jednak krwawienie ustało. Uzdrawiające talenty jej rodu zamknęły ranę. Szczęk bitwy oddalał się, w miarę jak kopała tarcz zmierzała ku wodzie.

To słowo, to zakazane słowo.

A więc na szerokim świecie nie o wszystkim jeszcze zapomniano. Starożytne prawdy nadal gdzieś żyły. Nawet jedno miejsce to było za dużo dla niej i jej rodzaju.

Usłyszała zbliżające się kroki. Uniosła głowę i zobaczyła, że to Regar.

– Tak?

– Oddalają się wzdłuż rzeki.

– Ku ujściu?

– Tak.

Timmel poczuła, że napięcie, które kazało jej przesiedzieć sztywno całą noc, ustępuje. Szczyty wznoszących się w głębi ładu gór załśniły złoty-różowym blaskiem w świetle nadchodzącego świtu.

– Wyślij jeźdźca do miasta, Regar. Niech zakotwiczą u ujścia rzeki nasz najsolidniejszy statek. Bez załogi.

– Słucham, protoplastko?

Timmel wyprostowała się na krześle, spoglądając oficerowi niemal prosto w oczy.

– Zrozumiałeś moje słowa, kapitanie?

– Tak jest.

– To wykonaj rozkaz. Natychmiast.

Regar zasalutował, odwrócił się dziarsko i oddalił biegiem.

– Diadem?

– Tak, protoplastko?

– Nękać ich. Przez całą drogę. Niech wiedzą, że ich tu nie chcemy.

Tak jest, odejdźcie. Odejdźcie z naszymi klątwami, najeźdźcy. Karmazynowi Gwardziści.

– Tak jest, protoplastko.

* * *

Kital E'sh Oll, od niedawna pełnoprawny szpon służący pod rozkazami komendanta Ursa, wyprostował się, przenosząc spojrzenie ze zmumifikowanego trupa na skalne warstwy ścian kanionu wewnątrz Groty Cesarskiej. Wyglądały niesamowicie. Gładka skała przypominała płynącą wodę, zamarznąłą w ruchu. Jak to możliwe, by sam wiatr wyrzeźbił coś takiego? Innymi królestwami często jednak władwały odmienne prawa.

Szczątki leżące u jego stóp nie były znów takie stare. Najwyżej kilka miesięcy. Dobrali się do nich padlinożercy, uniemożliwiając ustalenie przyczyn śmierci. Jacy jednak padlinożercy żyli w z pozoru zupełnie martwej Grocie Cesarskiej? To była kolejna tajemnica, która zapewne pozostanie nierozwiązana.

Wszystkie znaki wskazywały, że mężczyzna był malazańskim szponem. Zginął kolejny posłaniec, niosący wiadomość o kluczowym znaczeniu. Kto przechwytywał imperialną pocztę? Jeden z nieznanych mieszkańców groty? Kaptur wiedział, że jest ich legion: demony, ożywienicy, duchy będące pozostałością przekłętą przeszłości groty. Owe niebezpieczeństwa nie były jednak niczym nowym. Wszyscy się zgadzali, że grota jest nawiedzana. Nikt nie chodził po jej ścieżkach dłużej, niż było to absolutnie konieczne. Dlaczego jednak nagle stała się znacznie bardziej niebezpieczna?

Jego uwagę przyciągnęło ciche skrobanie. Na półce skalnej za jego plecami przycupnął jakiś człowiek – a przynajmniej coś, co wyglądało na człowieka. Zwisały z niego zakurzone szmaty, pozostałości być może bogatego ongiś stroju. Białe włosy tworzyły skołtunioną masę. Kital wyciągnął długie noże.

- Kim jesteś...?

Mężczyzna wstał. Był dość wysoki, choć wychudzony, i miał długie ręce.

- Jestem zaskoczony - odpowiedział nieznajomy, również po taliańsku.

- Zaskoczony? A czym?

Kital rozejrzał się. Mężczyzna nie okazywał niepokoju. Czy to możliwe, by rzeczywiście był sam?

Nieznajomy zeskoczył z półki i wylądował niemal w jego zasięgu.

- Tym, że nie przestajecie tu przychodzić.

Kital cofnął się przed nim mimo woli. Uszy wypełniły mu szepty o tajemniczej przeszłości groty. Kim - czy może czym - była ta zjawa? Co chciała mu powiedzieć? „Przychodzić?”

- Nie rozumiem.

Mężczyzna spojrzął na pochowanego do połowy w pyłe trupa spoczywającego u jego obutych w sandały stóp.

- Pytam, kiedy ta ropucha, którą zwiecie swym panem, wreszcie zmądrzeje.

- Ropucha? Służę cesarzowej!

- Tak ci się tylko zdaje, chłopcze. Tak ci się tylko zdaje. - Rozpostarł ramiona. - Chodź. Nie mam broni. Zrobię to szybko.

Kital przyjrzał się długim, żyłastym kończynom, smagłej skórze pod warstwą pyłu i popiołu. W jego wspomnieniach obudziły się opowieści wyszeptywane ukradkiem w salach treningowych i sypialniach Szponu.

- Kim jesteś?

Mężczyzna rozstawił szeroko nogi i rozpostarł dłonie.

- To celne pytanie. Byłem wieloma ludźmi. Przez pewien czas jednym, potem innym, a później jeszcze innym, choć ten ostatni był kłamstwem. Teraz, gdy od dawna siedzę tu sam, zacząłem zadawać sobie to pytanie... i postanowiłem, że będę tym, kim mogłem kiedyś

się stać, i zmierzę się z jedynym przeciwnikiem, który mi dorównuje. To mój cel. Na razie nie mam imienia.

Kital wytrzeszczył oczy. Miał do czynienia z szaleńcem. Mężczyzna był kompletnie obłąkany. Ale z drugiej strony każdy postradałby zmysły, gdyby zabłądził sam w Cesarskiej Grocie.

– Powinieneś być już mnie zaatakować, młody nowicjuszu. Gdy tylko udało ci się nakłonić mnie do mówienia.

– Moim zadaniem jest zbieranie informacji.

Szaleniec zwiesił na chwilę głowę.

– Rozumiem. Postępujesz zgodnie z regułami. Dobrze się spisałeś, nowicjuszu. Naprawdę dobrze. Wielka szkoda... – Wypuścił powietrze.

– Byłbyś cennym nabytkiem dla organizacji. Żałuję tego, co muszę zrobić...

Mężczyzna skoczył na niego. Kital cofnął się, odbijając cios. Ten głupiec nie miał broni! Mimo to ataki młodzieńca nie mogły go dosięgnąć. Nieznajomy uderzył go w łokieć kostkami dłoni. Długi nóż wysunął się z odrętwiałych palców. Cios w głowę oszołomił Kitala. Potem w jego piersi eksplodował ból, jak po kopnięciu przez konia. Nie był w stanie zaczerpnąć tchu. Leżał, wpatrując się w matowoszare niebo. Piers wypełniał mu ogień. Twarz nieznajomego przesłoniła firmanent.

– Przykro mi.

Jego głos ledwie przebijał się przez szum wypełniający uszy młodzieńca.

Twarz była bardzo blisko... te oczy! Młody szpon domyślił się jego imienia i wypowiedział je bezgłośnie. Mężczyzna skinął głową, ujął skronie Kitala w zdumiewająco ciepłe dłonie i pociągnął...

* * *

Znowu został sam. Towarzyszyły mu tylko dwa trupy – jeden świeży, a drugi stary. Wyprostował się. Stał przez pewien czas z uniesioną

głową, nasłuchując czegoś, być może tylko posepnego wichru. Jego uwagę przyciągnęło nagłe poruszenie suchej gleby obok starego trupa. Złożone tylko z kości i wystrzępionych ścięgien palce poruszyły się spazmatycznie w pyłe. Mężczyzna odsunął się, jego dłonie zdrząły nerwowo. Nagie, połamane żebra uniosły się, wciągając ze świstem powietrze do rozdartych jam ciała trupa. Zwłoki wstały, ich wyschnięta skóra zatrzeszczała jak wygarbowana. Puste oczodoły skierowały się na mężczyznę.

– Z kim rozmawiam? – zapytał, nie wiedząc, czy skoczyć na trupa, czy rzucić się do ucieczki.

– Nie z poprzednim lokatorem.

– A więc jesteś posłańcem Kaptura?

Odpowiedział mu śmiech, który zabrzmiał jak cichy świst.

– Mam dla ciebie wiadomość, ale nie od niego.

– W takim razie od kogo?

Trup machnął gwałtownie rękami, kołyszającymi się luźno na wystrzępionych więzadłach.

– Przyjrzyj się uważnie, głupcze w lachmanach. Widzisz nieuniknione. Niedoskonałość ciała. Słabość ducha. A wszystko to na nic. – Znowu rozległ się świszczący śmiech. – Daj spokój, nie zwykłeś oszukiwać sam siebie, jak ciemne masy. Po co udawać? Wszystko, co ludzkie, jest niedoskonałe i skazane na klęskę.

Mężczyzna skrzywił się z niesmakiem, rozluźniając mięśnie.

– Jak widzisz, moje kończyny są całe. Tracisz czas.

Odpowiedział mu chichot suchy jak popiół.

– A jednak oszukujesz siebie. Albo próbujesz nabrać mnie. Z pewnością lepiej niż ktokolwiek inny zdajesz sobie sprawę, że wygląd zewnętrzny nie ma żadnego znaczenia, podobnie jak wszelkie pozory.

Mężczyzna omiół spojrzeniem okoliczne skalne wyniosłości, wypatrując oznak ruchu. Czyżby trup grał na zwłokę? Czy agenci już

się zbliżali? Czemu Przykuty postanowił nawiązać kontakt akurat w tej chwili?

– Zapewniam cię, że jesteśmy sami. Mamy dowolnie wiele czasu, by omówić wspólne interesy.

Mężczyzna popatrzył na zwłoki.

– Możesz być tego pewien? Tutaj?

Ciałem wstrząsnął konwulsyjny śmiech. W powietrze wzbily się obłoczki pyłu.

– Och tak. Absolutnie. Dzięki wpływom jednego z moich przedstawicieli. Ale przejdźmy do rzeczy. Jesteś znakomitym kandydatem na członka mojego Domu. Jeśli nie interesuje cię żadna z aktualnie istniejących pozycji, być może uda się stworzyć nową kartę, przeznaczoną wyłącznie dla ciebie. Tylko to sobie wyobraź. Czyż nie byłoby to niepowtarzalnym osiągnięciem?

– Zdarzały się precedensy.

Trup odpowiedział milczeniem, zinterpretowanym przez mężczyznę jako przejaw zimnej jak lód irytacji.

– Nie bądź tak porywczy. To ci nie przystoi. Okaż rozsądek. Z pewnością nie wyobrażasz sobie, że przeżyjesz konfrontację z siłami, które przygotowują się do walki z Tronem. I nie tylko z nim. Nie poświęcaj życia nadaremnie.

– Opowiedz mi coś więcej o tych siłach.

Trup potrząsnął ogryzionym do jednego kłykcia palcem.

– No, no. Jeszcze nie zawarliśmy umowy. I wygląda na to, że jej nie zawrzemy. – Ręka opadła, próchniczy uśmiech poszerzył się jeszcze. – Szkoda. Ty nie dajesz sobie przemówić do rozsądku, ale nie wątpię, że on zdecyduje inaczej...

Trup znowu zaśmiał się świszczaco, konwulsyjnie. Mężczyzna warknął wściekle i obalił go kopniakiem. Ciało rozpadło się z głośnym stukiem, gdy tylko zniknęła ożywiająca je obecność.

* * *

Spowita w łachmany postać stała przez pewien czas bez ruchu, nasłuchując anemicznego wiatru. Nie, zdecydował wreszcie mężczyzna. Nikt nie ukradnie mu oczekiwanej satysfakcji, nawet sam Przykuty. Jego wróg również nie przyjmie propozycji, czyż nie tak? Nie, mężczyzna za dobrze go znał. Byli zbyt do siebie podobni. Żaden z nich nie zajmie się niczym innym, dopóki nie popełnią ostatecznego czynu, nie wbiją ostatniego noża. A najpiękniejsza w całym tym czekaniu była świadomość, że w ostatecznym rozrachunku ten skurwysyn Czepiec będzie musiał przyjść do niego.

* * *

Wędrowiec wybrał się na wzgórze w towarzystwie kilku wieśniaków, by poszukać drzewa na maszt. Ereko opuścił chatę późnym rankiem. Wolały to zrobić, gdy jego towarzysz spał, ale nie zamierzał próbować odczytu nocą. Tylko głupiec kusiłby w ten sposób los. Kryte darnią rybackie domostwo wznosiło się nieopodal niewielkiej wypustki plaży. Na brzeg wyciągnięto solidną łódź, rybak naprawiał jej burtę. U wejścia siedziała staruszka, zajęta lataniem płaszcz. Spojrzała na Ereka bez śladu lęku. To była pierwsza zapowiedź tego, co miało się wydarzyć.

– Słyszałem, że mieszka tutaj talent.

Staruszka skinęła głową i odłożyła płaszcz. Wyciągnęła szponiastą, stwardniałą dłoń. Ereko włożył w nią srebrną monetę.

Kobieta nie okazała zaskoczenia. Wsadziła pieniądze za pas szerokiej spódnicy. To powinien być uznać za drugi znak.

– Hrath! – zawołała głosem urywanym i ochryplym jak u morskiego ptaka. – Hrath!

Podbiegł do nich chłopiec. Ereko widział go już przedtem, bawiącego się wśród porośniętych czarnymi algami skał na przylądku. Sta-

ruszka ujęła go za rękę.

– Karty, Hrath – powiedziała i wepchnęła dziecko do środka.

Ereko natychmiast zauważył oznaki talentu na jego gładkiej twarzy. Chłopiec wyglądał na jakieś dziesięć lat, z pewnością nie osiągnął jeszcze dojrzałości – kolejny wiele mówiący znak. Olbrzym zadał sobie pytanie, od jak dawna splątane nici losu zmierzały ku temu spotkaniu. Minęło sporo lat, odkąd ostatnio odważył się stawiać talię. Dla niego odczyty bywały bardziej niebezpieczne niż dla większości, dla Wędrowca zaś stanowiły śmiertelne zagrożenie.

Ereko pochylił głowę, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na ubitym klepsisku chaty. Staruszka rozpałała ogień z tyłu jedynej izby, a chłopiec wygładził podłogę i pokazał olbrzymowi karty. Ten zauważył, że są chłodne i mokre. Jeszcze jeden złowrogi omen.

Chłopiec przez chwilę trzymał spokojnie talię, po czym zaczął rozkładać karty na krzyż, dzieląc oczyszczoną połać na cztery części. To był stary układ. Ereko słyszał, że w miastach nie cieszy się on zbyt dużą popularnością. Talenty uskarżały się, że zbyt faworyzuje wpływy Domów. Gdy chłopiec zaczął mówić, olbrzymi zdumiały pewnością i doświadczenie brzmiące w jego głosie.

– Królowa Życia jest wysoko – zaczął chłopiec, podobnie jak większość prawdziwych talentów stawiających talię dla Ereka. – To chyba ochrona. Jesteś jej ulubieńcem. Widzę Dom Śmierci, on również się niepokoi. Jak zwykle jeden podąża za drugim! Jest też Cień, jego wpływ narasta z czasem. Berło blisko odwróconego Rycerza Śmierci... zdrada. Czyja? Ale nie, to przeszłość. Dotyczy kogoś innego i zakłóca układ. Widzę liczne konwergencje i zemstę, ale wszystkie są gorzkie. Obelisk jest blisko. Podróżuje z tobą. To zarówno błogosławieństwo, jak i brzemię. Kallor, wielki król, wypaczone odwrócenie wszelkiej władzy, stoi naprzeciwko...

Ereko był zdumiony. Skąd chłopiec o tym wiedział? Skarcił się jednak w myśli. Jeśli był prawdziwym talentem, musiał wiedzieć więcej, niż mówił, mimo że jego uboga talia nie zawierała kart nowego Domu.

– Nie... to znaczy... – Na twarzy chłopca pojawił się wyraz zakłopotania. – Walczy tu tak wiele wpływów, przyciąga je ten, kto jest ci bliższy! Widzę starożytną przeszłość, która grozi zamianą w przepowiedzianą przyszłość. Widzę strach zapowiadający niedostrzeżenie szans... jak zwykle interes może uniemożliwić naturalne spełnienie. Dla ciebie pozostaje tylko jedna karta. Powiedz mu, powiedz Żołnierzowi Światła, żeby nie bał się nikogo poza Przykutym. – Ostatnie słowa chłopiec wypowiedział pośpiesznie, a potem umilkł nagle, gdy wyciągnął ostatnią kartę i uniósł ją przed twarzą. Uciszył go jej widok. – Nie – wydyszał. – To niemożliwe...

Osunął się do przodu, rozsypując karty.

Staruszka podniosła nieprzytomnego chłopca i położyła go na łóżku. Nuciała coś pod nosem, głaszcząc go po błyszczącej od potu twarzy. Na ubitej ziemi leżała ostatnia karta: Król Nocy, najbardziej złowróżbna ze wszystkich pozycji i atrybutów. Ereko bez słowa opuścił chatę. Jego podejrzenia się potwierdziły. Los już z nim skończył. Niemal nic w tym odczycie nie dotyczyło jego. Był już blisko. Jedna karta z pewnością znaczyła, że została mu tylko jedna ścieżka. Wracając do ułożonej na kłodach stępki ze sterczącym ożebrowaniem, zastanawiał się, kim jest Żołnierz Światła. A Król Nocy? Ta ostatnia karta zawsze miała tylko symboliczne znaczenie. Jak mogła się stać aktywna? Co to oznaczało? Czy istniał między nimi jakiś związek? I wreszcie, co mogło to mieć wspólnego z nim albo Wędrowcem?

* * *

Brzęk żelaznej sztaby nad powierzchnią kopalni wyrwał Ho z popołudniowej drzemki. Krzywiąc się z bólu w zeszywniałych, obrzękniętych stawach, zsunął się z półki, na której spał, i pomacał wokół ręką w poszukiwaniu tuniki i nogawic. Przybyli nowi więźniowie. To go zaskoczyło. Transporty do kopalń otataralu przybywały w ostatnich latach coraz rzadziej. Najwyraźniej Laseen zaczęło brakować wrogów.

Zbył tę myśl pogardliwym prychnięciem. To było cholernie mało prawdopodobne.

Choć minęły już dziesięciolecia od czasów, gdy był nieoficjalnym burmistrzem Jamy i przedstawicielem więźniów w rozmowach z naczelnikiem – kto właściwie był teraz naczelnikiem, niech to szlag? – Ho nadal czuł się zobowiązany uczestniczyć w ceremoniach powitania.

Kiwał głową do znajomych, wędrując wąskimi, krętymi tunelami. Każdy z korytarzy był ongiś chodnikiem, podążającym wzdłuż obiecującej żyły otataralu. Większość spotkanych więźniów odwzajemniała gest powitania. Żyli w małym świecie – garstka tych, których dożywno zesłano do trujących kopalni. Rzeczywiście były trujące, albowiem otataral jest śmiertelnym wrogiem wszelkiej magii i manipulacji grodami, a wszyscy więźniowie byli magami, skazanymi na pobyt w tym miejscu przez cesarza albo cesarzową, która nastąpiła po nim. Ho trafił tu jako jeden z pierwszych.

Powierzchnia kopalni miała kształt podstawy otwartego cylindra wykutego w skale. Średnica zagłębienia wynosiła około czterdziestu kroków, a głębokość ponad dwadzieścia wzrostów mężczyzny. Na jaskrawobłękitnym niebie ciągnęły się wąskie pasma chmur. Drewniana platforma zawieszona na linie posuwała się w górę, skrzypiąc głośno. Podnosiła ją i opuszczała obracana przez woły wciągarka ulokowana na powierzchni.

Nowi więźniowie – czterech mężczyzn i jedna kobieta – ustawili się w nierównym szeregu. Wychudzony brodacz stojący na jego końcu wyglądał na uczonego. Mrugał co chwila, spoglądając ze zdumieniem na otoczenie. Pękata kobieta była starsza od niego. Zaciskała mocno usta w grymasie niesmaku. Na twarzy następnego mężczyzny również malowała się gorzka dezaprobata, towarzyszył jej jednak lęk. Wszyscy troje mieli już swoje lata i wyglądali na typowych więźniów Jamy: talenty, które wzbudziły niezadowolenie Tronu. Dwaj pozostali różnili się jednak od nich. Trzymali się nieco z boku. Na ich widok w myślach

Ho rozległy się dzwony alarmowe. Byli młodszy, opaleni i naznaczeni bliznami. Jeden miał niebieskawą skórę, typową dla mieszkańców Napu. To byli magowie bojowy, być może wywodzący się z kadry armii. Z pewnością weterani. Społeczności to się nie spodoba.

Obecny burmistrz Jamy, mag z Siedmiu Miast zwany Yathangarem, przeszedł wzdłuż szeregu, zamiatając brudną od rdzawego otataralowego pyłu szatą. Potem wsparł się na lasce, wykonanej z podtrzymującej strop belki.

- Witajcie, przybysze - rzekł po taliańsku. - Używamy tu języka malazańskiego, jako mowy wspólnej dla mieszkańców Siedmiu Miast, Genabackan, Falarczyków i innych. To dziwne... - dodał, spoglądając na Ho - ...biorąc pod uwagę fakt, że jest tu bardzo niewiele Malazańczyków.

Ho uśmiechnął się do niego półgębkiem. Yathangar był byłym faldanem Ehrlitanu.

Nigdy nam tego nie wybaczył. Nigdy też nie wyjaśnił, dlaczego nie oddał życia w obronie swego miejskiego boga.

Więźniowie przyglądali się wysokiemu, brodatemu patriarsze, zatrzymując spojrzenia na plamach na jego szacie. Yath zauważył ich fascynację i otrzepał strój sękatą dłonią, ciemną jak drewno jego laski.

- Tak jest, przybysze. Nie sposób go uniknąć. Jest w powietrzu, którym w tej chwili oddychacie. W wodzie, którą będziecie pić, i w strawie, którą będziecie się posiłać. Wniknie w wasze włosy i zmarszczki.

- Królowo, broń mnie - wydyszał stojący na końcu szeregu uczoney. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

Yath zwrócił się ku niemu.

- Ona cię nie obroni.

- I co teraz? - zapytała kobieta, mówiąc po taliańsku z silnym akcentem. - Pobijecie nas? Przeszukacie i zabierzecie cenne przedmioty? Czy mamy być niewolnikami zbirów, którzy potrafili tu przetrwać?

Yath pochylił głowę.

- Celne pytania. Nie, nie, tutaj nie włada przemoc, jak w Czerepie. Albo w Uncie, jeśli już o tym mowa. Wszyscy jesteśmy magami i uczonymi, wykształconymi ludźmi. Rządzi tu rada. Żywność rozdziela się po równo, chorych otacza opieką...

- Całkiem jak w raj - zauważył wysoki mag kadrowy stojący na końcu szeregu.

Drewno laski zaskrzybiało w rękach Yatha. Burmistrz podszedł do dwóch weteranów.

- Wy troje możecie odejść - oznajmił pozostałym.

Członkowie komitetu powitalnego odprowadzili troje nowo przybyłych na dół. Przydzielili im kwatery, dostaną miski z żywnością i tak dalej. Ho został na miejscu. Yath uniósł laskę poziomo przed sobą. Milczał przez chwilę, czekając, aż troje nowych więźniów oddali się poza zasięg słuchu. Dwaj mężczyźni również znieruchomieli. To towarzysze, pomyślał Ho. Bardzo niezwykle. A nawet sprzeczne z więzienną procedurą.

- Niech wam się nie zdaje, że skoro jesteśmy wykształceni, będziemy wobec was bezsilni - oznajmił cichym głosem Yath. - Są wśród nas wygnańcy, którzy nie potrzebują grot, by zabijać.

- Te plamy - zwrócił uwagę niższy z dwóch mężczyzn, Napańczyk. - Słyszeliśmy, że Jama jest całkowicie wyeksploatowana.

Ho mógłby przysiąc, że usłyszał, jak Yath zazgrzytał zębami.

- Zostało jeszcze kilka żył - przyznał mag z Siedmiu Miast.

- Pozwól mi zgadnąć - ciągnął Napańczyk. - Każdy łapie się po kolei.

Yath wyprostował się i wbił laskę w piaszczystą ziemię.

- Zamierzacie odmówić?

Napański mag kadrowy poruszył nerwowo ustami. Przyjrzał się własnym dłoniom.

- Nie.

- Yath skinął z namysłem głową.
– Świetnie. Jak się nazywacie?
– Smętek – oznajmił Napańczyk.
– Frykas – odparł jego wysoki towarzysz.
– Znakomicie. Nasi ludzie przydzielą wam kwatery.

* * *

Ho odprowadzał wzrokiem dwóch weteranów eskortowanych przez starych wygnańców. Będzie miał ich na oku. Po co wysłano dwóch niewątpliwych wojowników między wszystkie uwięzione tu wykopaliska? Po to, by wyciągnąć z nich informacje, odpowiedział sobie na własne pytanie. Yath również im się przyglądał. Kolejni przekłęci Malazańczycy, przetłumaczył sobie jego złowrogie spojrzenie Ho.

* * *

Amaron czekał na nią u podstawy schodów w starej fortecy Tayliinów.

Fortecy mojej rodziny. Mojej fortecy.

Ghelel nadal trudno było w to uwierzyć, wszyscy jednak zgadzali się, że to prawda. Była trzecim żyjącym w ukryciu pokoleniem rodu Tayliinów. Klanu, który przed stuleciami rozszerzył quontalianą hegemonię na cały kontynent. Trójka, która przejęła władzę, sprawowała ją w imieniu Ghelel. W jej imieniu również przyznano dowództwo generałowi Chossowi. Nie miała złudzeń: była tylko marionetką, potrzebną, by nadać ich buntowi pozory prawomocności. Niczym więcej. Niemniej sznurki mają dwa końce i jeśli marionetka zgromadzi wystarczająco wiele sił, może zacząć nimi poruszać. Albo nawet je przeciąć, jeśli okaże się to konieczne. Tak czy inaczej, z pewnością zamierzała się przekonać, jak wiele luzu jej dano.

Teraz na przykład zażądała, by pozwolono jej porozmawiać z jeńcem przetrzymywanym w twierdzy. To był prawdziwy szpon, zatrzy-

many przez kontrwywiad Amaron – taki sam, jak ci, którzy tak dawno temu wymordowali jej rodzinę, wszystkich krewnych Ghelel poza jej dziadkiem, wówczas młodym chłopcem – który zdołał uciec. Musiała zobaczyć tego mordercę. Musiała zrozumieć, z kim – z czym – ma do czynienia.

Wysoki i – jak zauważyła teraz Ghelel – brzuchaty Amaron pokłonił się nisko.

– Pani, nie radzę. To niepotrzebne ryzyko.

– Z pewnością szpon nie dał się złapać, licząc na to, że w ten sposób dotrze do mnie?

– Tego nie sugerowałem. Tygrys w klatce nadal pozostaje groźny.

– Być może po prostu powinieneś przydzielić Quinna z powrotem do mnie.

W mroku trudno było cokolwiek wyczytać z ciemnoniebieskiej twarzy Napańczyka. Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie, pani. Ma obowiązki gdzie indziej. Wypełnił już zadanie u twego boku.

– Przydziel mi chociaż kogoś innego zamiast tego Molka. On jest zupełnie nieodpowiedni.

Amaron zachichotał basowo.

– Zapewniam cię, że jest jak najbardziej odpowiedni.

Ghelel pozwoliła sobie na westchnienie irytacji.

– Tak sobie wyobrażasz negocjacje, Amaron? To mi nie imponuje.

– Bardzo mi przykro z tego powodu, pani.

– Chodźmy go zobaczyć.

– Proszę, nie rób tego, pani. Wykorzysta tę sposobność, by podważyć twą pewność i zaufanie.

– Zdaję sobie z tego sprawę, Amaron.

Mężczyzna umilkł, pogrążając się w zamyśleniu. Stał przed nią w mroku jak kamienny mur. Wielu ludzi, których spotkała w fortecy, słyszało o Chossie i cieszyło się, że mają tak sławnego dowódcę. Ci

sami ludzie traktowali jednak Amaron z nieufnością lub wręcz się go bali. Napańczyk wypuścił powoli powietrze.

– Jak sobie życzysz. Ale nie podchodź do niego, dobrze?

– Tak.

Odwrócił się i ruszył w głąb ciemnego, kamiennego korytarza. Podążyła za nim, zastanawiając się, czy odniosła coś w rodzaju zwycięstwa, czy też zmarnowała cenne zasoby życzliwości na bezużyteczną zachciankę. Amaron otworzył drzwi i wszedł przed nią do zaskakująco wielkiego pomieszczenia znajdującego się za nimi. Pośrodku siedział mężczyzna przykuty łańcuchami do krzesła.

– Ghelel Rhik Tayliin! – zawołał, gdy tylko Amaron usunął się na bok.

Dziewczyna z wysiłkiem stłumiła dreszcz – nie wiedziała, czy ze strachu, czy ze wstępu. A może po prostu marzyła, w komnacie było chłodno. Postąpiła ostrożnie krok naprzód.

– Widzę, że znasz moje imię. A jak ty się nazywałeś?

Mężczyzna wzruszył ramionami, być może chcąc zademonstrować, że ma ręce bezpiecznie związane za plecami.

– Cóż za znaczenie mają nazwy? Na przykład Szpon czy Pazur. To w sumie to samo. Tak, Amaron?

Ghelel przesunęła spojrzenie między dwoma mężczyznami.

– Nie rozumiem.

– Pani... – zaczął Amaron.

– Chodziło mi o to, że Laseen stworzyła Szpon, ale kto dowodził w dawnych czasach zabójcami Tancerza, pazurami? Hmm?

Dziewczyna zatrzymała spojrzenie na Amaronie.

– A więc ty również jesteś mordercą.

Potęźnie zbudowany mężczyzna wsparł dłonie na pasie.

– Wolę określenie „agent polityczny”.

– Sama widzisz – rzekł szpon. – Wzięłaś w ręce te same noże, które niemal całkowicie wymordowały twoją rodzinę.

- Nie mieliśmy nic wspólnego z tym zabójstwami.
- Skoro tak mówisz, Amaron. Skoro tak mówisz.

Wstrząśnięta dziewczyna przenosiła spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego. Dlaczego Amaron pozwolił jej porozmawiać z więźniem, skoro z pewnością wiedział, co od niego usłyszy? Czy to była jakaś próba? Po co miałby zadawać sobie trud? Poczowała, że nie może zaczerpnąć tchu, jakby drzwi celi zamknęły się nagle za nią. Cofnęła się ku nim, szukając na oślep ościeżnicy za plecami.

- Nie pozwolę na takie rzeczy - zdołała wykrztusić głosem, który sama ledwie słyszała.

Szpon uniósł brwi.

- Nawet jeśli ktoś na to zasługuje? Na przykład Laseen? Uwierz mi, Tayliin, jak już ta lista się zacznie, będzie się z każdą chwilą stawać dłuższa.

- Nigdy.

- Niech i tak będzie. W takim razie przegrasz. A ci wszyscy żołnierze, którzy polegną za twoją sprawę, zginą nadaremnie.

Ghelel poczuła się, jakby szpon pchnął ją nożem.

- Co próbujesz osiągnąć? - zapytała, ocierając wilgoć z oczu.

- Wyedukować cię - odparł szpon. Spoglądał jednak na Amarona. Z jego ust zniknął uśmiešek. Dziewczyna miała wrażenie, że nagle dopadły go wątpliwości.

Zastanawia się, dlaczego Amaron pozwala mu mówić!

Tak jest, sama również zadawała sobie to pytanie. Jego zwątpienie dodało jej sił.

- Tak? A w jakim celu?

Szpon parsknął pogardliwym śmiechem.

- Głupie dziecko! Czy nie rozumiesz, że staniesz się taka sama jak ona? Mówisz, że nienawidzisz Laseen, ale, by odnieść sukces, na ścieżce, na którą wstąpiłaś, musisz wziąć w rękę narzędzia władzy. Te same narzędzia, którymi rzekomo gardzisz!

Amaron odchrząknął.

- Myślę, że już tego wystarczy, pani...

- Tak.

Ghelel przesunęła dłonią przed twarzą. Tak jest, wystarczy z nawiązką. Odwróciła się i wyszła. Szpon nie próbował jej wołać. Amaron zamknął celę i podążył za Ghelel. Zaczekała na niego na schodach, oplatając się rękoma. Zatrzymał się, obrzucając ją beznamietnym, szacującym spojrzeniem.

- Dlaczego na to pozwoliłeś, zamiast po prostu go zabić?

Wzruszył ramionami.

- Prędej czy później i tak usłyszałaś to oskarżenie. Lepiej, by stało się to jawnie, bo gdyby szept w końcu dotarły do ciebie, zaczęłaś się zastanawiać, czy próbowałem ukryć prawdę. A tak nadal istnieje szansa, choćby nawet niewielka, że z czasem mi zaufasz.

W tej chwili Ghelel nie ufała nawet własnemu głosowi.

- To niebezpieczna gra, Amaron - zdołała wykrztusić ochryplym tonem.

Napańczyk - potężna sylwetka rysująca się w mroku - umilkł na chwilę.

- Tylko w takie warto grać - odparł wreszcie.

Przyjrzała się jego postarzałej, naznaczonej bliznami twarzy. Widział już pewnie ze sto lat służby. Tak, potrafiła zrozumieć, dlaczego stary potwór go lubił.

- Nie mordujcie nikogo w moje imię, Amaron. Nie pozwolę na to.

Zmarszczył brwi.

- Trudno to zagwarantować. Obiecuję jednak, że najpierw zapytam.

Oplotła się rękoma jeszcze ciaśniej, jakby się bała tego, co się wydarzy, gdy zwolni uścisk.

- Tak. Możesz pytać. Ale przysięgam, nie będzie tak, jak przedtem. Nie może tak być.

Mężczyzna skinął głową. Ghelel ruszyła w górę, nadal zaciskając ręce na tułowiu. Przyszło jej na myśl, że w zgodzie Amarona kryła się pewność, że prędzej czy później narastający ciężar konieczności zmusi ją do przejścia na jego pozycje.

Niech Pożoga i Fanderay mnie przed tym bronią! Błagam, niech mnie bronią!

* * *

W noc spotkania Storo wstał z krzesła „Pod Różdżką i Berłem”, gdy tylko gongi ulicznej straży obwieściły połowę nocy. Nikogo z drużyny już tam nie było. Nie miało sensu kręcenie się tam, gdzie wszyscy spodziewali się ich znaleźć. Rzut i Słoneczko czekali na rogu, obserwując kapitana, który szedł – czy, ściślej mówiąc, zataczał się – ulicą, pijany jak dalhoński kupiec. Podążyli za nim, trzymając się na dystans.

Słoneczko i ja jesteśmy wojskowymi saperami, pomyślała Rzut. Co, w imię Kaptura, możemy wiedzieć o śledzeniu ludzi, szpiegowaniu i tak dalej? Prawda jest taka, że nic. Zupełnie nic. Ale z drugiej strony nie mamy robić tego dobrze. Chodzi o to, by nas widziano. Tak przynajmniej tłumaczył to kiedyś Jedwab. Jesteśmy tu, bo ci, którzy nas obserwują, spodziewają się, że ktoś tu będzie. Ten ktoś to my. To proste. Ha. Prawda wyglądała tak, że nie byłoby jej tutaj, gdyby nie fakt, że Słoneczko był najgroźniejszy w walce ze wszystkich sabotażystów, jakich znali, a ona była jedyną osobą, której był skłonny słuchać.

Słoneczko poklepał ją po ramieniu i wskazał przed siebie. Kapitan szedł na zachód, kierując się głównym łukiem Ronda Zewnętrznyego w stronę Idrynu. Zwolnili kroku, by się do niego nie zbliżać. Mimo późnej pory na rondzie wcale nie było tak cicho i spokojnie, jak można by się spodziewać. Na tym odcinku znajdował się podupadły nocny targ. Przy straganach paliły się pochodnie, podobnie jak nad otwartymi drzwiami gospód i szynków. Na bruk padały ławy i stoły z najbardziej nieustępliwymi pijakami. Rzut i Słoneczko przechodzili

nad tymi, którzy okazali się mniej odporni. Stojące obok wysokich piecyków koksowych kurwy nawoływały klientów. Ich wiek zmieniał się zależnie od odległości od światła. Niektóre sklepy najwyraźniej były czynne przez całą dobę. Słyszała też odgłos kowalskiego młota. Samotny stukot przypomniał kobiecie lata młodości w Cawn, ojca trzującego się w kuźni na dole. Ten dźwięk kojarzył się jej ze smutkiem i marnotrawstwem. Całe życie ciężkiej pracy zniweczone przez szlachcica, który odmówił spłaty długu, co doprowadziło do uwięzienia rodziny. Armia albo kurestwo były jedynymi legalnymi możliwościami, jakie jej pozostały – chyba że wołała umrzeć z głodu.

Minęli handlarza końmi – Seti pilnującego w towarzystwie synów spętanych zwierząt. Ich kundle kręciły się po rondzie, warcząc na wszystkich. Wydawało się cudem, że nie zgubili kapitana w tym chaosie, Storo jednak nie próbował się ukrywać.

Wyobrażała sobie trwający nieustannie w mroku taniec obserwujących ich ludzi. Gdzieś tam ukrywał się Jedwab, być może na górze, na jednym z tych kopulastych dachów, które tak bardzo lubili miejscowi architekci. Jalor i Rell również podążali za nimi, ale znacznie mniej rzucali się w oczy. Jalor, ponieważ ten syn Siedmiu Miast poruszał się jak kot, natomiast Rell, no cóż, ten facet był zdumiewający. Nikt w drużynie nie potrafił pojąć, dlaczego marnuje z nimi czas. Rzut nie pamiętała już, ile razy Storo próbował go awansować, ale on nie chciał się na to zgodzić. Jeśli zaś chodzi o Drżączkę, Rzut podejrzewała, że skurwysyn po prostu wymknął się chyłkiem jak zwykle.

Rzut wiedziała, że kapitan idzie na spotkanie z ludźmi, z którymi zaczynał przed laty służbę. Ostrzegł ich, że to banda bezlitosnych piratów. Cesarzowa wyjęła ich spod prawa. Czy chcieli się dowiedzieć, czy Storo zamelduje o tym spotkaniu pięści Rheenie? Plecy ją swędziały od tego skradania się po zaułkach. To była robota dla Jedwabia, nie dla niej.

– Spróbują go przekabacić – wyszeptła do Słoneczka, gdy kapitan skreślił w ulicę wiodącą do przybrzeżnych magazynów, a mężczyzna

chrząknął na znak zgody. – Jak myślisz, czy się zgodzi?

– Na co? – warknął Słoneczko.

– Pracować dla nich.

Pociągnął ją pod otynkowany mur.

– Popatrz na to – mruknął z typowym dla siebie uśmiechem, rozchylając zarzucony na zbroję płaszcz.

W kieszeniach i woreczkach miał pełno przebijaczy, wstrząsaczy, zadymiaczy, rozbijaczy i zapalaczy – cały skarbiec zgromadzony przez lata.

Wytrzeszczyła oczy z wrażenia.

– O cholera! Kiedy zdążyłeś je wygrzebać?

– Gdy tylko odwróciłaś się plecami. – Zasunął płaszcz. – Na tym polega twój problem, Rzut. Jesteś zbyt ufna. – Znowu się uśmiechnął.
– Dlatego muszę się tobą opiekować.

Kobieta pomyślała o swych dwóch żalonych przebijaczach.

– No to daj mi kilka!

Odsunął się od muru.

– Kapitan za bardzo się oddala.

Rzut stłumiła chęć przyłożenia skurczybykowi. Ruszyła za nim, zaciskając spocone dłonie na rękojeści ukrytej pod płaszczem kuszy.

Grisański łajdak! Jak śmiał?!

Nagle zwolniła, zamyślona.

Zabrał wszystkie? Naprawdę? To ci dopiero byłaby dziura. Może zawałiłaby się cała forteca...

Kapitan uchylił niepozorne drzwi prowadzące do magazynu z dwuspadowym dachem i zniknął w środku. Za zakratowanymi oknami paliło się słabe światło. Słoneczko zakradł się do bocznego zaułka. Rzut podążyła za nim. Plecy swędziały ją coraz bardziej. Czy ten, kto czekał w magazynie, nie umieściłby na dachach wartowników uzbrojonych w łuki? A w zaułku zbirów z mieczami w rękach? Słoneczko nie wahał się ani chwili, ale przecież on nigdy tego nie robił. Nawet na

polu bitwy. Wezwał ją skinieniem do wąskich bocznych drzwi, zataczając oczyma. Zamykał je wykonany z brązu zamek, zamknięty na żelazną kłódkę. Na codzienne potrzeby z pewnością wystarczył. Ci, którzy siedzieli w środku, zapewne nie wątpili w jego solidność. Dla wyszkolonego malazańskiego sapersa wyposażonego w alchemiczne środki Moranthów był to jednak żart. Rzut wyjęła narzędzia.

Podczas pracy znowu pomyślała o ojcu. Zajmował się kowalstwem. Był blacharzem, specjalizującym się w kwasorytnictwie. Przez całą młodość była jego nieoficjalnym uczniem, bo oczywiście oficjalnie dziewczyn nie przyjmowano do cechu. Nie miało znaczenia, że radziła sobie z robotą dziesięć razy lepiej niż jej głupkowaci bracia. Pomyślała, że dał jej przynajmniej tyle, jeśli nawet nic więcej. Gdy zaciągnęła się do armii, przyniosła ze sobą te umiejętności, a Malazańczycy natychmiast skierowali ją do akademii saperskiej. Tam instruktorzy zapoznali ją z alchemią Moranthów. To była miłość od pierwszego powąchania.

Najbardziej rozcieńczona mikstura, jaką Rzut była w stanie przyrządzić na miejscu, wystarczyła, by uporać się z zadaniem. Kobieta skinęła głową i Słoneczko wbił nóż w otaczające zamek drewno. Usta piło łatwo jak nasiąknięta wodą skóra. Pod koniec musiał się trochę natrudzić, gdyż deski były masywne i ostatnią, grubą na palec warstwę kwas osłabił tylko w niewielkim stopniu. Cały ten czas Rzut obserwowała zaułek, ściskając w rękach kuszę. Zadawała sobie pytanie, dlaczego jeszcze nie naszpikowano ich strzałami. Gdyby to ona organizowała tajne spotkanie, lepiej zadbałaby o bezpieczeństwo.

Słoneczko syknął i zaprosił ją skinieniem do środka. Zamknęła za nimi drzwi. Znaleźli się w wąskim przejściu między skrzyniami i beczkami sięgającymi niemal pod sufit. Wnętrze oświetlał blade blask odległych lamp oraz światło gwiazd, sączące się przez wysoko umieszczone zakratowane okna. Słoneczko łypnął na nią ze złością, unosząc nóż. Żelazną klingę znaczyły plamy rdzy. Wzruszyła ramionami.

- Trzeba było wziąć stary - wyszeptała.

Zaczerpnął tchu, chcąc coś warknąć, ale Rzut wskazała na rozciągający się przed nimi labirynt przejść. To go uciszyło. Mruknął coś pod nosem i ruszył przodem. Uśmiechnęła się. Lepiej, żeby podczas walki był wkurzony.

Z mroku dobiegały szept. Podkradali się coraz bliżej. Plecy Rzut wręcz płonęły. Nie było mowy, by pozwolili im aż tak się zbliżyć. Z pewnością leżli prosto w zasadzkę. Miała już przekazać znak Słoneczku, gdy ten nagle zatrzymał się przed zakretem, unosząc rękę. Rzut przyjrzała się stosowi skrzyń. Możliwe. To było możliwe. Puściła kuszę, pozwalając, by zwisała luźno na przewieszonym przez szyję pasie, a potem rozpięła i zrzuciła płaszcz. Przesunęła broń na plecy. Słoneczko ją osłaniał, gdy wspięła się na pierwszą, wąską półkę.

Wspinaczka nie była trudna, ale Rzut poruszała się powoli, starając się zachowywać cicho. I tak była przekonana, że słyszeli ją wszyscy w tym cholernym magazynie. Dotarła na szczyt i położyła się płasko, zdziwiona, że nikt nie przywitał jej pchnięciem w twarz. Gdzie się podzieli? Czyżby odwołali spotkanie?

Gdy Słoneczko wspinał się na górę, Rzut zdjęła z pleców kuszę i zastąpiła zwykły belt wyposażonym w przebijacz. Mężczyzna przykucnął obok, wyciągając bliźniacze długie noże. Skrzynie kołysały się i poskrzypywały niepokojąco. Słoneczko wskazał podbródkiem w stronę środka długiego, przypominającego stodołę budynku, a potem ruszył ostrożnie przed siebie. Rzut podążyła za nim, pochylając się tak nisko, jak tylko była w stanie. W mroku tuż nad nią majaczyły krokwie. Cuchnęły smołą, kurzem i łajnem nietoperzy. Ramion Rzut czepiały się pajęczyny. Dobiegające z dołu echa były coraz wyraźniejsze. Rozumiała już niektóre słowa i poznawała głos Stora. Słoneczko położył się przed samym brzegiem ich długiej, prostokątnej wyspy towarów. Rzut zajęła miejsce obok, wyglądając zza drewnianej krawędzi.

Pośrodku znajdował się wolny placyk. Kapitan stał na klepisku, opierając się o beczkę. Przed sobą miał dwóch mężczyzn i kobietę.

Rzut nie znała ich. Wszyscy wyglądali na weteranów, zwłaszcza srebrnowłose Dalhończyk, niesamowicie szeroki w barach.

– Jesteś teraz kapitanem, tak? – zapytał i zagwizdał z uznaniem. – No, no. Wysoko zaszedłeś.

Kapitan opuścił wzrok, uśmiechnął się półgębkiem i potarł niemal całkowicie łysą głowę. Rzut znała ten gest. Zawsze tak robił, gdy chciał ukryć przed rozmówcą, że lekceważy jego słowa.

– Ja bym cię zrobił komendantem, Storo. Wiesz o tym. A nawet pięścią. My nagradzamy talent. To nasza zasada. Gdyby twój ojciec nie utonął pod Genabaris, powiedziała by ci teraz to samo.

– Ona ma talent – odparł kapitan, nadal patrząc na ziemię.

Troje nieznamomych wymieniło spojrzenia. Kobieta zamigała coś do Dalhończyka. Przyjrząwszy się jej uważnie, Rzut zauważyła, że choć jest szczupła i trzyma się prosto, nie należy już do młodych. Ta trójka wywodziła się z tego, co wszyscy w imperialnej armii zwali „Starą Gwardią”. Włoski na jej ramionach zjeżyły się nagle na myśl, z czym mogą mieć tu do czynienia. A co z kapitanem? On ich znał. Co właściwie ukrywał przed nimi przez wszystkie te lata?

Dalhończyk wsunął z westchnieniem mięsiste łapska pod pachy.

– Posłuchaj, Storo. Musimy usłyszeć odpowiedź dzisiejszej nocy. Natychmiast. Przyszliśmy tu z uwagi na stare czasy, ale nie możemy zrobić nic więcej. Chcemy, żebyś przeszedł do nas. Naprawdę byś nam się przydał, ale musimy się dowiedzieć.

Kapitan opuścił dłoń, by podrapać się po nieogolonych policzkach. Wzruszył ramionami.

– Myślę, że już znasz odpowiedź, Orlat...

Orlat! Skądś znam to imię, pomyślała Rzut. Nie potrafiła sobie jednak przypomnieć skąd. Dalhończyk skinął głową. Na jego twarzy pojawił się wyraz szczerzego żalu.

– Ehe. Znam. Liczyłem jednak na to, że dasz sobie przemówić do rozsądku. Przykro mi, że musi tak się stać.

- Mnie też, Orlat. Mnie też.

Dwoje towarzyszących Orlatowi ludzi zniknęło.

Niech to Kaptur! Magowie ze starej kadry!

Obok Orlata stanęło sześciu uzbrojonych w miecze żołnierzy. Każdy z nich wyglądał na twardego weterana. Z mroku wyłonił się Rell i zajął miejsce u boku kapitana. Storo i Orlat nawet nie drgnęli.

Sześciu weteranów! Nawet Rell może mieć kłopoty.

Pleców Rzut dotknął ostry sztych noża. Kobieta się wzdrygnęła.

- Odwróć się bardzo powoli - powiedział ktoś.

Rzut zwiesiła głowę. Pociągnięcie Pani! Przetoczyła się na plecy. Nad nią i nad Słoneczkiem klęczał kurdupel w ciemnym stroju. Dwa długie, poczerniane puginały zawisły na szerokość palca nad ich brzuchami. Nieznajomy uśmiechnął się, odsłaniając szare, próchnicze zęby.

- Macie tylko jedną szansę udzielić zadowolającej odpowiedzi na pytanie...

Otworzyła się ciemność i mężczyzna w niej zniknął. Rzut spojrziała, mrugając, na Słoneczko.

- Chyba nigdy się nie dowiemy, jak brzmiała właściwa odpowiedź - oznajmił Jedwab, pojawiając się nagle między skrzyniami.

- Gdzie on jest? - zapytał Słoneczko.

Mag uśmiechnął się i mrugnął znacząco.

- W jakimś innym miejscu.

- Jak wygląda plan? - wyszeptała Rzut.

- Mamy dożyć do rana. Wszystkie wyjścia są zamknięte. Utorujcie drogę na brzeg rzeki. My odwrócimy ich uwagę.

- Na brzeg rzeki? Dlaczego tam?

Jednakże Jedwab już zniknął.

- Jestem zajęty - zdążył wyszeptać i ulotnił się bez śladu.

Słoneczko podczołgał się do drugiej krawędzi stosu i skinął na Rzut. Dołączyła do niego.

- Jest niedobrze. Naprawdę niedobrze.
- Ehe. Na pewno zaraz zginiemy.
- Cudownie.

Wskazał stos skrzyń i beczek oddzielony od nich wąskim przejściem.

- Musimy tam przeskoczyć.
- Co? - Dureń brał już jednak rozbieg. - Posłuchaj, porozmawiajmy o tym...

Słoneczko zerwał się do biegu. Skrzynie zakołysały się pod nimi. Rzut przypomniała sobie nagle, czym jej towarzysz wypchał kieszenie płaszcza i kamizelki oraz liczne torby. Zamarła porażona wizją magazynu oraz okolicznych budynków znikających w erupcji światła.

Słodkie Bliźniaki, nie!

Skuliła się trwożnie.

Gdy Słoneczko skoczył, rozległ się strzał z kuszy. Mężczyzna wyładował z łoskotem na stosie skrzyń, które zakołysały się, uderzając o siebie. Z dołu dobiegł szczełk mieczy. Rzut usłyszała westchnienie i sapanie. Uświadomiła sobie, że to nie może być Rell. On zawsze walczył absolutnie bezgłośnie. Zerknęła w dół i zobaczyła, że ich towarzysz powstrzymuje czterech pozostałych żołnierzy, dając kapitanowi czas na wyciągnięcie miecza. Orlat przyjrzał się uważnie Rellowi.

- Nie ma sensu utrudniać sprawy - oznajmił Storowi, choć jego głos nie brzmiał już tak pewnie, jak przedtem.

- Tak właśnie sobie pomyślałem - odparł kapitan.

Rzut wzięła rozbieg przed skokiem. Gdy dotknęła stopami skrzyń, uderzyła ją zawieszona na plecach kusza. Kobieta zwała się twarzą na nieheblowane drewno. Uderzenie wybiło jej dech z piersi. Podrapała sobie policzek. Zaczepnęła tchu i dotknęła twarzy. Jej rękę splamiła krew. Usiadła i zobaczyła, że Słoneczko trzyma się za nogę. Sterczał z niej belt.

Cholera.

- Ta sztuczka waszego kumpla nie była sympatyczna - dobiegł ich z drugiej strony przejścia znajomy głos. To był kurdupel nożownik, który właśnie wrócił nie wiadomo skąd. Przeskoczył bez trudu przez lukę, nawet nie zachwiał się na nogach. Skrzynie zakołysały się jak falujące leniwie morze. - Ale ja też mam kumpli. Co to miałem zrobić? Aha. - Uniósł noże. - Zabić was.

- Zamknij się, do Kaptura - warknął Słoneczko, rzucając mu pod nogi coś, co eksplodowało z ogłuszającym hukiem.

Rzut wzdygnęła się, mimo że widziała, że to tylko zadymiacz. Powietrze wypełniły czarne, nieprzeniknione opary, dusząc ich i dławiąc. Była pewna, że tego, co ładują Moranthowie do tych pocisków, raczej nie powinno się wdychać. Słoneczko złapał ją za bark i pociągnął w stronę skraju stosu. Zatrzymali się na chwilę, próbując ocenić wysokość, a potem skoczyli. Słoneczko ryknął z bólu, gdy runął całym ciężarem na ranną nogę. Oboje osunęli się na ubitą ziemię, dysząc ciężko.

Kurdupel wylądował obok, lekko jak kot. Leżąca na brzuchu Rzut warknęła z niesmakiem. Mężczyzna machnął nożem, wzruszając ramionami.

- Nie bierzcie tego do siebie. To tylko moja praca.

- Miałaś swą szansę, ale ją zmarnowałaś - odparł Słoneczko. Uśmiechał się złowrogo, spoglądając w głąb przejścia.

Kurdupel zaklął i zaczął się odwracać, ale rzucony przez kogoś nóż trafił go w bok. Padł na ziemię, przetoczył się i zniknął im z oczu za rogiem. Jalor potruchtał ku nim. Złote pierścienie na jego palcach lśniły jasno. Uśmiechał się, ale zęby miał czerwone od krwi, spływającej też po krótko przystrzyżonej brodzie. Ciemne szaty, które włożył na zbroję, były poprzecinane. Wyjął nowy nóż, by zastąpić ten, którym rzucił. Z jego twarzy nie zniknął błogi uśmiech.

- Dobrze jest znowu zabijać Malazańczyków!

- Tylko niech ci to nie przejdzie w nawyk - ostrzegła go Rzut, pomagając wstać Słoneczku.

Zmarszczył brwi.

- Dlaczego? - zapytał. - Czy Jedwab nie zlecił wam jakiegoś zadania? - dodał po chwili.

- Ehe - zgodził się Słoneczko. - Mamy wysadzić nas wszystkich w cholere.

Jalor wzruszył ramionami.

- Jak już mówiłem, powinienem być zginąć dawno temu.

- Zrób nam przysługę i zaczekaj z tym do jutra - mruknął pod nosem Słoneczko.

Jalor uśmiechnął się, mrugając znacząco do Rzut. Potem ruszył w pogoń za kurduplem.

Rzut próbowała wziąć towarzysza za ramię, ale Słoneczko odtrącił jej rękę.

- Dobra. Jak sobie życzysz.

- Jak myślisz? - wydyszał pełnym bólu głosem, kuśtykając. - Rozbijacz?

- Ehe. Lepiej się zabezpieczyć.

Przeście prowadziło do otwartego placyku kończącego się szerokimi suwanymi drzwiami. Rzut złapała Słoneczko za ramię, powstrzymując go. Jedwab powiedział, że wszystkie wyjścia są zamknięte. Co to właściwie miało znaczyć?

- Na co czekasz? - wysyczał mężczyzna.

- Jedwab mówił, żebyśmy nie ruszali drzwi.

Wyszarpnął rękę.

- Wysadźmy je i ruszajmy w drogę!

Nagle cienie na drzwiach poruszyły się i rozciągnęły. Wydawało się, że skapują na ziemię. Potem wyciągnęły się ku nim niczym struga czarnego inkaustu.

O cholera, pomyślała znowu Rzut.

Słoneczko uskoczył do tyłu, omal jej nie przewracając.

Rozbłysło światło, przecinając placyk zasłoną oślepiającej bieli. Rzut zamrugła, próbując usunąć z oczu powidoki. Na drzwiach pojawiły się cienie, wijące się, jakby z bólu. W mrocznym przejściu naprzeciwko dostrzegła starszą, szczupłą kobietę, towarzyszącą przedtem Orlatowi. Ona również patrzyła na drzwi. Potem zwróciła leniwe spojrzenie ku nim.

- Wasz przyjaciel jest niezły - oznajmiła. - Ale w końcu go dorwiemy. - Zmarszczyła brwi. - Ule powinien się już z wami załatwić.

Rzut uniosła kuszę pod pachą i wystrzeliła bez celowania. Bełt nie trafił w cel, ale uderzył niedaleko. Była pewna, że wybuch złapał kobietę, nim zdążyła skryć się w grocie. Tak czy inaczej, rozwaliła dwie beczki. Słoneczko skinął do niej głową.

- Nieźle.

Podbiegli do ściany, trzymając się jak najdalej rampy załadunkowej.

- Zajmę się tym - oznajmił Słoneczko, wyjmując rozbijacza.

Zamienili się pozycjami. Słoneczko osłaniał Rzut, która przyjrzała się ścianie i kopnęła ją mocno u podstawy. Grube heblowane deski tkwiły głęboko w ubitej ziemi. Trudna sprawa. Rozbijacz zniszczy nadziemną sekcję, ale będzie potrzebny solidny fundament, który nakieruje falę uderzeniową. Wyciągnęła najkrótszy ze swych noży i zaczęła rozkopywać suchą ziemię. Po chwili zauważyła, że Słoneczko odłożył kuszę i wyciągnął wstrząsacza. Dostrzegł jej spojrzenie.

- Znudzila mnie już ta zabawa.

- Równie dobrze możesz nim wałnąć o ścianę.

- To by było marnotrawstwo.

Musiała się z nim zgodzić. Rozbijacz był dostatecznie nieprzyjemny, ale na myśl o zużyciu wstrząsacza na wysadzenie drewnianej ściany każdy saper by się popłakał. Natomiast jeśli załatwią nim pojedynczego nieprzyjacielskiego żołnierza, który zdrowo ich wkurzył... no cóż, to była tradycja saperska, zapoczątkowana przez Płota.

Z zaułka dobiegł szcęk mieczy i tupot nóg. Wsadziła pośpiesznie rozbijacz do dziury i przysypała nogą.

– Będzie nam musiał wystarczyć.

– Teraz – ostrzegł ją Słoneczko.

Zaryzykowała spojrzenie za siebie. Storo i Rell cofali się krok po kroku przed grupą napierających na nich przeciwników. Spuściła na pokrywającą granat ziemię dwie krople nierozcieńczonego kwasu, poderwała się, złapała Słoneczko za ramię i pociągnęła go w bok, wykrzykując zwyczajowe saperskie ostrzeżenie:

– Pociski!

Padli na ziemię. Granat eksplodował. To było, jakby w obie skronie jednocześnie uderzyły młoty. Na ziemię posypały się odłamki drewna. Choć Rzut i Słoneczko leżeli obłąkańczo blisko, zachowali skórę, ponieważ rozbijacze skonstruowano tak, by kierowały całą falę uderzeniową w jednym kierunku – w tym przypadku w górę ściany. Zdała sobie sprawę, że instynktownie padła na Słoneczko, by osłonić to, co niósł. Mężczyzna natomiast zwinął się na ziemi, zwrócony plecami w stronę wybuchu, choć z nogi sterczał mu belt. Przeraziła ją myśl o ryzyku, jakie podjęli, niosąc tak wiele pocisków.

Ktoś szarpnął ją za ramię, podniósł i pociągnął ku dymiącej wyrwie w ścianie. To był Rell. Genabackański szermierz zdołał w jakiś sposób utrzymać w dłoniach oba miecze, otaczając jednocześnie jej rękę swoją. Klingi pokryła świeża krew, plamiąca również jego skórzany strój. Była pewna, że ani kropla nie pochodzi od niego. Przeprowadził ją pośpiesznie przez wyszczerbiony otwór.

Na nabrzeżu panowała ciemność. Po drugiej stronie Idrynu paliły się pochodnie. Ziemia pod ich stopami ustąpiła miejsca deskom przystani. Storo przyprowadził Słoneczko, a potem obaj z Rellem zajęli pozycje przy dymiącym otworze. Wszędzie wokół walały się zrzucone z dachu deski.

– Dokąd teraz?! – zawołała kobieta.

– Nad rzekę! – odpowiedział Storo.

Rzut zatoczyła się do tyłu, ciągnąc za sobą opierającego się Słoneczko.

– Będziemy ich osłaniać – wyjaśniła i saper ustąpił.

Rozległ się bojowy okrzyk z Siedmiu Miast i z ruin wybiegł pędem Jalor. Ścigali go wrogowie. W ziemię wbijały się strzały wypuszczane z dachu.

Gdy kuśtykała, ciągnąc za sobą Słoneczko, od strony przystani dobiegł znajomy łoskot. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie tor opadającego pocisku. Nagrodził ją ostry trzask przebijacza. Granat oczyścił z łuczników połowę dachu.

– Drżączka nas osłania! – zawołała ze śmiechem.

Spojrzenie Słoneczka powiedziało kobiecie, że w jej głosie słychać panikę.

Storo, Rell i Jalor cofali się przed naporem nieprzyjaciela. Pociski wystrzelone przez Drżączkę załatwiły się z dalszymi przeciwnikami. Rzut znalazła go nad rzeką. Kulił się za cumującą u nabrzeża łodzią.

– Wsiadajcie – warknął i sięgnął po jej kuszę.

Rzut zaczęła, aż Słoneczko usiadzie, i sama uniosła broń.

Zaczynało się robić naprawdę paskudnie. Z grotu wynurzył się jakiś przywołaniec. Pewnie można by go było nazwać demonem albo potworem. Miał wyszczerbione rogi i ciało pokryte łuskami. Była pewna, że to nie oni wezwali tę bestię. Stwór ruszył na kapitana. Rell sprawiał wrażenie gotowego stawić mu czoło, ale Storo pociągnął go do tyłu.

– Jedwab! – wrzasnął.

Rzut wstrzymała oddech, lecz nic się nie wydarzyło. Z reguły, gdy kapitan wzywał ich kadrowego maga tak głośno, pojawiały się płomień, dym, błyskawice i tak dalej. Teraz jednak odpowiedziała mu cisza. Kobietę nawiedziła niepokojąca myśl: czyżby czarodziejka i jej kumpel zdołali w końcu go dorwać?

Jej uwagę przyciągnął gwizd. Stojący na łodzi Słoneczko uniósł wstrząsacz i rzucił go jej. Rzut wypuściła z rąk kuszę tak gwałtownie, że ta omal nie wystrzeliła. Kobieta pozwoliła, by granat uderzył ją w klatkę piersiową, a potem opłotła pocisk rękami i położyła go na ziemi, by ulżyć uginającym się pod ciężarem kolanom.

Bogowie! Rzucanie wstrząsaczem! Nic dziwnego, że nie wybuchały tak łatwo. Wyobraźnia czyniła cuda.

– Są za blisko – stwierdził Drżączka, spoglądając na nią.

Strzały sypały się jak deszcz. Przystanią wstrząsnął zwierzęcy ryk. Rzut wyrzwała zza skrzyń.

Demon tonął. Tak to przynajmniej wyglądało. Łuskowate monstrum zapadło się po pas w ziemię, miotając się szaleńczo. Wszyscy się zatrzymali, gapiąc się na to z fascynacją. Rzut nieraz już widziała, jak przerywano bitwę, gdy jakiś szczególnie imponujący czar wyrwał się spod kontroli w przerażający sposób. Stwór zapadł się po pierś, a potem po szyję. W jego ryku pojawiła się nuta paniki. Potem zostały tylko uniesione ku górze ręce, sterczące z ziemi jak jakieś pokraczne, poruszające się spazmatycznie rośliny.

– Na kości Kaptura! – wydyszał Drżączka. – Co za śmierć.

– Strzelaj, do cholery! – zawołał Słoneczko. – Strzelaj!

Rzut wycelowała i wystrzeliła w solidniejszą część dachu magazynu, gdzie znowu zgromadzili się łucznicy. Drżączka trafił w najbliższe skupisko żołnierzy Orlata. Czar prysnął. Ludzie rzucali się na ziemię. Reszta drużyny dotarła do przystani. Rzut i Drżączka oddali ostatnie, ostrzegawcze strzały i skoczyli do odpływającej łodzi. Łucznicy nie przestawali zasypywać ich strzałami. Rell i Słoneczko wiosłowali, a pozostali położyli się na dnie.

Drżączka zmienił Słoneczko, pozwalając mu położyć się obok Jalora. Człowiek z Siedmiu Miast zaciskał powieki, oddychając płytko. Najwyraźniej zdrowo oberwał. Łódź zakołysała się niepokojąco, pochylając dziób. Pojawił się Jedwab. Ciemny strój, któremu zawdzięczał imię, był podarty i buchał z niego dym. Długie jasne włosy lepiły

mu się do głowy mokre od potu. Osunął się na ławkę i oparł wygodnie, wciągając w płuca głębokie hausty chłodnego rzeczno powietrza.

Wszyscy przeżyli. Ale co teraz? Rzut zerknęła na kapitana. Storo patrzył w dół rzeki z zamyśleniem na twarzy. Czy wysłe Jedwabia przez grotę do pięści Rheeny? Z pewnością musi ją zawiadomić, że banda piratów próbuje werbować w mieście ludzi. Odchrząknęła. Kapitan skinął głową z grymasem niezadowolenia.

- Tak, Rzut... co teraz?

- Zawiadom Rheenę. Zawsze była uczciwa.

Potarł nieogolony policzek i skrzywił się, słysząc jej słowa.

- Ehe. Na tym właśnie polega problem. To utrudnia nam sprawę.

- Słucham?

- Ona nie żyje - oznajmił Jedwab.

Storo pokiwał z przygnębieniem głową.

- O co tu chodzi?

- O to, że dziś w nocy w mieście nastąpił przewrót - wyjaśnił Jedwab. - Rheena z pewnością nie żyje. Zostaliśmy sami.

- Nie gadaj, przewrót? To śmieszne. Szpony zmiażdżyłyby wszelkie próby.

Rzut zauważyła jednak, że Słoneczko nie uśmiecha się szyderczo. Trzymał się za nogę, a jego mina sugerowała, że czuje się osobiście znieważony tą wiadomością. Pochyliła się nad raną, rozdzierając spodnie, by lepiej się jej przyjrzeć.

- Nie, jeśli są zajęte gdzie indziej - zauważył Storo.

- To znaczy gdzie?

Chwyciła za koniec bełtu i spojrzała Słoneczku w oczy. Rell pochylił się i złapał go za ramiona. Ranny skinął krótko głową.

- Zrób to - wydyszał.

Wsparła się całym ciężarem na drzewcu i zaczęła je pchać, aż wreszcie grot wynurzył się po drugiej stronie uda. Słoneczko miotał się w uścisku Rella, warcząc przez wykrzywione usta. Zwolniła nacisk.

Saper leżał bezwładnie, twarz zalał mu zimny pot. Rzut rozłożyła sprzęt i wzięła się do roboty.

– Pogadaliśmy sobie trochę z Orlatem – zaczął Storo. – Z jego słów zdołałem się zorientować, że wybuchł bunt wśród Seti, a także w Tali i w innych dawnych królestwach. To zorganizowane powstanie. Laseen już od lat wykrwawiała garnizony, wysyłając żołnierzy na te swoje zamorskie wojny. Między tym miastem a Untą stacjonuje najwyższej jedna dywizja. A większość jej żołnierzy zapewne przeszła na stronę nieprzyjaciela.

– To znaczy czyją?

Rzut zerknęła na kapitana, on jednak odwrócił wzrok, spoglądając na pochodnie i złociste latarnie oświetlające kopuły miasta.

– Znasz jego imię? Orlat? – zapytał.

– Gdzieś je słyszałam.

Zauważyła, że wszyscy wpatrują się w kapitana. Nawet Słoneczko, który zdążył już odzyskać przytomność.

– Orlat Kepten. Był w dawnych czasach kapitanem *Włóczni*. A ja byłem jego pierwszym oficerem.

Kepten? Tak, Gruby Kepten. Jak mogła o tym zapomnieć? Ale on był kapitanem we flocie Urka. To znaczyło...

– Służyłeś pod rozkazami Urka?!

Storo potarł policzki z wyraźnie zażenowaną miną.

– Ehe. Pod sam koniec. Mój ojciec był z nim znacznie dłużej. Zaciągnął się jako jeden z pierwszych Falarczyków, jeszcze przed inwazją.

Jedwab zajął miejsce na burcie i skierował łódź do północnego brzegu. Kapitan zwrócił się ku niemu.

– Co jest grane?

– Umówiłem się na spotkanie – odparł mag, przyglądając się labiryntowi mol i pirsów sterczących z brzegu na podobieństwo krzywych zębów.

Podpłynęli do zapadającego się nabrzeża. Jedwab przycumował i wszyscy czekali w milczeniu. Fale pluskały o lśniące, śliskie od mułu drewno starych słupków. Rell umył w rzece oba miecze, wyczyścił je naoliwioną szmatką i schował do pochew. Rzut zauważyła, że młodzieńiec po raz kolejny uniknął jakichkolwiek ran. Walczył u ich boku już od kilku lat, a nigdy jeszcze nie widziała, by choć go draśnięto. Było w tym coś nienaturalnego. Spojrzała na rany Jalora.

– Wszystko w porządku, Rzut. Niedługo przybędzie pomoc – uspokoił ją Jedwab łagodnym tonem.

– Wszyscy się z kimś dziś poumawialiście, tak? – odcięła się, przyglądając się magowi spod przymrużonych powiek.

Odpowiedział jej jednym ze swych enigmatycznych uśmiechów. Nieraz już widziała, jak skutecznie przyciągają spojrzenia dziewcząt.

– O co ci chodzi? – zapytał ją Drżączka.

– O to, że Jedwab zademonstrował dziś znacznie więcej sztuczek niż kiedykolwiek dotąd. Ci magowie robili wrażenie cholernie dobrych, ale on dostarczył obojgu zajęcia. Jak to możliwe, by zwykły mag drużyny dokonał takiej sztuki? I to spotkanie... wiedział, że dziś w nocy coś się wydarzy.

Drżączka patrzył na Słoneczko. Rzut zauważyła, że ranny wybałuszył oczy, jak zawsze, gdy się czegoś bał.

– A co ty na to?

Słoneczko wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tak sobie myślę, że może nie musimy Rheenie nic mówić. Może Laseen już o wszystkim wie. Co ty na to, Jedwab? Powiesz nam prawdę?

Drżączka wlepił spojrzenie w maga.

– Jesteś szponem, Jedwab?

– Cicho – warknął Storo. – Mamy już pod dostatkiem zmartwień.

Mag uniósł rękę.

- Wszystko w porządku, kapitanie. Wyjaśnię to. Prawda wygląda tak, że pochodzę z Heng. Wychowałem się tutaj. Jestem na swoim gruncie i potrafię tu wycisnąć z siebie więcej niż gdziekolwiek indziej.

Z góry dobiegł śmiech staruchy, brzmiący jak krakanie wrony.

- Kłóćcie się, kłóćcie. Czuję gorzki smród porażki!

Jedwab przesunął z westchnieniem palcami po włosach.

- Zejdź na dół, Liss.

Rozległ się stukot butów. Rell i Storo doprowadzili łódź bliżej do pływającej przystani. Dwóch młodzieńców - obdartych uliczników - sprowadziło staruszkę po krótkiej drabinie. Kobieta zacisnęła na nadburciu powykrzywiane, reumatyczne dłonie i w zupełnie niegodny damy sposób przełożyła nogę nad burtą. Odśloniła w uśmiechu próchnicze pieńki zębów i przykucnęła obok Jalora, chichocząc na widok jego ran. Rzut odsunęła się. Stara jędza cuchnęła gnijącymi rybami.

- Witajcie, lojaliści - rzekła ze śmiechem.

Lojaliści? - zdziwiła się Rzut. Co to niby miało znaczyć?

- Dzień dobry - odpowiedział Storo.

- Ach, wielki Zabójca Zaprzysiężonych. Sam kapitan Matash! - Przyjrzała mu się uważnie. - Nie wyglądasz zbyt imponująco.

- Liss... - wyszeptał ostrzegawczo Jedwab.

- Tak, tak. - Złapała głowę Jalora i pokręciła nią. Mężczyzna stęknął z bólu. - Ach! Czuję odwagę i odporność. To świetnie. Będzie żył. - Zwróciła się ku Słoneczku, który cofnął się trwożnie przed jej obrzękłymi dłońmi. Staruszka złapała go za nogę. - Ach! Czuję upór. To świetnie. Będzie chodził. - Jedna z dłoni powędrowała ku ramieniu Rzut. Palce uściśnęły ją mocno, docierając aż do kości.

Żołnierka wzdrygnęła się zdumiona siłą Liss. Jej nozdrza zaatakował smród mulistej rzeki, gdy wody opadną nisko. Odwróciła głowę. Jędza zachichotała na ten widok, choć Rzut nie widziała w tym nic śmiesznego.

- Witaj, Budowniczy. Cieszę się, że cię spotkałam – oznajmiła starucha.

Budowniczy? Chyba coś się jej pomyliło. Jestem saperem.

Potem staruszka zajęła się Rellem. Siedział nieruchomo, a napięte mięśnie jego kończyn drżały. Spoglądał na nią przez długie, splątane włosy. W ostatniej chwili cofnęła od niego ręce. Z jej ust wyrwał się świszczący oddech. Odwróciła się, pochyliła głowę i wymamrotała coś pod nosem. Rzut była przekonana, że reakcja Liss coś oznacza, nie miała jednak pojęcia co.

Młodzieńcy pomogli jędzy wygramolić się z łodzi. Stojąc na pomoście, wyciągnęła rękę i musnęła rozdarcie w koszuli Jedwabia.

- Wszystko już wyblakło. - Zachichotała. - Co się z nami stało, hmm?

- Bliźniaki są zmienne, Liss - odparł mag, uśmiechając się.

- Ha! Takie już są, co? No cóż, nie śpieszy im się ze zmianą.

- Serdecznie dziękuję - rzekł cicho Jedwab i się odsunął.

- Niech was Protektorka błogosławi! - zawołała jeszcze kobieta, gdy odpływali.

Skierowali się w dół rzeki. Ospały nurt niósł ich na wschód. Wkrótce miną kolejny szeroki zakręt i ujrzą przed sobą pierwszą z Riecznych Bram, potężnych żelaznych krat opuszczanych z mostów, służących jako przedłużenie otaczających miasto murów kurtynowych. Jaler wyprostował się nagle, omal nie wywracając łodzi. Rozejrzał się ze złością, jakby nadal toczył walkę, a potem rozluźnił się w uścisku Drżączki i Rella.

- Jak noga? - zapytał Storo, zwracając się do Słoneczka.

- Nieźle - mruknął skwaszony saper.

- To świetnie. Wkrótce będziesz jej potrzebował.

Uśmiech Słoneczka przerodził się w typowy dla niego szyderczy grymas.

- A to dlaczego?

- Dlatego, że zmierzamy do Pałacu.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Kapitan uciszył ich, unosząc rękę.

- Nie mamy wyboru. Musimy zaatakować teraz, nim skonsolidują władzę. Jutro wszyscy będą im salutować.

Drżączka wybałuszył oczy.

- Co? Nasza drużyna przeciwko całemu garnizonowi?

Storo zbył jego słowa machnięciem ręki.

- Za przewrotem stoi tylko garstka oficerów. Plus wsparcie ściągnięte z zewnątrz. Nie może ich być więcej. Żołnierze chcą przeczekać kryzys. Będą słuchać tych, którzy zjawią się jutro na porannym apelu.

- A co z Orlatem i jego bandą? - zapytał Słoneczko.

- Na razie muszą czekać za kulisami. Nie mogą się pokazać. Ale będziemy musieli na nich uważać.

Rzut i Słoneczko spojrzeli sobie w oczy.

- Założę się, że Uśmieszek jest jednym z nich.

Słoneczko odsłonił jeszcze więcej zębów. Potem zmarszczył brwi.

- To nie ma znaczenia, prawda? I tak nie dotrzemy do Pałacu. Dzieli nas od niego dwie Rzeczne Bramy.

- Nie dzieli - zaprzeczył siedzący na dziobie Jedwab, wyciągając rękę przed siebie.

I rzeczywiście, gdy tylko minęli zakręt, niesieni prądem wspomagany przez wiosła Rella i Drżączki, i ujrzeli przed sobą potężną bramę oświetloną słabym blaskiem pochodni i lamp, przekonali się, że krata w jej środkowej części jest uniesiona. Rzut zerknęła z ukosa na Jedwabia.

- Skąd wiedziałeś?

Uśmiechnął się do niej.

- Nie rozumiesz, Rzut? Muszą podnieść kratę, by sprowadzić do środka swoich ludzi. W ten sposób otwierają drogę również przed nami.

– To zbyt dogodne, Jedwab – sprzeciwiła się, nadal spoglądając mu w oczy.

Jego uśmiech stał się wyjątkowo czarujący. Te jego uśmiechy działały na wszystkie kobiety. Oprócz niej.

– Jak widziałas, Rzut, nadal mam tu przyjaciół – rzekł. – Zablokowali dla mnie bramy.

Słoneczko prychnął pogardliwie. Rzut usiadła. Dała się przekonać.

Słoneczko miał trochę racji. Jedwab jest kimś więcej, niż się wydaje. Ale nie szponem. Być może kimś ważniejszym od szpona. Niemniej kapitan mu zaufał, zrobił go swym zastępcą. To mi wystarczy.

– Jak wygląda plan? – zapytał Drżączka, przeglądając ocalałe bełty.

– Jedwab wprowadzi nas do Pałacu – odparł Storo, wpatrując się uważnie w ciemny brzeg. – Musimy zdobyć kontrolę nad dawną Salą Tronową Protektorki, Miejską Świątynią. Stamtąd ruszymy na garnizonowy plac apelowy. Chcemy tam być, gdy zjawią się sierżanci, by sprawdzić, z której strony wieje wiatr.

– I co zrobisz, Jedwab? – zapytał Słoneczko, uśmiechając się szyderczo. – Zaprowadzisz nas tam przez grotę? Może Grotę Cesarską?

Mag strzepnął pył z podartej kamizelki z ciemnozielonego jedwabiu. Nie musiał się trudzić, i tak była już nie do uratowania.

– Muszę cię poinformować, Słoneczko, że nikt nie może się dostać do Miejskiej Świątyni przez grotę ani opuścić jej tą drogą. – Uśmiechnął się protekcyjnie. Rzut wiedziała, że to zawsze doprowadza sapersa do szału. – Pójdziemy tajnym przejściem.

* * *

Tajne przejście okazało się cuchnącym kanałem, biegnącym tuż nad ospałymi falami Idrynu. Gdy tylko Drżączka poczuł wilgotny fetor bijący spod ceglanego łuku bramy, wzdrygnął się tak gwałtownie, że aż zakolysał łodzią.

- Au, bogowie! Zlituj się, Jedwab! Chyba nie chcesz...

- Nie bądź taki delikatny - mruknął Jedwab. - Jesteś saperem, tak?

- Nie ciesz się za bardzo - burknęła Rzut.

- Ruszajmy - odezwał się Słoneczko i omal nie przewrócił łodzi, stawiając stopę na śliskich od mułu ceglach.

Wszyscy kolejno wysiedli ostrożnie na brzeg. Rzut syknęła ze wstrętu, gdy zachwiała się na moment i musiała dotknąć wilgotnych ścian. Storo rozkazał Jalarowi puścić łódź na fale. Rewelacja, pomyślała kobieta. Nie mieli drogi odwrotu. Smród był wręcz namacalny, jego kudłate palce wnikały do jej gardła, wywołując mdłości. Jedwab zapalił osłoniętą kołpakiem lampę. Chciał ruszyć przodem, ale Rell go wyprzedził, unosząc oba miecze.

- I co mamy zrobić? - zapytał Słoneczko. - Wyleźć z dziury wychodka i zawołać: „Cześć!”?

- To by były dla ciebie odwrotne narodziny, co, Słoneczko?! - zawołał zamykający kolumnę Drzączka.

Zapytany uśmiechnął się tylko. Jego zęby błysnęły w półmroku.

- Jeśli chcecie wiedzieć, to tak, zrobimy coś w tym rodzaju - poinformował ich Jedwab, zrównując się z Rellem.

- Musiałeś pytać? - wyszeptala do Słoneczka Rzut.

- Cicho - warknął idący za nimi kapitan.

Pochylali się nisko, krzywiąc się od smrodu. Brodzili w wodzie, ślizgając się na nagromadzonych przez stulecia pozostałościach ekskrementów elit rządzących miastem. Piękna wizja! Rzut wyobraziła sobie, że w jakiejś mrocznej niszy na górze któryś z sędziów usadza pomarszczoną dupę pionowo nad nią i wykrzywia małą głębkę z wysiłku, by rzucić...

Nagle zakręciło się jej w głowie. Omal nie zwymiotowała. Musiała się oprzeć o śliski mur. Storo ją podtrzymał.

- Dobrze się czujesz?

- Nie dam rady.

- Jeszcze tylko kawałek. Weź się w garść.
- Kapitanie! Proszę!
- Przykro mi.

Słoneczko ryknął z gniewu pomieszanego ze wstrętem. Jego głos poniósł się echem wzdłuż tunelu. Dotarli do wielkiej podziemnej komnaty o kopulastym dachu. Oświetlała ją trzymana przez Jedwabia lampa. Słoneczko stał po kolana w kałuży plugastwa. Pozostali trzymali się jej płytkich brzegów.

- Na gnijące cycki Poliel! - warknął saper. - Nie potrafię uwierzyć, że mag nas tu przyprowadził!

Wskazał długim nożem drugi koniec pomieszczenia. Strumień ekskrementów wypływał z dwukrotnie wyższej od Rzut rzeźby przedstawiającej zamknięty pysk psa. Gdy oczy kobiety przywykły do ciemności, ujrzała więcej szczegółów: długie, stojące uszy i wąskie ślepia. Wyrzeźbiono cały psi łeb! Tutaj, w ciemności! Jaki był w tym cel?

Nos był jednak za długi, a głowa zbyt wąska. Nagle poznała tę podobiznę. Ryllandaras. Biały Szakał Zimy. Przekleństwo Quonu. Pierwszy Bohater, człowiek-szakał, który przez stulecia grasował na centralnych równinach, sprawiając, że niemal nie sposób było się przez nie przedostać bez wstawiennictwa plemion oddających mu cześć - dawnych Seti.

Jedwab przebrnął przez kałużę i dotknął gigantycznego łba.

- Kto go poznaje? - zapytał, odwracając się do nich.
- To Ryllandaras - odparła kobieta.

Skinął głową z zadowoloną miną.

- Tak też myślałem, że możesz to wiedzieć, Rzut. Chociaż żadne z was nigdy go nie widziało. Zniknął z równin już blisko sto lat temu. Miasto darzyło potężną nienawiścią swego starożytnego wroga, człowieka-szakała ze stepów. Jak widzicie.

- Wszyscy znamy tę opowieść - odezwał się Słoneczko. - Zabił go cesarz, czy może Tancerz. Przejdź do rzeczy.

– To jedna z wersji... tak czy inaczej, to jest wejście. Bardzo stare. Wywodzi się z czasów poprzedzających powstanie obecnego imperium, gdy Heng było niezależnym państwem-miastem, trzecim mocarstwem kontynentu. Ryllandaras i plemiona Seti byli jego odwiecznymi wrogami, bezustannie zagrażającymi murom...

Mag umilkł na chwilę, spoglądając na tytaniczny, usmarowany kałem posąg. Potrząsnął głową, jakby przywoływał stare wspomnienia. Rzut spojrziała pytająco na Stora, ale kapitan tylko zmarszczył brwi.

Nie teraz.

Jedwab wspiął się na łapę, pochylił nad głową i wyszeptał coś do wysokiego, kamiennego ucha. Jedno słowo. Po chwili kamienie jęknęły i zaskrzypiały. W dół poleciały muł i ekskrementy. Ostre zęby rozstały się z głośnym zgrzytem. Paszcza się otworzyła.

– Na jaja Kaptura! – wydyszał Drżączka. – Nie wejść tam!

– W takim razie czekaj tu sam w ciemności – zasugerował Storo.

Rell wszedł już do środka. Po chwili wrócił i skinął na nich dłonią.

– Jest tam chodnik.

* * *

Gdy szli chodnikiem, Rzut dogoniła Jedwabia.

– Za dużo przed nami odsłoniłeś – powiedziała półgłosem.

– Dzisiejszej nocy to jest wszystko albo nic.

– Byłeś wtedy miejskim magiem, prawda? Gdy nadszedł Kellanved.

Mężczyzna milczał przez pewien czas. Być może uważał, że to tak oczywiste, że nie wymaga komentarza. No cóż, jeśli materiał w jednym punkcie nie ustępuje, trzeba spróbować gdzie indziej, jak zwykł mawiać tata.

– Co to za miejsce?

– Droga ucieczki. Prowadzi do Miejskiej Świątyni.

– Ale nie skorzystano z niej.

– To prawda. Nie chciała uciekać. A my... wszyscy powinniśmy byli przewidzieć, że nie zechce opuścić swego miasta.

Włoski na karku i ramionach Rzut zjeżyły się nagle. Mówił o Shalmanat. Była Protektorką Li Heng od tysiącleci. Niektórzy twierdzili, że od czasu, gdy założono miasto na skrzyżowaniu szlaków karawanowych. Zabił ją Kellanved, czy, ściślej mówiąc, Tancerz. Spojrzała na szczupłego maga, z jego długimi jasnymi włosami i w podartym jedwabnym stroju. Żołnierze zawsze z niego drwili, traktowali go z pogardą. Kim właściwie był? I dlaczego znalazł się w Li Heng akurat w tej chwili?

– To nie jest przypadek – odezwała się, a potem przekląła krótki dystans dzielący jej myśli od języka. Mag milczał. – Chodziło mi o to, że znalazłeś się tu akurat w chwili przewrotu. Wiedziałeś.

Obdarzył ją swym najbardziej ujmującym uśmiechem, ciepłym, lecz zarazem irytująco odległym. Ten kpiarski grymas zachwycił marketanki i dziewczki służebne, ale w Rzut budził tylko gniew.

– Nie próbuj tego ze mną – ostrzegła. – Wiedziałeś.

– Tylko tyle, że coś się wydarzy, Rzut. To wszystko. Barwa dnia się zmieniła.

I to go tutaj sprowadziło? Rozważyła ukryte implikacje jego słów. Fanfaronada? Blef? A co, jeśli to prawda? Jak mógł wpłynąć na ich przydział? Fakt, że ich tu przeniesiono, był raczej niezwykły. Czy naprawdę chciał zasugerować, że...

Zatrzymała się. Jedwab szedł dalej. Kapitan popchnął ją, kładąc wielką łapę na jej plecach. To Jedwab ją tu ściągnął. Pamiętała, jak ją pytał, co sądzi o Storze. Potem niespodziewanie przeniesiono ją do tej drużyny. Rella również on sprowadził. Pamiętała, jak namawiał kapitana, by przyjrzał się szermierzowi, którego znalazł w więzieniu w Malyntaeas. Wkrótce potem do drużyny dołączył nowy rekrut, Rell. Na wszystkich bogów na górze i na dole, czyżby Jedwab zwerbował ich

z myślą o tej nocy, tym wydarzeniu? Nie. To absurd. Kim właściwie był mag?

Wyłożony kamiennymi płytami chodnik kończył się pod zamkniętymi żelaznymi drzwiami. Jedwab otworzył je i poprowadził ich do położonej dalej komnaty, a następnie do okrągłej kamiennej klatki schodowej. Zatrzymał się tam, a potem odgarnął włosy i przewiązał je wyblakłą jedwabną wstążką.

– Przygotujcie się – wyszeptał. – Drzwi nad nami prowadzą do Miejskiej Świątyni. Nie wiemy, kto za nimi czeka ani ilu ich jest.

Zerknął na Stora, który odchrząknął.

– Zgadza się. Sabotażyści, odłóżcie kusze.

– Gówno – warknął Drżączka. – Po moim trupie.

Storo popatrzył na niego.

– Nie kuś mnie... Odłóżcie kusze. Macie tornistry z przebijaczami, zadymiaczami i tak dalej. Przygotujcie wszystkie. Będziemy walczyć o każde pomieszczenie. Ja i Jalor ruszymy przodem. Jasne? Jasne.

Drżączka i Rzut ograbili skarbczyk Słoneczka, szarpiącego się, warczącego i próbującego im się wyrwać. Storo wyjął dwuręczny kordelas, a Jalor zacisnął rzemienie hełmu i wydobył długie noże. Rell wyciągnął oba dziwne wąskie miecze, jednosieczne i lekko zakrzywione, a potem cisnął pochwy w ciemność. Rzut zaschło w ustach na ten widok.

Ruszyli w górę po schodach. Jedwab prowadził. Rzut zahaczyła kuszę o pas i naciągnęła ją nogą, a potem zawiesiła sobie na plecach. Dotarli do drzwi, czy może raczej do miejsca, gdzie się znajdowały według Jedwabia. Dla Rzut ten fragment ściany wyglądał tak samo jak pozostałe. Storo rozkazał w języku migowym ruszyć do szarży, a potem zatrzymać się nagle. On i reszta ciężkozbrojnych przejdą do obrony, a sabotażyści oczyszczą pomieszczenie. Wszyscy potwierdzili gestami, że zrozumieli.

Jedwab wykonał jakiś ruch i w ścianie pojawiły się drzwi. Przeszedł przez nie, a potem usunął się na bok. Storo, Rell i Jalor podążyli

za nim cicho. Było słycać jedynie lekki brzęk zbroi. Potem przyszła kolej na Rzut. Zamrugła oślepią nagłą jasnością. Osłoniła oczy ręką, w której trzymała przebijacz, i zobaczyła, że komnata jest pusta.

Przyszło jej do głowy, że nie ma pojęcia, co mieli na myśli ludzie, gdy mówili o sali tronowej. Przed oczyma jej wyobraźni pojawiały się w takich chwilach wizje potężnego, ustawionego na podwyższeniu stolca, na którym zasiada jakiś zasuszony staruszek albo staruszka, otoczeni mizdrzącymi się nałożnicami, kapłanami o małych twarzach gapiącymi się na młodych niewolników, oraz eunuchami mającymi oko na srebrną zastawę. Ta komnata była pusta, okrągła i nakryta kopulastym sufitem. Była też bardzo czysta i wypełniał ją jasny biały blask, choć Rzut nie widziała jego źródła.

A więc to jest Serce Heng. Kobieta była rozczarowana, lecz jednocześnie zaimponowało jej to. Ognisko Wewnętrzne. Dotarli do Miejskiej Świątyni. Gdzie się podziiali wszyscy?

Jedwab wskazał rząd niemal identycznych dwuskrzydłowych drzwi na drugim końcu komnaty. Kapitan nakazał im gestem ruszyć w tamtą stronę.

Gdy znaleźli się pośrodku, okazało się, że komnata wcale nie jest pusta. W centralnym punkcie stało małe krzesło – składane, obozowe siedzisko ze skóry, z drewnianymi poręczami. Wszyscy oprócz Rella przystanęli, by się mu przyjrzeć. Nikt nie odzywał się ani słowem. Czy to był tron Li Heng? Rzut nie wiedziała, co myśleć. To było zbyt dziwne. Na twarzy Jedwabia pojawił się jednak smutek, ta jego tajemnicza tęsknota, tak bardzo atrakcyjna dla dziewczek służebnych. Tylko Rell patrzył na drzwi. Kapitan nakazał im gestem iść dalej.

Podeszła do maga.

– Nie widzę żadnych lamp ani nie czuję dymu. Skąd płynie to światło?

Znowu ten uśmiech.

– To tylko gasnące wspomnienie minionej chwały, Rzut.

– Cicho – warknął kapitan.

Jalor otworzył drzwi, odsłaniając plecy czterech wartowników. Zaskoczeni żołnierze odwrócili się. Rell runął do ataku. Błysnęły dwa miecze. Czterej mężczyźni padli na podłogę, nim zdążyli wyciągnąć broń.

Wszyscy wybałuszyli oczy, zdumieni tak samo jak wartownicy.

- Myślałem, że macie jakiś kodeks? - zapytał Rella Drżączka. - Czy to nie było z nim sprzeczne? W końcu nie mieli broni i tak dalej.

- Mieli broń - sprzeciwił się Rell, nawet się nie odwracając. - Po prostu byli za wolni.

Weszli do długiego korytarza, kończącego się kolejnymi, znacznie wyższymi dwuskrzydłowymi drzwiami. Wzdłuż niego ciągnął się też szereg łukowatych przejść.

- To mi się nie podoba - poskarżył się Drżączka.

Jedwab wskazał wysokie drzwi.

- To jedyne wejście do pomieszczeń świątynnych.

- Biegiem marsz - rozkazał Storo.

Popędzili naprzód. Z mijanych przejść gapili się na nich cywile. Jakiś wysoki, brodaty mężczyzna coś krzyknął, ale go zignorowali. Gdy byli już prawie na miejscu, drzwi otworzyły się raptownie. Stała za nimi kobieta z magazynu. Towarzyszyło jej około piętnastu ludzi. Nie ulegało wątpliwości, że są żołnierzami, choć nikt z nich nie nosił malazańskich barw.

- Brać ich! - zdołała wykrzyknąć, nim miecze Rella przecięły powietrze w miejscu, gdzie przed chwilą się znajdowała.

Żołnierze warknęli wściekle, wyciągając broń. Rell omal się na nich nie rzucił, ale kapitan pociągnął go w tył.

- Stój - warknął Storo. - Na razie.

Jedwab zdążył już zniknąć. Jalor i kapitan skrzyżowali broń z żołnierzami stojącymi na czele kolumny. Rell osłaniał ich tyły.

- Uwaga! - krzyknął Słoneczko, unosząc pięść.

Żołnierze wzdrygnęli się. Twarze im pobladły. Z pewnością byli weteranami. Słoneczko rzucił granat i padł na podłogę. Wszyscy podążyli za jego przykładem. Przebijacz eksplodował tuż za progiem, w samym centrum kolumny. Wybuch cisnął ciałami o ściany. Trysnęła krew. Jalor i kapitan wykończyli ogłuszonych niedobitków.

– Co ma znaczyć ta rzeź?

Rzut odwróciła się. To był ten brodac z korytarza. Miał na sobie długie, ciemne szaty z jakiejś kosztownej tkaniny. Rzut zapewne nigdy w życiu nawet takiej nie dotknęła. Mężczyzna podszedł do Rella, który zatrzymał go, unosząc skrwawiony oręż. Brodac powinien dziękować wszystkim bogom, że nie ma broni.

Storo podszedł do niego i dotknął brzegu hełmu.

– Co mogę dla ciebie zrobić, sędzio Plengyllen?

– Zrobić! Zrobić! – oburzył się mężczyzna! – To jest świątynia! Poświęcony budynek! Jak śmiecie plugawić...

– Doszło do przewrotu – przerwał mu Storo. – Zamordowano pięć Rheenę.

Sędzia uspokoił się. Poprawił szaty.

– Tak, poinformowano mnie, że skrytobójcy... – Jego głos ucichł nagle. Brodac wybałuszył oczy. Wyciągnął rękę. – To wy! Pożogo, ratuj nas! – Cofnął się, unosząc ręce, a potem uciekł przez boczne wejście. – Straż! – wrzeszczał. – Skrytobójcy! Mordują!

– Mam go uciszyć? – zapytał Słoneczko.

Storo machnął z westchnieniem ręką.

– Mniejsza z tym.

– Nadchodzą posiłki! – zawołał Drżączka spod dwuskrzydłowych drzwi.

Wdarli się do pomieszczeń Miejskiej Świątyni. Rzut nasunęła się myśl, że Gruby Kepten ma znacznie więcej ludzi, niż się spodziewał kapitan. Niewykluczone jednak, że Storo celowo zaniżył ich liczbę, nie chcąc, by jego podkomendni się spłoszyli. Tak czy inaczej, ludzie Keptena – zwykli najemnicy albo oddani sprawie żołnierze, którzy zdjęli mundury – nie zaprzestawali ataków. Garnizon jednak nie mieszał się do walki, zgodnie z przewidywaniami kapitana. Gdy za rogiem albo za drzwiami czekali kusznicy, Drzączka i Rzut oczyszczali drogę za pomocą granatów. Dali jasno do zrozumienia, że gdy tylko ludzie Keptena użyją pocisków, odpowiedzą im tym samym – z tym że ich pociski eksplodują. Przeciwnik wyciągnął z tego wnioski. Rzut nie była pewna, dlaczego Kepten nie ma żadnej alchemicznej broni. Dysponował jednak magami. W ich drużynę uderzały sznury płomienia, ale Jedwab gasił wszystkie. Jakiś stwór utkany z cienia ugryzł kapitana i zaraz zniknął w rozbłysku oślepiająco białego światła. Pojawił się nawet stary znajomy Rzut, kurdupel. Zmaterializował się wśród nich, dźgnął nożem trójkę żołnierzy, w tym również Rzut, a potem powalił Jalora, nim Rell wbił mu miecz w plecy. Drzączka oberwał nożem w bok i w rezultacie cisnął przebijaczem bliżej siebie niż nieprzyjaciela. Najbardziej ucierpiał kapitan. Pomyślała, że to wielka szkoda, bo do tej chwili Storo walczył cholernie dobrze.

Gdy już odkopnęli na bok ciała blokujące dostęp do drzwi wyjściowych, tylko kapitan, Rzut, Słoneczko i Rell trzymali się na nogach, a jedynie ten ostatni był w stanie walczyć. Przez całą noc Rzut zadawała sobie pytanie, dlaczego kapitan ciągle przesuwając genabackańskiego młodzieńca do tylnej straży. Teraz wreszcie przejrzała. Storo był sprytny. Trzymał go w odwodzie. Rell był zdecydowanie najlepszym szermierzem z nich wszystkich, a do tego nie stracił sił. Biednego chłopaka wręcz roznosiła żądza mordy.

Chwiejący się na nogach kapitan oparł się o masywne dębowe drzwi i otarł twarz ramieniem. Rzut schowała długi nóż i otworzyła tornister. Zostały jej dwa pociski. Zerknęła na Słoneczko. Ten uniósł

jeden palec i spróbował się uśmiechnąć. Było go jednak stać tylko na grymas.

Kapitan popchnął drzwi i ujrzeni w różowym blasku jutrzeńki białe marmurowe schody oraz kamienne płyty otaczające pusty plac apelowy. Stał na nich Gruby Kepten w towarzystwie około pięćdziesięciu ludzi. Rzut zauważyła, że ustawili się w bardzo luźnym szyku. Ten widok odebrał jej siłę w nogach. Omal nie usiadła na posadzce.

Storo wyprostował się, poruszył szczęką, poprawił hełm i wskazał Keptena.

– Już prawie świt, Orlat. Garnizon patrzy. Ludzie mnie znają. Ciebie nie odróżniają od dupy muła. Może powinieneś się zwinąć i wrócić na ryby?

Kepten zaśmiał się cicho.

– Jak już mówiłem, Storo, naprawdę mógłbyś się nam przydać. Szkoda. Nie masz pojęcia, kto stoi ci na drodze. Jak widzisz, przyprowadziłem wszystkich. Coś ci powiem. Dam ci jeszcze jedną szansę. Jeśli złożycie broń, pozwolę wszystkim odejść swobodnie. Muszę przyznać, że sprawiliście się świetnie, ale to już koniec. Pora dać za wygraną. Nie ma w tym wstydu.

Rzut zerknęła na kapitana. Czy się zgodzi? Z pewnością było już po nich. Mieli przed sobą więcej przeciwników, niż załatwili ich do tej pory. Spisali się cholernie dobrze. Prawdę mówiąc, nigdy by nie uwierzyła, że zdołają dotrzeć tak daleko. Zamrugwała, by usunąć z oczu szczypiący pot. Niech szlag trafi to ogłupiające zmęczenie! Piraci wykończą ich, gdy tylko odłożą broń! Z pewnością kapitan to rozumie.

Storo odchrząknął i splunął gęstą flegmą.

– Nie, Orlat. To ty nie masz pojęcia, kto stanął ci na drodze. – Wskazał głową Rella. – Kolej na ciebie. Będziemy strzec twoich pleców. Broń drzwi, chłopcze.

Oczy szermierza błyszczały.

– Nie potrafisz odgadnąć, jaki dar mi ofiarujesz... – zdołał wykrztusić ochryplym ze wzruszenia głosem.

- Spokojnie, chłopcze. Planuję wyjść z tego z życiem.
- Młodzieniec pochylił głowę.
- Ja nie planuję niczego - wyszeptał.
- No dobra - warknął Słoneczko. - Nadchodzi.
- Pierwsza z drużyn rzuciła się z rykiem do ataku.

* * *

Zgodnie z obietnicą Rell obronił drzwi. Rzut była zdumiona jego sprawnością, szybkością, a przede wszystkim bezlitosną, chirurgiczną skutecznością. Najwyraźniej uczono go sposobów cięcia pozwalających na maksymalne okaleczenie przeciwnika. Ludzie padali na schody, tryskając krwią z przeciętych tętnic ud i ramion. Miecze Rella przecinały szyje, wypruwały wnętrzności, patroszyły ich jak ryby. Wyglądało to przerażająco, przypominało raczej rzeź niż walkę. Krew zabarwiła marmurowe schody na czarno. Kobieta zastanawiała się, czy kiedykolwiek da się ją zmyć. Słoneczko od czasu do czasu włączał się do akcji, gdy jakiś ranny dureń próbował podczołgać się bliżej, by zadać cios.

Rzut cały czas stała za plecami Rella, trzymając w uniesionej ręce wstrząsacz. Łypała na nieprzyjaciół z wyrazem zapowiadającym zagładę, gdy tylko młodzieniec padnie. Miała nadzieję, że odebrała im choć trochę pewności siebie.

Wreszcie wściekły wrzask Orlata położył kres obłączeniu. Nieprzyjacielem cofnęli się od drzwi. Rzut policzyła ich pośpiesznie. Dwudziestu dziewięciu nadal trzymało się na nogach. Rell wyłączył z akcji, albo po prostu zabił, dwudziestu jeden. To było zdumiewające. Obejrzała się i zobaczyła, że kapitan leży wsparty o ścianę. Cholera. Utrata krwi. To przez te wszystkie dziury, które zrobił w nim przebijając Drzączki. Orlat wyraźnie nie zamierzał się już więcej przekomarzać. Skinął gniewnie i jego ocalali ludzie rozpostarli się w wachlarz.

- To zaszło za daleko, Storo! - zawołał. - Trzeba było się cofnąć, kiedy dałem ci szansę.

Skinął głową do kogoś niewidocznego i u jego boków pojawiło się dwoje magów: znana już Rzut kobieta i bliźniaczo do niej podobny mężczyzna. Był chudy jak tyka i miał siwe, ostrzyżone na jeża włosy. Oboje opuścili nagle ręce i stanęli w płomieniach.

Na uśmiech Kaptura.

- Brać ich! - wrzasnęła Słoneczko, rzucając ostatnim przebijaczem.

Magowie unieśli ręce, jakby chcieli coś odepchnąć. Rzut nawet z daleka poczuła falę gorąca - tchnienie pieca garncarskiego gorejącego żółtym blaskiem. Granat eksplodował w locie na długo przed dotarciem do celu.

Nawet wstrząsacz w jej ręce zrobił się ciepły. Na gówno Togga! Schowała pocisk, a potem cofnęła się i popchnęła tornister w głąb korytarza, tak delikatnie, jak tylko mogła. Kiedy wróciła, zobaczyła, że Słoneczko i Rell się kłóć.

- Zostawcie mnie tu - zażądał młodzieniec.

- Nie. Wycofamy się stąd i zaskoczmy ich gdzieś w środku - sprzeciwił się sabotażysta, łapiąc go za kamizelkę.

- Wydano mi rozkaz. Wy idźcie, jeśli chcecie.

Żar był przerażający. Magowie posuwali się naprzód, bok przy boku - dwa stopy połączone sznurami płomienia. Rzut nigdy nie słyszała o podobnym odświeceniu groty Thyr. To był jakiś bojowy rytuał. Krzywiła się z bólu, gdy metalowe fragmenty zbroi dotykały jej ciała. Włoski na jej przedramionach się przypaliły.

- Musimy się wycofać! - zawołała do Rella. - Nie bądź głupi! Tę rundę wygrali.

Cholerny dureń nie chciał jednak ustąpić.

- Jak sobie chcesz! - warknął Słoneczko. Cofnął się, osłaniając twarz przed żarem.

Rzut spojrziała jeszcze błagalnie na Rella, ale młodzieniec potrząsnął głową. Ku jej wstydu kolejna fala gorąca zmusiła kobietę do ucieczki. Gdzie się podział Jedwab?

Pociągnęli kapitana za sobą w głąb korytarza. Magowie weszli na schody. Krew pokrywająca stopnie i wejście zawrzała, buchnęła parą, a potem obróciła się w popiół niesiony wiatrem prosto w oczy Rzut. Porzucone na schodach trupy eksplodowały płomieniami. Spalone okruchy ciał unosiły się w górę jak dym, gnane nieokiełznaną mocą groty. Twarz i ramiona Rzut pokryła tłusta sadza. Dręczyły ją mdłości, jeszcze silniejsze niż w kanale. Widziała przez mgiełkę, że Rell nadal stoi w drzwiach, unosząc przed sobą miecze. Z jego tłących się włosów buchał dym. Mimo to zdołał zachować postawę bojową. Jak taka nadludzka dyscyplina w ogóle była możliwa?

– Nie – odezwał się nagle ktoś u jej boku. Odwróciła się, osłaniając twarz ramieniem, i zobaczyła Jedwabia. W jego oczach gorzał gniew, jakiego nigdy dotąd w nich nie widziała. – Nie znowu to samo.

Pałący żar zmniejszył się nagle, przechodząc w nieprzyjemne ciepło. Mag wszedł w sztorm. Rzut podążyła za nim.

Jedwab dotarł do wejścia i złuzował Rella, przekazując go Rzut.

– Zrobiłeś już więcej, niż ktokolwiek mógł od ciebie oczekiwać, chłopcze – rzekł.

Gdy Rzut wlokła Genabackanina w głąb korytarza, był gorący jak rozżarzony węgielek. Spalona skóra zlazila mu z ramion pod jej dotykiem.

Jedwab zwrócił się ku dwóm słupom ognia. Oba się zatrzymały, być może pod wpływem nagłej niepewności.

– Odważylibyście się uwolnić taki ogień w tym progu! – Jego gniewny krzyk zagłuszył ryk płomieni. – Bękarci użytkownicy zdegenerowanej groty! Thy! Niedorozwinięte dziecko kazirodczego związku! Prowokujecie mnie, bym zademonstrował wam ślepotę i niedostatki waszej smętnej ignorancji! Ujrzyjcie w ostatniej chwili swego

świadomego żywota prawdziwe źródło mocy, której wasza jest jedynie skażonym strumykiem!

Jedwab rozpostarł szeroko ramiona. Rzut wybałuszyła oczy z wrażenia. Na wszystkich Zapomnianych Bogów! Oszalał, czy co?

– Wzywam cię! – Jego słowa wstrząsnęły kamieniami pod stopami Rzut. Skrzywiła się, czując ich moc! – Przybądź! Ty, która opuściłaś nas na tak długo! Pozwól nam ujrzeć na chwilę to, co zniknęło ze świata! Pokaż nam, jak to było, gdy Światło po raz pierwszy rozpruło Noc! Pobłogosław nas wizją Czystego Nierozcieńczonego Światła, Kurald Liosan!

Nic się nie wydarzyło. Rzut odzyskała równowagę i omal nie przekłęła maga. Zauważyła, że Orlat, stojący daleko z tyłu, ma taką minę, jakby doszedł do tego samego wniosku, co ona: nieszczęśnik załamał się pod wpływem napięcia.

Wtem coś uderzyło ją od tyłu. Nie pięść czy maczuga, ale ściana. To było tak, jakby wpadła do wody, rozpedzonej fali, która na nią naparła. Potem nadeszła cisza. Biel. Fizyczna obecność światła, morze oślepiającego blasku. Jedwab był rysującą się na jego tle sylwetką, rozpuszczającym się powoli cieniem. Dwoje magów, Orlat i jego ludzie przerodzili się w czarne skrawki papieru, rozpadające się na pył na wietrze Światła.

Potem zniknęli. Świt był jak ciemność – bardzo słaby i blady. Widziała nad sobą pogrążony w mroku sufit. Pochylając się nad nią twarz. Brodę. Szary malazański strój.

– Sprowadźcie uzdrowicieli – usłyszała głos. Był blisko, ale wydał się bardzo odległy.

Rozdział IV

Spójrz na pogrążonego w żalobie wygnańca siedzącego na brzegu jeziora. Płaszcz ma wystrzępiony, a w brzuchu pustki. Czy płacze nad poległymi przyjaciółmi, nad kuflami, których nikt już nie wzniesie pod długie krokwie? Gdzie się podziali jego towarzysze, jego bracia i kamraci? Wszyscy leżą sztywni na polach bitew. Ich oczy wpatrują się w pustkę, a miecze stępiały. Och, dokąd pójdzie ów samotny wygnaniec? Czy przejdzie przez wodę? Co się z nim stanie? A co, gdybyś to ty nim był?

Lament samotnego wędrowca

Anonim (przez niektórych przypisywany
Rybakowi kel Tathowi)

Dwanaście dni po zakończeniu sztormu *Pustułka* i *Obieżyświat* rzuciły kotwice przy bezludnym wybrzeżu Morza Dzwonków. Na rozkaz Blask nabrająscy kapitanowie, gdy tylko było to możliwe, trzymali się z dala od brzegów. Ten łód nie wydał się jednak Kyle'owi zbyt obiecujący: szare i czarne osypiska skalne, powykręcane, skarłowaciałe drzewa, odległe, ciemnoszare, zaokrąglone wzgórza, rzadki las czarnych iglastych drzew. W oddali można było zobaczyć jakiś płaskowyż, usiany rozrzuconymi gdzieniegdzie zagajnikami.

O świcie Kyle miał wachtę. Zatoka była spokojna, tafla wody przypominała szkło. Chłopak siedział ze skrzyżowanymi nogami na luku na śródokręciu, trzymając w ręce igłę. Próbował zacerować przeszywanicę, którą nosił pod kolczugą.

– Marynarz poradziłby sobie z tym lepiej.

Kyle uniósł wzrok. To był Szara Grzywa. Renegat opierał się o nadburcie. Chłopak w ogóle go nie usłyszał. Jak to możliwe, że tak potęż-

nie zbudowany mężczyzna poruszał się bezszelestnie? Wrócił do szycia.

- Kiedyś muszę się nauczyć.

- To prawda.

Kyle nie unosił wzroku. Dlaczego Szara Grzywa chciał z nim rozmawiać? Był w praktyce równy Zaprzysiężonym. Ponoć nawet walczył przeciwko nim w przeszłości. Malazańczyk odchrząknął.

- Jesteś Kyle, tak?

- Ehe.

- Chciałem z tobą pogadać o tym, co wydarzyło się na Ostrodze. Jak rozumiem, pochodzisz z Baelu. Ten Ascendent, czy kim tam właściwie był, znaczył coś dla ciebie i być może dla twojego ludu...

- Tak? - odezwał się Kyle, odrywając wzrok od szycia.

- No cóż. - Malazańczyk zmarszczył brwi, wpatrując się w pokład.

- Pewnie chciałem cię za to przeprosić. Nie chciałem, by tak się stało.

- Przeniósł wzrok na ciemny, lesisty brzeg odległy o rzut kamieniem. Skrzyżował ręce na piersi. - Ale wydarzenia często żyją własnym życiem...

Kyle patrzył na rozmówcę, zastanawiając się, czy ten o nim zapomniał. Jego myśli najwyraźniej zaprzątęło coś innego.

- Wiesz, że zwą mnie renegatem - odezwał się wreszcie Malazańczyk po dłuższej chwili milczenia.

- Tak - potwierdził Kyle, ponownie odrywając spojrzenie od szycia.

- Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego?

Młodzieniec wzruszył ramionami.

- Nie. To nic dla mnie nie znaczy.

Rosły mężczyzna ryknął śmiechem.

- Świetnie. W takim razie opowiem ci o tym. Jestem renegatem, ponieważ próbowałem zaprowadzić pokój, Kyle. Dojść do porozumienia. To rozwścieczyło Korelrijczyków, a malazańskie dowództwo

odciął się ode mnie. A także od garstki innych. – Spojrzał na Kyle'a. Jego jasnoniebieskie oczy lśniły jasno w blasku nadchodzącego świtu. – A czy wiesz, dlaczego ja jeden uszedłem z życiem z łowów, które się potem zaczęły?

– Nie.

– Dlatego, że uciekłem najdalej. Że byłem największym tchórzem ze wszystkich.

Kyle zacisnął dłonie na przeszywanicy. Nie to pragnął usłyszeć. Przepraszam! Wyznania! Niech go szlag trafi! On tchórzem? Co miały znaczyć te śmieszne słowa?

– Być może to nie ze mną powinieneś pomówić.

– Z tobą. Niewykluczone, że jesteś jedynym odpowiednim kandydatem. Dlatego że nie jesteś stąd, Kyle. Nikt, kto jest stąd, tego nie rozumie.

Renegat odepchnął się od nadburcia i odszedł. Młodzieniec odprowadzał go wzrokiem. Zrozumie? On z pewnością nic z tego nie pojął.

* * *

Następnego ranka Kyle zobaczył Blask po raz pierwszy od kilku miesięcy. Najwyraźniej całą podróż przesiedziała zamknięta w jedynej prywatnej kajucie na pokładzie. Jeden z marynarzy powiedział mu, że o świecie wyszła z niej nagle, co było dla kapitana największym zaskoczeniem podczas całego rejsu. Później rozeszła się wiadomość, że wzywają Dziewiątą Drużynę na zbiórkę.

Wszyscy stanęli na baczność, niektórzy z nich przyplłynęli wcześniej na pokładzie *Obieżyświata*. Blask przyjrzała się im, a oni odwzajemnili się jej tym samym. Z początku Kyle prawie jej nie poznawał. Zniknął żołnierski strój, który zawsze nosiła. Transformacja była tak głęboka, że chłopak potrafił zrozumieć reakcję kapitana. Uwolnione spod błyszczącej stalowej łebki kruczoczarne włosy opadały do krzyża. Drugim, co zauważył Kyle, był jej wzrost. Sięgała mu ledwie do

podbródka. Zawsze dotąd wydawała mu się wyższa. Jej oczy jednak się nie zmieniły. Czarne i skośne, harmonizowały z niebieską napańską twarzą. Zachowały też ów pełen rezerwy błysk, świadczący, że widziała właściwie wszystko, co można zobaczyć, i nic już jej więcej nie zaskoczy. Zamiast błyszczącego kolczego płaszcza opadającego do kostek i długiego biczomiecza, który zawsze nosiła w pochwie na plecach, włożyła miękką skórzaną kurtkę z krótkimi rękawami i luźne pantalonny.

– Na północ od wybrzeża znajduje się forteca Przystań – zaczęła. – To jedna z naszych pierwszych osad na Stratemie. Tu właśnie porucznik Oprawca poprzysiągł na nas czekać, kiedy wróci. Dziewiąte Ostrze wyjdzie mu na spotkanie ukradkiem, by nie zaalarmować malazańskich oddziałów ani szpiegów, którzy mogą się tu znajdować.

Kiedy mówiła, jej ręce poruszały się niespokojnie. Dotykała pasa, szukała pochwy, którą powinna mieć na plecach. Kyle nie znał Blask wystarczająco dobrze, by mógł odczytać jej nastrój, sprawiała jednak wrażenie podenerwowanej.

– Nie mamy pojęcia, czy Oprawca żyje. Nie wiemy nawet, czy Przystań okupują Malazańczycy. Tego również musicie się dowiedzieć. Jeśli uda się wam z nim skontaktować, wszystkie oddziały Gwardii natychmiast zjednoczą się pod jego dowództwem, jak ustalono na początku Diaspory. Zrozumiano?

– Tak jest, dowódco.

Zebrawali ekwipunek, włożyli broje, przypasali broń, wzięli każdy po jednym plecaku i zeszli po drabince sznurowej do czekającej na nich łodzi. Sierżant, falarski wygnaniec imieniem Okop; dwóch potężnie zbudowanych szermierzy z dawnych Wolnych Miast, Cichy i Harman; półkwi Barghast, Grere; mag z genabackańskich Wolnych Miast niedawno przydzielony do ostrza, Krętacz; a na koniec dwaj Baelianie, Skradacz i Kyle.

Nim odплыnęli, zszedł do nich Przechył, trzymając się jedną ręką drabinki.

- Pomyślałem sobie, że nieźle by było się temu przyjrzeć - oznajmił z uśmiechem Kyle'owi. Usiadł przy sterze obok Okopa. Pozostali zajęli się wiosłami. Płynęli wzdłuż brzegu na północ. Siedzący obok Kyle'a Skradacz przyglądał się uważnie lasowi.

- To bezludna okolica - orzekł po chwili.

- Skąd wiesz?

- Same stare drzewa. Nie ma śladów wycięcia ani ścieżek.

- Znasz podobne lasy?

Zwiadowca wydał usta i skinął głową.

- Cicho - rozkazał Okop.

* * *

Późnym popołudniem okrążyli skalisty przylądek i ujrzeli przed sobą zatokę o lesistym brzegu oraz chaty niewielkiej wioski. Wysoko ponad drzewa wyrastały szare wieże kamiennej fortecy. Poniżej znajdowała się butwiejąca, rozpadająca się przystań.

- Schować wiosła - rozkazał Okop.

Kryjąc się za cyplem, wyciągnęli łódź na brzeg i zamaskowali ją najlepiej, jak potrafili. Potem podążyli w głąb lądu, chcąc wykorzystać resztę dnia. Skradacz, Grere i Kyle ruszyli na zwiady, każdy w inną stronę. Przez całe popołudnie młodzieniec widział tylko dziewiczy las, w którym najwyraźniej nikt nie mieszkał.

Po zmierzchu Okop nakazał rozbić obóz. O świcie pójdą na zwiady do wioski. Sierżant usiadł przy małym ognisku i rozwinął wystrzępioną welinową mapę Stratemu. Wokół zebrała się cała drużyna, poza Skradaczem, który stał na warcie. Kyle wyczuwał niecierpliwość w milczeniu towarzyszy. Cichy i Harman wymienili głodne uśmiechy. Im obu przypadło najściślej określone, lecz zarazem najtrudniejsze zadanie. W przypadku ataku mieli po prostu walczyć, dopóki nie zginą lub nie zabiją wszystkich napastników. Drużyna znowu ruszyła do akcji, tym razem jednak znajdowali się na ziemi Gwardii i ta wojna

obchodziła ich znacznie bardziej od poprzednich. Podczas rejsu Kyle ciągle słyszał rozmowy o czekających ich nagrodach. Lenna, tytuły, ziemia dla każdego. Wszystko, czego mógł pragnąć wojownik. Jeśli tylko zwyciężą.

Okop wskazał tępo zakończonym palcem bezludny, zachodni brzeg śródlądowego Morza Dzwonków.

– Jesteśmy tutaj.

Potem pokazał im szereg fortów wybudowanych przez Gwardię, by strzegły południowego wybrzeża. Wygnaniec znajdował się najdalej na wschodzie, Gąszcz nad cieśninami prowadzącymi na Morze Dzwonków, Żelazną Cytadelę zbudowano na południowo-zachodnich piaskach, Północny Bastion zaś był daleko na zachodzie.

– Ale oni je wszystkie zignorowali – zauważył Przechył.

Nikt nie zapytał: „Kto?”

– Atak przeprowadzono w trzech kierunkach – ciągnął stary sabotażysta. – Ruszyli ze środkowej części wybrzeża. Czterdzieści tysięcy ludzi pomaszerowało na wschód, zachód i południe. Mieli nad nami znaczną przewagę liczebną. Nie zapomnieli, że przez długie lata walczyliśmy z nimi na Quon Tali. Zamierzali zniszczyć nas całkowicie. Nastąpiło wielkie zamieszanie, diuk zniknął, przerwano linie komunikacyjne, otoczono nasze siły. Oprawca stoczył z Dassemem nierozstrzygniętą walkę, ale wysiłek nas złamał. Zarządzono Diasporę, by ocalić przyszłość Gwardii. – Sabotażysta uśmiechnął się i mrugnął znacząco. – A teraz wracamy, dziesięć razy liczniejsi niż wtedy, nie licząc ludzi zwerbowanych przez inne kompanie. Może się okazać, że mamy ponad trzydzieści tysięcy Gwardzistów.

Kyle przyjrzał się mapie. Wzdłuż jej północnej krawędzi biegł łańcuch górski zwany Aurgattami.

– Korel leży na północ stąd? – zapytał Przechył.

– Tak. Za górami. Stratem to nazwa południowej części kontynentu. Na północy leży Korel, dalej trochę wysp i południowe brzegi Quon Tali. Malazańczycy potrzebowali wiele czasu, by tu dotrzeć, bo

dzieli nas od nich Morze Sztormów. Korelrijczycy walczą z demonami zamieszkującymi cieśniny. Zwą je Jeźdźcami. Prądy morskie powoli podmywają brzegi Korelu. Jego mieszkańcy nie są przyjaźnie nastawieni. Imperium może ich sobie zatrzymać.

Kyle spróbował sobie wyobrazić trasę ich rejsu. O ile się nie mylił, przybyli z południowego wschodu. Nie było możliwości, by przepływali obok Morza Sztormów. Wstał.

- Zmienię Skradacza - oznajmił Okopowi.

Sierżant skinął głową, nie odrywając spojrzenia od mapy.

Młodzieniec zagłębił się w las i potrząsnął gałęzią. Po paru chwilach pojawił się Skradacz. Przykucnęli obok siebie. Kyle rysował gałązką w wilgotnej ziemi. Wydawało się, że nie brak tu zasobów, ale podczas krótkiego marszu widzieli tylko jeden ślad ludzkiej bytności: opuszczony obóz drwali. Przed nimi ciągnęły się niskie, porośnięte lasem wzgórza, poprzecinane czystymi strumieniami. Wszędzie było pełno śladów zwierzyny. Okolica nadal sprawiała wrażenie niezamieszkaną.

- Czego się dowiedziałeś na *Obieżyświacie*? - zapytał Kyle. Doszedł do wniosku, że nie mogło być lepszej chwili na zdjęcie maski. Czekał nerwowo na odpowiedź.

Skradacz odetchnął głęboko i zdjął hełm.

- Słuchałem i przyglądałem się, niewiele więcej. Blask nie odpowiada na pytania i traktuje podejrzliwie wszystkich, którzy je zadają. O ile mogłem się zorientować, ci Jeźdźcy czekali specjalnie na nas. Przepuścili nasze dwa statki, ale rozproszyli resztę. Nie mam pojęcia, jak to zorganizowano.

Miętosił w rękę zawieszony na szyi woreczek, jak zawsze, gdy nad czymś się zastanawiał. Kyle czekał. Przyszło mu do głowy, że nie powinien się dziwić, iż między Zaprzysiężonymi istnieje rywalizacja. Teraz, po powrocie do domu, wszystkie konflikty z pewnością wyjdą na jaw.

- Tak sobie myślę, że pozostałe okręty opóźniono dlatego, że Szara Grzywa i Blask chcieli tu dotrzeć przed Czepcem i jego welonami.

Z tego, co słyszałem, ten Oprawca to wyjątkowo wredny typ. On jeden z ocalałych Zaprzysiężonych może wziąć Czepca w cugle. Wysłano nas tu, ponieważ jesteśmy jego dawnym oddziałem. Najwyraźniej ci, którzy go znają, boją się, że mogło mu odbić. Dziewiąte Ostrze to jedyny oddział, którego zechce wysłuchać.

Kyle mógł jedynie potrząsnąć głową. Było znacznie gorzej, niż się spodziewał.

Zwiadowca wstał z głośnym stęknieniem.

– Coś ci poradzę. Jeśli spotkasz tego Oprawcę, nie pozwól mu się zbliżyć – powiedział i zniknął w lesie.

* * *

Służący Mallicka zawiadomili go o przybyłych o północy gościach, a potem zaprowadzili ich do sali bankietowej. Podali przedstawicielom untańskich rodów szlacheckich trunki i zimne przekąski, oznajmiając im, że pan się ubiera. W rzeczywistości Mallick był ubrany, czekał jednak, wygładzając fałdy szat. Wiedział, że dla spiskowców najważniejszy jest wybór odpowiedniej chwili.

W końcu skinął głową do służących. Odesłał gestem strażników osobistych i otworzył dwuskrzydłowe drzwi sali bankietowej. Goście wyprostowali się na jego widok. Ulokowane pośrodku komnaty lampy paliły się słabym, migotliwym blaskiem.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – zapytał. Podszedł do zastawionego karafkami stołu i nalał sobie kieliszek złocistego likieru migdałowego.

– Wiesz, o co chodzi – warknął starszy, siwowłosy mężczyzna spowity w burgundowy płaszcz.

Mallick przełknął powoli trunek i skinął głową.

– Ogólnie rzecz biorąc tak, Quall. Ale nie znam szczegółów.

– Powiedzmy – warknął złowrogo Quall, jego słowa zagłuszył jednak zgiełk pozostałych.

Mallick uniósł rękę, nakazując im się uciszyć.

– Spokojnie. Illata, zechcesz przemówić?

Illata wziął wysoki kielich z czerwonym winem. Jego płaszcz się rozchylił, odsłaniając napierśnik z utwardzanej skóry nabijany żelaznymi ćwiekami.

– Stało się tak, jak przewidywałeś, Mallick. Imry wycofał się ze Zgromadzenia.

Mallick spuścił wzrok na trzymany przez szlachcica kielich.

– To jego decyzja, oczywiście, ale w ten sposób znacznie osłabił naszą sprawę. Czy jakoś to wyjaśnił?

– Chorobą w rodzinie – odparł z szyderczym uśmiechem Illata. – Ale...

– Mam w jego domu informatora – przerwał mu inny gość. – Ponoć w nocy odwiedził ich ktoś. Padły groźby pod adresem rodziny.

– I sądzisz, że...

Illata przełknął resztę wina.

– Cholera, człowieku, czy to nie oczywiste? To były szpony! Posunęła się za daleko!

– Illata! – zaprotestowało kilku gości.

Quall uciszył ich, unosząc rękę.

– Bez względu na to, kto... – zerknął na Mallicka – ...za tym stoi i czego chce, potrzebujemy ludzi i ekwipunku, by bronić naszych ziem. Jeśli nie uda się nam przepchnąć w Zgromadzeniu ustawodawstwa wyjątkowego, będziemy musieli działać na własną rękę.

– Cesarz zabronił tworzenia prywatnych armii – przypomniał Mallick, odstawiając pusty kieliszek.

– Mimo to grisańscy szlachcice gromadzą siły u naszych wschodnich granic. Wywiad donosi, że ich „straż domowa” składa się już z ponad czterech tysięcy zbrojnych. A ona nic w tej sprawie nie zrobiła.

- Potrzebny jest nam Arsenal Imperialny i jesteście gotowi go zdobyć - oznajmił Illata.

- Rozpatrzyliśmy dokładnie tę sprawę, rzecz jasna, w tajemnicy, ale...

- Dość już gadania - przerwał Illata. - Plan wprowadzono w życie. O świecie arsenał będzie w naszych rękach.

Mallick przyglądał się spoconym, zaczerwienionym twarzom gości.

- Rozumiem. A mnie wystawicie jak barana na rzeź? - Jego syczący głos brzmiał coraz ciszej. - Nadal jesteście tak przerażeni?

- Twoje, hmm, wpływy, są znane. Przemówisz w naszym imieniu. To nie jest nielojalność. Chcemy po prostu bronić tego, co nasze. Zwrócimy imperialnemu skarbcowi wszelkie koszty.

- Proszę bardzo. Pokłonię się przed nią pokornie i wystąpię jako rzecznik naszej sprawy. Nie zapominajcie jednak, że mogą się pojawić komplikacje. Arsenal jest strzeżony.

Illata przerzucił sobie płaszcz przez ramię.

- Zdajemy sobie z tego sprawę. To przykre, ale nieuniknione.

Mallick pokłonił się bardzo płytko.

- Plewy rzucono na wody. Wszyscy zmierzamy ku pisanemu nam losowi. Przekonajmy się, gdzie nas zanoszą prądy.

* * *

Gdy szlachetnie urodzeni opuścili komnatę, przez boczne drzwi weszła do niej kobieta w prostej ciemnej tunice i nogawicach.

- Co rozkażesz? - zapytała.

Mallick nalał sobie trunku, a potem się odwrócił. Na piersi kobiety widniało małe srebrne godło: ptasia stopa ściskająca perłę.

- Wyślij wiadomość do wszystkich... no cóż, rękawica stała się dłonią, nieprawdaż? Do wszystkich naszych dłoni. Dzisiejszej nocy sko-

rumpowani dygnitarze podejmą próbę kradzieży broni z arsenału. Niech zlikwidują wszystkich, wezmą rodziny w niewolę i skonfiskują majątki. Wszystko to w imię cesarzowej, rzecz jasna.

- A co z samą cesarzową?

- Nie warto zwracać jej głowy tak drobną sprawą.

Kobieta pochyliła głowę.

- Stanie się, jak pragniesz. - Odwróciła się w drzwiach. - To dziwne, ale nikt z nas nie odwiedzał nocą Imry'ego. Co o tym sądzisz, Mallick?

Kapłan opuścił kącki mięsistych ust, spoglądając na złocisty płyn w kieliszku.

- Laseen z pewnością ma jeszcze w Szponie wiernych sobie ludzi, Spirala. Musimy się ich pozbyć.

- Tak. Mamy pewne podejrzenia.

Mallick uniósł wzrok. Jego pyzata twarz zaśniła w blasku lamp.

- Kto?

- Między innymi Opos.

Kapłan odstawił z uśmiechem kieliszek.

- Ach, prawda. Opos. Twój zwierzchnik od chwili śmierci Perły. On pozostał wierny.

Kobieta stała bez ruchu. Pomieszczenie wypełniał migotliwy blask lamp. Wreszcie pokłoniła się sztywno.

- Niech i tak będzie. Na razie.

Nadal jednak nie wychodziła.

- Słucham, Spirala? - rzekł grubas, wkładając dłonie za opasującą okazały brzuch szarfę.

- Mallick, nasunęła się nam myśl, że po dzisiejszej nocy zdobędziesz kontrolę nad Zgromadzeniem Imperialnym. Rzecz jasna, nad Szponem już panujesz. W związku z tym niektórzy z nas zadają sobie pytanie, kiedy... zaczniesz działać?

– Dawne niepowodzenia, w Siedmiu Miastach i gdzie indziej, stały się dla mnie surową nauką, podkreślającą znaczenie cierpliwości, Spirala. Muszę przyznać, że w większym stopniu niż ktokolwiek inny powinienem był zrozumieć jej znaczenie już dawno. Jak jednak powiedziałaś, już sprawuję władzę. W takim razie po co w ogóle miałbym działać?

– Ona nie okazałaby takiej powściągliwości.

Zbył ją machnięciem dłoni.

– Jej ostatnia szansa minęła. Idź już!

* * *

Na Południowym Morzu Rdzy, podczas ciszy morskiej, galera handlarzy niewolników, *Gorliwa*, natknęła się na ledwie trzymającą się na wodzie tratwę. Kapitan Hesalt rozkazał przyciągnąć do burty powiązane ze sobą fragmenty. Jeden z marynarzy sprawdził nieruchome ciała.

– Ilu żyje?! – zawołał z góry Hesalt.

Marynarz wyprostował się. Choć stojący na dziobie kapitan był daleko od niego, zdołał wyczytać z jego twarzy zdumienie.

– Boże Głębin, zmiłuj się. Wszyscy! Jedenastu żywych!

Hesalt doszedł do wniosku, że Bliźniaki uśmiechnęły się do tajemniczych rozbitków.

Jemu również sprzyjało szczęście. Jedenaście ciepłych ciał do zakucia w łańcuchy.

– Dajcie im wodę, coś do jedzenia i zamknijcie pod pokładem.

– Tak jest, kapitanie.

Dziewięciu mężczyzn i dwie kobiety odzyskali siły zdumiewająco szybko. Jeden z nich, muskularny, naznaczony bliznami mężczyzna – z pewnością weteran – zdołał nawet wstać, gdy marynarz przyniósł mu chochłę słodkiej wody.

- Żądam rozmowy z kapitanem - wychrypiał w północnogenabackim dialekcie ze Wschodniego Wybrzeża.

- Kapitan nic już dla ciebie nie znaczy, przyjacielu - wyszeptał marynarz. - Żyjesz, ale ceną za to jest twoja wolność.

Mężczyzna rozsądnie wypił tylko łyceczek, by zwilżyć gardło.

- Powiedz kapitanowi, że żądam, by natychmiast pożeglował w stronę Stratemu.

Ci, którzy stali w pobliżu, ryknęli śmiechem. Marynarz przyjrzał się popękanej, sączącej wydzielinę skórze rozbitek. Na ramionach spaliła się niemal na czarno. Ile tygodni spędził na morzu prażony bezlitosnym słońcem? To zdumiewające, że w ogóle był przytomny. Nic dziwnego, że bredził.

- Leż, wracaj do zdrowia. Dziękuj Oponn za uratowanie życia.

- Jak się nazywasz, marynarzu?

- Jemain.

- Wiesz, co to współczucie, Jemain. Dlatego ostrzegam cię, nie próbuj mi stawać na drodze.

Coś w spojrzeniu mężczyzny uciszyło śmiech Jemaina. Rozbitek wstał, zachwiał się, ale zaraz wyprostował się z jękiem.

- Zajmij się moimi ludźmi - wychrypiał.

Żałoga patrzyła na niego z wyraźną wesołością, gdy przesuwiał się z wysiłkiem ku rufie. Tam zatrzymał się chwiejnie przed starym sternikiem, któremu towarzyszyło dwóch strażników w skórzanych zbrojach. Obaj mężczyźni skrzyżowali ręce na piersiach i gapili się na rozbitek z posepnymi minami.

- Kto dowodzi tym niewolniczym statkiem? - zapytał rozbitek.

- To będzie kapitan Hesalt z Południowych Konfederacji - odparł sternik.

- Dość już tego - warknął jeden ze strażników. - Wracaj na miejsce albo dostaniesz baty na spalone plecy.

- A ilu ma strażników?

– Ośmiu – odparł sternik, unosząc brwi.

Mężczyźni wyciągnęli zza pasów pałki. Nie używali ostrej broni, by nie uszkodzić towaru. Ledwie pierwszy z nich zdążył unieść rękę, rozbiitek złapał go obiema rękami za głowę i szarpnął mocno. Kark złamał się z wilgotnym trzaskiem. Drugi strażnik okładał napastnika pałką, rozrywając poparzoną skórę. Ciemna krew sączyła się ospale. Rozbiitek ignorował jednak uderzenia. Po chwili zdołał złapać przeciwnika za przedramię. Rozległ się trzask. Potem wbił palce w szyję strażnika tuż poniżej podbródka, miażdżąc mu gardło. Mężczyzna padł na pokład, dławiąc się i miotając bezładnie.

Sternik przypatrywał się temu bez ruchu.

– Zostało jeszcze sześciu – stwierdził lakonicznie.

– Myślisz, że się poddadzą? – wydyszał rozbiitek, zaczerpując spazmatycznie tchu.

– To nie wydaje się prawdopodobne.

– Obawiam się, że masz rację.

Wrzaski przyciągnęły sześciu pozostałych strażników. Wszyscy wypadli z tupotem na pokład. Otoczyli rozbitka i zaczęli go bić, aż padł na skrwawione deski. Nie zaprzestał jednak walki. Obalał strażników na pokład jednego po drugim. Rozwalał im głowy, miażdżył szyje, wyłupywał oczy, aż wreszcie ostatni z nich umknął z twarzą pobladłą ze strachu.

– Odsunąć się! – rozległ się męski głos.

Rozbiitek wstał. Ociekał krwią, z pleców i ramion zwisały mu pasma postrzępionej skóry. Kapitan Hesalt celował do niego z kuszy.

– Kim jesteś? – zapytał.

Mężczyzna pomacał usta i wypłuł okrwawiony ząb.

– Moje imię nic ci nie powie. Strzelisz do mnie czy nie?

– Uznałem, że uprzejmość wymaga, by najpierw zapytać.

– Do Otchłani z uprzejmością. Strzelaj.

Hesalt znieruchomiał.

Ile można by dostać za takiego wojownika! Wielka szkoda, że muszę go zabić jak wściekłego psa. Niemniej zasłużył na śmierć po kilkakroć, a wynajęta załoga to widziała...

Strzelił. Bełt wbił się nisko w pierś rozbitka. Mężczyzna zatoczył się do tyłu i osunął na nadburcie. Hesalt opuścił kuszę.

Cóż za strata! No, ale jeśli tamtych dziesięcioro choć trochę go przypomina, może jeszcze będzie z tego jakiś zysk.

Uwagę łowcy niewolników przyciągnął cichy jęk. O dziwo, rozbitek próbował się podnieść. Złapał ręką za burtę, podciągnął się i wstał. Bełt sterczał obrzydliwie z jego piersi. Hesalt się cofnął. Gardło ścisnęła mu groza. Co to była za magia? Czyżby mężczyźnie sprzyjał któryś z bogów?

– Nigdy nie robi się łatwiej – wykrztusił rozbitek. Spojrzał na Hesalta, ignorując bełt. – Poddaj mi statek, a nikomu nie stanie się krzywda. Co ty na to?

Handlarz niewolników gapił się na niego. Słyszał opowieści o podobnych koszmarach... ale nigdy nie chciał w nie uwierzyć.

Rozbitek postąpił chwiejny krok naprzód.

– Gadaj, człowieku! Choć raz spróbuj ocalić komuś życie!

– To... Kim? Czym... jesteś?

Rozbitek warknął, złapał Hesalta za koszulę i popchnął pod nadburcie.

– Za późno.

Podniósł jednym ruchem wrzeszczącego handlarza niewolników i cisnął go za burtę. Potem odwrócił się ku zdumionym marynarzom.

– Jestem Krata. Żelazna Krata. Przejmuję ten statek w imię Karmazynowej Gwardii. Sterniku!

– Tak?

– Kurs na południowy zachód, wokół przyładka. Płyniemy do Stratemu.

– Tak jest, kapitanie. Południowy zachód.

– Jemain!

Marynarz wyprostował się. Strach zaparł mu dech w piersiach.

– Tak?

– Jesteś teraz pierwszym oficerem.

Marynarz otarł z twarzy zimny pot i przełknął ślinę.

– Tak jest. Co rozkażesz?

Mężczyzna zakasał nagle i skrzywił się z bólu. Złapał jedną ręką za nadburtcie, a potem rozprostował ramiona.

– Ocuć moich ludzi. Niewolnicy niech dalej wiosłują, jeśli chcą zasłużyć na wolność.

– Tak jest, kapitanie.

– A teraz pomóż mi wyrwać to cholerstwo z piersi.

* * *

Porucznik Rillish zajął miejsce na szczycie murów pogranicznego fortu, obserwując kandydatów na osadników i kolonistów oraz zwykłą hołotę zwabioną tu obietnicą nadań ziemi. Otaczająca fort tłuszcza z każdym dniem stawała się coraz liczniejsza. Piątego dnia najwyraźniej doszli do wniosku, że jest ich już wystarczająco wielu, wysłali bowiem posłańca z propozycją rokowań.

Stojący obok Rillisha sierżant splunął flegmą brązową od wypełniającego mu policzek rdzawego liścia i uniósł kuszę.

– Mam przeszyć skurwysynów?

– Jeszcze nie w tej chwili. Przekonajmy się, kto przejął dowództwo nad tą zgrają.

Czekali cierpliwie, przyglądając się dwudziestoosobowej bandzie mierzącej ku bramie.

– Nie zbliżajcie się bardziej! – ostrzegł ich krzykiem Rillish.

– To rokowania! – odparł mężczyzna w niedźwiedziej skórze. – Wyjdźcie z nami porozmawiać.

– Nie negocjuję z bandytami.

– Bandytami! – Intruzi ryknęli śmiechem. – Powinieneś częściej opuszczać fort, poruczniku. Czyżbyś o niczym nie słyszał? Ach, przecież nie mogłeś słyszeć. Żaden posłaniec nie dotarł do fortu od... Jak dawna? Będzie już prawie miesiąc.

No tak. Najwyraźniej ten człowiek był kimś więcej, niż się zdawało. Albo przemawiał w imieniu kogoś takiego. Postanowił przejść do sedna.

– Jak brzmią wasze warunki?

Mężczyzna zbył pytanie machnięciem ręki. Rillish zauważył błysk pierścieni na jego palcach. Gęste, czarne włosy miał wypomadowane, podobnie jak brodę.

– Bardzo prosto. Ty i twoi ludzie, cały garnizon, możecie swobodnie odejść na zachód. Rzecz jasna, pozwolimy wam też zabrać broń.

Rillish wsparł dłonie na zaostzonych palach ogrodzenia. Tak, będą mogli odejść... Spojrzał za siebie. Na ubitej ziemi placu czekała z górą setka wickańskich starców i dzieci. Siedzieli albo stali, kierując twarze ku niemu. Przeniósł wzrok na posła i towarzyszącą mu zgraję kandydatów na oblegających. Poczul w ustach gorzki smak żółci.

Niech tę hołotę pochłoną najmroczniejsze ścieżki Kaptura.

– Poruczniku, z pewnością rozumiesz, że wasza sytuacja jest beznadziejna. Jesteście otoczeni, nie możecie liczyć na odsiecz. Macie za mało zapasów i brakuje wam wody. Własne życie możesz poświęcić, jeśli chcesz, ale pomyśl o swoich ludziach.

Sierżant splunął na ścianę.

– Czy teraz mogę przesyć skurwysyna?

Rillish powstrzymał go, unosząc rękę.

– W którym imieniu przemawiasz?

Uśmiech posła przekonał porucznika, że odgadł trafnie. Mężczyzna wskazał niskie wzgórze pokrywane wickańskie ziemie.

– Co powiesz na północną Untę?

Rillish miał ochotę rozkazać sierżantowi przeszyć skurwysyna. Przekłęte Wielkie Rodziny z Unty. Walczyły z Wickanami od pokoleń, a teraz zwietryły szansę.

On zaś stał im na drodze.

– Jesteś pewien, że nie widziałeś tam żołnierzy? – zapytał sierżanta.

– Ani jednego. To poszukiwacze przygód, cwaniaczki, nielegalni osadnicy, nieroby z pogranicza. Sama hołota.

Porucznik zdjął hełm i otarł pot z czoła. Na równinach było upalnie. Nie tak, jak na południu. Albo w Korelu. Cholernie zmarzył przez wszystkie te lata, które tam spędził. Zaciągnął rżemyk hełmu.

– Zabieraj stąd ten swój motloch, a obiecuję, że nie będziemy was ścigać.

Posel wytrzeszczył oczy i zmarszczył brwi, jakby porucznik gadał w jakimś obcym języku.

– Nie zdajesz sobie sprawy ze swojej sytuacji, ty tępogłowy żołdaku?! – wybuchnął, czerwieniejąc na twarzy. – Masz za mało ludzi, żeby obsadzić umocnienia!

– A wy macie za mało zapasów, by myśleć o oblężeniu.

– Słuchajcie, głupcy! – zawołał poseł, podnosząc głos. – Ten człowiek właśnie zabił was wszystkich.

– Teraz przeszyję skurwysyna.

– Czy to koniec rokowań?! – zawołał Rillish. – Jeśli tak, mój sierżant ma wielką ochotę cię zastrzelić.

Posel poruszył szczęką, przełykając resztę słów.

– Skończyliśmy – warknął. Odwrócił się i odszedł.

– Co teraz, poruczniku? – zapytał sierżant Żyłka.

– Zmniejszymy rację do jednej czwartej. Skonfiskujemy całą wodę. Podwoimy liczebność wart. Zapewne spróbują nocnego ataku.

– Tak jest, poruczniku. Wybacz, że to mówię, ale garnizon jest zielony. Nie taki, jak stary oddział.

- Żaden nowy oddział nigdy nie jest taki jak stary, Żyłka.
- Tak jest, poruczniku. To prawda jak deszcz...
- Przydałby się nam teraz.
- Co?
- Deszcz.
- To prawda, poruczniku.

Rallick zerknął na fort. Twarze wickańskich starców i dzieci, którym zdołał dać tu schronienie, kierowały się ku niemu. W ich oczach nie było jednak niepokoju ani błagania. Tylko cierpliwość.

- Powiedzieli mi, że to spokojny posterunek, na którym będę mógł zaczekać na przejście w stan spoczynku, Żyłka. Zasłużony odpoczynek. Trzeba było zostać w przeklętym przez chaos Korelu.

- Oby bogowie ci odpowiedzieli, poruczniku.

Rillish ruszył w stronę schodów.

- Po zastanowieniu wolałbym, żeby tego nie robili, Żyłka.

* * *

Gdy zaczęli montować kadłub łodzi, zza przylądka na południu wynurzyły się statki, zmierzające na północ wzdłuż wybrzeża. Krzyki wieśniaków odciągnęły uwagę Ereka od obserwacji pracy przyjaciela. Wędrowiec odłożył toperek.

- To miejscowi? - zapytał Ereko, choć był przekonany, że tak nie jest.

Wędrowiec osłonił oczy dłonią.

- Z całą pewnością nie.

Ereko zauważył głębokie zanurzenie i proste, kwadratowe żagle.

- To śmiali żeglarze.

- Przybyli z bardzo daleka.

- A więc znasz ich.

- Tak.

Olbrzym nigdy dotąd nie słyszał, by jego towarzysz przemawiał z pasją dorównującą tej, jaką usłyszał w tym jednym słowie. Wypełniła go ciekawość. Pragnął poznać tych cudzoziemców, którzy zdołali obudzić w Wędrowcu coś, co można było jedynie nazwać zwykłą ludzką nienawiścią. Bratanek wójta zbliżał się biegiem, wskazując na morze.

– Przybyli! To oni! Szarzy łupieżcy z morza!

Mieszkańcy wioski podążali za nim falą. Matki jedną ręką unosiły spódnice, drugą zaś ciągnęły za sobą dzieci.

– Tak.

Bratanek wójta przełknął ślinę, by uspokoić oddech.

– Co... co mamy zrobić?

– Uciekajcie. Wszyscy. Uciekajcie do lasu. Nie zatrzymujcie się.

– A ty?

– Wyjdę im na spotkanie.

– Ale... jeśli się ukryjemy... może nas ominą...

– Tego bym nie chciał.

Mężczyzna wbił wzrok w Wędrowca, jakby ten właśnie zapowiedział, że popełni samobójstwo. Odsunął się, z niepewnością, a potem ze smutkiem w oczach. Wreszcie odwrócił się i oddalił truchtem.

Wędrowiec ujął leżący obok miecz i wyszarpnął go z pochwy.

– Ty też – powiedział Erekowi. – Nie musisz się w to mieszać.

Olbrzym podszedł do niego i obaj ruszyli w stronę plaży.

– Nie, pójdę z tobą. Chciałbym zobaczyć tych najeźdźców, żeby na przyszłość wiedzieć, kogo się wystrzeżać.

Wędrowiec nie raczył mu odpowiedzieć. Zerknął tylko nań z ukosa. Oba statki skierowały dzioby w stronę brzegu. Albo łupieżcy ich zauważyli, albo i tak zamierzali wysiąść tu na ląd.

– Co z twoją zbroją?

– Nie ma na to czasu.

Wędrowiec, rzecz jasna, nie okazywał obaw, Ereko jednak czuł się zaniepokojony. Wojownicy budzący podobny strach nie mogli być

głupcami. Z pewnością zrobią użytek z łuków, jeśli tylko je mają. Schodząc na plażę, zabrał ze sobą włócznię.

– Są dwa – mruknął, gdy już znaleźli się na dole.

Na wargach Wędrowca pojawił się cień uśmiešku.

– Proszę bardzo. Prawy czy lewy?

Ereko przyjrzał się wąskim statkom o wysokich dziobach. Na ich pokłady wylegli wojownicy.

– Myślę, że prawy.

* * *

Napastnicy zeskoczyli w fale i zaczęli się przesuwać w stronę brzegu. Ereko nagle zrozumiał przyczynę strachu wieśniaka. Szarzy łupieżcy z morza. Dla niego była to jedynie kolejna rasa obcych najeźdźców. Tiste Edur. Dzieci Cienia. Gdy zbliżyli się do miejsca, gdzie fale muskały czarne kamyki plaży, olbrzym przywołał z pamięci ich język, którego, choć w niewielkim stopniu, nauczył się w ciągu wieków.

– Witajcie.

Mężczyzna zмирzający przodem, zapewne wódz oddziału, zatrzymał wszystkich gestem i zmierzzył Ereka spojrzeniem.

– Jak się nazywasz?

Podobnie jak jego wojownicy nosił futro narzucone na skórzaną zbroję ozdobioną kosmykami włosów, kawałkami wstążek oraz plamami barwnika koloru oranżu i umbry. Długie włosy posplatał sobie w warkocze i wysmarował tłuszczem. Miał włócznię, miecz i nóż. Ereko nie zauważył żadnej broni strzelającej pociskami. Jego ulga jednak ulotniła się szybko, gdy ujrzał kobietę – właściwie młodą dziewczynę – która pojawiła się nagle na dziobie statku. To była jedna z ich czarownic. Jej długie wystrzępione szaty, szale oraz chusty powiewały w podmuchach słabej bryzy.

– Zejdź nam z drogi, Przedwieczny – zażądała.

Wódz zerknął na nią.

– Może powinniśmy zabrać go ze sobą?

– Nie jego. On nie jest wojownikiem.

Przez szum fal przebił się szcęk bronii. Tiste Edur zwrócili ciemne oczy ku drugiemu statkowi.

– Zabijcie go i ruszajmy – rozkazał wódz.

– Stójcie! – zawołała dziewczyna. – Nie wolno go ruszać. Jest nietykalny.

Wódz odwrócił się błyskawicznie.

– Kto tak powiedział?

– Ja!

– Wodzu... – odezwał się jeden z Edur.

– Słucham!

Wojownik wskazał głową drugi statek. Wódz spojrział w tym samym kierunku, w którym patrzyli jego podkomendni. Jego szara twarz pobladła nagle. Ereko zauważył, że odgłosy walki przed chwilą ucichły. Fala się cofnęła i wojownicy runęli do szarży, omijając olbrzymia.

– Tamtego chyba pozwolisz nam zabić?! – zawołał do dziewczyny wódz.

Młoda czarownica była jednak głucha na jego szyderstwo. Ona również zauważyła Wędrowca, a co za tym idzie, wszystko, co ze sobą przynosił. Jej ciało zamarło, ale na licu odmalowała się walka – przerażenia, oszołomienia, fascynacji i grozy. Wódz pędził na spotkanie z Wędrowcem, Ereko wołał jednak obserwować walkę, która rozpetęła się na twarzy dziewczyny, gdy jedna wiara uważana za niepodważalną prawdę napotkała wcielenie innej.

Kto okaże się zwycięzcą?

Do tej pory we wszystkich duchowych kryzysach, jakie widział u tych, którzy byli na nie podatni, triumf odnosił Wędrowiec, czy raczej to, co z nim wędrowało.

Woda zafalowała i towarzysz Ereka zatrzymał się u jego boku. Koszulę miał pociętą mieczami i zbryzganą krwią. Z jego irchowych spodni wznosiły się czerwone obłoki barwiące wodę. Dziewczyna gapiała się na nich, wykrzywiając twarz w grymasie, którego widok sprawiał olbrzymowi ból. Potem zawyla i zniknęła im z oczu.

- Co zrobimy ze statkami? - zapytał Ereko. Obaj wiedzieli, że na nic im się nie zdadzą. Nie mieli załogi.

- Będziemy musieli je spalić.

- Szkoda. Konstrukcja wygląda ciekawie. Mam nadzieję, że wykorzystamy choć część drewna? To znacznie przyspieszyłoby prace.

- Proszę bardzo. Ale nie bierz nic charakterystycznego.

Odwrócił się. Ereko podążył za nim, wychodząc na brzeg. Jego umysł wypełniały liczne pytania, ale ich osobliwa znajomość nie pozwalała na nic, co przypominałoby wyjaśnienia. Wędrowiec z jakichś osobistych powodów pragnął, by tak to wyglądało. Ale przecież Ereko również.

- Odślonięty! - rozległ się z tyłu przenikliwy krzyk.

To była dziewczyna. Stała w wodzie, trzymając się dziobu statku. Łachmany zwisały z niej niczym wodorosty. Wygramoliła się powoli na czarny żwir brzegu.

- Proszę! Błagam o wasze przewodnictwo!

- Co ona mówi? - zapytał Wędrowiec.

- Ach, nie znasz języka Edur. Będę tłumaczył. Pragnie przewodnictwa. - Ereko ściszył głos. - Czy powinniśmy pozwolić jej żyć? Jest świadkiem. Istnieje groźba odwetu.

- Niektóre wydarzenia wymagają świadectwa.

Odpowiedź Wędrowca wstrząsnęła olbrzymem. Nawet on, nieśmiertelny członek innej rasy, wyczuł w tych słowach najbledsze echo tego, co ten mężczyzna może przynieść ze sobą na świat. Implikacje wypełniły go bojaźnią. Po chwili wskazał dziewczynę, która padła przed nimi na twarz na mokrych kamieniach.

- Co mam jej rzec?

- Jeśli pragnie przewodnictwa, powiedz jej, że nie mogę jej dać niczego, czego już nie posiada.

- To, czego szukasz, kryje się w tobie – przetłumaczył Ereko.

Zawyła rozpaczliwie, rozgrzebując palcami kamyki.

- Nie mam nic. Wszystko okazało się kłamstwem! Całe moje życie utraciło sens! Jestem pusta!

- Powiedz, żeby zaniosła innym wieści o tym, co widziała.

Olbrzym zastanowił się nad słowami Wędrowca.

- Jak masz na imię, dziecko?

Otarła oczy gwałtownym ruchem.

- Smutek.

Prastara Matko!

Teraz to Ereko wbił w nią wzrok, aż wreszcie dziewczyna zwiesiła głowę, błędnie rozumiejąc jego milczenie. Musiał odchrząknąć, by odzyskać głos.

- Smutek, wróć do świata i zanieś mu słowo o tym, co tu odsłonięto.

Całym ciałem dziewczyny targnęły konwulsje, jakby ją uderzył. Uniosła ku niemu twarz i zobaczył, że w głębi jej ciemnych oczu pojawił się ogień. Płonął coraz jaśniej, aż wreszcie łzy spływające po policzkach Smutek rozjarzyły się w jego blasku. Wstała. Zaciśnęła usta, aż przerodziły się w bezkrwistą linię, a potem opadła na jedno kolano.

- Wróć do mojego ludu i wszystkie starożytne kłamstwa obróć się w gruzy. Zaniosę mu nową prawdę.

Ereko przetłumaczył jej słowa.

Wędrowiec się zachwiał.

- Nie. Natychmiast ją zabijaj. Każ jej iść na północ. Tam może mieć szansę.

- Twoi bracia nie są jeszcze gotowi na przyjęcie prawdy, Smutek – przetłumaczył Ereko. – Zniszczyłyby ich, jak omal nie zniszczyła ciebie. Ich czas nadejdzie. Powiedział, żebyś ruszyła w pielgrzymkę na północ. Tam możesz znaleźć żyzną ziemię.

Wyprostowała się, choć nadal spoglądała w dół. Przyjrzał się jej uważnie. Była bardzo młoda i straszliwie niedożywiona! Czy to również stanowiło element fundamentu, na którym miał się wspierać przekaz Wędrowca? Odcisnęły się też w niej piętna niewidoczne dla nikogo poza Erekiem. W jej duchu wypaliły ślad przerażające okrucieństwa. Przeleża wiele krwi. Któż inny śmiałyby jednak podźwignąć brzemię, jakie Wędrowiec składał na barki swych neofitów?

- Każ jej iść. Nie mogę patrzeć na jej dygotanie.

- Ten, kto wyrzekł się swego imienia, przeszłości i wszystkiego, czym ongiś był, po to, by zanieść światu jego wiadomość, błogosławi cię i każe ci odejść.

- Mój panie!

Odwrociła wzrok, jak oślepiąca blaskiem. Nie mogła patrzeć na udrękę, jaką były dla Wędrowca jej słowa i uczynki.

- Idź już – powtórzył Ereko. – Idź.

Cofnęła się z płaczem. Jedną rękę unosiła do ust, a drugą ocierała oczy. Zabrakło jej słów, była zdruzgotana. Przeobrażona. Wypalona płomieniem, który jasno gorzał w duszach śmiertelników, gdy stanęli przed obliczem Wędrowca. Jakby ktoś rzucił do ogniska garść sproszkowanych minerałów.

Odprowadzali ją wzrokiem, aż wreszcie wdrapała się na osypisko i zniknęła im z oczu.

- Może powinniśmy spalić statki, nim wieśniacy zdążą je ograbić? – zasugerował Wędrowiec, przerywając długą ciszę.

- Potrzebuję tego drewna.

- Proszę bardzo – zgodził się Wędrowiec z przeciągłym westchnieniem. – Zabronię im grabieży.

Ereko zwrócił się ku niemu.

– Wybacz, Wędrowiec. Muszę cię o coś zapytać. Co oni czują? Tacy jak ona?

Ze zdumieniem zauważył, że jego towarzysz również drży. Może to z powodu zimnego wiatru? Mężczyzna spojrział na morze, mrużąc oczy w odbijającym się od fal blasku słońca.

– Naprawdę tego nie wiem. Widzą to, co muszą zobaczyć. Nie kłamałem, mówiąc, że mają to już w sobie. Zawsze to mieli. Jestem przekonany, że tylko wskazuję im ścieżkę. Sami muszą zdecydować, czy na nią wkroczą.

– A dokąd prowadzi ta twoja nowa ścieżka?

– Nie mam pojęcia – odparł z ironicznym uśmiechem. – Sam nadal nią podążam. Mogę jednak powiedzieć ci jedno: wiedzie do spotkania i decyzji. Do konfrontacji, poza którą nie potrafię sięgnąć wzrokiem.

Oddalił się od olbrzyma, który stał na zalewanej falami plaży pogrążony w zamyśleniu. Ereko nie spodziewał się usłyszeć tak wiele, całość jednak nadal pozostawała dlań tajemnicą. Jego współplemieńcy rodzili się z Matki Ziemi, ich ciała pozostawały jej własnością, a gdy dokonali żywota, powracali do niej. W jego czasach wszystko było prostsze.

* * *

O świcie Skradacz, Grere i Kyle wyruszyli na zwiady do wioski. Zastali tam puste, butwiejące chaty i porośnięte trawą przejścia. Leżące na brzegu łódzie porośło zielsko. Osadę dawno już porzucono, Kyle jednak nie potrafił się uwolnić od niepokoju. Miał wrażenie, że puste otwory drzwi drwią z niego, a pomiędzy zwalonych krokwi przypatrują się mu niewidoczni obserwatorzy. Po krótkich poszukiwaniach wrócili do czekającego w lesie ostrza.

– Osada jest opuszczona – oznajmił Skradacz.

– Od czasu do czasu ktoś ją odwiedza – dodał Grere. – Rybacy, myśliwi i tak dalej.

– Zglądaliście do fortecy? – zapytał Okop.

Pokręcili głowami.

– Świetnie. Na razie tego nie róbcie. – Wstał. – Ruszajmy. – Skradacz, Grere, pójdziecie przodem. Przechył ze mną. Kyle i Krętacz będą tylną strażą.

Cały dzień poświęcili na przeszukiwanie walących się chat i magazynów.

Okop zajął najlepiej zachowany dom na kwatery główną. Ustawił jedyne nadające się do użytku krzesło w cieniu tuż za wejściem i usiadł na nim, spoglądając na zatokę.

Kyle spojrzął na zaplecze wioski, gdzie zarośnięta chwastami ścieżka prowadziła w gąszcz, a potem zapewne ku urwisku i zbudowanej na nim fortecy.

– Dlaczego nie rozbijemy obozu w lesie, gdzie nikt nas nie zobaczy? – zapytał Skradacz.

– Dlatego że chcemy nawiązać kontakt – wyjaśnił siedzący na schodach Przechył.

Okop złapał woreczek, który miał u pasa, i wepchnął sobie do ust kawałek liścia z białym proszkiem.

– Zgadza się. Miejcie oczy otwarte. Jeśli ktoś się zjawi, złapcie go za łeb.

– Tak jest.

* * *

Nocą Kyle stał na straży z Krętaczem. Nie palili ognia. Młodzieniec zajął pozycję blisko brzegu, obserwując spokojne wody zatoki, lśniące w blasku księżyca. Było chłodno. Zadawał sobie pytanie, czy zimy w tej okolicy są surowe. Starał się stać całkowicie nieruchomo. Po

chwili usłyszał, że ktoś zbliża się powoli i ukradkiem od strony łądu. Wyteżył słuch.

– Miałeś obserwować las.

Zaskoczony Krętacz zatrzymał się nagle.

– Cholera. Skąd wiedziałeś, że to ja?

– Mówiłeś, że pochodzisz z miasta. Nikt, kto zna las, nie narobiłby takiego hałasu.

Mag wykrzywił twarz w grymasie niedowierzania.

– Czy to prawda?

– Nie. Nigdy nie byłem w mieście. Ale widziałem jedno z daleka.

Krętacz rozpostarł wełniany płaszcz, który niósł na ramieniu, i owinął się nim ciasno.

– Stoisz nad brzegiem. Ja przyszedłem z lasu. Myślę, że obaj poczułiśmy to poprzedniej nocy. I tej też.

– Co poczułiśmy?

– Duchy.

– Duchy?

– Ehe. – Mag zadrżał, wzruszając chudymi ramionami. – Tu jest ich jak psów.

Kyle wpatrzył się w ciemną linię drzew.

– Nic nie widzę.

– Może właśnie przez nie nic tu nie ma.

– Może. Nie jestem pewien, co czuję.

– Naprawdę? Interesują się tobą.

Kyle nie zdołał powstrzymać drżenia. Wiedział, że to prawda.

– Skąd wiesz?

– Moja grotta to Denul. Potrafię wyczuć takie sprawy.

Gdy już wrażenie towarzyszące mu od chwili, gdy postawił nogę na tej ziemi, otrzymało nazwę, Kyle mógł się od niego uwolnić. To było poczucie, że ktoś go obserwuje. Zwrócił się w stronę zatoki.

- Groty – warknął. – Nie rozumiem tych waszych grot. Jak one działają? Na stepie po prostu oddawaliśmy cześć ziemi, deszczowi i...

Umilkł.

- I? – zapytał Krętacz.

- I wiatrowi. Czčiliśmy Ojca Wiatr.

Mag westchnął.

- Groty... to celne pytanie. Tylko nieliczni coś o nich wiedzą. W końcu one nie należą do nas. Czy macie u siebie bractwa i siostrzeństwa? Grupy mężczyzn i kobiet?

- Tak. Mamy stowarzyszenia wojowników. Większość młodych mężczyzn do nich wstępuje, jeśli tylko może. Kobiety mają swoje.

- No więc groty są trochę podobne. Każda ma swoje sposoby postępowania. Swoje tajemne słowa, symbole i rytuały. To cała tajemnica. Żałośnie dziecinna, szczerze mówiąc.

- A bogowie? – zapytał nadal odwrócony młodzieniec.

Krętacz prychnął pogardliwie.

- Moim zdaniem to tylko potężne duchy. Istoty, które mają więcej mocy od innych. Nic poza tym. Ale nie musisz mi wierzyć. Podchodzę do tego raczej cynicznie.

Kyle zwrócił się w stronę maga.

- Tylko moc? To jedyna różnica?

- Tak. Powinno być coś więcej, ale żaden z nich nie chce tego zaakceptować.

- A co to jest?

- Więż.

* * *

Następnego dnia do zatoki zawinęła mała łódź. Płynący nią stary mężczyzna zacumował przy najmniej zniszczonej przystani. Ludzie z ostrza obserwowali go z ukrycia.

- Żywcem - wyszeptał Okop, ostrzegając uniesionym palcem Grere'a, który obnażył zęby w odpowiedzi. Skradacz, Kyle i Grere zajęli pozycje pośród pustych chat.

Kyle pozwolił, by staruszek go minął, a potem wypadł z ukrycia na zarośniętą zielskiem ścieżkę. Przybysz pogwizdywał pod nosem, ale ucichł, gdy drogę nagle zagroził mu Grere. Obejrzał się i zobaczył Kyle'a. Ramiona mu opadły. Wyciągnął zza pasa długi nóż i rzucił go na ziemię. Grere skinął nań dłonią, każąc mu podążyć za sobą na wzgórze.

- Myślałem, że jesteście duchami - oznajmił przybysz Okopowi, mówiąc po taliańsku z dziwnie brzmiącym dla uszu Kyle'a akcentem.

- Duchami? - powtórzył Grere z szyderczym uśmiechem. - Jesteśmy ludźmi z krwi i kości.

- To dziwne.

- Co w tym dziwnego?

- One też tak mówią.

Grere dzielił go w twarz. Kyle stłumił pragnienie potraktowania Barghasta w taki sam sposób.

- Jak się nazywa osada leżąca na północ stąd, starcze? - zapytał Okop.

- Thikton.

- Ile ludzi tam mieszka?

- Mnóstwo. Wiele setek.

- Od jak dawna Malazańczycy władają tą okolicą?

Staruszek przyjrzał się im z uwagą.

- Malazańczycy? Nie ma tu żadnych Malazańczyków. Tylko kupcy, jeśli o to pytasz.

- Nie ma? To kto tu rządzi?

Mężczyzna podrapał się po głowie.

- Hmm, pewnie nikt. Sami sobie radzimy.

Okop zacisnął usta.

- Chcesz powiedzieć, że nie ma tu władcy? Nikt wami nie rządzi?
- No dobra, w górze rzeki, w Jelcu, jest faktor. Pewnie można powiedzieć, że on tu rządzi.

- Faktor? Kupiec?

- Tak.

- A jeśli ktoś was zaatakuje? Piraci albo łupieżcy?

- Tak, tak – zgodził się tubylec, kiwając z zapalem głową. – To się zdarzało bardzo często. Łupieżcy z północy, z Korelu. Raz na południe stąd wylądowali nawet najeźdźcy z Kobyły.

- I co się z nimi stało?

Staruszek przelknął ślinę i zgarbił plecy.

- No wiecie. Duchy. Wszystkich przepędziły.

Okop uniósł obleczoną w pancerną rękawicę dłoń, pragnąc zdzie-
lić tubylca, ale odwrócił się z niesmakiem.

- To nic nie da.

- Mamy go zabić? – zapytał Grere.

- Zabić? Widzę, że genabackańscy rekruci są krwiożerczy.

- Z jednym rybakiem jakoś sobie poradzimy – wycedził Przechył.

- Będę miał na niego oko – obiecał Kyle.

- Ja też – dodał Krętacz.

Okop skinął dłonią, każąc im odprowadzić staruszka.

- Dobra. Jeśli się zgubi, zedrę wam skórę z pleców.

* * *

Nocą Kyle usiadł na schodach obok Przechyła, który zapalił fajkę. Na tle księżycy przesuwały się wysokie, rozproszone chmury. Wietrzyk poruszał gałęziami brzoź i świerków.

- Co ze statkiem? – zapytał młodzieniec.

- Zaczekają, aż sprawdzimy tę osadę w głębi ładu.

- A potem?

– Przekonamy się. Jeśli tubylec mówił prawdę i nie ma tam malańskiego garnizonu, może po prostu ją zajmujemy.

– Ale to nie jest Quon Tali.

– Nie jest. – Przechył wyjął fajkę z ust, wysypał płonące skry na mokrą ziemię i mrugnął znacząco do towarzysza. – Ale jesteśmy już blisko, chłopcze. Wystarczy wyciągnąć rękę, a będzie nasze.

Z jakiegoś powodu Kyle nie sądził, by to miało być takie łatwe.

Przechył schował fajkę do kieszeni.

– Pójdę się przespać. Moje stare kości nie tolerują już zimnego biwakowania. Wiedziałaś, że nie ma tu ani jednej chaty, której dach by nie przeciekał?

– Wypróbuj tę po drugiej stronie drogi.

Stary sabotażysta przyjrzał się pochylonej ruinie o zapadniętym dachu.

– Serdecznie dziękuję.

* * *

Kyle jeszcze przez pewien czas siedział sam w ciemności. Od kilku nocy nie spał prawie w ogóle. Przeszkadzało mu odczucie, że ktoś na niego patrzy, za które Krętacz winił duchy. Czasami zdawało mu się, że słyszy w nocy szept. Raz czy dwa ktoś zawołał go nawet po imieniu.

Spacer dobrze mu robi. Ostatnio za mało się ruszał, a za dużo czekał. Najpierw okropny rejs przez ocean, a teraz to dziwnie nudne lądowanie. Gdzie się podzieli wszyscy? To była niepokojąca okolica. Gdy nogi zawiodły go na leśną ścieżkę, uświadomił sobie, że choć puszcza wygląda niezwykle, wrażenie, które mu towarzyszy, jest dziwnie znajome. Podobną, tajemniczą obecność czuł, gdy jego klan wędrował przez wysoki płaskowyż rozciągający się na północnych granicach ich terytorium. Jego stryjek wskazywał spowite mgłą niziny położone na północy i mówił, że tam nigdy się nie zapuszczają, bo

tam zaczyna się Assail. Nawet z daleka Kyle czuł niesamowitą obcość tamtych ziem.

Gdy jego stopy dotknęły kamienia, zatrzymał się. Porośnięte pnączami i mchem schody wiodły do usytuowanej na szczycie urwiska fortecy, Przystani. Właściwie była to raczej wieża niż pełnowymiarowy fort. Nie ulegało wątpliwości, że w okolicy nie ma nikogo poza ich ostrzem. Młodzieniec postanowił więc wdrapać się na górę.

Schody zaprowadziły go do ciemnego, wilgotnego tunelu, wychodzącego na centralny dziedziniec. Między kamiennymi płytami rosły drzewka, a na brudne mury pięły się pnącza. Kyle rozejrzał się uważnie. Nie ulegało wątpliwości, że nikt tu nie przychodzi. Podszedł do następnych schodów, prowadzących na mury. Gdy szedł na górę, jego wzrok przyciągnęła jasna plama. Uklęknął. Uśmiechnęła się do niego czaszka. Pokryty zieloną śniedzią hełm zrósł się z nią z upływem lat. Obok leżał zardzewiały, omszały miecz. Mali padlinożercy ogryźli ciało, ale większe zwierzęta nie zaglądały w tę okolicę. Wyglądało na to, że ludzcy rabusie również się tu nie zjawiają, chyba że miecze i broje stały się pospolite jak chwasty. Nie, ten żołnierz leżał w miejscu, gdzie padł razem ze swą bronią. Pytanie brzmiało: w której armii służył? Czy to był poległy brat Kyle'a, czy też Malazańczyk? Nie sposób już było tego określić. Czas i zęby małych padlinożerców zatarły wszelkie różnice.

Kyle wyprostował się, zastanawiając się nad dziwnym biegiem swych myśli. Nigdy dotąd nie poświęcał martwym ciałom większej uwagi. Czy to podróże nauczyły go tej wzniosłej perspektywy? Ruszył dalej w górę. W połowie drogi zatrzymał się. Schody przed nim zamigotały w blasku przesłanianego przez przepływające obłoki księżyca. Chłopak odnosił wrażenie, że pusta noc spływa ku niemu mroczną falą, pochłaniając jeden stopień po drugim. Potem chmury umknęły i cienie się rozproszyły. Kyle pomacał schody. Były suche jak pieprz. Czy to był jakiś omen? Ale co zwiastował?

Z murów fortecy rozciągał się widok na Morze Dzwonków, usiane w blasku księżyca niebieskimi i srebrnymi plamkami. Wzdłuż całej linii brzegowej nie dostrzegł ani jednego światła. Czy to były okolice, z których Gwardia uciekła tak dawno temu? Gdzie się podzieli wszyscy? Oparł się o szorstki mur, pozwalając, by ochłodziła go wieczorna bryza. Było tu zaskakująco cicho. Słyszał tylko drzewa szumiące na wietrze i szum skrzydeł nocnych owadów. Po chwili do świadomości Kyle'a dotarł jednak inny dźwięk. Ponownie, z mroku dobiegł szept. Młodzieniec odwrócił się powoli. Cienie na opustoszałym dziedzińcu poruszały się migotliwie. Miał wrażenie, że niemal dostrzega sylwetki. Czy właśnie dlatego zabroniono im tu przychodzić? Czy coś tu straszno? Szkoda, że Okop ich nie ostrzegł. Przyszło mu do głowy, że może będzie musiał tu siedzieć całą noc. Mógł to być jedynie szmer fal daleko w dole, chłopakowi wydawało się jednak, że słyszy chór cichych głosów.

Jego policzek musnął nowy powiew, który nadleciał pod kątem prostym do bryzy. Był gorący i niósł intensywną woń, nie morza, lecz jakiegoś innego miejsca. Od strony narożnej wieżyczki zbliżał się wir powietrza, niosący ze sobą liście, a także coś innego, co lśniło tęczowo w blasku księżyca. Zaskoczony młodzieniec uklęknął. To były płatki kwiatów, złotej i różowej barwy. Świeże i pachnące. Wiatr dmący od wieżyczki przybrał na sile i nozdrza Kyle'a wypełnił odór zgnilizny. Chłopak się cofnął. Dobiegający z dziedzińca szum przerodził się w chciwe szepty, głośniejsze niż szum drzew, a potem nagle ucichł, jakby coś go ucięło.

Od strony wieżyczki zbliżały się ciężkie kroki, zgrzyt żelaza na kamieniu. Dłoń Kyle'a powędrowała do rękojeści tulwara. Kolejny głośny krok i z wieżyczki wynurzyła się postać, zakuta od stóp do głów w pełną zbroję, lśniąca w blasku księżyca. Wysoki, zamknięty hełm podkreślał znaczny wzrost mężczyzny, dłonie w pancernych rękawicach spoczywały na rękojeści dwuręcznego miecza wiszącego u pasa.

Kyle obawiał się, że ma do czynienia z Jhagiem, koszmarem z legend jego ludu. Istota machnęła ręką, jakby kazała mu odejść.

– Statki czekają, bracie – oznajmiła po taliańsku. – Idź już. Kella-
nved i jego słudzy są blisko. Zgodziliśmy się wyruszyć na Diasporę.

Gardło Kyle'a ścisnęło zdumienie. Dłoń spoczywającą na dziwnie
cieplej rękojeści tulwara pokryła warstewka potu.

Ukryta pod hełmem głowa się odwróciła. Mężczyzna przyglądał
mu się z uwagą. Kyle zauważył, że jego oponczę, uszytą z błyszczącego
materiału ciemnej barwy, pokrywają płatki kwiatów.

– Idź! Tancerz załatwił zbyt wielu naszych magów, choć Czepiec
kazał mu za to zapłacić. Nie możemy już dłużej przeciwstawiać się
Tayschrennowi. Uciekaj, dopóki możesz. Ja ich powstrzymam.

Kyle nadal nie był w stanie się ruszyć. Kim był mężczyzna?
Duchem powtarzającym ostatnie chwile swego życia w blasku księ-
życa? Być może to jego czaszka spoczywała na dole.

Zjawę najwyraźniej również dopadły wątpliwości. Jej zakute w sta-
lowe rękawice dłonie wróciły do długiego uchwytu miecza.

– Kim jesteś, bracie? Jak się nazywasz? W którym ostrzu służysz?

– Jestem Kyle – zdołał wykrztusić młodzieniec. – Z Dziewiątego
Ostrza.

– Łziesz!

Miecz wysunął się z pochwy.

– Oprawca! – zawołał ktoś.

Kyle odwrócił się i zobaczył na schodach Przechyła.

– Oprawca! Niech to szlag, moje stare oczy cieszą się na twój
widok. – Sabotażysta wyminął Kyle'a, odpychając go na bok. – Witaj.
Zdrowo wystraszyłeś mnie i chłopaka.

Schowana pod hełmem głowa pochyliła się lekko.

– Przechył... jeszcze tu jesteś? Grupa Blask już odpłynęła.

Przechył roześmiał się przesadnie głośno.

– Już wróciliśmy, chłopie. Minęło prawie sto lat i wróciliśmy.

Zjawa, jeśli rzeczywiście był to ten Oprawca, o którym Kyle tak wiele słyszał, znieruchomiała z uniesionym ku górze mieczem.

– Wróciliście? Ale... malazańskie kolumny w lesie...

– Dawno już odeszły, chłopie. Jesteśmy tu tylko my, Gwardziści.

Dłoń powędrowała do hełmu.

– Tak, oczywiście. Ja również uciekłem. Ale wróciłem, jakby...

Oprawca schował miecz.

Kyle'owi ulżyło. Widok tego oręża bardzo go zaniepokoił. Klingę pokrywały czarne plamy korozji. Coś mu mówiło, że nawet najłżejsze dotknięcie byłoby bardzo niezdrowe.

– Tak – ciągnął Oprawca, coraz bardziej stanowczym głosem. – Teraz ich zmiażdżymy. – Uniósł opancerzoną dłoń i zacisnął w pięść. Żelazo zgrzytnęło o żelazo. – Poprzednim razem niemal udało mi się załatwić Kellanveda, ale przeszkodził mi Dassem, a teraz wróciłem znacznie potężniejszy.

– Naprawdę? – zapytał Przechył. – Tak też myślałem, że wyglądasz inaczej.

– Inaczej? – powtórzył ze śmiechem Oprawca. – Zmieniłem się bardziej, niż sobie wyobrażasz, Przechył.

Stary sabotażysta wskazał oponczę przybysza. Przedstawione na niej herby były za ciemne, by można je było rozpoznać w tym świetle.

– A te barwy?

– To herby naszej patronki, królowej Ardaty.

– Nigdy o niej nie słyszałem. Spędziłeś z nią cały ten czas?

– Była dla nas bardzo szczodra.

– Dla nas? Ile braci i siostr reprezentujesz, Oprawca?

Wielki wojownik Gwardii odwrócił się, spoglądając na dziedziniec. Kyle zwrócił uwagę, że szepty wróciły. Ten dźwięk straszliwie go rozpraszał. Dlaczego obaj mężczyźni w ogóle nie zwracali uwagi na głosy?

– Stoi za mną z górą pięćdziesięciu Zaprzysiężonych i wiele tysięcy regularnych żołnierzy.

Szepty umilkły, jakby porwał je wiatr. Przechył złapał Kyle'a za ramię.

– Możesz wracać do obozu. Prześpij się trochę.

– Czy mam zawiadomić Okopa? Co z *Pustulką*?

– Już wiedzą, chłopcze. Już wiedzą. Wieści się roznoszą.

* * *

Imperialna Rada zebrała się w nowej sali, w jednym z najstarszych cesarskich budynków w stolicy, starożytnym zamku zbudowanym w czasach untańskiego państwa-miasta. Pod jego murami ciągnął się szeroki łuk portu. Opos pierwszy zjawił się w sali, w której nie widział nic poza nagimi, kamiennymi ścianami. Zadawał sobie pytanie, co się kryje za tą nagłą zmianą wprowadzoną przez Laseen. Czy chciała w ten sposób subtelnie przypomnieć członkom Rady o losie dawnej untańskiej dynastii, wymordowanej przez Kellanveda, Tancerza, a także – o czym usilnie starał się nie zapominać – przez samą Laseen? Tylko stół, bez krzesel, żadnego jedzenia ani wina. Czy to miała być celowa zniewaga? Po co zawracać sobie głowę? Między radą i Laseen nie było prawie żadnych kontaktów. Każda ze stron najwyraźniej uważała drugą za pozbawioną znaczenia.

Opos przesunął urękawiczonym palcem po masywnym, zakurczonym parapecie jedyne okna w sali. Nasunęła mu się myśl, że to cholernie niewydolny sposób rządzenia imperium. Mallick panował nad Zgromadzeniem i za jego pośrednictwem kontrolował skarbiec oraz rządową biurokrację. Korbolo Dom, jako Miecz Imperium, dowodził armią. A przynajmniej tym, co z niej pozostało. Tayschrenn nadal milczał niepokojąco, a Szybki Ben zdezerterował i odszedł z Tavore, co pozostawiło dowództwo Imperialnej Kadry Magów w rękach nikomu nieznanego Havvy Gulen, dawnej sekretarz Archiwum Imperialnego.

Bibliotekarki. Opos strzepnął kurz z dłoni. Bogowie na górze i na dole, nowy Wielki Mag Imperialny jest byłą bibliotekarką. Stary cesarz, który według niektórych został po śmierci bogiem, z pewnością zleciał z tronu ze śmiechu.

Ciężkie drzwi otworzyły się z grzechotem. Do sali wszedł wielka pięć Anand, dowódca Czwartej Armii, broniącej serca imperium. Według źródeł Oposa jej stan wynosił obecnie niespełna dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Stary dowódca zatrzymał się tuż za progiem, unosząc białe brwi. Opos wzruszył ramionami.

Anand wydał wargi, jakby chciał powiedzieć: „No, no”, a potem podszedł do stołu i zaczął przerzucać leżące na nim mapy.

Opos stanął na palcach, kotłując się w przód i w tył. A co ze Szponem? On słuchał rozkazów Laseen, ale na niższych szczeblach ostrzono już noże. Przeciwno komu się skierują?

Drzwi znowu się otworzyły i do sali weszła wysoka, tęga kobieta spowita w ciemne szaty. Havva Gulen. W jej przypadku Opos również spróbował ocenić pierwszą reakcję. Zamrugała szybko, a potem rozciągnęła szeroko usta w chytrym uśmiechu. Opos przywitał nowego wielkiego maga skinieniem głowy. Pomyślał, że chyba polubi Havvę Gulen, pomimo jej skołtunionych, niemytych włosów i splamionych inkaustem szat.

– Zimno tu – zauważyła, wzdrygając się.

– Zdecydowanie – potwierdził z uśmiechem Opos.

– To przez wiatr od cieśnin – zauważył Anand, nie podnosząc wzroku.

Havva i Opos wymienili ironiczne spojrzenia.

– Oczywiście – zgodziła się kobieta. – Wiatr chyba się zmienia.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Opos zauważył, że niebieskie napańskie oblicze Miecza Imperium, Korbolo Doma, pociemniało z zaskoczenia, konsternacji, a wreszcie z gniewu.

– Co to ma znaczyć?

Szpon wzruszył ramionami. Havva przyjrzała się Korbolowi. Anand nie raczył oderwać spojrzenia od map.

– Spójrzcie na to! – Korbolo zatoczył krąg ręką. – To zniewaga!

– Sądzę, że bardzo celna – dodał Opos.

– Ty! – naskoczył na niego Korbolo. – Co ty w ogóle tu robisz? Nie masz znaczenia.

Opos otwierał już usta, by udzielić oczywistej odpowiedzi, ale uprzedziła go Havva.

– Być może nikt z nas go nie ma, Mieczu Imperium. Przyszła ci do głowy taka możliwość?

– Co ty gadasz, kobieto?

Spojrzała na gołe ściany.

– W dawnych czasach, gdy królewski doradca albo wysoki rangą oficer otrzymywał wezwanie na spotkanie, a po przyjściu przekonywał się, że czeka nań tylko pusty, przypominający celę pokój... No cóż, wniosek jest oczywisty, nie sądzisz? – Uniosła do ust tłusty, splamiony inkaustem palec. – Może spróbujemy otworzyć drzwi? Jak sądzisz, da się to zrobić od środka?

Korbolo gapił się na nią, wybałuszając oczy. Opos nie mógł powstrzymać śmiechu. Drzwi zagrzechotały i wszyscy spojrzeli na stojącego w progu Mallicka.

– Mam nadzieję, że nic ważnego mnie nie ominęło? – zapytał, mrużąc.

– Nic ważnego – potwierdził Opos. – Tak tylko rozmawialiśmy.

Mallick potarł z uśmiechem blade dłonie.

– Znakomicie. – Zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po pokoju. – Cóż za surowość. Jesteśmy na stopie wojennej, tak? Widzę, że mamy kworum. W takim razie zacznijmy. Wielka pięści Anandzie, Zgromadzenie pragnie pokornie wyrazić swój niepokój. Jak idą przygotowania do obrony stolicy?

Anand uniósł wzrok, marszcząc brwi.

- Zgromadzenie? Jakie Zgromadzenie? Z kogo może się obecnie składać? Z ciebie i twojego psa?

Z pyzatej twarzy Mallicka nie zniknął uśmiezek.

- Bądź spokojny, dowódcu. Pomimo zdradzieckich dezercji udało się nam zachować pełen stan. Nowi, odważni przedstawiciele zgodzili się zając zwolnione miejsca. Wszystko to ma, rzecz jasna, tymczasowy charakter, do chwili, gdy uda się przywrócić pokój i ład.

- A ile to kosztowało? - mruknął Anand, zwracając wzrok ku mapom. Westchnął, wzruszając chudymi ramionami. - Idą całkiem nieźle, biorąc pod uwagę, jak bardzo jesteśmy osłabieni. Straciliśmy większość oddziałów na kontynencie. Całe pułki wróciły do korzeni, ogłaszając się itkokańskimi albo grisańskimi. Tym meldunkom towarzyszą paskudne pogłoski o etnicznych rzeziach. Skonfiskowano arsenały, przechwycono okręty. Brak kompetentnych magów skazuje nas na lądową i morską łączność w starym stylu. Sytuacja jest cholernie paskudna.

- Co radzisz?

- Nie zapominaj się, Mallick - odezwał się Korbolo. - Jako Pierwszy Miecz ja określam strategię.

Mallick uspokoił go, unosząc rękę. Oposowi jej wygląd przywiódł na myśl ślepa rybę wyciągniętą z głębin. Szpon stłumił drzenie.

- Chcę tylko usłyszeć różne opinie. W końcu zebraliśmy się tu na naradę - oznajmił grubas. - Proszę, okaż cierpliwość. Wielka pięści?

Złowrogi wyraz twarzy Korbola powiedział Oposowi, że Pierwszy Miecz zaczyna tracić cierpliwość do Mallicka.

Anand ściągnął białe brwi, niemal zasłaniając nimi oczy.

- Nie możemy być pewni żadnego terytorium. Dlatego konieczna jest konsolidacja. Odzyskamy kontrolę, przesuając się od środka na zewnątrz.

- Znakomicie. A jak brzmi twoja opinia, Mieczu Imperium?

- Nie zgadzam się. Musimy działać tak szybko, jak tylko można.

Mallick skrzyżował dłonie na pokaznym brzuchu.

– Tak. Dwie różne strategie. Być może to dobrze. Będziemy mogli omówić ich zalety i wady.

Opos nie mógł oderwać spojrzenia od niskiego grubasa. Po raz kolejny udało mu się przejąć kierownictwo. Jak to robił? Czy przyczyną była słabość ich charakterów, czy też jakaś siła ukryta w nim samym? Opos jak zwykle czuł w jego obecności niepokój, jakby Mallick był kimś więcej albo kimś mniej, niż się zdawało. Kojarzyło mu się to z jakąś podobną sytuacją z dalekiej przeszłości, ale nie potrafił sobie przypomnieć z czym konkretnie.

Drzwi znowu się otworzyły. Wszyscy wyprostowali się i odwrócili. Do środka weszła Laseen. Wdziąła typowy dla siebie strój: pozbawione ozdób pantofle, zwykłe spodnie i zieloną jedwabną bluzę. Nie nosiła żadnych symboli władzy ani statusu. Opos dawno już doszedł do wniosku, że to wcale nie jest poza. Po prostu nie potrzebowała niczego w tym rodzaju. I tak wszyscy wiedzieli, kim jest. Władza promieniowała z jej oczu i postawy. Była niższa od niego, ale zawsze odnosił wrażenie, że spogląda nań z góry. Głębokie bruzdy wokół wąskich ust świadczyły o niezadowoleniu.

Odpowiedziała na ich ukłony szybkim skinieniem głowy.

– Zdażyliście już porozmawiać?

– Tak – potwierdził Mallick. – Właśnie omawialiśmy...

– Streść mi to, wielka pięści Anandzie – przerwała mu cesarzowa.

Grubas zamknął usta gwałtownie jak ryba. Pod siwiejącą, krótko ostrzyżoną brodą Ananda pojawił się pierwszy dziś uśmiech.

– Z przyjemnością, Wasza Wysokość. Czekałem na twoje przybycie. Nasze źródła, aczkolwiek nieliczne, zgadzają się, że armia przeciwnika maszeruje pośpiesznie z Tali, gromadząc siły po drodze na wschód. Wygląda na to, że zbuntowana diuszesa Ghelel sprawuje nad nią ścisłą kontrolę. Przynajmniej w wystarczającym stopniu, by towarzyszyć swym siłom.

– Diuszesa! – zachnął się Korbolo. – To absurd!

Opos zerknął na cesarzową. Laseen zacisnęła usta jeszcze mocniej. Zauważył też, że Havva się uśmiecha.

– Chyba raczej ci, którzy sprawują kontrolę nad nią – ciągnął Korbolo, nie zauważając tego wszystkiego.

Anand ponownie wzruszył ramionami w geście przywodzącym na myśl pokracznego ptaka morskiego poprawiającego skrzydła.

– To dla mnie nie ma znaczenia. Obchodzą mnie jedynie fakty. Co więcej, to nie mój wydział – zakończył wielką pięść, spoglądając na Oposa.

Szpon nie odpowiedział.

Anand odchrząknął.

– Z pewnością planują spotkanie z Seti, którzy zdecydowanie opowiedzieli się za niepodległością. – Stary dowódca machnął lekceważąco ręką. – Jak rozumiem, chodzi o jakiś tradycjonalistyczny ruch. Moim zdaniem spóźnili się o całe pokolenie. Tak czy inaczej, wygrzebali gdzieś kompetentnego wodza, który podporządkował sobie równiny i skutecznie sparaliżował wszelkie linie łączności. Kimkolwiek jest, w praktyce przeciął kontynent na pół.

– Ich cel? – zapytała Laseen.

Korbolo Dom nie potrafił się już dłużej powstrzymać.

– Ich cel? Chcą nas zniszczyć, oczywiście. Cesarzowo, z całym należnym szacunkiem, sugeruję, byś zostawiła takie sprawy swym dowódcom. My określimy strategię.

– Pierwszy Mieczu! – warknęła Laseen. Jej głos przeciął powietrze między nimi niczym nóż. – Jesteś tu w charakterze doradcy. Muszę ci przypomnieć, że jako Pierwszy Miecz Imperium dowodzisz jedynie w polu. Sam Dassem słuchał innych w sprawach strategii.

Tak jest, pomyślał Opos. A jeśli informacje zebrane przez jego agentów były prawdziwe, niektórzy z tych dowódców prowadzili teraz wojska przeciwko nim.

- Wielka pięści? - rzekła cesarzowa, ponownie spoglądając na Ananda.

- Ich cel wygląda tak samo jak nasz. Konsolidacja krok po kroku. Po zdobyciu Li Heng zagrożą Cawn. Potem przyłączą się do nich Kańczycy, w obawie, że zostaną pominięci i nie będą mieli żadnego wpływu na nowy Tron. Później czeka ich tylko szybki marsz po dobrych drogach w stronę stolicy.

Zapadła cisza.

- Nasze opcje? - zapytała po chwili Laseen.

- Mamy tylko dwie. Możemy czekać na nich tutaj, licząc, że zdołamy ich rozbić, albo wyjść im na spotkanie i spróbować pokonać ich w polu.

- Dziękuję, wielka pięści. Pierwszy Mieczu, co ty na to?

Korbolo obnażył zaciśnięte zęby.

- Powiedzieć, że mamy tylko dwie możliwości, czekać albo wymaszerować, jest zbyt wielkim uproszczeniem. To bezużyteczne! Pewnie, że tak jest! Każdy głupi by to zrozumiał!

Havva uśmiechnęła się ironicznie. Anand tylko uniósł brwi.

- Co więc radzisz?

- Musimy działać, cesarzowo. Wybacz, ale wszyscy uważają to zwleknięcie za przejaw słabości i niezdecydowania.

- Havva, jak brzmi twoja ocena?

Kobieta splotła palce na bujnych piersiach.

- Cesarzowo, jeśli przerzedenie korpusu magów ma jakkolwiek zaletę, to tylko taką, że ta smutna sytuacja dotyczy również naszych nieprzyjaciół. Ja i moi koledzy jesteśmy przekonani, że nie są w stanie wystawić ani jednego liczącego się maga. Niestety, to samo można powiedzieć o nas. Chyba że...

Laseen zacisnęła usta tak mocno, że zbieleły jej wargi.

- Na niego nie możemy liczyć.

– Tak też sądziłam. Nieprzyjaciel najwyraźniej jest tego samego zdania. W przeciwnym razie nie ruszyłyby na nas. Istnieje jednak jeszcze jedna opcja. Być może kilku magów kadrowych z oddziałów stacjonujących za morzem...

– Nie.

– Nie? – oburzył się Korbolo Dom. – A dlaczego? To nasi ludzie. Jeśli nacjonaści mają niewielu magów, jak twierdzi Havva, czy nie powinniśmy się wzmocnić na tym odcinku? Uderzyć w nich tam, gdzie są słabi? A skoro już o tym mowa, gdzie jest Imperialna Flota? Gdzie się podział admirał Nok? Dlaczego po prostu nie wyląduje w quońskim porcie i nie zajmie miasta?

Opos doszedł do wniosku, że cesarzowa przyjęła ten wybuch ze zdumiewającym spokojem. Splotła ręce za plecami, jakby nie ufała swemu opanowaniu, i wskazała głową Ananda, nie odrywając wzroku od Korbolo Doma.

– Dlaczego, wielka pięści?

– Dlatego że diusza po prostu zawróciłaby i odzyskała miasto. Wrócilibyśmy do punktu wyjścia.

– W takim razie admirał Nok powinien...

– Dość już tego!

Opos wzdrygnął się, słysząc gniew w jej głosie, jednakże Korbolo Dom nie raczył ukryć narastającej frustracji.

– Musimy radzić sobie sami, Mieczu Imperium – oznajmiła Laseen niedopuszczającym sprzeciwu tonem. – Nie mogę odwołać rozkazów, które wydałam Nokowi. Zleciłam mu zadanie utrzymania naszych zamorskich posiadłości. Logistyka zaopatrzenia, transportu wojsk, wsparcia i odsieczy w pełni pochłania jego siły. Nie liczcie na jego pomoc. Musimy odzyskać kontynent albo zginąć w walce.

Opos zauważył, że Mallick cały czas milczy. Splótł pulchne dłonie na brzuchu, spuścił wzrok i lekko wydał grube wargi, jakby był zamyślony. Teraz jednak uniósł spojrzenie i rozpostarł ręce.

– Co więc rozkażesz, cesarzowo?

- Na razie zbierajmy siły, zgodnie z radą dowódców wojskowych. Musimy odzyskać kontrolę nad prowincją untańską. Szlachetnie urodzeni muszą wrócić do miasta ze swoimi siłami. - Spojrzała na Oposa.
- Szponmistrzu, weź członków rodzin jako zakładników, by zapewnić ich współpracę. Jeszcze tej nocy.

Opos uśmiechnął się.

- W pewnym sensie czas sprzyja teraz nam. Mamy do czynienia z niepewnym sojuszem nowych władców, zazdrośnie strzegących swej niezależności. Jeśli wytrzymamy wystarczająco długo, sojusz się rozpadnie. Rzecz jasna, zrobimy, co w naszej mocy, by przyśpieszyć ten proces. Havva, Opos, wyślijcie do wszystkich swoich kontaktów listy z ostrzeżeniem, że Tali próbuje odbudować swą dawną hegemonię. Zaoferujcie coś Dalhończykom. Zawiadomcie bloorską szlachtę, że jej ziemie obiecano Grisianom. Rozpocznijcie kampanię siania dezinformacji i podejrzeń, w których nikt nie będzie w stanie doszukać się prawdy.

Wielki mag i szponmistrz skinęli głowami.

- Jeszcze jedno, szponmistrzu - ciągnęła cesarzowa. - Ogólny wywiad?

Opos wzruszył ramionami.

- Na ulicach krąży mnóstwo plotek, oczywiście, ale nie ma wśród nich nic godnego uwagi. Niemniej jedna informacja powtarza się coraz częściej, choć brzmi nieprawdopodobnie: ludzie mówią o powrocie Karmazynowej Gwardii.

Anand ryknął ochryplym śmiechem.

- Spodziewają się jej każdego roku. Te stare bajania pojawiają się zawsze, gdy morale jest niskie. Są jak tryper. Nigdy nie można się od nich uwolnić do końca.

Laseen uśmiechnęła się półgębkiem.

- Miejmy nadzieję, że Gwardziści w końcu wrócą, wielka pięści. Będziemy mieli okazję pozbyć się ich raz na zawsze.

- Jesteś tego pewna? - zapytała Havva.

- Tak. Gdyby wrócili, byłiby głupcami, a K'azz nie był głupi.

Opos zauważył, że Mallick przygląda się Laseen znacznie uważniej niż dotąd. Po chwili grubas opuścił w zamyśleniu kąciuki ust i znowu wbił wzrok w podłogę.

- Zamykam spotkanie rady. Możecie odejść.

- Wedle rozkazu, cesarzowo - odparli wszyscy, nawet Korbolo.

Laseen spojrzała w oczy Oposowi.

- Słówko, szponmistrzu.

Opos nie opuścił sali, gdy pozostali wychodzili. Nadeszła jego chwila. Z czym się spotka? Z zaprzeczeniem? Z gniewem? Musiał przyznać, że czuje się zaciekawiony, nawet jeśli obawia się przysłowio-
wego zabójstwa posłańca. Drzwi się zamknęły i został sam na sam z cesarzową. Podeszła do okna i wyjrzała przez nie, splatając dłonie za plecami.

- Twoje milczenie mówi mi wszystko, co muszę wiedzieć, Opos. - Zerknęła nań z ukosa. - Trzymasz się na dystans, blisko drzwi. Czy jestem aż tak przerażającym tyranem?

Opos nie miał najlepszego pojęcia, jak na to odpowiedzieć. Topper z pewnością nie miałby żadnych zahamowań. Był z nią nader poufały! Albo Perła... on miałby na podorędziu jakąś gładką odpowiedź. Gadanie zawsze przychodziło mu z łatwością. Jakby pierdział ustami. Ale nie Opos. On najlepiej potrafił się ukrywać, a teraz zmuszono go do wyjścia w światło dnia. Było przerażająco jasne!

- Imiona, szponmistrzu.

Opos odchrząknął. Spróbował przemówić, ale uniemożliwiła mu to nagła suchość w ustach. Zadał sobie pytanie, czy boi się o własne bezpieczeństwo, czy raczej lituje nad nią.

- Amaron - zdołał wreszcie wykrztusić. - Toc Starszy, Choss i... Urko.

- A więc Toc... To on jest tym wodzem Seti, prawda?

- Tak.

– Ale Anand o tym nie wie.

– Bardzo niewiele wie. To by źle wpłynęło na morale, prawda?

Zapadła cisza. Opos miał plecy tak sztywne, że bał się, że już nigdy nie zdoła ich zgiąć. Patrzył, jak osamotniona Laseen przyjmuje wiadomość o zdradzie tak wielu dawnych towarzyszy. Doszedł do wniosku, że to jednak liitość.

– Zostaw mnie – rozkazała, nadal bezwzględnie panując nad głosem.

Pokłonił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Cesarzowa prosiła, by jej nie przeszkadzać – oznajmił czekającym za nimi wartownikom.

* * *

Stojący na pokładzie okrętu flagowego Urka, genabackańskiej barki *Żaloba Ketha*, Ullen obserwował ostatnią falę quorli Srebrnych Moranthów. Wycieńczone stworzenia mknęły nisko nad falami, opadając zgrabnie na brzeg. Olbrzymie, podobne do ważek potwory wyglądały dla niego jak zrobione ze szklanych włókien. Mimo to były zaskakująco odporne. Każdy niósł dwóch jeźdźców, tresera i pasażera, a także małą, niezwykle cenną skrzynkę. Jeźdźcy zsiadali z quorli i zdejmowali z nich ładunek. Potem pasażerowie, wojownicy Złotych Moranthów, ustawiali się w kolejce do jednej z dziesięciu galer zakontraktowanych przez ich Niebieskich pobratymców, a treserzy pozwalali wierzchowcom wypocząć i zaspokoić głód. Ullen pomyślał, że latające stworzenia, ze swymi czterema cienkimi jak bibułka skrzydłami i długimi, segmentowanymi ogonami, wyglądają bardzo elegancko. Jednakże tylko do chwili, gdy ktoś zobaczył, jak jedzą. Cholerne potwory pożerały ofiary żywcem.

Posłaniec zaprezentował mu dokumenty, sprzeciwy dotyczące miejsca na zapasy wody. Ullen nabazgrał na nich „Maksimum!” i oddał papiery posłańcowi, po czym wrócił do obserwacji cudzoziem-

ców. Czterdziestu kolejnych Złotych wojowników dla skleconego przez Urka wielkiego sojuszu niezadowolonych. Mieli ich już w sumie około dwóch tysięcy. A do tego ostatnia fala rekrutów. Z Quon nadeszły wieści, że wydarzenia toczą się znacznie szybciej, niż przewidywano. Flota musiała natychmiast wypłynąć albo utraci wpływ na bieg wypadków.

Dalej na morzu, za kotwicowiskiem, szybkie statki zwiadowcze zbadały już szlaki morskie wiodące na południe, torując drogę dla złożonego ze stu okrętów konwoju, który miał wypłynąć tej nocy.

- Obserwujesz naszych genabackańskich sojuszników? -
zabrzmiął kobiecy głos, dźwięczny kontralt.

Ullen się odwrócił.

Pod dominującym nad śródkręciem baldachimem siedziała nowa głównodowodząca kadry magów Urka, otyła, czarna jak noc dalhońska czarownica, Bala Jesselt.

Ullen pozwolił sobie na ostrożne skinienie głową.

- Tak.

- Czy możemy im ufać, hmm? Dlaczego nam towarzyszą? Jakie są ich cele?

- Powiedz, jakie. Ty jesteś magiem.

Bala wzruszyła potężnymi ramionami i powachlowała sobie twarz.

- Któż to może wiedzieć? Ich umysły funkcjonują w niezwykle sposób.

- Ale na razie są dla nas cennymi sojusznikami.

- Tak... na razie.

Ullen postanowił zignorować te słowa. Bala słynęła ze skłonności do insynuacji i nieustannego spiskowania celem zdobycia wyższej pozycji. Nieokiełznana ambicja sprawiła, że już dawno usunięto ją z kadry magów. Urko z pewnością był przekonany, że potrafi utrzymać ją w ryzach, Ullen nie był jednak tego pewien. Dostarczono kolejne

wiadomości. Bala nadal wachlowała błyszczącą od potu twarz, podczas gdy Ullen odpowiadał na kolejne pisma.

– A co z tobą? – zapytała, kiedy zajmował się ostatnim rozkazem wypłynięcia.

– Słucham?

– Kiedyś byłeś adiutantem Chossa, a teraz zostałeś zwykłym szefem sztabu. To degradacja, tak?

Ullen przekazał rozkazy i obdarzył nową głównodowodzącą kadry magów swym najbardziej ujmującym uśmiechem.

– Uważam to raczej za przesunięcie.

Westchnęła z rozczarowaniem i znowu poruszyła wachlarzem.

– Pewnie powinniśmy się cieszyć nawet niewielkimi osiągnięciami.

– Jeśli już mowa o niewielkich osiągnięciach, czy są jakieś wieści z Li Heng albo Dal Hon?

Złożyła nagle wachlarz.

– Nie drwij ze mnie! Wszyscy powinniście być wdzięczni, że wam towarzyszę! Gdyby nie moja osłona, admirał Nok zatopiłby was wszystkich!

– Nok jest obecnie zajęty pacyfikacją Siedmiu Miast. Ma wystarczająco wiele rozsądku, by ograniczyć się do jednej wojny na raz.

Wielkim biustem Bali wstrząsnął śmiech.

– A co ty możesz wiedzieć o umyśle tak wielkiego dowódcy?

Ullen omal jej nie wyjaśnił, że był kiedyś adiutantem Chossa, który z kolei był protegowanym Noka, uświadomił sobie jednak, że szkoda zachodu. Ucieszył się widokiem posłańca Złotych Moranthów, płynącego ku nim łodzią.

– Słucham? – zapytał, gdy posłaniec wszedł na pokład.

– Komendant V'thell po raz kolejny prosi, byś mu powiedział, dokąd płyniemy.

- Zawiadam V'thella, że ze względów bezpieczeństwa nie wie o tym nikt poza Urkiem. Nawet ja. Dowiemy się, kiedy flota znajdzie się na morzu.

- Rozumiem. A jeśli sztormy ją rozproszą?

- Będziemy się porozumiewać za pomocą flag, lamp i... - wskazał głową Bałę - ...magii. Co z waszymi quorlami?

- Wszystkie wrócą do domu. One nienawidzą wody.

- Wielka szkoda.

Posłaniec pokłonił się i wrócił do czekającej łodzi. Ullen zastanowił się machinalnie, czy Moranthowie toną równie szybko, jak zwyczajni żołnierze w zbrojach, i czy są szaleńcami, nie czyniąc żadnych ustępstw wobec zmienionych warunków panujących na morzu.

Po połowie dzwonu zdecydował z niechęcią, że ta chwila jest równie dobra, jak każda inna. Wezwał flagowego.

- Przekaż większym okrętom, Niebieskim oraz dromonom, że mają zacząć opuszczać kotwiczowisko. - Dalhońska czarownica skierowała senne spojrzenie na kapitańską kajutę, w której siedział Urko. Zapewne schował się tam przed nią. - Co możesz zrobić, by przyspieszyć rejs? - zapytał ją Ullen. - Wydarzenia nas wyprzedziły.

- Ja? Nie jestem kapłanką Chema. A grota Maela jest dla mnie tajemnicą, dzięki Thesormie.

Ullen potarł powieki. Dlaczego bogowie tak go przekleli?

- A czy znasz kogoś, kto mógłby nam pomóc? Ktoś z twoich towarzyszy albo sympatyków?

Wachlarz rozchylił się i znowu zaczął się poruszać.

- Roześlę zapytania.

- Dziękuję.

Światło dnia dogasało powoli. Ullen utrzymywał łączność z resztą floty za pomocą flag tak długo, jak tylko zdołał. Coraz częściej zastępowały je błyski lamp przekazujące zakodowane informacje. Wachlarz Bali nie przestawał się poruszać. Czasami wydawało się, że czarow-

nica szepcze do niego, chwilami zaś kierowała powiew na bok twarzy. Ullen osłonił oczy, by przyjrzeć się ogromnym transportowcom Niebieskich widocznym daleko na morzu. Dowódca Żółtych, V'thell, był niecierpliwy.

Wtem Bala poderwała się jak uszczypnięta. Stłumiła westchnienie.

- Co się stało? - zapytał Ullen, spoglądając na nią.

Wachlarz znowu zaczął się poruszać. Czarownica skierowała leniwe, podpuchnięte oczy ku ciemniejącemu horyzontowi.

- Ze Stratemu docierają dziwne zapachy. Coś tam jest. Coś potężnego. Czuję tę woń, nawet z tak daleka.

Stratem? Kogo, do cholery, obchodził Stratem?

- Dowiedziałas się, czy ktoś mógłby nam pomóc podczas rejsu?

Skinęła głową.

- Istnieje taka możliwość: Sympatyk z Unty. Jego przedstawiciele są otwarci na taką możliwość. Myślę, że pragną w zamian złota albo politycznych wpływów.

- Przekaż im, że jeśli przyspieszą nasz rejs, otrzymają wszystko, o co poproszą.

Dalhońska czarownica nie sprawiała wrażenia przekonanej. Wydęła pełne usta.

- Spróbuję, ale to niebezpieczna obietnica. Kto wie, czego mogą zażądać.

- Nie obchodzi mnie to, nawet jeśli zapragną samego Kaptura. Zwlekamy tu już wystarczająco długo. Musimy wypłynąć.

- Dobra. Pogadam z tym magiem groty Ruse.

* * *

Uchodźcy napływali do Heng niczym kropelki krwi skapujące z równin Seti. Stojący na szczycie murów przy Północnej Bramie Równin, zwanej Bramą Posępnych Spojrzeń, kapitan Storo Matash, obecnie

tymczasowa pięść malazańskiego garnizonu, spoglądał na grupki pokrytych kurzem mężczyzn, kobiet i dzieci. Żołądek zżerał mu kwaśny, wrzodowy ból. Kolejne gęby do wykarmienia. Nowi ludzie do zakwaterowania. Jeszcze więcej ust wygłaszających skargi. I potencjalnych zdrajców, których trzeba się wystrzegać. Ilu szpiegów Seti ukrywało się w tej najnowszej kolumnie wygnanych osadników i kupców? Z pewnością zbyt wielu. Jakby ten nowy plemienny wódz potrzebował dodatkowych agentów w przeciekającej balii, jaką było Li Heng.

Usłyszał zgrzyt butów na kamieniach. Podszedł do niego Jedwab.

– Powinieneś leżeć w łóżku i wypoczywać – oznajmił mag.

– Nie mam powodu do narzekań. Jak się czuje Rell?

Jedwab się skrzywił.

– Wraca do siebie. To cud, że w ogóle wyżył, nie wspominając już o powrocie do zdrowia. Zapędziłem do pomocy mu wszystkich biegłych uzdrowicieli w mieście, ale nawet jeśli w pełni odzyska zdrowie, na blizny nic się nie poradzi. Stracił większość skóry na ramionach i twarzy. Możliwości Wielkiej Denul też mają swoje granice. On jednak najwyraźniej się tym nie przejmuje. Zaczął już nawet ćwiczyć, by zachować giętkość kończyn. – Zdumiony Jedwab uniósł rękę. – To niewiarygodne.

– Dobra, każ tu przenieść moje łóżko, to się w nim położę. Zresztą wyglądasz gorzej ode mnie – dodał Storo, spoglądając na bladą twarz i zapadnięte oczy maga.

Jedwab wzruszył ramionami, opierając się o kamienne blanki.

– Siedziałem tu całą noc z sabotażystami, pomagając zamaskować ich poczynania. Dokonują cudów na całej długości murów. Drżączka naprawę wziął się do roboty. Nie sądzę, bym kiedyś widział podobny przypadek.

– To samo można powiedzieć o tobie. Na Genabackis odnosiłem wrażenie, że cały czas trzymasz jedną rękę za plecami. Że się nie prze-męczasz.

Suchy wiatr dmący od prerii poruszył długimi jasnymi włosami maga. Jedwab odgarnął je z twarzy.

– Tamta walka nie była moja. Ta jest.

– Dowiodłeś tego w zeszłym tygodniu. Czy w końcu wyjaśnisz mi, co zrobiłeś? Straciłem już wtedy przytomność. Słoneczko mówi, że w twojej dupie zapłonęło słońce i spaliłeś wszystkich pierdami.

Jedwab nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– To barwny opis. I nie odbiega od rzeczywistości aż tak bardzo. Nie, ja po prostu wezwałem moc dawnej miejskiej świątyni, a ona odpowiedziała mi ostatnim odbitym rozblyskiem minionej chwały. To wszystko.

– A ja jestem Dessembrae, Pan Tragedii.

Mag osłonił ręką oczy, spoglądając na równinę i ciemnobrązowe wzgórza widoczne daleko na horyzoncie. Storo przesunął spojrzenie w tamtym kierunku.

– W porządku – westchnął. – To jest prawdziwy problem. – Potarł pierś pod ubraniem i skrzywił się z bólu. – Prawda wygląda tak, że jestem ślepy, Jedwab. Nie mam pojęcia, co tam się dzieje. Za tymi cholernymi wzgórzami mogłoby siedzieć pięćdziesiąt tysięcy Seti, a ja nie miałbym o niczym pojęcia. A co z Untą? Co się dzieje w stolicy? Czy posiłki są już w drodze? Na jak silne wsparcie mogę liczyć? – Splunął na ziemię za murem. – Sytuacja jest paskudna jak suczy pomiot Kaptura.

Mag wyraził współczucie spokojnym wzruszeniem ramion.

– Przykro mi. Żałuję, że nie potrafię ci pomóc. Niestety, tego rodzaju obserwacja i komunikacja na odległość nie należą do moich silnych stron.

– Kto, na Nieprzeniknioną Noc, może to zrobić? Czyżby w tym mieście nie było drugiego maga bojowego? Czy znaleźli już kadrowych magów z garnizonu?

– Nie. Jeden ponoć przyłączył się do Orlata. Drugi zniknął tamtej nocy, uciekł albo poległ. Zostałem tylko ja. – Jedwab umilkł, spogląda-

jąc na Stora. – Jest jeszcze ktoś, kto mógłby nam pomóc, jeśli się zgodzisz.

– Kto? Bogowie, mam nadzieję, że nie chodzi ci o tę staruchę, do której pomocy odwołałeś się poprzednio.

– Ona się nazywa Liss, kapitanie.

– Ach. Przepraszam, Jedwab. – Storo złapał się za bok, krzywiąc się z bólu. Odetchnął głęboko. – A w czym może nam pomóc?

Mag uniósł podbródek, wskazując odległe wzniesienia.

– Ona ich zna, pięści. Zna ich dobrze. Była kiedyś jedną z ich szamanek, jasnowidzącą. Jak rozumiem, nadal się jej boją.

– Ja też.

– Sierzancie Storo! – dobiegł z oddali czyjś głos. Jedwab i Storo spojrzeli w tamtym kierunku. Sędzia Ehrlann zmierzał ku nim po murze. Sługa próbował dotrzymać mu kroku, unosząc wielki parasol.

– Sierzancie? – powtórzył Jedwab. – Ten człowiek jest dowódcą malazańskiego garnizonu...

Storo uniósł rękę, by uspokoić maga.

– Tak, tak, wszystko to prawda – przyznał Ehrlann. – Niemniej jednak rządząca rada uznawana przez Tron naprawdę nie może uznać awansu na polu walki, dopóki nie zatwierdzi go dowództwo naczelne.

– A kiedy to może się wydarzyć? – zapytał Jedwab, nie ścisząc głosu.

– Gdy zostaną doręczone niezbędne dokumenty, oczywiście – odparł z uśmiechem Ehrlann.

Jedwab wskazał prerię.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że Cesarska Grota jest zamknięta dla wszystkich? Że podczas wojny domowej żaden z magów nie odważy się podróżować przez grotę? Że między nami a Untą leży królestwo Cawn, które zbuntowało się przeciwko Tronowi Cesarskiemu?!

Sędzia Ehrlann zmarszczył brwi.

– No cóż, w takim przypadku minie dłuższy czas, nim dokumenty do nas dotrą.

Storo położył dłoń na barku Jedwabia i uściśnął go mocno.

– Bardzo słusznie, sędzio – rzekł. – Najwyższy Sąd Miejski powinien zwołać nadzwyczajną sesję, by omówić zasady postępowania. Musicie określić rozmieszczenie wojsk, strategię obrony, organizację ludności cywilnej, a także sporządzić szczegółowy spis wszystkich logistycznych wymogów i przeznaczyć środki na ich zakup. A wszystko to dopiero początek.

Zdumiony sędzia zamrugał, spoglądając na Stora.

– Oczywiście... no cóż... powołano już specjalną komisję...

– W takim razie lepiej tam wracaj, żeby nie podjęli jakichś idiotycznych postanowień pod twoją nieobecność.

Ehrlann uśmiechnął się półgębkiem.

– Dziękuję. Tak. – Pstryknął palcami. – Chodźmy, Jamaer.

Ruszył w drogę powrotną.

Storo odprowadzał go wzrokiem. Potem odwrócił się i znowu wsparł przedramiona na blankach.

– Bogowie, będą gadali, aż nadejdzie Ostatnia Noc. – Spojrzał na Jedwabia. – A nim to się stanie, co radzisz zrobić?

– Mam zamiar znaleźć dla nas sojuszników.

– Świetnie. Zrób to. Tyłu, ilu tyłko zdołasz.

– A Liss?

Storo skinął głową.

– Powiedz jej, żeby trzymała szamanów Seti jak najdalej od nas.

Jedwab uśmiechnął się nerwowo, skrywając zadowolenie.

– Och, jestem pewien, że to się jej spodoba. – Ukłonił się i ruszył ku schodom. Zatrzymał się jeszcze po drodze. – Pięści, czy mogę zapytać, jak wygląda nasza strategia obrony?

– Strategia obrony? Jest bardzo dziwna. Mamy zabić tyłu skurwysyńskich Seti, ilu tylko się da.

Ho z ulgą przekonał się, że nowi więźniowie Jamy starają się nie przyciągać uwagi. Po zastanowieniu doszedł jednak do wniosku, że to również go niepokoi. Dwaj mężczyźni zachowywali się nie tyle jak kandydaci na tyranów, czego się obawiał, ile jak potencjalni szpiedzy, czego bał się jeszcze bardziej. Wszystko to wydawało się zbyt niedorzeczne. Pod chaosem i dymem pozostałych po powstaniu z pewnością wciąż ukrywał się pewien drobny szczegół: dlaczego w Jamie nie wybuchł bunt? Nawet gdy wycofano stąd strażników, by pomóc w pacyfikacji Czerepu, panował tu przykładowy spokój. Dlaczego? Co mogła kombinować z górą setka magów, czarnoksiężników, jasnowidzów, taumaturgów i innego rodzaju talentów? Ależ nic, szefie. Z pewnością nic.

Zwołaliby spotkanie rady, by podjąć jakąś decyzję w tej sprawie, gdyby nie fakt, że ci dwaj z pewnością usłyszeliby każde słowo wyrzeszczane podczas kłótni. Dlatego Yath i jego ludzie cały czas pełnili straż. Zwłaszcza ten niesamowity cień, Sessin.

Po drodze na powierzchnię Ho drapał plamy suchej, zaczerwienionej skóry na rękach i nogach, będące przekleństwem wszystkich mieszkańców Jamy. I tak mieli już pod dostatkiem roboty. Musieli zdecydować, co zrobić z Iffinem. Przed dwoma tygodniami spotkał w korytarzu Sulp 'Ula – człowieka, u którego boku spokojnie pracował przez dziesięć lat – złapał nagle zaostrzony kołek i przebił mu gardło. Sulp zadławił się własną krwią. Zamknęli Iffina w zakratowanej jaskini i go przesłuchali. Okazało się, że chodziło o rodzinną wendetę z czasów dawnych wojen między Cawn a Itko Kanem, przed powstaniem imperium. Iffin był za młody, by pamiętać tamte czasy!

Ho podskoczył na jednej nodze, by podrapać się po kostce. Musiał potrząsnąć głową. Mogłoby się здаwać, że stare konflikty i nienawiści wyginęły razem z Jaghutami. Teraz jednak, gdy pojawiły się pogłoski o secesji dawnych państw z imperium – Quon, Dal Hon, Gris, lista stawała się z tygodnia na tydzień dłuższa – śpiące od dawna swary i kon-

flikty podnosiły nosy, by powąchać wiatr. Wszystkie te zastarzałe urazy, które mogła zdeptać jedynie stopa cesarza. Ho bał się tego, co się wydarzy, jeśli na kontynent wrócą dawne czasy zmiennych sojuszy i nieustannych zmagani o dominację.

Na wielkim kręgu na górze zauważył dwóch nowych więźniów, wpatrujących się bez słowa w plamę błękitnego nieba nad nimi. Tak przynajmniej mógłby pomyśleć nieuważny obserwator. Ho odnosił wrażenie, że przypatrują się raczej kruchym, osypującym się skalnym ścianom zagłębienia. Zatrzymał się za ich plecami.

- Te skały nie utrzymają ciężaru człowieka.

Ten, który przedstawił się jako Smętek, odwrócił powoli głowę i przeszył Ho długim, twardym spojrzeniem.

- Na to wygląda.

- Na waszym miejscu nie traciłbym czasu na snucie planów ucieczki. Takie próby zawsze kończą się odwetem na pozostałych.

Drugi mężczyzna, zwany Frykasem, odwrócił się.

- To ma być ostrzeżenie? Zamierzasz na nas donieść?

Napańczyk, Smętek, położył na chwilę rękę na ramieniu Frykasa. Ten cofnął się o krok. A więc nie byli sobie równi. Smętek - czemu przedstawili się tak niedorzecznymi imionami? - najwyraźniej był ważniejszy od towarzysza. Ho potrząsnął głową.

- Nie. Jak wkrótce zauważycie, tu nie ma komu donosić. Proszę was tylko, byście wzięli pod uwagę interes nas wszystkich.

Smętek rozciągnął usta w szerokim, porozumiewawczym uśmiechu i uklonił się.

- Świetny pomysł. Spróbujemy tak postąpić.

Poklepał towarzysza po ramieniu i obaj się oddalili. Ho odprowadzał ich spojrzeniem, zadając sobie pytanie, czy w słowach Smętka był jakiś ukryty sens.

Odwrócił się i podszedł prosto do szczupłego, ale muskularnego Sessina. Smagły mieszkaniec Siedmiu Miast łypnął nań spode łba.

– Co ci powiedział? – spytał, mówiąc po taliańsku z silnym akcentem.

– Nic ważnego. – Ho podrapał się po głowie. Bogowie, odpowiadał na pytania tego człowieka, jakby rozmawiał z oficjalnym inkwizytorem. – Posłuchaj, łazisz tak za nimi przez cały dzień? Czy nie zrobili się podejrzliwi?

Złowrogi grymas przerodził się w szyderczy uśmiech.

– A dokąd mieliby pójść?

No tak. Miał trochę racji. Oni wiedzą, on o tym wie, a oni wiedzą, że on wie.

– Yath osądził. Jeśli się czegoś dowiedzą, zabijemy ich.

Yath osądził, tak? Ho będzie musiał z nim o tym pogadać. Jeśli zaś chodzi o zabójstwo tych dwóch, coś mu mówiło, że to nie będzie łatwe.

* * *

Wędrowiec zasnął w chacie, Ereko zaś usiadł ze skrzyżowanymi nogami w wejściu, patrząc na księżyc, ostatnio pokryty dziwnymi cętkami. Jego blask odbijał się w falach. Brutalne ataki Edur i bezlitosna odpowiedź Wędrowca obudziły w nim zakurzone wspomnienia. Miał dotąd nadzieję, że pochował je na zawsze. Choć minęły tysiąclecia, nadal sprawiały mu ból. Pamiętał starożytne przysięgi i przemoc towarzyszącą skrajnym rozwiązaniom. Przysięgi totalnej eksterminacji całych ludów i składane w odpowiedzi śluby zemsty. Czy z tego nowego konfliktu mógł się zrodzić podobny cykl destrukcji? Choć minęły eony, nowa epoka niewiele się różniła od dawnej. Bardzo przygnębiająca myśl!

Zastanawiając się nad tym, o czym tak bardzo starał się zapomnieć, Ereko zobaczył duchy. Przez chwilę sądził, że to jego wspomnienia: wizje od dawna nieżyjących przyjaciół i rodziny. To jednak byli ludzie. Odkąd zeszedli z gór, dostrzegał w niektóre noce te blade cie-

nie w lesie. Zawsze trzymały się niedaleko. Coś je do nich przyciągało – z pewnością do Wędrowca – ale nie chciały lub nie mogły podejść bliżej. Niewykluczone, że Wędrowiec ich nie widział, bo jak dotąd nie napomknął o nich ani słowem.

Być może to świeżo rozlana na piasku krew przyciągnęła obce duchy, ponieważ dzisiejszej nocy w szumiących trawach poza kręgiem światła ogniska zgromadziło się ich znacznie więcej niż kiedykolwiek dotąd. Cały szwadron opalizujących cieni. Żołnierzy w uszkodzonych zbrojach ukazujących śmiertelne rany. Jeden z nich niósł wystrzępioną chorągiew, zwisającą bezwładnie z krzyża. Przedstawiono na niej błyszczącego smoka, wijącego się niczym wąż na ciemnym polu.

Schodziło się ich coraz więcej. Cały zastęp widm. Z pewnością na tym wybrzeżu stoczono ongiś wielką bitwę. Wędrowiec z jakiegoś powodu przyciągał duchy samą swą obecnością. Puste cienie łaknęły jego esencji. Oczy przypominające jamy wiodące w bezkresną pustkę wpatrywały się w mrok chaty za plecami Ereka. Szponiaste dłonie wyciągały się ku wejściu...

Olbrzym odpędził je machnięciem ręki.

– A kysz, duchy! – wyszeptał.

Nie kłopotcie żyjących dawną nienawiścią. Śpijcie, odpoczywajcie, czekajcie. Bądźcie cierpliwi. Jeśli będziecie czekać wystarczająco długo, wasz czas nadejdzie. Czyż Ereko nie był na to żywym dowodem?

Widma się rozproszyły. Niektóre zapadły się w ziemię, inne odpłynęły w dal. Jedno jednak zostało. Chorąży. Podszedł do Ereka. Za życia musiał być wysoki jak na człowieka. Straszliwy cios odrąbał mu pół czaszki. Skierował na olbrzyma puste oczodoły.

– Nazywam się Surat – zabrzmiały boleśnie słabe słowa. Jakże potężna musiała być jego tęsknota, skoro przebyła nieprzemierzony dystans. Z pewnością za życia władał wielką mocą. – Nadchodzą – zaintonował.

– Kto nadchodzi?

- Diaspora się kończy. Gwardia powraca. Nadszedł dla nas wyznaczony czas. - Wskazał chatę. - Czeka go zagłada.

- Kim teraz dla was jest?

Zapadła cisza, tak zimna, że jej chłód poczuł nawet Ereko.

- Malazańczykiem.

- Kimkolwiek mógł być kiedyś, wyrzekł się tego wszystkiego. Nie jest już Malazańczykiem. Nawet ja nie wiem, kim stał się teraz.

Puste oczodoły znowu skierowały się na olbrzyma. Był przekonany, że nie dostrzega w nich zainteresowania.

- Śluby pozostają.

Ereka ścisnęło w żołądku. Włoski na karku i przedramionach zjeżyły mu się nagle. Minęło tak wiele czasu, że potrzebował dłuższej chwili, by się zorientować, co to jest. Gniew. Wściekłość na bezsensowną nienawiść ciągnącą się poza kres życia. Kim byli ci Karmazynowi Gwardziści, że budzili w nim takie uczucia?

- Jesteście głupcami! Zapomnijcie o dawnych sporach, wyrzeknijcie się swych umiłowanych wendet. Ale przecież nie możecie... nie śmiecie tego zrobić. Bez nich bylibyście niczym. Pozostały wam tylko one. Nie czeka na was nawet Śmierć.

Widmowe dłonie przesunęły się na drzewcu martwej chorągwi.

- Za to na ciebie czeka on. Jest już blisko. Bliżej, niż ci się zdaje.

- Na świecie zostało niewiele takich, którzy budzą we mnie strach.

Odpowiedź Ereka zabrzmiała banalnie, był jednak zaintrygowany i musiał przyznać, że przeszył go dreszcz lęku.

- Kogoś takiego właśnie spotkasz.

Napięcie odpłynęło zeń wraz z wypuszczonym z płuc powietrzem. To nie było nic nowego. Słowa ducha niczego mu nie objawiły. Nie rozproszyły żadnej plamy mroku.

- To spotkanie przepowiedziano, nim jeszcze w tej krainie zjawili się ludzie, Surat. Nie masz mi nic do powiedzenia.

Odpędził ducha machnięciem ręki. Surat zniknął z niechęcią w targanej wiatrem trawie. Na pożegnanie uniósł jeszcze rękę w oskarżycielskim geście, wskazując chatę.

– On cię do niego zaprowadzi.

Ereko skinął głową.

– Tak brzmiała obietnica złożona dawno temu.

* * *

Późnym wieczorem, siedząc na krześle opartym o ścianę budki strażniczej, Nait zastukał kostkami dłoni w deski.

– Co znowu? – mruknął sierżant Blacharz.

– Właśnie zacumował statek. To chyba ta łajba ze szmatami w nazwie. *Utkany Szmatami*?

– *Utkany Szmatami* zatonał. Może to jego nowy statek *Utkany Szmatami*?

Przednie nogi krzesła stuknęły o pomost.

– Nowy? Chyba sobie robisz jaja.

– Wszystkie jego nowe statki są stare. Takie kupuje. Mówi, że lubi, jak są zużyte, bo wtedy wiedzą, co trzeba robić.

Nait przesunął z jednego kącika ust w drugi ptasią kość, którą właśnie ogryzał.

– Ehe, ten wygląda na taki, który wie, co trzeba zrobić. To znaczy zatonać.

Sierżant Blacharz stanął w otwartych drzwiach. Białe wąsy zwisały mu poniżej ust o opadających kącikach. Wokół nich, a także przymrużonych brązowych oczu zaznaczały się głębokie bruzdy.

– Dobra, przyjrzyjmy się mu – zgodził się z westchnieniem. – Zwolaj resztę.

Nait potruchtał ku szeregowi stojących wzdłuż brzegu dwupiętrowych budynków. Znajdowały się w nich kwatery dla ubogich kupców,

noclegownie, tawerny oraz Urząd Celny. Budynek, do którego zmierział, zdobił wysoki drewniany galion, zdjęty z jakiegoś okrętu i zaraz potem zwandalizowany przez niezliczone noże i pięści tak, że nie pozostał żaden ślad oryginalnego kształtu, farby ani pozłoty. Ocalały jedynie dwie pazurzaste łapy, być może należące do jakiegoś demona albo fantastycznego ptaka. Tę tawernę, „Pod Galionem”, wybrała sobie na kwatery straż portowa. Jego towarzysze siedzieli za stolikiem zaprzątnięci grą w koryta. Kapral Rączka właśnie wykonała rzut. Nait wyjął z ust ptasią nogę.

– Stary kazał wam się ruszać – oznajmił.

Rączka podniosła rzucony kłykieć. Wokół zabrzmiały krzyki protestu.

– Hej! To była szóstka. Wykonaj ruch – zażądał Miodzio Chłopak.

Rączka wsadziła kłykieć do woreczka.

– Słyszałeś, co powiedział. Mamy się ruszać.

Najwyższy z graczy, barghascki wojownik, wyprostował się, trącając stolik. Żetony się przesunęły. Wszyscy znowu wrzasnęli oburzeni. Barghast zarzucił na ramiona czarny kosmaty płaszcz ze skóry bhederin, dzięki któremu wydawał się masywny jak koń. W skołtunione włosy wplótł sobie kawałki tkaniny oraz postukujące totemy.

– Ten rzut się liczy albo rzucę twoją głową.

– Tylko bez bójek, Najmniejszy – rozkazała Rączka.

– A dlaczego? – zdziwił się Barghast.

– Dlatego że mogłoby mi się coś stać. – Rączka podniosła pas wiszący na oparciu krzesła. – O co chodzi? – zapytała Naita.

– Skąd, kurwa, mam wiedzieć?

– Hej! Co ci mówiłam o przeklinaniu? Zabraniam przeklinać.

Nait oddalił się spokojnie.

– Kapturze na tronie z kości! Kogo to, kurwa, obchodzi?

Po wyjściu na dwór Nait przyjrzał się lasowi błyszczących w świetle księżycy masztów. Ruch w porcie był bardzo duży, nawet jak na tę porę roku. Wojna zawsze sprzyjała interesom. Miał nadzieję, że kapitan portu ma porządek w księgach. Lepiej niech się nie spóźnia z działką dla nich. Większość pełniących dziś w nocy służbę strażników wyszła z tawerny, wciągając służbowe opończe oraz poprawiając pasy i kolczugi. Rączka poprowadziła ich nabrzeżem ku Blacharzowi. Sierżant włożył na koszulę skórzaną kamizelkę, a za pas zatknął długie noże.

– Ruszajmy.

Weszli na pirs, zmierzając ku nowo przybyłemu statkowi. Im bardziej się do niego zbliżali, tym gorzej się prezentował. Nait zastanawiał się, czy to nie oryginalny *Utkany Szmatami*, podniesiony z morskiego dna.

– Kapitanie! – zawołał Blacharz w kierunku opustoszałego pokładu. Wzdłuż nadburcia dreptał nieśpiesznie szczur.

– Może to on – zasugerował Miodzio Chłopak.

– Nie, on jest większy – zaprzeczył Blacharz, wyraźnie zmęczony całą tą sprawą.

Na rufie pojawiła się nagle czyjaś głowa. Mężczyzna miał rozczochrane, przetłuszczone włosy i bladą twarz.

– Czego chcecie, w imię Bliźniaków? – zapytał, wybałuszając oczy.

– Straż portowa. Macie jakąś kontrabandę?

Mężczyzna wyprostował się, zatoczył na nadburcie i zacisnął dłoń na pokrytym plamami drewnie.

– Kontrabandę? Kontrabandę! Gdybyż tylko! Całe tony! D'bayangi! Trunek z krwi Moranthów! Białe nektar! Całe beczki! Cokolwiek! Ale nic z tego! Powiem wam, co przywozimy! Nic! Figę! Nasze ładownie są pełne szczodrej łaskowości Kaptura! Nic! Pływamy z portu do portu z pustymi ładowniami! To zbrodnia, mówię wam! Zbrodnia!

Najmniejszy postukał się tępo zakończonym palcem w skroń. Miodzio Chłopak pokiwał głową.

- U was w domu ktoś taki uchodziłby za świętego albo coś, tak? - zapytał.

- Nie. U nas w domu po prostu skopalibyśmy mu dupsko i tyle.

- Co to za wrzaski, na nieskończoną Otchłan?

Do nadburcia podszedł starszy mężczyzna o bladoniebieskiej, napańskiej twarzy. Skrzywił się, drapiąc się po białych, sterczących we wszystkie strony włosach. Jego broda wyglądała podobnie.

- Dobry wieczór, kapitanie - odezwał się Blacharz.

- He? Kto to powiedział? - Mężczyzna zauważył sierżanta i znowu się skrzywił. - To ty. Po co ta armia? - zapytał, wskazując towarzyszącą mu drużynę. - Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Nie potrzebujemy czegoś takiego.

- Kapitanie, aktualnie spadła na mnie odpowiedzialność za utrzymanie pokoju w porcie. To bardzo dziwne, że zjawiłeś się akurat w tej chwili. Są tacy, którzy będą zadawać pytania.

Kapitan przeciągnął palcami po brodzie. Przesunął językiem wokół ust, jakby poszukiwał nieprzyjemnego smaku.

- Ale ty nie zrobiłbyś tego staremu towarzyszowi, prawda?

- Nie zrobiłbym. Chyba że będą kłopoty. Nie lubię kłopotów.

Kapitan rozpromienił się nagle.

- Nie będzie kłopotów, Blacha - zapewnił. - Nawet najmniejszych. Chcemy tylko wydobyć coś z dna portu. Ostatnio trochę brakuje mi forsy.

- Dlatego że w przeklętych ładowniach jest pusto! - wrzasnął marynarz. - Ty cholerny, sklerotyczny...

Od głowy żeglarza odbił się drewniany pacholek. Mężczyzna zwałił się na pokład. Kapitan opuścił rękę.

- Zamknij się, Tillin. Na pokładzie *Utkanego Szmatami* nie toleruję bezczelności.

Sierżant Blacharz potrząsnął z namysłem głową.

- Widzę, że nic się nie zmieniłeś, Cartharon.

– Ciebie też kilka razy złapałem, co, Blacha? – odparł z drapieżnym uśmiechem kapitan Cartharon. – Nigdy nie chybiam.

* * *

– O co chodziło temu zwariowanemu staruszkowi? – zapytała Rączka po drodze „Pod Galion”. – Wspominał coś o dnie portu.

Blacharz przesunął palcem wzdłuż włosów.

– W ładowniach statków spoczywających na dnie jest więcej towarów, niż ktokolwiek przypuszcza, a on miał swój udział w zatopieniu większości. Może zrobił to z myślą o takiej właśnie chwili. Miej go na oku. I, Rączka...

– Słucham, sierzancie?

– To imię zostanie między nami.

– Tak jest. A dlaczego? Czy ktoś mógłby je rozpoznać?

Stary sierżant zatrzymał się w drzwiach budki. Przyglądał się przez chwilę Rączce. Z jego pociągłej, posępnej twarzy nie sposób było nic wyczytać.

– Podwoić warty, kapralu. Ja będę w środku. Muszę się napić.

– Tak jest.

* * *

Nie tylko Kyle poczuł ulgę, gdy stało się jasne, że Oprawca zamierza zatrzymać się w ruinach fortecy Przystań. Przez kilka dni utrudniało to jednak chłopakowi życie, gdyż ludzie z Drugiego i Trzeciego Poboru – wszyscy, którzy zaciągnęli się do Gwardii w czasach po złożeniu Ślubów – ciągle go pytali, jaki on jest. Odpowiedź, która najbardziej przypadła im do gustu, brzmiała: „Cholernie przerażający”. Oprawca przyprowadził kilkoro swych Zaprzysiężonych. Gwardziści siedzący przy ogniskach powtarzali sobie ich imiona pełnym bojaźni szeptem: „Kartoolski mistrz szermierki zwany Shijelem oraz Napańczyk, Czarny

Mniejszy”. Towarzyszyła mu również straż osobista złożona z Zaprzysiężonych magów. Według Przechyła wszyscy troje – Mara, Gwynn i Płatek – byli obecnie zajęci ukrywaniem obecności Gwardii przed magicznymi sondami. Blask wyszła na ląd tylko raz. Wdrapała się po schodach do ruin, by porozmawiać z Oprawcą. Kyle zastanawiał się, czy tylko on odniósł wrażenie, że po powrocie na dół była wstrząśnięta.

Przybył kolejny statek. Cudzoziemska galera mocno ucierpiała podczas sztormu. Miała spory przechył i połamane maszty. Krążyły pogłoski, że tuzin Zaprzysiężonych musiało wiosłować dzień i noc, by opłynąć pół świata. Ich wygląd zdawał się to potwierdzać. Byli wychudzeni, wycieńczeni i odziani w łachmany. Ludzie z Drugiego i Trzeciego Poboru przyjęli to jednak z zachwytem. Najwyraźniej Gwardia miała już w tej chwili z górą siedemdziesięciu Zaprzysiężonych. Wszyscy byli przekonani, że nic ich teraz nie powstrzyma. Kyle nie potrafił jednak odsunąć od siebie myśli, że choć Zaprzysiężeni z pewnością robią wrażenie najgroźniejszych wojowników na świecie, to z jakiegoś powodu zawsze dostają po tyłkach.

Dni miały im w otepiającym cyklu ćwiczeń i praktyk. Rekrutów trzeba było zintegrować z Gwardią. Z położonych w gorze rzeki wiosek i przysiółków napływał wąski strumyczek nowych ludzi pragnących się zaciągnąć – choćby tylko po to, by uciec od życia w tych okolicach – Kyle jednak podejrzewał, że Blask i pozostali Zaprzysiężeni liczyli, że będzie ich znacznie więcej.

Dwa tygodnie po przybyciu Oprawcy nadeszły wieści, że pozostałe statki płynące z Baelu są już blisko. Musiały urządzić postój, by naprawić uszkodzenia spowodowane przez sztormy, ale żaden z nich nie zatonął. Najwyraźniej morze okazało Gwardii przychylność. Nocą w chacie zajmowanej przez ich drużynę Przechył obudził Kyle’a, gdy zerwał się nagle z posłania, przeklinając głośno jak oparzony.

– Co się stało? – zapytał młodzieniec.

– Nic – odparł sabotażysta, zaskoczony, że obudził Kyle’a. – Śpij.

Chłopak położył się z powrotem, ale oczy miał otwarte. Przechył ubrał się pośpiesznie i wyszedł w noc. Po chwili zastanowienia Kyle podążył za nim. Szczerze mówiąc, czuł się znudzony, a Skradacz kazał mu uważać, czy nie zdarzy się nic niezwykłego.

Okazało się jednak, że zwlekał za długo. Przechył zdążył już zniknąć mu z oczu. Kyle wiedział, że sabotażysta zmierzał do lasu, zatem skierował się w tę samą stronę, bez trudu omijając posterunek. Ze zdziwieniem i lekkim rozczarowaniem przekonał się, że choć Gwardziści są twardymi, zawodowymi żołnierzami, nie czyni ich to biegłymi zwiadowcami ani znawcami lasu. Położył się na zimnym, wilgotnym mchu, uspokoił oddech i wytężył słuch. Gdy już jego uszy przyzwyczaiły się do odgłosów nocy, usłyszał głosy dobiegające z głębi puszczy. Ruszył w tamtą stronę, pochylając głowę.

Okazało się, że właściwie nie musiał się kryć. Na porośniętej wysokim zielskiem polanie trwała głośna kłótnia. Byli tam Przechył, Oprawca, a także – włoski na przedramionach Kyle'a zjeżyły się nagle – Czepiec. Co on tu robił? Młodzieniec sądził, że jest jeszcze wiele dni drogi od nich.

– Nie podoba mi się kierunek, w którym zmierza ta rozmowa, Czepiec – mówił Przechył. – Powinniśmy kontynuować poszukiwania diuka.

– To zawsze był twój priorytet, Przechył – odparł mag lekceważącym tonem. – A ty, Oprawca? Co sądzisz na ten temat?

– Nie ma potrzeby. Dolmeny pozostają.

– Nie ma potrzeby! – powtórzył oburzony Przechył. – Co to ma znaczyć? Dolmeny? Wokół czego tańczycie tutaj jak dwie taliańskie kurwy?

– Wokół czego tańczymy? – zapytał Czepiec. – Ależ wokół niczego, Przechył. Między nami, starymi wiarusami, nie ma żadnych tajemnic, nieprawdaż?

– W takim razie dlaczego ukryliście to spotkanie przed naszymi braćmi i siostrami? Nawet przed Braciszkami?

Wielki mag i mistrz skrytobójców Gwardii wpatrzył się bez słowa w Przechyła, splatając ręce za plecami. Oprawca nawet nie drgnął od chwili przybycia Kyle'a. Stał z szeroko rozstawionymi nogami i rękoma skrzyżowanymi na piersi, jak żelazny posąg.

– To jest dyskusja między dwoma dowódcami. Mną i Oprawcą – oznajmił po chwili Czepiec.

– Nie wciskaj mi kitu – warknął Przechył. – Byłem mistrzem oblężenia u K'azza i jego ojca przed nim. Ścisłe mówiąc, mam wyższą rangę od ciebie.

Kyle był zdumiony: mistrz oblężeń Gwardii? Żałował teraz, że nie słuchał uważniej opowieści starego sabotażysty.

Czepiec zaczął spacerować po polanie, drapiąc urękawiczoną dłonią ciemne tatuaże pod podbródkiem.

– Tak, skoro już o tym wspomniałeś, to nadal jest dla nas problem. Co mamy w tej sprawie zrobić, hmm, Przechył?

Stary sabotażysta spojrział nań ze zdziwieniem.

– O czym ty gadasz?

Mag zatrzymał się nagle obok Oprawcy stojącego za plecami Przechyła. Potężnie zbudowany dowódca poruszył się zdumiewająco szybko. Wyciągnął miecz i w tym samym ruchu przeszył pierś Przechyła. Kyle westchnął, jakby to w jego ciało wbił się miecz.

Mag spojrział na chaszcze, w których ukrywał się chłopak.

– Wykończ Przechyła – warknął. – Ja załatwię tego drugiego.

Kyle wytrzeszczył oczy. Był oszołomiony, nie mógł się ruszyć. Co tu się działo? Wiedział, że powinien zwiewać, ale jak mógł uciec przed najlepszym magiem i skrytobójcą w Gwardii? Czar prysnął, gdy Przechył wyciągnął rękę i złapał Czepca za nadgarstek.

– Nie tak łatwo jest zabić Zaprzysiężonego – warknął przez zaciśnięte zęby. – Czyżbyś o tym zapomniał, Czepiec?

Oprawca wyszarpnął miecz.

Przechył stęknął z bólu, ale nie ruszył się z miejsca.

– Uciekaj, chłopcze! Mocno trzymam tę zmiję!

– Wykończ go! – ryknął Czepiec do Oprawcy.

Kyle rzucił się do ucieczki. Na polanie Oprawca uniósł miecz.

* * *

Po krótkiej chwili z mroku wynurzyła się potężna postać i złapała Kyle'a za ramię. Serce podskoczyło chłopakowi do gardła. Spróbował wyciągnąć broń, ale mężczyzna przesunął rękę i wepchnął miecz z powrotem do pochwy.

– Czego się tak wystraszyłeś, chłopcze? – zapytał.

Kyle zobaczył, że to Szara Grzywa. Towarzyszył mu Ogilvy, gena-backański weteran.

– W lesie... – wyjąkał. – Oprawca zabił Przechyła! On i Czepiec!

Szara Grzywa spojrzał na Ogilvy'ego.

– Nic nie słyszeliśmy.

– Gonią mnie! Proszę!

Renegat zamyślił się, pocierając palcem płaski, złamany nos. Ski-
nął głową, pozwalając Kyle'owi odejść.

– Zobaczę, co się stało. Idź już.

Kyle pobiegł przed siebie, nie tracąc czasu na podziękowania. Gnał na południe przez ciemny las. Drogę oświetlał mu słaby blask księ-
życa. Niekiedy odnosił wrażenie, że widzi jakieś sylwetki poruszające się w mroku wokół niego. W innych momentach gdzieś w oddali roz-
błyskała magia, oślepiając go i niosąc się odległym echem. Nie miał pojęcia, dlaczego Czepiec i inni magowie z Gwardii jeszcze go nie zna-
leźli. Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie, ale na razie nie miał czasu myśleć o takich sprawach. Nurtowało go jedynie pytanie, w której chwili zakończyć mającą zmylić ścigających ucieczkę na południe i skierować się na zachód, w głąb lasu, a także, jak długo zdoła utrzy-
mać to mordercze tempo? Osłabiły go długie tygodnie spędzone na

ciasnym statku. Wolał też nie zastanawiać się nad tym, jak wielu zwykłych Gwardzistów i Zaprzysiężonych ściga go w tej chwili.

* * *

Kyle biegał przez całą młodość. Całymi dniami polował na równinach, podążając truchtem za zwierzyną. Uciekał przed wojownikami z sąsiednich plemion i ścigał ich. Wytrzymałe ścigną nigdy dotąd go nie zawiodły. Dopiero nocą trzeciego dnia truchtania przeplatanego biegiem odrętwiałe nogi załamały się pod nim. Był zbyt wycieńczony, żeby się podnieść. Zasnął natychmiast.

* * *

Ciało Kyle'a mogło być całkowicie wyczerpane, ale jego umysł nadal funkcjonował. Nawiedziły go niezwykle, niezemskie sny. Przed oczyma jego duszy wirowały obrazy i kolory. Śniło mu się, że zaatakowała go ciemność wypełniająca jego pole widzenia. Walczył z nią i zdołał ją odepchnąć, ale z mroku wyłoniły się jestestwa, które ponowiły atak. Poszły w ruch najprzeróżniejsze kończyny, szpony, pazury i zęby. Istoty owijały się wokół siebie, dławiły się nawzajem i rozszarpały. Ich sylwetki zlewały się ze sobą, łączyły w kłębowisku bitwy wypełniającym mroczne niebo, z pozoru niemającym końca ani początku. Gigantyczna skala owej konfrontacji przyprawiła go o oszołomienie. Nie potrafił jej pojąć. Przez pewien czas unosił się bezwładnie pozbawiony uczucia.

Potem przyśniło mu się, że Przechył jeszcze żyje. Stary sabotażysta uklęknął u jego boku.

- Pora się obudzić, chłopcze - rzekł. - Zbliżają się wrogowie. Tu nie jest bezpiecznie. To moje ostatnie ostrzeżenie. Przykro mi. Ta żmija, Czepiec, mnie odesłała. Ale obiecuję, że spróbuję wrócić. A teraz się obudź. Znaleźli cię.

Kyle kaszlnął, jęknął i otworzył z wysiłkiem oczy. Skrzywił się zdziwiony, że jeszcze żyje. Słońce stało wysoko na niebie. Nie był sam. Obok niego stała Dalhonka, kryjąca dłonie w fałdach przerzuconej przez ramię szaty. Jej kręcone czarne włosy zwisały w grubych splotach, opadając na ramiona na podobieństwo fal. To była Mara, jedna z Zaprzysiężonych magów Oprawcy.

Rozciągnęła pełne usta w bladym uśmiešku.

– Skoro już wypocząłeś, czy możemy porozmawiać, mały króliku? Na przykład o tym, dla kogo naprawę pracujesz?

Kyle był za słaby, by się bać. Nie jadł nic od trzech dni.

– Dla kogo pracuję? O czym ty gadasz, na Ojca Niebo?

– O tym, że udało ci się wymknąć połączonym wysiłkom kilkunaśtu magów. To nas bardzo zainteresowało. Kto mógłby być aż tak potężny? Jaka moc zainteresowała się Gwardią do tego stopnia, by umieścić wśród nas szpiega, hmm? Powiedz mi to teraz, mały króliku, bo jak nie, z pewnością zrobisz to później. Dla kogo pracujesz?

Kyle wbił w nią wzrok.

– Szpiega? Nie jestem szpiegiem.

Mara zmarszczyła brwi. Wysunęła ręce spod szat.

– Jak sobie życzysz. Brzydzę się przesłuchaniami, ale nie zostawiasz mi wyboru...

Przerwała nagle, odwracając się w stronę, z której dobiegł trzask. Z chaszczy wyłonił się mężczyzna. Przybysz oparł się o drzewo, dysząc ciężko. Jego skórzana kamizelka była ciemna od potu, a w rozczochranych posiwiałych włosach miał pełno gałązek. To był jeden z tych dwóch facetów, którzy zawsze towarzyszyli Skradaczowi, Głusza.

– Do licha – wydyszał. – Ależ potrafisz biegać, chłopcze.

Mara opuściła ręce.

– Mieliście go wytropić już dawno.

Mężczyzna wsparł ręce na kolanach i obnażył zęby.

– Chyba się starzeję.

- Gdzie są...

- Tutaj.

Mara i Kyle wzdrgnęli się jednocześnie, zaskoczeni widokiem Skradacza kucającego naprzeciwko Głuszy, który wypadł na polanę z tak wielkim hałasem.

Dalhonka się odwróciła. Drugi z towarzyszy Skradacza, Weszka, opierał się o drzewo za jej plecami. Zaciśnęła usta i poprawiła szatę na ramieniu.

- Pewnie lepiej późno niż wcale. Może teraz uda nam się doprowadzić go żywcem na przesłuchanie.

- A o co chcesz go zapytać? - zainteresował się Skradacz, prostując się.

- Jaka moc otoczyła go swoją opieką. Kto nas szpieguje.

- A nie o to, dlaczego zabił Przechyła?

- Nie zabiłem... - zaczął Kyle, ale Głusza uciszył go gestem.

Zaprzyjęzona umilkła, dotykając górnej wargi koniuszkiem języka. Obróciła się, spoglądając na trzech otaczających ją mężczyzn.

- Oczywiście... o to również... ta sprawa bardzo nas interesuje...

Weszka i Głusza skoczyli ku niej, wyciągając w locie noże. Kobieta skinęła dłonią z głośnym wrzaskiem i zniknęła w plamie ciemności. Obaj mężczyźni zwalili się na ziemię w miejscu, gdzie przed chwilą stała. Pomogli sobie nawzajem wstać.

- Podejrzliwa suka - warknął Skradacz, przerywając długą ciszę, która zapadła, gdy umilkły echa zamykającej się groty.

Zdumiony Kyle przenosił spojrzenie z jednego na drugiego z nich.

Co tu jest grane, w imię wszystkich cudzoziemskich bogów?

- Wróć - stwierdził Weszka.

- Z większymi siłami - dodał Głusza.

- I nie będą już zadawać pytań - zakończył Skradacz.

Głusza i Weszka pokiwali głowami, a potem pobiegli do lasu. Skradacz pociągnął Kyle'a, podnosząc go na nogi.

- Idziemy.

- Chwileczkę! Co tu...

Zwiadowca pociągnął chłopaka za sobą.

- Ruszaj się.

Kyle wyszarpnął rękę.

- Co tu jest grane, do cholery?

Skradacz skrzywił się ze złością.

- Oni tu wróca, Kyle. Może sam Czepiec. Musimy uciekać.

- Dobra, opowiedz mi wszystko po drodze.

Zwiadowca skinął krótko głową, a potem potruchtał za Głuszą i Weszką.

- Nie zabiłem Przechyla - zaczął Kyle, odpychając na bok konary i przeskakując zwalone pnie.

- Oni mówią co innego - odparł Skradacz. - Zamordowałeś go i uciekleś.

- Kto by w to uwierzył?

Zwiadowca wzruszył ramionami.

- Nieważne. Ten renegat, Szara Grzywa, nie wyglądał na przekonanego, ale tak brzmi oficjalna wersja. Co może zrobić?

- A co z wami trzema? Dlaczego zaatakowaliście Marę? Czemu was to obchodzi?

Wysoki zwiadowca uniósł rękę, nakazując mu się zatrzymać. Skrył się za chaszczami, oglądając się za siebie. Kyle podążył za jego przykładem. Wyteżyli słuch, starając się uciszyć oddechy. Po chwili Skradacz wyprostował się i wyrwał szpilkę, którą miał na piersi skórzanej kurtki. Srebrnego smoka Karmazynowej Gwardii. Rzucił ją na ziemię.

- Ja i chłopaki nie bardzo nadajemy się na najemników. Nie podoba się nam walka o pieniądze i chwałę. Wolimy walczyć o inne rzeczy.

Kyle uświadomił sobie, że nadal ma swoją szpilkę. Z jakiegoś powodu nie potrafił się zdobyć na wyrzucenie jej.

- I co teraz?

Skradacz wzruszył ramionami.

- Zwiewamy stąd w samą Otchłań. - Znajdziemy sobie kawałek ziemi. - Uśmiechnął się półgębkiem. - Będziemy hodować kury. Chodź, moi bracia nie będą czekali wiecznie.

- Bracia?

- Bracia, kuzyni, jak zwał, tak zwał. Wszyscy wywodzimy się z jednej wielkiej rodziny. Zagubionych. To właśnie my. Witaj pośród nas.

Klepnął Kyle'a w plecy i potruchtał przed siebie.

Zagubieni. Po prostu świetnie. Rewelacja! Nie dość, że był teraz renegatem, ściganym dezserterem, to przez adopcję został również Zagubionym. Potrząsnął głową, myśląc, że to dziwnie pasuje, i popędził za Skradaczem. Przed nimi ciągnęły się niezliczone mile arktycznego lasu. Zachodni skraj subkontynentu Stratem.

Rozdział V

Za Quonem hegemonia nigdy nie mogła się utrzymać;
okupanci nie potrafili stłumić niepokojów,
a wzbudzali je nawet ci łagodni.
Czy każde pokolenie musi powtarzać tę samą lekcję?
Niestety, niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Historyk Heboric

Nim sługa zdążył oznajmić jego przybycie, wielka pięść Korbolo Dom, Miecz Imperium, wtargnął do rezydencji Mallicka, zrzucając po drodze płaszcz podróżny i rękawice.

– To znowu się powtórzyło! Kolejny tchórzliwy szlachcic zwiął ze stolicy, zabierając ze sobą swoją straż! Przeszło czterystu konnych!

Odpowiedziała mu cisza.

– Mallick! – ryknął Korbolo. – Niech cię szlag! Nie mów, że ty również uciekłeś!

– Wiadomo mi, jak bardzo baron Nira troszczy się o swe ziemie i plony – dobiegł z wnętrza budynku głos Mallicka.

Korbolo podążył w tamtym kierunku i znalazł gospodarza. Grubas moczył się w obszernym, płytkim basenie ulokowanym pośrodku rezydencji. Na ramiona miał zarzucony ręcznik. Przywitał Korbola, unosząc kielich.

– Wina?

Miecz Imperium miał ochotę wytrącić mu kielich z rąk, stłumił jednak gniew.

Niech go szlag! Czyżby oszalał? Sytuacja wymyka się nam spod kontroli, a on się kąpie!

Nagle wyczuł obecność kogoś innego. Zerknął w bok i zobaczył, że to Oryan, stary, wysuszony lokaj, którego Mallick przywiózł ze sobą

z Siedmiu Miast. Natychmiast o nim zapomniał.

- Ty tu się spokojnie pluskasz, a Zgromadzenie się rozpada. Posłowie uciekają! Nawet ci, których sam w nim umieściłeś. Niech to Kaptur, wkrótce nie będzie czym rządzić, nawet jeśli zwyciężymy!

Mallick pociągnął łyk wina.

- Rozpada się. Cóż za celne określenie. Mój przyjacielu, jesteś poetą.

Korbolo wbił wzrok w odrażającą, przysadzistą postać siedzącą u jego stóp. Nagle zapragnął wepchnąć głowę Mallicka pod wodę, utopić to przerażające, przyczajone monstrum, które zawładnęło jego życiem. Mogło się to jednak okazać niemożliwe. Miał do czynienia ze stworem wywodzącym się z bagien.

- A tymczasem ani ty, ani ona nic nie robicie - ciągnął, starając się zebrać myśli. - Królestwa buntują się przeciwko Tronowi Cesarowskiemu, a wy nic nie robicie!

Mallick westchnął.

- Ależ mój drogi Mieczu Imperium i wielka pięści, sami je do tego zachęcaliśmy.

Korbolo zazgrzytał zębami. Drwiny! Pewnego dnia ta ropucha posunie się za daleko.

- Do zamieszek i buntu przeciwko niej, tak. Ale do secesji? To chaos. Wojna domowa, ni mniej, ni więcej. Nikt już nie panuje nad sytuacją!

Mallick zamrugnął, spoglądając na niego wylupiastymi oczyma.

- Po raz kolejny zaskakujesz mnie, Pierwszy Mieczu. Chaos i utrata panowania. Zdumiewające. - Pociągnął kolejny łyk. - Po pierwsze, to nie jest wojna domowa, ale powrót do raczej monottonnych, staromodnych konfliktów sprzed stulecia. Państwo-miasto przeciwko państwu-miastu. Sąsiad przeciwko sąsiadowi. Jak rozumiem, tu, na Quonie, to coś w rodzaju tradycji.

- Tak było przed nadejściem cesarza.

– W rzeczy samej. Cesarza i jego silnej ręki...

Korbolo znieruchomiał. Wstrzymał oddech, jakby wreszcie dotarły do niego implikacje słów Mallicka. Kogo przywita ludność jako wodza legionów przywracających pokój i ład w spustoszonej wojną i pożarami krainie? Z pewnością nie tę obrzydliwą ropuchę. Nie, nie Mallicka. Wypuścił powietrze, a potem przełknął ślinę, by zwilżyć ściśnięte gardło.

– Skoro tak mówisz, Mallick. Ale to nie tłumaczy jej całkowitej bezczynności.

– Ależ, wielka pięści, co twoim zdaniem powinna zrobić?

– Ruszyć w pole! Mamy w stolicy chyba z osiem tysięcy regularnego wojska. Powinniśmy pomaszerować na Gris albo na Bloor, zanim sprzymierzą się przeciwko nam.

– I zostawić Untę bez obrony?

– Przeciwko komu? Nikt jej nie zagraża.

– W tej chwili nikt. Ale jeśli opuścimy stolicę... być może nasz przyjaciel Nira i jego szlachetnie urodzeni bracia, którzy wspierają nas, hmm, pod przymusem, połączą swe siły i dojdą do wniosku, że oni lepiej potrafią bronić interesów imperium, hmm, Korbolo?

Wielka pięść zrozumiał w czym rzecz. To była sytuacja patowa. Trzy szakale krążyły wokół rannego bhederin. Który odważy się uderzyć pierwszy i narazić się na atak z tyłu? Żaden z nich nie mógł też jednak odejść, zostawiając tak wspaniały łup pozostałym. Laseen, będąca władczynią tylko z nazwy? On i Mallick, sprawujący faktyczną władzę? Czy szlachetnie urodzeni i posłowie Zgromadzenia, którzy również pragnęli przejąć rządy?

Korbola niepokoiła myśl, że zwierz umiera, podczas gdy oni szachują się nawzajem. Być może obmierzłemu Mallickowi było to obojętne. Jego celom martwa zwierzyna posłuży równie dobrze. Korbolowi jednak nie było wszystko jedno. Miał obowiązek działać, nim Mallick dopuści, by sprawy posunęły się za daleko. Wielka pięść ski-

nał głową. Tak jest, odpowiedzialność spadała na niego. Opuścił wzrok. Mallick przyglądał się mu niecierpliwie.

- Tak?

- Czy to wszystko, wielka pięści?

- Tak, Mallick, to wszystko.

- Bardzo dobrze. A więc zgadzamy się ze sobą?

- Tak. W pełni.

- Znakomicie.

Mallick pociągnął kolejny łyk wina.

Korbolo odwrócił się od widoku jego odrażającego białego ciała. Poprawił koszulę.

- Za dużo sobie pozwalasz, kapłanie. Zbyt często już obiecywałeś mi wszystko, ale w rezultacie nie dawałeś niczego. Bunt w Siedmiu Miastach. Porażka. Upadek Laseen w Malazie. Porażka. Jeśli tym razem również przegrasz, zapłacisz za to życiem. Czy wyrażam się jasno?

- Tak, Pierwszy Mieczu Imperium.

Korbolo rozluźnił pięści i odetchnął głęboko. Jak to możliwe, że ten człowiek nawet z jego tytułu potrafił zrobić obelgę?

- Jeśli zapragnę z tobą porozmawiać, wezwę cię do siebie, Mallick.

Gdy poszedł po płaszcz, dobiegł go jeszcze cichy głos kapłana:

- Wedle rozkazu, Mieczu Imperium.

* * *

Po pewnym czasie Mallick odstawił kielich na marmurowy brzeg basenu. Oryan podszedł bezgłośnie, zabrał naczynie i zatrzymał się na chwilę nad kapłanem.

- Słucham, Oryan?

- Dlaczego ten człowiek jeszcze żyje, panie?

– Zawsze lubiłem mieć pod ręką kogoś, na kogo można zwalić całą winę. Poza tym od zbroi dostają pokrzywki.

Staruszek uśmiechnął się z szyderczym niesmakiem.

– Każdy głupiec potrafi wymachiwać mieczem i wysyłać innych na śmierć.

– Tak, Oryan. Wszyscy ci dowódcy wojskowi dowodzą tego raz po raz. A to jest nasz głupiec.

* * *

Rankiem drugiego tygodnia oblężenia porucznik Rillish stanął przed polerowaną, miedzianą tarczą, próbując ogolić się na sucho. Ręka drżała mu paskudnie. To było już trzecie podejście. Powtarzał sobie, że to dlatego, że dowodził przez całą noc. Przynajmniej miał nadzieję, że tak jest. Ktoś zapukał do drzwi, umożliwiając mu zaprzestanie wysiłków.

– Kto idzie?

– Sierżant, poruczniku.

– Chyba nie znowu przekłeta przez Kaptura południowa palisada, co?

– Nie tym razem, poruczniku! – zawołał zza drzwi sierżant Żyłka. – Dali już sobie z tym spokój. Zrozumieli, że to na nic.

– O co w takim razie chodzi?

– O starszyny, poruczniku. Wysłali kolejną delegację. Chcą zamienić słówko.

Znowu? Czy nie powiedział im już tego jasno? Rillish usiadł na stołku i pomasaował udo w miejscu, gdzie wbił się w nie grot włóczni.

– Dobra, sierżancie. Wpuść ich.

Drzwi się otworzyły i do środka wlało pięcioro starych Wickan. Rillish znał imiona dwóch mężczyzn: hetmana Udepa i otaczanego wielkim szacunkiem szamana, Czystej Wody. Uderzyło go, że wyglą-

dają na bardzo zmęczonych. Garbili się i patrzyli pod nogi. Spodnie z tkaniny mieli wystrzępione, a te z cienkiej skóry porozrywane. Nawet amulety i bransolety z kutej miedzi wyglądały na tanie i zaśnie-działe. To mieli być straszliwi wojownicy, których imperium nie potrafiło poskromić? Ale z drugiej strony Wickanin bez konia wyglądał żałośnie w każdej sytuacji, a co dopiero w tak ciężkiej.

– Wybacz, dowódco – rzekł Udep. – Chcemy znowu z tobą pomóc.

– Tak, hetmanie. Zawsze witam cię z przyjemnością. I ciebie też, szamanie.

Kudłaty, siwowłosy mag skinął krótko głową. Padał ze zmęczenia. Ręce mu drżały, a twarz miał bladą i bezkrwistą. Jego zapadnięte oczy wypełniała udręka. Czyżby włożył wszystkie siły w rzucanie klątw na oblegających? Jeśli tak, Rillish nic o tym nie słyszał. Będzie musiał zapytać Żyłkę.

– Po raz kolejny prosimy, by pozwolono nam godnie bronić tego, co należy do nas.

– Już o tym rozmawialiśmy, hetmanie. Tego fortu będą bronić malazańscy żołnierze.

Wickanin zacisnął naznaczone bliznami dłonie na pasie, jak na szyi wroga, potem je rozluźnił.

– Czego pragniesz, Malazańczyku? Czy musimy cię błagać?

– Błagać?

Trzy towarzyszące Udepowi staruchy warknęły jednocześnie po wickańsku. Hetman skrzywił się i zaczerpnął głęboko tchu.

– Wybacz, dowódco. To było niegodne. Przelewacie krew w obronie naszej ziemi.

Udep spuścił wzrok.

Rillish zauważył, że rana na nodze znowu mu się otworzyła. Ubita ziemia pod krzesłem była wilgotna od krwi. Złapał się za udo. Jedna

z kobiet powiedziała coś, co podejrzenie przypominało słowo „idiota”, i odtrąciła jego ręce. Potem zaczęła bandażować ranę na nowo.

- Potrzebujesz więcej ludzi, dowódco - ciągnął Udep.

- Już o tym rozmawialiśmy.

- Przynajmniej zginiemy w walce.

- Nie bądźcie niecierpliwi. Wasza szansa nadejdzie.

Hetman skrzyżował ręce na piersi. Wyraźnie toczył wewnętrzną walkę. Wymienił z Czystą Wodą nerwowe spojrzenia.

- Zostawiasz nam niewielki wybór. Nadal zachowaliśmy dumę.

Rillish wiedział, że starcy szykują coś w głównym kamiennym budynku, do którego przeniósł ich razem z dziećmi. Do tej pory nie wtrącał się w ich poczynania. Uniósł palec.

- Nie wolno wam atakować, dopóki nie padnie ostatni żołnierz. Fort nadal jest malazańską własnością. Jasne?

Czysta Woda otworzył usta, chcąc mu odpowiedzieć, ale Udep ucizył go krótkim rozkazem. Wickanie odwrócili się w stronę wyjścia.

Rillish dotknął ramion babci, która opatrzyła mu ranę. Staruszka spojrzała na niego, mrużąc nieufnie powieki.

- Dziękuję.

Przysadzista kobieta odsoniła w uśmiechu olśniewająco białe zęby. Nagle wydała się młodsza o kilka dziesięcioleci. Hetman zatrzymał się w drzwiach.

- Dowódco, kiedy zewnętrzne ogrodzenie padnie, wycofacie się do głównego budynku, tak?

Przez chwilę Rillish miał ochotę spierać się o to, czy ogrodzenie rzeczywiście padnie, było to jednak oczywiste dla nich obu, postanowił więc nie obrażać rozmówcy pustymi zapewnieniami. Skinął głową.

Udep odpowiedział takim samym gestem i wyszedł. Sierżant Żyłka wetknął głowę do środka.

- W ich obozie coś się dzieje, poruczniku. Chyba przybyli nowi.

– Posiłki, sierzancie?

– Nic nie szkodzi – odparł z uśmiechem Żyłka. – Poradzimy sobie. Jesteśmy twardzi jak żelazo.

Rillish wstał, krzywiąc się z bólu. Przypasał dwa untańskie miecze pojedynkowe.

– Miejmy nadzieję, że to nie będzie ktoś, kto wie, co robi.

– Bez obaw, poruczniku. Chyba nadal dowodzi baron Końska Dupa.

– No cóż, dziękujemy Trake'owi za drobne błogosławieństwa. Tak, sierzancie? Chodźmy się im przyjrzeć.

* * *

W myślach nazywał się teraz Szmaciarem. Spowijał go strój złożony z wytartych kawałków, po którego dawnym kroju zaginął wszelki ślad. Wędrujący po z pozoru bezkresnych równinach popiołu oraz połaciach pokruszonych skał składających się na Cesarską Grotę mężczyzna zatrzymał się nagle i przyjrzał strzępkom, w jakie przerodziły się jego ongiś piękne szaty. Skinął z zadowoleniem głową. Wszystko wyglądało tak, jak powinno. Upadł do przodu i wygiął ciało, rozpoczynając serię przewrotów i piruetów. Przebieraniec, myślał o sobie, podczas tego improwizowanego pokazu. Arlekin. Klaun. Zamarł w bezruchu, przykucnięty, rozpościerając szeroko ramiona. Nie, nie może wypuścić z rąk nici, która zaprowadzi go z powrotem. Co prawda przychodzili tu teraz znacznie rzadziej. Może w końcu zrozumieli.

Nagle poruszenie na niezmiennym, ołowianym niebie kazało mu się skryć za wielkim głazem. Wysoko nad nim przesuwały się mroczne kształty, ogromne i ociążałe.

A więc to nie są tylko szalone raporty i powieści ze źródeł o... wątpliwej... wiarygodności.

Mówiąc sobie, że są bardzo daleko, a on z pewnością nie jest dla nich ważny, wstał i potruchtał w ślad za nimi.

W okolicy pojawiły się płytkie parowy oraz wysokie wzgórza otoczone zerodowanymi zboczami, a także żwirowymi osypiskami. Biegąc po takim stoku, zatrzymał się tuż przed wystającym nad powierzchnię bazaltowym grzbietem. Wrażliwość na groty powiedziała mu, że ktoś jest w pobliżu. Ukrywa się, obserwując go z uwagą.

- Możesz wyjść! - zawołał, odczekawszy chwilę, by odzyskać dech w piersiach.

Z cienia jednej z czarnych, wyszczerbionych iglic wyłoniła się gibka sylwetka. Kobieta zeszła szybko na dół. Szmaciarz wstrzymał oddech. Była jedną z nich, lecz jednocześnie kimś innym. Różniła się od nich stylem. Był znacznie barwniejszy, bardziej indywidualny. Przypominała ich, ale nic nie ograniczało jej ruchów. Zatrzymała się w bezpiecznej odległości od mężczyzny. Ciemne oczy spoglądały na niego przez szparę między kwefem a chustą.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Jestem zaskoczony.

Zerknęła ku skalnym iglicom.

- Tak, one robią wrażenie. Chcesz popatrzeć?

- Bardzo chętnie.

- Druga.

Pokłonił się dwornie i wdrapał do przerwy między potężnymi kolumnami. Daleko, za równiną pełną krętych parowów i wydm, w powietrzu unosiło się pięć tytanicznych, geometrycznych sylwetek. Wiatr dał pod nimi nieustannie, unosząc wysoko w powietrze obłoki pyłu. Co oni kombinowali? Czy ktokolwiek potrafił to odgadnąć? Zlął na dół.

Kobieta podeszła do niego.

- Jak myślisz, czy to inwazja?

- Albo właściciele wrócili wytępić szkodniki.

Szeroko otworzyła ciemne oczy.

- Nie rozumiem.

- Musimy zdjąć z oczu klapki. Nie wszystko kręci się wokół nas.

Kobieta odsunęła się, przybierając pozycję bojową.

- Kim jesteś?

- Fragmentem przeoczonym przez biurokratów.

Wyraźnie nasuwały się jej kolejne pytania, powstrzymała się jednak przed zadaniem ich.

- No cóż, to wszystko jest bardzo intrygujące, ale...

- Musisz o tym zameldować.

Skinęła głową.

Pokłonił się na znak zgody, ale zamiast się wyprostować, skoczył do przodu. Kobieta zrobiła gwiazdę w bok. Spojrzeli na siebie. On był zdumiony, ona zaś mrużyła oczy w zastanowieniu. Nie próbował ukryć zachwyty.

- To było świetne! Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio widziałem jego styl.

Kobieta - dziewczyna, poprawił się w myśli - ukloniła się elegancko.

- Poznajesz go! Ojciec mnie tego nauczył. Nie powinieneś się zdradzać ze...

- To wkrótce straci znaczenie.

Znowu mu się ukloniła.

- Wybacz. Muszę cię opuścić.

Z ziemi wyłoniły się cienie, spowijając ją wirem. Jego zaskoczenie trwało tylko krótką chwilę. Rozpostarł ręce. Z dłoni wystrzeliły mu lance ciemności, odrzucające dziewczynę do tyłu. Padła na ziemię, dysząc spazmatycznie. Żebra miała połamane, a płuca przebite.

Zatrzymał się nad nią.

Nadal była przytomna.

- Kurald Galain! - wydyszała, przesywając go oskarżycielskim spojrzeniem.

Przykucnął obok niej.

- Tak mi przykro.

- To ty! Myśleliśmy, że... że nie...

- Tak, wiem. Tak bardzo mi przykro. Zwłaszcza dlatego, że nigdy nie wysłałbym kogoś takiego jak ty. Jak widzisz, ja przyszedłem tu sam.

Wsparł dłoń na jej ramieniu. Straciła przytomność, ale serce wciąż biło. Miała jeszcze szansę...

Skinął dłonią i pod dziewczyną pojawiła się plama nieprzeniknionej ciemności przypominająca płynną noc. Ranna zapadła się w nią, jakby utonęła w inkaucie. To był tylko drobny gest... ale uważał, że jest jej winien przynajmniej tyle. Szkoda, że zawsze wysyłano najlepszych.

Powinien był to przewidzieć.

* * *

Przez pięć dni niezmiennie przychylne wiatry gnały flotę na południowy zachód. Ten uśmiech losu skłonił Urka do opuszczenia kajuty i narażenia się na towarzystwo wielkiego maga, Bali Jesselt. Ullen rozstawił szeroko nogi, przystając obok swego dowódcy. Zauważył, że Urko stoi pewnie jak skała, nie zważając na wstrząsy i drżenia kołyszącego się na wysokich falach statku. Mimo to z każdą przebytą milą mars na czole starego admirała stawał się coraz głębszy.

- Ten nasz nowy sojusznik posiada nieoczekiwany zasięg i wpływy, prawda? - dobiegł ze śródkręcia głos Bali.

Ullen obejrzał się na nią. Choć nie mówiła w wyższej tonacji niż zwykle, jej słowa w jakiś sposób przebijały się przez zawrodoenie wicheru i łoskot fal. Olbrzymią kobietę otaczała też plama niesamowitej

tej ciszy. Jej szat i zdobnie splecionych włosów nie dotykały bryzgi ani wiatr.

– Aktualny stan? – warknął Urko.

– Nikogo nie brakuje. Ale transportowce nadal nie nadążają.

– Niech najszybsze statki zwiną żagle, a nawet zaczekają na resztę, jeśli będzie trzeba. Nie ma sensu przybywać na miejsce bez choleralnej armii.

– Tak jest, admirale. Jeśli można...

– Słucham?

– Czy zwiększona prędkość nie zmieni naszych planów? Czy nie przybędziemy za wcześnie?

Urko łypnął ze złością na Bałę.

– Są jakieś wieści od Chossa?

Dalhonka pokręciła głową, poruszając wachlarzem tak szybko, że stał się niewidoczny.

– Nie, mój drogi Urko. Może przekazałibyśmy słówko mojemu źródłu? Z pewnością zasłużył na gratulacje.

– Albo na zapoznanie się z moją pięścią. Zdecyduję, gdy już to się skończy. Na razie cisza. Jasne?

Bała sapnęła, poruszając obfitym biustem.

– Wszystkie moje wysiłki... – mruknęła pod nosem.

Ullen mógł jedynie potrząsnąć głową. Gnali na skrzydłach tajfunu tak potężnego, że w każdej chwili mógł ich zdmuchnąć z powierzchni morza, a Bala cały czas się wachlowała i była w stanie przekazać im swe najdrobniejsze skargi.

– Czy będą na nas czekali w Cawn?! – zawołał do Urka.

Admirał pokręcił głową. Na jego naznaczonej bliznami, prawie zupełnie łysej głowie błyszczały plamy morskiej piany.

– Nie. W tym tempie dotrzemy tam szybciej od nich. Pamiętaj, że okrążenie Rogu nie będzie łatwe. Nieważne, kiedy wpłyniemy do portu, cawnijczycy przejdą na naszą stronę. Zawsze potrafili określić,

z której strony wieje wiatr. – Roześmiał się, po raz pierwszy od miesięcy. – Kapujesz? Wieje wiatr? Ha!

Ullen uśmiechnął się, zadowolony, że nastrój dowódcy wreszcie się poprawił, nie potrafił się jednak powstrzymać przed spoglądaniem co chwila na czarną, błyszczącą twarz ich wielkiego maga. Bala siedziała tam gdzie zawsze, pośrodku pokładu. Zajęła to miejsce już na samym początku i, jeśli się nad tym zastanowić, Ullen nie przypominał sobie ani jednej chwili, w której by jej tam nie było. Jadła tam posiłki i spała na siedząco, a jej lśniący wachlarz szumiał przez całą noc jak gigantyczny owad. Ullen musiał przyznać, że jest pod wrażeniem. Przypominała mu dawnych potężnych magów kadrowych, A'Karonysa albo Nightchill.

Uniosła nagle wzrok i ujrzał jej oczy – wielkie, brązowe kałuże. Uśmiechnęła się, jakby odgadła jego myśli.

– Nie wiedzą, że mnie macie – mówiła; czy wydawało mu się, że mówi, nie był tego pewien. – Są przekonani, że to będzie wojna opłotkowych czarodziejów i woskowych wiedźm. Ja jednak jestem ze starej szkoły, przyjacielu Ullenie. Na służbę przyjął mnie Kellanved. A Tay-schrenn mnie wywalił i sprawię, że tego pożałuje.

Wachlarz poruszył się z nagłym trzaskiem. Ullen miał wrażenie, że usłyszał ów dźwięk pomimo ryku sztormu. Zerknął na Urka, ale dowódca najwyraźniej nie zauważył ich rozmowy. Urko był pewien, że potrafi utrzymać tę kobietę w ryzach, ale przecież przed chwilą wyraźnie dała do zrozumienia, że ma ambicje sięgające dalej i kierują nią prywatne motywy, że prowadzi własną grę, nie przejmując się jego obecnością albo ją lekceważąc. Jakąż żmiję przyjęli w swoje szeregi? Żmiję, która okazała się zbyt zdradziecka i niegodna zaufania nawet dla cesarza i jego kompanów?

Wachlarz cały czas się poruszał, błyszczący i prawie niewidoczny. Ullen zastanawiał się, czy rzeczywiście pomaga im ów sojusznik, kapłan kultu morskiego boga, czy też są zdani na łaskę i niełaskę wachlarza?

Ho siedział w nieprzeniknionej ciemności chodnika wychodzącego z Jamy, obserwując nieco mniej gęsty mrok panujący na ocienionej połowie wielkiego kolistego szczytu kopalni. Poderwał się nagle, gdy jego podbródek po raz kolejny dotknął piersi. Rozejrzał się ze złością, zastanawiając się, co mu umknęło. Panowała tu jednak cisza. Wyglądało na to, że wszyscy śpią, być może również dwaj nowi przybysze, szpiedzy. Widział, jak weszli w te cienie i siedzieli tam teraz, czekając tak samo jak on. Na co? Aż ujrzą wśród gwiazd jakiś znak? Aż nadejdzie odpowiednia chwila na próbę nocnej ucieczki? Próbował zidentyfikować ich sylwetki w monochromatycznym mroku, ale bez powodzenia. Nic się tam nie poruszało. Skarcił się w myślach. Może po prostu nie mogli zasnąć w jaskiniach, tęsknili za dotknięciem wietrzyku, który niekiedy docierał na dno zagłębienia, gdy warunki były odpowiednie. Ehe, a może byli wyznawcami kultu Pradawnej Ciemności.

Wtem coś zauważył. Ruch? Ktoś wstał w mroku? Błady owal twarzy zwrócił się ku górze? Pochylił się, wyteżając wzrok. Rozległ się krzyk, ostrzegawczy zew sowy. Jego przyjaciele? Ktoś na górze? Trudno to określić. Coś błysnęło w świetle księżycy. Z góry spadło coś małego. Jeden z jego przyjaciół, Smętek, wyszedł w światło, pochylił się, podniósł przedmiot i przyjrzał się mu. Wymienili jakieś słowa, ale Ho nic nie usłyszał.

Gdy wrócili w cień, nie potrafił się już dłużej powstrzymać. Zdecydował się na konfrontację. Niech szlag trafi tych dwóch i ich spiski! Czy nie wiedzieli, że wszyscy więźniowie żyją jedynie dzięki łasce strażników? Że nawet najbliższa prowokacja może doprowadzić do zmniejszenia racji, co zagrozi śmiercią najbardziej chorowitym spośród nich?

Gdy się zbliżył, czekali już na niego. Przedmiot, czymkolwiek był, zniknął bez śladu. Ho łypnął na nich ze złością. Ten, który przedstawił się jako Smętek, odwzajemnił ze spokojem spojrzenie.

- Nie możesz spać, Ho?
- Nie chrzań. Co tu kombinujecie?

Smętek spojrział z westchnieniem na Frykasa, który wzruszył ramionami.

- To nie twój interes.

- I tu właśnie się mylisz, bracie. Wszystko, co tu się dzieje, to mój interes. Jesteśmy w Jamie jedną wielką rodziną.

- Skądś wiedziałem, że to powiesz. Posłuchaj, nie wiem, czy to cię uspokoi, ale to, co robimy, nie zagraża nikomu z was. Niewykluczone nawet, że wam pomoże.

- A ja mam uwierzyć wam na słowo, tak?

Smętek wzruszył ramionami, demonstrując bezradność.

- Tak to w skrócie wygląda.

- To mi nie wystarczy.

- Ehe. Wiem. I co teraz? Zadenuncjujesz nas waszemu komitetowi?

Ho doszedł do wniosku, że nadeszła odpowiednia chwila, by się przekonać, czy trafnie ocenił charakter dwóch nieznanomych. Uniósł podbródek, wskazując w górę.

- A może zawiadomię strażników? Co wy na to?

Obaj mężczyźni znieruchomieli. Przez chwilę Ho bał się, że posunął się za daleko, że błędnie odczytał tych dwóch. W końcu wyglądało na to, że są tu zupełnie sami. Jeśli rano ktoś znajdzie ciało, nikt niczego się nie domyśli. Podjął wielkie ryzyko, ale bez tego cóż byłaby warta jego próba? Smętek skrzyżował ręce.

- Nie, nic nie zrobimy - oznajmił. - W końcu, gdybyś naprawdę chciał na nas donieść, z pewnością byś nam o tym nie mówił.

Niech go szlag.

- Dobra, nie pobiegnę do Malazańczyków. Ale muszę się dowiedzieć, co kombinujecie.

Smętek pokręcił powoli głową. Na jego twarzy malował się wyraz szczerego żalu.

– Przykro mi, staruszk. Nie możemy nic nikomu powiedzieć. Na razie. Chciałbym cię jednak o coś zapytać: gdzie się podział nasz dzielny pies stróżujący? To chyba jeden z członków waszej szczęśliwej rodziny. Sessin. Gdzie on teraz jest? Może doszedł do wniosku, że wygodnie by było zostawić cię sam na sam z nami? Co ty na to, Ho?

Miał im jeszcze sporo do powiedzenia, ale obaj mężczyźni po prostu sobie poszli. Wściekły Ho został sam, pełen niewypowiedzianych słów. Tracił coś sandałem, pochylił się i pomacał wokół. Znalazł rozdrobnione szczątki kawałka wyrzuconego na brzeg drewna.

* * *

Wędrowka przez równiny otaczające Li Heng stała się teraz niebezpiecznym przedsięwzięciem. Okolicą władali Seti. Co gorsza, Jedwab zmierzał w niewłaściwym kierunku, oddalał się od miasta. Młodzi Seti z rozmaitych związków wojowników – Wilków, Psów, Fretek albo Szakali – z radością pędzili uchodźców albo zbiegłych kupców w stronę miasta. Jeśli jednak ktoś próbował je opuścić, sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Naszpikowane strzałami ciała tych, którzy zamierzali uciec na południe, do Itko Kan, albo w dół rzeki, do Cawn, porzucano w zasięgu wzroku od miejskich murów, by stały się ostrzeżeniem dla wszystkich.

Jedwab trzymał się najgłębszych niecek i wyschniętych koryt strumieni. Zmierzał na zachód, mniej więcej równoległe do Idrynu. Widział przed sobą cel – gęsty słup dymu. Palono tam świeżym drewnem, czuł też odór niemytych ciał i niezagrzebanych ekskrementów. Obóz uchodźców, chorych i nieszczęśliwych. Bramy miasta zamknęły się przed nimi, a wojownicy Seti uznali, że są zbyt nędzni, by zasługiwać na strzałę albo lancę.

Twarze zwracały się ku niemu, gdy szedł po zdeptanym, zrytym koleinami błocie obozu. Starzy mężczyźni i kobiety siedzieli w wejściach namiotów z niewyprawionych skór. Dzieci kucające w błocie gapily się na niego, otwierając usta. Nie miały nawet sił, by żebrać. Zatrzymał się przed dziewczynką wyglądającą na jakieś dziesięć lat.

- Szukam staruszków, dziecko. Dwóch albo trzech, którzy zawsze trzymają się razem. Słyszałaś o nich?

Wlepiła weń spojrzenie brązowych, załzawionych oczu. Miała tak ciemną skórę, że podejrzewał, iż jest półkwi Dalhonką. Jedną ręką zwisała bezwładnie, zniekształcona i sucha jak patyk – ślad po dawnym urazie albo chorobie. Piersz Jedwabia wypełnił nagły przypływ współczucia. Poglaskał dziewczynkę po włosach, mimo że łąziło w nich robactwo. Jakaś kobieta podbiegła do dziewczynki i złapała ją za zdrową rękę.

- Czego chcesz? Idź stąd! Jeśli Seti zobaczą, że z tobą rozmawiamy, poderzną nam gardła!

- Szukam...

- Szukasz Zakapturzonego i tyle!

Pociągnęła dziecko za sobą. Dziewczynka obejrzała się, nieśmiało uśmiechnęła i uniosła chorą rękę, wskazując w stronę rzeki. Jedwab odpowiedział znakiem Błogosławieństwa Protektorki.

Znalazł całą trójkę siedzącą szeregiem nad błotnistym brzegiem Idrynu. Łowili ryby.

- Złapaliście coś?

Żaden z nich się nie poruszył.

- To samo, co i ty złapiesz – rzekł pierwszy.

- To znaczy... – dodał drugi.

- Nic – zakończył trzeci.

Jedwab rozejrzał się z westchnieniem i wypatrzył młodą wierzbę rzucającą trochę cienia. Przykucnął pod nią, wyjął jedwabną chusteczkę i otarł twarz. To nie będzie łatwe.

- Czeka nas obrona miasta.
- Mylisz się. Czeka was...
- Coś innego...
- A mianowicie porażka.

Jedwab rozluźnił zaciśniętą pięść i schował chusteczkę z powrotem do kieszeni koszuli.

- Posłuchajcie. Wszystko to wydarzyło się bardzo dawno temu, tak? Przykro mi. Wszyscy robiliśmy to, co uważaliśmy za słuszne.

- Czy...
- Mówisz...
- Do nas?

W Jedwabiu obudziły się zadawnione pretensje.

- Niech was Kaptur weźmie! Ona i tak musiała przegrać! Nie było szans, by Kellanved dotrzymał słowa! Zniszczyli już wszystkie inne miejscowe kultury! Albo podporządkowali je sobie. To samo wydarzyłoby się u nas.

- To brzmi, jakbyś...
- Nas prosił...
- O zaufanie?

Jedwab wpatrzył się w ich zgarbione plecy. Cholernie sztywne plecy.

- Liss jest ze mną. Razem damy z siebie wszystko. To nasza najlepsza szansa od stulecia. Wiecie o tym. Nawet wy z pewnością to wyczuwacie.

Pokręcili głowami, wymieniając spojrzenia.

- To już tak długo?
- Całe stulecie?
- A ja jeszcze nie złapałem cholernej ryby?

Jedwab odsunął się od wierzby.

- Wiecie, gdzie mnie znaleźć. Droga jest teraz dla was otwarta, jeśli tylko zechcecie na nią wkroczyć. Zrobimy to z wami albo bez was.

Pochylił się, by poprawić koszulę i kamizelkę. Kiedy się wyprostował, zobaczył, że przemawiał do pustki. Wszyscy trzej zniknęli, razem z wędkami.

Cwaniaczki.

* * *

W południe tego samego dnia Rzut opuściła miasto, z trudem utrzymując się na końskim grzbiecie. Była członkiem oficjalnego hengańskiego poselstwa wysłanego do wielkiej rady plemiennej Seti, tak zwanej „Urpan-Yelgan”. Ona, Słoneczko i Liss byli przedstawicielami wielkiej pięści Stora. Czy raczej, jak uparcie utrzymywali hengańscy sędziowie, „tymczasowego dowódcy garnizonu Li Heng i tymczasowego gubernatora prowincji centralnych”. Albo, jak mówił sam Storo, „ulubionego celu wszystkich łuczników”.

Ze swej strony Rzut uważała, że już sam fakt wdrapania się na koński grzbiet znacznie wykracza poza zakres jej obowiązków. Jej zdaniem, jeśli na świecie istniały istoty gorsze od Jhagów, z pewnością były nimi konie. Przez całą drogę trzymała w jednej ręce wodze, a w drugiej nóż – na wszelki wypadek. Wczoraj pod miejskie bramy przybył jeździec z białą flagą i zaproponował spotkanie. Storo stanowczo odmówił.

– Nie mam im nic do powiedzenia – poskarżył się.

Rzut jednak okazała się na tyle głupia, że odpowiedziała: „Ktoś musi pojechać”. I oczywiście padło na nią.

Na szczęście miejscy sędziowie uznali, że podobne rozmowy uwłaczałyby ich godności.

– Nie wiedziałbym, do kogo się zwracać: do ich koni czy do psów – skwitował sędzia Ehrlann.

Rzut kołysała się niepewnie na grzbiecie podłego bydlaka. Dręczyły ją podejrzenia. Słoneczko jechał obok niej, otaczało ich całe stado tych niegodziwych zwierząt pod postacią Siedemnastego Kon-

nego Szwadronu Hengańskiej Jazdy. Konna Jazda? Cóż za podwójnie niegodziwy pomysł!

Spotkanie miało się odbyć na szczycie wzgórza, w zasięgu wzroku od murów miejskich. W oddali dostrzegła wbite w ziemię lance ozdobione kłębkami białej sierści szakali, znaczące umówione miejsce. Gdy byli już blisko, Rzut skinęła na kapitana kawalerii, każąc mu zaczekać z tyłu. Ona, Słoneczko i Liss pojedą dalej sami. Ścisnęła boki konia kolanami. Naprzód, demonie! Wierzchowiec wykonał polecenie, być może pragnąc uspić jej podejrzliwość. Choć dzień był chłodny, spod hełmu Rzut spływały strugi potu. Hełm! Nie pamiętała, kiedy ostatnio włożyła cholerny hełm. Słoneczko i Liss zajęli miejsca po obu jej stronach. To ona była „oficjalnym” posłem. Ujrzeni przed sobą trzech jeźdźców wspinających się na łagodne zbocze po drugiej stronie wzgórza. Dwóch mężczyzn z pewnością było szamanami. Nosili pełne futrzane regalia: ozdobione kosmykami lance, nakrycia głowy i długie płaszcze. Trzeciego, który jechał przodem, trudniej było zidentyfikować. Nie ulegało wątpliwości, że jest żołnierzem, a także cudzoziemcem, nie Seti. Miał na sobie prostą skórzaną brygantynę wyszywaną metalowymi pierścieniami, narzuconą na przeszywanicę. Pod pachą trzymał poobtłukiwany, poczerniany hełm. W pierwszej kolejności uwagę przyciągał jednak potężny refleksyjny łuk roboty Seti. Był przytroczony do siodła, lecz mimo to sięgał aż do czubka głowy jeźdźca. Siwe, obcięte na jeża włosy były ledwie widoczne. Większą część głowy zajmowała opalona na ciemnobrązowo łysina. Miał siwą kozią bródkę oraz wąskie usta o opadających kącikach, czyniące twarz jeszcze bardziej pociągłą. Przywitał Rzut skinieniem głowy, a ona odpowiedziała mu tym samym.

– Z kim rozmawiam? – zapytał, mówiąc po hengańsku bez śladu akcentu.

– Jestem Rzut. Reprezentuję pięć Storo Matasha, dowódcę garnizonu Li Heng.

– Pięć, tak? Jak sądzę, to niezatwierdzony awans?

- A kim ty jesteś?

- Wodzem plemion Seti. Uznali za stosowne obdarzyć mnie zaufaniem. - Wskazał brodatego szamana odzianego w futro z szakali. - To jest Imotan. - Potem tego w futrze z fretek. - A to Hipal.

Rzut przedstawiła swych towarzyszy.

- Słoneczko. Liss.

Usłyszawszy to ostatnie imię, szaman Szakali poderwał się nagle. Ściągnął kosmate brwi widoczne tuż pod brzegiem wysokiej, futrzanej czapy.

- Liss? Naprawdę?

Kobieta roześmiała się gardłowo i klepnęła się w grube udo.

- Zna tę historię! To mi schlebia. Tak, to byłam ja. Uwodzicielska tancerka, gibka Liss! Nigdy nie zapomniałam przysięg złożonych przez twego poprzednika. Błagał mnie: „Przyjdź do mnie Liss. Zostaniesz moją pierwszą. Moja miłość będzie wieczna!”

Po każdym jej słowie szaman wybałuszał oczy coraz bardziej. Jego twarz pociemniała, stała się czerwona prawie jak krew.

- Cicho, kobieto! - warknął. - Zamkniesz się wreszcie?! - Rozejrzał się wokół, jakby na szczycie wzgórza było mnóstwo ludzi. - Czy nie wiesz, co to honor? Co to skromność?

- Honor? Skromność? To było ostatnie, czego ode mnie pragnął. - Pochyliła się w stronę Rzut. - Jak bardzo mnie wtedy błagał, żebym zapomniała o skromności - oznajmiła jej teatralnym szeptem. - Z pewnością też nie chciał, żebym zamknęła usta.

- Nie mów - zdołała wykrztusić Rzut. Groza i tłumiony śmiech sprawiły, że omal nie spadła z konia. Złowrogi uśmiech Słoneczka stał się szerszy niż kiedykolwiek dotąd.

- Ach, jak rozumiem, nie trzeba was sobie przedstawiać - odezwał się wódz, wykazując się zdumiewającym taktem.

- Oczywiście - zapewniła Liss, nim ktokolwiek zdążył się odezwać. - Pozwólcie, że opowiem wam historię. Dawno temu byłam młodą

jasnowidzącą w plemienu Białego Piasku, najmłodszą i najbardziej utalentowaną od wieków. Byłam też Tancerką Słońca. Być może właśnie wtedy przyciągnęłam spojrzenie pewnego młodzieńca, któremu było przeznaczone zostać szamanem straszliwego człowieka-szakala. Minęło już tak wiele czasu, nieprawdaż, Imotan? Byłam jednak wówczas za młoda, by mógł się do mnie zalecać, a poza tym naznaczono mnie jako święte naczynie dla duchów. Cóż to jednak znaczy dla tych, którzy sądzą, że mają prawo do wszystkiego? Twój poprzednik nie dbał o to, że uwodząc mnie, zniszczy moje szanse zostania Tancerką Słońca. Tą, która co rok przywołuje je z powrotem na równiny i błaga o błogosławieństwo deszczu. Mniejsza o zło gwałtu, które naznaczyło moje ciało i ducha! Pamiętasz przysięgę, którą złożyłam, gdy to mnie wygnano z plemienia, nie jego? Znasz tę historię, Imotan...?

Obaj szamani gapili się na nią ze zdumieniem.

- Z pewnością nie próbujesz nam wmówić, że naprawdę nią jesteś?
- stwierdził Hipal, uśmiechając się szyderczo. - Naczyniem Baya-Gul! Patronką jasnowidzących i przewodniczką w naszych misteriach słońca?

- Jestem nią.

Imotan machnął ręką do wodza.

- Nie wiem, kim jest ta biedna, obłąkana staruszka, wodzu. Nie zważaj na jej bredzenie. Wśród mojego ludu krąży opowieść o młodej kobiecie imieniem Liss. Niewykluczone, że to rzeczywiście ona, ale to nie ma nic wspólnego z naszym dzisiejszym spotkaniem.

Mężczyzna zaszepczał wyraźnie nieprzekonany.

- Co to za przysięga?

- To nic, wodzu. Tylko legenda, którą ta czarownica próbuje wykorzystywać.

- Słyszałem już imię Liss, ale o przysiędze nic nie wiem.

- Wodzu, ona tylko próbuje...

- Co to za przysięga?!

Hipal obnażył zaostrome zęby. Machnął lekceważąco dłonią.

– Legenda mówi, że Liss wygnano jako uwodzicielkę i mąciicielkę plemiennego pokoju. Odchodząc, przysięgła, że Seti będą odtąd wędrować bez celu, nie znając swej prawdziwej ścieżki, i nie wrócą na nią, dopóki nie zaproszą Liss z powrotem do swych ognisk. I nie będą jej błagać o przebaczenie – warknął Hipal.

Obaj szamani wlepili spojrzenia w staruszkę, jakby byli gotowi natychmiast ją powalić. Imotan zaciskał dłonie na wodzach tak mocno, że zrobiły się zupełnie białe.

– Niektórzy zwą to Przysięgą Liss – wychrypiał. – Inni mówią o jej Kłątwie.

Wódz pokiwał głową. Skórzane siodło zaskrzypiało pod nim, gdy pochylił się, wspierając łokieć na wysokim łęku.

– A więc zrodzi się opowieść głosząca, że obecne powstanie jest tylko kolejną fałszywą ścieżką. Jeszcze jednym zakrętem w niewłaściwą stronę.

Liss przesłała Imotanowi całusa.

Wódz uklonił się krótko Rzut.

– Rozumiem. Przekaż gratulacje swojemu dowódcy, Rzut. Muszę z przykrością stwierdzić, że chyba spotkamy się jeszcze nie raz. No to do zobaczenia.

Pożegnał ją starym malazańskim salutem wprowadzonym przez cesarza, przyciskając otwartą dłoń do piersi. Obaj szamani zawrócili wierzchowce.

Opuszczając wzgórze, Rzut zauważyła grupkę cudzoziemców towarzyszących eskortie Seti. Wypatrzyła wśród nich smukłą, wyprostowaną sylwetkę kapitana Harmina Elsa D’Shila. Mężczyzna pozdrowił ją ironicznym salutem. Rzut trąciła łokciem Słoneczko.

– Patrz, to twój stary kumpel, Uśmieszek.

Słoneczko pomachał do niego ręką, uśmiechając się szeroko.

– Jest mój.

D'Shil pokłonił się dwornie w siodło.

Droga powrotna obyla się bez incydentów. Rzut skupiła się na tym, by nie dać wierzchowcowi ostatniej szansy narobienia kłopotów. Rzecz jasna, chciała zadać Liss mnóstwo pytań, jeśli tylko się odważy. Najpierw jednak musi powtórzyć wszystko, czego się dowiedziała, Jedwabowi.

– I co sądzisz o tym wodzu? – zapytała ją Liss.

– Jestem pod wrażeniem. Niestety. Miałam nadzieję zobaczyć kogoś mniej kompetentnego.

Staruszka pokiwała głową, rozciągając w uśmiechu szerokie usta.

– Ludzie mówili, że ma w sobie coś z Dassema. Mieli rację. Widziałam obu.

– Kto? – zapytała Rzut, spoglądając na nią.

– Ależ Toc Starszy, oczywiście. Gratulacje! Niewielu udało się wrócić ze spotkania z nim w tak dobrej formie. – Wyciągnęła rękę i klepnęła młodszą kobietę w udo. – Świetnie się spisałaś, dziewczyno.

Rzut i Słoneczko wymienili zdumione spojrzenia. Bogowie na gorze! Toc Starszy. Mieli przesrane. Mogła myśleć jedynie o ich dowódcy. Biedny Storo! Musi się zmierzyć z Tokiem! Z pewnością źle przyjmie tę wiadomość. Niewykluczone, że nie zobaczą go trzeźwego do chwili, gdy żołnierze Wilków rozwalą drzwi ostatniego szynku w mieście.

Jechali bez słowa, aż wreszcie znaleźli się tuż przed zamkniętą Północną Bramą Równin. Rzut ponownie zajęła się obserwacją wierzchowca, na wypadek gdyby przyszło mu do głowy, że zapomniała o końskiej niegodziwości. Nagle Słoneczko odchrząknął.

– Liss... – zaczął.

Rzut natychmiast zrozumiała, że zada to pytanie, którego ona nie odważyła się zadać. Zawsze przechodził do sedna.

– Naprawdę jesteś tą, jak tam zwał, Baya-Gul czy coś?

Staruszka uśmiechnęła się do niego.

- Coś ci poradzę, dziewczyno – rzekła, zwracając się do Rzut. – Opowieści mają tylko tyle mocy, ile jesteśmy skłonni im przyznać.

Rzut zmarszczyła brwi. Słoneczko prychnął pogardliwie.

- Co za bzdura.

- Mówisz tak dlatego, że nie wierzysz – odparła Liss, nie przestając się uśmiechać.

* * *

Wieczorem szóstego dnia ucieczki Kyle usiadł pod gęstą kępą ciernistych krzewów, by pożreć surową rybę z garścią grzybów zebranych przez braci podczas biegu. Skradacz napił się wody z bukłaka, który napełnili w strumieniu. To był ich najlepszy posiłek od kilku dni. Kyle nie wniósł do niego żadnego wkładu. Ledwie zdołał dotrzymać im kroku. Ci ludzie biegli przez cały dzień i jeszcze potrafili znaleźć po drodze żywność! Potrząsnął głową. Zawsze szczylił się swą wytrzymałością i szybkością, ale ci trzej zdołali go zawstydzić. Kim właściwie byli? Być może braćmi albo bliskimi kuzynami, ale poza tym?

Otarł łuski z ust i rozprostował płonące nogi, by uniknąć kurczów. Wrócił w myślach do najważniejszego z dręczących go pytań. Dlaczego jeszcze żyli? Jeśli Zaprzysiężeni z Karmazynowej Gwardii rzeczywiście byli tak bardzo groźni, czemu ich jeszcze nie dogonili? Albo po prostu nie zamordowali którejś nocy podczas snu, tak łatwo, jak Kyle rozgniatał owady?

Skradacz rzucił mu bukłak. Chłopak złapał go w locie.

- Jak się czujesz? – zapytał zwiadowca.

- Jestem zmęczony. Narzucacie okropne tempo.

Skradacz chrząknął.

- Dobra, mów mi, jak to wytrzymujesz. Jeśli będzie trzeba, mogę pohamować chłopaków jeszcze bardziej.

Jeszcze bardziej? Na Przodków, Kyle wiedział, że tylko najlepsi biegacze w plemienu potrafiliby osiągnąć to, czego dokonali w ciągu pię-

ciu ostatnich dni. Odchylił się do tyłu, podciągając nogi. Co jednak da im dystans, jeśli ścigający mają dostęp do grot? Chudy zwiadowca o włosach rudoblonde przyjrzał się podeszwie swego mokasy.

- Co to ma za znaczenie? - zapytał chłopak. - Gdyby naprawdę chcieli nas dorwać, mogli to zrobić.

- Masz rację. W ciągu kilku pierwszych dni faktycznie chcieli, ale, jak wspomniała Mara, miałeś osłonę. Teraz pewnie już dawno odpłynęli.

Kyle wypuścił rybę z rąk.

- Odpłynęli? Jak to odpłynęli? Dokąd?

- Na Quon, oczywiście. Zaczęła się inwazja. Przygotowywali się do wyruszenia w drogę, kiedy zgłosiliśmy się z chłopakami na ochotników do pościgu za tobą. - Uśmiechnął się jak wilk. - Przykro mi, że przekazuję ci złe wieści, chłopcze, ale pewnie po prostu nie jesteś aż tak ważny, hej?

Przerażony młodzieniec rozdziawił usta.

- W takim razie czemu, na Mrocznego Łowcę, wypruwaliliśmy z siebie flaki, biegnąc przez pół Stratemu?

- No cóż, ostrożności nigdy za wiele.

- Do licha, nie wierzę w to! - zawołał Kyle, szarpiąc się z zatyczką bukłaka.

- Spokojnie! Będzie lepiej. Pamiętasz, jak mówiłem, że masz osłonę?

- Ehe. O co tu chodzi?

Skradacz wskazał podbródkiem w bok.

- Przekonajmy się, czy są już gotowi porozmawiać.

Głusza wynurzył się z gąszczu. Towarzyszyła mu przysadzista, krzywonoga staruszka o twarzy koloru żelaznego drewna. Miała na sobie wyblakłe skóry ozdobione kawałkami futra, pękami piór i muszelkami. Jej krokom towarzyszył cichy grzechot tych ostatnich. Kyle jednak nie zdziwił się, że potrafiła wędrować przez las bezgło-

śnie. Wiedział, z kim ma do czynienia. Jego plemię miało szamanów obojga płci, podobnie jak uzdrowicieli, kapłanów, a nawet wodzów wojennych. Wstał, by ją przywitać.

Głusza skinął głową do Skradacza.

– To jest Janbahashur, o ile dobrze wymawiam jej imię. – Spojrzał na kobietę. – Skradacz i Kyle.

Uklonili się jej. Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając wielkie białe zęby. Kyle'a zaskoczyły wydatne wały nad głęboko osadzonymi brązowymi oczami. Wyglądało to, jakby patrzyła na nich z jaskini.

– Dziękuję za opiekę – rzekł.

Roześmiała się.

– Pomogliśmy tylko trochę – odparła po taliańsku. – Najwięcej zrobiłeś sam.

Kyle poczuł się bardzo zdziwiony, uklonił się jednak po raz drugi.

– Wędrujecie na zachód – ciągnęła. – Udzielimy wam wsparcia.

Głusza i Skradacz wymienili spojrzenia.

– Jakiego? – zapytał zwiadowca. Wyglądało na to, że miał ochotę zadać to samo pytanie, co Kyle: „Dlaczego?”, ale powstrzymały go dobre maniere.

– Otworzymy drogę. Przejdziecie przez nią. Dotrzecie na zachód.

– Grotę?

Janbahashur uniosła z uśmiechem brwi.

– Drogę, ścieżkę, zwijcie to, jak chcecie.

Żaden z żołnierzy wyraźnie nie chciał się odzywać. Kyle zadał sobie pytanie, czy przyszła kolej na niego. Postanowił, że on nie będzie aż tak uprzejmy.

– Dlaczego? Dlaczego nam pomagacie? To znaczy mnie?

W oczach kobiety pojawiły się błyski wesołości.

– Można powiedzieć, że skłonił nas do tego szept wiatru.

Wiatru. Tak powiedziała. Kyle wbił w nią wzrok, pragnąc usłyszeć coś więcej, ona jednak odwzajemniła spokojnie jego spojrzenie, aż

musiał się odwrócić.

– W porządku. Pójdziemy.

Skradacz skinął głową.

– Dobra. Kiedy i gdzie?

– Nie tutaj. Chodźcie za mną. To niedaleko.

Ruszyli w drogę. Janbahashur szła obok Kyle'a. Jej miękkie skórzane mokasyny sprawiały, że przechodziła bezszelestnie nad spadłymi na ziemię gałęziami oraz kępami mchu. Poprowadziła ich w górę. Wkrótce wyszli na nagą, pokrytą porostami skałę. Zwalone pnie dębów i świerków spowalniały ich marsz.

– Mam wrażenie, że twój lud jest podobny do nas – powiedziała do Kyle'a. – Życie blisko natury, prawda?

– Tak, i oddajemy jej cześć. Słońcu, deszczowi... i wiatrowi.

Znowu się uśmiechnęła.

– Tak. Wiele ludów czci wiatr. Dla niektórych to tylko ścieżka prowadząca do mocy. Narzędzie. Dla nas jednak to życie. – Zaczerpnęła głęboko tchu i wypuściła powietrze z płuc. – Wszystko, co żyje, bierze w siebie wiatr. Nawet drzewa. On jest częścią nas wszystkich. Dla nas to symbol tego, co najbardziej niepoznawalne, esencji życia.

– Rozumiem... chyba.

Znowu się roześmiała.

– Tego nie trzeba rozumieć. – Wyciągnęła rękę przed siebie. – To tam. Na górze.

Wdrapali się na kopułę prążkowanej skały. Między ciemnozielonymi zygzakami żył kwarcu porosty pomalowały ją na pomarańczowo i czerwono. Ze wszystkich stron – tak daleko, jak okiem sięgnąć – otaczał ich dziewiczy las. Nie było tutaj nic poza wspaniałymi widokami. Tu i ówdzie leżały okrągłe kamyki, tworząc coś w rodzaju wielkiego kręgu.

Młodzieniec rozejrzał się, spojrzął w oczy Skradaczowi i zadał mu gestem pytanie. Zwiadowca uspokoił go skinieniem głowy.

– Jeden z twoich przyjaciół obserwuje moich współplemieńców – podjęła Janbahashur. – Tak właśnie powinno być. Oni również go obserwują. To dobrze. Gdybyście tego nie zrobili, postąpilibyście głupio, a my nie chcemy tracić czasu na głupców. Wezwijcie go.

Skradacz zamigał do Głuszy i ten ruszył truchtem na górę.

– Wszystko przygotowane – mówiła Janbahashur, wskazując środek wielkiego kręgu. Kyle nie widział tam nic poza pustą skałą. Uśmiechnęła się, zauważywszy jego zdziwienie. – Przyjrzyj się uważniej. Masz czas.

Młodzieniec osłonił oczy przed blaskiem zachodzącego słońca i wpatrzył się w gładką skałę. Przez chwilę nic się nie zmieniało, potem jednak zauważył, że w pobliżu środka powietrze migocze lekko, jakby na wietrze unosił się pył. Potem całe połacie pokrywającego skałę piasku ożywiły się nagle. Tańczyły coraz szybciej, aż wreszcie znikwały, jakby porwał je niewidzialny wiatr. Wytężył słuch i usłyszał szum, jakby gdzieś w oddali był wodospad.

– Co to jest? – zapytał, spoglądając na Janbahashur.

– Jak mówiłam, ścieżka Wiatru.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego – odezwał się Skradacz. – Ale niewiele wiem o grotach. Widziałem tylko rozdarcia, luki albo dziury.

Janbahashur zbyła podobne pomysły machnięciem ręki.

– E tam. To tylko brutalna siła. Nadużycie struktury rzeczywistości. My nie stosujemy tak bolesnych środków. Naginamy naturalne drogi, koncentrujemy siły i kierujemy je gdzie indziej. Jeśli chcesz wyjąć pestkę z owocu, możesz go rzucić na ziemię i rozdeptać, albo możesz delikatnie ciągnąć w miejscu naturalnego podziału, aż wreszcie sam się rozszczępi.

Weszka i Głusza dotarli na szczyt. Janbahashur przywołała ich niecierpliwym skinieniem dłoni.

– Chodźcie. Szybko. Nie zatrzymujcie się. Kilka kroków powinno wystarczyć.

Skradacz zamigał do nich. Głusza wyciągnął przed siebie zaciśniętą pięść i ruszył. Ten gest przypominał Kyle'owi salut, nigdy jednak nie widział podobnego. Mężczyzna zgiął kolana w pozycji bojowej, rozpostarł szeroko ręce i ruszył ku zamazanej plamie powietrza. Gdy był już blisko, wysunął rękę przed siebie. Janbahashur syknęła niespokojnie. W tej samej chwili Głusza po prostu zniknął. Trudno było określić, co się stało, Kyle miał jednak wrażenie, że pociągnęła go naprzód potężna siła, godna olbrzyma lub boga. Staruszka westchnęła z ulgą.

– Dobra. Teraz wy. W drogę.

Skradacz ruszył naprzód. Kyle podążył za nim, ale kobieta złapała go za ramię.

– Jeszcze słówko, młody wojowniku.

Zwiadowca również się zatrzymał. Jego włosy, końce związanej koszuli i sznurowadła wyciągały się z wielką siłą w stronę szczytu. Mówił coś, ale chłopak nie słyszał ani słowa. Skradacz wytężał mięśnie, jakby walczył z huraganem, tracił jednak grunt. Jego mokasyny ślizgały się do tyłu po skale. Z pewnością dał za wygraną, bo w następnej chwili zniknął w chmurze piasku i kurzu.

Weszka zatrzymał się obok Kyle'a, kładąc rękę na rękojęści jednego z długich noży, które miał za pasem.

– On nie pójdzie ostatni – oznajmił.

– Nie chciałam was niepokoić – zapewniła Janbahashur. – To tylko ostrzeżenie. Nie zatrzymujcie się po drodze. Nie zwracajcie ani nie zwlekajcie. To grozi śmiercią. Nie rozstawajcie się też z bronią.

Kyle nie potrafił powstrzymać dłoni przed sięgnięciem do rękojęści tulwara.

– Nigdy tego nie robię.

– I bardzo dobrze. Idź już.

Młodzieniec pokłonił się i ruszył ku szczytowi kopuły. W miarę jak się do niego zbliżał, jego kroki stawały się coraz lżejsze, jakby szedł na dół. Nagle coś, jakby dłoń, popchnęło go od tyłu, nie uderzyło, ale

ponagliło tak mocno, że zabrakło mu tchu w piersi. Otoczenie zmieniło się w zamazaną zieloną plamę. Uszy wypełnił mu łoskot wodospadu, który jednak cichł stopniowo. A może tracił słuch? Najbardziej przeraził go jednak grunt pod nogami. To, na czym stał, było miękkie i ustępliwe jak gęsta woda, wyglądało zaś jak plama jasnego błota albo wilgotnej gliny. Kyle nic z tego nie rozumiał. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje ani dokąd zmierza. Najwyraźniej też był tu sam.

A może nie. Strumieniem obok mknęły jakieś sylwetki. Podłużne i opływowe jak ryby, ale znacznie większe od niego. Choć wiedział, że nie powinien tego robić, nie potrafił się powstrzymać przed sięgnięciem ku jednej z nich. Jego palce przeniknęły przez powierzchnię, jakby wyciągnął rękę z łódki. Wydało mu się, że wystarczy, by z niej wyskoczył, a znajdzie się w zupełnie innym świecie. Jedna z sylwetek zbliżyła się, jakby w odpowiedzi na jego gest. Z bliska wydała mu się czymś znacznie bardziej obcym i niezwykłym, jak – jak Przechył zwalęte paskudne stwory? – kałamarnica.

Doszedł do wniosku, że być może zbyt mocno kusi Bliźniaki, i cofnął rękę. Jak jednak miał się stąd wydostać?

Coś uderzyło w otaczającą chłopaka barierę, owijając się wokół jego ramienia. Krzyknął z palącego bólu. Szarpnęło nim mocno do tyłu, zbijając go z nóg. Ręka wyskoczyła mu ze stawu. Wyciągnął tulwar i ciał, niemal bez zastanowienia. Z oddali dobiegło zawrozczenie, ciągnąca go siła zniknęła nagle. Kyle zakręcił się wokół osi, jego odrętwiała kończyna kołysała się jak szalona. Potem nadszedł wstrząs, luźny żwir rozprysnął się. Młodzieniec leżał na nim, dysząc ciężko.

Cały czas nieopodal szemrał strumyk. Dzięki temu Kyle wiedział, że nie stracił przytomności. Leżał nieruchomo głównie po to, by odpocząć, a także opóźnić odkrycie, jak poważne obrażenia mógł odnieść. W końcu jednak, gdy nadciągał zmierzch, musiał się pogodzić z faktem, że wymogi ciała nadal mają nad nim władzę – zwłaszcza pełny pęcherz i pusty żołądek. Oparł się zdrową ręką o żwir, a potem usiadł, powoli i boleśnie. Jego druga ręka zwisała bezwładnie

pozbawiona czucia, choć bark bolał go straszliwie, jakby zatopił w nim kły jakiś bies.

Zaczerpnął głęboko tchu i wsparł się na rękę, by wstać. Z pobliskiego drzewa poderwało się do lotu stadko ptaków, z pewnością splezione jego zmartwychwstaniem. Znajdował się na zwirowym brzegu, pośrodku rozwidlającego się strumienia. Wokół niego ku zachodowi płynęła czysta woda, płytka, ale wartka. Widok zasłaniały drzewa. Kyle nigdy w życiu nie widział tak wysokich. Zbliżała się noc i było chłodno. Chłopak ruszył na zachód.

Strumień meandrował, niekiedy płynąc głębokim parowem, zawsze jednak kierował się ku zachodowi. Kyle trzymał się otwartych łąk i zwirow. W końcu, straszliwie zgłodniały, uciął sobie gałąź topoli i wszedł do wody. Stał tam przez długi czas w półmroku, unosząc lancę. W wodzie poruszył się jakiś cień. Rzucił kijem, ale chybił.

W końcu jednak wyszedł na brzeg z nadzianą na patyk rybą. Jedną ręką nabierał w ciemności suchego drewna oraz trawy, a potem uderzał krzemieniem o przyciśnięty kolanem nóż, aż zapłonął ogień. Oczyścił pobieżnie rybę, zawiesił ją nad ogniskiem i usiadł.

Jedząc, dorzucał do ognia kolejne gałązki. Noc stawała się coraz ciemniejsza.

W końcu usłyszał w mroku głos:

– Chłopakowi mogło się coś stać. Może stracił przytomność albo krwawi.

Kyle obejrzał się.

– Dobry wieczór, Wieszka.

– Może jest ranny. – Mężczyzna przykucnął, grzejąc ręce nad ogniskiem. – Wpadł w bogowie wiedzą jakie kłopoty.

Młodzieniec wskazał swój bark.

– Mam ranną rękę.

– Wszyscy trzej biegamy po nocy, szukając ciebie, a ty tu sobie siedzisz i się nażerasz.

- Na świecie jednak jest sprawiedliwość, co?
- Co się stało?
- Coś mnie złapało za rękę. Chyba jest złamana.
- Hmm.
- Gdzie jesteśmy?
- Masz więcej tych ryb?
- W strumieniu jest ich pod dostatkiem.
- Hmm. Bardzo zabawne. Robi się z ciebie dowcipny facet.
- To gdzie właściwie jesteśmy?

Weszka ziewnął, podrapał się po twarzy, a potem położył się, wyciągając nogi.

- Blisko zachodniego brzegu. Widać go z każdego wzniesienia.
- I co teraz?

- Nie mam pojęcia. Pewnie ukradniemy łódź rybacką. Może popłyniemy do Korelu, obejrzeć ten Sztormowy Mur, o którym wszyscy opowiadają.

* * *

Ghelel Rhik Tayliin pozwoliła, by furia narastała powoli w jej żołądku. Ostatnia informacja o rozproszeniu armii zebranej w jej imię przepelniła czarę. Dotarli już na równiny Seti i potrzebny był jedynie forsowny marsz prosto na wschód. Każdy głupi potrafiłby to zrozumieć. A oni podzielili armię. Szaleństwo! Najgorszy wyobraźalny błąd, godny nieudolnego półgłówka. Wszystkie mówiące o strategii dzieła, jakie przeczytała, zgadzały się, że tego nigdy nie wolno robić.

Szare, zdeptane przez ludzi i konie błoto na brzegu Idrynu wsysało jej buty, gdy zmierzała do namiotu dowodzenia, rozbitego obok niezliczonych wozów. Tabor cały czas pozostawał w ruchu. Ciągłe przybywały nowe zapasy. Szła przez labirynt skrzyń, stosów worków oraz zagród. Dziesięciu żołnierzy ze straży osobistej podążało rzut kamie-

niem za nią, choć wyraźnie rozkazała im zostać przy wozie. Jej „Królewskiej Lektyce”, niech to Kaptur porwie!

Za nie do końca określonymi granicami taboru krążyli jeźdźcy Seti, pogwizdujący i strzelający z biczów. Pędzili stada bydła i wołów na wschód. Na wschód? Zostawiali wozy za sobą? Zapatrzyła się na ten spektakl.

Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że poganiacze – Talianie i półkrwi Seti – tręcali się nawzajem łokciami, gapiąc się na nią z uśmiechem. Ublocona diuszesa! Ghelel złapała za końce długiej białej opończy, na której wyszyto białego skrzydlatego lwa, herb jej rodziny, a potem uniosła dumnie brodę, uważając, by owinięty białym jedwabnym sznurkiem hełm nie zleciał jej z głowy.

Poganiacze odwrócili wzrok. Chciała już pogratulować sobie tego małego zwycięstwa, gdy nagle zauważyła, że jej strażnicy wloką się tuż za nią. Przeszyła ich wściekłym spojrzeniem, ale wydawało się, że tego nie zauważyli. Obserwowali okolicę. Potem znowu ruszyła przed siebie, krzywiąc się za każdym razem, gdy wyciągała nogę z twardego, wysysającego błota. Niech bogowie jej wybaczą. To były buty z rhivij-skiej skóry, importowane z Darudżystanu. Z Darudżystanu! Po co ubierali ją w takie kosztowne stroje? Gdy była już blisko namiotu, obejrzała się, słysząc śmiechy i podniesione głosy. Rozebrani do pasa mężczyźni, stojący w błocie i płytkiej wodzie, rozwalali wozy łomami i motykami. Niszczyli je! Niech ich Trake porwie! Po co? Co, na Otchłań, działa się w tym gnieździe szaleńców?

– Zostańcie tutaj! – rozkazała strażnikom i uniosła połę namiotu.

Amaron stał przy prowizorycznym stole, składającym się z desek ułożonych na dwóch beczkach. Za stołem siedział głównodowodzący Choss. Obute nogi położył na taborecie, a twarz zasłaniał mu ręcznik. Żaden z nich się nie ruszał.

– Co ma znaczyć ten obłęd?

Amaron odwrócił się ku niej, unosząc brwi. Ghelel po raz kolejny zaimponował jego wzrost. Choć czary znacznie przedłużyły życie męż-

czynny, pas na jego okrytym kolczugą brzuchu napinał się nieprzyjemnie mocno.

– O jakim obłędzie mówisz... pani?

Ghelel nie potrafiła się uwolnić od wrażenia, że obaj mężczyźni kpią z niej. Brnęła jednak dalej, zdeterminowana bronić swych prerogatyw.

– Po pierwsze, podzieliliście armię.

Amaron zerknął na głównodowodzącego.

– Aha.

Choss usiadł, zdjął ręcznik z twarzy i wsparł ręce na walających się na stole skrawkach papieru. Przypominał Ghelel lwa, naznaczonego bliznami weterana niezliczonych walk, o żyłastych mięśniach i kędzierzawych włosach oraz brodzie. Głównodowodzący odchrząknął.

– Tę sprawę rozstrzygnęliśmy ostatniej nocy, diuszeso. Nie widzieliśmy potrzeby cię budzić.

– Moja obecność jest konieczna podczas wszystkich spotkań dowództwa.

– No cóż, rozumiesz, w polu trudno jest przestrzegać oficjalnego harmonogramu spotkań. Musimy działać szybko!

– To zawołajcie mnie, do licha!

Choss spojrział na Amarona, uśmiechając się blado.

– Proszę bardzo. Pamiętaj jednak, że oficjalnie przekazałaś mi dowództwo, a ja nie mam czasu wyjaśniać ci każdej decyzji.

– Coś mi się zdaje, że teraz go masz.

– Podeszła cię – zauważył rozbawiony Amaron.

Choss podniósł z westchnieniem stojącą na stole karafkę i napełnił kielich winem. Podsunął go Ghelel, ale ta potrząsnęła głową. Usiadł.

– Proszę bardzo. Co mam ci wyjaśnić?

– Słyszałam, że chcesz zostawić około dziesięciu tysięcy ludzi tutaj, na południe od Tali. Bogowie, człowieku, to więcej niż jedna piąta całej armii! Będziemy potrzebować ludzi podczas marszu na wschód.

Mówisz, że Heng może się opowiedzieć przeciwko nam albo przynajmniej podjąć próbę wybicia się na niepodległość. Musimy zastraszyć Itko Kan i Cawn. Niewykluczone, że czekają nas walne bitwy w Bloor, a na koniec jest jeszcze Unta. Sama stolica! Po co się osłabiać przed spotkaniem z wrogiem?

Choss chciał coś powiedzieć, ale jego słowa zagłuszyła nagła fala mucia tysięcy wołów i krów. Towarzyszyły mu wysokie gwizdy oraz nawoływania jeźdźców Seti. Namiotem wstrząsnął tętent kopyt.

- Co tu się dzieje?! - zawołała Ghelel, przekrzykując rejwach.
- Seti pędzą większość naszych zwierząt na wschód.
- Po co?

- Diuszeso, opór stawiany przez Li Heng zakłócił nasz harmonogram - odpowiedział Choss, podnosząc głos. - Musimy szybko dotrzeć do miasta, nim zjawi się tam Laseen z wiernymi jej siłami. Jeśli zdoła nas tam zatrzymać, utracimy impet. Dowódcy i prowincje zaczną wracać do niej. To będzie oznaczało nasz koniec.

- Przecież zapewniałeś mnie, że Laseen zabarykadowała się w stolicy!

Obaj mężczyźni znowu wymienili spojrzenia. Stado bydła minęło ich i hałas ucichł.

- To prawda, diuszeso. Niemniej jej agenci mogą złożyć ofertę Kańczykom. Może zaproponują im uprzywilejowaną pozycję w nowym kondominium... kto wie? Może uda się ich skłonić przekupstwem do obrony Heng. W takim przypadku mielibyśmy przeciwko sobie dwóch nieprzyjaciół. Musimy dotrzeć na miejsce, nim zdążą zawrzeć takie porozumienie.

Ghelel wskazała brzeg.

- Powiedz mi, w czym to nam pomoże, jeśli zostawimy ludzi tutaj?
- Choss wypił wino i odstawił ostrożnie kielich.

- Diuszeso, dawna itkokańska konfederacja nie jest jedynym księstwem, o które musimy się martwić. Na południe od Idrynu leży Dal

Hon...

- Dalhończycy przystali nam zapewnienie o neutralności.

- Oficjalnie tak. Niemniej ogołociliśmy Quon Tali ze wszystkich zdrowych mężczyzn i kobiet zdolnych unieść włócznię. Nie śmiemy zostawić go całkowicie bez obrony. Dalhońska Rada Starszych może dojść do wniosku, że warto odgrzebać stare traktaty zawarte z Heng i pomaszerować na Tali. Dlatego zostawiamy tu dziesięć tysięcy ludzi.

- Nie splamiliby swego honoru, łamiąc zapewnienia...

- Honoru! - Choss walnął pięścią w stół, rozbijając kielich. - Honor? Chwała? Wszystkie te bzdury, o których śpiewają głupkowaci minstrelle! Na wojnie nic z tego nie ma znaczenia! Żołnierz może zachować osobisty honor, tak jest, ale żaden dowódca ani państwo nie może sobie na to pozwolić. Cena jest zbyt wysoka. Zagłada wszystkich, którzy wykonują ich rozkazy. Zamierzam zwyciężyć, diuszeso. To właśnie jest szkoła, w której się uczyłem. Zwycięstwo! Potem będzie mnóstwo czasu, by napisać historię na nowo i przedstawić się w korzystnym świetle. - Uniósł rękę i wytarł krew garścią raportów. - Na razie robimy tratwy. Przy pomocy kilku wsiowych magów oraz szamanów Seti popłyniemy w dół Idrynu tak szybko, jakby ścigał nas sam Kaptur.

- Pójdę po uzdrowiciela - oznajmił Amaron.

- Jeszcze nie - powstrzymał go Choss. - Myślę, że to najlepsza chwila, by powiedzieć Ghelel, co dla niej zaplanowaliśmy.

Uśmiechnął się, owijając rękę tkaniną.

Dziewczyna poczuła, że włoski na jej karku zjeżyły się nagle.

- Tak jest, powiedzcie mi. Być może w skład tych planów wchodzi królewska barka i stu wiosłujących niewolników?

Amaron uśmiechnął się. To był pierwszy szczery uśmiech, jaki u niego widziała.

- Bez obaw, pani. Stroje, wóz i strażę są tylko na pokaz. - Znowu wsunął dłonie pod naciągnięty pas. - Dziewczyno, mamy tylko jednego maga godnego tej nazwy. To żart w porównaniu z tym, jak

sprawy wyglądały w dawnych czasach. Jeśli chodzi o ciebie, jedyny korzystny dla nas fakt wygląda tak, że absolutnie nikt nie potrafi cię wiarygodnie zidentyfikować. Rzecz jasna, obserwujemy z uwagą twoją przybraną rodzinę, ale poza nią jest tylko garstka ludzi, których mógłby wykorzystać, by dostać się do ciebie. Na przykład Quinn. Temu właśnie służy ta maskarada z lektyką i kostiumem. – Wskazał jej opończę. – Chcemy, byś uwolniła się od tego wszystkiego podczas podróży rzeką. Przygotowaliśmy dla ciebie nową tożsamość.

Przyjrzała się obu mężczyznom. Sprawiali wrażenie bardzo zadowolonych z siebie. To byli spiskowcy. Teraz to widziała. Obaj uwielbiali knuć spiski. Któż inny mógłby zdobyć znaczenie w otoczeniu staro cesarza?

– Nową tożsamość. Rozumiem. Powiedzcie mi, proszę...

– Będziesz oficerem – wyjaśnił Amaron. – W kawalerii. Stary tytuł to chyba rotmistrz. W Straży Pogranicznej.

– W Straży Pogranicznej! Pod rozkazami markiza Jhardina? To sami weterani. Na granicach Nom Purge ciągle grasują łupieżcy. Nigdy mnie nie zaakceptują.

– Cały czas przyjmują nowych rekrutów. I wszyscy słuchają rozkazów markiza.

– A co on wie?

– Tylko to, co konieczne. Resztę zostawiam twojej decyzji. Sugeruję, byś trzymała się blisko prawdy, jeśli chodzi o twoje dzieciństwo. Na przykład jesteś córką ubogiej, szlacheckiej rodziny, która wydała wszystkie pieniądze, by kupić ci patent oficerski.

Skinęła z niechęcią głową. Wszystko było lepsze niż ten przeklęty malowany wóz i śmieszny kostium.

– Kiedy?

– Molk poda ci wszystkie szczegóły. Będzie udawał twojego służącego.

Ghelel uniosła rękę.

– Przepraszam, czy powiedziałeś: służącego?

Amaron pokiwał głową z poważną miną.

– Och tak.

– Chyba nie takiego, o jakich ciągle słyszę? Wszyscy ci przyboczni, adiutanci i sekundanci w taliańskich wojskach?

Choss i Amaron wymienili ironiczne spojrzenia.

– Och tak, diuszeso. Taliańska armia postanowiła wrócić do starych rozwiązań. Przedmalazańskich. Każdy szanujący się oficer musi mieć służącego, a nawet dwóch albo trzech: stajennego do koni, adiutanta, który będzie dbał o codzienne obowiązki, a nawet przybocznego, towarzyszącego mu podczas bitwy. Ponieważ jesteś uboga, będziesz mogła sobie pozwolić tylko na jednego.

Królowo Misteriów, nie. On się garbi, śmierdzi, a do tego ma zęza.

– Tylko nie on. Każdy, tylko nie on!

Z twarzy Amarona nie zniknął uśmiech. Mężczyzna był bardzo z siebie zadowolony.

– Och tak, pani, on. To znakomity kandydat.

* * *

Zachodnią część palisady trawił ogień. Porucznik Rillish widział w blasku płomieni sylwetki ludzi broniących jej wschodniego odcinka. Stał za ostatnią barykadą z worków i drewna, odchodzącą od kamiennych koszar ulokowanych pośrodku fortu. Budynki były już pełne rannych. Sierżant Żyłka zawiadomił go, że Wickanie wycofali się do krypty magazynowej, wykopanej pod budynkami. Ta wiadomość przygnębiła porucznika jeszcze bardziej, brakowało mu jednak sił, by się nad nią zastanawiać. Wszystkie pochłaniało ustanie prosto. Z mroku nad północną ścianą wyleciał oszczep. Rillish uniósł oba miecze, by go odbić. Zachwiał się pod wpływem uderzenia. Dwaj strażnicy przydzieleni przez Żyłkę podtrzymali go, jednocześnie unosząc wielkie tarcze. Potem posypały się strzały, uderzając z łoskotem

w warstwy drewna, skóry i miedzi. Niech ich szlag, mieli teraz przewagę. Rillish wezwał gestem sierzanta.

Żyłka potruchtał ku niemu przez ziemię niczyją, jaką stał się plac apelowy. Ścigały go strzały i rzucane pochodnie.

– Już niedługo! – ryknął, przekrzykując huk ognia, szczęk mieczy oraz wrzaski oblegających. Rozciągał ukryte pod brodą usta w uśmiechu idioty, jak zawsze podczas bitwy.

– Wydaj rozkaz. Podpalamy resztę i wycofujemy się! – zawołał Rillish.

– Tak jest.

Porucznik zwrócił się ku strażnikom.

– Zostańcie tutaj. Wszyscy mają się trzymać, by osłaniać odwrót.

Obaj żołnierze zasalutowali.

– Tak jest.

Oparli tarcze o stopy drewna i unieśli kusze. Rillish ruszył ku drzwiom budynku. Utykał i pochylał się nisko. Nasunęła mu się myśl, że z takimi ludźmi mógłby wygrać każdą bitwę – pod warunkiem, że miałby ich wystarczająco wielu.

W środku było ciemno. Śmierdziało tam gnijącymi ciałami i skrzepłą krwią. Skrzywił się, zakrywając twarz dłonią. Oczy powoli przywykły mu do ciemności i ujrzał godną szaleńca wizję królestwa Kaptura. Drewnianą podłogę pokryły płyny ustrojowe i krew, spływające z leżącego przy drzwiach stosu, który powoli przerodził się w jego oczach w stertę nagich, amputowanych rąk i nóg. Przy wąskich szczelinach okien siedzieli ludzie. Ci, którzy nadal mieli dwie sprawne ręce, trzymali w nich łuki albo kusze. Pozostali wspierali ich, trzymając piki i kołczany. Jednoręki mężczyzna próbował naciągnąć kuszę. Rillish zrobił to za niego.

– Fessel! – ryknął. – Gdzie jesteś, człowieku? Co to wszystko ma znaczyć?

– Uzdrowiciel nie żyje, poruczniku – poinformował go kusznik.

- Nie żyje?

- Tak.

- Co się stało?

- Staruszek Fessel przez całą noc nie chciał korzystać z Denul. Płakał i mamrotał, a potem nagle padł trupem. Serce, poruczniku. Chyba po prostu nie wytrzymało.

- Co się stało? Czy był chory?

- Nie mam pojęcia. Pod koniec beczał jak dziecko. Powtarzał: „Proszę, przestańcie. Nie, Musicie przestać. Soliel, zmiłuj się, nie”. Ale jednocześnie pomagał nam, jak tylko mógł. To było cholernie dziwne, poruczniku.

- Wickanie?

- Siedzą na dole, poruczniku. Cicho jak myszki.

- Znakomicie.

Rillish podszedł do otwartej kłapy. Mroczny korytarz o ziemnych ścianach opadał w dół. Ułożono w nim schody z płaskich, rzecznych kamieni. Ktoś zdrowo się tu napracował, odkąd porucznik ostatnio odwiedzał kryptę.

- Udep! Sam Trake idzie do nas! Chwila nadeszła, człowieku!

Ciemność. Migotliwy blask czegoś, co mogło być pochodnią płonąca w odległym rogu piwnicy. Rillish wpatrzył się w mrok. Za gardło złapał go nieokreślony lęk. Smród zakrzepłej krwi był tu jeszcze silniejszy. Przypomniawszy sobie dziwaczne zachowanie hetmana i szamana podczas ich ostatniej rozmowy. Udep wyraźnie próbował go przed czymś ostrzec, a w oczach Czystej Wody błyszczało coś bliskiego szaleństwu.

Nie. Nie mogli tego zrobić. Ich własne dzieci. Czy jednak niewola nie byłaby dla Wickan gorszym losem? Opuścił korytarz z jego zapowiedzią grozy. Być może wszyscy spotkają dziś koniec - Wickanie na swój sposób, a on i jego ludzie na swój.

- Wycofują się, poruczniku! - zawołał ktoś spod okna.

– Tak. – Rillish otrząsnął się, przeklinając głupców, którzy zeszedli pod ziemię. Śpieszyli się na spotkanie z Kapturem, do cholery? Były tu setki takich, którzy z radością by ich do niego wysłali. Czemu nie zginąć z żelazem w dłoni? – Tak jest! Osłaniajcie ich. Pokażcie, jak walczą żołnierze!

– Za Czwartą! – zawołała jakaś kobieta.

– Za imperium! – poprawił ją porucznik.

– Za imperium! – zakrzyknęli chórem mężczyźni i kobiety stojący pod ścianą.

Rozległ się ogłuszający ryk. Pod niebo buchnęły oslepiające płomienie. To eksplodowały łatwopalne materiały zgromadzone u podstawy ocalałych części palisady. Krzyki oblegających zagłuszyły na chwilę nawet huk pożaru. Złocisty blask oświetlił korytarz i Rillish zdołał się zmusić do zejścia do krypty.

Na dole buty zapadły mu się w miękką ziemię. Uklęknął, pomacał wokół urękawiczoną dłonią i uniósł garść gleby. Ścisnął ją i zobaczył w świetle płomieni ciemny płyn ściekający mu z palców. Ziemia nasiąkła krwią.

Jakaż nadludzka wola... Wytrzeł rękę o ścianę, ale cofnął ją nagle. Była ciepła. Wszystkie ściany komory promieniowały niezwykłym gorącem. Ogień? Gdy wzrok przywykł mu do ciemności, porucznik wypatrzył zarysy nóg, które tworzyły coś w rodzaju przejścia wiodącego ku tylnej ścianie. W blednym świetle jedynej pochodni czekała tam nań jakaś postać.

Ruszył w tamtą stronę. Po obu stronach leżeli starcy. Wszystkim wyrwano serca. Nigdzie nie widział dzieci ani żadnych śladów walki. Na martwych twarzach malowały się spokój i rezygnacja. Buty ślizgały mu się i zapadały w wilgotną, błotnistą ziemię. Zaatakowała go fala dziwnego, parnego ciepła. Tuż za pochodnią i nieruchomą sylwetką zaczynała się nieprzenikniona ciemność.

Podszedł bliżej i poznał szamana. Czysta Woda klęczał. Przerażony Rillish zauważył, że podtrzymują go dwie włócznie, wbite w plecy

i krzyżujące się poniżej piersi. Po drzewcach spływała krew, gromadząca się na ziemi.

O dziwo, szaman uniósł głowę. Rillish zatoczył się do tyłu, łapiąc za rękojeści obu mieczy.

- Witaj, Malazańczyku – wydyszał Czysta Woda.

Porucznik zaniemówił. Z góry dobiegał odgłos kroków na drewnianej podłodze i było słychać krzyki proszących o pomoc przy obronie ostatniej barykady za drzwiami. Wiedział, że jeśli ten szaniec padnie, koniec nadejdzie szybko.

- Czysta Woda, co wy zrobiliście? – zdołał wreszcie wykrztusić.

Szaman uśmiechnął się z okrutnym triumfem. Obejrzał się na ciemność za kręgiem światła pochodni.

- Nie dopuszczono nas do jednej walki, więc znaleźliśmy sobie inną. I zwyciężyliśmy, choć koszt był straszliwy. Przyprawdź swoich ludzi. Kupiliśmy dla nich drogę.

- Jak to kupiliście? Od kogo?

Szamanem targnęły drgawki. Jego tułów osunął się o szerokość dłoni w dół.

- To droga ucieczki, głupcze – wyjaśnił, rozchylając pobladłe usta.

- Kupiliśmy życie dla naszych dzieci i twoich ludzi. To miejsce było niegdyś święte. Dla naszych przodków. Krew ich przywołała, jak zawsze. Ale byli głodni. Tak bardzo głodni! Ledwie im wystarczyliśmy. Idź po swoich ludzi. Ja podtrzymam drogę.

- A dokąd ona wiedzie?

Odpowiedział mu krótki śmiech przerwany stęknieniem bólu.

- Niedaleko stąd. Idź już.

Rillish pobiegł ku wyjściu, ślizgając się na błocie.

- Przyślijcie tu sierżanta Żyłkę! – ryknął.

Zdołał ewakuować trzydzieścioro dwoje mężczyzn i kobiet ze swojego oddziału, nim płonący dach budynku zmusił go do odwrotu. Na koniec pomógł jeszcze lżej rannym, niosącym tych, którzy nie byli w stanie chodzić. Zgiął się wóół, nogę przeszywał mu ból. Nie mógł już dłużej czekać. Podtrzymała go żołnierka zamykająca kolumnę. Razem zamknęły kłapę, by osłonić się przed szalejącym pożarem.

- Gdzie sierżant Żyłka?

- Przeszedł pierwszy, poruczniku - odparła kobieta.

- Świetnie. Teraz kolej na nas.

- Tak jest, poruczniku. Ty pierwszy.

- Nie. Opuszczę fort ostatni.

Uśmiechnęła się. Miała ciemną twarz, taliańską, może nawet w części dalhońską. Jej skryte pod kolczugą bary były szerokie jak u mężczyzny.

- Wybacz, ale tak rozkazał sierżant.

Przez luki między deskami kłapy do korytarza napływał blask ognia. Ruszyli w dół, pochylając się nisko.

- Nie ma na to czasu, żołnierko. Ty przejdziesz pierwsza.

- Tak jest - odparła, salutując.

Kobieta zatrzymała się przed plamą ciemności. Wyjęła krótki miecz i zdjęła z pleców tarczę.

- Życzę szczęścia, żołnierko - rzekł Rillish.

- Ehe. Niech mnie Kaptur oszczędzi - warknęła. Odmówiła krótką modlitwę, ruszyła naprzód i zniknęła.

Rillish odwrócił się ku nieruchomej postaci Czystej Wody. Głowa szamana opadła na pierś, przetluszczone włosy przesłaniały mu twarz. Porucznik uklęknął obok niego.

- Czysta Woda? Słyszysz mnie? Nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję ci... Dziękuję za życie moich ludzi.

- Nie dziękuj za uczciwą umowę - odpowiedział mu ochryply szept. - Dotrzymaj jej.

Rillish wyprostował się.

– Tak.

Spojrzał w stronę ciemności, dotknął rękojeści untańskiego miecza pojedynkowego i przeszedł na drugą stronę...

Znalazł się w lesie: wysokie, iglaste drzewa, śpiew ptaków, jakiś ruch między grubymi pniami – wielki jelen? Kolejny krok zaprowadził go w chłodną noc. Podtrzymały go dłonie Żyłki i żołnierki. Spojrzał w górę i uspokoił go widok znajomych gwiazdozbiorów: Bliźniaków, Wilka i szerokiej Ścieżki Światta.

– Gdzie jesteśmy?

– Niedaleko na zachód od fortu – odparł Żyłka. – Ze wzgórza widać pożar.

Rillish rozejrzał się. Znajdowali się w głębokim parowie, wyschniętym korycie rzeki. W pobliżu nie było nikogo.

– Gdzie reszta? I dzieci?

– Poszły na północny zachód, poruczniku. Nie mogłem ich powstrzymać. Mówiły, że Czysta Woda wskazał im kierunek. Wysłałem ludzi z nimi.

– Znakomicie, sierżancie.

– Pójdziemy za nimi? – Za wzgórzem na wschodzie pojawiła się błada pomarańczowa luna. Rillish przyglądał się jej przez pewien czas. – Chcesz jeszcze raz spojrzeć na fort, poruczniku?

Rillish skrzywił się z bólu, złapał za nogę i odpędził od twarzy nocne muchy.

– Nie, sierżancie. Wszystko w porządku. Lepiej już ruszajmy.

– Tak jest. To nasza przewodniczka.

Żyłka wskazał zbrocze. Stojąca tam szczupła wickańska dziewczynka machała ku nim niecierpliwie.

Żołnierka włożyła tarczę na plecy i podtrzymała porucznika. Rillish jej na to pozwolił.

Od kilku dni na zachodnim Morzu Podróżnika pogoda była wyjątkowo spokojna. Rankiem szóstego dnia Blask jak zwykle zajęła miejsce obok Jhepa, sternika *Obieżyświata*. Miała na sobie tylko długą, płócienną koszulę i pantalon, lecz zimny wiatr jej nie przeszkadzał. Jeden z marynarzy przyniósł jej gorącą herbatę. Popijała ją, wpatrując się w morze na północnym horyzoncie. Narastał tam szmaragdowy nimb, migoczący jak światła oglądane niekiedy na nocnym niebie. Rytuał Czepca. Niepokoiło ją to. Za bardzo polegali na niezwykłej – jak to ujął wielki mag? – uległości Ruse. Instynkt mówił Blask, by nie ufała pozorom – bo z pewnością nie było to nic innego. Zwłaszcza jeśli w grę wchodziła pradawna moc. I jeszcze ten demoniczny pośpiech... Nie widziała powodu, by tak się śpieszyć na Quon. W gruncie rzeczy wskazane byłoby raczej zwlekanie, szczególnie że zostawili za sobą nierozwiązaną sprawę.

Spojrzała na *Gedrandą*, trzypokładowy zdobyczny kurzański okręt, który Oprawca zagarnął na swą kwaterę. Choć jego obecność była nieocenionym wzmocnieniem dla ich Ślubów, Blask wolałaby, żeby nie wrócił. Krzywiła się teraz na sam jego widok. Gdzie się podział człowiek, którego kiedyś znała? Kim był ten impersonator? Jej źródła mówiły, że nikt jeszcze nie widział go bez zbroi. Ponoć nawet spał w niej na siedząco. Blask nigdy też nie widziała drugiej podobnej. Czym była ciemna, błyszcząca patyna, która ją pokrywała? Oprawca nie krył, że zbroja jest darem od jego patronki, Ardaty z Jacuruku. Była to jakaś królowa-czarownica, być może Ascendent, z owych odległych krain. Oprawca nie taił też, że byli ze sobą blisko. Czy zostali kochankami? Blask poczuła dotknięcie zimnego wiatru i oplotła się rękoma. Była pewna, że nadal kierują nim Śluby. Jakie jednak inne, mniej potężne przysięgi mógł złożyć w ciągu minionych lat? Wylała za burtę wystygłą herbatę.

– Zawołaj Dymka – rozkazała stojącemu w pobliżu żołnierzowi.

- Tak jest.

Po chwili mag wyszedł na rufę. Wspierał się ręką o nadburcie, a twarz miał bladą. Blask nie mogła powstrzymać uśmiechu. Dymek zawsze źle się czuł na morzu.

- Czy poszukiwania coś dały? - zapytała, gdy podszedł bliżej.

- Nie, dowódco.

Rozczochrane, przetłuszczone włosy maga opadały na białą jak mleko twarz. Dymek przymrużył powieki, wpatrując się w zielonkawą kurtynę światła rozpościerającą się teraz nad wodami.

Sierzanci przynieśli Blask zbroję. Uniosła ręce, by mogli jej włożyć przez głowę pikowany aketon, a potem opadającą do łydek koszulę kolczą, rozciętą z przodu i z tyłu.

- Wypytałeś Braciszków?

- Tak. Zapewniają, że nic tamtej nocy nie widzieli. Twierdzą wręcz, że, ponieważ nic nie widzieli, nic się nie mogło wydarzyć.

- A Przechył nie pojawił się wśród nich.

- Nie. Nie ma po nim żadnego śladu.

- Czy ich skorumpowano?

To pytanie zaskoczyło Dymka. Obrzucił Blask zaniepokojonym spojrzeniem.

- Nie sądzę, by to było możliwe... - odparł z namysłem.

- W takim razie zostaje tylko możliwość, że chłopak rzeczywiście był szpiegiem. I miał potężnych sojuszników.

- Tak. Fakt, że udało mu się uciec, z pewnością to sugeruje.

Blask przyjęła od żołnierzy hełm oraz miecz i odesłała ich skinieniem dłoni.

- Chyba że ci, którzy go ścigali, nie starali się zbytnio.

Mag uniósł bezwłose brwi.

- Takiej możliwości nie rozważałem. To prowadzi w... hmm... niezдоровym kierunku.

Włożyła hełm i zamknęła zasłonę.

- To właśnie sugerował Szara Grzywa.

Dymek zerknął na szerokie plecy stojącego na dziobie renegata.

- Rozumiem... tak, to ma sens. Był blisko, ale nie jest Zaprzysiężonym i w związku z tym nie dzieli naszych ślepych punktów. Potrzebny nam ktoś z zewnątrz, tak? Dziękuję, dowódcu.

- Rzecz jasna, Braciszkanie nadal w pełni popierają Oprawcę.

- Nigdy nie przestali domagać się uderzenia na Quon.

- No właśnie. Ich priorytety niekoniecznie muszą się pokrywać z naszymi.

- To prawda. Niemniej „przekupiono” to może być za mocne słowo. - Dymek odgarnął z twarzy targane wiatrem włosy. - Być może raczej „przekonano” albo „skuszono”?

Blask przypasała biczomiecz, poprawiając jego ciężar na biodrach.

- Niewykluczone. Czy nie powinieneś dodać do rytuału swej mocy?

- Bogowie, nie. Jestem tylko pomniejszym magiem bojowym władającym Telas, choć przyznaję, że w chwilach inspiracji dostrzegam przebliski pradawnej Thyrllan. Jak się zapewne domyślasz, to nie sprzyjałoby zbyt ich wysiłkom mającym na celu okiełznanie Ruse.

- Skoro tak mówisz, magu.

Po raz kolejny pożałowała, że nie zatrzymała Bluesa i jego ostrza blisko siebie. Oni jednak uznali, że warto podjąć to desperackie ryzyko. Było już za późno na żale. A co z Cal-Brinnem? Jaki los spotkał jego oddział? Bardzo by chciała poznać jego opinię o tej rytualnej magii.

- Blask...

- Słucham?

- Bądź ostrożna.

Skinęła głową.

- Mogłabym to samo poradzić tobie.

Dymek prychnął lekceważąco i ruszył w stronę dziobu.

Przez cały ranek luna przybierała na sile, przechodząc w migotliwą, zieloną i ciemnofioletową zasłonę. Towarzyszył jej nieustanny łoskot gromów. Gdy, czekając na odpowiedni moment, Czepiec i inni Zaprzysiężeni magowie się przygotowywali, rozdarcie, portal, czy co to właściwie było, posuwało się w stałej odległości około stu kabli przed nimi. Morze wysuwające się spod portalu nabierało szmaragdowego odcienia, wypełniały je pęcherzyki, jakby kipiało energią, i – co jeszcze bardziej niepokojące – unosiły się na nim kawałki drewna oraz inne odpadki zwykle zbierające się na brzegu. Na środkowym pokładzie kurzański pierwszy oficer wykrzykiwał rozkazy: zwijano żagle, ludzie zabezpieczali ekwipunek. Blask rozpoznawała przygotowania do nadchodzącego szkwału.

Co ukrywała zasłona? Blask słyszała typowe legendy i opowieści o wirach oraz niszczycielskich sztormach czekających na każdego głupca, który okazałby się tak bezczelny albo zdesperowany, żeby spróbować się wdrzeć do królestwa Maela. Wszystkie one pochodziły jednak z dawnych czasów i mogły być jedynie wytworem wyobraźni. Prawdę mówiąc, nikt nie wiedział, co tam spotkają. Ani żaden z ich dwunastu magów, ani Zaprzysiężeni, ani marynarze. O tych, którzy naprawdę odważyli się tam zapaść, zaginął słuch.

Po co ten koszmarne pośpiech? Ten szalony rejs na Quon? Flotę wyprzedziły tylko trzy okręty: *Obieżyświat*, *Gedrand* i *Pustułka*. Co prawda, płynęła na nich większość Zaprzysiężonych, ale co Oprawca miał nadzieję osiągnąć z tylko dwoma tysiącami ludzi?

Na obu burtach płynącego obok *Gedranda* powiewały flagi. Stojący na dziobie Dymek unosił ręce, porozumiewając się z innymi magami. Już niedługo, pomyślała Blask i objęła ramieniem bezanmaszt. Brama przestała się poruszać i czekała na nich, wysoka na wiele sążni. Przypominała ogromny wodospad spływający znikąd. Blask uległa na

moment wrażeniu, że brama jest w rzeczywistości powierzchnią morza, a oni niepowstrzymanie spadają ku zagładzie.

Toggu, Oponn, Pożogo i Fanderay, brońcie nas. Kaptureze, przyglądaj się, bo nigdy nas nie dostaniesz!

* * *

Gdy dziób statku przebił barierę, Blask zobaczyła jeszcze Dymka, który unosił ręce, jakby chciał odepchnąć jakąś wizję zguby, a także Szarą Grzywę. Malazański renegat ugiał kolana i wyciągnął rękę z owiniętą wokół niej liną. Potem rozległ się ryk... nie, syk, szum. Blask pogrążyła się w bramie i nic już nie widziała...

* * *

Nagły wstrząs, gwałtowny jak uderzenie młota, obalił ją na pokład. Usłyszała trzask pękającego drewna, a potem głuchy, przeciągły łoskot ogromnego ciężaru – złamanego masztu – padającego na pokład oraz krzyki ludzi. Następnie rozległ się posępny plusk wody i wreszcie zapadła cisza, maćona jedynie jękami rannych. Blask wstała, pocierając bark w miejscu, gdzie doszło do zetknięcia z masztem.

– Człowiek za burta! – zawołał ktoś.

– Człowiek za burta! – powtórzyło odległe echo.

Blask spojrzała w lewo. *Gedrand* kołysał się na falach. Jeden z jego masztów złamał się w dwóch trzecich wysokości i zwisał bezwładnie na olinowaniu.

– Co z *Pustułką*?! – zawołała.

– Też jest z nami! – odpowiedział jej słaby głos.

Ehe. Ale gdzie?

– Dymek!

– Wypadł za burta – odpowiedział jeden z Gwardzistów.

Podeszła do relingu. Ludzie pływali w wodzie pełnej fragmentów statków oraz wyblakłego drewna. Szczątków było tak wiele, że rzućcane na dół liny prawie się nie moczyły. Blask zauważyła, że mag o kręconych włosach uczeplił się kłody. Coś z tą wodą i horyzontem było nie w porządku, nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać.

- Kapitanie! - Kurzański kapitan i jego pierwszy oficer podbiegli do niej. - Raport!

- Szczeliwo puściło - oznajmił pierwszy oficer, pociągając się za bujną, czarną brodę. - Nabieramy wody.

- Możecie to naprawić?

Wzruszył z rezygnacją ramionami.

- Musimy spróbować.

- Znakomicie. Skierujcie ludzi do pomp i wybierania wody. Tylu, ilu będzie trzeba. Możecie odejść. - Podeszła do starego sternika, Jhepa, by pomóc mu wstać. Najwyraźniej oberwał szeroką, drewnianą rączką. - Przyślijcie do mnie maga! - zawołała.

- Tak jest - odpowiedział ktoś.

Posadziła Jhepa obok steru, który był nieruchomy, mimo że nikt go nie trzymał. Blask zmarszczyła brwi i dotknęła koła ręką, próbując wyczuć jakikolwiek ruch. Nic. Byli uwięzieni w ciszy morskiej. Nie tego się spodziewała.

- Dowódco.

Spływająca na deski pokładu woda powiedziała jej, że zjawił się Dymek. Przyjrzała się oczom sternika. Patrzyły przed siebie, a źrenice były tej samej wielkości. Potrafiła poznać oznaki zagrożenia. Lata spędzone na wojacze nauczyłyby każdego podstaw opieki nad rannymi.

- Zajmij się tym, Dymek.

- Tak jest, dowódco. Widziałaś?

- Co miałam widzieć? Byłam zajęta.

Mag zatoczył ręką szeroki krąg. Wpatrywał się w dal, a w jego oczach malowała się trwoga.

- No to lepiej popatrz - rzekł tonem głębokiego niepokoju.

Podeszła do burty, uniosła wzrok i zatrzymała się nagle. Jej dłonie znieruchomiały na skrytych pod kolczugą barkach. To, co uważała za odległe wyspy - źródło drewna i odpadków - było w rzeczywistości czymś zupełnie innym. Ze wszystkich stron otaczały ich nieruchome statki, ciągnące się od horyzontu po horyzont.

Absolutna cisza przygniatała Blask swym ciężarem. Morze statków widm. Większość najbliższych to były galery, choć dalej widziała też znacznie większe jednostki o wielu rzędach wiosel. Jeden z nich, odległy o wiele mil, musiał być naprawdę ogromny, by wyrastać nad morze szarego drewna. Zauważyła, że cała załoga wyległa na pokład. Wszyscy stali przy burtach, gapiąc się na morze. Czyżby rzucono na nich jakiś czar? Nie, zapewne sam widok był wystarczającym wyjaśnieniem.

- Dymek - zdołała wykrztusić. - Co to jest?

- Mnie o to pytasz?

- To Ławice - powiedział ktoś po kurzańsku martwym, bezbarwnym głosem.

Blask odwróciła się. To był Jhep. Jego oczy utraciły wszelki wyraz.

- Ławice? Nie rozumiem.

Wzruszył słabo ramionami.

- To legenda. Stary mit. Miejsce, gdzie bóg morza wysłał tych, których przeklął. Albo którzy go czymś obrazili. Może tu właśnie lądują wszyscy żeglarze próbujący korzystać z Ruse, hej? Nic dziwnego, że nikt nic o nich nie słyszał.

Jego śmiech przeszedł w kaszel.

Uderzył się w głowę. To na pewno dlatego. Alternatywa... bogowie! Nic dziwnego, że nie napotkali oporu. Wejść tu było łatwo. Za to wyjście, no cóż, wyjścia nie było.

- Musi być jakieś inne wyjaśnienie. Prądy wsteczne...

- Tu nie ma prądu - zauważył Dymek.

– No cóż, każdy statek z czasem zatonie.

– Nie. W tym morzu nie da się zatonać.

Poirytowana Blask zwróciła się w stronę maga.

– Wyjaśnij mi to, niech cię Kaptur!

Cawniczek uśmiechnął się, dotykając palcem języka.

– Sól. Nigdy nie czułem smaku bardziej słonego morza. Nic w nim nie utonie. Nawet ja utrzymywałem się na powierzchni, a przecież nie umiem pływać.

Blask podbiegła do nadburcia i zacisnęła na nim dłoń. Niech szlag trafi Maela! Niech szlag trafi tych durnych magów, którzy swą arogancją skazali ich na taki kres. Niech szlag trafi Czepca! Kaptur z pewnością rechotał wniebogłoso. Nie musiał wcale się trudzić, by ich dorwać. Sami weszli mu w ręce!

Uśmiechnęła się ironicznie na tę myśl. Cóż za symboliczna sprawiedliwość! Zdjęła hełm. Potwierdziło się żywione przez nią po cichu przekonanie, że na świecie istnieje równowaga i wszystko z czasem do niej powraca. Najczęściej w zupełnie nieoczekiwany sposób.

Spojrzała na Dymka.

– I co teraz, magu? – Wskazała otaczające ich pole martwych statków. – Mógłbyś rozpętać tu niezły pożar, by dać Maelowi nauczkę, hej?

Rozczochrany mag spoglądał jednak gdzieś w bok. Na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. W mokrych szatach przypominał utopionego szczura, woda wysychała już jednak, pozostawiając białą skorupę soli.

– Coś się dzieje z *Pustułką* – oznajmił.

Blask odwróciła się błyskawicznie. Za połamanym takielunkiem *Gedranda* można było zobaczyć wysokie maszty ich trzeciego okrętu. Na najwyższym z nich powiewały flagi sygnalizacyjne.

– Kapitanie! Dymek!

– Tak jest.

Wyczuła, że Dymek wysłał sonde, wzruszył jednak ramionami. Nic nie znalazł. Kapitan wybiegł spod pokładu. Wycierał po drodze ręce, był mokry do pasa. Przyjrzał się sygnałom.

– Ruszajcie na górę!

Marynarze zaczęli się wspinać na reje.

Gdy jeden z nich wdrapał się na szczyt grotmasztu, rozejrzał się i wyciągnął rękę.

– Światło! Odległa luna. Coś jakby magia.

– Jaki namiar?! – ryknął kapitan.

Marynarz rozpostarł ręce w geście wyrażającym bezradność.

Tak jest. Jaki namiar? Blask spojrzała na blade, niemal bezbarwne niebo i monotony horyzont. Kto potrafi to określić w takim miejscu?

– Wskaż kierunek! – zawołał kapitan. – Pilot, zaznacz go.

Kurzański marynarz spojrzał na mężczyznę na maszcie, odwrócił się i uniósł do oka dysk z brązu, by spojrzeć przez szczelinę. Blask widziała instrument i wiedziała, że są w nim otwory, cienkie jak zrobione igłą. Pilot skinął głową do kapitana.

– Zaznaczony.

Kapitan splótł dłonie.

– Świetna robota, pilocie. Ludzie, opuścić szalupy! – ryknął. – Wioślarze, przygotować się!

– Tak jest!

Blask zaczęła rozpinąć pas. Spojrzała na *Gedranda*. Na drugim statku podjęto taką samą decyzję. Marynarze schodzili już do szalup. Cisza zmusiła ich do wiosłowania ku bramie – jeśli tym rzeczywiście była luna. Blask potrafiła sobie wyobrazić, jak trudne zadanie ich czeka. Będą musieli wiosłować pośród nagromadzonych przez tysiąclecia szczątków! Odpychać ze swej drogi przegniłe okręty! Kto wie, jak długo to potrwa. Byli jednak Zaprzysiężonymi. Utorują sobie drogę prędzej czy później. Żadne zadanie ich nie przerastało. Cóż w końcu znaczył dla nich czas? Dla Blask ta perspektywa wydawała się teraz

czymś naturalnym, wiedziała jednak, że śmiertelnicy nigdy nie zrozumieją jej punktu widzenia. Podejrzewała, że czyni to Zaprzysiężonych czymś w rodzaju odrębnego gatunku.

Obejrzała się na pas zniszczeń, utworzony przez przybycie ich okrętów. No cóż, Maelu. Porzuciłeś nas tutaj, a potem pokazałeś nam w oddali drogę ucieczki. Dlaczego? W jakim celu?

A może to miała być nauczka? Przepuszczę was, Zaprzysiężeni, ale nigdy nie wracajcie. Oto co na was czeka. Możecie odejść, ale nie mam zamiaru ułatwiać wam zadania.

* * *

Po dotarciu do brzegu morza zwrócili się na południe, cały czas kryjąc się za osłoną drzew. Głusza i Weszka badali drogę przed nimi oraz polowali, Skradacz zaś towarzyszył Kyle'owi. Chłopak był niezadowolony. Czuł się bezużyteczny, prawą rękę miał na temblaku. Nie musiał już uciekać jak szalony i miał czas zastanowić się nad swą sytuacją. Poczul się zaniepokojony. Szczerze mówiąc, wszystko to było cholernie tajemnicze. Zaprzysiężona i szamanka mówiły, że ma jakąś osłonę. Co to miało znaczyć? Kto go osłaniał? Czy może raczej co? Co więcej, nie chciał być niewdzięczny, ale dlaczego ci trzej mężczyźni zadawali sobie tyle trudu, by go uratować? Wyglądało na to, że rzeczywiście zdezerterowali. Ale czemu zrobili to akurat teraz i z nim? Z drugiej strony to mogła być dla nich najlepsza okazja. We czterech mieli większe szanse niż we trzech. Skradacz powiedział też, że Gwardia odpłynęła na Quon...

Kyle zatrzymał się nagle. Skradacz szedł jeszcze chwilę, a potem również przystanął, opierając dłoń o pień sosny.

– Co się stało?

Młodzieniec wzruszył ramionami, poprawiając temblak.

– Coś mi przyszło do głowy. Mówiłeś, że Gwardia miała już odpłynąć, gdy zgłosiliście się na ochotnika do pościgu za mną. Jak mieliście

potem dogonić resztę?

Zwiadowca przesunął hełm w górę i startł pot z czoła.

- Dopiero teraz na to wpadłeś? Wydawało mi się, że to oczywiste. - Uniósł bukłak i trysnął sobie do ust strumieniem wody. Podsunął naczynie Kyle'owi, ale ten potrząsnął głową. Mężczyzna wskazał widoczne na zachodzie migotliwe morze. - Mieliśmy zaprowadzić cię na brzeg, znaleźć łódź i pożeglować na Quon.

- To nie jest śmieszne, Skradacz.

Zwiadowca otarł kropelki z wąsów, uśmiechnął się i rozejrzał w poszukiwaniu miejsca, gdzie można by usiąść. Zdecydował się na omszały głąz.

- Przepraszam. - Zdjął hełm i potarł mokre od potu włosy. - Nie bój się chłopcze. To był żart. - Skinął na Kyle'a, zapraszając go, by usiadł. - Nie, naprawdę zdezerterowaliśmy z Gwardii. W niej nie ma przyszłości.

Kyle usiadł obok niego.

- Nie rozumiem.

- Nie ma szansy na awans, tak? Zresztą oni są okaleczeni. Zgniją, chyba że coś nimi potrząśnie.

- Zaprzysiężeni nie robią wrażenia zgnitych. Są silni.

Zwiadowca zbył jego słowa machnięciem dłoni.

- Nie o to mi chodzi. Chciałem powiedzieć, że oni są ślepi na terażniejszość. Żyją w przeszłości. - Potarł zawieszony na szyi woreczek. - Jakby maszerowali w przyszłość zwróceniu ku niej plecami. Rozumiesz?

Kyle nie rozumiał. Z pewnością można to było wyczytać z jego twarzy, gdyż zwiadowca zaczerpnął tchu i zaczął od nowa.

- Pytałeś o Głuszę i Wieszkę. Rzeczywiście jesteśmy spokrewnieni. Inni mogliby nazwać ich moimi kuzynami, i to dalekimi, ale ty uznałbyś ich za moich braci. Tam, skąd przychodzimy, wszyscy jesteśmy Zagubieni. To jest to samo co tutaj. Wszyscy są uwięzieni w przeszło-

ści. Opuściliśmy dom, bo mieliśmy już tego dość. Wyobraź sobie, jak głęboki był nasz niesmak, kiedy się przekonaliśmy, że w Gwardii jest tak samo.

Kyle pokiwał głową.

– Teraz chyba rozumiem.

Skradacz uśmiechnął się chłodno.

– Mniejsza z tym. Sprawdźmy, co mamy do jedzenia.

Siedzieli w cieniu wysokich cedrów, przeżuając wędzone mięso królika. Potem zjedli dzikie jagody nieznanego im gatunku. Chłopak pomyślał, że może to od nich dostał biegunki. Chłodny wietrzyk osuszał mu z potu plecy i włosy. Po chwili zjawił się Weszka.

– Czyżbym zakłócił wam przeklętą przez Kaptura ucztę?

– Bynajmniej – zapewnił Skradacz. – Chcesz trochę jagód?

– Nie. Okrutnie skręca mi od nich kiszki.

– Przyszedłeś opowiedzieć nam o swojej niestrawności? – zainteresował się zwiadowca.

Weszka przesunął dłonią po siwych, kędzierzawych włosach.

– Jeśli już o tym mowa, niestrawność dokucza mi od chwili, gdy wyciągnąłeś nas na tę przeklętą przez Poliel ekspedycję. To cholerny skandal. – Mrugnął do Kyle'a. – Ten facet ma tyle zdolności organizacyjnych, co wiewiórka podczas cyklonu.

– Przemawia przez ciebie niestrawność, Weszka?

– Nie. Będziesz wiedział, kiedy to się wydarzy.

– W takim razie co masz nam do powiedzenia?

Weszka przykucnął. Miał na sobie skórzaną kamizelkę, dzięki której jego ręce wydawały się wyjątkowo potężne. Nad łokciami i poniżej nich nosił skórzane opaski. Złapał garść gałęzi w szerokie, łopatomate dłonie.

– Znaleźliśmy nad morzem maleńką, żalostną osadę rybacką. Tak zapuszczoną, jak to tylko możliwe. Ale mają tam zupełnie nową łódź, czekającą na zepchnięcie do wody. To cholerny dar od bogów.

- I to właśnie cię niepokoi.

- Ehe. Jak o tym pomyślę, łapią mnie mdłości. Ale może to tylko niestrawność.

- Dobra. Poobserwujemy ją przez pewien czas. Ty i Głusza pójdziecie przodem.

W porządku.

- My zaczekamy tutaj – dodał Skradacz, zwracając się do Kyle'a. – A potem ukradniemy łódź.

- Dobra. Ale muszę was ostrzec, że nie mam pojęcia o żeglowaniu. Skradacz i Wieszka wymienili rozbawione spojrzenia.

- Nie przejmuj się – rzekł zwiadowca. – My też nie.

Księga druga

Wieczny powrót

Wszystkie opowieści, mówiące o tym, że Trelowie bądź Thelomeni kiedykolwiek zamieszkiwali nasze ziemie, są całkowitym fałszem. Nigdy nie było żadnej systematycznej eliminacji ani niegodziwych spisków mających na celu wytępienie innych ras. Takie pogłoski rozsiewają wrogowie pragnący splamić naszą reputację. Pytam was: jeśli takie ludy kiedyś tu żyły, gdzie są teraz? Dokąd odeszły? Co się stało z ich dziełami?

Paulus z Rool *Kontynent Pięść*

Rozdział I

Po bijatyce
Zapada cisza.
Jestem tylko ja
I Węgorz.

Uligen z Darudżystanu

Daleko w dole, wody Idrynu opływały z szumem żelazne kraty Zewnętrznej Bramy Rzecznej Heng. Stojąca na moście Rzut spoglądała na wschód, w dół rzeki, mrużąc powieki w mroku bezksiężycowej nocy. Ścisnęła mocno kuszę, balansując na kamiennym murku.

– Widzisz coś? – zapytał stojący po drugiej stronie Drżączka.

– Pewnie, że nie. Jest ciemno jak w twoim cholernym łbie.

– Tak tylko pytałem.

Rzut przełknęła gniew. To nie Drżączka był jego przyczyną.

– Przepraszam. Nie, nic nie widzę, niech to Pani przeklnie.

– Idą – odezwał się skryty w mroku Słoneczko.

Rzut spojrzała wzdłuż łuku mostu. Zbliżały się ku nim jakieś postacie, żadna nie niosła pochodni ani lampy. Storo, sędziowie Ehrlann i Plengyllen, sierżant Gujran, obecnie awansowany na kapitana – okazało się, że jest Genabackaninem z Szarego Psa – oraz drużyna żołnierzy z garnizonu.

– Po raz kolejny muszę powiedzieć, że my, Rada, sprzeciwiamy się tej decyzji – mówił Ehrlann do Stora głośnym, nerwowym szeptem. – Nieprawdaż, Plengyllen?

Wysoki, brodaty sędzia skinął głową.

– Uważamy to za nierozsądne.

Storo po prostu przełożył ręce przez murek.

– Cisza? – zapytał.

- Jak dotąd – odparła Rzut.
- Odchodzą z własnej, nieprzymuszonej woli – oznajmił głośniejsze.
- Mogłeś im tego zabronić.
- Wy również.

Brzuchaty sędzia uniósł ręce.

- Nie mamy takiej władzy, by kogokolwiek do czegoś zmusić. Nie jesteśmy aparatem przymusu.

- To dla was bardzo dogodne.

- Słyszę w twoich słowach gorycz, sierżancie... kapitanie. Ach, przepraszam... pięści. Skąd ta gorycz, skoro wreszcie osiągnąłeś to, o czym z pewnością zawsze marzyłeś – stanowisko dowódcy?

- Nie prosiłem o nie.

- Ale je masz.

- Spełniam tylko swój obowiązek.

- Ach, to.

- Gdzie Jalor, Rell i Jedwab? – wtrąciła pośpiesznie Rzut, widząc, że Storo zaciska pięści.

- Na południowym brzegu, z drużyną najlepszych ludzi Gujrana.

- Rady nie poinformowano o wycieczce! – wybuchnął oburzony Plengyllen.

- Wolałem, żeby pozostała tajemnicą.

- Jak śmiesz...

- Są gotowi? – zapytał kapitana Gujrana Storo.

- Tak jest.

- Podnieście bramę.

Gujran wyciągnął krótki miecz i uniósł go nad głowę. Kamiennym łukiem wstrząsnął głuchy łoskot. Szczyt bramy zaczął się unosić. Rzut wyteżyła wzrok, by zobaczyć widmowe zarysy przybrzeżnych drzew. Nawet jeśli nie było wśród nich wojowników Seti, z pewnością wkrótce się tam zjawią. Flotylla tratw i łodzi ruszyła bezgłośnie naprzód, zabierając tych uchodźców, którzy domagali się, by pozwo-

lono im opuścić miasto. Rzut życzyła im przychylności Oponn, sądziła jednak, że ich szanse są minimalne lub wręcz żadne.

– Dziesięć do jednego, że żaden się nie przedostanie – odezwał się Słoneczko.

– Zamknij się, na Otchłań! – warknęła kobieta.

Jej uwagę przyciągnął nagły hałas, jakby wiele głosów mówiło jednocześnie. Na wschodnich murach coś się poruszyło. Mieszkańcy Heng zebrali się tam, by się przyglądać ucieczce. Niech szlag trafi Panią! To miał być sekret, a oni zapewne sprzedawali przekłete przez Trake'a bilety. Jak zresztą można było utrzymać w tajemnicy podobnie masowy exodus?

– Nie ma chętnych?

– Nie znajdziesz frajera, Słoneczko!

– Ja się założę – oznajmił Drżączka.

– I ja też – poparł go Gujran.

Rzut łypnęła na nich spode łba.

– Jak możecie...

– Coś się rusza na południu – odezwał się Storo.

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Rzut wytrzymała wzrok, aż rozboleły ją oczy, próbując cokolwiek zobaczyć na odległych wzgórzach za drzewami. Tam – szybko poruszające się plamy jaśniejszej szarości. Jeźdźcy Seti spływający ze wzgórz niczym mgła.

– Przechodzą starym Mostem Pielgrzymów – stwierdził sędzia Ehrlann. – Traktem do Kan. Dlaczego nie zburzyliście tego mostu? – zapytał Stora. – Mówiłem, żebyście to zrobili...

– Seti mogą przejść rzekę w bród w dowolnym miejscu – wyjaśnił z westchnieniem pięść. – Nie potrzebują przekłętego przez Pożogę mostu.

– I?

– I nadchodzą inni. Oddziały, którym most się przyda.

– Oddziały? Jakie znowu oddziały? – zdziwił się sędzia Plengyllen.

- W tej chwili tego nie wiem. Zobaczymy, kto się zjawi pierwszy.

- E tam - prychnął Plengyllen. - Skąd wiesz, że ktoś w ogóle się zjawi?

- Ktoś zjawi się z pewnością.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Stąd, że i Toc, i Laseen świetnie rozumieją, że cholerne konie nie wespną się na mury!

- Odpływają! - zawołał piskliwym głosem Drżączka.

Wszyscy spojrzeli na rzekę. Konwój napędzanych tyczkami albo wiosłami łodzi i tratw wypełnionych uchodźcami oraz mieszkańcami Heng, przekonani, że miasto wkrótce pochłona pożary i rzezie, oddalił się już od murów poza zasięg strzału z łuku. Rzut wiedziała, że właśnie nadeszła najniebezpieczniejsza chwila. Jeśli Seti przygotowali zasadzkę, to właśnie w tym miejscu - za daleko od murów, by obrońcy miasta mogli przyjść zaatakowanym z pomocą. Wszyscy wstrzymali oddech, spoglądając na znikające w ciemności łodzie. Tylko nie zbliżajcie się zanadto do siebie, myślała Rzut. Trzymajcie się na dystans. I bądźcie cicho.

Nic nie mąciło spokoju nocy. Gwiazdy świeciły jasno. Błada plama Ścieżki Światła przeszywała mroczną kopułę nieba. Rzut pozwoliła sobie na odrobinę nadziei, że być może niektórym łodziom uda się przedostać, nawet jeśli uchodźcy byli totalnymi głupcami. Zesztywniała, słysząc syknięcie Słoneczka.

- Co się stało?

- Za drzewami...

W oddali, za linią drzew porastających oba brzegi rzeki, rozbłysły pomarańczowe światła.

- O, kurwa.

- Ehe, kurwa.

Ku niebu wzbija się strzała, ciągnąca za sobą żółte płomienie. Wpadła do wody i zgasła, ale zdążyła wykonać swe zadanie. Rzut oplo-

tła się rękoma, wiedząc, co się zaraz stanie. Pomimo strachu nie potrafiła oderwać spojrzenia od nawałnicy płonących strzał, sypiących się na rzekę jak kaskada spadających gwiazd. Większość natychmiast gasła, ale niektóre paliły się dalej wbite w drewno, wystawiając na cel bezbronne łodzie. Rzut wydawało się – a może tylko sobie to wyobrażała – że słyszy krzyki spanikowanych kobiet i dzieci. Cóż za głupcy! Jak mogli uwierzyć, że oblegający ich przepuszczą! Seti woleli, by w mieście tłoczyło się jak najwięcej ludzi. Na ulicach już teraz zaczynało brakować żywności.

– Dlaczego nic nie robisz? – zapytał Stora Ehrlann. – Musisz coś zrobić...

– Nic na to nie poradzę – odparł Storo, zachowując żelazne panowanie nad sobą. – Powiedziałem im, co się stanie, ale oni i tak wypłynęli.

– I to cię usprawiedliwia?

– Do cholery! Wiem, że nie! – wrzasnął Storo, zwracając się w stronę sędziego.

Słoneczko stanął między nimi. Patrzył na swego dowódcę, ale przemówił do Ehrlanna:

– Zjeżdżaj stąd, nim zrobię ci to, na co zasługujesz!

Sędzia wyprostował się, otrzepując ramiona miotełką z włosów bhederin.

– Proszę bardzo. Odejdę. Dowiedz się jednak, kapitanie, że po tej klęsce utraciłeś zaufanie rady. Zapamiętaj to sobie. Plengyllen?

Obaj sędziowie oddalili się mostem. Storo wezwał gestem kapitana Gujrana.

– Słucham, pięści?

– Rozmieść dzisiejszej nocy ludzi w kluczowych punktach. Zapewne dojdzie do zamieszek. Mogą nawet zaatakować bramy.

– Tak jest.

Kapitan zasalutował, skinął na swój oddział i odmaszerował. Storo spojrział na wschód. W blasku płomieni Rzut ujrzała na jego twarzy ból człowieka stojącego przed możliwością porażki. Strzały sypały się nieustanną kaskadą. Żałosne tratwy i małe łodzie płonęły jak makabryczne ofiary składane bogom, niesione leniwym prądem. Ten trawiony ogniem orszak przypominał Rzut Święto Świąteł, podczas którego mieszkańcy Cawn rzucali na wody dziękczynne i błagalne ofiary. Flota świec i lampek rozświetlała noc na podobieństwo gwiazd. Którym jednak bogom złożono tę ofiarę z krwi i cierpienia? Obawiała się, że tylko Trake'owi. I oczywiście Kapturowi. Zawsze jemu.

Od łuku mostu odbiły się ciśnięte z dołu kamienie. Rzut się pochyliła. Mieszkańcy Heng głośno wyrażali oburzenie. Ich krzyki i przekleństwa zlewały się w nieartykułowany ryk. Ktoś rzucił zdechłym psem, który odbił się od kamiennego łuku mostu i wpadł do rzeki. Dalej sypały się kamienie i łajno, ale nie było warzyw. Nawet te zgniłe stały się teraz zbyt cenne. Rzut odnosiła wrażenie, że nikt nie ma pretensji do oblegających miasto Seti. Cały jad kierował się przeciwko tym, którzy stali na Zewnętrznej Bramie Rzecznej.

* * *

Ho powtarzał sobie, że to nie jest szpiegowanie, wścibstwo ani ciekawość. Po prostu chciał się z nimi podzielić najnowszym transportem jabłek. Rzadko oglądali tu podobne delicje. To wszystko. Nie było w tym nic więcej. Szedł wąskimi, krętymi szczelinami, które służyły jako korytarze w tej najdalszej i najbardziej izolowanej galerii. W niektórych miejscach były tak wąskie, że nawet on, wychudzony henganin, musiał się przesuwać bokiem.

Zbliżając się do jaskini, w której ponoć mieszkali obaj nowi więźniowie, usłyszał głosy i zatrzymał się nagle. Nie miał zamiaru podsłuchiwać. Powiedział sobie, że przystanął jedynie z grzeczności, chciał

odchrząknąć albo zawiadomić ich krzykiem o swym przybyciu. Usłyszał jednak rozmowę, więc wytrzymał słuch.

- Nadal nie masz od nich żadnych wiadomości?

To był Frykas, ten wysoki.

- Już ci mówiłem, że nie mam.

- Nawet od Palczaka?

- Nie! Ani słówka! Dobra? Nic na to nie poradzę.

- Ale myślałem, że wszyscy się upewniliście, że Braciszkwowie nie boją się otataralu.

Odpowiedziało mu głośne, pełne irytacji westchnienie.

- Masz rację, Frykas. Upewniliśmy się. Kto wie, co się stało? Może chodzi o coś innego.

- Uważam, że powinniśmy stąd zwiewać. Tracimy tylko czas. I tak już jesteśmy spóźnieni. A może problem ma związek z tą bandą zwariowanych magów? Mnie by z pewnością wystraszyli.

A więc nie jest magiem. W takim razie co tu robi?

- Ci zwariowani magowie coś kombinują. Coś, co uważają za ważne.

Czy mogą wiedzieć? Yath z pewnością ich zabije, jeśli będzie coś podejrzewał.

- Zrobimy tak...

Poczerniany koniec drewnianej włóczni dźgnął nagle Ho. Zaskoczony mag odskoczył do tyłu, wypuszczając koszyk.

- To Ho - stwierdził Frykas, spoglądając na niego.

- Chodź tu, Ho! - zawołał Smętek.

Mag podniósł jabłka i ruszył przed siebie. Ominawszy zakręt, znalazł się w surowo urządzonej kwaterze obu mężczyzn. Smętek siedział na półce wykutej w skale i nakrytej szmatami, strugając kij najmniejszym nożem, jaki Ho w życiu widział. Frykas stał przy wyjściu, nadal unosząc włócznię. Mag wyciągnął rękę, dotykając jej końca.

- Utwardzony w ogniu - zauważył.

Wysoki mężczyzna uniósł kącik ust.

– Racja. Potrzebowałem mnóstwa czasu, żeby wystrugać to cholerstwo. Nic nikomu nie powiesz, tak?

Ho uniósł koszyk.

– Przyniosłem jabłka. To rzadko oglądany prezent od Malazańczyków.

– Dziękujemy.

Frykas wziął koszyk, cały czas kierując włócznię w stronę maga. Ho przyglądał się broni, pierwszej, jaką widział od... no cóż, wołał nie myśleć, od jak dawna. Nasunęła mu się myśl, że Yath i Sessin nie mają oręża. A przynajmniej on nic o tym nie wie. Obliznął wargi, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Słucham?

– Po raz kolejny proszę was w imieniu społeczności, byście nie próbowali ucieczki. To spowoduje odwet. Odetną nam dostawy żywności. Robili to już przedtem.

Smętek zaprzestał strugania i opuścił ręce.

– A ja proszę cię po raz kolejny, Ho... byś nam powiedział, co wy tu kombinujecie? Co was zatrzymuje w tym miejscu?

Ho znowu obliznął wargi. Przekonał się, że nie jest w stanie spojrzeć Napańczykowi w oczy. Odwrócił wzrok. Smętek westchnął.

– Wiesz, co ci powiem, Ho? Spróbuję zgadnąć. Co ty na to? Badacie tu otataral, prawda? – ciągnął, nie czekając na odpowiedź. – Chcecie się dowiedzieć, dlaczego pozbawia magię mocy. Może wykonujecie też doświadczenia? Wykorzystaliście tę okazję, by założyć cholerną akademię. Prowadzicie badania nad otataralem i może nawet szukacie sposobów unieszkodliwienia go. Czy jestem daleki od prawdy?

Z pewnością jest kimś więcej, niż się wydaje, pomyślał Ho, gapiąc się na Napańczyka. Mężczyzna był bliżej – a zarazem znacznie dalej – prawdy, niż mógłby to sobie wyobrazić. Znacznie lepiej dla niego i dla

wszystkich, by nadal podejrzewał, że to otataral jest przedmiotem ich badań. Ho skinął głową.

– Ehe, coś w tym rodzaju.

– Dobra. Skoro już dzielimy się swymi najgłębiej skrywanymi tajemnicami, zdradzę ci naszą. Możemy się stąd wydostać, gdy tylko zechcemy. Uwierz mi, to prawda. Moglibyśmy też zabrać ze sobą was wszystkich. Co ty na to?

Z pewnością oszalał. Mogliby ich stąd wyprowadzić jedynie przez grootę, a to z pewnością było niemożliwe. Ho przyjrzał się uważnie niebieskiej twarzy rozmówcy, jego otwartemu spojrzeniu i uniesionym żartobliwie brwiom. Smętek z pewnością wierzył w swe słowa. Ho jednak w żaden sposób nie potrafił sobie wyobrazić, jak można by tego dokonać. Potrząsnął głową.

– Przykro mi, ale większość więźniów nie zechce odejść. Nasze... badania są zbyt ważne, byśmy mogli je porzucić. Uwierz mi, to prawda.

Smętek omal nie cisnął struganą przez siebie krótką różdżką. A może batutą?

– Niech to przeklnie przeklęty Fener! Co się z wami stało? Czy nie pragniecie odwetu na Malazańczykach?

– Z pewnością wielu tutaj ucieszyłoby się z szansy zemsty na nich. O ile potrafią się uwolnić od skażenia, a nie jestem pewien, czy to możliwe. Spożywamy pył i wdychamy go już od bardzo dawna.

– W surowej, nieoczyszczonej postaci...

Ho zbył jego słowa machnięciem dłoni.

– Znam te argumenty. Tak czy inaczej, to tylko akademicka dyskusja.

Smętek wyraźnie miał ochotę powiedzieć coś jeszcze, zmienił jednak zdanie. Odesłał Ho skinieniem dłoni.

– Dziękuję za jabłka. Zastanów się nad naszą propozycją. To może być dla ciebie jedyna szansa wyrwania się stąd za życia.

Ho skinął głową i się oddalił. Po drodze do głównych tuneli zastanawiał się nad tym, czego się dowiedział. Czy ci dwaj rzeczywiście mogli w każdej chwili stąd uciec? A nawet wyprowadzić wszystkich, jak zapewniali? To brzmiało zbyt fantastycznie. Dlaczego mieliby to zrobić? Co ich obchodził los więźniów? I jeszcze to słowo, które podsłuchał. „Braciszkwowie”. Był pewien, że już kiedyś je słyszał. W jakimś dziwnym kontekście. Zastanowi się nad tym później.

W najbliższej przyszłości będzie się jednak musiał skupić na utrzymaniu Yatha i Sessina z dala od nowych więźniów. Nie mogą się dowiedzieć, że ci dwaj tak niepokojąco zbliżyli się do prawdy o tym, co odkryła ich społeczność głęboko w przesyconych żyłami otataralu formacjach skalnych.

* * *

Okazało się, że podróż tratwą w dół Idrynu nie była aż tak dokuczliwa, jak obawiała się Ghelel. W gruncie rzeczy rejs okazał się całkiem przyjemny, zwłaszcza z uwagi na nieobecność Molka. Po trzech dniach dziewczyna przyzwyczała się do roli rozpieszczanej turystki siedzącej w namiocie na prywatnej barce. Usługiwała jej pokojówka.

- Tylko jedna służąca? - skarciła Amarona przed odpłynięciem.

Całymi dniami obserwowała porośnięte drzewami brzegi oraz odległe pagórkowate równiny, trawiaste, lecz upstrzone plamami zagajników. Północnym brzegiem jechała grupka eskortujących konwój zwiadowców Seti. Wszyscy pokrzykiwali i nawoływali głośno. Można było wśród nich wypatrzeć fetysze i proporce rozmaitych związków wojowników: wilków, psów, równinnych lwów i szakali.

Ghelel odnosiła wrażenie, że flota posuwa się naprzód z nadnaturową prędkością, zgodnie z obietnicą Chossa. Za jej barką ciągnął się spieniony ślad torowy. Nie była zbyt dobrze zaznajomiona z wodą, ale nawet ona wiedziała, że to nie jest normalne. Na otaczających ją tratwach taliańscy i sprzymierzeni żołnierze rozmawiali ze sobą, śmiejąc

się głośno. Posiłki gotowały się na ogniu zapalonym na położonych na pokładzie tarczach albo w metalowych piecykach. Konwój nie zatrzymał się ani na moment. Za dnia żołnierze – mężczyźni i kobiety – rozbierali się do lnianych bluz i przepasek biodrowych, a potem skakali do rzeki, myjąc się i rozpryskując wodę. Chowali się też za nielicznymi wysokimi burtami, chwytali się ich mocno i kochali się w ciepłym nurcie.

Siódmego dnia dotarli do wielkiego, legendarnego wodospadu, zwanego Wodospadem Skruszonej Ziemi. Ghelel nigdy dotąd go nie widziała. Żołnierze i flisacy skierowali jej tratwę do brzegu i rozbili tam namiot. Dziewczyna nadal grała rolę symbolicznego przywódcy „Ligi Taliańskiej”. Strzegli jej uważnie przez całą dobę, ale za to mogła podziwiać wodospad oraz wspaniały spektakl przeprawy wielkiego konwoju. Wszystkie tratwy rozładowano, a następnie rozmontowano i przewieziono wozami po trakcie kupieckim, by zmontować je ponownie poniżej wodospadu. To było arcydzieło logistycznej i administracyjnej organizacji. Podejrzewała, że zawdzięczają jej wieloletniemu doświadczeniu Chossa.

Rankiem zawieszono ją na tratwę. Jak rozumiała, do celu zostało tylko kilka dni drogi.

Drugiego wieczoru po wznowieniu podróży zaczęła się jednak niepokoić. Powiedziano jej, że ma opuścić flotyllę przed dotarciem do Heng, a miasto było już blisko. Bardzo blisko. Gdzie się podział ten cały Molk? Czyżby zdezerterował? Częścią jaźni cieszyła się na myśl, że się od niego uwolni, czuła też jednak niepokój. Molk wiedział za dużo. Gdy wróciła nocą do namiotu, czekał tam na nią. Siedział na jej obozowym krześle, wyciągając nogi przed siebie.

– Byłabym wdzięczna, gdybyś następnym razem poprosił o pozwolenie, zanim wejdiesz.

– To by zepsuło zaskoczenie, pani.

Przechylił się, by splunąć, ale Ghelel uniosła palec.

– Nie! Nie waż się!

Mężczyzna rozejrzał się z bezradną miną. Usta miał pełne. Złapał kryształowy kielich i wypuścił do niego strumień lepkiej, ciemnoczerwonej śliny. Potem odstawił naczynie na stół.

– Bogowie, człowieku!

Ghelel chwyciła kielich za nóżkę, odchyliła połę namiotu i wyrzuciła naczynie.

Molk podrapał się po czarnych rozczochranych włosach.

– No cóż, można i tak czyścić zastawę. Dziwię się, że jeszcze ci jakaś została.

– Czego chcesz?

Dotknął palcem białego jedwabnego obrusa.

– Myślałem, że się ucieszysz. Pora się stąd wymknąć. – Uniósł rękę, wskazując cały namiot. – Chyba chcesz się od tego uwolnić, co?

– Tak, chcę. Ale nie w twoim towarzystwie.

Wstał z westchnieniem.

– No cóż, życie to jedna wielka seria odrażających obowiązków. Przynajmniej ja tak sądzę.

Ghelel popatrzyła na umorusanego, rozczochranego mężczyznę. Co to miało znaczyć? Obejrzała go od stóp do głów. Był odpowiednio ubrany: brudna, pikowana kurtka, ubłocone spodnie i sandały. Co jednak z jej białą suknią? Z pewnością Amaron nie tak to zaplanował? Wskazała swoje ubranie.

– Mam pójść w tym?

Molk chciał coś powiedzieć, powstrzymał się jednak i przełknął ślinę.

– Nie, pani. Rozbierz się.

– Słucham?

– Rozbierz się do królewskiej bielizny.

Znieruchomiała i omal nie zapytała „a po co?”, zdołała jednak się powstrzymać. Nie było sensu stwarzać mu dodatkowych okazji.

– Gdzie jest Heroul?

- Stoi na straży.
- Potrzebuję jej pomocy.
- Nie potrzebujesz. O czym nie wie, o tym nikomu nie powie.
- Proszę bardzo.

Ghelel wzięła nóż ze stołu, sięgnęła za siebie i przecięła sznurówki. Molk odwrócił się z twarzą bez wyrazu, by otworzyć jeden z wielkich drewnianych kufrów podróży.

- Szukasz srebrnej zastawy?

Nie odpowiedział jej zajęty grzebaniem w kufrze. Ghelel została tylko w jedwabnej koszulce i szortach.

- Tu jest!

Molk wyciągnął z kufra wielki wór z grubego płótna.

- Co to jest?
- Twój ekwipunek. Zbroja, broń i tak dalej.
- Rozumiem? A czy to nie utonie?

Molk podźwignął worek.

- Ehe. Będziemy mieli tylko parę chwil.
- My?

Zrobił zeza, spoglądając na nią z ukosa.

- Nie umiesz pływać?
- Nie.

- Słodki Kapturze na Kościanym Koniu! Mówili mi, że wychowywali cię jak chłopca.

- Gdybym przewidziała, że będziemy skakać z traw, postarałabym się naprawić ten niedostatek!

Molk skrzywił się i uniósł rękę.

- Już dobrze, dobrze! Bądź cicho, pani. Dobrze. Dam sobie radę.
- Znakomicie.
- A teraz, czy możemy wymknąć się tyłem? Poradzisz sobie z tym?
- W ogóle nie umiem pływać.

Molk zgarbił się jeszcze bardziej, kierując krzywe spojrzenie na dach namiotu.

– Bogowie. Poszukam czegoś, czego będziesz mogła się trzymać, dobra?

– Będziesz musiał, jeśli nie chcesz, żebym się utopiła.

– Coś znajdę – burknął, wlokąc worek ku tyłowi namiotu.

* * *

Ghelel prychała i wywijiała szaleńczo kończynami, starając się stłumić panikę, która ścisnęła jej pierś niczym łapa demona, gdy tylko dziewczyna straciła kontakt z łodzią. Nigdy dotąd nie zaznała podobnej bezradności i strachu. Trzymała się wielkiego naczynia tak mocno, że bała się, że je skruszy. Zawirowała w śladzie torowym barki. Ciemne brzegi kołysały się przed jej oczami w przyprawiający o mdłości sposób.

– Trzymaj się tego mocno. Wyłowią cię ludzie z następnej tratwy – powiedział Molk. – Trzymaj się!

Omam nie roześmiała się w głos na myśl, że mogłaby wypuścić z rąk jedyne, co trzymało ją przy życiu. Gdzie się podział Molk? Czyżby poszedł na dno? Na myśl o dnie wyobraziła sobie gigantyczne wąsate ryby, jakie żołnierze wylawiali z Idrynu. Zwali je chodrenami. Były większe niż człowiek i podobno jadły wszystko, co się rusza.

Panika narastała z każdą chwilą. Ghelel była gotowa w każdej chwili zawołać o pomoc. Poruszyła gwałtownie nogami, próbując się odwrócić. A może już się odwróciła? Któż potrafiłby to określić pośród ciemności i pluskających szarozielonych fal? Zamajaczyło przed nią coś wielkiego. Z punktu widzenia zanurzonej po brodę dziewczyny wylaniająca się z mroku tratwa wydawała się niewiarygodnie wysoka.

Przypłynęła po nią? Zaraz na nią wpadnie!

Gdy tratwa była blisko, Ghelel wyciągnęła rękę, by się jej złapać. Uderzyła się w głowę. Utrzymujący ją na powierzchni przedmiot

wyrwał się jej z rąk i umknął z prądem. To był nocnik.

Ha! Bardzo zabawne, Molk.

Trzymała się przez pewien czas zalewana kolejnymi falami. Zbierała siły. Potem zdołała się podciągnąć na górę. Usiadła na tratwie, trzymając nogi w wodzie, która, po zetknięciu z zimnym nocnym powietrzem wydała się jej ciepła. W końcu zdołała uspokoić oddech. Coś się poruszyło. Ociekający wodą Molk usiadł obok i położył sobie worek na kolanach.

– Miałaś dobrą kąpiel, kapitanie?

Popatrzyła nań ze zdziwieniem. Kapitanie?

– Och tak. Serdecznie dziękuję, Molk. Omal nie zginęłam – dodała szeptem. – I jestem kapitan Alil.

– Alil? Bardzo dobrze, kapitanie. – Przeciął sznur zamykający worek. – Sprawdźmy, co tu dla ciebie mamy.

* * *

Pierwsze, co przyciągnęło uwagę Ghelel, to fakt, że regularni żołnierze w ogóle nie mają prywatnej przestrzeni. A także smród. Siedziała na stosie worków w ciżbie taliańskich żołnierzy. Jeden mężczyzna zasnął oparty o nią, ale Molk zepchnął go na wilgotne kłody, co bardzo rozbawiło towarzyszy pechowca. Ghelel była zdziwiona. Ci ludzie byli przyjaciółmi śpiącego, a mimo to śmiali się, gdy jakiś nieznajomy zwałił go na podłogę.

I język! Jeśli jeszcze raz usłyszy, że któryś z mężczyzn nie może się doczekać, aż posmakuje hengańskiej cipy, zacznie krzyczeć. Pierdzenie, bekanie i plucie również były dość dokuczliwe. Jednakże gdy tylko miała ochotę zerwać się na nogi i skończyć z tą maskaradą, zauważała czujne, rozbawione spojrzenie Molka i dawała za wygraną. Nie miała najmniejszego zamiaru sprawiać mu satysfakcji.

Nie spała przez całą noc. Nie wiedziała, skąd jej zmęczone mięśnie czerpały energię. Czy to było podniecenie wywołane faktem, że robi

to, o czym zawsze marzyła, czy po prostu zwykły strach, zrodzony ze świadomości, że ktoś gdzieś szykuje już na nią noże? Nie potrafiła tego określić. Zapamiętała wiele wyrazistych obrazów: żołnierz zapalający fajkę od lampy; para, mężczyzna i kobieta, kochająca się tylko pod osłoną wojskowego koca zarzuconego na ramiona; bójka przerwana przez żołnierzy, którzy odciągnęli dwóch mężczyzn od siebie; srebrny blask księżyca odbijający się w pomarszczonej tafli rzeki. Tak czy inaczej, pewną satysfakcję sprawiała jej świadomość, że Molk również nie może spać. Za każdym razem, gdy na niego spoglądała, obserwował otoczenie. Jego błyszczące w ciemności oczy nie odpoczęły ani przez chwilę.

Włożyła skórzaną brygantynę, wyszywaną nachodzącymi na siebie metalowymi łuskami. Nie pasowała na nią zbyt dobrze. Za to dostała swój stary miecz! Jak udało się im go znaleźć? Omal nie zdjęła hełmu, ale przypomniała sobie radę Molka: „To cholera najlepiej trzymać na głowie”.

Na wschodnim horyzoncie pojawił się żółtoróżowy blask zapowiadający świt. Światło spowodowało dziwne złudzenie optyczne. Na płaskiej równinie wznosiła się osamotniona góra. Ghelel wpatrzyła się w półmrok. Potem spojrzała Molkowi w oczy i wskazała przed siebie.

– Co to jest?

W jego oczach znowu pojawił się rozbawiony, przemądrzały wyraz.

– Li Heng.

– To niemożliwe. Te mury muszą być ogromne!

Molk skrzywił się, rozglądając się wokół. Ghelel podążyła za jego spojrzeniem. Żołnierze łypali na nią ze złością. Najwyraźniej poruszyła drażliwy temat. Molk przysunął się bliżej.

– Tak. To najpotężniejsza forteca na kontynencie. Nikt nigdy nie zrobił wyłomu w tych murach. Czy nie uczyłaś się historii?

– Uczyłam się!

- To na pewno wiesz, że zbudowano je, by powstrzymać coś więcej niż tylko ludzi.

Duszę Ghelel przeszły drżenie. Oczywiście! Jak mogli liczyć na zwycięstwo! Te mury wzniesiono dla obrony przed starożytnym nieprzyjacielem z centralnych równin, krwiożerczym demonem - niektórzy zwali go bogiem - człowiekiem-szakalem, bratem Treacha, Rylandarasem, ludojadem. I te mury nigdy nie padły. Niektórzy zapewniali, że oparłyby się nawet niepowstrzymanym armiom Kellanveda, gdyby nie jego straszliwe martwiaki, T'lan Imassowie. Dzięki ich pomocy Tancerz zamordował tytułarną boginię miasta, Protektorkę. Zamordował. Spojrzała Molkowi w oczy, by mu przekazać, że rozumie, co chciał jej rzec. W odpowiedzi skinął z namysłem głową.

Około południa przyszedł czas na rozładowanie ich tratwy. Ghelel złapała za kołek na nabrzeżu. Tyczki uderzały o drewno, żołnierze przeklinali. Słoneczny żar odzierał dziewczynę z sił. Na wybrzeżu nigdy nie było tak gorąco. Mury Heng majaczyły w oddali niczym wielowarstwowy płaskowyż.

- Jak znajdziemy Straż Pograniczną? - zapytała Molka.

W odpowiedzi wskazał najbliższą żołnierkę.

- Straż Pograniczna? - zapytał.

- Skąd mam wiedzieć, na Otchłań? - zachnęła się kobieta.

Ku zaskoczeniu Ghelel Molk tylko wzruszył ramionami. Skinął na nią, zachęcając ją, by też spróbowała. Podeszła do kobiety.

- Straż Pograniczna?

- Już mówiłam... - Kobieta odwróciła się. Jej wzrok padł na srebrny obojczyk zbroi Ghelel. Wyprostowała się. - Przepraszam. Może kwatermistrz na brzegu wskaże ci kierunek.

- Dziękuję, żołnierko.

- Tak jest.

Molk skinął porozumiewawczo głową. Obojczyk dokonał również cudów, gdy wysiadali na brzeg. Ghelel po prostu szła i wszyscy scho-

dzili jej z drogi. Molk dźwigał parę juków, na które w jakiejś chwili zamienił worek.

Ghelel doszła do wniosku, że rola oficera może się jej spodobać. Wystarczyło, by pośród chaosu towarzyszącego rozładowywaniu łodzi i barek spojrzała w oczy jakiemuś żołnierzowi i zapytała: „Kwatermistrz?”, a ten natychmiast wskazał jej drogę. Nim dotarła do namiotu kwatermistrza, przyłapała się na tym, że zmusza wszystkich po drodze do odwrócenia wzroku.

Namiot miał podłogę z desek. Ghelel strzepnęła błoto z wysokich, skórzanych buciorów i weszła do środka. Molk został na zewnątrz. Siedzący wewnątrz mężczyzna przyglądał się trzymanej w rękach tabliczce. Wokół piętrzyły się skrzynie i worki, sięgające aż do wysokiego dachu. Ghelel odchrząknęła.

– Słucham? – odezwał się mężczyzna, nie podnosząc wzroku.

No cóż. Talizman rangi przestał działać.

– Straż Pograniczna?

– Nigdy o niej nie słyszałem.

– Nie pytałam, czy o niej słyszałeś. Chciałam się dowiedzieć, gdzie ją znaleźć.

– Nie mam pojęcia. Przykro mi.

– To powiedz mi, proszę, kto może to wiedzieć.

Uniósł wzrok, mrugając jak kret.

– Spróbuj zapytać dyżurnego oficera, kapitana Leena.

– Dziękuję, żołnierzu.

Mężczyzna ponownie skierował uwagę na tabliczkę, mażąc coś na niej ogryzkiem kredy. Ghelel westchnęła, policzyła do dziesięciu i zadała cholerne pytanie:

– A gdzie mogę znaleźć tego kapitana Leena?

Mężczyzna znowu uniósł wzrok.

– Radziłbym spróbować w namiocie dowodzenia... kapitanie – odparł starannie obojętnym tonem.

Ghelel zaciskała zęby tak mocno, że nie była w stanie mu odpowiedzieć. Skinęła ostro głową, odwróciła się i wyszła dumnym krokiem z namiotu. Gdy tylko znalazła się na dworze, zaczerpnęła kilka długich haustów gorącego, preriowego powietrza.

– Gdzie jest namiot dowodzenia? – zapytała.

– Przypuszczam, że to ten wielki na wzgórzu – odpowiedział stojący za nią Molk.

– Serdecznie dziękuję.

– Jestem tu, by ci służyć, kapitanie.

Ruszyła w górę po łagodnym zboczu porośniętym brązową trawą.

– Uważam, że jak dotąd radzisz sobie całkiem nieźle – odezwał się po drodze Molk.

– Ehe. Jeszcze nikogo nie dźgnęłam.

Skwitował jej słowa śmiechem.

* * *

Wartownicy stojący przed szerokim wejściem skinęli głowami, wpuszczając Ghelel do środka. Molk ponownie zaczekał na zewnątrz. Młody mężczyzna siedzący za zarzuconym raportami stołem wstał i przywitał ją ukłonem.

– Jestem porucznik Tahl, adiutant kapitana Leena. Przepraszam za ten bałagan. Wkrótce przeniesiemy się na nowe miejsce, bliżej miasta. Czy mogę w czymś pomóc?

– Tak. Szukam Straży Pogranicznej. Gdzie ona obozuje?

Tahl uniósł brwi i pośpiesznie zmierzył ją spojrzeniem.

– Tak? – zapytała.

– Przepraszam. Nie wiedziałem, że mają im przysłać zmiennika.

– Zmiennika?

– Tak. Obawiam się, że doszło do drobnego nieporozumienia. Jesteś na niewłaściwym brzegu. Powinnaś była wysiąść na południo-

wym.

Rozpostarł ręce i wzruszył ramionami.

- To głupio z mojej strony.

Uśmiechnął się sztywno i usiadł.

- Życzę szczęścia, kapitanie. Powinnaś znaleźć swój oddział w wiosce na południe stąd.

- Dziękuję.

Schodząc ze wzgórza, westchnęła.

- Co oni właściwie tu robią?

- To specjalny przydział - wyjaśnił Molk. - Wysłano ich w pierwszym rzucie, by zajęli się zwiadem i, hmm, zbieraniem informacji.

Zachwiała się, ale nie straciła równowagi.

- Tak też myślałam. - Amaron, ty podstępny szczurze. - Pozwól mi zgadnąć. Pracują dla Amaronu.

Molk potarł porośnięty szczecina podbródek.

- Wykonują swoje zadanie. Bronią pogranicza.

- Niech to Pożoga porwie! - naskoczyła na Molka. - Dotknięcie Amaronu sprawi, że to będzie pierwsze miejsce, w którym będą mnie szukać, do licha!

Rozejrzał się, dając jej do zrozumienia, by mówiła ciszej.

- Nieprawda. Po pierwsze, nikt nie wie tego, co ci przed chwilą powiedziałem. Po drugie, wszyscy sądzą, że nadal przebywasz na barce, a wkrótce wsiądziesz do swojego wozu i pojedziesz do obozu Seti.

- Naprawdę? Macie kogoś, kto gra moją rolę?

- Oczywiście! Bogowie, kobieto... szczerze mówiąc, czasami się dziwię.

- Wszystko to dla mnie nowość.

- To widać.

Zarekwirowała małą łódź, która miała ich przewieźć na drugi brzeg. Sto jardów w dół rzeki wielka królewska barka kołysała się na porośniętych trzcina płycznach. Ciężki wóz jadący jej na spotkanie grzął w błocie. Dziesiątki stojących na pokładzie mężczyzn poruszały tyczkami, poganiacze zaś popędzali biczami porykujące żałośnie woły. Molk przypatrywał się temu, siedząc na dziobie.

- Szkoda, że ominęły nas wszystkie mowy - stwierdził.

- To głupie, że zjawię się w jednostce w dniu przybycia barki do Heng - powiedziała cicho Ghelel. - Czy nie powinnam jej wyprzedzić albo coś?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Na południu nie mają pojęcia, co tu się dzieje. I pewnie niewiele ich to obchodzi.

- Ktoś połączy to w całość.

- Oni wszyscy łączą coś w całość - odparł z westchnieniem. - Dlatego właśnie są jednostką. Ważne jest to, że jeśli cię zaakceptują, będą cię bronić.

Przyjrzała mu się z uwagą.

- Jak to jeśli...?

- Nie przejmuj się. Tylko nie wydawaj głupich rozkazów, a wszystko będzie w porządku.

- Nigdy w życiu nie wydałam rozkazu!

- Naprawdę? Trudno mi w to uwierzyć.

Ghelel zbyła te słowa milczeniem.

- Skąd mam wiedzieć, jakie rozkazy są głupie?

Przesunął dłonią po czarnych, rozczochranych włosach.

- Hmm, w takim razie lepiej nie wydawaj żadnych.

- Żadnych? Przecież mam dowodzić!

Dziób łodzi ugrzęznął w przybrzeżnym błocie. Molk zeskoczył na ląd.

- Dziękujemy - powiedział wioślarzowi.

- Tak, dziękujemy - poparła go Ghelel.

Molk przerzucił juki przez ramię i natychmiast wspiął się na stromą skarpe, łapiąc się korzeni drzew i gałęzi krzaków. Dziewczyna podążyła za nim. Za zasłoną drzew ciągnęła się preria porośnięta gęstą, sztywną trawą. Ostre liście muskały jej kolcze rękawy i skórzane nagolennice, szumiąc na wietrze. Na wschodzie, za łukiem Idrynu, wznosiły się mury Heng, spowite dymami niezliczonych pożarów. Ghelel wykorzystała okazję, by przyjrzeć się im uważnie. Składały się z trzech rzędów. Zewnętrzny był najniższy, a wewnętrzny najwyższy. Nawet jeśli oblegający zdobędą pierwszy mur, nadal będą narażeni na ostrzał z góry. Słyszała też, że bramy są ulokowane w różnych odcinkach kolejnych murów. Nie istniała prosta droga do serca miasta. Ghelel nie była znawczynią sztuki oblężniczej, ale szanse na zdobycie miasta nie wydawały się jej zbyt wielkie. Co, jeśli wyczerpią siły w Heng i nic im nie zostanie na Untę? Czy nie mogli po prostu go zignorować? Niech Seti je odizolują i tyle. Chciała zadać Amaronowi i Chossowi wiele pytań, ale oni ją odesłali. To bardzo dla nich dogodne. Popędziła za Molkiem.

- Czy tak to ma wyglądać?! - zawołała.

Zatrzymał się.

- Słucham?

Odgoniła sprzed twarzy agresywne osy.

- Czy tak to ma wyglądać? Żadnej eskorty, wierzchowców ani wskazówek, tylko my dwoje wędrujący po spalonej słońcem równinie ciągnącej się tysiącami mil?

Mężczyzna obrócił się, rozglądając się demonstracyjnie.

- Wszystko na to wskazuje - przyznał i ruszył w dalszą drogę.

Uniosła ręce nad głowę.

- To śmieszne!

- Dlaczego?! - odkrzyknął.

- Dlatego... - Zatrzymała się, patrząc, jak Molk oddala się od niej. -
Dlatego że zabłądzimy!

Wrócił do niej.

- Nie zabłądzimy. Świetnie wiem, dokąd idziemy.

- Tak? A dokąd?

Wskazał ręką przez ramię.

- Tam.

Ghelel rozejrzała się po płaskiej, wietrznej równinie, w poszukiwaniu jakiegokolwiek alternatywy. Była zupełnie sama. Mogła jedynie truchtać za szalonym głupcem, którego Amaron, w swym sklerotycznym zaćmieniu, przydzielił jej jako strażnika.

* * *

- Mówią, że Pożoga śpi pod nami - mówił Molk.

Ghelel wspominała lata dzieciństwa, kolacje w domu Sellathów w Quonie. Nowo zdobyta wiedza zatrzała w jej odczuciu to, co brała dotąd za bezinteresowną szczodrość, przyjęcie na wychowanie osieroczonej dalekiej kuzynki. Niech szlag trafi te królewskie rody z ich ambicjami. Nie tylko ukradli jej przyszłość, lecz również wypaczyli przeszłość.

- Słyszałaś o tym? - zapytał Molk.

- O czym? - odparła z roztargnieniem w głosie.

- O tym, że Pożoga śpi pod nami.

- Śpi pod nami wszystkimi - wyrecytowała znudzonym tonem.

- Nie. Śpi tutaj, pod Równinami Seti. Tak mówi miejscowa legenda.

- Nie, nie słyszałam o tym. Z pewnością każde plemię albo społeczność zna podobne mity. I wszystkie są jednakowo prawdziwe.

Molk zatrzymał się nagle i wskazał w bok.

- Wybacz, kapitanie, ale muszę się na chwilę oddalić w krzaki. Zew natury.

- Co? Nagle zrobiłeś się wstydlivy? Co się stało z przeklinającym, spluwającym chamem, którego tak dobrze poznałam? To wszystko było na pokaz?

Skrzyżowała ręce, czekając na odpowiedź.

Molk zniknął w krzakach.

- Żadna kobieta w randze oficera nie pozwoliłaby służącemu na takie zachowanie, nie sądzisz? - dobiegł z gąszczu jego głos.

Ghelel znowu uniosła ręce.

- Bogowie, człowieku! Kto, na Otchłań, się o tym dowie? Może zauważyłeś, że znajdujemy się pośrodku pustkowia?

Mężczyzna wynurzył się z krzaków, zawiązując troczek spodni.

- No wiesz, przyjmujesz fałszywe założenie.

- Jakie?

Zarzucił juki na plecy.

- Że kraina, w której mieszkają inni, to pustkowie. Być może nie wykorzystują swoich ziem w sposób znany tobie, ale z tego jeszcze nie wynika, że to nieużytki.

Ghelel ruszyła.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Nie wątpię w to. Na przykład przechodzimy obecnie przez tereny łowieckie lwa preriowego.

Roześmiała się wzgardliwie.

- Skąd możesz o tym wiedzieć, na Otchłań?

- Nie zauważyłaś śladów? Były bardzo wyraźnie widoczne. Tak czy inaczej, potrzeba znacznie więcej pastwisk niż gruntów ornych, by żywić rodzinę. Dla społeczeństwa takiego jak nasze, opartego na uprawie ziemi, otwarte pastwiska zawsze będą się wydawały pustkowie. Nie powinienem też użyć określenia „otwarte”. To wprowadza

w błąd. Możesz być pewna, że praw wypasu przestrzega się tu bardzo starannie.

Ghelel zatoczyła oczyma.

– Dlaczego opowiadasz mi te wszystkie bzdury?

Molk pokiwał głową.

– Celne pytanie. Pomyślałem sobie, że powinnaś się dowiedzieć paru rzeczy o jeźdźcach Seti, którzy śledzą nas od chwili, gdy wysiedliśmy z łodzi.

Ghelel odwróciła się błyskawicznie, przesuwając wzrokiem po skrytych w cieniu wzgórzach.

– Nikogo nie widzę.

– Są dobrzy w tym, co robią.

– Wybacz ten język, ale słyszałam, jak mówią to żołnierze: robisz ze mnie wała.

– I kto teraz jest przeklinającym chamem?

– Lepsze to niż być łatwowierną idiotką.

– Ty to powiedziałaś.

Choć Ghelel była poirytowana, szła dalej bez słowa. Być może powinna po prostu skręcić na południe i oddalić się od tego wszystkiego. Ten dureń doprowadzi do tego, że ją zabiją. Czy nie rozumiał, że sytuacja jest poważna? Ale przynajmniej nikt jej nie znajdzie na takim pustkowiu. To było pewne. Zatrzymała się, zdjęła łuskowe rękawice i zatknęła je za pas.

– Czy chociaż masz wodę?

– Oczywiście.

Uklęknął i wygrzebał z juków bukłak.

– Dziękuję – odparła naburmuszona dziewczyna. Pociągnęła głęboki łyk i zakrzuszyła się gwałtownie. – Bogowie, co to jest?

– Rzeczna woda wzmocniona destylatem z jagód jałowca, żeby nie szkodziła na zdrowie.

– Destylatem z jagód jałowca? To mocny trunek.

– Przekonałem się, że działa uspokajająco.

Odrzuciła mu buklak.

– Możesz go sobie zatrzymać. To co się wydarzy dziś w nocy?

Molk, który właśnie pił, zakrztusił się i wypluł łyk płynu.

– Trochę za dużo destylatu?

Kaszlnął, ocierając usta.

– Ach, myślę, że pani kapitan powinna w przyszłości bardziej uważać na swoje słowa.

Przyjrzała się przygarbionemu najemnikowi o wylupiastych oczach. Co właściwie Amaron w nim widział?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Wielka szkoda. Mam prowiant i koce. Będziemy dziś obozować pod gwiazdami. Pod warunkiem, że dadzą nam wybór...

– Wybór?

Uniósł głowę, wskazując podbródkiem za jej plecy.

– Nasi przyjaciele najwyraźniej podjęli wreszcie decyzję.

Ghelel odwróciła się błyskawicznie. Pięciu jeźdźców zmierzało nieśpiesznie ku nim, posuwając się gęsiego. Skąd się wzięli, na Ścieżki Kaptura? Na ich lancach powiewały proporce z szarego i brązowego futra. Na plecach nosili wysokie refleksyjne łuki. Mieli delikatne skórzane siodła, niewiele się różniące od derek, a za uzdy i wodze służyły im wąskie paski skóry.

– Żołnierze Wilków – oznajmił Molk.

– Guzik mnie to obchodzi.

Seti otoczyli ich kręgiem. Jeden ścisnął konia kolanami i podjechał bliżej.

– Witajcie, przyjaciele! – zawołał głośno Molk w hengańskim dialekcie.

– Intruzi nie są naszymi przyjaciółmi – odparł Seti w tym samym języku. Młody wojownik związał sobie czarne, kręcone włosy w liczne

warkoczyki, a skórzaną kurtkę zdobiły plamy i spirale barwy żółci bądź umbrzy. Na górnej wardze miał cień wąsów.

- Intruzi? - powtórzył ze śmiechem Molk. - Bynajmniej, przyjacielu. Jesteśmy Taliańczykami, waszymi sojusznikami.

Młodzieniec zmarszczył brwi, po czym wyciągnął rękę, wskazując północ.

- Wydaje mi się, że Heng leży tam.

Molk znowu się roześmiał.

- Tak, tak. Mamy się spotkać z towarzyszami w wiosce na południe stąd.

- Spaliliśmy wszystkie wioski. Zabiliśmy wszystkich mężczyzn i... - spojrzał na Ghelel, obnażając zęby - ...zgwałciliśmy kobiety. Na południe stąd nie ma nikogo żywego. Od tej pory nie mieliśmy okazji się zabawić. Jeździmy tylko wokół miasta, a oni czają się za murami. To nudne. Rozrywki dostarcza nam tylko polowanie na uciekających z miasta hengan.

- Ale my jesteśmy Taliańczykami. Jak widzisz, ubieramy się na niebiesko.

Młodzieniec pokiwał głową.

- Widzę. Ale tak sobie myślę, że w Heng na pewno mają niebieską tkaninę.

Ghelel miała już dość tych młodzieńczych prowokacji.

- Posłuchaj, ty przeklęty przez Kaptura...

Molk złapał ją za ramię.

- Moja pracodawczyni chce wam przypomnieć, że wasz wódz jest sojusznikiem naszego dowódcy, Chossa.

Wojownik ścisnął wierzchowca kolanami i zaczął się wycofywać.

- Coś mi się zdaje, że wódz jest bardzo daleko.

Dotknął wodzy. Wierzchowiec odwrócił się i oddalił cwałem. Pozostali jeźdźcy podążyli za nim.

Ghelel odprowadzała ich wzrokiem. Cholerne zbiry! Spojrzała na Molka.

- I co teraz?

Mężczyzna poprawił juki na plecach.

- Chyba mają ochotę się zabawić. Ruszajmy.

* * *

Powoli zbliżał się zmierzch. Biegli truchtem przez wysoką trawę. W oddali słyszeli krzyki ścigających i tętent kopyt. Od czasu do czasu trawę obok przeszywała strzała. Ghelel zaciskała zęby. Sukinsyny. Biegący przed nią Molk zniknął nagle. Z początku sądziła, że to tylko sztuczka popołudniowego światła, ale po kilku krokach stało się jasne, że rzeczywiście nigdzie go nie ma. Czyżby dosięgła go strzała wystrzelona z zasadzki przez niewdzięcznika Seti? Zwolniła mimo woli, zastanawiając się, co powinna teraz zrobić. Rzucić się na ziemię? Ukryć? Ale co to da? Stratują ją i tyle. Postawiła następny krok i poczuła pod stopą pustkę. Runęła w dół na łeb na szyję i zdążyła jeszcze pisnąć, nim grzmotnęła tyłkiem na kamień.

- Au!

- Cóż za ekspresja.

Skrzywiła się z bólu, pocierając pośladki.

- Co to ma być, na Otchłań?

- Pomyślałem sobie to samo.

- Nie wątpię w to. Ale co to jest?

Wskazała płaską, skrytą w cieniu drogę, biegnącą w zagłębieniu między dwoma szpalerami wysokiej trawy.

Molk uniósł głowę, wyętzając słuch.

- Imperialny trakt prowadzący do Dal Hon - wyszeptał. - Możesz za niego podziękować malazańskim inżynierom.

- Quontaliańskim – poprawiła go. – Na tamtej wyspie rodzą się tylko piraci, nie inżynierowie.

- Zrodziła się tam też wola potrzebna, by ich zatrudnić.

- Których?

- Jednych i drugich.

Ghelel westchnęła zirytowana, poprawiając zbroję i pas.

- I co teraz? Na trakcie Seti dogonią nas w gnieniu oka.

- Masz rację. To będzie świetna zabawa.

- Nie sądzę!

- Mówiłem o nich.

- A ja mówię o nas dwojgu!

Uśmiechnął się i mrugnął znacząco.

- Zaczynasz rozumieć, o co w tym chodzi. – Wskazał podbródkiem na północny wschód, wzdłuż traktu. – Niedaleko stąd powinien być zajazd, jeśli mnie pamięć nie myli.

Ruszył w tamtą stronę. Ghelel podążyła za nim.

- Seti mówili, że spalili wszystko.

- Idę o zakład, że ten zajazd ocalał.

- Dlaczego?

- Jak powiedział ten młodzieniec, wódz jest daleko... zresztą sama zobaczysz.

* * *

Mrok gęstniał. Trakt o kamiennej nawierzchni przerodził się w pasmo ciemności. Ghelel odnosiła wrażenie, że słyszy ruchy czegoś wielkiego w przydrożnych trawach. Po długiej drodze dotarli do zakrętu. Za nim zobaczyli ruiny spalonego budynku. Zostały z niego tylko kamienie podstawy, na których wspierały się poczerńiałe belki. Zniszczoną budowlę otaczało pole porośnięte sięgającym kolan zielskiem. Dziew-

czyną zatrzymała się nagle, sięgając rękami do pasa. Molk przystanął obok.

- No tak - mruknął, drapiąc się po podbródku.

Miała już zamiar wyładować na niekompetentnym durniu nagromadzoną przez cały dzień frustrację, gdy obok drogi pojawił się mężczyzna. Miał na sobie poczernianą, wysadzaną ćwiekami skórzaną zbroję i w ciemności prawie nie było go widać. U boku zawiesił sobie naładowaną kuszę i długą, zakrzywioną szablę. Usta niemal całkowicie przesłaniały mu szerokie, czarne wąsy.

- Kim jesteście, na wątpia przeklętego Fenera? - zapytał po taliańsku.

Molk przywitał go skinieniem głowy.

- Jesteś ze Straży Pogranicznej?

- A kto pyta?

Molk wskazał na Ghelel.

- Pozwól, że ci przedstawię rotmistrz Alil, waszego nowego oficera.

Mężczyzna obejrzał ją od stóp do głów.

- Naprawdę?

Ghelel otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, ale uciszył ją, unosząc rękę.

- Chwileczkę - powiedział i wyszedł na trakt. Wpatrzył się w ciemność, nasłuchując, a potem uniósł głowę.

- Wystarczy już tego!

Po chwili na drogę wyjechał pychający, tupiący koń. Jeździec, ten sam młody Seti, którego spotkali przedtem, ścisnął wodze w ręce, spoglądając na nich z pełnym zachwytem uśmiechem. Zwierzę tańczyło w kółko.

- Toven! - warknął mężczyzna.

- Chcieliśmy się tylko zabawić - odparł młodzieniec, uśmiechając się do Ghelel.

– Dobra, zabawa skończona – odparł żołnierz, odsyłając go skinieniem dłoni.

Toven wyprostował się w siodle i uklonił. Potem popędził wierzchowca kopniakiem. Zwierzę stanęło dęba i skoczyło przed siebie, pędząc przez gęstą trawę.

Uśmiechnięty sukinsyn.

Ghelel spojrzała na żołnierza, który wyjął bełt z kuszy i zwolnił spust. Potem zarzucił ciężką broń na ramię.

– A ty kim jesteś? – zapytał Molka.

– Sługą pani rotmistrz – odpowiedział ten, kłaniając się uprzejmie.

– Ho, ho, jesteś sługą pani, tak? Chodźcie. Tędy.

– Jak masz na imię, żołnierzu? – zapytała Ghelel.

– Pasterz – odparł, oglądając się przez ramię. – Sierżant Pasterz.

* * *

Długi czas szli przez noc. Sierżant milczał, Ghelel była zdeterminowana o nic go nie pytać, a Molk najwyraźniej napawał się chłodnym nocnym powietrzem. W końcu poczuła zapach dymu i usłyszała odgłosy niosących się na wietrze rozmów. Noc przed nimi rozjaśnił blask ognisk i lamp.

– Jaki jest obecnie stan oddziału, sierżancie? – zapytała Ghelel.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Zadała sobie pytanie, czy nie popełniła błędu, postarała się jednak nie okazywać wątpliwości. Uniosła brwi. Sierżant wzruszył ramionami.

– Pewnie będzie z pięciuset ludzi. Około czterystu średniozbrojnych jeźdźców i setka ciężkiej jazdy.

Ghelel zerknęła na Molka, który ignorował ich rozmowę. Wpatrywał się w ciemność, gwizdząc cicho pod nosem. Po obu stronach traktu ciągnęły się tu stratowane pola, usiane namiotami oraz korralami dla koni. Pasterz przeprowadził ich przez dwa posterunki. Przed

nimi wznosił się dwupiętrowy budynek z cegieł. W oknach paliły się światła, a od budowli odchodziły tworzące plac przybudówki, w tym również stajnie. Krążyli tam liczni żołnierze i żołnierki. Rozmawiali i śmiali się głośno, wielu piło ze skórzanych kufli. Front budynku zdobił szyld: „Dom Miłego Przywitania”.

Ghelel zatrzymała się nagle.

– To burdel? Przeklęty przez Poliel burdel?

Molk zakasłał w zaciśniętą pięść, opuszczając głowę. Pasterz skrzywił się, jakby dopiero teraz uświadomił sobie ten fakt.

– Hmm, tak, pani, to znaczy, rotmistrzu. To nasza tymczasowa kwatery. Żołnierze mogą tu przychodzić jedynie wtedy, gdy nie są na służbie.

– Rozumiem. I tu właśnie mnie prowadzisz?

– Idziemy do markiza, rotmistrzu. Jest w środku.

– Nie jest na służbie?

Molka znowu dopadł atak kaszlu. Sierżant Pasterz skinął głową, przepuszczając ich, wyraźnie zadowolony, że może przekazać sprawę przełożonemu. Ghelel skrzywiła się oslepiona silnym światłem. Na parterze stało mnóstwo stołów. Roześmiani żołnierze jedli i pili. Od gorąca dziewczynę zalał pot. Dopadła ją też raptowna senność i ugięły się pod nią kolana. Nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Pasterz poprowadził ich do stolika pod otwartym oknem. Siedział przy nim pałacy fajkę mężczyzna, pogrążony w rozmowie z towarzyszącą mu żołnierką. Był w starszym wieku, masywnie zbudowany, a siwe włosy obciął krótko. Miał na sobie skórzaną kamizelkę, włożoną na płócienną koszulę. Kobieta była drobna, brązowe włosy również miała krótko obcięte. Sierżant Pasterz podszedł do mężczyzny i powiedział mu coś do ucha. Ten skinął głową i wstał. Przy pobliskich stolikach zapadła cisza. Mężczyzna popatrzył z zainteresowaniem na Ghelel. Dziewczyna odwzajemniła jego spojrzenie. Nagle przypomniała sobie, co należy zrobić, i zaszalowała dziarsko. Mężczyzna odpowiedział nieśpiesznym salutem.

– Markiz Jhardin, do usług, rotmistrzu. – Wskazał kobietę. – Rotmistrz Razala. Dowodzi ciężką jazdą.

Ghelel ukłoniła się markizowi.

– Zaproponowałbym ci pokój, ale podejrzewam, że nie zechcesz się zatrzymać w tym miejscu.

– Masz całkowitą rację.

– Sierzancie, przygotuj kwaterę dla rotmistrza. Z pewnością zechcesz się odświeżyć po podróży. Potem porozmawiamy o twoim przydziale.

– Dziękuję, markizie.

– Wystarczy „dowódca”.

Sierzant Pasterz zasalutował i oddalił się pośpiesznie. Jhardin wstał od stolika i zaprosił skinieniem Ghelel, by poszła za nim. Rotmistrz Razala się ukłoniła.

– Witaj – powiedziała. Głos miała ochryply, być może z powodu rany.

Gdy Ghelel szła za markizem przez salę, wszyscy gapili się na nich. Dziewczyna miała wrażenie, że w ich oczach rezerwa miesza się z otwartą pogardą. Molk podążał w pewnej odległości za nimi.

– Długo już tu jesteście, dowódco? – zapytała, gdy weszli na schody. Pokiwał głową, wysypując węgielki z cybucha.

– Tak. Choss wysłał nas przodem.

Wskazał szereg namiotów.

– Wiedziałeś, że mam się zjawić?

Spojrzał na nią pytająco.

– Na ogół nie stawia się sierżantów na warcie – dodała.

Uśmiechnął się z żalem.

– Tak. Zawiadomiono nas.

Ghelel nie musiała pytać, w jaki sposób. Przez grotę. Obserwowała markiza, który, idąc, odpowiadał na saluty żołnierzy. Znowu z opóźnieniem przypominała sobie, że ona również powinna to robić. Odno-

siła wrażenie, że zaakceptował ją stanowczo zbyt łatwo. Zachowywał się zbyt swobodnie jak na doświadczonego dowódcę, któremu zwalono na głowę młodego, zielonego oficera, i to w dodatku kobietę. Na pewno wiedział, kim jest Ghelel, albo Choss lub Amaron kazali mu się nią zaopiekować. Tak czy inaczej, nie zamierzała go o to pytać. Jeszcze nie.

Sierżant Pasterz czekał już na nich pod namiotem.

- To twoja kwatera, rotmistrzu.

- Dziękuję.

- Przyślij do mnie swojego człowieka, gdy będziesz gotowa - rozkazał markiz, wskazując Molka.

Ghelel skinęła głową. Przekłęła się w myśli i znowu zasalutowała z opóźnieniem. Markiz odpowiedział tym samym. Jego swobodny uśmiech świadczył o tym, że nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do podobnych formalności. Zdziwiła się, gdy Molk uchylił przed nią połę, a potem wszedł za nią do środka. Z przodu długiego namiotu znajdowało się główne pomieszczenie, gdzie stały liczne składane stołki obozowe oraz stół zastawiony owocami, serami, chlebem i karafkami wina. Z tyłu ulokowano jej prywatną sypialnię. Molk rzucił juki na ziemię i podszedł do stołu.

- Umieram z głodu.

- Przekłęte przez Kaptura niańki - mruknęła.

Molk odwrócił się ku niej.

- Słucham? - zapytał z ustami wypełnionymi chlebem.

- Cały ten oddział ma się mną opiekować. Choss i Amaron zrobili z nich zwykłe niańki. Na pewno nienawidzą mnie za to.

- Mam wrażenie, że właściwe określenie brzmi „straż osobista”.

- Straż osobista? Pięciuset doświadczonych żołnierzy?

Molk nalał sobie kielich wina.

- To najlepiej świadczy, jak ważna jesteś dla naszego dowódcy.

Zabrała mu kielich i opróżniła go jednym haustem.

- To marnotrawstwo żołnierzy. Są potrzebni przy oblężeniu.
- Uwierz mi, pięciuset ludzi nie rozstrzygnie losów żadnego oblężenia.

Lypnęła na niego ze złością, nie mogła się już jednak dłużej opierać woni świeżej żywności. Zajął się zimnym mięsem.

- Ile wiedzą?
- Jhardin z pewnością bardzo dużo. Razala mniej.
- Jak bardzo otwarta z nimi powinnam być?
- To już zależy od ciebie.

Usiadła ciężko na stołku, prostując nogi. Wcale nie wydało się jej dziwne to, że Molk uklękł i zdjął jej buty. Poprzedniej nocy nie spała ani chwili, a przez cały dzień albo szła, albo truchtała. Nigdy w życiu nie czuła się tak zmęczona.

- Jestem wykończona, Molk. Nie sądzę, bym miała siłę dziś się z nimi spotkać.

- W takim razie przełożymy to na rano - odparł, wstając. - Zawiadomię ich.

* * *

Rejs był długi i monotony. Czując potrzebę odmiany, Krata zajął miejsce przy wiośle. Z początku poruszał nim lekko, chcąc się przekonać, na co pozwoli mu rana w piersi. Głębokie rany zawsze goiły się najwolniej. Ledwie zdawał sobie sprawę z pełnych bojaźni, a nawet strachu, spojrzeń, jakimi obrzucali go inni wioślarze. Starał się unikać myślenia o tym, co ma się wydarzyć, ale ich powrót, ich nieunikniony powrót, uniemożliwiał mu to skutecznie. Myśl o porażce wypełniała go goryczą, paliła w piersi dotkliwiej niż rana. Jeszcze bardziej upokarzająca była myśl, że będzie musiał przynieść wieści o prawdopodobnej zagładzie Czwartej Kompanii Gwardii. Najgorsze zaś było to, że niepokoił się myślą, czy nie wyślą tam kolejnych ludzi, by zbadali przyczyny tego końca. Cał w swych ostatnich słowach stanowczo się

temu sprzeciwiał. Krata przyznawał mu rację. Gwardia straciła już wystarczająco wiele zasobów w bezlitosnej otchłani, jaką było Assail. Corlo podszedł i klepnął go w ramię.

- Jemain chce z tobą porozmawiać.

Krata stęknął i wypuścił wiosło.

- Pracujcie dalej - rzekł, próbując sobie przypomnieć język Południowych Konfederacji Genabackańskich. - W końcu się stąd wydostaniemy.

- Tak jest, kapitanie.

- Jak twoja pierś? - zapytał Corlo, gdy szli na rufę.

- Boli, jakby Kaptur mnie ścisnął obcęgami. Ale przecież zawsze tak jest, prawda?

- Omija was tylko zgon.

- Nie na zawsze. - Krata zauważył, że twarz Corla przybrała smutny wyraz. - Bez obaw, dojdziemy i do tego.

Mag uśmiechnął się w odpowiedzi.

Jemain czekał na rufie, wpatrując się w gęstą mgłę spowijającą statek od z górą tygodnia.

- Oślepniesz, jeśli dalej będziesz to robił - poinformował go Krata.

- Psst - wyszeptał. - Proszę.

- O co chodzi?

- Coś tam jest.

- Hmm...

- Tak sądzę. Coś unieruchomionego przez ciszę, tak samo jak my. Śledzi nas.

- Naprawdę? Corlo?

- Wysłałem sondę. Ktoś tam jest. Nie potrafię powiedzieć nic więcej.

- Hmm. I co z tego? Co możemy w tej sprawie zrobić? Może po prostu liczą na to, że wiemy, dokąd płyniemy?

Pobladła twarz Jemaina błyszczała od potu. Był wyraźnie niezadowolony z tego, co zamierzał zasugerować.

– Słuchajcie, powinniśmy przestać wiosłować. Może uda się ich zgubić.

– Albo nie.

Marynarz wzruszył ramionami.

– Jaka jest nasza pozycja?

– Daleko na północ od miejsca, gdzie chcieliśmy się znaleźć.

Krata spojrział na Corla.

– Masz jakieś wieści od Braciszków?

– Szepty. Są, hmm, podekscytowani. Sugestia ruchu. Nieustannego ruchu.

– Hmm. Proszę bardzo, Jemain. Przekazujcie rozkazy z ust do ust. Corlo, ty i Baranek zajmiecie pozycje na dziobie. Ja wezmę rufę. Prześtańcie wiosłować. Wydajcie broń każdemu, kto zechce ją wziąć.

– Tak jest, kapitanie.

Wkrótce wiosła znieruchomiały i wsunęły się w otwory. Krata włożył największą skórzaną zbroję na pokładzie i za pomocą gestów rozmieścił ośmiu pozostałych regularnych Gwardzistów. Wskazał im, że zaczną od ostrzału z łuków i kusz. Ludzie unieśli broń wygrzebaną w ładowniach i w zaniedbanych wnętrznościach statku. Marynarze i wiosłarze również wyszli na pokład, uzbrojeni w co popadnie.

Jemain przeszedł za Kratą na lewą burtę. Obaj wbili spojrzenia w gęstą, kremową mgłę.

– Jak myślisz, gdzie jesteśmy? – wyszeptał Gwardzista.

– Może blisko centrum Wód Menigal?

– Hmm. A może na Oceanie Sięgacza?

Jemain wyciągnął rękę.

– Tam.

Krata wyteżył wzrok i wypatrzył jakiś ruch. Niska, mroczna sylwetka zbliżała się do nich pod kątem. Jeden rząd wiosel, niski pokład.

Wojenna galera z łańcuchowym ożaglowaniem. Krata przyjrzał się otaczającej ją wodzie w poszukiwaniu taranu, ale nie zauważył piany ani śladu torowego. To dziwne, wojenne galery na ogół wyposażano w tarany. Wzdłuż burt statku biegły szeregi tarcz. Uniósł rękę, by nakazać wypuszczenie pierwszej salwy. O dziwo, z galery do nich nie strzelano, choć przecież musieli już ich widzieć.

Jemain nagle zatoczył się do tyłu, jakby uderzyła go strzała. Złapał Kratę za uniesioną kończynę. Gwardzista spojrział w jego przerażoną twarz.

- Co się stało?

- Nie strzelajcie - zdołał wykrztusić mężczyzna. - Proszę, nie strzelajcie.

Krata przyjrzał się pokładowi galery. Nie widział tam żadnego ruchu. Postanowił ustąpić.

- Proszę bardzo. - Serią znaków kazał swoim ludziom przejść na broń ręczną. - Dlaczego?

Genabackański pierwszy oficer zaniemówił ze strachu. Mógł jedynie wyciągnąć rękę.

- Tarcze... nie widzisz...?

- Bogowie, o co chodzi?

Krata widział już, że to rzeczywiście są tarcze, ale mają dziwny kształt i wszystkie pomalowano na podobieństwo masek. Pierwszy oficer już go nie słuchał. Rozglądał się, jakby szukał drogi ucieczki. Sprawiał wrażenie gotowego nawet wyskoczyć za burtę. Gwardzista złapał go za złachmanioną kamizelkę, uniósł nad pokład i potrząsnął nim.

- Kto to jest?

- Krążą o nich legendy, ale nikt naprawdę nie widział...

- Kto, niech cię Kaptur przeklnie...

- To statek Seguleh.

Krata puścił marynarza.

– Seguleh? A kim oni są, na cycki Togga?

– Nie słyszałeś o nich?

– Nie. – Gestami rozkazał swym ludziom czekać w pogotowiu. – Powiedz mi coś o nich.

– Musisz rozkazać swym ludziom rzucić broń. Szybko. Całą broń. Proszę.

Krata wlepił weń spojrzenie.

– Naprawdę?

– Tak. Pozwól mi przemówić do załogi.

Krata skinął na Jemaina, udzielając mu pozwolenia. Był bliski śmiechu. Tymczasem galera manewrowała, zbliżając się do nich, jakby zmierzała na umówione spotkanie. Na pokładzie stały cicho i spokojnie szczupłe, wyprostowane sylwetki. Kracie nasunęła się myśl, że intruzi faktycznie zachowują się tak, jakby spodziewali się, że po prostu wejdą na pokład drugiego statku, nie napotykając oporu. Jakby to była jakaś cholerna inspekcja portowa albo coś w tym rodzaju.

– To statek Seguleh! – zawołał Jemain do zgromadzonych na pokładzie marynarzy, którzy przyglądali mu się z napięciem na twarzach. – Naprawdę! Odlóżcie broń, a nic wam się nie stanie.

Ku zdumieniu Kraty wszyscy marynarze, a nawet wyzwoleni niewolnicy i wiosłarze, wykonali polecenie Jemaina. Pierwszy oficer również odrzucił mały marynarski nóż. Krata zauważył, że Corlo przygląda się mu z dziobu. Uniósł ręce w pytającym geście. Mag zastanowił się, a potem zamigał, że się zgadza.

Krata westchnął. Bogowie! Na co musieli się narażać, by wrócić do Stratemu.

– W porządku, chłopaki. Odlóżcie broń, ale trzymajcie ją pod ręką. Na wszelki wypadek.

Jego podkomendni odłożyli z niechęcią broń. Wszyscy poza jednym, który przeszył go wyzywającym spojrzeniem. Galera uderzyła

burtą o ich statek. Haki abordażowe zaczepiły o reling. Za kilkoma z nich ciągnęły się drabinki sznurowe.

– Tillin, do cholery! Rozkazałem ci rzucić broń!

– Co cię ugryzło, Krata? Nie mam zamiaru po prostu się poddać.

– Niech cię Kaptur przeklnie! Czy kazałem komuś się poddać! Powiedziałem wam, żebyście rzucili broń. Natychmiast!

Twarz Tillina pociemniała z wściekłości. Rzucił miecz na pokład.

– Ten drugi też! – zawołał Krata. – Majcher.

Tillin wyciągnął długi nóż, który miał z tyłu za pasem, i jego również odrzucił.

Sznurowa drabinka naciągnęła się z nagłym szarpnięciem. Krata złapał za reling. Musiał przyznać, że był cholernie ciekawy tych, którzy przerazili Genabackan jak sama Noc. Za burtą pojawiła się zamaskowana twarz. Gwardzista chrząknął zaskoczony. Kto by pomyślał? Dokładnie to, co zapowiadały tarcze. Intruz skoczył jednym, płynnym ruchem na pokład i wyprostował się, kładąc dłonie na szerokiej szarfie, do której miał przytroczone dwa miecze. Krata chrząknął po raz drugi. Są cholernie szybcy, pomyślał. Za pierwszym podążyło siedmiu następnych. Wszyscy byli średniego wzrostu, szczupli jak trzcina, odziani w lekkie skórzane zbroje oraz płócienne spodnie. I, o dziwo, byli boso. Twarze zasłaniały im zdobnie pomalowane maski.

Jemain witał jękiem każdego kolejnego zamaskowanego intruza. Gdy ostatni wszedł już na pokład, Genabackanin złapał Kratę za skryte pod kolczugą ramię, jakby się bał, że zemdleje.

– Jest ich ośmiu! Ośmiu!

– Umiem liczyć – mruknął Gwardzista. Wskazał pokład galery. – Na statku stali kolejni.

Marynarze stali nieruchomo, pozwalając intruzom swobodnie poruszać się po pokładzie. Gwardziści podążyli za ich przykładem. Seguleh zagląдали do skrzyń, sprawdzali stopy ekwipunku.

– Co tu jest grane? – zapytał Jemaina Krata.

- Nie jestem pewien. Chyba...

Nagle jeden z Seguleh eksplodował ruchem. Uderzył stopą o pokład, ciało zważyło się na deski. Krata pobiegł na śródkręcie, odpychając na bok marynarzy. Tillin leżał nieruchomo, zwrócony twarzą ku górze. Krata uklękł i sprawdził mu tętno. Mężczyzna nie żył. Krata spojrzał na najbliższego Seguleh.

- Co to ma znaczyć?!

- Był uzbrojony - wyjaśnił inny Seguleh w języku Południowych Konfederacji, zbliżając się ku niemu z drugiej strony pokładu.

Ten, którzy patrzył na Kratę, odwrócił się plecami - powoli i demonstracyjnie - a potem odszedł.

Zaskoczony Gwardzista zamrugał. Jemain podszedł do niego i odwrócił ciało. Tillin miał zatknięty za pas długi nóż. Krata zachnął się. Zapomniał, że Tillin zawsze nosił dwa. Uniósł wzrok, ale Seguleh, który do niego przemówił, już się oddalił.

- Dokąd on poszedł?

- Nie jestem pewien, czy potrafię go odnaleźć - odparł Jemain.

- To zapytaj!

W śmiechu pierwszego oficera zabrzmiała nuta szaleństwa.

- Nie, nic nie rozumiesz. Tylko ten jeden będzie z nami rozmawiał. Zmusili go, bo jest wśród nich najniższy rangą. To dla niego wstyd.

- No to znajdź go!

Jemain uniósł bezradnie ręce.

- Próbuję, ale nie umiem odczytać ich masek.

Odczytać ich masek? O czym on gadał? Krata rozejrzył się po pokładzie. Sześciu. Dwóch zeszło na dół, niech ich Kaptur weźmie. Co przed chwilą zrobił swoim ludziom? Zauważył, że Baranek nie ruszył się z miejsca, gdzie rzucił miecze. *Zaczekaj* - zamigał do niego. *Skrajna niecierpliwość* - odpowiedział tamten. Krata spojrzał Corlowi w oczy i skinął głową. Mag uniósł ręce, zaczerpnął głęboko tchu, a potem zamarł. Jego szyi dotknęła błyszcząca klinga.

– Kto przemawia w imieniu tego statku?! – zawołał ten sam Seguleh, który odezwał się przedtem.

Krata wysunął się naprzód.

– Ja.

– Jest wśród was mag. Ma się powstrzymać od używania swej sztuki albo zginie. Czy to jasne?

– Ehe... to znaczy tak, jasne.

Krata podszedł do rzecznika i stanął z nim twarzą w twarz, czy raczej w maskę. Przyjrzał się jej uważnie, rozpaczliwie starając się zapamiętać tożsamość tamtego. Zrozumiał już słowa Jemaina. Wszystko można było wyczytać z maski, o ile rozumiało się znaki. Zauważył ciemnokarmazynowe spirale, nisko na policzkach.

Rzecznik odwrócił się, spoglądając na pozostałych Seguleh. Wymieniono jakieś subtelne gesty albo sygnały języka ciała. Nikt nie odezwał się ani słowem. Rzecznik ponownie spojrział na Kratę.

– Potrzebujemy waszych zapasów żywności i wody pitnej – oznajmił dziwnie wysokim głosem. – Przeniesiecie ładunek na nasz statek. Co więcej, nasi wioślarze są zmęczeni. Zabierzemy najsilniejszych spośród was, by ich zastąpić.

Krata spojrział w ciemnobrązowe oczy Seguleh, ledwie widoczne w szparach maski.

– Co zrobicie?

Maska przesunęła się nieco w bok.

– Czy nasze instrukcje nie są jasne? Może powinniśmy pomówić z kimś innym? Kimś, kto zrozumie je lepiej?

Do Kraty podszedł Jemain.

– Tak, szlachetny panie. Rozumiemy. Posłuchamy. – Z wysiłkiem odciągnął Kratę na bok. – Nie mamy wyboru – wyszeptał. – Przynajmniej daruj nam życie.

– I zostawią nas na pewną śmierć! – warknął Gwardzista. Przeszył rzecznika wściekłym spojrzeniem, ale niepotrzebnie zadawał sobie

trud. Seguleh ignorował go całkowicie, jakby Krata po prostu zniknął. Rozwścieczony mężczyzna zacisnął rękę na gardle Jemaina.

– Ja wpakowałem w to swoich ludzi i ja ich z tego wyciągnę. Daj mi jakieś wyjście... jakiegokolwiek.

Pierwszy oficer szarpał za palce Gwardzisty. Oczy wyszły mu na wierzch.

– Jest jeden sposób! – wydyszał. – Ale zapłacisz za to życiem!

Krata go puścił.

– Co to za sposób? Gadaj!

Jemain osunął się na kolana, dysząc spazmatycznie.

– Rzuć wyzwanie rzecznikowi.

Krata chrząknął. Coś mu mówiło, że do tego dojdzie.

– Jak?

– Unieś broń. Ale musisz patrzeć tylko na rzecznika! Nikogo innego! To jego wyzywasz.

– Dobra.

Karmazynowy Gwardzista rozejrzał się po pokładzie w poszukiwaniu najbliższej broni. Dostrzegł prosty miecz z Wolnych Miast i solidny marynarski sztylet. Podniósł je i zwrócił się w stronę rzecznika, trzymając głowę zwieszoną. Kątem oka zauważył, że wszyscy znieruchomieli. Jeden Seguleh stał mu na drodze. Gdy Krata podszedł bliżej, tamten wyciągnął miecz i dotknął klingą jego piersi. Gwardzista zatrzymał się, cały czas zwieszając głowę, a potem ruszył dalej. Ostrze zostawiło na jego skórzanej kurcie rozcięcie. Posuwając się naprzód bardzo ostrożnie, Gwardzista podszedł do rzecznika i zatrzymał się przed nim. Seguleh znieruchomiał. Krata uniósł wzrok, przesuwając spojrzeniem po skórzanej kamizelce i chuście okalającej szyję. Aż wreszcie dotarł do maski i ukrytych za nią oczu. Gdy tylko ich spojrzenia się spotkały, maska pochyliła się minimalnie. Na znak akceptacji?

Rzecznik odsunął się z szybkością polującego kota. Jego boscie stopy lekko dotykały pokładu. Potem rzucił się do ataku. Krata natychmiast zaczął się cofać, rozpaczliwie parując ciosy. Uderzenia były tak szybkie, że nie miał czasu się zastanawiać ani planować. Cofnął się o połowę długości statku, nim wreszcie znalazł mgnienie oka na przeprowadzenie kontrataku, który pozwolił mu odzyskać równowagę i powstrzymać napór przeciwnika. Był przerażony. Nigdy dotąd coś takiego go nie spotkało.

Jego ulga nie trwała jednak długo. Sparowała elegancką serię ripost i zanadto się odsłonił. Zauważył wyprowadzany atak – pchnięcie na górną część uda – zbyt późno, by go powstrzymać, zdołał się jednak uwolnić, nim cofająca się klinga zadała poważniejsze obrażenia. Kratę przeszył niezwykle dla niego zimny dreszcz. Sądził dotąd, że pobyt na Assail odczytał go takich reakcji. Przeciwnik nie próbował po prostu go zabić. Wybierał cele! To był precyzyjnie wyprowadzony atak na tętnicę udową. Jeśli zaraz czegoś nie zrobi, Seguleh posieka go na plasterki. Mógł myśleć jedynie o tym, jak będzie się śmiał jego przyjaciel Jup. Żelazna Krata w końcu pokonany przez jakiegoś zamaskowanego głaba!

Minęło niespełna sześć uderzeń jego serca.

Choć Seguleh wyprowadzał ataki równie szybko jak Blues – mistrz szermierczej finezji w Gwardii – nie stała za nimi siła. To były raczej chirurgiczne cięcia niż ciosy. Krata wziął się w garść – podejrzewał, że niewielu pożyłoby wystarczająco długo, by to zrobić – i przeszedł do wściekłego kontrataku, wkładając w niego wszystkie siły. Odbił na bok jeden miecz i zaskoczył przeciwnika, raniąc go sztyletem w przedramię. Druga broń Seguleh skaleczyła jego twarz, ale Krata się nie zatrzymał. Odwrócił sztylet w rękę, przebił lekką skórzaną zbroję i wbił go aż po rękojeść tuż nad sercem. Siła uderzenia zabiła Seguleh z nóg, zdołał jednak jeszcze unieść drugi miecz i zranić Kratę w szyję. Ostrze przecięło ciało poniżej brody. Gwardzista zatoczył się do tyłu, rycząc z bólu.

Osunął się na kolana. Między palcami wypływała mu ciepła krew. Ktoś złapał go mocno za rękę.

- Daj mi zobaczyć. Daj mi zobaczyć. - To był Corlo.

Krata zwolnił uścisk. Mag owinął mu szyję tkaniną.

- W porządku - powiedział. - Wszystko w porządku. Będziesz żył.

Ranny dławił się i dyszał. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

Corlo wziął go za rękę i Krata wyprostował się chwiejnie. Zauważył, że Jemain gapi się na niego z niedowierzaniem. Przywołał skinieniem pierwszego oficera. Spróbował coś powiedzieć, ale bezskutecznie. Spojrzał w dół i zobaczył, że ma na koszuli czerwoną plamę.

- I co teraz? - zdołał wreszcie wychrypieć.

Jemain przełknął ślinę, stojąc w bezruchu.

- Ponoć to nigdy się nikomu nie udało - wyszeptał zachwycony.

- Mnie też tylko ledwo - odparł Krata tak cicho, jak tylko mógł.

Jemain skinął na drugiego Seguleh, który pochylał się nad martwym rzecznikiem.

Kapturze na martwym koniu! Tylko nie następny! Czy będę się musiał pojedynkować ze wszystkimi?

Seguleh wyprostował się i spojrzał na Kratę.

- Jak brzmi twoje imię? Umieścimy je na liście Agatii.

- Agatii?

- Tysiąca.

Krata wytrzeszczył oczy. Tysiąc takich szermierzy?

- Jestem Krata. Żelazna Krata. Zaprzysiężony z Karmazynowej Gwardii. Czwarta Kompania, Drugie Ostrze.

Wszyscy Seguleh zwrócili wzrok ku niemu. Krata spojrzał na nich, ale potem przypomniał sobie ostrzeżenie Jemaina i odwrócił wzrok. Ten, który trzymał się z dala od pozostałych, stojąc daleko na dziobie, podszedł teraz do niego. Jego maska miała znacznie mniej ozdób niż u pozostałych. Widniała na niej tylko kilka kresek, ale, rzecz jasna,

Krata i tak nie rozumiał ich znaczenia. Znowu przypomniał sobie słowa Jemaina i pośpiesznie odwrócił wzrok.

- Dotarły do nas wieści o waszych Zaprzysiężonych - oznajmił Seguleh. - Dlaczego nie przedstawiłeś się wcześniej?

Krata wzruszył ramionami.

- Nie widziałem powodu.

Seguleh chyba zrozumiał jego sposób myślenia.

- Nie znasz naszych zwyczajów, więc wyrażę się jasno: wyzywam cię.

- Nie zgadzaj się! - zawołał Jemain.

Krata ostrożnie dotknął mokrego bandaża na szyi i wytarł usta przedramieniem, brudząc je krzepnącą krwią z rany na twarzy. Ból w przeszytej nodze palił go ogniem. Kończyna drżała, ledwie zdolna utrzymać jego ciężar.

- Hmm, z całym szacunkiem odmawiam - wyszeptał.

Seguleh pochylił lekko głowę.

- Może innym razem. - Zerknął na swych ludzi. Wszyscy jak jeden mąż przeszli na burtę. - Idziemy.

Krata znowu wytrzeszczył oczy. Bogowie, co to za ludzie. Ciągłe go zaskakiwali.

- Chwileczkę. Dokąd się wybieracie? Co tu właściwie robicie? Na Obrót Bliźniaków, człowieku. Dlaczego w ogóle chcesz teraz ze mną rozmawiać?

Pozostali Seguleh przenieśli martwego rzecznika na bok. Ten, którego Krata uważał za ich dowódcę, znów spojrzał na niego.

- Zdobyłeś teraz status. Nazywam się Oru. Jestem twoim... jak to się mówi po waszemu... Yovenai...

- Patronem albo dowódcą. Może też czymś w rodzaju nauczyciela - podpowiedział Jemain.

Oru nie zaprzeczył. Krata wskazał zabitego.

- A jak on się nazywał?

- Leal. Nazywała się Leal.
- Nazywała? To była kobieta!
- Tak.

Bogowie na dole, nie miał pojęcia. Zapamięta jednak jej imię. Rzadko się zdarzało, by był tak blisko porażki. Oru przeskoczył zgrabnie na galerę. Krata wychylił się przez burtę.

- Co tu robicie? Dlaczego przyplynieście w te strony?

- Jesteś jednym z Agatii. Masz swoją misję. My mamy swoją. Szukamy czegoś... czegoś, co skradziono nam dawno temu.

- No cóż... niech wam bogowie sprzyjają.

- Nie nam - odparł Oru.

Seguleh odepchnęli się od nich tyczkami. Gdy szykowali wiosła, Krata policzył ich pośpiesznie. Piętnastu.

Pożogo, zmiłuj się, jest ich piętnastu.

Potem galera zniknęła we mgle, pozostawiając za sobą tylko echa stukotu drewna oraz plusku wody.

Krata odwrócił się do nadburcia i zauważył, że Jemain znowu przygląda mu się uważnie.

- O co chodzi?

- Nigdy bym w to nie uwierzył.

- Ehe. Pani mi sprzyjała.

- Seguleh nie wierzą w szczęście.

- Skoro tak mówisz. Wracajmy do wiosłowania. Ty wydawaj rozkazy, pierwszy oficerze. Ja ledwie mogę mówić.

- Tak jest, kapitanie. I, kapitanie...

- Słucham?

- Postarałem się uważnie przyjrzeć masce Oru. Jeśli się nie mylę, należy do pierwszej dwudziestki.

Drugiego dnia ucieczki ze zniszczonego Fortu Pogranicznego Rillish po przebudzeniu zauważył, że pięcioro zasmarkanych wickańskich dzieci gapi się nań z nieskrywaną ciekawością typową dla młodego wieku. Wsparł się na łokciach, odwzajemniając ich spojrzenie. Bachory nawet nie mrugnęły.

- Tak? Pomożecie mi czy nie?

Wyczerpująca podróż pogorszyła stan rannej nogi porucznika. Wczoraj żołnierze nieśli go na zmianę. Spowijające nogę bandaże śmierdziały i miały żółtozieloną barwę.

- Nie - odparła dziewczynka, najstarsza, a zarazem przewodniczka grupy.

- Nie? - Rillish zmarszczył brwi. - Macie więc zamiar skrócić moje cierpienia, tak jak robicie z waszymi rannymi?

- Mieszczuchy kłamią - odparła z bezbrzezną pogardą dziewczynka. - My nie.

- Wy nie - powtórzył Rillish. Nasunęła mu się myśl, że osądza go rada sprawująca rządy nad grupą dzieciaków, które uratował. - Czy mogę zapytać, jak masz na imię?

- Grzywa - odparła.

Za spleciony z końskiego włosia sznur służący jej jako pas podtrzymujący nędzny strój - składający się tylko z wystrzępionej derki wciągniętej przez głowę - zatknęła schowany w pochwie nóż o rękojeści z poroża. Broń wyglądałaby żałośnie, gdyby nie wspierał jej nieprzejednany wyraz twarzy dziewczynki. Rillish uświadomił sobie, że zna ten nóż.

- Czy mogę zapytać o cel tego zebrania?

- To nie jest zebranie rady, jakie urządzają mieszczuchy. - Dziewczynka uśmiechnęła się szyderczo. - To spotkanie dowództwa. Ja dowodzę.

- Ty? Nie, myślę, że to ja...

- Myśl sobie, co chcesz. Jeśli chcesz przeżyć na równinach, musisz mnie słuchać.

- Grzywa, dowodzę żołnierzami, którzy was strzegą, i którzy uratowali ciebie i twoich...

- Uratowali nas? - warknęła. - Nie, Malazańczyku. Z mojego punktu widzenia to my was uratowaliśmy...

Rillishowi przyszło do głowy, że klóci się z dziesięcioletnią dziewczynką, i to ona ma rację. Uniósł wzrok, spoglądając na zapewniające mu cień gałęzie drzew zagajnika, w którym obozowali.

- Proszę bardzo. Wyświadczę ci tę uprzejmość i uznam, że wszystko to do czegoś prowadzi...

- Świetnie. Mówił, że tak zrobisz.

- Kto?

Skrzywiła się.

- Nieważne. Postanowiliśmy, że będziesz teraz jechał na włókach.

- Na włókach. To bardzo uprzejme z waszej strony.

- Nie chodzi o uprzejmość. Spowalniaasz nas.

No tak. Ich grupa dźwigała już jedno brzemień - małego chłopczyka owiniętego w koce. Dzieci doglądały go nieustannie.

- Każę swoim ludziom...

- Twoi ludzie nie będą ich ciągnąć. Są potrzebni do walki. Zajmie się tym trzech najsilniejszych chłopców.

- Chwileczkę...

Grzywa uciszyła go gestem.

- Zdecydowaliśmy.

Pięcioro dzieci odwróciło się i odeszło.

No cóż. Zgraja bachorów kazała mu się zamknąć.

- Sierzancie Żyłka!

Ktoś dotknął jego ramienia. Porucznik otworzył oczy i ujrzał złoty blask południowego słońca. Sierżant Żyłka truchtał obok włók. Wysoka trawa rozstępowała się przed nimi z szumem. Rillish czuł się tak, jakby ciągnęli go przez płytką wodę.

- Poruczniku?

- Słucham, sierżancie?

- Przed nami kłopoty. Mała banda uzbrojonych osadników. Zwiadowcy mówią, że będziemy musieli ich załatwić. Najprawdopodobniej nas zauważą.

- Zwiadowcy, sierżancie?

Z jakiegoś powodu Rillishowi trudno było mówić.

Żyłka się zaczerwienił.

- Hmm, chłopcy i dziewczęta, poruczniku.

Zwolnili, a potem się zatrzymali. Sierżant Żyłka przykucnął obok włók. Rillish przyglądał się mu, próbując skupić wzrok. Coś było nie w porządku z jego oczyma.

- Proszę bardzo, sierżancie. Otoczcie ich, wystrzelcie salwę, a potem ruszajcie do ataku.

- Tak jest, poruczniku. Jej rozkazy brzmiały tak samo.

- Jej, sierżancie?

Kolejny rumieniec.

- Grzywy, poruczniku.

- Czy to twój nóż ma za pasem?

- Tak, poruczniku.

- A czy taki gest nie ma wśród Wickan pewnego znaczenia?

Skrępowany sierżant odwrócił wzrok.

- Hmm, ma, poruczniku. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Muszę już iść, poruczniku.

- Proszę bardzo, sierżancie - odparł Rillish, ale Żyłka zdążył już zniknąć.

Drugie włóki skryto w wysokiej trawie. Ci, którzy je ciągnęli, ukłękli wokół nich zaniepokojeni. Rillish odnosił wrażenie, że starsi chłopcy i dziewczęta ich strzegą. Kolejne dzieci wyłaniały się z otaczającej włóki trawy, by porozmawiać z malcem, a potem się oddalały. Mogłoby się zdawać, że przekazują mu informacje i odbierają jego rozkazy. Zachichotał na tę myśl. Ręka jednego z ciągnących go chłopców spoczęła na ramieniu oficera.

– Cicho, Malazańczyku.

Cicho! Jak śmiał?! Rillish spróbował usiąść. Nauczy bachora, co znaczy szacunek. Nogę przeszyla mu lanca bólu. Jego pole widzenia zwężyło się do dwóch tuneli, uszy wypełnił łoskot lawiny. Potem nie czuł już nic więcej.

* * *

– Poruczniku? Poruczniku!

Ktoś go wołał. Znajdował się na pokładzie transportowca gdzieś na północny wschód od Pięści. Wokół szalał sztorm połączony z ulewą. Niezgrabna łajba kołysała się na ogromnych falach. Czuł się jak pchła uczepiona wściekłego psa. Kapitan coś wrzeszczał, wskazując na prawo. Z mroku wyłoniła się długa kobyłańska galera wojenna o czarnym kadłubie. Mknęła ku nim niby gniew samego Kaptura. Za jej taranem ciągnęły się bryzgi sięgające wyżej niż pokład smukłego okrętu.

– Ster w prawo! – ryknął kapitan.

Rillish omiótł pokład spojrzeniem. Tłoczyli się tam regularni malazańscy żołnierze – posiłki dla porzuconej na kontynencie Szóstej Armii. Zauważył sierżanta, rozkazującego swym ludziom sformować szeregi.

– Gotuj kusze! – zawołał do niego.

– Tak jest! – odpowiedział sierżant.

Nim zdążył się odwrócić, taran uderzył. Kasztel rufowy podskoczył gwałtownie, wybijając mu powietrze z płuc. Ludzie krzyczeli, drewno

pękało z powolnym trzaskiem. Złamany maszt spadł na pokład.

– Strzelać! Strzelać bez rozkazu! – ryknął zaplątany w olinowanie Rillish.

– Tak jest! – krzyknął ktoś w odpowiedzi.

Rillish wyobraził sobie zniszczenia powodowane przez szeregi malazańskich kuszników zasypujących kolejnymi salwami niski, otwarty pokład galery. Wyplątał się z lin. Nic nie widział na jedno oko. Zalewała je wypływająca z rany na głowie krew.

– Gdzie nasz mag kadrowy? Niech ją szlag!

– Nie żyje, poruczniku – odpowiedział ktoś w ciemności.

Pokład przechylił się w lewo, gdy oba okręty uniosły się na fali. Potem oddzieliły się od siebie z bolesnym zgrzytem. Pojawił się popękany taran. Sypał się z niego drewniany pył. Wiosła się poruszyły i galera się cofnęła. Niech Kaptur porwie tę blokadę! Kobyłanie byli jedynymi cokolwiek wartymi sojusznikami Korelrijczyków. Rillish zastanawiał się, czy któremuś z pięciu malazańskich okrętów udało się przedostać. Galera zniknęła w mroku. Jej kapitan był przekonany, że wykonał misję. Rillish był skłonny się z nim zgodzić. Transportowiec nie chciał się wyprostować, unosił się na falach jak martwy. Porucznik przedarł się przez ruiny kasztelu rufowego i znalazł sierżanta.

– I co ty na to powiesz? – zapytał.

Sierżant skrzywił się i splunął.

– To, że woda jest cholernie zimna.

– Zgadzam się. Każ ludziom wyrzucić ekwipunek. Będziemy musieli dopłynąć do brzegu albo liczyć na to, że w pobliżu jest inny transportowiec.

– Tak jest.

* * *

– Poruczniku? Poruczniku!

Rillish otworzył oczy. Była noc. Na niebie świeciły gwiazdy, ale zachowywały się jakoś dziwnie. Gdy tylko poruszył głową, okazywało się, że mają ogony. Sierżant Żyłka patrzył na niego z góry. Rillishowi było gorąco, zalewał go pot. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł otworzyć ust.

– Masz gorączkę, poruczniku. Wdało się zakażenie.

Rillish zdołał rozchylić wargi.

– Myślałem o dniu, gdy się spotkaliśmy, Żyłka.

– Tak, poruczniku? To był niedobry dzień. Straciliśmy mnóstwo dzielnych ludzi.

Obok sierżanta pojawił się wickański chłopiec. Towarzyszyła mu Grzywa.

– Ten chłopak to talent – oznajmił Żyłka. – Dotknęła go Denul. Tak mówi Grzywa. Przyjrzy ci się.

Chłopiec pochylił nieśmiało głowę.

To tylko dziecko!

– Nie.

– Nie, poruczniku?

– Nie. Jest za młody. Niewyszkolony. To zbyt niebezpieczne.

Żyłka i Grzywa wymienili spojrzenia. Sierżant wrzucił ramionami, co miało pewnie znaczyć: „A nie mówiłem?”.

– Tak rozkazano – oznajmiła Grzywa.

– Kto tak rozkazał?

Grzywa spojrzała na drugie włóki, a potem przygryzła wargę.

– Rozkazano. To wszystko. Zrobimy to.

– Nie...

Żyłka złapał porucznika. Inne ręce chwyciły go za barki, ramiona i nogi. Do ust wepchnięto mu złożoną skórę. Rillish wyrwał się, szarpał, dyszał i próbował wrzeszczeć. Chłopiec dotknął jego nogi i zamknął oczy. Porucznika pochłonęła ciemność.

Ocknął się na porośniętej trawą polanie. Świeciły nad nim gwiazdy, takie same jak poprzednio. W gruncie rzeczy wszystko wyglądało tak podobnie, że Rillish podejrzewał, iż Żyłka i pozostali doszli do wniosku, że najlepiej będzie po prostu go zostawić. Przekonał się, że jest w stanie unieść głowę. Zobaczył chłopca, który siedział ze skrzyżowanymi nogami naprzeciwko wygasłego ogniska, wpatrując się w ziemię.

– Hej?

– Nie wysilaj się, cudzoziemcu – warknął ktoś. – On ci nie odpowie.

Rillish przyjrzał się ścianie falujących, brązowych źdźbeł trawy.

– Kto to?

Ze wszystkich stron dobiegł ochryply śmiech.

– Nie dla ciebie, cudzoziemcu. No wiesz, nie powinieneś wędrować zagubiony. Nawet tutaj.

Pomacał ziemię w okolicy włók w poszukiwaniu broni, ale nic nie znalazł. Znowu rozległ się ochryply, urywany śmiech.

– Co tu jest grane?

– Naradzamy się...

W trawie przesuwały się jakieś sylwetki, długie i gibkie.

– Naradzacie się... nad czym?

– Jak cię zabić.

Sylwetki zamarły. Wszelki ruch ustał. Znieruchomiało nawet powietrze. Ziemią na polanie wstrząsnęło coś wielkiego, co poruszało się powoli. Rillishowi przypomniały się chwile, gdy czuł drżenie ziemi. Niektórzy zwali to Bólem Pożogi.

– Dość tego...

Sylwetki umknęły.

Polanę wypełniła jakaś obecność. Zmysły Rillisha nie były w stanie wyczuć nic więcej. Jego oczy nie potrafiły ogarnąć tego, co postrzegały. Widział tylko poruszającą się ślepą plamkę. Otoczyła go intensywna woń świeżo zrytej ziemi, ciepła i wilgotna. Przypomnił sobie, jak w młodych latach pomagał robotnikom w rodzinnym sadzie. Obecność zbliżyła się do chłopca, otaczając go ze wszystkich stron.

– Cóż za niewinność. – Głos był przepojony bezbrzeżnym smutkiem. Oczy zaszczyły Rillishowi łzami. – Trzeba ukarać?

Jestestwo skierowało swą uwagę na niego. Mężczyzna był zmuszony odwrócić wzrok. Nie mógł stawić czoła tej istocie. Była zbyt potężna.

– Rillishu Jal Keth – przemówiła. Ciężar żalu pobrzmiwającego w jej głosie łamał mu serce. – Wiem, że w tych młodych czasach moje sposoby uważa się za surowe i przestarzałe. Nadal jednak pozostają skuteczne. Poproszono mnie o przewodnictwo i udzielię go. Moje dzieci muszą teraz postawić krok do innego świata, z którego przyszedłeś. Proszę, byś pomógł mi pokierować tym krokiem.

– Ty mnie... prosisz?

– Można kogoś zmusić do służby i posłuszeństwa, ale nie do zrozumienia i akceptacji.

– Rozumiem... to znaczy nie rozumiem... – wykrztusił Rillish.

– Nie oczekuję od ciebie, byś zrozumiał. Tylko tego, żebyś spróbował zrozumieć.

– Ale skąd mam wiedzieć...

Obecność się wycofała.

– Dość tego...

* * *

Rillish obudził się w blasku późnopołudniowego słońca. Żołnierka, która pomogła mu uciec z fortu, trzymała nad jego twarzą chłodną, wilgotną tkaninę, idąc obok włók. Uśmiechnął się do niej. Odwzajem-

niła uśmiech i oddaliła się truchtem. Chciał do niej zawołać: „Zaczekaj! Jak masz na imię?”. Po chwili pojawił się sierżant Żyłka.

– Sierzancie – zdołał wyszeptać Rillish.

– Słucham, poruczniku?

– Chłopiec. Gdzie jest chłopiec?

Żyłka uśmiechnął się obojętnie.

– Nie martw się o nic. Musisz wypocząć, poruczniku.

– Sierzancie!

Żyłka zniknął.

Rankiem Rillish mógł już usiąść. Poprosił o wodę i jedzenie. Najtrudniej było mu znieść własny smród. Zesrał się w nocy. Poprosił, by przysłano sierżanta Żyłkę, i czekał. Wyglądało na to, że sierżant nie śpieszy się z przyjściem. W końcu jednak się zjawił. Rillish zauważył, że Żyłka od kilku dni się nie golił, a jego opończa jest brudna i wystrzępiona. Zdobył też gdzieś kilka nowych ran. Rillish podejrzewał, że on wygląda gorzej. Z całą pewnością gorzej cuchnął.

– Muszę się umyć. Czy wystarczy nam wody?

– Tak, poruczniku – odparł z wyraźną ulgą sierżant.

Podeszła do nich Grzywa. Miała na sobie strój zdobyty na osadnikach: miękką skórzaną zbroję, nałożoną na za dużą bluzę, a także spodnie i nawet buty.

– Co z chłopcem? – zapytał Rillish. – Uzdrowicielem?

Sierżant Żyłka zacisnął wargi i spojrzał w bok, mrużąc powieki.

– Nie żyje – odparła Grzywa, jak zwykle łypiąc na niego spode łba.

– Umarł, by cię uratować. Nie mam pojęcia dlaczego, bo przecież jesteś przeklętym Malazańczykiem. Przelano dla ciebie mnóstwo wickańskiej krwi...

– Dość tego – wyszeptał Żyłka.

Rillish opuścił wzrok. Dziewczynka miała rację. Jej gniew był usprawiedliwiony. On jednak nie prosił o uzdrowienie.

– Mówiłaś coś o rozkazach. O co ci chodziło? – zapytał, unosząc wzrok.

Obnażyła ze złością zęby.

– To nie dla ciebie, Malazańczyku.

Rillisha przeszył zimny dreszcz.

* * *

Następnego dnia mógł już pokonać część drogi na piechotę.

Chłopcy ciągnący włóki podążali za nim. Drugie włóki posuwały się w samym środku kolumny składającej się z około siedemdziesięciorga dzieci. Co najmniej jedna trzecia z nich zawsze przebywała daleko, badając okolice. Trzydziestu regularnych żołnierzy stanowiło straż przednią i tylną oraz osłaniało kolumnę z obu boków. Im uważniej Rillish przyglądał się drugim włókom i tuzinowi nieustannie otaczających je dzieciaków, tym dobitniej uświadamiał sobie, że to jest prawdziwe serce ich grupy. Kim było to dziecko, że otaczano je takim szacunkiem? Gdy tylko próbował podejść bliżej, samozwańczy strażnicy zagradzali mu drogę. Owinięty w końskie derki chłopiec ignorował go, przez większość czasu oczy miał zamknięte. Rillish doszedł do wniosku, że to z pewnością potomek jakiegoś ważnego wodza.

Idąc tuż za strażą przednią, zatrzymał się, by zdjąć hełm i otrzeć twarz. Niech szlag trafi ten upał! Blask słońca odbijał się w każdym źdźble trawy. Krążące wokół owady wpadały mu do oczu. Ciało pokrywały bąble, wargi miał spękane i spalone słońcem, a jego gównno było rzadkie jak zupa. Wyjął z tornistra kulę tkaniny, rozwinął ją i przyjrzał się schowanej wewnątrz ciemnej substancji. Miał to jeść? Wyglądało raczej jak suszone łąjno bhederin niż żywność. Spróbował odgryźć kawałek z brzegu i po chwili udało mu się to. Wezwał skinieniem sierżanta.

Powiewające na wietrze strzępki szarej opończy Żyłki splamił pot. W hełm zatknął sobie dwa wronie pióra. Rillish przyjrzał się im, uno-

sząc brwi. Żyłka skrzywił się i schylił głowę.

- To na wypadek gdybyśmy odłączyli się od kolumny, poruczniku. Mają nam zapewnić prawo przejścia.

- Rozumiem. - Rillish uniósł podbródek, wskazując na zachód. Na horyzoncie majaczyły brązowe wzniesienia. - To nasz cel?

- Tak, poruczniku. Złote Wzgórza. Dla Wickan to święta ziemia.

- Czyli że Grzywa jest przekonana, że znajdzie tam innych uchodźców.

- Tak, poruczniku.

- Znakomicie. Świetnie się spisałeś, sierzancie.

- Dziękuję, poruczniku.

Żyłka zasalutował i się oddalił.

Rillish włożył z westchnieniem hełm i znowu ruszył. Musi się zastanowić, co zrobi, gdy już przekaze innym swych podopiecznych. Czy zgłosi się z oddziałem do dowództwa w Uncie? Czekająby go sąd polowy i egzekucja. Czy pięść D'Ebbin zadowoli się tylko jego głową, czy też uwięzi jego ludzi jako buntowników? Będzie mógł apelować do wielkiej pięści Ananda. Powszechnie uważano go za sprawiedliwego. Może powinien rozpuścić oddział i wrócić sam? Albo nie wrócić wcale? Oficjalnie uznano by go za zmarłego. Pomyślał o rodzinnej posiadłości przy granicy z Gris. Dojrzewały już tam przepękle.

Przypomniał sobie wywołane gorączką halucynacje. Prychnął pogardliwie na myśl o tak śmiesznej autokreacji. Oddział, którym dowodził w Korelu, zdziesiątkowano. Byłoby najlepiej dla wszystkich, gdyby po prostu rzucił hełm. Twarz Tajina nie chciała jednak zniknąć. Chłopiec miał na imię Tajin. Widział go, gdy tylko zamknął oczy.

* * *

Wczesnym wieczorem z południa przybiegli gońcy. Rzucili się na ziemię obok włók chłopca. Grzywa popędziła do nich. Wokół siedzącego

dziecka wybuchła zażarta kłótnia. Wreszcie dziewczynka pochyliła głowę w krótkim ukłonie. Do porucznika podszedł Żyłka.

- Z południa zbliżają się jeźdźcy - oznajmił.

- Jak rozumiem, to nie są Wickanie.

- Chłopaku, nie.

Grzywa podbiegła do Rillisha, zaciskając mocno dłoń na rękojeści długiego noża. Zatrzymała się przed nim, ale odwracała głowę, spoglądając na włóki.

- Rozkazano mi... to znaczy mamy zaakceptować twoje dowództwo.

- Czy już nas spostrzegli?

- Sądzymy, że nie.

Rillish rozejrzał się i wskazał najbliższy pagórek.

- Wycofajcie się na to wzgórze. Schowamy się w trawie, może nas nie zauważą.

- Wedle rozkazu.

Oddaliła się, by przekazać jego słowa.

Żyłka uniósł rękę, nakazując regularnym żołnierzom ruszyć w stronę wzniesienia. Wszyscy potruchtali w tamtym kierunku.

* * *

Tył wzniesienia przecinał suchy żleb, niepozwalający wspiąć się na szczyt, lecz jednocześnie uniemożliwiający odwrót. Regularni żołnierze przykucnęli w trawie, otaczając szczyt podwójnym łukiem. Rillish uklęknął razem z sześciuosobową drużyną nieopodal włók. Strażnicy chłopca otaczali je pierścieniem, reszta dzieci rozproszyła się na wzgórze. Wszyscy czekali w milczeniu. Tętent kopyt był coraz bliższy. Jeźdźcy minęli ich, pędząc na łeb na szyję. To byli uzbrojeni obywatele, samozwańcza milicja bez mundurów i uporządkowanego szyku. Około osiemdziesięciu ludzi. Minęli wzgórze i popędzili na północny

zachód. Rillish ucieszył się, widząc, że nie mają na plecach luków ani kusz. Przywołał do siebie gestem kurierkę.

– Dajcie im czas – wyszeptał i dziewczynka oddaliła się na czworakach.

Porucznik czekał, wyęzając słuch. Wróciło monotonne buczenie owadów oraz szum trawy kołysanej popołudniowym zefirkiem. Słońce opadało ku pagórkom przesłaniającym horyzont na zachodzie. Czyżby właśnie dlatego zwano je Żłotymi Wzgórzami? Nagle znów rozległ się tętent. Dwaj jeźdźcy pochylali głowy, przyglądając się uważnie ziemi. Zmierzali stępa na południe. To byli Wickanie. Mieli podarte koszule z jeleniej skóry i długie, czarne, skłębione włosy.

– Renegaci – wyszczała Grzywa, która nagle znalazła się u boku Rillisha. – Zwiadowcy.

Obaj jeźdźcy wyprostowali się porażeni świadomością, że ktoś ich obserwuje. Rillish uświadomił sobie, że nie ma wyboru.

– Strzelać!

Bełty i strzały wypadły z traw jak gniewne owady. Jeden zwiadowca padł na plecy trafiony czterema pociskami. Drugi zeskoczył z konia i przetoczył się po ziemi. Rzuciły się na niego drobne postacie. Rozległ się krzyk, a potem zapadła cisza. Jeden z wierzchowców, trafiony kilkoma bełtami, stanął dęba, kwicząc z bólu, po czym zwałił się na ziemię, wierzgając spazmatycznie. Cholera. Drugi stał nieruchomo, aż do chwili, gdy wickański chłopiec wynurzył się z trawy obok i przepędził go klepnięciem w bok.

Ziemia się zatrzęsła. To wracała główna kolumna. Tym razem posuwali się naprzód wolniej, galopem. Ominęli wzgórze, straż przednia naradziła się, ale łoskot zagłuszył słowa. Ludzie zsiadali z koni. Cholera.

– Strzelać bez rozkazu! – wrzasnął Rillish.

Salwa pocisków skosiła jeźdźców i tych, którzy zdążyli już zsiąść. Reszta spięła konie i popędziła w górę stoku, wyciągając miecze.

Żołnierze Rillisha wyłoniли się z traw na spotkanie atakującym. Powalali wierzchowce, ścierali się z jeźdźcami. Wickańska dziewczynka skoczyła na konia za plecami jeźdźca, wbiła mu nóż w plecy, a potem spadła na ziemię, pociągając go za sobą. Większości napastników powodziło się jednak lepiej. Mieli dłuższą broń i nie dopuszczali do siebie atakujących z boków dzieci. Rillish wyciągnął dwa untańskie miecze pojedynkowe i popędził w dół stoku.

Starł się z najbliższym przeciwnikiem, sparował wyprowadzone w dół uderzenie, pchnął mężczyznę w krocze i pozwolił mu przejechać. Za chwilę zemdleje z powodu szoku i utraty krwi. Następny spróbował go stratować, ale Rillish uskoczył w bok, padając na ziemię. Zerwał się natychmiast, spodziewając się kolejnej szarży, ale jeździec miał inne problemy. Łapał się za twarz, wrzeszcząc z bólu i przerażenia. Miecz wysunął mu się z palców. Mężczyzna przyciskał dłonie do twarzy. Otaczała go ciemna chmura owadów. Spadł na ziemię, nie przestając wrzeszczeć. Pozbawiony jeźdźca wierzchowiec umknął. Rillish podszedł do miotającego się w trawie, bełkoczącego napastnika. Na całym stoku ludzie również padali na ziemię, łapali się za twarze, krzyčeli z bólu i przerażenia.

Mężczyzna leżący u stóp Rillisha znieruchomiał. Rój owadów wzbił się po spirali w górę, a następnie rozproszył. Tam, gdzie przedtem była twarz, pojawiły się błyszczące, różowo-białe kości. Z rozwarłych ust trupa eksplodowała masa pcheł piaskowych, os oraz bąków wielkich jak karaluchy. Rillish odskoczył trwożnie, wymiotując rzadką zawartością żołądka.

Zakasłał, otarł usta i się wyprostował. Zbliżali się ku nim nowi jeźdźcy. Kolumna wickańskiej konnicy. Wickanie otoczyli pierścieniem podstawę wzgórza. Dwoje z nich zeskoczyło z wielkich, malowanych wierzchowców i pobiegło w stronę szczytu. Mieli na sobie płaszcz z wronich piór. Oboje również byli bardzo młodzi. Rillish wytarł miecze o trawę, a potem podszedł powoli do włók. Udo bolało go, jakby było złamane.

Jeźdźcy rzucili się na włóki i całowali chłopca, ściskali jego ręce, dotykali podbródka i przyglądali się z zachwytem twarzy, gadając coś po wickańsku. Po ich twarzach spływały łzy, ale oni nie zwracali na to uwagi.

Żyłka podszedł do Rillisha.

– To cud Trake’a, poruczniku – wydyszał zdumiony. – Wiesz, kim są ci dwoje?

– Tak, sierżancie, wiem.

– Pogranicze spłynie teraz krwią. Sam Kaptur wystawi nam rachunek.

– Tak, sierżancie. Chyba masz rację.

Rillish usiadł, zdjął hełm i otarł pot z twarzy. Upił łyk wody i przepłukał nią usta.

* * *

W końcu, gdy nadszedł wieczór, bliźnięta zatrzymały się przed Rillishem. Porucznik wstał i uklonił się, ale rodzeństwo zbyło tę uprzejmość machnięciem rąk.

– Nigdy nie spłacimy długu, jaki wobec ciebie mamy – oznajmił chłopak.

– Spełniłem tylko swój obowiązek.

– Naprawdę? – zapytała ostrym tonem dziewczyna. Jej ciemne oczy błyszczały jak ślepie wrony. – Mam wrażenie, że obowiązek wymagał od ciebie czegoś wręcz przeciwnego.

– Obowiązek wobec imperium.

Wickanie wymienili spojrzenia.

– Tak czy inaczej, dziękujemy ci – rzekł chłopak i odwrócił się, by odejść. – Odprowadzimy cię na Złote Wzgórze.

Rillish omal nie odpowiedział odruchowo „tak jest”. Odprowadzał ich spojrzeniem. Porozmawiali jeszcze z Grzywą i innymi dziećmi.

Wszystkie tłoczyły się wokół, dotykając ich z szacunkiem i pociągając za skórzane stroje. Oboje wyrosli na chudych nastolatków o długich kończynach, ale ich ogorzale lica i zimne, szacujące spojrzenia należały do weteranów, którzy nieraz już patrzyli w oczy Kaptura. Nul i Nadir. Żywe legendy kampanii w Siedmiu Miastach. Być może najbardziej niebezpieczni magowie na kontynencie. Odnosił też wrażenie, że są naprawdę wściekli. I to nie bez powodu.

* * *

Kyle'a obudził lekki kopniak w łydkę. Otworzył oczy i zobaczył, że Skradacz przyzywa go skinieniem dłoni. Wstał niezgrabnie, podpierając się lewą ręką. Prawą miał na temblaku. Noc była jasna, wiszący nisko na niebie cętkowany księżyc wypełniał ją blaskiem. Z jakiegoś powodu chłopakowi przypomniały się prastare legendy z czasów młodości jego plemienia. Wiele księżyców o rozmaitych rozmiarach i odcieniach zmieniało ponoć wówczas noc w wielobarwny cień. Ostatnio jednak nawet ten jeden księżyc tracił barwę. Co więcej, noce rozświetlało teraz znacznie więcej spadających gwiazd niż w czasach jego dzieciństwa. Spojrzał na łuk, jaki tworzyły – Rzut Ojca. Ojciec Niebieski ich plemienia rzucił tam garść błyszczącego pyłu, dając początek procesowi stworzenia. Pomimo jego obaw był on równie jasny i gęsty jak zawsze.

Skradacz nachylił się do jego ucha.

– Mamy problem.

W odpowiedzi na pytające spojrzenie chłopaka wskazał czekającego na skraju lasu Weskę.

Kyle podszedł do niego. Wieszka poprawił skórzaną kurtę wyszywaną żelaznymi pierścieniami i sprawdził długie noże w pochwach. Skryte pod gęstniejącymi wąsami i brodą usta jak zwykle wykrzywił w kwaśnym grymasie.

– Widzieliśmy właściciela łodzi. To przeklęty przez Togga olbrzym. Nigdy nie słyszałem o kimś tak wielkim. Jest wyższy od najwyższych Thelomenów.

Kyle'a przeszył dreszcz strachu. Olbrzymy, Jhogeni, były istotami wypełniającymi koszmary jego plemienia.

– Czy to Jhogen?

– Co to jest Jhogen? – Na twarzy Weszki pojawił się wyraz zrozumienia. Uśmiechnął się bez śladu wesołości. – Nie, to nie jeden z nich.

– Słyszałem, jak Gwardziści opowiadali o olbrzymach żyjących we wschodnim Stratemie. Toblakai.

Weszka chrząknął.

– Nie, on jest inny.

– Im więksi, tym wolniejsi – stwierdził Skradacz, nakłaniając ich gestem do ruszenia naprzód.

– Wiesz to z własnego doświadczenia? – zapytał Weszka, unosząc brwi.

Skradacz uciszył go migowym sygnałem. Gdy szli przez las, Kyle miał ochotę wypytać Weszkę o olbrzyma, ale odpowiednia chwila już minęła. Posuwali się naprzód bezgłośnie. Wyszli z lasu i dotarli do pól uprawnych, za którymi ciągnęło się luźne skupisko chat i zagród, przechodzące z kolei w czarną, skalistą plażę omywaną szarymi falami wzburzonego Morza Białego. Zimna bryza wiejąca od wody wnikała pod zbroję, przeszywanicę i płócienne koszule chłopaka. Otulił się szczelniej płaszczem. Podmuchy niosły chłód lodu, z którego się zrodziły gdzieś za horyzontem na zachodzie.

Pochylający nisko głowę Weszka truchtał ścieżką przez pole. Kyle przyjrzał się chatom. W żadnej nie paliły się ogień ani lampa, choć przez dziury w dachach wydostawały się smużki dymu. Skradacz biegł drugi, a chłopak zamykał grupkę. Wtem zza zagrody dla kóz wyłonił się Głusza. We czterech potruchtali na ciemną plażę. Łódź stała tam nieco na skos. Jej jasna sylwetka kontrastowała z czarnym żwirem. Miała wysoki maszt i smukły kadłub.

Głusza przycisnął bark do wysokiej rufy, przesuwając nogami kamienie. Pchnął po raz drugi, dysząc ciężko.

– Niech to Chłopak! Mamy kłopot.

– Stój na straży – rozkazał Kyle’owi Skradacz.

Wszyscy trzej mężczyźni zaczęli pchać łódź. Wytężali mięśnie, sapiąc z wysiłku. Ich obute w sandały stopy zagłębiały się w żwir. Łódź przesunęła się z głośnym zgrzytem o dłoń na wspierających ją kłodach.

Kyle oderwał wzrok od trudzących się towarzyszy i z przerażeniem zauważył, że zbliża się dwóch mężczyzn. Jeden zdumiał go swą wielkością. Niemal dwukrotnie przewyższał wzrostem dorosłego człowieka. Włócznia, którą niósł, była jeszcze o połowę dłuższa. Towarzyszący olbrzymowi – może był Jhogenem, a może nie – mężczyzna z jakiegoś powodu wcale nie wydawał się przy nim mały. Był potężnie umięśniony, miał smagłą cerę i poruszał się ze swobodną gracją, która przyciągnęła uwagę młodzieńca.

– Idą – odezwał się Kyle.

Trzej kuzyni zaprzestali wysiłków. Łódź przesunęła się tylko o jard.

Gdy mężczyźni się zbliżyli, Kyle przekonał się, że nie czuje strachu, tylko wstyd i gorycz, jakby był zwykłym złodziejem przyłapanym na gorącym uczynku. Po zastanowieniu musiał przyznać, że tak właśnie wygląda prawda.

– Zaskakujecie mnie – powiedział smagły mężczyzna po taliańsku, wskazując łódź. – Nie sądziłem, by ktokolwiek poza moim przyjacielem był w stanie ją poruszyć.

– Ehe, mamy w zanadrzu mnóstwo niespodzianek – wychrypiął Skradacz, trzymając rękę blisko miecza.

Mężczyzna przeniósł spojrzenie na Kyle’a.

– Jesteś raczej młody jak na Karmazynowego Gwardzistę, co?

Chłopak spuścił wzrok. Nadal nosił herb.

– Rzuciliśmy służbę.

Nieznajomy uniósł ciemną brew.

– Naprawdę? Myślałem, że to niemożliwe.

Olbrzym cały czas stał bez ruchu, krzyżując ręce na piersi. Uśmiechał się jednak, a w jego niezwykłych złotych oczach błyszczało coś przypominającego zachwyty.

– Potrzebujemy waszej łodzi – oznajmił Skradacz.

– Jeśli ściga was Gwardia, to się nie dziwię.

– Ile za nią chcecie? – zapytał Kyle, zaskakując samego siebie.

– Nie jest na sprzedaż. – Oczy mężczyzny niczego nie wyrażały, lecz usta rozciągnęły się w bladym uśmiešku. – Ale możecie ją wynająć.

Skradacz mruknął przeciągle – jakby przeklinał wszystkich wścibskich bogów.

– Dokąd się wybieracie? – zapytał olbrzym po taliańsku, z płynnym, śpiewnym akcentem. W jego głosie pobrzmiwała nerwowa niecierpliwość o niemal gorączkowej intensywności.

Kyle ostatnio bardzo często zastanawiał się nad tą kwestią. W którym miejscu na całym szerokim świecie pragnął się znaleźć? Czy chciał wrócić do domu, do Baelu? A może popłynąć w nieznaną stronę, na tę Genabackis, o której tak wiele słyszał w Gwardii? Nie musiał jednak rozważać tego zbyt długo. Jedno miejsce, jedna nazwa nie przestawała go prześladować od chwili, gdy usłyszał ją przypadkiem w lesie. To był cel, a być może również misja.

– Czy słyszeliście kiedyś o „Dolmenach”? – zapytał dwóch przybyśków.

Ich reakcja zdumiała chłopaka. Dla człowieka ta nazwa najwyraźniej nic nie znaczyła. Jego spojrzenie pozostało pozbawione wyrazu, choć przeniósł je na przyjaciela. Olbrzym wzdrygnął się jak uderzony w żołądek. Zadrżał niczym drzewo kołyszące się na wietrze. Wypuścił powietrze – zabrzmiało to jak długi, błagalny szept.

- Tak - zdołał wykrztusić ochryplym głosem. - Znam dobrze to miejsce. Dolmeny z Tien. To w mojej ojczyźnie, Jacuruku.

- Jakiej ceny żądacie za przewiezienie nas tam? - zapytał Skradacz, przyglądając się z uwagą Kyle'owi.

- Już ją zapłaciliście - rzucił przez ramię smagły mężczyzna, odwracając się do nich plecami. - Przyniesiemy nasze zapasy i natychmiast wypłyniemy.

Skradacz skinął głową, choć miał niezadowoloną minę.

- Jak brzmią wasze imiona?

- Jestem Wędrowiec, a to Ereko.

Zwiadowca przedstawił towarzyszy. Ereko pochylił głowę w geście powitania.

- Cieszę się, że mogłem was poznać, przyjaciele - rzekł. Odzyskał już panowanie nad sobą i uśmiechał się szeroko. - Wkrótce pożeglujemy prosto w paszczę Lodowego Tancerza. Dobrze znam to morze. Sądząc po tym lodowatym wicherze, przygotowuje się już na spotkanie z nami.

Ereko i Wędrowiec oddalili się plażą.

Skradacz wbił wzrok w Kyle'a, a Głusza odetchnął z ulgą.

- Zapłata może nadal być konieczna...

- Chyba nie uśmiecha mi się myśl o takiej bójce - stwierdził Wieszka.

Skradacz nie spuszczał spojrzenia z chłopaka.

- Te Dolmeny... to miejsce, o którym wspominał Oprawca?

- Tak.

- I jego kontakt. To było na Jacuruku, zgadza się?

- Tak.

- A ten Thelomen, czy kim tam właściwie jest, mówi, że pochodzi właśnie stamtąd.

- Ehe.

Zwiadowca odwrócił się z niesmakiem na twarzy.

- Na Mroczną Panią, ktoś manipuluje wydarzeniami. To mi się nie podoba. Zbyt jawne. Czekają nas kłopoty. Opóźnienie. Jestem tego pewien.

- Nie rozumiem.

Potał deski łodzi.

- Ktoś udzieli nam nauczki. Rozproszy nas. Chłopcze... - ciągnął, odwracając się - ...bogowie to tylko knujące spiski dzieci. Któryś z nich próbuje wybudować tu zamek z piasku. Inni wkrótce go zauważą albo nawet już zauważyli. Przyjdą go rozwalić.

- Dlaczego?

- Dlatego że nie mogą pozwolić, by plany innych zakończyły się powodzeniem, Kyle. Każdy z nich rezerwuje to dla swoich planów.

- Nie jestem pewien, czy się z tym zgadzam.

Wysoki zwiadowca wzruszył ramionami.

- Możesz się nie zgadzać, ale tak to już jest. Tak czy inaczej, wychodzi na to, że i tak będziemy pracować dla Gwardii.

- Każda droga jest dla nas równie dobra - zauważył Wieszka, machając lekceważąco ręką.

- Poza tą, która prowadzi do domu - sprzeciwił się Głusza. Wykaślał sporą ilość flegmy i wypluł ją na skały.

Wieszka skinął głową.

- Ehe. To byłoby najgorsze.

* * *

Wędrowiec i Ereko wrócili po krótkim czasie. Kyle musiał obudzić trzech kuzynów, trącając ich nogą. Rozłożyli płaszcze na ziemi i natychmiast zasnęli. Obaj przybysze rzucili bagaże do łodzi i Wędrowiec skinął dłonią, każąc wszystkim pchać łódź. Kyle, który miał tylko jedną zdrową rękę, ledwie zdążył dotknąć desek burty, gdy łódź zaczęła się ślizgać po kłodach. Wystarczyło, że Ereko oparł bark

o rufę, by wręcz pofrunęła przez plażę. Rozległ się działający na nerwy zgrzyt drewna o drewno, a potem łódź wpadła w szare fale. Ereko nie przestawał pchać. Zatrzymał się dopiero, gdy woda sięgała mu do pasa. Kyle, który był niski, podejrzewał, że on zanurzyłby się w niej po szyję. Wędrowiec wskazał szereg zapieczętowanych ceramicznych naczyń.

– Jest w nich słodka woda. Załadujcie je na pokład.

Skradacz nie ruszył się z miejsca.

– Tak jest, kapitanie! – zawołał Weszka i bracia podnieśli naczynia.

– W tych workach jest węgiel drzewny – oznajmił Kyle’owi Wędrowiec, wskazując przygotowany stos.

– Tak jest – odpowiedział bez zastanowienia chłopak.

Skradacz również w końcu się przyłączył, dźwigając pakunki z suszonymi rybami i warzywami.

Ereko tymczasem podprowadził łódź bliżej brzegu, by wszyscy mogli wejść na pokład, mocząc nogi tylko po kolana. Kiedy skończyli pracę, olbrzym zepchnął stateczek na wodę, a potem również wgramolił się do środka. Zajął się umieszczonym z boku rumplem, Wędrowiec zaś usiadł na wysokim dziobie.

– Podnieść żagiel! – zawołał Ereko.

Bracia pociągnęły za linę. Kwadratowy, pozszywany z kawałków tkaniny żagiel wydał się na silnym wietrze. Ereko skierował łódź na północ, oddalając się nieco od brzegu. Horyzont na wschodzie pojaśniał już w zapowiedzi świtu. Poświęcili na przygotowania całą noc.

Kyle siedział blisko rufy, opatulony w płaszcz.

– Jak się nazywa ta łódź? – zapytał olbrzyma.

– Nazwaliśmy ją *Latawiec* – odparł Ereko, uśmiechając się z zadowoleniem. – Miejmy nadzieję, że będzie mknęła równie szybko.

Młodzieniec mógł jedynie skinąć niepewnie głową. Dlaczego musieli się śpieszyć? Czy bali się, że Gwardia nadal ich ściga? Bardziej prawdopodobne wydawało się jednak, że olbrzym ma własne powody

do pośpiechu. Mężczyzna, który przedstawił się jako Wędrowiec – wybrał sobie naprawdę dziwne imię! – zajął miejsce na samym dziobie, patrząc do przodu, za pagórkowatą mierzęgę. Skradacz, Głusza i Wieszka usiedli na śródokręciu opatuleni w płaszcze i zaraz zasnęli. Kyle próbował pójść za ich przykładem, ale przekonał się, że mimo zmęczenia po całonocnej pracy jest zbyt podekscytowany. Wyruszył w drogę – ale właściwie dokąd? Czy czekało go spotkanie albo odkrycie, o którym marzył? Było już jednak za późno na wątpliwości. To było tak, jakby plusk wody pod dziobem *Latawca* uruchomił łańcuch wydarzeń, których nikt już nie zdoła powstrzymać – ani ludzie, ani nawet wścibscy bogowie, mogący podjąć – głupią! – decyzję o ingerencji. Wkroczyli na wybraną ścieżkę. Jedną spośród wielu, choć, gdy spojrzą wstecz, jak zwykle wyda im się to zrzędzeniem losu. Czekają na nich przyszłość i przeznaczenie.

Rozdział II

Mądrzy uczą się od wrogów więcej niż głupcy od przyjaciół.

Autor nieznanym
(być może Gothos)

– Obelisk jest wysoko, Zabójca Śmierci blisko, Korona odwrócona, Apokalipsa!

Nait unosił rękę gotowy rzucić, zatrzymał się jednak i spojrzał na Heuka, kadrowego maga kompanii.

– I co z tego? Co to, kurwa, ma znaczyć?

Staruszek zamrugał powiekami pożółkłych, przekrwionych oczu. Usiadł, wskazując na karty.

– To znaczy, że coś się dzieje.

Siedzący za stolikiem kompanii Najmniejszy wydał z siebie głośny dźwięk naśladujący pierdnięcie. Nait nadal unosił rękę, w której trzymał kłyckie.

– Zawsze gdzieś coś się dzieje, ty stary pacanie!

– Przekleństwa – ostrzegła go kapral Rączka. – I rzuć już te cholerne kości.

– Proszę bardzo! – Nait potrząsnął kłyckiami przed szeroką, spoczną twarzą Rączki. – Chciałaś, żebym rzucił, to masz!

Rzucił. Kostki odbiły się od pudełka i zniknęły pośród trocin, słomy i wypaczonych desek podłogi zajazdu „Pod Galionem”.

– Ech, ty durny kmiotku! – zawołał Miodzio Chłopak.

– Zastrany głąb.

– Przekleństwa!

- Lepiej je znajdź - ostrzegł go Miodzio Chłopak. - Zrobiono je z kości mojej babci.

- To niech ona ich sobie szuka.

Rączka, Miodzio Chłopak i Najmniejszy wlepili w niego spojrzenia. Poirytowany Nait uniósł ręce nad głowę.

- Dobra! Poszukam. - Opadł na ręce i kolana między zatłoczone stoliki. - Gównu, nic tu nie znajdę.

- Gówno kiedyś znalazłem - oznajmił z powagą Barghast.

Nait przyglądał się podłodze, poszukując przede wszystkim zgubionych monet.

Wtem drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich jakiś mężczyzna, przesłaniając jasne światło dnia.

- Nadszedł koniec świata! - ryknął wniebogłosy.

Rozmowy i stukot cynowych kufli ucichły nagle. Wszyscy gapili się na przybysza. Oczy miał szeroko otwarte, włosy rozczochrane, a piękną kurtkę z aksamitu wymiętą i przekrzywioną.

- Brama Kaptura się otworzyła i wszyscy umarli z Otchłani ciągną prosto na nas!

Nait podniósł się, uderzając potylicą o stolik.

- Co to ma znaczyć, na dupę Kaptura?

- Uciekajcie! Zwiewajcie!

Mężczyzna podążył za własną radą i zniknął.

Nait popatrzył na Rączkę, ta zaś spojrzała na Miodzio Chłopaka. Kilku gości lokalu wyjrzało na zewnątrz przez naoliwione, naciągnięte skóry służące jako okna. Światło w drzwiach miało dziwną, zielonkawą barwę, jakby zbliżał się front burzowy. Pod oknami przebiegł szereg zamazanych postaci, migotliwych cieni przywodzących na myśl uciekające duchy. Większość gości wzruszyła ramionami i wróciła do rozmów. Mówili teraz o jeszcze dziwniejszych rzeczach, jakie kiedyś widzieli: pewnego dnia po ulicach Unty krążył dwugłowy kot i przewrócono do góry nogami całą dzielnicę, nim udało się złapać

przekłętego stwora i utopić go w korycie; całkiem niedawno zaś spadający bóg – być może sam Fener – zmienił noc w dzień.

Nait miał jednak wrażenie, że słyszy w oddali krzyki strachu i zdumienia. Rączka wstała z westchnieniem od stolika i rozpostarła ramiona, naciągając szerokie tasiemki sznurujące od przodu płócienną koszulę. Najmniejszy uniósł wzrok i zaskomlał, a Miodzio Chłopak skrył głowę w dłoniach. Rączka lypnęła na nich ze złością.

– Och, dajcie spokój.

Włożyła wyściełaną kamizelkę i kolczą koszulę, a potem przypięła pas z mieczem, wiszący dotąd na oparciu krzesła. Nait schował do kieszeni leżące na blacie monety i wepchnął sobie do ust wykałaczkę z ptasiej kości. Popatrzył na siedzących za stołem towarzyszy.

– Co jest? Ruszajcie się, obwisłe kutasy.

– Mój nie jest taki obwisły – mruknął ze smutkiem Barghast, odprowadzając spojrzeniem Rączkę.

Miodzio Chłopak klepnął go w plecy okryte płaszczem ze skóry bhederin.

– Czy to nie było przekleństwo? Jestem pewien, że zaklął.

Nait tylko splunął. Pewnego dnia ściągnę ci z nóg te buciory, Rączka.

Na niebie nad Zatoką Untańską lśniła niezwykła aura. Przypominała Naitowi tańczące nad Przesmykiem światła, według niektórych zapowiadające nadejście Jeźdźców Sztormu. On jednak nigdy nie widział tych demonów, jako że wywodził się z głębi ładu. Łuna gasła już na jego oczach, pozostawiając po sobie zwyczajne błękitne niebo, usiane rzadkimi, wysoko się unoszącymi chmurami.

Miodzio Chłopak chrząknął, wskazując wejście do portu. Wpłynęły do niego dwa okręty, oba niepokojąco głęboko zanurzone. Jeden miał połamane maszty, a drugi się przechylał. Napędzające je wiosła poruszały się nierówno – wszystkie były dziwnie krótkie, a z niektórych pozostały tylko kikuty. Oba okręty błyszczały, jakby pomalowano je na biało. Cała drużyna ruszyła w stronę nabrzeża.

Aktywność handlowa w tej części portu zamarła całkowicie. Bele i worki leżały porzucone. Po drodze widzieli wyłaniających się z ukrycia robotników. Z burt statków kupieckich przyglądali się im marynarze. Jeden wykonał gest chroniący przed złem.

– Wracają topielcy! Nadszedł kres czasów!

– Coś ich mało – zauważył Miodzio Chłopak.

Zatrzymali się przed budką strażniczą i Nait wszedł do środka.

– Hej, sierżancie, widziałeś...

Sierżant Blacharz stał przy oknie w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Nieznajomy był odziany w łachmany szczura portowego, ale trzymał się prosto. Zaplótł ręce na piersi, a podbródek wsparł na dłoni.

– Kto to jest, na intymne części Królowej? – zapytał Nait.

– Słownictwo – wychrypiał sierżant Blacharz. – To gość.

– Jak sądzisz? – zapytał sierżanta nieznajomy.

Blacharz pogłaskał siwe wąsy.

– Jeden z nich jest genabackańskiej budowy, ale ten drugi... – Pokręcił głową. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Przynajmniej jeśli chodzi o to, co z niego zostało. Nie ma flag sygnalizacyjnych.

– Ani jednej.

Przechylny okręt dotarł do kotwiczącego w porcie kańskiego statku kupieckiego. Załoga tonącego okrętu wtargnęła na pokład drugiego statku. Po chwili zdobyta jednostka podniosła kotwicę, wysunęła wiosła i pomknęła w stronę nabrzeża. Opuszczony okręt zatonął niedługo później.

– Są cholernie śmiali – zauważył szczur portowy.

– Miodzio, sprowadź tu pełną kompanię! – zawołał Blacharz.

– Cholernie im się śpieszy, żeby dać się aresztować – zauważył Nait.

Szczur portowy przyjrzał mu się z twardym błyskiem rozbawienia w oczach.

– Zobaczymy.

Intruzi dotarli do nabrzeża. Z obu statków wysiedli ludzie. Wszyscy mieli broń i broje, ale wydawali się dziwnie bladzi, jakby byli duchami albo pobielono ich wapnem. Naitowi nasunęła się pewna myśl. Roześmiał się w głos. Blacharz uniósł brwi.

– Przyszło mi do głowy, sierzancie, że to najbardziej żałosna inwazja, jaką w życiu widziałem.

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego bez słowa.

– Tak tylko sobie pomyślałem.

Szczur portowy wrócił do okna.

– Jest w nich coś... – zaczął, lecz nagle umilkł. Cofnął się raptownie o krok jak uderzony. – Kapturze, nie!

Skinął dłonią i Nait poczuł, że przebiegły go ciarki znamionujące bliskość energii grot. Włoski na karku zjeżyły mu się nagle, przez budkę przemknął gorący podmuch, wzbijając tumany kurzu. Nait zasłonił oczy. Rozległ się odgłos uderzenia, głuchy i potężny. Potem coś zabulgotało. Skulił się w kącie, unosząc nóż. Wiatr ucichł. Nait ujrzał przed sobą długie szczupłe nogi, należące do kobiety, którą można by uznać za piękną, gdyby nie była tak straszliwie brudna. Białe włosy miała skołtunione i pozlepiane. Jej nagie, muskularne ramiona pokrywała skorupa soli. Podarta koszula i szorty zwisały z niej luźno. Oparła Blacharza o ścianę, przytrzymała mu szyję przedramieniem i przystawiła nóż do podbródka. W drzwiach stała Rączka, ściskająca w dłoniach dwa sztylety. Sierżant odesłał ją skinieniem dłoni.

– Wody – wychrypiała kobieta przez obrzękłe, spękane usta.

Blacharz spojrzął z ukosa na wiadro. Kobieta pozwoliła mu osunąć się na podłogę, złapała za wiadro i wylała je sobie na głowę. Rączka spojrzała pytająco na sierżanta. *Zaczekaj* – zamigał Blacharz.

Prychająca, zdyszana kobieta zwróciła się ku nim.

– Rozkaż swoim ludziom odsunąć się na bok, sierzancie, a nikomu nie stanie się krzywda. Nie z wami się spieramy.

Blacharz potarł szyję i skinał głową.

– Bardzo rozsądnie, sierżancie.

Poruszyła dłonią i wiatr rozszalał się znowu. W górę wzbity się kłęby pyłu i piasku. Nait odwrócił wzrok, zasłaniając oczy. Kiedy je otworzył, kobieta zniknęła.

– Kto to był, na Otchłań? – zapytała Rączka.

Blacharz przykucnął obok szczura portowego i pomacał jego szyję. Najwyraźniej mężczyznę zabito jednym pchnięciem. Sierżant podszedł do okna.

– A więc wrócili – mruknął, zamysłony.

– Kto? – zapytała Rączka.

– Karmazynowa Gwardia.

Nait prychnął szyderczym śmiechem.

– To bajki dla niegrzecznych dzieci!

– Przekaż wszystkim, by zachowali spokój, kapralu. Mają walczyć tylko wtedy, gdy zostaną zaatakowani.

Rączka zmarszczyła gęste czarne brwi. Skinęła jednak głową i odwróciła się.

– I, kapralu!

– Słucham?

– Niech wszyscy wezmą się do pracy przy przygotowywaniu łańcuchów.

– Tak jest.

– To była Isha, porucznik Czepca – oznajmił Naitowi Blacharz, nadal odwrócony do niego plecami.

Nait otworzył usta, gotowy znowu się roześmiać, ale uciszyło go imię Czepca. Czepiec? Naprawdę? Przecież on był dawnym rywalem... Tancerza, a Tancerz... odszedł... tak samo jak Kellanved. I Dassem. W gruncie rzeczy, nie został już nikt. Nikt, kto mógłby stawić im czoło. Nait spojrział na nóż i schował go do pochwy.

Jak powiedział sierżant, lepiej z nimi nie walczyć.

Mallick Rel wylegiwał się na otomanie, delektując się pieczonym jagnięciem przyrządzonym z korzeniami według przepisu z Siedmiu Miast, a do tego taliańskimi winogronami, gdy do pokoju wszedł sługa.

– Wszyscy na ulicach powtarzają nowe wieści – oznajmił cicho mężczyzna.

– Tak? – zapytał Mallick. – A jak one brzmią?

Sługa przerwał na chwilę. Kaszlnął w zaciśniętą pięść.

– Podobno wróciła Karmazynowa Gwardia.

Mallick przeżuł kęs mięsa, napawając się jego smakiem.

– Przerzywasz mój posiłek, żeby powtórzyć mi pogłoski, które sam rozpuściłem?

– Hmm, nie, panie. Jak rozumiem, oni są tutaj. W porcie.

Mallick zakrztusił się mięsem. Wypluł je na podłogę.

– Co?

– Tak mówią ludzie, panie. Wiarygodni.

Mallick usiadł, otarł twarz i machnął szmatą na sługę.

– Zjeżdżaj stąd. Natychmiast.

Sługa się pokłonił.

– Powiedziałem, zjeżdż mi z oczu!

Mężczyzna wybiegł z pokoju. Mallick wypił łyk wina i poprawił szaty.

– Oryan!

Rozgrzane powietrze zamigotało i pojawił się staruszek.

– Tak? – zapytał, kłaniając się nisko.

– Czy w mieście jest Karmazynowa Gwardia, Oryan?

Mag z Siedmiu Miast zamrugał powiekami czarnych jak kamyki oczu.

- Do portu wtargnęła grupka jestestw o wielkim potencjale, to prawda.

- Grupka jestestw... - Mallick wyciągnął ręce, jakby chciał udusić maga, ale zaraz je opuścił. - To Gwardziści.

- Skoro tak mówisz, panie.

- Tak. - Głos kapłana przypominał syk węża. Podniósł ze stołu karafkę czerwonego wina i z westchnieniem przytknął zimny kryształ do czoła. - Bogowie, miejcie mnie w opiece... Dobrze chociaż, że w mieście nie ma Korbola.

Staruszek prychnął wzgardliwie.

- To dla niego wielki pech.

- No, no. Zatem jakie kroki podjąłeś?

- Wzniosłem bariery, wzmocniłem osłony.

Karafka uderzyła z trzaskiem o marmurowy blat.

- Co?

- Wzmocniłem...

- Nie!

Oryan znowu zamrugął.

- Nie rozumiem, panie?

- Nie, ty durniu! To tylko przyciągnie zainteresowanie Czepca. Usuń je. Usuń je, a potem się ukryj.

Mag wykrzywił pomarszczoną twarz w grymasie konsternacji.

- Przykro mi...

- Musimy się ukryć, Oryan. To dla nas jedyna nadzieja. Idź już.

Staruszek pokłonił się, krzyżując ręce. Był wyraźnie niezadowolony z wydanych mu rozkazów. Mallick poczuł powiew powietrza i mag zniknął. Odnosił przez chwilę wrażenie, że Oryan pozostawił po sobie ostry korzenny zapach, ale ulotnił się on, nim kapłan zdążył go zidentyfikować. Uniósł karafkę, by nalać sobie kolejny kielich, ale była pusta. Krwawoczerwone wino wylało się na marmurowy blat. Mallick cisnął ją na bok. Co za głupcy! Nie tutaj mieli przypląnąć. Co

mieli nadzieję tu... Splótł dłonie przed twarzą, jakby się modlił. Oczywiście! Sennit. Sennit!

Drzwi na końcu komnaty otworzyły się i sługa wrócił.

- Słucham, panie?

- Przygotuj mi karetę. Pojadę do pałacu.

- Słucham?

- Do pałacu, człowieku! Do pałacu! Mamy ważnych gości.

* * *

Blask wsparła zakutą w pancerną rękawicę dłoń o kamienne nabrzeże i zatrzymała się, by odmówić dziękczynną modlitwę do wszystkich Ascendentów, które miały swój udział w uratowaniu ich z Ławic Zapomnianych Bogów. Cóż to była za ciężka próba. Maelu, dobitnie wyraziłeś swe niezadowolenie! Jedną trzecią ludzi zabrały im pragnienie, wyczerpanie, choroby, a także te monstualne węgorze. Ile czasu zajęło przedzieranie się przez labirynt uwięzionych, gnijących statków, których część miała jeszcze załogi doprowadzone do obłądzenia straszliwymi cierpieniami? Kilka miesięcy? Rok? Kto mógł to zgadnąć? Czas nie biegł tak samo we wszystkich królestwach, czy nawet grotach. A ze wszystkich niebezpieczeństw towarzyszących korzystaniu z podobnych skrótów to było najmniej groźne.

Mimo to zdołali stamtąd powrócić. Gwardziści po raz kolejny stanęli w obliczu swego prawdziwego nieprzyjaciela. Bytu politycznego, który poprzysięgli unicestwić. Wezwała skinieniem Dymka.

- Wyczuwasz jakąś aktywność?

Mag otarł z ust skorupę soli i zakrzepłej krwi.

- Minimalną - wychrypiał. - Ale on tu jest.

On. Mag, który potrafił zniwelować wszelką przewagę liczebną i najlepsze strategiczne plany. Tayschrenn, ich odwieczny wróg. Blask poprawiła kolczy płaszcz. Zwiślał cholernie luźno. Straciła sporo na

wadze. Pociągnęła z bukłaka długi łyk wody ukradzonej z kupieckiego statku, który zdobyli.

- Niech Czepiec się o niego martwi. Naszym celem jest pałac.
- Czepiec może sobie nie poradzić.
- Ale Oprawca sobie poradzi.

Dymek potarł wrzody od soli na czole i zmarszczył w zamyśleniu brwi.

- To prawda.
- Ostrza, sformować szyk! - zawołała Blask i ruszyła nabrzeżem.

Podszedł do niej Szara Grzywa.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zajmę trochę co lepszych statków i będę czekał na wasz powrót.

Blask zerknęła na niego. Ach, oczywiście, to były malazański żołnierz!

- Powiedziałeś „powrót”?

W niebieskich jak lód oczach mężczyzny pojawił się błysk wesołości.

- Gdyby okazał się konieczny, oczywiście.
- Proszę bardzo. Powierzam ci dowództwo.

Renegat pokłonił się i wezwał skinieniem sierżanta.

Minęło już z górą pół wieku, odkąd Blask ostatnio widziała Untę. Miasto wydawało się teraz większe i bogatsze, jak przystało stolicy imperium. Tam, gdzie kiedyś były drewniane mola i walające się na brzegu odpadki, pojawiły się kamienne pirsy oraz biegnący po łuku wał nadmorski. Nad tłoczonymi ulicami górowało też znacznie więcej wież, a najwyższe z nich były te, które wzniesiono w pałacu.

Ustawili się w kolumnę u wylotu głównej alei, prowadzącej do Placu Sięgacza i położonej za nim dzielnicy budynków rządowych. Blask i Oprawca podążali przodem. Oprawca kazał rozwinąć chorągiew ze srebrnym smokiem. Po drodze kobieta przyglądała się gapiącym się na nich obywatelom, wypełniającym witryny sklepowe i stra-

gany przy alei. Miała nadzieję odnaleźć w ich twarzach przyjazne zadowolenie, a nawet radość, obawiała się zaś zobaczyć tam wrogość i agresję. To, co ujrzała w nich naprawdę, zaniepokoiło ją jednak jeszcze bardziej. Wyrażały otwarte zdziwienie i dezorientację. Niektórzy nawet pokazywali ich ze śmiechem palcami. Jakaś kobieta zapytała, czy przybywają z Siedmiu Miast. Czy nikt z nich nie miał pojęcia, kim są?

– Mam wrażenie, że w mieście urządzono cholerną paradę, i to my nią jesteśmy – mruknął idący u jej boku Dymek.

– Być może przeżyliśmy już swoją użyteczność... – Czowała, że trwoga narasta w niej z każdą chwilą. Stolica była znacznie większa, niż zapamiętała. Na ulicach zgromadziło się chyba ze sto tysięcy ludzi. Obawiała się, że mogą rozszarpać ich na strzępy, jeśli tylko ktoś pobudzi ich do działania. – Gdzie Czepiec? – zapytała Dymka.

– Tańczy ze szponami. Na razie nie idą na całość. Wygląda na to, że oni też są ciekawi.

Blask spojrzała na opancerzone plecy Oprawcy, który wysunął się na przód razem ze swym chorążym, Lazarem.

– I ja również, Dymek. I ja również.

* * *

Wartownicy kłaniali mu się i otwierali kolejne drzwi. Zamki otwierały się z trzaskiem, a osłony rozstępowały przed jego sondami jak cieniutka tkanina. W końcu Czepiec stanął przed ostatnią barierą dzielącą go od serca kwatery Tayschrenna. Podeszedł do drzwi, ale potem się zawahał. Dlaczego wielki mag miałby go zapraszać do środka? Czy to była pułapka? Wszystkie zmysły informowały go jednak, że wróg czeka wewnątrz i że jest sam. Wszystko odbędzie się tak, jak powinno. On i Tay po raz kolejny staną do pojedynku.

Pchnął drzwi, otwierając je z takim impetem, że uderzyły z hukiem o ścianę. Za nimi znajdował się pusty pokój o nagich ścianach. Światło

napływało do wnętrza przez otwarte okna. Pośrodku umieszczono osłony wyryte w marmurowej posadzce. Wypełniono je płynnym złotem i srebrem, które po wystygnięciu utworzyły filigranowy wzór w kształcie koncentrycznych kręgów. W jego centrum siedział ze skrzyżowanymi nogami mężczyzna. Pochylał głowę, a długie włosy opadały mu w strąkach na twarz.

– Witaj, Tay.

– Niepotrzebnie się tu zjawileś, Czepiec – odparł ochryłym głosem mężczyzna, nie unosząc głowy. – Ale przecież wiedziałem, że nie potrafisz się powstrzymać.

– Widzę, że na starość popadasz w mistycyzm.

Czepiec szedł wzdłuż wyrytych osłon. Mógłby się przez nie przedostać, ale przeniosłyby go tam, gdzie był Tayschrenn, a wszystko wskazywało na to, że było to miejsce, w którym nie chciałby się znaleźć. Wielki mag nie reagował na jego obecność. W końcu Czepiec znecierpliwiał się tym teatralnym zachowaniem. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Czy usuniesz się na bok? – zapytał bez ogródek.

– Pytasz, czy będę interweniował? Odpowiedź brzmi „nie”.

– To rozsądna decyzja, Tay – rzekł Czepiec, nawet nie próbując ukryć triumfalnego uśmiechu. – Zostałeś sam i padłbyś pod ciosami moich noży.

Tayschrenn uniósł głowę. Spod przethuszczonego włosów wyrzała wychudła, pełna napięcia twarz o zapadniętych, rozgorączkowanych oczach.

– Rozsądna? – zapytał mag. – Czy wiesz, jaka jest ostateczna cena absolutnej mocy, Czepiec?

– Czego?

– Bezsilność, Czepiec. Absolutna moc prowadzi do bezsilności.

Mag z Karmazynowej Gwardii odsunął się od otoczonej osłonami postaci.

– Czy to wymyślny sposób na wytłumaczenie tchórzostwa?

– Rozciągnąłem swe siły bardziej niż kiedykolwiek dotąd, sondując to, co może przynieść przyszłość – ciągnął Tayschrenn, jakby w ogóle nie słyszał Czepca. – Ujrzałem rzeczy przerażające i zarazem zachwycające. Potrafisz rozwiązać tę zagadkę? Jak coś może być jednocześnie i takie, i takie?

Choć Czepec zawsze lekcewał hermetyczny aspekt manipulacji grotami, odpowiedział sloganem:

– Przyszłość zawiera w sobie wszystko.

– W rzeczy samej. Widzę teraz, że być może rzeczywiście jesteś godny tytułu wielkiego maga. Nasuwa się więc pytanie: na jaki kurs powinienem się zdecydować w chwili obecnej? Jakie kroki prowadzą do tego, co przeraża, a jakie do tego, co zachwyca? Odpowiedź, rzecz jasna, brzmi tak, że nie mogę być tego pewien. Dlatego wszystkie decyzje są dla mnie zamknięte. Absolutna wiedza wiedzie do paraliżu.

Znowu opuścił głowę, jakby chciał zapomnieć o intruzie, a nawet o całej fizycznej rzeczywistości.

Czepec uspokoił się, cofnął dłonie od skrzyżowanych pendentów i pasów ukrytych pod płaszczem. Jego nasycona mocą, aspektowana broń mogłaby dotrzeć do Tayschrenna, przekonał się jednak, że nie stanowi on już zagrożenia. Nie ulegało wątpliwości, że umysłem najbardziej obiecującego maga w ich pokoleniu całkowicie zawiądnęły wypaczone, gnostyckie wnętrza teurgii.

Odwrócił się i opuścił komnatę.

* * *

Po wyjściu Czepca światło przy otwartych drzwiach zamigotało i pojawiła się kobieta o krótkich czarnych włosach. Była odziana w popielatą bluzę i spodnie, a w rękach trzymała długą smukłą laskę. Stuknęła nią głośno o marmurową posadzkę.

– Nie powinieneś mu pozwolić podejść tak blisko.

– Jestem poza jego fizycznym zasięgiem – odpowiedział ze spokojem Tayschrenn.

– Jak rozumiem, on także jest potężnym magiem.

– W pewnych wąskich, ściśle określonych dziedzinach.

Kobieta wsparła łaskę na ramionach i położyła na niej rękę.

– I co teraz?

– Przekonają się, że tutaj nic się nie rozstrzygnie. Wszystko zależy od murów Heng, tak samo jak poprzednio. Dlatego odejdą.

– Poprzednio?

Tayschrenn skinął głową, nie otwierając oczu.

– Tak. Gdy Protektorka padła pod ciosami Kellanveda i Tancerza, wszyscy uświadomili sobie, że nikt nie jest przed nimi bezpieczny. Dalsze wydarzenia były tylko logiczną konsekwencją tego faktu.

Kobieta stała nieruchomo jeszcze przez chwilę. Unosiła głowę, jakby nasłuchiwała. Tayschrenn opuścił swoją jeszcze niżej, jego oddech stał się płytszy, niemal niedostrzegalny. Podeszła do otwartych drzwi.

– Nie mieszaj się w to – ostrzegł ją nieruchomy mag.

Zamarła. Poruszyła ustami, wypowiadając bezgłośnie przekleństwo, a potem oparła łaskę o ścianę.

– Chcę się tylko przyjrzeć sytuacji.

Czekała przez chwilę na odpowiedź, ale nadaremnie. Znowu zaklęła i wyszła.

* * *

Opos opierał się o uliczny stragan, obserwując kolumnę obdartych, wycieńczonych Karmazynowych Gwardzistów, którzy dotarli już do wysokich, wykutych z brązu drzwi prowadzących na tereny pałacowe. Nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. To było wszystko? Cała sła-

wetna Gwardia? Czyżby opowieści stały się przesadzone w ciągu lat powtarzania? A co z Czepcem? Czy jeszcze żył?

Podeszła do niego komendantka dłoni. Należała do szponów drugiego rzutu, wicekomendantów. Nazywała się Spirala.

– Anand chce się dowiedzieć, czy może liczyć na naszą pomoc przy barykadach.

Opos pochylił się, zatkał sobie jedno nozdrze i wysmarkał się na ulicę.

– Tak. Wmieszajcie się w tłumy. Każcie wszystkim trzymać się na dystans.

– Znakomicie.

Kobieta nie ruszyła się z miejsca. Przyglądała się masywnej bramie, która zamknęła się z trzaskiem.

– O co chodzi, Spirala?

– Trudno w to uwierzyć, prawda?

– W co? Że wrócili? – zapytał Opos, poirytowany taką poufałością. – Czy w to, że są w takim stanie? Albo że przypadkowo pojawili się akurat w tej chwili?

– Przypadkowo? – zapytała kobieta, nie spoglądając na niego. – Nie wierzę w przypadek. Ani nie liczę na jego pomoc.

I właśnie dlatego nigdy nie zajmiesz mojego miejsca, Spirala.

– Wydałem ci rozkazy.

Spojrzała na niego spod opadających powiek.

– A czy te rozkazy pochodzą od cesarzowej?

Serce Oposa zabiło szybciej. Na Misteria Królowej, czy próbowała podważyć jego władzę?

– To nieistotne. Usłyszałaś je ode mnie.

Uśmiechnęła się, pochyliła głowę w płyciutkim ukłonie i oddaliła się nieśpiesznie. Opos odprowadzał ją wzrokiem. Skąd się wzięła ta śmiałość? Nie było sensu ogłaszać tego, co wszyscy w organizacji

rozumieli – podkomendni zawsze wierzą, że są lepsi od zwierzchników, i czekają na okazję, która pozwoli im ich zastąpić.

Opos znowu się wysmarkał i zapomniał o Spirali. Chciała tylko wyciągnąć z niego informacje o cesarzowej. Nie było sensu jej mówić, że przeszukał przedtem pałac i nie znalazł żadnych śladów Laseen. Zachowała się rozsądnie i uciekła. Nie powinno to budzić rozczarowania. Co mogła zrobić przeciwko pięćdziesięciu Zaprzysiężonym i siedmiuset Gwardzistom? Śmiało stawić im czoło i dać się wziąć do niewoli, co uczyniłoby z niej zakładniczkę albo zwykłą kartę przetargową? Jaki byłby w tym sens? Nie, Opos był przekonany, że postąpiła słusznie. Niech Gwardziści miotają się po pałacu jak nieporadni głupcy. Czego właściwie się spodziewali? Myśleli, że po prostu usiądą na tronie i ludzie będą ich słuchać? Nie, cały ten epizod stanowił smutny i, szczerze mówiąc, raczej zawstydzający ostatni rozdział wspaniałej ongiś opowieści. Po zastanowieniu uświadomił sobie, że czuje się nimi rozczarowany. Miał też im za złe, że, zjawiając się tutaj, zniszczyli swą legendę w oczach jego i wszystkich poza nim.

* * *

Blask dostrzegła ironię całej tej sytuacji. Ona, Oprawca i garstka Zaprzysiężonych wtargnęli do pałacu, podczas gdy większość sił czekała na placu apelowym. Na co właściwie tu liczyli, czy raczej, co zamierzali zrobić Czepiec i Oprawca? Z pewnością Laseen dawno już uciekła albo skorzystała ze starego wyjścia i połknęła truciznę. Zawsze można mieć nadzieję. Być może będą musieli stanąć w kolejce suplikantów czekających na dopuszczenie przed Cesarskie Oblicze.

A jednak nie. Oprawca nie przerwał nieubłaganego marszu do Sali Tronowej. Funkcjonariusze i urzędnicy tłoczyli się pod ścianami, gapiąc się na intruzów maszerujących przez pełne kolumny korytarze, poczekalnie i długie sale audiencyjne. W oczy rzucała się nieobecność

wartowników, jakby wszystkich przeniesiono gdzie indziej. Blask niepokoiło pytanie, gdzie.

Ostatnie dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się z trzaskiem pod uderzeniem zakutego w zbroję przedramienia Oprawcy. Ujrzeni przed sobą długi czarny dywan, prowadzący do pustego tronu. Tronu Malazu, zbudowanego z kości. To było niezbyt subtelne przypomnienie o prawdziwej mocy, która za nim stała, T'lan Imassach. Blask pomyślała, że stolec wydaje się zimny i złowrogi. Oprawca uniósł zakutą w rękawicę dłoń do pasa i skinął ukrytą pod wysokim hełmem głową, jakby ów widok potwierdził to, czego spodziewał się od początku.

- Jest pusty - oznajmiła Blask, głównie dlatego, że ktoś musiał to zrobić.

- Prawie - poprawił ją Oprawca, wskazując w bok.

Stojący pod kolumną grubasek w pięknych niebiesko-zielonych szatach pokłonił się nisko i wskazał stół zastawiony karafkami z zimną wodą.

- Poczęstujcie się, proszę, czcigodni. Widzę, że wasza podróż była bardzo sucha.

Oprawca odwrócił się odeń lekceważąco.

- Trucizna na nas nie zadziała.

Mężczyzna pokłonił się raz jeszcze.

- Wiem o tym. Dlatego właśnie nigdy nie próbowałbym czegoś równie nierozsądnego.

Blask zdjęła hełm i wsadziła go pod pachę.

- Kim jesteś?

- Mallick Rel, prawowicie wybrany rzecznik Zgromadzenia regionalnych gubernatorów i przedstawicieli.

Uśmiechnął się służalczo, kiwając głową.

Blask wzięła karafkę i pociągnęła długi łyk cudownie odświeżającej wody.

- Przyszędłeś się przyjrzyć swym nowym panom?

Mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając zęby o niezdrowej zielonej barwie.

- Jeśli bogowie tak zrządzą.

Blask odnosiła wrażenie, że grubas bynajmniej nie jest tak zaniepokojony, jak można by się spodziewać. Oprawca odwrócił się, słysząc te słowa, i przyjrzał się mu z uwagą.

- Być może powinienem cię zabić - oznajmił bezbarwnym tonem.

Mężczyzna zamrugnął ze zdziwioną miną.

- Czyżby woda nie była chłodna i świeża?

Blask parsknęła śmiechem.

- Była. Dziękuję.

- Cudownie. Dobrze wykonana robota sama w sobie jest nagrodą.

Tym razem to ona była zdumiona. Mężczyzna prowadził jakąś skomplikowaną grę. Czy próbował zachować swą pozycję, czy też to naprawdę była... drwina?

Oprawca jednak odesłał go skinieniem dłoni.

- Zostaw nas.

Grubas pokłonił się i wycofał z komnaty. Lazar zatrzasnęła za nim drzwi.

- Wszystko to jedna wielka pomyłka, Oprawca - stwierdził już po raz dziesiąty Dymek. - A ten facet był z tego najdziwniejszy.

Blask musiała się z nim zgodzić. Dlaczego postanowił się tu z nimi spotkać? Co chciał przez to osiągnąć?

Oprawca spojrział na nich.

- Słusznie. Dość już tej głupiej maskarady. Laseen uciekła. Zademonstrowaliśmy tu, że nikt nie śmie stanąć nam na drodze. Blask, zaprowadź oddział z powrotem na okręty. Odpłynicie na zachód, by połączyć się z resztą sił, gdy tylko przybędą. Czepiec i ja dołączymy do was później.

Pokłoniła się.

– Ruszycie dalej sami?

– Tak. Są pewne... opcje, które chcemy wspólnie sprawdzić.

Pokłoniła się po raz drugi.

– Wedle rozkazu. – Skinęła na stojącego za nią Dymka i spojrzała na Lazara, Czarnego Mniejszego, Shijela oraz Kalta. – Ustawcie się w szyk i bądźcie ostrożni.

* * *

Opuścili już wewnętrzne komnaty i zbliżali się do placu apelowego, gdy zaskoczyła ich pierwsza zasadzka. Rzucone z kilku stron pociski Moranthów rozerwały Kalta na strzępy. Salwy z łuków i kusz unieruchomiły ich, aż wreszcie Dymek przepędził żołnierzy ścianą płynnego płomienia, która pomknęła w głąb korytarza. Blask weszła między nadal płonące gobeliny i meble, pomachała ręką, by rozproszyć dym, i spojrzała przed siebie. Skinęła na Lazara, rozkazując mu zawołać Oprawcę, choć była pewna, że już opuścił pałac. Gdyby był w pobliżu, z pewnością by się zjawił. Dymek uniósł rękę, prosząc wszystkich o ciszę.

– Braciszkanie krzyczą. Słuchajcie.

Usłyszała odległy, stłumiony szmer bitwy. Jej oddział zaatakowano.

* * *

Opos szedł pod trzepoczącymi na wietrze markizami Giełdy Collunusa, drugiego co do wielkości krytego rynku w mieście, specjalizującego się w importowanych towarach. Giełda opustoszała po chaosie i zamieszkach, które wybuchły wieczorem. Oposowi towarzyszyli osobiści strażnicy, a kurierzy Szponu co chwila dostarczali informacje o sytuacji na wciąż się poszerzającym froncie. Musiał przyznać, że sprawy szybko wymykają się spod kontroli. W wylotach wąskich, krętych przejść dostrzegał kłęby czarnego dymu buchające ku niebu

w miejscach, gdzie starcia były najgwałtowniejsze: pożary podpалonych barykad szerzyły się niepowstrzymanie, pochłaniając obrońców i atakujących, a także gapiów. Kurierzy meldowali, że powstrzymano wysiłki nieprzyjaciela próbującego się przebić do portu. Oddziałom Czwartej Armii udało się nawet izolować małe oddziały Gwardzistów. Zmierzał właśnie ku miejscu jednego z takich starć w poszukiwaniu szansy realizacji planu, który stworzyli w chwili pojawienia się Gwardii. Mieli rozbić nieprzyjaciela na grupki i zniszczyć je jedna po drugiej. Przybył kurier z nowym meldunkiem.

- Otoczyli ich w kamienicy czynszowej - oznajmił, wskazując zaułek.

Opos nie próbował mu odpowiadać. Otoczył ich głośny zgiełk walki. Malazańscy żołnierze dostarczali atakującym łatwopalne materiały, tarcze oraz kołczany strzał i bełtów. Z portu przywleczono też rozebraną na części maszynę oblężniczą. Doszedł do wniosku, że to cholernie dobry pomysł. Regularnych żołnierzy było jednak niewiele. Zdecydowaną przewagę liczebną miała untańska milicja ochotnicza, która stawiała czoła temu wyzwaniu z determinacją i furją, jakiej nie spodziewał się nikt, a już z pewnością nie on. Pomyślał jednak, z dozą typowego dla siebie cynizmu, że z pewnością nie zaszkodził fakt, iż Szpon ofiarował dziesięć tysięcy złotych dysków imperialnych nagrody za głowę każdego Zaprzysiężonego.

Kurier zaprowadził ich do zapadniętego w ziemię tylnego wejścia. Potem ruszyli schodami ku wiodącej na dach zapadni. Czekał tam na nich szpon, komendant miejscowej dłoni. Wyszli na dach i spojrzeli z góry na cel. Milicja nadal nieubłaganie ostrzeliwała kamienicę z kusz. Opos dostrzegł swym doświadczoneym okiem, że choć ostrzałowi brakowało celności, z nawiązką nadrabiano to entuzjazmem. Gwardziści pochylali nisko głowy, nie ulegało jednak wątpliwości, że nikomu po obu stronach nie śpieszy się do ataku. To była sytuacja patowa i każdy rezultat był jeszcze możliwy.

- Ilu ich jest?

– Niewielu. Mniej niż dziesięciu. Może jedno ostrze.

Opos wykorzystał okazję, by przyjrzeć się miastu. Na niebie pojawiła się pomarańczowa luna, zabarwiona przez pożary. Popołudnie przechodziło w wieczór. Słupy dymu przypominały szereg rozrzuconych luźno znaków, kreślących krzywą linię przebiegającą przez pół miasta. Wkrótce sytuacja wymknie się spod kontroli do tego stopnia, że nie będzie już mógł nic zrobić. Decyzje spadną na barki komendantów dłoni. Znaczyło to, że równie dobrze mógł się włączyć do walki.

– Ile mamy pocisków? – zapytał szpona.

– Pocisków?

– Tak.

Mężczyzna o twarzy naznaczonej paskudnym przypadkiem złapanej w młodości francy zerknął z ukosa na kuriera i strażników osobistych Oposa.

– Czy nie powinniśmy zaczekać, nim spróbujemy czegoś takiego?

– Zaczekać?

– Tak.

– A na co? Aż na zlanych krwią ulicach zjawią się bogowie i Ascendenty? Nie musimy na nic czekać! Jestem przeklętym przez Panią szponmistrzem!

Mężczyzna skulił się pod naporem tej tyrady. Wymienił spojrzenia ze swym kurierem, jakby oskarżali się nawzajem. Opos po raz kolejny poczuł się przygnębiony na myśl o stanie, w jakim znalazła się organizacja po klęsce na Malazie. Niektórzy zwali ową noc Zemstą Kellanveda, krążyły bowiem opowieści, że nowy bóg, Tron Cienia, to w rzeczywistości stary cesarz. Ponoć, pragnąc się zemścić za dawne zniewagi – a jedną z nich był zamach, który położył kres jego życiu – Kellanved zesłał na nich klątwę własnej Królowej Cienia, która bardzo skutecznie przerzedziła szeregi organizacji!

Na szczęście Opos był wówczas zajęty gdzie indziej. Miał ochotę natychmiast zdegradować tego komendanta dłoni, powstrzymał się

jednak. Nie było sensu robić tego, co mogła za niego załatwić zbliżająca się walka.

- Zawiadom tych na dole, że przejmujemy kierownictwo. Zaczniemy od serii pocisków, jakie zdołacie wygrzebać, a potem ruszymy do ataku i wykończymy niedobitki. - Wskazał na dach położony naprzeciwko. - Załatwimy ich z góry.

- Wedle rozkazu - odparł szpon, który nagle stał się wzorem posłuszeństwa.

Już jest dla ciebie za późno, przyjacielu.

* * *

Wyszli razem na dach - Opos ze swymi strażnikami i komendant ze swoją dłońią. Mężczyzna przedstawił się jako Eljin. Druga dłoń obserwowała ich z dołu. Salwy beltów straciły na intensywności. Opos miał nadzieję, że najemnicy nie zrobią się zbyt podejrzliwi. Dał znak do ataku, nim Gwardziści spróbują wykorzystać chwilę spokoju, by się przebić.

Eljin wystawił rękę za krawędź, a potem rzucił się na dach.

- Padnij!

Cała dłoń leżała płasko na stromej, pokrytej dachówkami powierzchni. Po chwili antyczny, dwupiętrowy drewniany budynek podskoczył pod Oposem. Jego ciało się uniosło. Jeden ze szponów zleciał z krzykiem na ziemię. Posypały się za nim dachówki. Budynek znieruchomiał z bolesnym zgrzytem, jak statek kołyszący się na falach. Przez otwartą kłapę buchnęły kłęby dymu i chmury pyłu. Opos wstał, rozstawiając szeroko nogi, by zachować równowagę.

- Do ataku!

Zbiegli po schodach. Przywitał ich chaos. Budynku nie ewakuowano. Mieszkańcy tłoczyli się na schodach, krzyczeli i się przepychali. Na parterze wybuchł pożar. Eljin - trzeba mu przyznać, że biegł

przodem – startł się z falą spanikowanych obywateli, zdeterminowanych dostać się na schody, by uciec przed ogniem.

Poradził sobie z tym problemem w prosty sposób: kopiąc tych, którzy byli najbliżej, i wyrzucając przez poręcz tych, którzy nie chcieli ustąpić.

– Na dół! – ryczał cały czas. – Zejść na dół!

Opos omal nie krzyknął z frustracji. Czas. Przeciwnik wracał do równowagi! Zejdźcie z drogi, głupie bhederin! Drewniane schody osunęły się pod nimi, deski pękały z głośnym trzaskiem, jakby doszło do serii kolejnych wybuchów. To oczyściło im drogę. Tłum zawrócił, jak stado stojące przed niemożliwą do sforsowania przeszkodą, Eljin poganiał uciekających mieszkańców gałkami noży. Gdy już wszyscy zwiali, ich grupa znalazła wielką, pustą przestrzeń oczyszczoną przez kolejne wybuchy. Niektóre z wewnętrznych ścian runęły. Klatka schodowa przekrzywiła się nad nimi, sypał się z niej nagromadzony przez stulecie pył.

Dłoń rozwinęła szyki pośród zniszczeń. Opos wysunął się naprzód. Pod zwalonymi ścianami i roztrzaskanymi meblami płonęły małe ognie. Gwardziści zniknęli. Zwłoka sprawiła, że ich atak spalił na panewce. Wyrzwał na ulicę. Czyżby przebili się przez oblegających?

Wtem jego uwagę przyciągnął głuchy odgłos przypominający uderzenie rzeźnickiego topora. Odwrócił się. Eljin gapił się ze zdumieniem na sterzcący z jego piersi miecz. Klinga wbiła się z tyłu, przecinając mostek i żebra, a potem przesunęła się w dół, niemal przepoławiając tułów.

Nie będę musiał zwracać sobie głowy jego degradacją.

Zakuty w zbroję olbrzym wsparł stopę na trupie i wyszarpnął miecz. Gwardziści wypadli z ukrycia, atakując szponów. Opos mógł jedynie wytrzeszczać oczy jak Eljin.

To my wpadliśmy w ich pułapkę!

Najpierw dotarły do nich pierwsze echa toczoney w głębi ładu bitwy. Potem nad miastem wzniosły się chmury dymu. Nait zauważył, że Gwardziści dowodzący oddziałami stacjonującymi w porcie wydali rozkaz odwrotu. Wszyscy wrócili na okręty, złapali za wiosła, wypłynęli do zatoki i rzucili tam kotwice. Stojący na nabrzeżu Nait pokazywał im wszystkie obsceniczne gesty, jakie znał, aż wreszcie Rączka zdzieliła go w ucho.

- Dlaczego się wycofali? - zapytała kobieta Blacharza. - Dlaczego porzucili towarzyszy?

Sierżant splunął do wody.

- Mają za mało ludzi, by opanować port. Na morzu będą bezpieczni przed tłumem.

- Ale nie przed nimi - zauważył Nait, wskazując szczyt muru kurtynowego otaczającego port. Ustawione na szczycie katapulty i onagry błyszczały w blasku pochodni zapalonych przez pracowite załogi. - Mogą do nich strzelać jak do bażantów - dodał, chichocząc.

- Nie jestem pewien - sprzeciwił się Miodzio Chłopak. - Nigdy nie widziałem, by naprawdę wystrzelili z jednego z tych starych gruchotów.

Blacharz również nie wyglądał na przekonanego.

- Niech robią, co do nich należy. My mamy swoje zadania.

Nait przymrużył powieki, poprawiając w kąciku ust wykałaczkę z ptasiej kości.

- To znaczy jakie?

- Musimy zabezpieczyć port, oczywiście. Jesteśmy strażą portową.

Rączka wyciągnęła zza pasa pancerne rękawice.

- Najwyższy czas.

Najmniejszy zmarszczył brwi. Zdumiony Nait przenosił spojrzenie z jednej złowrogiej twarzy na drugą.

– Oszaleliście czy co? Wiem, że na brzegu został tylko jeden, ale czy wiecie, kim jest?

– Przeklętym przez Trake'a najeżdźcą! – warknęła Rączka.

Zapewne pochodzi z Unty, sprzeciwił się jej w myśli Nait.

* * *

Blacharz podszedł do samotnego Gwardzisty pełniącego straż na początku kamiennego nabrzeża. Gdy był już blisko, mężczyzna zwrócił się w jego stronę. Jego oczy były niewidoczne, skryte za zamkniętą zasłoną hełmu. Kimkolwiek był, miał na sobie grubą, wyszywaną łuskami brygantynę oraz kolcze nogawice. Na plecach nosił szeroką tarczę. Jego opończa z pewnością była kiedyś karmazynowa, ale obecnie skorupa wyschniętej soli nadała jej biały kolor. Blacharz uniósł dłonie, by zademonstrować, że nie ma złych zamiarów.

– Jesteś sierżantem Straży Portowej – stwierdził mężczyzna.

– Tak. Sierżant Blacharz. A ty?

– Jestem Czarny.

Sierżant skinął głową.

– No cóż, Czarny. Rozpoczęto działania bojowe. Chyba będziemy musieli spełnić swój obowiązek.

– Spełnijcie swój, a ja spełnię swój.

Blacharz ponownie skinął głową i cofnął się. Gdy znalazł się w jednej trzeciej długości nabrzeża, dał znak i dziesięciu strażników uniosło kusze. Gdy tylko wystrzelili, Zaprzysiężony uskoczył za stos czekającego na nabrzeżu ładunku. Pierwsza dziesiątka uklękła, a druga się wyprostowała.

– Nie strzelać! – rozkazał Blacharz.

Przyjrzał się workom i beczkom, z których sterczały teraz bełty. Czy Zaprzysiężony się wycofał, czy też szukał innej drogi dojścia? Bla-

charz pamiętał jednak o zabezpieczeniu wszystkich. Mężczyzna wyprostował się nagle, uniósł tarczę i rzucił się do szarży.

– Strzelać!

Zaprzysiężony skoczył do nowej kryjówki, ale bełty zdążyły się wbić w jego tarczę.

– Następni! – rozkazał Blacharz.

Pierwszy szereg znowu się wyprostował, unosząc kusze. Zaprzysiężony zbliżył się o jakieś sześć kroków.

– Teraz? – zapytał Nait. Sierżant klęczał za stertą towarów, trzymając w rękach potężny młot.

– Jeszcze nie.

Zaprzysiężony znowu wstał. Wyszarpnął gniewnie bełty z tarczy. Nadal posuwał się naprzód, choć jeden pocisk sterczał mu z uda.

– Strzelać!

Tym razem Gwardzista nie próbował się kryć. Bełty wbiły się w jego tarczę z takim impetem, że aż zatoczył się do tyłu. Jeden pocisk przebił łydkę i mężczyzna osunął się na kolano.

– Następni – rozkazał Blacharz.

– Tym razem do nas dotrze! – sprzeciwił się Nait.

– Prawie.

Kolejny szereg wstał, ale trzech strażników nie zdążyło jeszcze naładować kusz. Pośpiesznie wystrzelona, niecelna salwa nie spowolniła Zaprzysiężonego.

– Teraz – zdecydował Blacharz.

Nait uniósł młot i walnął nim w żelazny sworzeń wbity między ogniwa łańcucha u jego stóp.

– Powiedziałem „teraz” – powtórzył Blacharz.

– Otwór jest ciasny jak cipka dziesięcio...

– Uwaga! – warknęła Rączka, unosząc miecz.

Blacharz nie spuszczał z oczu zbliżającego się Zaprzysiężonego.

– Teraz byłaby dobra chwila.

Nait uderzył z gwałtowną, zrodzoną z desperacji siłą. Młot odbił się od sworznia, który wypadł z otworu z wielkim impetem.

Strażnicy portowi padli na ziemię. Uwolniony łańcuch zagrzechał o kamienie. Karmazynowy Gwardzista znieruchomiał porażony niepewnością. Wtem łańcuch przemknął nad całym nabrzeżem, przewracając beczki, rozpruwając worki i łamiąc deski. Porwał Zaprzysiężonego jak lalkę i cisnął go do wody.

Nait podbiegł do kamiennego murku stanowiącego granicę nabrzeża, przeskakując z nogi na nogę.

– Załatwiliśmy cię! Ha! Teraz nie jesteś już taki wielki, co? – Blacharz i Heuk podeszli do niego. – Wszyscy trzej wpatrzyli się brudną, spienioną zieloną wodę. – Ha! Nie żyje.

Heuk potrząsnął głową.

– Niekoniecznie. Mógł przeżyć. Chciałbym tu zostać, żeby się przekonać.

– To niemożliwe. – Blacharz wskazał dwa okręty Gwardzistów. – Wszystko widzieli. Chyba powinniśmy włączyć się do walki.

Z twarzy Naita zniknął uśmiech.

– Ehe. Może masz rację.

Blacharz rozkazał swym ludziom sformować szyk.

* * *

Szuranie nogami i stłumione stęknięcia towarzyszące walce skłoniły Oposa do otworzenia oczu. Dźwięki dobiegały z zewnątrz. Wszyscy w środku z całą pewnością nie żyli. Wstał bezgłośnie. W tej samej chwili śmiertelna rana, która wypruła mu wnętrzości, zniknęła, ustępując miejsca znacznie płytszej, choć również dość głębokiej szramie. Na podłodze wałały się trupy szponów i Gwardzistów. Opos skrzywił się z bólu, złapał za raniony brzuch i rozejrzał wokół. Razem z siedmioma szponami zdołał wykończyć pięciu Gwardzistów – wszystkich poza jednym, który był Zaprzysiężonym. Ten ostatni zała-

twił dwóch ocalałych szponów, a także Oposa. A przynajmniej o tym przekonała go iluzja.

Walka jednak trwała nadal. Sztywny z bólu Opos podszedł ostrożnie do okna wychodzącego na usiane odpadkami podwórko za kamienicą. Zaprzysiężony toczył tam pojedynek ze szponem. Opos wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Uciekaj, ty cholerny durniu! Kim był ten idiota? Nie wypuścił dziś na miasto żadnych samotnych łowców. Mężczyzna... Nie, to kobieta, poprawił się w myślach szponmistrz. Postanowiła stawić czoło Zaprzysiężonemu z gołymi rękami. Opos nie potrafił tego zrozumieć. Co prawda była to najtrudniejsza i najbardziej wymagająca sztuka, jakiej uczono w ochronkach Szponu i w akademii, ale przecież nie stworzono jej z myślą o walce z przeciwnikiem zakutym w zbroję i uzbrojonym w długi miecz. Fakt, że Zaprzysiężony poruszał się z wysiłkiem, gdyż Opos i jego osobiści strażnicy zadali mu dziesiątki ran, nim w końcu ich powalił, ale gołe ręce przeciwko żelaznemu pancerzowi?

Kobietę od stóp do głów spowijały pasy czarnej tkaniny. Zostawiła sobie tylko wąską szparę na oczy. Krążyła wokół Zaprzysiężonego, co chwila zmieniając pozycję. Gwardzista czekał cierpliwie, unosząc miecz. Jego druga ręka zwisała bezwładnie, złamana podczas wybuchu. Opos doszedł do wniosku, że choć kobieta może być najgłupszym z członków organizacji, zasługuje na pomoc, choćby tylko za jej... no cóż, czystą, bezmyślną odwagę. Uspokoił się, by wezwać swą grootę.

Jego karku dotknął nagle zimny nóż. Opos znieruchomiał. Czyjaś głowa wsparła się od tyłu o jego lewy bark.

– Przekonajmy się, co ona potrafi – wyszeptał do jego ucha kobiecy głos.

Choć brzuch wypełniał mu palący ból, Opos gorąco zapragnął poznać właścicielkę tego głosu.

Podwórce oświetlała migotliwa luna trawiących miasto pożarów, nadająca nocnemu niebu pomarańczową barwę. Odległe krzyki i zgiełk bitwy dobiegały z miejsc, gdzie Gwardziści przebijali się nie-

ubłaganie do portu. Kobieta nadal tańczyła wokół Zaprzysiężonego, który obracał się niezgrabnie, krok po kroku. Nagle wyprowadziła kopnięcie tak szybko, że Opos nie zauważył, kiedy to się stało. Jej stopa uderzyła w bok hełmu Gwardzisty. Zakuty w zbroję olbrzym machnął mieczem, a potem odzyskał równowagę, potrząsając głową.

Idiotka! Co ci to dało? W ten sposób tylko złamiesz sobie stopę.

Drugie kopnięcie, tym razem wymierzone w pierś, odrzuciło Zaprzysiężonego do tyłu. Mężczyzna znowu zatoczył mieczem powolny łuk. Kobieta za plecami Oposa prychnęła niecierpliwie. Musiał przyznać jej rację. Po co marnować czas i wysiłek?

Wkrótce jednak stało się jasne, że kobieta nie zamierza okładać przeciwnika bezproduktywnymi ciosami. Następane kopnięcie również doprowadziło do machnięcia mieczem, ale tym razem nieznaną złapała Gwardzistę za ramię i pociągnęła z całej siły do tyłu. Rozległ się trzask pękającej kości. Atakująca odskoczyła. Kobieta za plecami Oposa chrząknęła na znak uznania. Miecz wypadł z bezwładnej dłoni. Zaprzysiężony spróbował unieść złamaną rękę, by wyciągnąć sztylet, który miał za pasem. Kobieta skoczyła na niego, oplatając jego tułów nogami. Sięgnęła dłońmi do wizury hełmu, jej kciuki zniknęły w środku.

Zaprzysiężony ryknął z bólu. To był pierwszy dźwięk, jaki z siebie wydał od chwili, gdy ludzie Oposa zaatakowali Gwardzistów. Osunął się na kolana. Chyba coś powiedział, ale zgiełk bitwy zagłuszył jego słowa. Kobieta mu odpowiedziała. Opuścił głowę i nieznaną odwróciła się, uderzając stopą w jego szyję, tuż poniżej krawędzi hełmu. Głowa odskoczyła w bok i Zaprzysiężony zwałił się na ziemię.

Opos nie wierzył własnym oczom. Jak coś takiego było w ogóle możliwe? Niech mnie Kaptur broni! Kim ona jest? Nie znał w organizacji nikogo takiego.

Druga kobieta, przyciskająca nóż do jego gardła, warknęła coś w nieznanym Oposowi języku i się cofnęła. Odwrócił się błyskawicz-

nie, ale zdążyła już zniknąć. Cóż za szybkość! Była też magiem, do tego cholernie dobrym.

Odwrócił się i zobaczył, że spowita w czarną tkaninę kobieta patrzy prosto na niego. Zaczerpnął tchu, by ją zawołać, ale uciekła, znikając w sąsiedniej kamienicy. Złapał się za brzuch z głośnym westchnieniem. Ten oddech nie był dobrym pomysłem. Gdy uniósł wzrok, na usianym odpadkami podwórku pojawił się inna samotna agentka Szponu. Była ubrana na szaro, a krótko obcięte czarne włosy miała odsłonięte.

Wielka Fanderay! Jeszcze jedna! I to też jest kobieta! Skąd one wszystkie się biorą?

Uklękał przy zabitym Zaprzysiężonym, by mu się przyjrzeć. Opos pokuśtykał ku rozbitym tylnym drzwiom.

Gdy dotarł do Gwardzisty, trzecia tajemnicza kobieta również zniknęła. Dotknął ręką złamanego karku mężczyzny, by się upewnić, że rzeczywiście nie żyje. Miał zmiażdżoną krtań, więc zapewne się uduślił.

Wyprostował się. Tak jest, te tajemnice były intrygujące, będą jednak musiały poczekać. Przyjrzał się łunie pożarów rozświetlającej nocne niebo. Gdzieś w pobliżu w górę były czarne kłęby dymu. Pora spróbować odzyskać kontrolę nad sytuacją. O ile to w ogóle możliwe. A także znaleźć uzdrowiciela. Pomacał pokryte krzepnącą krwią cięcie i skrzywił się. Tak jest, nigdy dotąd koniec kariery nie był tak blisko. Machnął ręką i pojawiło się wejście prowadzące w ciemność. Opos przeszedł przez nie ostrożnie.

* * *

Zmierzający ulicą Opalową Nait i towarzyszący mu strażnicy napotkali jadący w przeciwną stronę wóz. Ładunek przykrywał brezent, a idący na piechotę poganiacz ciągnął za uprząż dwa woły. Twarz lśniła mu od potu, a oczy wybałuszał szeroko z przerażenia. Przywitał sierżanta

Blacharza skinieniem głowy. Przed nimi, w dzielnicy krawców artystycznych, pożary przybierały na sile.

– Jak idą sprawy? – zapytał go sierżant.

– Bardzo dobrze – zapewnił mężczyzna. – Bardzo dobrze. Próbuje tylko ocalić trochę dobytku przed pożarem.

Pociągnął obiema rękami za jarzmo, mamrocząc coś gorączkowo do wołów.

– Chodziło mi o bitwę – wyjaśnił Blacharz.

Ulicą uciekali kolejni ludzie, dźwigający tobołki i kosze. Płaczące dziecko ciągnięto za koszulę. Mężczyzna zamrugał.

– Ach, o to! Nie mam pojęcia. Przykro mi. Będziecie musieli dotrzeć do Giełdy Szlifierzy.

– Szlifierzy? – powtórzył Nait. – Tam teraz walczą? Sierżancie, proszę, musimy tam iść.

Mężczyzna złapał się obiema rękami za włosy i popatrzył błagalnie na woły.

– W dzielnicy wybuchły zamieszki. To ma coś wspólnego z rekiem. Ruszajcie te wielkie dupy!

– Słucham...? – odezwał się Blacharz, unosząc brwi.

Mężczyzna pociągnął się za włosy tak mocno, jakby chciał się unieść w powietrze.

– Nie mówię do was! Do nich! Czemu nie chcecie się ruszyć? Proszę! Chodźcie.

– Może byśmy ci pomogli? – zaoferowała się Rączka.

Blacharz przeszył ją wściekłym spojrzeniem.

– Życzę szczęścia – dodała.

– Kurwa, zabiję was! – ryknął do wołów mężczyzna.

Miódzio Chłopak popukał się palcem w skroń. Najmniejszy skinał głową, stukając wplecionymi we włosy fetyszami. W miarę jak posuwali się w górę Opalowej, strumień uchodźców stawał się coraz gęstszy, aż wreszcie musieli się między nimi przepychać. Naitowi przyszło

na myśl, że nie zaciągnął się do straży portowej, by uczestniczyć w walkach ulicznych, wyglądało jednak na to, że jeśli szybko czegoś nie wymyśli, sierżant ich do tego zmusi. Przypomniało mu się też, że już gdzieś widział tego mężczyznę od wołów. I to niedawno. Przepchnął się do Blacharza.

- Sierzancie, z tym facetem od wozu coś było nie w porządku.

- Z całą pewnością.

- Nie, chodzi mi o to, że pewnie szedł do portu, nie sądzisz?

Blacharz zwolnił kroku.

- Dlaczego tak uważasz, Nait?

- Mam takie przeczucie.

Sierżant pokręcił głową.

- To nie wystarczy.

Skinął na łypiącą na nich spode łba Rączkę, nakazując jej ruszać naprzód.

- Sierzancie, widziałem już kiedyś tego rozczochranego gościa! - zawołał Nait.

- A gdzie?! - odrzyknął Blacharz.

- Na pokładzie *Utkanego Szmatami*.

Sierżant zatrzymał się nagle.

- Jesteś pewien? - zapytał, odwracając się do Naita.

- Tak mi mówi nos - odparł Nait, stukając się palcem w wymieniony narząd.

Rączka uśmiechnęła się szyderczo.

- Po prostu nie chce, żeby mu wetknęli miecz w tyłek.

Nait chciał już odpowiedzieć jej w podobnym stylu, ale Blacharz skinął dłonią, każąc im się uciszyć. Poglaskał siwe wąsy.

- Dobra, sprawdźmy to. Naładować kusze! - zawołał. - Rozciągnąć szyk!

Rączka nakazała im gestami zawrócić.

Znaleźli wóz niedaleko miejsca, w którym go zostawili. Poganiacz ignorował ich i ciągnął za uprząż. Z oczu lały mu się łzy. Blacharz podszedł bliżej, a za nim podążyli Rączka, Nait i Najmniejszy.

– Jesteś z *Utkanego Szmatami*? – zapytał sierżant.

Mężczyzna podskoczył jak ugodzony nożem. Odwrócił się, wycierając twarz rękawem.

– Co? O co chodzi? Kim jesteś?

– Sierżant Blacharz ze straży portowej. Czy jesteś z *Utkanego Szmatami*? Wieziesz ładunek na statek?

Mężczyzna załamał ręce.

– Co takiego? Ładunek? Nie, z pewnością nie. – Wdrapał się na siedzenie woźnicy i chwycił w rękę bat. – Muszę już jechać. Do widzenia!

– Czy nie powinniśmy... – zaczęła Rączka. Sierżant machnął ręką, każąc jej zaczekać.

Mężczyzna strzelił z bata.

– Ruszajcie! Biegiem! Jazda! – krzyknął na woły.

Blacharz, Rączka i Nait przyglądali mu się z uwagą.

– Co masz na tym wozie, przyjacielu? – zapytał Nait, przesuwając wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi.

Mężczyzna popatrzył na nich, a potem odrzucił bat.

– Nic! To tylko trochę zapasów. – Włożył na zakryte brezentem skrzynki. – Nie macie prawa mnie zatrzymywać. Nie jesteśmy w porcie. Idźcie sobie!

Blacharz westchnął, rozglądając się wzdłuż ulicy. Mieszkańcy zmierni strumieniem w stronę portu, uciekając przed pożarami mogaącymi się przerodzić w burzę ognia.

– Odnoszę wrażenie, że ten wóz blokuje ruch na drodze publicznej. W związku z tym, zgodnie z przyznaną mi władzą urzędnika państwowego i stróża prawa cywilnego, mam wszelkie prawo zatrzymać i skonfiskować ów wehikuł.

Wspierający się na rękach i kolanach na stosie pudełek mężczyzna wybałuszył oczy.

– Co?

– Najmniejszy, Miodzio, sprowadźcie ten wóz z ulicy.

– Tak jest – odparł Barghast. Skinął na Miodzio Chłopaka i obaj pociągnęli woły za pierścienie w nosach do najbliższego zaułka. Mężczyzna rzucił się płasko na brezent.

– Nie! Nie możecie tego zrobić! Nie rozumiecie, to moje! Moje!

– Masz fakturę? – zapytał Nait, uśmiechając się złowieszczo.

Mężczyzna przetoczył się na plecy, złapał obiema rękami za włosy, pociągnął gwałtownie i zeskoczył na ziemię. Potem pobiegł ulicą, wymachując rękami.

– Niiieeeee! – wrzeszczał.

Nait i Błacharz odprowadzali go spojrzeniem.

– Czy nie powinniśmy... – odezwała się Rączka.

Błacharz zbył te słowa machnięciem ręki i wrócił do wozu.

– Dobra, przyjrzyjmy się temu. – Rozwiązali sznurki, zdjęli brezent i opuścili boczną klapę. Skrzynki. Identyczne skrzynki z ciemnego drewna, ułożone w sześciu szeregach i czterech warstwach. Nait przyjrzał się zamkowi najbliższej. Nigdzie nie widział płytki zamka ani dziurki od klucza. Wyjął nóż.

– Jak to się otwiera? – zapytał, wbijając sztych w drewno.

Błacharz wytrącił mu nóż z rąk.

– Co jest? – warknął Nait, łypiąc spode łba na sierżanta.

– Teraz mnie nos coś mówi – odparł Błacharz. – Odsuńcie się. Chyba pamiętam takie skrzynki z czasów, kiedy służyłem w piechocie morskiej w Genabackis.

Stanął na opuszczonej klapie i ostrożnie dotknął bliźniaczych zameczków jednej z leżących na górze szkatulek. Ustąpiły z łatwością. Ukłękł, pochylił się i uniósł wieko na szerokość palca. Nic się nie wydarzyło. Zamarł na chwilę w bezruchu, zaglądając do środka.

– Sierzancie? – zapytała Rączka.

Blacharz odchrząknął.

– Kapralu, jaka odległość dzieli nas od pożarów?

– Kilka przecznic. Ale z każdą chwilą są bliżej.

Zamknął skrzynkę i zeskoczył na ziemię.

– Zawróćcie woły. Każcie im się ruszać. Natychmiast.

– Nie są zainteresowane – poskarżył się Najmniejszy.

– Pomóżcie sobie nożami.

Miodzio Chłopak westchnął i uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „Proszę, proszę”.

Nait podążył za Blacharzem na ulicę.

– Co jest w tych skrzynkach? – zapytał, ale sierżant go zignorował, rozglądając się.

– Kapralu Rączka, wyślij do portu ludzi z zadaniem skonfiskowania łodzi, która pomieści ten ładunek – rozkazał Blacharz.

– Tak jest, sierzancie.

– Czy to złoto?

– Najmniejszy, każ ludziom otoczyć wóz kordonem. Nie dopuszczajcie do niego nikogo.

– Tak jest!

– A może to imperialne klejnoty złupione na tuzinie kontynentów?

Sierżant Blacharz złapał Naita za koszulę i uniósł go.

– Powiem ci to, Nait – warknął, spoglądając mu prosto w oczy. – Ale tylko dlatego, że wiem, iż w przeciwnym razie wsadysz swoją paskudną głębę do którejś z nich i zabijesz nas wszystkich. Co jest w środku? – Ściszył głos. W jego oczach pojawił się wyraz szaleństwa, którego Nait nigdy dotąd tam nie widział. – Na tym wozie jest tyle pocisków Moranthów, że mogłyby obrócić cały port w dymiące gruzy. A wszystkie skrzynki zapieczętowano znakiem Arsenалу Imperialnego.

– Nie chrań! – zdołał wykrztusić Nait, próbując się wyrwać.

– Najbardziej jednak niepokoi mnie fakt, że ktoś okrada arsenał. Prędzej czy później ten ktoś popełni błąd, a gdy to się wydarzy, mam zamiar być tak daleko, jak tylko się da.

* * *

Blask wyjrzała przez okno gospody „Pod Czarnym Nactem”, przyglądając się pożarom, które spontanicznie ogarnęły całe miasto. Pociski z kusz od czasu do czasu wbijały się w przymknięte okiennice albo odbijały od kamiennych murów z ostrym metalicznym brzękiem. Odwróciła się i pokiwała palcem do Dymka. Mag rozpostarł bezradnie ręce.

– Nie patrz na mnie. Naprawdę. Ja gram tu tylko rolę wsparcia. To mieszkańcy. Grabią i wywołują zamieszki, żeby zamaskować grabieże. Naprawdę.

Zaplotła ręce na piersi.

– Mam nadzieję, że to prawda, bo nie chcielibyśmy poddawać próbie cierpliwości Tayschrenna.

– Z pewnością!

– To świetnie. – Obejrzała się na dwa nadal towarzyszące jej ostrza. – Popęlniliśmy błąd, pozwalając, by nas tu unieruchomili. Ich liczebność wciąż rośnie. Musimy pozostawać w ruchu.

Spojrzała na solidne stoły ustawione w gospodzie. Ich grubo ciosane deski miały pełne cztery palce grubości. Potem zerknęła na drzwi. Ich konstrukcja była podobna. Na koniec popatrzyła na Vossa, sabotażystę ostrza. Skinął głową, rozciągając usta w szerokim uśmiechu.

Mantelety – to była nazwa, pod jaką znała ją Blask. Gdzie indziej zwano je skorupami albo pawężami. W praktyce mogły przybierać różne kształty, zależnie od celu oraz dostępnych materiałów. Wielkie przenośne tarcze najczęściej wykorzystywano podczas oblężeń, by osłaniały kuszników, łuczników albo saperów strony atakującej. Voss

kazał ludziom zbudować ich tyle, ile tylko się dało. Zetkną je i otoczą cały oddział ciasnym kręgiem. Blask ruszy z nimi do portu wewnątrz żółwia, podobnego do tego, który ponoć pomógł niedobitkom Trzeciej Kompanii uciec z jaskini, w której ich uwięziono.

Z oddali dobiegły krzyki oraz trzask pękającego drewna. Zbliżał się kolejny oddział. Blask zerknęła w głąb bocznej ulicy. Setki uzbrojonych obywateli z untańskiej milicji ochotniczej pobiegły w tamtą stronę. Bogowie, w tym mieście każdy miał kuszę i garść bełtów. To wyglądało, jakby kopnęli gniazdo szerszeni i teraz nie mogli uwolnić zaklinowanej w nim nogi. Podszedł do niej Voss.

- Ile ich macie? - zapytała.

- Wystarczy. Lepsze to niż nic.

- Jesteśmy gotowi?

- Przydałaby się jeszcze chwila. No wiesz, żeby to zrobić, jak należy. Ale tłum ciągle się powiększa, tak?

- Ehe. Nie mamy czasu. Otwieraj drzwi i ruszamy.

Voss zasalutował, przyciskając rękę do piersi.

- Tak jest.

Wyrwali z zawiasów solidne drzwi frontowe. Do środka posypał się grad bełtów, ale wszyscy zdążyli się już schować. Unieśli dwie tarcze, a następnie złączyli je ze sobą na kształt litery V skierowanej ku drzwiom. Blask skinęła dłonią, nakazując podnieść kolejną parę. Bełty stukały rytmicznie o drewno. Ktoś rzucił do środka zapaloną lampę. Płonący olej trysnął na wszystkie strony. Gwardziści wzdrygnęli się, ale nie przerwali pracy. Dymek wyciągnął rękę.

- Popatrz - wyszeptał.

W końcu wokół oddziału uformował się pełny żółw z wysokich tarcz. Snajperzy rozmieszczeni na dachach wysokich budynków będą mieli szansę trafić ich z góry, ale w obecnej sytuacji nie mogli sklecić nic lepszego. Drzwi wyjściowe posłużyły im jako tylna osłona. Blask zerknęła do przodu przez szparę między tarczami. Rzucano w nich pochodniami i lampami. Zdumiała ją gwałtowność ataku. Wyglądało

na to, że mieszkańcy są gotowi spalić własne miasto, byle tylko ich dorwać. Voss kazał wszystkim, którzy mieli wolne ręce, nieść wodę i zmoczyć ich porządnie przed wyjściem, ale i tak nie obyło się bez strat. To była paskudna śmierć. Blask wołałaby coś szybszego.

– W lewo! – zawołała, rozkazując im skręcić do wąskiego zaułka.

Niezorganizowana tłuszcza uzbrojonych obywateli próbowała jednocześnie ostrzeliwać ich z kusz i cofać się, ale to zadanie okazało się zbyt trudne. Milicja pierzchnęła panicznie. Ciała i kusze padały na ziemię. Przechodząc obok, Gwardziści zebrali broń. Ostrzał z tyłu jednak nie ustawał. Od czasu do czasu bełt znajdował szczelinę i któryś z ludzi padał.

– Ostrzeliwać ich! – ryczał z tyłu Voss.

– Dymek! – zawołała Blask.

– Już się robi.

Z tyłu żółwia buchnęły płomienie, zamykając zaułek.

– Jak długo jeszcze? – zapytała Blask.

– Niedługo.

Wyszli na szeroką aleję biegnącą z północy na południe. Było przy niej pełno straganów ulokowanych przed dwupiętrowymi sklepami z cegieł. Środkiem ulic uciekały tłumy untan, zmierzających na południe, do portu. Krążyły tam bandy uzbrojonej milicji, szukające nowych celów. Wszyscy uchodźcy zatrzymali się, spojrzeli na wynurzającego się z zaułka żółwia i uciekli z wrzaskiem.

– I znowu w lewo! – zawołała Blask.

Niezgrabna bestia skręciła z głośnym stukotem. Blask ujrzała przez szczelinę długą aleję opadającą łagodnie ku portowi. W oddali rysowały się maszty podświetlone ogniem pożarów.

– Widzę port! – zawołała.

Wewnątrz żółwia rozległy się radosne krzyki. Staccato bełtów znowu przybrało na sile. Ścigający wpadli w aleję, ponownie otaczając

ich ze wszystkich stron. Rzucona z drugiego piętra lampa rozbiła się między nimi, tryskając płonącym olejem.

– Trzymać się! – wrzasnęła Blask, przekrzykując krzyki mężczyzn i kobiet, którzy okładali się rękami i padali na bruk, próbując ugasić płomienie. – Zgasić płaszcze! – Upuszczona tarcza zwała się na ulicę. Do odsłoniętego wnętrza posypały się bełty. – Zacieśnić szyk!

Pocisk uderzył ją w bok. Padła na kolana.

– Zamknąć lukę! – wydyszała, prostując się.

– Zaraz ruszą do szturmowania – ostrzegł jeden z Gwardzistów.

– Gotuj broń! Ruszać się!

Blask wyciągnęła długi nóż zza pasa Gwardzisty trzymającego przed nią tarczę.

– Przygotować się do odparcia abordażu! – zawołał jakiś dowcipniś.

W szparę między tarczami wbiła się włócznia. Grot w kształcie liścia odbił się od zbroi Blask. Kobieta wypuściła nóż, złapała włócznię i wyszarpnęła ją z rąk napastnika. Uniosła ją wysoko, odwróciła i pchnęła mocno, przebijając mężczyznę.

– Dziękuję!

Uderzała włócznią raz po raz, nie pozwalając milicji zbliżyć się do tarcz.

– Ruszać się! – krzyczała co chwila.

Przy każdym oddechu od białego w bok bełtu promieniował ból, od którego ciemniało jej przed oczyma.

Wtem uderzyła ręka boga, przewracając wszystkich na ulicę.

Potężny podmuch wybił oddech z piersi Blask. Pył, dym i odłamki przesłoniły wszystko, jakby całe miasto zalało morze. Po chwili z góry posypały się dachówki, niczym ptaki umykające z wiatrem wypełnionym dymem i popiołem. Nie przestawały padać, zupełnie jak deszcz. Ziemia zadrżała, podrzucając wszystkich w górę. Blask przymrużyła powieki i zobaczyła, że nad miastem unosi się olbrzymia skłębiona

chmura. Od środka rozświetlały ją eksplozje krwawoczerwonych płomieni. Nie przestawała rosnać. Dwupiętrowy budynek naprzeciwko nich obrócił się w gruzy. Spadł na niego lity kamień wielkości małej łodzi.

Nieprzerwany grzmot cichł powoli. Płonące fragmenty gruzów sypały się z nieba jak przerywany deszcz. Blask podniosła się, powoli i ostrożnie, zdumiona, że jeszcze żyje. Zamachała ręką, łapiąc się za bok w miejscu, gdzie sterczał budzący wstręt belt. Nie odważywszy się pomyśleć o tym, co musi zrobić, pociągnęła z całej siły za pocisk i wyszarpnęła go. Pałacy opór własnego ciała obalił ją z powrotem na kolana. Mężczyźni i kobiety, tubylcy i Gwardziści rozglądali się ze zdumieniem. Z wciąż rosnącej chmury zaczął się sypać biały popiół. Opadał na ziemię jak darte pierze, pokrywając wszystko warstwą puchu.

- Port - wychrypiała Blask. Kopnęła najbliższego Gwardzistę. - Dymek!

- Ehe...

Widmowa sylwetka obsypana warstewką popiołu obudziła się do życia i usiadła.

- Co to było, na cień samego Kaptura?

W białej masce rozbłysły ciemne oczy. Mag wstał i potrząsnął kręconymi włosami, sypiąc wokół pyłem.

- Chyba największa naturalna eksplozja wywołana przez ludzi.

- Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

- I pewnie już nie zobaczysz.

- Bogowie na ziemi - wydyszała zdumiona Blask. - Lepiej stąd znikajmy, nim ci untańscy durnie dojdą do wniosku, że to nasza wina, i rozszarpia nas na strzępy.

Dymek popatrzył na pokryte warstwą popiołu postacie budzące się do życia i kręcące w kółko. Zamrugął.

- Pewnie masz rację...

- Ruszać się, Gwardziści!

Szara Grzywa nie widział samego wybuchu. Odwrócił wzrok, wypatrując jakichś oznak aktywności wśród malazańskich okrętów wojennych kotwiczących w porcie, gdy światło nagle się zmieniło. Oślepiający biały rozbłysk sprawił, że na deski padł jego cień. Przebywający na pokładzie ludzie zakrzyknęli ze zdumienia i strachu. Gdy renegat się odwrócił, światło już zgasło. Ku niebu wzbijała się ogromna chmura dymu, rosnąca z każdą chwilą. W całym porcie do lotu zerwały się stada ogarniętych paniką ptaków. Nad miastem przebiegła fala, od której pękały dachy, a wieże waliły się na ziemię. Zaczęła się w miejscu wybuchu i po chwili dotarła do portu. Zdażył jeszcze krzyknąć: „Przygotować się!”, gdy minęła brzeg i wzburzyła spokojną dotąd powierzchnię wody. Potem dotarła do okrętu i podrzuciła go niczym zabawkę, zrywając żagle z masztów jak kawałki papieru. Huk był tak głośny, że całkowicie ogłuszył Szarą Grzywę, czyniąc go niewrażliwym na wszelki dźwięk. Ludzie poruszali ustami, ekwipunek spadał na pokład, a on nic nie słyszał. Jego pierwsza myśl brzmiała: „A więc nadszedł koniec Gwardii. Laseen zniszczyła ją w jednej, tytanicznej eksplozji”. Wybuch jednak nastąpił w głębi łądu, daleko za pożarami znaczącymi strefę walk. Będzie się musiał upewnić.

Skinął na jednego z ludzi, wskazał brzeg, a potem wiosła. Następnie statek znowu się zakołysał. Szara Grzywa odwrócił się błyskawicznie. Gwardziści wskazywali deski. Pojawiła się w nich dymiąca dziura, której jeszcze przed chwilą nie było.

Požogo zmiłuj się, ile mil dzieli nas od miejsca wybuchu?

Po chwili spod pokładu wyszedł marynarz. Trzymał w rękach garnek. Znajdował się w nim kamień, nadal gorący w dotyku. Odłamek muru. Szara Grzywa popędził wytrzeszczających oczy ludzi do wiosła. Z pewnością niektórzy ocaleli, obawiał się jednak najgorszego.

Minęli jedyny poza nimi statek, który płynął przez port. Stara kupiecka jednostka zanurzała się niepokojąco głęboko, jej żagle zwi-

sały w strzępach, na pokładzie wałał się porzucony ekwipunek, a żyłasty, siwowłosy napański kapitan obrzucał inwektywami opieszalą załogę. Szarą Grzywę zdziwiła nazwa wyryta w butwiejącym drewnie dziobu. Nie sądził, że ktokolwiek odważy się nadać statkowi nazwę *Utkany Szmatami*, wziąwszy pod uwagę karierę kapitana jego poprzednika, pirackiego admirała – prawej ręki Laseen, znanej wówczas jako Gburka – brata Urka, Cartharona Crusta.

Tajemnica *Utkanego Szmatami* musiała jednak poczekać. Ludzie Szarej Grzywy wskazywali nabrzeże, krzycząc ze zdumienia. Zgromadzili się tam ocalali Gwardziści, wyglądający jak armia cieni. Z ulic wciąż wypadali nowi. Otaczali ich uzbrojeni obywatele, powstrzymujący się jednak od ataku. Wyglądało na to, że zawarto nieoficjalny rozejm. Być może dopóki obywatele nie mieli pewności, że Gwardziści chcą się tylko wycofać, zadowalali się odprowadzaniem ich do portu. Ludzie sprawiali wrażenie ogłuszonych monumentalną eksplozją, a popiół nadawał im niesamowity wygląd: wszyscy przypominali blade duchy i wszyscy zachowywali upiorne milczenie.

Ocaleni zaczęli wsiadać na statek. Szara Grzywa znalazł wśród nich Blask. Kobietę niesiono na blacie stołu służącym teraz jako nosze. Opiekowali się nią magowie kompanii: Dymek, Lor-Sinn i Shellarr.

– Zabierz nas na zachód – wydyszała. Pobladła z utraty krwi, a długie włosy lepiły się jej do spoconej twarzy.

– Co z Oprawcą?

Zbyła pytanie machnięciem ręki.

– Znajdzie nas.

Ostatni wszedł na pokład Zaprzysiężony imieniem Czarny. Ociekający wodą mężczyzna zatrzymał się, spoglądając na gęstniejący tłum mieszkańców Unty. Tłuszczą podchodziła coraz bliżej, obsypując ich przekleństwami. Posypały się ku nim odpadki.

– Musimy zwiewać! – zawołał Szara Grzywa.

Mężczyzna odwrócił się z niechęcią. Sypały się na nich kamienie, kawałki dachówek, śmieci i jarzyny. Tłum ryczał, głośno dając wyraz

swej pogardzie. Szara Grzywa nakazał wiosłować w maksymalnym tempie.

– O co chodzi?! – zawołał do Czarnego.

– O nic. Nie wiesz przypadkiem...? Tam są te skurwysyny!

Zaprzyśięzony wyciągnął rękę i podbiegł do relingu, omal nie wypadając za burtę.

Na wodzie, obok pirsu, unosiła się łódź. Nieliczna załoga machała do nich rękami na pożegnanie. Szara Grzywa poznał strażników portowych. Jeden z nich, chudzielec z twarzą naznaczoną śladami po francy, wstał i pokazał im gołą dupę, ale muskularna kobieta w zbroi strąciła go kopniakiem do wody. Tłum zawył z zachwytu.

– Przysięgam na Kaptura, że was znajdę! – ryczał Czarny, podczas gdy między nimi a łodzią poszerzał się pas otwartej wody. – Przysięgam!

Dotarli do portowego mola i przekonali się, że roi się na nim od wymachujących pięściami młodzieńców. Gwardziści opuścili port ściągani przez odległe obelgi i rzucane ku nim przedmioty. Szara Grzywa stanął przy nadburciu, obserwując gestykujących chłopaków. Wrócił w myślach do Gwardzistów i ich Ślubów. Jak mogli uwolnić obywateli od tyranii, jeśli ci tak wyraźnie dawali do zrozumienia, że tego nie chcą? Gwardia najwyraźniej przeżyła swą użyteczność. Niemniej dane zebrane przez ich wywiad sugerowały, że w innych miejscach szerzą się bunty przeciwko imperialnej władzy. Blask kazała im płynąć na zachód, renegat sądził więc, że mają połączyć siły z powstańcami. Czuł się jednak zaniepokojony. Polityczne doświadczenie mówiło mu, że próżnia na szczytach władzy nie może przetrwać długo. Zastanawiał się, czym secesjoniści – albo Zaprzyśięzeni, jeśli już o tym mowa – zamierzają zastąpić cesarskie rządy.

Następnego dnia cesarzowa Laseen – eskortowana przez pięćdziesięciu regularnych żołnierzy – dokonała przeglądu zniszczeń spowodowanych przez eksplozję Arsenału Imperialnego.

– Mogło być gorzej – stwierdziła towarzysząca jej Havva Gulen, splatając dłonie na wydatnym brzuchu.

Cesarzowa potrząsnęła głową.

– Myślę, że powinno być znacznie gorzej.

– He?

Cesarzowa wyprzedziła wielkiego maga, rozgrzebując nogami spopielony grunt.

– Wybuch był imponujący, to prawda. Ale powinien zniszczyć znacznie większą część miasta. Arsenał nie był wypełniony nawet w połowie.

– Naprawdę? Myślisz, że to Gwardziści?

– Niewykluczone. Cały incydent mógł mieć na celu jedynie zdobycie pocisków. Albo zniszczenie naszych zapasów.

– Jeśli to prawda, wykazali się niepokojącymi zdolnościami strategicznymi.

– Zgadza się. Nadal nikt nie widział K'azza?

– Nadal. Wygląda na to, że dowodzi Oprawca.

Laseen wzięła w garść trochę poczerniałej, wypalonej gleby i przesyłała ją przez palce.

– Oprawca. On nie słynie z subtelności.

– Masz rację. Niemniej... – Havva umilkła, niepewna, czy może mówić dalej.

– Tak? – spytała zmęczonym głosem Laseen, odwracając wzrok.

– Podobno w porcie widziano Szarą Grzywę.

– Szarą Grzywę? – Wyprostowała się. – Naprawdę? Szara Grzywa...

Przesuwała wzrokiem po zniszczeniach, ale nie ulegało wątpliwości, że jej myśli błędzą daleko. Skinęła głową.

- Tak - stwierdziła Havva. - To jedyne miejsce, w którym mógł się czuć bezpieczny przed wszystkimi. - Z jej ust popłynął głęboki gardłowy śmiech. - Wyobraź sobie, jak musiała go zatrzwożyć wiadomość, że Gwardia naprawdę wraca! Teraz może być zmuszony do walki z własnymi oficerami...

Laseen popatrzyła na nią bez słowa, a potem odwróciła wzrok.

Havva doszła do wniosku, że powiedziała już wystarczająco wiele. Reszta informacji będzie musiała poczekać na odpowiednią chwilę, która może nie nadejść nigdy.

Och, moja cesarzowo! Zostałaś sama. Mury, którymi się otoczyłaś, przegnały wszystkich od twego boku. Czy kierowała tobą arogancja, pogarda? Niezdolność zrozumienia niczego poza własnym pragnieniem władzy? Nic nie mówisz, a my, którzy moglibyśmy ci pomóc, nie mamy pewności. A przez tę niepewność mamy zbyt wiele do stracenia. Nie masz już nikogo poza być może biednym, ślepym Oposem. Niewykluczone, że to właśnie jest okrutna logika kryjąca się za twoim milczeniem. Laseen, gdybym wybrała tę chwilę, gdy jesteśmy sam na sam, by powiedzieć ci wszystko, co wiem, być może miałybyśmy szansę - niewielką - zwyciężyć w starciu ze spiskiem, który otoczył nas ze wszystkich stron. Robiłam, co tylko mogłam, ale nie odważyłam się przemówić otwarcie. Nie podejmę takiego ryzyka. Wstydzę się tego. Tak mi przykro, moja cesarzowo. Ja również cię zawiodłam. A wszystko to dlatego, że nie zmarnowałam czasu spędzonego w Archiwach. Wiem, co znaczy słowo „jhistal”, i obawiam się, że brak mi mocy, by się temu przeciwstawić.

Szeregi otaczających ich strażników rozstąpiły się, przepuszczając wielką pięść Ananda. Za smukłym jak trzcina mężczyzną podążał kaczkowatym krokiem spocony Mallick Rel. Kapłan marszczył nos i wachlował się, by przegnać smród tłących się pożarów i spalonych ciał. Na głowie miał białą szmatę.

- Gratuluję, cesarzowo! To wspaniałe zwycięstwo! - zawołał.

– Zwycięstwo? – powtórzyła bezbarwnym tonem Laseen. – Kilku-
set Karmazynowych Gwardzistów wpadło do nas z wizytą na nie-
spełna dzień i w rezultacie połowa stolicy leży w gruzach?

– Okryliśmy się chwałą, odpierając inwazję!

– Odeszli, ponieważ zrozumieli, że nic tu nie znajdą – sprzeciwiła
się Havva.

Anand potrząsnął głową.

– Muszę przyznać, że to ochotnicza milicja ich przegnała. – Spra-
wiało wrażenie nadal zaskoczonych tym faktem. – Przepraszam cię za
to, cesarzowo. Do tej pory nie uważałem jej za siłę godną uwagi. Brak
jej formalnej struktury dowodzenia i zawodowej kadry oficerskiej.

– To zwykły motłoch – zauważył z szyderczym uśmiechem Mallick.

– W działaniach prowadzonych w mieście tłum zawsze gra decydu-
jącą rolę – sprzeciwił się Anand. – Jeśli wystarczająco wielu ludzi zbie-
gnie się ze wszystkich stron, mogą zdusić każdego przeciwnika.

– Przyjmuję twe przeprosiny, wielka pięści – odezwała się Laseen,
przerywając konfrontację. – Jaka jest liczebność milicji?

– Moi oficerowie działający na ulicach oceniają ją na dziesięć
tysięcy. I ta liczba wciąż rośnie. Codziennie zgłaszają się nowi ochot-
nicy. Przed kwatarami dowództwa ustawiają się kolejki.

– A gdzie się znajdują te sławetne kwatery dowództwa, wielka pię-
ści? – zapytał spokojnie Mallick. Jego pyzata twarz się rozpromieniła.

Anand przerwał, wyraźnie nie mając ochoty odpowiadać na to
pytanie. Zmienił jednak zdanie.

– W okolicznych gospodach – oznajmił śmiało.

– E tam! To tłuszcza, która się rozpierzchnie, gdy tylko usłyszcy
pierwszy szcęk żelaza. Cesarzowo, takie siły są bezwartościowe.
Pierwszy Miecz nie chce mieć nic do czynienia z tymi niezdyscyplino-
wanymi amatorami.

– Z pewnością ku ich wielkiej uldze – zauważył Anand. – Tak czy
inaczej, zdają sobie sprawę ze swych niedostatków. Dlatego chcą

zwerbować emerytowanych żołnierzy regularnej armii i piechoty morskiej. Jak rozumiem, z Malazu przyłynął statek pełen oficerów i sierżantów przeniesionych w stan spoczynku. Jest wśród nich sam stary Wyłam Ząb.

– Wyłam Ząb! – powtórzyła zdumiona Laseen. – Myślałam, że on nie żyje.

– Tak jak wszyscy. – Anand uśmiechnął się ze smutkiem i sympatią. – Najwyraźniej wydał nagromadzone przez dziesięciolecia oszczędności na rytuał Denul, który uczynił go twardym jak pień dębu.

– Niepotrzebnie – mruknęła Laseen, odwracając wzrok.

Mallick głośno posażał płamiste zęby.

– Wszystko to pięknie, ale potrzeba będzie miesięcy, by zrobić z nich prawdziwą armię. Nie mamy tyle czasu.

– Co ci się stało w głowę? – zainteresowała się Havva.

– Słucham?

– W głowę – powtórzyła kobieta, wskazując białą szmatę.

Mallick uniósł ręce i poprawił opatrunek.

– To przez wybuch. Spadła mi na nią lampa.

Szkoda, że nie coś więcej.

– Zostałeś ranny w obronie miasta. To bardzo szlachetne.

Oczy grubasa zmieniły się w wąskie szparki.

– A gdzie ty wtedy byłaś, Havvo Gulen? Kryłaś się w najgłębszej piwnicy Archiwum, unosząc zaostrzone gęsie pióro?

Zawsze jestem bliżej, niż ci się zdaje, Mallicku Rel.

– Zgadzam się z twoją oceną, jeśli chodzi o czas, Mallick – oznajmiła Laseen. – Kiedy spodziewamy się przybycia Pierwszego Miecza?

– Dziś wieczorem – odpowiedział Anand.

– Kiedy się zjawi, poinformujcie go, że wymaszerujemy z Unty najszybciej, jak tylko się da. Zamknij port, Anand, Skonfiskuj wszystkie statki. Pożeglujemy ze wszystkimi ludźmi, jakich mamy.

Anand pokłonił się.

– Tak jest, cesarzowo.

– My? – zapytał Mallick ironicznym tonem.

– Nie ty, rzeczniku Zgromadzenia. Czy zechcesz zostać w Uncie, by nadzorować odbudowę i obronę stolicy?

Mallick uniósł brwi. Pokłonił się nisko.

– To dla mnie zaszczyt, rzecz jasna. Będę codziennie składał ci meldunki o postępach prac.

– To może się okazać trudne, Mallick. Będę dowodziła armią.

Anand wciągnął nagle powietrze.

– Cesarzowo!

Laseen uniosła rękę, by uciszyć wszelkie sprzeciwy.

– Zdecydowałam. Musimy wyruszyć jak najszybciej.

Choć Anand był wyraźnie niezadowolony, wziął się w garść i ukłonił sztywno. Havva zrobiła to samo.

Ja również będę ci towarzyszyła. Podobnie jak Opos i większość szponów. Wyruszymy w pole, jak za dawnych czasów.

– Zbuduję w tym miejscu wspaniałą pomnik na cześć twoich przysiężnych zwycięstw – zapewnił Mallick, kłaniając się nisko.

– Zaczekaj, aż je odniosę – odparła Laseen, spoglądając nań zagadkowo.

* * *

W miejskim ogrodzie służący usuwali popiół z uginających się pod ciężarem owoców gałęzi drzew. Robotnicy tymczasem trudzili się przy rozbiórcie zawalonego odcinka ceglanego muru. Mężczyzna odziany w luźne spodnie oraz długą, pozbawioną ozdób koszulę rdzawobrazowej barwy zatrzymał się przed grządką, przyglądając się doniczkowemu kwiatowi. Jego długie czarne włosy zwisały luźno. Do ogrodu

weszła kobieta o twarzy w kształcie serca i krótko obciętych czarnych włosach. Podeszła szybkim krokiem do mężczyzny.

- To rzadki okaz, z Avalii, Kiska - rzekł, nie odwracając się. - Na szczęście nie jest uszkodzony.

- Śmierdzi - poskarżyła się kobieta, zakrywając nos.

- Jego woń imituje smród słabości. Zgnilizny i śmierci. Przyciąga muchy i inne padlinożerne owady. A potem je zjada.

- To obrzydliwe.

- Pouczające. Każdy, kto zechce poświęcić mu chwilę zastanowienia, może z tego wyciągnąć nauczkę.

- Unikaj śmierdzących roślin.

Tayschrenn odstawił z westchnieniem doniczkę.

- Masz w sobie zbyt wiele z dziecka miasta, Kiska. - Popatrzył na nią, wspierając na brzuchu opalone na ciemny brąz dłonie. - Nie mogłaś się trzymać z daleka, prawda? Pewnie powinienem był to przewidzieć.

Kiska przyjrzała się robotnikom. To byli miejscowi, wynajęci do dbania o dom Tayschrenna. Hattar sprawdził wszystkich.

- Po prostu miałam oko na wydarzenia.

- To dobrze. Widzę, że przez twój upór przeniknęła jednak odrobina mądrości. Ale na kogoś takiego jak Czepiec nie wystarczy „mieć oko”.

- Opuścił nas przez grotę.

- Którą?

- Kaptura.

Tayschrenn chrząknął.

- To do niego pasuje. Cóż więc ujrzałaś, poza daremnością i marnotrawstwem?

Kiska odrzuciła do tyłu krótkie czarne włosy, a potem przechyliła głowę i zmarszczyła brwi.

- Widziałam wielu szponów, którzy otworzyli drogę do Groty Cesarskiej, by uciec przed Zaprzysiężonymi.

- I co?

- Żaden z nich nie wrócił.

- Zaiste.

- Widziałam, jak Zaprzysiężony imieniem Amatt rozbił barykadę zbudowaną z płonących wozów i desek. Po prostu wszedł w nią i rozwalili cały odcinek. Naliczyłam siedem sterczących z niego beltów. Potem poszedł do portu, wrywając pociski po drodze. - Potrząsnęła ze zdumieniem głową. - Coś ci powiem. Wolałabym już nigdy więcej nie spotkać tych Gwardzistów.

- Masz rację. To byłoby marnotrawstwo.

- Marnotrawstwo?

Tayschrenn potarł twarz i skinał na Kiskę, nakazując jej mówić dalej.

- Przez większość czasu śledziłam kobietę szpona, czy może kogoś, kto przypominał szpona. Polowała na Zaprzysiężonych. Widziałam, jak dopadła dwóch i zabiła ich gołymi rękami. Mówiłam, że przypominała szpona, ale ich... to znaczy nasze umiejętności mają się do tego, co ona potrafi, jak rysunek dziecka do malarskiego arcydzieła.

- Zaiste.

- Była tam też inna kobieta. Wchodziła do grot i wychodziła z nich z niezwykłą swobodą. Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym.

Znieruchomiał, wpatrując się w dal.

- Naprawdę? To ciekawe...

Kiska kopnęła grządkę.

- To wszystko, co masz do powiedzenia? „Ciekawe”? Co tu się dzieje, niech to Trake przeklnie?

Ciemne oczy skierowały się na Kiskę. Długi, wygolony podbródek poruszył się nerwowo.

– Przed nami ciężka próba. Będę cię prosił o coś, co jest trudne. O okazanie umiaru. Przewiduję możliwość, że z nadchodzącej konfrontacji wyniknie chaos. Niewykluczone, że będę zmuszony działać szybko, a wśród nas jest ktoś, kto spróbuje wykorzystać tę sytuację. Rozumiesz?

Kiska pokłoniła się.

– Zawiadomię Hattara.

– Dziękuję. – Odwróciła się ku wyjściu z ogrodu. – Powiedz mi, Kiska, dlaczego nie zostałeś w Szponie?! – zawołał jeszcze za nią. – Byłabyś już teraz komendantem dłoni, a może nawet kimś więcej.

Wzruszyła ramionami.

– Uświadomiłam sobie, że zawsze pragnęłam służyć czemuś większemu niż ja. Dość szybko stało się dla mnie oczywiste, że szpony służą wyłącznie sobie. Dlaczego pytasz?

– Tak się tylko zastanawiałem – odparł wysoki mag, znowu pochylając się nad swymi roślinami.

Kiska ukloniła się po raz drugi i wyszła. Powiedział „ktoś”. No cóż, dobrze wiedziała, kogo mógł mieć na myśli. Będą musieli z Hattarem wykombinować jakiś sposób, by powstrzymać grubego, podstępного kapłana. Jeśli zaś chodzi o kobietę polującą na Zaprzysiężonych... Kiska poczuła, że przeszył ją dreszcz. Czy to mogła naprawdę być ona? Tayschrenn nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. W końcu widział ją w akcji w dawnych czasach. Wszyscy jednak najwyraźniej już zapomnieli – czy może ktoś się postarał, by uleciało to z ich pamięci – że gdy walki były najbardziej intensywne i Tancerz strzegł Kellanveda, to Gburka, mistrzyni Szponu, tropiła i eliminowała ich wrogów.

Rozdział III

Spójrz na małego kosa
W szare cętki.
Spójrz na poległych żołnierzy
W szare cętki.
Poluje na smacznego robaka
W szare cętki.
Zagląda w puste oczy
W szare cętki.

Dziecinna rymowanka Ulice Heng

A więc Żołnierz Światła ocalał, cóż jednak zwiastuje? Ereko dotykał lekko rumpla *Latawca*, spoglądając na spokojną twarz śpiącego chłopaka. Po chwili przeniósł wzrok na leżący obok miecz, schowany w pochwę i owinięty pasem. Choć broń była ukryta, jej moc przerażała olbrzymia. Była zbyt potężna, by mogła nią władać jakakolwiek istota świadoma jej potencjału. Dlatego przypadła w udziale niewinnemu młodzieńcowi. Być może oręż tylko pozwalał, by Kyle go nosił. Ereko wiedział jedno: z pewnością nie ośmieli się go dotknąć. Wrócił myślą do niebezpiecznego spotkania na plaży i wydyszał modlitwę dziękującą Bogini Matce za to, że nie doszło do aktów przemocy. Ten oręż dorównywał broni Wędrowca, choćby tylko swą szczególnie silną wolą. Natomiast ludzie z Assail skrywali tajemnice, które nigdy nie powinny były opuścić ich ojczyzny. Wstał i spojrział w spokojne, błyszczące oczy Wędrowca, siedzącego na drugim końcu stateczku. A co z tobą, przyjacielu? Dlaczego z każdą pokonaną miłą boję się o ciebie coraz bardziej? Podejrzewam, że najgorsze jeszcze przed tobą. Dlaczego więc zgromadziłeś w sobie tak wielkie skupisko straszliwej mocy i złowrogiej historii? Czy jesteśmy twoją eskortą, przyjacielu, czy może to ty eskortujesz nas? Któż może to wiedzieć poza Czaro-

dziejką i Królową Snów, T'riss, która w łuku swej wizji mieści wszystkie nasze czyny?

Chłopak poruszył się, przeciągnął i obudził, mrugając w blasku porannego słońca.

– Śpij – powiedział do niego Ereko.

Kyle potarł powieki.

– Ostatnio nie robię nic innego. – Pomasaował rękę w miejscu, gdzie olbrzym naprawił zerwane więzadła i rozszarpane mięśnie za pomocą Wielkiej Denul. – A co z tobą? Siedzisz przy rumplu dniem i nocą. Nie chcesz odpocząć?

Ereko się uśmiechnął.

– Nie, chłopcze. Jestem już tak stary, że sen i jawa zlewają się dla mnie w jedno i nie potrafię odróżnić, w którym z nich przebywam.

Chłopak miał wyraźne trudności ze zrozumieniem sensu tej wypowiedzi. Ereko zmienił lekko kurs, by ominąć majaczącą przed nimi iglicę lodu.

– Naprawdę? Jesteś aż tak stary? – zapytał wreszcie Kyle. – Jak te góry?

Olbrzym uniósł brwi.

– Bogowie, nie. Nie aż tak. Tylko gdzieś z połowę tego.

Chłopak nakrył się kocem, zerkając z ukosa na Ereka, jakby chciał ocenić jego prawdomówność. Uniósł niepewnie podbródek, wskazując usiane lodem fale.

– Co to za światło na południu?

Ereko nie odwrócił wzroku. Rytuał nadal zachował moc zdolną sprawiać ból!

– To bładoniebieskie?

– Tak.

– To wielkie pole lodowe, Kyle. Jest bardzo niebezpieczne. Ten, kto tamtędy wędruje, może przypadkiem znaleźć się w obcym królestwie, gdzie panuje wieczny chłód. To ojczyzna innej rasy.

- Czy to góry lodowe? - zapytał chłopak, wskazując największą z tych, które przepływały obok: ciemnoszafirową wyniosłą iglicę. Wiatr i woda wyrzeźbiły w niej potężne łuki oraz ostre krzywizny.

- Tak. Dzieci pola lodowego. Odrywają się od niego i wędrują po morzach. Niektórzy powiadają, że każda niesie w sobie maleńką cząstkę mocy przykuwającej lód do tego świata. Dlatego nie maleją z upływem wieków.

- Dobrze, że mamy tu tyle lodu.

- A dlaczego?

- Zaczyna nam brakować wody.

- Pożogo broń, chłopcze! Nie wolno dotykać tego lodu!

- A dlaczego?

- Dlaczego... - Ereko pochylił głowę, ścisząc głos. - Czy mnie nie słuchałeś? Czy twoje plemię o wszystkim zapomniało, chłopcze? Nie wiecie, że taki lód to dzieło Jaghutów?

Chłopak odwrócił wzrok.

- Słyszeliśmy o nich.

- Tak. Jesteście ich wrogami, choć oni nie są waszymi. Tak czy inaczej, tego rodzaju pola lodowe na lądzie i morzu stanowią szczytowe osiągnięcie ich sztuki. To Omtose Phellack skryształizowana w naszym świecie. Wasz lud rozprzestrzenił się po lądzie i morzu w wielkich migracjach. Te pola stworzono jako bariery dla waszej ekspansji. Mijamy właśnie pozostałości jednego z nich.

- Skąd to wszystko wiesz? - zapytał Kyle z typową dla młodości bezpośredniością.

- Widziałem, jak to się stało.

Prychnięcie potwierdziło, że chłopak mu nie wierzy. Ereko spodziewał się takiej reakcji. Przesunął się, zajmując wygodniejszą pozycję, i skrzyżował ręce na rumpku.

- Opowiem ci historię. - Kyle nie odzywał się ani słowem, Ereko zauważył jednak, że człowiek z Assail, Skradacz, skierował ucho

w jego stronę. – Czy nie wiesz, że Pradawna Noc, Kurald Galain, ma własne dzieci, Tiste Andii? A co ze światem, z jego rozlicznymi rasami i istotami? Kim są jego dzieci? Może to tak zwane „rasy założycielskie”? A może jakiś inny gatunek ma prawo się uważać za prawdziwe dzieci Ziemi? Osobiście sędzę, że termin „założycielskie” odnosi się do tych ras, które stworzyły cywilizacje albo społeczeństwa znające pismo i narzędzia, czy to proste krzemienne noże, czy skomplikowane mechanizmy K’Chain Che’Malle. Tak czy inaczej, pytanie brzmi: czy którąś z tych ras można zwać dziećmi Ziemi? Rzecz jasna, do pewnego stopnia wszystkie nimi są. Każda istota z krwi, kości i mięśni czerpie z Matki Ziemi. Tylko Najstarsi, jestestwa wywodzące się z pradawnych epok, zrodzone z czystej energii, jak niektórzy mówią o pradawnych bogach czy Eleintach, tych, których zwiecie „smokami”, mogą zachować odrębność od niej. Pomijając podobne istoty, co z Thelomenami, Toblakai, Teblorami albo Trellami? No cóż, wszystkie te plemiona wywodzą się od wspólnych przodków. Od pierwszych dzieci Ziemi. Mojej rasy. Zwaliśmy się Thel Akai, Ci, Którzy Mówią.

– Niezła opowieść – odparł Kyle, po raz kolejny demonstrując bezzwrotną niewinność młodości.

Ereko wzruszył ramionami.

– Och, tak, mogę kłamać albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, mogły mnie wprowadzić w błąd wspomnienia wypaczone z upływem wieków. Pamiętam jednak te czasy. Byłem tu, gdy izolowane ośrodki waszej cywilizacji rozkwitły na Jacuruku. Przypuszczam też, że pomógł wam mój lud, choć nie będę twierdził, że to my daliśmy wam cywilizację, jak niektórzy Jaghuci przypisują sobie tę zasługę. Nie, doradzaliśmy wam tylko i wspieraliśmy was. Tak czy inaczej, po pewnym czasie pojawił się wielki wódz. Człowiek obdarzony geniuszem i wypełniony żądzą podbicia wszystkich otaczających państw. Nie byliśmy wojowniczym ludem, nawet w najmniejszym stopniu, ale włączyliśmy się do walki przeciwko niemu. Staliśmy się głosem sprzeciwu i wspieraliśmy jego nieprzyjaciół. Za to zasłużyliśmy sobie na

jego wieczną wrogość. Poprzysiągł zetrzeć nas z powierzchni Ziemi. Prawie mu się udało. Z całego ludu zostałem tylko ja.

– Przykro mi – wydyszał Kyle. Gapił się w dal, na odbijający się od lodu blask świtu. Erekowi miało wrazenie, że chłopak zasypia.

– Dziękuję. Od tego czasu twoja rasa na ogół traktowała mnie dobrze.

– Kim był ten wódz?

– Kim był? Ach tak. Został królem, oczywiście. Z czasem nawet jego pobratymcy mieli dość okrucieństwa swego władcy i spróbowali się od niego uwolnić. Ściągnęło to na świat straszliwe cierpienia, ale to za długa historia, by opowiadać ją teraz. Powiedzmy tylko, że przyjął tytuł wielkiego króla. Jego prawdziwe imię brzmiało Kallor.

Skradacz usiadł, wspierając długie przedramiona na skrzyżowanych nogach.

– Kallor? Słyszałem to imię.

Erekowi wzruszył ramionami.

– Z pewnością nie on jeden je nosi.

– Mówili o nim w Gwardii. Był sojusznikiem Brooda w walce przeciwko Malazańczykom na Genabackis. Jego również zwano „wodzem”.

Olbrzym ponownie wzruszył ramionami.

– Świat widział już zbyt wielu wodzów.

* * *

Toc Starszy przykucnął, wziął w rękę garść ciemnej, żyznej periowej gleby i roztarł ją w dłoniach, a potem unióś do nosa, wdychając intensywną woń humusu. Bez względu na to, co przyniesie ten rzut kości, sukces czy porażkę, cieszył się, że zobaczy to tutaj, w swej przybranej ojczyźnie. Pobłogosławi w podzięce za ten dar Wiatr, Ziemię i starożytnie duchy krainy. W młodych latach – nie był pewien, w której dokładnie chwili to się stało – zakochał się w tym równinnym krajo-

brazie. Wiedział, że niektórzy uważają go za pustą i posępną – wielu ludzi w Tali, w Uncie, a nawet w Heng, u samych wrót tej krainy, zwało ją Wielką Pustynią Centralną. Jemu jednak nie wydawała się pusta. Dostrzegał w niej złowrogi, lecz pociągający splendor. Uważał, że właśnie dlatego tak wielu jej nie lubi. Prawda wyglądała tak, że była po prostu za duża dla małych ludzi.

Wstał, przeciągnął się i skinął głową do czekających atamanów oraz kurierów. Choss czekał na niego przy wejściu do namiotu dowodzenia. Uściskali się na przywitanie.

– Prawie wszyscy znowu jesteście razem – rzekł Choss, uśmiechając się pod gęstą, złotordzawą brodą.

– Prawie.

Toc przywitał atamanów i wszyscy położyli się na kocach umieszczonych w namiocie. Krążyły między nimi tace ze słodyczami i podłomykami.

– Najpierw... – zaczął Toc, zanurzając dłonie w misce z wodą – ... chciałbym podziękować zebranych atamanom za zaufanie i zaszczyty, którymi raczyli mnie obdarzyć. W drugiej kolejności chciałbym was przeprosić, że mury Heng jeszcze stoją.

Wszyscy atamani przemówili jednocześnie, zapewniając, że nie ma powodu przeproszać. Ataman Ortal ze Zgromadzenia Czarnych Fretek uniósł rękę, by uciszyć pozostałych.

– Wodzu, od samego początku było oczywiste, że nie zdobędziemy miasta natychmiast. Prosiłeś, byśmy zaczekali na przybycie sojuszników. Są już na miejscu i nie musimy czekać dłużej. Zaatakujemy razem.

Toc wymienił się spojrzeniami z Chossem, przesunął się i wziął sobie garść winogron.

– Chciałbym, żeby to było takie proste, Ortal. Nasi sojusznicy z Tali przyprowadzili wielu ludzi, ale to nie wystarczy, by zdobyć Heng.

Spojrzenie przesunęło się na Chossa.

– Nie wystarczy? – powtórzył Ortal. – W takim razie po co w ogóle przybyliście? Wytłumacz.

– Prosimy o jeszcze trochę cierpliwości – odpowiedział Choss z grymasem niezadowolenia. – Nadejdzie więcej ludzi.

– Więcej? A skąd? – zapytał ataman Zgromadzenia Równinnych Lwów, Redden Złamana Noga. – Każecie nam czekać. To wasza odpowiedź na wszystko. Skąd mogą przybyć ci wojownicy? W waszych krainach nie ma ich już więcej. Możecie mieć tyle mężczyzn i kobiet, ile źdźbeł trawy, ale to zda się na nic, jeśli nie będzie w nich woli walki.

Pozostali atamani zakrzyknęli jednocześnie, w ostrych słowach wyrażając dezaprobatę. Toc uniósł rękę, chcąc przemówić...

– Czy mogę... Redden, twoje słowa są mocne, ale ich wysłuchałem. Czy pochodzą od ciebie, czy też przemawiasz w imieniu innych głosów, które sprzeciwiają się naszemu sojuszowi?

Wszyscy spojrzeli na Reddena. Ataman wzruszył ramionami, grzebiąc patykiem w nagiej ziemi.

– Po prostu mówię otwarcie to, co inni ośmielają się powiedzieć tylko swym Dłoniom.

– A mianowicie? – zapytał Toc.

– Są tacy, którzy słyszeli obietnice wspaniałych łupów, ale nie zdobyli żadnych. Którym obiecano honor zdobyty w walce, a okryli się hańbą, zabijając kobiety i dzieci. Którzy widzą, że krew Seti przelewa się dla zaspokojenia ambicji cudzoziemców... tak samo jak w przeszłości.

– Dzikus ze wzgórz – odezwał się z szyderczym uśmiechem Imotan, szaman Białych Szakali, siedzący z boku ze skrzyżowanymi nogami.

Redden skinął głową.

– Tak. Dzikus. On się sprzeciwia wszelkim sojuszom. – Spojrzał na Toca. – Zwłaszcza z Malazańczykami.

– Już dawno powinno się go zabić – warknął Imotan.

- Możesz spróbować - odparł Redden, wruszając ramionami. - Wkrótce tu przyjdzie.

Twarz szamana pociemniała.

- Gdzie? Tutaj?

- Tak. - Patyk nakreślił w ziemi głęboką linię. - Wezwał do siebie wszystkich wojowników. Niektórzy mówią, że chce rzucić wyzwanie wodzowi...

- Z którego jest zgromadzenia? - zapytał Toc.

- Kto to wie? - odparł Redden, wruszając ramionami. - Wyrzekł się podobnych więzi. Zwie je łańcuchami pętającymi umysł i ciało.

Przez krótką chwilę nikt się nie odzywał. Toc potrząsnął głową.

- Chciałbym, żeby to było takie proste. Niestety nie można się odwrócić plecami do świata. On nigdzie nie odejdzie. Musicie się przystosować do zmian albo pozwolić, by was pochłonęły. Tak czy inaczej... - pokłonił się Reddenowi - ...dziękuję, przyjacielu, że przyniosłeś nam te wieści. Mamy teraz o czym myśleć. Proszę was o jeszcze trochę cierpliwości i zapewniam, że wielu dodatkowych ludzi jest już blisko. Bardzo blisko. Wystarczająco wielu, by zdobyć Heng. Wkrótce się zjawia.

Pokłonił się obecnym i wszyscy odwzajemnili mu się tym samym.

* * *

Po wymianie uścisków i zapewnień o wierności Toc został w namiocie sam z Chossem oraz Imotanem, szamanem Białych Szakali. Zapadała już ciemność i służący zapalili lampy. Toc wsłuchał się w granie polnych świerszczy.

- Co jeszcze wiemy o tym Dzikusie? - zapytał Imotana Choss.

Szaman lekceważąco machnął szponiastą dłońią. Wykrzywił w niesmaku ogorzałą od słońca twarz.

- Bardzo niewiele. Nazywają go tak, ponieważ wyszedł z lasu. Ponoć jest owłosiony jak dziki bhederin.

Choss nalał sobie kielich wina.

- Tego tylko nam potrzeba. Jakiegoś wojowniczego proroka potępiającego wszelkie kontakty z cudzoziemcami. Moim zdaniem on tylko zaszkodzi Seti, Imotan. Na co liczy? Chowając głowę w piasek, zapraszacie cały świat, by ugryzł was w dupę.

- To barwne, ale trafne - poparł go Toc. Popatrzył na Imotana, opuszczając w zamyśleniu kąciki ust.

- Być może wskazane by było zademonstrowanie ducha bojowego. Powinniśmy się skontaktować z naszymi ludźmi w Heng. Skoordynowany, dobrze wymierzony atak...

- Byłby marnotrawstwem zasobów - przerwał mu Choss, machając lekceważąco kielichem.

- Raczej inwestycją w poprawę stosunków.

- Cholernie kosztowną.

- Ale moim zdaniem wskazaną.

Choss uniósł, a potem opuścił krzaczaste brwi. Podrapał się w zamyśleniu po brodzie.

- Dobra, coś zmontuję.

- Świetnie. - Toc wstał. - A więc skończyliśmy?

Imotan chrząknął i wstał z wysiłkiem.

- Jestem już chyba za stary na takie długie rozmowy.

Choss podsunął mu ramię, ale staruszek machnął ręką.

- A co z tobą? - zapytał szamana Choss. - Sądziłbym, że opowiesz się po stronie tego Dzikusa.

Stary szaman pokiwał głową.

- Och tak, zgadzam się z większością tego, co ma do powiedzenia... jest jednak pewien szczegół. Duchy naszego ludu nie darzą go sympatią. Szepczą do mnie, że musimy oblec Heng. Dlatego jestem

w tej sprawie waszym sojusznikiem. Rzucę do walki z Dzikusem wszystkie swoje zasoby.

– Rozumiem. Dziękuję.

– Nie dziękuj mi, Choss. To tylko przypadek. Równie dobrze mogliśmy być wrogami.

Wyszedł z uśmiechem z namiotu i otoczyli go strażnicy w białych płaszczach.

Choss i Toc uścisnęli sobie ręce.

– To mnie bardzo uspokoiło...

– Zawiadam mnie, jak już coś zaplanujesz.

– Jasne.

Choss opuścił namiot i przywołał skinieniem swych ludzi. Toc uniósł podbródek, wskazując mężczyznę w wysadzonej ćwiekami skórzanej zbroi, poczernianym, żelaznym hełmie i długiej koleczej koszuli. U jego pasa wisiały dwie bliźniacze szable o rękojeściach z kości słoniowej. Mężczyzna podszedł do Toca i się pokłonił.

– Słucham?

– Kapitanie Mech, słyszałeś o tym Dzikusie?

– Słyszałem.

– Kim on jest? Gdzie przebywa? Wytrop go i przekaż mi, czego się dowiesz.

Kapitan Mech zasalutował.

– Tak jest – odrzekł i ruszył truchtem w dół łagodnego stoku. – Na koń! – zawołał po drodze do ludzi ze swego szwadronu.

Toc zatrzymał się na chwilę u wejścia do namiotu, oddychając nocnym powietrzem. Dawała się w nim wyczuć nuta smrodu Li Heng. Miasto było plamą blasku widoczną na wschodnim horyzoncie. Toc uśmiechnął się. On, człowiek zrodzony w bezimiennym przysiółku w Bloor, zwał prerię Seti swym domem i potępiał miasta jako cuchnące kloaki. Zmarszczył nos... rzeczywiście śmierdziało gównem. Podejrzewał, że zbyt długo przebywał z dala od ludzkich osad. Miał

wrażenie, że czuje też woń odległego zagajnika sosen. Żywica gęstniała. Zbliżała się jesień. Nie mieli wiele czasu.

* * *

Było gorzej niż w najbardziej pesymistycznych przewidywaniach Czepca. Gdy tylko znaleźli się w grocie, musiał natychmiast wznieść najpotężniejsze osłony, na jakie było go stać. Nawet teraz, gdy nie był już odsłonięty, czuł wściekłą energię atakującą stworzoną przez niego barierę. Jeśli przeżre się na drugą stronę, on i Oprawca nie przeżyją nawet przez jedno uderzenie serca. Znajdowali się na najdalszych rubieżach Thyr, w zasięgu Kurald Liosan, Pradawnego Światła, niedostępnej i znacznie bardziej niegościnniej od innych pradawnych grot.

Przykucnęli obaj w cieniu wewnątrz wąskiej, głębokiej rozpadliny w spieczonej, spękanej ziemi. Po oślepiająco białym niebie nad ich głowami przesunęły się zasłony i wstęgi energii. Czepiec odnosił wrażenie, że niemal słyszy ich śpiew.

– Wolisz to od Chaosu? – warknął Oprawca.

– Wolałem zaryzykować przeprawę przez to, tak.

– Jesteś zbyt ostrożny. Dlaczego nie Cień albo Tellann?

– Tam jest zbyt wielki tłok. Wszędzie pełno oczu. Tu oczu nie ma.

Wskazał ręką przed siebie i powlekli się dalej z wysiłkiem, krzywiąc się z bólu pod naporem szalejącej burzy energii.

– Jak to nie ma?

– Nie czujesz tego? To dzikie, opuszczone miejsce. Nie kieruje nim żadna obecność.

– A co z Ojcem Światłem?

Czepiec osłonił twarz ramieniem.

– No cóż, jeśli musisz się cofać do pierwszego poruszyiciela, wyjściowej przyczyny, to tak, on zapewne jest tu obecny. – Oslepiiony mag zacisnął powieki. – Choćby tylko duchem.

- Nie ufam temu miejscu. Słyszałem, że powietrze tutaj jest zatrute. Że ci, którzy tu przybywają, umierają potem z tego powodu.

- To nie powietrze ich zatrzuwa - odparł Czepiec, skracając w prawo. Rozpadlina uchodziła tu do innego, szerszego kanału. - Tędy.

- Mówiłeś coś o tłoku? - odezwał się Oprawca.

Mag się odwrócił. Jego towarzysz wskazywał suchą powierzchnię kanału. Ścieżka. Na śmiech Bliźniaków! Jak mógł to przeoczyć? Niech to szlag. Skinął na Oprawcę, nakazując mu ruszać dalej.

Szli kanałem przez pewien czas. Nie był, rzecz jasna, pewien, jak długo to trwało. Nie było tu wschodów i zachodów słońca ani żadnych naturalnych zmian we wstęgach i koronach energii rozbłyskujących na niebie. W końcu dotarli na miejsce. Instynkt podszeptował mu, że może tu zapanować nad gorejącą mocą i stworzyć bramę. Nagle jednak drogę zagroziły im cztery postacie.

Zaskoczony Czepiec stanął jak wryty. Rzecz jasna, w tym nieprzyjawnym królestwie nie mógł polegać na swych udoskonalonych zmysłach i wzmocnionej zdolności postrzegania. Nieznajomi mieli na sobie pociągnięte białą emalią zbroje, pokryte grubą warstwą pyłu, a także jasnożółte płaszcze. Rysy ich twarzy przypominały mu Tiste Andii, ale ich długie, niezwiązane włosy były białe. Jeden z mężczyzn warknął coś w jakimś obcym języku. Czepiec odpowiedział mu gestem, że nie rozumie.

Drugi mężczyzna machnął ręką i rzecznik podjął kolejną próbę.

- Teraz rozumiesz, robaku?

Czepiec pokłonił się płytko.

- Witajcie, czcigodni Liosan.

- Oddajcie broń i zbroje, intruzi. Jesteście naszymi niewolnikami.

Mag spojrział na Oprawcę. Żelazny hełm, poczerniany, ale błyszczący, jak wyczyszczony piaskiem, całkowicie zasłaniał jego twarz, Czepiec potrafił sobie jednak wyobrazić uniesione brwi towarzysza. Oprawca nakazał mu gestem się odsunąć i ruszył w stronę Liosan.

Być może nie zrozumieli, co się dzieje, albo nie potrafili tego zaakceptować, ale pierwsi dwaj spróbowali wyciągnąć broń dopiero w chwili, gdy Oprawca był już blisko. Kiedy najbliższy z nich sięgnął po rękojęć, dowódca Zaprzysiężonych po prostu złapał go za rękę i cisnął nim o ścianę parowu. Z góry posypały się kawałki spieczonej gliny, ostre jak skorupy wypalone w piecu garncarskim. Drugi, uderzony na odlew, runął na przeciwległą ścianę. Obaj osunęli się nieprzytomni na ziemię. Dwaj pozostali zdążyli wyciągnąć miecze i unieśli białe trójkątne tarcze. Oprawca szedł ku nim, nadal nie wyciągając broni. Pierwszy Liosan ciął zakrzywionym kremowym orężem w opancerzone przedramię Zaprzysiężonego. Klinga rozprysła się na drobne kawałki. Liosan gapił się na to ze zdumieniem i niedowierzaniem. Oprawca uderzył pięścią w jego tarczę. Cios przewrócił mężczyznę na plecy, ogłuszając go. Ostatni Liosan ciął mieczem w pierś Zaprzysiężonego, ale klinga po prostu odbiła się od lśniącej ciemnokarmazynowej zbroi. Oprawca zdzielił go w skrytą pod hełmem skroń. Liosan zatoczył się i padł na ziemię. Oprawca przeszedł nad nim, nie zatrzymując się. Czepiec podążył za nim, nawet nie patrząc pod nogi.

* * *

Po pewnym czasie jeden z Liosan usiadł z wysiłkiem. Zerwał z głowy hełm i rzucił go na ziemię.

– Bracie Eniasie, niebezpiecznie zbliżam się do utraty wiary.

Drugi Liosan również usiadł. Kasłał, trzymając się za obolałą pierś.

– Trzymaj się jej, bracie Jorrude. Czyż nie są to próby jej siły?

– Nie mogę przemawiać w twoim imieniu, bracie Eniasie, ale dla mnie okazały się bardzo trudne.

Dwaj pozostali Liosan jęknęli i Jorrude pomógł im wstać.

– Kim oni byli? – zapytał Eniasa.

– Nie wiem. Nadal są ludźmi, ale wyczułem w nich woń Ślubów, paktów i patronatu. Wystarczy, że znieważyli nas, przechodząc tędy

bezkarnie.

– Musimy za nimi podążyć! Wymierzyć im sprawiedliwość! – zawołał trzeci.

Jorrude uniósł hełm i strzepnął z niego pył.

– Być może lepiej by było kontynuować naszą misję... Co ty na to, bracie Eniasie?

– Zgadzam się, bracie Jorrude. Choć wymierzenie sprawiedliwości byłoby bardzo satysfakcjonujące, nie możemy zapominać o naszej misji. Ojciec Światło odwrócił od nas twarz, bracia! Jakies uchybienie ze strony nas albo naszych przodków doprowadziło do zerwania więzi. Musimy znaleźć sposób, by znowu przyciągnąć do nas ciepło jego spojrzenia. – Brat Enias poprawił zbroję, krzywiąc się z bólu. – Oto nasz cel!

– Tak, bracie Eniasie – wyrecytowali trzej pozostali.

* * *

Czepiec zczekał, aż oddalą się na wystarczającą odległość od Liosan – strażników, wędrowców takich jak oni, czy kim tam właściwie mogli być – nim zdecydował się podjąć próbę opuszczenia Thyrllan. Nie cieszył się na tę myśl. Wypełniająca tę grotę energia była tak nieokiełznana, że próba zapanowania nad nią będzie wymagała pełni jego umiejętności.

Wyginał już urękawicznione dłonie, gdy Oprawca zatrzymał się nagle.

– Patrz, Czepiec. Co to jest?

Mag spojrział przed siebie, a potem w górę. Tuż nad wąską szczeliną żlebu wznosiła się ceglana wieża barwy ochry. Wytrzeszczył oczy.

Wielka Matko Ciemności, kto mógłby...

Pośpiesznie schował się za skałę.

– Powinniśmy stąd zniknąć. Natychmiast.

Oprawca uniósł zakutą w stalową rękawicę dłoń i z roztargnieniem pokiwał palcem na maga.

– Nie sędzę. To pobudziło moją ciekawość.

– Nie oszukuj się. Można tu spotkać jestestwa znacznie potężniejsze niż ci Liosan.

– Chodźmy więc spotkać te wielkie moce.

– Oszalałeś? Spróbuję zaraz nas stąd zabrać.

Oprawca wskazał palcem wieżę.

– Nie. Będziesz mi towarzyszył, na wypadek gdybyś okazał się potrzebny.

Zaprzysiężony wielki mag umilkł, głaszcząc sieć perłowych blizn pokrywającą mu szyję.

Nasz Oprawca zrobił się jeszcze bardziej władczy niż w czasach, gdy nas opuścił. Niemniej już wtedy był potężny, a wygląda na to, że tajemnicza Ardata nasyciła go jeszcze większym potencjałem. Dlaczego to zrobiła, a potem najwyraźniej spokojnie pozwoliła mu odejść? Kryje się w tym jakaś wielka tajemnica. Być może warto by było...

Machnął ręką na znak zgody.

* * *

Badali okolicę przez pewien czas, ale nadal nie mogli znaleźć żadnej drogi wejścia do wieży. Wyglądało na to, że ten, kto ją zbudował albo w niej mieszkał, nie potrzebował osłoniętych ścieżek, jakimi inni wędrowcy musieli się poruszać przez tę śmiercionośną część grotty. To jedno wystarczyło, by jedwabna koszula Czepca przesiąkła zimnym potem. Musieli też się zatrzymać, by mógł odnowić wielowarstwowe osłony, jakimi ich otoczył. Potem Oprawca wybrał ścianę najpłytszego parowu i wybił w niej dziury mogące posłużyć jako uchwyty. Czepiec czekał z odwróconą twarzą. Z góry sypał się nań suchy, gliniany pył.

Oślaniał oczy dłonią, aż wreszcie jego niepowstrzymany dowódca dotarł niemal do samego szczytu. Potem zaczerpnął głęboko tchu i zaczął się wspinać na rozsypującą się ścianę. Lekkie dotknięcie mokasynem, zręczny uchwyt za sterczący kamień i po chwili był już na górze, jakby tam wleciał.

Oprawca wgramolił się na szczyt i wyprostował. Chrząknął na widok stojącego przed nim Czepca.

– Pewnie nie możesz... – zaczął, wskazując na siebie.

– Nie mogę.

Ich oczy ujrzały martwy krajobraz pełen głębokich cieni i oślepiającego blasku. Pulsująca energia była jak dłoń odpychająca Czepca do tyłu. Jej ryk niemal wykraczał poza granice możliwości jego słuchu. Mag odwrócił głowę i popędził w stronę wieży. Oprawca podążył za jego przykładem. Nawet on garbił się pod naporem przeraźliwej zorzy. Czepiec dotknął ceglanego muru i oparzył koniuszki palców.

– Chyba nie zamierzasz wchodzić do środka?! – zawołał.

– Pewnie, że tak. A ty pójdziesz ze mną.

W końcu Czepiec go posłuchał, choćby tylko po to, by uniknąć haniebnego wciągnięcia za pas. Znaleźli otwór prowadzący na pusty parter oraz wiodące na górę schody. Wszystko tu zbudowano z takich samych cegieł, wypaczonych przez nieubłagany żar. Oprawca ruszył na górę pierwszy. Ceglane schody trzykrotnie obiegły wieżę, nim wreszcie dotarły do pustej, okrągłej komory nakrytej dachem. Było tam tylko jedno, szczelinowate okno wychodzące na Kurald Liosan. Obaj mężczyźni trzymali się blisko ściany, nie ufając promieniowi jaskrawego blasku przeszywającemu środek pomieszczenia. Czepiec zauważył, że drobinki pyłu wpadające w promień natychmiast zamieniają się w obłoczki dymu. Oprawca skrzyżował ręce na piersi.

– Co na ten temat sądzisz?

– To pewnie stacja badawcza albo wieża służąca do obserwacji lub komunikacji.

Oprawca chrząknął.

- Skoro tak mówisz. W takim razie spróbujemy się skomunikować.
- Chyba nie masz zamiaru...
- Mam.

- Nie wiemy, co się stanie!

Oprawca znowu wyciągnął skryty w pancernej rękawicy palec.

- Zaiste, Czepiec. Dlatego właśnie triumf zawsze ci się wymyka. Nigdy nie wiemy, czy możemy czegoś dokonać, dopóki tego nie zrobimy.

Stanął przed szczeliną okna i jego oponczę natychmiast ogarnęły płomienie. Oprawca znowu chrząknął, tym razem z bólu, i odwrócił głowę, kierując szczelinę hełmu w bok. Moc była tak wielka, że cofnął się o krok, pochylając się jak na silnym wietrze.

- Widzisz coś?! - ryknął.

Mag spróbował wysłać w tamtym kierunku swą świadomość, ale to było tak, jakby próbował pchać łódź pod prąd bystrej rzeki. Niemniej wyczuł coś... coś bardzo potężnego... co było coraz bliżej...

- Coś się zbliża!

Strumień mocy przesłoniła jakaś sylwetka. Obecność. Wydawało się, że unosi się tuż przed oknem. Czepiec przymrużył powieki i osłonił oczy dłonią. Najpierw wydawało mu się, że widzi wijącego się, ciągle zmieniającego postać węża, potem skrzydlate jestestwo, na koniec zaś kulę skłębionych płomieni. Cokolwiek to było, najwyraźniej nie miało stałej postaci.

- *Kim jesteś?* - zabrzmiała myśl tak potężna, że wypełniła echem komnatę.

- Jestem Oprawca. Zaprzysiężony z Karmazynowej Gwardii. A ty...

- *Te tytuły nie mają znaczenia. Nie jesteś nim, to oczywiste.*

- Kim... - zaczął Oprawca, ale wieżą wstrząsnął nagły wybuch.

Potężna, nieokiełznana moc wdarła się do środka przez szczelinę okna, obalając Czepca na podłogę. W pozbawionym wilgoci powietrzu zawirował pył suchy jak śmierć. Promień światła powrócił. Mag podniósł się ostrożnie. Kaszlnął, próbując przeniknąć wzrokiem tumany

ceglanego pyłu. Nagle usłyszał jęk dobiegający z tyłu komnaty. Leżący pod ścianą Oprawca podniósł się z wysiłkiem. Rozbite cegły posypały się na podłogę. Zaprzysiężony strzepnął z siebie czarny pył pozostały po oponczy. Hełm zwrócił się w stronę Czepca.

– Chciałeś coś powiedzieć. Potrafię to wyczytać z twojej twarzy.

Mag dotknął ręką szyi, starając się powstrzymać uśmiech.

– Gdybym chciał coś powiedzieć, Oprawca, to pewnie tylko to, że sam się o to prosiłeś.

Z ust wodza Zaprzysiężonych wyrwało się przeciągłe warknięcie.

* * *

Przez całą drogę do Złotych Wzgórz porucznika Rillisha otaczała skłębiona horda wickańskiej konnicy. Wszystkim dano wierzchowce. Wracił już do zdrowia i był w stanie dosiąść konia, nawet jeśli sprawiało mu to ból. Chłopcu przydzielono potężny wóz, coś w rodzaju jurty na kołach. To on stanowił teraz ośrodek masy wrzeszczących i śpiewających jeźdźców.

– Co oni wykrzykują? – zapytał Rillish sierżanta Żyłkę na początku drogi.

– Hmm, poruczniku, najwyraźniej uważają, że w tym chłopcu żyje duch odrodzonego Coltaine’a.

Rillish był pod wrażeniem. Coltaine. Wódz ostatniego powstania Wickan przeciwko malazańskiej władzy. Dzięki negocjacjom został jednym z najgroźniejszych dowódców imperialnych wojsk i zginął, walcząc z rebelią w Siedmiu Miastach, choć niektórzy twierdzili, że w rzeczywistości to on stał na czele buntu. Od rozmowy z Żyłką minęły już cztery dni. Porucznik miał czas zastanowić się, czy to może być prawda. Chwila wydawała się podejrzanie korzystna. Nul i Nadir zdaje się wierzyli w to bez zastrzeżeń. Po zastanowieniu Rillish doszedł do wniosku, że nie ma prawa osądzać ich przekonań. Nie był Wickaninem. Co prawda, nie uważał, że wszystkie praktyki innych

ludów należało akceptować. Na przykład niewolę kobiet. Wśród wielu ludów tradycyjnie nie dopuszczano ich do sprawowania władzy. Wszystko pięknie, dopóki nie zapomniano, że taka „tradycja” w rzeczywistości jest tylko inną postacią niewolnictwa.

Postanowił więc, że uwierzy w tę opowieść, zlekceważy głos drwiącego sceptycyzmu, powtarzający, że jest ona dziwnie korzystna dla niego.

Po pięciu dniach wędrówki przez głębokie, kręte jary i przechodzenia w bród wartkich, kamienistych strumieni dotarli do wysokiego, rozległego płaskowyżu, upstrzonego skupiskami jurt oraz stadami koni. Jeźdźcy wydali długi, radosny okrzyk wojenny. Z licznych obozów dobiegły w odpowiedzi jęklive śpiewy. Młodzieńcy krążyli między obozami a kolumną, unosząc włócznie. Niektórzy stawali na końskich grzbietach, inni zaś zeskakiwali na ziemię i biegli obok wierzchowców, trzymając ręce w ich grzywach.

– Będiesz miała z nimi mnóstwo roboty – powiedział Rillish do Nadir, która akurat jechała u jego boku. Przeszła go długim, zdziwionym spojrzeniem, a potem popędziła wierzchowca, zaciskając kolana na jego bokach.

Dla Rillisha i jego oddziału rozbito odrębny obóz. Porucznik zajął się jego organizacją, w towarzystwie sierżanta Żyłki.

– Co o tym sądzisz, poruczniku? – zapytał Żyłka, gdy obserwowali trudzących się żołnierzy.

Niektórzy rozbijali namioty, inni zaś wznosili imitacje jurt z koców i płaszców rozłożonych na szkieletach z gałęzi. Rozpalono ogniska, a w glinianych garnkach nad ogniskami gotowała się woda.

– Nie mam pewności, rzecz jasna. Zapewne uda się zorganizować coś w rodzaju armii. Nie ulega wątpliwości, że zamierzają zaatakować najeźdźców.

Rillish zauważył spojrzenie żołnierki, która pomogła mu uciec z fortu. Pozdrowił ją skinieniem głowy. Zasalutowała, uśmiechając się szeroko.

- Jak ona właściwie się nazywa, Żyłka? - spytał idącego obok sierżanta.

- Ach, to będzie kapral Talia, poruczniku. Jest instruktorem szermierki. Chłopaków gównem obchodzi technika. Myślą, że silna ręka i twardy łeb pozwolą im wygrać każdą walkę. Ale dziewczyny rozumieją, że tylko ona może im zapewnić przewagę.

- Masz rację, Żyłka. Dziękuję.

- Może udałoby się urządzić szkolenia? W czasie przeznaczonym na odpoczynek i przegrupowanie. Jesteś na nogach już od pewnego czasu.

- Dziękuję, Żyłka, ale znasz regulamin. Tylko oficerowie mogą ćwiczyć z oficerami. - Rillish potarł nos. - O ile dobrze pamiętam, zbyt wielu z nich ginęło przeszytych mieczami.

- Skoro tak mówisz, poruczniku. Dowództwo jest jednak daleko, a niektórzy mogliby podawać w wątpliwość, czy w ogóle jesteśmy jeszcze w armii, jeśli podążasz za tokiem mojego myślenia.

Rillish zatrzymał się przed jurta. Wickanie przydzielili mu ją, choć z pewnością rozpaczliwie brakowało im schronień.

- Dziękuję, Żyłka, ale w dniu, gdy podążę za tokiem twojego myślenia, zerwę z siebie ubranie i skoczę nago do lodowatych wód Przesmyku.

- To wszystko przez gorzałę, poruczniku.

- Zostało nam jeszcze trochę?

- Wszystko zużyliśmy do trucia nieprzyjaciela.

- Cóż za straszliwe marnotrawstwo.

- Ale jedna butelka dostała awans.

- To prawda. Chwileczkę, pozwól mi zgadnąć. Nazywa się teraz Korbutelka Dom.

Żyłka odwrócił z uśmiechem wzrok.

- Słyszałeś to już, prawda? - zapytał.

- Wiele razy. A jeśli chodzi o tę jurte...

- Słucham, poruczniku?
- Oddaj ją jutro Wickanom.
- Tak jest.

* * *

Późną nocą Żyłka zatrzymał się obok postania kapral Talii i obudził ją trąceniem stopy. Kobieta otworzyła oczy. Sierżant wyjął spod płaszcza butelkę.

- Czemu nie zaproponujesz łyka porucznikowi? - zapytał.
- A czemu nie widzę tu jego zamiast twojej żalostnej gęby?
- To tradycjonalista. Uważa, że szarża to problem.

Wsparła się na łokciu.

- Oho, a więc tak to wygląda. Kwestia nacisków. - Wzięła butelkę z rąk Żyłki. - Zostaje mi postawić go przed faktem dokonanym.

Zasalutował drwiąco.

- Tylko nie zwlekaj. Ta jurta jutro zniknie.

Oddalił się z myślą, że to dobrze, że porucznik stanął już na nogi, ale obowiązkiem każdego sierżanta jest dbać o jak najlepsze samopoczucie przełożonego... o ile należy on do tych, których warto ratować.

* * *

W ciągu kilku następnych dni Rillish rzadko oglądał młodych Wickan, których poznał podczas marszu. Wszystkich adoptowały rodziny z ich klanów, natomiast Grzywa, Nul i Nadir pograżyli się w zażartych debatach, toczonych dzień i noc wokół centralnego pierścienia jurt. Uczestnicy przychodzili i odchodzili, czasami kładli się spać, a potem wracali, by na nowo podjąć te same spory. Porucznik cieszył się, że nie bierze w tym udziału. I tak już niepokoiła go myśl o tym, co go czeka. Rezygnacja wydawała mu się coraz atrakcyjniejszą perspek-

tywą, zwłaszcza od chwili, gdy połączyły go intymne stosunki z kapral Talią. Uważał, że to komplikuje sytuację w hierarchii dowodzenia. Co, jeśli pojawi się szansa awansu i zrobi Talię sierżantem? Ludzie będą się uskarżać na faworyzację. A jeśli tego nie zrobi? Powiedzą, że potraktował ją niesprawiedliwie. Nie było dla nich dobrego wyjścia, chyba że przestanie być jej przełożonym.

To rozstrzygało sprawę. Problem w tym, że nie miał komu złożyć rezygnacji.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami na posłaniu, a na jego kolanach spoczywały dwa untańskie miecze. Owinął osełkę w szmatę i schował broń. A gdyby znalazł kogoś, formalnie rzecz biorąc, starszego stopniem? Wstał i przywołał gestem najbliższego żołnierza.

- Znajdź Nula albo Nadir i przekaz im, że mam do nich sprawę.

Żołnierz zasalutował i oddalił się truchtem.

Może być konieczny oficjalny list. Podniósł torbę, w której trzymał wszystkie drobiazgi ocalone z fortu. Powinien tam znaleźć jakąś kartę welinu.

Po chwili żołnierz wrócił.

- Poruczniku, Nul i Nadir chcą z tobą porozmawiać w centralnym pierścieniu.

- Dziękuję.

Rillish poprawił wytartą, wyblakłą oponczę, przypasał miecze i odgarnął do tyłu włosy. Ostatnio zrobiły się zbyt długie i rozczochrane, było też w nich stanowczo za wiele siwizny. Ruszył w stronę centralnego pierścienia. Po drodze po raz kolejny zadziwił go skład populacji Wickan zamieszkującej obóz. Było tu mnóstwo młodzieńców i starców, a prawie nikogo w średnim wieku. Wszyscy wyruszyli walczyć w prowadzonych za granicą wojnach i bardzo niewielu wróciło. Gdy zbliżał się do celu, zorientował się, że nagle zapadła cisza. Najwyraźniej w końcu podjęto decyzję. Ujrzał tu tylko starców. Młodym brakowało cierpliwości do tego typu niekończących się debat. A może mieli do roboty coś innego. Wielu starców było odzianych

w podarte i brudne skóry, a na ich wychudłych twarzach dostrzegał bladość głodu, okrutnego towarzysza wszystkich uchodźców. Rozstąpili się, by go przepuścić. Niektórzy łypali nań z nieskrywaną wrogością, a nawet zbliżali pięści do kościanych rękojeści długich noży.

Tak więc wyglądała obecnie opinia Wickan o Malazańczykach. I zasłużenie. Znalazł bliźniaki obok jurty przeznaczonej dla chłopca. Po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się mu uważnie. Dzieciak siedział na kocu ze skrzyżowanymi nogami, na głowie zaś miał małą, wełnianą czapkę. Faktycznie w jego czarnych oczach lśniła mądrość niezwykła u kogoś w tym wieku.

– Rillishu Jal Keth, podjęliśmy decyzję – zaczął Nul. – Moja siostra i ja jesteśmy obecnie opiekunami oraz doradcami tego chłopca, którego od chwili przyścia na świat bez zastrzeżeń uznano za Coltaine'a odrodzonego. W tym charakterze proponujemy ci stanowisko kapitana oraz doradcy wojskowego Głowy Wszystkich Klanów. Czy się zgadzasz?

Rillish wytrzeszczył oczy. Czy na pewno dobrze zrozumiał? Przyszedł złożyć rezygnację i usłyszał coś takiego? Tłum gapił się nań z szokiem i oburzeniem. Wszyscy czekali na jego odpowiedź. W oczach wielu ludzi gorzała teraz nieskrywana nienawiść.

– Mam być doradcą? – zdołał wykrztusić. – Ja? Z pewnością jest wśród was jakiś wickański oficer...

– Mamy ich trochę. Ale wybraliśmy ciebie.

Z upływem czasu w jego umyśle rodziły się coraz to nowe obiekcje.

– Z całym szacunkiem, Wickanin byłby lepszy. Znałby teren...

– To byłoby prawdą, gdybyśmy mieli zamiar toczyć wojnę obronną – przerwała mu Nadir. – Tak jednak nie jest. Cudzoziemcy najechali na nasz kraj, przynosząc do niego wojnę. Odwdzięczymy im się tym samym. Nie ruszymy na stepy, by ich przepędzić. To zadanie przypadnie Temulowi, który dowodzi na równinach. My rozpoczniemy kontr-oferensywę. Podążymy na południe, na untańskie ziemie, niosąc tam wojnę i najazd. Co ty na to, Malazańczyku?

Rillishowi zaparło dech w piersiach. Dobrzy bogowie, oni mówili poważnie. Czy to było możliwe? Ilu mieli ludzi? Co najmniej kilka tysięcy, w tym wielu weteranów, gotowych uczyć i trzymać w ryzach młodych wojowników. To była najlepsza jazda, jaką kiedykolwiek widziano, a ostatnio słyszał, że w Uncie zostało tak mało żołnierzy, że nie mogą nawet urządzić porządnej popijawy. Pozostawała jednak kwestia lojalności.

- W jakim celu, Nadir? Nul? W jakim celu?

Ze wszystkich stron dobiegły go głośne krzyki.

- Pluje nam w twarz! - zawołał ktoś po taliańsku.

Nul uniósł ręce, nakazując wszystkim zamilknąć. Bliźniaki wymieniły spojrzenia. Ich oczy lśniły jak kamyki.

- Żeby zmusić imperium do renegotjacji traktatów z nami.

- Rozumiem. W takim razie mogę wam udzielić tylko jednej odpowiedzi. Składam rezygnację. Nul albo Nadir, czy zechcecie ją przyjąć jako moi przełożeni?

Tłum ryknął wściekle. Rozjuszzeni starcy wyciągnęli broń, lśniąca pomarańczowo w popołudniowym słońcu. W pierś Rillisha uderzyła gruda ziemi. Bliźniaki rozpostarły ręce, uciszając krzykiem tłum.

- Tak - rozległ się piskliwy głos, przebijający się przez rechwach niczym ton gwizdka.

Starcy umilkli nagle, jakby zawstydzeni. Zdumione bliźniaki opuściły wzrok.

- Przyjmuję - powiedział chłopczyk, uśmiechając się do Rillisha.

Porucznik uświadomił sobie, że w oczach wielu obecnych bliźniaki nie są tu najstarszymi stopniem oficerami.

- Zgoda - wyjąkał wstrząśnięty mimo swego sceptycyzmu. - W takim razie ja, Rillish Jal Keth, przyjmuję ofiarowane stanowisko.

Dziecko klasnęło w dłonie wyraźnie zachwycone. Bliźniaki szybko i głośno wyraziły swe zaufanie. Po długim, nerwowym milczeniu

starcy zaczęli podchodzić doń jeden po drugim, kłaniając się na znak akceptacji.

Pod koniec ceremonii Rillish został sam z bliźniakami, jedną starszką i chłopczykiem, który zasnął. Kobieta wzięła dziecko na ręce. Chłopczyk otworzył oczy i powiedział coś do niej. Wezwała do siebie Rillisha niecierpliwym gestem dłoni.

– Tak?

Spojrzała na dziecko, które uspokoiło się i zamknęło oczy.

– Powiedział: „Odwróć ich miecze. Odwróć je”.

– Mam odwrócić ich miecze?

– Tak.

Odwrócić ich miecze? Czy starszka dobrze to rozumiała? Może chłopiec tylko gadał coś od rzeczy? Zniknęła już jednak w jurcie razem z dzieckiem i zasunęła za sobą połę. Rillish spojrzał na Nula. Młodzieniec przycisnął dłonie do twarzy, jakby chciał ją ochłodzić.

– Poszło lepiej niż się spodziewałem – rzekł przez palce.

– Naprawdę?

– Tak. Nikomu nie stała się krzywda.

Wsunął dłonie pod pachy i uśmiechnął się szeroko.

– Masz wysokie wymagania.

– Znam swój lud. Jesteśmy kłótliwą zgrają.

– No cóż, teraz kolej na mnie.

– Tak?

– Ehe. Muszę wytłumaczyć swoim ludziom jak i dlaczego przeszliśmy do innej armii.

* * *

Gdy ten nicpoń, jego bratanek, wsadził głowę między zasłony lektyki, krzyząc: „Okręty, stryjku! Setki okrętów!”, Nevall Od’ Orr, główny faktor Cawn omal nie dostał ataku serca. Nie chodziło o perspektywę złu-

pienia miasta przez jakąś flotę, która zjawiała się nie wiadomo skąd. Najeźdźców można było wydoić tak samo jak każdego. Rzecz w tym, że bratanek zdołał się znaleźć w zasięgu ręki od niego.

- Groten! - ryknął, jedną ręką masując pierś, a drugą głaszcząc zbroję.

Kapitan jego straży domowej wsadził do środka przez zasłony wygoloną, okrągłą niebiesko-czarną głowę.

- Słucham, szefie?

- Mówi się: „Słucham, główny faktorze”.

Skinał głowę.

- Słucham, szefie?

Nevall przeszył Grotena wściekłym spojrzeniem. Groten odwzajemnił mu się tym samym. Faktor zasłonił z westchnieniem twarz.

- Groten... - zaczął, mówiąc przez dłonie - ...jak to się stało, że mój debilny bratanek zdołał się przedostać przez kordon twoich czujnych strażników?

- Jest twoim bratankiem.

Nevall uniósł ręce i klepnął się w chude, skrzyżowane nogi.

- Wiem, że to mój przeklęty przez Panią bratanek! Sam wynająłem maga, który nie z mojej winy powiedział prawdę o tym, kto jest ojcem. A teraz, z powodu skandalicznego zaniedbania, jakim było dopuszczenie kogoś z moich krewnych blisko mnie, potrącam ci miesięczną pensję.

Groten ściągnął gęste brwi. Potarł spoconą łysinę wielką, mięsistą dłonią.

- Miesięczną?

- Tak. Chyba że wolisz wrócić do biczowania niewolników na jednym z moich statków?

Potęźnie zbudowany Dalhończyk zmarszczył czoło. W tej samej chwili lektyka zakołysała się z boku na bok. Nevall złapał się jedną ręką niskiego dachu.

- Co to było? Co tam się dzieje?
- Hmm, to tłum. Wszyscy zacierają do portu.
- A my? Dlaczego nie robimy tego samego?

Kapitan straży domowej otworzył usta, chcąc odpowiedzieć, ale zmienił zdanie. Głowa się cofnęła. Wkrótce zabrzmiały rozkazy i lektyka się zakołysała. Tragarze ruszyli w dalszą drogę. Nevall podniósł papierowy wachlarz, który wypadł mu z rąk, gdy ujrzał przerażającą zjawę pod postacią swego bratanka, i znowu zaczął się chłodzić. Bogowie na górze i na dole, czy ktokolwiek spośród śmierdzących mieszkańców Cawn miał pojęcie, na co musiał się narażać ich główny faktor?

Pocieszony trzaskiem biczów i łoskotem pałek torujących mu drogę strażników Nevall wrócił w myślach do tajemniczej floty. Czy to mogły być siły cesarskiej? Jego źródła informowały, że postanowiła wypłynąć zaraz po katastrofalnym ataku najemników. Dokąd mogłaby się udać, jeśli nie do Cawn? To był najlepszy punkt wyjścia do ataku w głąb łądu. Czy to jednak możliwe, by przybyła tak wcześnie? Potrzeba z górą dwóch tygodni, by tak wielka flota zdążyła tu dotrzeć z Unty, i to nie wzięwszy pod uwagę nieuniknionych opóźnień. Nie, logika podpowiadała, że to musi być jakaś inna armia. Eliminując możliwą, ale mało prawdopodobną inwazję z Korelu, Genabaris, opiewanej w baśniach Zguby, enigmatycznego Nemilu, legendarnego Assail, czy tego imperium, o którym szeptałi jego najbardziej oddaleni partnerzy handlowi – nazywało się Letheria albo coś równie absurdalnego – zostawały tylko pogłoski o okrętach gromadzących się w zachodnim Falarze, jakie dotarły do niego za pośrednictwem pracujących w terenie agentów. Ale inwazja z Falaru? Jaki byłby w tym cel?

Do lektyki wniknęła smród portu składający się z odorów gnijących na słońcu ryb oraz ludzkich ekskrementów. Nevall pośpiesznie poszukiwał kulki zapachowej. Znalazł ją w jednej z szufladek i przystawił do nosa. Na martwą Poliel! Jak ludzie mogli żyć w takich warunkach! Jak

mógł tu nawet myśleć! Lektyka zwolniła. Ze wszystkich stron dobiegały go głosy.

– Groten!

Kapitan straży znowu wsadził głowę do środka.

– Słucham?

– Co się dzieje? Co widzisz?

– Mnóstwo okrętów. Najróżniejszego rodzaju. Nawet transportowce Niebieskich Moranthów.

– Niebieskich Moranthów? Po czym niby je odróżniasz?

Kapitan wzruszył potężnymi ramionami.

– Po tym, że mają niebieskie żagle?

Nevall pogłaskał się po brodzie.

– Aha. A flagi? Czy są jakieś flagi? Przyszło ci do głowy, żeby na nie popatrzeć?

Groten zmarszczył brwi z niepewną miną.

– Są jeszcze dość daleko. Ale jest tu jakaś stara baba, która podaje się za czarownicę. Mówi, że potrafi patrzeć przez oczy ptaków i może to sprawdzić za pół srebrnika.

– Pół srebrnika? Powiedz tej wiedźmie, że za taką sumę mogę popatrzeć przez odbyt kreta! Nie, chwileczkę, pozwól mi zgadnąć, co może zobaczyć przez oczy ptaka. Ryby! Ryby i wodę. Na co jeszcze mógłby patrzeć cholerny ptak?!

Groten cofnął się urażony.

– To była tylko sugestia. Zresztą... – Spojrzał na morze, zamienił z kimś kilka słów i znowu zerknął w stronę morza. – Tali. To błękitne flagi Tali.

Nevall wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. Tali. Dawne hegemonistyczne mocarstwo. A więc pogłoski o powrocie do niezależnych państw okazały się fałszem. Najwyraźniej zamienią tylko jeden kapelusze na drugi. Niech i tak będzie. Cawnijczycy zawsze słynęli z pragmatyzmu. Przyłączą się do najeźdźców... dopóki karta się nie odwróci.

- W porządku, Groten. Kiedy już przybiją do brzegu, zanieście mnie do tego, kto nimi dowodzi.

- Tak, hmm, główny faktorze.

* * *

Ponurzy robotnicy portowi kopali cumy rzucone z *Żałoby Ketha*, a lektyka niesiona przez sześciu wyjątkowo wysokich mężczyzn przebijając się przez tłum na nabrzeżu. Drogę torowało jej dziesięciu strażników uzbrojonych w bicz i pałki. Stojący przy relingu Ullen zacisnął zęby. Wiedział, kto z pewnością siedzi w lektyce: główny lichwiarz i rekieter Cawn, ktokolwiek był nim w tym roku. Strażnicy weszli na trap, gdzie stali leniący się robotnicy. Padły obelgi, które przerodziły się w przepychankę, a następnie w wymianę ciosów. Wybuchła wspaniała bijatyka na pełną skalę z udziałem robotników i tragarzy portowych, strażników oraz przypadkowych gapiów. Żółta lektyka, uwięziona w samym środku mordobicia, kołysała się jak statek podczas sztormu.

- Cawn wita... swoich wyzwolicieli! - wrzeszczał siedzący w niej człowiek. - Niech... żyją taliańskie siły! Otwieramy drzwi... przed waszymi... szlachetnymi wojownikami!

Ullen mógł jedynie zwiesić głowę. Bogowie, Cawn. Jakże nienawdził tego miasta.

* * *

Nocą Urko ruszył na zachód, zabierając ze sobą jeźdźców na wszystkich koniach, które przeżyły rejs w niezłym stanie. Twierdził, że jego celem jest oczyszczenie kupieckiego traktu wiodącego do Heng, ale Ullen nie wątpił, że jego dowódca chciał po prostu uniknąć kontaktów z władzami Cawn. Wiedział też, co nim kierowało. Urko po prostu by ich udusił. Magazyny, które zdołał wynająć Ullen, były walącymi się ruderami, wypełnionymi cuchnącymi resztkami gnijących ryb. Wozy

rozlatywały się podczas załadunku. Konie były chore, kalekie albo jedno i drugie. Ani jeden nie nadawał się nawet do bliskiego zwiadu. Tymczasem zaś opłaty, dziesięciny i rachunki nie przestawały się mnożyć, wszystkie z nich przesadzone, przeszacowane lub wręcz fałszywe. Otrzymał rachunki za materiały i robociznę zużyte przy naprawie okrętów, których nazw nigdy nie słyszał.

Tymczasem V'thell ustawił swych Złotych Moranthów w kolumny i wymaszerował, nie zamieniając z nikim ani słowa, Bala zaś zdołała skądś zdobyć piękną karetę – zapewne zagroziła kłatwą jakiejś bogatej rodzinie – i odjechała razem z nim. Gdy Ullen zaczął organizować tylne straże i konwoje z zaopatrzeniem, kufer przeznaczony przez Urka na całą kampanię był już pusty. Pod koniec swego pobytu zaczął wydawać obligacje i przekazywać rachunki władającej Tali trojce. Nevall Od' Orr i Seega Vull, najbogatsi faktorzy w Cawn, pożegnali go szyderczymi uśmiechami, rzucając na wiatr garście jego obligacji.

Ullena zaskoczył fakt, że przez cały ten koszmar zdołał zachować dobry humor. Zatrzymał się u boku tylnej straży, trzymając w rękach wodze chudej, zmaltretowanej chabety, którą nabył za cenę grisańskiego rumaka bojowego, i pokłonił się ironicznie miastu. Oby zgniło w wyziewach własnej, kwaśnej chciwości. Faktorzy w swym krótkowzrocznym skupieniu na natychmiastowych zyskach przeoczyli fakt, że gdy tylko liga zdobędzie Heng, droga do Unty będzie wiodła tędy.

* * *

Drżączka już od dłuższego czasu stał nieruchomo przy otworze strzelnicy wysuniętej najdalej na zachód baszty w północnych murach Heng. Rzut cieszyła się z tego. Nie chciała, by zawracał jej głowę, gdy była zajęta obliczeniami.

– Popatrz tylko na to... – odezwał się nagle ze zdumieniem w głosie.

- Na co? - zapytała, nie odrywając spojrzenia od znaków na spoczywającej na jej skrzyżowanych nogach tabliczce.

- Atakują.

- Nic nie słyszę.

- Popatrz. Przygotowują się do szturm.

Westchnęła z irytacją, schowała kredę do woreczka i wyprostowała odrętwiałe nogi.

- Jest już prawie ciemno, w imię Fanderay!

- Chyba doszli do wniosku, że przyda się im wszystko, co może poprawić ich szanse.

Wstała i przyjrzała się taliańskim umocnieniom. Musiała z niechęcią przyznać, że Drżączka ma rację.

- Nam również - stwierdziła z roztargnieniem w głosie. Na dole palono ognie, stawiano przenośne osłony, a na przykryty skórami sprzęt obłęznicy wylewano wiadra wody. Zwiększoną aktywność oblegających można było dostrzec tak daleko, jak okiem sięgnąć wzdłuż łuku zewnętrznych murów.

- Planują szturm generalny - stwierdziła zdumiona.

- To śmieszne. Mają za mało ludzi, żeby zdobyć mury.

- Ale wiedzą, że my mamy za mało ludzi, by ich bronić.

To uciszyło Drżączkę. Powiódł wzrokiem wzdłuż szczytu muru kurtynowego.

- Myślisz, że mogą mieć szanse?

- Szanse są zawsze.

- Ehe. W takim razie może ktoś powinien coś zrobić.

Patrzył prosto na nią. Rzut również gapiała się na niego, dopóki sobie nie uświadomiła, że ten ktoś to ona. Podeszła do strzelnicy i wychyliła się na zewnątrz.

- Szykuj ogień! Przygotować się do odparcia szturm!

- Tak jest, kapitanie.

Słumiła pragnienie obejrzenia się za siebie, nawiedzające ją zawsze, gdy ktoś tytułował ją kapitanem. Usłyszała, że ludzie przekazują jej rozkazy wzdłuż muru. Poprawiła obręcz na ramieniu, symbol jej nowego stopnia. To cholerstwo za nic nie chciało pasować.

– Właź na górę i szykuj Bestię – rozkazała Drżączka.

Stary sabotażysta mrugnął do niej znacząco.

– Och, tak jest, kapitanie! – ryknął.

– Ładuj się na górę.

Śmiejący się z jej niezadowolenia Drżączka wszedł na przytwierdzoną do muru drabinę i otworzył prowadzącą na dach zapadnię.

– Rozpalic ogień! – wrzasnął, podciągając się na górę.

Na schodach wieży pojawiła się szeroka, przysadzista sylwetka sierżanta Banatha. Mężczyzna zasalutował dziarsko.

– Witaj, sierżancie – pozdrowiła go Rzut.

– Jak brzmią rozkazy?

Rzut przyjrzała się żołnierzowi regularnych malazańskich oddziałów. Rudy Falarczyk był weteranem kampanii na Genabackis. Był opalony na brąz i zawsze, nawet na porannym apelu, wyglądał, jakby się nie ogolił. Nie zauważyła dotąd nic, co by jej powiedziało, jak się odnosi do nowej hierarchii dowodzenia. Doszła do wniosku, że Banath jest po prostu ostrożnym, zawodowym żołnierzem. Przez chwilę się nie odzywała. Rozkazy powinny być cholernie oczywiste.

– Jak się prezentują miejskie oddziały ochotnicze?

Stanowiły one przeważającą część ich sił: obywatele, których wynajęto, namówiono albo wręcz zmuszono do podjęcia się najwyraźniej odrażającego dla nich zadania obrony rodzinnego miasta. Do obrony tego odcinka murów przydzielono jej czterystu ludzi. Banath dowodził trzema garnizonowymi drużynami stanowiącymi kręgosłup oddziału.

Sierżant zmarszczył brwi w geście typowej dla profesjonalisty pogardy dla amatorów.

- Zastraszeni i nieudolni, ale jeszcze nie szcząją w gacie.
- Miej na nich oko.
- Ehe.

- I nie strzelajcie, dopóki nie wydam rozkazu. Możesz teraz odejść.

Znowu dziarsko zasalutował, zrobił w tył zwrot i wyszedł. Rzut nasunęła się myśl, że to przesadne zachowanie rodem z placu apelowego było jego sposobem na pokazania jej wyprostowanego palca. No cóż, w takim przypadku miał pecha. To nie jego kumpel był pięścią. Wyrzała ze strzelnicy, by sprawdzić, co się dzieje. Z góry dobiegał zgrzyt i szcęk metalu, kamienie wieży drżały. Nakręcano Bestię. Rzut słyszała, jak Drżączka radośnie przeklina chłopaków, którzy mu pomagali. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Bogowie, Drżączka nigdy nie był szczęśliwszy niż wtedy, gdy miał do dyspozycji maszynę pozwalającą mu siał zniszczenie. A Bestię zaprojektował osobiście. Z tyłu wieży zainstalowano wciągarkę transportującą na górę ogromne gliniane gary. Były tak wielkie, że można by w nich wykapać dziecko, gdyby nie fakt, że szczelnie je zamknięto i wypełniono olejem. Największe pociski na świecie.

Na dole flagowci przekazywali sygnały wzdłuż linii. Saperzy stawiali poruszające się na szerokich kołach tarcze, a łucznicy chowali się za nimi. Mnóstwo łuczników. Rzut przymrużyła powieki, starając się coś wypatrzeć w gęstniejącym mroku. Wyglądali jak Seti. Spieszeni konni łucznicy? Co oni kombinowali, w imię Dessebrae? Pośród nocy zabrzmiały rogi. Wszystkie taliańskie maszyny obłężnicze – katapulty średniej wielkości i onagry – wystrzeliły jednocześnie. Płonące tobołki szmat przeleciały nad ich głowami, ciągnąc za sobą ogień i dym. Z murów posypały się kamienie. Rzut ignorowała to wszystko. Talianie nie skierowali dotąd do akcji ani jednej maszyny zdolnej uszkodzić mury Heng. Ostrzał miał jedynie zmusić obrońców do krycia się. Chmura strzał przesłoniła niebo, wzbijając się w górę, a potem opadając ze śmiercionośną gracją. Choć Rzut była bezpieczna, skrzywiła się

na myśl o spustoszeniach, jakie wywołają strzały na szczycie murów. Obrońcy wypuścili pierwszą salwę. Kobieta pobiegła do wyjścia.

– Kto strzelił?! – wrzasnęła. – Kazałam czekać!

Wróciła do strzelnicy. Oblegający mogli marnować tyle strzał, ile tylko zapragną. W przeciwieństwie do obrońców zawsze byli w stanie uzupełnić zapasy. Wyteżyła wzrok, spoglądając na małe wzgórze wznoszące się tuż za taliańskimi szanćami. Wyglądało bardzo zachęcająco. Rozciągał się stamtąd widok na rzekę, a wietrzyk przeganiał meszki. Rzut, Słoneczko i Drżączka świetnie o tym wiedzieli, ponieważ parę tygodni temu poświęcili kilka nocy na usuwanie kamieni, by uczynić wzniesienie jeszcze atrakcyjniejszym. Oplaciło się: ten, kto dowodził tą flanką, spełnił ich życzenie i rozbił swój namiot dokładnie w wybranym przez nich punkcie. Rzut przestępowała z nogi na nogę. No, szybciej, strzelaj! Teraz. Machina była wycelowana. Na co czekał Drżączka?

Tarcze oblegających były coraz bliżej, łucznicy coraz lepiej wstrzelili się w szczyt murów. Rzut wychyliła się na zewnątrz.

– Strzelać bez rozkazu!

Przyjrzała się krytycznym okiem wymianie salw. Nie tak, wszystko nadal szło nie tak, choć przecież ćwiczyli tak długo. Znowu wychyliła się przez wejście.

– Celować w górę, niech was Kaptur! W górę, do cholery!

– Strzelać w niebo! – ryczał Banath, idąc po murach. – Zasypcie ich strzałami, przekłete psy!

Jej spojrzenie przyciągnął jakiś dziwny obiekt poruszający się po ciemniejącej płaszczyźnie wypalanej trawy, upstrzonej ruinami strawionych ogniem chat. Coś niskiego zbliżało się do murów. Wyciągnęła szyję, wyglądając przez prześwit między blankami. Strzały tłukły o mury wokół niej z ostrym brzękiem żelaznych grotów. W wieżę nad nią uderzył wystrzelony z katapulty kamień. W dół posypały się odpryski. Wszyscy pochylili się, przeklinając. Stojący obok żołnierz pospolitego ruszenia uniósł tarczę, osłaniając Rzut. Kobieta znowu się

wychyliła i zobaczyła, że tajemniczy obiekt jest platformą zamaskowaną darnią i kępami trawy. Było ich więcej i wszystkie zbliżały się do murów.

– Koty! – wrzasnęła. – Sierzancie, mamy koty! Sprowadź kamienie! Macie je rozbić!

– Tak jest, kapitanie.

– Chodź ze mną – rozkazała henganinowi unoszącemu tarczę.

Wróciła do strzelnicy i wychyliła się na zewnątrz, próbując spojrzeć w dół. Podkopy niewiele pomogą biednym skurwysynom. Fundamenty sięgały co najmniej trzy wzrosty mężczyzny pod ziemię. Wiedziała o tym najlepiej, bo ostatnio poświęcili ze Słoneczkiem mnóstwo czasu na grzebanie u podnóża murów.

Wieża schodowa zatrzęsa się, jakby uderzył w nią głaz wielkości konia wystrzelony z monstualnego trebusza, takiego jak te, które widziała – rozbite i butwiejące – po oblężeniu wyspiarskiej fortecy Nathilog. W dół posypały się pył i kamienie. Zakasłała, machając ręką. Żołnierz przykucnął instynktownie. Rzut podbiegła do strzelnicy. Z początku niczego nie zobaczyła. Biały, jasno oświetlony namiot dowodzenia nadal był na miejscu. Widziała cienie poruszające się za płóciennymi ścianami, kurierzy przychodzili i odchodzili. Wzdrygnęła się nagle, gdy noc rozświetlił żółtopomarańczowy rozbłysk. Wstrząs wywołany wybuchem poniósł się echem wzdłuż całego muru kurtynowego. Rzut podskoczyła z radości.

– Trafieś, Drzączka! – zawołała, spoglądając na dach. – Pięknie. Po prostu pięknie! – Z góry dobiegły radosne okrzyki. Wyobraziła sobie, jak stary sabotażysta tańczy swój taniec wojenny. – Ładuj znowu! – zawołała i wróciła do wyjścia. Czekał tam na nią henganin, starszy tęgi mężczyzna, zapewne sklepikarz. – Jak masz na imię, żołnierzu?

– Jekurathenaw, kapitanie.

– Jekura-co? Nieważne. Osłaniaj mnie, Jeck.

– Tak jest.

Rzut wyszła na chodnik na szczycie murów. Jeck osłaniał ją tarczą. Klęczący żołnierze ładowali kusze i strzelali. Sypały się na nich strzały. Przechodziła nad rannymi i zabitymi. Podbiegł do niej sierżant Banath.

– Jak idzie?! – zawołała.

– Powinni po prostu zwinąć manatki i wracać do domu, kapitanie.

– Zgadzam się.

Rzut przyjrzała się zbyt pustemu łukowi murów.

– Kamienie, sierżancie? Gdzie są kamienie?

Banath splunął.

– Zabrakło ich. Są jakieś kłopoty z wciągarką. Coś się spieprzyło.

– Na kościstą dupę Kaptura! Dobra, zostań z henganami. Pójdę to sprawdzić.

– Tak jest.

Rzut ruszyła w dalszą drogę. Jeck podążał za nią, unosząc tarczę. Przeskoczyła nad kałużą płonącego oleju. Żołnierze pospolitego ruszenia próbowali ugasić ogień, okładając go wilgotnymi szmatami. Główna wciągarka stała nieczynna. Trzech mężczyzn i kobieta siedzieli obok niej, gapiąc się w dół.

– W czym problem, w imię Gedderone?

Jeden z mężczyzn potarł szyję tłustą szmatą.

– Nie mam pojęcia. Może ogień spłoszył woły. Albo krążek pękł.

Rzut wychyliła się za wewnętrzną krawędź muru i złapała długi, konopny sznur.

– Co tam się dzieje?! – ryknęła tak głośno, jak tylko zdołała.

Nad murami przeleciały wystrzelone z katapult bomby zapalające. Rzut ujrzała w ich blasku kłębiący się na dole tłum żołnierzy i mieszkańców. Wśród gęsto upchanych budynków Ronda Zewnętrzny pojawiało się coraz więcej plam pożarów. Jak okiem sięgnąć, widziała krążące po ulicach pochodnie. Trzymający je ludzie biegali wkoło ogarnięci bezrozumną paniką. Wzdłuż podstawy jej odcinka murów,

od Zachodniej Bramy Rzecznej aż po Bramę Północną, ustawiały się szeregi żołnierzy. Miejskie Pospolite Ruszenie? Posiłki? Kto je przysłał? Storo?

Stojący u podstawy wciągarki mężczyzna z pochodnią krzychał coś do niej.

- Co?! - zawołała.

Mężczyzna machnął pochodnią, wskazując platformę. Rzut wyprostowała się z pełnym niesmaku warknięciem.

- Och, do Kaptura z tym. - Wyciągnęła rękę, wskazując załogę. - Naprawcie to cholerstwo albo wyrzucę was za mury! - Skinęła na Jecka. - Ruszajmy.

Poszła poszukać Banatha i znalazła go w towarzystwie dwóch żołnierzy regularnych oddziałów pod ścianą wieży schodowej. Zgromadzili spory zestaw beczulek, butelek i bukłaków wypełnionych olejem. Rzut przyjrzała się tym zapasom, a także szmatom oraz pochodniom i skinęła głową.

- Świetnie. Kiedy skończycie?

- Śpieszymy się, kapitanie - zapewnił Banath, nie przestając zawiązywać worków z koziej skóry.

- Ile tego mamy? - zapytała kobieta. Przykucnęła, by pomóc im w pracy.

Banath znowu splunął, lypiąc na nią spode łba.

- To wszystko.

- Stanowczo za mało.

- Ehe.

- Czy prosicie o posiłki?

Banath spojrział na nią, mrugając.

- Posiłki? Nie, kapitanie.

- Na dole czekają dodatkowe oddziały Miejskiego Pospolitego Ruszenia.

- Może ktoś ma coś przeciwko Talianom.

Rzut pomyślała o Jedwabiu i wróciła do wiązania nasączonych olejem szmat.

– Może.

Żołnierze unieśli beczułkę i ruszyli na górę. Banath zarzucił sobie na plecy bomby z koziej skóry.

– Szczęśliwych łowów! – zawołała do niego Rzut.

Rzyż weteran poprawił hełm i uśmiechnął się złowrogo.

– Tak jest, kapitanie.

Rzut wróciła na blanki, wytarła ręce i wyjrzała na zewnątrz. Jeck osłonił ją tarczą. Ku murom zbliżały się kolejne koty. Było ich bardzo dużo. Wyglądało też na to, że łucznicy to głównie Seti...

Wtem jej uwagę przyciągnęły radosne okrzyki. Ludzie machali rękami do wchodzących po odsłoniętych schodach ochotników. Rzut wytrzeszczyła oczy. Kto, na Otchłań, ich tu skierował? Cofnęła się do wieży, żeby się lepiej przyjrzeć. W klatce schodowej niósł się echem odgłos obutych w sandały stóp.

Nagle na murze zapadła niezwykła cisza. Rzut zamarła w bezruchu. Noc zdominowały krzyki rannych. Głosy błagające o wodę, o ulgę. W ciemności jakaś kobieta przeklinała oblegających, wykrzykując stek wulgaryzmów godnych jakatakańskiego pirata. Rzut wytężyła słuch. Przeszył ją dreszcz. Przesztano strzelać z łuków i katapult. Wzdłuż całego muru ludzie prostowali się, wymieniając zdumione spojrzenia. Czyżby szturm odwołano? Czyżby udało się im go odeprzeć?

Rzut stała nieruchomo, ale jej myśli cały czas poruszały się po tym samym kręgu.

Przestali strzelać – nowe oddziały, o które nie prosiliśmy – przestali strzelać – bogowie na dole!

Podbiegła do wyjścia z wieży i na jej wewnętrznej krzywiznie dostrzegła łatwą do rozpoznania, wysoką i smukłą sylwetkę Uśmieszka. Kapitan Harmin Els D'shil osobiście prowadził na górę kolumnę pospolitego ruszenia. Wyciągnęła rękę.

- Nie pozwólcie im...! - zawołała.

Wtem ktoś otoczył ręką jej szyję i pociągnął ją do tyłu. Poczula w boku przeszywający ból. Napastnik obalił ją na kamienną posadzkę. Rzut zwinęła się wokół rany, która jakby przeszywała ją na wylot. Zamrugła, by usunąć z oczu zasłonę bólu, i zobaczyła, że Jeck pochyla się nad nią z twarzą bez wyrazu. Schował sztylet, wyciągnął krótki miecz i złapał go w obie ręce. Uniósł broń nad leżącą kobietą i znieruchomiał.

- Amaron przeszyła wyrazy żalu.

Rzut mogła jedynie gapić się na niego tępo.

Och, Storo, tak mi przykro. Przechytrzyli mnie już na samym początku.

Nagle mężczyzna zniknął. Zdziwiona Rzut zamrugła i rozejrzała się wokół. Jeck leżał na posadzce. Z ust spływały mu krwawe wymioty. Czyjeś ręce dźwignęły ją i oparły o ścianę. Uniósła wzrok i ujrzała brzydkiego, pękatego mężczyznę w brudnych, podartych szatach. Opadały mu kącik ust i oko po tej samej stronie.

- ...sytuacja? - wybełkotał.

Rzut gapiła się nań bezmyślnie. Kto to był, na Łaskę Soliel? Czy jednak miała wybór? Zaczepnęła głęboko tchu, starając się zwalczyć mdłości i zawroty głowy.

- Miejskie Pospolite Ruszenie zdradziło. Przeszło na stronę atakujących.

Mężczyzna zamknął oczy i uniósł głowę, jakby wsłuchiwał się w jakieś niesłyszalne dla Rzut słowa albo dźwięki. Potem skinął głową i otworzył oczy.

- Wycofajcie się. Brońcie Bramy Rzecznej.

- Kto tak powiedział?

- Wasz dowódca.

- Storo? Pomóż mi wstać.

Mężczyzna pociągnął Rzut w górę. Był zdumiewająco silny. Wziął ją pod rękę, by pomóc jej zachować równowagę. Kobiecie pociemniało z bólu przed oczami, wzięła się jednak w garść.

- Kim jesteś?

- Miejskim magiem. Starym przyjacielem Jedwabia.

Wskazała wyjście z wieży i mag pociągnął ją w tamtą stronę. Przed jej oczyma pojawił się widok godny Ścieżek Kaptura: poruszające się pochodnie, rozświetlone ich blaskiem, zwarte w walce postaci. Spanikowani ludzie, niekiedy nawet zeskakujący albo spychani z murów. Na blanki zarzucono haki. Niektórzy ochotnicy próbowali przeciąć liny, inni zaś ich bronili. Dwaj regularni żołnierze przycupnęli za tarczami. Patrzyli na wyjście z wieży, gotowi powstrzymać dalsze ataki. Na widok Rzut otworzyli szeroko oczy.

- Żołnierze - spróbowała warknąć, ale zdołała tylko wydyszeć. Wyprostowali się i zasalutowali. - Wycofujemy się do Bramy Rzecznej. Zawiadomcie wszystkich.

- Tak jest.

Mag odwrócił się, wlokąc Rzut za sobą. Zobaczyła, że z krętych schodów zostały tylko gruzy. Wyciągnęła szyję, by spojrzeć mężczyźnie prosto w oczy.

- Jak się nazywasz?

- Ahl.

- Dziękuję, Ahl, ale...

Mag nie zatrzymywał się, holując ją za sobą.

- Co ty robisz? - zapytała. Rana w boku paliła ją ostro jak kwas.

- Wycofuję się.

- Nie. Muszę dopilnować...

Ahl nie zatrzymywał się. Minęli żołnierzy pospolitego ruszenia, którzy zasypali Rzut gradem pytań. Potrząsnęła głową.

- Brońcie się. Brońcie muru.

Dotarli do haka, z którego zwisała nieprzecięta jeszcze lina. Ahl wyciągnął rękę, stęknął z wysiłku, wyrwał żelazne ostrza z kamienia i wyrzucił hak za mur. Jego upadkowi towarzyszyły krzyki. Kim on był, na łaskę Serc? Poczwała bijącą od maga ostrą, korzenną woń.

Ahl zauważył jej docieklive spojrzenie, uśmiechnął się krzywo, unosząc kącik ust, i mrugnął zdrowym okiem.

– Mogliśmy się oprzeć każdej armii, ale nie tym cholernym martwiakom, Imassom cesarza.

Królowo, broń mnie! To jeden z miejskich magów, którzy bronili Heng w dawnych czasach. I przyjaciel Jedwabia? A więc on również...

Ale przecież sam się właściwie do tego przyznał. Niemniej usłyszeć o czymś to jedno, a zobaczyć to na własne oczy to drugie.

– Puść mnie.

Ahl obrzucił ją pytającym spojrzeniem.

– Musimy obronić ten odcinek, żeby móc się wycofać.

Chrząknął. Wezwała do siebie skinieniem jednego z hengańskich ochotników. Mag delikatnie oparł ją o blankę.

– Są tu jacyś regularni żołnierze? – zapytała. Mężczyzna pokiwał głową z wystraszoną miną. – Świetnie. Sprowadź mi któregoś. Możesz mi pomóc? – zwróciła się do Ahla.

Pokręcił głową.

– To nie moja specjalność.

Mag zaczął rozwiązywać sznurówki i odpinać sprzączki jej zbroi. Pojawiła się malazańska żołnierka i uklękła obok Rzut. Kapitan skinęła dłonią, każąc jej przysunąć się bliżej.

– Oddziały powinny się wycofywać do nas – rzekła załamującym się głosem. – Musimy obronić ten odcinek.

– Tak jest, kapitanie. – Zerknęła na bok i uśmiechnęła się. – Chyba już ich widzę.

Pojawił się kolejny żołnierz.

– Jak się nazywasz? – wydyszała Rzut.

- Odłóg - odparł, odpychając na bok dłonie Ahla. - Jestem uzdrowicielem drużyny.

Rzut parsknęła śmiechem i omal nie zwymiotowała pod wpływem nagłych konwulsji. Odłóg podsunął jej pod nos fiolkę. Odepchnęła ją gwałtownie.

- Nie odurzaj mnie!

- To przestań się ruszać, do cholery. - Uniósł jej przeszywanicę i zaczął bandażować tułów. Wskazał głową Ahla. - Kim jest ten cywil? - zapytał cicho.

- Magiem - wyszeptała. - Być może jednopochwyconym.

- Na martwy oddech Kaptura...

- Jak wygląda sytuacja? Muszę to wiedzieć.

Poczowała ciepły dotyk dłoni uzdrowiciela. Ból odpłynął. Odłóg odwrócił wzrok.

- Są już blisko. Nasze oddziały wycofują się powoli. Banath zorganizował kuszników...

Nagle przysła jej do głowy straszliwa myśl.

- Są już blisko?

- Tak.

- Za wieżą schodową?

- Tak.

- Dobra Pożogo, nie!

Spróbowała wstać, ale Odłóg przytrzymał ją mocno.

- Nie waż się psuć mojej roboty! O co chodzi?

- Drzączka! Jest w wieży schodowej. Musimy...

- Już padła. Talianie ją zdobyli.

Opuściły ją wszelkie siły.

- O cholera, Drzączka...

Unieśli ją i położyli na prowizorycznych noszach zrobionych z tarcz ułożonych na włóczniach. Ahl wycofywał się obok niej. Spojrzała mu w oczy.

– Gdzie jest Jedwab? Gdzie są Storo, Jalor i Rell? Straciliśmy mur!

– Myślisz, że jesteś jedyna? Bramę Ronda Wewnętrznego... również zaatakowano. To był... priorytet. Rell ich tam rozbił... teraz walczą... na Zewnętrznym... na Idrynie są tratwy z żołnierzami. Musimy utrzymać... Bramę Rzeczną.

Wielka Fanderay, było gorzej, niż sądziła. Głowa Rzut opadła na nosze. Teraz już wiedzieli, co to znaczy mierzyć się z dawnymi Malańczykami. To było przerażające. Zalewali przeciwnika niepowstrzymaną falą. Niezbyt wymyślny plan. Może jeszcze się udać.

* * *

Dotarli do niskiej wieży łączącej najdalej wysunięty na zachód odcinek murów z północnym łukiem mostu Bramy Rzeczej. Rzut planowała zatrzymać Talian w tym miejscu. Rozkazała wznieść barykady. Wycofujący się powoli i metodycznie Banath dotarł już do nich. Zebrał po drodze tylu żołnierzy pospolitego ruszenia, ilu tylko zdołał. Zasalutował Rzut równie dziarsko jak zawsze, mimo że jego okrągłą tarczę rozbito w drzazgi, usta przecinała mu krwawiąca rana, odsłaniająca górne i dolne zęby, a do tego stracił dwa palce. Doszła do wniosku, że być może wcale z niej nie drwił.

– Świetnie się spisałeś, sierżancie.

Banath skinął głową, znowu zasalutował, a potem zwrócił się w stronę żołnierzy. Wskazywał ich kolejno palcem i popychał w różnych kierunkach. Rzut uświadomiła sobie, że rana ust uniemożliwiła mu zrozumiałość mowy. Skinęła na Odłoga, rozkazując mu zająć się sierżantem. Zza barykady posypały się świszczące strzały. Rzucono na nią zapalającą bombę. Stos stołów, beczek i krzeseł zalał płonący olej. Wszyscy się wzdrygnęli, ale szybko odzyskali równowagę i zaczęli ostrzeliwać przeciwnika poprzez płomienie. Grupa regularnych żołnierzy z grzechoczącymi na plecach kuszami wdrapała się po drabinie, otworzyła kłapę i wyszła na dach, by prowadzić ostrzał z góry. Po

chwili na łuku muru kurtynowego za plecami atakujących barykadę Talian i hengan zapanowała cisza. Potem jednak usłyszeli wrzaski przesyczone nagłą paniką i otwartym strachem.

– Co to? Co się tam dzieje? – zapytała ochryplym głosem Rzut.

Podeszła do niej malazańska żołnierka.

– Nie wiem. Jest ciemno. Zrzucili wszystkie pochodnie. Nie ma światła.

– Czuję olej! – zawołał jeden z żołnierzy przy barykadzie. – Mnóstwo oleju.

– Co to? – zapytał drugi.

Kolejna żołnierka wyprostowała się, spoglądając na barykadę.

– Coś splywa na nich z wieży schodowej. Woda?

Na śmiech Kaptura! Drżączka!

– Padnij! – zawołała Rzut. – Kryć się! Wszyscy!

Ahl popatrzył na nią, mrużąc zdrowe oko.

– Dlaczego?

Za jego plecami rozbłysł oślepiający blask. W polu widzenia Rzut wypalił się żółtobiały światłocień. Rozległ się ryk przypominający łoskot lawiny. Fala uderzeniowa uderzyła w barykadę, odpychając ją do tyłu. Żołnierze odtoczyli się, tłukąc rękami w płonące ubrania. Przez huk płomieni przebijały się krzyki beznadziejnego bólu. Przez zaporę z mebli i beczek przedostało się coś płonącego, co miotano się jak szalone, aż wreszcie żołnierze przebili to mieczami. Ahl osłonił oczy ręką, a potem znowu spojrzął z góry na Rzut.

– Wy, sabotażyści... nie walczyście czysto – stwierdził, marszcząc brwi.

Z pewnością ty również nie, mój przyjacielu.

* * *

Rankiem otrzymali rozkaz wycofania się do południowej Bramy Ronda Wewnętrznego. Ponoć mieli opuścić całe Rondo Zewnętrzne. Zbyt wiele prętów murów i za mało żołnierzy do ich obrony. Rzut była wściekła. Tyłu ludzi zginęło, Drżączka poświęcił życie i co im to dało? I tak mieli oddać mur Talianom.

Gdy przynieśli Rzut pod bramę, czekał tam na nią Storo. Był rozczochrany i miał zapadnięte oczy.

- Słyszałem, że zostałeś ranna w bok - rzekł, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Podarunek od Amarona.

Skrzywił się, odwracając wzrok.

- Ehe. No cóż, pewnie pamięta o każdym z nas. Posłuchaj, nie przejmuj się. To był przypadek. Tak się po prostu złożyło, że broniłaś tego odcinka. Nie ma w tym nic więcej. To mógł być każdy. Nie bierz tego do siebie.

Roześmiała się ochryple.

- Postaram się.

Popatrzyła na dowódcę, próbując ocenić jego siły. Był wycieńczony i miał draśnięte ramię - on również nie uniknął walki - ale nie sprawiał wrażenia człowieka ulegającego rozpacz.

- Straciliśmy Drżączkę - poinformowała go.

- Ehe, słyszałem.

- Zdradzono nas. Miejskie pospolite ruszenie...

Uniósł rękę.

- Wiem o tym. Dotrzemy do sedna sprawy.

- Ty też nie bierz tego do siebie. Nie mogłeś nic na to poradzić. Oblężenia zawsze kończą się zdradą.

Uśmiechnął się ze smutkiem. Oczy rozweseliły mu się na chwilę. Potarł kark, a potem ściągnął kolczy kaptur, by podrapać się po głowie.

- Ehe, rozumiem. Któż mógłby pokonać Chossa i Toca, tak? Ale posłuchaj. - Skinął na niosących ją żołnierzy, każąc im ruszać w dalszą drogę. - Wyświadczyli nam przysługę - ciągnął, idąc obok noszy. - Na zewnętrznych murach nasze siły były zbyt rozciągnięte. Poza tym zbyt wcześnie zdradzili swój atut. Co im to dało, Rondo Zewnętrzne? - Zlekceważył ich sukces machnięciem ręki. - Powinni byli poczekać do szturmowania na wewnętrzny mur. Teraz już wiemy.

- Powinniśmy byli coś podejrzewać.

- Podejrzewaliśmy.

Uniosła głowę i spojrzała Storowi w oczy.

- To znaczy? Mówisz o tym miejskim magu, Ahlu? Skąd on się wziął? Ufasz mu?

Mężczyzna unikał jej spojrzenia.

- O to musisz zapytać Jedwabia.

- Na pewno to zrobię. Co właściwie się stało?

Wzruszył ramionami.

- Zdrąjcy izolowali wasz odcinek muru, a druga grupa zabezpieczyła Bramę Północną. Drżączka załatwił tych, którzy wspięli się na mur, ale inne grupy otworzyły bramę. Przeciwnik opanował północny pierścień Ronda Zewnętrznego, ale zatrzymaliśmy go pod Bramą Wewnętrzną. Rell zasłużył tam na żołądek. To on obronił bramę. Wszyscy opowiadają o tym, czego dokonał.

- Skoro już o tym mowa, mój sierżant, Banath, zasłużył na pochwałę.

Storo skinął głową.

- Świetnie. Cieszę się z tego. - Uśmiechnął się szeroko. - Podoficerowie są tylko tak dobrzy, jak ich przełożeni - dodał, ściskając jej ramię.

W porządku, Storo. Jeszcze się nie załamalam.

Seti przez cały następny dzień wznosili radosne okrzyki i śpiewali pieśni wojenne, krążąc wokół namiotu dowodzenia. Toc zamknął się tam razem z Chossem i wodzami zgromadzeń. Od czasu do czasu jakiś wojownik przejeżdżał przed rozchylonymi połami i Toc miał okazję ujrzeć unoszone nad głowę trofeum: miecz, srebrny talerz, jedwabny obrus albo ludzką głowę. Potem przenosił spojrzenie na Chossa, który leżał, wspierając rękę na kolanie. Opuścił wzrok, a jego skryte pod brudną jasną brodą usta miały skwaszony wyraz.

Przykro mi, Choss. Nie wszystko wyszło tak, jak na to liczyłem. W dwóch punktach zatrzymano nas przy użyciu taktyki niesamowicie przypominającej stosowaną przez dawne imperium.

Toc przesunął odrętwiały łokieć i wyprostował go, krzywiąc się z niezadowoleniem. Mogłoby się здаwać, że walczą z samymi sobą. Pod pewnym względem rzeczywiście tak było. Malazańscy saperzy byli mistrzami sztuki oblężniczej. Biednego kapitana Leena zmiotł z powierzchni ziemi strzał z zapewne największego onagra kiedykolwiek zbudowanego na kontynencie. Potem ten sam saper zrzucił całą swą amunicję na szczyt muru, by go podpalić. Niemniej jednak udało im się zdobyć Rondo Zewnętrzne. Tak jest, tylko Zewnętrzne. Zgodnie z planem... Toc przeniósł spojrzenie na barwny dach namiotu. No cóż, zgodnie z planem powinni się już zbliżyć do Unty.

– Dlaczego jesteś taki smutny, Malazańczyku? – spytał leżący w drugim końcu namiotu Imotan.

– Liczyliśmy na więcej.

– Tak, tak, to oczywiste. Niemniej powinniście się cieszyć z tego, co się udało osiągnąć! Nikt dotąd nie sforsował murów Heng! Jesteśmy w środku. Wkrótce reszta również padnie, jak zranione, chwiejące się drzewo.

Toc uniósł w toaście szklanekę herbaty. Imotan odwzajemnił się tym samym.

Wcale nie sforsowaliśmy murów, ty durniu. Czy nie widzisz, że to dopiero pierwsza potyczka w walce, którą obie strony z pewnością

będą toczyć na śmierć i życie? A my na samym początku wystrzeliliśmy swój najlepszy pocisk, tylko po to, by skłonić was do zaangażowania się w oblężenie. Teraz pięć Storo będzie się miał na baczności. Drugi raz się nie uda. Ale wy możecie się cieszyć, Imotan. Ty i twój fagas, Hipal. Heng zraniono, a wy nie przelaliście właściwie ani kropli krwi. To nasza wojna, Malazańczycy przeciwko Malazańczykom. Wy tylko się przyglądacie, jak się wykrwawiamy. Nic dziwnego, że się uśmiechasz!

Toc uniósł szklanke po raz drugi, patrząc Imotanowi w oczy.

Na tym polega nasza umowa, szamanie. Wyrwiemy z waszego boku cierń, z którym od tak dawna nie potrafiliście sobie poradzić, a w zamian za to wyruszyacie z nami na wschód, zabierając ze sobą wszystkich wojowników zdolnych dosiąść koni, by palić, płądrować i nękać, nękać, nękać wszelkie siły, jakie ona wystawi przeciwko nam.

Imotan znowu odwzajemnił toast. Ukryte pod siwą brodą usta rozciągał w okrutnym uśmiechu, a w jego czarnych oczach lśniła obietnica przelewu krwi. Malazańskiej krwi.

* * *

Ghelel wyruszyła w pole w towarzystwie swego dowódcy, markiza Jhardina, oraz przydzielonego jej patrolu złożonego ze stu jeźdźców. Zmierzali traktem kupieckim z północy na wschód, do starego kamiennego mostu na Idrynie. Na zachodzie odległe mury lśniły pomarańczowo w świetle poranka. Ku niebu wznosił się dym z nadal płonących w mieście pożarów. Nie widziała północnego muru, gdzie straszliwa burza ogniowa pochłonęła tak wielu jej ludzi, słyszała jednak opowieści o tym amoralnym, mściwym uczynku. Cóż za dziecinne, niszczycielskie zachowanie! Przegrali bitwę i powinni zaakceptować ten fakt jak ludzie honoru. Co zrobią teraz? Spalą całe miasto z czystej złośliwości? To było – poszukała w myślach odpowiedniego słowa – niecywilizowane.

- A więc czeka nas spotkanie? - zapytała jadącego obok markiza.

- Tak, rotmistrzu - odparł, zaciągając się fajką. - Nadciągają posiłki.

- Ze wschodu, markizie?

- Tak. Wylądowały w Cawn. Rekruci z Falaru i zza granicy. Dowodzi nimi sam Urko Crust.

- Urko? Myślałam, że on nie żyje.

Markiz uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zepsute zęby.

- Sądząc z krążących o nim opowieści, ma więcej żywotów niż kot.

Ghelel pomyślała o wszystkich sławnych dowódcach, którzy zjednoczyli się przeciwko Laseen w „Lidze Taliańskiej”. Tak wielu jej dawnych adiutantów i towarzyszy. Jak czuła się po tych wszystkich zdradach? Tak bardzo osamotniona? Ale z drugiej strony sama była sobie winna, czyż nie tak? To właśnie było pytanie: czy rzeczywiście? Ghelel również czuła się osamotniona. Co jeszcze mogło je ze sobą łączyć? Czy coś takiego w ogóle istniało? Być może tylko izolacja. Choć Ghelel była oficjalnym przywódcą Ligi Taliańskiej, odnosiła wrażenie, że w rzeczywistości nic od niej nie zależy. Czy pod tym względem również mogły być podobne do siebie?

Przed nimi pojawiła się plama pyłu, oznajmiająca zbliżanie się innej grupy. Żołnierka za straży przedniej zawróciła i zasalutowała markizowi oraz Ghelel.

- To procesja religijna - oznajmiła.

- Tak?

- W tych okolicach są pospolite - wyjaśnił Jhardin. - Za mostem droga przecina trakt biegnący ze wschodu na zachód. Na skrzyżowaniu znajduje się duży klasztor...

- Wielkie Sanktuarium Pożogi! - zawołała zachwycona Ghelel.

- Tak. - Jeśli markiz czuł się urażony, że mu przerwała, nie okazał tego. - A więc słyszałaś o nim.

- Oczywiście. Ale czy od dawna nie leży w gruzach?

– Tak. Zniszczyło je trzęsienie ziemi. – Uśmiechnął się ironicznie. – Myśl o tym, co chcesz. Mimo to wierni nadal się tam zbierają, by kucać pośród zwalonych murów. Ich wiara jest bardzo trwała. Tę drogę poprowadzono w miejscu dawnego szlaku pielgrzymów. Pierwszy most wzniesiono właśnie dla nich.

Zrównali się z czołem procesji. Starcy obojga płci wędrowali na piechotę, niektórzy nieśli długie chorągwie, oznajmujące, że opiekują się nimi Pożoga. Wszyscy kłaniali się mijającemu ich patrolowi, nawet ci, którzy pokonywali całą trasę pielgrzymki na rękach i kolanach, co znacznie zwiększało zasługę. Ghelel zauważyła rozczochrane, brudne włosy – kasztanowe i siwe – wystrzępione łachmany, wychudzone kończyny pokryte wrzodami i siniakami. Ciemna cera sugerowała, że pochodzi z Konfederacji Kańskiej, choć mógł to być po prostu kolor brudu.

Zjechali z południowego stoku płytkiej, rozległej doliny, dawnego obszaru zalewowego Idrynu. Przed nimi rozrzucone tu i ówdzie zagajniki łączyły się w nieprzerwany las porastający brzeg rzeki. W oddali widziała stary kamienny most, przypominający szarą klingę miecza, długą i ledwie wystającą nad wodę. Nad rzeką i jej brzegami krążyło wielkie stado ciemnych ptaków. Ghelel przywitał ciepły powiew wypływający z doliny. Przynosił woń drzewnego dymu z Heng, a także smród rzeczy, których z reguły nie palono. Gdy zbliżyli się do błotnistych brzegów, nozdrza dziewczyny zaatakował znacznie gorszy, przyprawiający o mdłości fetor. Wzdrygnęła się, zakrywając nos.

– Bogowie, co to jest?

Markiz spojrział na nią, zaciskając mocno zęby na ustniku fajki. Z jego szerokiej twarzy nie sposób było nic wyczytać. Wymienił spojrzenia z jadącym za nimi sierżantem Pasterzem i wyjął fajkę z ust.

– Idryn służy Heng jako ściek, oczywiście. Tak jest we wszystkich miastach. Jednakże oblężenie znacznie pogorszyło sytuację.

Ghelel ujrzała na brzegu ślady wojennych zniszczeń. Między odpadkami i kawałkami drewna walały się ciała: sztywna ręka wznie-

siona w makabrycznym pozdrowieniu; biały, gnijący tułów. Obrzydliwość. Od trupa do trupa pływały zadowolone psy o rozdętych brzuchach, przeganiając od łupu stada rozgniewanych wron i kań.

– Rozumiesz, w mieście nie ma miejsca na pochówek, więc najłatwiej...

– To skandal! – oburzyła się dziewczyna. – Co z przepisаныmi obrządkami?

– Kto wie? Być może wykonano parę podstawowych gestów...

Ghelel nie była skłonna dzielić pobłażliwości markiza. W jej oczach lojalistyczne siły przekroczyły granicę. To był ostateczny dowód na to, że kimkolwiek mogą być jej przeciwnicy, zasługują na starcie z powierzchni ziemi. Brakowało im zwykłej przyzwoitości, jaką powinni się cechować normalni ludzie. Wydawali się jej nie lepsi od zwierząt.

Końskie kopyta zastukały o wytarte granitowe kamienie mostu. Markiz uniósł podbródek, wskazując drugi brzeg.

– Widzisz jaskinie?

Za północnym brzegiem znajdował się drugi koniec doliny, znacznie bardziej stromy od południowego. Droga wspiwała się serpentykami na urwiska z jakiejś miękkiej, warstwowej skały osadowej. Pełno w nich było ciemnych wylotów jaskiń składających się na nędzną osadę.

– Gnieźdzą się w nich pustelnicy i asceci. Zapewne pragną się oczyścić, by łatwiej osiągnąć komunie z Pożogą albo Soliel, Oponn czy kimkolwiek innym.

Przy niektórych ciemnych wylotach przycupnęły chude jak patyki postacie owinięte w łachmany. Brody i podarte ubrania powiewały na wietrze. Dzieci bawiły się w piasku z uśmiechniętymi radośnie psami. Przy trakcie stał starzec, mimo chłodu odziany tylko w przepaskę biodrową. Wspierał się na urwanym konarze.

– Po co walczyć z nieuniknionym losem, bracia i siostry?! – zawołał, gdy przejeżdżali obok. – Z każdym krokiem zbliżacie się do nico-

ści, przeznaczonej nam wszystkim! Wyrzeknijcie się tego życia, które jest tylko złudzeniem dla ślepców!

Ghelel odwróciła się w siodle.

- To bluźnierstwo!

- Ignoruj go... - zaczął markiz.

- Niech bogowie ci wybaczą! - zawołała.

- Oni nic nikomu nie wybaczą - padła złowroga odpowiedź.

Ghelel ogłądała się, aż wreszcie wychudła postać zniknęła za zakrętem.

- Jak już mówiłem... - podjął markiz - ...wśród tych wzgórz roi się od pustelników i szalonych ascetów. Można tu napotkać wszelkiego rodzaju bluźniercze i heterodoksyjne przekonania. To jest jak bełkot tysiąca różnych głosów. Nie masz szans go uciszyć. Równie dobrze mogłabyś rozkazać zamilknąć wiatrowi.

- Zastanawiam się, co chciał powiedzieć...

- Być może to, że tym, których zwiemy bogami, nasz los jest całkowicie obojętny. - Ghelel i markiz odwrócili się jednocześnie, spoglądając na jadącego za nimi Molka. Mężczyzna przesunął się w siodle i wzruszył ramionami. - Być może.

Oboje ponownie spojrzeli w przód. Ghelel nie widziała, co sądzą o tych słowach markiz, ona jednak poczuła się nimi zbrukana. Miała wielką ochotę się umyć. To tylko słowa, powtarzała sobie. Tylko słowa.

* * *

Opuścili dolinę i wyjechali na północne równiny. Daleko na wschodzie, gdzie pasmo gór Ergesh zatrzymywało preriowe wiatry, na niebie unosiły się ciemne chmury. Strome zbocza i wyniosłe szczyty pokrywały ruiny Wielkiego Sanktuarium Pożogi. Całe skrzydła przysadzistych, pudełkowatych budynków osunęły się w dół stoków, tworząc potężne osypiska. W innych miejscach sanktuarium robiło wrażenie nietkniętego. Z tej odległości labirynt pochyłych ścian wyglądał dla

Ghelel jak garść kart rzucona na ziemię przez jakiegoś boga. Tu i ówdzie nad ruinami unosiły się smużki siwego dymu.

– Musiało być ogromne.

– Tak. Największe na kontynencie. Mieszkały w nim tysiące mni-
chów. Teraz zamiast modlitw słychać tu głosy lwów preriowych.

Ghelel zerknęła na masywnie zbudowanego mężczyznę. Jasne,
otoczone zmarszczkami oczy kierował na odległe ruiny.

– Mówisz jak poeta, markizie.

Uniósł gęste brwi.

– Miałem kiedyś nadzieję nim zostać, ale sytuacja uczyniła mnie
żołnierzem, rotmistrzu.

– Widzę, że sanktuarium nie jest całkowicie opuszczone.

– To prawda. Jak mówiłem, wierni nadal się tam zbierają, by snuć
się wśród smętnych ruin.

Ghelel odwróciła wzrok od sanktuarium.

– Nie widzę żadnych rusztowań, żadnych prób odbudowy.

– Być może marzenia są dla nich zbyt uwodzicielskie.

– Albo są za biedni.

Markiz uśmiechnął się i pokiwał z namaszczeniem głową. Po
chwili odkaszlnął.

– Przychodzą mi na myśl pewne wersety Thenysa Bule'a. Znasz go?

– Słyszałam o nim. „Powiedzenia głupca”?

– Tak. To szło jakoś tak: „Podczas wędrówki spotkałem mężczyznę
o bosych stopach i nagich ramionach. Weź tę monetę, rzekłem mu,
ale on odmówił. Widzisz, żem biedny, głodny i zmarznięty, odparł, ale
jestem bogaty w marzenia”.

Ghelel przyjrzała się mu z uwagą.

– Nie jestem pewna, co o tym sądzić, markizie.

– No cóż, w końcu był głupcem.

Po południu dotarli do skrzyżowania dróg. Trakt prowadzący na południe, do Kan i Dal Hon, przecinał główny handlowy szlak, biegnący ze wschodu na zachód. Przy drodze można było zobaczyć ruiny niedawno spalonych gospod, zajazdów i zagród dla koni. Ghelel wiedziała, że to robota Seti. Oburzała się na myśl o tych zniszczeniach. Niektórzy z pewnością uznają, że dokonano ich w jej imię. Po obu stronach traktu ciągnęły się stratowane, porzucone ogrody. Okolica nie była jednak całkowicie bezludna. Na stoku wzgórza wznoszącego się na północ od skrzyżowania rozbito obozowisko. Według oceny Ghelel zatrzymało się tam kilkuset ludzi z końmi. Jakiś oddział zmierzał ku nim, zjeżdżając stępa z łagodnego stoku.

- To ludzie Urka?

- Tak.

- Mają nas wesprzeć podczas oblężenia?

Markiz znowu wyciągnął fajkę z woreczka u pasa.

- Na tym właśnie polega problem, rotmistrzu. Mieli szturmować południowe dzielnice miasta, ale sytuacja się zmieniła. Musimy omówić strategię. Wiele zależy od decyzji, jakie podejmiemy. Ale przecież na wojnie zawsze tak jest.

Widok oddziału nie uspokoił zbytnio Ghelel. Żołnierze nosili szaty narzucone na kolczugi w stylu Siedmiu Miast, wytłaczane, utwardzane skóry z Genabackis albo falarskie łuskowe zbroje z brązu. Panował wśród nich chaos, nie widziała żadnych prób podziału na poszczególne kontyngenty, poza zielonymi flagami i proporcami Falarczyków. Żołnierze najwyraźniej uważali całe spotkanie za coś w rodzaju pikniku. Żartowali i rozmawiali, jadąc w zupełnie niezorganizowanej grupie. Zerknęła z ukosa na markiza. Na jego twarzy o grubych rysach nie dostrzegła jednak żadnego śladu gniewu ani niesmaku, choć przecież można to było uznać za zniewagę. Jadący na czele gruby rudobrody mężczyzna w skórzanej kurcie wyszywanej łuskami z brązu skinął głową na powitanie.

- Kapitan Tonley, do usług – przedstawił się, mówiąc po taliańsku z silnym akcentem.

- Markiz Jhardin, dowódca Straży Pogranicznej. Rotmistrz Alil i sierżant Pasterz.

- Witajcie.

- Czy towarzyszy wam Urko?

- Tak, ale jest chwilowo nieobecny.

- Nieobecny?

- Tak. Udał się... – Zawahał się, szukając odpowiedniego słowa.

- Na rekonesans – podpowiedział jeden z żołnierzy.

Kapitan Tonley rozpromienił się, rozciągając usta w lekkim uśmiešku.

- Tak jest, na rekonesans! Pojedźcie z nami – dodał, zwracając wierzchowca.

- Dziękuję, kapitanie – odparł markiz. – Mam nadzieję, że później się z nim spotkamy.

- Och, z pewnością. – Kapitan zbył jego obawy machnięciem ręki.

- Wróci nocą. Na razie dołączcie do nas. Dajcie wypocząć koniom i opowiedzcie o tym szturmie, o którym słyszeliśmy.

Markiz skinął głową do sierżanta Pasterza, który uniósł rękę, nakazując ludziom ruszać naprzód.

* * *

W miarę jak zapadał zmierzch, biwak coraz mniej przypominał wojskowy obóz, a coraz bardziej miejsce spotkań bandytów. Ghelel siedziała pod rozpiętym na tyczkach płóciennym daszkiem służącym za namiot dowodzenia, obserwując pijackie bójki wybuchające przy ogniskach, zakłady oraz zapasy o skąpe łupy zdobyte po drodze. Wśród żołnierzy i żołnerek kręciła się też cała armia markietanek, które przyłączyły się do nich w Iprasio i Idrybie. Kapitan Tonley zaba-

wiał ich opowieściami o morskiej podróży, natomiast markiz siedział spokojnie na obozowym stołku, paląc fajkę. Ghelel zwróciła uwagę, że Molk zniknął, gdy tylko dotarli do obozu. Z pewnością zdążył się już zalać w trupa.

Nikt nie zauważył, gdy pod daszek wszedł stary mężczyzna niosący dwa skórzane wiadra kamieni. Upuścił je, a potem zdjął za duży wełniany płaszcz, odsłaniając szerokie bary zapaśnika oraz muskularne, pokryte straszliwymi bliznami ramiona przypominające Ghelel korzenie dębu. Kapitan zerwał się ze stołka i zaferował mu kufel. Przybysz zaczął pić, spoglądając na nich nad brzegiem naczynia. Markiz wstał i pokłonił się uprzejmie. Ghelel podążyła za jego przykładem. Mężczyzna osuszył kufel i cisnął nim w kapitana, który zatoczył się do tyłu.

– Jeszcze jeden. Zaschło mi w gębie na tych wzgórzach.

Przybysz wyciągnął rękę do markiza.

– Markiz Jhardin, dowódca Straży Pogranicznej – przedstawił się ten. Wskazał Ghelel. – To nasz nowy rotmistrz, Alil.

Mężczyzna chrząknął i zwrócił się ku niej. Wyciągnęła dłoń, która zniknęła w jego potężnej łapie. Ghelel przyjrzała się niebieskiej napańskiej twarzy o grubych rysach i małym oczkom spoglądającym na nią spod potężnych łuków brwiowych, wszystko jednak przyćmił ból przeszywający jej dłoń, zupełnie jakby miażdżono ją między dwoma kamieniami.

– A więc to jest nasz nowy rotmistrz – rzekł. Zrozumiała, że mężczyzna zna prawdę. – Jestem komendant Urko Crust.

– Miło mi cię poznać, komendancie – wydusiła przez zaciśnięte z bólu zęby.

Urko westchnął z ulgą i usiadł na stołku. Kapitan postawił przed nim drugi kufel.

– Kapitanie Tonley, fakt, że wyjechałem na jeden dzień, nie znaczy, że cały obóz musi pochłonąć Otchłań.

Kapitan wzdrygnął się.

– Tak jest, komendancie.

Zasalutował i wyszedł spod daszku.

Urko przyciągnął bliżej wiadra i skinął głową do markiza, każąc mu usiąść. Ghelel zajęła miejsce obok Jhardina.

– Jakie masz wieści od Chossa?

W oddali zabrzmiał ostry głos kapitana Tonleya, wydającego rozkazy.

Markiz zaczął na nowo nabijać fajkę.

– Już wyruszyła. W gruncie rzeczy jest tuż za tobą.

Ghelel spojrzała nań ze zdumieniem. Wyruszyła? Cesarzowa? Zmierza tutaj? Bogowie! To może być rozstrzygająca bitwa.

Urko jednak skinął tylko głową, jakby nie był szczególnie zaskoczony. Wyjął z wiadra jeden kamień i przyjrzał się mu, obracając go w dłoni. Potem splunął na niego i potarł to miejsce kciukiem.

– A więc rozmieszczenie oddziałów na południu nie wchodzi w grę. Nie możemy pozwolić, by rzeka podzieliła naszą armię na pół.

– To prawda. Choss chce, żebyś zajął północno-wschodnią flankę.

Urko chrząknął i położył kamień na stole.

– A co z południową stroną?

– Będziemy ją uważnie obserwować. W Heng mają za mało ludzi, żeby urządzić poważną wycieczkę.

Urko wziął kolejny kamień, zmarszczył brwi i wyrzucił go w zapadającą noc.

– A więc ja zajmę pozycję na północno-wschodnim skrzydle, Choss weźmie centrum, południową flankę zablokuje Heng, a Seti będą nękać nieprzyjaciela. – Odetchnął chrapliwie. – To chyba najlepszy plan, jaki możemy przygotować na spotkanie z nią.

Ghelel zdobyła się na odwagę i odchrząknęła.

– Z całym należnym szacunkiem, wymaszerowała, by przyjść z odsieczą Heng, tak? Czy nie powinniśmy jej zatrzymać, nim dotrze do miasta?

Urko ściągnął posiwiałe brwi. Opuścił wzrok i wyjął kolejny kamień. Markiz wziął stojący na stole kubek i napełnił go czerwonym winem z glinianej karafki.

– Z pozoru maszeruje na odsiecz Heng, to prawda. Ale jest za sprytna, by dać się zamknąć w mieście. Nie, najłatwiej położyć kres oblężeniu, jeśli wyda nam walną bitwę.

– Czy mamy jakieś informacje o liczebności jej sił? – nie ustępowała Ghelel.

Urko uniósł gęste brwi, odrywając spojrzenie od kamienia.

– Amaron ma swoje źródła – przyznał Jhardin. – Poinformowano mnie, że w najlepszym razie będzie mogła wystawić pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, i to pod warunkiem, że zwerbuje ludzi w przybrzeżnych miastach, Carasinie, Vor, Marl i Halasie.

– To znaczy, że mamy przewagę liczebną.

– Tak, ale to nie znaczy tak wiele, jak ci się zdaje. Cesarz prawie zawsze walczył z liczniejszym nieprzyjacielem. Prawda, Urko?

Stary wódz chrząknął, wycierając kamień w szmatę.

– Ma również inne atuty... Szpon. Kadreń magów. Nie można też wykluczyć możliwości, że Tayschrenn zechce pobrudzić ręce.

Ghelel wyprostowała się nagle na stołku. Wielki Toggu, broń! O tym nie pomyślała. Niemniej jak dotąd wielki mag nie podjął żadnych kroków. Czemu miałyby się to zmienić? Najwyraźniej wszyscy zakładali, że zachowa obojętność. Przyjęcie odmiennych założeń prowadziłyby do paraliżu.

– Tak więc zaczekamy tu na resztę naszych sił – podjął Urko, pociągając długi łyk. – Potem zajmiemy pozycje na północnym wschodzie. – Wręczył kamień Ghelel. – Przyjrzyj się temu.

Po jednej stronie powierzchnia podłużnego kamienia była szorstka i zwyczajna, druga strona była jednak zupełnie gładka i lśniła opalizującym blaskiem przywodzącym na myśl perłę. Po chwili wewnątrz pojawiła się podobizna muszli o niezwykle delikatnych, spiralnych zwojach.

- Jakie to piękne - wydyszała.

Wódz uniósł kącik ust.

- Podoba ci się?

- Tak! Jest cudowna.

- To świetnie! - Wyprostował się, obserwując, jak Ghelel obraca kamień w dłoniach. - Bardzo się z tego cieszę.

* * *

Już od kilku księżyców Kyle'a prześladowały niezwykle sny. Spał niepokojnie i często budził się nagle zlany zimnym potem, jakby zobaczył bądź usłyszał coś przerażającego. Obrazy, widmowe wspomnienia, zawsze umykały, gdy próbował ku nim sięgnąć. W ostatnim tygodniu, na pokładzie *Latawca*, miał jednak więcej spokoju. Być może sprawiło to monotonne kołysanie statku albo szum fal, bądź też melodie, które Ereko nucił pod nosem, czuwając nocą przy rumplu. Tak czy inaczej, chłopak spał teraz spokojniej i znacznie głębiej.

Pewnej nocy sny jednak powróciły. Tak mu się przynajmniej zdawało, choć nie mógł być tego pewien. Wiedział tylko, że nagle zdał sobie sprawę, że idzie przez mgłę, a przynajmniej przez coś, co wyglądało jak mgła albo obłoki. I nie był sam.

Krok przed nim, nieco po lewej, posuwała się smukła biała postać odziana w grube szaty, ciągnące się za nią po suchej, spieczonej ziemi. Mężczyzna stawiał nieśpiesznie długie kroki, a szerokie dłonie splótł za plecami. Pochylał głowę, być może w zamyśleniu. Długie białe włosy opadały mu aż do krzyża. Był tak bardzo podobny do magusa, Ducha Wiatru z Ostrogi, że na tę myśl oczy Kyle'a zaszyły łzami; istniały też pewne różnice - mężczyzna nie był tak potężnie zbudowany i robił wrażenie wyższego. Raptem jego sylwetka zamigotała, zamazała się, a potem odzyskała pierwotny kształt. Kyle mógłby jednak przysiąc, że na moment szczupły, biały jak śnieg mężczyzna przybrał postać bestii.

Chłopak zdawał sobie sprawę, że nie powinien się tu znajdować. Był przerażony. Czyżby wtargnęli na czyjś teren albo zawędrowali zbyt daleko? Obute w sandały stopy mężczyzny wzbijały obłoki pyłu, ale Kyle nie słyszał odgłosu jego kroków. Niebo miało tu kolor ciemnego ołowiu. Od patrzenia na nie bolały go oczy. Kiedy przyglądał się mu zbyt uważnie, robiło się zamazane. Wokół obu wędrowców krążyły cienie, pozbawione widocznego źródła.

Kyle nie wiedział, jak długo wędrowali, aż wreszcie na horyzoncie pojawił się ich cel: niskie, ciemne wzgórze albo jakaś budowla. Gdy podeszli bliżej, ujrzał wielkie jak wielopiętrowy gmach skupisko gigantycznych ciemnych, półprzezroczystych kryształów. Mężczyzna zatrzymał się, rozstawiając szeroko nogi, Kyle zauważył też, że wsparł podbródek na dłoni, przesuwając ostrożnie spojrzenie z prawej do lewej. Podjął w końcu decyzję i złapał w ręce jeden z kryształów. Naprężył mięśnie, stęknął i syknął z wysiłku. Wielki odprysk pękł z głośnym trzaskiem. Był dwukrotnie wyższy od mężczyzny, który znacznie górował nad Kyle'em. Nieznajomy odłożył kryształ na bok i sięgnął po następny.

– Stój!

Kyle i mężczyzna odwrócili się błyskawicznie.

Zbliżała się ku nim szczupła ciemnoskóra postać. Wysoki mężczyzna miał na sobie czarny jak noc płaszcz, narzucony na ciemne ubranie. Długie białe włosy opadały mu na plecy. Zauważywszy je, Kyle zadał sobie pytanie, czy obaj nieznajomi nie są kuzynami.

– Witaj, Anomandarisie – pozdrowił przybysza pierwszy mężczyzna. Wyprostował się i opuścił ręce.

Anomandaris się pokłonił.

– Witaj, Liossercalu.

Drugi mężczyzna podszedł bliżej i Kyle zauważył, że nie ma do czynienia z Dalhończykiem ani z przedstawicielem jakiegoś innego ciemnoskórego plemienia. To nie był człowiek. Jego czarna skóra jakby

pochłaniała padające na nią rozproszone światło, oczy zaś były jaskrawymi, złotymi lampami, płonącymi wyzywającą wesołością.

- Co cię tu sprowadza?

- Mógłbym cię zapytać o to samo.

- Prowadzę poszukiwania - mruknął Liossercal, krzyżując ręce na piersi.

Brew nad jednym ze złotych oczu się uniosła. Przybysz kopnął ułamany kryształ.

- Coś mi się zdaje, że obiekt twoich dociekań może ich nie przeżyć.

Pierwszy z mężczyzn znowu opuścił ręce, rozpościerając wielkie dłonie.

- I co z tego?

- Jest jeszcze młody, Liossercalu - odparł drugi. - To dziecko. Czy zamordowałbyś niemowlę?

Liossercal, nadal zwrócony plecami do Kyle'a, sprawiał wrażenie zdziwionego.

- Dziecko? Jest nowy, to fakt, najślabszy z tych niezwykłych intruzów wnikających do naszych królestw. Dlatego świetnie się nadaje do moich celów. Ale dziecko? Nie sądzę.

Mężczyzna zwany Anomandarisem zbliżył się o krok.

- O to właśnie mi chodzi. Obiekt jest nowy i w związku z tym jeszcze nieuformowany. Któż mógłby zgadnąć, jaki jest jego charakter i cel? Ty? Przekonałem się, że świat, w którym żyjesz, jest światem pewników. Ale czy możesz być pewien, że znasz przyszłość?

- To kiepski argument. Przemawia raczej za moim punktem widzenia. Mogę z całą pewnością powiedzieć jedno: nigdy się tego nie dowiemy, jeśli nie zbadamy sprawy.

Liossercal ponownie zwrócił się w stronę formacji.

- Nie pozwolę na to - rzekł Anomandaris.

Białoskóry mężczyzna zeszywniał. Odwrócił się powoli w stronę przybysza.

– Ugoda między naszymi królestwami zrodziła się z oceanu przelanej krwi, Anomandarisie. Chciałbyś narazić to na niebezpieczeństwo? W imię tego obiektu? On nawet nie należy do naszego bytu! Jest obcy i najprawdopodobniej stanowi zagrożenie. Wyjaśnię tę tajemnicę.

Oczy Anomandarisa rozjarzyły się jeszcze jaśniej w półmroku.

– Moja interpretacja wygląda tak, że ten dom należy do Emurlahn, a Emurlahn istnieje jako dowód ugody między naszymi królestwami. Jeśli zagroźysz jednemu jej przejawowi, zagroźysz wszystkim.

Liossercal wyprostował się, przechylając głowę. Po chwili pokiwał nią z namysłem.

– Proszę bardzo. Zastanowię się nad tym nowym światłem, jakie rzuciłeś na sytuację. Ofiaruję temu Domowi Cienia tymczasową łaskę.

Anomandaris skinął głową. Rozciągnął w uśmiechu wąskie usta, wskazując puste równiny.

– Opowiedz mi o Resuthenal. Co u niej słychać?

Liossercal splótł dłonie za plecami, przyjmując zaproszenie Anomandarisa. Oddalili się razem od obiektu.

– Zdrowie jej dopisuje, choć nadal wpada w gniew, słysząc twoje imię. Zwłaszcza gdy jej przypominam, że przegrała przez własną głupotę.

– Tak, to każdego by wyprowadziło z równowagi – zgodził się ze śmiechem Anomandaris.

Kyle pragnął podążyć za nimi. Wiedział, że z pewnością nie powinien zostać w tym miejscu. Sprawy, o których mówili ci dwaj, były dla niego nieprzeniknioną tajemnicą, obawiał się jednak, że jeśli ich zgubi, może zablądzić w tym niezwykłym śnie. Gdyby tylko mógł zobaczyć białoskórego mężczyznę z przodu. Zdobylby wówczas pewność, że rzeczywiście przyśnił mu się patron jego plemienia, sam Król Wiatru. Teraz nie żył, zabił go Czepiec. Chłopak nakazał sobie podążyć za dwiema oddalającymi się sylwetkami.

– Myślę, że zawędrowałeś już wystarczająco daleko.

Kyle odwrócił się i ujrzał niezwykle piękną kobietę o głębokich, czarnych oczach i długich prostych włosach tego samego koloru, opadających na błyszczącą biało-srebrną suknię. Spróbował paść na twarz przed tą boginią, ale przekonał się, że nie jest w stanie tego zrobić. Zamknął oczy i odwrócił wzrok. Kto to był? Siostra Brzask? Królowa Nocy? Wielka Bogini Matka?

Kobieta roześmiała się. Wzdłuż kręgosłupa Kyle'a przebiegły ciarki.

– Chodź ze mną, Kyle. Pora już, byś wrócił. Masz potężnego towarzysza, chłopcze, i on ciągnie cię za sobą w swych wędrowkach. Te sny nie należą do ciebie. Muszę też powiedzieć, że są bardzo niebezpieczne.

Ruszyła naprzód.

– Kim oni byli? – odważył się zapytać po chwili.

Machnęła lekceważąco ręką.

– To tylko wspomnienia. Stare, uporczywe wspomnienia, nic więcej.

Kyle obejrzał się na stos kryształów, „dom”. Ze zdumieniem zauważył, że stoi obok niego kolejna postać. Ten mężczyzna również był wysoki i smukły, ale jego sylwetka wydawała się lekko zamazana, a na plecach miał długi miecz. Chłopak uniósł rękę, by go wskazać, ale kobieta, bogini, czy kim tam właściwie była, kazała mu iść dalej.

– Niektórych spraw lepiej nie zauważać – oznajmiła. – Nadeszła pora odesłać cię z powrotem – dodała, spoglądając na niego.

Otworzył usta, ale nie był w stanie nic powiedzieć. Zamarł w całkowitym bezruchu. Pociemniało mu przed oczyma. Usłyszał nieopodal szum wody.

* * *

– Chłopcze? Kyle?

Młodzieniec otworzył oczy. Skradacz przykucnął obok i przyglądał mu się orzechowymi oczyma. Ujrawszy, że Kyle się ocknął, zwiadowca chrząknął i się odsunął.

- Kiedy spałeś, coś się wydarzyło.

- A co?

Zwiadowca wskazał z niesmakiem morze. Kyle się wyprostował. Zbliżał się świt. Wody i niebo wypełniała bladoszara poświata. Ze wszystkich stron otaczała ich mgła. Żagiel zwiślał bezwładnie z masztu. Unieruchomiła ich cisza morska. Młodzieniec spojrział na Ereka. Olbrzym siedział nieruchomo, trzymając rękę na rumplu, i wpatrywał się we mgłę. Kyle przesunął się w stronę rufy.

- Co to jest? - wyszeptał.

Ereko wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od mgły.

- Coś. Jakaś obecność. Ale ja się nie boję - dodał, uśmiechając się półgębkiem.

- Przemieściliśmy się - zauważył stojący na dziobie Wędrowiec.

- Tak. Pytanie brzmi... Czy jesteśmy bliżej, czy dalej...? - Ereko uniósł rękę i powęszył, wciągając głęboko powietrze w płuca. - Ziemia - oznajmił z uśmiechem.

Skradacz podszedł do nadburcia i również powęszył.

- Pustynia? - zapytał, spoglądając na olbrzyma.

Ereko skinął głową.

- Nie cierpię pustyni - poskarżył się Weszka.

- Od jaszczurczego mięsa dostaje cholernej niestrawności - wyjaśnił Głusza.

- Do wiosła - rozkazał Wędrowiec.

Bracia przygotowali wiosła. Kyle usiadł przy jednym z nich i zgiął rękę. Ereko uzdrowił ją już trzeciego dnia rejsu.

- Ty chyba od wszystkiego dostajesz niestrawności, Weszka.

Siedzący obok mężczyzna pociągnął z całej siły za wiosło i pierdnął donośnie.

– Na Mroczną Panią, masz rację – przyznał ze zdziwioną miną. – Nawet od wiosłowania.

Skradacz dzielił go w ramię.

– Uważaj. Słyszę przybój.

Pojawił się wiatr. Mgła się rozproszyła, odsłaniając długie, płaskie wydmy. Wzdłuż brzegu biegła rafa. Ereko wstał, rozejrział się, a potem z zadowoloną miną skinął głową.

– Na północ stąd jest przejście. – Usiadł i obrócił rumpel, odwracając łódź od tłukących o rafę fal. – Stawiaj żagiel!

* * *

Poszukiwania Seti zwanego Dzikusem ze Wzgórz zaprowadziły kapitana Mcha i jego trzydziestu jeźdźców na pagórkowate Wysokie Stepy, stanowiące północną granicę terytorium Seti. Po drodze spotykały grupy młodych wojowników obojga płci ze związków Szakali, Lwów Równinnych, Fretek, Wilków oraz Psów. Niektórzy żądali zapłaty pod postacią broni lub pieniędzy w zamian za pozwolenie przejazdu, inni zaś próbowali wyzwać kapitana na pojedynek, ale gdy im mówił, że szuka Dzikusa, odpowiadali ze śmiechem, że zostawią go jemu.

Szwadron wjechał na Ziemię Szakala. Nazwano je tak na cześć Ryl-landarasa, legendarnego człowieka-bestii. Był on bratem Treacha, który został teraz Trakiem, bogiem wojny. Mijane przez nich grupy nie zmierzały już na południe, lecz podążały za nimi, tworząc wspólnie nieformalną eskortę o znacznej liczebności. Mech zauważył też, że wiele z tych oddziałów nie nosi już barw ani fetyszów symbolizujących przynależność do takiego bądź innego związku.

Trzeciego dnia ujrzeli przed sobą dym. Zbliżali się do wielkiego obozu. Mech posuwał się naprzód wolnym tempem, aż wreszcie dotarł do porośniętej trawą skarpy, opadającej ostro ku szerokiej dolinie, upstrzonej namiotami z niewyprawionych skór oraz korralami.

Machnął ręką, odpędzając wielkie, kaśliwe gzy krążące wokół jego głowy, a potem pochylił się w siodle.

– Będzie ich pewnie prawie tysiąc – powiedział do sierzanta.

Mężczyzna o policzku wyrzuszonym wielkim zwitkiem rdzawego liścia skinął głową, a potem unióś podbródek, wskazując na wschód, gdzie erozja utworzyła żleb umożliwiający zjazd do doliny.

– Będzie nam musiał wystarczyć – stwierdził z westchnieniem Mech i skinął na swych ludzi, nakazując im podożyć za sobą.

Sforsowali wąski strumyk, żalną pozostałość potężnej ongiś rzeki. Na drugim brzegu zebrał się tłum. Jeden ze starców Seti unióś rękę, zatrzymując Mcha. Kapitan pochylił głowę w geście pozdrowienia, a potem objął zgięciem kolana łąk siodła i czekał. Spoglądając z góry, widział, że tłum otoczył owal otwartej ziemi. Na jednym końcu wolnego obszaru stał wysoki, muskularny młodzieniec. Jego nagą pierś i nogi pokrywały barwy wojenne, symbole licznych zwycięstw. Nożowi bracia i siostry śmiali się razem z nim, malując mu w podobny sposób twarz. Któreś z nich wsunęło mu w dłoń groźnie wyglądający nóż. Mech spojrzał na drugi koniec owalu, wypatrując przeciwnika młodzieńca, ale nie zauważył żadnego prawdopodobnego kandydata. Po chwili jednak pojawił się tam kandydat nieprawdopodobny. Starzec o rozczochranych włosach i siwej, skołtunionej brodzie, przykucnięty na granicy tłumy, wyprostował się nagle. Czyżby to był Dzikus? Jeśli tak, wywodził się ze znacznie starszego pokolenia Seti, z czasów, gdy trudno było wśród nich znaleźć kogoś wyższego niż ich wierzchowce w kłębie.

Mech pochylił się ku stojącej obok wojownicze.

– Co tu się dzieje? – zapytał po taliańsku.

– To pojedynek – odpowiedziała z wyraźną niechęcią.

– Kto rzuciłby wyzwanie starcowi?

Uniosła spojrzenie ku kapitanowi, odsłaniając w uśmiechu ostre białe zęby.

– To starzec wyzwał jego.

- Dlaczego?

Kobieta nie odpowiedziała.

Stary mężczyzna wyciągnął nóż, zatknięty z tyłu za spodnie z jeleńiej skóry, i wyszedł na środek. Machnął nożem, zapraszając młodzieńca do podejścia bliżej. Mech widział go teraz wyraźniej. Poza spodniami mężczyzna miał na sobie tylko grubą skórzaną kamizelkę, odsłaniającą szeroką pierś porośniętą srebrnosiwymi włosami oraz równie owłosione, krzywe ręce, które wydawały się nienaturalnie długie. Rozciągał usta w niecierpliwym, niemal pogardliwym grymasie, odsłaniając poząłkłe zęby, ostre jak u psa. Młodzieniec roześmiał się, wychodząc na środek, Mech wiedział jednak, że czeka go znacznie więcej, niż się spodziewa. Szerokość w barach starca dorównywała jego wzrostowi.

Kapitan zawsze uważał, że rytualne pojedynki to tylko hałaśliwe, pełne chaosu bijatyki, tym razem jednak w tłumie zapadła niesamowita cisza, jakby wszyscy wstrzymali oddech. Obaj walczący przykucnęli, wyciągając ku sobie ręce. Mech wyprostował się w siodło, obawiając się, że człowiekowi, z którym przyjechał porozmawiać, wyprują flaki na jego oczach.

Noże błysnęły, dłonie się spotkały, rozległo się stęknięcie, a potem łoskot uderzenia. Młody wojownik zatoczył się do tyłu, trzymając się ręką za twarz w miejscu, gdzie z podbródka płynęła jaskrawoczerwona krew. Starzec wyprostował się i machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Sprawa skończona”, i odwrócił się.

Młody Seti odtrącił jednak gniewnie dłonie przyjaciół i wyszedł na środek owalu. Krzyki ostrzegły starca, który odwrócił się i coś zawołał. Chłopak warknął w odpowiedzi, przyjmując postawę bojową. Starzec wzruszył ramionami i ruszył w jego stronę. Tym razem rozpostarł szeroko ramiona, a dłonie miał puste. Zszokowany tłum znieruchomiał, a potem cofnął się o krok, by zrobić miejsce walczącym. Obaj krążyli ostrożnie wokół siebie, młodzieniec coś krzyczał, być może żądając, by jego przeciwnik wyciągnął broń. Starzec rozciągnął tylko usta

w swym złowrogim bojowym uśmiechu. Po dwóch okrążeniach młody wojownik dał za wygraną. Krzyknął coś do tłumu – zapewne prosząc gapiów, by byli świadkami, że dał staremu głupcowi wszelkie szanse obrony – i ruszył do ataku.

Tym razem starcie trwało dłużej. Młodzieniec atakował, szukając okazji do zadania ciosu, starzec zaś uchylał się i cofał. Mech mógł jedynie kręcić głową. Dla niego sytuacja była cholernie oczywista. Młody wojownik zamachnął się szaleńczo, a przeciwnik ze spokojem złapał go za rękę i obalił na ziemię, nie zwalniając uchwytu. Potem szarpnął rękę do tyłu. Młodzieniec wrzasnął. Kończyna wygięła się w przyprawiający o mdłości sposób. Rozległ się trzask pękającego łokcia. Stary Seti się wyprostował. Chłopak siedział na ziemi, ściskając złamaną rękę. Kołysał się jak okaleczone niemowlę.

Kobieta stojąca u boku kapitana kobieta wyszeptwała coś. Mech obrzucił ją pytającym spojrzeniem.

– Miał szczęście – wyjaśniła. – Odyniec okazał mu wyjątkową cierpliwość.

– Odyniec?

– Niektórzy tak go nazywają. Niektórzy starcy przysięgają, że przypomina Odyńca z czasów ich młodości.

– Kim on był? – zapytał kapitan. Zauważył, że starzec przygląda się mu z uwagą.

– Naszym ostatnim wielkim obrońcą z poprzedniego pokolenia. Nikt nie potrafił go pokonać.

– I co się z nim stało?

Wojowniczką przeszyła Mcha dziwnie dociekliwym spojrzeniem.

– Przybył do nas wasz Dassem Ultor.

Dzikus, czy może Odyniec, zmierzał wprost ku kapitanowi. Tłum rozstępował się przed nim, niektórzy wyciągali ręce i dotykali go z szacunkiem.

– Hej, kapitanie! – zawołał w taliańskim dialekcie. Mech zaczął się zsuwać z siodła. – Nie zsiadaj!

Kapitan wzruszył ramionami i wykonał polecenie.

Dzikus zatrzymał się obok wierzchowca, omiatając kapitana spojrzeniem brązowych oczek skrytych pod potężnymi łukami brwiowymi. Powęszył, marszcząc płaski nos.

– Czuję od ciebie smród, którego dawno już nie czułem. To mi się nie podoba, kapitanie. Możecie zostać na noc, ale nie opuszczajcie swego obozu.

Mech pochylił głowę w ukłonie.

– Wódz Toc przesłał wyrazy szacunku i ofiaruje ci zaproszenie.

– Może sobie zatrzymać oba.

– Możesz przyprowadzić eskortę, powiedzmy pięćdziesięciu najwierniejszych...

– Nie interesują mnie wspominki. Patrę w przyszłość. Przyszłość bez cudzoziemców.

– Czy przyszłość bez Heng nie pomogłaby w osiągnięciu tego celu?

– Heng? – zachnął się starzec. – Heng? – Znowu zademonstrował swój niepokojący, zwierzęcy uśmiech. – Spędziłeś na szlaku kilka dni, nieprawdaż, kapitanie? Dotarli do nas nowe wieści. Heng ma już tylko uboczne znaczenie. Ona opuściła Untę. Zmierza ku nam drogą morską.

Mech wbił spojrzenie w starca. A więc cesarzowa nadciąga. Jego decyzja będzie miała jeszcze większe znaczenie. Pokłonił się w siodle, najlepiej, jak potrafił.

– Dziękuję. To radosna wiadomość. Nie słyszałem o tym.

Starzec zwany Dzikusem albo Odyńcem skrzywił się z wściekłością.

– Ehe. Zaiste radosna. Mógłbym jej powiedzieć parę rzeczy, gdyby tylko mi się chciało.

Odesłał Malazańczyka machnięciem ręki.

– Jedź już. Rozmowa skończona.

Oddalił się, nie czekając na odpowiedź.

Po dłuższej chwili Mech zsiadł z konia. Wojownicy Seti wskazali mu wolne miejsce i zebrał tam swój oddział. Jego ludzie zajęli się oporządzaniem wierzchowców, on zaś obserwował Dzikusa, który przykucnął w kręgu starców, dzieląc się z nimi fajką oraz talerzem stawy. Kim był? Tacy ludzie nie zjawiają się znikąd. Musiał mieć jakąś historię. Potrafił określić szarżę Mcha, nie ulegało więc wątpliwości, że jest malazańskim weteranem. Walczył za granicą i poznał świat. Oficer Seti, który wrócił zza morza. Jak wielu mogło ich być? Toc i atamani z pewnością mają zapiski, w których będzie mógł to sprawdzić. Gdy wróci do obozu, rozwikła tajemnicę. Dowie się, czy ten człowiek może mieć znaczenie dla jego misji. Pociągnął za wodze, prowadząc wierzchowca w ślad za swymi ludźmi.

Rozdział IV

O zwycięstwie lub porażce w bitwie rozstrzygają armie;
o triumfie lub klęsce w wojnie decydują cywilizacje.

Mądrość Irymkhazy (Siedem Świętych Ksiąg)

Nevall Od' Orr, główny faktor Cawn, jadł na śniadanie zielonego melona i popijał go herbata. Siedział na tarasie, spoglądając z góry na ulicę Chwalebnej Dyskrecji, gdy nagle ten nicpoń, jego bratanek, zawołał z dołu:

– Jeszcze jedna flota, stryжку! Flota!

Nevall zakrzuszył się, parząc sobie usta, i wypluł płyn na taras.

– Co takiego? Już?

Podszedł do poręczy i zobaczył, że do portu rzeczywiście zbliża się chmura żagli. Jego perfidny bratanek ruszył już w stronę brzegu w swej nowej, błękitnej lektyce. Bogowie, w dzisiejszych czasach nawet wioskowy głupek mógł podróżować z klasą.

A więc już przybyła. To znaczyło, że zabiła po drodze wszystkich galerników albo wydusiła resztki życia z jakiegoś maga władającego Ruse. Wszystkie jego źródła zgadzały się ze sobą – i czemu by nie, w końcu płacił im fortunę. Kolejny korpus ekspedycyjny do wydojenia. Na bezpłodny członek Kaptura, jak już wydoją całe złoto z drugiej armii, to nawet psy będą noszone na jedwabnych poduszkach. Cisnął połówkę melona na brudny od błota i gówna bruk, by bili się o niego żebracy, a potem kazał przygotować oficjalne szaty. Przed opuszczeniem tarasu pomyślał jeszcze, że będzie musiał kupić znacznie większą lektykę.

Na nabrzeżu roilo się od gapiów, ale strażnicy domowi utorowali mu drogę.

– Przejście dla waszego wybranego przedstawiciela! – ryczał Groten, odkopując na boki obywateli Cawn.

– Co się dzieje? Co widzisz? – dopytywał się skryty za zasłonami Nevall.

Groten wsadził do środka lśniąca, gładko wygoloną głowę. Otarł dłonią spocone czoło.

– Trochę ich mało, jak na imperialną flotę, szefie.

– Główny faktorze. Czego się spodziewałeś? To na pewno straż przednia.

– Skoro tak mówisz, szefie.

Odsunął cienką tkaninę.

– Groten! Pobrudzisz zasłonę potem!

– Przepraszam. – Wystawił głowę na zewnątrz. – Do tego to raczej marne okręty, szefie.

– Pewnie była zmuszona zarekwirować wszystkie barki i przybrzeżne łodzie, jakie zostały w porcie. Słyszałem, że atak najemników spowodował wielkie straty.

– Skoro tak mówisz, szefie.

Nevall zbył go machnięciem ręki.

– Zaprowadź mnie do tego, kto wysiądzie na ląd.

– Tak jest, szefie.

* * *

Gdy tylko robotnicy portowi przywiązali cumy do pachoiaków i opuszczono trap, główny faktor kazał tragarzom postawić lektykę. Potem machnął ręką, żądając, by pomogli mu wysiąść. Po trapie zszedł przedstawiciel floty – komandor albo kapitan. Nevall poprawił ciężkie atlasowe szaty, symbol swego urzędu, i zamrugał krótkowzrocznie,

spoglądając na mężczyznę. Ku zaskoczeniu głównego fatora miał on na sobie długi kolczy płaszcz, ciągnący się po trapie, na głowie wysoki hełm, a na rękach luskowe stalowe folgowane rękawice. Nic z tego nie było przy tym nowe. Poczerniała, podrapana stal wyglądała jak wyjęta z pieca kowalskiego.

- Cawn wita... wita... - Nevall popatrzył na maszty i olinowanie, wypatrując flag czy jakichś herbów - ...wasze siły. Zapewniam, że jesteście wśród przyjaciół.

Mężczyzna zatrzymał się przed nim. Wysoki hełm obrócił się, gdy jego właściciel rozglądał się po nabrzeżu.

- Potrzebujemy koni pociągowych i pod wierzch. A także wozów i tyle prowiantu dla armii, ile tylko zdołacie zgromadzić.

- Oczywiście! Ofiarujemy wam to z przyjemnością. Ale przed wami były tu oddziały secesjonistów. Nie zostawili nam prawie nic. Tego, co mamy, potrzebujemy, by wykarmić siebie i swoje dzieci. - Nevall roześmiał się z autoironią. - Muszę cię ostrzec, że będzie potrzeba wiele, by skłonić nas do rozstania się z zapasami.

Metal zazgrzytał, gdy hełm zwrócił się w stronę fatora.

- Wiele czego?

* * *

Kolumna Karmazynowych Gwardzistów pięła się w górę drogą położoną na zachód od miasta oświetlona blaskiem płomieni. Spieszona Blask obejrzała się na płonące Cawn. Budynki zmieniły się już w zwęglone ruiny. Wozy obciążone złupionym prowiantem minęły ją z loskotem, ciągnięte przez spocone, wywalające ślepie konie wyścigowe czystej krwi, nieprzyzwyczajone do takiego traktowania. Za nimi podążała kolumna wcielonych przymusowo rekrutów z Cawn. Ich piki i włócznie sterczały na wszystkie strony. Młodzi tubylcy również wybałuszali oczy, nieprzyzwyczajeni do takiego traktowania. Potarła bok w miejscu, gdzie Shellarr musiała ciąć głęboko, by uleczyć

infekcję powstałą po postrzale z kuszy. To była jedna z najgorszych ran w jej życiu.

Podczas polowej narady Blask sprzeciwiała się rekrutowaniu tubylców, musiała jednak przyznać, że stan sił Gwardii wymagał uzupełnienia. Kadra oficerska złożona z blisko stu zaprzysiężonych dowodziła dziewięcioma tysiącami weteranów oraz prawie piętnastoma tysiącami nowych rekrutów z Baelu, Stratemu i Cawn. Wiedziała, że w porównaniu z armiami imperialnymi to niewiele, ale Zaprzysiężeni byli warci znacznie więcej, niż sugerowała to ich liczba, a do tego był wśród nich tuzin magów.

Spoglądając na widoczne na zachodnim horyzoncie płomienie oraz bijący pod niebo dym, zadawała sobie pytanie, ile miast i osad zostawili za sobą w podobnym stanie. Bardzo wiele! Czy ich nazwa stała się teraz dla wszystkich przekleństwem? Dla cawnijczyków z pewnością tak. Czyż nie przybyli tu jako wyzwoliciele? Zdjęła usmarowaną sadzą pancerną rękawicę i pocierała przez chwilę oczy, jakby chciała zatrzeć wspomnienie tego widoku. Wtem jej uwagę przyciągnęło kaszlnięcie. Obok zatrzymał się malazański renegat, Szara Grzywa. Trzymał hełm pod pachą, a jego jasnyniebieskie oczy przyglądały się jej z wyraźnym zatroskaniem.

– Słucham?

Uniósł porośnięty siwą szczecina podbródek, wskazując na zachód.

– Kolumna już przeszła, kapitanie.

Blask zmarszczyła brwi i spojrzała we wskazanym przez niego kierunku. Rzeczywiście cała kolumna ją minęła, gdy kobieta stała tu pogrążona w myślach. Zauważała takie chwile coraz częściej, odkąd ona i inni Zaprzysiężeni przebywali wśród – jak by to ująć? – normalnych ludzi. Od czasu do czasu paru z nich zatrzymywało się, pogrążonych w rozmowie albo we wspomnieniach, i nagle okazało się, że minęło całe popołudnie. To było tak, jakby żyli w innym czasie, czy może raczej inaczej go postrzegali.

Pochyliła głowę, zapraszając Szarą Grzywę, by poszedł z nią.

- Dołączymy do nich?

Pokonił się, rozciągając mięsiste usta w bladym uśmiešku.

- Wielu Zaprzysiężonych zadaje sobie pytanie, dlaczego jesteś z nami - podjęła, gdy ruszyli naprzód. - Znowu będziemy walczyć z imperialnymi żołnierzami. Być może tymi, którymi kiedyś dowodziłeś.

Skinął z namysłem głową.

- Zetrzemy się z imperialnymi żołnierzami, ale moich wśród nich nie będzie. Nadal pozostają uwięzieni na Korelu. Prawda wygląda tak, że cieszę się jeszcze bardziej, że służę w Gwardii, od chwili gdy usłyszeliśmy o tej wojnie domowej czy powstaniu, i całej tej Lidze Taliańskiej. Mam wrażenie, że każda, hmm, reorganizacja w centrum imperium może przyspieszyć wycofanie się z... hmm... zamorskich uwikłań.

Blask przyjrzała się barczystemu renegatowi. Jego długimi, prostymi siwymi włosami targał wiatr, a okrągła twarz o ostrych rysach przybrała od słońca ciemnorumianą barwę. Niewątpliwie nieraz korzystał z przedłużających życie rytuałów Denul, na jakie pozwalały bogactwa imperium. Przyszło jej na myśl, że to jeden z nielicznych żywych ludzi, których można uważać za bliskich Zaprzysiężonym. Co jednak im do tej pory zademonstrował? Bardzo niewiele. Szczerze mówiąc, większość jej braci i siostr raczej go lekceważyła. Uważali go za nieudacznika, kiepskiego oficera, który załamał się w trudnej sytuacji. Ona jednak wyczuwała w nim coś więcej. Ukrytą siłę, wystarczającą potężną, by sprzeciwić się nie tylko zwierzchnikom, lecz również korelrijskiej Straży Sztormowej. „Zamorskie uwikłania”. Z całą pewnością był oficerem, który czuł się odpowiedzialny za swych żołnierzy.

- Rozważałam skład swego sztabu. Chciałam ci zaoferować stopień kapitana i dowodzenie skrzydłem w polu.

Uniósł upstrzone siwizną brwi.

- Kapitana?

- Tak. Zgadzasz się?

- Zaszczycą mnie twoje zaufanie, ale ludzie mogą być niezadowoleni...

- Z pewnością będą, ale nikt nie ośmieli się podważać mojej decyzji. Zgadzasz się?

- Tak.

- Świetnie. A teraz powiedz mi, jak możemy zrobić z tych rekrutów godnych zaufania żołnierzy?

Uśmiechnął się, odsłaniając równe białe zęby.

- Kilka małych zwycięstw bardzo by w tym pomogło.

* * *

Komnaty Rządzącej Rady Sędziów Li Heng oficjalnie zwano Dworem Roztropności i Sumiennego Przewodnictwa, wielu jednak używało nazwy Pałac Grymasów i Bełkotu. Jak łatwo było przewidzieć, stanowiły one zwierciadlane odbicie miasta. Umieszczoną pośrodku podłogę otaczała galeria. Nad nią zmontowano długi stół z różowego marmuru. Siedzący za nim sędziowie wysłuchiwali czekających na dole petentów.

Ukryty pod skórzaną kurtą tułów stojącej tam teraz Rzut ciasno owijały bandaże. Towarzyszyli jej Storo, Jedwab, Liss, Rell i kapitan Gujran. Zgrzytała zębami, tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymując się przed opuszczeniem absurdalnego przesłuchania. Storo zażądał jednak, by tu przyszła, zrobiła to więc, mimo że miała wielką ochotę się napić. Widziała Jedwabia po raz pierwszy od chwili ataku. Musiał być ostatnio bardzo zajęty albo po prostu unikał spotkania. Chciała mu zadać kilka ważnych pytań dotyczących miejskiego maga, Ahla.

Sędziowie przerzucali papiery, czy raczej robili to za nich siedzący z tyłu służący pełniący funkcję kopistów. Rzut zauważyła, że wiele spojrzeń kieruje się nie na Stora, czego należałoby oczekiwać, lecz na

Rella. Żyłasty genabackański młodzieniec stał z pochyloną głową. Długie przetłuszczone włosy opadały mu na twarz. Krążyły niezliczone pogłoski o tym, co zdołał osiągnąć przy Północnej Bramie Ronda Wewnętrznego. Rzut nie była zdziwiona. Widziała go już w akcji i żadne niewiarygodne wyczyny z jego strony już jej nie zaskoczą.

Sędzia Ehrlann uderzył w blat tępym końcem miotełki i odchrząknął.

– Czcigodni sędziowie, zebrani obywatele, apelujący. Zgromadziliśmy się tu, by omówić poważną reakcję na niedawne katastrofy, ściągnięte na miasto przez obecne dowództwo wojskowe. – Siedzący za Ehrlannem sługa, Jamaer, bazgrał na karcie welinu położonej niewygodnie na kolanach. Sędzia wskazał miotełką Stora. – Sierżancie Storo Matash, tymczasowo awansowany do stopnia pięści, czy masz coś do powiedzenia na swoją obronę?

Storo opuścił ręce, które do tej pory trzymał splecione za plecami. Jego szeroka twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu.

– Nic.

– Nic?

– Nic.

Siedzący wysoko na górze sędziowie wymienili zaniepokojone spojrzenia. Ehrlann potrząsnął miotełką, jakby chciał zmieść ze stołu bieżącą sprawę.

– Jak sobie życzysz. Nie zostawiasz nam innego wyboru niż podjęcie poważnych kroków, na które zdecydował się ten sąd. – Wskazał go miotełką. – Pięści, zostajesz pobawiony stopnia, zwolniony ze służby i aresztowany za rażące zaniedbania w pełnieniu swej powinności. – Przesunął miotełkę w stronę kapitana Gujrana. – Ciebie, kapitanie, zgodnie z władzą przyznaną temu sądowi, awansujemy do stopnia pięści, rzecz jasna, tylko tymczasowo, i zlecamy ci wojskowe dowództwo w mieście. Twoim pierwszym krokiem po objęciu stanowiska ma być rozpoczęcie negocjacji z oblegającymi, celem ustalenia warunków kapitulacji. Oto twoje zadanie, pięści Gujran. Wykonaj je.

Rzut rozejrzała się, spoglądając na twarze siedzących w kręgu sędziów. Wszyscy patrzyli spode łba w dół. Zdała sobie sprawę, że w sali nie ma ani jednego okna. Siedmiu starsuszków i pięć starsuszek patrzyło wyłącznie na siebie, siedząc w okrągłej komnacie. Doszła do wniosku, że choć jedno okno z widokiem na miasto bardzo by pomogło temu sądowi. Stojący obok Rzut kapitan Gujran podrapał się po poparzonym ogniem czole.

– Nie – odparł po prostu.

Miotełka znieruchomiała.

– Nie?

– Nie.

Miotełka zadrżała.

– Zastanów się, kapitanie. Narażasz swoją przyszłość, swoją karierę. Proponujemy ci rangę znacznie wyższą, niż pozwala na to twe pochodzenie.

Dłonie Gujrana powędrowały do pasa.

– Nie pomagacie sobie takimi słowami, sędzio.

– Dość już tej farsy – wybuchnął sędzia Plengyllen, siedzący w odległości ćwiartki okręgu od Ehrlanna. – Aresztujcie wszystkich. – Wskazał miotełką strażnika. – Wezwij sądowych strażników. Niech zamkną tych przestępców.

Mężczyzna spojrzął na środek sali, a Storo skinął lekko głową. Strażnik wyszedł. Troje sędziów również zerwało się z miejsc i opuściło pośpiesznie salę. Rzut złapała Stora za ramię, by mu to pokazać, ale zbył jej obawy machnięciem ręki. Po chwili sędziowie pojawili się znowu, zmuszeni do powrotu przez wypełniających wszystkie wyjścia żołnierzy.

Sędzia Ehrlann rozejrzał się, zobaczył imperialne barwy i zaklął. Rzucił miotełkę na stół. Wysunął palce za przedni brzeg stołu, wykrzywiając usta w grymasie niesmaku.

– A więc do tego doszło – wyszczał. – Uzurpacja prawowitej republikańskiej władzy. Po raz kolejny okazuje się, że Malazańczycy są w rzeczywistości tylko piratami i bandytami. Wasza władza opiera się na mieczu i pięści. Nasza wywodzi się ze zgody tych, którymi władamy. Przekonamy się, komu przysługuje rację historia.

Storo skinął głową do żołnierzy, którzy nakazali sędziom wstać.

– Mam wrażenie, sędzio Ehrlann, że twoja pozycja czyni cię ślepy na fakt, że ucisk ma różne postacie. Zastanów się, jeśli potrafisz, nad tym, jak wąską grupę mieszkańców tego miasta reprezentuje od stulecia wasz krąg.

Sędzia przeszył Stora zdumionym spojrzeniem. Rzut również. Nigdy dotąd nie słyszała, by jej dowódca przemawiał takim językiem. Nasunęła się jej myśl, że za tego rodzaju poglądami z pewnością stoi wiele godzin drogich, prywatnych lekcji. Kontakt ze sferami władzy obudził w nim ukryte talenty.

Gdy żołnierz się zbliżył, Ehrlann obejrzał się na sługę.

– Zrób coś, Jamaer! Oni mnie aresztują! – Mężczyzna skrobał gęsim piórem, wiernie zapisując słowa sędziego. Ehrlann warknął wściekle i wyrwał mu welin. – Nie! Zrób coś, ty durniu! Pracowałeś dla mnie przeszło trzydzieści lat. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

Jamaer nieśpiesznie, z namaszczeniem, wręczył mu parasol.

Rzut stłumiła śmiech. Liss nawet nie próbowała. Zdumienie i brak zrozumienia malujące się na twarzy Ehrlanna były warte bardzo wiele.

* * *

Gdy już wyprowadzono sędziów, Storo rozkazał żołnierzom opuścić salę. Czekał, aż pomieszczenie się opróżni, wpatrując się w czarną marmurową posadzkę. Ręce znowu splótł za plecami. Jedwab spacerował w kółko. Rzut zauważyła, że mag nadal nie zmienił obszarpanego stroju na nowy ani nawet go nie załatał, choć z pewnością nawet

w obłożonym mieście mógłby to zrobić bez trudu. Nie naprawił też znoszonych butów. Poza tym zwróciła uwagę, że choć mag krąży od końca do końca sali, jego spojrzenie zawsze wraca do Stora. Ten zaś spuścił wzrok, najwyraźniej starając się nie patrzeć na Jedwabia.

Wtem Liss wyprostowała się z sykiem i spojrzała na jedyne wejście na dolnym poziomie. Jedwab znieruchomiał. Do środka weszło trzech mężczyzn, choć Rzut odnosiła wrażenie, że to trzy różniące się tylko strojem wersje tego samego człowieka – Ahla, maga, który ją uratował. Liss wyraźnie wzdrygnęła się na ich widok. W odpowiedzi na panujące w sali napięcie Rell przesunął się i stanął obok Stora. Jego dłonie spoczywały na rękojeściach bliźniaczych mieczy, które wróciły na skrzyżowane pendenty.

Liss skierowała rozgorączkowane spojrzenie na Jedwabia.

– Jak śmiałeś zaprosić z powrotem do miasta tego człowieka, czy raczej to stworzenie?

– Potrzebujemy sojuszników, Liss.

Uniosła tłustą rękę, wskazując przybyszów.

– Ta ścieżka to plugastwo!

Wszyscy trzej uśmiechnęli się jak jeden mąż, choć ich uśmiechy nie wyglądały identycznie. Temu, który – Rzut była tego pewna – przedstawił się jej jako Ahl, lewa połowa twarzy opadała bezwładnie, jak martwa, drugiemu zaś w taki sam sposób opadała prawa. Trzeci był najwyraźniej wolny od tego rodzaju przypadłości. Przyjrząwszy się im uważniej, zauważyła więcej różnic. Jeden miał włosy krótko obcięte, a drugi długie i rozczochrane. Naznaczyły ich też różne rany. Jeden miał szramę na twarzy, za to drugi zniekształconą, źle uzdrowioną dłoń.

– My też się cieszymy... – zaczął ten, który miał na sobie lekki żołnierski strój ze skóry.

– ...że cię widzimy... – podjął Ahl odziany w brudne, podarte szaty.

– ...Liss – dokończył trzeci, ubrany w rozciętą u pasa bluzę z baraniej skóry, noszoną wełną po wewnętrznej stronie.

- Wyjaśnij nam to, Jedwab - zażądała Rzut, mącąc ciszę, która zapadła po wybrzmieniu dziwacznej, przerywanej wypowiedzi trzech Ahli. Skierowało się na nią sześcioro czarnych, błyszczących oczu. Czowała moc tego spojrzenia, jakby ktoś podsunął jej pod twarz rozgrzaną do czerwoności żelazną patelnię.

- Później - obiecał mag. Ciężar spojrzenia trzech par oczu opadł z kobiety, pozwalając jej zaczerpnąć tchu.

Liss najwyraźniej miała coś więcej do powiedzenia, ale Storo wyprostował się, westchnął i popatrzył na obecnych. Uśmiechnął się, jakby nagle przyszło mu do głowy coś zabawnego, a potem podrapał się kciukiem po podbródku.

- Ehrlann był bliższy prawdy, niż mu się zdawało. Zebraliśmy się tu, by podjąć poważne kroki.

Jedwab potrząsnął głową, zamiatając na boki rzadkimi jasnymi włosami.

- Nie - wypowiedział ledwie słyszalnym szeptem. - Nie rób tego.

Staruszka zbliżyła się o krok do Stora, mrużąc podejrzliwie oczy. Zapomniała o trzech mężczyznach.

- Nie rób czego?

- Mają znaczną przewagę liczebną, Liss. Musimy wyróżnić szanse. Jest coś, co pozwoli nam osiągnąć ten cel. Tu, w mieście.

Szamanka Seti, podająca się za odrodzone Naczynie Baya-Gul, patronkę wszystkich jasnowidzących swego ludu, zamarła na chwilę w bezruchu. Rzut odniosła wrażenie, że skłębione sznury włosów staruszki nagle się zjeżyły. Przekrwione ze zmęczenia oczy otworzyły się szeroko. Wypełniło je przerażenie.

- Więc tak właśnie wypełnią się jego ostatnie słowa - rzekła, kiwając głową. - „Uwolnią mnie ci, którzy najbardziej mnie nienawidzą”.

- O kim... - zaczęła Rzut.

- A co z osłonami zamykającymi? - zapytała Liss.

- Jeśli połączymy swe siły, będziemy mieli szanse - odparł Jedwab, oplatając się rękoma.

Szamanka prychnęła pogardliwie.

- My? Wobec osłon stworzonych przez Tayschrenna, samego cesarza i bogowie wiedzą ilu kadrowych magów?

- Jesteśmy przekonani...

- ...że może nam...

- ...się udać.

Thusta ręka znowu wyciągnęła się w ich stronę.

- Wy się do tego nie mieszajcie. - Kobieta spojrzała na Stora. - Pomyśl, proszę, o tych wszystkich ofiarach. O przelewie krwi.

- O to właśnie chodzi. Liss. Przykro mi, ale on ich rozerwie na strzępy, i to nam odpowiada.

Staruszka potrząsnęła głową.

- A co będzie, gdy to wszystko się skończy, Storo? Co z tymi, którzy zginą w następnych stuleciach?

Pięć spuścił wzrok.

- O to będziemy się martwić później. O ile ktoś z nas przeżyje.

Rzut miała już tego dość.

- O czym wy mówicie?! - zawołała. - Co tu jest grane, kapitanie?

Przez dłuższą chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Wreszcie Jedwab zwrócił się w jej stronę.

- Człowiek-szakał żyje, Rzut - odparł, nie opuszczając rąk. - Uwięziono go pod miastem. Zapewne miał być kolejnym ukrytym atutem, które Kellanved tak lubi chomikować z myślą o nagłych przypadkach.

- Słyszałam, że zrzucano go z urwiska.

- Zrzucano - potwierdził Jedwab.

- Słucham? Jestem głupia czy coś mi umknęło?

- Wielu zapewniało, że pozbawiło go życia, ale on ciągle powraca. Niektórzy mówią, że nie można go zabić. Że przetrwa dopóty, dopóki

będą istniały równiny. Ale... – Mag spojrział na trzech braci. – Są też inne teorie.

Bracia obdarzyli maga swym niepokojącym, łączonym uśmiechem. Na widok chciwego błysku w ich oczach po skórze Rzut przebiegły ciarki. Sprawiali na niej wrażenie stukniętych.

– Tak czy inaczej, Jedwab wie, jak do niego dotrzeć – oznajmił Storo.

Rzut przenosiła spojrzenie z jednej twarzy na drugą.

Bogowie, nie. Ryllandaras. Pożeracz Ludzi. Kłątwa Heng. Niektórzy uważają go za boga.

Potrząsnęła głową przerażona myślą o stuleciach rzezi.

– Nie, kapitanie. Nie rób tego. Będą przeklinać twoje imię przez wieki.

– Proszę! – Liss znowu uniosła rękę. – Przemówiła najrozsądniejsza z was.

Storo kopnął gładką czarną posadzkę.

– Rell?

Genabackanin nie śpieszył się z odpowiedzią. Zwiesił głowę.

– Nie pytaj mnie o strategię – rzekł wreszcie.

Storo zbył to zastrzeżenie machnięciem ręki. Złapał za pochwę jednego z mieczy młodzieńca i potrząsnął nią.

– Myśl taktycznie.

Rell wzruszył ramionami.

– W takim razie nie ma się nad czym zastanawiać. Toczmy pojedynek. Mamy szansę zranienia przeciwnika. Musimy ją wykorzystać.

– To mi wystarczy.

Storo skinął na Jedwabia, wskazując wyjście.

– Zaczekajcie! – Liss uniosła rękę, by ich powstrzymać. – Tu chodzi o coś więcej. Muszę przemówić jako jasnowidząca. Czyżbyś zapomniał, że Ryllandaras jest ponoć bratem Trake’a? Jednym z Pierwszych Bohaterów? Trake został bogiem wojny i wkrótce potem wojna

przybyła do Heng, by uwolnić jego brata? Czy to tylko zbieg okoliczności? Komu właściwie służymy w tej sprawie? Zastanawiałeś się nad tym?

Trzej Ahle już od pewnego czasu rozciągali kalekie usta w szerokiach, drapieźnych uśmiechach. Obłąd błyszczący w ich oczach nie pozwalał Rzut myśleć jasno. Odwróciła wzrok.

– To by się przysłużyło Trake'owi, jak sądzę.

– A może go osłabiło? Czy rzuciłby wyzwanie bratu? Czy uwolnilibyśmy jego rywala, pretendenta do pozycji boga? I jakiego rodzaju bogiem by się stał? Zapomniałeś, że Ryllandaras jest wrogiem ludzkości?

– On nie...

– ...jest...

– ...bogiem.

– Ty durniu! – Liss tupnęła obutą w sandał nogą. Marmurowa płyta pękła z hukiem godnym eksplozji pocisku Moranthów. Rzut się zachwiała. Wszyscy się wzdrygnęli, a potem umilkli zdumieni, gapiąc się na grubą kobietę odzianą w kilka podartych spódnic i brudny muslinowy szal. – Seti oddają mu cześć od dziesięciu tysięcy lat!

Storo potarł łysiejącą głowę i zerknął na pozostałych.

– W takim razie jego furia ich ominie i spadnie na taliańskie oddziały. A tego właśnie chcemy.

– Jesteś zdecydowany to zrobić?

– Tak.

Szamanka owinęła się ciaśniej szalem, kręcąc głową.

– Nie licz na moją pomoc.

– Jak sobie życzysz. Przykro mi. – Storo wskazał wszystkim wyjście, podchodząc do Rzut. – Mogą przeklinać moje imię, pod warunkiem, że będą przy tym ginać – oznajmił jej.

Zamek rodziny D'Avigów z Unty płonął w ciemnościach nocy. Płomie nie wychodziły przez okna. W ich blasku na mury donżonu padały migotliwe cienie. W miasteczku o tej samej nazwie niosły się echem krzyki oraz ostry tętent kopyt. Wickańscy łupieżcy rozpoczęli palenie i plądrowanie.

Ale nie rzeź, powtarzał sobie Rillish. Pani, proszę, jak najmniej rzezi.

Nul i Nadir bardzo stanowczo ostrzegli swoich ludzi: „Bierzcie, co chcecie, ale nie zabijajcie nikogo”. Z pewnością jednak nie obejdzie się bez ofiar. Rillish nieraz już oglądał upadek miasta i wiedział, że nie da się tego uniknąć. Takie były wymogi gorącej krwi. Niemniej ostrzeżenia bliźniaków powinny odnieść pewien skutek. Zagrozili winnym najbardziej haniebną śmiercią znaną Wickanom – utopieniem.

Rillishowi i jego malazańskiemu oddziałowi wyznaczono zadanie zabarykadowania skrzyżowania dróg na głównym trakcie biegnącym na południe. Okazało się, że znajduje się ono pośrodku przysiółka. Były tam: gospoda, korral oraz warsztat ciesielski. Rillish natychmiast kazał ludziom wynieść na drogę wszystko, co było duże i dawało się ruszyć z miejsca. Spojrzał na lunę bijącą od płonącego zamku, wyjął bukłak i zaczął pić, odchylając się do tyłu w wysokim siodle. Nogę wypełniał mu pulsujący ból. Szalona jazda przez wzgórza, a potem przez żyzne ziemie uprawne wokół Unty rozerwała świeżo zagojone mięśnie. Odszukał wzrokiem sierżanta i spojrzał mu w oczy.

– Nikt się nie może przedostać, Żyłka.

– Nie mają szans. Wśród wzgórz roi się od Wickan. Zupełnie jak w dawnych czasach.

Tak. W dawnych czasach nieustannych walk na wickańskim pograniczu. To naturalne. Centralna władza się załamuje i wszyscy szybko wracają do starych, sprawdzonych zwyczajów. Nikt się niczego nie nauczył. Rillish uniósł głowę i wyteżył słuch. Z oddali dobiegały tylko paniczne krzyki. Nie słyszał odgłosów zorganizowanego oporu. Wszystko wskazywało na to, że trzymają D'Avig w garści. Zaskoczenie

było całkowite. On miał teraz dopilnować, by ta sytuacja się nie zmieniła.

- Sierzancie.

- Słucham?

- Wybierz najświeższe konie i wyślij drużynę na południe, do twierdzy w Jurdzie. Chcę, żeby mieli ją na oku.

- Tak jest. - Żyłka wypluł zwitek rdzawego liścia. - Talia! - ryknął.
- Zbierz swoją drużynę i ruszajcie w drogę.

Rillish obejrzał się. Talia - jego kochanka, niedawno awansowana na sierżanta - zamigała do Żyłki na znak potwierdzenia, a Rillisha obdarzyła szerokim, drwiącym uśmiechem. Porucznik odwrócił się szttywno i spojrzął na żołnierzy. Czyżby uśmiechali się znacząco?

Niech szlag trafi Togga, kobieto, okaż odrobinę dyskrecji.

Gorąco pragnął spojrzeć na nią raz jeszcze, ale w tej chwili nie mógł sobie na to pozwolić. Najbardziej niebezpieczne zadanie, jakie zlecił swoim ludziom, przypadło akurat jej. Co by się stało, gdyby zmienił rozkaz Żyłki? Podważyłby jego autorytet, nie wspominając już o własnym. Nie, będzie musiał zaufać osądowi pierwszego ze swych sierżantów. I życzyć jej szczęścia Oponn.

- Poruczniku, konnica! - zawołał ktoś. - To nie Wickanie!

- Formuj szyk! - warknął Żyłka.

Podwójny szereg regularnych żołnierzy pochylił zdobyczne włócznie, tworząc tradycyjnego jeża. Rillish zerknął na okna na piętrze gospody oraz stryszki w stajni i warsztacie ciesielskim naprzeciwko. Poluzował miecze w pochwach. Wkrótce dobiegł ich tętent pędzących cwałem koni. Jeźdźcy - około dwudziestu - ściągnęli wodze przed barykadą z przewróconych do góry dnem wozów. Biało-czerwone untańskie opończe świadczyły, komu służą. Jeden z nich wyciągnął rękę.

- Usuńcie barierę, głupcy! - rozkazał. - Oślepliecie czy co? Nie jesteśmy Wickanami!

– To kim?! – odkrzyknął Rillish.

– Kim? Kim! – wrzasnął oburzony mężczyzna. Porośnięta bujna czarno-siwą brodą twarz pociemniała z wściekłości. – Jestem Dol D'Avig, durniu!

Rillish poczuł w brzuchu nagły ucisk. Niech szlag trafi Fenera, to naprawdę był on. Brat hrabiego. Poznawał go teraz. Spotkali się raz albo dwa na jakichś uroczystościach w stolicy. Porucznik napiął mięśnie brzucha i zacisnął zęby, żeby powstrzymać zawroty głowy. Był przekonany, że zostawił przeszłość za sobą, równie skutecznie jak amputowaną kończynę. Ten człowiek, czy ktoś inny... prędzej czy później musiało się to wydarzyć. Nie spodziewał się jednak, że aż tak szybko.

– Proszę cię, Dol, pomyśl o swoich ludziach. Rzućcie broń i poddajcie się.

Brat hrabiego szarpnął wodze, odciągając głowę wierzchowca na bok.

– Co? Poddac się? – Zmarszczył gęste brwi, przyglądając się uważniej zastępującym mu drogę ludziom. – Nositcie imperialne barwy. Skąd się tu wzięliście, na dupę Kaptura?

Nie stamtąd, zapewniam cię.

– Nieważne. Proszę cię raz jeszcze. Rzućcie broń.

Mężczyzna odsłonił zęby w gwałtownym uśmiechu. W umyśle Rillisha przebudziło się nagle wspomnienie czegoś, co usłyszał podczas tych koszmarne nudnych przyjęć w stolicy: „Dol D'Avig jest lepszym magiem niż jego brat hrabią”.

Niech to Królowa porwie!

Zaczerpnął tchu, by krzyknąć, ale w tej samej chwili Dol skinął krótko dłonią i nagle Rillish poczuł straszliwy ucisk w gardle. Miecze i włócznie posypały się na bruk. Wszyscy jego ludzie dławili się, łapiąc się za gardła.

W piersi Rillisha również płonęła straszliwa potrzeba zaczerpnięcia tchu. Mógł jedynie unieść miecz nad głowę. Okiennice na piętrze

gospody otworzyły się ze stukiem. Kuszniczy na stryszkach po drugiej stronie uklękli. Na untańską konnicę posypały się bełty.

Załatwcie go! Bogowie, proszę!

Rillishowi pociemniało przed oczyma. Miecz wypadł mu z rąk.

Wtem – dzięki ci, Soliel! – jego płuca wypełniło czyste, słodkie powietrze.

– Gdzie on jest? – wydyszał, gdy tylko mógł się odezwać. Wyprostował się w siodle.

– Zwiął, poruczniku. Odjechał.

– No to pędźcie za nim!

– Dokąd? – zapytał Żyłka.

Rillish zaklął, zawrócił wierzchowca i ścisnął go kolanami.

– Na południe, oczywiście!

– Poruczniku! Zaczekaj!

Rillish jednak nie zwlekał. Tylko on siedział na koniu. Tylko on miał szansę dogonić maga. Przemknął przez niewielki przysiółek, niemal natychmiast zostawiając go za sobą, i pogrążył się w niemal nieprzeniknionych ciemnościach pochmurnej nocy. Wzdłuż drogi ciągnęły się puste, płaskie pola koloru ołowiu, tu i ówdzie upstrzone czarnymi liniami niskich kamiennych murków oraz mrocznymi plamami zagajników. Noga bolała go straszliwie i wiercił się nerwowo w siodle. Twarz i szyję chłodziła mu zapowiadająca deszcz mgiełka. W miejscu, gdzie spodziewał się doścignąć zbiega, wierzchowiec zatrzymał się nagle, omal nie zrzucając porucznika na ziemię przez głowę. Rillish ścisnął mocniej konia nogami, stękając z bólu. Gdy odzyskał równowagę, drogę blokował mu jeździec. Rillish sięgnął po miecz, ale znalazł tylko pustą pochwę. Cholera! Wyciągnął lewy.

– To nie ten jeździec – usłyszał znajomy głos, należący do młodej kobiety.

Rillish wpatrzył się w ciemność.

– Nadir?

– Ruszaj. Musimy się śpieszyć.

Popędził wierzchowca kolanami, zaciskając zęby.

– Skąd...

Ach, oczywiście. Groty. Porucznik schował miecz.

– Jest niezły. Wymykał się nam przez całą noc, ale zdradził się przy waszej blokadzie.

– Ucieka na południe?

Dziewczyna potrząsnęła czarnymi, rozczochranymi włosami. Były średniej długości, nierówno ostrzyżone i mokre od potu.

– Mógłbyś pokonać całą drogę aż do Pięści i nigdzie byś go nie znalazł. Skrył się w grotach, ale mam jego zapach. Ruszaj!

Jej wierzchowiec popędził cwałem.

Rillish zaklął, popędzając spoconego konia.

– No jazda, stary. Ma bardzo ładną klacz. No jazda.

Albo Nadir ściągnęła wodze, by na niego zaczekać, albo zdołał w jakiś sposób przywrócić ogierowi wigor, bo dogonił ją po chwili i jechał tuż za nią. Obejrzała się na niego, uśmiechając się z radością córki stepów, która nauczyła się jeździć konno wcześniej niż chodzić.

– Trzymaj się, Malazańczyku!

Nie wiedząc, czego się spodziewać, Rillish się wzdrygnął i w rezultacie umknęła mu chwila przejścia. Kiedy otworzył oczy, droga zniknęła, a pola i deszczowe chmury razem z nią. Kopyta wierzchowca zapadły się bezgłośnie w głęboki mech i butwiejącą ściółkę. W srebrzystej nocy majaczyły przysadziste sylwetki drzew. Nadir ściągnęła gwałtownie wodze.

– Arogancki głupiec! Nie ma pojęcia, na jakie ryzyko się tu naraża!

– Tu, to znaczy gdzie?

Koń Rillisha dygotał. Jego mięśnie drżały z wyczerpania, a być może również ze strachu.

– W Cieniu. Wyczułam w tym, co tknął, połączenie Meanas i Mocakra. Teraz widzimy na to dowód. Ale iluzje nie uratują go przed tym.

Wskazała las.

Rillish dotknął rękojeści jedyne go miecza, który mu pozostał.

– A co to jest?

Przyjrzała mu się uważnie. W bladym blasku Cienia jej twarz pokrywały ostro odgraniczone plamy światła i ciemności. Bogowie, przypominała Rillishowi wycieńczoną matkę dziewięciorga dzieci, która zdążyła już pochować większość z nich. A przecież mogłaby być jego córką.

Dziecko, życie nie potraktowało cię sprawiedliwie.

– Co wiesz o domach Azath? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Niewiele. Znam opowieści, legendy.

– One chwytają każdego, kto jest na tyle głupi, że wejdzie na ich podwórze. Czasami używają do tego pnączy albo drzew. – Ponownie wskazała las. – Ta puszcza jest dla Cienia tym, czym tamte drzewa są dla Azath. Nikt, kto tam wejdzie, już jej nie opuści. – Przechyliła głowę i uniosła rękę, by go uciszyć. – Nasuwa się niepokojące pytanie. Co jest aż tak ważne albo trudne do uwięzienia, że potrzeba do tego całego lasu?

Rillish gapił się na dziewczynę, czy raczej młodą kobietę. Niech szlag trafi wszystkich magów z ich niepojętym, akademickim sposobem myślenia. Zlekceważył jej pytanie machnięciem ręki.

– Ucieknie nam.

– Naprawdę? – Znowu się uśmiechnęła. – Nie proszę, byś mi towarzyszył, ale czy zechcesz to zrobić?

– Tak.

– W takim razie trzymaj się blisko. Jak mawiają wasi sabotażyści, zaraz zrobi się nieciekawie.

Popędziła konia ściśnięciem kolan. Rillish zrobił to samo i westchnął przy tym z bólu. Nie miał pojęcia, jakim śladem zmierza Nadir. Zapewne był to jakiś magiczny trop pozostawiony przez manipulacje

grotami. Tak czy inaczej, przeskakiwała bez wahania nad butwiejącymi kłodami, omijała drzewa i pochylała się pod nisko zwisającymi konarami. Rillish z trudem dotrzymywał jej kroku. Miał wrażenie, że grube, bezlistne konary stają się coraz liczniejsze, być może nawet celowo zagradzają im drogę. Przed Nadir pojawiła się żółta luna, przypominająca fale rozchodzące się po powierzchni stawu. Blask odpychał na bok konary, pozwalając dwójce jeźdźców się przedostać. Wtem w oddali zabrzmiał głos, od którego włoski na karku i przedramionach porucznika stanęły dęba: gniewne ujadanie ogara. Nadir obejrzała się. Choć jej twarz była jedynie jasnym owalem, Rillish miał wrażenie, że dostrzega w oczach młodej czarownicy strach.

Po mchu i stertach dymiących liści wiły się korzenie. Koń Nadir potknął się nagle i prychnął niespokojnie. Wyprostowała się i wyciągnęła rękę.

- Tam! Porwało mu konia. Idzie na piechotę. - Ścisnęła wierzchowca kolanami, ale zwierzę tylko zatańczyło w miejscu. - Co to?

Z przodu dobiegł gniewny okrzyk. Ziemia eksplodowała, konie stanęły dęba. Rillish osłonił twarz przed fontanną ziemi i dymu. Zamrugnął, uniósł rękę nad oczy i zauważył, że Nadir stoi w strzemionach, wpatrując się przed siebie.

- Co to było?! - zawołał, przekrzykując szum wypełniający mu uszy.

- Chyba widziałam...

Wtem rozległ się donośny ryk przypominający głos byka. Obejrzel się. W lesie, obok trasy, którą tu dotarli, miało się coś wielkiego. Korzenie pękały z trzaskiem przypominającym eksplozję. Porucznik i czarownica wymienili uśmiechy, łączące wesołość z przerażeniem. Najwyraźniej las nie przebierał.

- Musimy stąd zmiatać!

Nadir pokiwała głową, ale nadal spoglądała przed siebie.

- Znowu udało mu się uciec, ale jestem przekonana, że wiem...

Wykonała nagły gest i otoczenie się zmieniło. Ciemność przeszła w szary półmrok. W tej samej chwili jej wierzchowiec wydał z siebie śmiertelny kwik.

Przejsście przypominało najgorszego kaca w życiu Rillisha. Złapał się za bolące czoło, usuwając mruganiem łzy z powiek. Gdy odzyskał jasność widzenia, przekonał się, że nadal siedzi w siodle, ale dziewczyna leży na ziemi obok kopyt martwego konia, otoczonego kłębami trzewi. Tylko połowa zwierzęcia zdołała się przedostać.

– Nadir!

Jedną ręką trzymała się za bok, a drugą wyciągnęła przed siebie.

– Łap go! – warknęła.

Rillish popędził konia kopniakiem. Przed jego oczyma przemknął obraz usianej głazami równiny i bezbarwnego nieba. Potem wierzchowiec przeniósł go poza szczyt wzniesienia i zjechał tanecznym krokiem po długim stoku na dno wąskiej, suchej doliny. Porucznik kasłał, starając się rozpędzić ręką chmurę pyłu. Piasek i kamienie osuwały się w dół obok niego. W pobliżu kasłał też ktoś inny.

Gdy pył opadł, Rillish zobaczył leżącego na ziemi Dola. Mężczyzna zaciskał obie dłonie na strzępach pustej nogawki. Spojrzał na porucznika i na jego twarzy pojawił się gniew zmieszany z odrobiną gorzkiej wesołości.

– Cholerne drzewa ucięły mi nogę – warknął, odslaniając zęby.

Rillish uspokoił się nieco i zaczął masować udo.

– Wiesz co? – ciągnął Dol tonem swobodnej rozmowy. – W pieśniach bohater przeskakuje z groty do groty i zawsze ląduje pewnie na nogach. Nigdy się nie zdarza, by trafił na przekłęte przez Kaptura zbocze i zwałił się na dupę.

Rillish skinął ze znużeniem głową.

– Podejrzewam, że minstrele nigdy tu nie byli.

Mężczyzna wyszczerzył zęby w grymasie tłumionego bólu. Przyjrzał się uważnie porucznikowi.

– Jesteś z rodziny Kethów, tak? Rillish?

– Tak.

– Przeszedłeś na stronę barbarzyńców?

– Powiedzmy, że nie zgadzam się z polityką cesarzowej.

Dol popatrzył na niego dziwnie, a potem parsknął śmiechem, który przerodził się w warknięcie bólu.

– Cesarzowej? Ach tak, jej.

Rillish przyjrzał mu się niepewnie. Chciał już zadać narzucające się pytanie, gdy nagle tamten spojrział w bok i wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Nadchodził ktoś inny, klucząc między kamieniami na dnie doliny. Nieznajomy był szczupły, miał siwe, rozczochrane włosy. Z jego sylwetki zwiślały strzępy z pewnością drogiego ongiś ubrania.

– A kto to, na ścieżki Kaptura? – zapytał Dol, jakby czytał w myślach Rillisha.

Dziwaczny mężczyzna zatrzymał się nad rannym, spoglądając na niego z szaleńczym uśmieszkiem, wyglądającym, jakby zaraz miał się przerodzić w śmiech. Dol spoglądał na niego niepewnie. Rillish złapał za rękójść miecza.

– Kim...

Nieznajomy uderzył błyskawicznie stopą, trafiając maga w gardło. Dol przesunął okrwawione dłonie z kikuta uda do szyi, wybałuszając oczy z niedowierzania.

– Niech cię szlag!

Rillish wyciągnął miecz, ale odrętwiała noga odmówiła posłuszeństwa i zsunął się z konia. Leżał na plecach jak odwrócony żółw. Stopa zaplątała mu się w strzemię.

Mężczyzna okrążył wierzchowca, potarł dłonią drżące, spocone boki zwierzęcia i przyjrzał się mu z nieskrywaną aprobatą.

– Taki upadek z konia... czy to był jakiś demonicznie przebiegły manewr, który miał mnie zaskoczyć?

Rillish nie miał pojęcia, co powiedzieć czy zrobić. Nogę miał całkowicie bezwładną. Był bezradny wobec obłąkanego, krwiożerczego żebraka.

- Nie. Po prostu spadłem i tyle.

Nieznajomy roześmiał się warkliwie.

- Lubię cię. - Zmarszczył nagle brwi. - Szkoda.

Mężczyzna podszedł bliżej. Jego brudne, rozczochrane włosy mogły być w rzeczywistości bardzo jasne, ale pokrywała je warstwa zaskorupiałego pyłu, podobnie jak ciemną skórę. Rillish zastanawiał się, czy to nie półkrwi Napańczyk. Ale jego oczy były inne... prawie nieludzkie.

- Kim jesteś?

Nieznajomy nagle rozciągnął usta w krzywym uśmiešku, który zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Kłamstwem. Zgubionym listem. Wiadomością wyszeptaną na wiatr. Strzałką rzuconą w cyklon.

To szalenie, pomyślał Rillish, oblizując wargi.

- Czego chcesz?

- Niczego, co mógłbyś... - Mężczyzna przerwał, spoglądając na stok. Uniósł brwi. - Jej się nie spodziewałem. - Być może nawet nie wiedział, że mówi na głos. - Nie, chyba jeszcze nie. - Cofnął się wskazując palcem na Rillisha. - Pani dziś ci sprzyja. Nie licz na to, że jutro będzie tak samo.

- Kim...?

Obszarpana postać zniknęła wśród głązów.

Po chwili pojawiła się utykająca Nadir. Okrążyła konia, nadal trzymając się za bok. Skinęła głową do Rillisha, a potem wbiła spojrzenie w miejsce, gdzie zniknął nieznajomy.

- Widziałas go? - zapytał porucznik, jakby wątpił w swe zdrowe zmysły.

- Tak. Rozmawiałes z nim?

- Ehe. Wiesz, kto to jest?

Skinęła powoli głową.

- Och tak. Powiem ci szczerze, Jal Keth, że poważnie się zastanawiałam, czy zejść tu do ciebie.

- No i kto to?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Lepiej, żebyś nie wiedział. Na razie. Ktoś, kto rzekomo wypadł już z gry.

Rillish nadal leżał bezwładnie na ziemi.

- Bogowie, kobieto! Mogłabyś przynajmniej pomóc mi wstać.

- Kto? Ja?

Wspólnymi siłami, po wielu próbach i błędach, zdołali się wspiać na konia. Nadir siedziała z tyłu, podtrzymując Rillisha. Zarżała cicho i wierzchowiec ruszył stępą, omijając głazy.

- W jakim królestwie właściwie jesteście?

- W Grocie Cesarskiej.

- Myślałem, że nikt już tu nie przychodzi.

- To prawda.

- Czy to możliwe, że właśnie spotkaliśmy przyczynę tego zakazu?

- Jak mogliśmy ją spotkać, jeśli nigdy tu nie byliśmy? - wyszeptła mu do ucha.

Nadir wyprowadziła ich łagodnie z groty, podczas gdy Rillish ze wszystkich sił starał się ignorować ciepły uścisk młodej czarnoksiężniczki. W niczym mu to jednak nie pomogło, gdy później, tuż przed świtem, zmęczony wierzchowiec niósł ich traktem na północ pośród zimnej mżawki i z żywoplotu przy drodze nagle wynurzyli się żołnierze. Rillish wyprostował się i zobaczył, że Talia przygląda mu się znad uniesionej kuszy. Opuściła broń, ale spojrzenie, jakim go obrzuciła, ujrzawszy, że siedzi na koniu w objęciach Nadir, było ostrzeżeniem przed ich następnym spotkaniem.

Kyle miał wrażenie, że wybrzeże tej krainy składa się wyłącznie z bezkresnych mil pustych piaszczystych plaż przechodzących w gęstą dżunglę. Ereko wprawnie przeprowadzał *Latawca* przez luki między rafami. Cały czas płynęli na północny zachód. Za nimi unosiły się czarno-białe morskie ptaki. Wyglądając za burzę, Kyle czuł się, jakby patrzył na ziemię z wielkiej wysokości. Pod nimi majestatycznie przesuwały się podmorskie koralowe góry. Słońce gorzało z gwałtownością, jakiej młodzieniec nigdy dotąd nie zaznał. Czuł się, jakby czubek jego głowy wypiekał się w piecu. Bracia powiązali rzemienie, by zrobić coś w rodzaju czapek, a Skradacz nawet zdjął zbroję i siedział tylko w skórzanym stroju. Głowę i twarz owiązał sobie szarfą niczym chustą. Tylko Wędrowiec i Ereko z obojętnością znosili straszliwy upał. Kyle'a wszystko swędziało od potu. Na całym ciele miał czerwoną wysypkę.

– Kiedy przybijemy do brzegu? – zapytał Ereka po raz kolejny, pocierając palcem spękane usta. – Zaczyna nam brakować wody.

Ubrudził sobie palce krwią.

– To niebezpieczne okolice, Kyle – odparł olbrzymi Thel Akai, z taką samą cierpliwością jak za pierwszym razem. – Musimy być ostrożni.

Ostrożni! Chłopak omal nie wskazał dziobu, gdzie Wędrowiec leżał w cieniu żagla. Kiedy mamy na pokładzie takiego szermierza? I ciebie, olbrzymia prawie dwa razy wyższego niż człowiek? I trzech weteranów z Assail, którzy zdezerterowali z Karmazynowej Gwardii, bo im się tam nudziło? Bogowie i duchy, cóż to mogła być za kraina?

Nadal nie przybijali do brzegu, nawet gdy wytrząsnęli już ostatnią kroplę wody z ostatniej beczułki. Złoty blask popołudnia przeszedł w czerwony zachód słońca, który jak zwykle w tych stronach zjawił się okropnie nagle. Młodzieniec omal nie zapytał po raz kolejny, dlaczego Ereko nie chce wylądować i czy będą tak dalej płynąć, aż wreszcie

umrą z pragnienia, lecz nagle uświadomił sobie, że nikt inny nie zadaje takich pytań. Wszyscy, nawet zawsze niezależny Skradacz, ufali doświadczeniu olbrzyma. Kyle zacisnął zęby, opierając się o ciepłe, wilgotne i teraz również pleśniejące deski burty.

Zapadał zmierzch. Chłopak zasnął na chwilę w wilgotnym upale, lecz obudziło go chrząknięcie jednego z braci Zagubionych. Wszyscy patrzyli przed siebie. Młodzieniec usiadł prościej. W oddali, na długiej, niskiej mierzei, paliły się pochodnie. Za nimi stał wielki namiot. Nocny wietrzyk wydymał lekko cienką tkaninę jego boków. Ereko skierował dziób w stronę brzegu.

Wędrowiec wstał, poprawił prostą, wyściełaną kolczugę, którą wkładał pod ciemne skóry, i przypiął długi, ciemny miecz o czarnej rękojeści. Kyle nie potrafił oderwać spojrzenia od tej broni. Dziób uderzył o piasek i Wędrowiec wyskoczył do wody, by unieruchomić stateczek. Skradacz i bracia podążyli za nim. Wspólnymi siłami wypchnęli łódź tak daleko na plażę, jak tylko zdołali. Kyle przypiął tulwar i zeskoczył na mokry piasek. Ereko wysiadł na łąd nieuzbrojony. Gdy tylko dotknął stopami ziemi, znieruchomiał na chwilę, opuszczając głowę. Kyle słyszał, że olbrzym szepcze coś, coś mogło być modlitwą. Kiedy się wyprostował, zaciskał mocno uśmiechnięte zwykle usta, a na jego czole pojawiły się bruzdy. Robił wrażenie kogoś, kto stoi przed próbą. Wędrowiec ruszył pierwszy w stronę namiotu.

Gdy podeszli bliżej, z otwartego wejścia wynurzył się mężczyzna, wysoki i bardzo tłusty. Jego jaskrawe jedwabne szaty lśniły w blasku pochodni. Okrągłą głowę miał gładko wygoloną, a cerę barwy naolionego żelaznego drewna. Pokłonił się uprzejmie.

- Witajcie wszyscy w krainie, którą zwiecie Jacuruuku – rzekł, przemawiając po taliańsku z silnym akcentem.

W namiocie na piasku rozłożono dywany. Obszerne wnętrze oświetlały lampy ustawione na wielkich żelaznych trójnogach. Wszędzie leżały poduszki, a także srebrne tace z nakrytymi miseczkami, kubkami i karafkami. Wędrowiec usiadł ze skrzyżowanymi nogami na jednej z poduszek. Ich gospodarz zajął miejsce naprzeciwko niego. Skradacz, Wieszka i Głusza zbili się w grupkę, rozglądając się niespokojnie. Namiot był tak wielki, że zmieścił się w nim nawet Ereko. Olbrzym usiadł obok wejścia, a Kyle spoczął obok niego.

– Pozdrawiam was wszystkich serdecznie – ciągnął grubas. – Proszę... jedzcie i pijcie. Nazywam się Jhest Golanjar. Zastanawiacie się, skąd znam wasz język. To prostota. Mówili nim żołnierze armii, która przed kilkoma dziesięcioleciami podbiła sąsiednie królestwo. Władają nim jako kasta wojowników-arystokratów wymuszających posłuszeństwo mieczem i magią. A wszystko to w imię starożytnej bogini owej krainy, królowej Ardaty. Czy ich znacie?

Ich gospodarz z pozoru przemawiał do wszystkich, ale spojrzenie ciemnych, błyszczących oczu cały czas wlepił w Wędrowca.

– Nie – wymamrotał Wieszka z ustami pełnymi chleba z mięsnym sosem.

– W naszej mowie zwiemy ich *Isturé Forlan Edegash* – ciągnął nieporuszony Jhest. – W waszym języku znaczy to Karmazynowa Gwardia – wyjaśnił, wskazując tłustą łapą Kyle'a.

Młodzieniec wytrzeszczył oczy. Nagle przypomniał sobie, że wciąż ma przypięte do piersi godło. Twarz mu poczerwieniała ze wstydu.

Czemu go nie wyrzuciłeś, ty durniu?

– Czy to znaczy, że jesteście wrogami? – zapytał Wędrowiec. Przemawiał cicho, ale Kyle nauczył się już odczytywać jego nastroje i usłyszał ukryte w pytaniu ostrzeżenie.

Jhest uśmiechnął się szeroko i swobodnie, ale dziwnie beznamiętnie. Uniósł obie ręce.

– Bynajmniej. Podziwiamy *Isturé* za ich osiągnięcia.

– To znaczy? – zapytał Ereko.

– Posunęli się bardzo daleko na ścieżce, która jest naszą... jakby to ująć... naszą pasją – odpowiedział Jhest, nawet nie spoglądając na Thel Akai, jakby olbrzym w ogóle nie istniał. – To przedmiot zainteresowań i badań naszych braci oraz sióstr.

– A co to za ścieżka? – zainteresował się Skradacz.

Na twarzy gospodarza znowu pojawił się szeroki, lecz dziwnie pusty uśmiech. Mężczyzna ani na chwilę nie odrywał spojrzenia czarnych oczu od Wędrowca.

– Ależ Ścieżka Ascendencji, oczywiście.

* * *

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Głusza i Wieszka jedli głośno, a Skradacz wziął podplomyk i oderwał spory kęs. Kyle nalał sobie płynu, który okazał się słodzoną wodą. Wędrowiec dotknął ręką czoła i westchnął.

– Dziękujemy za gościnność, Jhest. Jesteśmy zmęczeni i musimy się przespać. Może jutro moglibyśmy pozawracać ci głowę prośbami o wodę i zapasy?

– Oczywiście. – Grubas wstał i wygładził szaty – A więc do jutra. Dobranoc.

Pokłonił się i wyszedł z namiotu.

Skradacz przełknął kęs, spojrzął Głuszy w oczy i wskazał głową wyjście. Mężczyzna wyjrzał na zewnątrz.

– Poszedł sobie.

– Jest tam ktoś? – zapytał Skradacz.

– Trudno wyczuć. Cholernie tu ciemno. Ktoś pewnie jest.

Skradacz chrząknął i skinieniem nakazał Wieszce wyjść.

– Wy dwaj pierwsi staniecie na straży.

Wieszka łypnął nań spode łba i wyszedł z tacą na dwór.

– No jasne. Pierwszy porządny posiłek od miesięcy...

Skradacz przeniósł spojrzenie na Ereka.

– Co o tym sądzisz?

Cały ten czas Wędrowiec posilał się, opuszczając wzrok. Mogłoby się wydawać, że na niczym już mu nie zależy i pogodził się ze wszystkim, co może go spotkać. Albo był to żaloszny fatalizm najgorszego rodzaju, albo oświecone zrozumienie, że oczekiwania, plany i ambicje są jedynie ulotnymi złudzeniami, które w ostatecznym rozrachunku niczego nie zmieniają. Kyle'a irytował fakt, że nie potrafi zdecydować, która z tych możliwości jest prawdą.

Ereko uniósł garnek z gęstą żółtą substancją. Młodzieniec pomyślał, że to pewnie jogurt. Olbrzym powąchał zawartość i odstawił naczynie.

– Oczywiście nie byłem tu od bardzo dawna, ale słyszałem pogłoski. Niewykluczone, że są prawdą. Tą częścią kontynentu włada magokracja, oligarchia złożona z potężnych magów, poświęcających wszystkie swe zasoby i możliwości zgłębianiu tajemnic ascendencji. Są oni ponoć mistrzami ścieżki Denul, a nawet przeprowadzają przerażające operacje oraz eksperymenty na swych poddanych, by opanować ją w jeszcze większym stopniu. Z pewnością uważają ascendencję za drogę do władzy, nieśmiertelności i tak dalej.

– A mimo to cię zlekceważył – zauważył młodzieniec.

Ereko roześmiał się.

– Mnie ascendencja nie interesuje, Kyle. Dla nich zapewne jestem tylko żaloszny nieudacznikiem i nikim więcej.

– Jesteś najstarszą ze wszystkich żyjących na świecie istot, Ereko – oznajmił nagle Wędrowiec. – Ojcem nas wszystkich.

– Ojcem? – powtórzył chłopak z wyraźnym zdumieniem i zachwytem.

Olbrzym zbył te słowa machnięciem ręki.

– Nasz przyjaciel użył przenośni, Kyle. Gdy mówi się o tak starożytnych czasach, nie ma innego wyjścia niż uciec się do języka poezji. Stąd biorą się legendy, mity, relacje o stworzeniu świata, historia.

Wszystko to jedynie opowieści, stworzone celem usprawiedliwienia obecnego stanu rzeczy.

Skradacz zatoczył oczyma i pociągnął łyk.

– Miałem nadzieję, że usłyszę jakieś użyteczne informacje.

Ereko parsknął śmiechem, uśmiechając się z zażenowaniem.

– Przepraszam, masz rację. Przejdźmy do rzeczy. Są wewnętrznie rozdarci. Chcieliby nas zaatakować, ale, rzecz jasna, obawiają się naszych możliwości. Pytanie: które stronnictwo przeważy? Zwolennicy ostrożności czy zwolennicy czynu.

– Ci drudzy – odezwał się Wędrowiec. Nadal siedział z opuszczoną głową, wpatrując się w jeden z nieznanych żółtych owoców rosnących w tej krainie. – Gdy stanie się jasne, że zamierzamy odpłynąć, mała grupka weźmie sprawy w swe ręce i ruszy do ataku. Gdy już to się stanie, pozostali nie będą mieli innego wyboru, jak podążyć za nimi.

Chłopak gapił się na niego, nie mogąc zaczerpnąć oddechu.

– Widziałeś to?

Wędrowiec uniósł wzrok i popatrzył mu w oczy. Intensywność tego spojrzenia zmusiła młodzieńca do odwrócenia głowy. Zdażył jednak zobaczyć w oczach tamtego studnię przerażających emocji, tłumionych z niemal nadludzką siłą.

– Widziałem takie rzeczy już wiele razy, Kyle.

Ereko wskazał poduszki.

– Prześpij się, chłopcze. Przypadnie ci ostatnia warta.

Kyle najadł się do syta i siedział wygodnie na miękkiej poduszce. Powieki już mu opadały. Położył się bez słowa sprzeciwu. Jeśli coś się wydarzy, Ereko na pewno go obudzi. Zasnął niemal natychmiast.

* * *

Ktoś trącił Kyle'a w stopę, wyrывая go ze snu. Skradacz spojrział nań z góry, skinął dłonią i wyszedł z namiotu.

Chłopak złapał zbroję, hełm i pas z bronią, a potem podążył za nim. W bladym, rozproszonym świetle przedświtów morze wydawało się dziwnie płaskie, plaża była opustoszała, a dżungla pozostawała mroczną tajemnicą. Zwiadowca rozpiął rzemień wysokiego, stożkowego hełmu.

- Było spokojnie - mruknął.

Kyle wciągnął skórzaną kurtę wyszywaną żelaznymi pierścieniami na lnianą koszulę i przesywanicę, a potem poprawił nogawice.

- Nie widziałeś nikogo?

- Jeśli nie liczyć otaczających nas żołnierzy.

- Co? Kiedy?

Skradacz wzruszył ramionami.

- Kto wie? Może za chwilę. Wszka obserwował ich przez całą noc. Mówi, że coś jest z nimi nie w porządku. Żaden nie ruszył się z miejsca. Nawet po to, żeby się odlać. Uważa, że to bardzo nienaturalne zachowanie dla żołnierzy. - Zwiadowca zatoczył krąg ręką. - Może uda ci się ich wypatrzeć, na wydmach i na skraju lasu.

Schowal się w namiocie. Jego warta dobiegła końca. Kyle poprawił ciężki tulwar u lewego boku i włożył hełm. Po raz tysięczny poczuł żal, że nie ma tarczy, łuku albo chociaż garści oszczepów. Gdy przymrużył powieki, udało mu się zauważyć wysokie, mroczne postacie, stojące nieruchomo jak drzewa w poprzedzającej świt mgle. To były wielkie skurczybyki i najwyraźniej bardzo zdyscyplinowane. Nie uśmiechała mu się myśl o walce z nimi.

Podczas całej warty Kyle'a nic się nie wydarzyło. Nadszedł dzień i słońce uniosło się nad dżunglę niczym kula ognia. Chłopak był zachwycony tym widokiem, nieprzypominającym niczego, co mógł zobaczyć na prerii. Mogłoby się здаwać, że cała dżungla na wschodzie płonie. Po pewnym czasie z namiotu wyszedł Wędrowiec. Wysoki szermierz związał długie, czarne, kręcone włosy w kucyk i skinieniem głowy zaprosił chłopaka do namiotu.

- Zjedz śniadanie.

Nad resztkami posiłku siedzieli Głusza i Weszka, ostrząc broń małymi osetkami wchodzącymi w skład ich ekwipunku. Głusza pracował nad dwoma długimi nożami, a Weszka nad jednosiecznym mieczem z długą, dwuręczną rękojeścią. Wydobyli z bagażu również hełmy – z żelaza i brązu, o zasłonach przechodzących w nosale.

– Dawno ich nie widziałem – zauważył Kyle.

– Bo dawno nie toczyliśmy otwartej walki – wyjaśnił Weszka. – Wolimy ich unikać.

– Ehe – poparł go Głusza, wkładając hełm. – To dlatego, że można w nich zginąć.

Kyle omal nie parsknął śmiechem. Na głowie kudłatego, muskularnego mężczyzny hełm wydawał się o dwa numery za mały. Głusza wyglądał w nim jak byk z garnkiem na łbie. Chłopak opanował się jednak. Doszedł do wniosku, że sam z pewnością nie prezentuje się lepiej w skleconej z niedobrych kawałków zbroi. Wyciągnął tulwar i przyjrzał się jego klindze. Broń była tak samo ostra jak tego dnia, gdy Dymek umieścił na niej swe inskrypcje. Nic nie było w stanie jej zarysować. Chłopak spojrzał na Ereka. Siedzący ze skrzyżowanymi nogami olbrzym nie miał żadnej broni.

– Gdzie twoja włócznia?

Thel Akai uniósł wzrok. W jego złocistych oczach rozbłysło coś, co przeniknęło do serca Kyle'a. Szybko jednak zniknęło, a na usta olbrzyma wrócił znajomy, chłodny uśmiešek.

– Nie tutaj, Kyle. Nie w mojej ojczyźnie.

Bracia nadal trudzili się nad ekwipunkiem. Skradacz sprawdził kolejno położenie każdej swojej broni. Chłopak nigdy by się nie domyślił, że zwiadowca ma tego aż tak wiele. Zastanawiał się, na co czekają, ale nagle do namiotu wrócił Wędrowiec i Kyle wszystko zrozumiał.

Szermierz przyjrzał się kolejno każdemu z nich. Jego twarz pociemniała od skłębionych emocji, których Kyle nie potrafił nazwać. To było coś w rodzaju niecierpliwego gniewu, być może nawet niesmaku. Bruzdy wokół jego ust stały się głębokie jak blizny. Mężczyzna

skinął głową i bracia Zagubieni podbiegli do wejścia, stając po jego obu stronach z rękami na rękojeściach broni. Skradacz wyszedł na dwór pierwszy. Za nim podążył Wędrowiec, a potem Kyle i Ereko. Bracia zamykali kolumnę.

Jhest czekał na nich na plaży nieopodal *Latawca*. Stał obok sterty owoców, produktów żywnościowych oraz beczulek, zapewne zawierających wodę. Towarzyszyli mu wysocy żołnierze, ustawieni w szeroki półokrąg. Nie nosili żadnych mundurów ani barw, tylko dziwne zbroje z mozaiki małych kamyków. Każdy z nich miał nieco inny odcień zieleni, od ciemnej, niebieskozielonej barwy morza aż po jasnooliwkową. Twarze mieli całkowicie skryte za hełmami, a dłonie w rękawicach. Wszystko to wykonano z takich samych kamyków. Broń wisząca u ich pasów była schowana w drewnianych pochwach z zapinkami z kutego brązu. Sądząc z ich kształtu, miecze były krzywe i chyba zwały się ku końcowi.

Jhest pokłonił się.

– Mam nadzieję, że dobrze się wypalicie i jesteście wypoczęci. Proszę, nie czujcie się zaniepokojeni obecnością naszych żołnierzy. Przybyli tu, by pomóc załadować wszystko na statek. Z pewnością wydają się wam nieco znajomi, tak? Inspiracją dla stworzenia ich stały się liczne odkrycia sojuszników Malazańczyków, Moranthów.

– Tak – odpowiedział krótko Wędrowiec. – Dziękujemy za prowiant i wodę. Pora odpłynąć.

– Skoro tak mówisz. Muszę cię jednak prosić, byś ponownie rozważył swój cel.

Wędrowiec, który pochylał się nad beczułką, wyprostował się nagle i spojrzął na Jhesta.

– Tak?

Ereko wziął dwie beczułki pod pachy i przystąpił do załadunku. Kyle i bracia Zagubieni otoczyli pierścieniem Wędrowca.

– Chyba nie wierzysz, że naprawdę ci się uda, co? To niemożliwe. Zmarnujesz swe życie w próżnym geście. Twoja zuchwałość to coś

więcej niż arogancja. To smutne marnotrawstwo.

Wędrowiec milczał przez pewien czas. Kyle odwrócił się plecami do rozmawiających, obserwując żołnierzy. Tylko słyszał ich rozmowę. Stał pewnie – piasek zrobił się dziwnie miękki i luźny, zupełnie inny niż w chwili, gdy przybili do brzegu. Wędrowiec w końcu odpowiedział, tak cicho, że chłopak ledwie go słyszał.

– Nie stawaj między mną a moją zemstą, Jhest, bo moją odpowiedź odczujesz nie tylko ty, ale również wszyscy, którzy z tobą rozmawiają i którzy zapewne słuchają nas w tej chwili. Rozważ to! – zakończył krzykiem, zaskakując Kyle’a.

– To właśnie jest pytanie, tak? – odparł Jhest, nadal przemawiając niesamowicie spokojnym, beznamytnym głosem. – Czy staniemy między tobą a twoim celem, jeśli zrezygnujesz z osiągnięcia go? To interesujący filozoficzny problem. Być może daje nam to miejsce na podjęcie ryzyka.

– Skończyłem! – zawołał Ereko.

Kyle i Skradacz zaczęli się przesuwać tyłem w stronę łodzi.

– Ryzykujecie znacznie więcej, niż jesteście w stanie pojąć – oznajmił Wędrowiec głosem bliskim żalu.

– W przeciwnym razie nie można by mówić o ryzyku.

Plaża zatrzęsa się nagle pod sandałami Kyle’a. Piasek zaczął płynąć. Nogi młodzieńca zapadły się po łydki. Podskoczył, by nie stracić równowagi. Jego uwagę przyciągnął przerażony krzyk Ereka. Wędrowiec zniknął. Kyle gapił się na olbrzyma, który patrzył na piasek.

– Nie – wyszeptał przerażony Thel Akai. – Wy, głupcy! – ryknął do Jhesta. – Nie macie pojęcia, z kim, czy raczej z czym, zaczęliście!

– Co się wydarzy albo nie wydarzy w jakimś odległym kraju, nic nas nie obchodzi – odparł mag i skinął dłonią.

Z pochew wszystkich żołnierzy wysunęła się broń. Ereko opadł na kolana i wcisnął dłonie w piasek.

– Zaprowadź go na pokład – warknął Skradacz, wyciągając broń.

Kyle złapał olbrzyma za ramię, ale równie dobrze mógłby ciągnąć pień drzewa. Erek wyrwał mu się z uścisku, rozgrzebując ustępliwy piasek.

- Chyba nie sądziliście, że będziemy tak głupi, by krzyżować z nim miecze, co? - zapytał Jhest głosem tak samo obojętnym jak podczas wczorajszej rozmowy.

- Och, zabij skurwysyna i tyle - warknął Skradacz, oglądając się przez ramię. Kyle zignorował go, kładąc dłoń na ramieniu olbrzyma.

- Proszę, musimy uciekać!

Żołnierze ruszyli do ataku, wymachując mieczami. Bracia Zagubieni nie cofali się przed nimi, parując jeden cios po drugim. Po ich ripostach kamyki sypały się na piasek.

Bezbarwny uśmiezek Jhesta zwarzył się wyraźnie. Na jego głodkim czole pojawiły się bruzdy.

- Co to jest? - wyszeptał.

Ereko uniósł głowę. Młodzieńcem wstrząsnęła furia gorejąca w złocistych oczach olbrzyma.

- Wasza koteria popełniła błąd. Nie trzeba było wybierać D'riss. Każdą inną grotę, tylko nie tę. Najwyraźniej zapomnieliście, kim naprawdę jestem.

- Jesteś Thel Akai. Członkiem starożytnej rasy mieszkańców tej krainy. Bezużyteczną pamiątką smętnej przeszłości.

- A kim byliśmy, nim nadaliśmy sobie nazwę? Nim powstały inne istoty rozumne? Nasi przodkowie byli dziećmi ziemi!

- Kyle! - zawołał Skradacz.

Jeden z żołnierzy złapał Głuszę w niedźwiedzim uścisku. Mężczyzna uderzał długimi nożami w opancerzonego olbrzyma, ale bez rezultatu. Kyle rzucił się do ataku, wyciągając tulwar. Broń przebiła z nieprzyjemnym zgrzytem kamienną powłokę. Na pół obcięta kończyna zwisała bezwładnie. Z rany trysnęła czarna krew, gęsta jak smoła. Głusza wysunął się z uścisku i padł bezwładnie na ziemię. Młodzie-

niec gapił się na to ze zdumieniem. Był tak zaskoczony, że omal nie stracił głowy, gdy drugi opancerzony olbrzym zamachnął się ociężałe mieczem. Pochylił się i wyprowadził oburęczne cięcie na wysuniętą do przodu nogę przeciwnika, tnąc ją w kolanie. Żołnierz zwałił się na piasek, poruszając kończynami jak przewrócony na grzbiet chrząszcz.

- Co? Jak to możliwe?

Jhest wytrzeszczył oczy.

Kyle podskoczył do jednego z trzech żołnierzy powstrzymywanych przez Skradacza, uciął mu rękę w łokciu, a cofając broń, skaleczył go jeszcze w nogę.

- Nie! - ryknął Jhest. - Nie jesteś z *Isturé!*

Kyle bez wahania rąbał kolejnych ociężałych olbrzymów. Żaden z nich nie wydał dźwięku ani nawet nie wzdrygnął się przed atakiem, choć nie ulegało wątpliwości, że są zgubieni. Gdy padli na piasek, bracia ich dobijali.

Załatwiwszy ostatniego, Kyle zwrócił się w stronę Jhesta. Był wyczerpany, ręce miał odrętwiałe od potężnych uderzeń, w które wkładał całą siłę. Mag z Jacuruku popatrzył na niego.

- Nie powinieneś być w stanie tego dokonać - stwierdził bezbarwnym głosem. - Z tego wynika, że to miecz. Pozwól mi go obejrzeć.

- Pozwól mi go zabić - poprosił Kyle'a dyszący ze zmęczenia Skradacz.

- Jeszcze nie. - Młodzieniec podszedł do Ereka. Olbrzym nadal klęczał, ręce zapadły mu się po łokcie w piasek. - Co mamy zrobić? - zapytał błagalnym tonem.

Ereko nie odpowiedział. Powieki i zęby miał zaciśnięte, a usta wykrzywione z wysiłku.

- Prawie - wydyszał. - Prawie...

Jhest klasnął w dłonie i wywarczał jakiś rozkaz. Skradacz uniósł miecz.

- Zaczekaj! - zawołał Kyle.

- Dlaczego to gówny jeszcze żyje? – zapytał zwiadowca.
- Masz cholerną rację – poparł go Głusza.
- Dlatego że możemy go potrzebować.
- A po co?
- Żeby uwolnić Wędrowca.

Po chwili wahania Skradacz schował miecz.

- Niech szlag trafi Mrocznego Łowcę!

Jhest traktował to wszystko z obojętnością. Wpatrywał się w odległą dżunglę, rozciągając mięsiste usta w asymetrycznym uśmiešku.

Po skórze Kyle'a przebiegł mroźny dreszcz. Odwrócił się powoli, spoglądając w tę samą stronę, co mag.

- Kłopoty – stwierdził lakonicznie Weszka i splunął.

Z lasu, wzdłuż całej plaży, tak daleko, jak Kyle mógł sięgnąć wzrokiem w dwie strony, wyłonili się opancerzeni żołnierze, tacy sami, jak ci, którzy leżeli porażeni na kawałki wokół nich. Były ich dziesiątki, setki.

- Erek!

Olbrzym nie odpowiadał.

- Nie macie innego wyboru jak go zostawić – zauważył obojętnym tonem Jhest.

Skradacz warknął wściekle, wyciągnął miecz i przeszył brzuch grubasa. Jhest nawet się nie wzdrygnął. Popatrzył spokojnie na sterczącą ze swego ciała broń i uniósł brew.

- Przekonasz się, że znacznie trudniej zabić mnie niż moje sługi.

Skradacz cofnął się o krok. Oręż wysunął się z ciała z młaśnięciem. Błyszczał od gęstej, przejrzystej posoki.

- Kyle...

- Zaczekaj!

Erek stęknął z wysiłku i zaczął wyciągać ręce z piasku. Dłonie zaciskał na ramieniu Wędrowca. Plaża się zatrzęsła i nawet Jhest zachwiał się na nogach.

– Nie! – ryknął. – To niemożliwe!

Pod stopami olbrzyma pojawiła się szczelina, rana wiodąca w ciemność. Piasek znikał w coraz potężniejszym wirze prowadzącym w... czarną pustkę. Kyle pochylił się, chcąc pomóc przyjacielowi.

– Nie – wydyszał Erek. – Wciągnie cię.

Pojawiła się druga ręka Wędrowca. Dyszący z wysiłku olbrzym wyprostował nogi i wyciągnął mężczyznę na powierzchnię. Pustka zniknęła z hukiem głośnym jak wybuch pocisku Moranthów. Wstrząs odbił się echem od granicy dżungli. Wędrowiec leżał na piasku, Erek zaś wyprostował się, oddychając głośno.

– Nadal na nas idą – wycedził Weszka.

Szermierz wstał. Jhest gapił się na niego z chciwym zainteresowaniem bliskim żądzy.

– Żyjesz – wydyszał zdumiony.

Wędrowiec rozprostował ramiona, krzywiąc się z bólu.

– Moje życie należy teraz tylko do mnie, magusie. Nikt inny nie może już mi go odebrać.

Te słowa wprawiły grubasa w zachwyt. W jego oczach zapłonął ogień, a usta rozciągnęły się w żabim uśmiechu.

– A więc to prawda! To możliwe!

Wydawało się, że Wędrowiec skinął tylko dłonią i głowa maga spadła na piasek.

– Nie dla ciebie – skwitował i schował miecz.

– Pora stąd zwiewać – zasugerował Weszka.

Kyle zamrugał, spoglądając na bezgłowe ciało maga, nadal stojące nieruchomo na piasku. Odnosił niepokojące wrażenie, że gdyby go dotknął, spróbowałoby go złapać. Spojrzał w bok i zobaczył, że armia opancerzonych żołnierzy jest już bardzo blisko.

– Uciekajmy!

Wszyscy wzięli się do roboty i po chwili wpełnęli *Latawca* do wody. Bracia Zagubieni wsiedli na pokład. Kyle zauważył, że Erek

obejrzał się i zawrócił z przekleństwem na ustach. Wędrowiec został na brzegu.

Kyle również zaklął i skoczył do wody. Gdy dotarł na brzeg, Ereko błagał przyjaciela:

- To nic nie da!

- Odpuście - odparł Wędrowiec. - Policzę się z nimi i z ich panami również.

- Nie ma takiej potrzeby! - zawołał bliski też olbrzym.

- Stanęli między mną a moją zemstą.

- Wędrowiec! - warknął Kyle.

Ciemnoskóry szermierz oderwał wzrok od zbliżających się nieubłagane żołnierzy i popatrzył ze zdziwieniem na chłopaka.

- Słucham!

- Twoja zemsta jest gdzie indziej, tak?

Cofnął dłoń od rękojeści i potarł czoło. Potem zacisnął powieki, masując je palcami.

- I co?

Pierwszy szereg żołnierzy dotarł do ciała Jhesta i stratował je. Wszyscy wyciągnęli broń. Szczęk żelaza poniósł się echem wzdłuż granicy drzew. Wędrowiec pozwolił, by Ereko odciągnął go do morza.

- Tak. Gdzie indziej... - wyszeptał z dezorientacją w głosie.

Fale unosiły ich; skórzany strój Wędrowca pociemniał od wody. Ereko nadal ciągnął szermierza do tyłu. Kyle posuwał się z wysiłkiem w stronę łodzi. Obejrzał się i nagle ścisnęło go w piersi. Przypominający posągi żołnierze weszli bez wahania w morskie fale.

- Nie zatrzymujcie się!

Kuzyni wyciągali do nich ręce, ale olbrzym je odtrącił.

- Trymujcie żagle!

Kyle wskoczył na burtę i złapał linę. Ereko obejmował ramieniem Wędrowca, który nadal zwieszał głowę i zaciskał powieki. Żagiel złapał wiatr z głośnym łopotem. *Latawiec* pociągnął Kyle'a. Żołnierze

maszerowali przed siebie, ich kolejne szeregi znikwały w morskich falach. Zwisający z burty chłopak unosił nogi nad wodę tak wysoko, jak tylko mógł.

* * *

Niecierpliwie uderzenia w ścianę korytarza tuż obok jego niszy odebrały uwagę Ho od posiłku złożonego z gotowanych jarzyn i przaśnego chleba. Odsunął szmatę zasłaniającą wejście z gniewnym warknięciem na ustach, ale nie zobaczył nikogo. Opuścił wzrok i ujrzał zgiętą w pół postać Su, starej wickańskiej czarownicy. W kopalni krążyły pogłoski, że kobieta zasiadała kiedyś w najwyższych plemiennych radach swego ludu.

– O co chodzi, Su?

Zacisnęła smagłe, sękaty dłonie na lasce nie dłuższej od jego przedramienia. Palce miała powykęcane, ich stawy zniekształciły obrzęki często występujące u starców, którzy nie mogli sobie pozwolić na skorzystanie z Denul albo nie mieli do niej dostępu. Uniosła głowę, spoglądając na Ho jednym okiem, czarnym i paciorkowatym jak u przysłowiowej wrony.

– Tak sobie pomyślałam, że chciałbyś się o tym dowiedzieć. Złapali tych dwóch nowych. Malazańskich szpiegów. Węszyli w kopalni. Yath chyba zamierza ich zabić.

Wstrząśnięty Ho poderwał się nagle.

– Zabić? A jak chce to zrobić, na cycki Togga? Zagada ich na śmierć?

Zachichotała.

– Ha! To było niezłe. Nie wiem jak. Planuje ich przedstawić naszemu gościowi na dole.

Przedstawić? Słodka Soliel, nie. Kto wie, co może z tego wyniknąć.

– Wezmę ubranie. Serdecznie dziękuję, Su.

– Och, pójdę z tobą.

Przystanął w tunelu, by włożyć kamizelkę i sandały.

– Raczej mi się śpieszy.

Wickańska czarownica zastukała laską w nierówne ściany chodnika i machnęła pogardliwie ręką.

– E tam! Nie ma potrzeby. Wiesz, jak to zawsze wygląda. Każdy musi rzucić do ognia swoją gałązkę. Będą gadać przez całą nocną wachtę.

Dotarli do szerokiej głównej galerii i Ho z zaskoczeniem przekonał się, że jest niemal opustoszała.

– Gdzie są wszyscy?

Su dźgnęła laską ubitą ziemię podłóża.

– Już ci mówiłam, durniu! Na dole!

Skręciła w boczną galerię i ruszyła przed siebie. Ho zatknął ręce za szarfę podtrzymującą stare pantalony. Stracił wiele na wadze i zrobiły się zdecydowanie za luźne.

– I nikt nie przyszedł mnie zawiadomić...

– Ja przyszłam! Bardzo ci dziękuję!

– Nikt oprócz ciebie, Su.

Wsparła się ciężko na lasce, oddychając z wysiłkiem.

– Biedny Ho. Chyba nie wierzyłeś, że możesz się po prostu usunąć na bok, co? Yath szeptał przeciwko tobie od lat! Nieustannie podważał twój autorytet! Nie zauważyłeś tego?

Wzruszył ramionami.

– Nie...

– Też coś! Ty ślepy idioto! Nie nadajesz się na intryganta, co? – Westchnęła. – No cóż, wszyscy mamy mocne i słabe strony. Wychodzi na to, że muszę pracować z materiałem, którym przekleli mnie drwiący bogowie.

Zatrzymał się nagle.

– Być może innym imponują twoje insynuacje i niejasne aluzje, Su, ale ja nie mam czasu na takie rzeczy.

Czarownica dogoniła go, spoglądając w bok.

- Oho! Trochę werwy! A więc jednak masz jeszcze kawałek kręgosłupa!

Powstrzymał się od uwagi, że kto jak kto, ale ona z pewnością nie powinna wspominać o kręgosłupach. Zabrał z pobliskiej niszy pełną oleju lampę, zapalił ją od drugiej i wszedł do stromego bocznego chodnika wyposażonego w linę ułatwiającą schodzenie. Ruszył na dół pierwszy, Su sapłała za jego plecami. Strącane przez nich kamyki toczyły się w dół z cichnym w oddali stukotem. Płomień lampy chwał się na gorącym, wilgotnym powiewie, cały czas napływającym z dołu.

- No dobra - odezwał się po pewnym czasie Ho. - Co miały znaczyć twoje słowa?

Z ciemności nad nim dobiegł chichot.

- Ha! Potrzebujesz więcej czasu niż ktokolwiek inny, by przyznać, że jesteś człowiekiem, tak samo jak my. To ma sens! Ha!

Ho zwolnił kroku.

Czy ta wiedźma po prostu rzuca strzałki w ciemność? Każda z nich trafia niepokojąco blisko celu...

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

Uderzyła laską o ziemię.

- Och, daj spokój! Ruda powstrzymuje rzucanie nowych czarów, ale stare się utrzymują! Czuję... twój... zapach... Ho.

Królowo, nie. Zamarł.

- To nie było miłe, Su. Mamy tu bardzo mało wody.

W migotliwym blasku lampy ukazała się pociągła twarz staruchy. W jej czarnych oczach odbijał się płomień. Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Czuję woń starego rytuału, magusie. Zakazanego. Jak zdołałeś tego dokonać? Wszyscy sądzą, że to zapomniana wiedza.

I musi taką pozostać.

Znowu ruszył w dół.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– Proszę bardzo! Jak sobie życzysz. Widzę, że o zaufanie jest wśród nas tak samo trudno jak o inicjatywę. Nie mam ci za złe twojej ostrożności, ale gdybyś zechciał, mógłbyś zakończyć tę farsę na dole. Wystarczy, byś obudził choć drobną cząstkę tego, co w tobie śpi, magusie. Jestem przekonana, że to możliwe, pomimo rudy.

Możliwe! Tak, niewykłuczone, że masz rację. Ale przebudziłbym też obłąd. A ja nie lubię obłądu, czarownico. Bardzo nie lubię.

* * *

Po długim, łagodnym łuku i równie długim odcinku prowadzącym stromo w dół chodnik przechodził w naturalną jaskinię. Jej dno pokrywała ziemia, wykopana z dalej położonych miejsc, a skalne ściany przypominające zęby grzebienia zbliżały się do siebie, zmierzając ku niknącemu w mroku szczytowi. Zatknięte na wysokich tyczkach lampy wypełniały komorę słabym złotym blaskiem. Su nie zwolniła kroku, przedzierając się przez tłum za pomocą łokci i laski.

– Z drogi, durnie! – syczała.

Ho przeciskał się za nią, kiwając głową do znajomych współwięźniów, którzy łypali na nich z wściekłością, trzymając się za boki albo łydki.

– Przepraszam.

Wydostał się na wolną przestrzeń i zobaczył, że dwóch nowych, Frykasa i Smętka, otoczył krąg co sprawniejszych mężczyzn uzbrojonych we włócznie. Obaj mężczyźni wyglądali zdrowo, robili też wrażenie znudzonych tą zabawą. Smętek wręcz promieniował pogardą. Skrzyżował ręce na piersi i wykrzywił usta, jakby zaraz miał się roześmiać. Yath i Sessin stali obok niego. Na widok Ho ten pierwszy uniósł laskę.

– Oto i on! Rzecz jasna, musiał się zjawić. Ich malazański współnik. Z tobą policzymy się później, Ho.

– Wspólnik?

– Widziano, jak wiele razy rozmawiałeś z tymi dwoma szpiegami. Czy temu przeczysz?

Ho podrapał się po czaszce i wzruszył ramionami.

– Pewnie, że z nimi rozmawiałem. Zdarzało mi się gadać z każdym z tu obecnych.

– Rewelacja – mruknęła Su. – Co tu robisz, Yath? Czy to sąd? Jak brzmią zarzuty? Kto dał ci prawo ich osądzać?

Kapłan z Siedmiu Miast uderzył laską w miękką ziemię.

– Cicho, czarownico!

– Ze mną też chcesz się później policzyć? Kiedy to się skończy? Ilu z nas zamierzasz zabić?

Yath uśmiechnął się. Ho uświadomił sobie, że Su posunęła się za daleko. Kapłan z Siedmiu Miast rozpostarł szeroko ramiona.

– Nikomu nie grozi śmierć. Za kogo mnie uważasz? Wszyscy tu jesteśmy cywilizowanymi ludźmi. Nawet ciebie jestem skłonny zaliczyć do tej grupy, Su. Po prostu chcę urządzić małą demonstrację. Pokaz, który przekona naszych nowych przyjaciół, jak ważna jest nasza praca. – Spojrzał błagalnie na tłum. – W końcu to dla niej tu przybyli, nieprawdaż?

Wszyscy pokiwali głowami, wykrzykując słowa aprobaty. Ho uświadomił sobie, że Su miała rację. Od zbyt dawna nie utrzymywał kontaktów ze społecznością. Jak to możliwe, że ich małe bractwo magów i uczonych upadło tak nisko? Karanie wymagowanych szpiegów, uzbrojone straże, sianie strachu? Ci, którzy mogliby przemówić przeciwko Yathowi, najwyraźniej brzydzili się tego wszystkiego tak bardzo, że w ogóle nie zeszli na dół. Jak on.

– Nie wiemy, co się stanie, Yath. To zbyt niebezpieczne.

- Cisz! Sam się zdyskredytowałeś, Ho. Spiskowałeś ze swymi malazańskimi rodakami.

- Malazańskimi? Pochodzę z Li Heng.

- No właśnie. Z samego serca Imperium Malazańskiego.

Kapłan z Siedmiu Miast skinął na strażników, rozkazując im poprowadzić więźniów naprzód. Sessin zajął pozycję między nim a nimi. Jego dłonie poruszały się nerwowo. Ho gapił się na Yatha. Ignorancja, jaką ujawnił swymi słowami, była zdumiewająca. Jak mógł przemówić do rozsądku komuś takiemu?

- Yath! - zawołał, podążając za tłumem. - Wiesz o Malazie i Quon Tali równie mało, co ja o Siedmiu Miastach! Wielu mieszkańców kontynentu uważa Malazańczyków za okupantów, tak samo jak wy!

Wysoki mężczyzna nie słuchał go jednak.

Otoczony przez włóczyków Smętek obejrzał się na Ho.

- Co się teraz wydarzy?

- Cicho - warknął jeden ze strażników, ale mężczyzna go zignorował.

- Pokażą wam coś. Nie ma fizycznego zagrożenia.

Smętek wykrzywił usta i odwrócił wzrok, zastanawiając się przez chwilę.

- Sam jestem ciekawy.

Ho zauważył, że Su przygląda się z żywym zainteresowaniem dwóm nowym więźniom. Po chwili roześmiała się ochryple. Uniosła głowę, uśmiechnęła się do Ho, dotknęła palcem haczykowatego nosa i mrugnęła znacząco.

- Co to jest? - wyszeptał.

- Inny zapach, który znam. Potrzebowałam sporo czasu, by go zidentyfikować. To było dawno temu, na Radzie Wszystkich Klanów.

- Co?

- Zobaczysz. Ty. I Yath pewnie też. Ha!

Ho prychnął pogardliwie.

– Znowu te twoje gierki.

– Ha!

* * *

Droga wiodła do szczeliny w skalnej ścianie jaskini. Stopnie z ubitej ziemi prowadziły w dół, do następnej komory, wykutej w skale osadowej, w której można było odnaleźć otataralową rudę. Włócnicy popchnęli Frykasa i Smętka na przód kolumny, gdzie czekali na nich Yath i Sessin. Dalej ciągnęła się ziemna rampa, wspinająca się ku przeciwległej ścianie z gładkiej, przypominającej szkło skały.

Smętek rozejrzał się.

– To wszystko?

Kapłan z Siedmiu Miast rozciągnął usta w wyrazie triumfu.

– Przyjrzyj się uważnie! Unieście lampy!

Przytwierdzono lampy do końców tyczek i uniesiono je wysoko. Ich blask oświetlił ścianę z ciemnozielonego kamienia. W jego głębi migotały odbicia. Ho obserwował Smętka, który powoli, krok po kroku, uświadamiał sobie, co widzi.

– Nie. To niemożliwe... – wyszeptał. Spojrzał na wypukłość u podstawy odsłoniętą przez kopaczy, na rampę prowadzącą do wylotu jaskini i piętrzące się nad otworem urwisko, przecięte przez sklepienie komory. – Na wszystkich zapomnianych bogów. – Spojrzał na Yatha z nieskrywanym zachwytem na ciemnej, napańskiej twarzy. – Nefrytowy gigant... czytałem o nich, oczywiście. Ale coś takiego...

Potrząsnął głową. Zabrakło mu słów.

Ho podzielał jego zdumienie. Bez względu na to, jak często tu przychodził, ten widok zawsze zapierał mu dech w piersiach i napelniał go pokorą. Owalna jaskinia, wyższa niż wzrost dwóch mężczyzn, przeobraziła się w jego umyśle w usta otwarte do ziewnięcia albo krzyku. Wypukłość znajdująca się poniżej była podbródkiem. Gdy uświadamiał sobie skalę dolnej połowy twarzy i przeliczał to na rozmiary

głowy, szyi i... W tym punkcie wyobraźnia Ho odmawiała posłuszeństwa. To było absurdalne. Niepojęte. Jak można było zbudować coś podobnego? Czy posąg nie zawaliłby się pod swym kolosalnym ciężarem?

Rzecz jasna, giganty pochodziły z innego miejsca. Czy jednak każde królestwo, choćby najbardziej obce, nie musiało posiadać pewnych właściwości, praw fizyki, których nie sposób było złamać? To pytanie było za trudne dla Ho – podobnie jak dla całego batalionu zawodowych magów, uczonych i specjalistów od teurgii, dla których owa tajemnica od trzydziestu lat była główną obsesją.

Nic z tego nie dotarło jednak do Frykasa. Mężczyzna trącił łokciem towarzysza.

– Co to jest?

Smętek wzruszył ramionami.

– Kurewsko wielki posąg.

– No chodźcie – rzucił Yath, wspinając się na nasyp. – Przyjrzyjcie się lepiej.

Skinął dłonią na Smętka, nakazując mu iść za sobą. Nowy więzień przymrużył podejrzliwie powieki, ale najwyraźniej nie potrafiłby wyrzec się podobnej szansy. A więc jednak jest jednym z nas, zdecydował Ho.

Smętek wszedł na rampę z ubitej ziemi w ślad za kapłanem z Siedmiu Miast. Nasyp kończył się przy wejściu do jaskini, szeroko rozwartych ust. Yath wskazał wewnątrz i usunął się na bok. Smętek pochylił się, spoglądając nieufnie na kapłana. Nagle odskoczył do tyłu ze zdumieniem na twarzy.

– Gardło! – zawołał. – Wyrzeźbili gardło!

Ho zamknął oczy i skinął głową. Był bliski rozpaczy. Tak jest, gardło. Próbowaliśmy zbadać jego głębokość, ale nie usłyszeliśmy stuku żadnego z wrzucanych przez nas kamieni. Na całej wyspie nie ma tyle lin, by można na nich zejść do wnętrza posągu. A to tylko początek tajemnic. Jeśli gigant ma gardło, to co z żołądkiem? Jelitami? Czy

powinniśmy podążać dalej tym tropem? Może lepiej nie. Czym się żywi gigantyczny nefrytowy posąg? Rozsądek podpowiada, że nie powinien potrzebować pożywienia. Ale w takim razie po co mu gardło?

- Co słyszysz? - zapytał Yath. Trzymał się ręką za gardło, a w jego oczach pojawił się blask.

Smętek uniósł głowę, przykucnął i umilkł. Tłum czekający na dole również się uciszył.

- Szum... westchnienia albo szepty... coś jakby jesienny wiatr w lesie.

- Jest silny - wyszeptała wickańska czarownica do Ho. Przechyliła głowę, spoglądając w górę. - Co ty słyszałeś?

- Krzyki obląkańców. A ty?

Zwiesiła głowę.

- Nieukojone łkanie.

Yath położył dłonie na nefrytovej powierzchni, szeroko rozpoście-
rając długie palce. Potem przytulił policzek do kamienia, poruszając
beźgłośnie ustami.

- Co ten dureń wyprawia, w imię Oponn? - wyszeptał zdumiony
Ho.

Smętek najwyraźniej coś wyczuł.

- Co to? - zapytał, unosząc wzrok. Podszedł do szczytu nasypu
i popatrzył niepewnie na zebranych.

- Przyznaję, że jestem zdumiony. Gdybyśmy mogli...

- Zaczekaj - przerwał mu Yath, odsuwając się od wylotu.

Coś przyciągnęło uwagę Smętka, skłaniając go do odwrócenia się.
Ho również to poczuł. Jego włosy poruszyły się, koszula przylgnęła do
piersi. Z ust Su wyrwał się syk niepokoju.

Z ust popłynął nasilający się ryk. Smętek pochylił się, ale z wylotu
buchnął potężny podmuch, jakby posąg odetchnął. Wiatr porwał męż-
czynę ze szczytu nasypu i cisnął nim na drugi koniec komory. Wszy-

scy łapali się za głowy, gdy strzelało im gwałtownie w uszach. Kilka osób padło na ziemię, krzycząc z bólu. Jaskinię wypełniła chmura niesionego wiatrem pyłu, zasłaniająca widok. Yath śmiał się i zawodził jak opętany szaleniec.

Gdy pył opadł, Ho zauważył, że wokół leżącego Malazańczyka zgromadziła się grupka więźniów. Przepchnął się między nimi. Frykas kęczał u boku leżącego nieruchomo przyjaciela.

- Dawajcie drugiego! - rozkazał stojący na górze kapłan, ale nikt go nie słuchał.

Wszyscy wykrzykiwali do niego gniewnie. Kiedy odkrył to zjawisko? Dlaczego nie podzielił się z nikim swą wiedzą? Jak na to wpadł? Czy to była świadoma reakcja, czy zwykły odruch? A co z własnościami wydychanego powietrza?

Ho stał nieruchomo, spoglądając z góry na zabitego. Mężczyzna był niemily, opryskliwy, a nawet wyniosły, lecz mimo to polubił go. Nikt z obecnych nie podejrzewał, co zamierza Yath. To znaczy nikt oprócz Su.

Frykas uniósł rękę i mocno spoliczkował martwego przyjaciela. Pozostali więźniowie próbowali go odciągnąć, ale nagle Smętek kaszlnął, skrzywił się i ukrył twarz w dłoniach.

- Niech mnie Kaptur, to bolało - jęknął.

Ho gapił się na niego ze zdumieniem. To niemożliwe! Przeleciał nad ich głowami! Jak bez pomocy magii...? Jak? Frykas pomógł przyjacielowi wstać. Smętek zachwiał się i strzepnął kurz ze skórzanego stroju. Potem ujął szyję w obie ręce i obrócił głowę z boku na bok.

- Skoro mamy już to za sobą, to czy możemy stąd iść?

- Co?! - dobiegł z góry pełen konsternacji ryk.

Więźniowie rozstąpili się, pozostawiając wokół trzech Malazańczyków pusty krąg. Su wybuchła pogardliwym śmiechem.

- Tych dwóch trudno zabić. - Uniosła głowę, spoglądając na Smętka. - Szukacie rekrutów?

Mężczyzna omiół ją spojrzeniem od stóp do głów.

– Wśród Wickan? Zawsze.

Yath zszedł na dół. W oczach gorzało mu szaleństwo.

– Co to ma znaczyć? Jeszcze żyje? – Skinął na włóczników. – Na co czekacie? Nie ulega wątpliwości, że są zagrożeniem. Zabijcie ich!

Frykas wyrwał włócznie najbliższemu ze strażników i wymierzył ją w kapłana. Nagle zjawił się Sessin i złapał obiema rękami drzewce tuż nad kamiennym grotom. Obaj mężczyźni przeciągali włócznie między sobą. Ich sandały przesuwwały się po suchej ziemi.

– Przestańcie natychmiast! – zawołał Ho.

Yath skinął dłonią, każąc wszystkim się odsunąć. Przeciąganie włóczni trwało. Sessin uśmiechał się, garbiąc plecy, Frykas zaś zaciskał mocno usta, wytrzeszczając oczy. Siłowali się, jakby ich wysiłki były jedynie pantomimą. Wreszcie drzewce pękło z głośnym trzaskiem w połowie długości. Obaj mężczyźni zatoczyli się do tyłu.

Yath uniósł rękę i krzyknął coś w dialekcie z Siedmiu Miast.

– Kim jesteś? – zapytał Smętka.

– Waszym sojusznikiem. – Mężczyzna podniósł głos, zwracając się do wszystkich. – Przybyliśmy tu, by przenieść was z powrotem na Quon, byście mogli walczyć z imperium. I co wy na to? Damy wam szansę zemsty na tych, którzy was uwięzili.

Yath wybałuszył oczy, a potem znowu wybuchnął obłąkanym śmiechem.

– Ty idioto! Na co się zdadzą ci wszyscy starcy i staruszki? A co z otataralem?

Smętek wzruszył ramionami.

– Jamę dawno już wyeksploatowano. Jest teraz tylko więzieniem. Resztki rudy, które wydobywacie, zawierają zaledwie śladowe ilości pierwiastka. W dodatku jest nieoczyszczona. Z łatwością pozbędziecie się skażenia.

– On jest w żywności! – zawołał ktoś.

Mężczyzna ponownie wzruszył ramionami.

- Zmieniecie dietę. Organizm się oczyści.

Yath pogłaskał brodę, zastanawiając się nad tymi słowami.

- Jeśli obecność otataralu rzeczywiście jest tak słaba, jak twierdzisz, to czemu nikt z nas nie może przywołać swej groty? Dlaczego wszelka teurgia pozostaje przed nami zamknięta?

- Chodzi o bliskość. Fakt, że przebywamy na tej wyspie. Gdy tylko ją opuścimy, wszystko powróci.

- Wdychaliśmy go! - sprzeciwił się ktoś.

- Są alchemiczne środki wykrztuśne.

- To prawda - poparł go ktoś inny. - D'bayangowy proszek wdychany z odpowiednią siłą...

- Zamknijcie się! - warknął kapłan z Siedmiu Miast. Zaciśniętymi dłońmi na lasce w połowie jej długości. - Uwierz mi, Mezla, pragnę zemsty na waszym imperium bardziej, niż potrafisz to sobie wyobrazić. Jesteśmy jednak zamknięci w tym więzieniu, jak je zwiesz, i nie mam pojęcia, jak mógłbyś nas stąd wydostać.

Smętek potarł bark, krzywiąc się z bólu.

- Proszę bardzo. - Rozejrzył się. - Jaka pora dnia jest teraz na górze?

- Zbliży się świt - odpowiedział ktoś. Inni pokiwali głowami.

- Dobra. W takim razie chodźcie na górę i do rana wszystkich wyprowadzimy.

Yath uśmiechnął się szyderczo.

- Kłamstwo! Jak już tam będziecie, wezwiecie strażników na pomoc.

- Zawsze możecie przebić nas włóczniami.

Kapłan ustąpił, łypiąc ze złością spode łba i poruszając ustami. Su roześmiała się pogardliwie. Dwaj mężczyźni ruszyli w stronę wyjścia. Wszyscy schodzili im z drogi.

Ho szedł na samym końcu, czekając na Su.

- To kim właściwie są?! - zawołał do niej, gdy pozostali wystarczająco się oddalili.

Czarownica obrzuciła go pełnym satysfakcji spojrzeniem.

- Jeszcze się nie domyśliłeś?

- Nie. Zatem nie są Malazańczykami?

Uderzyła go laską w goleń. Odskoczył, krzywiąc się z bólu.

- Daj spokój! Pewnie, że są. Ale są Malazańczycy i Malazańczycy.

- Nie rozumiem.

- Widzę.

Przez pewien czas szli chodnikiem w milczeniu.

- To znaczy, że należą do tego ruchu secesjonistycznego, o którym słyszeliśmy?

Su odegnała go machnięciem dłoni, jak natarczywego owada, i ruszyła przed siebie. Ho zatrzymał się w długim korytarzu, czekając, aż kobieta odzyska dech w piersiach.

- Jestem stara - oznajmiła nagle. - To dziwne, że ci z nas, którym ongiś pomogły manipulacje grotami albo rytuały, wytrzymują w kopalniach tak długo.

Ho nic nie odpowiedział. Co mógłby jej rzec? Że to tajemnica?

- Przez pewien czas bałam się, że będę tu siedziała całą wieczność. A przynajmniej do chwili, gdy erozja zniszczy wyspę wokół mnie i będę mogła po prostu stąd odejść. Czy ciebie również dręczą takie obawy?

Ho pokręcił głową.

- Nigdy nawet o tym nie myślałem.

Znowu przyjrzała mu się z uwagą, marszcząc brwi.

- Nie masz wyobraźni, Ho. Brakuje ci wielu rzeczy czyniących człowieka kompletnym.

- Czy to obelga?

- Na przykład złości. Nigdy nie widziałam, żebyś się gniewał. Gdzie się podziała twoja złość, magusie? Twoja ambicja? Twój zapal?

- Ten temat jest zamknięty, Su - warknął i ruszył przed siebie.

* * *

Ponownie na nią zaczekał, w miejscu gdzie pochyły korytarz wychodził do bocznej galerii. Dalej szli już obok siebie, choć nie odzywali się ani słowem. Nie spotkali nikogo. Gdy dotarli do głównej galerii, okazało się, że ona również jest opustoszała. Ho zastanawiał się, czy Smętek i Frykas mogli już wyprowadzić wszystkich na zewnątrz. Może mieli gdzieś tunel na powierzchnię wykopany wykałaczkami.

Gdy zbliżali się do szczytu kopalni, usłyszeli jednak szmer wielu głosów. Kłębił się tam liczny tłum - chyba wszyscy więźniowie Jamy. Rozmawiali ze sobą, wymieniali opinie i pogłoski. Spojrzał w oczy najbliższemu z nich.

- Co tu się dzieje?

- Dwaj nowi wdrapali się na ścianę.

Ho uniósł brwi.

- Naprawdę? - Dotrzymali słowa. - Ale wszyscy tego próbowali.

Mężczyzna machnął ręką.

- Najwyraźniej jeden z nich miał dwa krótkie kijki. Wbijał je w ścianę, jeden, a potem drugi, i wspinał się na nie. Jego towarzysz podążał za nim, pogłębiając otwory pięściami i kopniakami.

Ho pomyślał o pałkach struganych przez Smętka. A więc to nie była broń.

- A co się stało potem? - zapytała Su.

- Nic. Cisza. Yath mówi, że uciekli.

- To do niego podobne.

W nienawiści kapłana było coś patologicznego. Jeśli zdołają się wydostać, będą musieli mieć go na oku. Kto wie, do czego może się posunąć. Podjął już jedną próbę morderstwa.

Z góry dobiegły zgrzyty i stuki. Opuszczano stamtąd zawieszoną na linach platformę. Wszystkie rozmowy ucichły. Grupka więźniów uciekła do korytarzy, obawiając się, że to strażnicy jadą rozbić im głowy. Ho pomyślał, że to możliwe, ale mało prawdopodobne. Po co mieliby brudzić sobie ręce, skoro mogli po prostu odciąć dostawy żywności?

Gdy platforma opadła, stało się oczywiste, że jest na niej tylko jeden człowiek. Smętek. Drewniana konstrukcja stuknęła ciężko o ziemię. Mężczyzna odwiązał zabezpieczającą linę i machnął zapraszająco ręką.

- Po pięciu, proszę.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy stali nieruchomo. Ludzie spoglądali na siebie ze zdumieniem, jakby szukali rady, co robić dalej. Smętek zmarszczył brwi.

- Ależ wam się śpieszy. Tylko nikogo nie zadepczcie.

Ho zaczerpnął tchu, by się uspokoić, i wystąpił z tłumu.

- Co się stało na górze, Smętek?

- Wjedź, to sam zobaczysz.

- Ja wjadę - usłyszeli kobiecy głos.

Ho rozpoznał jedną z nowych więźniarek, przybyłych razem z organizatorami ucieczki. Dołączyły do nich trzy kolejne osoby.

- Znacie się? - zapytał kobietę Ho, gdy już byli na platformie.

Obrzuciła Smętka uważnym spojrzeniem.

- Nie.

Smętek pociągnął za grubą konopną linę. Po chwili mechanizm zazgrzytał i platforma ruszyła w górę. Ho zauważył, że u pasa mężczyzny wiszą dwa różne miecze.

Wjeżdżali powoli, mijając szare, żółte i złote warstwy skalne. Lina poskrzypywała niepokojąco. Ho spoglądał w dół. Ile dziesięcioleci

spędził w tym zakurzonej dole? Sześć? Siedem? Czyżby po prostu stracił rachubę? Myśl o przyszłości napełniała go teraz niepokojem. Co zrobi? Dokąd się uda? Zbyt długo już nie musiał zadawać sobie takich pytań. Popatrzył na Smętka. Ani draśnięcia. Ilu było strażników? Około dwudziestu pięciu. Jak zdołali załatwić się z nimi we dwóch? I to bez pomocy magii grot. Myśl o takim wyczynie irytowała Ho. Czuł się przestarzały. Po co komu magowie, jeśli ludzie potrafią dokonać czegoś takiego?

Platforma zatrzymała się nagle i zakołysała. Drewno zazgrzytało o drewno, zrobiony z litego pnia wspornik obrócił się i platforma spoczęła na piasku. Smętek odwiązał linę zabezpieczającą. Ho zamrugał nieprzyzwyczajony do blasku świtu. Osłonił oczy dłonią. Infrastruktura Jamy nie zmieniła się zbyt od czasu, gdy widział ją ostatnio. W miejscu, gdzie przedtem był tylko namiot, zbudowano barak z desek, zapewne służący jako koszary dla strażników. Obrazu więziennego posterunku dopełniały kuźnia, korral dla osłów, stos zakurzonych, otwartych beczek oraz przysadzisty budynek kwatery oficera. Wszędzie wały się fragmenty rozbitych beczek i kawały rdzewiejącego metalu. Dalej ciągnęły się wydmy, porośnięte kępami rzadkiej trawy. Horyzont przesłaniały chmury niesionego wiatrem pyłu. Frykas poił cztery osły, zaprzężone do szprych wielkiego kieratu poruszającego platformą.

– Gdzie są wszyscy?

Smętek wskazał podbródkiem drewniany budynek.

– W środku.

Ho obliznął wargi.

– Żyją? – zapytał.

– Sprawdź sam.

Postanowił, że tak właśnie zrobi, ale nie potrafił się zdobyć na zejście z platformy. Inni opuścili ją natychmiast. Spojrzał w dół, przesuwał obutą w sandał stopę do przodu, postawił ją na gruncie i przeniósł na nią część ciężaru, jakby sprawdzał, czy powierzchnia jest stabilna.

Dopiero potem odważył się zdjąć z platformy drugą nogę. Smętek przyglądał się temu, wydymając usta.

- Przepraszam - powiedział, gdy szli w stronę budynku koszar.

- Za co?

- Nie zastanawiałem się, jak trudne może to być dla niektórych z was.

- Sądzę, że dla większości. - Nagle Ho ucichł. Coś w posterunku zaniepokoiło go od samego początku. Rozejrzał się. - Gdzie są wozy? Gdzie trakt, którym wozi się rudę nad morze? - Wskazał bezładny stos beczek. - Wszystkie są puste. Gdzie się podziały pełne?

Smętek odwrócił wzrok, spoglądając w dal. Jego oczy niemal całkowicie zniknęły w otaczających je łańdach.

- Przykro mi.

- Przykro ci? Przykro! Z jakiego powodu, niech cię Kaptur?!

- Chce powiedzieć, że wszystko wyrzucali - odezwała się kobieta.

Ho odwrócił się gwałtownie i zobaczył, że szła tuż za nimi.

- Wyrzucali? Wyrzucali! - Ho podsunął Smętkowi pod nos brudne dłonie o połamanych paznokciach. - Siedemdziesiąt lat grzebania w ziemi, racje zmniejszone o połowę, gdy nie wykonaliśmy normy, a oni... oni...

Ruszył chwiejnym krokiem w stronę koszar.

Smętek dogonił go pośpiesznie.

- Jak rozumiem, z początku tego nie robili. Dopiero od, hmm, kilku dziesięcioleci. Złoże było wyczerpane, urobek niewart oczyszczenia. Przykro mi, Ho.

Drzwi nie chciały się otworzyć. Gdy mag uderzył w nie barkiem, chcąc je wywalić, Smętek podszedł bliżej i wysunął dwa kliny. Ho otworzył drzwi. Strażnicy leżeli albo siedzieli na podłodze. Ci, którzy mogli to zrobić, wstali na jego widok. Ujrzawszy Smętka, wzdrygnęli się. Niemal wszyscy mieli na głowach krwawiące rany, otoczone ciemnymi czarno-fioletowymi siniakami. Mag ponownie pomyślał

o wystruganych przez jego towarzysza palkach. A więc jednak były bronią.

- Kto jest głównodowodzącym oficerem?

Niski, szeroki w barach mężczyzna z jasną brodą wstał i podszedł bliżej.

- Jestem kapitan Galith. A kim ty jesteś, na Otchłań?

- Czy to prawda, że wyrzucaliście całą rudę, jaką wysyłaliśmy na górę?

Na twarzy kapitana pojawił się uśmiech.

- Tak, takie zasady obowiązywały już w chwili, gdy tu przybyłem, pięć lat temu. Sprawdzaliśmy każdy transport i wyrzucaliśmy wszystko, co nie spełniało wymogów.

Ho przesunął dłonią po krótko ostrzyżonych włosach. Poczul, że po skroniach spływają mu kropelki potu.

- A powiedz mi... jak często się zdarzało, że te wymogi spełniano?

Uśmiezek przerodził się w wyraz drwiącego wyzwania.

- Nigdy.

Ho złapał oficera za koszulę.

- Chodź ze mną - warknął i pociągnął go ku krawędzi dołu.

Smętek popędził za nimi.

- Co chcesz zrobić, Ho? Wrzucić go do środka? Nie mogę na to pozwolić.

- Nie możesz... - Mag umilkł, spoglądając na niskiego, muskularnego Napańczyka. - Za kogo się właściwie uważasz? Jesteś tu od kilku miesięcy i myślisz, że wszystko wiesz? To stara sprawa.

- Ci ludzie poddali się mnie. Nie tobie. Są pod moją opieką.

Ho spojrzął na malazańskiego oficera, zacerpnął głęboko tchu, by się uspokoić, i rozluźnił pięść. Kapitan Galith wyszarpnął koszulę.

- Nie miałbyś odwagi tego zrobić - wychrypiął.

Ho zamachnął się i uderzył go na odlew w skroń. Mężczyzna padł na ziemię i znieruchomiał. Smętek odskoczył do tyłu, chwytając za

rękojeść jednego z mieczy.

- Jak to zrobiłeś?! - zawołał, mrużąc groźnie powieki.

- A jak ty i Frykas pokonaliście dwudziestu strażników?

Napańczyk wyprostował się i pochylił głowę, przyznając rację Ho. Uśmiechnął się.

- Zaskoczyliśmy ich.

- Jeśli skończyliście już się popisywać, to może moglibyśmy się zastanowić, jak opuścimy tę wyspę.

Obaj mężczyźni spojrzeli na pękatą, siwowłosą kobietę.

- Posłuchaj - odezwał się niecierpliwie Ho. - Jak właściwie się nazywasz, na Łaskawość Pani?

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Devaleth Omptol.

- Skąd pochodzisz?

- Ta nazwa nic ci nie powie.

Ho zatoczył oczyma.

- Bogowie, kobieto, mamy tu ponad czterdziestu uczonych, historyków i archiwistów.

- Z Kobyły. Byłam magiem okrętowym z Czarnego Miasta.

- To na Pięści.

Kobieta uniosła brwi.

- Tak, choć tej nazwy rzadko się już używa.

Smętek złapał nieprzytomnego kapitana za nogi i pociągnął go z powrotem do budynku.

- Jesteś magiem okrętowym, hej? To się nam cholernie przyda.

- Jeśli myślicie, że otworzę swoją grotę otoczoną taką ilością otataralu, to naprawdę jesteście szaleni. Jak właściwie mamy się wydostać z tej cholernej wyspy? - zapytała oddalającego się Napańczyka.

- Frykas sprowadzi w nocy resztę naszej, hmm, ekipy. Mamy statek.

Devaleth warknęła jakieś słowo, które brzmiało jak „Świetnie!”, i oddaliła się.

– Dokąd idziesz?! – zawołał Ho.

Wskazała ręką wydmy.

– Tam jest ocean. Wypiorę w nim ubranie, wyszoruję skórę piaskiem, umyję włosy, a potem zrobię to wszystko od nowa!

Spojrzał na brudną, wytartą kamizelkę, uniósł stopę obutą w zniszczony sandał. Wszystko to było przesycone rudą. Zerknął na koszary, otworzył szeroko oczy i pobiegł za Smętkiem.

– Zaczekaj chwilkę!

* * *

Ghelel chciała sama wyszczotkować wierzchowca. Polubiła dziarską klacz, ale Molk oznajmił, że takimi sprawami zajmują się regularni żołnierze i jako rotmistrz nie powinna brudzić sobie rąk. Dziewczyna nie widziała nic dziwnego w tym, że oficer sam dba o swojego konia, ale Molk nalegał. Dlatego miała teraz przed sobą kolejny nudny wieczór, wypełniony jedynie czekaniem – na wiadomości z Li Heng albo na jakieś zmiany w sytuacji. Mimo początkowych sukcesów oblężenie najwyraźniej ugrzęzło w martwym punkcie. A może napłyną wieści ze wschodu, o zbliżającej się armadzie cesarzowej? Albo o tym nowym zagrożeniu: atakach potężnej pirackiej floty, która, korzystając z chaosu, splądrowała Untę, a potem Cawn. Zaledwie przed dwoma dniami dotarły do nich informacje, że łupieżcy zrobili się tak zuchwali, że naprawdę maszerują w głąb lądu. W namiotach zakładano się, jak daleko odważą się zapuścić. Najpopularniejszymi typami były ataki na Telo albo Ipras.

Jak codziennie od tygodnia – odkąd armia Urka wyruszyła w pole – Ghelel stanęła przed wyborem, który właściwie trudno było tak nazwać: mogła leżeć i gapić się na dach namiotu, siedzieć przy ognisku albo pójść do kwatery dowódcy. Gdyby zmarnowała kolejny wie-

czór przy ognisku, musiałyby patrzeć na falarskich kawalerzystów i ich grubego kapitana, Tonleya, wymieniać docinki i przechwałki z Seti, a także pić olbrzymie ilości alkoholu, „wyzwolonego” tego dnia przez żołnierzy. Najczęściej było to piwo, choć od czasu do czasu trafiały się też beczułki destylowanego trunku, a nawet bukłaki z miodem. Gdyby zaś udała się do namiotu dowodzenia, no cóż, jeszcze bardziej zbliżyłaby się do komendanta Ullena. Przychodziło jej to przerażająco łatwo.

Co by pomyślał markiz? Albo Choss? Czy zaaprobowałiby to? Wciągnęła rękawiczki, by ochronić ręce przed nocnym chłodem, i spojrzała na wschód, gdzie rozciągały się płaskie, żyzne brzegi Idrynu. Gdzieś tam, kilka dni drogi stąd, maszerowała ku nim horda obdarzonych łupieżców. Ghelel zadała sobie machinalnie pytanie, dlaczego Ullen po prostu nie połączy batalionów swej tylnej straży z falarskimi lansjerami, zwiadowcami Seti oraz konnicą z Pogranicza, by zetrzeć bandytów z powierzchni kontynentu. Do licha, zapewniali ją, że jest dziedziczką Hegemonii Taliańskiej, tali Quon Tali. W związku z tym miała wyższą rangę od markiza, a Choss nie było obecny. Ruszyła do namiotu dowodzenia.

Dotarła do głównej alei obozu i ujrzała przed sobą płonące pochodnie oraz wartowników, malazańskich żołnierzy z falarskich brygad. Zwolniła kroku. Jeśli Liga rzeczywiście zwycięży w nadchodzącej bitwie i Ghelel zostanie ogłoszona tali Quon Tali... jak jej obecne zachowanie wpłynie na opinię żołnierzy o niej? Na myśl o ich drzwiach zapłonęły jej policzki.

Wartownicy skierowali na nią oczy, błyszczące w cieniu hełmów. Zmusiła się do przyspieszenia. Niech ich szlag, w tej chwili była tylko skromnym rotmistrzem kawalerii. Skromnym i samotnym.

Gdy podeszła bliżej, wartownicy pochyłili głowy. Jeden z nich odsunął przed nią połę namiotu. Ghelel odpowiedziała możliwie najuprzejmiej ukłonem i weszła do środka. Było tam ciepło. W złotym blasku lamp zobaczyła stół o zagraconym blacie, stojące tu

i ówdzie krzesła oraz niską ławę zastawioną owocami, tackami z mięsem i karafkami z winem. Komendant Ullen, który właśnie nalewał trunki, wyprostował się i pokłonił. Markiz Jhardin również wstał i przywitał ją ukłonem, choć wolniejszym i płytszym. To był zwykły pokaz arystokratycznej uprzejmości. Ghelel zasalutowała obu starszym stopniem oficerom.

Ullen zbył jej gest machnięciem ręki.

- Daj spokój, Alil. Ile razy muszę cię prosić?

- Za każdym razem, komendancie.

Ghelel ściągnęła rękawiczki i płaszcz, wieszając je na oparciu krzesła.

- Mówiliśmy o tej pirackiej armii - zaczął markiz, siadając z powrotem na krześle. - Podobno w Uncie łupieżcy próbowali obrabować Arsenał Imperialny. Wyszadzili w powietrze połowę miasta i siebie przy okazji.

- Zostało ich wystarczająco wielu - warknął Ullen, wpatrując się w kielich. On również usiadł i wyprostował nogi.

Ghelel podobało się, jak to robił, lubiła również niemal nieśmiały sposób, w jaki obserwował ją kąciakiem jasnoniebieskich oczu. Usiadła za stołem i wzięła w rękę karafkę.

- Potrafię zrozumieć, dlaczego po prostu ich nie zgnieciemy. Skoro są aż tak liczni...

Ullen uśmiechnął się do niej. W tym uśmiechu nie było śladu drwiny, tylko wesołość, widoczna również w jego oczach.

- Jak gigantyczna stała się ostatnio ich armia?

- Słyszałam, jak jeden żołnierz przysięgał, że jest ich co najmniej trzydzieści tysięcy.

Markiz zagwizdał.

- Faktycznie mnożą się bardzo szybko. Zapomnij o nich, Alil. To tylko zgraża rabusiów. Nie obchodzą nas sępy. Czekamy na lwicę.

Ullen jednak zmarszczył brwi. Bruzdy wokół jego ust stały się głębsze. Dziewczyna zauważyła jego spojrzenie i uniosła pytająco brwi.

– Nie ignorujemy ich, Alil – zapewnił. – Zwiadowcy Seti obserwują ich z oddali. Dotarli do nas pewne niepokojące, choć trzeba przyznać, że również sprzeczne pogłoski. Są jednak... Jakby to ująć? Mało wiarygodne. Urkowi towarzyszy nasz mag, Bala. Zawiadomiła nas, że czuje się zaniepokojona. Podejrzewa obecność potężnych magów osłaniających łupieżców przed jej sondami.

– Z pewnością mają jedną albo dwie silne osobowości, utrzymujące całość hordy – stwierdził markiz. – Jeśli je wyeliminujemy, reszta się rozproszy. Nie powinni byli zapuszczać się w głąb łądu. Są zbyt pewni siebie.

– Czy Kellanved był zbyt pewny siebie? – zastanawiał się Ullen, wpatrując się w kielich. – Gdy wyruszył w głąb łądu ze swymi piratami z Malazu? Heng było jednym z pierwszych miast, które zdobył.

Markiz i Ghelel umilkli na chwilę. Jhardin pochylił głowę, przyznając rację rozmówcy.

– Pewnie można by powiedzieć, że to był wyjątek potwierdzający regułę.

Ghelel również wpatrzyła się w kielich z winem.

– Jeśli mówimy o Tronie... dlaczego nie ruszymy jej na spotkanie? Przepraszam, że o to pytam, ale to wszystko jest dla mnie nowe. Czy nie powinniśmy jej zatrzymać na wąskich równinach na zachód od Cawn?

Ullen znowu się uśmiechnął.

– To prawda. – Przeciągnął się i przyglądził dłońmi krótkie blond włosy. – Ale wtedy po prostu wycofałaby się do Cawn i zaczekała tam na nas, a do tego nie możemy dopuścić. Jak powiedziałby adwokat, ciężar dowodu spoczywa na nas. Musimy ją pokonać. Jej wystarczy czekać, aż poparcie dla nas się rozplynie.

Ghelel nie była pewna, czy Ullen nie traktuje jej równie protekcjonalnie, jak Choss i Amaron, choć z pewnością miał lepsze maniery.

Nie odnosiła jednak wrażenia, by to robił. Po prostu wymieniali opinie, a on dzielił się z nią swym większym doświadczeniem. Po raz kolejny zadała sobie pytanie, co o niej wie, jak wiele powiedzieli mu Urko i markiz. Bardzo by chciała się tego dowiedzieć.

– Dlaczego poparcie dla nas miałyby się rozplątać, a dla niej nie?

– Dlatego, że jeśli nie potrafimy nawet zdobyć Heng, jak możemy liczyć na sukces?

Ghelel wyduła usta, słysząc tę nieprzyjemną prawdę. Zaiste. Dlaczego stronnicy Ligi nie mieliby ich opuścić, jeśli przegrają tutaj? Staną w obliczu masowych dezercji. Powrócą niezależne królestwa, a wkrótce potem dawna wojna wszystkich przeciwko wszystkim. Walki ogarną cały kontynent, przynosząc ze sobą nieunikniony chaos, głód, brutalność i władzę lokalnych watażków. Ghelel zrobiłaby wszystko, by tego uniknąć.

Markiz wypił wino i wstał.

– Jeśli cesarzowa stanie do bitwy, Heng może się powiesić. – Zasałutował Ullenowi. – Komendancie. – Pokłonił się Ghelel. – Rotmistrzu. Zostawię was tutaj, byście mogli omówić problemy, przed jakimi staje nasza armia. Jutro spodziewam się otrzymać rozkazy. Dobranoc.

Ullen odprowadził go z uśmiechem do wyjścia. Gdy ciężka poła się zasunęła, Ghelel została sam na sam z komendantem. Przez pewien czas żadne z nich się nie odzywało. Dziewczyna nałała sobie drugi kielich wina.

– Czy markiz wspomniał, że jestem nowa w jego oddziale?

Mężczyzna skinął głową.

– Tak. Czy twoja rodzina należy do starych?

Ghelel poczuła, że się czerwieni, i przekląła się za tę reakcję. Wzruszyła ramionami, by ją ukryć.

– Bogata w przodków, uboga w gotówkę. A co z tobą?

Uniósł kącik ust w bladym uśmiešku.

- Jestem podobny do ciebie. Bogaty w doświadczenie, ubogi w gotówkę. Całe życie służyłem w wojsku.

- Byłeś za morzem? Na Genabackis? W Siedmiu Miastach? Potrząsnął głową.

- Nie. Chyba że Falar się liczy - dodał z figlarnym uśmiechem. Odwzajemniła ten uśmiech.

- Och, myślę, że w drodze wyjątku możemy go uznać.

- Dziękuję - odparł, unosząc kielich. - To przyda mi egzotycznej, żołnierskiej aury.

Ghelel czuła się jednak zakłopotana. Komendant wyglądał na bliźkiego pięćdziesiątki, a mimo to nigdy nie służył za morzem. Gdzie się podziewał przez te wszystkie lata? Czyżby miał za sobą tylko dwadzieścia lat służby garnizonowej? Niemniej Urko najwyraźniej mu ufał. Czy to możliwe, że Ullen był jedynie kompetentnym organizatorem, raczej urzędnikiem niż żołnierzem?

Ktoś zastukał w słupek u wejścia.

- Słucham?! - zawołał komendant.

Wartownik uchylił grubą połę.

- Przybyła kurierka Seti, komendancie. Przynosi wiadomości o łupieżcach.

Ullen wstał z westchnieniem i podszedł do stołu roboczego.

- Wprowadź ją, sierżancie.

Do środka weszła drobna postać. Ghelel wytrzeszczyła oczy. Dziecko! Do czego to doszło? Wysyłają dzieci do walki? Dziewczynka miała na sobie spodnie z jeleniej skóry, podarte i brudne oraz znozione mokasyny. Przed dojmującym zimnem nocy chroniła ją jedynie skórzana kamizelka. W jej długich, przepoconych włosach było pełno węzłów, rzemyków i paciorków. Na sznurku owiązanym wokół pachy zawiesiła długi, skryty w pochwie nóż. Choć wyglądała ubogo i żałośnie, spoglądała na wnętrze namiotu z pogardą godną księżniczki.

- *Ullar yesh' ap?* - zwróciła się do Ullena z wyraźną dezaprobatą.

- *Aya* – odparł, mówiąc swobodnie w języku Seti. – *Tahian heshar?*
- *Nyeh.*

Komendant zerknął na Ghelel.

- Wybacz, proszę – rzekł i spojrział z powrotem na dziewczynkę. – *Bergat, sho.*

Rozpoczęła długi raport w swej ojczystej mowie. Kiedy gestykulowała, Ghelel zauważyła z przerażeniem, że końce palców dziecka są sine z zimna, podobnie jak wargi. Bogowie! Dziewczynka omal nie zamarzła na śmierć, jadąc nocą. Wreszcie rzuciła na stół Ullena zwój rozdartej tkaniny i zwróciła się ku wyjściu.

- Zaczekaj! – sprzeciwiła się Ghelel. – Proszę!

Dziewczynka sięgnęła do rękojeści noża, obrzucając Ullena oskarżycielskim spojrzeniem.

- O co chodzi? – zapytał komendant.

- Poproś ją, żeby została. Musi się ogrzać.

Ullen wyjaśnił to dziewczynce. Ton jej odpowiedzi powiedział Ghelel wszystko, co musiała wiedzieć. Wzięła swój płaszcz.

- W takim razie, niech weźmie to.

Ullen przetłumaczył jej słowa. Dziewczynka odpowiedziała, przesywając Ghelel spojrzeniem pełnym dumy tak potężnej, że wyglądałaby ona komicznie, gdyby nie była aż tak szczerą.

- Dziękuję ci, ale mówi, że taki strój byłby dla niej tylko obciążeniem.

Ghelel zacisnęła dłonie na grubej, kosztownej tkaninie.

- A więc nie chce zostać?

- Nie. Na pewno pragnie natychmiast wrócić do swego oddziału zwiadowców.

- Umrze z zimna! Nie możesz jej rozkazać poczekać do jutra?

Komendant przyglądał z westchnieniem włosy.

- Alil... ten oddział zapewne składa się z jej braci, sióstr i kuzynów.

Ghelel wsparła się o krzesło i opuściła płaszcz na oparcie.

– Rozumiem. Powiedz... powiedz jej, że mi przykro.

Dziewczynka wyciągnęła w odpowiedzi rękę i uściśniła jej dłoń. Ghelel syknęła przerażona zimnem jej dotyku. Gdy dziecko wychodziło z namiotu, opuściła wzrok, nie mogąc na nie patrzeć.

Po paru chwilach Ullen odchrząknął i podszedł do stołu. Uściśniął ramię Ghelel.

– Współczucie dobrze o tobie świadczy, Alil, ale ona go nie potrzebuje. Urodziła się tutaj. Dorastała w takich warunkach i przywykła do nich.

Wstrząśnięta jego słowami wyrwała się z uścisku.

– Chcesz powiedzieć, że oni są mniej warci od nas? Bardziej gruboskórni? Mniej czują?

Twarz Ullena straciła wyraz. Komendant opuścił rękę.

– Nie, nie to chciałem powiedzieć. – Podszedł do stołu i podniósł skrawek materiału zostawiony przez kurierkę. – Ehra... swoją drogą, tak ma na imię, to nazwa niebieskich kwiatków, które rosną tu wszędzie... Ehra melduje, że jej ludzie pojмали dezertera z oddziałów łupieżców. A ponieważ rozkazałem im dowiedzieć się jak najwięcej o tych piratach, przesłuchali go. Twierdził, że godło, które noszą, jest ważne. – Ullen rozpostarł tkaninę. – Narysował je tutaj.

Ghelel usiadła ciężko i znowu nalała sobie wina.

– Komendancie... wybacz. Zapomniałam się. Z pewnością chciałeś powiedzieć, że jest przyzwyczajona do podobnych warunków, bo od maleńkości jeździła konno przy takiej pogodzie. Na pewno masz rację. Przykro mi. Wszystko przez to, że Talianie graniczą z Seti. Antagonizm między nami trwa od bardzo dawna i od dziecka zapoznałam się z... Jakby to powiedzieć? Upředzeniami wobec nich. Przepraszam, komendancie.

Nie odpowiadał. Ghelel uniosła wzrok.

– Komendancie?

Ullen odsunął się od stołu. Wbił spojrzenie w rozłożoną na nim tkaninę. Wyglądał, jakby ujrzał samego Kaptura. Jego twarz pobladła pod wpływem szoku. Zaciskał pięści tak mocno, że aż zbieleły mu kostki. Ghelel podeszła do niego, zapominając o winie.

– Co się stało?

– Bogowie, nie... a więc to prawda – wydyszał.

Podniosła skrawek. Węgłem drzewnym i ochrą narysowano na nim długą rdzawą plamę przesytą kręta linią.

– Co to jest?

Mężczyzna przełknął ślinę i otarł spocone czoło.

– Coś, czego miałem nadzieję już nigdy nie zobaczyć. Sierzancie!

Wartownik wszedł do namiotu.

– Słucham, komendancie?

– Wezwij zaraz markiza i kapitana Tonleya.

– Tak jest.

Ullen podszedł do ławy i nalał sobie wina.

– Co to jest? – powtórzyła pytanie Ghelel.

Komendant przełknął trunek jednym haustem.

– To nic dla ciebie nie znaczy? – zapytał. – Czerwone pole, a na nim długa, kręta bestia, być może smok?

– Nic.

– Jak szybko ludzie wszystko zapominają – wydyszał do pustego kielicha.

Markiz rozchylił poły namiotu. Miał na sobie tylko rozpiętą filcową koszulę, spodnie i buty.

– Co to za wieści?

Ullen skinął głową do Ghelel, która uniosła rozdarty skrawek materiału. Jhardin przyjął go od niej.

– Z pewnością znasz się na heraldyce, markizie. Co sądzisz o tym herbie?

- Czerwone pole, jakaś długa bestia albo może broń. To może oznaczać wiele różnych rzeczy.

- A jeśli ten bazgroł to smok?

- Co by to znaczyło? - zapytała Ghelel.

- W takim razie... - Prychnął lekceważąco i rzucił materiał na stół.

- To z pewnością oszustwo. Czcza przechwałka.

- Nie sądzę. To by potwierdzało pogłoski napływające z Unty.

- Jakie pogłoski? - zapytała ponownie dziewczyna, tym razem głośniej.

- Nie możesz być pewien - sprzeciwił się markiz.

- Nie mogę, ale to wystarczy, by traktować ich z większą ostrożnością. Chcę, byś wrócił do swojego oddziału, na południe od Idrynu.

- Zgoda.

Kapitan Tonley odsunął połą i zasłonił oczy osłepiony jasnym blaskiem lamp.

- Co się stało?

- No właśnie! - poparła go Ghelel. - Co to jest, do Kaptura?

- Godło Karmazynowej Gwardii - wyjaśnił Komendant.

Wlepiła w niego spojrzenie, unosząc brwi. Karmazynowej Gwardii? Tego straszaka z opowieści starych bab? Zwykłych najemników? Czy tego aż tak się przestraszył? Tylko takt powstrzymał ją przed roześmianiem się w głos.

Kapitan Tonley podrapał się po kasztanowej brodzie. Na jego twarzy malował się wyraz dezorientacji.

- Mówisz Karmazynowej Gwardii, komendancie? Zdumiewające. - Zaczerpnął głęboko tchu, zauważył karafki z winem i złapał jedną pośpiesznie. - Jak brzmią rozkazy?

Ullen nic nie zauważył albo przyzwyczyił się już do manier kapitana, czy raczej ich braku.

- Wyślij najlepszego jeźdźca do Urka w kwaterze głównej. - Napisał wiadomość na karcie welinu i wręczył ją Tonleyowi. - Potwier-

dzono, że nieprzyjacielska armia to Karmazynowa Gwardia.

– Każdy mógłby użyć tego znaku – sprzeciwiła się Ghelel.

– Nikt by się nie ośmielił – zaprzeczył markiz. – Chodź, rotmistrzu. Wyruszamy natychmiast.

Pokłonił się Ullenowi. Ghelel nie ruszyła się z miejsca. Komendant pożegnał ją skinieniem głowy. Jego twarz była wyprana z wszelkich emocji. Markiz ujął dziewczynę za ramię.

– Rotmistrzu.

– Przebierz się szybko – powiedział do niej cicho, gdy wyszli na zewnątrz. – Ruszamy za godzinę.

Oddalił się do swojego namiotu.

Oszołomiona tempem wydarzeń dziewczyna czuła się jak pijana. Ruszyła powoli przed siebie. Molk leżał w poprzek wejścia do namiotu, zakrywając twarz dłonią.

– Wstawaj. Wyjeżdżamy.

Uniósł rękę i popatrzył na Ghelel.

– Wyjeżdżamy? Tak szybko?

– Tak. Pośpiesz się, musimy się spakować.

Zaczęła się przebierać, by włożyć zbroję.

Molk usiadł nagle.

– Nadeszły wieści? Czy to ona?

Ghelel znieruchomiała, ściągając koszulę. Ona? Ach tak, ona.

– Nie, to nie ona.

– A kto?

Parsknęła śmiechem.

– No właśnie, kto? – Wyciągnęła jedwabny podkoszulek i włożyła go. – Najwyraźniej nasz wspaniały dowódca jest przekonany, że wróciła Karmazynowa Gwardia. Potrafisz w to uwierzyć? – Poprawiła sznurówki z przodu i uniosła wzrok. – Molk?

Rozejrzała się. Dureń zniknął bez śladu. Niech go szlag. I kto teraz wszystko spakuje?

Dopiero gdy kolumna ruszyła w drogę, kierując się do Szlaku Pielgrzymów, Ghelel znalazła szansę na względnie prywatną rozmowę z markizem. Jechali obok siebie tuż za przednią strażą, jadącą w świetle pochodni.

– Zatem wierzysz w to? – zapytała, pochylając się w stronę Jhardina. – Czy to naprawdę Gwardia wróciła?

Markiz zwrócił się ku niej, trzymając hełm pod pachą, a wodze w jednej dłoni. Jego oczy wyglądały w mroku jak ciemne jamy. Czarnymi, kręconymi włosami targał wiatr.

– Wierzę Ullenowi! – zawołał do niej.

– Skąd ma taką pewność? I dlaczego aż tak się boi? W końcu to tylko najemnicy, choćby nawet sławni.

Jhardin rozciągnął usta w zimnym, pozbawionym wesołości uśmiechu.

– Nie słyszałaś legend o nich?

Ghelel przypomniała sobie klechdy o walczącej z cesarzem Gwardii, jakie niania opowiadała jej na dobranoc. Opiewały one romantyczne bohaterstwo i niewiarygodne czyny wielkich wojowników.

– Znam romanse i opowieści trubadurów, ale wszystko to wydarzyło się dawno temu. Dlaczego Ullen miałby się ich bać teraz?

Tym razem to markiz miał zdziwioną minę.

– Nie wiesz, kim on jest? Czy raczej był?

Ghelel spojrzała nań nieprzyjemnie zaskoczona. Stłumiła gniewne warknięcie. Potem podjechała trochę bliżej do niego.

– Jak, na Misteria Królowej, mam cokolwiek wiedzieć, jeśli nikt mi nic nie mówi?

Markiz uniósł rękę na znak kapitulacji.

– Wybacz. Myślałem, że wiesz. On służył w sztabie Dassema. Był przez pewien czas adiutantem Chossa. Dlatego mu wierzę.

Zdumiona Ghelel uspokoiła się. Zwolniła, zostając z tyłu. Mijały ją kolejne szeregi konnicy.

Był towarzyszem Dassemą! Całe życie służył w wojsku, ale nigdy nie opuścił kontynentu. Walczył w wojnach konsolidacyjnych!

Niech go szlag! Miała ochotę zawrócić konia i wygarnąć Ullenowi, co o nim sądzi. Dlaczego nie powiedział jej prawdy? Ale z drugiej strony, po co miałby to robić? Powinna i tak w niego wierzyć. Urko wybrał go nie bez powodu, tak? Czyż jego kompetencji nie akceptowała bez pytań?

Zwolniła do galopu i obejrzała się na obóz, widoczny jako odległa plama blasku w pogodnej, gwiazdzistej nocy. Oddechy dziewczyny i konia unosiły się w lodowatym powietrzu. Ghelel przypomniała sobie kościstą dziewczynkę Seti, jadącą na wschód w stroju znacznie cieńszym od tego, który nosiła ona. Czterech jeźdźców zatrzymało się przed nią, czekając, aż do nich dołączy. Zadała sobie pytanie, gdzie się podział Molk i czy go jeszcze kiedyś zobaczy. Gwiazdy lśniły twardym, zimnym blaskiem od horyzontu po horyzont. Na wschodzie nagle pojawiły się nowe. Zaskoczona dziewczyna wpatrzyła się w nie, mrużąc powieki. Nie, to nie były gwiazdy. Żółte, migotliwe światła. Pochodnie. Ich garstka pojawiała się i znikwała w mroku nad horyzontem, gdzie...

Bogowie odwrócili się od niej! Ghelel spięła konia ostrogami, pochylając się. Ruszaj! Szybko! Przemknęła między zdumionymi jeźdźcami, ścigając kolumnę. Gdy dotarła do straży przedniej, markiz spojrział tylko na jej twarz i uniośł rękę, nakazując wszystkim się zatrzymać.

– Co się stało?! – zawołał. Jego wierzchowiec stanął dęba.

Wyciągnęła rękę, również starając się zapanować nad koniem.

– Spójrz! Światła! To na pewno oni. Zajęli ruiny klasztoru.

Markiz popatrzył na wschód. Skrzywił się.

– Niech nas Trake porwie, nigdy ich stamtąd nie wykurzymy! To prawdziwy labirynt. – Popatrzył na Ghelel, jakby zobaczył ją po raz

pierwszy. Otworzył szeroko oczy i wcisnął mocniej hełm, zaciągając rzemyk jedną ręką. – Zwiadowcy! Formować szyk! Jedziemy do mostu!

Jhardina i Ghelel otoczył pierścień jeźdźców. Zwiadowcy pomknęli przodem. Markiz dał sygnał do ruszenia naprzód i kolumna pomknęła cwałem w nieprzenikloną ciemność.

* * *

Nie spotkali nikogo, choć przy drodze, gdzie spały grupy wędrowców, widzieli pełgające słabo ogniska. Bliżej Idrynu wypadły z mroku psy, warcząc na wierzchowce. Przed czarnymi wylotami jaskiń paliły się ognie. Twarz Ghelel odrętwiała od zimna, jej zaciśnięte na wodzach dłonie zmieniły się w znieczulone szpony.

Nim dojechali do mostu, z ciemności wynurzyli się wracający zwiadowcy.

– Na moście są uzbrojeni ludzie.

– Niech ich Kaptur wali w dupę! – wybuchnął markiz. – Wybacz, rotmistrz – mruknął, pochylając się ku Ghelel. – Możecie ich zidentyfikować? – zapytał zwiadowców.

– Nie, markizie. Nie noszą żadnych barw.

– To oni – stwierdziła Ghelel.

Chciało jej się śmiać. To dziwne, jeszcze niedawno nie wierzyła w istnienie Gwardii, a teraz była pewna, że mają ją przed sobą. Przypomniała sobie historie z dzieciństwa, romantyczną, lecz zarazem tragiczną postać diuka, a potem księcia, K'azza.

– Powinniśmy do nich pojechać. Negocjować z nimi.

– Negocjować? – powtórzył poirytowany markiz. – A co tu jest do negocjowania?

– Prawo przejazdu na południe, oczywiście.

– Dlaczego, w imię Fanderay, mieliby je nam przyznać?

– A dlaczego mieliby tego nie zrobić, markizie?

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, przechylając głowę. Wreszcie unióś rękę na znak zgody.

- Proszę bardzo, rotmistrzu. Pojedziemy porozmawiać z tymi najemnikami. Przyznaję, że sam jestem zaciekawiony.

Zabrali ze sobą czteroosobową straż i ruszyli powoli ku mostowi, unosząc wysoko pochodnie. Zobaczyli cztery sylwetki blokujące przejście. W miejscu, gdzie wyłożony kamiennymi płytami trakt przechodził w granit mostu, po obu stronach drogi paliły się zatknięte na tyczkach pochodnie. Czworo ludzi stało daleko od światła.

- Ani kroku dalej! - zawołał ktoś po taliańsku, gdy markiz i Ghelel wjechali w migotliwe światło.

- Kim jesteście? Jak śmiecie blokować tę drogę? - zapytał Jhardin.
- To szlak pielgrzymek, otwarty dla wszystkich.

- Dla pielgrzymów nadal jest otwarty - odparł mężczyzna. - Jak na pątników, jesteście niezłe uzbrowieni.

- Podjedźcie bliżej - zażądała Ghelel. - Porozmawiamy o warunkach przejazdu.

W plamę światła wyszli wysoki mężczyzna oraz bardzo niska, szeroka w barach kobieta. Oboje mieli na głowach hełmy przykryte ciemną tkaniną zawiązaną pod brodą, oraz grube, ciemne opończe, narzucone na poczerniane kolcze płaszcze sięgające do kolan. Ręce skryli w pancernych rękawicach. Mężczyzna miał tarczę na plecach i miecz u pasa, a nad szeroką szarfą kobiety sterczały rękojeści dwóch krzywych szabel.

- Przedstawcie się - zażądał markiz. - Jesteście żołnierzami regularnej armii czy zwykłymi bandytami?

- To dyskusyjne rozróżnienie - zauważyła kobieta, unosząc ciemne brwi.

- Właściwie to jedynie kwestia skali - poparł ją mężczyzna.

- Albo powodzenia - dodała Ghelel.

Oboje spojrzeli na nią zaskoczeni.

- Cześć – rzekł mężczyzna. – Jestem Cole, a to jest Chuda.

- Rotmistrz Alil i markiz Jhardin ze Straży Pogranicznej.

Oczy Ghelel przyzwyczajały się powoli do ciemności i dziewczyna widziała już, że tkanina spowijająca hełmy, a także same żupany, ma barwę ciemnej, niemal wpadającej w czern czerwieni.

- Witajcie – rzekł mężczyzna. – Fakt, że nie spróbowaliście szarży waszą konnicą, świadczy, że wiecie już, kim jesteśmy. Gratuluję wam wywiadu. Staraliśmy się nie przyciągać zbyt uwagi.

- Zburzyliście pół Unty! – warknął markiz. – Puściliście z dymem całe Cawn!

Mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając ostre zęby.

- Jak już mówiłem, staraliśmy się nie przyciągać zbyt uwagi.

Ghelel pochyliła się, krzyżując ręce na wysokim łęku siodła.

- Cole, oficjalnie prosimy cię o pozwolenie przejścia na południe, do naszego oddziału.

Mężczyzna pokłonił się.

- Zgoda, rotmistrzu. Wszyscy, hmm, regularni żołnierze, którzy chcą się wycofać na południe, mogą to zrobić. Ale na północ nie przepuścimy nikogo. Zawiadomcie o tym towarzyszy, jeśli łaska.

Markiz przeszył go pełnym niesmaku spojrzeniem.

- Spodziewacie się fali dezercji, tak?

- W najbliższej przyszłości, krótko mówiąc... tak.

Markiz skinął głową i wysłał jednego ze swych ludzi z powrotem z wiadomością.

- Pewnie powinniśmy wam jeszcze podziękować?

Cole i Chuda usunęli się na bok.

- My tylko wykonujemy swoją robotę.

Rzut znalazła Stora na szczycie muru Ronda Wewnętrznego. Patrzył na północ, wspierając podbródek na dłoniach. Taliańscy żoł-

nierze próbowali strzelać do niego – i do innych ludzi pełniących straż na murze – spod osłony wieży w dolnym murze Ronda Zewnętrznego.

– Zbierzcie te bełty – rozkazał Storo swym ludziom.

Rzut podeszła do niego, kryjąc się za blanką.

– Co tu robisz? – zapytała.

– Staram się być użyteczny.

– Naszpikują cię!

– To ryzyko zawodowe celów pozorowanych.

– Znowu jesteś w złym humorze.

Storo ponownie wsparł podbródek na rękach.

– Jak się czujesz?

Rzut mimo woli potarła bok.

– Dziękuję, już lepiej.

– Podziękuj Liss. Gdzie właściwie się podziała?

– Patrzy na wschód. Nie chce przestać nawet na chwilę.

Storo zmarszczył brwi. Uniósł głowę. Bełt odbił się rykoszetem od blanki obok niego. W powietrze buchnęły obłoczki pyłu.

– Wiemy, że ona nadejdzie. To tylko kwestia czasu.

– Nie, nie o to chodzi. Powiedziała, że widzi coś innego. Białą plamę, której nie powinno tam być.

– Białą plamę, hę? Mamy poważniejsze zmartwienia. – Zatoczył ręką krąg, wskazując szeroki łuk obozów wylewających się poza Rondo Zewnętrzne. – Mogę teraz oficjalnie przyznać, że mają wystarczająco wielu ludzi.

– To dlaczego nie atakują?

– Zrobią to. Najpóźniej za kilka dni. Przypuszczam, że ruszą do szturm na cały północny mur kurtynowy, z użyciem drabin.

– Pięści?

Jeden ze stojących na murze żołnierzy wyciągnął rękę. Rzut wyjrzała przez otwór strzelnicy i zobaczyła dwa szeregi kuszników ustawione na szczycie pobliskiej wieży. Wszyscy celowali w nich. Pocią-

gnęła Stora w dół. Wokół nich o mur uderzyła kaskada bełtów. Od strony nieprzyjaciela dobiegły drwiące krzyki, proszące, by pozwolili im znowu poćwiczyć strzelanie do celu. Storo wsparł przedramiona na kolanach i strzepnął pył z porośniętej krótką szczecina głowy.

– Jak idą sprawy z naszym wyrównywaczem?

Rzut mogła jedynie pokręcić głową. Czy Storo był szalony, czy tylko zdeterminowany nie przeżyć oblężenia? Postanowiła, że bez względu na dalszy rozwój sytuacji rozkaże komuś, by miał go na oku.

– To właśnie chciałam ci powiedzieć. Jedwab mówi, że są gotowi.

Spojrzał na nią. Oczy miał zaczerwienione i podkrążone, ale nadal nieustępliwe.

– Gotowi? Już najwyższy czas, do cholery. Mogą z tym ruszać.

– Mówił, że jeśli chcesz, by to zrobili, powinieneś przy tym być.

Wzniósł oczy ku niebu.

– Powiedz mu, że jestem zajęty.

– Widzę. Próbujesz dać się zabić. – Wskazała głową najbliższego żołnierza. – To raczej nie wpływa dobrze na morale – dodała, ściszej głoś.

Pięść znowu wstał, pokazując się oblegającym.

– Ludzie lubią dowódców cechujących się miłymi dziwactwami.

Rzut złapała go za ramię i pociągnęła w dół. Bełty po raz kolejny odbiły się z metalicznym brzękiem od muru.

* * *

Jedwab czekał na nich w centralnej świątyni. Towarzyszyli mu Rell, Słoneczko i Jalar. Rzut uświadomiła sobie, że nie spotkali się wszyscy razem ani razu od początku oblężenia. Przeszyło ją ukłucie żalu na wspomnienie o Drzączce, mimo że był nieodpowiedzialnym skurczybykiem.

Miejski mag wyglądał jeszcze gorzej niż po ataku. Znoszony jedwabny strój zwisał zeń w przepoconych fałdach, przetłuszczone włosy lepiły się do czaszki jak czapka, a dłoń, którą na nich skinął, drżała gwałtownie.

- Za mną - wychrypiął.

Storo siedł obok Jedwabia, a Rzut razem z Rellem. Ostatnio rzadko widywała Genabackanina. Młodzieniec ciągle krążył po mieście, dowodząc oddziałem dwudziestu doborowych żołnierzy. Wszędzie, gdzie się pojawiał, morale rosło gwałtownie. Henganie uważali go za niezwykłego wojownika. Rzut była przekonana, że niewiele o nim wie.

- Jak leci? - zapytała.

- W porządku - odparł.

Jego głos brzmiał teraz inaczej, zniekształcały go poparzone wargi. Miał na głowie hełm z zasłoną z połacanego brązu oraz długim nakarczkiem, opadającym do ramion. Rzut nadal zadawała sobie pytanie, czy chodzi mu o bezpieczeństwo, czy raczej chce zasłonić bliźny. Obrazu dopełniały kolcze naramienniki, kirys wzmocniony metalowymi taśmami oraz nagolenniki. Wątpiła, by kiedykolwiek dotąd dźwigał naraz tyle żelastwa. U jego pasa nadal wisiały te same bliźniacze, jednosieczne, lekko zakrzywione miecze.

Skinęła głową do Słoneczka, który dowodził teraz oddziałem saperów szybkiego reagowania, złożonym z miejskich murarzy, dmuchaczy szkła i budowniczych. Udało się im już powstrzymać szereg prób przedarcia się przez północne bramy Wewnętrznej Ronda, zasypali też dwa tunele wykopane przez taliańskich saperów. Jalor stał się jeszcze bardziej oddanym czcicielem Rella niż przedtem. Mianował się jego osobistym strażnikiem i towarzyszył mu bezustannie.

A co z nią? Ona również wczuła się w wyznaczoną rolę. Z jakiegoś powodu wszyscy uważali ją za prawą rękę Stora.

Jedwab przeprowadził ich przez miejską świątynię. Rzut zauważyła, że usunięto z niej wszystkie nowe kaplice poświęcone quontaliańskim bogom i duchom, których cześć narzucili Henganom malazańscy zdobywcy: Pożogi, Osserca, Kaptura, Oponn, Soliel, Fenera, Togga i Fanderay. Zniknęła nawet nowa złota misa z kadzidłem poświęcona Trake'owi. Rzut podeszła do Jedwabia.

– Oczyszciliście ją?

Obrzucił kobietę znudzonym spojrzeniem i uśmiechnął się blade.

– Rekonsekrowaliśmy, Rzut.

– I komu jest teraz poświęcona?

– Nie komu, tylko czemu. Samemu miastu.

– Miasto oddaje cześć samemu sobie? To brzmi jak kazirodztwo.

– Nie. To tylko staromodne.

– Tak samo mówił mój stryjek.

– I co się z nim stało?

Rzut uniosła głowę, spoglądając na sufit.

– Jeśli się nad tym zastanowić, to nic. Żył długo, sprawując rządy terroru nad bardzo liczną rodziną złożoną z idiotów. Zadławił się na śmierć ptasią kością.

Jedwab skinął z namysłem głową.

– Sama widzisz.

– Ehe. Sama widzę.

Otworzył drzwi Wewnętrzznego Sanktuarium, te same, przez które weszli do środka podczas powstania.

– Tędy.

– Zaczekaj chwilkę – warknął Słoneczko, zatrzymując się. – To droga do gówna.

– W rzeczy samej. Większej ilości gówna, niż ci się zdaje.

– Nie zejdę tam. Nie chcę się znowu uświnić.

– Wszystko się zmyło, prawda? – zapytała Rzut.

Mężczyzna obnażył krzywe zęby. Storo westchnął niecierpliwie i ponaglił go skinieniem dłoni.

Zgodnie z obawami Słoneczka wyszli z gigantycznej kamiennej głowy szakala. Paszcza zamknęła się za nimi powoli, z hukiem, który wstrząsnął podłogą. Ciemność mąciło jedynie światło osłoniętej świecy niesionej przez Jedwabia. Było tu ciemno, ale Rzut odnosiła wrażenie, że ktoś usunął z komnaty większość ekskrementów, zostawiając tylko suchą, łuszczącą się warstwę brudu na wapiennej podłodze oraz na ścianach, mniej więcej do jednej czwartej ich wysokości.

– I co teraz? – zapytał Słoneczko z wyraźnie wymuszoną brawurą.

Jedwab wskazał szereg lamp.

– Zapalcie je.

Rzut i Jalor wykonali polecenie. Mag skierował swą uwagę na głowę szakala. Stał przed nią i nakreślił w powietrzu jakiś skomplikowany znak, a potem przemówił w nieznanym Rzut języku. Zgrzyt kamienia oznajmił, że paszcza szakala znowu się otworzyła.

– Dlaczego nie zrobiłeś tego za pierwszym razem? – zapytał z pretensją w głosie Słoneczko.

– Dlatego że teraz idziemy gdzie indziej.

W rzeczy samej, za otwartą paszczą znajdowała się obecnie ciemna kamienna studnia. W jej ściany wprawiono żelazne szczeble. Tunel, którym szli poprzednio, zniknął bez śladu. Jedwab ruszył w dół pierwszy. Rzut pomyślała, że gdyby Drżączka nadal był z nimi, na pewno zapytałby: „Jak on to zrobił?”

Szyb sięgał głęboko. Na szczęście powietrze w nim było suche i przesycone pyłem. Tu nigdy nie wylewano gówna. Wreszcie dotarli do ciasnej prostokątnej komory z grubo ciosanych wapiennych bloków. Wszystkie ściany, sufit i podłogi pokrywały skomplikowane geometryczne wzory. Choć Rzut była laikiem w sprawach teurgii, nawet ona potrafiła rozpoznać wielowarstwowe, połączone ze sobą zasłony – wyryte w kamieniu zakłęcia nasycające go zachodzącymi na siebie

grotami. Fragment jednej ze ścian rozebrano, odrzucając na bok kamienne bloki – Rzut nigdy by nie uwierzyła, że jakikolwiek człowiek, poza być może Ahlem – byłby w stanie ruszyć je z miejsca. Za nimi ciągnął się niski, wiodący w dół korytarz, sprawiający wrażenie wykutego w litej skale. Jedwab ponownie ruszył na dół pierwszy. Za nim podążał Rell. Rzut szła blisko końca kolumny, tuż przed Jalorem. Blask jej lampy padał na szereg zniszczonych barier zamykających ongiś przejście: najpierw płyta miedzi, gruba na trzy palce, rozbita przez coś, co wyglądało na fizyczny cios; potem druga, z czegoś, co rozpoznała jako stopione utwardzane srebro; na koniec zaś żelazna, rozbita i wygięta na zewnątrz. Chyba nie zrobił tego Ahl?

Korytarz przechodził w wielką komorę. Odgłos ich kroków oraz jęki, z jakimi się przeciągali, prostując plecy, odbijały się echem od ścian. Z mroku wyłoniły się trzy widmowe sylwetki: Ahl oraz jego bracia, Thal i Lar. Stroje mieli prawie czarne od brudu i potu. Rzut czuła się cholernie nieswojo, spoglądając na ich oślinione, asymetryczne uśmiechy.

– Czy to tutaj? – zapytał Storo. Jego głos zahuczał donośnie w głębokiej ciszy panującej w komorze.

Jedwab skinął głową.

– Kellanved nie zbudował tego wszystkiego, prawda? – zapytała Rzut zdumiona rozmiarami komnaty.

– Nie, wzniesiono ją dawno temu, w nadziei, że kiedyś uda się ją zapełnić. On tylko zrealizował jej cel.

– Tylko – powtórzył Słoneczko z szyderczym uśmiechem.

– I co teraz? – zapytała Rzut.

Jedwab wskazał dłonią ciemność.

– Tędy.

Przed nimi wyodrębnił się z cieni jakiś niewyraźny obiekt. Po chwili Rzut zobaczyła, że to kolisty murek, a gdy podeszła bliżej, przekonała się, że ma przed sobą obramowanie czegoś, co wyglądało jak zwyczajna studnia. Z mroku na górze zwisał łańcuch z czarnego

żelaza, opadający w głąb. Składał się z ogromnych kwadratowych ogniw grubości przedramienia Rzut. Pośród tych wszystkich cudów uwagę kobiety przyciągnęły jednak dwa błyszczące przedmioty przechodzące przez ogniwo na poziomie wlotu studni. To były miecze, położone w poprzek otworu. Jeśli je wyciągną, łańcuch będzie mógł opaść swobodnie.

– To ostatnia bariera – oznajmił Jedwab, gdy wszyscy zebrali się wokół niego, przyglądając się temu zdumiewającemu rozwiązaniu. – Albo ostatnie ogniwo. Jeśli je wyciągniemy, uwolnimy go.

– I dokąd się wydostanie? – zapytał Storo. – Do tej komnaty?

– Bogowie, nie! – W śmiechu Jedwabia zabrzmiała wyraźna nuta nerwowości. – Znacznie niżej. Będzie mógł uciec na północne równiny.

– Kto może to zrobić? – ciągnął pięść.

Mag machnął ręką.

– Och, każdy, komu wystarczy sił. Zastanawiam się, czy może Rell zechciałby...

Grawerowana zasłona hełmu zwróciła się w stronę Stora. Ten skinął dłonią, pozwalając Rellowi zrobić, co zechce. Genabackanin podszedł do studni i przyjrzał się mieczom. Rzut zerknęła na Jedwabia. Miała wrażenie, że dzieje się tu coś jeszcze, o czym mag im nie powiedział. Ożywił się wyraźnie i spoglądał na szermierza z błyskiem w oczach, zaciskając dłonie w pięści. Zauważyła też, że wszyscy trzej bracia są wyraźnie skwaszeni, niemal przygnębieni. Nie wiadomo dlaczego pocieszyło ją to.

Rell złapał za oba uchwyty, oparł nogę o bok studni i pociągnął. Za pierwszą próbą nic się nie wydarzyło. Słoneczko prychnął pogardliwie. Genabackański szermierz poprawił uchwyt i zgarbił plecy, a potem szarpnął znowu. Ciszę przesyłał zgrzyt żelaza o kamień. Rzut się wzdrygnęła, zakrywając uszy dłońmi. Miecze przesuwaly się w stronę Rella, palec po palcu. Zwisający z góry łańcuch grzechotał złowrogo. Wreszcie kamień pękł z głośnym trzaskiem i sztychy mieczy

wpadły do środka, pociągając Genabackanina za sobą. Uratował go tylko refleks Stora i Jalora, którzy złapali go za uda. Wyprostował się, trzymając w dłoniach nienaruszone miecze. Straszliwie długi łańcuch o ogniach wielkich jak głowa dziecka opadał ze stukiem do studni. Rzut poczuła, że pod jej stopami coś się poruszyło. Ziemia zdrząła. Z góry posypały się chmury pyłu. Strzepnęła go z włosów i ramion.

– Stało się – wydyszał Jedwab w ciemności. – Będzie się musiał przekopać przez grubą warstwę ziemi, ale to go nie powstrzyma.

Nikt się nie odzywał. W komnacie nie było słycać niczego poza odległym łoskotem. Storo potarł porośnięte szczecina policzki.

– Chodźmy stąd. Siedzimy tu już cholernie długo.

– Ehe – mruknął Słoneczko i splunął do studni.

Po drodze Rell podziwiał trzymane w dłoniach miecze.

– Weź je sobie – poradził Jedwab. – Myślę, że okażą się... – Umilkł nagle.

– Co się stało? – zapytała Rzut, spoglądając na maga.

Unióś bladą rękę, nakazując wszystkim ciszę. Kobieta wyteżyła słuch. Coś... dźwięki dobiegały zza ich pleców, ze studni. Słowa? Włoski na jej karku i przedramionach zjeżyły się nagle. Uświadomiła sobie, że ochrypli, warkliwy głos przemawia po taliańsku. Dobywające się ze studni słowa były zniekształcone, ale możliwe do zrozumienia:

*Ci, którzy mnie uwalniają,
są moimi wrogami.
Ci, którzy mnie więżą,
klękają przede mną.
Gdy nadejdzie koniec wszechrzeczy,
co z pewnością kiedyś nastąpi,
na której szali staniesz?
W chwili ostatecznej równowagi
i rozrachunku?*

Potem zabrzmiał niski, przeciągły chichot, przypominający raczej sapanie niż śmiech. Rzut odszukała spojrzeniem oczy maga, ale on cały czas patrzył w dół. Za to trzej bracia uśmiechali się do wszystkich jak szaleńcy.

- Chodźmy już stąd - warknął Storo.

Rozdział V

Tylko umarli mają prawo być czegokolwiek pewni.

Starożytna przestroga dla uczonych Jacuruku

– Stryjku, okręty! Cały konwój okrętów! – wołał stojący pod namiotem bratanek Nevalla Od' Orra.

Były główny faktor Cawn zakrztusił się przeżuwanym węglem drzewnym. Zastępował nim inkaust, próbując uaktualnić swe księgi. Dreńczony kaszlem mężczyzna złapał się brzegów wysokiego stołu.

– Stryjku, okręty! – powtórzył bratanek.

Faktor pociągnął łyk z kubka, przeplukał usta i wypluł wodę na klepisko.

– I co z tego? – zapytał, otulając się szczelniej kocem.

– Płyną pod flagą z cesarskim berłem!

– Rewelacja. Kolejna flota przyplynie nas złupić. Ciekawe, czy zabiorą nam cały zapas rzepy.

– Masz rzepę?

Nevall zatrzaskała nadpaloną księgę i potarł z westchnieniem kark poczerniałymi dłońmi.

– Pewnie powinienem tam pójść i paść jej efektownie do stóp. Może rzuci mi miedziany księżyc. Jak myślisz, czy jestem odpowiednio ubrany na spotkanie z cesarżową?

Nevall czekał na odpowiedź, rozpościerając ramiona. Odpowiedziała mu cisza. Zwiesił głowę.

– Prostack.

Postawił ostrożnie nogi na wilgotnej ziemi, podszedł do wyjścia i wyjrzał na zewnątrz. W dole, za poczerniałymi ruinami Cawn, do portu wpływała flotylla okrętów o wszelkich wyobrażalnych rozmiarach.

rach i w każdym możliwym wieku. Teraz łaskawie się zjawiła. Niemniej lepsze to, niż gdyby przyplynęła przed najemnikami. Będą mieli przynajmniej niewielką szansę powetowania strat. Powęszył, zastanawiając się, czy zostało coś z dzisiejszego połowu. Powinien wysłać drugiego bratanka po ryby.

– Nevallu Od' Orr.

Zesztywniał i odwrócił się powoli. Z tyłu namiotu pojawił się niepozorny mężczyzna, odziany w luźną ciemną koszulę i spodnie. Nevall pochylił lekko głowę na znak przywitania i wrócił do stołu. Oderwał kawałek ciemnego chleba i wepchnął go do ust.

– Ranath. Dawno cię nie widziałem. Jesteś teraz szponem, tak? Nie nadążam za tymi wszystkimi zmianami.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Wszystko to jeden wielki przekręt – odparł, poprawiając koszulę.
– Posłuchaj, Nevall. Ona tu jest. Ma zamiar zetrzeć Ligę i Gwardię z powierzchni kontynentu, ale... potrzebuje funduszy. Mnóstwa funduszy.

Faktor zachichotał. Rozpostarł szeroko ręce, zataczając nimi krąg.

– Może sobie zabrać to wszystko. Nawet koc z mojego grzbietu.

– Daj spokój, Nevall – mruknął Ranath, nie spuszczać zeń leniwego spojrzenia. – Szpiedzy, których wszędzie umieściłeś, pracują również dla nas. Gwardia zabrała wszystko, co nie było mocno przytwierdzone. Konie, woły, krowy, kozy, wozy, przetwory, mąkę, ryż, garnki, drewno, sznury, gwoździe. Wszystko. To znaczy wszystko oprócz... – Uniósł dłoń i odwrócił ją, odslaniając złotą monetę. – Oprócz gotówki. – Przerzucił pieniądze z ręki do ręki, spoglądając na Nevalła. – Nie znaleźli skarbców domów handlowych, prawda? – Złapał monetę w locie i otworzył dłoń, pokazując, że jest pusta. – Wiesz co? Nie jestem pewien, czy w ogóle wiedzieli o ich istnieniu. To ci dopiero ironia. Szczodrzy najemnicy.

Nevall wysunął ostro zakończony język i oblizwał wargi.

– Nie bądźmy zbyt pochopni, Ranath. Rzecz jasna, popieramy cesarzową. Imperium zawsze sprzyjało interesom. Ale... – Wzruszył chudymi ramionami ukrytymi pod cienkim kocem. – Mamy związane ręce. Zabrali nam wszystko. Wiesz o tym.

Ranath westchnął i spojrzął na sufit namiotu, szukając odpowiednich słów.

– Nevall... Jak by to ująć? Aha. – Uśmiechnął się, unosząc dłonie. – Zdjęto rękawice. I spojrz, pokazały się szpony.

– Czyje?

Jego uśmiech nabrał twardszego wyrazu.

– Ostrożnie, przyjacielu. Powiedzmy, że Tronu. Mówisz, że popieracie cesarzową. To świetnie. Przyjmijemy pełną zawartość skarbca wszystkich domów handlowych jako zastaw tego poparcia. Zawiadomisz Rządzące Zgromadzenie tej prowincji, że wszystkie nakazy zapłaty mają być natychmiast pokryte. Oczekujemy zmobilizowania wszystkich żołnierzy w prowincji Cawn jako spłaty rzeczonoego długu. Jasne?

Nevall usiadł ciężko na stołku, położył dłoń na nadpalonej księdze i skinął głową.

– Jak mawiają kupcy, przyjemnie robić z tobą interesy.

Faktor zwiesił głowę. Tkanina namiotu się poruszyła. Gdy uniósł wzrok, szpona już nie było. Otworzył księgę, odgryzł kawałek leżącej obok pałeczki węgla drzewnego i zaczął go przeżuwać. Wetknął do ust czubek gęsiego pióra.

– Niech szlag trafi Laseen. I Mallicka też.

* * *

– To okropna dziura! – zawołał Nait, stojąc w tłoku przy relingu rybackiego statku, który dowlekl się jakoś z Unty do portu w Cawn, wioząc kontyngent siedmiuset żołnierzy.

– Chcę tylko wysiąść – wymamrotał z rozpaczą w głosie Najmniejszy. Odziany wyłącznie w cienkie, podarte koźle skóry wojownik zaciskał dłonie na relingu tak mocno, że aż zbiełały mu kostki. – Kapturze, proszę, zabij mnie i zabierz stąd.

Nait popatrzył na potężnego, przygnębitego półkrwi Barghasta.

– Chcesz kawałek ryby? – wyszeptał, pochylając się ku niemu.

– Nie drażnij go! – zawołała Rączka, która nagle się tu zjawiła.

Nait zatoczył oczyma, wychylił się za burtę i demonstracyjnie wypłuł przeżuty rdzawy liść. Najmniejszy pobladł, przełykając ślinę.

Rączka odciągnęła Naita od relingu.

– Narada sztabowa – oznajmiła z radosnym uśmiechem.

Mężczyzna jęknął, zwieszając głowę.

Na śródokreściu spotkali swego dawnego sierżanta, obecnie kapitana, Blacharza. Towarzyszyło mu wielu ludzi z jego oddziału Untańskiej Straży Portowej, jak Rączka, Miodzio Chłopak, a także żołnierze z innych untańskich kompanii straży, na przykład Lim Tal, w swoim czasie osobista strażniczka, a ponoć także kochanka diuka Amstara D'Aviga. Obok kapitana siedział też opalony, naznaczony bliznami weteran. Wielu zdążyło już go szczerze znienawidzić za musztrę, jakiej bezlitośnie poddawał ich każdego dnia od wypłynięcia ze stolicy. Blacharz zwał go starszym sierżantem Harcikiem, ale ludzie mówili o nim „Stary Zwieracz”, bo ciągle im powtarzał: „Zewrzyj szereg!”.

Blacharz popatrzył kolejno na wszystkich, a potem odchrząknął.

– Musimy poczekać, aż przyjdzie nasza kolej zejścia na ląd. Cawn jest ogołoczone jak kości Kaptura, więc załadujemy racje żywnościowe na plecy i natychmiast wymaszerujemy. Rozkazano nam posuwać się naprzód w tempie osiemnastu mil dziennie...

– Osiemnastu! – pisał Nait. – Po tak długim siedzeniu na tyłkach?

– Kończ swoje skargi słowem „kapitanie” – warknęła Rączka.

– Jeszcze jedno – ciągnął Nait. – Wszyscy tu są teraz sierżantami. Rączka, Najmniejszy, Lim, Miodzio Chłopak...

- Nazywam się teraz Miód.

- Dobra, sierżancie Miód. Dlaczego ja nie zostałem sierżantem?

- Dlatego że dowodzisz naszymi sabotażystami, kapralu – warknął starszy sierżant Harcik. – A żaden sabotażysta nie może liczyć na awans do dumnego stopnia sierżanta.

- Słyszałem o paru takich przypadkach.

- To pokaż mi, co potrafisz...

Nait odwrócił spojrzenie od niebieskich jak lód oczu weterana. Poruszył bezgłośnie ustami, formując słowa: „Pokaż mi, co potrafisz”.

- Wchodzimy w skład jednego z batalionów ciężkiej piechoty Czwartej Armii – ciągnął Blacharz, gładząc kciukiem i palcem wskazującym długie srebrne wąsy. – Jej żelaznego rdzenia. Nie mamy prawie żadnej konnicy, tylko paru pryszczatych szlachciców i garstkę konnych zwiadowców. Za to dysponujemy tysiącami harcowników lekkiej piechoty. Mamy tylu kuszników, że mogliby wyludnić cały kraj. Karty rozdano. Co więc mamy zrobić? Będą potrzebowali ośrodka, kotwicy. To właśnie my. Gwałtowność ich ostrzału zniszczy wszystkich nieprzyjaciół na tyle głupich, że wystawią głowy. Poradzili sobie z Gwardią i poradzą z każdą konnicą. A gdy napotkamy silny opór, wycofają się i przegrupują. My się nie cofamy. Jesteśmy niewzruszeni. Jasne? Dlatego starzy weterani... – Blacharz wskazał głową starszego sierżanta – ...postanowili wysłać kontyngent do wielkiej pięści Ananda. I do Miecza Korbolo Doma też, oczywiście...

Nait prychnął.

- Żeby omówić sytuację – kontynuował z niewzruszonym spokojem Blacharz. – Postanowili podzielić siły na cztery wzajemnie się wspierające zgrupowania, każde z nich zakotwiczone przez batalion ciężkiej piechoty. Miecz będzie dowodził pierwszym, oczywiście. Nasze, na lewym skrzydle, poprowadzi Wyłam Ząb. Prawa flanką przypadnie pięści D’Ebbinowi, a wielka pięść Anand będzie koordynował z tyłu. Zapewne myśleliście, że starszy sierżant jest tu tylko po to, by

was szkolić. Nie wątpię, że się ucieszycie, słysząc, że zajmie pozycję na prawym końcu pierwszego szeregu tarczowników.

Nait przyjrzał się staremu weteranowi. Co prawda, dziadek wyglądał na twardziela, ale czy da radę maszerować osiemnaście mil dziennie? Padnie na glebę i Nait na pewno nadejście na niego w drodze powrotnej.

– Sierzanci... – podjął Blacharz – ...każcie swoim ludziom słuchać go, wykonywać jego rozkazy, a zapewniam, że wasze szyki wytrzymają. To na razie wszystko. Rozejść się.

– Jeszcze jedno, kapitanie – wtrącił starzec. – Skoro już jesteśmy tu w tak pięknym dniu i czekamy na zejście z pokładu... – Nait zauważył, że Miód patrzy na niego, i zatoczył oczyma. – Ludzie mogliby poświęcić musztrę w zwartym szyku.

Blacharz pogładził wąsy, ukrywając uśmiech.

– Wszyscy należą do ciebie, starszy sierzancie.

* * *

Stojący w tylnych szeregach cesarskiej świty dworskich funkcjonariuszy Opos odnosił wrażenie, że cesarzowej się śpieszy. Czworoboki piechoty morskiej strzegły nabrzeża, na którym zebrał się lśniący tłum szlachetnie urodzonych oraz urzędników. Opos czekał razem ze wszystkimi, aż Laseen zaszczyli ich swą obecnością. Pominięto wszystkie zwyczajowe ceremonie i mowy powitalne. Za szeregami piechoty morskiej stali milczący mieszkańcy Cawn. Musiał przyznać, że sprawiają wrażenie przygnębionych i pozbawionych entuzjazmu. Ale przecież miasto niedawno złupiono. Cesarzowa pojawiła się na szczycie trapu bez żadnych fanfar czy zapowiedzi, po prostu kolejna opuszczająca statek pasażerka, szpon jednak ze zdumieniem zauważył, że wszyscy cawnijczycy jednocześnie wciągnęli powietrze na jej widok. Skąd wiedzieli? Nie nosiła pięknych szat, korony ani tiary, na jej ramionach nie spoczywało berło, nie niesiono jej w lektyce ani na

tronie. Pojawiła się zniecka, ubrana w prostą, jedwabną bluzę i pantalone. Jej krótko obcięte myszowate włosy upstrzyły pasemka siwizny. Twarz miała, no cóż, nieładną, a do tego raczej skwaszoną, wąskie usta zaciskała mocno, a na czole i wokół oczu rysowały się bruzdy.

Mimo to wszyscy wiedzieli, że to ona. Być może chodziło o spojrzenie, jakim omiotła nabrzeże i czekający na nim tłum. Surowe. Niezachwianie pewne. I, szczerze mówiąc, raczej świadczące o rozczarowaniu tym, co zobaczyła. Szlachetnie urodzeni ukłękli, mieszczanie podążyli za ich przykładem. Żołnierze zasalutowali.

Zgodziła się przyjąć miejscowych faktorów, przedstawicieli domów handlowych Cawn. Pozwolono im podejść do niej na kolanach, jak zgrai ulicznych żebraków. Podziękowała za tę upadającą deklarację wierności zdawkowym skinieniem głowy, a potem chłopiec stajenny pomógł jej wspiąć się na siodło. Wszyscy również dosiedli koni i cała kawalkada ruszyła w drogę: zasłona kawalerii, straż honorowa, cesarzowa i jej osobiści strażnicy w towarzystwie wielkiej pięści Ananda i jego sztabu. Dworacy, wśród nich Opos, podążyli za nimi. Drugi wielka pięść, Korbolo Dom, noszący również tytuł Miecza Imperium, był tam, gdzie chciał być. Dowodził tylną strażą. Wszyscy byli z tego wyraźnie zadowoleni. Ze swej strony Opos wystroił się w bogaty untański strój i przypiął do pasa untański miecz pojedynkowy. Udawał pomniejszego szlachcica, którego zadaniem było uśmiechać się szyderczo do każdego, kto miałby czelność zapytać, jaką właściwie pełni funkcję.

Jadąc w kolumnie, widział stojących przy drodze agentów. Z przesyłanych przez nich znaków dowiedział się, że Cawn zabezpieczono, szpiegów pozostawionych przez Urka zidentyfikowano i zaakceptowano umowę, jaką zaproponował Oposowi Ranath, dawny szef wywiadu w regionie. Układ był bardzo korzystny i pozwoli z czasem podwoić liczebność sił Laseen, Oposa jednak niepokoiła myśl, że pojawił się zupełnie niespodziewanie. Czym ostatnio zajmował się

Ranath? Gdzie zdobył informacje potrzebne do zawarcia umowy? Ale z drugiej strony, czyż nie na tym polegało jego zadanie? Dlaczego podejrzewać go z tego powodu, że okazał się kompetentny i pomysły? Czy Opos stał się teraz przywódcą obawiającym się utalentowanych podwładnych? Czyż sam dotąd nie propagował diametralnie przeciwnego stylu dowodzenia? Czyż nie dawał podkomendnym do zrozumienia na różne sposoby, że środki i metody nie mają dla niego znaczenia i ważny jest tylko sukces? Że mogą liczyć na to, że będzie się wtrącał jedynie wtedy, jeśli spieprzą robotę? Nakazał sobie wrócić do roli. Obrócił głowę, spoglądając z pogardą na wysiłki cawnijczyków rozbierających uszkodzone budynki i odbudowujących miasto. Potem jego spojrzenie padło na podążającego obok jeźdźca i ze zdumieniem zauważył, że to Spirala, najbardziej bezczelna z pięciorga jego zastępców. Kobieta miała na sobie strój szlachcianki z Siedmiu Miast: kremową, powłóczystą szatę i chustę na głowę.

- Co tu robisz? - zapytał.

Uniosła brwi i zatoczyła ręką krąg w królewskim geście.

- Czyż to nie cudowne znowu wyruszyć w pole?

Opos rozejrzał się, uśmiechając się półgębkiem.

- Zaiste. Przypominają mi się dawne, bardziej aktywne czasy.

Umalowane usta kobiety, ledwie widoczne pod półprzezroczystą zasłoną, rozciągnęły się w bladym uśmiešku.

- Mam wrażenie, że powinieneś bardziej się angażować.

A ja mam wrażenie, że oboje mieliśmy cholerne szczęście, że nie byliśmy ostatnio w Malazie.

Pochylił jednak głowę, przyznając jej rację.

Co właściwie chciała mi powiedzieć? To z pewnością kolejne bezsensowne drwiny.

- To nie jest wycieczka dla przyjemności.

- Niestety. Mamy przed sobą Gwardię i buntowników oraz ich zdradzieckich przywódców. To dla nikogo nie byłoby łatwe zadanie,

prawda?

Do czego ta idiotka zmierza? Wiedziała równie dobrze jak Opos, że Laseen nie ma najmniejszego zamiaru walczyć z Gwardią, jeśli tylko zdoła tego uniknąć. Zostawali przywódcy. Odwrócił wzrok, unosząc do nosa jedwabną chusteczkę. Tak, to trudne zadanie. Ale na czym ono polegało? I kto im je zlecił?

– Rzecz jasna, najważniejsze musi być dla nas bezpieczeństwo cesarzowej.

Spirala pokłoniła się mu ze zręcznością niezwykłą u kogoś, kto siedział w siodle, a potem ściągnęła wodze, zostając z tyłu. Opos się odwrócił.

Czy właśnie przed chwilą przyznała, że to ona jest źródłem tych wszystkich inicjatyw i niewyjaśnionych akcji, które ostatnio tak często zdarzają się w Szponie? Czy to wszystko przechodzi przez nią? Niestety ma pecha. Nie mogę się zatrzymywać. Nie wolno tolerować istnienia równoległej struktury dowodzenia. Powiniennem uderzyć natychmiast, ale nie mogę zapominać, co nas czeka. Potem, kobieto, jeśli jeszcze będziesz żyła... sam cię zabiję.

* * *

Kapitan Tazal, niedawno awansowany żołnierz zawodowy, który nie wywodził się z żadnej znanej rodziny, stanął przed wejściem do sali tronowej w Uncie. Hełm trzymał pod pachą, dłoń na rękojeści miecza, a czoło miał wilgotne od potu. Wartownicy otworzyli drzwi i mężczyzna wszedł do środka, kłaniając się w progu. Uniósł głowę i zobaczył, że tron jest pusty, nakryty białym atłasem. Oczywiście, ty durniu! Rozejrzał się. Z boku, myjąc ręce w umywalce, stał człowiek sprawujący władzę pod nieobecność cesarzowej, Mallick Rel, rzecznik Zgromadzenia.

Mallick odwróci się od umywalki i wytarł ręce białą szmatą.

– Przynosisz wieści o tym barbarzyńskim skażeniu, które znieważa nasze ziemie, kapitanie?

Nasze ziemie? Brodata twarz Tazala była wyprana z wszelkich uczuć.

– Forteca Jurda skapitulowała. Garnizon był za słaby, by oprzeć się szturmowi.

Rzecznik wyciągnął ręce ze szmatą i służący wziął ją od niego. Następnie niski grubas splótł dłonie na wydatnym brzuchu. Opuścił wzrok, jakby się im przyglądał.

– Rozumiem. A kto podjął taką decyzję?

Kapitan starał się ukryć zdziwienie. Co to miało być? Zapowiedź kary?

– Dowódca, obecny lord Jurdy.

– Kompetentny?

– Moim zdaniem? Tak.

– To pech...

Dlaczego? Dlatego że forteca skapitulowała? Czy może dowódca miał pecha, bo poddał się bez pozwolenia? A może ty go masz, bo tysiące żądnych krwi Wickan zmierza teraz w twoją stronę? Albo, żeby być bardziej wyrozumiałym dla rzecznika, to pech, że doświadczony dowódca uznał sytuację za beznadziejną i postanowił dać za wygraną?

Kapitan otarł rękawem pot z czoła. Jego twarz nadal niczego nie wyrażała. Rzecznik zachowywał godny podziwu spokój, biorąc pod uwagę fakt, że sam zapędził się w ślepią uliczkę. Ten gruby intrygant był twardy.

Rzecznik nadal patrzył w dół, lecz jego spojrzenie przeniosło się na opuszczony tron. Błada, pyzata twarz nagle wydała się jeszcze bardziej obrzękła.

– Miecz Imperium opuścił nas, przenosząc się na zachód, kapitanie. Co byś nam radził?

Nam? Sądząc ze wszystkiego, co kapitan słyszał o tym samozwań-
czym Mieczu, mieli cholerne szczęście, że go tu nie było. Nagle Tazał
uświadomił sobie niewiarygodną wagę pytania, które przed chwilą
usłyszał.

Dobra Soliel! Był tylko zwykłym dowódcą garnizonu, niedawno
awansowanym do stopnia kapitana. Nigdy mu się nawet nie śniło, że
ujrzy salę tronową, a najpotężniejszy człowiek w imperium będzie go
prosił o radę. No cóż, przynajmniej jego żona się ucieszy. Co jednak,
na Ziemię Pożogi, powinien, czy raczej mógł, mu odpowiedzieć? Być
może, jak mawiał jego ojciec, jeśli już zamierzasz się upić, możesz
przynajmniej schlać się w trupa.

Kaszlnął w zaciśniętą pięść i odchrząknął.

– Jedna wojna po drugiej, panie. Bezbłędnie wybrali moment. Nie
mamy szans ich pokonać. Musimy negocjować. Przekupić ich. Poli-
czymy się z nimi później.

Rzecznik oblizął grube wargi, nie odrywając spojrzenia poślódkich
oczu od tronu. Splecione na brzuchu palce poruszały się nerwowo.
Ten widok przywodził kapitanowi na myśl jakieś blade stworzenie
żyjące w głębinach morza.

– Pragnienie zemsty jest niemal nieprzewyciężone – wyszeptał
grubas, zupełnie jakby zapomniał o obecności kapitana. – Gorąco pra-
gnę zetrzeć to robactwo z powierzchni ziemi... – Tazał zastanawiał się,
czy powinien to słyszeć, ale nie odważył się nic powiedzieć ani nawet
oddychać. – Taktyczna szczerość jest jak proste, pewne cięcie podczas
bitwy, kapitanie – oznajmił głośniejszym głosem Mallick. – Bardzo cenna. Nie
mogę dyskutować z twym prostolinijnym rozumowaniem, kapitanie.
Taki zimny, bezlitosny pragmatyzm jest bardzo odświeżający. – Skinął
głową, jakby usłyszane słowa potwierdzały jego własne myśli. – Tak.
Wyślemy posła, by rozpoczął negocjacje.

Tazał uderzył pięścią w nowy kirys.

– Kto będzie tym posłem, rzeczniku?

Palce znieruchomiały.

– Ależ ty, oczywiście. Swoim autorytetem awansuję cię do stopnia pięści.

* * *

Zaraz po wyjściu kapitana Mallick również opuścił salę tronową. On jednak skorzystał z małych bocznych drzwi prowadzących do niewielkiej prywatnej komnaty audiencyjnej, omijając wszystkich dworskich dygnitarzy, urzędników i służących. Po chwili przez inne drzwi wszedł do niej Oryan. Mallick przeszył ciemnoskórego, wytatuowanego mężczyznę długim, twardym spojrzeniem.

– Dlaczego nadal tu jesteś, mój sługo?

Staruszek nie przejął się tym zbyt.

– Wickanie nie są aż tak ważni.

– Wydałem ci wyraźne rozkazy – wychrypiał Mallick.

– W przeszłości twoim problemem było pamiętanie uraz i upodobanie do zemsty. – Szczuplutki staruszek o kończynach składających się tylko z kości obciążonych pomarszczoną, pokrytą wyblakłymi niebieskimi tatuażami skórą wykonał gest naśladujący odrzucanie czegoś na bok. – Jeśli naprawdę chcesz osiągnąć cel, musisz się wyrzec takich pragnień.

Mallick wybałuszyl oczy z oburzenia i syknął tak wściekle, że aż się zapluł. Uniósł do twarzy pulchne pięści.

– Jak śmiesz?

Szaman z Siedmiu Miast nadal zachowywał spokój. Jego oczy niczego nie wyrażały.

– Co wolisz? Małostkową satysfakcję czy spełnienie swych ambicji? Wybieraj!

Mallick zaczerpnął z drżeniem potężny haust powietrza. Nakazał sobie opuścić ręce.

- To prawda, dotychczasowe niepowodzenia sugerują, że moje decyzje były błędne. Choć gorąco pragnę zniszczyć ich doszczętnie, w tej chwili nie stanowią poważnego zagrożenia. To również fakt. Nie zmiernają ku mnie żadne straszliwe wickańskie klątwy. Tak, Oryan. W tej chwili poświęcanie im uwagi byłoby przeciwne skuteczności, mam rację? Są tylko irytującą dystrakcją, odwracającą uwagę od głównej sceny wydarzeń. Jak ktoś, kto głośno się zachowuje w teatrze. My, ludzie kulturalni, musimy umieć powstrzymać irytację. - Mallick uniósł rękę do piersi, a potem wsparł na niej drugą i ucisnął palcami czoło. - A teraz moi doradcy sugerują, że musimy znieść dalsze zniewagi tych niemytych analfabetów.

Staruszek wzruszył ramionami.

- Jak już mówiłem, oni nie mają znaczenia.

- Proszę bardzo. Zajmijmy się więc zachodem. A skoro już mowa o zachodzie, czy mamy jakieś wieści od naszej pięknej morderczyni?

- Żadnych od chwili, gdy odplynęła z flotą. Jestem przekonany, że zdobyła pozycję kurwy jakiegoś oficera.

- Uważaj, Oryan. Demonstrujesz własne uprzedzenia. Z pewnością uczyniła tego mężczyzną swym niewolnikiem.

- Jak już mówiłem, jest kurwą.

- No cóż, może i masz trochę racji.

Ktoś zapukał dyskretnie do drzwi. Mallick odesłał gestem Oryana i podszedł do nich.

- Słucham?

- Mamy spór dotyczący praw własności, rzeczniku - dobiegł zza drzwi głos.

Mallick otworzył je gwałtownie.

- Mamy co?

Dworski urzędnik pokłonił się bardzo nisko.

- Sprawujesz obecnie władzę w mieście, panie. Prace przy odbudowie doprowadziły do sporu dotyczącego praw własności...

Mallick wlepił spojrzenie wylupiastych oczu w mężczyznę. Zamrugał.

– I w tej chwili przychodzisz do mnie z taką sprawą?

– Uczestnicy sporu nalegali, panie. To ludzie najwyższej rangi, wywodzący się z najznamienitszych rodzin...

– W takim przypadku miejski sędzia z pewnością byłby odpowiednim rozjemcą.

Urzędnik pokłonił się raz jeszcze.

– Niestety, dowiedziono, że rodzina rzeczonoego sędziego jest daleko spokrewniona z jedną z występujących z roszczeniem stron...

Mallick splótł dłonie na brzuchu i przymrużył gniewnie powieki.

– Proszę bardzo, dworski urzędniku. Oto mój werdykt w sprawie, na którą zadufani w sobie apelanci tak bardzo chcą zwrócić moją uwagę, nie zważając na to, czym mogę być w tej chwili zajęty. Rzeczoną działkę ziemi czy inną własność należy podzielić dokładnie na pół i obie strony mają otrzymać dokładnie po pięćdziesiąt procent, nawet jeśli owa własność to niewolnik. Zrozumiano?

Urzędnik pokłonił się po raz kolejny, być może próbując ukryć uśmiezek.

– Znakomicie, panie. Natychmiast spiszę potrzebne dokumenty.

– To powinno ograniczyć listę penitentów, nie sądzisz?

– Bardzo drastycznie, panie.

* * *

Przez kilka następnych dni płynęli wzdłuż północnego wybrzeża Jacuru. Wędrowiec leżał na dziobie trawiony gorączką. Dręczyły go poty i dreszcze. *Latawcem* sterował Ereko, a Kyle i bracia Zagubieni spali na zmianę. Trzeciej nocy chory krzyknął nagle i zalał się łzami. Jego ciałem targały konwulsje.

- Co mu zrobili ci magowie? - zapytał chłopak, podchodząc do Thel Akai.

To zaskoczyło Ereka. Gorejące srebrnym ogniem oczy skryte pod potężnymi wałami nadoczodołowymi skierowały się na Kyle'a. Błysnęły w nich wesołe, uspokajające ogniki. Potem olbrzym wrócił do obserwowania morza.

- Zrobili? Nic. Nosi swą chorobę w sobie. Szeptala do niego przez wszystkie te miesiące. Widziałem, jak narasta w nim dzień po dniu. Ci głupcy osłabili go swą ingerencją i teraz silniej czuje jej zew.

- Nie potrafisz jej uleczyć?

Olbrzym potrząsnął kudłatą głową.

- Nie domyśliłeś się tego, Kyle? To przez jego miecz. Ten oręż nie jest przeznaczony dla ludzi, choćby nawet najpotężniejszych. Zawiera wspomnienia straszliwych wydarzeń. Przelewu krwi, tak jest, ale również innych, znacznie gorszych rzeczy. Okrutnych czynów oraz niszczącego duszę bólu. Wykuł go przed wiekami ten, którego zwą Synem Ciemności, Anomandarisem. Słyszałeś o nim?

- Tak. Mamy legendy, które o nim mówią. Opowieści o latającym w powietrzu księżycu i o smokach.

Te powtarzane przy ogniskach historie nie wydawały się już chłopakowi tak niewiarygodne.

- W ciągu wieków tej broni nadawano różne imiona. Gniew. Wściekłość. Zemsta. Wędrowiec wybrał to ostatnie. Być może powinniśmy się z tego cieszyć, ale ten wybór zżera go jak kwas. Modlę się, by nie skaził jego ducha.

Kyle spojrział na zwiniętego pod płaszczem mężczyznę. Wędrowiec zaciskał dłonie na mokrych od potu włosach, a twarz wtulił w przedramiona.

- W takim razie powinniśmy mu ją odebrać.

Olbrzym zacisnął potężną dłoń na ramieniu chłopaka.

- Nie. Nie możesz tego zrobić. Uderzyłby bez zastanowienia. Chcesz obciążyć jego sumienie jeszcze jednym brzemieniem?

- Co więc mamy zrobić?

Nie odwracając głowy, Ereko przesunął wzrok na młodzieńca, spoglądając nań dziwnie z ukosa. Uśmiechnął się półgębkiem, obnażając sterczące jak kły zęby.

- Możesz się modlić, Kyle.

Chłopak wzdrygnął się. Modlić się? Czy zostało już tak mało nadziei? Położył się obok przykrytych płaszczami i kocami braci Zagubionych. Modlić się? Do kogo? Pomyślał o oszałamiającej chmarze bogów, duchów i bohaterów, o których słyszał od chwili opuszczenia Baelu. Żaden z nich nie budził jego sympatii. Zostały mu tylko stare plemienne duchy, aż po ich legendarnego przodka. Ojca Wiatr. Być może zabrała mu go kompania, do której się zaciągnął, ale z upływem czasu wydawało mu się to coraz mniej rzeczywiste.

Latawiec kołysał się na łagodnych, nocnych falach. Nieopodał rozbrzmiewał rytmiczny szum przyboju. Kyle po chwili zapadł w niespokojny sen, powtarzając starożytną inwokację swego ludu:

Wielki Wszechojczy,

Którego oddech oczyszcza, przynosi życie.

Prowadź mnie. Wskaż mi ścieżkę.

* * *

Kyle obudził się, kaszląc od wypełniającego mu płuca dymu. Leżał w namiocie z niewyprawionych, nierówno pozszywanych skór. Nie przypominał on jednak tego, w którym sypiał niedawno. Był ciasny, mroczny i niski. Połowę wnętrza zajmowała zgarbiona postać, mężczyzna albo kobieta. Stojący obok niej piecyk buchał kłębam dymu. Oczy chłopaka zachodziły łzami. Nie mógł zaczerpnąć tchu. Na dwo-

rze dał silny wiatr, kołysząc kruchą konstrukcją. Postać machnęła spowitą w lachmany ręką. Jej kształt był dziwnie zniekształcony.

– Przepraszam za kiepski wygląd mojego domostwa. Niedawne niepowodzenia pogorszyły moją sytuację.

– Gdzie jestem? Gdzie są wszyscy?

– Znajdujesz się niedaleko statku i przyjaciół, Kyle.

– Kim jesteś?

– Kim jestem? – Postać zakołysała się, chichocząc. – Przyjacielem, rzecz jasna. Kimś, kto... Jak by to powiedzieć? Pośpieszył z pomocą.

– Z pomocą?

– Tak. Pomogłem ci. I ci, do których niesłusznie się modlisz, ignorując twoje błagania, ja zaś zawsze jestem skłonny słuchać.

Chłopak spróbował rozproszyc kłęby dymu spowijające mu twarz.

– Jak się tu znalazłem?

Potężny podmuch zachwiał wątlm namiotem. Postać syknęła coś pod nosem.

– Mniejsza z tym, Kyle. Nie mamy czasu. Twój przyjaciel jest chory. W mojej mocy pozostaje ulżenie jego cierpieniom. Co ty na to? Za niewielką cenę złagodzę jego ból, ukoję koszmary. Czy nie chcesz, by odzyskał zdrowie?

– Pewnie, że chcę, ale co to za cena?

– Och, zapewniam, że to nic strasznego. Nie żądam twojej krwi, ducha ani innych bzdur w tym rodzaju. Jestem jednak zainteresowany twoim mieczem. On ma niezwykle cechy. Można powiedzieć, że rzadka broń to moja pasja. – Wzruszył ramionami. – Sam widzisz. To nic nadzwyczajnego. Z pewnością nie cenisz miecza bardziej od zdrowia przyjaciela?

Kyle zamrugał i zakasłał w dłoni.

– Oczywiście, ale dlaczego...

Wiatr uderzył w namiot z ogłuszającym hukiem, przyginając do ziemi jeden bok. Postać przycisnęła dłonie do zapadających się skór.

– Nie! – warknęła. – Ja jestem tu panem! A kysz!

Przez zawrodożenie wicheru przedarł się głos kobiety. Wznosił się i opadał, jakby dobiegał z bardzo daleka. Chłopak uniósł głowę, wytyżając słuch.

– Tu nie jesteł panem, Przykuty. – W głosie pobrzmiwał ton przygany. – Chodź, Kyle. Chodź stąd.

Chłopak nie mógł wstać. Poczował się ku wyjściu na rękach i kolanach.

– Jak śmiesz?! – ryknęła postać. – Zapamiętam to sobie! Wywrę zemstę! – Kyle dotarł do poły i przeczołgiwał się pod nią. – Zaczekaj! Mogę ci powiedzieć, co to za miecz! Nie jesteł ciekaw? Nie chcesz się dowiedzieć, jak cię zdradzono? Wykorzystano?

– Nie mów o wykorzystywaniu innych, wielki oszuście – odpowiedział głos.

Chłopak wygramolił się spod skór i ujrzał przed sobą bosc stopy kobiety. Stała nad nim. Jej szczupłe, blade ciało spowijały luźne, cienkie jak babie lato chusty koloru najciemniejszej nocy, kołyszące się na wicherze. Zasłaniający twarz welon łopotał jak chorągiew, a czarne włosy powiewały na wszystkie strony. Kobieta odwróciła się i ruszyła przed siebie.

– A ty nie mów o oszustwie – dobiegł na pożegnanie głos z namiotu.

Kyle podążył za nieznaną, potykając się co chwila. Na plaży walało się mnóstwo kawałków drewna i skrawków materiału. Wyglądało to tak, jakby w pobliżu rozbił się statek. Kobięcie to nie przeszkadzało, on jednak musiał posuwać się naprzód ostrożnie. W pewnej chwili na wietrze poniosło się przeciągłe, żałobne wycie, przypominające zew ogara. Kobieta zwróciła nagle głowę ku północy i uniosła rękę w ospałym geście, jakby chciała coś odegnać. Potem ruszyła w dalszą drogę. Kyle dogonił ją na brzegu. Fale muskały mu stopy.

– Gdzie jesteł? – wydyszał.

- To sen, Kyle - odparła kobieta. Zwracała się ku niemu plecami, wpatrując się w rozgwieżdżony horyzont nad morzem. - Tylko sen, nic więcej. - Zwróciła ku niemu owalną, boleśnie piękną, skrytą za zasłoną twarz. - Prześladowają cię duchy.

- To znaczy ty?

Uśmiechnęła się drwiąco, dotykając jego czoła chłodną dłonią.

- Między innymi - odrzekła, wskazując plażę.

Kyle wyteżył wzrok. Za zasłonami niesionego wiatrem piasku wypatrzył jakąś postać. Stary, jednoręki mężczyzna krzychał coś, unosząc dłoń do ust.

- Przechyl! Tak, widzę cię! Co? Co mówisz?

- Wygnano go do najodleglejszych ścieżek Kaptura - wyjaśniła kobieta. - Ale nie całkowicie, bo śluby pętają go nierozzerwalną więzią. Dlatego jest zawieszony między królestwami. Wygnany, ale nadal połączony z tobą.

- Ze mną?

- Tak. Wybrał cię, gdy postanowił do kogoś przemówić, zgodnie ze zwyczajem poległych Zaprzysiężonych. Zwią ich „Braciszkami”.

Braciszkwowie. A więc tym właśnie są.

Kobieta uniosła rękę, wskazując długim palcem morze.

- A ty jesteś tam.

Chłopak spojrział na czarny przestwór wód. Daleko za fosforyzującą luną uderzających o rafę grzywaczy wypatrzył jasną plamkę żagla, posuwającą się ze wschodu na zachód.

- Tak? To ja?

Oczy przesłoniła mu mgła. Osunął się na kolana.

- Zaśnij, żołnierzu - wyszeptała bogini.

Chłopak padł w fale. Woda zbryzgała mu twarz.

– Kyle? Kyle! – Otworzył oczy. Majaczyła nad nim twarz zaniepokojonego Ereka. Jego długie włosy zwisały w strąkach. Olbrzym strzepnął wodę z dłoni. – Jak się czujesz, chłopcze?

Młodzieniec otarł zimną, wilgotną twarz. Zamrugał.

– Dobrze, dobrze. Co się stało?

– Co się stało? – Erek zmarszczył czoło. Odwrócił wzrok. – To była moja wina. Przepraszam. To okazało się... bardziej niebezpieczne, niż się spodziewałem. Ale wszystko skończyło się dobrze, choć moja Pani z pewnością mi za to nie podziękuje.

– Kim był ten stwór?

– To trucizna tocząca groty, Kyle, a także więcej. Intruz. Niektórzy zwą go Przykutym, inni Okaleczonym Bogiem. Jest kaleki, zdruzgotany. Jego obecność zatrąła tę krainę.

– Wyglądał na... chorego.

– Z pewnością jesteśmy dla niego chorobą. On pochodzi skądinąd. Sprowadzono go tu wbrew jego woli i dlatego cierpi wieczne męki. Osobiście lituję się nad nim. – Erek ujął ramię chłopaka w olbrzymią dłoń, wpatrując się weń z uwagą. – Przepraszam, Kyle. Nie spodziewałem się tak silnej reakcji wszystkich stron. To jednak zmusiło ją do działania i teraz wszystko jest w porządku. Wędrowiec się ocknął i pyta o ciebie.

Olbrzym podał młodzieńcowi bukłak z wodą. Kyle wypił ją chciwie, a potem przeczołgał się bokiem na dziób. Wędrowiec siedział obok braci Zagubionych, wspierając się o burtę. Ramiona przykrył sobie kocem, a długie ciemne włosy lepiły się mu do czoła, opadając z tyłu w strąkach. Wyglądał na wyczerpanego, ale jego oczy miały klarowny wyraz. Kyle przykucnął przed nim.

– Jak się czujesz? – zapytał go mężczyzna.

– Ja? W porządku. A co z tobą?

Wędrowiec zerknął na rufę, na przypatrującego się im Ereka.

- Ja też już czuję się lepiej – odparł, nie spuszczać wzroku z Thel Akai. – To były tylko sny. Złe sny. Teraz to rozumiem. – Wyciągnął rękę i chłopak ją uściskał. – Dziękuję.

- Dziękujesz? Za co?

- Za twoją cierpliwość. Twoją wiarę.

Zbity z tropu młodzieniec wzruszył ramionami. Chciał odejść, ale Wędrowiec nie puszczał jego ręki.

- Jesteśmy już blisko. Bardzo blisko. Cokolwiek się wydarzy, nie wtrącaj się. To sprawa między Erekiem a mną. Jasne?

Kyle znowu wzruszył ramionami.

- Oczywiście.

- Dziękuję.

Wędrowiec puścił jego rękę.

Chłopak nadal nic nie rozumiał. Wrócił do swojego koca, ale leżał na nim Skradacz, zasłaniając twarz ręką.

- Może wszyscy będziemy mogli wreszcie trochę się przespać – poskarżył się zwiadowca.

Kyle zerknął na Ereka, który mrugnął znacząco.

* * *

Rankiem dotarli do wybrzeża pełnego ruin. Wyblakłe w promieniach słońca kolumny zbudowane z cyklopowych głazów stały pochylone pośród wydm. Tuż pod modrą taflą morza było widać kamienne nabrzeża porośnięte korałem i wodorostami. W głębi lądu wznosiła się gigantyczna, na wpół zawalona kopuła z osłepiająco białego kamienia. Kyle przystanął obok Ereka, obierając miejscowy owoc. Zerknął pytająco na olbrzyma. Ten skinął głową.

- To Dolmeny Tien. Jesteśmy blisko. Blisko wielu spraw.

Za ruinami starożytnego miasta ciągnęła się wygładzona wiatrem piaszczysta równina. Wszelkie ślady osadnictwa zniknęły i menhiry,

czy kamienne kolumny, stały izolowane. Gdy minęli przylądek, docierając do zatoki, Kyle zobaczył, że dalej menhiry są jeszcze liczniejsze, przypominają kamienny las ciągnący się w głąb lądu tak daleko, jak okiem sięgnąć.

- Dolmeny - oznajmił Erek, kierując łódź w stronę brzegu.

- A gdzie jest K'azz?

- Sądząc z tego, co mi mówiłeś, musi być uwięziony w jednym z nich.

Kyle wytrzeszczył oczy. W jednym z nich?

- Ale... ich są tysiące!

- Tak.

- Skąd będziemy wiedzieli, gdzie zacząć?

Olbrzym klepnął go w plecy tak lekko, jak tylko mógł. Młodzieniec zachwiał się na nogach.

- Nie rozpaczaj, chłopcze. Będziemy wiedzieli.

Na plaży wznosiło się skupisko nędznych chat. Ich obdarcy mieszkańcy gapili się na przybyszów, zbyt przygnębieni czy głodni, by uciekać. Wędrowiec wyskoczył na brzeg, poprawił kolczugę pod splamionymi solą skórą, wyciągnął na szerokość dłoni klingę w purpurowe cętki i wepchnął ją z powrotem do czarnej, drewnianej pochwy. Nim odwrócił się do Kyle'a plecami, chłopak dostrzegł na jego twarzy grymas bólu. Erek zabezpieczył *Latawca*, a potem spróbował nawiązać rozmowę z kilkoma przerażonymi rybakami. Szybko jednak dał sobie z tym spokój.

- Oni nic nie wiedzą - oznajmił. - Wnętrze lądu, Dolmeny, to dla nich wyłącznie źródło przerażenia. Odwrócili się do nich plecami.

- I co teraz zrobimy? - zapytał Kyle, nie potrafiąc ukryć nuty irytacji.

- Pójdziemy za Erekiem - odparł nadal odwrócony do nich plecami Wędrowiec.

Stojący obok chłopaka Skradacz skinął bez słowa głową. Zamigał do braci, którzy sprawdzili miecze, a potem przeszli truchtem na obie flanki.

- Ja ruszę z tyłu.

- Czy nie powinienes... - zaczął zdziwiony młodzieniec.

- Chodź ze mną, Kyle - rzekł Wędrowiec.

Ereko uśmiechnął się zachęcająco i ruszył naprzód. Wędrowiec wręczył chłopakowi kawał wędzonej ryby z zapasów dostarczonych przed Jhesta. Kyle odgryzł spory kęs i oddał rybę.

Kolumny zbudowano z sześciokątnych kamieni ustawionych jeden na drugim. Każdy był nieco mniejszy od poprzedniego, a całość wieńczył tępo zakończony szczyt, tylko nieznacznie wyższy od Ereka. Stojące w odległości pięciu kroków od siebie słupy tworzyły niewiarygodnie długie rzędy, ciągnące się ze wschodu na zachód i z północy na południe. Przyjrzawszy się uważniej, Kyle zorientował się, że biegnące ze wschodu na zachód szeregi zakrzywiają się lekko, tworząc serię koncentrycznych łuków czy może olbrzymich kręgów.

- Co to jest? - zapytał Wędrowca.

- Przede wszystkim cmentarz - wyjaśnił Ereko. - Niemniej budowniczo wie wykorzystywali go też w wielu innych celach. Służył im do mierzenia czasu, odprawiania rytuałów, a także jako obserwatorium, kalendarz, świątynia i więzienie.

- Czy to twoi pobratymcy to wybudowali?

- Bogini, nie, Kyle. My nie byliśmy budowniczymi. Wzniósł to przed wiekami dawno wymarły lud. To byli ludzie tacy jak ty, Kyle. Bliżsi spokrewnieni z tobą.

- Byłeś tu już kiedyś?

Thel Akai odwrócił wzrok, uśmiechając się.

- Nie.

- W takim razie dokąd nas prowadzisz?

Wzruszył potężnymi ramionami.

- Do centrum. Przekonałem się, że to często dobry punkt wyjścia.
- Nie przejmuj się – uspokoił skonsternowanego chłopaka Wędrowiec. – Ereko wie, co robi. Czy możesz to samo powiedzieć o sobie?

- To znaczy?

- Jak rozumiem, zamierzasz uratować albo uwolnić księcia Kazza D'Avore, dowódcę Karmazynowej Gwardii. Jesteś przekonany, że to rozsądne?

- Rozsądne?

Mężczyzna przeszył go uważnym spojrzeniem. Czarna, upstrzona srebrnymi nitkami broda nadawała mu poważny wygląd kapłana.

- Ehe, rozsądne.

- Gwardia przerodziła się w bandę morderców. Oprawca...

- Oprawca! – przerwał mu Wędrowiec, ale opanował się z wyraźnym wysiłkiem.

- Tak. Na moich oczach zabił jednego ze swoich. Tylko K'azz może znowu uczynić z Gwardii to, czym powinna być.

Wędrowiec odwrócił wzrok, ale Kyle dostrzegł w jego twarzy i w opadających kącikach mocno zaciśniętych ust smutek pomieszany z niezwykłą wesołością, jakby mężczyzna padł ofiarą jakiegoś gorzkiego żartu, zrozumiałego tylko dla niego.

- Zaiste. A czym właściwie powinna być?

- Nie... nie wiem, ale sytuacja z pewnością nie może być gorsza. Tylko diuk może zmusić Oprawcę do posłuchu.

- Może? Nie jestem pewien...

* * *

Idący przed nimi Ereko zatrzymał się, unosząc rękę. Kyle zrównał się z nim i zobaczył, że dotarli do wewnętrznego pierścienia kolumn. Przed nimi znajdował się okrągły plac wielkości centrum sporego miasta, całkowicie pokryty białawym, naniesionym przez wiatr zwi-

rem. Gęstniejące popołudniowe cienie pozwalały zobaczyć, że nawierzchnia nie jest gładka, lecz składa się z ułożonych w liniach kamieni. Niektóre linie przecinały cały plac, jedne były proste, inne zaś zakrzywione, ale wszystkie można było zobaczyć jedynie w cieniu. W gruncie rzeczy, z miejsca gdzie stał Kyle, plac wyglądał jak las linii. Niektóre zakrzywiały się lekko lub tworzyły ciasne spirale, a inne były proste jak miecze. Wysypany żwirem plac pokrywała siatka niezliczonych, dostrzegalnych tylko w cieniu ścieżek. Wszystkie kamienie były identyczne, miały taki sam kremowo-biały odcień. Nie sposób było określić, który z nich był elementem której linii. Wszyscy gapili się na to zafascynowani. Wieszka i Głusza przystanęli obok. Gdy tylko słońce przesunęło się nieco, linie zatańczyły, tworząc nową siatkę.

- Niewiarygodne - wydyszał Erek. - Gdybym tylko znał twórców tego placu. To dzieło godne wielkiego rzemieślnika Icariuma.

- Przejdziemy przez to? - zapytał Skradacz.

- Nasz cel leży po drugiej stronie.

- Okrążymy plac - zdecydował Wędrowiec.

Gdy Kyle usłyszał te słowa, załała go niewytłumaczalna ulga. Poczul też jednak głęboki niepokój. Nawet Wędrowiec, który z pewnością nie musiał bać się niczego, czuł się w tym miejscu niepewnie. Przeszli powoli wzdłuż połowy obwodu placu. Cały ten czas Kyle obserwował jego powierzchnię. Nie wylądował na niej żaden ptak, wiatr nie przyniósł ani jednego liścia, gałązki czy wyschniętej rośliny. Panował tam całkowity bezruch. Mogłoby się zdawać, że coś odcina obszar placu od normalnych, zaśmieconych, porośniętych zielskiem terenów wokół niego.

W końcu Erek zatrzymał się przy kolumnie, która dla Kyle'a niczym się nie różniła od pozostałych. Olbrzym uklękł i przez pewien czas przyglądał się jej podstawie.

- Jestem przekonany, że tu właśnie musimy kopać - oznajmił wreszcie.

- Kopać? - powtórzył z niedowierzaniem Kyle.

- Och tak.

- Ale, czy on... nie żyje?

Olbrzym zmarszczył brwi.

- Sądząc z tego, co mi opowiadałeś o Zaprzysiężonych, raczej w to wątpię.

- W takim razie...

Kyle'owi zabrakło słów. Ojczy Wietrze! Być pogrzebanym przez tak długi czas i nie móc umrzeć! Z pewnością stracił zmysły...

Bracia zabrali się do roboty, nie zadając pytań. Osunęli się na kolana i zaczęli odgarniać piasek na boki.

- Im prędzej opuścimy to miejsce, tym lepiej - rzucił Wieszka, widząc, że chłopak gapi się na nich bezczynnie.

Kyle ukląkł, by im pomóc. Na głębokości wyciągniętej ręki natrafił na twardą ziemię, ciemnożółtą, wilgotną i zimną. W ruch poszły noże noszone w butach oraz te krótkie i tępe, używane do jedzenia. Długie noże bojowe pozostały w pochwach. Kyle doszedł do wniosku, że Thel Akai z pewnością miał rację, wybierając tę kolumnę spośród niezliczonych tysięcy. Ziemia była tu zryta, dolna warstwa zmieszana się z położonym wyżej piaskiem. Ktoś kopał tu przed nimi.

Dotarli do płaskiej bariery z grubo ciosanego kamienia. Głusza obmacał jej granice i odsłonił w przybliżeniu kwadratową kamienną płytę albo pokrywę o boku mniej więcej długości ręki mężczyzny. Wsunął palce pod krawędź i podźwignął ją z wysiłkiem. Kamień uniósł się nieco ze zgrzytem, a potem opadł na bok. Głusza przesunął go, odsłaniając mroczne zagłębienie przypominające wielką urnę. Wewnątrz leżał z mumifikowany trup o rękach ciasno oplatających kolana.

- Czy to on? - zapytał Głusza, wskazując ciało.

- Skąd mam wiedzieć? Nigdy go nie widziałem.

- Nie wygląda za dobrze - stwierdził Wieszka, strzepując piasek z brody.

– Och, naprawdę tak sądzisz? Ereko? – Thel Akai odwrócił się jednak, omiatając spojrzeniem okolicę. – Ereko?

Olbrzym spojrział w dół. Jego bursztynowe oczy wypełnił głęboki smutek.

– Przykro mi, Kyle. Miałem nadzieję, że ci się uda. To by było... no cóż, przykro mi.

Zdziwiony chłopak popatrzył na pobliskie wydmy, mrużąc powieki.

– Co tu jest grane?

Wędrowiec zszedł do dołu i przykucnął nad trupem. Uniósł czaszkę i przyjrzał się zмумifikowanej twarzy. Następnie wyszarpnął prawą rękę i ją również poddał oględzinom.

– I co? – zapytał Kyle.

Szermierz odwrócił wzrok.

– To może być on – mruknął z roztargnieniem w głosie. – Trudno to określić.

– Co tu jest grane, niech to Pani porwie?

Skradacz uniósł nagle głowę i odskoczył w bok, spoglądając na wschód. Sięgnął po miecz. Bracia przykucnęli, kryjąc się za stertą piasku. Wędrowiec odepchnął Kyle'a. Chłopak wpadł do dołu.

– Hej!

Młodzieniec wyjrzał z wykopu i zobaczył, że rozszalał się wiatr, gwałtowny wir powietrza unoszący w górę obłoki piasku. Wewnątrz pojawiła się poszarpana szczelina ciemności. Kyle zorientował się, że otworzono grotę. Za otworem kłębiła się szarość. Wtem rozległ się trzask i szczelina się zamknęła. Między dwiema kolumnami pojawił się mężczyzna w zbroi. Był wysoki, chudy i wyglądał na bardzo staroego. Jego smagłą twarz porały bruzdy spowodowane wiekiem, a długie siwe włosy zwisały w strąkach. Kolczy płaszcz sięgał mu do kostek, a u boku miał prosty, bastardowy miecz. Mężczyzna podszedł bliżej, przyglądając się wszystkim pobieżnie. Nieskrywana pogarda

widoczna w jego oczach straszliwie irytowała Kyle'a. Wreszcie starzec zatrzymał wzrok na Ereku, rozciągając usta w chciwym uśmiechu. Zawołał coś w języku nieznanym chłopakowi.

- Wszyscy tu mówią po taliańsku - odparł olbrzym.

Mężczyzna przerwał, pochylając lekko głowę.

- Proszę bardzo... straciłem już nadzieję, Ereko. A mimo to się zjawiłeś. To chyba była najdłuższa gra w historii.

- Nie interesują mnie gry, Kallor.

- Wykręcasz się do samego końca. Chodź... - Skinął niecierpliwie na olbrzyma. - Pozwól mi dopełnić mojej ostatniej przysięgi.

- Daj mi go załatwić - rzekł Skradacz, prostując się.

Ereko uniósł rękę.

- Nie! Nikt nie może ingerować. To sprawa między nim a mną.

- Nie masz broni, Ereko! - zawołał młodzieniec.

Olbrzym uśmiechnął się tęsknie do niego.

- Nic nie szkodzi. Nie martw się, Kyle. To moja decyzja. - Zaczepił tchu. - Nie będę z tobą walczył z bronią w rękę, Kallor. To by zhańbiło wspomnienie tego, dlaczego tu jestem.

Starzec wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz. To nic nie zmieni.

- Wędrowiec, zrób coś! - błagał Kyle.

Szermierz nie odpowiedział. Po jego twarzy spływały łzy. To zaciśkał, to rozluźniał dłoń na rękojeści miecza.

- Przykro mi, Kyle - wydyszał z wysiłkiem. - Zawarliśmy umowę.

- Ja nie zawierałem żadnej przeklętej przez Kaptura umowy - stwierdził chłopak. Wylazł z wykopu i sięgnął po tulwar. Wędrowiec złapał go za rękę, wykręcając mu ją za plecami. Bark chłopaka przeszył ból.

- Niech cię Otchłań pochłonie! - wydyszał.

- Czasem myślę, że już tak się stało - odparł mężczyzna głosem niemal załamującym się z emocji.

Ereko podszedł bliżej, rozpościerając ramiona.

- Chodź więc, wielki królu. Nie boję się.

Mężczyzna zwany Kallorem cofnął się, mimo że miał do czynienia z nieuzbrojonym przeciwnikiem. Być może zadawał sobie pytanie, czy to nie jakiegoś rodzaju sprytna pułapka. Albo po prostu nie potrafił zrozumieć takiego zachowania. Zrobił kilka kroków do tyłu, a potem skrzywił się i wyciągnął miecz.

- Niech ci się nie zdaje, że wzruszysz mnie podobną demonstracją.

- Możesz być pewien, że w twoim przypadku nie mam podobnych złudzeń.

Głusza i Wieszka wdrapali się na stertę piasku, wyciągając broń.

- Stójcie! - rozkazał Wędrowiec.

- Zabije go! - sprzeciwił się Głusza.

- To jego decyzja.

- Nie - warknął Kallor, ruszając do przodu. - Moja!

Choć „wielki król” wyglądał na starca, poruszał się zdumiewająco szybko. Uniósł wysoko długi bastardowy miecz, a potem ciął nim, podrzynając gardło Ereкови. Olbrzym oplótł się ramionami i osunął na kolana. Kallor pchnął mieczem. Sztych przebił koszulę Ereka, a potem się cofnął. Olbrzym zwałił się bezgłośnie na bok.

Przerażony Kyle zakrył twarz dłońmi. Wiedział jednak, że powinien być świadkiem, nakazał więc sobie patrzeć, nie zważając na pieczenie w oczach.

Kallor wytarł miecz o ubranie leżącego. Przyglądał mu się jeszcze przez chwilę.

- To było stanowczo zbyt łatwe. Choć i tak sprawiło mi dziwnie wielką satysfakcję. Ale... - Pochylił się. - Cóż to, jeszcze oddycha? Chyba wezmę sobie jego głowę.

- Nie zrobisz tego - oznajmił Wędrowiec.

Wielki król wyprostował się, unosząc miecz.

– Nie sądzisz, że jest już trochę za późno dla twego przyjaciela? Czy to spóźnione poczucie winy? Jak sobie życzysz – ciągnął, przyjmując postawę bojową. – Przybyłem tu dla walki. Może ty mi ją zapewnisz.

Wędrowiec ruszył ostrożnie naprzód.

– Przemówiłem, ponieważ warunki umowy, jaką zawarłem z przyjacielem, zostały wypełnione.

– A teraz pragniesz zemsty. Tak, tak. To okropnie nudne i przewidywalne.

Wędrowiec wzdygnął się jak pchnięty nożem. Uniósł rękę, wskazując przeciwnika.

– Nie mów mi o zemście, Kallor. – Kyle był wstrząśnięty, słysząc w jego słowach echa wczorajszej nocy. – Ten, który leży teraz przed tobą, chciał, bym wyrzekł się wszelkiej zemsty wywarłej w jego imieniu, i szanuję jego pragnienia. Odejdź już! Zadałeś śmiertelne ciosy i Ereko wkrótce od nich skona.

Kallor wyprostował się, wykrzywiając usta w grymasie pogardy i niedowierzania.

– Śmiesz kazać mi odejść? Gdybyś miał choć blade pojęcie, kim jestem, rzuciłbyś się do ucieczki i nie zatrzymał, dopóki nie skryłbyś się w morskich falach!

Wędrowiec poluzował miecz w pochwie.

– Są tacy, którzy powiedzieliby to samo o mnie...

Na posępnej twarzy wielkiego króla pojawił się uśmiech. Kallor odsunął się od Ereka, zataczając mieczem szeroki krąg w zapraszającym geście.

– Proszę bardzo. Chodź więc. Wezmę sobie głowy was obu.

– Uciekaj, wielki królu, albo przejdę do czynów.

Kallor popatrzył demonstracyjnie w prawo, a potem w lewo.

– Chyba nie uciekłem.

Wędrowiec wyciągnął miecz.

– To mi wystarczy.

Obaj przeciwnicy ruszyli ostrożnie ku sobie, szurając nogami i unosząc oręż. Kyle był zaniepokojony. Wielki król przed chwilą zdemonstrował, że jest zdumiewająco szybki, a jego bastardowy miecz był znacznie masywniejszy od broni Wędrowca, nie wspominając już o fakcie, że nosił znacznie cięższą zbroję.

Klingi zetknęły się ze zgrzytem. Obaj mężczyźni trzymali miecze oburącz. Zwarli się ze szczękiem, a potem odskoczyli od siebie i zwarli się znowu. Wtem Wędrowiec znalazł się tuż przed Kallorem. Jego pięści dotykały piersi przeciwnika. Miecz wbił się w ciało aż po rękojeść. Kyle wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Wielki król sprawiał wrażenie równie zdziwionego. Uniósł zakutą w żelazo dłoń, próbując złapać rywala za rękę, i zamachnął się trzymanym w drugiej dłoni mieczem. Wędrowiec uniósł błyskawicznie rękę, łapiąc go za nadgarstek. Siłowali się przez jakiś czas, krążąc wokół siebie. Kallor unosił wysoko miecz, a smukła, czarna klinga oręża Wędrowca sterczała mu z pleców. Kyle z drżeniem zauważył, że nie ma na niej krwi.

Wściekłość na pooranej bruzdami twarzy wielkiego króla przerozdiła się w konsternację, a potem w niedowierzanie. Kallor wybałuszył oczy i obnażył szare zęby.

- Kim... jesteś...? - wychrypiął.

Wędrowiec pochylił głowę i odpowiedział mu, ale jego słowa zagłuszyło dyszenie Kallora. Wielki król pobladł i wzdrygnął się trwożnie.

- Nie! Przykuty, ratuj mnie!

Wokół dwóch walczących rozszalał się wiatr. Kallor obejrzał się i popatrzył na miejsce, w którym pojawiła się ciemność. Uśmiechnął się drwiąco do Wędrowca.

- Jak widzisz, apostato, choć tym razem mnie zwyciężyłeś, również trudno mnie zabić jak ciebie. A mój patron jest tu bardzo silny. Zwłaszcza w tym miejscu...

Rzucił się do tyłu, zsuwając się z miecza w mroczną szczelinę, która otworzyła się na chwilę. Wędrowiec był gotowy skoczyć za nim, ale Skradacz podbiegł bliżej i odepchnął go.

Brama zniknęła z hukiem. Wędrowiec stał przez chwilę bez ruchu, gapiąc się na miejsce, gdzie był portal. Skradacz dyszał ciężko. Twarz zlewał mu pot.

– Myślałem, że go nie pchniesz – rzekł.

Wędrowiec schował miecz.

– To mu się od dawna należało, za innego przyjaciela.

Kyle podbiegł do Ereka i rzucił się na ziemię u jego boku. Thel Akai był przytomny. Oddychał płytko. Wędrowiec uklęknął obok chłopaka.

– Odszedł – oznajmił Erekowi.

Olbrzym szarpnął lekko głową.

– Ja też odchodzę – wydyszał z wysiłkiem. – Połączę się z braćmi. Zbyt długo już przebywałem z dala od nich. Stęskniłem się za nimi. Dziękuję przyjacielu. – Zerknął na Kyle'a, uśmiechając się słabo. – Nie płacz po mnie. Nie ulegaj smutkowi. Zawsze będę z tobą. To było konieczne. Konieczne...

Wędrowiec wstał.

– Żegnaj.

Kyle nie podnosił się z kłęczek. Przyszło mu na myśl, że ktoś powinien coś zrobić. Dlaczego nikt nic nie robił? Skóra Thel Akai nabrała szarego odcienia, stała się bardziej szorstka. Na oczach młodzieńca ciało jego przyjaciela przerodziło się w szary kamień, a następnie zaczęło się kruszyć. Przerażony chłopak musiał odwrócić wzrok.

– Co się dzieje?

– Wraca do Ziemi. Do matki – wyjaśnił Wędrowiec cichym, przepojonym szacunkiem głosem. – Tak powinno się stać...

Omiótł spojrzeniem horyzont, trzymając dłoń na rękojeści miecza.

Ciało Ereka zamieniło się w unoszony wiatrem pył. Po chwili nie pozostało po nim nic. Wędrowiec wyszeptał coś, co brzmiało dla Kyle'a jak modlitwa.

Bracia wymienili kilka słów ze Skradaczem. Zwiadowca podszedł do nich.

- Lepiej stąd chodźmy - rzekł cichym głosem.

- Tak - zgodził się Wędrowiec, kiwając głową. Wziął Kyle'a za ramię, ale chłopak się mu wyrwał.

- Jak możesz go tak zostawić?!

- Już go tu nie ma, Kyle. Zabrał go wiatr. Wrócił do Ziemi, jak tego pragnął.

W piersi młodzieńca zapłonął ogień.

- Dlaczego do tego dopuściłeś?! Mogłeś to powstrzymać!

Wstrząśnięty szermierz szeroko otworzył ciemnoniebieskie oczy. Potem spuścił wzrok i się odwrócił.

- Chodźmy już - rzekł przepojonym emocjami głosem.

Skradacz złapał Kyle'a za ramię.

- Nie gniewaj się na niego - wyszeptał.

Chłopak znowu się wyszarpnął.

- Równie dobrze sam mógłby zabić Ereka!

- Kyle... to nie...

Zwiadowca nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Potrząsnął głową i odszedł, migając coś do braci.

Kyle opadł na kolana w miejscu, gdzie przed chwilą leżał olbrzym. Przesunął dłonie po piasku. Erek zniknął bez śladu. Chłopak czuł się tak, jakby wyrwano mu serce. Przysięgał sobie, że nigdy już nie ulegnie takim uczuciom, a mimo to był wstrząśnięty jeszcze bardziej niż wtedy na Ostrodze. Ktoś tak mądry i dobry... Jak to mogło się stać? To nie było w porządku. Na piasek skapnęły łzy. Wymacał rzemyk, kamyk noszony przez Ereka na szyi. Kamyk był gładki i półprzezroczysty jak bursztyn. Rzemyk przeciągnięto przez dziurę w kamyku. Chłopak zacisnął na nim dłoń i wstał.

Ruszył w tę samą stronę, z której przyszli. Czuł się dziwnie, jakby chodził we śnie. Zdawał sobie niejasno sprawę, że Weszka i Głusza

przyglądają mu się z uwagą. Gdy wrócili na brzeg i Kyle zobaczył wyciągniętego na plażę *Latawca*, jego ból nasilił się jeszcze. Bracia Zagubieni i Wędrowiec wzięli się za przygotowania do odpłynięcia. Kyle usiadł na plaży, obserwując ich wysiłki, ocean oraz nieustanny przybój. Od strony wioski podszedł do nich jakiś staruszek.

- Witajcie! - zawołał po taliańsku.

Chłopak zerknął na Wędrowca, ale ten po prostu wrócił do pracy. Kyle wzruszył ramionami i spojrzął na przybysza.

- Mówisz po taliańsku? - zdziwił się.

- Tak. Pochodzę z Gris. Rozbiłem się tu przed wielu laty.

Długie, proste, siwiejące włosy mężczyzny powiewały na dmącej od łądu bryzie. Zdumiewająco biała broda i wąsy ostro kontrastowały ze szczupłą, ogorzałą od słońca twarzą. Był odziany w wystrzępione, wyblakłe resztki koszuli, skórzanej kamizelki oraz spodni. Stopy miał bose i spękane.

- I?

Nieznajomy przymrużył powieki, odwracając wzrok.

- Miałem nadzieję, że dacie mi miejsce na łodzi. Wszystko mi jedno, dokąd płyniecie.

- Nie sądzę. Właściwie...

- Dobrze znam te wody. Mogę się podjąć funkcji pilota. Łowiłem tu ryby przez wiele lat. Dokąd się wybieracie?

Kyle nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Dokąd właściwie się wybierali? Spojrzął na Wędrowca. Szermierz odwrócił się do niego plecami, ładując na pokład pakunki i napełnione wodą beczułki.

- Do Quon Tali - odpowiedział po chwili.

- Quon Tali! Błagam, na Łaskawość Pani! Musicie mnie zabrać!

Kyle spojrzął na niego. Łaskawość Pani? Ale nie, nie powinien się niczego w tym doszukiwać. To z pewnością było pospolite taliańskie powiedzenie.

- Decyzja nie należy do mnie... - odparł, znowu spoglądając z lekko naburmuszoną miną na Wędrowca.

Szermierz był zajęty zwijaniem liny. Zwiesił głowę, odwrócony do nich plecami, a potem uniósł ją, jakby patrzył w niebo.

- Należy do ciebie, Kyle.

- W takim razie pewnie się zgadzam. Jak masz na imię?

- Jan.

Młodzieniec przedstawił mu towarzyszy. Bracia Zagubieni przywitani staruszką, ale Wędrowiec się nie odwrócił.

- Powinniśmy odpłynąć z nocnym przyływem - rzekł tylko.

Jan wskazał wioskę.

- Pójdę po zapasy.

- Pośpiesz się! - zawołał za nim szermierz.

Gdy wypchnęli *Latawca* na płyciznę, Jan wrócił, objuczony bukłakami wody oraz pękami owoców i jasnych bulw. Wszedł do wody i cisnął to wszystko na łódź, a potem wspiał się na pokład. Skradacz ustąpił mu miejsca przy sterze. Kyle i bracia zajęli się żaglem. Wędrowiec siedział na dziobie, oplatając rękoma kolana. Jan skierował stateczek na północ.

Po pewnym czasie pojawiły się gwiazdy. Kyle siedział przy burcie, wspierając podbródek o reling. Gapił się na ciemną linię wybrzeża Jacuruku widoczną na horyzoncie. Jego pomysł wyprawy do Dolmenów zakończył się katastrofą. Okazało się, że K'azz zniknął albo nie żyje, a Ereko zginął. Młodzieniec obawiał się też, że Wędrowiec nie wybaczy mu słów, jakie wypowiedział przy Dolmenach. Teraz rozumiał, że postąpił głupio, ale był tak strasznie wściekły. Chłopak nie zastanowił się nad tym, że szermierz znał Ereka znacznie dłużej niż on. A teraz Wędrowiec zdecydował, że popłyną do Quon, tam, gdzie wybierali się Gwardziści. Być może zamierzał wydać im Kyle'a. Młodzieńcowi przyszło nagle do głowy, że może winić go za śmierć przyjaciela. Gdyby Kyle nie zasugerował wyprawy do Jacuruku, Ereko by żył. Zerknął na dziób. Szermierz nie spał. Sprawiał wrażenie pogrążonego

w ponurych rozmyślaniach. Lśniącymi w mroku oczyma wpatrywał się w stojącego przy sterze Jana. Staruszek nie zwracał na niego uwagi, lustrował horyzont na północnym wschodzie.

* * *

Dla Toca oblężenie zaczęło się od narastającego łoskotu, który wstrząsnął kopytami i ciałem konia, nim dotarł do trzewi jeźdźca. Na południu, za murem kurtynowym Ronda Zewnętrzny, cały horyzont rozjarzył się ogniem, gdy nad murem Ronda Wewnętrzny zaczęły w obie strony przelatywać pociski zapalające. Do wewnątrz miały je taliańskie katapulty, a na zewnątrz hengańskie onagry. Niedobitki taliańskich legionów uczestniczących w pierwszym szturmie przyglądały się temu z obozu razem ze zgromadzoną czeladzią złożoną z płatnerzy, kucharzy, poganiaczy, praczek, prostytutek oraz żon i dzieci żołnierzy.

Dalej od miasta, po oświetlonych migotliwym blaskiem pożarów wzgórzach krążyły grupki konnych Seti. Jeźdźcy śpiewali pieśni wojenne, wymachiwali lancami, ryczeli głośne słowa zachęty i przeklinali Hengan. Toc żałował, że nie znajduje się w centrum wydarzeń razem z Chossem, choć świetnie sobie wyobrażał groźbę bitwy. Zmasowane szturmowanie z użyciem drabin zawsze kosztowały mnóstwo ofiar. Naga zaciekłość ścierała się z taką samą zaciekłością drugiej strony.

Szturm ciągnął się przez długie godziny nocy. Łoskot nie cichł ani na chwilę. Nagle z mroku wyłonił się szaman Białych Szakali, Imotan. Towarzyszyła mu straż osobista. Szaman podjechał do Toca. Jego siwe włosy podtrzymywała prosta opaska ze skóry. Skórzany strój splamiło błoto. Zamiast lancy przyciskał mocno do piersi krótką buławę ozdobioną białym futrem. Oczy starca lśniły jasno, Toc nie był pewien, czy ze strachu, czy z podniecenia.

– Co się stało?

– Musisz wprowadzić wszystkich ludzi do środka! – zawołał szaman.

– Dlaczego? Wycieczka?

– Nie. Coś się zbliża. Coś straszliwego. Dla was. Dla nas to wypełnienie proroctwa.

Toc gapił się na niego bez zrozumienia. Czyżby szaman oszalał?

– O co ci chodzi?

– Nadchodzi Ryllandaras. Czuję go. Mogę niemal wyczuć woń jego oddechu.

– Ryllandaras? – Starzec z pewnością oszalał. To było niemożliwe. Człowieka-szakala uwięziono dawno temu. – Nie. Z pewnością się mylisz.

Imotan odsunął się, łypiąc nań spode łba.

– Nie znieważaj mnie, Malazańczyku. – Pociągnął za wodze, zawracając wierzchowca. – Jak sobie życzysz. Ja zrobiłem, co do mnie należało. Jeśli zignorujesz moje słowa, zginiesz.

Szaman Białych Szakali odjechał w noc otoczony strażnikami osobistymi.

Toc odprowadził go wzrokiem. Potem wyprostował się w siodle i spojrział w lewo, a następnie w prawo, przyglądając się liniom. Z pewnością starzec nie przyjechałby do niego, gdyby nie miał pewności. Ale z drugiej strony Ryllandaras, po tak długim czasie? Dlaczego teraz?

– Jeździec! – zawołał.

Jeden z ludzi z jego sztabu podjechał bliżej.

– Słucham?

– Jedź do Urka. Powiedz mu, że Seti meldują o niebezpiecznej istocie czającej się w nocy.

– Tak jest.

Mężczyzna popędził konia kopniakiem i odjechał.

– Kapitanie Mech?

– Słucham?

– Weź szwadron i sprawdź z nim obwód. Każ wartownikom mieć oczy otwarte.

– Tak jest.

Kapitan zasalutował i ruszył w drogę.

Załatwione. Czy jednak zrobił wszystko, co mógł? Czy powinien ostrzec Chossa? Nie, on i tak miał pod dostatkiem problemów na głowie. Postanowił dowodzić szturmem z pierwszej linii. Trzeba najpierw się przekonać, czy ta z pozoru absurdalna wiadomość się potwierdzi.

Po całej godzinie, wkrótce przed północą, z obozu wyłoniła się kobieta w podartej sukni pokrytej ciemnymi plamami. Szła prosto na Toca, milcząca jak duch. Spojrzenie miała puste, wyciągała przed siebie zbrukane ciemną cieczą ręce. Jego ludzie wskazywali na nią, krzyząc głośno. Toc gapił się na kobietę. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa, nie wierzył własnym oczom. Zsunął się z siodła i ujął jej lepkie od krwi dłonie.

– Gdzie?! – zawołał. – Powiedz mi, gdzie?!

Spoglądała nań bez zrozumienia, marszcząc czoło.

– Nie żyją – oznajmiła. – Wszyscy nie żyją!

– Gdzie, do cholery?!

– Nad strumieniem.

– Zagrajcie „do broni”! – zawołał. – Formujcie czworobok. Odprowadźcie wszystkich cywilów za mury!

Z głębi obozu dobiegły krzyki. To nie byli ludzie. Ginące konie kwiwały przeraźliwie. Toc się wyprostował.

Bogowie, ratujcie nas wszystkich.

Przypomniał sobie Ryllandarasa. Był przy tym. Nawet Dassem nie był w stanie go zabić. Nie mieli nic. Nic, co mogliby przeciwstawić Kłatwie Quonu, pożeraczowi ludzi. Człowiekowi-szakałowi, bratu Trake’a, boga wojny.

Eskortowany przez grupkę regularnych żołnierzy Storo wdrapał się na mur Ronda Wewnętrznego. Czekala tam na niego Rzut. Opończę miał podarta, jego metalowe rękawice zbrukała krew, a twarz lśniła mu od potu i sadzy.

- Lepiej niech to będzie ważne - ostrzegł ją. - Ledwie się trzymamy. Zalaliby nas, gdyby nie ci trzej bracia. Są naprawdę przerażający.

Rzut milczała, nie chciała mu patrzeć w oczy. Storo zaczerpnął tchu, by mówić dalej, ale powstrzymało go coś w brzmieniu dobiegającego zza murów hałasu. Różnił się on od słyszalnego gdzie indziej tumultu. Krzyki wyrażały nie tyle gniew, ile panikę. Tego odcinka murów nie próbowano atakować. Zdjął hełm i ściągnął koczny czepiec, odsłaniając krwawą plamę po uderzeniu.

- Co tu się dzieje?

Rzut wskazała podbródkiem północną bramę muru Ronda Zewnętrznego.

- Zaczęło się.

Storo wspiął się na blanki. W dole kłębiła się masa ludzi. Taliańscy żołnierze unosili pochodnie i pokrzykiwali głośno, starając się utrzymać szyki zwrócone ku uchylonej Północnej Bramie Równin. Tłoczyli się w niej cywile, próbujący się przebić przez szeregi żołnierzy. Wrzeszczeli rozpaczliwie, łapiąc bladymi rękami za broje. Nieopodal jeden z nielicznych dosiadających koni ludzi wykrzykiwał rozkazy. Jego krótko ostrzyżone siwe włosy oraz wąsy połyskiwały w półmroku. W jednej ręce trzymał czarny refleksyjny łuk, wymachując nim dla emfazy.

- Bogowie! - zawołał Storo jak uderzony w brzuch. - To Toc. Sam Toc. - zerknął na Rzut. - Mamy tu jakichś łuczników?

- Nie.

– Ha! Szczęście nadal mu sprzyja. – Zszedł na dół i spojrzął prosto na Rzut. – Zaczekaj, aż się oddalą, a potem zrób to.

– Czy musimy?

– Tak, do cholery! W przeciwnym razie będziemy zgubieni.

– Wszyscy zginą. Żołnierze i cywile.

Storo wciągnął czepiec.

– Mogli zostać w domu. A jeśli chodzi o cywilów, ostrzegaliśmy ich. Muszę już iść. Niech Pani ci sprzyja.

– I tobie też.

Storo zszedł na dół. Rzut została na szczycie ze swoim sierżantem oraz drużynami regularnych żołnierzy strzegącymi tego odcinka muru kurtynowego. Zauważyła, że Talianie zrobili przejście dla krzyżujących cywilów. Potem sformowali linie kuszników zwrócone ku bramie, podczas gdy inni próbowali ją zamknąć. W pamięć zapadł jej ostatni człowiek, który wpadł do środka. Jego ciemna oponcza i kolczy płaszcz zwisały w strzępach, a na szyi kołysały się resztki roztraskanego hełmu. W rękach trzymał dwie szable. Czy naprawdę uszedł z życiem ze starcia z ludojadem? Rzut zapewne nigdy się tego nie dowie. Zatrzaśnięto drugie skrzydło bramy i pośpiesznie zasunięto żelazne sztaby. Rzut spojrzała na sierżanta Banatha.

– Chcę, żebyś zszedł na dół.

Zasalutował i zbiegł truchtem ze schodów. Taliańscy żołnierze wspinali się ku szczytowi Muru Zewnętrznego, spoglądając w dół. Wyciągali ręce, podnosząc alarm. Zaczęli strzelać z kusz. Rzut zaczęła, aż cywile oddalą się od bramy, po czym podeszła do wewnętrznej krawędzi biegnącego szczytem muru chodnika. Spojrzała na pochodnie, oświetlające sierżanta Banatha i jego ludzi, którzy siedzieli w okopie tuż pod murem. Zerknęła w prawo, w lewo, a potem znowu w dół.

– Przygotować się! – zawołała.

Uniosła rękę, myśląc: tym gestem zabijam więcej ludzi, niż potrafię sobie wyobrazić. Co się ze mną stało, że jestem do tego zdolna? Czy

to była śmierć Drżączki? Atak ludzi Grubego Keptena? Co mnie obchodzi, czy Heng upadnie? Szczerze mówiąc, nic. Prawda wyglądała tak, że po prostu chciała żyć, a gdyby miasto zdobyto, z pewnością nie uniknęłaby egzekucji.

Opuściła rękę i padła na chodnik, zakrywając głowę rękami. Wyobraziła sobie dwuręczny młot uderzający w rurę biegnącą pod ziemią wzdłuż całej szerokości Ronda Zewnętrznego aż do pakunku z pociskami Moranthów, starannie ukrytego pod lewą ościeżnicą bramy. Ostro zakończony koniec rury uderzy w przebijacz ulokowany między czterema wstrząsaczami. Eksplozja...

Wstrząs wybił jej dech z piersi. Huk wybuchu nie zrobił wrażenia na już wcześniej ogłuszonej kobiecie. Jej głowę wypełnił potężny łoskot, a na plecy posypały się kamyki. Zamrugła, potrząsnęła głową i wstała. Bramy przesłonił dym. W dole, na zasypanym gruzem Rondzie Zewnętrznym, ludzie podnosili się z wysiłkiem. Straszliwie ranni wyłaniali się chwiejnym krokiem z tumanów dymu. Rzut dopadły mdłości. Wiedziała, że nie wszyscy oddalili się na wystarczającą odległość, powtarzała sobie jednak, że większości się to udało. Pobliskie budynki płonęły obrócone w gruzy. A przez kłęby dymu coś biegło. Nie potrafiła określić co. Było zbyt szybkie. Przelotnie dostrzegła olbrzymią, bladą sylwetkę. Poruszało się błyskawicznie i przerażająco płynnie. Po chwili zniknęło.

Osunęła się na blankę. Stało się. Kłątwa Quon spadła również na nią. Krew, którą od tej nocy przeleje Ryllandaras, obciąży także sumienie Rzut. Zakryła twarz dłońmi i rozplakała się spazmatycznie.

* * *

Huk wybuchu spłoszył wierzchowca Toca. Koń wpadł do boksu, zaplątał się w liny i skrzynki, potknął się i runął na ziemię. Jeździec zwałił się na bruk, tracąc dech w piersiach. Tłum otaczał go ze wszystkich stron, wyciągając ręce. Po eksplozji krzyki zabrzmiały ze zdwojoną

siłą. Wszyscy pytali, co się stało, ale Toc ich ignorował. Dowłókł się do miotającego się pośród szczątków boksu wierzchowca. Zwierzę miało złamaną nogę. Wyciągnął miecz. Biedny koń. To był jeden z jego ulubionych, ale nie mógł go tak zostawić.

Zrozumiał, co się stało, gdy tylko dotarła do niego fala uderzeniowa. Wysadzili zewnętrzną bramę. Wykalkulowane, gwałtowne okrucieństwo tego planu wypełniło go drżeniem. Szturm zwabił ich w pułapkę między murami. Ścigała ich śmierć. Rankiem Rondo Zewnętrzne zmieni się w jatkę. Rylandaras nasyci niezaspokojony od blisko stulecia głód.

Musi dotrzeć do Chossa. Uniósł wysoko miecz w obu rękach i uderzył.

Wyprostował się, podnosząc łuk.

– Chowajcie się w budynkach! – zawołał. – Brońcie się!

Błagalne spojrzenia żołnierzy szarpały jego sumienie. Pragnął ich uspokoić, ale nie był w stanie tego zrobić. Najbardziej zrozpaczonym nie chciało się nawet na niego patrzeć w oczekiwaniu rozkazów. Wziął się w garść, oparł na bruku koniec rogowego, refleksyjnego łuku i nałożył szybko cięciwę, wspierając ten ruch całym swym ciężarem.

– Sformujcie czworobok. Przygotujcie się do zbrojnego odwrotu. Włócznie, lance, halabardy, wszystko, co zdołacie znaleźć. Kusznicy i łucznicy do środka.

– A co z nami?! – krzyknęła jakaś kobieta.

– Usuńcie tych ludzi z ulicy!

Stojący obok żołnierz, sądząc po obręczy na ramieniu, porucznik, zasalutował dziarsko.

– Słyszeliście, co powiedział dowódca! Ruszać się!

– Powolny odwrót, poruczniku – rozkazał Toc. – Muszę znaleźć komendanta.

– Tak jest. Niech Oponn będą z tobą.

Toc odwzajemnił salut i potruchtał przed siebie.

Noc rozświetliły pożary budynków pod murem Ronda Wewnętrznego. Toc widział żołnierzy pośpiesznie budujących barykady na głównej ulicy. Omal nie rozkazał im zaniechać tych wysiłków, ale zdecydował, że nie będzie zwiększał zamieszania i chaosu. Nie mieli jednak szans powodzenia. Bestia z łatwością ominie wszystkie bariery. Żołnierze skierowali go na dach solidnego magazynu z cegieł. Znalazł tam Chossa w otoczeniu jego sztabu.

– Dzięki Beru! – zawołał potężnie zbudowany mężczyzna na widok Toca. – Co tam się dzieje, w imię Przykutego? Docierają do mnie niewiarygodne raporty.

– Ryllandaras wrócił. Nie może być wątpliwości. A my jesteśmy tu z nim uwięzieni.

Prerażone spojrzenie Chossa było najgorszym, co Toc ujrzał tej nocy. Nagły podmuch wznieconego przez pożary wiatru targnął włosami dowódcy, zasłaniając jego twarz. Choss splunął na dach.

– Tak też mi mówili. Coś ci powiem, Toc. – Spojrzał na mur kurtynowy, zaczerpnął głęboki haust powietrza, zatrzymał je w płucach, a potem wypuścił w długim westchnieniu żalu. – Zdobyliśmy wieżę, Toc – ciągnął tęsknym głosem. – Byliśmy bardzo blisko. A teraz będę musiał zawrócić i próbować jakoś uratować sytuację.

Pełne porażającego strachu krzyki przyciągnęły ich uwagę do labiryntu ulic i zaułków. Gdy Toc usłyszał pobrzmiwającą w tych głosach rozpacz, po plecach przebiegły mu ciarki. Ryllandaras mordował ich żołnierzy i nie zamierzał przestać. Popatrzył na Chossa. Wódz ponownie skierował wzrok na odległe mury. Na ich szczycie pojawiły się sylwetki strzelających z kusz i rzucających pochodnie ludzi. Toc myślał o tym, że Choss współpracował bardzo blisko z wielkim strategiem Dujekiem, i to on uratował pod Y’Ghatanem armię porażoną szokiem po śmierci Dassema.

- Jeśli dobrze sobie przypominam... - mówił Choss, mrużąc powieki - ...jego wrogiem jest Heng. To miasta nienawidzi. Można powiedzieć, że my tylko stoimy mu na drodze. - Skierował spojrzenie piwnych oczu na Toca. - Mam rację?

- Można by tak powiedzieć.

- Znakomicie. Jeśli ten Storo chce grać o najwyższą stawkę, spełnimy jego życzenie. - Spojrzał na kuriera. - Sprowadźcie tu wszystkie pociski. Każcie saperom wydać wszystkie zachomikowane zapasy pod groźbą śmierci! Migiem!

- Tak jest.

Choss ponownie spojrzał na mury. Co zamierzał zrobić? Toc większą część życia służył w kawalerii, nie znał go więc tak dobrze, jak by tego pragnął. Pociski? Czy to się uda? Próbowano już wszystkich znanych sztuczek i pułapek, a zwierzolud i tak się wymknął. Jego spryt i czujność przeszły do legend. Niemniej pociski Moranthów powinny być dla przeklętego biesa nowością.

* * *

Rzut znalazła Stora przy wieży schodowej nieopodal Bramy Ronda Wewnętrznego.

- Wycofują się do Bramy Świt - poinformowała go. - Przerwali szturm.

Wytań twarz ściskaną w garści opończę.

- Na to wygląda. Nie mogą walczyć z nim i z nami jednocześnie.

- Jak myślisz, co zrobić?

- Rozpoczną odwrót. Przesuną oddziały, by stawić czoło Laseen. Opuszczą równiny tak szybko, jak tylko Oponn pozwolą.

Uwagę Rzut przyciągnęły krzyki i odgłos strzałów, dobiegające spod Bramy Ronda Wewnętrznego. Ukryci za tarczami i w ruinach spalonych budynków taliańscy łucznicy wdali się w pojedynek z kusz-

nikami obrońców. Połamane drabiny walały się na drodze obok ciał. Niektóre z nich płonęły.

– Co tam się dzieje?

– Starają się zachować pozory. Kierują saperów pod bramy. Ale to nic nie da.

– Po co? Chcą zrobić podkop?

– Tak. Ale fundamenty sięgają zbyt głęboko. Wiesz o tym.

Rzut poczuła w piersi ucisk.

– To mi się nie podoba, Storo. Przeгон ich stamtąd.

– Już się robi. – Spojrzał na kuriera. – Każ sprowadzić więcej kamieni.

– Tak jest.

Storo zdjął hełm i westchnął ze zmęczenia połączonego z nieskrywaną ulgą.

– Myślę, że naprawdę...

Nagły wybuch rzucił oboje na ziemię. Rzut walnęła głową w kamienną posadzkę.

– Kapturze, ratuj nas!

Storo wciągnął powietrze. Oboje skoczyli do wschodniego wejścia. Rzut trzymała się za głowę, próbując powstrzymać ciemność gromadzącą się na granicy jej pola widzenia. Bramę przesłoniły tumany dymu i pyłu, kobieta wiedziała jednak, że tak potężny wybuch z pewnością ją zniszczył. Storo spojrział jej w oczy. Nogi ugięły się pod nią i podtrzymał ją pośpiesznie. Dotknął jej głowy, a gdy cofnął dłoń, była mokra od krwi. Rzut spróbowała podzielić się ze Storem nowo zdobytą wiedzą, ale z jego przerażonego spojrzenia wyczytała, że nie musi już tego robić.

Ryllandaras stał się teraz ich kłątwą.

Rzut obudziły krzyki oraz gardłowy, warkliwy ryk, od którego jeżyły się jej włoski na karku, a kamienie pod jej plecami drżały. Leżała w pokoju pełnym rannych. Ze wszystkich stron atakowały ją jęki i przekleństwa, a także odór krwi i żółci. Wstała chwiejnie. Głowę przeszywał jej pulsujący ból, jakby ktoś wbijał w nią gwóźdź. U boku Rzut nadal wisiała torba z pociskami Moranthów. Kobieta ruszyła ku drzwiom, przechodząc ostrożnie nad rannymi. Niektórzy z nich podtrzymywali ją po drodze. Przy drzwiach stał wartownik mierzący z kuszy w stronę ulicy. Henganie z pospolitego ruszenia umykali w panice, porzucając broń.

Nadal trwała noc. Ulicę oświetlał migotliwy blask pożarów. Rzut wyrzała na zewnątrz i zorientowała się, że jest w stróżówce obok wysadzonej bramy. Długa ściana szurających nogami, wrzeszczących ludzi uzbrojonych we włócznie i halabardy walczyła z czymś, co, stanąwszy dęba, było trzy razy wyższe od nich. Stwora pokrywała jasna, kremowo-biała sierść, usiana na grzbiecie ciemniejszymi, szarymi i brudnożółtymi smużkami. Istota rozdziawiła potężną paszczę i podkuliła czarne wargi, odsłaniając olbrzymie kły. W oczach, ciemnokarminowych jak serdeczna krew, gorzał ogień. Cały przód ciała bestii splamiła posoka. Monstrum uderzało nieproporcjonalnie długimi, muskularnymi łapami zakończonymi czarnymi pazurami, wyrwijając ludzi z szeregów i odrzucając ich na bok jak słomiane lalki.

Rzut odwróciła się, słysząc przypominający jęk głos. W szeroko rozwartych oczach wartownika ujrzała przerażenie i rozpacz.

– To on – wydyszał mężczyzna. – Ludojad.

Obrzucił ją jeszcze jednym pozbawionym nadziei spojrzeniem, rzucił kuszę i uciekł.

Rzut schyliła się i podniosła ostrożnie broń. Tak, to był on. Niektórzy zwali go bogiem, a jego brat rzeczywiście niedawno nim został. Byli nawet tacy, którzy zapewniali, że Ryllandaras jest jednym z ostatnich przedstawicieli starożytnych potworów, które polowały na przodków ludzi w pradawnych czasach poprzedzających opanowanie ognia.

Kobieta nie miała pojęcia, czy to prawda. Wiedziała tylko, że poprzyściągł zrównać Heng z ziemią, i zrobi to, jeśli dostanie się do środka. A po wschodzie słońca Talianie obejmą w posiadanie ruiny.

Wyszła na usianą gruzami ulicę, wyjmując bełty z kuszy. Okrążyła tłum i zaczęła się wdrapywać na zwalone głazy obok zniszczonej bramy. Co chwila miała zawroty głowy i opadała na cztery kończyny, dysząc ciężko. Znalazła dobry punkt na szczycie i rozstawiła szeroko nogi, by utrzymać równowagę. Widziała teraz, że obroną dowodzi jeden żołnierz. Miał długi koleczy płaszcz i hełm z zasłoną, a w rękach trzymał bliźniacze miecze. Rell. Potwór uderzał w niego łapą, ale on uchylał się za każdym razem, tnąc mieczami tak szybko, że tylko odbijający się w klingach blask pochodni pozwalał śledzić ich ruchy. Bestia ryczała z wściekłości i bólu. Kamienie pod stopami Rzut drżały od głosu monstrem. Kobieta wyjęła z torby bełt z przebijaczem, naładowała kuszę i uniosła rękę. Na dole rozległy się ostrzegawcze krzyki. Uniosła broń, stękając z wysiłku, i wycelowała w bruk tuż za ludojadem. Odrzut zbił ją z nóg. Po wybuchu powietrze przesyły kamienne odłamki. Kobieta upadła na rozbite, dymiące kamienne bloki, ale zaraz usłyszała gniewny, ogłuszający warkot i usiadła, wspierając się na rękach i kolanach. Ludzie nadal walczyli, ale potwór powalił już lub odtrącił na bok większość z nich. Sierść na jego grzbiecie zbrukała krew. Kołysał się z boku na bok tak szybko, że przeradzał się w niewyraźną plamę, ale na drodze zawsze stawał mu ten sam wojownik uzbrojony w bliźniacze miecze. Choć Rzut była ledwie przytomna, zdała sobie sprawę, że jest świadkiem cudu. Żaden człowiek nie powinien być w stanie dokonać tego, co robił Rell. Za rozbity brama widziała taliańskich żołnierzy, gapiących się na walkę z rozdziawionymi ustami. W zwisających luźno rękach trzymali łuki i kusze, jakby ingerencja w pojedynek była dla nich czymś niewyobrażalnym. Rell uchylał się przed szalonymi uderzeniami łap Ryllandarasa, po których kamienne bloki wlatywały w powietrze – głazy tak ciężkie, że nawet najsilniejszy mężczyzna nie zdołałby ich podnieść. Bestia odchyliła do

tyłu zaślinioną paszczą i wydała z siebie ryk ślepego, gorejącego gniewu. Z uszkodzonych murów posypały się kolejne bloki. Rzut krzyknęła, zakrywając uszy.

Przez wąskie, załzawione szpary powiek widziała, że z człowiekiem-szakalem walczy już tylko Rell. Stał w pozycji obronnej. Jeden wąski miecz opuszczał nisko, a drugi unosił nad głowę, sztychem do dołu. Ryllandaras poruszył paszczą, wykonał jakieś gesty okrwawionymi, szponiastymi łapami. Czy coś do niego mówić? Huk wypełniający uszy Rzut ogłuszał ją na wszystkie dźwięki. Wzdrygnęła się, gdy bestia skoczyła do przodu, niewiarygodnie szybko. Rell odpowiedział serią kontrataków, skierowanych na tułów, przednie i tylne kończyny. Rzut była zdumiona odpornością zwierzoluda. Jak żywa istota mogła znieść coś takiego? Czyżby rzeczywiście był czymś w rodzaju boga, podobnie jak Trake? Czy Rell był skazany na klęskę, gdy w końcu się zmęczy i utraci szybkość?

Wstała i spróbowała naładować kuszę, ale bez skutku. Odrzuciła broń, wyciągnęła z tornistra kolejny belt i wyjęła z niego przebijacz. Uniosła go wysoko nad głowę i zaczęła schodzić z rumowiska, zbliżając się do bestii. Rell krzyknął coś, unosząc miecz. Rzut uniosła wzrok, spoglądając w płomienne oczy człowieka-szakala. Ryllandaras patrzył na trzymany przez nią pocisk. Postąpił krok ku niej – bogowie, ależ długi! Wyciągnął łapę, wysuwając pazury. Cóż za zasięg!

Cisnęła mu granat pod nogi i padła na rumowisko.

* * *

Odzyskała przytomność po nieokreślonym czasie. Ciągnęły ją czyjeś ręce, kamienie wrzynały się jej w plecy. Chciała krzyknąć, ale nie była w stanie. Pochylali się nad nią żołnierze. Nadal trwała noc. W pobliżu wciąż było słychać szcęk oręża. Jakiś człowiek podniósł tornister, drugi położył głowę Rzut na swych kolanach. Ujrzała zaniepokojoną twarz Odłoga, uzdrowiciela drużyny.

- Jestem twoją regularną klientką – stwierdziła z chichotem.
 - Ty i twój dowódca. Bądź cicho.
 - Storo? Co się...
 - Spokojnie.
- Zasłonił jej oczy dłonią i nie widziała już nic więcej.

* * *

Toc i Choss zatrzymali się z tyłu, pod Bramą Świtu. Towarzyszył im oddział złożony z siedemdziesięciu włóczników wspartych przez pięćdziesięciu łuczników i kuszników. Zaczekali, aż wszyscy ich żołnierze się wycofają i zamkną za sobą bramę. Z powodu dymu, pyłu i zmęczenia Toca rozboleły oczy. Potarł je palcami. Jak po każdej bitwie czuł w ustach suchość i żelazny posmak – tak, potrafił to przyznać – strachu. Splunął na wypalone ruiny budynku obok drogi. Obrońcy puścili wszystko z dymem, by pozbawić nieprzyjaciela drewna do budowy machin oblężniczych. Odwrócił się od bramy i oślepił go blask świtu. Oślonił oczy dłonią. Ze wschodu zbliżali się cwałem jeźdźcy. Choss i Toc wyjechali im na spotkanie.

- Pozdrowienia od wodza naczelnego Urka! – oznajmił dowódca grupy, gruby, ryży Falarczyk w luskowej zbroi z brązu. – Rozkazano mi zawiadomić cię, że w związku z otrzymanymi od ciebie informacjami Urko rozpoczął budowę szańców oraz palisady.

Choss pokiwał głową.

- Dziękuję, hmm...

- Jestem kapitan Tonley.

- Dziękuję, kapitanie Tonley. Powiedz mu, że nasze oddziały wkrótce do niego dołączą.

- Tak jest.

Okrwawiony kapitan Mech przyprowadził zapasowe konie. Toc wziął jednego z nich i skinął głową na znak podziękowania. Choss

również wybrał sobie wierzchowca. Kapitan Tonley pochylił się w siodle.

– Powiedzcie mi, proszę, co to za opowieści o jakimś wielkim zwierzaku?

Toc, Choss i Mech wymienili znużone spojrzenia.

– To prawda – odparł po prostu Choss.

Kapitan Tonley potrząsnął ze zdumieniem głową.

– Wy, Quontalianie, boicie się wszystkiego. Najpierw banda najemników, a teraz zwierzak. Nigdy nie zrozumieję, jak zdołaliście nas podbić.

Choss wlepił w niego spojrzenie. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, który powoli przeszedł w chichot, a potem w gromki śmiech.

– To tajemnica, kapitanie. Możesz wracać do Urka.

Falarczyk zasalutował niedbale.

– Tak jest, dowódco. Ruszajmy, chłopaki. Tu nie znajdziemy nic do picia.

Gdy szwadron się oddalił, Toc spojrzął na Chossa.

– A więc pora na Laseen... Co z Karmazynową Gwardią?

– Złożymy im propozycję. Chcą rozpadu imperium, tak?

– A Heng?

– Heng i Ryllandaras mogą się nawzajem walić w dupę. Co z twoimi Seti?

Toc spojrzął na puste wzgórza.

– Nie mam pojęcia. Muszę z nimi porozmawiać. Imotan całe życie modlił się do swego boskiego patrona, a teraz, gdy Ryllandaras wrócił, zapewne jest przerażony.

Choss chrząknął.

– Pojedź do nich. Nadal ich potrzebujemy.

– Ehe.

Ruszyli w stronę obozu. Przez pewien czas wszyscy milczeli.

- Ten żołnierz, który walczył z Ryllandarasem - odezwał się wreszcie Toc. - Widziałeś kiedyś coś podobnego?

- Dassem również zdołał go odpędzić - zauważył Choss. - Ale on był wybrańcem Kaptura.

- Ja widziałem - rzekł Mech.

Toc i Choss spojrzeli na niego. Kapitan poruszył się nerwowo w siodle, dotykając siennej rany na twarzy.

- No, może niezupełnie widziałem. Ten styl walki opisał mi ktoś, kto obserwował go na Genabackis. Ten facet to Seguleh.

- Seguleh? - powtórzył zdumiony Choss. - Słyszałem tę nazwę. Skąd on się tu wziął?

- Kompania Stora stacjonowała na Genabackis - wyjaśnił Mech.

Toc przyjrzał mu się z ukosa.

- Bardzo dużo wiesz o tym Storze...

Mech potarł uszkodzony nos, krzywiąc się z bólu.

- Hmm, tak jest. Zbierałem o nim wywiad. Znaj swego wroga i tak dalej.

- W takim razie, czy zechciałbyś udać się z poselstwem do Karmazynowej Gwardii? - zapytał Toc. - Mamy dla niej propozycję.

Kapitan uśmiechnął się. Zadana pazurem rana przesywająca mu twarz pękła. Wypełniła ją świeża krew.

- Tak jest. To będzie dla mnie zaszczyt.

* * *

Choć Toc był skrajnie zmęczony, a jego stawy wypełniał palący ból, dosiadł świeżego wierzchowca i pojechał samotnie na spotkanie z Seti. Ich obóz opustoszał, znalazł tam jednak niezwykle ślady. Coś odwiedziło obozowisko przed nim. Trop przypominał wilczy, ale odciśki łap były znacznie większe, jak u największego niedźwiedzia. Kroki były też straszliwie długie. Wiedział, że zwierzolud, Ryllandaras,

potrafi pędzić szybciej od konia. Choć powszechnie wierzono, że człowiek-szakal poluje tylko nocą, Toc poczuł się nagle straszliwie odsłonięty na pustej równinie. Częścią jaźni zadawał sobie pytanie, czy to tylko nastrojowy szczegół, dodawany przez minstrela do pieśni o nim. Słyszał niemal warknięcie Kellanveda: „Nieważne, co przypuszczasz. Powiedz mi, co wiesz”. Cesarz nigdy nie pozwalał, by czyjaś sława albo legenda pokrzyżowała mu szyki. W końcu to on uwięził tego biesa, tak? A jak dokonał tej sztuki? Być może pomogła mu ukryta w jakimś archiwum informacja, która nagle przestała być trywialna. Biorąc pod uwagę, jak szalony był wówczas Kellanved, zapewne użył siebie samego jako przynęty.

Przed południem, gdy przecinał płytką dolinę, w oddali pojawiły się grupki jeźdźców. Zatrzymał się, krzyżując ręce na wysokim łąku siodła, by mogli go dogonić. Krążyli w oddali wokół niego, aż wreszcie jeden podjechał bliżej. Był krzepkim mężczyzną, odzianym tylko w spodnie z jeleniej skóry, grubą skórzaną kamizelkę oraz długie naramienniki, również zrobione ze skóry. Obrzucił Toca szacującym spojrzeniem.

– Jesteś Toc Starszy – stwierdził po taliańsku.

– A ty jesteś Dzikus z Równin.

Mężczyzna skinął głową.

– Jedziesz porozmawiać z Imotanem. Uważam, że nie powinienes tego robić.

– Czy mogę zapytać: dlaczego?

– On ma teraz swego białowłosego boga. Po co miałby potrzebować ciebie?

– Łączy nas długa historia. Wymieniliśmy wiele przysiąg.

– Ty i Seti. Ale nie on.

Toc rozprostował plecy, by złagodzić uporczywy ból. Przyjrzał się rozmawiającemu z nim mężczyźnie. Dzikus płynnie mówił po taliańsku, naznaczyły go blizny od miecza i noża. Był weteranem z imperialnej armii, być może podoficerem.

– A co z tobą? – zapytał. – Może i nie uznajesz władzy Imotana, ale ty i twoi wojownicy mogliby nam pomóc przepędzić stąd imperium.

Mężczyzna obnażył ostre, poźółtkłe zęby.

– Nie obrażaj mnie. Imperium, liga, nie ma między nimi żadnej różnicy.

– Mylisz się... mielibyście niemal pełną niezależność.

– To w najlepszym razie czcze obietnice. W najgorszym kłamstwa. Słyszeliśmy je już nieraz.

– Powinieneś z uwagą rozważyć moją propozycję, weteranie. Mamy zamiar pokonać Laseen. Brakuje jej regularnych żołnierzy tak bardzo, że w swej desperacji zmobilizowała nawet weteranów z Malazu.

Stary Seti znieruchomiał. Z jego twarzy zniknął grymas dezaprobaty.

– Słucham?

Zdziwiony Toc wzruszył ramionami.

– Powiedziałem tylko, że zwerbowała, kogo tylko się dało, nawet weteranów z Malazu.

Dzikus pociągnął za wodze.

– Pojadę już. Powiem ci to jeszcze raz, Toc, zapomnij o tym sojuszu.

Cmoknął na wierzchowca i skinął na swych wojowników, nakazując im podążyć za sobą. Oddalili się z głośnym tętentem.

Toc siedział przez pewien czas nieruchomo, czekając, aż znikną mu z oczu. Coś się tu przed chwilą wydarzyło, nie miał jednak pojęcia co. Potrząsnął głową i ruszył w dalszą drogę.

Jechał prawie cały dzień, nim zauważył jakikolwiek znak życia poza starymi końskimi śladami. Na północnym wschodzie unosił się obłok kurzu. Ponaglił kopniakiem wierzchowca. Zaczynał się już niepokoić, że zmierzch złapie go na równinie, gdy wjechał na niskie, trawiaste wzgórze i zobaczył za nim hordę konnych wojowników, krążą-

cych powoli wokół namiotów szamanów z głośnymi okrzykami bojowymi na ustach. Ku ciemniejącemu niebu wzbijała się chmura żółtego pyłu. Toc podjechał bliżej, ale młodzi wojownicy go ignorowali. Większość miała fetysze z białej sierści, noszone na lancach, na ramionach albo we włosach. W końcu, być może na rozkaz z wnętrza kręgu, rozstąpili się z niechęcią, pozwalając gościowi przejechać.

Za gęstym szpalerem złożonym z setek jeźdźców, przed centralnym namiotem należącym do Imotana, szamana Białych Szakali, siedzieli atamani. Toc pokłonił się uprzejmie i Imotan wezwał go gestem, wskazując ziemię obok siebie. Przybysz usiadł i pozdrowił atamanów. Imotan wlepił weń nieruchome spojrzenie. Weteran spojrzał mu w oczy, czekając cierpliwie.

- Przykro mi z powodu waszych poległych, Toc - odezwał się wreszcie szaman.

- Dziękuję. A więc to rzeczywiście on? Ten, którego zwaą Ryllandarasem?

Imotan wziął w rękę krótki nóż i ukroił sobie kawałek mięsa z udźca.

- Tak, to on. Przez pokolenia modliliśmy się z nadzieją na to, aż wreszcie do nas wrócił.

- Z nadzieją? Z nadzieją? Jeśli to on, przeciw komu waszym zdaniem się zwróci, gdy już stąd odejdziemy?

- To nasz problem, Malazańczyku. Żyliśmy w jego cieniu na długo przed waszym przybyciem.

- Dzięki nam pozbyliście się drapieźnika.

- Wtrąciliście się w nasze sprawy.

- Uwolniliśmy was!

Starzec wbił nóż w ziemię między nimi.

- Uwolniliście! Czy można uwolnić człowieka od niego samego? Albo cały lud? - Zaczepnął głęboko tchu, by się uspokoić, odwrócił się do tacy z owocami i wziął garść winogron. Roześmiał się i potrzą-

snął głową. – Kłątwa Liss! Rzeczywiście jesteście zagubionym ludem. Ale teraz odnaleźliśmy właściwą drogę.

– Nie widzę tego.

– Nie jesteś Seti. – Szaman umilkł. Wyciągnął nóż z ziemi i przyjrzał mu się z wyraźnie zakłopotaną miną. – Tocu Starszy... – zaczął z namysłem – ...szanujemy cię za to, czego wspólnie dokonaliśmy w przeszłości, ale nie powinieneś być tu przyjeżdżać.

– Dawne umowy nadal obowiązują, Imotan.

– Czyżby?

Imotan zerknął na Hipala, uśmiechającego się złośliwie szamana Fretek, a potem omiół spojrzeniem siedzących w kręgu mężczyzn i kobiety. Wielu odwracało wzrok.

Toca zdumiało, jak dużo się zmieniło w ciągu jednej nocy. Przedtem podczas narad rozmawiał z atamanami, wodzami wojennymi związków wojowników oraz głowami plemiennych zgromadzeń, podczas gdy Imotan i Hipal siedzieli z tyłu. Teraz to szaman Białych Szakali zasiadał na honorowym miejscu, a atamani tłoczyli się wokół niego jak zwykli petenci.

Przyjrząwszy się członkom swej rady, Imotan westchnął i wsunął nóż za szarfę.

– O co nas prosisz, Toc?

– Nadchodząca bitwa o wszystkim rozstrzygnie. Po niej będziecie mogli uznać, że spełniliście wszelkie zobowiązania. To ostatnia prośba, jaką kieruję pod waszym adresem.

Szaman Białych Szakali wysłuchał tych słów, kiwając głową. Rozpostarł pokryte grubymi żyłami dłonie.

– Niech i tak będzie. Zjawimy się. Z oczywistych powodów sugeruję, byś spędził noc w naszym obozie. Tu nic ci nie zagrozi. Jutro będziesz mógł wrócić do waszego dowództwa.

Toc pokłonił się.

– Dziękuję, Imotanie z Białych Szakali.

Nait dorzucił do ognia kolejną garść suchego nawozu i usiadł ze znie-
smaczoną miną.

– Mówię wam, jeśli jeszcze raz powie „zewrzeć szyk”, dźgnę sta-
rego pierdziela nożem.

Najmniejszy skwitował to swym zwyczajowym parsknięciem,
które naśladowało puszczenie bąka. Miód wyciągnął rękę, wskazując
w noc.

– Możesz spróbować. Jest tam.

– To nieuprzejme – skarciła Najmniejszego Rączka.

Półkwi Barghast zrobił zawstydzoną minę. Lim Tal, była kańska
strażniczka osobista, rozpuściła czarne błyszczące włosy, dając im
opaść na koszulę. Nait chciał coś powiedzieć, ale najwyraźniej zapo-
mniał, co to miało być. Gapił się na kobietę razem ze wszystkimi poza
Heukiem, magiem kompanii, który chrapał głośno, tuląc brązowy gli-
niany dzbanek. Rączka również się gapiła.

– Chciałabym mieć takie włosy jak ty.

Zajęta czesaniem Lim uśmiechnęła się, zginając nagą rękę w łok-
ciu.

– A ja chciałabym mieć takie bicepsy jak ty.

– Słuchajcie! – zawołał siedzący po drugiej stronie ogniska Nait. –
Jeśli chcecie porównać jeszcze jakieś części ciała, mam tu fajny, duży
koc...

– Zabierzemy go jutro na bitwę nagiego? – zapytała Rączkę Lim. –
I wypchniemy do pierwszego szeregu?

Rączka prychnęła rozbawiona tą wizją albo myślą, że Nait mógłby
kiedykolwiek stanąć w pierwszym szeregu.

– Umarliby ze śmiechu.

– Jutro? – zapytał Nait, pochylając się ku nim. – Myślicie, że to
będzie jutro? Ktoś wam powiedział?

Lim wzruszyła ramionami.

– Jutro albo pojutrze.

– Słyszałem, że jest tam demon, który zeżre nas wszystkich – odezwał się Najmniejszy.

– Od kogo? – zapytał Miód, gapiąc się nań ze strachem.

Półkrwi Barghast wskazał fetysze z drewna i kości, które wplótł we włosy.

– Nie gadaj. Naprawdę?

Potęźnie zbudowany dzikus skinął z powagą głową.

– E tam! Nieprawda! Mnie mówił o tym jakiś facet w szykach.

– Rozmawiają też z innymi? – zapytał półkrwi Barghast, otwierając szeroko oczy.

Z mroku wyłonił się młodzieniec w za dużej skórzanej brygantynie nabijanej ćwiekami. Przykucnął przy ognisku, by ogrzać dłonie. U obu boków miał wielkie płócienne torby, zawieszane na rzemieniach na szyi. Na plecach dźwigał przekrzywioną niezgrabnie kuszę, a za pas wetknął sztylet z drewnianą rękojeścią.

– Macie coś do jedzenia? – zapytał.

– Kim jesteś, na Otchłań? – obruszył się Nait. Młodzieniec obrzucił go zdziwionym spojrzeniem. – Posłuchaj, chłopcze. Ognisko jest tylko dla sierzantów, jasne? No to spieprzaj.

Chłopak wyprostował się i wskazał go z szyderczym uśmiechem.

– Ty nie jesteś sierzantem.

Wszyscy oprócz Naita parsknęli śmiechem. Miód wręczył młodzieńcowi suchar.

– Dobrze mu powiedziałaś, chłopcze.

Nieznajomy zabrał suchar i uciekł w mrok.

– Są stanowczo zbyt pyskaci – poskarżył się Nait. Wyciągnął patyk z ognia i przyjrzał się poczerńiałemu, skurczonemu obiektowi na jego końcu. Potem potarł go w palcach, marszcząc brwi.

– Uważam, że jest gotowe – odezwał się Najmniejszy.

- A ja uważam, że wszyscy mamy przesrane - odciął się Nait, nie podnosząc wzroku. Odpowiedziała mu długa cisza. Wreszcie raczył na nich spojrzeć. - Dajcie spokój, wszyscy mamy uszy i oczy. Słyszeliście, co mówią w Cawn. - Wskazał ciemność. - Mają dziesięć tysięcy Złotych Moranthów! Dwadzieścia tysięcy falarskiej piechoty i do tego Talian! I Seti! - Odrzucił patyk. - A co my mamy? Tylko hordę cywilów i może z dziesięć tysięcy prawdziwych żołnierzy?

- Ta horda pokonała Gwardię - zauważyła Rączka cichym, spokojnym głosem. - Słyszałam, że zginęło siedmiu Zaprzysiężonych. Jeśli Złoci pomaszczą przeciwko nam, naszpikujemy ich taką liczbą bełtów, że nie będą mogli się przewrócić.

- Seti zmiotą tych amatorów z pola walki.

- Są tacy głodni, że bardzo się ucieszą na widok tyłu koni.

- Jeśli...

- Dość już tego! - zawył Miód. - Niech was oboje porwie Zakapturzony! Przestańcie się żreć, jakbyście już wzięli ślub. Już i tak mamy dwie wielkie pięści.

Rączka prychnęła pogardliwie i zbyła Naita lekceważącym machnięciem ręki. Ten zachichotał.

- Dwie - powtórzył drwiąco. Podniósł patyk i otrzepał nadpalony, pomarszczony obiekt na jego końcu.

- Skąd właściwie to wzięłeś? - zainteresował się Najmniejszy.

- Znalazłem martwe.

- Byłeś kiedyś za miastem?

Nait ugryzł na próbę mały kęs i popatrzył ze zdziwieniem na półkrwi Barghasta.

- Nie. Dlaczego pytasz?

Heuk poderwał się nagle. Wszyscy się wzdrgnęli. Mag zatoczył kaprawymi, przekrwionymi oczyma, wpatrując się w ciemność.

- Coś się dzieje - wychrypiał.

Nait rzucił w niego garścią nawozu.

- Tylko nie znowu to samo! Cały czas coś się dzieje, starcze.

- On tu jest. Czuję jego żądzę i głód. Nawet krew nas wszystkich nie mogłaby go nasycić.

Wszyscy gapili się na maga. Nait pochylił się ku niemu i zdzielił go lekko.

- Przystaniesz wreszcie? Ludzie się przez ciebie boją.

Heuk uniósł gliniany dzbanek i przełknął łyk jego ciemnej zawartości. Sporo płynu wylał sobie na brodę i brudne szaty. Miód zamachał dłonią przed nosem.

- A fe, starcze. Co tam masz?

- Krew i odwagę.

Z ciemności nagle dobiegły krzyki. Wszyscy znieruchomieli. W głosach pojawiła się nuta paniki. Potem usłyszeli wrzask, który ucichł gwałtownie. Rączka zerwała się z miejsca.

- Co to było, na Otchłań? - Rozejrzała się po usianych ogniskami polach. - Chyba na północy. - Złapała pas z mieczem. - Chodźcie!

Wszyscy, nawet Heuk, wstali.

- Ktoś ma pochodnię, lampę albo coś w tym rodzaju? - spytała Lim.

Odpowiedziały jej wzruszenia ramion.

- Świetnie. Po prostu świetnie.

Wzięła меч i hełm, a potem potruchtała za Rączką.

Najmniejszy wziął w rękę kawałek płonącego łajna bhederin.

- Mam to...! - zawołał za nią.

* * *

Na pograżonych w mroku, porośniętych wysoką, targaną wiatrem trawą zboczach panował chaos. Ludzie krzyczeli, zbijali się w grupy i znowu rozdzielali. Powietrze przeszywały bełty z kusz. Nait pochylił się, słysząc ich świst. W oddali zabrzmiał kolejny przeszywający

krzyk. Nait wpadł na Mioda, który złapał kusznika za koszulę i potrząsał nim.

– Nie strzelaj, niech cię Kaptur! – Cisnął mężczyzną na bok. – O mało byś mnie nie przebił.

– Co to jest? Atak?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie, bo inaczej już jesteśmy pokonani.

Na północy zapalono pochodnie. Nad stokami poniósł się donośny ryk:

– Zbiórka! Zbioóóórrka! W szeregach! Zewrzeć szyki!

Nait opuścił ręce.

– Och, bogowie na dole! Nie wierzę w to.

Miód klepnął go w plecy.

– Nie chrzań. To dobry pomysł.

Oddalił się truchtem. Nait rozejrzał się i podążył za nim.

Formacja była luźnym, wciąż się powiększającym czworobokiem, pochłaniającym wszystkich nowo przybyłych. Na jej brzegach stali uzbrojeni w miecze żołnierze z pochodniami w rękach. Za ich szeregami kryli się kusznicy. Byli tam starszy sierżant i komendant Wyłam Ząb. Nait słyszał, jak nazywano go wściekłą, chodzącą kulą sierści. Był skłonny zgodzić się z tym opisem. W utrzymaniu porządku pomagali Rączka, Lim i inni sierżanci.

Pokonali marszem krótki odcinek, ustawiani w szeregi za pomocą ciosów i kopniaków. Potem z przodu dobiegły rozkazy wzywające do zatrzymania się. Nait przepchnął się w tamtą stronę. Omal się nie zakrzuszył od smrodu odchodów, wymiotów i krwi, mieszanego się z odorem jakiegoś chorego zwierzęcia. Naitowi kojarzył się on z wioskowym rzeźnikiem, ale tym razem zamiast kozich albo świńskich flaków i części ciał były tu ludzkie tułowia, kończyny i kłęby wnętrzości. Starszy sierżant Harcik i Wyłam Ząb przykucnęli nad jednym

z trupów, unosząc wysoko pochodnie. Obaj albo spali w kolczych płaszczach, albo mieli czas i okazję je włożyć.

– To wygląda na jednopochwyconego, nie? – mruknął Wyłam Zęb.

– Niewykluczone. Nie wszyscy są znani. – Starszy sierżant uniósł głowę. – Są tu jacyś magowie kadrowi?! – zawołał.

Po chwili Heuk przepchnął się naprzód, czy może go wypchnięto. Gdy tylko staruszek zerknął na zmasakrowane trupy i wyprute trzewia, padł na kolana, wymiotując wielką ilością ciemnego płynu.

– Poczuję się znacznie bezpieczniej – stwierdził Miód.

– To jakiś demon! – wygarnął Nait.

Starszy sierżant i Wyłam Zęb wzdrygnęli się, spoglądając nań ze złością.

– Zamknij gębę, żołnierzu – wychrypiał komendant.

– To nie demon – zapewnił Harcik na tyle głośno, by wszyscy go usłyszeli.

– Skąd możesz to wiedzieć, na Otchłań? – nie ustępował Nait.

Starszy sierżant podszedł bliżej i przyjrzał mu się z uwagą. Był niski, ale bardzo szeroki w barach.

– Stąd, że demony tak nie śmierdzą – odparł i wrócił do studiowania śladów rzezi.

Wyłam Zęb zacisnął dłoń na barku Naita i uśmiechnął się pod bujną, czarną brodą.

– W tej sprawie możesz wierzyć starszemu sierżantowi, żołnierzu. Harcik zna się na demonach. – Ścisnął mocno Naita i przyciągnął go do siebie. – Zamknij gębę na kłódkę albo nadam ci prawdziwe imię – warknął.

– Jak to prawdziwe imię?

Komendant zacisnął usta w grymasie niesmaku i obrzucił go spojrzeniem od stóp do głów.

– Na przykład Cykor, żołnierzu. Na pewno jesteś cykorem. – Odepchnął Naita na bok i uniósł głowę, spoglądając na kolumnę. – Dobra!

Starczy tego! Niech wszyscy weterani, ze straży i z regularnej armii, wystąpią z szeregu!

Nait podążył za Rączką do starszego sierżanta, który zaprzestał już oglądania tropu.

– Co się dzieje? – zapytała kobieta.

– Podzielimy się. Większość z was odprowadzi harcowników do obozu...

– Co? – odezwał się Nait. – Rozdzielenie się to głupota!

Starszy sierżant Harcik przyglądał się Naitowi przez dłuższą chwilę, nie odzywając się ani słowem. Potem spojrział na Rączkę.

– Rekruci są zbyt zieloni, by patrzeć na to, co jest przed nami. Mogliby się załamać. Musimy ich odprowadzić.

– Tak jest.

* * *

Gdy Wyłam Ząb formował kolumnę, z mroku wyłonił się szwadron imperialnej konnicy. Żołnierze trzymali w rękach pochodnie. Dowodził nimi nie kto inny, jak sam Korboło Dom, wielka pięść i Miecz Imperium. Miał na sobie galową zbroję z łuskowymi zarękawiami oraz nagolenicami. Na czarnym żupanie widniało srebrne imperialne godło, a długi czarno-srebrny rząd rumaka muskał zdeptaną trawę. Starszy sierżant Harcik i komendant Wyłam Ząb zaszalutowali.

Wielka pięść zdjął hełm.

– Marnujecie tu czas, komendancie. Powinniście go ścigać!

Wyłam Ząb zmarszczył brwi, jakby rozważał ten pomysł.

– Pomyśleliśmy sobie, że jeśli to zrobimy, może zawrócić i ugryźć nas w tyłek.

Niebieskawa napańska twarz Miecza pociemniała jeszcze bardziej.

– Za długo przebywałeś na tyłach, komendancie. Niewykluczone, że straciłeś ducha bojowego. Proszę bardzo, kryj się wśród swoich

ludzi. Ja wyruszam na łowy!

- Na twoim miejscu bym tego nie robił - ostrzegł go starszy sierżant Harcik. - Wyprowadzi was gdzieś daleko, a potem zawróci i zaatakuję.

Miecz ściągnął wodze i spojrział na niego z góry.

- A kim właściwie jesteś?

- Starszy sierżant Harcik - odpowiedział weteran i zasalutował.

- Dlatego właśnie ja jestem Mieczem, a nie ty, starszy sierżancie - oznajmił wyniośle Korbolo. Popędził konia koniakiem i pomknął w mrok. Jego oddział podążył za nim. Komendant Wyłam Ząb i starszy sierżant wymienili spojrzenia, unosząc brwi.

- Czy go jeszcze zobaczymy? - zapytał Wyłam Ząb.

- Przy jego i naszym szczęściu? Tak.

* * *

Po dalszych namowach i szturchańcach komendant poprowadził do obozu kolumnę harcowników eskortowaną przez regularnych żołnierzy. Starszy sierżant Harcik przejął dowództwo nad mniejszą kolumną, złożoną z byłych żołnierzy straży i regularnej armii. Towarzyszył im też mag kadrowy Heuk. Ruszyli śladem bestii.

- Cykor? Nie jestem cykorem - skarżył się Nait, gdy szli przez noc. - Kto, na Otchłań, tak myśli o sobie? To nawet nie jest imię. Równie dobrze ktoś mógłby się nazywać Kamień albo Kij. - Szturchnął idącego przed nim mężczyznę. Sądząc po rozmiarach, na pewno służył w ciężkiej piechocie. - Hej, jak masz na imię?

Mężczyzna odwrócił się i zamrugał sennie.

- Ryba.

- Ryba? Nazywasz się Ryba? Co to za imię, na Otchłań?

Żołnierz wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Komendant mi je nadał.

– Hej, Cykor! – krzyknął ktoś. – Zamknij się, do Kaptura!

* * *

Tropili bestię, aż wreszcie zgubili jej ślad przy kamienistym korycie wyschłego strumienia, wijącym się przez równinę. Starszy sierżant Harcik wyprostował się i przywołał skinieniem Heuka. Zasapany starszerek podszedł do niego. Wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. Jego kędzierzawe kasztanowe włosy zwisały w strąkach pozlepiane od potu. Ścisnął gliniany dzbanek, jakby był dla niego zbawieniem. Nait podejrzewał, że to nie jest zbyt dalekie od prawdy.

– I co? – zapytał starszy sierżant. – Spróbuj otworzyć swoją grootę. Wytrop go!

Starszerek uniósł dzbanek, pociągnął długi łyk i otarł usta brudnym rękawem. Popatrzył na trop, mrużąc powieki, a potem pokręcił powoli głową.

– Nie, Harcik. To znaczy starszy sierżancie. Nie jestem magiem używającym grot. Moja ścieżka to krew i pradawni. Nie chciałbyś, żebym ją otworzył. Jeszcze nie.

Starszy sierżant miał taką minę, jakby miał ochotę zdrowo zwymyślać maga, powstrzymał się jednak. Podrapał się po porośniętych szczecinę policzkach, nie spuszczać wzroku ze starszka. Wyglądał na autentycznie zaniepokojonego. Wreszcie pochylił głowę, akceptując to wyjaśnienie.

– Ehe. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Uniósł rękę, nakazując ludziom zawrócić. Nim znowu zobaczyli obóz, nadszedł świt. Wszyscy pakowali się już przed następnym dniem drogi.

* * *

Ho podszedł i obudził kopniakiem Smętka – to znaczy Bluesa – śpiącego w cieniu pod płótnem rozwieszonym na dziobie *Beznadziei*.

– Yath topi kolejnego – poinformował go.

Mężczyzna otworzył jedno oko.

– Czemu mi o tym mówisz? Nie jestem jego stróżem. Możecie rządzić się sami. Byliście z tego okropnie dumni.

– Jesteśmy na pokładzie twojego statku! Jeśli można tak nazwać ten butwiejący wrak. Ty sprawujesz tu władzę.

Blues podniósł się z jękiem. Ho nadal nie mógł się przyzwyczaić do jego prawdziwego imienia. Prawdziwego? Chyba raczej poprzedniego pseudonimu. Kto wiedział, jak się nazywał naprawdę? Dla niego zawsze pozostanie Smętkiem. Zachichotał. To mu się podobało. Blues obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

– Na rufie.

– Tak jest. Na rufie. – Skinął na dwóch towarzyszy. – Zawołajcie Palczaka.

Mężczyźni zeszli pod pokład, utyskując pod nosem.

Beznadzieja, statek handlowy z Siedmiu Miast, mógł się pochwalić dwoma pokładami – głównym oraz rufowym, umieszczonym nieco wyżej. Luka między nimi była wystarczająco wysoka dla wszystkich poza najwyższymi mężczyznami. Na samym końcu rufy, gdzie wznosiła się wysoka, zakrzywiona stępka, Yath w towarzystwie Sessina nadzorował wysiłki swych najbardziej entuzjastycznych zwolenników, trudzących się przy linie. Na widok tak wielu byłych więźniów zbitych w ciasną grupkę Ho omal znowu nie roześmiał się w głos. Cóż to była za obdarta, brudna, a nawet skrofuliczna zgraja! Większość obcięła włosy na jeża, by pozbyć się przylegającego do nich pyłu. Mieli na sobie tylko koce albo łachmany ze statkowego magazynu. Wszyscy jasnoskórzy więźniowie opalili się na czerwono, a na całym ciele mieli sączące krwią pęknięcia. Przesunął dłonią po wygolonej czaszce i skrzywił się z bólu. Ucierpiał od słońca tak samo jak oni. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że zaczynało im brakować wody.

– Starczy już tego! – zawołał Blues.

Ludzie spojrzeli na niego, a potem na Yatha. Po chwili kapłan z Siedmiu Miast wzruszył ramionami. Ludzie zaczęli wciągać linę. Ho przemknęła przez głowę myśl, że odkąd reszta drużyny Bluesa przypłynęła na pokładzie *Beznadziei*, wśród skłóconych grupek magów pojawił się zdumiewający duch współpracy. Blues, Frykas i ich towarzysze byli nie tylko secesjonistami spiskującymi przeciwko cesarzowej Laseen, lecz również Karmazynowymi Gwardzistami. Co więcej, cała szóstka była Zaprzysiężonymi. Na tę wiadomość wszyscy natychmiast zapomnieli o planach wyrzucenia ich za burtę.

Na pokład wciągnięto przywiązanego do końca liny staruszka. Nagiego, nieprzytomnego mężczyznę zwałono na deski. Miał siwiejące, mocno kędzierzawe włosy oraz brązową skórę naznaczoną licznymi bliznami w kształcie spiral. Ho poznał Jaina, czarnoksiężnika z Dal Hon.

– Yath, ty idioto! – warknął Blues.

Uklęknął nad Jainem, przystawił ucho do jego piersi, a potem odchylił głowę i dmuchnął mu w usta. Mężczyzna kaszlnął, prychnął i zaczerpnął spazmatycznie tchu.

– Szkoda wysiłku – dobiegł z tyłu drwiący głos.

Ho odwrócił się i zobaczył chudego jak szkielet maga, Palczaka. Towarzyszyli mu Frykas i Tępy. Choć Palczak był Zaprzysiężonym, wyglądał jak chuderlawy uczeń.

– Trzeba go uwolnić od skazy – oznajmił Yath. – Tak jak nas wszystkich.

– A ty już się zanurzałeś? – warknął Blues.

– Tak.

Karmazynowy Gwardzista skinął dłonią na uśmiechniętego Sesina.

– Mówi prawdę?

– Tak.

- W takim razie skończyliście. Wszyscy już się wykapali.

Yath podszedł bliżej. Po zgoleniu brody sprawiał wrażenie jeszcze bardziej głodnego i żyłastego. Wsparł się na lasce - nowej, znalezionej na pokładzie - pochylając się nad Bluesem.

- Nie wszyscy...

- Chwileczkę. Czemu mielibyśmy...

- Byliście w Jamie. - Yath wskazał Palczaka. - A wasi towarzysze byli narażeni na kontakt z pyłem. Nieustannie rozsiewacie go na nowo. Wszyscy musicie się umyć. Ostrzyć włosy. Wyszorować skórę kamieniami. Tak samo jak my. A potem znowu się wymyć. Wasi ludzie i więźniarki również. Wszystkie: Su, Inese i ta korelrijska wiedźma morska.

Blues popatrzył na niego jak na szaleńca.

- Dlaczego, na Otchłań, musimy to robić już teraz? Wszyscy mamy zamiar kiedyś się oczyścić. Po co ten pośpiech?

Kapłan z Siedmiu Miast rozciągnął smagłą, pomarszczoną twarz w pełnym samozadowolenia uśmiešku. Spojrzał w oczy Ho, który zorientował się, że Yath wyczuł, co ma się stać, albo zawiadomił go o tym jeden z zastraszonych przez niego ludzi.

- Powiedz mu, Ho - zażądał.

Blues spojrzał na niego. Ho potarł wygoloną głowę, ponownie krzywiąc się z bólu. Cofnął rękę.

- W Heng coś się dzieje. Teraz, gdy już oddaliliśmy się od wyspy, wielu z nas wyczuwa urywki i fragmenty. To coś ważnego. Jest tam Laseen.

- Chodzi o to powstanie, o którym mówiliście?

- Tak... i o coś więcej...

- Więcej?

- Przybyła tam też wasza kompania najemników - oznajmił Yath.

Blues przymrużył powieki, spoglądając na Ho.

- Czy to prawda?

Mag nie mógł mu spojrzeć w oczy. Opuścił głowę.

– Tak. Wrócili. Są niedaleko Heng.

Blues umilkł na chwilę. Jain nie przestawał kaścić. O burty *Bezna-dziei* uderzały fale. Z góry dobiegało skrzywienie olinowania.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Ho uniósł wzrok, próbując błagać o zrozumienie.

– Dlatego że nie zgadzam się z propozycją Yatha. To zbyt niebezpieczne. Ryzyko dla nas jest stanowczo za wielkie. Najprawdopodobniej wszyscy zginiemy.

Karmazynowy Gwardzista zacisnął usta. Zdjął dłonie z rękojeści dwóch mieczy, które nosił teraz u boku. Zostawił je na pokładzie, gdy przybył do Jamy.

– Mów, starcze – zażądał.

Kapłan z Siedmiu Miast nawet nie próbował ukrywać triumfu. Odślonił ostre, pożółkłe zęby.

– To rytuał, najemniku. Mamy tu z górą trzydziestu magów o znacznej mocy. Odprawimy rytuał powodujący podróż statkiem przez grotę. To częstsze, niż ci się zdaje. Zapytaj naszą korelrijską przyjaciółkę. Przy jej pomocy sukces będzie zapewniony.

– Pod warunkiem, że zdołamy się oczyścić z otataralu.

– Tak.

Spojrzenie Bluesa ominęło Ho, zatrzymując się na Palczaku.

– To ciekawe... – stwierdził Zaprzysiężony mag.

– To mnie naprawdę zaniepokoiło – mruknął Blues. Skinął jednak dłonią. – Zgoda, Yath. Oczyścimy się. Tymczasem każ swoim ludziom wyszorować pokład.

Kapłan z Siedmiu Miast naprawdę mu się pokłonił.

– Znakomicie, kapitanie.

Blues zignorował go, wskazując palcem Frykasa.

– Ściągnijcie żagle i wypierzcie je.

Frykas zatoczył oczyma.

Nocą Ho poszedł do Su i usiadł obok niej w pustej ładowni.

– Jeśli nie pójdziesz sama, wyniosą cię na górę.

– Przeklnę ich męskości. Jeśli jeszcze je mają.

– To tylko woda. Zanurzysz się na chwilę i potem dadzą ci spokój.

– Jestem już za stara na wiele rzeczy, w tym również na zanurzanie. – Kadłub zaskrzypiał. O drewno drapnęły szczurze pazurki. Ho poczuł złowrogi nacisk mrocznych wód otaczających statek. – A co z tobą? – zapytała czarownica, spoglądając na niego. – Wszyscy są od ciebie znacznie słabsi. Dlaczego się ich boisz?

– Nie o tym mówimy, Su. Moglibyśmy opuścić cię w sieci.

– W sieci? Czy jestem rybą? Czy twój przyjaciel Blues wie, dlaczego naprawdę nie powiedziałeś mu o Heng? Czy wie, dlaczego boisz się tam wrócić?

– Cicho, czarownico.

– Zawrzyjmy pakt, magusie...

– Nie będzie żadnych paktów, czarownico. Tylko kąpiel.

– Kąpiel dla mnie i zjednoczenie dla ciebie.

– I tak się zanurzysz czarownico. Chodzi tylko o to, czy trzeba będzie użyć przymusu.

– Tak, w ostatecznym rozrachunku wszystko się sprowadza do użycia przymusu, nieprawdaż?

Ho westchnął.

– Su, już ci mówiłem, że nie robią na mnie wrażenia niejasne deklaracje, jakie ciągle wygłaszasz, próbując przekonać ludzi o swej mądrości.

– Czy to właśnie robię? – zapytała z uśmiechem.

– Su...

Staruszka uniosła zakrzywiony palec.

– Mądrość można ocenić, tylko spoglądając wstecz.

Ho cofnął głowę i uderzył nią o deski.

- Czyżbym widziała gniew? Być może złość?

- Tak, to właśnie to. - Wstał i skinął dłonią na czarownicę. - Chodźmy. Na pokład. Natychmiast. Dzieje się tam coś, co powinnaś zobaczyć. Ruszaj się.

Wlepiła w niego spojrzenie, biorąc w ręce laskę.

- Co? Natychmiast?

- Tak. Wstawaj!

- Hej, daj staruszce chwilę, dobra? - Spróbowała się podnieść, odtrącając jego wyciągniętą dłoń. - Cóż mogłoby być aż tak pilne? Można by pomyśleć, że na górze otworzyły się Ścieżki Kaptura wymiotujące umarłymi! - Zacisnęła sękatą dłoń na stromej drabince. - Jestem pewna, że to tylko podstęp - poskarżyła się, ruszając w górę.

* * *

Na oświetlonym pochodniami oraz lśniącymi na pogodnym niebie gwiazdami pokładzie zebrał się tłum byłych więźniów, otaczających u lewej burty *Beznadziei* Zaprzysiężonych. Palczak uczepił się boków noszy ustawionych na nadburciu. Spoglądał to na dół, z paraliżującym lękiem, to na Bluesa, z porażającą nienawiścią. Frykas i drugi Zaprzysiężony, Trzcina, przywiązywali liny do noszy i do maga, który już był mocno skrepowany.

- To się nie uda! - krzyczał Palczak. - Padłem ofiarą przemocy! Utopię się!

- Będziemy uważać - zapewnił Tępy. - Nie obawiaj się.

Palczak przeszył go pełnym furii spojrzeniem.

- Dobra - powiedział Blues. - Wszystko zabezpieczone?

- Tak jest - potwierdził Frykas, klepiąc Palczaka po plecach.

- Skurwysyny!

- Opuszczamy - rozkazał Blues.

Frykas i Trzcina opuścili zawieszoną na linach konstrukcję, wspomagani przez Bluesa i Tępego. Mag przestał ich przeklinać. Gdy zniknął pod wodą, jego blada twarz rozciągnęła się w grymasie strachu, uwydatniając ostro zarysowane kości policzkowe. Przy burcie tłoczył się tłum byłych więźniów.

- Zróbcie miejsce, do cholery – poskarżył się Blues. – Miejsce!

- Mamy tu za mało rozrywek – zauważył Ho, spoglądając z ukosa na Su.

- To mnie raczej nie uspokoiło.

- Nie martw się. – Ho skinął na masywną kobietę o krótko obciętych siwiejących włosach, która podeszła do niego. – Su, to jest Devaleth. Już się zanurzała, ale może się wykapać na rufie razem z tobą i z Inese. I z Opal też. Zrobimy zasłonę z koców albo z zapasowych żagli. Albo to, albo zanurzą cię w sieci.

Czarownica rozciągnęła wąskie usta w pogardliwym grymasie.

- Jeśli muszę.

Gapie wybuchli śmiechem i radosnymi okrzykami. Frykas i Tępy ciągnęli liny w górę. U nadburcia pojawił się przemoczony, drżący Palczak. Z jego oklapłej sylwetki zwisała podarta płócienna koszula. Gdy opuszczano nosze na pokład, mag wyjąkał jakieś słowa, zapewne przekleństwa. Tępy podał mu koc. Palczak wyrwał mu go z rąk i owinał się nim szczelnie. Ho przyglądał się mu z zainteresowaniem. Jak człowiek mógł być aż tak chudy?

- To nie usunie połkniętego pyłu. Ani tego, który mamy w skórze, pod paznokciami i tak dalej – zauważyła Su.

- Skórę czyściliśmy pumeksem, a paznokcie nożami – odpowiedziała Devaleth. – Byłabym gotowa uciąć sobie lewą rękę, by tylko odzyskać swój dar.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie – mruknęła Su. Odwróciła się i pokuśtykała w stronę rufy.

Posel Ligi Taliańskiej dosiadł konia i odjechał. Blask śledziła go wzrokiem, gdy mijał ruiny stróżówek, zajazdów oraz gospód dla pielgrzymów odwiedzających Wielkie Sanktuarium Pożogi. Wątpliwości i podejrzenia dręczące ją już od chwili powrotu połączyły się ostatnio w mroczne, dławiące poczucie, że coś tu jest głęboko nie w porządku. Odwróciła się, spoglądając na dwóch przebywających z nią w pokoju mężczyzn – Oprawcę i Czepca.

– Czy to było rozsądne? – zapytała, choć wiedziała, że jej sprzeciwy zdadzą się na nic.

Po raz kolejny nawiedziło ją wrażenie, że jest tylko marionetką uczestniczącą w wielokrotnie już granym przedstawieniu. Czy była tu już przedtem? Robiła to samo nie wiadomo ile razy? Skąd brał się ten nastrój?

Oprawca trzymał hełm pod pachą, odsłaniając naznaczoną bliznami twarz oraz skołtunione rudoblond włosy. Zbył jej obawy machnięciem ręki.

– Ta Liga niczym się nie różni od Malazańczyków. Ich propozycje nadania ziemi są równie mało wiarygodne jak obietnice Laseen.

– Mogą się z nią połączyć przeciwko nam.

Szermierz zerknął z ukosa na Czepca. Wielki mag, spoglądający na równiny na południu, zmarszczył brwi.

– W najbliższej przyszłości to mało prawdopodobne, muszę jednak przyznać, że ta groźba narasta – stwierdził. – Zbliżają się nowe oddziały.

– Czy to wojska Laseen? – zapytała Blask.

Spirale tatuaży pod ustami wielkiego maga rozciągnęły się w chytrym uśmieszku.

– Któż to może wiedzieć? Wybór zapewne należy do ich dowódcy.

– To by nam ułatwiło zadanie, gdyby Choss sądził, że to Laseen – mruknął Oprawca.

- Zaiste.

Szermierz machnął lekceważąco ręką.

- Zostawię to tobie.

Czepiec pokłonił się płytko, wycofał w cieniu i zniknął.

- Myślałam, że podróż przez grotę stała się ostatnio skrajnie niebezpieczna - zdziwiła się Blask, spoglądając na Oprawcę.

Mężczyzna zatrzymał się po drodze do rozbitych drzwi.

- Czepiec też jest niebezpieczny - odparł po chwili zamyślenia.

* * *

Gdy Blask została sama, poczuła nagle wnikające w nią ciepło. Mogłoby się zdawać, że bliskość Oprawcy pozbawia ją sił witalnych. Gdy spojrzała w jego oczy, nadal przeszywał ją dreszcz. Co się stało z człowiekiem, który poprowadził Pierwszą Kompanię na wygnanie? Zawsze był ambitny i gwałtowny, ale nie był nieludzki. Teraz przez te oczy spoglądało na nią coś innego. Coś, co przerażało Blask znacznie bardziej niż wszystko, co mogła spotkać na polu bitwy.

- Kapitanie?

Odrzuciła się, mrugając. Stał tam Szara Grzywa w towarzystwie Dymka i żołnierza imieniem Ogilvy.

- Odrzucił ich propozycję, tak? - zapytał mag.

- Ehe.

Skinął głową ze skwaszoną miną.

- Tak też myślałem. To ma sens.

Blask wyprostowała się. Znowu ogarnął ją niepokój.

- Wytlumacz mi to, magu.

- Gadaliśmy o tym z Szarą Grzywą. Mamy taką teorię.

- Tak? - zapytała spokojnie Blask, choć oddech uwiązał jej w gardle.

- Najpierw ten Gwardzista ma ci coś do powiedzenia - oznajmił Dymek. Skinął głową, rozkazując Ogilvy'emu wystąpić.

Żołnierz zasalutował.

- Proszę o wybaczenie, pani kapitan. Przepraszam, że trzymałem jadaczkę na kłódkę, ale tak sobie myślałem, że lepiej być dyskretnym. Tego wymagała sytuacja i tak dalej.

Blask znowu zamrugła, marszcząc czoło.

- Słucham, Gwardzisto...?

- Byłem pierwszy na miejscu zabójstwa Przechyła na Stratemie. Widziałem ślady. Ślady, które potem usunięto. Zakłębem.

- I czego się z nich dowiedziałeś?

- Te ślady mi powiedziały, że chłopak w ogóle nie wszedł na polanę.

- Rozumiem. - Blask zwalczyła narastające mdłości. - Czy te ślady widział ktoś jeszcze? Ktoś, kto mógłby potwierdzić twoje zeznania?

Gwardzista zerknął na Szarą Grzywę, a potem opuścił wzrok.

- Nie, kapitanie.

- W takim razie, Gwardzisto, sugeruję, byś zachował to dla siebie, dopóki nie zdobędziemy więcej informacji.

Ogilvy zasalutował.

- Tak jest, pani kapitan.

- Możesz odejść.

- Tak jest, pani ka... kapitanie.

Ogilvy opuścił pokój. Blask spojrzała na Dymka.

- Posuwasz się za daleko, magu.

Pociągła twarz mężczyzny zastygła w bezruchu.

- A na tym jeszcze nie koniec. Ludzie nie chcą nic mówić głośno, ale słyszy się mnóstwo narzekań. Oprawca gromadzi wokół siebie Zaprzysiężonych, a całą resztę traktuje jak służbę, nie jak braci i siostry. Zaznaczają się podziały. Wszyscy czekają, aż coś zrobisz. Ty albo... Szara Grzywa.

Blask w końcu spojrzała na potężnie zbudowanego renegata.

- Na twoim miejscu bardzo bym uważała, Malazańczyku. Nie jesteś Zaprzysiężonym.

- Być może to pozwala mi obiektywnie spojrzeć na sprawy.

- Obiektywnie... wyjaśnij, żołnierzu.

- Nie ulega wątpliwości, że Oprawca zamierza pokonać zarówno Laseen, jak i Ligę Talianąską. Co się wydarzy, gdy już rozbije obie armie?

Blask zmarszczyła czoło, wzruszając ramionami.

- Śluby zostaną wypełnione. Imperium upadnie.

Szara Grzywa i Dymek wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Niekoniecznie. Pustkę będzie mogła wypełnić jakaś nowa siła, na przykład sojusz kańsko-dalhoński albo coś w tym rodzaju.

- Niewykluczone...

- Chyba że wolne miejsce zajmie inna organizacja, już gotowa do działania. Mam rację?

- Nie rozumiem do czego zmierzasz, Malazańczyku.

- Śluby trzymają cię w zbyt mocnym uścisku – warknął zniecierpliwiony Dymek. – Otwórz oczy! Oprawca zamierza sam zasiąść na tronie!

Blask wbiła w niego zdumione spojrzenie, a potem roześmiała się głośno. To był absurd.

- Dymek, wiesz równie dobrze jak ja, że Śluby nigdy by nie pozwoliły na coś takiego.

- Nie jesteś magiem, Blask. Nawet mnie przychodzi do głowy kilka sposobów obejścia tego zakazu, a Czepiec wyprzedza mnie o wiele mil. Na przykład można by ogłosić, że Imperium Malazańskie pozostaje niemożliwością, dopóki na tronie zasiada Zaprzysiężony. I co ty na to? Wieczne życie i władza! Warto zaryzykować, nie sądzisz?

Blask zakręciło się w głowie. Musiała się oprzeć o ścianę.

- To by było...

- Monstrualne wypaczenie? Zgadzam się.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Nie, Dymek. Wymyślasz groźby i spiski. Wszędzie doszukujesz się wrogów. Być może to ty ulegasz wpływowi Ślubów. Nigdy nie kryłeś, że nie znosisz Czepca. Zastanawiałeś się nad tym?

Mag milczał przez pewien czas, wlepiając w nią twarde spojrzenie. Poczuli się wstrząśniętą, ujrawszy w jego oczach rozczarowanie.

- Szara Grzywa nie jest Zaprzysiężonym, Blask - powiedział i wyszedł z pokoju.

Malazański renegat został, ale kobieta nie chciała na niego patrzeć. Odwróciła się do niego plecami. Po chwili pokłonił się i również wyszedł.

Jesteśmy tak blisko. Na Proroctwa Królowej, wypełnienie Ślubów jest w zasięgu ręki! Możemy ich rozbić! Skąd więc biorą się te wątpliwości, ten niepokój? Na początku ich nie było. Wszystko wydawało się wtedy jasne. My przeciwko nim i nasza sprawa była słuszna. A teraz nawet nie chce mi się tego robić. Dla kogo walczymy? Z pewnością nie dla untan ani cawnijczyków. W takim razie dla kogo? Oprawca zasiądzie na tronie, a kto będzie stał za nim?

* * *

Zastępca komendanta Ullen pędził sam przez noc, oddalając się od ruin Sanktuarium Pożogi. Czuł się głęboko zaniepokojony aż do chwili, gdy spotkał oddział taliańskiej konnicy, który wyjechał mu na spotkanie. Dowodził nim komendant Amaron, a towarzyszył mu nowy adiutant Toca, kapitan Mech.

- Odrzucili propozycję?! - zawołał Amaron.

- Tak.

- Głupcy - stwierdził, kręcąc głową z niezadowoloną miną. - Czeka ich totalna klęska.

- Jesteś pewien?

Amaron uśmiechnął się z wyższością i skinął dłonią, nakazując wszystkim wracać do obozu, zwanego przez niektórych Fortem Urka.

– A ty nie?

Ullen uniósł brwi, wskazując ruiny.

– Przed chwilą rozmawiałem z Oprawcą, Amaron. Nigdy przedtem go nie widziałem, ale muszę przyznać, że rzeczywiście wygląda na tak wrednego, jak mówią.

– Och, nie wątpię w to. – Komendant przesunął swój znaczny ciężar na grzbiecie wielkiego wierzchowca. – Nie mówię, że załatwimy Zaprzysiężonych. Chodzi mi o to, że jeśli okażą się na tyle głupi, by stanąć do bitwy z nami, ich regularne siły zostaną całkowicie rozbite, a ocalali Zaprzysiężeni będą musieli wycofać się sami. I co będą mogli wtedy zrobić? Garstka mężczyzn i kobiet nie zdoła obronić terytorium. Znowu zostaną zmuszeni do ucieczki. Cały ten interes z werbunkiem i powrotem pójdzie na marne. To smutne w gruncie rzeczy.

Ullen i Mech wymienili spojrzenia za plecami komendanta, nie odzywając się ani słowem. Kapitan wskazał oczyma pięćdziesięciu kawalerzystów prowadzących konie. Ullen skinął głową. Amaron nie mówił do nich, lecz do żołnierzy, wypełniając jedno z przykazań sztuki dowodzenia, jakim było dbanie o morale.

Napańczyk spojrzał na Mcha.

– A więc służyłeś na Genabackis, kapitanie?

– Tak, komendancie.

– Z Dujekiem?

– Nie. Zostałem na północy. Przeniesiono mnie.

– Na północ? W takim przypadku walczyłeś już z Gwardzistami. Mieli tam kontrakt z jakimś wodzem, facetem nazwiskiem Brood, tak?

– Tak, walczyłem już z nimi.

– I tam ich pokonano, zgadza się?

Mech obrzucił Ullena spojrzeniem pełnym skrywanej wesołości.

– Och tak – zapewnił głośno. – Pokonano.

Jedna połowa twarzy oficera kawalerii mówiła Ullenowi, że Mech potrafi grać w tę samą grę, co Amaron, mówić ludziom to, co wpłynie korzystnie na morale. Druga połowa zapewniała go jednak, że te słowa są bardzo dalekie od prawdy.

* * *

Wickański obóz znajdował się na wschodnim brzegu Jurdu, niedaleko na północ od Unty. Okrągłe jurty upstrzyły stoki wzgórz, tworząc nowe miasteczko, zamieszkane przez około czterech tysięcy ludzi. W paszę dla koni, drewno na opał oraz prowiant zaopatrywali się w okolicznych wioskach oraz przysiółkach. Nul i Nadir obiecywali, że z czasem zapłacą za wszystko towarami przeznaczonymi na wymianę. Rillish i jego malazański oddział zajęli wielki dom wiejski z otoczonym murem podwórzem, ulokowany pośród winnic, gdzie gałązki ugięły się pod ciężarem białych gron. Od czasu jego nocnej wyprawy z Nadir sierżant Talia okazywała znacznie większe zainteresowanie intymnymi stosunkami. Musiał przyznać, że sprawiło mu to wielką ulgę i przyjemność.

Pewnego ranka, gdy leżeli razem w łóżku, ktoś zapukał do drzwi. Rillish wciągnął spodnie. Talia również się ubrała, szybko przypinając pas z mieczem.

– Co jest?! – zawołał.

– Przepraszam, poruczniku, ale z południa zbliżają się jeźdźcy.

– Tak?

– Jadą pod imperialną chorągwią.

– Rozumiem. Dziękuję, sierżancie. Zaraz zejde na dół.

Spojrzał na Talię. Kobieta roześmiała się głośno z jego widocznego zawstydzenia. Opluskał w misce płonąca twarz. Na podwórzu czekały już przygotowane przez sierżanta konie. Rillish dosiadł jednego z nich, przywołał Żyłkę, przekazał mu dowództwo nad oddziałem i ruszył w drogę z eskortą dziesięciu jeźdźców.

Wickanie spotkali się już z kolumną złożoną z około dwudziestu untańskich kawalerzystów. Zrobiono miejsce dla Rillisha i jego ludzi, pozwalając im wjechać między obie grupy. Porucznik przywitał skinieniem głowy dowodzącego kolumną mężczyznę. Sądząc po znakach na hełmie, miał on stopień imperialnej pięści, choć Rillish nigdy dotąd go nie widział. Nieznajomy spojrział nań z błyskiem w ciemnych oczach, ale poza tym ignorował jego obecność. Po chwili z dalej położonego obozu przybyli Nul i Nadir. Przepchnęli się na początek kolumny i skinęli głowami do pięści. Mężczyzna zasalutował i uklonił się uprzejmie.

– Pozwólcie, że się przedstawię. Jestem pięść Tazal Jhern. Przybywam ze stolicy i mam uprawnienia do prowadzenia rokowań.

Nadir pochyliła głowę na znak potwierdzenia.

– Jestem Nadir, to mój brat Nul, a to porucznik Rillish Jal Keth. Witaj.

Mężczyzna nadal ostentacyjnie ignorował Rillisha.

– A co ma być przedmiotem tych rokowań? – zainteresował się Nul. – Warunki waszej kapitulacji?

– Warunki przerwania działań wojennych. Z pewnością chcecie przedstawić jakieś postulaty?

Blizniaki wymienili spojrzenia, mrużąc podejrzliwie powieki.

– Chcemy przedstawić żądania i warunki, pięści – poprawił go Nul.

– A kto ci udzielił tych uprawnień, pięści? – zapytał Rillish. Poseł nie odpowiadał, patrząc prosto przed siebie. Nadir zmarszczyła brwi.

– Porucznik zadał ci pytanie, pięści.

– Jestem pewien, że rozumiesz, iż nie czuję się zobowiązany rozmawiać ze zdrajcą – odparł poseł.

Nul wzdrygnął się wyraźnie dotknięty. Pociągnął za wodze.

– A ty z pewnością zrozumiesz, że...

A więc nadszedł dzień, w którym się mnie wyrzekną.

Rillish uniósł rękę.

– W porządku. Nie czujcie się urażeni. Opuszczę was teraz.

– Zostań na miejscu! – rozkazała Nadir. Jej ostry ton zaskoczył Rillisha. – Wysłuchasz wszystkiego, co ma do powiedzenia ten poseł. Mój brat i ja oczekujemy, że będziesz nam potem służył radą.

Rillish pokłonił się sztywno, starając się ukryć zdumienie.

– Wedle rozkazu.

Nul skinął na pięść.

– Tędy, pośle.

* * *

Wieczorem pięść przeprosił ich, mówiąc, że musi wcześniej udać się na kwatery przygotowaną dla jego ludzi. Gdy tylko wyszedł z wielkiego namiotu, między przedstawicielami klanów, starszyny i ocalałymi czarnoksiężnikami wybuchła zawzięta debata. Bliźniaki siedziały spokojnie, czekając, aż burza minie. Rillish był przerażony niektórymi propozycjami: złupić prowincję, puścić z dymem miasteczka, a nawet zagarnąć tron.

Gdy Nulowi złożono tę ostatnią propozycję, odparł ze spokojem:

– Co byśmy z nim zrobili? Jest za ciężki, żeby go wozic na końskim grzbiecie.

Zaczęła się kolejna runda debaty, tym razem pełna coraz gwałtowniejszych ripost, oskarżeń i obelg. Porucznik odnosił wrażenie, że dyskusja z każdą chwilą przesuwana się na obszar dawnych uraz, zniewag i ciągnących się od niepamiętnych czasów wendet. Zerknął na Nula. Chłopak mrugnął znacząco i pochylił głowę, zapraszając go do opuszczenia namiotu. Rillish wyprostował odrętwiałe nogi, pokłonił się zgromadzeniu i wyszedł.

Na dworze już zmierzchało. Stok opadał ku brzegom Jurdu niczym wielka płachta zielonego jedwabiu. Wzdłuż szerokiej, czarnej wstęgi rzeki rosły drzewa. W powietrzu unosił się intensywny, bliski zgnilizny zapach. Wokół namiotu krążyły przywabione światłem ćmy

i nocne muchy. Rillishowi nasunęła się myśl, że to miejsce nie jest już jego domem. Gdzie teraz miał dom? Na równinach wickańskich? Tu w tej chwili raczej nie mógł liczyć na miłe przywitanie. Nul również wyszedł na dwór. Chłopak oplótł się rękoma, marznąc w cienkiej kamizelce z jeleniej skóry. Czarne włosy miał długie i rozczochrane, ale Rillish nie skomentował tego ani słowem. Najpotężniejszemu wickańskiemu czarnoksiężnikowi nie mówiło się, że powinien się ostrzec.

- To żyzne ziemie - stwierdził młodzieniec, wskazując zielone wzgórze. - Dobrze o nie dbacie.

Rillish zamrugał zdziwiony.

- Nie rozumiem.

Młody Wickanin zaczerwienił się, pochylając głowę.

- Wybacz. Wszystko to kiedyś należało do moich przodków.

- Nie, Nul - zdołał wykrztusić Rillish, czując ucisk w żołądku. - To ja muszę cię prosić o wybaczenie.

Młodzieniec wypuścił powietrze z płuc.

- Tu jest zupełnie inaczej niż w Siedmiu Miastach.

- I co teraz zrobicie? - zapytał porucznik, wskazując namiot.

- Pozwolimy im się wygadać, przedstawimy swoją opinię, damy im pogadać jeszcze trochę. Kiedy zaczną powtarzać nasze propozycje, jakby sami na nie wpadli, zgadzimy się z ich mądrością i zdobędziemy ich niezachwiane poparcie.

Rillish zerknął na wpatrującego się w rzekę chłopaka.

- Nul?

- Słucham?

- Jesteś stanowczo za młody na taki cynizm.

Czarnoksiężnik uśmiechnął się promiennie.

- Moja siostra i ja bynajmniej nie jesteśmy młodzi, poruczniku.

Tak, musieliście dojrzeć stanowczo za szybko i przykro mi z tego powodu.

- A jak brzmi wasza opinia? Co powinniśmy zrobić?

- Ach... trafiłeś w samo sedno problemu. Jeszcze nie wiemy. - Konie zarząły w pobliskim korralu, poruszając się niespokojnie. Chłopak spojrział w tamtą stronę. - Co sądzisz o naszym pośle?

- Niewykluczone, że chodzi o to, byśmy osądzili tę propozycję na podstawie tego, kto ją przedstawił. Szczera, otwarta i praktyczna.

Jurdem płynęła łódź. Jej żagiel zwiślał bezwładnie, a wiosła poruszały się szybko, zostawiając na wodzie długi biały ślad. Obaj śledzili ją wzrokiem.

- Tak - stwierdził Nul. - Szczerze złożona obietnica, którą równie szczerze będzie można złamać przy najbliższej sposobności.

Rillish starał się usłyszeć w tych słowach echa zapiekłych resentymentów, drwiącej pogardy albo tłumionego gniewu, nie doszukał się jednak niczego w tym rodzaju.

- Jesteście w sytuacji bez wyjścia - stwierdził. - Zrobiliście wszystko, co w waszej mocy, ale i tak nic to nie dało.

Chłopak skinął z namysłem głową.

- To dziwna sytuacja, poruczniku. Przewaga powinna leżeć po naszej stronie, bo w końcu obozujemy na samym progu stolicy, ale okazało się, że mamy tylko uboczne znaczenie. Untę już złupiono. Nie możemy jej tym zagrozić. Nasz los rozstrzygnie się daleko na zachodzie, a nas nawet przy tym nie będzie.

- Nadal musicie się starać wynegocjować jak najkorzystniejsze warunki.

- Tak - zgodził się z westchnieniem chłopak. - Musimy. Zastanawiam się jednak, czy rzeczywiście zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. - Spojrział na Rillisha, a potem przesunął wzrok na namiot. - Dziękuję, poruczniku.

- Za co?

- Za to, że mnie wysłuchałeś. W przeciwieństwie do wielu moich rodaków uważam, że zawsze warto omówić sprawy. Przekonałem się,

że to pomaga rozwiązywać problemy.

Rillish ponownie wskazał namiot.

- Twoi rodacy nie sprawiają wrażenia niechętnych do rozmów.

- Ale dla większości z nich to tylko sposób na pogorszenie istniejących problemów.

- Ach, rozumiem.

Czarnoksiężnik uniósł połą.

- Nie musisz już dzisiaj znosić tego dłużej. Ja i Nadir poradzimy sobie sami. Jak rozumiem, czeka na ciebie przyjemniejsze towarzystwo - dodał z uśmiechem.

Niedorostek próbujący dorosłych żartów?

- Tak, dziękuję.

Uśmiech zniknął z twarzy młodzieńca.

- Gdybym tylko mógł znaleźć kogoś dla siostry...

Rillish pokłonił się pośpiesznie.

- Dobranoc.

* * *

Na pogrążonej w mroku drodze prowadzącej na kwaterę na Rillisha czekało dwoje jeźdźców. Sierzanci Żyłka i Talia. Żyłka zasalutował, zawrócił konia i ruszył przodem. Rillish zatrzymał wierzchowca obok Talii.

- Sierzancie...

- Poruczniku...

Pochyliła się ku niemu i pocałowali się. Dostrzegł w niej dziś coś dziwnego. Uśmiechała się promiennie w ciemności, a jej oczy przepełniała skrywana wesołość.

- Wyglądasz dziś... tajemniczo.

Ona również zawróciła wierzchowca, spoglądając z ukosa na porucznika.

- Bo mam tajemnicę.

Znieruchomiał, mrużąc powieki.

- Naprawdę?

- Tak. Jestem, jak mawiają w waszych arystokratycznych kręgach, przy nadziei.

- Co? - Gapił się na nią zszokowany. - To niemożliwe!

- Nikt ci nie mówił, jak to się robi? - zdziwiła się, unosząc brwi.

- Nie! Chodziło... chodziło mi o to, jak możesz wiedzieć tak wcześniej?

- Powiedziały mi kobiety od koni. Były zachwycone. Szkoda, że nie słyszałeś, jak cmokały nade mną.

- Oczywiście będziesz musiała opuścić czynną służbę.

Spojrzała mu w oczy.

- Nie ma mowy. Jestem teraz sierżantem. Dostałam podwyżkę.

- Mógłbym cię zdegradować.

- Za co? - warknęła. - Niedozwolone kontakty z oficerem?

Rillish otworzył usta, ale zamknął je pośpiesznie. Doszedł do wniosku, że w tej chwili kolejny atak nie byłby dobrym pomysłem. Nie ulegało wątpliwości, że wskazane są obserwacja i rekonesans. Być może też kilka ostrożnych wycieczek. Talia nie odzywała się ani słowem. Plecy miała sztywne, a twarz odwróconą. Rillish odchrząknął.

- Pewnie nie na taką reakcję liczyłaś.

- Masz cholerną rację.

- Przepraszam. Po prostu... zaskoczyłaś mnie. Chodziło mi o to, że powinnaś unikać ryzyka.

- Myślisz, że tego nie chcę? - zapytała z westchnieniem. Podjechała bliżej i ujęła jego ramię. - Możemy zamienić się obowiązkami ze starym Orhanem.

Orhan, pomyślał Rillish. Kompanijny kwatermistrz i specjalista od koni. To była trudna, potencjalnie niebezpieczna praca, ale nie równała się uczestniczeniu w walce. Sprytny weteran utykał i nie był już

taki szybki, ale całe życie służył w wojsku i w rejestrze figurował jako sierżant.

– Potem znajdę wickańską mamkę. Kiedy dzieciak trochę podrośnie, będzie mógł zostać z moim bratem w Halasie. On jest cieślą. A co z twoją rodziną?

Rillish pomyślał o swojej rodzinie. O sezonowym domu w Uncie i pozasezonowym w Haljhen. O rodzinnych ziemiach nad brzegami Gris, winnicach, polach i sadach ciągnących się we wszystkie strony dłużej niż dzień konnej jazdy. Pomyślał o beczkach wina leżakującego pod rezydencją, o niezliczonych rodzinach żyjących i pracujących na tych ziemiach.

Utracił to wszystko. Rillish Jal Keth, zdrajca.

A teraz doczeka się dziedzica. Dziedzica dwóch mieczy, które miał u pasa, mieszka z monetami noszonego pod koszulą oraz nazwiska, którego dziecko nigdy nie będzie mogło nosić. Ujął rękę Talii.

– Gdzie leży ten Halas?

* * *

Jeden z garstki nadal im towarzyszących zwiadowców Seti podjechał do nich, zatrzymując konia w ostatniej chwili. Spocony, spieniony wierzchowiec tupał nerwowo. Ghelel poznała Tovena, bezczelnego młodzieńca, który wcześniej zaczepiał ją i Molka. Teraz cieszyła się, że chłopak tak bardzo lubi ekscytujące doświadczenia.

– Zmierzają w stronę Heng – zameldował.

Miał na myśli liczną armię Konfederacji Kańskiej maszerującą na południe. Składała się ona z około czterech tysięcy lansjerów oraz dwudziestu pięciu tysięcy piechoty. To właśnie był powód, dla którego markiz i jego ludzie siedzieli obecnie w lasku na południowy zachód od Heng.

Markiz skinął głową.

– Dziękuję, zwiadowco. Znajdź sobie świeżego konia.

- Tak jest.

Chłopak uśmiechnął się lubieżnie do Ghelel i popędził wierzchowca kopniakiem.

- Prędej czy później go zabiją - stwierdziła rotmistrz Razala z czymś w rodzaju niechętnie okazywanego współczucia.

- Mam nadzieję, że nie - wyszeptał markiz. - Zaczyna nam brakować zwiadowców.

- Czy ci Kańczycy są naszymi sojusznikami? - zapytała Ghelel.

Jhardin wyciągnął fajkę z mieszka na ramieniu i wetknął do ust.

- Niekoniecznie. Niewykluczone, że popierają Laseen. Podejrzewam jednak, że są po stronie Konfederacji Itkokańskiej.

- To znaczy?

- To znaczy, że mogą spróbować zdobyć Li Heng.

- Co? To śmieszne! Pod nosem naszych wojsk i armii Laseen!

Markiz zmarszczył brwi w zamyśleniu.

- To nie takie proste. Itko Kan zawsze było niezadowolone z powstania Wolnych Miast, a Heng jest jedynym powodem, dla którego ten twór w ogóle istnieje. Mają teraz okazję się go pozbyć. Nie wspominając już o możliwości zawładnięcia miastem. Nie, podejrzewam, że spróbują negocjować z tym, kto zwycięży na północy. Heng będzie ich atutem. To dobry plan.

- Ale...

Ghelel umilkła, nie chcąc powiedzieć czegoś, co by świadczyło, że brak jej... no cóż, zimnej krwi.

- Szkoda, że bestia nie przeszła na drugi brzeg Idrynu - wychrypiała Razala.

Jhardin zerknął na nią z ukosa.

- Uwierz mi, rotmistrzu, nie chciałabyś tego.

- Cóż więc zrobimy, markizie? - zapytała Ghelel.

- Wycofamy się na zachód, do Wodospadu.

– Na zachód? Do Wodospadu Skruszonej Ziemi? – powtórzyła z niedowierzaniem Ghelel. – To bardzo daleko od pola walki! Jesteśmy potrzebni na północy! Choss musi stawić czoło Laseen. Każdy żołnierz jest tam potrzebny!

– Pięciuset ludzi zmieni bardzo niewiele, rotmistrzu Alil. Zresztą droga na północ została zablokowana. Jesteśmy odcięci od Mostu Pielgrzymów i od Li Heng. Możemy przejść przez rzekę tylko przy Wodospadzie.

– Nie zgadzam się z twoją opinią, komendancie. Szarża stu ciężkich jeźdźców może rozstrzygnąć o wyniku każdej bitwy. Razala? Co o tym sądzisz?

Rotmistrz ciężkiej kawalerii przez dłuższą chwilę patrzyła w oczy Ghelel. Dziewczyna zauważyła na jej nieładnej, spoconej, naznaczonej bliznami twarzy skrywaną burzę uczuć: złość, gniew, wstyd, a na końcu żal. Kobieta spuściła wzrok, wpatrując się w zakute w pancerne rękawice dłonie, skrzyżowane na łęku siodła.

– Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo bym tego chciała, rotmistrzu, ale... poprzysięgam posłuszeństwo markizowi.

– Pojedziemy na zachód – skwitował Jhardin. – Seti będą dostarczać nam informacji.

Pogonił kopniakiem wierzchowca.

* * *

– Kańskie wojska – prychnął pogardliwie sierżant Banath do ucha Rzut. – Chłopaki od pługa, dziewczyny od czyszczenia ryb i zbiegli uczniowie cechowi. Nikt z nich nie ma kręgosłupa. Nie rozumiem, po co zawracają sobie głowę. Równie dobrze mogliby się spakować i wrócić do domu. – Splunął na ziemię ze szczytu wieży sąsiadującej z południową bramą Muru Ronda Zewnętrzny. Nie mówię o magach. Kańscy magowie są cwani. Jak dalhońscy, chociaż nie aż tak wredni.

- Dziękuję za wskazówki, sierzancie - odparła Rzut, obejmując dłońmi nadal bolącą głowę. Liss zapewniała, że ją uzdrowiła, ale ból nie ustępował. Perspektywa rokowań z Kańczykami nie pomogła jej też nawet w najmniejszym stopniu. Niech bogowie pomogą ich dowódcy. Rzut była w paskudnym nastroju, gotowa gryźć kamienie. - Dobra. No to ruszajmy.

Rzut towarzyszyli Jedwab, sierżant Banath oraz oddział dwudziestu hengańskich kawalerzystów - znacząca część tego, co im zostało. Liss obserwowała północ, Słoneczko zajmował się naprawami i odbudową, Storo leżał zaś w łóżku, ledwie żywy, wracając do zdrowia po ranach zadanych przez bestię. A Jalor padł, gdy wykonywał swe zadanie, stojąc obok Rella. Sam Genabackanin jasno oznajmił, że tego typu negocjacje nie są dla niego. Została tylko Rzut, obecnie pełniąca obowiązki pięści i dowodząca obroną miasta.

Kańscy zwiadowcy zatrzymali ich w niewielkiej odległości na południe od miasta. Mieli tu zaczekać na przedstawicieli nadciągającej armii. Trwało to długo. Rzut wykorzystała tę okazję, by maksymalnie się oddalić od koni. Podeszła do opuszczonego gospodarstwa. Stratowany ogródek ogołocono doszczętnie, a z domu wyniesiono wszystkie meble oraz narzędzia. Wszelkie ślady po mieszkańcach zniknęły. Weszła do krytej strzechą jednoizbowej chaty. Obserwując kurz, tańczący w snopie światła wpadającym przez otwarte drzwi, czuła jedynie smutek i żal. Kto tu mieszkał? Zastanawiała się, czy odpowiedzialne są ich oddziały furazerów, taliańskie siły stacjonujące ponoć na południu, czy może kańscy zwiadowcy, którzy nadal mieli ich na oku. W końcu traktem z południa nadjechała wielka karetka zaprzężona w cztery woły. Eskortowali ją lansjerzy, a poprzedzała straż przednia złożona z pięciu jeźdźców. Rzut wyszła im na spotkanie.

Jeden z jeźdźców zsunął się z siodła. Mężczyzna miał na sobie funkcjonalną zbroję oraz długi żupan ozdobiony siedmioma splecionymi ze sobą kwiatami Konfederacji Itkokańskiej. Te insygnia ostatnio oglądano około stu lat temu. Nieznajomy zdjął hełm i płócienny

czepiec, odsłaniając smagłą twarz. Był mężczyzną w średnim wieku, miał wąsy i krótko przystrzyżoną brodę.

- Komendant Pirim 'J Shall, do usług. - Wskazał na towarzyszących mu jeźdźców. - Śledczy Durmis. - Niski mężczyzna w ceremonialnej szacie pochylił głowę w ukłonie. Pozostali jeźdźcy byli najwyraźniej strażnikami. - W karecie siedzi kustosz Kapalet. Niestety, podróż okazała się dla niej zbyt wielkim obciążeniem i kustosz jest niedysponowana.

- Pełniąca obowiązki pięści Rzut - przedstawiła się kobieta. - A to jest Jedwab - dodała, wskazując swą eskortę. Komendant pokłonił się, sapnął głośno i usiadł na brzegu rozbitego koryta.

- Gratuluję powstrzymania Talian. To musiało być bardzo trudne.

- Dziękuję.

- Ale... - Spojrzał na zachód. - Z pewnością ponieśliście poważne straty. Niewątpliwie zadajecie sobie pytanie, jak wiele jeszcze zdołają wytrzymać wasi ludzie. Ile sił im zostało?

- Wystarczająco wiele, by poradzić sobie z waszym wędrownym cyrkiem.

Mężczyzna błysnął uśmiechem, wskazując okolicę.

- Konfederacja nie przybywa tu z pustymi rękami, pełniąc obowiązki pięści. Dobrze znamy tę krainę. Należała niegdyś do nas. Wiemy, że brakuje tu drewna, przywieźliśmy je więc ze sobą. Wystarczy na wiele wież obłąńczonych.

- Nie ma nic fajniejszego niż porządny pożar.

Kańczyk znowu uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Zastanów się dobrze. Czy możecie bronić się przed nami na południu i jednocześnie uważać na północ? Bardzo w to wątpię. Zastanów się dobrze i zaproponuj warunki, choćby tylko ze względu na swoich ludzi.

Rzut wciągnęła rękawice. Dopełniła formalności, a nie miała ochoty na słowne przepychanki z tym człowiekiem.

– Nasze warunki wyglądają tak, że macie się wycofać o dzień drogi na południe stąd. W przeciwnym wypadku będziemy was uważali za cel. Jasne?

W końcu udało się jej zetrzeć z jego twarzy uśmiezek. Mężczyzna wstał, uklonił się zdawkowo i wskazał konie. Rzut ruszyła z powrotem.

Przygotowując wierzchowca do drogi, zauważyła, że gruby, łysy śledczy i Jedwab wlepiają w siebie dociekliwe spojrzenia.

– Wiele moich braci i sióstr na południu mówi, że gdy malazański pokój został złamany, powrócił ludojad, zwabiony rozlewem krwi. Co na to powiesz? – zapytał Kańczyk.

– Powiem, że obecny kryzys faktycznie ma z tym coś wspólnego.

– Ci, którzy są odpowiedzialni za powrót ludojada, zasługują na to, by zginąć w jego paszczy! – zawołał śledczy, gdy Jedwab zawracał wierzchowca. – Jak przepowiada to starożytna klątwa. Nie sądzisz?

Mag nie odwracał się. Wyprostował plecy, strzelił wodzami i odjechał.

– Ilu do tej pory zabił?! – krzyknął grubas.

Rzut podążyła za Jedwabiem, ale nie potrafiła się powstrzymać przed obejrzeniem się przez ramię. Śledczy wskazał ją palcem w geście oskarżenia. Dźgnęła piętami wierzchowca i dogoniła maga.

– O czym on gadał, w imię D'rek?

Mag potrząsnął targanymi wiatrem włosami, cały czas patrząc przed siebie.

– To nic, Rzut.

– Nic? Chcesz powiedzieć, że naprawdę jest taka klątwa? Jalor nie żyje. Storowi niewiele brakuje. Drżączka zginął...

– Drżączka zginął przedtem, Rzut.

– Nie dziel włosa na czworo. Dostrzegam trend. Od jak dawna wiedziałeś o tej klątwie?

Mag machnął dłońmi.

– Rzut, tego nie warto traktować poważnie. To zapewne po prostu wymysł minstreli. Artyści uwielbiają takie tematy. Nie ma w tym nic więcej.

– Zapewne? A skąd to wiesz?

– Stał, że ani Kellanved, ani Tayschrenn nie zwykli rzucać klątw, prawda? To nie było w ich stylu.

– I to ma mnie uspokoić?

– Tak. – Spojrzał na nią ze swym dodającym otuchy uśmiechem. Już setki razy widziała, jak wspierał nim swoje kłamstwa. – Posłuchaj. On tylko próbował cię zastraszyć. Podważyc twą pewność siebie. To wszystko.

– Ehe, i z pewnością mu się udało.

Gdy spotkali się z resztą oddziału, nie wspomnieli o tej sprawie ani słowem. Po powrocie do miasta Rzut udała się w towarzystwie sześciu nowo przydzielonych strażników na Północne Rondo Zewnętrzne, by sprawdzić przebieg napraw. Zdumiała ją trwająca tam gorączkowa aktywność. Usuwaniem szczątków, naprawianiem murów i zbieraniem materiału zajmowały się setki robotników. Najwyraźniej mieszkańcy Li Heng wreszcie przejęli się kwestią własnej obrony. Cyniczna strona natury Rzut podsuwała jej pytanie, czy powrót Ryllandarasa ma coś wspólnego z tym nagłym wybuchem entuzjazmu. Istniało też jednak inne wytłumaczenie. Nie sposób było zaprzeczyć, że po tym, co pokazał Rell, powstrzymując bestię, całe miasto go uwielbiało. Często słyszało się, jak ludzie krzyczą za nim na ulicach: „Protektor!”. Zdarzało się nawet, że rzucali mu pod nogi kwiaty. Z tego powodu w ogóle już nie wychodził z domu. Wyglądało na to, że mieszczanie przekonali samych siebie, że w godzinie najstraszliwszej próby Li Heng odnalazło nowego protektora. Rzut nie była do końca przekonana, czy to nie jest prawda.

Pod Północną Bramą Równin zauważyła Słoneczko otoczonego grupą wykrzykujących coś kupców. Pozdrowił ją uniesieniem ręki, nie przestając rzucać obelgami. Wspięła się po schodach na szczyt muru.

Brama nie nadawała się do naprawy. Zamknięto ją na stałe. Za prowizoryczną barierą z drewna i gruzów wzniesiono kamienny mur. Na szczycie znalazła Liss. Szamanka, mag, czy kim tam właściwie była, patrzyła na ciągnącą się na północy prerię. Nie było tam nic poza porzuconym sprzętem, usypanymi z ziemi mogiłami oraz niesionymi wiatrem szczątkami.

– Jak się czuje Storo? – zapytała Rzut.

Staruszka uniosła brwi.

– Tak dobrze, jak to możliwe. Uzdrawienie czystej rany od miecza albo pchnięcia nożem czy zagojenie złamanej kości to drobiazg w porównaniu z naprawą ciała rozszarpanego pazurami bestii. Stracił rękę i oko. Nadal nie można wykluczyć, że wewnętrzne obrażenia w końcu go zabiją. Dlaczego mnie o to pytasz? Idź go zobaczyć.

Rzut pokręciła głową. Nie chciałyby, żeby widziała go w takim stanie. Liss wydeła wargi, nie odzywając się ani słowem. Znowu wbiła posępne spojrzenie w równinę.

– Czy on wróci? – zapytała Rzut. Obie kobiety rozumiały, że mówiąc „on”, miała na myśli kogoś innego.

Liss skinęła słabo głową.

– Tak. Prędzej czy później. W tej chwili nie brakuje mu łatwych łupów na zewnątrz.

Stan szamanki pogarszał się z każdą godziną. Jej włosy opadały w przetłuszczonych strąkach, skóra przybrała niezdrowy błądy odcień. O dziwo, staruszka śmierdziała jeszcze paskudniej niż w chwili ich pierwszego spotkania. Gdyby ktoś ją wówczas o to zapytał, Rzut przysięgłaby, że to niemożliwe.

– A Seti? Czy im nie zagrozi?

Uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Dziękuję, Rzut, moja droga. Tak, na razie są bezpieczni. Ale czy jakikolwiek lud może się chronić przed samym sobą? Nie można dopuścić, by kult Białego Szakala odzyskał wpływy. To dla nas krok do tyłu. Dziecinna zależność.

- Przykro mi.

Rzeczywiście było jej bardzo przykro. Coraz dobitniej uświadamiała sobie, że postąpili niesłusznie. Że popełniła straszliwy błąd i wspomnienie o nim będzie ją prześladowało do końca życia. Być może klątwa rzeczywiście istniała.

Szamanka klepnęła Rzut w plecy.

- Nie martw się, dziewczyno. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz to ja muszę coś wykombinować.

- Ty? - Popatrzyła na nią podejrzliwie. - Nie rozumiem.

Liss obróciła dłonie przed oczyma, a potem przyjrzała się swym wystrzępionym spódnicom.

- Jest coś, z czym chyba zbyt długo zwlekałam. Być może nadszedł już czas.

„Na co?” - chciała zapytać Rzut, ale coś ją powstrzymało, jakiś niejasny, nieokreślony lęk, jakby usłyszała szept: „Lepiej, żebyś nie wiedziała”. Przyszło jej na myśl, że być może jednak jest tchórzliwa.

* * *

Rejs na północ przebiegał gładko, choć, gdy u steru zabrakło sprawnej ręki Ereka, *Latawiec* nie poruszał się już tak zgrabnie. Jan, Skradacz i Kyle na zmianę starali się, by żagiel pozostawał wypełniony wiatrem. Bracia trzymali się środka łodzi, przygotowując posiłki i działając sobie na nerwy. Wędrowiec siedział na dziobie, zatopiony w ponurych rozmyślaniach. Wszyscy omijali go szeroko. Mogłoby się здаwać, że tylko Ereko - choć sam nie był człowiekiem - pozwalał szermierzowi zachować człowieczeństwo. Kyle wiedział, że bracia Zagubieni są przekonani, że obwinia Wędrowca o śmierć olbrzyma. Z początku rzeczywiście tak było. Teraz jednak zadawał sobie pytanie, czy szermierz miał wybór. Spotkanie otaczała aura nieuniknionej konwergencji, od dawna odwiekanego zamknięcia kręgu. Ereko ostrzegał go też przed melancholijnym wpływem broni noszonej przez Wędrowca. Kyle

uświadomił sobie, że szermierz przeżył to co najmniej równie ciężko jak on. Czyż nie był przyjacielem Thel Akai znacznie dłużej do niego? Chłopak uważał, że to niezdrowe, że pozwalają towarzyszowi rozpaczć tak długo. Doszedł do wniosku, że jeśli ktoś może coś w tej sprawie zrobić, to tylko on. Piątego dnia zdobył się na to, by pójść na dziób i usiąść obok Wędrowca.

– A więc płyniemy do Quon – odezwał się po chwili.

Zza zasłony długich czarnych włosów spojrzały na niego oczy barwy ciemnego oceanu. Mężczyzna oderwał wzrok od spoczywających bezwładnie na nogach dłoni, kierując je na młodzieńca. Coś mignęło w jego oczach, jakiś niejasny błysk rozpoznania. Uniósł rękę, by je potrząść.

– Tak, do Quon.

– Czy mogę zapytać, dlaczego?

Wędrowiec wzruszył ze znużeniem ramionami.

– Masz sprawę do Gwardii, a ona wybiera się właśnie tam.

– A ty?

– Udam się stamtąd w dalszą drogę.

– Pomożesz nam?

Uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Nie, Kyle. Moja obecność tylko... skomplikowałaby sprawę.

– Czepiec natychmiast mnie zabije.

– Nie. Z braćmi będziesz bezpieczny. Jest jeszcze twój miecz. Nie masz pojęcia, co się w nim naprawdę kryje, i jestem przekonany, że tak właśnie miało być.

Mój miecz?

– Nie rozumiem.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– To potężna broń. Inni mogliby ją wykorzystać do zdobycia bogactw i władzy. Ale tobie nic podobnego nawet nie przyszło na myśl, prawda?

Kyle zastanowił się nad tym pytaniem. Prawda wyglądała tak, że nie miał zielonego pojęcia, jak się ubiegać o takie rzeczy.

- A co z tobą? - zapytał.

- Ze mną?

- Tak.

Wędrowiec zaczerpnął głęboko tchu i spojrzał na wodę.

- Ścigam kogoś, Kyle. Kogoś, kto jest zdeterminowany mi umknąć. Ale prędzej czy później go dopadnę i nadejdzie chwila z dawna odwlekaney zapłaty.

- Zemsta?

Obrzucił go ostrym spojrzeniem, które zaraz złagodniało.

- Tak. Ale nie tylko za mnie. Za wiele. Bardzo wiele.

Nagła fala obryzgała Głuszę. Mężczyzna zawył przerażony. Weszka ryknął głośnym śmiechem, z ustami pełnymi jedzenia. Na twarzy Wędrowca pojawił się uśmiech. Kyle jednak odnosił wrażenie, że jest on chłodny i odległy, jak u dorosłego przyglądającego się zabawom dzieci. Albo... Jak brzmiało to słowo, którego używali Gwardziści, mówiąc o przywódcy rasy zwanej Andii? I o magusie? U Ascendentu.

- Czy moglibyśmy ci jakoś pomóc?

Wędrowiec popatrzył na niego. Z ust nie zniknął mu uśmiech.

- Dziękuję, Kyle, ale nie. Przysiągłem, że to zrobię, i muszę sam zmierzać do celu.

- No cóż, skoro tak musi być.

Chłopak wstał.

- Kyle?! - zawołał za nim Wędrowiec.

- Słucham?

- Dziękuję. I... bardzo mi przykro. Wiem, jak go lubiłeś.

- Tak. Jestem pewien, że ty też.

Kyle odwrócił się i spojrzał w oczy Jana, który przypatrywał się mu z rufy. Staruszek odwrócił wzrok, spoglądając na wodę, jak miał to w zwyczaju.

Gdy Kyle obudził się rano, przy sterze stał Skradacz, wpatrując się w horyzont. Wędrowiec również już wstał.

- Co się dzieje? - zapytał Weskę.

Mężczyzna rozpalil małe ognisko w metalowej misce i kroil bulwy na gulasz.

- Przed nami jest sztorm - odparł, wzruszając ramionami.

Kyle spojrzal na rufę, na Skradacza. Ten wyciągnął rękę. Na horyzoncie pojawila się ciemna plama chmur.

- Nie możemy go ominąć? - zapytał młodzieniec.

Zwiadowca uniósł jasną brew.

- Od świtu zmieniałem kurs już trzy razy, a sztorm zawsze jest przed nami.

Jan leżał obok Skradacza, przykryty kocem. Kyle zastanawiał się, czy nie zapytać jego, powstrzymał się jednak. Skradacz albo Wędrowiec mogli to zrobić, jeśli zechcą.

- A co powiedział Wędrowiec?

- Żeby dać sobie spokój z próbami ominięcia sztormu i płynąć prosto na północny wschód.

Kyle przeszedł na dziób. Wędrowiec wpatrywał się przed siebie. Pod skórzany strój włożył kolczy płaszcz, a do pasa przypiął miecz. Jego spojrzenie i napięte mięśnie barków świadczyły o kipiącym gniewie.

- Co się stało? - zapytał młodzieniec.

- Ktoś ingeruje. Ktoś, kto powinien wiedzieć, że lepiej nie wchodzić mi w drogę.

- Kto?

Mężczyzna sprawiał wrażenie gotowego odpowiedzieć, powstrzymał się jednak. Potrząsnął głową.

- Nieważne. Miejcie oczy otwarte.

– Co mamy zrobić?

– Zrobić? Zjedzcie coś i sprawdźcie broń.

Weszka przyrządził gotowaną papkę z ryby i starego, pleśniejącego chleba. Bracia Zagubieni zajęli się sprawdzaniem ostrości niezliczonych noży, które mieli za pasami, w kamizelkach i w butach. Jan najwyraźniej nie miał broni, więc Kyle zaoferował mu stary długi nóż, którego nigdy nie używał. Staruszek przyjął broń z zaskoczeniem i radością, ale jego spojrzenie zaraz powędrowało w bok. Chłopak zerknął w tę samą stronę i zobaczył, że Wędrowiec patrzy na nich. Pozbawiona wyrazu twarz szermierza zastygła w bezruchu. Jan wsunął nóż za pas.

Granica nienaturalnej ławicy chmur była coraz bliżej. Przed nią powierzchnię morza pokrywały normalne fale – wysokie i gładkie, o grzbietach upstrzonych cieniutką warstewką piany. Pod chmurami, w coraz głębszym cieniu, morze wydawało się spokojne, a wiatr był słabszy. Wędrowiec się odwrócił.

– Zejdźcie na dół! – zawołał. – Zabezpieczcie się. Unieruchomcie ster!

Skradacz związał długie uchwyty steru. Bracia mocno opletli ręce linami. Kyle również znalazł kawałek zabezpieczonej liny i owiązał ją wokół ramienia. Jan położył się obok burty, prostując nogi. Wysoka, sunąca naprzód w niesamowitej ciszy fala ciemności wzniosła się nad nimi niczym urwisko i przesłoniła światło. *Latawiec* zniknął w mroku.

Natychmiast wytracili prędkość. Kyle'em cisnęło do przodu. Sprzęt i zapasy przesunęły się z łoskotem. Stateczek jęknął, deski zaskrzyphiały, żagiel załopotał. Fale otoczyły ich, zalewając burte. W dezorientującym, rozproszonym świetle wszystko wydawało się płaskie, odległe i bezbarwne. Wędrowiec coś krzyczał, ale jego słowa docierały do nich z dziobu dziwnie zniekształcone. Chłopakiem ponownie rzuciło do przodu. Zapasy posypały się na braci, którzy ryknęli ze złością. Zgrzyt stępki i desek oznajmił, że *Latawiec* zatrzymał się na brzegu,

choć przecież nie powinno tu być żadnego ładu. Nagłe uderzenie w głowę ogłuszyło Kyle'a.

Odzyskał jasność widzenia – był zdezorientowany tylko przez chwilę. Zamrugał i wstał. Przed nimi ciągnęła się ciemna plama błota, przechodząca w oddali w jeszcze ciemniejszy skraj lasu. Za sobą mieli tafłę wody, gładką jak czarne szkło. Jej płaską powierzchnię mącił tylko ich ślad torowy. Matowe niebo miało kolor łupku.

– Wesole miejsce – zauważył Jan, pocierając bark.

Ze sterty zapasów wypadł Wieszka. Przeklinał głośno, trzymając się za oko. Głusza ryknął głośnym śmiechem. Skradacz pocierał biodro. Wędrowiec przyglądał się z uwagą dziobowi.

– Jest uszkodzony?! – zawołał zwiadowca.

– Trudno wyczuć. Tak czy inaczej, ugrzęźliśmy tu.

– Wędrowcy! Witajcie! – zawołał ktoś po taliańsku.

Kyle spojrział w tamtą stronę. W błocie stał jakiś mężczyzna. Miał bladą, pociągniętą twarz i potężną strzechę czarnych rozczochranych włosów. Jego szaty zanurzały się w szlamie. Albo był bardzo niski, albo nogi zapadły mu się głęboko w błocko.

Wędrowiec przeskoczył przez nadburcie i nogi natychmiast pogrzyły mu się w grząskiej masie aż nad cholewy butów. Mimo to zdołał złapać nieznanego za szaty i pociągnąć mocno. Mężczyzna wrywał się mu, łopocząc luźnymi rękawami, tak długimi, że one również zabrudziły się błotem.

– Zaprowadź nas do tego podstępnego szczura – warknął Wędrowiec. – Pora, by usłyszał ode mnie parę ostrych słów.

– Tak! – pisnął nieznanomy. – To znaczy nie. Tu nie ma skrzeczących nietoperzy. Siedzą w lesie.

Zdziwiony Wędrowiec puścił mężczyznę. Ten poprawił szaty, smarując je błotem.

– Mam was zaprowadzić do swego pana, Tronu Cienia. Pobłogosłał was swym lekceważeniem.

– Kim jesteś? – zapytał Wędrowiec.

– Kimestes? – powtórzył mężczyzna, przyglądając mu się z uwagą.
– Cholernie niedogodne imię. Ale za to bardzo pospolite, tak? – Wyciągnął ubłoconą rękę. – Hethe.

Wędrowiec nie uściśnął jego dłoni. Po chwili mężczyzna opuścił rękę i wytarł ją o brudne szaty.

– Proszę bardzo. Musimy iść! Chodźcie! – Mężczyzna ruszył, ciągnął za sobą szatę. Z jej brzegów opadały grudki zielonobrazowego błota. Po kilku krokach odwrócił się i skinął na nich. – Chodźcie, chodźcie!

– Ach, w imię Złodziejki – mruknął Wieszka.

Wziął kilka pakunków żywności i bukłaków wody, a potem wysiadł na ład. Jego obute w sandały stopy zniknęły w lodowatej masie. Zadrżał.

– Cholera, ależ to zimne!

Pozostali podążyli za jego przykładem. Zeskoczyli kolejno w błoto i powlekli się za Wędrowcem oraz ich przewodnikiem. Wkrótce Kyle zaczął dyszeć ciężko. Do stóp przylgnęły mu bryły ciężkiego jak ołów blocka. Skradacz i Głusza wyciągnęli noże i zdrapywali ze stóp warstwy mułu, odrzucając je na bok. Substancja cuchnęła rozkładającymi się stworzeniami morskimi. Zeskrobując błoto, Kyle musiał odwracać twarz.

– To cholernie poniżające, co? – powiedział do brata Głusza.

Wędrowiec odwrócił się nagle, słysząc te słowa, a potem parsknął śmiechem z jakiegoś tylko sobie znanego powodu. Znowu ruszył, kręcąc głową. Bracia wymienili zdziwione spojrzenia.

Przed nimi błotna równina przechodziła we wznoszącą się ku górze plażę z czarnego żwiru. Po lewej ciągnął się mroczny las. Między przysadzistymi drzewami rosły szare splecione chaszczce. Przewodnik poprowadził ich w prawo, gdzie brzeg wznosił się ku wygładzonym przez erozję wzgórzom, porośniętym gęsto spletaną trawą. Kyle zastanawiał się, czy nie zostaje z tyłu. Albo to, albo ich przewodnik

zapadał się coraz głębiej w błoto bądź też stawał się coraz niższy. Większa część szaty wlokła się za nim jak długi tren. To samo dotyczyło rękawów. Skradacz i Kyle popatrzyli niepewnie na siebie.

Ukryty pod luźnymi szatami człowiek, czy kim tam właściwie był, sięgał teraz młodzieńcowi zaledwie do pasa. Wędrowiec postawił kilka szybkich kroków, a potem skoczył, złapał mokrą tkaninę i pociągnął za nią. Szata spadła, odsłaniając niskie, kudłate, skrzydlate stworzenie podobne do małpy. Zgarbiona istota odwróciła się z gniewnym warknięciem.

Wszyscy zamarli w bezruchu, wytrzeszczając oczy.

Zaskoczony stworzenie wyprostowało się, wyrwało szatę Wędrowcowi, z niesamowitą wiernością naśladowując urażoną godność, a potem się oddaliło. Zdumiony szermierz odwrócił się ku towarzyszącom. Odchylił głowę, jakby błagał niebiosy o jakiś nieznaną dar – być może cierpliwość – a potem potarł kark i głęboko odetchnął.

– Przepraszam. To moja wina. Chodzi o stary spór między mną a tym, kto na nas czeka. Zawsze uważałem, że... traktuję siebie zbyt poważnie.

Stworzenie wylazło już na żwir i spróbowało się ubrać. Jego wysiłki szybko przerodziły się w walkę na śmierć i życie między nim a szatą. Istota miotała się wśród wilgotnych fałd, sycząc, wierzgając i piszcząc z wściekłości. Pojawiła się łysa, okrągła głowa oraz białe w tkaninę kły. Stworzenie zacisnęło owłosione dłonie na materiale, jakby dusiło szatę, a potem znowu zniknęło w wilgotnej masie. Wędrowiec po prostu je ominął. Pozostali podążyli za nim, strząsając tupaniem błoto z butów bądź sandałów. Kyle szedł na końcu. Gdy przechodził obok, istota uniosła głowę. W żółtych oczach osadzonych pod potężnymi wałami nadoczodołowymi błysnęła dezorientacja. Stworzenie ruszyło naprzód, wlokąc za sobą wystrzępionego przeciwnika.

Kyle wdrapał się na wygładzone erozją wzgórze i zobaczył równinę, usianą stromymi wzgórcami, czy może raczej czymś przypomi-

nającym wzgórze. Ich niemal pionowe zbocza nie sprawiały wrażenia naturalnych. Wędrowiec zmierzał w kierunku ciemnej plamy widocznej w oddali. Kyle nie potrafił ocenić dzielącego ich od niej dystansu. W tym tajemniczym miejscu wszystko wydawało się dziwnie zniekształcone. Podbiegł truchtem do Skradacza.

– Gdzie jesteśmy?

Zwiadowca poprawił wysadzaną ćwiekami kurtę i strząsnął błoto z sięgających kolan skórzanych mokasynów.

– To chyba Twierdza Cienia – odparł, krzywiąc się z niesmakiem.

– Twierdza Cienia? A co to takiego?

– Tak ją nazywają tam, skąd pochodzimy. U was mówią Grota Cienia albo Meanas, jak wolisz. Jej jest wszystko jedno.

Kyle zwolnił kroku. Cień. Obieżyświat, Przechera, Zwodziciel. Tej mocy należy unikać, a przynajmniej podchodzić do niej bardzo ostrożnie. Tak mówili szamani i czarnoksiężnicy z jego plemienia. A teraz znaleźli się w jej władzy. Towarzyszący im szermierz twierdził zaś, że zna osobiście jej pana i istnieje między nimi spór. Co prawda, do tej pory Kyle nie zauważył tu niczego szczególnie niebezpiecznego. To miejsce wydawało mu się raczej, no cóż, dezorganizowane i lekko szalone.

Stworzenie znowu wysunęło się na czoło. Zarzuciło sobie wystrzępioną szatę na ramiona i wypięło dumnie pierś, maszerując w nieco innym kierunku niż oni. Gdy tylko się zorientowało, że zostało samo, piszczało przeraźliwie i wracało biegiem na przód kolumny. Potem unosiło brodę i znowu ruszało w niewłaściwą stronę. Wszystkie te wyglupy odbywały się pod nosem Wędrowca, który udawał, że tego nie zauważa. Kyle spostrzegł jednak, że plecy mężczyzny robią się coraz sztywniejsze.

Wzgórze okazały się kopułami zbudowanymi z cyklopowych kamieni, starożytnymi i porośniętymi zielskiem. W niektórych pojawiły się już szczeliny albo zawały się całe ściany. Kamienne bloki walały się na równinie, jak rozrzucone jakąś potężną siłą.

W pewnej chwili pojawiła się nad nimi chmura ciemności, jakby niewidoczne słońce przesłoniło coś dodatkowego. Zaniepokojony młodzieniec zauważył cienie przemykające nad suchym, piaszczystym gruntem. Padały nawet na jego ręce i nogi. Wyglądało to, jakby ktoś kołysał wystrzępionymi szmatami między nim a słońcem. „Burza” cieni zniknęła równie nagle, jak się pojawiła. Najwyraźniej nikomu nic się nie stało. Kyle i Jan wymienili niepewne wzruszenia ramion, a potem ruszyli w dalszą drogę.

Ich cel okazał się kolejną kopułą. Była ona jednak większa od pozostałych, a jej ściany były bliższe pionu. Stworzenie dotarło do ciemnego otwartego wejścia i wbiegło do środka, nie oglądając się. Pozostawiło na progu błotnisty ślad. Wszyscy zatrzymali się zgodnie, nie odzywając się ani słowem. Wędrowiec odwrócił się do towarzyszy.

– Wejść tam. Nikt inny nie musi iść ze mną, ale nie mogę wam tego zabronić. To zależy od was.

– Wolę tu zostać, jeśli nie masz nic przeciwko temu – oznajmił Jan. Staruszek usiadł na kamiennym bloku.

– My też – poparł go Skradacz.

Weszka i Głusza skinęły głowami.

Wędrowiec spojrzał na Kyle'a.

– Czy to niebezpieczne? – zapytał młodzieniec.

– Niebezpieczne? Jeśli chodzi ci o to, czy nas zaatakują... to nie, nie sądzę.

– W porządku. Pójdę z tobą. W końcu i tak już tu jesteśmy, jeśli dobrze rozumiem sytuację.

Wędrowiec uniósł brwi. Chłopak wyraźnie mu zaimponował.

– Sądzę, że masz rację.

Ruszył w stronę wejścia. Kyle podążył za nim.

W tunelu było ciemno, chłodno i wilgotno. Przed nimi migotało światło pochodni. Weszli do głównej komory, okrągłej krypty o kopulastym zwieńczeniu, wypełnionej roztrzaskanymi, kamiennymi sarko-

fagami. Ich lokatorzy leżeli na podłodze z rozrzuconymi bezładnie kończynami. Stroje umarłych przerodziły się w suche, zakurzone strzępy, a czaszki szczyrzyły poźótkle zęby. Wędrowiec rozejrzał się, zaciskając pięści.

– Dość już tego! – Jego nagły wybuch wstrząsnął kamienną konstrukcją. Z góry posypał się kurz. – Czy to za twoją zasuszoną małą gębą szliśmy przez cały czas?

– Zasuszoną? – Jeden z cieni pod tylną ścianą ruszył ku nim. – Chciałbym cię zapewnić, że jestem bardzo dobrze zachowany.

– Dość już tych gierek... Ammanasie.

– Gierek? Dość już gierek? Cóż więc nam pozostanie? Wszystko jest grą.

– Ammanasie... – wychrypiał Wędrowiec.

– Och, jak sobie życzysz. – Ammanas poruszył rękami z półprzezroczystego cienia. Zarysy komory się zamazały, cienie poruszyły się nagle, pojawiła się długa komnata o kamiennych ścianach. Jej sufit z potężnych drewnianych belek ginął w półmroku. Na drugim końcu sali wznosił się wielki, kamienny kominek. – Tak lepiej?

Wędrowiec wzruszył ramionami.

– To kolejna fasada, ale może być. Gdzie Kotylion?

– Tutaj.

Cichy głos dobiegł zza pleców Kyle'a.

Chłopak odwrócił się i zobaczył stojącego w drzwiach mężczyznę. Przybysz nie wyróżniał się niczym szczególnym poza sznurem oplecionym wokół barku. Wędrowiec przywitał go płytkim ukłonem. Mężczyzna nadal się im przyglądał.

– A kto to jest? – zapytał Ammanas.

Chłopak z niepokojem zauważył, że postać zmierza ku niemu. W niematerialnej dłoni trzymała laseczkę. Gdy podeszła bliżej, zobaczył twarz starego, ciemnoskórego mężczyzny o ustach otoczonych licznymi zmarszczkami.

– Jestem Kyle – odparł słabym głosem.

Czy to mógł być sam Zwodziciel? Mężczyzna wydawał się mu niebezpieczny, ale zarazem dziwnie kruchy, niemal bezbronny.

– To mój towarzysz – wyjaśnił Wędrowiec.

– Po co tu przybyłeś?

Kyle nie miał pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie. Po co tu przybył? Z ciekawości? To raczej nie było zadowalające wyjaśnienie. Nie. Po prostu przyszedł tu za Wędrowcem. Wskazał szermierza.

– Towarzyszę Wędrowcowi.

– Ach, rozumiem. – Postać, niewiele więcej niż skupisko obłoczko-watych cieni, zwróciła się w stronę szermierza. – To bardzo cenna cecha. Przekonałem się, że jest niezwykle... użyteczna.

Wędrowiec prychnął lekceważąco.

– Nie uważaj się za właściciela tego, czego nigdy nie posiadałeś.

– To dyskusyjna kwestia.

– Nie przyszedłem tu z tobą dyskutować.

– W takim razie po co?

– Ty mnie tu sprowadziłeś!

– Tylko cię zaprosiłem. Nie musiałeś tu wchodzić.

– Nie musiałem... – Wędrowiec przerwał, wciskając pięść w usta. Odetchnął z trudem, a potem poruszył głową. – W ogóle się nie zmieniłeś. Nie mamy o czym rozmawiać. – Odwrócił się. – Chodź, Kyle. Przepraszam. To od samego początku był błąd.

Spojrzał na drugiego mężczyznę, Kotyliona. Ten zszedł mu z drogi z drwiącym uśmiechem na wąskich wargach.

– Zaczekaj! – zawołał za nim Ammanas. – Zaprzestaśmy kłótni. Wiesz, co ci proponuję.

Wędrowiec zatrzymał się i odwrócił, spoglądając na Ammanasa i Kotyliona.

– Nie wiem. Jeszcze nie przedstawiłeś swej propozycji.

Widmowa sylwetka opuściła ramiona w gęście irytacji.

– Och, doprawdy! Sądziłbym, że mój kudłaty posłaniec wyraził to wystarczająco jasno w swej elokwentnej pantomimie... nie masz szans osiągnąć celu, stary druhu. Przykro mi, ale tak wygląda prawda. –

Postać zatrzęsała się, chichocząc. – To był naprawdę natchniony pokaz. Można nawet rzec, symboliczny.

Kyle doszedł do wniosku, że nie powinien przebywać w tym miejscu. Niestety, Wędrowiec blokował wyjście. Chłopak uznał, że skoro już jest tu uwięziony, może się przynajmniej na coś przydać. Dotknął rękojęści tulwara i przekonał się, że oręż jest zaskakująco ciepły, prawie gorący. Cofnął rękę głęboko zaniepokojony.

– To jak brzmi twoja propozycja? – wychrypiał Wędrowiec.

– Moja propozycja?! – zawołał piskliwym głosikiem Ammanas. – Bogowie! Czy muszę ci wszystko tłumaczyć dosłownie?

– Obawiam się, że w twoim przypadku to konieczne.

Bóg – tak jest, to bóg zwodzicieli, powtórzył sobie chłopak – wyrzucił z siebie wiązaną syczących przekleństw, a potem wyprostował się na całą swą niewielką wysokość – był znacznie niższy od Kyle'a, który uchodził za przysadzistego – i zamachał laseczką w powietrzu, jakby walczył na miecze.

– Atakujesz cienie. Uganiaasz się za duchami. A ten, którego ścigasz, zawsze ci się wymyka... No cóż, ja wiem coś o cieniach i wymykaniu się. Mógłbym ci pomóc, stary druhu. Tu podpowiedz, tam wskazówka. Co ty na to?

– A za jaką cenę?

Bóg opuścił laseczkę z głośnym stukiem. Półprzezroczyste dłonie spoczęły na uchwycie w kształcie srebrnej głowy ogara.

– Pragnę tylko przysługi. To wszystko. Jednej małej przysługi.

Wędrowiec milczał przez dłuższy czas, nie spuszczać wzroku z migotliwej, przejrzystej sylwetki. Miecz Kyle'a zrobił się nieznośnie gorący. Chłopak odsunął go od ciała, luzując pas. Zamiast niepokoju czuł jednak zażenowanie. Jak śmiał zakłócać rozmowę – tak dalece wykraczającą poza jego pojmanie – skargami na broń?

- Zgodzę się, Ammanasie, ale pod pewnym warunkiem.

Widmowa sylwetka zgarbiła się, niemal wzdrygnęła.

- Warunkiem! O co chodzi z tymi warunkami?! Ja nie stawiam ci żadnych! Jeśli ktoś wskazuje palcem tego, kogo szukasz, nie może wspominać o warunkach!

- Wysłuchaj mnie. Nie daj się ponieść wiatrowi.

Kotylion wybuchnął ochryłym śmiechem. Widmowa sylwetka przeszyła go złowrogim spojrzeniem.

- O co chodzi?

- Mam dwie prośby.

- Dwie! Dwie!

- Wysłuchaj go - zażądał znużonym tonem Kotylion.

- Ja prowadzę te negocjacje.

- A więc tak to nazywasz?

Postać przesunęła się bliżej Kotyliona.

- Nie... - Ammanas potknął się nagle, choć wydawało się, że unosi się w powietrzu. - Co to? - Pomacał wkoło laseczką i uniósł na jej końcu strzępy podartych, wilgotnych szat. - Ależ naświnił! Spójrz! Ubłocił całą podłogę! I kto tu teraz posprząta? Gdzie on się podział? Obedrę szczura ze skóry. - Uniósł palec. - Chwileczkę! - Opuścił palec, wskazując Kyle'a. - Co ty robisz?

Chłopak odsunął się mimo woli.

- Nic. Nic! To tylko mój miecz. Coś...

- Kotylionie! Coś się wyłania!

Sznur zwinięty na ramieniu Kotyliona obudził się z sykiem do życia. Skoczył w stronę Kyle'a i owinał się wokół wiszącej u boku młodzieńca broni. Nagłe szarpnięcie i pas się zerwał. Tulwar padł na podłogę, a sznur oplótł się wokół szyi chłopaka. Wędrowiec poruszył się błyskawicznie, przecinając sznur na dwie części. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie: Kotylion wywijał skróconym kawałkiem sznura, a Wędrowiec unosił nad głową zwrócony sztychem do dołu miecz,

trzymając go w obu rękach. Kyle zerwał z szyi bezwładny już kawałek sznura i z wysiłkiem zaczerpnął tchu.

– Stać! – ryknął Ammanas.

O dziwo, obaj mężczyźni posłuchali Zwodziciela. Odsunęli się od siebie, zamierając w bojowych postawach. Ammanas wskazał palcem leżący na podłodze tulwar.

– Nieproszony gość.

Broń leżała zaplątana w pas Kyle'a. Ze skóry i drewna pochwy buchnął dym. Nagle ogarnęły je płomienie. Na kamieniach rozlało się stopione żelazo. Metal bulgotał z sykiem, para buchała z niego jak z gotującej się wody. Ostry odór zmusił chłopaka do zakrycia oczu i nosa. Nawet stojący obok Wędrowiec osłonił się ramieniem przed parą i dymem.

Gdy opary się rozproszyły, Kyle ujrzał wysoką, zgarbioną postać, stojącą tam, gdzie padł tulwar. Mężczyzna wyprostował się powoli, stając się coraz wyższy. Rozprostował długie ręce. Na plecy opadała mu biała skłębiona grzywa. Był bosy, miał na sobie luźne spodnie i długą, równie luźną koszulę.

Gdy przybysz się odwrócił, Kyle ze zdumieniem poznał arcymagusa z Ostrogi.

To on! Król Wiatrów!

Ujrawszy go z bliska, chłopak był również przekonany, że to mężczyzna, którego widział w snach.

Ammanas, Kotylion i Wędrowiec zwrócili się jednocześnie w stronę intruza. Kyle omal się nie roześmiał, widząc, jak kulą się trwożnie.

Na wszystko co święte! Kim jest ta istota?!

Ammanas w końcu podszedł bliżej, wspierając się na laseczce.

– Osscerc! Wtargnąłeś do moich posiadłości!

Ach, więc to on! Ojciec Niebo czczony przez jego lud. A jednak żyje! Ci trzej go znają. Czyżby był Ascendentem?

Na twarzy o grubych, niemal zwierzęcych rysach nie odbijała się świadomość, że ktokolwiek przemówił. Złote oczy istoty wpatrywały się chciwie w komnatę. Mięsiste wargi rozciągnęły się w uśmiechu satysfakcji.

– Po tak długim czasie... – mruknął po taliańsku, przemawiając z silnym akcentem.

– Musisz stąd odejść! Nie wolno ci tu przebywać!

Kyle poczuł w żołądku ucisk. Zauważył, że Kotylion i Wędrowiec, stojący po bokach Ammanasa, wymienili ostrożne spojrzenia. Droga do drzwi była wolna, lecz chłopak nie ruszał się z miejsca. Pragnął podejść do przybysza, ale nie śmiał się wtrącać. Z oddali dobiegło stłumione przez mury budynku, ruin, czy co to właściwie było, niskie, przeciągłe ujadanie ogarów. Ammanas wyprostował się, wspierając dłonie na rękojeści laseczki. Na jego ustach pojawił się pełen satysfakcji uśmiešek.

Osserc odwrócił się do wszystkich plecami. Rozpostarł ręce, dotykając nimi ścian.

– Tak, tak, widzę... – wydyszał bliskim czi tonem.

Sfrustrowany Ammanas wykrzywił niematerialną twarz. Uderzył laseczką w podłogę.

– Nie bądź głupi! Nie próbuj mnie prowokować!

– A ty nie bądź głupi i nie powtarzaj błędu, jaki niedawno popełniłeś z moim pobratymcem Anomanderem – warknął Osserc. – Ilu strażników straciłeś w starciu z nim, mała wrono cienia? Dwóch? Trzech?

Ammanas odsunął się, spoglądając na Kotyliona. Najwyraźniej wymienili ze sobą jakieś bezsłowne komunikaty. Sznur wił się w rękach tego drugiego, jakby był częścią jego myśli. Wędrowiec podszedł bliżej, unosząc miecz. Klinga lśniła tłustym, purpurowym blaskiem.

– Znam tę broń lepiej od ciebie – wyszeptał Osserc, nadal odwrócony plecami. – Nie mam do ciebie żadnego interesu, nuworyszu.

Wędrowiec odsunął się ostrożnie, spoglądając spod przymrużonych powiek.

Podłoga zadrżała, gdy rozległo się warknięcie. Kyle odwrócił się i zobaczył leżącego w wejściu ogara. Monstrualna bestia dorównywała wzrostem chłopakowi. Porastała ją brązowa, sparszywiała sierść, poprzecinana licznymi bliznami. Pysk, dłuższy od przedramion chłopaka, wsparła na wyciągniętych łapach. Ammanas podszedł bliżej i położył dłoń na jej łbie, szepcząc coś uspokajająco.

Ten żywy obraz zakłócił podobny do mały poseł. Stworzenie wyłoniło się z głębi budynku, pchając przed sobą mop. Wszyscy poza Osserkiem śledzili je wzrokiem. Z każdą chwilą stawało się coraz bardziej oczywiste, że zmierza w stronę olbrzyma. Po chwili mop uderzył o jego bosą stopę. Osserc nie ruszył się z miejsca, choć zacisnął splecione za plecami dłonie w geście mogącym świadczyć o irytacji. Istotka raz po raz szturchała mopem jego stopę, wykrzywiając ze złością twarzyczkę. Olbrzym spojrział w dół. Stworzenie zaczęło podskakiwać, machać rękami i tupać. Osserc westchnął i pozwolił mu przejść. Ruszyło przed siebie, pchając mop i mamrocząc coś pod nosem.

Ammanas wyprostował się. Na jego półprzezroczystej twarzy malowała się ulga.

- Dom nie czuje się zagrożony. Nie musimy się przejmować tym nieuprzejmym wtargnięciem. Możemy je ignorować jak natrętą muchę.

Osserc łypnął na Ammanasa, ale złość w jego spojrzeniu natychmiast przerodziła się w obojętność. Odwrócił wzrok w stronę Kyle'a. W jego oczach zawirował ogień. Rozciągnął wargi w czymś, co można by wspaniałomyślnie nazwać uśmiechem, i odsłonił sterczące z dolnej szczęki kły.

- Dobrze się spisałeś, synu stepów. Jestem twoim dłużnikiem.
- Ojczy Wiatrów - wyjąkał chłopak. - Nie miałem pojęcia...

- Tak właśnie miało być. Nie jestem też ojcem wiatrów ani waszego ludu. Wasi przodkowie przyjęli za swe totemy słońce, niebo i wiatr, ale wszystkie one świecą, krążą lub wieją bez mojej pomocy. Tak właśnie rodzą się tradycje. Możecie je kultywować lub nie, to zależy od was. Jestem ci winien miecz. - Skinął ręką i w jego dłoniach pojawiła się broń. - Przyjmij ten z wyrazami wdzięczności i będziemy kwita. Żegnaj.

Olbrzym odwrócił się i odszedł, znikając w mroku budynku. Kyle śledził go spojrzeniem jak zjawę.

- Tak jest, zmiataj! - zawołał za nim Ammanas. - Wy też sobie idźcie! Precz! Co to jest, jakaś zawszona gospoda? Czy ja urządzam przyjęcia?

Ogar zniknął, więc Kyle ruszył ku drzwiom. Za nimi znajdował się korytarz. Chłopak minął niszę z olbrzymią, zdobną zbroją z brązu i dotarł do drzwi, które otworzyły się przed nim. Omal się nie potknął, gdy obejrzawszy się, ujrzał ten sam stary grobowiec ulowy.

Jan i bracia Zagubieni siedzieli przed wejściem z bronią w rękach.

- Dzięki Mrocznemu Łowcy! - zawołał Skradacz. - Za tobą wpadł tam ogar wielkości konia.

- Wiem. Nie zaatakował nas.

- A co z Wędrowcem?

Zaskoczony młodzieniec obejrzał się.

- Powinien być ze mną...

Po chwili szermierz wrócił. Rozejrzał się z obawą na twarzy, ale zaraz się uspokoił.

- W porządku. Myślałem, że ogar...

- Zignorował nas - zapewnił Skradacz. - I co się stało? - zapytał, przenosząc spojrzenie z jednego na drugiego.

- Doszliśmy do porozumienia - odparł Wędrowiec. - Możecie odejść.

- A ty?! - zawołał Kyle.

Skradacz powtórzył to pytanie.

- Ja z wami nie pójdę.

- Na to się nie zgodziłem - sprzeciwił się Kyle, podnosząc głos.

- Nie martw się. Nie ma niebezpieczeństwa. Ani dla mnie, ani dla was.

- Nie ma? Ten człowiek, bóg, czy kim tam właściwie jest, to szaleńiec.

- To wrażenie towarzyszy mi już od dłuższego czasu, Kyle.

- A więc zostaniesz tu? Tak po prostu? - zapytał z niedowierzaniem zwiadowca.

- Tak.

- Mamy wrócić do łodzi? - zainteresował się Jan.

- Nie.

- Nie? A dlaczego?

- Już jej nie potrzebujecie. - Wędrowiec spojrział na horyzont i pochylił głowę, wskazując im kierunek. - Pójdźcie w tamtą stronę.

- A co... - zaczął Skradacz, ale nagle coś wypadło z wyjścia i wylądowało na piasku z mokrym plaśnięciem.

To była podarta, ubłocona szata.

Wszyscy wymienili spojrzenia.

- To pewnie znaczy, że powinniśmy już ruszać - stwierdził Weszka.

- Tak. Powinniście.

- Wędrowiec - błagał Kyle. - Nie...

- Tak będzie najlepiej. Narażam was na niebezpieczeństwo. Przyciągam niepotrzebnie uwagę.

Podszedł do Jana. Dwaj mężczyźni spoglądali sobie przez pewien czas w oczy. Żaden nie odwracał wzroku. Wreszcie szermierz zacerpniętą głęboko tchu i zmierzył starszka spojrzeniem od stóp do głów. Jan nie ruszał się z miejsca. Zaciskał mocno usta, jakby nie śmiał się odezwać. Po chwili Wędrowiec westchnął i skinął głową. Potem spojrział na młodzieńca i położył dłonie na jego ramionach.

- Żegnaj, Kyle. Przedstaw Gwardzistom swą obronę. Mam nadzieję, że okażą się ciebie godni.

Odsunął się od chłopaka.

- Proszę, chodź z nami!

Szermierz wyciągnął ostrożnie rękę, dotykając bursztynu wiszącego na szyi chłopaka.

- Miałeś rację, że to wzięłeś. Wiem jednak, że i tak zawsze będzie ci towarzyszył. Tak samo jak mnie. Żegnaj.

Odwrócił się, mrugając.

Kyle poczuł, że po policzkach spływają mu gorące łzy.

- Wędrowiec...

Mężczyzna napiął mięśnie barków.

- Tak musi się stać, Kyle. Przykro mi. - Spojrzał na braci. - Skradacz, Weszka, Głusza, to był dla mnie zaszczyt, że mogłem was poznać.

Wszyscy trzej pochylili głowy w geście pożegnania.

Wędrowiec wszedł do grobowca, garbiąc się w otworze, a potem zniknął w ciemności.

- Żegnaj, Kimestes! - zawołał ktoś nagle. - Życzę powodzenia!

Kyle odwrócił się. Wrócił ich przewodnik, mężczyzna w brudnej szacie. Na ich oczach wydmuchał nos w podarty rękaw. Chłopak obejrzał się na wejście. Rzecz jasna, zniknęło.

- Chodźcie, chodźcie! - zawołał mężczyzna. Jego ubłocone rękawy zwisały puste. - Chodźcie.

Ruszyli z niechęcią za nim. Kyle szedł ostatni. Oddalali się od ulowego grobowca, zmierzając w kierunku, który wyglądał tak samo jak każdy inny na piaszczystej równinie usianej starożytnymi grobami. Wysoko, na szarym niebie, latały stworzenia przypominające zgięte wpół cienie.

Rozdział VI

Za tym czynem stał ruch zwrócony niemal wyłącznie do wewnątrz i ku przeszłości. My, obcy, nie mamy prawa go osądzać. W końcu motywem było również szczere (choć możemy twierdzić, że wyrażone w błędny sposób) pragnienie poprawy perspektyw i warunków życia wickańskiego ludu. Pod tym względem musimy uznać ów ruch za autentyczny i z całą pewnością pozbawiony dwulicowości. Zwłaszcza gdy zestawimy go z uczynkiem, jaki stał się dzięki niemu możliwy.

Pierwsze wojny domowe, Historie ku czci Tallobanta

Otoczony członkami sztabu oraz osobistymi strażnikami Ullen stał obok Urka oraz dowódcy Żółtych Moranthów na szczycie niewielkiego wzgórza. Obok maszerowały kolumny taliańskiej i falarskiej piechoty. Na szczyt wjechał Toc, prowadzący około czterdziestu jeźdźców.

– Dobry dzień na bitwę! – zawołał do niego Ullen.

– Nie jest zbyt upalny – zgodził się Toc, kiwając głową.

Ullen spojrział na niebo. Tak jest, było zachmurzone, niewyklućzone jednak, że będzie padało. Ta perspektywa go nie cieszyła. Opuścili fort przed świtem i maszerowali przez cały ranek. Noc minęła stosunkowo spokojnie. Ryllandaras – jeśli to rzeczywiście był on – dwukrotnie próbował ataku, ale odpędziły go zwarte szyki Żółtych, wsparte dużą liczbą pocisków. Nad armią krążyły już stada mew, wron i kań. Ullen zastanawiał się, przez ile pokoleń musiały trwać wojny, by ptaki się nauczyły, co może zapowiadać podobny tłum mężczyzn i kobiet w zbrojach.

– Witaj, komendancie V'thell – pozdrowił Toc Morantha, zakutego w ciemnożółtą zbroję barwy ostatnich promieni zachodzącego słońca.

V'thell pochylił skrytą pod hełmem głowę.

- Widzę, że nadal nie lubisz dosiadać konia – powiedział Toc do Urka, uśmiechając się nostalgicznie.

Urko wzruszył ramionami pod ciężką, żelazną zbroją.

- To uspokaja żołnierzy. Nie lubią, gdy ich dowódca siedzi na koniu, a oni walczą na piechotę. Podejrzewają, że zechce uciec, gdy tylko zrobi się gorąco.

Sztabowcy Toca wymienili rozbawione spojrzenia. Wszyscy siedzieli na koniach. Kapitan Mech spojrział Ullenowi w oczy i mrugnął znacząco.

- Czyja to karetka? – zapytał Toc, wskazując podstawę łagodnego stoku, gdzie stał olbrzymi powóz, pomalowany w jaskrawe czerwono-zielone barwy.

Grupa stajennych próbowała poskromić sześć niesfornych koni zaprzęgowych.

Urko zatoczył oczyma.

- Bali. Ma mi towarzyszyć z tyłu, w centrum szyku. Będę dowodził oddwodami. Falarską konnicą oraz oddziałami falarskiej i taliańskiej piechoty. Choss jest już na południowym skrzydle. Tobie przypadnie północ. Gdzie są ci przekłęci Seti?

Toc spojrział na horyzont.

- Pojawiają się pierwsze grupki. Wkrótce tu będą.

- Lepiej, żebyś miał rację.

- A co z tą armią na południu? Z Kańczykami? – zapytał Toc.

- Rozwinęła szyki na południe od Mostu Pielgrzymów. Kańczycy nie mają ochoty zadzierać z Gwardią. Trudno mieć do nich pretensję.

Do Amarona dotarły informacje sugerujące, że chcą wesprzeć Gbur...

- Urko przerwał i po chwili poprawił się: - Cesarzową. Ale nie jest tego pewien. W każdej chwili mogą zdecydować, że warto to zrobić.

- Będziemy mieć ich na oku.

- Dobra.

- A co ze Strażą Pograniczną?

Urko odwrócił wzrok, zaciskając usta jeszcze mocniej.

– Wycofała się na zachód. W bezpieczne miejsce. Fatalnie. Mogłaby się nam przydać. Ale zważywszy wszystko razem, może tak będzie lepiej.

– Może.

V'thell pokłonił się głównodowodzącemu.

– Proszę o pozwolenie dołączenia do moich żołnierzy.

– Zgoda. Aha, V'thell... – Złoty Moranth odwrócił się. Urko uniósł pięść. – Jesteście młotem. Zmiażdżcie ich.

V'thell pokłonił się raz jeszcze.

– Zrobimy to.

– Chyba powinienem znaleźć któregoś atamana – odezwał się Toc.

Urko skinął głową i dowódca kawalerii oddalił się ze swym oddziałem.

– A co ze mną? – zapytał Ullen.

– Zostań tutaj. Jeśli wszystko strzeli piorun, będę musiał wleźć w sam środek. Chcę, żebyś w takim przypadku przejął tu dowództwo.

To przstraszyło Ullena, zdołał jednak ukryć niepokój.

Wleźć w sam środek? Nie jesteś już taki młody, dowódco.

– Tak jest.

Głównodowodzący wskazał karekę.

– A teraz pójdz do Bali i przekonaj się, co ma do powiedzenia.

Ukrycie uśmiechu okazało się trudniejsze.

– Tak jest.

* * *

Toc i jego oddział przeczesywali pofałdowane wzgórza położone na północny zachód od punktu zbornego. Gdy znaleźli się wyżej, zobaczyli na wschodzie tumany kurzu wzbijane przez armię Laseen. W południe, podpowiedział mu instynkt. Do tego czasu powinni

zakończyć manewrowanie. Gdzie się podzieli Złamana Noga i Ortal? Było niewyobrażalne, by mogli go zawieść, po wszystkich latach, które spędził wśród Seti, po tym, jak ścierał się z Kellanvedem, broniąc ich interesów. Nawet jego dzieci wychowywały się wśród nich: Ingen, Leese i mały Toc Młodszy.

Jeden z jeźdźców wskazał na północ, gdzie niebo przesłoniła wielka chmura, przypominająca zbliżającą się burzę pyłową. Wkrótce ujrzeli straż przednią jeźdźców zjeżdżających cwałem z szerokiego zbocza. Powiewały nad nimi proporce z białej sierści. Jeźdźcy mieli też peleryny z tego samego materiału.

To Imotan, nie atamani. Czyżby przejął całkowitą władzę?

Zaczekał, aż kolumna się zbliży. Prowadził ją chorąży, unoszący nad głową wysoki krzyż obwieszony białymi futrami oraz czymś, co wyglądało jak świeże zwierzęce czaszki. Widok upiornego sztandaru głęboko zaniepokoił Toca. Imotan jechał tuż za chorążym, otoczony strażą osobistą, której liczba wzrosła do około siedemdziesięciu mężczyzn i kobiet. Wszyscy byli zaprzysiężonymi czcicielami Białego Szakala. Imotan ściągnął wodze, zatrzymując się obok Toca, i przywitał go niemal ironicznym pochYLENIEM głowy.

– Cieszę się, że cię widzę, Tocu Starszy.

– Witaj, Imotan. Gdzie atamani? Musimy przedyskutować kwestię nadchodzącej bitwy.

– Przedyskutujesz ją ze mną. Wszyscy wojownicy podlegają mojej władzy.

Rozumiem. Na czym polegały polityczne rozgrywki toczone w ostatnich dniach w waszym obozie, szamanie? Zbyt długo byłem nieobecny.

– Proszę bardzo. Znajdźmy jakiś punkt obserwacyjny.

Imotan skinął głową do chorążego, który pochylał drzewce. Toc zauważył z niesmakiem, że z czaszek i futer makabrycznego sztandaru spływa krew, wsiąkająca w ubranie i włosy trzymającego go mężczyzny. Strażnicy Imotana zawyli z entuzjazmu. Po paru chwilach

w oddali odpowiedział im taki sam zew. Ziemią wstrząsnął potężny tętent kopyt. Na całej linii pagórkowatego horyzontu na północy pojawili się jeźdźcy. Toc gapił się na to ze zdumieniem. Serce zabiło mu gwałtownie. Nie spodziewał się tak licznej armii. Gdzie Imotan znalazł tylu ludzi? Najwyraźniej powrót ich dawnego wroga i totemicznego zwierzęcia, Ryllandarasa, dał szamanowi nieograniczone możliwości. Jego straż osobista ruszyła przodem. Toc i jego ludzie podążyli za nią.

* * *

Zwiadowcy Seti – małe grupki widziane przedtem przez Toca w oddali – skierowali kolumnę Imotana na wzgórze, z którego rozciągał się widok na zbierające się armie. Toc dał odpocząć nowemu wierzchowcowi, drobnemu, młodemu siwkowi, zatrzymując się obok wielkiego gniadosza szamana. Niebo nad szeroką, bardzo płytką niecką było całkowicie zachmurzone. Na południowym wschodzie rysowała się ledwie dostrzegalna plama barwy żółci i umbry, szczyt wysokiego wzniesienia, na którym zbudowano Wielkie Sanktuarium. Po całej nocy manewrowania obie siły zawarły niewypowiedzianą ugodę, wybierając miejsce starcia. Widzieli małe flagi, znaczące miejsca zbiórki poszczególnych oddziałów. Oddziały pierwszego rzutu obu armii formowały już szyki.

Harcownicy, o których Toc tak dużo słyszał, wlewali się z południa do niecki niczym potop.

Jest ich bardzo wielu. Skąd Laseen wzięła tylu ludzi? Musiała opróżnić wszystkie zaułki Unty i leżących po drodze miasteczek. Co więcej, wszyscy oni sprawiają wrażenie pełnych zapału.

Pośród tej bezkształtnej masy posuwały się naprzód proste kolumny.

Małazańska ciężka piechota. Te same siły, które w przeszłości wspierały jego lekką kawalerię i walczących teraz przeciwko niemu harcowników. Wyglądały przerażająco. A co to? Na przodzie powie-

wała chorągiew, berło podkreślone mieczem! Miecz Imperium! Zatem to prawda. Pięść, który dowodził kampanią w Siedmiu Miastach, jak się tam zwał, nosił teraz ten tytuł. Niech no tylko Urko to zobaczy! Owinie skurczybykowi jego własny miecz wokół szyi.

Oddziały Seti – zwiadowcy Imotana – wjechały do niecki i ostrzeliwały już harcówników z łuków i kusz. Ci odwdzięczali się im tym samym. Żałośnie nieliczna lekka piechota Chossa pędziła w tamtą stronę. Na zachodzie pojawiły się trzy oddzielne kolumny Złotych Moranthów, eskortowane przez szwadrony taliańskiej konnicy. Ruszyły w stronę centrum szyków nieprzyjaciela, gdzie powiewała chorągiew Miecza Imperium.

– Trzeba powstrzymać i odepchnąć hordę harcówników – oznajmił Imotanowi Toc. Szaman skinął głową, gładząc upstrzoną siwizną brodę. – Nasz wywiad mówi, że Laseen ma za mało kawalerii, by wam to umożliwić.

– Skoro tak twierdzisz. Jeśli to prawda, to dlaczego w ogóle tu jest?

Toc uniósł brwi.

– Zapewne powinienem ci odpowiedzieć, że nie ma wyboru. Musi stawić nam czoło. Gdyby tego nie zrobiła, równałoby się to przyznaniu do porażki. To raczej nie leży w jej naturze.

– Czy liczy na jakieś ukryte atuty, które zapewnią jej zwycięstwo? Co z Kańczykami?

Toc pokręcił głową.

– Nie wierzę, by przeszli na drugi brzeg. Mają zbyt wiele do stracenia i za mało do zyskania.

– Mogą zyskać bardzo wiele, jeśli zjawią się akurat na czas, by ją uratować...

– Imotan – rzekł Toc, wskazując pole bitwy. – Przyłączą się do nas, gdy tylko zacznie się zanosić na to, że Laseen przegra. Jeśli uda się jej zwyciężyć, jej władza stanie się absolutna. Przez całe pokolenie nikt nie będzie się mógł jej przeciwstawić.

Szaman Białych Szakali wzdrygnął się na te słowa, łypiąc spode łba na Toca.

- Na tym kontynencie jest coś więcej niż tylko Tali i Unta. - Spojrzał na swych strażników. - Zawiadomcie oddziały.

Wojownicy pokłonili się i odjechali.

- A co z najemnikami? - ciągnął. - Dlaczego do nas nie dołączyli? Czyżby Urko za mało im zaproponował?

Toc o mało się nie roześmiał, ale powstrzymał się w porę.

- Karmazynowi Gwardziści pragną zniszczenia imperium. To jest ich cel. Pewnie myślą: „Po co mamy przelewać krew, kiedy nasi przeciwnicy wytłuką się nawzajem?”.

- W takim razie dlaczego się ich nie pozbyliście?

- Zgodnie z oceną Chossa Gwardziści nie są poważnym zagrożeniem, mimo że mają Zaprzysiężonych. Jest przekonany, że ich siły są za małe.

- Oceną? - powtórzył Imotan. - Opieracie się na ocenach, gdy stawka jest tak wysoka?

Toc wzruszył ramionami.

- Każda bitwa jest ryzykiem. Podejmujemy decyzje i mamy nadzieję, że nie popełniliśmy poważnych błędów.

Szaman chrząknął, z niechęcią przyznając mu rację.

- A Laseen? Gdzie ona jest?

Toc spojrział na wschód.

- Jeszcze nie przybyła. Zapewne teraz przebywa na tyłach.

Imotan ryknął ochryłym śmiechem.

- Dlaczego nie miałbym tam wysłać swoich wojowników, by się od niej uwolnić?

- Dlatego, że zapewne pilnują jej wszystkie szpony i magowie kadrowi na kontynencie.

- Ach tak. - Szaman uśmiechnął się szyderczo. - Wasi sławetni magowie. Gdzie oni teraz są? Gdzie się podziali Tayschrenn, Loczek

i Nightchill? Po co w ogóle zbieramy żołnierzy, jeśli w dawnych czasach wasi magowie zamieniliby całą dolinę w gorejący koszmar?

Toc przesunął się w siodle, spoglądając z ukosa na szamana.

Jego myśli zmierzają w bardzo dziwnych kierunkach. Może to po prostu niepokój przed nadchodzącą bitwą?

– W dawnych czasach też formowaliśmy szyki, Imotan. Nawet gdy mieliśmy Tayschrenna. Magowie nie mogą utrzymać terytorium. W ostatecznym rozrachunku zawsze rozstrzygają zwykli żołnierze, piechociarze albo włócznicy. To oni wygrywają wojny.

– A ja sądzę, że jest inaczej. – Imotan zahaczył nogę o łęk siodła. – Uważam, że wy, Malazańczycy, głupio zmarnotrawiliście swoje talenty. Wypaliliście je albo wpędziliście w obłęd, próbując pochwycić więcej, niż mogliście utrzymać. – Spojrzał Tocowi prosto w oczy. – A teraz już nie macie nikogo, kto zasługiwałby na tę nazwę.

Toc nie odwrócił wzroku. Zmarszczył brwi. Nie był pewien, jak odpowiedzieć na te słowa, czy raczej prowokację. Czy mógł je podważyć? Do czego zmierzał Imotan?

Szaman wskazał pole bitwy.

– Ach. Coś się dzieje.

Toc spojrział w dół. Na polu bitwy zapanował totalny chaos. Harcownicy Laseen nie czekali, aż ciężka piechota ustawi się w formację. Ruszyli naprzód następującymi po sobie falami. Klękali i strzelali, a potem cofali się za kolejny szereg, który zajmował ich miejsce. Na Żółtych Moranthów spadał nieustanny grad pocisków. Wykazali się jednak zdumiewającą dyscypliną i ich formacje się nie rozsypały. Taliańskie i falarskie falangi na ich skrzydłach również sformowały już szyki. Toc spojrział na jednego ze swych oficerów.

– Wyślij wiadomość do Urka. Niech da sygnał do ataku! – Zwrócił się do Imotana: – To dziwne, że Laseen tak szybko wysłała harcowników w pole. Możliwe jednak, że nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia. Twoje oddziały powinny odzyskać panowanie nad polem bitwy. Jeśli łaska, Imotan.

Szaman skinął głową i odesłał kolejnego ze swych strażników.

Na dole oddziały Ligi gorączkowo wymieniały sygnały za pomocą flag.

Żłoci jak jeden mąż wyciągnęli ciężkie, zakrzywione miecze i ruszyli do natarcia. Najwyraźniej Urko wydał już rozkaz albo V'thell po prostu stracił cierpliwość. Falangi na obu skrzydłach również ruszyły naprzód, osłaniając Moranthów. Harcownicy się cofnęli. Na drugim końcu niecki pojawiły się wysokie imperialne chorągwie, sygnalizujące obecność Gburki. To znaczy Laseen, poprawił się Toc. Towarzyszyła jej kolumna untańskiej kawalerii. Nad jeźdźcami powiewały chorągwie wielu szlacheckich rodów. Po obu stronach kolumny maszerowały oddziały ciężkiej piechoty.

Do Toca podjechał taliański kurier. Jeździec ściągnął gwałtownie wodze.

- Głównodowodzący Urko pyta o rozmieszczenie Seti - wydyszał męczycyżna. Twarz miał zaczerwienioną z wysiłku.

Nie wątpię, że pyta, chociaż raczej nie w tych słowach.

- Za chwilę zaatakują nieregularne oddziały.

Jeździec zasalutował.

- Tak jest.

Zawrócił wierzchowca, wbił żelazne strzemię w jego boki i oddalił się cwałem.

Imotan spojrział w oczy Toca, a potem na wzgórze.

- Seti przybyli zgodnie z obietnicą, Tocu Starszy.

Na wszystkich wzniesieniach na północy stał długi, falujący szereg złożony z tysięcy lekkich lansjerów. Z ust nieregularnych untańskich żołnierzy wyrwał się chóralny jęk. Grad bełtów - chwilami tak gęsty, że ich chmury przesłaniały widok - osłabł, a po chwili zniknął zupełnie. Odsłonięci ludzie roili się niczym mrówki wokół trzech czworoboków piechoty, szukając schronienia w ich wnętrzu. Toc potrafił sobie

wyobrazić, jak się czują żołnierze zmuszeni do odpychania towarzyszy broni. Jednakże gdyby ich wpuścili, szyki utraciłyby spójność.

Niemniej jest ich bardzo wielu. Jeśli zdołają się przegrupować, podjąć walkę...

- A teraz, Toc - ciągnął Imotan, podnosząc głos. Uniósł rękę. - Dowiedz się, że Seti są wolnym ludem i mają swobodny wybór. Dlatego postanawiamy odejść!

Skinął na chorążego. Ten zatoczył krąg wysokim krzyżem, obwieszonym świeżo zdartymi białymi skórami oraz czaszkami zwierząt. Na nagą głowę Toca spadły kropelki krwi. Wzdrygnął się z niesmakiem.

Odejść? Jak to odejść?

Czekający na niskich wzgórzach Seti odwrócili się nagle jak jeden mąż i odjechali.

Toc wytrzeszczył oczy ze zdumienia, rozglądając się.

Co to ma znaczyć?

Odziani w białe futra strażnicy Imotana zajęli pozycje między Tokiem a szamanem, który również zawrócił konia.

Co to ma znaczyć?

- Zaczekaj, do cholery! Nie możesz tego zrobić!

Sięgnął po miecz. Około dwudziestu najbliższych strażników wyciągnęło broń. Oficerowie Toca położyli dłonie na rękojeściach. Toc cofnął ostrożnie rękę.

- Imotan! - ryknął do oddalającego się galopem szamana. - Popelniasz błąd! Możesz jeszcze ocalić honor! Imotan! Wysłuchaj mnie! Wysłuchaj...

- Powinniśmy zawiadomić Urka - odezwał się słabym głosem jeden z oficerów sztabowych.

- Jestem pewien, że świetnie to widzi - sprzeciwił się Mech.

Toc gapił się na uciekającego szamana.

- Wracajcie do Urka - rozkazał. - Będzie potrzebował konnicy.

Nikt nie ruszył się z miejsca. Wszyscy patrzyli na swego dowódcę. Toc spoglądał na nich kolejno. Jeden po drugim odwracali spojrzenia przed rozpaczą widoczną w jego oczach.

– Ruszajcie! Wszyscy! I powiedzcie mu... powiedzcie mu, że jest mi przykro, że w ostatecznym rozrachunku go zawiodłem.

Ponaglił konia kopniakiem i ruszył za szamanem Białych Szakali.

Oficerowie sztabowi i kurierzy przez chwilę spoglądali na siebie nawzajem z niepewnymi minami, aż wreszcie zawrócili wierzchowce i ruszyli z powrotem na równinę. Na wzgórzach został tylko jeden.

* * *

Przez kilkanaście mil Seti ignorowali samotnego jeźdźcę usiłującego przebić się przez eskortę. Głuchy łoskot bitwy już dawno został z tyłu. Strażnicy odpędzali go ze śmiechem lancami, jakby był tylko natarczywym psem.

W końcu Seti się zatrzymali – czy to pod wpływem niesmaku, czy dlatego, że tak daleko od pola bitwy poczuli się bezpiecznie. Przeszukali go i zabrali mu całą broń, w tym również sławny czarny łuk. Potem pozwolili mu minąć kordon i zaprowadzili, nadal siedzącego na koniu, przed oblicze Imotana. Szaman łypnął nań niecierpliwie.

– Pragniesz umrzeć, Malazańczyku? – warknął.

– Niegodnie postąpiłeś, Imotan – odparł ze spokojem Toc. – Napiętnowałeś Seti imieniem zdrajców. Ale...

– Niegodnie! – wrzasnął szaman. – To wy złamaliście obietnicę, Malazańczyku! Obiecaliście nam Heng! Odwróciliście się od danego słowa i teraz my odwracamy się od was.

Toc wiedział, że to nic nie da, uniósł jednak otwarte dłonie.

– Imotan, po tej bitwie będziemy mogli rzucić wszystkie siły przeciwko miastu...

– Za późno, Malazańczyku. – Szaman się zapluł. Zacisnął dłonie na wodzach. – To tylko kolejna czcza obietnica. Kolejne puste słowa. Za

późno! Wrócił do nas nasz starożytny patron! Po co mielibyśmy ginąć za was? – Przymrużył powieki zaropiałych, otoczonych bruzdami oczu, uśmiechając się z satysfakcją. – Takie sojusze nie są już nam potrzebne. Chcesz wypowiedzieć ostatnie słowa?

Toc nakazał sobie spokój.

Na marne. Wszystko poszło na marne.

– Ryllandaras nie zdoła zniszczyć Heng, Imotan. Nie zrobił tego przedtem i nie robi teraz.

– Przekonamy się.

Szaman skinął na swoich ludzi.

Dwie lance wbiły się w boki Toca, unosząc go z siodła. Potem się wycofały. Jego świat skurczył się do tunelu światła i porażającego bólu. Tylko niejasno zdawał sobie sprawę, że jeźdźcy oddalili się, zostawiając go skulonego w siodle.

Po chwili wierzchowiec poruszył się niespokojnie. Toc stracił równowagę i zwałił się na ziemię. Nawet nie poczuł uderzenia. Gapił się na niebo widoczne za żółtymi źdźbłami wyschniętej trawy, aż wreszcie jego pole widzenia przesłoniła mroczna sylwetka. Przybysz go posadził.

Toc poczuł mocne uderzenie w policzek. Zamrugał, spojrzął na przykucniętego przed nim mężczyznę i oblizał wargi.

– Ach, kapitan Mech. Dziękuję... ale chyba nie ma już dla mnie nadziei...

Oficer przyglądał mu się z uwagą. Świeża blizna na jego twarzy miała sinoczerwony kolor. Mech usiadł z westchnieniem, urwał źdźbło trawy i zaczął je gryźć. Toc uświadomił sobie prawdę. Na jego ustach pojawił się smętny uśmiezek.

– Ale... ty nie zamierzasz próbować.

– Nie zamierzam.

Toc zaśmiał się i zaraz potem rozkaślał. Poczuł na wargach ciepły płyn. Dotknął ust i przyjrzał się okrwawionym palcom.

– Ona cię przysłała, tak? Myślałem, że Szpon zinfiltrowano.

– Jestem niezależnym pracownikiem. Czasem załatwiam dla niej niedokończone sprawy. – Mech odwrócił wzrok, spoglądając na horyzont. – Z czasem zacząłem cię podziwiać – podjął. – Naprawdę. Chcę, byś wiedział, że jest mi przykro. – Przesunął się, siedząc, i spojrzął za siebie. – Prosiła, by ci powiedzieć, że jej też jest przykro. Dopóki trzymałeś się z daleka, była gotowa przymknąć oko. Ale to...

Potrząsnął głową, wyjął źdźbło z ust, przyjrzał mu się i odrzucił na bok.

– Sugeruję, byś teraz spróbował załatwić Urka – wydyszał Toc. – Będziesz musiał podejść naprawdę blisko...

– Opowiedz mi o Straży Pogranicznej. Kogo albo czego pilnuje?

Toc zwiesił głowę, spróbował nią pokręcić, ale nie był pewien, czy mu się udało. Przeorał palcami ziemię i uniósł do twarzy garść czarnej gleby zmieszanej z krwią.

– Cieszę się, że umieram tutaj – wybełkotał. – Cieszę. Słońce. Wiatr. Pięknie...

Mężczyzna wstał, otrzepując skórzany strój. Po chwili ziemia zadrżała od tętentu kopyt. Potem nastął spokój. Wiatr kołysał ciężką trawą. Brzęczały owady. Słońce grzało twarz Toca. Potem znowu coś się poruszyło. Nie miał pojęcia, ile minęło czasu. Każdy wdech był wiecznością bólu, z każdym wydechem płynęła krew. Przed Tokiem stanął ktoś inny – Seti odziany w skórzany strój i mokasyny. Mężczyzna przyjrzał się jego ranom, uniósł mu twarz, ale ranny widział tylko niewyraźną plamę. Seti zapytał go o coś, lecz Toc widział tylko złocisty blask słońca. Mężczyzna oddalił się; towarzyszyło mu wiele koni. Wróciła cisza prairii, która w rzeczywistości wcale nie była ciszą. Toc poczuł, że roztapia się w niej.

* * *

W pierwszej chwili Nait nie potrafił uwierzyć, że Seti się wycofują. Pomyślał, że to jakaś zmyłka, okrutna, podstępna sztuczka. Był przekonany, że są zgubieni, po chwili jednak przyłączył się do gromkiego ryku radości, jakim przywitano ucieczkę koczowników. Wysoka choraągiew, znacząca miejsce, w którym oddział Miecza Imperium wdał się w bój ze Złotymi Moranthami, zakolysała się zachęcająco. Nieustanny napór nieprzyjaciela zelżał. Przed Naitem harcownicy wyciągali radośnie ręce do żołnierzy ciężkiej piechoty, którzy jeszcze przed chwilą próbowali ich odpedzić płazami mieczy.

Nieregularne oddziały rozpierchły się nagle i Nait zobaczył zbliżającą się szybko falarską falangę. Z pewnością Falarczycy uznali, że to dla nich jedyna szansa rozbicia imperialnych oddziałów. Żelazne kolczugi inkrustowane brązem lśniły w blasku słońca. Falanga maszerowała równym krokiem. Żołnierze złączyli szerokie, grawerowane, obite skórą tarcze, unosząc nad nimi krótkie miecze. Spod kwadratowych falarskich hełmów przyglądały się im oczy – niektóre przymrużone, wypatrujące celów, inne zaś szeroko rozwarłe od żądzы krwi.

– Czekać! – ryczał starszy sierżant na prawo od Naita. – Czekać!

Nait uciekłby, gdyby tylko mógł. Nie po to się zaciągnął! Nie miał ochoty ginąć w jakiejś głupiej, bezsensownej bitwie! Drugi szereg naciskał jednak na niego z tyłu i nie mógł nawet unieść łokci. Pozostało mu jedynie patrzeć na zbliżających się nieprzyjaciół i czuć, jak ziemia trzęsie się pod ich stopami. Jego nozdrza atakował smród moczu i strachu bijący od otaczających go mężczyzn i kobiet, a być może również od niego. W ustach zaschło mu z przerażenia, a ręka zaciśnięta na uchwycie długiego, pojedynkowego miecza, który zdobył podczas ataku Gwardii na Untę, była całkowicie odrętwiała.

Linie piechoty zderzyły się ze sobą, tarcze gruchnęły o tarcze. Ścisnięty w tłoku Nait ledwie był w stanie zaczerpnąć tchu. Nie mógł nawet unieść miecza. Oba oddziały przepychały się bezlitośnie, próbując przejąć inicjatywę. Wzbijany przez walczących kurz oślepił Naita i zalepił mu gardło. Mężczyzna oddychał spazmatycznie. Żoł-

nierze krzyczeli z gniewu, bólu i paniki, ich głosy mieszały się ze szczękiem mieczy i stukiem tarcz, tworząc bezsensowny hałas przypominający ryk żadnej krwi bestii. Jego umysł powtarzał w kółko tę samą litanie:

„Nie ja, nie ja, nie ja. Nie ja!”.

Mężczyzna walczący przed nim padł po ciosie zadany w szyję. Tłum wypchnął Naita do przodu, choć kapral nie miał najmniejszej ochoty wchodzić w nowo powstałą lukę. W akcie wściekłej woli ocalenia życia wałnął tarczą w tarczę stojącego naprzeciwko Falarczyka, wyprowadził cięcie na jego oczy, a potem opuścił miecz, uderzając w udo poniżej tarczy. Mężczyzna osunął się na jedno kolano. Nait wałnął go w twarz umbem tarczy. Falarczyk stojący w drugim szeregu skoczył do ataku. Tarcza Naita odskoczyła do tyłu, uderzając go w twarz. Oszołomiony kapral ledwie zdołał odeprzeć atak. To było dla niego nauczką. Od tej chwili ograniczył się do upartej, ostrożnej obrony, wykorzystując dłuższy zasięg swego miecza, by trzymać przeciwników na dystans.

To, co działo się w odległości dwóch żołnierzy od niego, było mu zupełnie obojętne. Jego świat ograniczył się do nieprzyjaciela naprzeciwko oraz mężczyzny i kobiety po jego bokach. Przez krótkie chwile, gdy linia złożonych tarcz poruszała się płynnie, czuł się jak część czegoś znacznie większego niż on, a także znacznie potężniejszego, niemal wszechmocnego. To było najbardziej oszałamiające wrażenie w całym jego życiu. Nigdy by nie pomyślał, że na świecie może istnieć coś takiego. Niemal natychmiast uzależnił się od tego uczucia.

Nie miał pojęcia, ile minęło czasu. Czuł tylko zmęczenie, jakiego nigdy nawet sobie nie wyobrażał. Paniczne próby zachowania życia pozbawiły go sił, czerpał je jednak z jakiegoś miejsca ukrytego wewnątrz. Dzięki temu mógł unieść tarczę po raz kolejny, pchnąć mieczem i sparować cios. Gdyby tego nie zrobił, zginąłby. Oczy przesłoniła mu różowa mgiełka. W końcu jednak poczuł, że wokół zrobiło się luźniej. Falarczycy rozpięchli się, rzucili do ucieczki. Nad jego

głową przemknęła chmura ścigających ich beltów. Nait wzdrygnął się i zakoałsał, gdy kilka wbiło się w jego tarczę. Otworzył usta, by się poskarżyć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Na zasłane ciałami pole wybiegli mężczyźni i kobiety z Ochotniczej Obywatelskiej Milicji Untańskiej.

– W prawo! W prawo zwrot! – rozległ się ryk. Falanga wykonała rozkaz ze szczękiem zbroi. – Marsz!

Za biegającymi po polu harcownikami Nait widział tylko wysokie tarcze i hełmy Złoty Moranthów maszerujących nieśpiesznie ku nim. Potem pojawiła się imperialna piechota, wracająca truchtem z pierwszej linii. Towarzyszył jej szwadron konnicy. W jego środku powiewała wysoka chorągiew Miecza.

Pierwsza imperialna falanga pierzchła.

I teraz oddział Wyłam Zęba, z Naitem uwięzionym pomiędzy wojownikami, maszerował, by zamknąć lukę. Po skórze kaprała przebiegły ciarki.

– Stój!

Falanga znieruchomiła, uderzając stopami w ziemię jak jeden mąż.

– W lewo zwrot!

Odwrócili się.

– Zmiana!

Szyki się przesunęły. Nait nagle znalazł się trzy szeregi z tyłu. Z barków spadł mu straszliwy ciężar. Znowu mógł swobodnie oddychać. To wrażenie nie trwało jednak długo. Wiedział, że jeśli sprawy pójda źle, wkrótce znowu przyjdzie kolej na niego.

– Kapralu! Kapralu Nait!

Stojąca obok kobieta trąciła go łokciem.

– Ktoś chce coś od ciebie, Cykor.

Ktoś przepchnął się przez szeregi i szturchnął go w ramię. Nait odwrócił się, unosząc pięść. Kapitan Blacharz złapał go za rękę.

– Widzę, że nadal jesteś z nami – powiedział z podziwem w głosie. Nait spróbował coś powiedzieć, ale utrudniała mu to suchość w ustach.

– Hmm, tak, kapitanie.

Blacharz uniósł brwi.

– Teraz mnie tytułujesz? Zbierz swoich sabotażystów. Są tam zabici Moranthowie, a ci durni harcownicy zbierają pociski. Skonfiskuj wszystkie. Pociski są tylko dla sabotażystów! Szybko!

– Tak jest!

Nait zaczął przepchać się przez szeregi. Dotarł do flanki i opuścił falangę, zawieszając ciężką tarczę na plecach. Nagle poczuł się całkowicie odsłonięty, nagi. Szturchnął najbliższych stojących sabotażystów.

– Ruszajcie! Zbierajcie pociski! Cholerni harcownicy nie boją się Kaptura, przeszukujcie wszystkich.

Jego żołnierze zaszalutowali. Poderwał się zdziwiony.

Kurde, ależ to miłe wrażenie!

Otwarte pole bitwy wypełnił tłum przepychających się harcowników. Oddziały taliańskiej i falarskiej kawalerii pojawiały się bez ostrzeżenia, powalając dziesiątki nieregularnych żołnierzy, a potem zawracały, nim można było skupić na nich ostrzał. Liga miała jednak za mało konnicy. Gdy tylko jeźdźcy znikali, harcownicy odzyskiwali równowagę i znowu zaczęli napierać na ściany z tarcz Moranthów oraz Talian.

Nait pobiegł ze swą dziesięcioosobową drużyną w ślad za Złotymi Moranthami. Na północy falanga Ligi zakrzyknęła głośno, uderzając mieczami o tarcze z hukiem przypominającym łoskot gromu. Nait zatrzymał się i wyprostował. Ujrzał w tłumie harcowników imperialną piechotę uciekającą na północ. Falanga pięści D'Ebbina poszła w rozsypkę. Na drodze ocalałym żołnierzom Ligi stał tylko oddział Wyłam Zęba. Częścią jaźni Nait pragnął wrócić do bezpiecznej formacji, lecz jednocześnie cholernie się cieszył, że ją opuścił. Skinał na swoich ludzi, nakazując im podążać za sobą.

Ujrzał falarski szwadron ścigający uciekających w panice harcowników. Szable lśniły srebrno-czerwonym blaskiem. Dowodził gruby brodaty mężczyzna na wielkim jabłkowitym rumaku. Sterczące z jego łuskowej zbroi bełty wyglądały jak dekoracja. Ludzie Naita przykucnęli, czekając, aż jeźdźcy ich miną. Potem ruszyli w dalszą drogę. Dotarli do śladu z ciał poległych Żółtych Moranthów. Nait przykucnął przy pierwszym trupie naszpikowanym licznymi bełtami. Wszystko, co nie było do niego przytwierdzone, zabrali harcownicy. Ktoś próbował nawet zerwać z ramion chitynową zbroję, ale złote płyty wyglądały na przyszyte. Żołnierka z jego drużyny, Maja, zawołała Naita, wymachując rękami. Podbiegł do niej. Klęcząca kobieta trzymała w rękach drewniane pudełko podzielone na przedziały. Było puste. Kapral odrzucił je na bok.

Przekłęci przez Kaptura durnie! Wysadzą się w powietrze!

– Ruszajmy, zanim potną nas na plasterki.

– Tak jest.

Poprowadził ich z powrotem, kierując się ku flance oddziału Wyłam Zęba. Jeden z żołnierzy, Nagład – tak się chyba nazywał? – zawołał go, wskazując z przerażeniem na zachód. Za zasłoną harcowników Nait ujrzał zbliżające się szeregi żołnierzy w niebiesko-zielonych barwach. Maszerowali ku nim, unosząc tarcze. Ich szyki ciągnęły się daleko na północ i południe. Niech to szlag! Odwody Ligi ruszyły do szturm! Zmiotą imperialną lekką piechotę!

– Co zrobimy? – zapytał Nagład, wycierając zasmarkany nos.

– Skąd, na Otchłań... – Nait powstrzymał się, przeklinając pod nosem. – Znajdźmy kogoś, kto dowodzi tym bałaganem. Szybko!

Ruszyli truchtem, pochylając się nisko. Po chwili wpadli do płytkiego zagłębienia terenu, gdzie skryła się grupka harcowników. Wszyscy skupili się w krąg, u ich boków zwiisały kusze. Nait podbiegł do nich.

– Czy je się rozbija? – pytał ktoś w grupie.

– Spróbuj.

- Nie, ty spróbuj.

Trzewia Naita wypełnił lodowaty strach. Kapral przyśpieszył kroku.

- Kto tu dowodzi?

Zwróciły się ku niemu nieprzyjazne, uśmiechnięte drwiąco twarze.

- A kto pyta?

- Ja!

- To znaczy kto?

- To kapral Cykor! - wrzasnął Nagład, unosząc palec w ostrzegawczym geście.

Odpowiedziała mu cisza. Po chwili harcownicy ryknęły głośnym śmiechem.

- Kapral Cykor! A to dobre!

Nait zwiesił głowę. Bogowie, Nagład...

- Dobra, dobra, posłuchajcie, zaraz wysadzicie się wszyscy w powietrze. Co gorsza, mnie również. Ja umiem się nimi posługiwać, więc oddajcie je...

- Spływaj!

Tłum rozproszył się nagle. Mężczyźni i kobiety uciekali we wszystkie strony.

- Cholera, stójcie!

Nikt się nie zatrzymał. Po chwili została tylko czwórka najmłodszych harcowników. Mieli proste skórzane czapeczki i brygantyny z miękkiej skóry, wyszywane ćwiekami oraz pierścieniami. Twarze trojga znaczyły pryszcze i ślady po francy. Wszyscy przyglądali się mu podejrzliwie.

- Jesteś prawdziwym saperem?

- Ehe, chłopcze.

- Pokażesz nam, jak się nimi posługiwać?

- Jasne.

Wymienili spojrzenia.

– Dobra, ale pozwolisz nam nimi rzucić!

Z heroicznym wysiłkiem Nait stłumił pragnienie złapania szczeniaków za kostki i potrząśnięcia, aż wylecą z nich wszystkie pociski.

– Jasne, chłopcze. Pozwolę.

Skinął na swoich ludzi, nakazując im podejść do krawędzi zagłębienia. Ukłękli, by przyjrzeć się temu uważniej. Dzieciaki naciągnęły kusze. Najmniejszy z nich położył się na ziemi, pchając dźwignię obiema nogami, aż wreszcie się udało. Nait był zdumiony i przerażony.

Zrobił to równie szybko, jak prawdziwy żołnierz. Szalone, odważne dzieciaki. Tego właśnie mi potrzeba.

Imperialni harcownicy toczyli płynną, ruchomą walkę na dwa fronty. Z zachodu zbliżała się linia piechoty Ligi i nieregularne oddziały cofały się przed nią stopniowo. Była bardzo długa i luźna, ale głęboka tylko na trzech żołnierzy. Tarczownicy posuwali się naprzód, osłaniając łuczników i kuszników. Dawała się odczuć przewaga ich dyscypliny. Żołnierze imperialni po prostu się cofali, nie próbując stawiać zorganizowanego oporu. Pozostałości konnicy Ligi krążyły przed posuwającą się naprzód linią, rozpędzając skupiska żołnierzy nieprzyjaciela.

Na wschodzie czekała zwarta ściana oddziałów Ligi połączonych ze Żłotymi Moranthami. Nait widział, że harcownicy zbierają się niebezpiecznie blisko nich. Oddział Wylam Zęba z pewnością poniósł straszliwe straty, powstrzymując ten napór, nadal jednak się trzymał. Nadchodziły już posiłki – falanga odwodów dowodzona przez wielką pięść Ananda. Towarzyszyła jej chorągiew Miecza.

Rewelacja! Krzyżuje szyki kolejnemu oddziałowi.

Nait skinął na swoich ludzi.

Pochylili się nisko i ruszyli, klucząc w tłumie harcówników. Bełty przemykały nad nimi jak rozgniewane owady, tak blisko, że Nait raz czy dwa miał ochotę zawrócić i ruszyć w pościg za winnymi, ci jednak rozpraszali się, gdy tylko zwracał się ku nim, doszedł więc do wnio-

sku, że to beznadziejne. Podprowadził swoich ludzi tak blisko ściany tarcz Złotych, jak tylko się odważył. Wszędzie wokół harcownicy kłękali, ładowali i strzelali. Świst przeszywających powietrze bełtów nie milkł ani na chwilę. Minęli wiele ciał harcowników z bełtami sterczącymi z pleców. Bratobójczy ostrzał był dla nich ryzykiem zawodowym. Od czasu do czasu harcownicy odważali się podejść bliżej, ale odpędzały ich fale rzuconych przez Moranthów oszczepów. Krzyki i szczęk broni, dobiegające z miejsca, gdzie starły się dwie falangi ciężkiej piechoty, był ogluszający. Nait pochylał się jeszcze niżej i przywołał skinieniem swoją drużynę.

– Dobra! – zawołał. – Chcę, żebyście wypatrzyli Złotego, który coś niesie na plecach albo u boku. Powinno być mniej więcej takich rozmiarów... – zademonstrował to gestem – ...skrzyńka albo paczka.

* * *

Stojącego na szczycie niewielkiego wzniesienia górującego nad polem bitwy Ullena dopadły mdłości. Horda harcowników dziesiątkowała ich siły. Wkrótce wszystkie pododdziały pójdą w rozsypkę. Jeśli Złoci Moranthowie i ciężka piechota taliańska zdołają się przedrzeć, zmusić cesarzową do odwrotu, może będą mieli szansę wynegocjować korzystne warunki. W przeciwnym razie wkrótce zabraknie im ludzi. Życzył Urkowi szczęścia z jego linią ataku. Bogowie! Linia! Sformował linię, gdy imperialna konnica nadal była w odwodzie. To jednak było wszystko, co im zostało. Spojrzał na jednego z kurierów, którzy czekali razem z jego sztabowcami obok pokracznej karety Bali. Ku wielkiej irytacji kobiety z powozu wyprężono wszystkie konie.

– Są jakieś wieści o Tocu? – zapytał.

– Żadnych. Najwyraźniej pojechał za Seti. Od tej pory go nie widziano.

Biedny Toc. Zapewne zabili go ze wstydu. Ullen popatrzył na pole. Trudno było to ocenić – pyl wzbity przez walczących zasłaniał widok –

ale wyglądało na to, że harcownicy wreszcie zbili się w grupę. Chciał już poprosić Bałę o wysłanie wiadomości do V'thella, gdy jego uwagę przyciągnęły imperialne proporce i chorągwie na drugim końcu pola. Nieprzyjacielska konnica ruszyła do ataku. Wielu jeźdźców walczyło pod znakami swych szlacheckich rodów. Dwa skrzydła oddaliły się galopem od tyłów, nad którymi powiewała wysoka, pozioma szara chorągiew z cesarskim berłem. Jeźdźcy okrążali pole bitwy od północy i południa. Było ich jednak niewiele. Bardzo niewiele. Według jego oceny w sumie niespełna tysiąc. Przeniósł spojrzenie na wątlą linię żołnierzy Urka. Groźba, którą chcieli sprowokować, wreszcie się zmaterializowała. Nagle nasunęła mu się myśl, że być może czekali za długo.

– Bala! Bala!

– Nie wrzeszcz! Jestem tutaj! – dobiegł z karety wzgardliwy głos.

– Powiedz V'thellowi, że już czas zacząć.

– Tak, tak!

Wzdrygnął się, ujrawszy nagły rozbłysk na polu bitwy. Potem nadeszła eksplozja. W górę pomknęły ziemia i ciała, przelatujące wysoko nad formacją Złotych. Zakuci w zbroje żołnierze koziołkowali w powietrzu, a potem spadali na ziemię. Dotarł do niego głuchy łoskot wybuchu.

Kapture, broń nas! Czy to było szczęśliwe trafienie z kuszy? Któż mógłby to wiedzieć? Omal się nie roześmiał. Jego rozkaz zapewne utracił już znaczenie. Pocisków Moranthów użyto. V'thell zapewne weźmie teraz sprawy we własne ręce. Zaniepokojony zerknął z ukosa na pole bitwy, krzywiąc się. Zaraz nadejdzie burza ognia. Zauważył szczyt wzniesienia na południu, lśniący złotym blaskiem w promieniach późnopopołudniowego słońca. Gwardziści! Co teraz zrobią? Jeśli Laseen zwycięży, to czy rzucą przeciwko niej swe siły, korzystając z jej osłabienia? Co jednak mogliby w ten sposób osiągnąć? Tron z pewnością zagarnie ktoś inny. A co, jeśli Urko i Choss zdołają zwy-

ciężyc w panującym na dole chaosie? Czy Gwardia po prostu odejdzie, uznawszy, że warunki Ślubów zostały spełnione?

– Wyczuwasz coś ze strony Gwardii? – zapytał Bałę.

– Ach! Być może jednak nie jesteś głupcem, mały Ullenie. Gwardziści jeszcze nie rozwinęli szyków. Ale obserwują wydarzenia. I czekają na właściwy moment.

Też mi sojuszniczka!

* * *

Po chwili od strony tyłów przybył jeździec. Zatrzymał się, ściągając gwałtownie wodze.

– Z tyłu zbliżają się Seti, komendancie – wydyszał. – Długa kolumna.

Oficerowie sztabowi i strażnicy osobiści Ullena przegrupowali się, wyciągając miecze. Po chwili pojawiło się pięciu pędzących cwałem jeźdźców Seti. Ulleni uniósł rękę i ścisnął konia kolanami, wyjeżdżając naprzód. Dowódca Seti był potężnym jak byk mężczyzną w warstwowej, pierścieniowej zbroi. Na plecach miał około dwudziestu lanc i oszczepów oraz dwa skrzyżowane topory o długich trzonkach. Na głowę włożył hełm z brązu, a jego naznaczona bliznami, ogorzała od słońca i wiatru twarz wyglądała zaskakująco staro.

Ulleni pochylił głowę.

– Ty jesteś Dzikus z Równin? – zapytał pod wpływem podszeptu intuicji.

– Tak. Przybywam oferować wam rekompensatę za zdradę swych rodaków, Malazańczyku.

– To znaczy?

– Staniemy do walki z imperialną konnicą. Tylko z konnicą, jasne? Co ty na to?

To była niespodziewana oferta, odpowiedź na jego desperację. Obraz zamazał się Ullenowi przed oczami. Ścisnęło go w gardle tak mocno, że nie był w stanie nic powiedzieć.

Dzięki kapryśnym, roześmianym bogom!

- I co? Gadaj, do cholery!

Ullen zaczerpnął z wysiłkiem tchu.

- Tak, tak, oczywiście. Zjawiliście się w samą porę.

- Masz cholerną rację. Uważnie przyglądaliśmy się sytuacji.

Mężczyzna wyprostował się w siodle, uniósł rękę, dając znak swym ludziom, i ruszył. Odpowiedział mu chóralny krzyk, a potem tętent setek koni. Seti przemknęli obok, wrzeszcząc i śpiewając. Wszyscy unosili lance. Ullen nie widział u większości z nich żadnych zwierzęcych fetyszów, choć niektórzy mieli futra wilków, lwów równinnych albo fretek, bądź też kosmyki sierści tych zwierząt, przytroczone do lanc lub noszone na plecach.

Jestem ci wdzięczny, kimkolwiek jesteś. I cieszę się, że jakiś spór z dawnych czasów skłonił cię do przyjścia nam z pomocą.

* * *

Wybuch, który nastąpił, gdy jego dzieciaki rzuciły swe przebijacze w Złotego Morantha dźwigającego skrzynkę z pociskami, po stokroć przekroczył oczekiwania Naita. Wstrząs odrzucił całą drużynę do tyłu, mimo że leżała na ziemi. Z nieba posypał się obfity deszcz ziemi, żwiru, fragmentów ekwipunku oraz wilgotnych obiektów, o których wolał nie myśleć. Gdy echa eksplozji wybrzmiały, Nait usiadł i uderzył się w ucho, próbując odzyskać słuch. Bitwa ustała na chwilę. Wszystkich żołnierzy przeszył dreszcz, gdy uświadomili sobie, że starcie przybrało nowy, straszliwie niebezpieczny obrót. Ludzie Naita wstali i zaczęli podskakiwać w bezgłośnie, dziecinnej radości. Kapral zauważył, że wokół kręgu zabitych Złotych Moranthów hełmy zwracają się

w ich stronę. Zamachał rozpaczliwie rękami, nakazując odwrót. Drużyna ruszyła do tyłu. Odprowadzał ją grad oszczepów.

Przepchnęli się między harcownikami, którzy zatrzymywali ich, pytając, jak to zrobili i czy oni też mogą dostać coś takiego. Nagład, wysuwając potężny podbródek, mówił im, że kapral Cykor właśnie wysadził w powietrze połowę Żółtych Moranthów i mogą liczyć na powtórkę. Nait poklepał go po ramieniu.

– Zamkniesz się wreszcie? – Spojrzał na chłopaków. – Ile jeszcze macie?

Miny im zrzedły. Popatrzyli po sobie z ukosa.

– Nie wiem. Ile mamy? – zapytał jeden drugiego.

– A ile ty masz? – odpowiedział pytany.

Bogowie, już są sabotażystami.

– W porządku! W porządku. Połóżcie to, co wam zostało, na mojej tarczy. Dobra?

Wszyscy uklękli, łypiąc na siebie ponuro. Nait zdjął tarczę z pleców. Wetknęli z niechętnymi minami ręce do kieszeni i toreb. Rozmiary ich skarbca ujawniały się powoli, sztuka po sztuce. Kapral był podekscytowany i jednocześnie przerażony.

Chłopaku, odwróć twarz! Osiem przebijaczy, dwa stapiacze i cały zestaw zadymiaczy! I... na Łaskawość Pani!

Dotknął ostrożnie ciemnozłotej jaja.

Wstrząsacz. Ruszają do boju ze wstrząsaczami. A więc już do tego doszło.

Podbiegła do nich grupka harcowników. Wszyscy pochylili się nad pociskami, unosząc wysoko kusze. Chłopaki Naita nakryli ciałami swe skarby.

– Hej! – zawołał jeden z nowo przybyłych. – Czy to wasza robota? My też trochę mamy. Pokażcie nam, jak to się robi.

Nait przywołał ich gestem.

– To był wyjątkowy traf. Drugi raz czegoś takiego nie zobaczymy.

– Jesteś Cykor?

Nait uniósł zaciśnięte pięści, jakby chciał złapać mężczyznę za koszulę. Potem opuścił je z rezygnacją.

– Ehe. To ja.

– Świetnie. Też chcemy parę dostać.

– Dobra...

Za plecami młodzieńca, znad ściany tarcz Złotych posypała się fala ciemnych przedmiotów, spadających na szeregi harcowników. Serce Naita zamarało.

– Padnij! – zawołał i rzucił się na leżące na pociskach dzieciaki.

Na całym polu rozległo się staccato ostrych wybuchów. Harcownicy krzyczeli przeraźliwie, gdy ich zbite szeregi przesywały ostre odłamki wbudowane w przebijacze Moranthów.

– Odwrót! – wrzasnął Nait. – Odwrót!

Podniósł tarczę na spółkę z dzieciakami i razem rzucili się do ucieczki. Nie zdołali jednak umknąć daleko. Po chwili wpadli na harcowników strzelających do zbliżającej się piechoty Ligi. Za ich plecami pociski Złotych szerzyły spustoszenie. Powietrze przesywał huk kolejnych wybuchów. Nad polem bitwy unosiły się białe i czarne kłęby dymu. Z miejsca, w którym stał Nait, wydawało się, że harcownicy znajdujący się między dwiema liniami wkrótce zostaną wycięci w pień, a jeśli ktoś szybko czegoś nie zrobi, ich grupkę czeka taki sam los.

Skinął na dzieciaki, rozkazując im podnieść pociski, a potem dzwignął tarczę i spojrzał na swoją drużynę.

– Musimy rozbić tę linię piechoty albo zginiemy! – Wskazał młodych untan. – Rzucajcie na mój rozkaz! A potem rzucajcie znowu, we wszystkich cholernych Talian, którzy spróbują zatkać lukę. Jasne?

Pokiwali głowami. Na ich bladych, spoconych twarzach malowało się przerażenie.

– W porządku! – Wyciągnął miecz. – Za mną!

Nait pobiegł w stronę linii piechoty. Gdy tylko doszedł do wniosku, że są wystarczająco blisko, zawołał:

– Rzut!

Wszyscy rzucili.

– Padnij! – rozkazał kapral i klęknął za tarczą.

Po chwili odłamki przebijaczy wbiły się w nią z głośnym trzaskiem. Nait wyprostował się pośród obłoków dymu.

– Szarża! – ryknął i popędził naprzód. Modlił się do Trake'a, by w zasięgu słuchu było wystarczająco wielu głupich, szaleńczo odważnych ludzi, którzy go posłuchają.

Nagle ujrzał w kłębach dymu taliańskiego piechociarza, trzymającego się za złamaną rękę. Walnął go tarczą w uszkodzoną kończynę. Mężczyzna krzyknął z bólu i Nait przeszył go mieczem. Drugi Talianin stojący nieopodal trzymał jeszcze resztki tarczy. Kapral spróbował odepchnąć go do tyłu. Choć barczysty żołnierz z pewnością był ogłuszony wybuchami, nie cofnął się nawet o włos. Uniósł miecz i zaczęli wymieniać ciosy. Z ziemi podniosło się trzech kolejnych Talian i Nait uświadomił sobie, że ma poważne kłopoty. Nad jego ramionami i obok łokci przemknęły bełty, zaczepiając o opończę. Jeden drasnął go w rękę, a drugi w nogę. Talianie stęknęli, unosząc tarcze. Nagład i pozostali wpadli na nich na pełnej prędkości, odrzucając ich do tyłu. Błysnęły długie noże. Nait przeszedł nad wijącymi się na ziemi przeciwnikami i zderzył się tarczami z kolejnym taliańskim ciężkim piechociarzem, próbującym zatkać lukę. Krótki miecz uderzył kaprala w bok, ale zahaczył o brygantynę. Uderzenie wypchnęło mu powietrze z płuc. Kapral zgiął się wpół i cofnął o krok. Miecz odbił się od jego hełmu. Znowu posypał się grad bełtów. Ich świst wypełnił mu uszy. Coś walnęło w grzbiet jego zakutej w pancerną rękawicę dłoni. Miecz wysunął się mu z ręki. Talianin zdzielił go tarczą. Nait zatoczył się do tyłu. Potem obu ich załała horda harcowników. Talianin padł na ziemię pod ciosami mieczy. Fala lekkiej piechoty pomknęła dalej. Nait zatrzymał się, wciągając haust dławiącego, przesyconego dymem

powietrza. Przebili się. Wsparł się na tarczy. Nogi się pod nim ugięły. Usiadł ciężko na zdeptanej, tłącej się trawie.

Nie po to się zaciągałem. Z całą pewnością nie po to.

* * *

Przerażony Ullen przyglądał się, jak imperialna lekka piechota stopniowo pochłania kolejne odcinki szturmowej linii wojsk Ligi. Nawet kolumna Seti, walcząca z cięższą imperialną kawalerią, nie mogła powstrzymać rzezi. Falangi Złotych i Talian posuwały się naprzód, wspierane gradem pocisków, ale duży klin wojsk Laseen nadal się trzymał. Powiewała nad nim chorągiew Miecza. Żadna ze stron nie była w stanie zrobić nic więcej. Wprowadzono do walki wszystkie odwody. Wkrótce lekka piechota będzie mogła wznowić ostrzał z kusz. Na imperialną falangę walczącą ze Złotymi oraz otaczających ją nieregularnych żołnierzy posypała się kolejna seria pocisków. Imperialne oddziały nie zamierzały się rozpierzchnąć. Ullen podziwiał ich natchnioną nieustępliwość.

Po kilku kolejnych atakach Seti przegnali imperialną konnicę z pola bitwy. Pod ciosami ich dowódcy padło wiele barwnych proporców należących do untańskich rodów. Dzikus odłączył od kolumny w towarzystwie małej eskorty i podjechał do Ullena. Ściągnął wodze. Wierzchowiec tupał nerwowo. Po jego ciele ściekały krew i piana. Jeździec stracił wszystkie lance i oszczepy, a także jeden z toporów. Być może go złamał. Rozdarta na biodrach zbroja błyszczała w miejscach, gdzie ciosy zarysowały żelazo. Hełm zniknął, a po szyi spływała krew. Pociemniały od niej również pancerne rękawice. Mężczyzna ignorował jednak rany, które obezwładniłyby innego wojownika.

- Dziękuję! - zawołał do niego Ullen. - Choć nie sądzę, by to wystarczyło.

Seti otarł twarz zmiętą opończę i wskazał pole bitwy.

- Nie wystarczy. Powiedzmy tylko, że spłaciliśmy stary dług. - Spojrzał na Ullena z twardym wyrazem w oczach. - Co zamierzasz zrobić? Czy skapitulujesz? Ludzie giną niepotrzebnie.

Ullen kiwał głową. Tak, zostało mu tylko to, choć nie potrafił przyznać tego na głos. Skinął na kuriera i przelknął ślinę, by pokonać ucisk w gardle.

- Daj sygnał do kapitulacji.

Kurier spojrzął na pozostałych oficerów sztabu. Żaden z nich się nie odzywał. Jego twarz poszarzała chorobliwie, skinął jednak głową i popędził wierzchowca kolanami.

Dzikus ukłonił się płytko Ullenowi. Nie mógł go nie podziwiać za podjęcie tak trudnej decyzji. Potem zawrócił konia i zjechał na pole bitwy.

- Bala! - zawołał ze złością Ullen.

- Tak, tak - odpowiedziała równie poirytowana kobieta. - Jestem tu. Myślałeś, że już uciekłam?

- Nie myślałem, oczywiście. Wyślij do Urka, Chossa i V'thella wiadomość, że się poddajemy.

- Czy mam zawiadomić wielkiego maga imperialnego?

Ullen poczuł nagły ucisk w żołądku.

- Kogo?

- Obserwowała przebieg bitwy. Gdybym włączyła się do walki, zaatakowałaby. I choć nie uważam, by zasługiwała na ten tytuł, jej atak z pewnością wyeliminowałby ciebie i twoich ludzi.

- Serdecznie ci dziękuję, Bala - wychrypiął Ullen. Czekał na odpowiedź, ale jej nie usłyszał. - Bala?

Cisza. Zsiadł z konia i ruszył w stronę karety. Nogi miał odrętwiałe od siedzenia cały dzień w siodle. Otworzył nagłym ruchem drzwi i zajrzał do środka. Pusto. Zupełnie pusto. Nie został nawet skrawek tkanki czy drobina pyłu.

Opos spędził całą bitwę na obserwacji wielkiego namiotu rozbitego dla Laseen. Z pewnością niżsi rangą dowódcy Szponu rozmieścili tu wielu agentów, ale on nie wiedział już, komu może ufać. Szczerze mówiąc, nigdy nie ufał nikomu i ta zasada świetnie się sprawdzała w czasie jego kariery. Nie potrafił już zliczyć, ile razy uratowała mu życie. Tym razem jednak był jeszcze bardziej podejrzliwy niż zwykle. Zgromadził materiały świadczące o istnieniu równoległej struktury dowodzenia zorganizowanej przez jedną z jego podkomendnych, Spirale, dla jej własnych celów. Tego nie mógł tolerować – przede wszystkim dlatego, że owe cele z pewnością zakładały wyeliminowanie jego osoby.

Robił więc to, co potrafił najlepiej – czekał i obserwował. Laseen ogłosiła tymczasowe moratorium na wszelkie polowania na głowy, nie musiał więc brać się do roboty. Mógł czekać. Nie sądził, by Spirala była aż tak niezręczna, by zignorować edykt. Stał, ukryty dzięki magicznym środkom, w cieniu małego namiotu, skąd widział tył cesarskiej rezydencji, i czekał, obserwując otoczenie zarówno za pomocą niemagicznych środków, jak i poprzez Mockra.

Zgiełk i zamęt bitwy na zachodzie to się nasilały, to znowu słabły. Szczerze mówiąc, Oposa nic to nie obchodziło. To nie należało do jego zadań. Ciągłe kręcili się tu sztabowcy, oficerowie i szlachetnie urodzeni, a także czeladź: służący, kucharze, rzemieślnicy, opróżniacze nocników i inni ludzie potrzebni do obsługi tak wspaniałej kwatery. To oni najbardziej interesowali Oposa. Anonimowa służba, nieprzyciągająca niczyjej uwagi. Jak często sam wykorzystywał tę selektywną ślepotę wyżej postawionych w hierarchii społecznej?

Zbliżał się zmierzch. W promieniach wiszącego nisko na zachodnim niebie słońca sylwetka Oposa rzucała cień na płótno namiotu. Mężczyzna przymrużył powieki. Po ramionach spływał mu pot. Nic. Cały dzień i nic. Czuł się urażony... nie, gorzej, zniesmaczony. Jak to

się stało, że jego profesja upadła tak nisko? Z pewnością nie był odosobniony w swej... Jak by to ująć? Zawodowej ciekawości? Postanowił raz jeszcze przeanalizować wszystkie dzisiejsze wydarzenia w poszukiwaniu regularności. Jakiegoś drobnego błędu, który wszystko zdradzi. Po sprawdzeniu niezliczonych ruchów, spojrzeń i gestów wszystkich przechodzących obok ludzi doszedł do wniosku, że wreszcie coś znalazł. Kobieta. Cywil. Żona albo kochanka jakiegoś oficera. Siedem razy pozornie przypadkowo trafiała pod ściany namiotu. A jej chód i postawa! To nie była zwykła markietanka. Za każdym razem udawała, że obserwuje bitwę, ale w rzeczywistości więcej uwagi poświęcała namiotowi i jego strażnikom. Szkoda w gruncie rzeczy. Gdyby była lepiej wyszkolona i miała więcej doświadczenia, stałaby się niemal niewykrywalna.

Opos wspiał się na palce, by rozluźnić mięśnie nóg, sprawdził gałki ukrytych w rękawach noży.

Wróć, mała pani. Kim jesteś? A co ważniejsze, dla kogo pracujesz?

Czekał i czekał. Zgiełk bitwy ucichł. Obok przemknęli liczni kurierzy.

Czyżby ktoś wreszcie zwyciężył w tej nudnej farsie? Najwyraźniej nasi.

Pod namiotem zgromadził się tłum złożony z markietanek, rannych i służby. Cesarscy strażnicy nie pozwalali się im zbliżyć. Tak jest, wszyscy uśmiechali się z radością, co sugerowało zwycięstwo. Wreszcie pojawiła się nieznajoma. Opos zajął pozycję za nią, spowity w odwracającą uwagę osłonę Mockra.

Nie wyczuwał wokół niej żadnej groty. Patrzyła przez pewien czas na zachód, od czasu do czasu spoglądając na namiot, aż wreszcie ruszyła z powrotem do obozu. Drobne, ładne dziewczątko o długich czarnych włosach. Przyciągała uwagę mężczyzn. Wreszcie dotarła do namiotów dla oficerów. Nie zauważył żadnych gestów świadczących o tym, że go zauważyła. Podeszła do namiotu jakiegoś niezbyt ważnego oficera, być może porucznika, uniosła połą i zniknęła w środku.

Opos zajął pozycję przy sąsiednim namiocie. Doprawdy, to ją zdradziło. Wykluczone, by taki talent zadowolił się porucznikiem. Już sam jej chód zasługiwał na kapitana. Sprawdził namiot, tak ostrożnie, jak tylko mógł. Nie wykrył żadnej aktywności grot. Kobieta siedziała spokojnie.

No dobra. Jego ulubione sztylety zsunęły się do rąk. Pora zasłużyć na pensję.

Odsunął połę namiotu. Jego grota tańczyła na koniuszkach palców. Uniósł oba noże, kierując je tam, gdzie przed chwilą siedziała kobieta. Wtem na jego szyi zacisnęła się dłoń, mocno, jak ukąszenie ogara. Zwalił się na ziemię. Ciął na oślep nożami i wierzgnął, leżąc twarzą w dół. Przywołał swą grootę, ale dłoń zacisnęła się jeszcze mocniej, uciśkając kręgi. Cóż za siła! Nadludzka!

– Nie rób tego – wydyszała kobieta do jego ucha.

Rozpoznawał ten głos. Słyszał go poprzednio, w dzień ataku Gwardii. Dziewczyna pokonała go już po raz drugi. Zamknął grootę.

– Dobrze. – Wyrwała mu sztylety z rąk, jakby był dzieckiem, i przystawiła jeden do jego szyi. – A teraz powiedz mi, co powinnam z tobą zrobić? – wyszeptala, tak blisko, że czuł jej wilgotny oddech. – Nie chodzi mi o to, czy mam cię puścić wolno. O, nie. Zastanawiam się, w jaki sposób cię zabić. Pozwolę ci wybrać. Chcesz, żebym wbiła ci ten nóż pod brodę czy w oko? A może w serce? – Pochyliła się jeszcze bardziej, dotykając wargami jego ucha. – Powiedz mi, co wybierasz – wydyszała ochryple.

Choć był przekonany, że za chwilę umrze, zalała go fala pożądania do młodocianej morderczyni. Pragnął jej tak mocno, że nie potrafiłby wyrazić tego w słowach. Otworzył usta, by wyrazić swoje pragnienia, gdy nagle poła namiotu się uchyliła.

– Poddają się! – zawołała radośnie jakaś kobieta. Potem krzyknęła przeraźliwie.

Morderczyni warknęła coś w nieznanym Oposowi języku. Szarpnął się i zrzucił ją z siebie. Zerwał się natychmiast, wyciągając nowe noże,

ale dziewczyna zdążyła już uciec. Odepchnął krzyczącą kobietę na bok i wyrzwał na zewnątrz, ale napastniczka oczywiście zniknęła bez śladu. Uspokoił kobietę falą Mockra.

– Dziękuję. No wiesz, ich kapitulacja uratowała mi życie.

Chciał już odejść, ale zatrzymał się i obejrzał ją od stóp do głów. Niezła. Gdyby była trochę bardziej w jego typie, mógłby... no cóż, wzywały go obowiązki. Ruszył z powrotem do namiotu cesarzowej.

* * *

Słońce wyszło zza chmur tuż nad zachodnim horyzontem. Nait usiadł na ziemi, grzejąc stare kości w promieniach słońca. Stare! Ha! Jeszcze dziś rano uważał się za młodego. Teraz jednak czuł się stary, zwłaszcza w towarzystwie tych dzieciaków. Stary i zużyty. Nawet otworzenie oczu wydawało się zbyt wielkim wysiłkiem. Pomyślał o wszystkich idiotycznych uczynkach, jakie dziś popełnił, i poprzysiągł sobie, że już nigdy nie zrobi nic podobnego. Nie chodziło o to, że szukał chwały, czy o inny taki głupi syf. Nie, zrobił to wszystko tylko po to, by ratować swe cenne życie.

Ktoś trącił jego wysuniętą stopę. Otworzył oczy, osłaniając je dłonią przed złotopomarańczowym blaskiem, i zobaczył porucznika imperialnej armii.

– Hę? To znaczy... słucham, poruczniku. – Zasalutował.

– Jesteś kapral Cykor?

– Hmm, tak i nie, poruczniku.

– Twój kapitan chce z tobą rozmawiać. Wspominał coś o pochwale.

– Naprawdę, poruczniku? Dziękuję.

Oficer ruszył w dalszą drogę. Nait spróbował się podnieść, ale bezskutecznie. Znowu usiadł na ziemi, wsparty o tarczę, w tym samym miejscu, w którym spoczywał od chwili przerwania linii nieprzyjaciela. Czuł się tak, jakby bracia wszystkich dziewczyn, którym kradł całusy, obmacywał je i tak dalej, dopadli go i zbili drewnianymi pał-

kami. O dziwo, najgorsze obrażenia zadali mu własni żołnierze. Gdy minął bitewny szal, przekonał się z zaskoczeniem, że belt z kuszy przeszył mu udo na wylot. Drugi drasnął go w szyję, pozostawiając ranę, która nie chciała przestać krwawić, trzeci rozorał grzbiet dłoni, czwarty zaś omal nie urwał mu uszu, wstrząsając gwałtownie hełmem. Nait wiedział, że miał cholernego farta.

Po pograżającym się powoli w mroku polu bitwy krążyły liczne sylwetki. Lekko ranni wałęsali się bez celu, markietanki szukały kochanków i po kryjomu rabowały poległych, brygady uzdrowicieli zbierały ciężiej rannych. Naitowi nie chciało się wstawać. Jego ludzie leżeli wokół. Wszyscy milczeli, dzieląc się ze sobą buklakami z wodą oraz kawałkami wyschniętych podpłomyków. Zaczepnął łyk wody, przepłukał usta i wypluł na ziemię piasek z krwią. Pomacał twarz w poszukiwaniu chwiejących się zębów. Zdrowo oberwał w szczękę.

Podszedł do niego ktoś inny. Nait poznał go i wstał. Skrzywił się z bólu, oszczędzając zranioną nogę. To był Blacharz. Kapitan obejrzał go od stóp do głów.

– Wyglądasz jak gównno Kaptura.

– Dziękuję, kapitanie.

– Ale żyjesz.

– Tak jest. – Przyjrzał się uważnie oficerowi. – Słucham, kapitanie?

Blacharz spojrział na zachód, przyglądając wąsy.

– Ty i Najmniejszy. I Heuk.

On i Najmniejszy. I Heuk. I to wszystko? A więc Rączka i Miodzio Chłopak zginęli. Gruba, zmysłowa Rączka była zimnym trupem. Niech szlag trafi Kaptura, cóż za strata! Pomyślał o wszystkich okropieństwach, które wygadywał, i głupich numerach, jakie jej robił. Poczul ciepło na twarzy. Dyszał ciężko. Zabrała to wszystko ze sobą do Kaptura i nigdy już nie będzie mógł jej przeprosić ani powiedzieć, że zapewne miała cholerną rację.

– Przykro mi, kapitanie.

– Tak, mi też. Ale... – szturchnął Naita w ramię – ...gratulacje. Wreszcie zostałeś sierżantem. – Wyciągnął szarą opaskę na rękę. – Słyszałem, że na to zasłużyłeś.

Nait ujął ją ostrożnie w palce. On sierżantem! Co też by o tym powiedzieli w domu? Pragnął tego od początku, ale teraz uświadomił sobie, że jest tylko cholernym oszustem. Jeśli włoży tę opaskę, znieważy pamięć Rączki i Miodzio Chłopaka. Nagle przypomniał sobie, że Blacharz nadal stoi obok.

– Ach, tak. Dziękuję, kapitanie.

– Proszę bardzo, sierżancie. – Oficer wskazał głową w bok. – To twoja drużyna?

– Ehe. Dziesięcioosobowa, kapitanie.

– Świetnie. Waszym pierwszym zadaniem będzie pomoc w budowie fortyfikacji wokół obozu. Prace trwają już od rana. Wielka pięść Anand chce mieć wykop i palisadę albo ostrokół. Co tylko zdołacie wznieść razem z innymi saperami.

– Tak jest – odparł Nait, nie odrywając spojrzenia od opaski. – Po co? – zapytał ze zdziwieniem w głosie, zerkając na kapitana.

– Po co? – Załawione, jasnyniebieskie oczy Blacharza spoglądały na sierżanta z łagodnym, bliskim współczucia wyrazem. – Przelano tu morze krwi, Nait. Zbliża się noc. A nocą nadejdzie on. Musimy się przygotować.

On. On! Och, niech ich Pożoga ma w swojej opiece! On! Spojrzał na swoją drużynę.

– Wstawać, głąby! Czekają na nas łopaty! Jazda do obozu! Słyszałem, że mają tam gorące żarcie! Ruszać się.

Obejrzał się na Blacharza.

– Kapitanie! – zawołał za nim. – Co się stało z tym dziadkiem? No, starszym sierżantem, jak go tam zwał?

Blacharz znieruchomiał na chwilę.

– Nie słyszałeś?

– Nie, kapitanie.

– Cały czas powstrzymywał Złoty, Nait. I udało mu się. To jego zasługa, że nie poszliśmy w rozsypkę. Jego i Wyłam Zęba. Ale pod sam koniec załatwili go swoimi pociskami.

– Szkoda.

– Ehe, szkoda. Do zobaczenia w obozie.

Cholera. Kolejna strata. Skinął na swoich ludzi. Okazało się, że stary pierdziel jednak znał się na swojej robocie.

Droga na wschód była bardzo nieprzyjemna. Smród kału i wyprutych wnętrzności zmusił Naita do zasłonięcia twarzy. Zdarzało się, że trudno było znaleźć czyste miejsce, w którym mógłby postawić nogę. Leżące na ziemi ciała świadczyły, że harcownicy ponieśli straszliwe straty, ale jednocześnie zabili mnóstwo falarskich i taliańskich żołnierzy. Ranni wołali ich albo tylko jęczeli, gestykułując bezradnie. Jego dziewczyny i chłopaki obiecywali każdemu, że przyślą pomoc. Cóż innego mogli zrobić? Mewy, wrony i sępy krążyły po niebie albo skakały między ciałami. Lśniące od płynów ptaszyska kłóciły się głośno o żer. Nait rzucał w nie kamieniami.

– Sierzancie! – zawołał ktoś po taliańsku, z silnym akcentem.

Nait odwrócił się. To był ten dowódca falarskiej jazdy. Leżał na boku przygnieciony zabitym koniem. Bełty sterczały z ciała jeźdźca i z jego wierzchowca, jak ptasie pióra. Nait przykucnął obok rannego i zdjął mu hełm.

– Dziękuję – rzekł mężczyzna, uśmiechając się pod bujną ogniście rudą brodą.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Nic. Nie mogę się uskarżać. Mam dobrego konia.

– Może chcesz wody?

Mężczyzna skrzywił się.

– Wody? Bogowie, człowieku, a po co? W torbie u pasa mam manierkę dobrej, falarskiej brandy... – Wskazał podbródkiem.

Grzebiąc w torbie, Nait zauważył, że jedna ręka mężczyzny leży przygnieciona jego ciałem, a drugą przyszpiliły do boku trzy bełty. Znalazł powgniataną srebrną manierkę, wyciągnął zatyczkę i wlał trochę trunku do ust rannego. Na twarzy Falarczyka pojawił się czysty zachwytny.

- Dziękuję.

Nait skinął na swoją drużynę.

- Musimy już iść.

- Tak, wiem. Chciałem cię prosić o przysługę, żołnierzu.

O, bogowie! Nie. Tylko nie to.

- Nie... przykro mi.

- Ach, rozumiem. No wiesz, chodzi o te ptaki. Wredne bydlaki podlatują coraz bliżej, a ja... no cóż...

Spojrzał na swe bezużyteczne ręce.

Soliel, zmiłuj się! Jak mógłby go zostawić takiemu losowi? Nie był jednak zabójcą. Co więc...

- Nagład!

- Słucham, sierżancie?

Nait wepchnął mu w rękę manierkę.

- Zostań z tym rannym oficerem. Jak zobaczysz uzdrowiciela, spróbuj go przywołać.

Nagład zaszalutował, wymachując długimi chudymi kończynami, i wysunął podbródek do przodu.

- Tak jest.

- Dobra. No to w drogę.

Odwrócili się i ruszyli.

- Byłeś kiedyś na Falarze? - zapytał Nagłada ranny dowódca konnicy, gdy się oddalali.

Kiedy dotarli do wschodniego krańca pola bitwy, ich spodnie i płócienne nogawice były czerwone po kolana od przedzierania się przez okrwawione trawy. Prześladowały ich muchy. Promienie zachodzą-

cego, pomarańczowoczerwonego słońca padały na równinę niemal poziomo, nadając polu rzezi intensywną barwę miodu. Nait zauważył ciemnobrązowe sylwetki biegające po wzgórzach. Zadrżał. Szakale albo wilki. Już tu były. Wkrótce zjawi się on. Machnął ręką na swoje dzieciaki – to znaczy na swoich mężczyzn i kobiety, którzy bez wyjątku zamilkli podczas tej makabrycznej drogi – nakazując im przyspieszyć kroku.

* * *

Cały dzień zanosilo się na deszcz, a gdy nadeszła chłodna noc, wreszcie zaczęło padać. Ullen i jego ludzie trudzili się podczas ulewy nad budową umocnień wokół cesarskiego obozu: pogłębiali zewnętrzny wykop i pomagali stawiać słupy palisady. Potem razem z grupką oficerów oddzielono go od pozostałych i poprowadzono do głównej bramy. Obejrzał się jeszcze na ponure twarze taliańskich żołnierzy, patrzących, jak wiodą go do środka, podczas gdy oni zostają na zewnątrz. Wielu zaszutowało mu na pożegnanie. Zamknięto go w więzieniu z zaostzonych pali. Znalazł tam Urka, V'thella oraz innych ocalałych oficerów Ligi. Był wśród nich Choss. Leżał z głową na kolanach kapitana Roggena, niemal nieprzytomny z utraty krwi. Urko siedział nieopodal. Miał na sobie tylko podartą płócienną przesywanicę. Najwyraźniej nic mu się nie stało, choć wszyscy przysięgali, że jeźdźcy stratowali go co najmniej trzy razy. V'thell również przysiadł w pobliżu. Jego poobtłukiwana, powgniatana zbroja lśniła w blasku pochodni ciemnoczerwonożółtym blaskiem. Ullen zdawał sobie sprawę, że Urko mógłby w każdej chwili stąd odejść, wiedział też jednak – i Laseen z pewnością również – że głównodowodzący tego nie zrobi, by jego żołnierze nie padli ofiarą odwetu.

Ullen przykucnął przed nim. Na plecy padał mu zimny deszcz.

– Wodzu, nasi ludzie zostali na zewnątrz.

Urko uniósł powoli głowę.

- Słucham?

- Zostali na zewnątrz. Wszyscy regularni taliańscy żołnierze.

- Co? - Urko wstał z wysiłkiem, wpatrując się w niesioną wiatrem mżawkę. Podeszedł do ostrokołu i złapał za słupy.

- Sprowadź waszego dowódcę! Natychmiast! - zawołał do wartownika.

- Nie ma potrzeby - odparł ktoś.

Ze słabnącego deszczu wyłoniła się jakaś postać. Towarzyszyli jej strażnicy. Ullen przymrużył powieki i wypatrzył masywną, zakutą w zbroję sylwetkę Korbolo Doma.

- Urko i Cartharon Crust! - zawołał mężczyzna, zatrzymując się przed ogrodzeniem. - Amaron, Wyszczierz, Nok, Gburka... masz pojęcie, co to znaczyło dorastać na Napie w cieniu takich imion?

- Fener na to sra! Moi ludzie zostali na zewnątrz, zdani na łaskę potwora. Na czyj rozkaz?

- Mój.

- Twój!

Urko złamał pal w dłoni.

- Jeśli mnie zabijesz, twoi ludzie z pewnością zginą!

Urko cofnął się. Ramiona drżały mu pod przesywanicą.

- Anonimowość - ciągnął Korbolo. - Skazałeś nas wszystkich na anonimowość. Potrafisz wymienić jakiegoś Napańczyka z ostatniego pokolenia?

- Jest wnuk mojego brata, Tulipan.

- No cóż, nowe nazwisko wreszcie przyćmiło twoje. Wszystkie usta na wyspie i w imperium będą powtarzały imię Korbolo Doma, Miecza Imperium. To słuszne i sprawiedliwe, że w końcu pokonał cię inny Napańczyk.

- Powiedziałbym, że to była tylko decyzja Oponn. Uśmiech fortuny. Posłuchaj, wpuść ludzi do środka. Zagwarantuję ich współpracę.

- Pokonany zawsze mówi o fortunie, tak?

– A zwycięzca nigdy, mam rację? – Urko zgarbił się, przetykając dalsze słowa. – Czego ode mnie chcesz? – zapytał wreszcie.

Korbolo wyprostował się, poprawiając zmoczone deszczem płaszcz.

– Mam już to, czego zawsze chciałem. Spójrz tylko na siebie. Siedzisz w błocie jak zwierzę. Poniosłeś żalną klęskę. Nie muszę nawet oglądać twojej egzekucji w Uncie. Już jesteś dla mnie martwy.

Urko obnażył zęby.

– Wolałbyś nie wiedzieć, co ja widzę.

Korbolo odwrócił się i odszedł w noc, eskortowany przez swoich strażników.

– Posłuchaj, niech cię Kaptur! – zawołał Urko. – Nie chodzi o mnie. Zrób ze mną, co chcesz, ale wpuść moich ludzi do środka!

Wyrwał ze ściany kolejny pał i złamał go w rękach. Omal nie rzucił się w pościg za Korbolem, opanował się jednak i osunął w błoto.

Ullen również usiadł. Obok miał dręczonego wilgotnym kaszlem Chossa. Ranny szeptał coś, a Roggen wycierał mu twarz szmatą. Ullen wyciągnął ręce, by ogrzać w nich zimne jak lód dłonie towarzysza. Wilgoć pozbawiała sił nawet Chossa. Ullen wątpił, by jego dawny mentor doczekał świtu.

Zbliżały się ku nim światła, pochodnie niesione przez żołnierzy. Między nimi szła niska, szczupła kobieta. Z jej ciemnych włosów spływał deszcz, a pod mokrą jedwabną tuniką rysowały się muskularne ramiona oraz szczupła klatka piersiowa. Ullen nie widział jej od dziesięcioleci, ale wyglądała tak samo jak przy ich poprzednim spotkaniu. Gburka. Laseen. Taka drobna i niepozorna! Mimo to ci, którzy znaleźli się w pobliżu, nie mogli ignorować jej obecności. Nawet pojmani taliańscy oficerowie wyprostowali się z szacunkiem. Odpowiedziała na ich gest lekkim skinieniem głowy. Urko jednak nie chciał podnieść wzroku. Czekwała spokojnie, splatając dłonie za plecami. Po chwili zerknął na nią, ale zaraz odwrócił spojrzenie.

- Spodziewałem się po tobie czegoś lepszego, Gburka - wychrypiał.

- Mam do ciebie prośbę, Urko - odparła.

Wstał z wysiłkiem.

- Prośbę? Przyszłaś z prośbą do mnie? No więc tak się składa, że ja też mam prośbę do ciebie.

- Tak. To dziwna sytuacja. Chcę porozmawiać z tobą i z V'thellem.

Usłyszawszy swoje imię, dowódca Złotych pokłonił się. Jego prawa ręka i cały bok przerodziły się w zmiażdżoną, sączącą krwią masę.

- Chcę współpracy waszych żołnierzy.

- Dostaniesz ją - zapewnił Urko.

V'thell tylko skinął głową.

- Będę musiała zatrzymać was i waszych oficerów jako gwarancję...

- Rozumiemy - zapewnił V'thell.

- W takim razie zgoda.

Laseen skinęła na wartownika.

- A co z Korbolem? - zapytał Urko.

- To już nie twój problem.

Ta wygłoszona z wielką pewnością siebie odpowiedź wydała się Ullenowi prawdziwym symbolem cesarskiej władzy. Urko zapewne przyjął to podobnie. Wyprostował się i skinął lekko głową z wyrazem zdumienia na mokrej od deszczu, naznaczonej brudami twarzy.

* * *

Nait szedł wzdłuż linii obrony w towarzystwie dwóch ciężkich piechociarzy ze swej drużyny, Trantera i Martina, oraz sabotażysty z regularnej piechoty, Kala.

- Widzieliście żołnierza imieniem Nagład? - pytał każdego mijanego wartownika. - Takiego chudzielca z głupią gębą? Czy ktoś go

widział? Na polu bitwy?

Nikt sobie nie przypominał takiego żołnierza, a Nagład nie wrócił do drużyny. Czy mógł być aż tak głupi, że po prostu zasnął gdzieś na polu? W takim przypadku czekało go odgryzienie głowy.

Jakiś żołnierz dogonił go i złapał za rękę.

– Szukasz człowieka, który został na placu boju?

– Ehe. Nazywa się Nagład.

– Nagład? Może i tak. Byłem z drużyną uzdrowicieli. Przywołał nas, ale nie chciał zejść z pola. Powiedział, że rozkazano mu pilnować ranego. Nie wiem po co, bo ten facet i tak już nie żył.

Nait wytrzeszczył oczy ze zdumienia, a potem zadrżał z zimna. Otarł deszcz z twarzy i zauważył, że mężczyzna przygląda mu się z zainteresowaniem.

– Jasne! Dziękuję, żołnierzu.

Tamten zasalutował. Nait gapił się na niego jeszcze przez chwilę, nim dotarło do niego, że powinien odpowiedzieć. Odwzajemnił salut i żołnierz potruchtał w deszcz. Sierżant spojrział na Trantera, Martina i Kala. Wszyscy gapił się w ciemność za skrzyżowanymi palami.

Na pryszcze Poliel! Na pocałunek Kaptura! Pieprzony przygłup ma gówno zamiast mózgu!

Nait cisnął hełm w błoto.

* * *

– Nic nie słyszałem o żadnej inspekcji – oznajmił wartownik przy bramie, marszcząc brwi ze zdziwienia.

Nait wzruszył okrytymi płaszczem ramionami.

– Nie chodzi o to, że jest oficjalna albo coś w tym rodzaju. Po prostu boimy się, że palisada może się zawalić.

Wartownicy wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Zawalić?

– Ehe. Od deszczu. – Wskazał na zapadające się w ziemię pale. – Popatrzcie. Już się przechylają.

– Już dobra, dobra. Jak chcecie wyjść na zewnątrz, to wasz problem.

Wartownicy unieśli barierę. Nait skinął na piątkę wybranych przez siebie ludzi, ale w deszcz wyszło również czworo nowych rekrutów, wlokących za sobą w błocie za duże peleryny. Sierżant tytnął na nich ze złością, nakazując im gestem odejść, ale oni tylko zasalutowali.

– Zgłaszamy się na „inspekcję” – oznajmił najstarszy z nich, Kubło, mrugając znacząco.

Zwrócony plecami do wartowników Nait uniósł pięść. Chłopak postukał palcem w ukrytą pod płaszczem wypukłość. Sierżant uniósł wysoko brwi, a Kubło uśmiechnął się głupkowato.

– Idziecie czy nie? – zapytał wartownik.

– Już ruszamy, kapitanie.

Nait skinął na swoich ludzi.

Gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, odwrócił się do dzieciaków w strugach deszczu.

– Co wy wyprawiacie?! To nie jest spacer dla przyjemności!

– Wiemy – odparł poirytowany Kubło. – Mamy broń na grubego zwierza.

Wszyscy unieśli peleryny.

– Na złote gówno bogów! – zaklął nagle Nait, jakby oberwał halabardą.

Cała czwórka miała pod pelerynami po skrzynce z pociskami Moranthów. Pozostali żołnierze z drużyny Naita odsunęli się o krok.

– Schowajcie to! – Nait obciągnął ich peleryny, spoglądając w ciemność, jakby się bał aresztowania. – Skąd je wzięliście?

Kubło postukał się palcem w bok nosa.

– Zaznaczyliśmy namiot, w którym schowali wszystkie skonfiskowane pociski. Potem już poszło łatwo. Pomogły nam ciemność

i deszcz.

Wzruszył ramionami.

– Nie możecie pójść z nami. To zbyt niebezpieczne. Zostaniecie tutaj i zaczekacie na nasz powrót, a potem odłożycie te pociski na miejsce, jakby nic się nie wydarzyło. Jasne?

– Nie pierdziel!

– Nie pierdziel? Jak się do mnie odzywasz, żołnierzu?

– To przestań pierdzielić!

Nait zacisnął pięści.

Cóż za bezczelne bachory! Czuję się, jakbym wrócił do domu i znowu musiał się użerać ze zgrają młodszych braci.

– No dobra. Jeśli chcecie iść z nami, musicie słuchać moich rozkazów i... Na Otchłań, nawet nie znam waszych imion. Jak się nazywacie, do Fanderay?

– Kubło.

Ehe, Kubło. Ależ głupie imię. Co to właściwie znaczy?

– Kupcio – przedstawił się drugi.

Kupcio? Biedny, chudy, krostowaty chłopcze! Co sobie myśleli twoi rodzice? Może powinienem cię nazwać „Pryszcz”. To będzie lepsze.

– Podbródka.

Podbródka? Co to za imię dla dziewczyny?

Najmniejszy z czwórki zaczerwienił się i potrząsnął głową.

– W ogóle się nie nazywasz?

Młodzieniec poruszył się nerwowo.

– Kikuś.

Kikuś? Kikuś! Biedny chłopcze. Starzy naprawdę zrobili ci niezłego psikusa. Bogowie, nie potrafiby wymyślić gorszego zestawu imion niż stworzone spontanicznie przez rodziców tej czwórki.

– Dobra. No to ruszajmy.

Nait był przekonany, że poza sobą samym nie zna nikogo, kto nie ulegałby złudzeniom. Wiedział, że nie jest odważny ani nie potrafi walczyć szczególnie dobrze. Co więcej, Beru świadkiem, że nikomu nie dostarczy inspiracji. Był też przekonany, że nie prowadzi nocą swej drużyny na makabryczne pole bitwy, na którym grasuje najstraszliwsza kłątwa w historii Quon, dlatego że jest żadnym chwały głupcem. Nie, po prostu znajdzie swojego człowieka, a potem zwieje po cichu, tak szybko, jak tylko poniosą go nogi.

Deszcz przestał padać, ale nadal było ciemno jak w jaskini. Nait się z tego cieszył. Potknął się kilka razy, ślizgając się na jakichś przedmiotach, od czasu do czasu dotykał też ręką czegoś miękkiego i wilgotnego, co wysysało jego palce, wyszarpywał jednak rękę, nie patrząc w tamtym kierunku. Nie chciał wiedzieć, co to było. Wszyscy jego ludzie milczeli i z tego również się cieszył. Niektórzy lubili mnóstwo gadać, kiedy się czegoś bali. Nie znosił tego.

Smród nie był jeszcze taki zły. Nie aż tak, by miał ochotę zwrócić posiłek. Muchy jednak były paskudne. Wcisnęły mu się w nos, oczy i uszy, jakby wołały żywe mięso od oczekującej je uczy. Wiedział w przybliżeniu, gdzie znaleźli falarskiego dowódcę, i poprowadził tam drużynę tak szybko, jak tylko mógł. Nie szedł okrężną drogą ani nie trzymał się zagłębień terenu. Głośne warczenie ostrzegało ich, że po polu bitwy kręcą się padlinożercy, Nait był jednak przekonany, że ich nie zaatakują. Wszyscy mieli pełne żołądki, a zostało jeszcze pod dostatkiem zera.

Znaleźli wielkiego rumaka i leżące pod nim ciało, nietknięte przez ostre dzioby ptaków. Nigdzie jednak nie dostrzegli Nagłada. W umyśle Naita pojawiła się wizja śpiącego spokojnie w obozie żołnierza. Zalała go biała furia. Nagle Martin syknął, wskazując pod nogi. Nagład spał sobie spokojnie pośród krwawej grozy. Co mu na to pozwoliło? Czyste sumienie? Całkowity brak wyobraźni? Nait doszedł do wniosku, że to jedna z nieprzeniknionych tajemnic Królowej. Obudzili go kopniakami. Nagład usiadł, ziewając i pocierając twarz.

Popatrzył na nich, nie okazując zaskoczenia.

- He?!

Nait skinął na pozostałych, każąc im się cofnąć.

- Co tu robisz? - wyszczał.

- Czekam na was.

- Czekasz... - Sierżant tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się przed uduszeniem głupiej małpy. Musiał jednak coś zrobić. Ściągnął Nagładowi hełm i walnął go nim. - Ty cholerny durniu! Nigdy więcej nie rób czegoś takiego!

- Przecież mi rozkazałeś...

- Nieważne, co ci rozkazałem! Zrób użytek z tego cholernego pustego łba. No dobra. Chodźmy. - Spojrzał na Kikusia, który machał ręką, każąc wszystkim paść na ziemię. - Co się stało?

Chłopak uciszył go gestem.

- Co się stało? - wyszczał Nait.

Kikuś zamachał rękami jeszcze gwałtowniej.

No tak. Sierżant wyteżył słuch. Nic za cholerę nie słyszał. To znaczy, nic poza łopotem skrzydeł padlinożernych ptaków, warczeniem walczących o żer szakali i wilków z równin, a także jękami paru jeszcze żyjących rannych.

- Nie słyszę...

Nagle ktoś złapał go za ramię. Druga ręka zakryła mu usta. Napastnik odwrócił go i Nait ujrzał smagłą, spoconą, naznaczoną bliznami twarz starszego sierżanta Harcika. Uspokoił się. Starzec go puścił.

- To ty!

- Ehe. To cholerny pech.

- Mówili, że wyleciałeś w powietrze.

- Tak brzmi oficjalna wersja. I wołałbym, żebyś ty też się jej trzymał.

- Hmm, dobra. A dlaczego?

– Powiedzmy, że za pierwszym razem pożegnałem się z imperialną armią w dramatycznych okolicznościach.

Drużyna Naita zebrała się wokół nich.

– Co się stało? – zapytał Kubło.

Starszy sierżant wyglądał okropnie. Odniósł mnóstwo ran. Przód żelaznej kolczugi oraz łuskowe rękawice miał ciemne od krwi i posoki. Zgubił gdzieś tarczę, ale po krótkiej walce w szyku falangi Nait dowiedział się, że w czasie jednej bitwy żołnierz często zużywa dwie, trzy, a nawet cztery.

– Co tu robisz?

– Pewnie to samo, co wy. – Spojrzał na opaskę na ramieniu rozmówcy. – Co to jest?

Nait miał wrażenie, że chyba się zaczerwienił. Cieszył się, że jest ciemno.

– Zrobili mnie sierżantem.

– W dzisiejszych czasach każdy może awansować.

– Posłuchaj, wracamy do obozu. Idziesz z nami?

– Nie, to wy pójdziecie ze mną.

– Z tobą? A po co, na dupę Fanderay?

– Kręcą się tu jacyś Seti. Chcę się dowiedzieć, kim są i co ich tu sprowadza.

– Co? A kogo to niby obchodzi? Tu jest Ryllandaras. Musimy zmiać.

Starszy sierżant pociągnął Naita ku sobie.

– Ryllandaras nie zagrozi naszej małej grupce, więc możesz sobie darować tę swoją bajeczkę. – Wskazał drużynę. – W dwuszeregu zbiórka.

– Bajeczkę? Jak to bajeczkę?

– Wiem, po co tu przyszedłeś ze swoimi sabotażystami. – Potrząsnął Naitem, trzymając go za ramię. – Nazbieraliście trochę pocisków? Macie ochotę załatwić wielkiego skurczybyka?

- Co? Nie!

- Stary pierdziel ma trochę racji – wtrącił Kubło.

Weteran skinął zakutą w pancerną rękawicę dłonią.

- W porządku. Dostaniecie swoją szansę na wieczną chwałę. Ja chcę tylko pogadać chwilkę z tymi Seti. Potem wrócimy do obozu i pomogę wam wciągnąć Białasa w zasadzkę.

- Po raz ostatni mówię ci...

- Psst.

Starszy sierżant poprowadził ich przez pole bitwy na zdeptaną końskimi kopytami prerię. W oddali Nait dostrzegł grupkę Seti. Wszyscy zsiadli z wierzchowców i stali obok siebie. Najwyraźniej na coś czekali, spoglądając na wschód, na obozowisko wojsk imperium.

- Zawołaj Odyńca – wyszeptał starszy sierżant Naitowi do ucha.

- Co? Ty go zawołaj!

Weteran dał mu solidnego kuksańca.

- Jazda.

Nait spojrział na starszego sierżanta, który mrugnął zachęcająco. Odchrząknął. Seti nagle zniknęli mu z oczu, jakby padli na ziemię.

- Hmm, jest tam Odyniec?! – zapytał głośnym szeptem.

- A kto pyta? – odpowiedziano mu po chwili po taliańsku.

- Powiedz mu, że jego brat z Miecza – wyszeptał starszy sierżant.

Nait znowu odchrząknął.

- Hmm, jego brat z Miecza.

Niski, bardzo barczysty mężczyzna wstał z ziemi, rozpościerając długie ręce.

- Brat z Miecza? No to wstań, do cholery!

Starszy sierżant wstał.

- Znam ten głos.

- A ja znam tę sylwetkę.

Obaj mężczyźni zbliżali się do siebie ostrożnie, aż wreszcie padli sobie w ramiona, poklepując się radośnie po plecach.

– Czy mi się zdaje, czy ci faceci się ściskają? – zapytał Kubło.

* * *

Wódz, czy może watażka Seti, kim tam właściwie był, wydał rozkazy swym ludziom. Wszyscy dosiedli koni i odjechali na północny wschód bez niego.

– Wciągną Białasa w zasadzkę, kiedy będzie wracał, jeśli tylko zdołają – wyjaśnił starszy sierżant.

Potem wódz pojechał z nimi na wschód. Okazało się, że jest malazańskim weteranem i służył kiedyś z Harcikiem. Obaj ruszyli przodem, rozmawiając ze sobą cichymi, ochrypłymi głosami.

– Myślałam, że wszyscy Seti popierają szakala – wyszeptła Podbródka do Naita.

– Wychodzi na to, że ten Odyniec jest mu przeciwny.

Przyjrzał się twarzom swoich ludzi idących po zimnej, wilgotnej trawie. Po raz drugi kazał im iść przez pola śmierci. Jeśli do tej pory nie pozbyli się wszelkich złudzeń na temat wojny, uwolnią się od nich, nim noc dobiegnie końca. Tranter i Martin dźwigali ciężkie tarcze na plecach, ich wpatrzone w ciemność oczy nie pozostawały w bezruchu nawet przez moment. Sabotażyści z piechoty – Kal, Traper, Nagład i jedyna wśród nich kobieta, Maja – zbili się w jedną grupkę, a untańskie dzieciaki w drugą. Był dumny z tego, jak świetnie znoszą otaczającą ich grozę, ale przecież byli tu podczas bitwy. Przerazenie musi z czasem ustąpić. Nie widział też bladoci towarzyszącej mdłościom ani grymasów obrzydzenia. Odnosił wrażenie, że wędrówka przez pole bitwy wprowadziła ich w najgorszy dla żołnierza nastrój, beznamiętny smutek. Podszedł do nich.

– Hej, jak wrócimy, postaram się, żeby wydali wam porządną ekwipunek. Co wy na to?

Kupcio spojrział na niego wyraźnie rozpromieniony.

– Naprawdę? To znaczy zbroje i tak dalej?

- Ehe, może i tak.

Kubło i Podbródka zaczęli rozmawiać o tym, jaką broń i zbroje chcieliby dostać. Kupcio uśmiechał się marzycielsko. Tylko mały Kikuś nie poddał się temu nastrojowi. Ani na moment nie zaprzestał obserwacji otoczenia.

Starszy sierżant i Seti zatrzymali się, by zaczekać na nich. Harcik nakazał gestem wszystkim się ukryć.

- Co się stało? - zapytał Nait.

Obaj weterani uciszli go gniewnymi gestami. Wszyscy uklękli, wyżejając słuch. Z początku Nait nie słyszał niczego poza warczeniem nażartych szakali oraz jękami rannych, dręczonych teraz również pragnieniem. Potem rozległ się odległy dźwięk, coś jakby krzyk wydostający się z wielu gardeł. Gdzieś doszło do bitwy albo zamieszek. Potem rozległ się głośniejszy, niosący się echem ryk oraz warknięcie. Oczy wszystkich zalśniły w ciemności. Starszy sierżant i Seti zerwali się na nogi.

- Naprzód!

* * *

To była najgorsza walka w życiu Ullena, choć jemu osobiście nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Mężczyźni i kobiety, jego żołnierze, gramolili się na czterech kończynach z wypełnionego błotem rowu, który przed chwilą wykopali. Tłoczyli się w trzech, czterech albo pięciu szeregach pod skrzyżowanymi palikami oraz prowizoryczną palisadą z kłód, błagając o broń, o litość bądź o okrutną śmierć dla wszystkich, którzy kryli się wewnątrz. Stojący na barykadzie żołnierze odpychali ich włóczniami, halabardami i lancami. On i Urko nie mogli nic zrobić. Zaprowadzono ich pod strażą do wozów, z których imperialni żołnierze rzucali miecze i tarcze hordzie tłoczącej się na zewnątrz. Tylko miecze i tarcze, nie zbroje, łuki albo kusze. Laseen stała obok,

otoczona przez osobistych strażników. Jej obecność jasno świadczyła o tym, czy autorytet stoi za tą spóźnioną odsieczą.

W mroku, za kręgiem światła pochodni, Ryllandaras zabijał z głośnym rykiem. Wozy trzęsły się od jego straszliwego głosu, a błoto, na którym stali, drżało. Ullen dostrzegwał przelotnie olbrzymią, szarą sylwetkę. Poruszała się zdumiewająco szybko. Talianie i Złoci stanęli jednak do walki. Broń podawano do przodu albo rzucano w tłum. Ludzie brali ją z rąk towarzyszy lub zabierali poległym.

Urko spojrział na Laseen, unosząc pięści do głowy.

- Na miłość Pożogi, pozwól na wycieczkę!

- A co powstrzyma twoich ludzi przed zaatakowaniem moich żołnierzy, zabraniem im broni i zbroi, a potem ucieczką? Albo atakiem na obóz?

- Moje słowo! Mój honor!

Zwróciła na niego wzrok.

- Przysięgniesz mi?

- Tak!

Podeszła bliżej.

- Już raz przysięgałeś - wyszeptwała tak cicho, że Ullen ledwie ją usłyszał.

- Nie... - Jego pełne rozpaczcy spojrzenie niepowstrzymanie przyciągał panujący na zewnątrz tumult, wrzaski i krzyki rannych. - Błagam! Dla moich ludzi! Tak, przysięgam!

- Swe życie? Posłuszeństwo?

- Tak! Przysięgam.

Twarz Laseen nie wyrażała żadnych uczuć, choć bruzdy wokół jej wąskich ust pogłębiły się znacznie. Ullen nie zauważył innej reakcji.

- Zgoda, Urko. Przyjmuję. - Spojrzała na kapitana dowodzącego towarzyszącym jej oddziałem. - Wyślij pięść D'Ebbina z setką ciężkiej piechoty.

- Tak jest - odparł, salutując.

- Ja miałem dowodzić! – sprzeciwił się Urko.
- Na to się nie zgodziłam – warknęła Laseen. – Mam rację? Urko poruszył szczęką, zastanawiając się, co odpowiedzieć.
- Masz – przyznał wreszcie z niechęcią.
- Idź do nich przemówić.
- Tak jest.

Uniósł rękę w powolnym salucie.

Laseen skinęła głową do swoich ludzi, którzy go przepuścili.

Pojawił się oddział konnicy dowodzony przez Korbolo Doma. Miecz Imperium obrzucił spojrzeniem wozy i rozdawanie broni, a potem potrząsnął głową.

- To nic nie da.
- Nieważne – odparła Laseen.
- To tylko bezużyteczny gest. Jadę po jego głowę!

Włożył hełm i popędził konia kopniakiem. Oddział podążył za nim.

- Niech ci Oponn towarzyszą! – zawołała za nim cesarzowa.

Ullen zwrócił się w stronę V'thella. Dowódca Moranthów ani na moment nie odrywał spojrzenia od barykady.

- Nadal walczą – zauważył ze zdziwieniem. – Mimo wszystko. Wiedzą, że to dla nich jedyna nadzieja.

- Mogą uciec.

- Nie. Bezradni cywile mogliby to zrobić, ale wasi żołnierze wiedzą, że ich siła leży w zwartym szyku. W grupie. Pod tym względem przypominacie Moranthów. To jeden z powodów naszego sojuszu.

Ullenowi nasunęła się myśl, że w najbardziej nieoczekiwanym momencie można się dowiedzieć zdumiewających rzeczy.

- Nie wiedziałem o tym.

Hełm V'thella zwrócił się w jego stronę.

- Myślę, że bardzo niewiele wie.

- Błagałem cesarzową o wycieczkę i zgodziła się! – ryknął Urko, stając przy barykadzie. – Nadciąga odsiecz! Imperialna piechota! Ma

za zadanie was bronić i walczyć u waszego boku! Uehonorujcie to! Słyszycie? Uehonorujcie to!

Do najbliższej bramy podbiegła kolumna ciężkiej piechoty. Cesarzowa zdążyła już zebrać ludzi. Ullen mógł tylko pokręcić głową. Jakie szanse mieli z tak przewidującym przeciwnikiem? A mimo to niewiele zabrakło. Co by się stało, gdyby Seti ich nie zdradzili? Gdyby...

Przerwał tę myśl. Gdybanie nie miało końca ani sensu. Ważne było tylko to, co wydarzyło się naprawdę. Pogódź się z tym, człowieku, a może będziesz miał szansę zachować zdrowe zmysły.

Zza barykady dobiegł radosny, chóralny krzyk. Ullen wyobraził sobie ciężką piechotę w pełnym rynsztunku stojącą na drodze bestii i próbującą ją zmusić do odwrotu. Z pewnością Ryllandaras zabije wielu, ale będzie mu znacznie trudniej i zapłaci zdecydowanie większą cenę. Odgłosy bitwy zmieniły charakter. Było słychać mniej przeraźliwych wrzasków ludzi rozrywanych na strzępy przez kły i pazury. Na czoło wysunął się szczek zbroi i tarcz. W powietrzu unosiły się sfrustrowane warknięcia. Do zgiełku dołączył tętent kopyt i przenikliwe rżenie rannych koni. Walka trwała. W pewnej chwili tarcza wzbijała się w górę niczym latawiec. Nim spadła na tłum, Ullen zdążył zobaczyć nadal ściskającą ją rękę. W końcu jednak przewaga liczebna przeciwnika zmusiła bestię do odwrotu. Tak przynajmniej powtarzał sobie Ullen. Być może Ryllandaras po prostu się nasycił albo doszedł do wniosku, że gdzie indziej znajdzie łatwiejsze ofiary. Tak czy inaczej, odszedł. Z gardeł wszystkich żołnierzy, w obozie i na zewnątrz, wyrwał się chóralny, ochryply krzyk. Ullen wrzeszczał, Urko unosił pięści nad głowę. Ludzie potrzásali barykadą. Potwór odszedł. Zdołali powstrzymać grozę.

Urko wrócił od bariery i zasalutował komuś stojącemu za plecami Ullena. Ten odwrócił się zdziwiony. Laseen przez cały ten czas nie ruszyła się z miejsca.

- Nadal żałuję, że nie ja dowodziłem tą wycieczką - warknął Urko.

- Będziesz mi jeszcze potrzebny.

Ściągnął brwi i przymrużył powieki.

– Gwardia.

Laseen skinęła głową.

Na wilgotnych od deszczu ramionach Ullena pojawiła się gęsia skórka.

Bogowie, Gwardia! Laseen spodziewa się ataku. Ale po co? W imię kogo? Nie mają sponsorów. Liga Taliańska została rozbita. Pokonanie tej armii, nawet zabicie Laseen, nie zniszczy imperium. Nie można zawrócić historii, wrócić do czasów sprzed konsolidacji. Czemu to wszystko służy? Ale z drugiej strony, czemu służyła dzisiejsza bitwa?

Dotknął spoconego czoła i zaczerpnął głęboko tchu.

Przestań! Jestem taki zmęczony. Nawiedzają mnie coraz mroczniejsze myśli.

Ullen poderwał się nagle. Z oddali dobiegł łatwy do rozpoznania huk eksplodujących pocisków Moranów. W pierwszej chwili zwrócił się do V'thella, który pokiwał skrytą pod hełmem głową.

– Znakomicie – rzekł. – Świadomość, że na pewno tu przyjdzie, umożliwiła przygotowanie zasadzki.

Pokłonił się Laseen, okazując podziw.

Urko spojrział na cesarzową. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

– Na bramę Kaptura, Gbur... Laseen. Widzę, że wciąż cię nie doceniamy.

– Podobnie jak wielu innych – odparła z roztargnieniem w głosie. W jej ciemnych, wpatrzonych w noc oczach pojawiły się błyski. – Chciałabym móc przypisać sobie zasługę, ale to nie moja robota. – Skinęła na jednego ze swych sztabowców, kobietę. – Dowiedz się, kto za tym stał.

Kobieta zasalutowała i pobiegła do konia.

– A teraz... – ciągnęła Laseen – ...sugeruję, byśmy spróbowali się trochę przespać przed świtem. Urko, V'thell, możecie porozmawiać ze

swoimi żołnierzami. Ale tylko przez barykadę. Do jutra.

V'thell pokłonił się. Urko skinął głową. Potem obaj ruszyli ku barykadzie. Ullen wytarł twarz w dłonie i podążył za nimi.

* * *

Ghelel obudziło pukanie w centralną tyczkę namiotu. Wstała, znalazła sztylet w pochwie, leżący obok łóżka, i okryła się grubym, ciepłym płaszczem, chowając nóż pod nim.

- Słucham.

- Wybacz, rotmistrzu - rozległ się głos markiza. - Nadeszły wieści.

- Wejdz.

Gruba poła odchyliła się z głośnym szelestem. Ghelel usłyszała, że markiz wszedł do zewnętrznego przedziału jej namiotu. Zapaliła się lampa. Dziewczyna odsunęła wewnętrzną zasłonę.

- Słucham, markizie.

Mężczyzna nalewał sobie wina do kielicha. Miał na sobie długą, pozbawioną ozdób koszulę i spodnie. Na jego znaczną masę najwyraźniej składały się w równym stopniu mięśnie i tłuszcz. Spojrzał na nią.

- Przegraliśmy.

- Przegraliśmy?

- Bitwę. - Popatrzył na kielich z zasepioną miną. - Liga Taliańska już nie istnieje. Toc najprawdopodobniej zginął. Urko, Choss i dowódca Żółtych dostali się do niewoli.

Ugięły się pod nią kolana. Sięgnęła po krzesło, ale wzięła się w garść, nie chcąc okazać słabości.

- Tak szybko...

- Przykro mi.

- Tak...

- Napijesz się?

- Tak, dziękuję.

Napełnił drugi kielich i wręczył go Ghelel.

- Gdybyś tam była, również dostałabyś się do niewoli, a zapewne już byś nie żyła.

Przyjęła od niego kielich, uśmiechając się ze smutkiem.

- Gdybyśmy tam byli, mielibyśmy szansę zwyciężyć, markizie.

- Może i tak.

- I co teraz?

- Musimy uciekać. Kańczycy z pewnością spróbują nas dopaść, by wykupić się w łaski cesarzowej.

- Dokąd?

- Do mojej prowincji w północnym Tali. Tam będziemy bezpieczni. Rzecz jasna, nie uniknie się odwetu. Czystek wśród arystokracji. Reparacji mających osłabić Tali. Ale na tym powinno się skończyć.

- A ja, markizie? Co będzie ze mną?

Jhardin zaczerwienił się, odwracając wzrok.

- To powinno być oczywiste... Ghelel. Zostaniesz markizą. Moją żoną.

Dziewczyna pożałowała, że nie usiadła na krześle.

Co? Jak śmie?! Prędzej zginę!

Cisnęła kielichem w bok.

- I co teraz? Rzucisz mnie na to łóżko i zgwałcisz?

Sięgnęła pod płaszcz i zacisnęła dłoń na rękojeści sztyletu.

- Zapewniam, że nie zrobię niczego równie melodramatycznego. Nie, z czasem się z tym pogodzisz. Uświadomisz sobie, że unia naszych rodzin jest polityczną koniecznością. Ród Tayliinów musi przetrwać. Jestem pewien, że to rozumiesz. - Wrócił do stołu i odstał kielich. - W tym pokoleniu przegraliśmy, ale może nasi synowie lub córki albo ich dzieci... - Odwrócił się. Jego twarz złagodniała. - Wiem, że... nie jestem spełnieniem twoich marzeń, ale dobrze rozważ tę sprawę. Tak będzie najlepiej. - Wskazał wejście. - I nie próbuj

zrobić czegoś głupiego. Jesteś pod strażą. Rzecz jasna, dla twego bezpieczeństwa. Dobranoc.

Żałowała, że nie ma już tego kielicha. Mogłaby nim rzucić za murem. Gdy tylko poła się zasunęła, Ghelel opadła na najbliższe krzesło. Dokąd mogła się udać? Co mogła zrobić? Była cholernym więźniem! Wstała i podeszła do stołu po wino. Mogłaby spróbować zabrać prowiant i wymknąć się tyłem. Coś poruszyło się za jej plecami. Odwróciła się błyskawicznie, ponownie sięgając po sztylet. To był Molk. Dostał się do namiotu w tym miejscu, gdzie upadł kielich.

- Widzę, że nadal brutalnie traktujesz zastawę - zauważył, spoglądając na odłamki szkła.

- Gdzie się podziewałeś? - wyszczała.

Wywrócił oczyma, uśmiechając się szeroko.

- Byłem w okolicy. Słuchałem, patrzyłem.

- Ładny z ciebie strażnik osobisty! Jestem tu więźniem!

- Mów ciszej - ostrzegł. - Do tej pory nic ci nie groziło, prawda?

- Do tej pory!

- No właśnie. Ale teraz boję się, że możesz zrobić jakieś głupstwo.

- Ja?

- Tak. Na przykład uciekniesz pod wpływem emocji, nie zastanawiając się przedtem.

- Nie ma się nad czym zastanawiać - wyszczała.

- Ależ jest. - Podeszedł do stołu, wziął sobie trochę wędzonego mięsa i nalał wina. - Dlaczego to ty miałabyś zniknąć? - zapytał niewinnie.

- Nie rozumiem...

Spojrzał na nią, wzruszając ramionami.

- Mógłbym upozorować atak szponów...

Ghelel wlepiła w niego spojrzenie. Jej palce zsunęły się ze sztyletu.

Upozorować... Dessembræ, nie! Cóż za przerażająca propozycja!

Dopadły ją mdłości. Wytarła rękę o płaszcz.

- To okropna sugestia.

Zmarszczył brwi w zamyśleniu.

- Masz rację, pewnie lepiej byłoby zaczekać na ślub i zabić go dopiero potem.

- Nie o to mi chodziło! - zawołała i zakryła usta ręką.

Molk nasłuchiwał przez chwilę, unosząc głowę. Potem zbył jej obawy machnięciem ręki.

- Nie? Naprawdę? Rzecz jasna, problem polega na tym, że on już ma żonę.

- Słucham?

- Och tak.

- W takim razie...

Molk wzruszył ramionami.

- No cóż, jej krew z pewnością nie jest tak bogata jak twoja...

- Nie zrobiliby...

Molk pociągnął łyk wina.

- Nasz markiz to ambitny człowiek.

Ghelel syknęła przez zaciśnięte zęby.

- Stanowczo za dobrze się bawisz, Molk.

Podszedł bliżej.

- Na tym właśnie polega moja robota, Ghelel - oznajmił jeszcze bardziej ściszym głosem. - I jestem w niej dobry. Stoisz teraz przed ważnym wyborem. To wielkie rozwidlenie dróg w twoim życiu, że tak powiem. Czy chcesz zostać w tej grze, czy ją opuścisz? Co postanowisz?

Ghelel omal nie powiedziała natychmiast, że chce opuścić grę, ale coś w jej jaźni wyszeptало: „Jak właściwie brzmią rozkazy, jakie otrzymał od Amarona? Ma mnie strzec, a jeśli się nie uda... zabić mnie? Czy to właśnie miało znaczyć słowo »opuścić«?».

Oddaliła się o kilka kroków.

- Muszę się zastanowić - mruknęła. Nagle odwróciła się, ściskając w rękę sztylet. - A gdybym powiedziała, że chcę opuścić grę? Co byś wtedy zrobił, Molk?

Rozciągnął usta w szerokim uśmiechu i potrząsnął z żalem głową.

- Powiedziałbym, że wielka szkoda, bo potrafisz myśleć w odpowiednio podstępny sposób. Bez obaw, nic w tym rodzaju. Zapewniam, że gdybym chciał cię zabić, już byś nie żyła.

- Tak teraz mówisz. Ale dlaczego miałabym ci wierzyć?

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Molk uniósł rękę, złączył palce i między nimi pojawiła się ciemność. Tańczący płomień nocy.

- Uwierz mi.

Och. Wyprostowała się i schowała sztylet.

- Rozumiem. I co teraz?

- Ubierz się na drogę. Nocą wyruszymy.

Skinęła głową i zasunęła wewnętrzną zasłonę.

* * *

Byli gotowi. Ghelel spakowała tyle prowiantu i wody, ile tylko mogli udźwignąć, a Molk podszedł do tylnej ściany namiotu i nasłuchiwał przez jakiś czas. Skinął na dziewczynę, a potem uniósł przybity kołkami brzeg namiotu. Przeszyła go wściekłym spojrzeniem, ale on tylko wzruszył ramionami.

- Proste sposoby zawsze są najlepsze - wyszeptał i skinął na Ghelel, każąc jej ruszać.

Nie wiedziała, czy ukrył ich za pomocą swej sztuki, ale nikt nie zauważył, jak opuszczali obóz, ani nie podniósł alarmu. Wspięli się na wzgórce położone na północ od osłoniętej lesistej niecki, w której obozowała Straż Pograniczna. Dziewczyna słyszała szum odległego Wodospadu Skruszonej Ziemi. Rzeka spływała z Urwiska Pożogi po drodze do Morza Napańskiego.

- I co teraz? - zapytała.

- Przejdziemy przez rzekę przy wodospadzie. Jest tam mnóstwo tratw i łodzi. Potem odprowadzę cię na miejsce. - Spojrzał na nią. - Zakładam, że chcesz wrócić do Quon?

- Tak. A ty... pozwolisz mi na to?

Skinął dłonią.

- Och tak. Nie ulega wątpliwości, że nie nadajesz się do takiego życia. Masz stanowczo za dużo skrupułów. Nie, lepiej się wycofaj, zanim cię zabiją albo zmienisz się w kogoś, kim byś gardziła... - Odwrócił się i odchrząknął. - Życzę ci szczęścia.

Gdy dotarli do zatoczek położonych na wschód od wodospadu, było już niebezpiecznie blisko końca nocy. Blade, rozproszone światło przedświtw padało na bagnisty brzeg z jego widmową płataniną kłód, wyrwanych z korzeniami drzew oraz fragmentów drewnianych konstrukcji wyrzucanych na brzeg poniżej wodospadu. Twarz Ghelel muskała chłodna mgiełka. Całe ciało dziewczyny wibrowało od basowego łoskotu spadającej wody.

Przez pewien czas kryli się za drzewami. Molk obserwował z pozoru opustoszałą okolicę. Wreszcie wstał i skinął na Ghelel. Ruszyli w stronę brzegu.

- A teraz musimy znaleźć tratwę albo łódkę. Jest ich tu mnóstwo. Tubyłcy...

Nagle zwałił się na plecy. Z piersi sterczał mu bełt ze skórzaną lotką.

- O cholera! - wydyszał.

Ghelel krzyknęła zszokowana i zaskoczona. Odwróciła się błyskawicznie, wyciągając miecz i ciężki lewak. Ujrzała szczupłego mężczyznę w ciemnoszarym stroju. Napastnik odrzucił dziwną smukłą kuszę. Zgiął ręce i w jego dłoniach pojawiły się długie sztylety do rzucania. Ruszył w stronę Ghelel, poruszając nimi w tańcu nożownika. Odwróciła się, przybierając pozycję bojową.

Wyprostował się, zaklął i zniknął w plamie migotliwych cieni.

No nie! – pomyślała oburzona dziewczyna. – Jakby tego było mało! Obróciła się, zataczając krąg bronią, i zobaczyła, że Molk również zniknął.

Groty! Walczy z nim! Załatw go, Molk!

Nie wiedząc, co robić, raz jeszcze uderzyła mieczem i nożem. Woda! – pomyślała i pobiegła w jej stronę.

W miejscu, gdzie przed chwilą stała, coś trzasnęło jak gałąź pękająca w ognisku. Ghelel nie obejrzała się ani nie zwolniła kroku. Brnęła przez błoto, aż wreszcie woda sięgnęła jej ud. Potem odwróciła się w stronę brzegu.

Spróbuj teraz, skurwysynu!

Patrzyła na połamane gałęzie i poruszaną wiatrem bagienną trawę. Serce tłukło jej gwałtownie. Nasłuchiwała podejrzanych dźwięków. Odwracała się nagle, słysząc stukot poruszanych prądem kłód. Gdy jakieś zwierzę weszło z pluskiem do wody, omal nie zakrzyknęła w głos.

No chodź! Skończmy to, w tę albo w tamtą!

* * *

Pośród korzeni zwałonego drzewa zatańczyły szare cienie. Uformowała się z nich mroczna sylwetka. Wiła się gwałtownie, poruszając kończynami, sypały się z niej czarne płatki. Uszu Ghelel dobiegł przenikliwy jęk bólu. Bogowie! Modliła się, by to nie był Molk. Na jej oczach cień się rozpułynał. Poczowała zimne jak lód ukłucie, gdy ostrze wbiło się w jej przedramię. Potem usłyszała plusk. Wciągnęła gwałtownie powietrze, skacząc do przodu. W wodzie za nią szamotały się dwa ciała. Popłynęła krew. Dziewczyna skuliła się, unosząc miecz w jednej ręce. Woda kotłowała się i pieniała, jakby wrzała. Potem uspokoiła się z sykiem, pęcherzyki rozproszyły się powoli. Na powierzchni pojawiło się ciało. Po sterczącym z pleców belcie poznała, że to Molk. Podeszła bliżej i złapała go. Woda parzyła jej nogi oraz rękę. Warknęła

z bólu, przyciągnęła mężczyznę bliżej, odwróciła go na plecy i wyciągnęła jedną ręką na brzeg. Druga zwisała bezwładnie u jej boku.

Uklękła obok niego, przyglądając się poparzonej, czerwonej jak burak twarzy.

– Molk!

Kaszlnął, wypluwając mnóstwo wody. Wykrzywił twarz w grymasie bólu.

– Cholera! To... – Odetchnął z wysiłkiem. – Nie poszło dobrze. – Otworzył jedno oko. – Ghelel?

– Tak.

– Przepraszam. Powinienem się tego spodziewać. Byłem zbyt zarozumiały, tak? Wydawało mi się, że jestem taki cholernie sprytny.

– Nic nie mów, odpocznij.

– Nie. Muszę mówić. Nie wyjdę z tego. Musisz się ukryć bardzo głęboko. Ci dwaj byli magami. Ich śmierć przyciągnie uwagę. Wyślą za tobą kogoś jeszcze lepszego. Uciekaj. Przejdź na drugi brzeg i skieruj się na zachód. Życzę ci szczęścia... w ucieczce od tego syfu. Mam nadzieję, że ci się uda.

– Równie dobrze mogę wrócić do Straży Pogranicznej. Wytropią mnie bez trudu.

Molk uśmiechnął się. Potem kaszlnął, plując krwią.

– Nie – wyszeptał. – Zawiadomiłem Kańczyków, gdzie się ukrywają.

– Nie gadaj! Ty wredny, podstępny...

– Wiedziałem, co postanowisz. A teraz idź. Chciałbym uwierzyć, że z tego wszystkiego wyniknie coś dobrego...

Położyła mu dłoń na czole.

– Tak, pójdę. Ucieknę stąd, dzięki tobie. – Pocałowała go w spękane, krwawiące usta. – Dziękuję. Nie jesteś... tym, za kogo cię miałam.

Złapała porzucony plecak i pobiegła poszukać łodzi.

Molk został sam. Leżał na plecach, oddychał coraz wolniej i z coraz większym wysiłkiem, spoglądając na jaśniejące niebo. Wreszcie z jego ust wyrwał się słaby, pełen żalu chichot.

- Ty również nie.

* * *

Porzuciwszy przeciekającą łódź wśród zielska, potruchtała na zachód, trzymając się najwilgotniejszego, najbardziej podmokłego terenu. O świcie dotarła do wielkiego Urwiska Pożogi. Przed sobą miała bity trakt, wchodzący serpentynami na szczyt w jednym z najniższych miejsc, postanowiła jednak, że nim nie pójdzie. Zamiast tego wybrała wąską ścieżkę wydeptaną przez muły. Po dotarciu na górę znalazła zagajnik, w którym mogła się ukryć. Klęczała tam przez pewien czas, zastanawiając się, co robić dalej. Było coraz jaśniej i do dziewczyny zlatywały się owady. Wreszcie zdjęła hełm i zaczęła ściągać jedną ręką zbroję. Potem wykopała sztyletem dół i ukryła w nim zbroję, opończę, nogawice, pancerne rękawice, hełm, a nawet wojskowe buty. Doszła do wniosku, że Ghelel Rhik Tayliin i rotmistrz Alil muszą umrzeć.

A miecz? Stary, znajomy oręż? Jak mogła go zostawić, wiedząc, kto ją ściga? Nie, musi to zrobić. Zostawi wszystkim.

Co zresztą pomoże miecz, jeśli znajdą mnie szpony?

Pogłębiła dół i wsunęła do niego broń. Nawet opróżniła plecak i wepchnęła do środka. Następnie zasypała dół i udeptała ziemię. Miała teraz na sobie tylko płócienną koszulę ze sztyletem ukrytym pod spodem. Rozczochrane włosy opadały jej luźno na plecy. Rękę zabandażowała, a prowiant i ostatni bukłak z wodą włożyła do torby niesionej na ramieniu. Ruszyła w drogę.

Słońce grzało jej plecy. Odnosiła wrażenie, że popycha ją naprzód.

Jestem w najlepszej sytuacji w życiu, sama i bezbronna, a mimo to czuję się wolna i lekka. Jak nowo narodzona. Mogę pójść, dokąd

zechcę, zrobić cokolwiek. Co więc wybiorę? Będę musiała być ostrożna. Ci ludzie nigdy nie zrezygnują.

Mimo to przyszłość, jeszcze niedawno nie lepsza od więzienia, wydawała się jej teraz jasna i klarowna. Po raz pierwszy od owego krwawego dnia w posiadłości Sellathów czuła, że panuje nad swym losem. Cokolwiek się zdarzy, to ona będzie podejmowała decyzje.

Na brzegu Idrynu znalazła nędzny przysiółek, tak mały, że z pewnością nie miał nazwy. Minęła kilka lepianek i dotarła do brzegu, gdzie małą, jednomasztową łódź przygotowywano do rejsu w górę rzeki. Trudzący się przy załadunku młodzieńcy przerwali pracę, spoglądając na dziewczynę. Uśmiechnęła się do nich.

– Kto jest właścicielem łodzi? Chciałabym się zabrać w górę rzeki. Towarzyszyłam armii, ale mój mężczyzna nie żyje, więc wracam do domu.

– Mój ojciec – odpowiedział jeden z chłopaków, wybałuszając oczy.

– Mógłbyś go zawołać?

Chłopak odrzucił kosz i pobiegł wzdłuż brzegu.

– Tatko! Tatko!

Ghelel skrzywiła się, ale podążyła za nim. Miała pieniądze. Właściciel zapewne w życiu nie widział tak wielkiej sumy. Żywiła nadzieję, że to wystarczy, by kupić jego milczenie. Wystarczy, by mogła zapłacić cenę, jakiej bogowie zażądadają za nowe życie.

Księga trzecia

Los i przypadek

Światło uderza,
Ciemność gęstnieje,
Cień krąży wkoło.

Starożytne powiedzenie,
pierwotny sens zagiął.

Rozdział I

Wszyscy kłaniają się Wiecznemu Kręgowi
Oprócz Zaprzysiężonych.
Wszyscy znikają w gęstniejącej Nocy
Oprócz Zaprzysiężonych.
Wszyscy niszczycielskiemu czasowi ulec muszą
Oprócz Zaprzysiężonych.
Nikt się przed dotykem Kaptura nie obroni
Oprócz Zaprzysiężonych.
Ale wabikowi wiecznego powrotu ulegają.

Duma o K'azzie Rybak kel Tath

Oprawca wyznaczył Blask i jedną ze swych Zaprzysiężonych magów, Marę, by towarzyszyły mu podczas rokowań z cesarzową. Tuż po świcie zatknął wysoki krzyż z długą karmazynową chorągwią na niewysokim wzgórzu na południe od obozu i wszyscy troje czekali w tym miejscu. Zsiedli z koni i Blask oddaliła się na niewielką odległość. Myślami przebywała bardzo daleko od zbliżającego się spotkania. Braciszkanie, rzecz jasna, zatriumfowali. Spełnienie Ślubów było bardzo blisko. Wszyscy poświęcili temu celowi swe życie i śmierć. Nie słyszała wśród nich ani jednego szeptu niepokoju. Argumenty Dymka i Szarej Grzywy, jeszcze niedawno tak przekonujące, wydawały się teraz zupełnie niewiarygodne, a nawet haniebne.

„Dymek zazdrości Czepcowi, bo chciałby stanąć u boku dowódcy zamiast niego” – szeptali Braciszkanie. – „Szara Grzywa nie jest jednym z nas” – dodali szyderczym tonem. – „Nic nie rozumie. Co może o nas wiedzieć?”

„A co z Przechyłem?” – zapytała.

„To dezterter! Wymknął się, porzucił Śluby!”

– Blask! – zawołał Oprawca. – Zauważyłem, że ostatnio jesteś dziwnie spokojna i pełna rezerwy. To nie czas na żale. Jesteśmy blisko zrealizowania naszych pragnień.

Poprawiła grawerowany srebrem hełm i zwisający z niego nakarczki.

– Wolałabym, żebyśmy mieli więcej ludzi.

– Zaprzysiężeni zwyciężą w każdym starciu.

– W starciu tak. Ale to, jak nas przyjęto w Uncie...

Oprawca machnął lekceważąco ręką.

– Nie potrzebujemy ich aprobaty.

Blask odwróciła się i przyjrzała mu uważnie.

Aprobaty? Co mieliby aprobować?

– Ktoś się zbliża! – zawołała Mara, odgarniając gęste, targane wiatrem loki. – Cztery osoby. Nie ma wśród nich maga.

– Czy zostali jej jeszcze jacyś godni tej nazwy? – zapytał Oprawca, zwracając się raczej do samego siebie.

– Bardzo niewielu. Ale Heng jest blisko, a tam wyczuwam potężne moce.

– Dziękuję, Mara.

Dalhonka pokłoniła się, poprawiając szaty.

– Zaraz tu będą.

Czterej jeźdźcy byli coraz bliżej. Blask zauważyła, że to sami mężczyźni. A więc nie było wśród nich Laseen. Co prawda, nie liczyła na to, że cesarzowa się zjawi, lecz mimo to poczuła się urażona. Z pewnością Laseen i jej doradcy zdają sobie sprawę, że nas nie można lekceważyć. Pierwszy z jeźdźców był Napańczykiem, co często się zdarzało wśród najwyższych rangą dowódców imperium – łatwe do przewidzenia kumoterstwo – i jechał pod chorągwią Miecza Imperium. A więc spadkobierca pozycji Dassema przybył pertraktować z jednym z niezliczonych wojowników – być może nawet jedynym – którzy uszli z życiem ze starcia z jego poprzednikiem. Zadała sobie pytanie, czy

ten człowiek potrafi zrozumieć tak subtelną ironię. Zapewne nie. Drugi jeździec był niespodzianką – Złoty Moranth, być może ten sam dowódca, który wczoraj walczył przeciwko Laseen. Ach tak, to był kolejny przejaw sławnego wyrachowania, czy może trzeźwości, z jaką Moranthowie podchodzili do sojuszy. Dwaj pozostali dowódcy – jeden starszy, wysoki i szczupły jak topola, a drugi młodszy – wyglądali zwyczajnie.

Jeźdźcy ściągnęli wodze. Miecz zdjął hełm i pokłonił się płytko. Był spocony i zarumieniony.

– Jestem Korbolo Dom, Miecz Imperium, a to V'thell, dowódca Złotych, wielka pięść Anand i komendant Ullen.

– Jestem Oprawca. Dowodzę Karmazynową Gwardią. To są Mara i Blask – Wszyscy czterej mężczyźni pochylili głowy. – A więc cesarzowa nie raczyła przybyć na spotkanie. Podała jakiś powód?

– Cesarzowa nie negocjuje z najemnikami.

Oprawca rozprostował ręce. Zbroja zgrzytnęła. Zacisnął zakute w stalowe rękawice pięści.

– Zastanawiam się, czy masz pojęcie, z kim rozmawiasz.

– Zapewniam, że wiem o tobie bardzo wiele – odparł ze spokojem Korbolo. – Ty natomiast nie wiesz o mnie nic.

Łypnął wyzywająco spode łba. Oddychał z wysiłkiem, poruszając nerwowo rękami, w których trzymał wodze.

Dowódca Karmazynowej Gwardii przyjrzał mu się z uwagą, a potem skinął z namysłem skrytą pod hełmem głową i ponownie skrzyżował ręce na piersi.

– Jestem przekonany, że wiem już o tobie wszystko, co powinienem. – Podniósł głos, zwracając się do całej czwórki: – Nasze warunki brzmią następująco: Cesarzowa Laseen ma oficjalnie abdykować i wyrzec się suwerennej władzy nad wszelkimi ziemiami i posiadłościami. W przeciwnym razie zmusimy jej siły do bezwarunkowej kapitulacji.

Miecz Imperium uśmiechnął się z nieskrywaną pogardą.

- A to są nasze warunki, najemniku. Jesteście nieusankcjonowaną grupą zbrojnych ludzi, zwykłymi bandytami, którzy wtargnęli na nasze ziemie. Macie oddać broń i pozwolić, by eskortowano was do najbliższego portu celem odesłania za morze. W przeciwnym razie wszystkich was czeka ukrzyżowanie. Wybór należy do was.

Blask omal nie roześmiała się w głos. Bogowie, z pewnością nigdzie poza Otchłanią nie można by znaleźć głębszej przepaści! I tego człowieka cesarzowa wysłała na negocjacje. Czyżby świadomie próbowała ich sprowokować?

Oprawca znieruchomiał, podobnie jak towarzyszący Mieczowi imperialni posłowie. Moranth, rzecz jasna, pozostawał dla Blask tajemnicą, ale starszy z dwóch pozostałych, wielka pięść, skrzywił się z niesmakiem. Nie sprzeciwił się jednak tym brutalnym słowom. Młodszy dowódca, Ullen, nawet nie próbował skrywać antypatii do Miecza, lecz na jego twarzy nie widziała wątpliwości, a jedynie... żal. Pogodził się już z nadchodzącą bitwą i wysokim prawdopodobieństwem śmierci. Być może wszyscy oni się pogodzili z takich czy innych powodów. Szkoda. Nie mieli szans na zwycięstwo.

Dowódca Karmazynowej Gwardii skinął ociężale głową, jakby z niechęcią przyjmował do wiadomości te słowa. Uniósł zakutą w żelazo dłoń.

- Proszę bardzo. Najwyraźniej bogowie zdecydowali, że musimy dziś przelać krew. Nie możemy ich zawieść.

Pokłonił się.

Miecz zawrócił wierzchowca. V'thell, dowódca Złotych, odpowiedział Oprawcy ukłonem.

- Będzie dla mnie zaszczytem spotkać się z tobą na polu bitwy - oznajmił.

Wielka pięść pochylił głowę, zaciskając mocno usta w kwaśnym grymasie. Blask zaskoczyła jednak reakcja młodszego dowódcy, Ullena. Mężczyzna przyglądał się im przez pewien czas, jakby po raz ostatni miał okazję widzieć coś rzadkiego i niezwykłego. Odprowa-

działa go spojrzeniem, zastanawiając się, co to miało znaczyć? Czy żegnał się z własnym życiem? A może kryło się za tym coś, o czym nie wiedziała? Zakłopotana ją ta możliwość.

Oprawca dosiadł wierzchowca.

– Rozwiniemy szyk na południu. Musimy odciąć kańskie oddziały.

– Zgoda – poparła go Blask.

Spojrzał na nią, ujmując wodze.

– Nigdzie mi się nie śpieszy. Mam nadzieję, że sprawa przeciągnie się do nocy.

– Rozumiem.

Tak, noc. Ludzie będą odsłonięci, izolowani na otwartej przestrzeni. Strach przed Ryllandarasem może wystarczyć, by dać nam zwycięstwo w bitwie.

– Czepiec, welony i magowie?

– Użyjemy ich wszystkich. Zamierzam zademonstrować, że nikt nie powinien stawiać nam oporu, Blask.

* * *

– O czym, twoim zdaniem, mówią, sierzancie? – zapytał Kubło, spoglądając na południe.

Przekłuwają nawzajem swe balony wygórowanego mniemania o sobie i wszyscy zginiemy z tego powodu! O tym właśnie rozmawiają!

– O niczym ważnym, Kubło. To tylko formalność.

Formalność, którą trzeba odbębnić, nim Gwardia pochowa nas wszystkich. Naitowi trudno jednak było zapomnieć o tym, co widział ostatniej nocy. Dwaj weterani naprawdę zdołali powstrzymać Ryllandarasa! Jak dokonali tej sztuki? Jak ktokolwiek mógł jej dokonać? To było jak dawne opowieści o pojedynkach wielkich wojowników z czasów przed śmiercią Dassema. Słyszał, jak niektórzy Talianie mówili, że widzieli coś podobnego w Heng. Potem bestia czmychnęła niewia-

rygodnie szybko – tylko drasnęli ją swymi pociskami – i zniknęła jak fretka w norze. Jak coś równie wielkiego mogło być aż tak szybko? Problem w tym, że Ryllandaras to cholerny Ascendent, mój drogi Naicie. A ci dwaj powstrzymywali go przez pewien czas. Zastanów się nad tym.

Nasunęła mu się myśl, że szanse przetrwania i jego, i jego drużyny mogą znacznie wzrosnąć, jeśli będą się trzymać blisko obu weteranów. Warto o tym, pamiętać, gdy znajdują się na polu bitwy. Na razie jednak musiał wybrać kaprala. Wolałby tego nie robić, lepiej nie dawać nikomu autorytetu pozwalającego zbywać jego rozkazy pociąganiem nosa i dyskutować o jego planach. Musiał jednak kogoś wyznaczyć, na wypadek gdyby Kaptur zdołał wreszcie go przyszpilić, nawet jeśli potem będzie mu wszystko jedno. Będzie się zapierał rękami i nogami pod Bramą Kaptura.

Wszyscy poza Kubło, który stał na warcie, leżeli na ziemi i chrapali. Pozwoli im pospać jeszcze trochę. Zasłużyli na to. Oczywiście to nie mógł być żaden z nowych rekrutów. Ani Martin czy Tranter. Nazwać ich sabotażystami to byłoby tak, jak nazwać łopatę brzeszczotem jubilerskim. Nie, to musi być jeden z regularnych żołnierzy. Najlepiej Maja. Była inteligentna. Zbyt inteligentna, szczerze mówiąc. Nie podobało mu się, jak na niego patrzyła. Potrafiła go przejrzeć na wylot. Co mógł zrobić, by zamknąć jej gębę? Uczynić ją częścią hierarchii i tyle! Szkoda, że nie była Rączką. Miała krótko obcięte włosy, stare blizny na nosie i podbródku, a do tego była wyjątkowo koścista. Tak, nie sądził, by miał jeszcze kiedyś spotkać taką kobietę jak Rączka. Była dla niego przeznaczona. Był przeklętym przez Kaptura durniem! Ta Maja z pewnością miała ciężkie życie, nim się zaciągnęła. Tata ją bił i tak dalej. Nait widział to już nie raz.

Wstał z jękiem, przeciągnął się i kopnął obutą w sandał stopę Mai. Szczupła kobieta przykucnęła w pozycji bojowej, wyciągając nóż zza pasa.

Tata pewnie nie ograniczał się do bicia, pomyślał Nait. Skinął na nią, każąc iść za sobą. Zabrała broń i przesywanicę, a potem podążyła za nim.

– Wreszcie zdobyłeś się na odwagę, by uciec? – zapytała po drodze.

– Dzięki mnie wszyscy nadal żyjemy – odparł półgłębkiem.

– Szczerze mówiąc, jeszcze nie zdecydowałam, czy lepiej nam będzie z tobą, czy bez ciebie.

– Od tej chwili jesteś kapralem, więc oficjalnie stanowisz część problemu.

– Serdecznie dziękuję.

Dotarli do grupy oficerów i podoficerów. To była generalna narada dowódców jednostki Wyłam Zęba, zwanej teraz Siódmym Batalionem. Nait wepchnął się do kręgu i poszukał wzrokiem znajomych twarzy. Znalazł Najmniejszego i Lim Tal, a także Heuka. Towarzyszyło mu dwóch podenerwowanych starsusków, zapewne stanowiących całą kadrę magów batalionu.

Biedne skurczybyki. Zaprzysiężeni wkrótce ich rozmasła.

– To nowy rodzaj bitwy i potrzebna będzie nowa strategia – zaczął Wyłam Ząb. Czarne, kędzierzawe włosy sterczały mu na wszystkie strony. – Prawdę mówiąc, to stara strategia. Używaliśmy jej w walce przeciwko nieprzyjaciołom dysponującym silnym korpusem magów. Minęło już sporo czasu, odkąd ostatnio mieliśmy z takimi do czynienia, więc zapewne wszystkim tu wyda się nowa. – Pstryknął owłosionymi palcami i omiół spojrzeniem twarze obecnych. – Pierwsza zasada brzmi następująco: „Nie wolno skupiać się!” Każda zwarta grupa to zaproszenie dla magów. Podzielcie się na małe oddziały, najlepiej drużyny. Miejcie oczy otwarte, patrzcie na wszystkie strony. Uważajcie na wszystko, co się dzieje na polu bitwy, kierujcie się tam, gdzie przeciwnik stawia silny opór, by go przełamać, ale nie zbijajcie się w wielkie grupy. Czekajcie na swoją kolej!

– A co ich powstrzyma przed otoczeniem i zgnieceniem nas? – zapytał jeden z oficerów.

- Wprowadzimy do akcji ruchomą zasłonę harcowników, którzy będą próbowali zrobić to samo z nimi, ale im się uda! Jasne? W porządku. Weterani z Gwardii zrobią to samo. Podzielią się na małe oddziały, swoje „ostrza”. Najświeżsi rekruci zapewne ustawią się w linię i utworzą falangi na skrzydłach. Jasne?

- A co z Kańczykami, którzy są na południu? Pomogą nam? - zapytał inny oficer.

Nait jego również nie znał. Szczerze mówiąc, nie znał żadnego z nich poza Blacharzem, a ten trzymał głębę na kłódkę i nie zadawał głupich pytań, na które Wyłam Ząb i tak z czasem odpowie.

- Ehe, Kańczycy - podjął dowódca z wyrazem twarzy mówiącym to samo, co myślał Nait. - Jeśli można powiedzieć, że mamy jakiś cel, jest nim zdobycie mostu! Po drugiej stronie rzeki czeka dwadzieścia tysięcy kańskiej piechoty i wszyscy leją w portki z pragnienia, by dowieść swej wierności wobec cesarzowej. Chcemy ich przepuścić na drugi brzeg, a Gwardia pragnie ich powstrzymać. To proste. Jasne? W porządku. - Dowódca poprawił miękką, skórzaną koszulę, zastępującą mu przeszywanicę, a potem skrzyżował ręce, chowając dłonie pod pachami. - Rozejść się! Wszyscy poza sierżantami sabotażystów. Chcę zamienić z wami słówko.

Nait zaczął, aż tłumek się przerzedzi. Kapitanowie i porucznicy kłaniali się mu z szacunkiem, choć niektórzy kręcili głowami. Wszyscy już słyszeli o nocnych wydarzeniach. Najwyraźniej opowiadano, że wymknął się ze swymi ludźmi, by zastawić zasadzkę na Ryllandarsa. Też coś! Czy ktokolwiek mógł być aż taki głupi?

Nie miał jednak zamiaru wyprowadzać ich z błędu.

Najmniejszy klepnął go po drodze w bark w geście pocieszenia. Zaskoczyło to i wzruszyło Naita. Nie sądził, by zasłużył na to swym dotychczasowym zachowaniem. Walka w falandze musiała być skrajnie nieprzyjemna.

Wyłam Ząb obrzucił świdrującym spojrzeniem czwórkę podejrzanych, niemytych, ospałych indywiduów, które zostały na miejscu. Nait

nie znał żadnego z nich. Jeden z mężczyzn miał brudny wełniany płaszcz, drugi, Dalhończyk, włożył zardzewiały hełm garnczkowy i rozdartą kolczugę, właściwie tylko plecionkę z drutu połączonego rzemieniami i kawałkami tkaniny. Czwartą osobą była smągła chuda kobieta o minie cierpiącego na zaparcie bociana.

- Chyba powinienem was sobie przedstawić - oznajmił Wyłam Zęb. - Gant. - Wskazał faceta w płaszczu. Dalhończyk miał na imię Miska, a kobieta nazywała się Urfa. - A to jest sierżant Cykor - zakończył, wskazując Naita.

- A więc to ty - stwierdziła Urfa, przyglądając się mu, jakby był czymś, co wyrosło w jej wilgotnym filcowym bucie.

- Co ja?

- Jesteś facetem na tyle głupim, że próbował załatwić Ryllandaras.

- Nie jestem aż taki głupi!

Skinęła głową, zezując w jego stronę.

- Świetnie. Miałam nadzieję, że to usłyszysz.

- Nie - wtrącił Gant, odchylając się do tyłu. - Ty tylko poszedłeś poszukać porzuconych pocisków, tak? A Ryllandaras wyskoczył z ciemności i...

Mężczyzna mrugnął porozumiewawczo.

- Ehe. Coś w tym rodzaju.

Wyłupiaste oczy Miski zmieniły się w wąskie szparki.

- I ile znaleźliście...?

- Starczy tego - przerwał mu Wyłam Zęb. - Wszyscy dostaniecie przydział. Muszę was jednak ostrzec, że Złoci zachowają większość dla siebie. Oni znają się na nich najlepiej. A teraz przejdźmy do was, żałosne dupki. Brakuje nam magów. Wszyscy o tym wiedzą. Dlatego wyruszyście na łowy. To wasze zadanie, wasze i sabotażystów ze wszystkich oddziałów. Macie trzymać głowy nisko i czekać, aż pokaże się jakiś Zaprzysiężony. Potem dacie mu popalić. Jasne?

Wszyscy pokiwali głowami.

- Tak jest - odpowiedzieli niedbałym chórem.

Wyłam Ząb wykrzywił twarz w grymasie rozczarowania, ściągając gęste, pozlepiane brwi.

- Dobra. Możecie odejść. Wszyscy oprócz Cykora. Tylko słówko.

Pozostali sierżanci oddalili się nieśpiesznie. Gant pożegnał Naita drwiącym śmiechem. Wyłam Ząb przywołał go skinieniem dłoni.

- Spotkałeś tam kogoś, prawda? - zapytał cichym głosem, podchodząc tak blisko, że Nait odsunął się z niesmakiem. Starzec cuchnął zjełczałym zwierzęcym tłuszczem, zaschniętym potem i zwietrzałym piwem.

Bogowie! Czy on nigdy się nie myje?

- Ehe. Starszego sierżanta Harcika.

- Nie, nie spotkałeś go. Jasne?

- Nikogo tam nie widziałem.

- Świetnie... A co on tam robił?

- Spotkał się z jakimś weteranem Seti. Znał go z dawnych czasów.

Gęste jak u bhederin brwi Wyłam Zęba wspięły się na jego masywne czoło, sięgając aż do skłębionej grzywy.

- A jak ten Seti się do niego zwracał? - zapytał weteran dziwnie słabym głosem.

- Mówił do niego „bracie z Miecza”.

Dowódca cofnął się o krok, jakby się zatoczył.

- Na kościstego fiuta Kaptura! - wydyszał ze zdumieniem. - Dwóch! Towarzyszy nam dwóch dawnych strażników Dassema! Zaprzysiężeni nawet nie podejrzewają, z czym mają do czynienia.

- A z czym? - zapytał Nait.

Twarcz weterana zachmurzyła się.

- Z niczym. Nic nie widziałeś i o niczym nie słyszałeś. Jasne?

Nait wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz. Jest coś jeszcze?

- Ehe. Masz pociski. Powinno się je rozdzielić między wszystkie oddziały. Zwróć je.

- Zwrócę połowę.

- Połowę?

- Umowa stoi?

Nait mógłby przysiąc, że słyszał zgrzytanie zębów weterana.

- Zgoda - warknął wreszcie starzec. - A teraz zejdz mi z oczu, zanim wsadzę cię do paki.

Nait zasalutował i się oddalił. Po chwili podeszła do niego Maja.

- Doszłam do wniosku, że może wcale nie jesteś taki zły dla oddziału - rzekła półgębkiem.

- Od tej całej miłości zaraz mi odbije - poskarżył się Nait. - Zobaczymy, co słyhać na południu.

Wspięli się na palisadę. Daleko za pofałdowanymi wzgórzami rozwijała szyki Gwardia. W obozie zabrzmiały sygnały na zbiórkę. Połączone siły Laseen, ocalałych Talian, Moranthów i Falarczyków, którzy wszyscy służyli teraz pod cesarskim berłem, zbierały się, by pomaszerować na południe.

- To otwarty teren. - Nait pogłaskał usta kciukiem. - Niedobry dla nas.

- Ale przynajmniej prawie wcale nie mają konnicy - pocieszyła go Maja.

- A kto ma? W dzisiejszych czasach o konie trudno jak o złoto.

- To znaczy, że nie należy się spodziewać zbyt wielu szybkich manewrów.

- Ehe. To będzie walka twarzą w twarz. Paskudna sprawa. Obie strony użyją wszystkiego, czym dysponują. Pamiętasz ten sprzęt oblężniczy? Weź paru chłopaków i przynieście jedną taką arbaletę. Weźcie największą, jaką znajdziecie. Rozbierzcie ją na części, jeśli inaczej się nie da. Chcę być w stanie dosięgnąć każdego punktu na polu bitwy.

Maja rozciągnęła wąskie usta, uśmiechając się na tę myśl. Skinęła głową.

- Tak jest, sierzancie.

* * *

Jedwab umieścił Stora w lepszej gospodzie. O świcie Rzut spacerowała po korytarzu przed jego drzwiami. Wyruszyła w pole, nominalnie dowodząc oddziałem hengańskich ochotników, by dołączyć do wojsk cesarzowej na wschodzie. Wydawało się prawdopodobne, że już nie wróci, chciała więc wykorzystać ostatnią okazję, by się pożegnać. Nie potrafiła jednak zdobyć się na wejście do środka. Nie widziała Stora od wielu dni. A teraz mogło być już za późno...

- Chodź, Rzut! - zawołał ją przez drzwi.

Zamarła, przeklinając skrzypiącą podłogę. Otworzyła drzwi. Storo leżał na łóżku. Przez otwarte okno wpadało do środka powietrze oraz światło wschodzącego słońca. Stała w drzwiach. Mężczyzna skinął na nią.

- Chodź. Nie śmierdzą już tak paskudnie.

Mimo woli zaczerwieniła się zawstydzona. Podeszła do łóżka i usiadła w jego nogach. Twarz Stora była rozszarpana. Zygzakowata rana pozbawiła go oka, policzka i kącika ust. Mówił teraz niewyraźnie. Rękę po tej stronie amputowano. Raniony brzuch przykrywała kołdra.

- Słyszałem, że ruszasz do boju. Wolałbym, żebyś tego nie robiła. Seti zapewne przypuszczą szturm. To dla nich ostatnia szansa.

- Zostaną tu Rell, Jedwab i Liss. Wszyscy mieszkańcy nas teraz popierają. Masz pełne kohorty i kapitana Gujrana. Wystarczy z nawiązką, by obsadzić mury.

- Ale to nadal mi się nie podoba.

- Nic mi nie będzie. Banath to dobry sierżant.

- To niebezpieczne. W mieście nic by ci nie groziło. Co więcej, zabierasz ze sobą tych trzech. Nie ufam im.

– Nie mogę powiedzieć, bym ich lubiła, ale walczyli za miasto, a Jedwab mówi, że Laseen brakuje magów. Mogą się okazać bardzo użyteczni.

Zaczerpnął z wysiłkiem tchu. Czyżby rozmowa go męczyła? Był bardziej osłabiony, niż się spodziewała.

– Nadal im nie ufam. Dlaczego tak bardzo chcą ci towarzyszyć?

– Nie wiem. Ważne, że chcą. Dlatego ich zabieram. Uważaj na siebie. Wracaj do zdrowia.

Wstała.

Spróbował się wyprostować. Podeszła bliżej i położyła go delikatnie na łóżku.

– O co chodzi?

– Wróć. Słyszysz? Masz wrócić. Nie chcę, żeby... ta walka cię zabiła.

– W porządku. Będę ostrożna. Do zobaczenia.

Uniósł rękę, otworzył dłoń i opuścił ją.

– Ehe. Uważaj na siebie. Naprawdę uważaj.

– Jasne.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Potem wcisnęła się w nie plecami, zastanawiając się nad bardzo realną możliwością, że oboje są cholernymi tchórzami.

* * *

Na dworze czekała na nią dwudziestoosobowa eskorta. W końcu Rzut była zastępcą dowódcy miejskiego garnizonu. Ruszyli razem w stronę Bramy Świtu, gdzie w dwóch rzędach zbierało się sześciuset kawalerzystów. Sygnał dano już jakiś czas temu, a dzięki bardzo stanowczemu poparciu Rella udało się wybrać sześćset zdatnych do użytku wierzchowców. Co prawda, wiele z nich ledwie się trzymało na nogach i właściwie można je było uznać za łękowate szkapki, ale na

jeden dzień jazdy po dobrej drodze wystarczą. Rzut zatrzymała się pod bramą. Przez szczelinę wciąż jeszcze padał wąski snop światła. Czekali tu na nią trzej bracia, a także Rell i Liss. Oboje dosiedli wierzchołków. Obok nich stał Jedwab. Krzyżował ręce na piersi odziany w nadal niezatętą koszulę. Towarzyszył mu Słoneczko, nachmurzony jeszcze bardziej niż zwykle.

- Co to ma znaczyć? - zapytała Rella Rzut.

- Jedziemy z wami - oznajmiła Liss.

- Prosiłem ich, żeby tego nie robili - tłumaczył się Jedwab.

- Nie powinniście opuszczać miasta...

- Dziś w nocy tu nie przyjdzie - przerwał jej Rell. Dobiegający zza zasłony hełmu głos nadal był zniekształcony przez blizny. - Wszyscy wiemy, gdzie będzie.

Rzut skinęła głową. To prawda, sądząc ze wszystkiego, co o nim słyszała, potwór z pewnością nie oprze się wabikowi rozlanej krwi. Najwyraźniej Rell i Liss pragnęli być na miejscu, gdy się zjawi. Niech i tak będzie. Miała tak niewielu ludzi, że nie zamierzała odrzucać niczyjej pomocy. Spojrzała na Jedwabia, który oplótł się ciasniej rękoma, marszcząc brwi w wyrazie bezsilnej dezaprobaty.

Podszedł do niej Słoneczko.

- To ja powinienem pojechać - warknął.

- Ktoś z nas musi zostać, a najwyraźniej to ja dowodzę w polu.

- Tydzień temu tak nie było.

- Ale teraz jest. Miejcie oko na mury od północy.

Uśmiechnął się szyderczo, sugerując, by nie uczyła go jego roboty. Skinęła na sierżanta Banatha, który wspiał się w strzemionach i skinął ręką. Chorążowie pochylili sztandary i kolumna opuściła powoli miasto przez zwróconą na wschód Bramę Świtu. Rzut uniosła rękę na pożegnanie. Mag się pokłonił. Na jego ustach pojawił się nerwowy uśmiech, mający dodać jej odwagi. Słoneczko uniósł pięść nad głowę.

Brygady zastępcy komendanta Ullena już wymaszerowały, on jednak został z tyłu, razem ze swymi adiutantami. Zmierzali przez pole bitwy, gdzie wyznaczony oddział zbierał ciała do spalenia. Na stosie ulokowanym najbliżej obozu palono zwłoki rannych, którzy zmarli od czasu bitwy. Jednym z nich był komendant Choss, który niegdyś służył pod rozkazami Laseen jako wielka pięść.

Ullen ściągnął wodze i zacisnął zakute w pancerne rękawice dłonie na łęku siodła. Cóż za cholerne marnotrawstwo. Tyle wiedzy, doświadczenia i sprytu stracone w chwili, gdy tak bardzo ich potrzebowali. Imperium maszerujące do walki ze swym najstarszym i być może najgroźniejszym wrogiem straciło jednego ze swych najzdolniejszych dowódców w czymś, co wydawało się teraz Ullenowi bezsensownym wewnętrznym sporem.

Odwieczny wróg pomaga spojrzeć na sprawę z odpowiedniej perspektywy, co, Choss?

Zmarły z pewnością doceniłby zawartą w tym ironię.

Wierzchowiec jednego z adiutantów zarżał zniecierpliwiony. Dla rozpoczynających dopiero oficcerskie szkolenie młodzieńców Choss był tylko imieniem, ostatnim wspomnieniem czasów równie dla nich odległych, jak T'lan Imassowie. Co mogli wiedzieć o kampaniach toczonych dawniej niż dwadzieścia lat temu? Niektórych z nich nie było jeszcze wówczas na świecie. Ullen jednak w nich uczestniczył. Był wtedy młodszy niż oni teraz. Przydzielono go jako kuriera do sztabu Chossa podczas ostatniego etapu podboju.

Dwaj siedzący na trawie obok żołnierze wstali i włożyli hełmy. Z pewnością przyszli złożyć wyrazy szacunku. Wyglądali na weteranów, być może ich wspomnienia sięgały aż do najwcześniejszych kampanii Chossa. Ullen poczuł nagle ochotę, by z nimi porozmawiać, podzielić się wspomnieniami o zmarłym, ale nie sprawiali wrażenia spragnionych towarzystwa i musiał uszanować ich życzenia. Gdy się

oddalali, pomyślał, że w widoku tych dwóch jest coś znajomego. Być może ich ścieżki krzyżowały się w ciągu minionych lat.

Jeden z jego sztabowców odchrząknął. Ullen zacisnął wargi, wypuszczając powietrze nosem. Z płonących ciał buchał gęsty dym i on również musiał powstrzymywać kaszel.

Żegnaj, stary przyjacielu i mentorze. Zaslugiwałeś na lepszy los. Ale z drugiej strony być może wszyscy na niego zasługujemy.

Popędził konia cmoknięciem i pociągnął za wodze.

* * *

Jechali wzdłuż głównej trasy marszu wiodącej na południe. Wyprzedzili najpierw wozy taborów oraz idącą na piechotę czeladź, obdarty tłum złożony w równej mierze z Talian i Malazańczyków. Żony ciągnące ze sobą dzieci machały do nich rękami, podobnie jak kochanki i prostytutki, a nawet mężowie niektórych kobiet oficerów, pracujący jako kowale, garbarze bądź kucharze. Potem minęli tylną straż oraz osobisty orszak cesarzowej, otoczony strażą złożoną z malazańskiej ciężkiej piechoty oraz szwadronów szlachetnie urodzonych kawalerzystów. Laseen siedziała ponoć bezpiecznie w cesarskiej karecie zaprzężonej w osiem wołów. Ullen zadał sobie pytanie, czy cesarzowa rzeczywiście w niej jedzie, czy może to cholerstwo jest tylko na pokaz. Sądząc z tego, co o niej wiedział, podejrzewał, że tak właśnie może być. Potem dogonili kolumny odwodów. Tu właśnie przydzielono Ullena, który miał współpracować z wielką pięścią Anandem. Chciał jednak zobaczyć, jak wygląda pole bitwy, pojechał więc naprzód. Przecięli biegnący ze wschodu na zachód trakt kupiecki i dotarli do głównego korpusu armii, rozwijającego szyki na przodzie. Dalej teren opadał łagodnie w dół. Czekali tam Gwardziści, rozmieszczeni wzdłuż południowego szlaku pielgrzymów. Za ich plecami stok opadał dalej, aż ku klifom doliny Idrynu.

Najemnicy ustawili się w szeroki łuk. Ich szyk był luźny, a na skrzydłach ulokowano potężne falangi. Najwyraźniej chcieli ich skłonić do ataku na środek. Zaprzysiężeni sprawiali wrażenie przekonanych, że zdołają się oprzeć każdemu szturmowi. Ullen był skłonny im wierzyć. Zerknął na słońce. Zbliżało się południe. Było wilgotno, a upał narastał szybko. To nie był dobry dzień na długą walkę. Na wschodzie piętrzyło się olbrzymie wzniesienie, na którego szczycie można było zobaczyć ruiny Wielkiego Sanktuarium Pożogi. Ullen zastanawiał się mimochodem, czy Gwardziści zamierzają się tam wycofać w razie niepowodzenia. Nie sprawiali jednak wrażenia takich, którzy uwzględniają w planach możliwość porażki.

Imperialni harcownicy, untańska milicja, czy jak ich tam zwał – jego ciężcy używali nazwy „mordercze muchy” – rozpostarli już szyk na wzgórzach porośniętych zbrązowiałą w słońcu trawą. Gnieźdzące się na ziemi ptaki odleciały spłoszone tym zamieszaniem. Gdy kusznicy się pochylili, wielu z nich zniknęło w trawie. Ullen nie mógł powstrzymać uśmiechu. Tak, to dobra osłona, ale nie przetrwa długo. Magowie z Gwardii wszystko spalą. Widział to już nie raz. W przeciwieństwie do większości obecnych był świadkiem starć magów na pełną skalę, gdy grotą zderzała się z grotą, pochłaniając grunt i stojących na nim ludzi. Widział upadek stolic Wysp Falarskich i poczuł ucisk w żołądku na myśl o tym, co się wydarzy. Pocieszał się jednak świadomością, że tego typu pojedynki magów nie leżą w stylu Gwardii. Ona nigdy nie była niezależną siłą, raczej dodatkiem do rozmaitych armii, oddziałem do celów specjalnych, realizującym ściśle określone zadania. Miał nadzieję, że ta niezwykła dla Gwardzistów sytuacja pomoże wyrównać szanse.

Pierwsze jednostki malazańskiej, taliańskiej i falarskiej piechoty rozciągnęły szyk. Wszystkie podzieliły się już na mniejsze oddziały, złożone z jednej, dwóch albo trzech kompanii. Posuwały się przez tłumy nieregularnych żołnierzy jak okręty prującą wzburzone morze. Wiele jednostek ustawiło się w pierścieniu. To była dobra taktyka

w starciu z magami bojowymi. Urko był gdzieś na zachodzie ze swymi Talianami, a V'thell na wschodzie ze Żłotymi. Ullen przyjrzał się odległym formacjom Karmazynowej Gwardii. One nie próbowały się rozproszyć, ale przecież Gwardziści z pewnością wiedzieli, że Laseen ma niewielu magów.

Są jeszcze szpony! Nie zapominajcie o nich! Fakt, że cesarzowa nie zdecydowała się przeredzić szyków oficerów Ligi, nie oznacza, że w przypadku Gwardzistów będzie równie wyrozumiała. Nie, Zaprzysiężonych z pewnością zaleje tłum skrytobójców.

Ullen nagle uświadomił sobie, dlaczego żaden szpon nie zaatakował ani jego, ani innych oficerów Ligi.

Wiedziała, że będziemy jej potrzebni! Od początku! Wszystko starannie zaplanowała!

Jego pierś ścisnął gniew tak potężny, że Ullen omal nie zleciał z konia. Czy od samego początku nie mieli szans? Czy wszystko to nie miało sensu? Zatrzymał się, zdjął hełm i otarł pot z czoła. Jego sztabowcy również przystanąli, spoglądając nań z ukosa.

Nie. Nie mogła wiedzieć tego na pewno. To tylko zwykła zapobiegliwość. Ostrożna gospodarka zasobami. Oszczędziła Ullena, Urka i resztę przywódców Ligi. Od samego początku zamierzała pozyskać ich ludzi, a zabójstwo uwielbianych przez żołnierzy dowódców, takich jak Urko, z pewnością by w tym nie pomogło. W przypadku Gwardzistów nie miało to jednak znaczenia. Rzuci przeciwko nim całą potęgę Szponu.

Na jego oczach na środek pola wysunął się sztandar Miecza, tym razem niesiony na piechotę. Nowy Miecz, Korbolo Dom, postanowił walczyć pieszo, wsparty przez legion ciężkich. Ullen nie wiedział o nim zbyt wiele poza tym, co zaobserwował ostatnio. Z pewnością nie mógł wątpić w jego wojowniczość ani umiejętności walki, Korbolo Dom był jednak pozbawiony szczególnej aury czy morale, która tak mocno wiązała ludzi z Dassemem. Żołnierze zawsze wiedzieli, że gdy znajdą się w trudnej sytuacji, Dassem zjawi się tam, by ich bronić, bez

względu na wszystko. Ullen również był tego świadomy. Nieraz widywał, jak Dassem ze swymi strażnikami z Miecza torował sobie drogę przez pole bitwy, by przyjść z pomocą zagrożonym formacjom albo pozycjom. W przypadku tego Miecza raczej nie można było na to liczyć.

- Komendancie? - odezwał się jeden ze sztabowców, wrywając go z zamyślenia.

- Słucham?

- Czy nie powinniśmy już wracać?

Ullen zacisnął powieki. Już czuł się zmęczony.

- Tak. Z pewnością wielka pięść Anand zastanawia się, gdzie się podziałiliśmy...

Zawrócił wierzchowca.

* * *

Jenoso Al'Sule, niedawno mianowany portowym asesorem Cawn, przyglądał się z bliskim grozy uczuciem nowemu statkowi, który wpływał ociężale do ruchliwego portu.

Boże Tysiąca Nastrojów, proszę, niech nie zatonię przy nabrzeżu! Gdyby tak się stało, jego zwierzchnicy z pewnością zauważyliby stratę dochodów. Ale z drugiej strony, w takim przypadku, formalnie rzecz biorąc, nadal zajmowałby miejsce w porcie, i jego właściciel byłby prawnie zobowiązany...

Jenoso wygładził nowy, elegancki mundur w barwie imperialnej czerni obszytej burgundem. Czekał, aż holowniki zaciągną statek na miejsce. Gdy już przywiązano cumy do pachołków, ruszył w tamtą stronę, licząc, że opuszczą dla niego trap. Spotkało go jednak rozczarowanie. Zatrzymał się na końcu nabrzeża, spoglądając na reling statku. Bogowie! Cóż to za wrak! Czyżby przeżył sztorm?

- Hej! Tam, na statku... - Jenoso przeczytał nazwę. Beru, nie! Któż mógłby nazwać tak statek? - Hmm, *Utkany Szmatami*?

Przy relingu pojawił się błąd majtek o chorowitym wyglądzie.

- Nikt nie może wejść na pokład! - zawył, wyciągając rękę.

- W wasze sprawy się nie wtrącam, ale moim obowiązkiem jest rejestracja i inspekcja przyplływających do portu statków. Musisz mnie wpuścić.

- Nie! Idź stąd!

- Nie bądź śmieszny. Muszę sprawdzić wasz ładunek i pobrać opłaty. No, szybciej. Nie mogę tu czekać cały dzień.

Mężczyzna pociągnął się za długie, rozczochrane, skołtunione włosy.

- Zaraza! - wrzasnął. - Tak, mamy zarazę! Popatrz! Ooo!

Jenoso zamrugnął zdziwiony.

- No cóż, w takim przypadku pogwałciliście standardową procedurę. Musicie zakotwiczyć w zatoce, wywiesić czarną flagę...

Staruszek o szpeceniastych, siwobiałych włosach i pomarszczonej, ogorzałej od wiatru twarzy odepchnął marynarza na bok.

- Czy słyszałem słowa „standardowa procedura”? Co się w dzisiejszych czasach stało ze wszystkimi portami? Dawniej, za kilka srebrnych księżyców w Cawn można było... Święty Dessebrae, broń! - zawołał mężczyzna, spoglądając na miasto. - Chyba próbowaliście opodatkować niewłaściwych ludzi!

Jenoso zignorował z niejakim wysiłkiem trafność tej rzuconej od niechcenia uwagi.

- Mniejsza z tym. Odbudowa wymaga wielkich środków. W związku z tym przejdźmy do rzeczy.

Stary kapitan wyciągnął ku niemu szponiastą dłoń. Cienka, wyblakła na słońcu koszula zwisała żałośnie z chudego ciała.

- Dlaczego wywiesiliście imperialną chorągiew? Myślałem, że Cawn pójdzie z tym, kto da najwięcej. A może licytacja już się zakończyła?

Jenoso ponownie miał trudności z ukryciem swych uczuć.

- Powinieneś się dowiedzieć, że chyba nawet wczoraj armia prowincji Cawn, złożona z blisko trzydziestu tysięcy żołnierzy, pomaszewowała na zachód, by wesprzeć sprawę imperium.

Kapitan skrzywił się, pocierając twarz.

- Hmm. To kiedy? Wczoraj czy nie wczoraj?

- Hmm, słucham?

- Powiedziałeś „chyba wczoraj”. To jak w końcu było?

Asesor portowy odnosił wrażenie, że traci kontrolę nad sytuacją, choć nie potrafiłby określić, w którym dokładnie momencie się to zaczęło.

- Ach, jeśli się nie mylę, to wczoraj...

- To czemu tak nie powiedziałeś? Bogowie!

Jenoso zacisnął dłoń tak mocno, że jego gorące palce wbiły się w woskową tabliczkę...

- Kapitanie! Musimy rozstrzygnąć pilną sprawę...

- Sprawa, która nas pili, polega na tym, że chyba nie będziemy mieli okazji nikogo przyszpilić. Wygląda na to, że imperium trzyma mocno wszystkie porty w zaciśniętej pięści, więc odpływamy!

Asesor ściągnął brwi tak mocno, że rozboleło go czoło.

- Przepraszam...?

- I ja cię przepraszam. Odpływamy!

- Kogo? Mnie?

- Chcesz się zaciągnąć? - Skinął ręką. - Odpływamy!

- Ach nie, kapitanie! - błagał ktoś. - Na łaskę Soliel! Potrzebujemy wody, prowiantu...

- Chcecie mieć szansę zdezerterować i tyle! Ruszać się!

- Kapitanie...! - zawołał Jenoso. - Kapitanie!

- Tak? Nadal tu stoisz?

- Niestety, tak.

Kapitan parsknął śmiechem.

- I to jest właściwe podejście, chłopcze!

Bosi, odziani w postrzępione spodnie i koszule marynarze wyleźli przez burtę na ląd, by odwiązać cumy. Jenoso wyciągnął rękę.

– Zaczekajcie. Nie możecie tego zrobić, zaczekajcie. Nie wolno tak przyplýwać i odpływać, jak gdyby nigdy nie! Musicie wnieść opłaty portowe, zapłacić załodze holownika...

– Coś ci powiem – oznajmił kapitan. – To jest zapłata z dołu.

Cisnął w niego jakąś kulką.

Spanikowany Jenoso wypuścił z rąk tabliczkę, by złapać przedmiot.

– Co to jest? – pisał.

– To, co ci się zdaje.

Asesor znieruchomiał, trzymając kulkę, czy może jajo, na odległość wyciągniętej ręki. Rozdziawił usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Stawiać żagle! – rozkazał kapitan. – Mamy bryzę od lądu. Jest słabsza niż pierdnięcie księżniczki podczas audiencji, ale to wystarczy.

Żagle i liny zaskrzypiały, pokład zadudnił pod stopami marynarzy. Jenoso nie ruszał się z miejsca. Bolały go ręce.

– Żegnajcie, dławione przez biurokrację strony! – ryknął kapitan. – Przekleństwo na waszych asesorów, poborców i innych sponsorowanych przez państwo bandytów! Obyście wszyscy ugrzęźli w gardle Kaptura! Żegnajcie, opłaty, dziesięciny, podatki, rachunki i składki! Niech to wszystko pochłonie mroczna strona Otchłani!

Słaba bryza wypełniała żagle. Marynarze odepchnęli statek tyczkami od nabrzeża. Kapitan kontynuował monolog. Rzecz jasna, dziwne zamieszanie przyciągnęło uwagę straży portowej. Jej oddział zmierzał już w tę stronę. Sierżant znalazł na nabrzeżu asesora portowego o pobielącej twarzy. W drżących rękach mężczyzna ścisnął jakiś przedmiot. Sierżant wziął go ostrożnie i przyjrzał mu się uważnie.

– Jest na nim pieczęć Arsenau Imperialnego... – zauważył.

– To jest... – wyjąkał słabym głosem asesor. – To jest...

– To tylko zadymiacz – uspokoił go sierżant, przerzucając przedmiot z ręki do ręki. Uniósł podbródek, wskazując odpływający statek.
– Kto to był?

– *Utkany Szmatami* – wydyszał Jenoso.

Opuścił ręce i zatarł dłonie. Spojrzał w dół i zobaczył, że tabliczka wpadła do wody przez szczelinę między deskami. Uniósł rozgrzane dłonie do twarzy, powstrzymując łzy.

– Mówisz *Utkany Szmatami*? Będziemy na niego czekać. Gdziekolwiek przybije do brzegu, będziemy na niego czekać.

* * *

Fale były coraz wyższe. Gęste chmury zapowiadały szkwał. Mimo to Yathengar uderzył laską o pokład *Beznadziei*, wzywając uczestników rytuału. Ho siedział na rufie w towarzystwie Su i Devaleth. Wickańska czarownica cierpiała na chorobę morską, ale korelrijska wiedźma morska czuła się znakomicie.

Dwudziestu trzech uczestników, nie licząc Yatha, zebrało się na pokładzie. Ho doszedł do wniosku, że to żałosne widowisko.

Wszyscy wyglądamy jak zgraja wioskowych głupków. Nieudolnie ostrzyżeni, niedokładnie ogoleni, odziani w lachmany znalezione na pokładzie. Stare stroje, sandały i tak dalej wyrzuciliśmy za burtę. Niektórzy nawet zgolili włosy z ciała. Jasnoskórych spaliło słońce. Wszyscy mają spękaną skórę, krwawiącą od ciągłego szorowania. Ale udało się. Te zabiegi pomogły nam, na spółkę z faktem, że oddaliliśmy się już od wysp. Czuję, że moja moc wraca. Jest ze mną, jeśli tylko ośmielę się po nią sięgnąć.

Uczestnicy rytuału ustawili się w szeregi przed Yathem, kapłanem i magiem z Siedmiu Miast. Ho, rzecz jasna, studiował rytualną magię znacznie dogłębniej niż większość magów teoretyków. Wiedział też, że i Su musi znać wymogi tej dyscypliny. Wickańscy czarnoksiężnicy

i czarownice posługiwali się nią regularnie. Podejrzał, że Devaleth również wie sporo na ten temat. Ruse słynęła z koszmarnie skomplikowanych rytuałów.

Mimo to żadne z nich nie zechciało się przyłączyć. Czy był to rezultat osobistej niechęci do Yatha, czy też chodziło o coś więcej – głęboko zakorzenioną podejrzliwość albo zdrową obawę przed konsekwencjami, jakie spadną na uczestników w przypadku niepowodzenia? A może o jedno i drugie?

Zaczęło się całkiem niezłe. Ho wykrywał tylko minimalne zakłócenia wywołane śladami otataralu. Siedzący na pokładzie magowie skoncentrowali się na rytuale, a statek spokojnie płynął dalej. Złożona z Zaprzysiężonych załoga skróciła żagle i przywiązała wszystko przed nadchodzącym sztormem. Blues i Frykas stali u steru na rufie, a Palczak siedział obok wsparty o burtę. Niebo ciemniało coraz bardziej, gęste, skłębione chmury wisiały nisko. Ho pragnął powstrzymać rytuał, zdawał sobie jednak sprawę, że brakuje im czasu. Do Quon nadciągała konwergencja. Zbliżała się chwila, gdy będą musieli działać, bo inaczej utracą szansę wpłynięcia na wynik.

Przyjrzał się wyszorowanym do żywego wewnętrznym powierzchniom dłoni oraz podeszwoom stóp, a także obciętym nożem paznokciom. Wszystko to zrobił sobie sam! Czy kryła się w tym jakaś metafora zainteresowań jego i jego towarzyszy? Jeśli tak, nie była ona przyjemna.

Jakieś szepty przyciągnęły jego uwagę do Smętka – Bluesa – który stał przy sterze razem z Frykasem i Tęym. Wlepiął spojrzenie w Yatha i poruszał wargami, powtarzając słowa inwokacji. Co chwila kiwał głową, aprobując decyzje kapłana z Siedmiu Miast, kładącego podstawę pod to, co miało się wydarzyć. Ho wyprostował się zduimiony.

Ma moc! Rzeczywiście jest jednym z nas!

– Ty też jesteś magiem – powiedział do niego.

Blues wymienił spojrzenia z Palczakiem, unosząc kącik ust w sardonicznym uśmiešku.

- Nie mów nikomu. Palczak i ja wolimy, by to było zaskoczeniem.

- Jaka grota, jeśli można zapytać?

Wzruszył ramionami.

- D'riss.

Ścieżka Ziemi. Bardzo odpowiednia dla tego typu poszukiwań, jakie prowadzono w Jamie. Czy właśnie dzięki temu tak dobrze zniósł to, co go tam spotkało? Czy jednak rzeczywiście tak było? Ho nasunęła się myśl, że Gwardzista również nie uczestniczy w rytuale. Blues i drugi Zaprzysiężony szarpali się teraz z ciężkim ramieniem steru, próbując je przesunąć. Devaleth wstała, przyglądając się falom, piętrzącym się nad nimi niczym łupkowe wieże.

- Skróćcie żagle jeszcze bardziej! - zawołała do Bluesa. - Natychmiast.

Gwardzista nie tracił czasu na zastanawianie się. Skinął głową do Frykasa, który pobiegł przekazać rozkaz.

- Statek jest cholernie lekki - mruknęła pod nosem kobieta. - Trzeba było zabrać z Jamy więcej balastu...

- Więcej otataralu? - zapytał drwiącym tonem Ho.

W odpowiedzi wiedźma morska wskazała przed siebie.

- To nas zabije równie skutecznie.

Na twarz Ho trysnęły lodowate bryzgi. Wytarł je.

- Miejmy nadzieję, że Yathowi się uda.

Kobyłanka była jedyną osobą na pokładzie stojącą o własnych siłach. Reszta usiadła albo trzymała się lin. Wiedźma morska rozstawiła szeroko nogi, splatając dłonie za plecami. Spojrzała z góry na Ho.

- Oboje wiemy, że potrzeba całego dnia, by dostroić wszystkich do potrzeb rytuału. Fale mogą nas zalać w każdej chwili.

- W takim razie lepiej nam pomóż - odezwała się Su, rozciągając w uśmiechu pomarszczoną twarz.

Devaleth spojrzała na zachmurzone niebo i wymamrotała pod nosem kilka przekleństw po korelrijsku. Ho odnosił wrażenie, że sły-
szy w jej słowach echa dawnego, malazańskiego akcentu.

- Och, proszę bardzo - syknęła po taliańsku. Złapała ramię steru i popchnęła Bluesa. - Puszczaj, ty głąbie.

Karmazynowy Gwardzista spojrzał niepewnie na Ho, który skinał głową. Blues zaczerpnął głęboko tchu, a potem obaj z Tęnym ustąpili Devaleth miejsca przy sterze. *Beznadzieja* natychmiast przestała się kołysać. Kobieta popchnęła ster palcem wskazującym i kciukiem jednej ręki. Dziób skoczył na spotkanie nadchodzącej fali.

- Za lekki - mruknęła.

- Czy nie ma zakłóceń? - zainteresowała się Su.

- Tak, są cholerne zakłócenia! - warknęła wiedźma morska. - Otataral jest jak pilnik drapiący mój umysł! Ale to potrafię odepchnąć. Jest jeszcze coś innego... - Przymrużyła powieki, wpatrując się we wnętrze swej jaźni. - Nie potrafię tego zidentyfikować. Ale czuję to. Spycha mnie w bok jak prąd albo pływ... - Potrząsnęła głową. - Jest zbyt efemeryczne. Nie mogę mu poświęcić czasu ani wysiłków. Wytroście to!

Odrzuciła się plecami, kładąc kres dyskusji.

Su uśmiechnęła się porozumiewawczo do Ho. Mag po raz kolejny zadał sobie pytanie, co staruszka pragnie wyrazić takimi gestami? Czy po prostu chciała, by wyczytał z nich cokolwiek, co będzie korespon-
dowało z jego obawami bądź planami? Czy będzie później zapewniała, że z góry wiedziała, co się wydarzy? Takie gierki irytowały go niezmiernie. Nikt nie może poznać umysłu drugiej osoby, przejrzyć jej najgłębszych motywacji, nadziei i uczuć. Wszyscy są dla siebie obcymi, źródłem ciągłych niespodzianek, niekiedy rozczarowujących, ale w innych chwilach fascynujących. Przypuszczał, że dla każdego wygląda to tak samo.

Siedzący na śródkręciu Yath położył sobie laskę na kolanach, próbując połączyć wysiłki wszystkich uczestników rytuału w jeden stru-

mień mocy, którą wchłonie, scali i oczyści, a następnie uwolni w zdumiewającym objawieniu zamiaru: przejściu statku przez grotę z jednego fizycznego punktu do drugiego.

* * *

– Na co czekają? – zapytał Nagład. Wspierał się na saperce, spoglądając na rozciągające się na południu szyki Gwardii.

– Skąd mam wiedzieć, na Otchłań? – odparł Nait, nie przestając zawzięcie kopać w suchej ziemi. – Przestań się objąć. Do roboty!

Nagład wrócił z uśmiechem do pogłębiania okopu.

Zaczekajcie jeszcze trochę, a zdążymy wykopać porządne szanice. Jeszcze tylko chwileczkę... – błagał Nait. Uniósł nogę, wychodząc z okopu, i przykucnął w trawie, spoglądając na lewo i prawo. Nie działo się zbyt wiele. Harcownicy strzelali od czasu do czasu na chybił trafił, ale nie było to nic poważnego.

Na co wszyscy czekają? To cholernie irytujące i tyle. Pewnie nikt nie chce dać się zabić.

Maja wybrała dobre wzgórze – nie tak wysokie, by przyciągnęło niepożądaną uwagę, ale i niezbyt niskie. Nie położone blisko centrum, lecz również nie za daleko na skrzydle. Gdy tylko skryli się za wzniesieniem, Nait kazał wszystkim wykopać długi, półkolisty okop. Schowają się w nim, gdy magowie i welony ruszą na łowy. Maja i regularni żołnierze montowali już arbaletę. Tym razem zamiast kamieni będzie miotała coś znacznie groźniejszego, a jej celem stanie się każdy Zaprzysiężony albo mag, który nierozważnie ujawni swą pozycję.

Jeśli już mowa o magach, był z nimi Heuk. Do niektórych drużyn sabotażystów przydzielono magów kadrowych, choć Nait nie miał pojęcia, na co może im się zdać stary pijaczyna. Pociągnął za nabijaną żelaznymi ćwiekami brygantynę. Rekruci o długich rękach zwędzili ją z wozu kwatermistrza. Oni również mieli teraz lepsze zbroje: wyściełane kurty obszywane pierścieniami i ćwiekami, żelazne hełmy

i nagolenice, a do tego żelazne naramienniki. Prawdę mówiąc, dźwigali tego za dużo, ale byli jeszcze młodzi. Jeśli pożyją wystarczająco długo, nauczą się zachowywać odpowiednią równowagę między osłoną a ciężarem.

Granice pola bitwy patrolowały połączone oddziały malazańskiej i taliańskiej konnicy. Było ich za mało, by mogły zrobić wiele więcej. Większość dowódców zsiadła z koni i stała obok swych batalionów. W centrum szyku sztandar Miecza groził szturmem, ale nadal do niego nie ruszał, w oczekiwaniu na sygnał Laseen. Nait zadawał sobie pytanie, jak długo to potrwa. Na co czekała? Dlaczego nie dała sygnału harcownikom? Było już popołudnie, a nadal nie padły pierwsze ciosy.

Na rękawie Naita wylądował brązowy pasikonik. Sierżant zdmuchnął go i owad poleciał dalej.

Zmykaj, mały. Tu wkrótce zrobi się stanowczo za gorąco dla takich jak ty.

Zauważył, że na zachodnim skrzydle untańska milicja wzmocniła ostrzał. Któreś z ostrzy Gwardii wysunęło się za daleko do przodu i harcownicy zareagowali na to. Wciąż nowi kusznicy szli za przykładem swych braci i sióstr. Obłoczki bełtów przerodziły się w deszcz, potem w ulewę, a wreszcie w niszczycielską burzę.

Tak właśnie to się zaczyna. Jakiś pozbawiony znaczenia manewr prowokuje odwet, który z kolei spotyka się z odpowiedzią. Dochodzi do eskalacji i nim obie strony zdążą się zorientować, rzucają do walki wszystkie zasoby.

Jako człowiek wolny od złudzeń Nait zdawał sobie sprawę, że jest nowicjuszem, ale ów scenariusz chaosu, ślepych sił wymacujących się nawzajem w ciemności i reagujących bez zastanowienia, zgadzał się z tym, co do tej pory widział. Wkrótce rzeczywiście zrobi się ciemno... Niech to szlag! A już myślałem, że nie może być gorzej! Ciemność! Nie ma szans, byśmy zdążyli opuścić pole bitwy przed zapadnięciem zmroku.

Nait obejrzał się na maga kadrowego.

– Heuk! Chodź tu! – Stary mag o przetłuszczonych włosach uniósł głowę, mrużąc powieki. – W czym właściwie możesz nam pomóc?

Heuk osłonił oczy dłonią.

– Módl się, byście mnie nie potrzebowali...

– Jasne. To wszystko, co zawsze od ciebie słyszymy. Wiesz, co ci powiem? Przestań pieprzyć! Będziemy potrzebowali wszystkich!

Mag skierował wzrok na pole i ze skwaszoną miną pokiwał głową.

– Chyba masz rację.

– I co?

– I... – z powrotem schował się w płytkim okopie – ...czekamy na noc.

Nait z trudem powstrzymał się przed nabraniem na saperkę ziemi i obsypaniem nią staruszka. Jednym okiem obserwował nasilający się ostrzał. W oddziale, na który sypało się najwięcej beltów, rozbłysły nagle dwa płomienie. Wzniosły się łukiem ku niebu, a potem spadły na ziemię, eksplodując pomarańczowoczerwonym ogniem. Pożar szerzył się szybko. Zbrązowiła na słońcu trawa paliła się jak wyschnięta hubka. Harcownicy uciekali jak mrówki z rozkopanego mrowiska. Nait wcisnął się w wąski okop. Jego ramiona ledwie się w nim mieściły.

Pani, miej nas w swojej opiece. Zaczęło się. I sytuacja nie wygląda dobrze.

– Woda! – zawołał. – Polejcie się wodą!

Drżącymi rękami wyciągnął zatyczkę z buklaka.

Z oddali dobiegły trzaski eksplodujących przebijaczy. Jego towarzysze próbowali dorwać odpowiedzialnego za atak maga – jakby jeszcze tam siedział! Sytuacja się wyklarowała. Magowie będą się odsłaniaли, atakując silne punkty obrony, a sabotażyści będą ich tropić i walić w łeb. To ostatnie odpowiadało Naitowi... ale tropienie niezbyt mu się uśmiechało.

Jeśli wyleziemy na pole, sami zaraz oberwiemy. Nie, tak nie może być.

– Heuk!

Podbródka podbiegła do Naita i przykucnęła obok niego. Jej opadająca poniżej kolan kolczuga dotykała ziemi.

– Musimy kopać dalej? – zapytała. – Cały cholerny dzień tylko machamy łopatami. Walka już się zaczyna.

– Kryj się! Zaraz dotrze do nas pożar!

– E tam. Zgasili go.

Nait się wyprostował.

– Jak to „zgasili”? – Spojrzał na pole bitwy.

W nieruchomym powietrzu wisiały kłęby dymu, ale widział bardzo niewiele ognia. Heuk podszedł do niego, ściskając wysoki brązowy dzbanek.

– Co się stało z ogniem? – zapytał go Nait.

– Zgasił go ktoś z naszych.

– Mamy kogoś, kto to potrafi?

Mag wzruszył ramionami.

– Jasne. Grota Serc. Może to Bala.

– Bala? Kto to jest Bala?

Staruszek uśmiechnął się, odsłaniając spróchniałe zęby.

– Jak raz ją zobaczysz, na pewno nie zapomnisz.

Podbródka nadal kuciała obok okopu. Nait łypnął na nią ze złością.

– Co tu właściwie robisz, w imię Gnijącej Poliel? Łap za saperkę i kop! Na tym polega robota sabotażystów.

Dziewczyna odeszła ze skwaszoną miną. Nait popatrzył na Heuka.

– Posłuchaj, nie chcę, by wykopali nas stąd aż na podwórko Kaptura...

– Bardzo słuszne podejście.

– Ale musimy w jakiś sposób wykrywać cele. Potrafisz nam w tym pomóc?

Mag opuścił umazaną, pomarszczoną twarz, zagładając do otwartego dzbanka, jakby studiował jego głębię. Po chwili uniósł wzrok i mrugnął znacząco.

– Z tym pewnie sobie poradzę.

Nait uniósł brwi.

Niech to szlag, stary pierdziel w końcu czymś się wykaże.

– Tak? To zrób to.

– Zaczekaj do nocy.

Heuk znowu skrył się w okopie.

Cwaniaczek.

Nait przyjrzał się szykom. Sztandar Miecza z każdą chwilą zbliżał się do nieprzyjaciela, ale nie był to jeszcze atak. Szeregi Gwardii pozostawały nieruchome.

Dlaczego stanęli plecami do klifu? Co prawda panują nad drogą do mostu, ale mimo to... Obie strony chcą uniknąć strat. My wiemy, że czekają na nas Zaprzysiężeni, a oni zdają sobie sprawę, że mamy ponad czterokrotną przewagę liczebną.

* * *

Blask nie potrafiła uwierzyć, że untańska milicja zadaje jej oddziałom tak poważne straty. Nieregularni żołnierze byli jak kąśliwe muchy, czy może szerszenie, a jej hufce przypominały próbującego je odegnać bhederin. Musiała coś zrobić. Jej żołnierze nie mogli dłużej wystawiać się na cel.

„Braciszkowie!” – wezwała w myślach poległych braci i siostry spośród Zaprzysiężonych. – „Przemówcie do Oprawcy. Musimy ruszyć do szturm! Uwolnić pole bitwy od tej groźby! Nie możemy już dłużej zwlekać”.

– *Przekażemy twe obawy!* – nadeszła odpowiedź.

Obawy? Uważali jej ocenę sytuacji za przejaw obaw? Czyż nie była zastępcą dowódcy?

– *Oprawca ostrzega cię przed uleganiem panice. Z tymi szkodnikami uporamy się we właściwym czasie.*

Panice? Panice! Zacisnęła dłoń na rękojeści biczomiecza. Za kogo on się uważa? Omal nie poszła przemówić mu do rozsądku, powstrzymała się jednak, wiedząc, że nie może opuścić posterunku.

Niech go szlag! No cóż, ona będzie działać, nawet jeśli on nie chce nic zrobić.

„Braciszku! Rozkazy dla Dymka, Krętacza i Shellarr: Możecie atakować harcowników, ale pozostawajcie w nieustannym ruchu!”

– *Przekażemy im twoje słowa.*

Pewnie, że tak. Oprawca mógł nie dbać o prostych żołnierzy z Trzeciego Poboru, ale Blask zrobi, co tylko w jej mocy, by osłaniać swych ludzi.

– *Rozkazy potwierdzone.*

Świetnie. Tym szkodnikom odechce się zbliżyć do jej szyków.

Po chwili na polu bitwy wybuchł pożar, szerzący się szybko ku północy. Ludzie tańczyli rozpaczliwie w płomieniach. Tłum harcowników cofnął się, zaczął uciekać. Klin ognia poszerzał się, pochłaniając coraz większe połacie trawy. Wkrótce ogarnie cały plac boju. Wtem ogień zgasł, równie szybko, jak się pojawił.

Kim był ten mag, na Misteria Królowej?

Harcownicy ponownie podeszli bliżej i zaczęli ostrzeliwać jej kryjących się za tarczami żołnierzy.

Cholera, ależ z nich odważne skurczybyki!

Rozległy się krzyki zaskoczenia i trwogi. Ostrzał znowu osłabł. Krętacz i Shell wzięli się do roboty. Nie byli tak efektowni jak Dymek, ale równie skuteczni. Wyobraziła sobie, jak Krętacz niszczy broń nieprzyjaciela, a Shell zmiękcza ziemię pod jego stopami. To powinno wystarczyć, by skłonić go do ucieczki.

Coś nagle rozbłysło przed oczyma Blask. Mężczyźni i kobiety z jej straży osobistej padali na ziemię. Jedna ze strażniczek ścisnęła hełm sterczący z szyi, drugi strażnik oberwał w pierś. W plecy Blask wbiło się zimne żelazo. Odwróciła się błyskawicznie, złapała napastnika za rękę i zmiażdżyła mu gardło.

Szpony! Dwie pełne dłonie!

Kolejna przykucnięta postać wycelowała w nią z kuszy. Blask odskoczyła w bok, przetoczyła się, zbiła kobietę z nóg, chwyciła ją za głowę i szarpnęła, łamiąc kark. Potem wstała, wyciągając zza pasa długie noże. Coś ją uderzyło. Poczowała falę nacisku. Gdy przeszła, otoczenie stało się ciemniejsze i cichsze. Nagle zapadł zmierzch, niebo utraciło barwy. Pole bitwy pozostało na miejscu, ale nikogo na nim nie było. Grota Cienia! Odwróciła się szybkim ruchem i znalazła tego, kogo szukała. Mag stał w niewielkiej odległości. Ruszyła w jego stronę, ignorując ból promieniujący z rany w plecach. Cienie skupiły się, zgęstniały przed nią. Coś złapało ją za gardło. Nie mogła oddychać. Dotknęła szyi, ale nic nie poczuła. To cienie ją dusiły! Jak to... Usiłowała zaczerpnąć tchu, ale nadaremnie. Jej płuca płonęły. Poczowała w piersiach ucisk narastającej paniki. Mimo to nadal widziała przez mgłę maga ze Szponu. Ruszyła ku niemu. O dziwo, nie ruszył się z miejsca. Patrzył na Blask z niedowierzaniem w oczach. W miarę jak się zbliżała, otwierał je coraz szerzej. Cienie zacisnęły się na jej szyi z siłą szubienicznej pętli. Czowała, że puls w tętnicy szyjnej słabnie, zanika.

- Nie... to niemożliwe... - wydyszał zdumiony mężczyzna.

Powinni wam udzielić dokładniejszych informacji na temat Zaprzysiężonych, pomyślała Blask. Zamachnęła się nożem, przecinając gardło jednym uderzeniem. Potem padła na ziemię. Przed oczami miała tylko ciemność.

„Braciszku! Zaraz do was dołączę...”.

Olo leżał na plecach w łódce, paląc fajkę. Ręce skrzyżował na piersi, nogi wystawił na zewnątrz, a kapelusz naciągnął na oczy, osłaniając je przed późnopołudniowym słońcem.

– Przewoźniku! – zawołał ktoś. – Jesteś wolny?

Łódź zakołysała się lekko i Olo wstał z niechęcią.

– Co?

Na pomoście stał grubas w kosztownych, ciemnoniebieskich szatach, spoglądający na niego z góry z dziwnym, niepokojącym uśmiechem na mięsistych wargach. Olo popatrzył nań podejrzliwie. Co, w imię Boga o Tysiącu Twarzy, mógł od niego chcieć taki bogaty człowiek? Wyglądał na eunucha albo jakiegoś funkcjonariusza z dworu cesarzowej. Czyżby zgubił drogę?

– Hmm, w czym mogę ci pomóc?

– Chciałbym skorzystać z twojej łodzi, dobry przewoźniku. Pragnę się dostać na drugi koniec portu.

– Na drugi koniec? Może chodzi ci o nabrzeża jedwabno-korzenne?

– Nie. Prosto na drugi koniec. Na zachód.

Olo usiadł prościej i spojrzał w tamtą stronę, osłaniając oczy.

– Ale tam nic nie ma...

– To już moje zmartwienie, nie sądzisz?

Mężczyzna wydobyl złotą monetę. Olo wytrzeszczył oczy, a potem wyciągnął rękę. Grubas rzucił mu pieniążek. Olo miał wrażenie, że jest wystarczająco ciężki, choć raczej rzadko zdarzało mu się trzymać w ręce imperialne słońca.

– Zapraszam na pokład.

Kimkolwiek mógł być mężczyzna, z pewnością znał wodę. Zgrabnie wsiadł do łódki skleconej z ociosanych siekierką desek. Olo złapał za wiosła i odbił od nabrzeża.

– Od chwili ataku i odpłynięcia cesarzowej mieliśmy tu spokój, hej?

– Tak.

– Ale oczywiście zabrała ze sobą całą Untę, tak? – dodał ze śmiechem Olo.

Odpowiedziała mu cisza. Obejrzał się i zobaczył, że pasażer wygląda z łodzi z ponurą miną. Na jego bladej twarzy pojawił się lekki grymas zdziwienia. Przewoźnik spojrział w tę samą stronę. Mężczyzna najwyraźniej patrzył na ławicę kołyszących się na falach liści. To były stare ofiary modlitewne. Nieznajomy najwyraźniej nie przepadał za towarzyskimi rozmówkami. Olo wykorzystał chwilę przerwy, by zdjąć luźny, wełniany kapelusz, a potem powiosłował dalej. Może kupi sobie butelkę czerwonego kańskiego i tę taliańską dziewczynę, która zawsze zadzierała nosa? Albo będzie złopał ryżowe szczyzny tak długo, jak wytrzyma to jego żołądek. A skoro już o tym mowa... Olo zerknął na pogrążonego w myślach pasażera, wyciągnął tykwę i pociągnął szybki łyk.

– Co ty kombinujesz, Maelu?

Olo się zakrztusił.

– Ja? Ależ nic! Trochę mi zaschło w gębie, to wszystko!

Eunuch nawet jednak na niego nie patrzył. Odwrócił się w bok, spoglądając na wodę. Olo przymrużył powieki, ale dostrzegł tylko zielone fale oraz las masztów statków cumujących w porcie. Łódź zwolniła.

– Wiosłuj dalej albo wyskakuj – rozkazał mężczyzna, nie odwracając głowy. – Decyzja należy do ciebie.

Wystawił ręce za burtę.

Olo gapił się na niego ze zdumieniem.

Co? Za kogo on się uważa...?

Woda wokół dłoni mężczyzny zaczęła się pienić. Wkrótce zagotowała się z głośnym szumem i pojaśniała, przybierając oliwkowy kolor.

Olo omal nie wypadł za burtę. Złapał za wiosła.

Bogowie, wybaczone mi! Chemie, błogosław mnie! Tysiącrotny Boże, okaż mi swą łaskę. Co zrobiłem, by na to zasłużyć – pomijając to

wszystko, co zrobiłem, ale nikomu o tym nie wspomniałem?

- Te wszystkie złożone wpół liście, kwiaty i girlandy na wodzie? Co one oznaczają?

Olo wciągnął spazmatycznie powietrze. Od trzydziestu lat nie wiosłował z takim zapałem.

- To ofiary. Dary modlitewne.

- Dla kogo?

- Dla boga wód, panie. Boga wszystkich mórz. Boga o Tysiącu Nastrojów, Tysiącu Twarzy i Tysiącu Imion.

- Nie! Maelu, będziesz za to wyl z bólu!

Olo gapił się ze zdumieniem na pasażera. Jaki znowu Maelu? Nagle przypomniał sobie o wiosłowaniu i wziął się do roboty. Łódź zakoczyła się na nagle wzburzonej wodzie.

- Gadaj! Rozkazuję ci!

Olo wiedział skądś, że pasażer nie mówi do niego. Małeńka łódka płynęła coraz szybciej, ale nie zawdzięczała tego jego wysiłkom. Woda wybrzuszyła się pod nimi jak koc na silnym wietrze i łódź mknęła w dół utworzonego w ten sposób zbocza. Olo zaprzestał bezcelowego wiosłowania, złapał za tykwę i wylał sobie całą jej zawartość na twarz, przetykając chciwie. O zgrozo, usłyszał jakiś głos:

- O czym mielibyśmy rozmawiać, Mallick?

- Co ty uknułeś? - zapytał pasażer.

- Ja? Nic. Uniemożliwiły mi to twoje zakazy. Ja tylko tu byłem, czekałem na twoje wezwanie. Czy to moja wina, że inni wykryli moją obecność i zaczęli mi składać ofiary? Wznosić do mnie modły? Czy to moja wina, że w jakiś sposób wskrzesili dawne tytuły i inwokacje?

- Co ty bredzisz?! - zawył pasażer, unosząc do skroni zaciśnięte w pięści dłonie.

Głos nabrał ostrzejszego tonu.

- Uwolniłem się od ciebie, Mallick. Więzy, jakie mi nałożyłeś, osłabły i rozpadły się pod wpływem dotyku niezliczonych tysięcy. Skoń-

czyliśmy już ze sobą. Na zawsze. To nasza ostatnia rozmowa. Mógłbym cię teraz rozgnieść. Powinienem to zrobić, za wszystkie zbrodnie, jakie popełniłeś. Powstrzymam jednak gniew. Ostatnio zbyt często mu ulegałem. Ten rejs to mój ostatni dar dla ciebie. Rejs, życie i moja łaska, co z pewnością doprowadzi cię do furii.

Łódź zawirowała nagle na spienionej wodzie niczym bąk. Olo miał wrażenie, że spada w otchłań. Żołądek podszedł mu do gardła, woda wylała się przez burty do środka, łódź zakołysała się, a potem uspokoiła. Przewoźnik złożył dłonie i zaczął wylewać wodę. Pasażer skulił się na rufie przemoczony do suchej nitki. Po chwili Olo złapał za wiosła i zaczął nimi poruszać ile sił w ramionach.

Zachodni brzeg był już blisko, choć wyglądał zbyt dziko i stromo. Czyżby zniosło ich do zatoki? Gdy łódź zbliżyła się do skalistego wybrzeża, jej właściciel rozejrzał się, wytrzeszczając oczy ze zdziwienia. Gdzie był, na Drwiny Królowej? To nie była Unta! Widział na północy jakieś miasto, ale było stanowczo za małe. Wyglądało jednak na to, że ono również padło ofiarą ataku. Zahaczył obutą w sandał nogą o skałę, żeby wyrównać łódź. Fale groziły jej rozbiciem, ale zdołał uniknąć zderzenia. Pasażer poruszył się nagle.

– Zgubiliście drogę! – poinformował go, przekrzykując fale.

– Tak, jestem zgubiony – odparł po chwili mężczyzna. – Ale być może nie do końca.

Z pewnością był jednym z tych szalonych magów, których opiewały pieśni. Z jakiegoś powodu obłąd dotknął go akurat w tej chwili. Bogowie, oby wreszcie minął!

– Chciałem powiedzieć, że nie wiem, gdzie jesteśmy, panie.

Mężczyzna przesunął się w stronę dziobu i położył zimną, wilgotną dłoń na ramieniu Ola.

– Jesteśmy w Cawn – wyjaśnił i odepchnął przewoźnika na bok, by dotknąć skały.

Olo wlepił w niego spojrzenie.

– Naprawdę, panie? Rozumiesz, nigdy tu nie byłem.

Grubas odgarnął mokre włosy, splótł dłonie na okazałym brzuszku, poruszając palcami, i przyjrzał się spod opadających powiek widocznemu na północy miasteczku.

– No to teraz jesteś.

Coś przyciągnęło jego spojrzenie. Pochylił się nagle, wyciągnął rękę i podniósł pływający po wodzie ofiarny liść. Spoczywał na nim zwiędły kwiat geranium. A więc kult dotarł i do Cawn, pomyślał Olo. Mężczyzna przyglądał się przez chwilę kwiatowi ze smętną miną. Kąciki grubych ust opadły mu w dół.

– To powinno mnie nauczyć cierpliwości. A także sztuki godzenia się z tym, czego nie sposób zmienić. Ciekawe, czy kiedyś w końcu przyswoję sobie tę lekcję?

– Słucham, panie?

Grubas cisnął ofiarę z powrotem do wody i odwrócił się do niego plecami. Nieco dalej, gdzie nad stromą plażą pełną kamyków, wyrzuczonego przez morze drewna oraz czarnych, kanciastych głazów wznosiło się niewysokie urwisko, pojawiła się nagle grupa mężczyzn i kobiet. Olo słyszał o tych odzianych w ciemne stroje ludziach i ucieczył się, że darowali mu życie. Uniósł tykwę, by się napić, ale przekonał się, że jest pusta. Przypomniawszy sobie o monecie. Sięgnął pod koszulę i znalazł ją tam. Zakrzyknął z radości, a potem zerknął pośpiesznie na brzeg, ale przybysze już zniknęli, a jego niesamowity pasażer razem z nimi. Niech ich wszystkich Otchłań pochłonie!

Odepchnął się od śliskiej, porośniętej algami skały i poruszył wiosłami, płynąc do tyłu. A teraz do Cawn. Miał nadzieję, że to cywilizowane miasto i znajdzie tam parę burdeli. Będzie miał o czym opowiadać! Może nawet postawią mu za to kolejkę.

* * *

Ullen podniósł hełm poległego żołnierza, ale przekonał się, że jest ciężki od krwi. Odrzucił wilgotny przedmiot. Czterech Zaprzysiężo-

nych skrytobójców Czepca. Odwody pogrążyły się w chaosie. To był jakiś rodzaj magii grot, od którego eksplodowały ciała. Czar przestał działać dopiero, gdy zabrakło ofiar. Spojrzał pytająco na uzdrowicielkę zajmującą się wielką pięścią Anandem. Okrwawiony mężczyzna leżał na płaszczu.

Kobieta wstała i przysunęła twarz do jego ucha.

– Może wyżyje – wyszeptwała.

Ullen spojrział na pobladłych, wstrząśniętych oficerów sztabowych, imperialnych i taliańskich.

– Przegrupujcie brygady.

Wszyscy pokiwali głowami z wyraźną ulgą.

– Reszta pójdzie za mną. Od tej chwili musimy cały czas pozostać w ruchu.

Zasalutowali mu.

– Tak jest, komendancie.

Ruszył na południe, ku najlepszemu punktowi obserwacyjnemu na placu boju. Całe zbocze przed nim spowił dym. Wybuchające znieznacka pożary równie nagle gasiło coś, co wyglądało jak niewidzialne tornada. Gęsta masa nieregularnych żołnierzy nie przestawała zasypywać niszczycielskim gradem beltów kulących się za tarczami Karmazynowych Gwardzistów. Do tej chwili stukot i świst kusz pozostawały najgłośniejszymi dźwiękami na polu bitwy. Za liniami tarczowników czekały ostrza złożone wyłącznie z weteranów i Zaprzysiężonych. Na zachodzie ciężka taliańska piechota dowodzona przez Urka przebiła się przez szyki przeciwnika i miała teraz przed sobą przegrupowane ostrza.

Życzę ci szczęścia, stary przyjacielu.

Wysoki sztandar Miecza nadal naciskał na centrum, gdzie nieprzyjacielski szyk był najgęstszy. Ullen nie mógł nie czuć podziwu dla odwagi i ducha bojowego Korbolo Doma, nawet jeśli towarzyszył im przerażający brak wyobraźni. Przywołał gestem kuriera.

- Pojedź do V'thella. Przekaż mu wyrazy mojego uznania i powiedz, że musi za wszelką cenę rozbić tę wschodnią falangę. Potem niech ruszy na zachód, w stronę drogi, i odetnie trzon oddziałów Gwardii od mostu.

- Tak jest.

Jeden z poruczników ze sztabu odchrząknął. Ullen zwrócił się ku niemu, unosząc brwi.

To był imperialny oficer.

- Z całym szacunkiem, ale nie tak wygląda plan Korbola i Ananda.

- To prawda, ale ja służyłem pod rozkazami Chossa, który walczył kiedyś z Gwardią. Mówił mi, że Zaprzysiężonych nie wolno traktować tak, jak armię, ale jak zbiorowisko indywidualnych żołnierzy. Trzeba ich podzielić na ostrza, izolować, a potem zalać przewagą liczebną.

Imperialni oficerowie sztabowi poruszyli się nerwowo.

- Ponownie przemawiam z całym szacunkiem, komendancie. Pokonaliśmy was.

Ullen zamrugnął ze zdziwioną miną.

- My nie byliśmy Karmazynową Gwardią.

- Czy nie powinniśmy sprawdzić, co z cesarzową? - zapytał inny z oficerów, młoda Dalhonka. - Co, jeśli grozi jej niebezpieczeństwo?

Ullen ponownie spojrzął na pole.

- To nie mój problem. Moim zadaniem jest wygrać tę bitwę, jeśli to w ogóle możliwe.

Znowu ruszył. Zbyt długo już stał w jednym miejscu. Towarzysząca mu grupa oficerów sztabowych oraz kurierów mogła za nim podążyć albo nie.

Wspiął się na południowy trakt biegnący po nasypie, dzieło imperialnych inżynierów. Na szeroki stok padał ciemnożółty blask późnopołudniowego słońca. Krzyki przyciągnęły jego uwagę ku środkowi pola. Nagły wir światła obwieścił, że otworzyła się grot. Wypląnęła

z niej ciemność, z której wynurzyła się czarna jak noc, koścista, skrzydlata sylwetka.

Demon. I to nie jeden z naszych.

Oficerowie sztabowi zakrzyknęli z przerażenia.

– Rozkażcie harcownikom skoncentrować ostrzał na stworze! – polecił Ullen.

Dalhonka zasalutowała.

– Tak jest! – zawołała i pobiegła ku najbliższemu wierzchowcowi.

W porządku. Kolejna rzecz, której się nauczył od Chossa: rób coś, nawet jeśli wiesz, że to nie wystarczy! Gdzie się podziała ich cholerna kadra magów? Czyżby welony już ją wykończyły?

Wszyscy walczący gapili się na demona, który wzbił się w powietrze i opadł na ciężką piechotę Urka, uderzając pazurami na lewo i prawo. Potem uniósł się, trzymając w szponach kolejną ofiarę i wypruł z niej wnętrze na oczach wszystkich. Kończyny żołnierza majtały w powietrzu, krew tryskała na ziemię. Ullen mógłby przysiąc, że wszyscy jego ludzie wzdrygnęli się na ten widok.

Niech to Kaptur przeklnie! Musimy zademonstrować, że mamy siłę ognia potrzebną, by powstrzymać bestię, bo w przeciwnym razie ten pokaz wystarczy, by zniszczyć morale.

Demon poruszył ciężko skrzydłami i poleciał na wschód, gdzie Złoci V'thella robili mielone mięso z falangi Gwardzistów. Rozbłysły rzucane w powietrze przebijacze, ale żaden nie trafił w cel. Gdzie się podziała ta cholerna kadra magów? Gdy stworzenie przelatywało nad pagórkami, coś nagle je uderzyło. Rozbłysło oślepiające światło. Ullen skrzywił się, odwracając wzrok. Nad stokiem poniósł się echem ochrypty krzyk przypominający trzask pękających kamieni. Dowódca znowu spojrzął w tamtą stronę i zobaczył, że stwór miota się rozpaczliwie. Ogarnął go biały ogień, fragmenty jego ciała sypały się na ziemię jako krople gęstego płynu. Zaczął spadać, poruszał spazmatycznie kończynami, jego sylwetka się zamazała, robiła się coraz mniejsza. Zwalił się na ziemię, przetoczył się po harcownikach i uderzył

w ścianę tarcz regularnej malazańskiej piechoty. Żołnierze rąbali mieczami jego drżące ciało. Od wszystkich imperialnych oddziałów dobiegł gromki ryk radości. Ludzie po obu stronach gapili się na ten spektakl z przerażeniem i fascynacją.

Bogowie, stapiacz. Cóż za paskudna śmierć.

Przyjrzał się pagórkowi. Nie rosły na nim drzewa, ale otaczał go ciemny pierścień okopu. Szczyt miał w sobie coś dziwnego. Trawy pochylały się, jakby przyginał je do ziemi nieustanny, silny wiatr.

Wachlarz! Bala.

- Zostały nam jakieś silne odwody?! - zawołał.

- Mamy oddział Moranthów - odpowiedział ktoś stojący w grupie złożonej z oficerów sztabowych oraz osobistych strażników Ullena.

- Rozkażcie im bronić tego wzgórza na wschodniej flance. Ktoś ustanowił tam redutę.

- Redutę? Czy naszym zadaniem nie jest atak?

- Zepchnąć Zaprzysiężonych? Raczej w to wątpię. Możemy jednak ich rozbić. Przeniknąć przez ich linie. A jeśli chodzi o redutę... - Ullen wskazał podbródkiem na zachód. - Zbliża się noc.

Oficer pobladał, najwyraźniej przypomniawszy sobie wczorajszą grozę. Pokłonił się.

- Tak jest.

Okryty hańbą były wielki mag i okopana drużyna sabotażystów. A do tego silna pozycja. Jeśli V'thellowi się uda, może zdołają odepchnąć Gwardzistów od traktu.

- Są jakieś wieści z mostu? Co z kańskimi oddziałami?

Nastała chwila przerwy. Sztabowcy się naradzali.

- Najnowsze wiadomości brzmią tak, że jeszcze się nie ruszyły - odpowiedział wreszcie imperialny porucznik.

Ullen przestał spacerować w kółko po brukowanym trakcie.

- Słucham?

Zmieszani oficerowie wymienili spojrzenia.

- Przykro mi, komendancie...

- Wszyscy jesteście tego pewni?

Pokiwali głowami.

Niech szlag trafi tych skąpych, wyrachowanych skurczybyków!

- Wyślijcie wiadomość na drugi brzeg. Wystrzelcie ją z łuku, jeśli nie da się inaczej. Cesarzowa żąda, żeby natychmiast zaatakowali most. Co więcej, dalsza zwłoka będzie uważana za bunt i po zwycięstwie w tej bitwie pomaszerujemy na Kan!

- Komendancie! - sprzeciwił się jakiś wstrząśnięty sztabowiec. - Hmm, chciałem zapytać, czy mamy uprawnienia...

Ullen wskazał na południe.

- Za chwilę możemy stracić wszystkie przekłete przez Kaptura uprawnienia. Ruszaj!

- Tak jest.

Mężczyzna pobiegł ku wierchowcom.

Spojrzenie Ullena przyciągnął jakiś ruch na trakcie. Pojawiła się tam różowa mgiełka, zmierzająca ku nim na podobieństwo chmury. Pochłaniała krzyczących żołnierzy, którzy znikali na jego oczach. Ich ciała, zbroje, a nawet kości rozpuszczały się w pełznącym ku nim oparze. Ludzie uskakiwali na boki.

Za długo stałeś w jednym miejscu, durniu!

- Magia! - zawołał Ullen i zeskoczył z traktu.

* * *

Blask nie straciła przytomności. Po chwili zastanowienia musiała przyznać, że nie ma w tym nic dziwnego. W końcu dołączała do Braciszków, poległych Zaprzysiężonych połączonych nierozzerwalną więzią z żywymi braćmi i siostrami. Niewolników Ślubów i ich straszliwych, zrodzonych pod wpływem chwili warunków. Wieczna walka.

Oszukali Kaptura, tak jest, ale nie mogli zaznać spokoju. Cały czas agitowali na rzecz Ślubów.

- *Pamiętaj* - szeptali do Blask, dręcząc ją we śnie.

- *Przysięgałaś! Pamiętaj o Ślubach. Pamiętaj...*

Ktoś odwrócił ją na plecy. Zamrugęła, zerkając na niebo barwy ołowiu. Spoglądało na nią znumifikowane oblicze czaszki. Sam Kaptur?

- Umierasz - stwierdziła śmiertelna zjawą. - Mimo twej wielkiej witalności życie z ciebie odpływa.

- Czy jesteś... Imassem? - wyszeptęła ochryple.

Wyschnięta twarz nie mogła wyrażać emocji, lecz mimo to Blask wyczuła u nieznanego zaskoczenie.

- Nie. Jestem Chodzący po Krawędzi. - Blask milczała. To imię nie dla niej nie znaczyło. - Odsyłam cię z powrotem. Wasza walka przelewa się do Cienia, a na to nie mogę pozwolić. Chcę, żebyście wszyscy odeszli. Ty, ten morderczy intruz, a nawet władca twoich Ślubów, choć jego chroni osłona.

Blask gapiła się na dziwną istotę.

- Władca moich Ślubów? Mówisz o K'azzie?

- Jak go tam zwał. Musi odejść. Odsyłam cię z powrotem.

K'azz! Blask wysłała swe myśli na zewnątrz, jak wtedy, gdy wyzwała Braciszków.

„Jesteś tam, K'azz?”

- *Blask?* - nadeszła odległa, zdumiona odpowiedź. - *To ty? Naprawdę?*

„K'azz! Gdzie jesteś?”

- *Blask, jestem blisko. Nadchodzę! Posłuchaj. To byli Oprawca i Cze-piec. Zdradzili mnie!*

- Teraz odejdziesz - zaintonował Chodzący po Krawędzi głosem o brzmieniu suchego pyłu sypiącego się na ziemię. Na jej piersiach spoczęła znumifikowana dłoń, złożona tylko z kości i ścięgien.

Blask spróbowała się poruszyć. Przed jej oczyma pojawiły się mroczki.

- Zaczekaj!

* * *

Dławiła się od gorącego, przesyconego dymem powietrza. Zakasłała i skrzywiła się, przypomniawszy sobie o klutej ranie.

- Tu jest! - Ktoś padł na ziemię obok niej. Shell. - Wróciła do nas!

- Co się stało?

- Psst.

Kobieta skinęła głową do kogoś, kogo Blask nie widziała. Ranna odwróciła głowę. To był Krętacz, ich najlepszy uzdrowiciel. Skinął głową, by dodać jej odwagi. Shell posadziła ranną i wręczyła jej tykwę z wodą. Zmysły Blask zaatakowała kakofonia bitwy. Trwała teraz bliżej, znacznie bliżej. Oddziały imperium atakowały. Zapadał też zmrok, słońce zachodziło. Krętacz otworzył jej zbroję i dotknął ręką boku.

- Wschodnie skrzydło się załamało - wyjaśniła Shell. - Sojusznicy imperium, Moranthowie, naciskają na centrum szyków, chcą nas odciąć od mostu. Na zachodzie napór nieprzyjaciela też jest silny. Dochodzą do nas jednak meldunki, że Czepiec i welony mogą działać swobodnie. Mówią, że wielka pięść padł, Miecz i Urko też...

- Kto tak mówi? - przerwała mu Blask. Westchnęła głośno, krzywiąc się z bólu.

Shell otarła brud z twarzy i krótkich jasnych włosów. Zmarszczyła brwi.

- Ależ welony, oczywiście...

Blask wstała i rozmasowała bark po stronie ciała uzdrowionej przez Krętacza.

- A mimo to szpony mnie znalazły.

Wyraz zdziwienia na twarzy kobiety pogłębił się jeszcze.

– I innych również, tak...

– Kto jest wśród nich?

– Sart, Betel, Ketch. O nich przynajmniej słyszałam.

Żaden nie należał do przyjaciół Oprawcy.

– Wezwij do mnie Szarą Grzywę i Dymka. Natychmiast. I zostań ze mną.

Shell się pokłoniła. Na kogo jeszcze mogła liczyć Blask? Miała nadzieję, że na większość swego oddziału. Bardzo żałowała, że nie ma z nimi kompanii Cal-Brinna. Zawsze świetnie się rozumieli. Krata i Jup Alat byłiby bardzo użyteczni. I ostrze Bluesa. Co się z nimi stało, na Misteria D'rek? Zniknęli bez śladu.

Ujęła Krętacza za ramię i odepchnęła go delikatnie.

– Jeszcze nie, kapitanie – sprzeciwił się zaniepokojony uzdrowiciel.

– To będzie mi musiało wystarczyć.

Pokręcił głową. Chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

– Jak sobie życzysz.

Pomógł jej wstać. Blask przyjrzała się polu bitwy. Szturmujący nieprzyjaciel był bardzo zdeterminowany. Gwardia nie mogła opierać się cesarzowej i jednocześnie toczyć bratobójczych walk. Jeśli do tego dojdzie, Blask będzie musiała rozważyć wycofanie się. Ale dokąd? Arogancka strategia Oprawcy osłabiła ich istotnie. Most był za wąski, a po jego drugiej stronie czekali Kańczycy. Pozostawał zbrojny odwrót na nadającą się do obrony pozycję. Jedyna możliwa do osiągnięcia znajdowała się na wschodzie.

Czy jednak nie powinna podjąć jeszcze jednej próby? Spojrzała na nadal zdziwioną Shell.

– Zostań tutaj. Powiedz Szarej Grzywie i Dymkowi, żeby tu na mnie zaczekali. Zrobisz to?

– Oczywiście. Chyba nie...?

– Zaczekaj na mój powrót. Powiedz Dymkowi, że miał rację.

Kobieta złapała Blask za rękaw kolczugi.

- Nie rób tego.

- Słucham?

- Idziesz do niego, prawda? Nie rób tego.

Blask przyjrzała się zmarszczkom otaczającym spoglądające na nią błagalnie czy drugiej kobiety, bruzdom wokół jej ust. Shell zapewne pragnęła powiedzieć jej znacznie więcej.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

Uścisk się wzmocnił.

- Blask! Dymek rozmawiał nie tylko z tobą.

- W takim razie posunął się za daleko.

Strąciła delikatnie dłoń Shell.

- Niech to Bliźniaki, kobieto! Przed czym próbujesz się ukryć?

- Tracimy czas, magu. Zajmij się swoimi obowiązkami, a ja się zajmę swoimi.

Shell skinęła dłonią.

- To idź, głupia! Nie wysłucha cię.

Blask odwróciła się i ruszyła w drogę. Śluby. Pamiętaj o Ślubach. Zabrała tarczę poległemu żołnierzowi i osłoniła się nią przed harcownikami, idąc przed szykiem ostrz. Zaprzysiężeni wołali ją, ale ona nie odpowiadała. Przebijacze eksplodowały, sypiąc piaskiem i odłamkami, ale ona się nie wzdygała. Bełty uderzały ze stukiem w tarczę i przemykały ze świstem obok, ale ona się nie zatrzymywała.

Byliśmy tak blisko... tak blisko tego, by wreszcie uwolnić się od Ślubów, które są przekleństwem nas wszystkich.

* * *

Znalazła go pod sztandarem. Ręce skrzyżował na piersi, a zasłonę hełmu jak zwykle opuścił. Bełty przeszywały ze świstem powietrze. Jeden uderzył prosto w niego, ale się odbił, niezdolny przebić niezwy-

kłej kolczugi, lśniącej i czarnej jak noc. Otaczali go Zaprzysiężeni z jego kompanii, choć nie potrafiła sobie wyobrazić, który szpon odważyłby się spróbować zamachu na niego. Tancerz z pewnością, Topper być może, o ile nadal był kompetentny. Ich wywiad meldował, że strasznie się zaniedbał. Któż więc został? Nikt.

Przez chwilę zastanawiała się, czy apodyktyczna pewność siebie Oprawcy nie była mimo wszystko uzasadniona. Któż odważyłby się stawić mu czoło? Nikt, poza – na tę myśl poczuła nagły ucisk w brzuchu – nią samą.

– Blask! – zawołał do niej. – Opuściłaś posterunek.

– Pełna dłoń wyeliminowała moją straż. Złoci się przedarli. Potrzebujemy posiłków.

Pochylił skrytą pod hełmem głowę.

– Przychodzisz w samą porę. Zbieram ostrza, by wyeliminować tę groźbę. Zaatakuję ich z piętnastoma Zaprzysiężonymi.

Eksplodowała seria rzuconych pocisków. Zasypały ich ziemia i darń. Wszyscy się pochyłili, oprócz Zaprzysiężonych.

– A co potem? – zapytała Blask. W uszach jej dzwoniło.

– Pomaszerujemy na północ, na spotkanie cesarzowej.

– Raczej nie będzie na was czekać – zauważyła Blask z pogardą silniejszą, niż zamierzała.

Oprawca wyprostował ręce. Jedną zakutą w żelazną rękawicę dłoń dotknął czarnego kamienia – szlifowanego gagatu? – służącego jako gałka jego miecza, drugą zaś wyciągnął ku Blask, zaciskając ją w pięść.

– W takim razie Czepiec ją wytropi i rozgniecie jak robaka!

Odsunęła się.

Rozumiem.

– A co potem?

– Potem? Nasze ambicje się spełnią.

– Chyba chciałaś powiedzieć „Śluby”?

Dwa bełty uderzył w jej tarczę. Blask się zachwiała, wspierając się na jednej nodze. Potem podźwignęła masywny czworokąt i wyprostowała go.

Nastąpiła chwila ciszy. Oprawca skinął na swą straż złożoną z Zaprzysiężonych magów: Mara, Dalhonka o rozczochranych, skłębionych włosach przypominających lwią grzywę; Gwynn, odziany w prostą, czarną tunikę przewiazaną szarfą i spodnie; Płatek, kaleki, siwowłoso Płatek wsparty na lasce.

- Czy nie sięgasz myślami poza wypełnienie Ślubów, Blask? Nie zastanawiałaś się, co będzie później?

- Wrócimy do Avore.

- Avore wymazano z mapy! Taki region już nie istnieje. Kellanved był bardzo dokładny. - Oprawca zbył tę propozycję machnięciem dłoni. - Pozostaje więc pytanie: co dalej?

Przechylił głowę, spoglądając za plecy kobiety. Cofnął się o krok. Blask obejrzała się. Przez mrok i dym szli ku nim Zaprzysiężeni: Półdan, Altana, Szczęściarz, Shell, Dymek, a także potężnie zbudowany Szara Grzywa, który nie wyciągnął jeszcze miecza.

Nie, nie teraz! Nie w chwili, gdy tańczymy z wojskami imperium.

Pokłoniła się Oprawcy.

- Mój oddział uderzy ze wschodniej flanki. Mówisz, że chcesz pomaszerować na tych sojuszników zza morza. Proszę bardzo. My ruszymy na ich zachodnie skrzydło. Co ty na to?

Oprawca poruszył zakutymi w żelazo palcami na gałce miecza. Spojrzał na zachód.

- W porządku, Blask. Zajmij się swoim skrzydłem, a ja zrobię to samo na wschodzie. O północy cały plac boju powinien należeć do nas. Zgoda?

- Zgoda.

Wymienili płytkie ukłony. W teorii Zaprzysiężeni byli równi sobie i nie uznawali salutowania. Oprawca skinął na swoich Zaprzysiężo-

nych i ruszył w drogę. Blask odprowadzała go spojrzeniem. Odechnęła głęboko, spazmatycznie. Jej bok przeszył ból. Popatrzyła na Dymka. Był osmalony, zalewał go pot, szaty miał podarte i krwawił z nosa. Włożył w bitwę najwięcej sił ze wszystkich Zaprzysiężonych magów i ciężar kontrataków magów kadrowych imperium spadł głównie na niego.

– Kazałam ci zostać na posterunku.

Wskazał palcem oddalającego się Oprawcę.

– Kto wie, co mógł ci zrobić...

– To nie jest pora.

– A kiedy będzie?

Czy odważy się im powiedzieć? A co, jeśli to była halucynacja, odbicie jej marzeń? K'azz? Też coś! Tak blisko? Bogowie, oby to była prawda! A może... Nie... To byłoby zbyt okrutne.

– Jak wygramy bitwę. Zgoda?

Skrzywił się.

– Zgoda.

Blask odwróciła się bokiem. Bełt przemknął obok niej, zahaczając o karmazynową opończę. Skinęła na Dymka, Altanę i Shell, przyzywając ich do siebie.

– Zbierzcie wszystkich, których zdołacie, i przyprowadźcie do mnie, na zachodnie skrzydło. O świcie wszyscy będziemy musieli zdecydować, po której stronie staniemy!

Pokłonili się i odeszli pośpiesznie. Blask zwróciła się ku malazańskiemu renegatowi i przyjrzała się mu, wspierając ręce na biodrach. Szara Grzywa również dźwigał wielką zdobyczną tarczę malazańskiej piechoty.

– A co z tobą? Będziesz zabijał malazańskich żołnierzy?

Odwrócił wzrok. W jego jasnoniebieskich oczach pojawił się wyraz zakłopotania.

– Będę się bronił w razie potrzeby – burknął.

Nie. To za mało. Stanowczo za mało.

- No to stój tu sobie i się broń, niech cię Kaptur! - Machnęła gniewnie ręką. - Chodźcie! - zawołała do wszystkich. - Maszerujemy na zachód! Rozbijcie wszystkie oddziały. Zmiażdżcie zorganizowany opór!

Odpowiedział jej głośny, chóralny okrzyk:

- Za diuka!

Tak jest, za diuka. Oby wrócił. Oby się nie okazało, że był tylko odbiciem moich nadziei i obaw.

Rozdział II

W owym roku, podczas tamtego pożaru, światu po raz kolejny objawiła się obecność, która opuściła go tak dawno temu. Całą resztę należy zlekceważyć jako zwykłe komentarze. Ta nowa, a zarazem stara obecność ujawniła się i Noc zasmakowała we krwi oraz żelazie.

Prorok uliczny, Kan

Oddech wierzchowca Rillisha zamieniał się w parę w chłodnym nocnym powietrzu. Mężczyzna pogłaskał pysk klaczy. Stali na dziedzińcu, czekając razem z całym oddziałem. Wiadomość od Nula brzmiała: „Przygotujcie się do podróży i bitwy”, zatem rozkazał sierżantowi Żyłce zebrać ludzi. Gdzie w pobliżu mogli znaleźć bitwę? Negocjacje przebiegały zgodnie z planem. Te same frazy figurowały w poprzednich traktatach, podpisanych w kolejnych dziesięcioleciach. Wszystkie je złamano, jeden po drugim. Czyżby bliźniaki miały już tego dość i planowały atak na Untę?

- Jeźdźcy - odezwał się nagle Żyłka, choć Rillish również ich słyszał.

Po krótkiej chwili wpadły na dziedziniec bliźniaki w towarzystwie eskorty złożonej z około dwudziestu weteranów. Wszyscy ściągnęli wodze, zatrzymując się obok Rillisha. Brat i siostra włożyli grube ciemnoniebieskie tuniki, spodnie i skórzane buty. Nadir zaczesła długie włosy do tyłu i związała je rzemieniem. Spod pach obojga sterczały rogowe rękojeści długich noży. Nul spojrzał na niego z góry, jeszcze mocniej zaciskając wąskie usta.

- Tylko ty, kapitanie.

Rillish przyjrzał się bliźniakom. Coś się zmieniło. Oboje sprawiali wrażenie przejętych czymś, z czego nie byli zadowoleni. Talia pode-

szła do kapitana i ujęła go za rękę, zasłaniając ciałem ten gest.

- Tylko ja? - powtórzył.

Nul wskazał drogę.

- Ruszaj. Musimy się śpieszyć.

- W porządku. - Dosiadł konia i spojrzał na Żyłkę. - Zajmij się wszystkim pod moją nieobecność, sierżancie.

Mężczyzna skinął głową i splunął na dziedziniec.

Talia dotknęła buta Rillisha.

- Co się dzieje? - zapytała cicho.

- Nie mam pojęcia. Słuchaj Żyłki. - Poprawił nową kolczugę i miecze u pasa. - Uważaj na siebie. Zobaczymy się później.

- Wróć do mnie - poprosiła pełnym napięciem głosem.

- Tak.

Blizniaki popędziły wierzchowce i cały szwadron ruszył naprzód. Kopyta tłukły głośno o ubitą ziemię dziedzińca.

Rillish zauważył, że niemal wszyscy towarzyszący Nulowi i Nadir jeźdźcy są weteranami kampanii w Siedmiu Miastach, starymi, ale twardymi. Mknęli szybko traktem na południe, mijając po drodze kolejne oddziały czekające przy ciemnym szlaku.

Słodka Fanderay! Jest ich chyba z tysiąc!

Przyśpieszył i zrobiono dla niego miejsce w straży przedniej, obok Nula.

- Co się dzieje?! - zawołał.

Na widok znajomego uśmiechu chłopaka poczuł ulgę.

- Pamiętasz naszą rozmowę sprzed kilku dni? Jedziemy przypieczętować umowę z Tronem! Tak, by nie można jej już było zaprzeczyć! Z pewnością mamy więcej powodów, by nienawidzić Laseen, niż ktokolwiek inny. A mimo to ruszamy jej z odsieczą. - Potrząsnął głową. - Taka jest polityka.

- Czy ten poseł...

Nul pokręcił głową, odgarniając z twarzy targane wiatrem włosy.

– Nie. To nie ma z nim nic wspólnego. Obserwowaliśmy we dwoje zachód, razem z czarownicami. Wszyscy się zgodziliśmy, że zbliża się konfrontacja, jakiej Quon nie widziało od stulecia. Przechylimy szalę zwycięstwa, a ceną, jakiej zażądamy od Laseen, będzie suwerenność!

Suwerenność? Och, mam nadzieję, że wam się uda. To szlachetny cel dla waszego ludu. Godny... Rillish wyciągnął szyję, przyglądając się jeźdźcom... godny najstarszych z was. Wielu z nich odniosło rany, które w zasadzie powinny ich uczynić niezdolnymi do walki: straciło rękę, oczy i tak dalej. Ruszyli jednak do boju, by dać z siebie wszystko w tej ostatniej próbie osiągnięcia najwyższego celu dla swych dzieci i wnuków. Niezależności.

A on im towarzyszył. Ponownie pochylił się w stronę czarnoksiężnika.

– To dla mnie zaszczyt, Nul. Ale dlaczego ja? Dlaczego jestem z wami?

Odpowiedział mu niesamowity śmiech.

– Jeśli się nam uda, ktoś będzie musiał prowadzić negocjacje. Znasz zwyczaje panujące na waszym dworze. Musisz sprawdzić każde słowo, każdy punkt. Upewnij się, że traktat będzie wiążący!

– Zrobię to, Nul.

– Znakomicie! Wiem, że możemy na ciebie liczyć. Parsknął śmiechem. – Bardzo mi ulżyło. Nie będę się musiał tym wszystkim zajmować!

* * *

Kolumna dotarła do mostu i przemknęła na drugą stronę. Tętent kopyt brzmiał jak łoskot burzy niosący się echem nad masywnymi przęsłami z wapiennych bloków. W pobliskich stróżówkach, gospodach i chatach zapalano pochodnie, ale oni mknęli naprzód, kierując się na zachód, ku ziemiom, które ongiś były suwerennym państwem Bloor.

Rillish, rzecz jasna, wiedział, że Wickanie nie zamierzają jechać konno aż do Heng. To oznaczało, że mogą tam dotrzeć tylko przez grootę. Być może to był kolejny powód, dla którego jedynie on im towarzyszył. Niedawno odbył taką szaloną podróż. Szczerze mówiąc, bał się myśli o powtórce.

Musiał też jednak przyznać, że czuje ciekawość. Jak to zrobią? Tak wielu jeźdźców. To było niesłychane. Sądząc z tego, co wiedział na ten temat, magiczna podróż przez grootę przypominała wypad myszy do kocięj miski z mlekiem w świetle dnia. Wskazana była maksymalna ostrożność.

Ale z drugiej strony złowrogi, skupiony wyraz twarzy otaczających go jeźdźców był wystarczającą odpowiedzią: żaden z nich nie spodziewał się wrócić. W związku z tym żadna cena nie wyda się im zbyt wysoka. Bogowie! A on uczestniczył w tej szarży!

Ponownie dogonił Nula.

– Która grota? – zapytał.

Młody czarnoksiężnik spojrział na niego. Przez chwilę wyglądał na zdziwionego, ale potem się uśmiechnął.

– To było przedmiotem długiej gniewnej debaty, kapitanie. Która ścieżka pozwoli nam najszybciej dotrzeć do celu? W końcu zdecydowaliśmy się na tę, na której gniew strażników jest najmniej prawdopodobny. Na samą Otchłań!

Roześmiał się poganiając konia kopniakiem.

Zdumiony Rillish ponownie został z tyłu.

Tak jest, tu nie wzbudzą niczyjego gniewu, bo tu w ogóle nic nie ma! Czy będą spadać przez całą wieczność, jak utrzymywali niektórzy? Czy zlecą z krawędzi świata? A może utoną w wielkim oceanie, według innych otaczającym wszystkie lądy? Które wierzenia są prawdą? Wkrótce się przekona. Nie sądził jednak, że będzie miał okazję przekazać komuś tę wiedzę.

* * *

Gwiazdziste niebo nad nimi zawirowało. Widok tańczących, zamazanych plam światła przyprawiał go o mdłości. Droga zafalowała, jak towarzyszące upałowi miraże, choć przecież noc była chłodna. Rillish recytował modlitwy do Fanderay, Soliel, Królowej Snów, Dessembrae i Trake'a, błagając o to, by znaleźli twardy grunt pod kopytami wierzchowców i powietrze, którym będą mogli oddychać. Przednia straż kolumny, złożona z Nula, Nadir oraz grupy innych czarnoksiężników i czarownic, zniknęła w pustce, która nagle pojawiła się po drugiej stronie. Kolumna parła śmiało naprzód. Rillish poczuł, że w piersi wzbiera mu krzyk. Gdy pustka była już blisko, krzyk wniknął do gardła, a potem wyrwał się na swobodę razem z głosami innych jeźdźców. Wielu z nich wyciągnęło miecze. Konie skoczyły w bramę.

– Kapturze, odwróć wzrok!

* * *

Ukryta w wysokiej trawie na szczycie wzgórza Rzut obserwowała pole bitwy. Obok leżał sierżant Banath. Z tyłu mieli zachodzące słońce. Wyglądało na to, że imperialne wojska radzą sobie znacznie lepiej, niż się spodziewała. Malazańczycy panowali nad polem bitwy na wschodzie i zachodzie, ale centrum wciąż należało do Gwardii. Banath wskazał miejsce, gdzie Szlak Pielgrzymów opadał do doliny Idrynu.

– Jak myślisz, czy ruszą na most?

– Nie sądzę.

– A jeśli Gwardziści się przebiją? Co ich powstrzyma przed podążeniem na północ?

Banath wskazał podbródkiem wielki, barwny namiot, należący do samej cesarzowej.

– Mogą to zrobić, ale wątpię, by tam na nich czekała.

– Co więc jest naszym celem?

Rzut skinęła ręką, każąc mu wycofać się do stóp wzgórze.

– Zniszczenie. – Wrócili truchtem do zagajnika, w którym czekali na nich Rell, Liss i trzech bracia. – Potrafisz nas ukryć? – zapytała Rzut, zwracając się do Liss.

Szamanka skinęła głową.

– Na miarę swych możliwości. Muszę przyznać, że magia, jakiej użyto za tymi wzgórzami, przypomina dawne czasy, gdy kadry magów władały polem bitwy. Obawiam się też, że nocą ujrzymy gorsze rzeczy.

– Przybyliśmy tu specjalnie dla Ryllandarasa.

– Tak? A co z odsieczą dla cesarzowej?

– Jeśli dostarczymy mu zajęcia, to z pewnością jej pomoże, nie sądzisz?

Liss spojrzała w bok, wydymając usta.

– Czysta prawda.

Rzut podeszła do Rella, który z konieczności zsiadł z konia. Nigdy nie widziała bardziej nieudolnego jeźdźcy – poza sobą.

– Żałujesz, że wybrałaś się z nami?

Mężczyzna potrząsnął głową skrytą pod hełmem o połączanej zasłonie.

– Nie. Żał mi tylko, że nie będę miał okazji skrzyżować miecza z Zaprzysiężonymi. Wiele o nich słyszałem.

Rzut przyglądała mu się przez długą chwilę. Nosił połataną zbroję, a dwa miecze wiszące u jego pasa miały za gałki bliźniacze kamienie mlecznej barwy. Jedwab powiedział jej, że w dawnych czasach należały do Protektorki Heng.

– Dlaczego opuściłeś ojczyznę, Rell? Przez wszystkie te lata wyraźnie dostrzegałam, że bardzo za nią tęsknisz.

Splótł dłonie za plecami, spoglądając na nią z góry.

– Nie miałem wyboru. Wygnano mnie... Nie, to nieprawda. Odszedłem z własnej woli, bo nie mogłbym tam zostać.

– Nie rozumiem.

– Wiem. – Ton jego głosu sugerował pełen żalu uśmiech. Odwrócił się bokiem, jakby nie mógł znieść mówienia o tym głośno, do niej czy do kogokolwiek innego. – Byłem młody i bardzo pewny siebie. Awansowano mnie do grupy najlepszych wojowników mojego ludu. Byłem jednym z najmłodszych, jacy kiedykolwiek osiągnęli ten zaszczyt. Stoczyłem wiele pojedynków, ale nie takich, jak rozumieją to wasi ludzie, kończących się niepotrzebną śmiercią albo osłabieniem płynącym z wyczerpania. Na tym poziomie rzadko przelewano krew. Sędziowie decydowali o wyniku po jednej albo dwóch wymianach ciosów. Szybkość, technika, wykonanie. Perfekcja formy i precyzja egzekucji. Niektórych ogłaszano pokonanymi dlatego, że czegoś nie zrobili. Przeoczyli szansę. Nie przeprowadzili manewru do przepisanego końca. Krótko mówiąc, walka przerodziła się dla nas w religijny obrządek.

Rzut poczuła, że zaschło jej w ustach. Bogowie! To bardzo wiele tłumaczy! Przełknęła ślinę.

– Dlaczego więc musiałeś wyjechać? – zapytała ochryplym głosem.

– Jak już mówiłem, byłem zbyt pewny siebie. Zrobiłem coś niewyobrażalnego. Sprzeciwiłem się werdyktowi. Sędziowie, wszyscy, rzecz jasna, wyżsi rangą ode mnie, potwierdzili go, a ja ośmieliłem się zakwestionować ich interpretację. Za tę bezczelność usunięto mnie z pocztu wojowników. Zabroniono noszenia broni. Zostało mi tylko życie rzemieślnika, rolnika albo sługi. Zachowałem wolność, ale zabroniono mi walki. Z pewnością potrafisz sobie wyobrazić... Zapalczywy młodzieniec, jakim byłem, nie potrafiłby znieść myśli, że jego towarzysze, mężczyźni i kobiety znacznie mniej biegli od niego, awansują coraz wyżej, a on musi im się kłaniać. Nie, wybrałem wygnanie. Teraz jednak wróciłbym, gdybym tylko mógł. Myślę, że wybrałbym zajęcie rolnika. Opiekowanie się czymś od ziarna aż po plon z pewnością sprawiłoby mi satysfakcję.

Tak, Rell, pokonałeś długą drogę. Ale twój błąd mógł polegać jedynie na tym, że byłeś zbyt uparty w społeczeństwie tak sztywnym, że nie mogło ci ustąpić.

- Na Heng też można by tak patrzeć.

Pochylił skrytą pod hełmem głowę.

- Dziękuję, Rzut.

Nad wzgórzami poniósł się ochryply krzyk. Po grzbiecie kobiety przebiegły ciarki, włoski na jej ramionach stanęły dęba. Podbiegła do Liss.

- Co to było?

- Kolejne przywołane stworzenie spotkał paskudny koniec. Robi się coraz goręcej. Wkrótce możemy się spodziewać Ryllandarasa, choć podejrzewam, że nawet on nie będzie się śpieszył z wchodzeniem w ten koszmar. Obawiam się, że o wyniku bitwy rozstrzygną pojedynki magów, ku żalowi nas wszystkich.

Rzut spojrzała na wschód, gdzie szczyty wzgórz rysowały się na tle jaskrawych, czerwonych i żółtych rozbłysków. Przez łoskot bitwy przebijало się staccato wybuchów przebijaczy, przypominające stukot spadających kamieni. Nad polem bitwy krążyła niesamowita luna podobna do zielono-niebieskich wstęg widywanych niekiedy zimą na niebie.

Trzęsienie ziemi, burza ogniowa i tajfun połączone w jedną całość. Bogowie, pomóżcie zwykłym żołnierzom otoczonym tym koszmarem! Mogą liczyć tylko na to, że jeśli pochylą głowy, nie przyciągną uwagi Zaprzysiężonych magów szalejących na polu bitwy.

* * *

- Co to było, w imię śmierdzącej Poliel?! - zawołała ukryta w okopie Maja.

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć! - odrzyknął Nait. - Nie przestawajcie strzelać!

Grupka harcowników przebiegła obok, pochylając głowy.

- Hej, wy! Kryć się! - zawołał do nich.

Skoczyli do okopu.

- Robi się gorąco – oznajmił jeden z nich z kretyńskim uśmiechem na usmarowanej sadzą twarzy.

- Strzelajcie! – rozkazał Nait.

Sądząc z tego, co widział, wszelki ład się załamał. Linia frontu przestała istnieć. Unoszący się w powietrzu dym – realny i stworzony przez cholerną grootę Mockra – zasłaniał jednak część pola bitwy. Potrafił poznać dym z grotu, bo nie czuł jego zapachu. Ostrza Karmazynowej Gwardii maszerowały, miażdżąc wszelki opór. Odkąd Maja załatwiła tego demona celnym rzutem stapiacza, skierowało się na nich mnóstwo niepożądanego uwagi. Do tej pory skoncentrowany ostrzał drużyny Naita pozwolił odeprzeć trzy ataki, skłaniając Gwardzistów do poszukania łatwiejszych celów. Wsparli ich też Złoci Moranthowie, którzy pojawili się nagle znikąd, by pomóc im bronić pozycji. Jeśli już mowa o ostrzale, po lewej wyraźnie osłabł. Nait wysunął głowę z okopu i spojrział w tamtą stronę. Był tam Heuk. Rozmawiał z Podbródką i chłopakami przy ich miotaczu. Co, na stanowczo zbyt bliski oddech Kaptura, kombinował ten cholerny dureń? Mag ruszył w jego stronę.

- Kryj się, dobra?! – krzyknął Nait.

- Napij się tego.

Stary pijak podsunął mu dzbanek.

- Idź do Otchłani.

- Napij się!

Przykucnął i wepchnął dzbanek w ręce sierżanta.

- Już dobra! – Nait powąchał na próbę i odepchnął dzbanek. – Bogowie, nie!

- Chciałeś pomocy? To jest pomoc – odparł Heuk, nie okazując współczucia.

Nait uniósł z niechęcią dzbanek do ust. I zmusił się do przełknięcia łyku mdłego płynu. Dopadły go nudności. Otarł usta dłonią w skórza-

nej rękawicy.

- Bogowie! Co to jest?

- Głównie końska krew.

- Końska krew? Chcesz nas otruć czy co?

Mag poklepał go z chichotem po plecach. Od rozpoczęcia bitwy ożywił się znacznie. Gdy wszyscy kryli się w okopach, on chodził wyprostowany, nie zważając na nic. Skinął na Naita, każąc mu wyjść z okopu.

- Chodź ze mną. Ktoś chce z tobą pogadać.

- Pogadać ze mną? Jak to pogadać?

- Chodź.

Staruszek złapał sierżanta za ramię i wyciągnął z okopu.

Nait wytrzeszczył oczy, pocierając nadwierzony bark.

- Spokojnie...

Heuk popchnął go w górę stoku.

Dmący od pewnego czasu wiatr przybrał nagle na sile. Coś przemknęło nad głową Naita. Pochylił się, czując pulsujący ucisk. Mag skinął dłonią, wymamrotał jakieś słowa i fala się cofnęła. Nieopodal zadrżała ziemia. W górę wzbily się ziemia, popiół i kilku harcowników.

- Co to, na Otchłań...? - wydyszał Nait.

- Mniejsza z tym. Każ ludziom strzelać dalej - odparł Heuk. - Jesteśmy na miejscu.

Wypchnął sierżanta przed siebie. Wiatr uspokoił się raptem. Nait zobaczył, że w trawie na szczycie wzgórza ktoś siedzi. Bardzo otyła i ciężka Dalhonka wściekle poruszała trzymanym w jednej ręce wachlarzem, chłodząc ciemną, błyszczącą od potu twarz. Jej jedwabne szaty również pociemniały od potu, przylepiając się do olbrzymiego biustu. Choć Nait był śmiertelnie przerażony, ogarnęła go fascynacja.

Bogowie, cóż za figura!

– To jest Bala – przedstawił kobietę Heuk. – Tylko dzięki niej jeszcze żyjesz.

– Tak? A ona żyje jeszcze tylko dzięki mnie!

Grube, pokryte perlistym potem ramiona czarodziejki zatrzęsły się nagle. Kobieta zachichotała gardłowo. Nait omal nie zemdlął z pożądania, słysząc ten dźwięk.

– Brawo, żołnierzu. Widzę, że duch bojowy cię nie opuszcza. To świetnie. Będziesz go potrzebował. Krótko mówiąc, jestem straszliwie zmęczona. Przez cały wieczór powstrzymywałam, odbijałam albo neutralizowałam wysiłki Zaprzysiężonych magów, próbujących zmienić ten stok w jedno wielkie pole śmierci. Ale teraz mam już dość. Zabrakło mi sił. Sądziłam, że poradzę sobie ze wszystkim, że zdołam dorównać samemu Tayschrennowi, ale przekonałam się, że muszę się wycofać, choć on potrafił w pojedynkę stawić czoło tym, a także innym przeciwnikom. Heuk mnie zastąpi.

Widząc niepokój Naita, uniosła ręce, by go uciszyć.

– Jeśli choć połowa tego, co mi pokazał, była realna, jesteście w dobrych rękach. W gruncie rzeczy, jeśli moje podejrzenia są trafne, szczerze się cieszę, że opuszczam pole bitwy. Żegnaj, żołnierzu. Życzę szczęścia. Twe skołowane spojrzenie mówi mi, że jesteś oszołomiony naszym spotkaniem. Z chęcią zostałabym tu jeszcze trochę, by podręczyć cię swą niedostępnością, ale to będzie musiało poczekać na następną okazję.

Złożyła wachlarz z głośnym trzaskiem przypominającym dźwięk chowanego do pochwy miecza, a potem zniknęła. Nait gapił się na pustą, zgniecioną trawę.

Jak zwykle mam pecha. Spotkałem kobietę moich marzeń w dniu własnej śmierci.

Uklęknął i dotknął dłonią ziemi w miejscu, gdzie przed chwilą siedziała Bala. Trawa była jeszcze ciepła.

Pani, pozwól mi ją jeszcze kiedyś spotkać!

Heuk odchrząknął.

- A więc ją zobaczyłeś.
- Tak, zobaczyłem! - odparł Nait, oglądając się na niego.
- Świetnie. Rozejrzyj się i powiedz mi, co jeszcze widzisz.

Nait miał wielką ochotę powiedzieć staruszkowi, żeby się wypchał, rozejrzał się jednak z niechęcią po polu bitwy. W gęstniejącym mroku poruszały się światła, gorejące jasnym blaskiem sylwetki odbijające się od skłębionego tłumu.

- Widzę świecących ludzi.

- Świetnie. Masz teraz odrobinę talentu. Dała ci ją krew, podobnie jak ludziom w okopach. Widzisz każdego, kto posługuje się aktywną magią grot. A teraz zjedź na dół i rozwal wszystkich, do Kaptura, z arbalety.

Naitowi nie trzeba było wyjaśniać zalet tego planu. Złapał torbę i zbiegł ze wzgórza.

- Kubło! Ładuj miotacz!

* * *

Ostatnie rozkazy Laseen była absolutnie jednoznaczne. Nikomu nie było wolno wchodzić do Cesarskiego Namiotu. Bez względu na okoliczności. Opos miał wielką ochotę rozsunąć grube, wielowarstwowe ściany i zajrzeć do środka, powstrzymał się jednak.

Nie ma sensu wystawiać się na cel temu, co kryje się w środku.

Wokół namiotu zapalono pochodnie. W regularnych odstępach stali tu wartownicy. Do środka nie wszedł ani jeden kurier, ani nawet służący. Opos obserwował uważnie wejście, jak zwykle ukryty za zasłonami Mockra i cieniami Meanas. Zapadała coraz głębsza ciemność. Prędzej czy później ktoś godny jego uwagi popełni błąd i Opos uderzy. Tymczasem zabawiał się wyobrażaniem sobie tego, co mogło się dzieć wewnątrz. Czy Havva Gulen utkała tam liczne warstwy osłon oraz napędzanych magią grot pułapek na ewentualnych napastników? Bogowie wiedzieli, że nie zrobiła dotąd nic więcej. Od chwili przyby-

cia ani razu nie widział jej przetłuszczonych, zwisających w strąkach włosów ani brudnych szat. Być może welony już ją załatwiły. Jak mógłby to zauważyć? Tak czy inaczej, zaczeka. Dowódcom dłoni wydano rozkazy. Ich sedno sprowadzało się właściwie do wytropienia izolowanych Zaprzysiężonych i wyeliminowania ich. Co więcej mogli zrobić? Laseen nie chciała, by towarzyszyli jej strażnicy ze Szponu. Proszę bardzo. Kim był, by się jej sprzeciwić? Formalnie rzecz biorąc, wcale jej nie towarzyszył, prawda? Obserwował ją z bezpiecznej odległości. A gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego... no cóż, potrzebny będzie ktoś, kto przejmie kontrolę nad sytuacją...

Opos wspiał się na palce, słysząc szelest namiotowej tkaniny. Ze środka dobiegł nieludzki, bełkotliwy krzyk, który zaraz przerodził się w zawrodoenie pałającej agonii. Mężczyzna pobiegł w stronę namiotu. Wartownicy odsunęli się, wyciągając miecze. Spod przybitej kołkami tkaniny coś wypęzło. Demon. Kończyny i szponiaste dłonie stworzenia skurczyły się, niemal stopiły. Z jego kudłatej sierści buchał dym. Zostawiał za sobą plamy posoki oraz czerwonej ziemi. Opos uklęknął i dotknął dziwnego rdzawego pyłu. Roztarł go między kciukiem a palcem wskazującym urękawiczonej dłoni. Był gładki jak kreda.

Nieszczęsny stwór skołał wreszcie z westchnieniem. Na oczach wszystkich jego ciało zmieniło się w syczącą, bąbelkującą masę. Mężczyzna odsunął się na bezpieczną odległość. Niech ich Królowa ma w swojej opiece! Co mogło zadziałać w ten sposób na przywołaną istotę, mieszkańca bogowie wiedzieli jakiej groty albo królestwa? Ta myśl uderzyła go nagle: Przywołanej! Przez magię! Ściągnął rękawicę, odwrócił ją na lewą stronę i odrzucił od siebie jak żmiję. Bogowie! Mało brakowało, a... To zbyt straszliwe, by mógł o tym myśleć! Odsunął się jeszcze dalej. Dobrze chociaż, że nie zauważył go żaden z wartowników. Jego grotka nadal pozostawała aktywna. Znalazł sobie nowy punkt obserwacyjny i stanął tam, zwrócony plecami do zbudowanej z włócznie ściany prowizorycznego korralu dla koni.

To była cała Laseen. Brutalna i skuteczna. Podłoga posypana otataralem, a ona sama w jej centrum. Pył unieszkodliwiał magię każdego intruza, wyrównując szanse. A jeśli chodzi o walkę wręcz, no cóż, była kiedyś mistrzynią Szponu. Grube ściany namiotu ukrywały los tych, którzy weszli do środka, przed znajdującymi się na zewnątrz świadkami. Ilu ich już padło? Pięciu? Dziesięciu? Ilu zginie, nim nadejdzie świt? Jak wielu wysła do akcji Czepiec, nim sam stanie do boju? A gdy już to zrobi... no cóż, Zaprzysiężony wielki mag zostanie nagle okaleczony, podobnie jak tajemnicza kobieta, która przedtem oszukała Oposa. Niemniej Czepiec toczył kiedyś pojedynek z Tancerzem.

Niemal mógłbym wejść do środka, by zobaczyć tę walkę.

Niemal.

Laseen najwyraźniej panowała nad sytuacją. Być może nadszedł czas, by wybrać się na pole bitwy w poszukiwaniu celów. Tak jest, to niezły pomysł. Powinien też się przekonać, jak się rozwija sytuacja, na wypadek gdyby wskazany był dyskretny odwrót. Opos otoczył się grota i – ukryty na wpół w naturalnym cieniu, a na wpół w Meanas – potruczał na plac boju, niezatrzymywany przez nikogo.

Przeraziło go to, co tam zastał. Nigdy jeszcze nie widział tak masowej rzezi. Nad areną unosiły się zasłony Mockra, być może przynoszące tym, których spowiły, totalną demoralizację albo pewność klęski. Po zwęglonej trawie wędrowały ściany zrodzonego z Thyr ognia. Harcownicy skupili się w obronne grupki, strzelając do każdego, kto się zbliżył. Regularni malazańscy żołnierze okopali się albo utworzyli ściany tarcz, broniąc się przed atakami band Karmazynowych Gwardzistów. Wszystko spowijały gęste kłęby dymu. O ile potrafił się zorientować, bitwa przerodziła się w krwawy chaos, w którym wszystko, co się ruszało, było celem.

Ogłuszyła go potężna eksplozja pocisków. Zachwiał nim podmuch. Pobiegł ku najbliższemu wzniesieniu. Wybuchy narastały niepowstrzymaną falą, przechodząc w nieustanny ryk. Dotarł na szczyt niewysokiego wzniesienia i spojrzął w stronę urwisk doliny Idrynu.

Falanga Złotych Moranthów starła się tam ze śmiesznie nielicznym oddziałem Karmazynowej Gwardii. Niemniej to nie fizyczne starcie przyciągnęło jego uwagę i wzbudziło przerażenie. Falangę zaatakowano za pomocą rytualnej magii bojowej. Nad szeregami Moranthów przycupnęło tornado Serc, wciągające kolejnych żołnierzy w swą wirującą paszczę. Krążyli w nim, wymachując kończynami jak lalki, albo spadali na ziemię, przewracając szeregi towarzyszy niczym kręgle. Niekiedy eksplodowali w chwili upadku, znikając w obłokach fragmentów ciał i zbroi. Kaptureze, broń! To nie była wojna, tylko rzeź. Poczuł ucisk w piersiach, serce omal mu nie stanęło.

Nie mamy magów!

Nie mamy magów! Powstrzymajcie to! Ktoś musi to powstrzymać!

– Zaczęło się – rozległ się nagle jakiś ochrypły głos tuż obok niego.

Opos podskoczył i odwrócił się błyskawicznie: ujrzał brodatego starca w brudnych szatach, ściskającego w dłoniach poobtlukiwany dzbanek z brązowej gliny.

– Kim jesteś?

– Heuk. Mag kadrowy. Szósta Drużyna Drugiej Kompanii Czwartej Dywizji Czwartej Armii.

– Co się zaczęło?

– Nasz pojedynek.

Opos omiół go spojrzeniem od stóp do głów. Czyżby miał do czynienia z szaleńcem?

– Wasz pojedynek? Tam jest co najmniej tuzin Zaprzysiężonych magów.

– Mniej. Nasi ludzie załatwili może ze trzech. Tak czy inaczej, to nie twój interes, prawda? – dodał, spoglądając Oposowi w oczy.

Szpon mimo woli cofnął się o krok. Co to za zapach? Krew? A jego oczy? Czarne tęczęwki i czarne białka? A na jego ustach? Krew?

– Kim jesteś? – wydyszał.

Staruszek wskazał na południe.

– Patrz. Poszli w rozsypkę.

Miał rację. Kolumna Żółtych rozpierzchła się pod naciskiem coraz potężniejszego cyklonu. Grupki żołnierzy uciekały we wszystkie strony.

Mężczyzna rozciągnął usta w kwaśnym uśmiechu, odsłaniając krzywe, poczerniałe zęby.

– Teraz kolej na nas. – Ponownie spojrzął na Oposa. – Kim jestem? Wasi werbownicy nazwali mnie magiem, ale ja nim nie jestem. A teraz lepiej uciekaj, mała wrono śmierci. – Uniósł dzban. – Trzymaj się swoich gierek na płycznach Cienia. Ja zanurzam się w nieskończone głębie Wielkiej Nocy!

Opos odsuwał się krok po kroku.

– Nie... ta grota leży poza naszym zasięgiem.

– Ty głupcze! Jak już mówiłem, nie jestem magiem, tylko zwykłym czcicielem Nocy. Jak dawniej mawiano, krew mi kipi. A teraz zmykaj, bo zaraz wezwę swego boga. On powróci i już najwyższy czas, by zademonstrować światu jego obecność.

Opos patrzył z niesmakiem, jak staruszek wylewa sobie na głowę całą zawartość dzbanka. Gęsty płyn – zapewne krzepnąca krew – spływał mu po włosach, twarzy i ramionach. Szpon odwrócił się, zbierało mu się na wymioty. Szaleństwo! Czysty obłąd. A noc się dopiero zaczęła! U podstawy niskiego wzgórza zatrzymał się nagle. Dziesiątki klęczących i leżących w trawie żołnierzy uniosły naładowane kusze, celując w niego.

– Opuść grootę albo zginiesz! – zawołał ktoś.

Opos wykonał polecenie. Widzieli go. Jak to możliwe?

– Ach! – prychnął ktoś. – To tylko pierdolony szpon.

Wszystkie kusze się odwróciły. Poirytowany Opos odszukał właściciela głosu. Mężczyzna – sierżant – siedział w okopie, klóćąc się ze stojącym nad nim Żółtym Moranthem.

- Mam to głęboko w dupie - mówił. - Kazano wam tu zostać, więc zostańcie!

- Nasi bracia nas potrzebują - mruknął Moranth. - Nieprzyjacieli mocno na nich naciska.

- Poszli w rozsypkę - powiedział Opos. Obaj żołnierze spojrzeli na niego, wyraźnie niezadowoleni, że im przerwał. Sierżant machnął ręką, jakby odrzucał coś na bok.

- Moglibyście im kazać przegrupować się tutaj - zasugerował szpon.

Moranth opuścił zakutą w hełm głowę, spoglądając z góry na sierżanta, który z kolei łypnął spode łba na Oposa.

- Świetnie! - zgodził się, odsyłając Morantha skinieniem dłoni. - Równie dobrze moglibyśmy sobie wymalować pierdolone tarcze na czołach - dodał pod nosem.

- Na to już za późno, sierżancie...?

- Nai... - Mężczyzna zaczerpnął głęboko tchu. - Cykor. Jestem sierżant Cykor.

Ach! No pewnie, szaleniec, który wybrał się nocą na łowy na Ryl-landarasa. Któż inny mógłby to być?

- Już przyciągnęliście uwagę Gwardii. Mogę was o tym zapewnić. Na górze stoi szalony mag albo kapłan z urojeniami wszechmocy, a po rozbiciu Moranthów wy i środek staliście się jedynymi punktami malazańskiego oporu na całym polu bitwy.

Sierżant wpatrywał się w pogrążone w mroku pole bitwy przed okopem, gdzie połączone oddziały Moranthów i malazańskiej piechoty utworzyły linię osłaniającą harcowników przed atakami Gwardzistów.

- W takim razie lepiej stąd zmiataj - rzucił od niechcienia do Oposa.

Szpon zacisnął usta, nerwowo poruszając spragnionymi łup dłońmi.

– Nie ludź się, że jesteś poza zasięgiem cesarzowej – wychrypiał.

– Nie ludź się, że jesteś bezpieczny. – Sierżant wskazał ręką w bok. Czterech sabotażystów wycelowało w Oposa nabite przebijaczami kusze. – Jesteśmy w okopie, a ty nie – dodał lakonicznie.

Szpon wyprostował się, starannie poprawiając ciemnoniebieską bluzę.

– Brońcie tej pozycji, sierżancie – rzucił i przeskoczył okop, otaczając się grotą, by przejść przez zbierające się linie imperialnej piechoty.

– No jasne! – zawołał za nim Cykor. – A co twoim zdaniem mógłbym zrobić? Pójść i wykopać się w rzece?

Bezczelny skurczybyk. Opos uspokoił się myślą, że pomimo zapewnień szalonego kapłana wszyscy ci żołnierze z pewnością zginą przed świtem. Miał tylko nadzieję, że zdążą zadać Gwardii poważne straty i szpony będą mogły spokojnie wykończyć wyczerpane niedobitki Zaprzysiężonych.

Gdy jej ostrza dotarły na miejsce, okazało się, że zachodnie skrzydło opanował chaos. Blask wysłała przodem poruczników, by przegrupowali rozproszone niedobitki. Nieprzyjacielowi poważny szturm uniemożliwił jedynie brak wsparcia z pozostałych obszarów pola bitwy. W centrum Gwardia nadal się trzymała, a przerażający pokaz magii bojowej na wschodzie powstrzymałby wszystkich żołnierzy.

Blask ruszyła naprzód w towarzystwie Szarej Grzywy, Shell i Dymka. Dołączali do niej wciąż nowi Zaprzysiężeni. Większość z nich wysłała przedtem naprzód, by wzmocnić obronę. Im bardziej zbliżali się do linii frontu, czy raczej jej poszarpanych odcinków, tym gęstsze były sypiące się na nich chmury bełtów. Wszyscy Zaprzysiężeni i wielu regularnych żołnierzy Gwardii wzięli sobie ciężkie, prostokątne tarcze używane przez malazańską ciężką piechotę. Kulili się za nimi jak za przenośnymi ścianami. Blask od czasu do czasu musiała wyrywać wbite w tarczę bełty, by nie zrobiła się ona zbyt ciężka.

Zaprzysiężona imieniem Daneth wezwała ją skinieniem do stosu poległych Gwardzistów.

– Popatrz na to.

Blask osunęła się na kolana i uniosła trupa, kładąc sobie jego głowę na udach. Choć mężczyzna miał zmasakrowaną twarz, Blask go poznała. To był Długonogi, Zaprzysiężony. Rzecz jasna, odniósł liczne obrażenia, zaskoczyła ją jednak śmiertelna rana głowy. Była pojedynczą. Ktoś albo coś uderzyło go w twarz, miażdżąc nos i szczękę. Odłamki kości wbiły się w mózg, powodując natychmiastową śmierć.

– Maczuga albo buzdycan? – spróbowała zgadnąć.

– Otwarta dłoń – zaprzeczyła Daneth. Jej pozbawiony wyrazu głos harmonizował z zastygłą w złowrogim grymasie twarzą.

– Co? Kto mógłby...?

– Urko! – wydyszał Dymek, jakby to imię było przekleństwem. – Jest tu.

Urko. Człowiek, który nie potrzebuje broni. Nic dziwnego, że zachodnie skrzydło się rozsypało. Żaden oddział nie mógłby mu się oprzeć.

Rozejrzała się, spoglądając w oczy pobliskim Zaprzysiężonym.

– Póldan, Altana, Szczęściarz! Znajdźcie go i zabijcie.

Cała trójka pochyliła głowy i oddaliła się truchtem.

– Nie znajdują go – stwierdził Dymek.

– Tak myślisz? A dlaczego?

– Zapewne stoi w szyku, jak zwykły ciężki piechociarz. Ukrywa się już przed welonami. Może być każdym z ich żołnierzy.

– Szczęściarz nie jest głupi. Będzie miał otwarte oczy i zaczeka na odpowiednią chwilę.

Mag wzruszył ramionami.

– Mam taką nadzieję. – Wezwał skinieniem Shell. – Tak czy inaczej, policzyliśmy nasze siły. Myślę, że mamy około trzydziestu braci i sióstr.

- A Oprawca?

- Trochę więcej.

- Rozumiem. A więc sympatie nadal są podzielone. - Po raz kolejny dopadło ją zwątpienie. Poczowała ucisk w piersi i burzę w żołądku. Omal nie zwymiotowała. Co, jeśli to był sen? Jeśli słyszała głosy? W końcu to był Cień. Spojrzała na Szarą Grzywę. - A co z tobą? - warknęła gniewnie. - Czy potrafisz sprostac człowiekowi, który rozbija zbroje gołymi rękami?

W pobliżu eksplodowała kolejna seria pocisków. Z góry posypały się na nich piasek i ziemia.

- Nigdy go nie spotkałem! - odrzyknął renegat. - Ale sądząc z tego, co o nim słyszałem, nie.

- Nie? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Tak po prostu przyznajesz, że nie zdołasz go pokonać? A może odmawiasz walki?

Pobliscy Zaprzysiężeni spojrzeli na nich z wyraźnym niepokojem.

- Tego nie powiedziałem, Blask - odparł spokojnie Szara Grzywa. Ręce zwisały mu luźno u boków. - Stwierdziłem tylko, że taka walka byłaby nierówna.

- A więc po tym, co o nim usłyszałeś, zacząłeś się go bać.

- Nie, Blask. Po tym, co o nim usłyszałem, poczułem do niego podziw. Powiem ci jedno. Przysięgam, że oddam życie w twojej obronie.

Blask zamarła w bezruchu na kilka uderzeń serca, spoglądając w jasne oczy renegata. Opuściła tarczę, lecz zaraz uniosła ją znowu, gdy bełt zahaczył o karmazynową jedwabną kیتę zwisającą z jej hełmu.

- Niech cię szlag, Szara Grzywo - warknęła przez zaciśnięte zęby. - Czy zawsze musisz kroczyć po ostrzu noża?

- Muszę pozostać wierny sobie.

I spójrz, do czego cię to przywiodło, renegacie! Nie powiedziała jednak tego na głos. Szara Grzywa najwyraźniej świetnie rozumiał tę

sytuację i zasmucała go ona głęboko. Blask zacisnęła dłoń na rękojęści napańskiego biczomiecza.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak złapać cię za słowo. Pójdziemy do pierwszego szeregu poszukać naszego przyjaciela...

Potań szeroki, spłaszczony nos, krzywiąc się z bólu.

– Bałem się, że to właśnie zaproponujesz.

– Ojcie Światło, broń nas! – zawołał Dymek, spoglądając nagle na wschód.

Shell patrzyła w tę samą stronę, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Uniosła ręce, jakby chciała się osłonić przed tym, co widziała. Blask przymrużyła powieki, ale wypatrzyła tylko ciemniejszą plamę na tle nocy.

– Co to jest?

– Coś niemożliwego – odparł niemal niesłyszalnym szeptem Dymek, nie odrywając wzroku od drugiego końca pola.

– Wy tłumacz mi to, magu – warknęła Blask.

Mężczyzna zamrugał i zwrócił się ku niej, przyglądając poczerwieniałymi od sady rękami potwornie rozczochrane włosy.

– Ktoś odsłonił Kurald Galain. Tu, na polu bitwy. I kimkolwiek jest ten mag, to nie jeden z naszych.

– Kurald Galain?

– Grotę Pradawnej Ciemności Tiste Andii – wyjaśniła Shell. – Dom ich bogini, Matki Ciemności.

Blask spojrzała na gęstniejącą plamę ciemności, obracającą się powoli tuż nad polem bitwy.

– Ale tu nie ma żadnych Tiste Andii...

– No właśnie. Dlatego to niemożliwe.

Nagle podmuchy oznajmiły, że przez grotę przybyli kolejni magowie: Opal, Lor-Sinn i Toby. Wszyscy obecni Zaprzysiężeni magowie popatrzyli niespokojnie na Dymka. Ten zgodził się z ich propozycją, opuszczając kąciki ust. Spojrzał na Blask.

– Zaczęła się eskalacja. Oprawca przywołał rytualną magię, a Malaźnycy odpowiedzieli tym samym. My, to znaczy nasza piątka plus zwerbowani magowie, Krętacz, Palla i kto tam jeszcze, zapewne będziemy tu potrzebni.

– Wszyscy?

Dymek otarł twarz.

– Blask, ten, kto za tym stoi, jest potężniejszy ode mnie.

Blask nakazała sobie zachować sztywną postawę.

Zachowaj spokój! Wszyscy patrzą na ciebie! Czy żadna bitwa nigdy nie może pójść zgodnie z planem? Spodziewaliśmy się, że o wyniku starcia rozstrzygną miecze i tarcze. A teraz Dymek twierdzi, że sprawy zmierzają ku czarodziejskiej konfrontacji, jak za dawnych czasów. No cóż, niech i tak będzie. O ile nie zjawi się Tayschrenn, była przekonana, że kadra magów Gwardii sobie poradzi. Zresztą to nowe zjawisko, czymkolwiek było, stanowiło problem Oprawcy, jako że znajdowało się dokładnie między nim a cesarskim namiotem. K'azz, jeśli naprawdę jesteś blisko, potrzebujemy cię.

– Proszę bardzo.

Skinęła głową do towarzyszącego jej sierżanta, Okopa, który uniósł rękę, dając znak do ataku.

– Naprzód!

Szara Grzywa podążył za Blask, z pewnością zamierzając strzec jej pleców. Magowie otaczali ją z obu boków, a Zaprzysiężeni z jej oddziału rozproszyli się po falandze Gwardzistów z Drugiego i Trzeciego Poboru, skupiając rozproszone grupki w coraz szerszy klin skrytych za tarczami żołnierzy.

* * *

– Wielka Bogini, broń nas – wyszeptała Liss, zwracając nagle głowę na wschód. Rzut zauważyła, że trzech bracia zrobili to samo.

– Co się stało? – zapytała.

- To zdumiewające. Nigdy nie widziałam czegoś takiego ani nie spodziewałam się zobaczyć.

- Ale co to jest, do cholery?

- Pradawna Ciemność, Wieczna Noc, odsłonięta tu, na polu bitwy. - Oderwała wzrok od rysujących się w oddali wzgórz, kierując je na stojącą obok wierzchowca Rzut. - Sprawy szybko wymykają się spod kontroli. Przywołuje się siły, które przestraszyłyby nawet Ryllandarsa. W końcu jest tylko jedną istotą. - Wyciągnęła rękę. - A tam przygotowuje się do użycia magię, jaka ongiś pochłaniała całe armie.

- I co z tego?

- To, że musimy go znaleźć, nim ta magia pochłonie i nas.

- Po prostu... - zaczął pierwszy brat.

- Pozwólmy...

- Mu zginąć... - dokończył trzeci.

Liss zwróciła się ku nim.

- Jest za sprytny. Ucieknie. Muszę mieć pewność!

- Ja również - poparł ją Rell.

Wszyscy trzej wzruszyli ramionami. Włoski na karku Rzut zjeżyły się na ten widok. Nie poruszyli się chaotycznie, lecz jednocześnie, w dokładnie taki sam sposób, bez względu na zmęczenie paraliżujące barki, ramiona i usta. Zachowywali się jak jedna osoba. Zawsze było w nich coś niesamowitego. Coś niepokojącego. Wszyscy to czuli. To wrażenie wnikało w sam ośrodek jaźni Rzut, choć kobieta nie potrafiła określić przyczyny tego stanu rzeczy. Intuicja mówiła jej, że coś jest z nimi bardzo nie w porządku.

Cóż jednak mogła uczynić? Nie zrobili nic podejrzanego. Nie można im było nic zarzucić. Szczerze mówiąc, wręcz przeciwnie. Bardzo się zasłużyli w obronie miasta. Była na nich skazana. Jak na konie, pomyślała z przygnębieniem. Byli użyteczni, więc nie mogła ich po prostu zabić. Wiedziała jednak, jacy są naprawdę.

- Co więc sugerujesz? - zapytała z westchnieniem.

– Powinniśmy się stąd ruszyć. On jest blisko. Na północy. Braciom i mnie powinno się udać go odnaleźć.

Odnaleźć? Wielka Pani, naprawdę chcą go wytropić! No cóż, po to właśnie tu przybyli. Miała nadzieję, że zaczekają tu, aż dorwą go imperialni żołnierze, a potem po prostu dobiją ranną bestię. No cóż, pomarzyć zawsze można.

Podeszła do konia i ujęła wodze. Ryża kobyła zwróciła ku niej łeb.

Jeśli czegoś spróbujesz, zabiję cię. Świetnie o tym wiesz.

Klacz potrząsnęła kasztanową grzywą. Rzut poklepała juki wypakowane owiniętymi w owcze skóry przedmiotami.

Tak jest, w tym przypadku również chciała być pewna.

* * *

Uzdrowiciel drużyny, mężczyzna o nieznanym Ullenowi imieniu, uściśnął jego lewe ramię, by go zawiadomić, że już skończył, a potem przeszedł do następnego rannego. Zastępca komendanta oderwał spojrzenie od pola bitwy i zobaczył, że uzdrowiciel sporządził temblak i przywiązał nim jego zmasakrowaną prawą kończynę do piersi. Jedna z welonów Czepca, wysoka, szczupła kobieta o długich białych włosach, pojawiła się znikąd, zabijając strażników i sztabowców. Zmierzła prosto ku niemu aż do chwili, gdy sierżant sabotażystów składająca mu meldunek, Urfa, rzuciła w nią czymś, co eksplodowało kaskadą ostrych jak brzytwa odłamków. Niektóre z nich wbiły się w rękę Ullena, przecinając ścięgna i nerwy. Skrytobójczyni zachwiała się, z jej ciała trysnęły strugi krwi. Dopiero wtedy pojawiła się pełna dłoń Szponu i ją zaatakowała. Walczący zniknęli w mroku pośród tańca skaczących ciał, rzucanych noży i zderzającej się ze sobą magii grot.

Ullen zauważył, że stosunkowo niedoświadczeni porucznicy i kurierzy z jego sztabu są dogłębnie wstrząśnięci.

Pierwszy raz zawsze jest najgorszy.

Odchrząknął, odciągając ich uwagę od nocy.

- Teraz wiemy, jak musiała wyglądać wizyta Tancerza, hej?

Rozciągnął usta w pełnym autoironii, niemal smutnym uśmiešku. Mężczyźni i kobiety z jego oddziału popatrzyli na siebie, niektórzy otarli lśniąca od potu twarze. Potem zachichotali z uznaniem albo nawet odetchnęli z ulgą.

- Tak jest - odpowiedzieli chórem.

- Meldunki, meldunki! Co się dzieje?

Imperialny porucznik rozmazał strużkę krwi spływającą po draśniętym policzku.

- Napływają informacje, że cofamy się na zachodzie. Urko ściąga swoich ludzi do centrum.

- Dotarły do mnie niepotwierdzone relacje, że Miecz został ranny, być może poległ - dodała Dalhonka, Gellan.

- Moranthowie i inne ocalałe oddziały na wschodzie gromadzą się wokół reduty - rzekł ktoś inny. - Otrzymałem też meldunki od szpionów, mówiące, że Oprawca prowadzi falangę na północ, w stronę tego posterunku.

Bogowie, cóż to będzie za starcie. Może rozstrzygnąć o wyniku bitwy.

- A ta ciemność, która się tam zbiera...

- Potwierdzono, że to jeden z naszych magów kadrowych - przyznał z niechęcią mężczyzna.

Nie lekceważ kundli, pomocie arystokratycznego rodu. Nawet jeśli nie noszą szumnych tytułów, takich jak „wielki mag”, niektórzy znają się na swojej robocie.

- Znakomicie. Niech wszystkie rozbite oddziały przegrupują się wokół reduty. Rozkażcie harcownikom skupić ostrzał na tej falandze. Trzeba ją osłabić!

- Tak jest.

- A co z cesarzową? - zapytał kolejny sztabowy oficer. - Jeśli welony dotrą...

- Mniejsza z nią - odparł ze złością Ullen. - Ona toczy swoją bitwę, a my swoją.

A jeśli wydaje ci się, że spadło na nas przekleństwo welonów, lepiej nie próbuj się do niej zbliżać.

- Cesarzowa przesyła wyrazy uznania - powiedział ktoś.

Ullen odwrócił się. Ujrzał z zaskoczeniem - i zadowoleniem - że to kapitan Mech. Wyciągnął lewą rękę i naznaczony blizną oficer uściśnął ją ostrożnie.

- Przydzielono mnie do twojego sztabu.

- Bardzo się z tego cieszę.

- Kazała ci powiedzieć, że ma do ciebie pełne zaufanie. Aprobuj wszystkie twoje decyzje jako dowódcy.

Ullen uniósł brwi.

To właśnie potrzebowali usłyszeć imperialni oficerowie z mojego sztabu. Dziękuję, Mech.

Ponownie odchrząknął w lewą pięść.

- Znakomicie, kapitanie. - Spojrzał na swoich ludzi. - Co z Kańczykami?

- Zaatakowali, ale Zaprzysiężeni nadal bronią mostu - odpowiedział jeden z nich.

- Ilu ich jest?

- Według napływających meldunków... - Mężczyzna przełknął ślinę. - Pięciu - dokończył słabnącym głosem.

- Pięciu? Pięciu Zaprzysiężonych przeciwko dwudziestu tysiącom?

- Hmm, tak jest.

Kapture, czy jesteś zadowolony? Cóż za gwałtowna bitwa! Nie zazdrościł Kańczykom zadania, jakim będzie usunięcie Zaprzysiężonych z wąskiego przejścia. A ilu oni mieli przeciwko sobie? Trzydzie-

stu? Czterdziestu? Nie, lepiej o tym nie myśleć! Trzeba unikać scenariuszy wiodących do rozpacz. Będą mogli załatwić ich na odległość.

- Kańczycy wkrótce się przebiją - zapewnił. - Musimy tylko wytrzymać.

Przynajmniej kilku oficerów zdobyło się na to, by mruknąć:

- Tak jest.

* * *

Obserwacja pola bitwy prowadzona na zmianę za pomocą Meanas i Mockra w końcu się opłaciła. Opos wyczuł zwierzynę na północnym zachodzie. Poruszając się szybko przez Cień, dotarł na mroczny stok i zobaczył Spirale pochylającą się nad ciałami leżącymi na trawie. To była pełna dłoń Szponu.

Niech ją szlag trafi! Potrzebują całych swych sił, a ona w tej chwili eliminuje rywali! To wystarczy, by usprawiedliwić...

Wyciągnął noże i rzucił się do ataku przez Cień. Gdy przybył na miejsce, wykryła jego obecność i obróciła się, ale za wolno, by uniknąć żelaznych ostrzy, które wniknęły między jej żebra od tyłu i przodu, przebijając płuca i serce. Poruszył nożami, by spowodować dodatkowe uszkodzenia.

Spirala spojrzała na niego zdumiona i przerażona. Jej oczy wypełniła świadomość nadchodzącej śmierci.

- Ty głupcze... - wydyszała. Nigdy się nie przejmował bredzeniem konających. Gdy życie odpływa, ludzie wygadują dziwne rzeczy. Przekleństwa, zapewnienia o niewinności, skrywane pragnienia. - To... ludzie Mallicka... Tylko ja stałam między nimi... a nią.

Opos wyszarpnął noże i wyprostował się. Co?

W ciemnych oczach kobiety zgasł blask życia. Zwaliła się na ziemię. Uśmiechnęła się, odsłaniając czerwone od krwi zęby.

- Przypadek - wydyszała, chichocząc z żalem. - Przypadek...

Jej sylwetka się zamazała, kształt się zmienił. Opos poznał artyzm Wielkiej Mockra, znacznie potężniejszy od jego sztuki. Po chwili ciało znowu stało się wyraźne. Poznał tłustą, zaniedbaną postać wielkiego maga Havvy Gulen.

Niech mu Soliel wybaczy! Co uczynił! Dlaczego mu nie powiedziała? Ani nikomu. Dlatego – ty głupcze! – że prowadziła własną grę, tak samo jak ty. I co teraz? Najpierw uciekaj stąd! Niech wszystko przesłoni mgła wojny!

Otworzył swą grotę i wszedł do Cienia...

Nagły cios w bok zwałił go z nóg.

Dyszząc, leżał na ziemi porośniętej kępami ostrej, przypominającej kaktusy trawy, raniącej jego odsłoniętą skórę. Majaczyła nad nim wysoka, chuda postać. Zamrugał i zobaczył twarz trupa: zmumifikowana skóra, blade wargi, pożółkłe zęby i puste oczodoły. Istota miała na sobie resztki zbroi oraz zwisające luźno łachmany.

Imass? Tutaj?

Martwiak wyciągnął rękę, złapał go za koszulę i postawił na nogi.

– Irytują mnie wasze wtargnięcia – wysyczał. – Cienia nie wolno używać tak swobodnie. – Stwór potrząsnął Oposem jak dzieckiem. – A teraz zmiataj stąd i nigdy nie wracaj.

Istota odepchnęła go.

Opos zachwiał się, wyprostował i poprawił ubranie.

– Kim jesteś?

Imass – czy jednak rzeczywiście nim był? – zacisnął pięść, złożoną z kości i ścięgien, na rękojeści noszonego na plecach miecza.

– Uciekaj! Nie prowadzajcie swoich sporów do Cienia!

– Tak! Tak.

Opos machnął ręką i opuścił grotę, wracając na pogrążony w mroku stok. Ponownie usłyszał kakofonię bitwy. Kto to był, w imię Czarodziejki? Czy raczej co to było? Imass renegat? Jakiś Ascendent? Ożywieniec?

Mniejsza z tym. To nieważne. Skup się!

Spróbował wziąć się w garść, uspokoić oddech. Bogowie, cóż uczynił? Zabił wielkiego maga. Kobieta, która – jak zapewniała – próbowała im pomóc.

Zapomnij o tym, człowieku. Myśl o własnych plecach.

Według słów Havvy Szponem władał Mallick, a on był jedynie marionetką. Jakie opcje mu pozostały? Laseen! Była jego jedyną szansą. Musiał do niej dotrzeć.

Wezwał grootę Mockra. Po krótkiej chwili w poprzek stoku ruszył kolejny zgarbiony żołnierz o nieokreślonej lojalności. Znajdował się na zachodnim skrzydle i po chwili przekonał się, że nad polem bitwy panuje Gwardia. Zaprzysiężeni włączyli się do walki i wszyscy pierzchali przed nimi. Tu i ówdzie widział jeszcze grupki harcówników i ciężkiej piechoty imperialnej, czmychające jak polne myszy, ale jedyne zwartymi formacjami były czworoboki Gwardii, znacznie oddalone od siebie dla obrony przed magicznymi atakami. Na wschodzie niezmacona ciemność przywołana przez maga kadrowego nadal wisiała nad wzgórzem niczym chmura. Obracający się powoli wir nocy nie robił niczego dostrzegalnego. Malazańskie oddziały gromadziły się powoli wokół bronionej przez maga reduty. Na południowym wschodzie wielka chorągiew ze srebrnym smokiem posuwała się naprzód przed coraz szerszą falangą.

Na północy rozbłysło jaskrawe żółtopomarańczowe światło. CesarSKI namiot stanął w płomieniach. Blask pożaru rozjaśnił noc w promieniu półtorej mili. Opos gapił się na to, opuszczając bezwładnie ręce. Och, Czepiec! To było mistrzowskie posunięcie! Wszystkie staranne przygotowania i środki ostrożności zdały się na nic! Kłaniam się twemu nieubłaganemu okrucieństwu.

I co się teraz stanie z biednym Oposem? Wojska imperium poniosły klęskę, cesarski namiot płonie, a on zamordował wielkiego maga imperialnego. Cóż mu pozostało? Czyż nie stracił wszystkiego?

Ogarnął go szalony, przyprawiający o zawrót głowy nastrój. Roześmiał się w głos. Miał ochotę tańczyć wśród trupów.

Po cóż miał się martwić o rywala w organizacji? To nie miało najmniejszego znaczenia! Poświęcił całe życie na spiski, manewry i manipulacje? Zmarnował je! A jego ambicje, nadzieje i marzenia? Spełzły na niczym!

Zszedł na pole bitwy, między poległych, nie przestając się śmiać.

Chodź, Czepiec! Chodźcie, Koronka, Tarkhan albo Isha! Zakończmy tę komiczną tragedię!

* * *

Nait uklęknął na zdeptanej trawie tuż obok okopu. Towarzyszyła mu zbieranina sierżantów i oficerów z trzech różnych brygad. Kapitanowie Blacharz i Jay K'epp – albo Kepp, jak wszyscy go zwali – a także zmaltretowany Złoty Moranth, który przedstawił się jako Kwiat, byli najwyższymi rangą oficerami w grupie. Komendant Wyłam Zęb ponoć nadal był na nogach, postanowił jednak zostać na polu bitwy, by pomagać w przegrupowaniu rozbitych oddziałów. Miecz podobno został ranny i leżał gdzieś pośród jatki w centrum. Opowiadano, że opór organizuje tam Urko.

Kapitan Blacharz leżał na trawie, pozwalając, by ponownie zabanżowano mu zranioną nogę. Kepp siedział obok niego, nie odzywając się ani słowem. Nie miał wyboru, bo pięść Zaprzysiężonego złamała mu obie szczęki.

Jeśli chodzi o niższych rangą oficerów i sierżantów, Nait wymienił pozdrowienia z Najmniejszym, Lim i z kilkoma innymi. Obserwował, jak naradzają się za pomocą szeptów i chrząknięć. Wszyscy szeptali, ponieważ przycupnęli na granicy Ciemności. Było tu bardzo cicho, nawet zgiełk bitwy po kilku krokach przeradzał się w odległy szmer. Panował tu chłód. Nait czuł zimny dotyk nasiąkniętej potem koszuli i przesywanicy. Rzecz jasna, wiedział, co ma się stać, nim cokolwiek

powiedziano. Wymienił z Najmniejszym pełne niesmaku spojrzenia, gdy Blacharz zawołał:

– Sierzancie Cykor, chciałem zamienić z tobą słówko!

Potruchtał do kapitana i przykucnął obok niego.

– Tak jest.

– Chcę, żebyś wszedł na górę i pogadał z nim.

– Nie ma mowy. Ty to zrób.

Dawny sierżant, obecnie kapitan, przeszył go wściekłym spojrzeniem.

– Może nie zauważyłeś, ale... nie mogę chodzić.

– W takim razie Kepp.

– On... nie... może... mówić – wykrztusił Blacharz przez zaciśnięte zęby.

– No to Kwiat.

– On nie mówi po taliańsku!

Ależ z nas banda pierdolonych błaznów! Kurwa, nie ma szans.

– Dobra!

Blacharz pogładził srebrny wąs, uśmiechając się złośliwie.

– To twój mag drużyny.

– Tak, tak.

Nait wyprostował się, stęknął i skrzywił się z bólu. Był straszliwie zmęczony, a rozstrzygające starcie nawet się jeszcze nie zaczęło. Ruszył w stronę szczytu. Oszroniona trawa chrzęściła pod jego rozlatującymi się sandałami. Ciemność była niezwykła, nieprzenikniona, ale on widział. Pomyślał o napoju Heuka. Wciąż czuł na języku posmak żelaza. Czuł się tak, jakby spowijały go warstwy najgrubszej, najciemniejszej i najdelikatniejszej tkaniny. Albo może sobolowego futra, pomyślał, choć nigdy takiego nie widział ani go nie dotykał. W jego ciało wnikał chłód, na żelaznych grzbietach rękawic pojawiły się nitki szronu.

– Heuk! – Nait miał wrażenie, że ciemność połknęła jego głos.

Odpowiedziała mu cisza. Nie, to nie była prawdziwa cisza. Coś ją wypełniało. Wytężył słuch. Cichutki pomruk i grzechotanie łańcuchów? Basowy łoskot przypominający odgłos toczących się w mroku kół?

- Heuk?

- Tu jestem.

Nait się poderwał. Staruszek klęczał tuż obok niego.

- Hmm, nic ci się nie stało?

- Nic. Czemu pytasz?

- To dlaczego klęczysz?

- Wznoszę dzięki, oczywiście.

- Aha.

Mag wstał, chwając się lekko na nogach. Wyglądał okropnie. Twarz i ramiona pokrywała mu zakrzepła, czarna krew – przynajmniej w tym dziwnym miejscu wyglądała na czarną. Jej strużki spłynęły również na szaty. O dziwo, wydawał się wyższy i bardziej wyprostowany niż przedtem.

- O co chodzi? – zapytał, jakby w całej tej sytuacji nie było nic niezwykłego.

- No więc, nasi ludzie na dole chcą, żebyś wiedział, że zmierza ku nam grupa Zaprzysiężonych. Martwią się, czy sobie z nimi poradzisz.

- Dam z siebie wszystko – zapewnił Heuk.

Nait nie pamiętał, by kiedykolwiek dotąd przemawiał tak przytomnie. To jednak również budziło niepokój: był bardzo spokojny i opanowany, a jego całkowicie czarne oczy wyglądały niesamowicie.

- Ach, świetnie. Wszyscy bardzo się ucieszą. Postaramy się strzec twoich pleców.

- Wiem, Nait. Życzę wam szczęścia. Zrobię, co w mojej mocy, by was osłonić. Jeśli mnie pokonają, z pewnością to zauważycie.

- Świetnie.

Nait omal mu nie zasalutował. Z jakichś dziwnych przyczyn starszka nagle otoczyła pozbawiona pychy aura dowodzenia. Sierżant pokłonił mu się i ruszył na dół. Rzecz jasna, nie miał pojęcia, gdzie jest okop, bo ciemność była nieprzenikniona, ale widział wystarczająco wiele, by móc przez nią iść. Doszedł do wniosku, że to na pewno przez ten napój.

Wszystko wróciło do niego w jednej chwili: wrzaski, szcęk broni, grzechot tarcz. Ludzie złapali go i pociągnęli ku sobie. Przykucnął, mrugając. Daleko w dole łukowate formacje kryjącej się za tarczami ciężkiej piechoty osłaniały szeregi harcowników, którzy strzelali na zmianę z kusz, a potem się wycofywali. Za nimi ciągnęły się linie obrony Żółtych Moranthów oraz kolejnych oddziałów malazańskiej ciężkiej piechoty, jeszcze dalej zaś znajdował się okop, z którego kusznicy, harcownicy i sabotażyści zasypywali gradem bełtów szeregi naciskających na obrońców Gwardzistów.

Walczących było jednak bardzo niewiele. Po obu stronach. Gdzie się podzieli wszyscy? Czyżby aż tylu poległo? Rzecz jasna, w centrum i na zachodnim skrzydle nadal ścierały się ze sobą tysiące żołnierzy. Na szczęście na tym skrzydle została tylko garstka Gwardzistów, którzy mogli co najwyżej nękać przeciwnika, unieruchamiając go w okopach. Po cóż jednak mieliby robić coś więcej? Po co przelewać krew, próbując rozbić ten twardy orzech, skoro wystarczyło zaczekać, aż przybędą Zaprzysiężeni i zrobią to za nich?

Wzdłuż całej linii obrony zabrzmiały głośne krzyki. Pojawiły się dwie sylwetki pędzące w stronę okopu. Nait zerwał się do biegu.

– Wstrzymać ostrzał! Wstrzymać ostrzał!

Obaj przybysze przedzierali się przez szyki malazańskiej piechoty, odpychali na bok Żółtych Moranthów, aż wreszcie skryli się w wykopie. Gdy Nait dobiegł do nich, spojrzeli na niego, uśmiechając się jak szaleńcy.

– Cholerni durnie! – warknął. – Mogli was zabić!

Niższy z dwóch mężczyzn, starszy sierżant Harcik, noszący na sobie tyle warstw zbroi i kolczugi, że z udźwignięciem ich miałby trudności nawet wół, poruszył porośniętym siwą szczecina podbródkiem pod policzkami hełmu.

– Hej, to nasz stary znajomy sierżant Cykor we własnej osobie. Nagle zrobił się odpowiedzialny, Nasada. Słyszałem, że tak wpływa na ludzi dowództwo.

Obaj wygramolili się z okopu.

– Mówiłem ci, że już się nie nazywam Nasada – poskarżył się drugi mężczyzna, muskularny Seti. – Nazywam się... Zmarszczył gęste brwi. – Niedźwiedź. – Jego twarz się rozpromieniła. – Ehe, Niedźwiedź.

– Niedźwiedź? To głupie. Czy w ogóle nie masz wyobraźni? A może by tak... Luluś?

Seti wałnęł Harcika w pierś. Takie uderzenie połamaloby Naitowi żebra.

– Nie! W tym nie ma wyobraźni. To po prostu przeciwieństwo. Jak ze Skałą.

– Ehe, Skała. Zapomniałem o nim. Pani, ależ potrafił uciekać!

– Hej! Hej!

Obaj łypnęli na Naita.

– O co chodzi?

– Co tu robicie, na Otchłań?

Harcik wzruszył ramionami i mrugnął znacząco.

– Słyszałem, że tu właśnie wszyscy powinni się zbierać.

Rewelacja! Zaraz oberwiemy po łbie.

Nagle zapadła cisza, jakby wszyscy obrońcy czytali w myślach Naita. Gwardziści cofnęli się na całej długości łuku. Przed ich prowizoryczną ścianę tarcz wyszły dwie sylwetki. Dla wzmocnionego krwią wzroku Naita gorzały jak miniaturowe słońca. Zaczęło się! Cholerni Zaprzysiężeni magowie przybyli odpowiedzieć na wyzwanie. Ledwie dostrzegali ich sylwetki przez spowijającą je aurę: wsparty na lasce

mężczyzna przechylał się, jakby był ciężko ranny albo przeszedł w dzieciństwie krzywicę. Drugim magiem była Dalhonka w grubych, ciemnych szatach związanych na ramieniu. Włosy miała gęste i rozczochrane.

Otoczający Naita ludzie krzyczeli głośno, wskazując w bok. Sierżant wpatrzył się w noc rozświetloną migotliwymi ogniami, płonącymi tu i ówdzie na polu usianym ciałami i zniszczonym ekwipunkiem. Maszerowała tam długa kolumna żołnierzy. Na ich czele powiewała wielka ciemna chorągiew ze srebrnym, stojącym na tylnych łapach smokiem. Oprawca omijał ich szyki, by ruszyć na północ. Dlaczego? Czy aż tak mocno wierzył w swoich magów?

Harcik klepnął Nasadę, czy może Niedźwiedzia, w ramię, wskazując odległą chorągiew.

- Tam jest nasz chłopczyk.

- Co? Chce nas ominąć? - oburzył się Seti. - Niech to Fener porwie! A zadaliśmy sobie trudu.

- Chodź! - zawołał starszy sierżant, wyskakując z okopu. - Bo nam ucieknie!

- Zaczekajcie! - sprzeciwił się Nait, ale obaj truchtali już w dół zbocza, garbiąc się nisko. Wyglądali jak dwa głazy toczące się ku szeregom Gwardii. Wpadli w szyk nieprzyjaciela, ale nie zwolnili kroku. Ludzie padali na ziemię, ich broń wlatywała w powietrze, znikając w nocy. - Cholera!

Nagle zrobiło się zimniej, jakby wokół nich zbierała się ciemność, przygotowując się na to, co ma się wydarzyć. Dwoje widocznych dla Naita magów uniosło ręce. Sypał się na nich grad bełtów, ale żaden pocisk nawet nie zbliżył się do celu. Od strony Dalhonki płynął nacisk, wiatr, który nie był wiatrem. Sunęły przed nią w górę kolejne fale, każda potężniejsza od poprzedniej. Pierwsza przyciskała do ziemi źdźbła trawy. Następne wyrwały ją razem ze splątanymi korzeniami. Jeszcze następne popychały przed sobą wał spulchnionej ziemi. Żołnierze opuścili okop na chwilę przed tym, nim się zawałił, wypełniony

glebą. Niektórzy ludzie padali na ziemię, zrywając hełmy i zakrywając uszy dłońmi. Nait osunął się na kolana. Ujrzał, że przed drugim Zaprzysiężonym magiem posuwa się coś znacznie gorszego. Żołnierze padali na stok jak ścięci kosa, krzycząc i rzygając. Wili się w nieartykułowanej agonii, ich kończyny wykręcały się niczym wyschnięte korzenie. Naita dopadły na ten widok mdłości. Opadł na czworaki i zwymiotował.

A po na naszej stronie jest ich tylko dwoje! Ilu ich otacza całe wzgórze? Czwooro? Pięcioro? Czy ci wszyscy żołnierze zebrali się tu tylko po to, by zasłać wzniesienie trupami?

Coś połaskotało go w dłoń. Czarny wąż. Cofnął nagle dłoń, która przeniknęła przez gada. Co jest?

To nie był wąż. Jego ciało zaczynało się na szczycie wzgórza i pełzło w dół przez trawę. Podążały za nimi inne. Wszystkie zmierzały w stronę Dalhonki. Nait wstał i otarł usta.

– Sabotażyści! – ryknął. – Szykować pociski!

Po obu stronach odpowiedziały mu słabe krzyki. Wziął jeden z kilku ostatnich przebijaczy, jakie mu zostały. Dalhonka uderzyła pięścią w otwartą dłoń. Huk brzmiały jak bicie w dzwon całkowicie ogłuszył Naita. Ziemia pod jego stopami zafalowała jak morze. Malazańscy ciężcy i Moranthowie padali na ziemię. Fala rozbijała im zbroje i rozsadzała piersi. Szyki wygięły się do tyłu jak uderzone taranem. Nait padł na sypką glebę wypełniającą okop. Czuł się tak, jakby ciężki młot uderzył w każdy cal jego ciała: stopy, golenie, kolana, uda, biodra, brzuch, pierś i głowę. Coś wgniotło go w miękką ziemię. Uderzenie nie tylko wypchnęło mu powietrze z płuc, lecz również odebrało zdolność oddychania. Oszołomiony wstrząsem sierżant miotał się w ślepej panice. Wreszcie wstał chwiejnie.

Jebana suka! Gdzie ona jest? Wepchnie jej pocisk w dupę! Tam! Świecąca dziwka!

Coś ciepłego spływało mu po szyi na przód koszuli. Dotknął się zakutą w pancerną rękawicę dłonią, przesuwając ją w górę, ku ustom

i nosowi. Gdy cofnął rękę, pokrywały ją krew i ziemia. Popatrzył na to z przerażeniem, a potem wbił wzrok w Dalhonkę.

– Rzucać! – ryknął. Oczy go piekły, z nosa i ust płynęła krew i skapywała z podbródka. – Rzucać, rzucać, rzucać!

Uniósł przebijacz, ale stracił równowagę i zwałił się na ziemię, jęcząc z bólu.

Uśmiechnął się, usłyszawszy trzaski wybuchów.

Dorwaliśmy dziwkę! Na pewno!

Miał wrażenie, że po eksplozjach rozległ się krzyk, który jednak nie wyrażał bólu, tylko totalne zaskoczenie i paraliżujący strach.

Po chwili podnieśli go żołnierze. Poznał Podbródkę, Kubło i Nagłada.

– Co się stało? – wychrypiał, wypluwając krew zmieszaną z flegmą.

– Odpędziliśmy ich – odparła Podbródka.

– Wylecieli w powietrze?

– Nie. To była ciemność. Wydawało się, że próbuje ich zjeść. Zwiawali, jakby sam Kaptur połaskotał ich kościstym palcem.

Może nie kościstym palcem, Podbródka.

– Pomóście mi wstać.

Nagład i Kubło podnieśli go na nogi.

– Co ci się stało, sierżancie? – zapytał Kubło. – Wyglądasz, jakby zbili cię deskami.

– Każ Mai naładować miotacz. Wystrzelcie wszystko, co mamy, w kolumnę Gwardii. Musimy ich złamać.

– Miotacz się rozleciał, sierżancie – oznajmił ze smutkiem Nagład.

Och, do Fenera!

– To każcie im strzelać! Jazda!

Odepchnął obu brutalnie.

– O kurde! – mruknął Kubło. – Zawsze taki jest po walce? – zapytał Nagłada, gdy się oddalali.

Nait powlókł się na szczyt wzgórza. Ciemność i chłód nie zmieniły się ani trochę. Krew, pot i brud zamarzały na jego zbroi.

– Heuk! – Cisza. Wyciągnął zza pasa bukłak z wodą, zobaczył, że pękł, i odrzucił go. – Heuk!

Po dwóch kolejnych krokach nagle ujrzał dwóch mężczyzn. Jeden leżał zwinięty tuż poniżej płaskiego wierzchołka, jakby zginął albo zasnął, a drugi stał nad nim. Uwagę Naita przyciągnął ten stojący. Nigdy nie widział Tiste Andii, ale nieraz mu ich opisywano. Wygląd nieznanego zgadzał się z tymi opisami: wysoki, czarny jak noc, wydłużone oczy i długie, błyszczące czarne włosy. Jego twarz miała spokojny, niemal kontemplacyjny wyraz, jaki Nait nieraz widywał u Heuka. Mężczyzna miał na sobie kolczy płaszcz wspaniałej roboty. Opadający aż do kostek strój lśnił blaskiem migotliwym jak noc. Sierżant odnosił wrażenie, że nieznanomy nie do końca jest tutaj. Jego sylwetka była przejrzysta. U pasa mężczyzny coś wisiało. Nait omal na to nie spojrzął, ale zdążył na czas odwrócić wzrok. Ziejąca tam pustka budziła paniczne przerażenie. Wydawało się, że wsysa ciemność.

Nieznanomy przywitał go pochyleniem głowy.

– Zatrzymaj je, żołnierzu – rzekł. – Blisko siebie. Nadchodzi coś gorszego. Znacznie gorszego.

Gorszego? Co mogło być...?

Mężczyzna oddalił się, splatając dłonie za plecami, i zniknął w mroku.

Cholera!

Nait uklękł nad leżącym i przekonał się, że to Heuk. Mag żył, ale zapadł w bardzo głęboki sen. Dygotał paskudnie i nie reagował na bodźce. Sierżant złapał go za kołnierz i pociągnął w dół zbocza.

Gorszego? Niż to? Cholernie mało prawdopodobne, chyba żeby sam Kaptur postanowił podkasać łachmany i na nich nasrać.

Rzut zdziwiła się, że na północ od imperialnego obozu nie ma zwiadowców ani wartowników. Jechali powoli, gotowi zatrzymać się na wezwanie. Nie usłyszeli go jednak. Noc była chłodna. Oddech koni zamieniał się w parę w powietrzu. Spojrzała sierzantowi w oczy i uniosła brwi. Mężczyzna poruszył się w siodle, typiąc na nią spode łba. Najwyraźniej ta sytuacja niepokoiła go jeszcze bardziej niż ją. Skierował jej uwagę na dogasającą pochodnię leżącą nieopodal. Ruszyli w tamtą stronę. Nim dotarli na miejsce, konie spłoszyły się na widok ciemnych postaci leżących w wysokiej trawie. Banath zsiadł i przyjrzał się im. Potem wspiął się z powrotem na siodło, znacznie bledszy niż przedtem. Rzut ponownie obrzuciła go pytającym spojrzeniem. Skinął głową z sugerującą mdłości miną.

A więc znaleźliśmy go. Ale na tyłach? Soliel, nie, to z pewnością były markietanki, cywile, rodziny, rzemieślnicy i kobiety, a nawet... nie, tylko nie to.

Popędziła wierzchowca kopniakiem. Oddział przyspieszył.

Obóz zamienił się w jatkę. Rozbite wozy, podarte namioty, porzucany ekwipunek i walające się wszędzie rozszarpane ciała. Ocalali wąsłali się beładnie z twarzami bez wyrazu. Spoglądali na przybywszy, nie pytając, skąd się tu wzięli. Banath zwolnił.

– Czy nie powinniśmy...

– Nie. Jeszcze nie. Trop się tu nie kończy. Mam rację, Liss? – Jadąca za Rzut szamanka skinęła nerwowo głową, zamiatając zwisającymi w strąkach włosami. – Nie kończy się. I... obawiam się, że wiem, dokąd prowadzi.

Banath popatrzył na nią ze zdziwieniem, ustąpił jednak.

Na południu wyraźnie widzieli zielono-żółte rozbłyski magii bojowej. Ich uszu dobiegał stłumiony zgiełk, zmieszany z trzaskiem eksplodujących pocisków. Rzut poczuła, że ktoś jest blisko. Odwróciła się i zobaczyła, że Rell zajął pozycję z jej lewej strony. W jego obecności czuła się nieporównanie lepiej. Przed nimi rozciągało się pole zasłane namiotami i kocami. Gdy podjechali bliżej, zobaczyli palący się tu

i ówdzie ogień. Wiele namiotów stało krzywo, niektóre były rozdarte na strzępy. Jadący za Rzut Banath jęknął głośno, gdy uświadomił sobie, co widzi.

- Nie. O, nie.

- Przykro mi - wyszeptła Rzut. Było jej jednak nie tylko przykro. To, co leżało przed nimi, bez względu na to jak straszliwe, było jej winą, jej klątwą.

To ja zabiłam tych ludzi.

Wreszcie, gdy byli już blisko szpitala polowego, jakiś żołnierz - sądząc po torbach, kompanijny cyrulik - zagroził im drogę, unosząc rękę.

- Kim jesteście? - zapytał.

- Oddziałem z Heng - odpowiedziała Rzut. - Jedziemy pod znakiem berła.

- Z Heng? Z Heng? - Mężczyzna wytrzeszczył oczy.

Rzut zauważyła, że jego mundur i dłonie splamiła krew. Nie wydawało się jednak, by pochodziła z jego żył. Z ust mężczyzny wyrwał się chichot. Po chwili przerodził się w niski, płynący z brzucha śmiech. Żołnierz nawet nie próbował go stłumić.

- No cóż, trochę się spóźniliście, niech was Pożoga przeklnie - stwierdził, śmiejąc się przez łzy.

- Przykro mi...

- Przykro ci! Przykro! - Złapał Rzut za nogę, brudząc krwią jej spodnie i buty. - Wszyscy nasi ranni. Setki mężczyzn i kobiet. Ranni. Bezradni. Bezbronni...

Rzut czuła się tak, jakby w jej pierś wbił się wyszczerbiony, żelazny grot. Zaczerpnęła spazmatycznie tchu.

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo...

- Zarzynał nas jak owce! Jak owce! - Szarpnął za nogę Rzut, jakby chciał ją ściągnąć z siodła. - Czy nie jesteśmy ludźmi? Mężczyznami

i kobietami? Jak to się mogło zdarzyć? W dzisiejszych czasach? Czy zabije nas wszystkich?

– Uspokój się...

– Mam się uspokoić? Ty śmiesz mi to mówić? Przybywasz z Heng! Powinnaś się dowiedzieć! – Odepchnął jej nogę i odsunął się z niesmakiem. – To wasza klątwa! Wy ją na nas ściągnęliście.

Rzut wzdrygnęła się jak śmiertelnie raniona. Wpatrywała się przed siebie. Czuła, że z jej twarzy odpływa krew, a serce przeszły ból.

Ehe, bogowie, zatem to prawda. Czy to było przeznaczenie, czy weszłam w ten koszmar z własnej woli?

– I co?

Spoglądał na nią, domagając się jakiejś odpowiedzi, wyjaśnienia grozy, której ślad wypełniał jego oczy. Rzut otworzyła usta, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Spróbowała raz jeszcze, oblizując spękane wargi:

– Położymy temu kres.

– Świetnie. Zróbcie to. Albo nie wracajcie. Bo po tym, co wydarzyło się tej nocy... po tej okropności... nie chcemy już tu was oglądać.

Częścią jaźni pragnęła się sprzeciwić, oznajmić, że to niesprawiedliwe, ale inną częścią zaakceptowała ten osąd. Niech i tak będzie. Werdykt historii wyrażono jednoznacznie. Będą potępieni. Chyba że... chyba że zdołają wszystko zakończyć tej nocy. Skinęła sztywno głową do męzczyzny i ujęła wodze, popędzając wierzchowca kopniakiem.

* * *

Gdy opuścili obóz, zmierzając na północ po oświetlonej srebrzystym blaskiem gwiazd równinie, Rzut przywołała Liss skinieniem.

– Potrafisz go teraz wytropić? – zapytała głosem, którego sama nie mogła rozpoznać.

– Odkąd znaleźliśmy ślad, tak – zapewniła szamanka Seti z niezwykłym dla siebie spokojem. – Rzut – dodała. – To nie twoja...

– Moja.

Szamanka miała ochotę podjąć dyskusję, powstrzymała się jednak. Wydeła wargi, odwracając wzrok, a potem zmarszczyła brwi.

– Gdzie są bracia?

– Słucham?

– Trzej bracia. Nie widzę ich.

Rzut uniosła rękę, każąc wszystkim się zatrzymać.

– Sierzancie?

Banath podjechał do niej.

– Tak.

– Znajdź braci.

Mężczyzna skinął głową. Pociągnął za wodze, zawracając wierzchowca. Po krótkiej chwili wrócił.

– Nie ma ich w kolumnie. Opuścili nas.

Rzut obejrzała się. Skórzane siodło zaskrzypiało pod nią. Światła nad odległym polem bitwy przypominały błyskawice. Nisko nad ziemią unosiła się tam ciemna chmura. Dym?

– Nie obchodzi ich Ryllandaras – zastanawiała się na głos. – Chodziło im o coś innego.

– Czy powinniśmy zawrócić? – zapytał Banath.

– Nie. Pozwólmy im odejść. Osobiście wolałabym już nigdy ich nie oglądać.

– Zgadzam się – poparła ją Liss z ulgą w głosie.

Rzut spojrzała na starszą kobietę. Szamanka nienawidziła braci od samego początku. Zwała ich plugastwem. Rzut nigdy jej nie pytała, co to miało znaczyć, ale spędziwszy pewien czas w towarzystwie trójki, uświadomiła sobie, że ona również czuła to od samego początku.

– Nadal masz trop, Liss?

– Tak. Nasycił się już na dziś. Idzie na północ.

- Świetnie. Pojedziemy za nim tak daleko, jak będzie trzeba.
 - Zgoda - rzekł Rell. - Jest zagrożeniem dla nas wszystkich.
- Rzut popędziła wierzchowca.

Ale nie zastanawialiśmy się nad tym, prawda? A przynajmniej byliśmy skłonni przymknąć na to oko. No cóż, teraz płacimy za to cenę. Klątwa Heng narodziła się na nowo. Jesteśmy pariasami. Nikt nie podejdzie do nas bliżej niż na trzysta mil, dopóki się nie rozprawimy z bestią.

* * *

Cień był cholernie monotony. Tak przynajmniej uznał Kyle. Szli i szli, a potem znowu szli. Nasunęła mu się myśl, że powinni być zmęczeni albo głodni, ale jak dotąd nie czuł niczego w tym rodzaju. Ogarnęło go tylko dziwne rozleniwienie, poczucie wiecznego oczekiwania. To nie była rozpacz ani beznadzieja, lecz raczej wrażenie zawieszenia upływu czasu, wieczności. Jak długo już wędrowała ich piątka? Któż mógłby to wiedzieć? Dziwaczny przewodnik zapewne ich zawiadomi, gdy już dotrą do Quon. Nie było tu słońca, nie było dni ani nocy, tylko wieczny półmrok. Czuł się jak duch zmierzający nie wiadomo dokąd.

Cała reszta, Jan i bracia Zagubieni, najwyraźniej uległa temu samemu czarowi. Wszelkie rozmowy ucichły, szli oddaleni od siebie, pogrążeni w myślach. Przez pewien czas podążali brzegiem wielkiego jeziora. Widzieli jakieś sylwetki rzucające sieci z łodzi. Wydawały się ogromne, nieludzkie. Potem przewodnik oddalił się od brzegu. Teren stał się bardziej wyboisty. Po prawej ujrzeni kaniony o stromych ścianach, otoczone wzgórzami ze skał osadowych o płaskich wierzchołkach. Kapłan cienia, Hethe, prowadził ich wokół wąwozów na płaską, pustynną okolicę, pokrytą skalnymi odłamkami i porośniętą gęstymi kępami ostrej jak miecze trawy.

Jan najwyraźniej miał już tego dość, bo podbiegł truchtem do przewodnika i złapał go za wystrzępione szaty. Kapłan się zatrzymał.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Jan.

Kapturek spadł z głowy Hethego, odsłaniając czarne, kręcone, rozczochrane włosy, otaczające wąską obwódka łąsą guzowatą czaszkę.

- Gdziefmy? - zapytał przewodnik, unosząc splątane brwi. - Nie, mam na imię Hethe.

- Nie - warknął Jan. - Dokąd zmierzamy?

Mężczyzna zrobił urażoną minę. Wyrwał szaty z uścisku staruszka.

- To raczej osobiste pytanie! - warknął i oddalił się dumnym krokiem.

- Dokąd nas prowadzisz?! - zawołał za nim Jan.

- Dokondadzisz? Nie znam takiego miejsca.

Staruszek uniósł dłoń do czoła i zwiesił głowę. Skradacz dogonił go i popchnął naprzód. Ruszyli w dalszą drogę. Pustynia, czy co to tam właściwie było, ciągnęła się długimi milami. Tu i ówdzie widzieli ruiny, zaledwie rozproszone fragmenty wytartych przez wiatr kamiennych konstrukcji.

Po pewnym czasie wszyscy poza przewodnikiem zatrzymali się na moment. Nad posępną krainą poniósł się echem zew ogarów. Mężczyźni wymienili niespokojne spojrzenia. Jan westchnął i uniósł ręce do szyi. Wszyscy się zatrzymali, znowu poza przewodnikiem. Staruszek wpatrywał się w dal. Jego oczy wypełniało zdumienie. Kyle popatrzył na Skradacza. Zwiadowca wzruszył bezradnie ramionami. Po chwili Jan się zachwiał, omal się nie przewrócił. Rozejrzał się ze złością po pustkowiu.

- Jesteśmy blisko - oznajmił i przyśpieszył kroku.

Jego towarzysze popatrzyli po sobie kompletnie zdezorientowani. Po pewnym czasie Skradacz wzruszył ramionami i podążył za Janem. Bracia zrobili to samo.

Kyle jednak nie ruszył się z miejsca. Nasunęła mu się myśl, że to i tak nic nie zmieni. Dlaczego mieliby wędrować tak bez końca? Usiadł na kamienistej, pustynnej równinie. Po co miałyby wracać do Gwardii?

Zabiją go i tyle. Chyba że Jan rzeczywiście był tym, za kogo go uważał. Czy jednak mógł postawić życie na tak wątpliwą kartę?

Usłyszał wokół siebie kroki. Uniósł wzrok i zobaczył, że czterech mężczyzn spogląda na niego z góry. Przewodnik zniknął. Skradacz przykucnął przed nim.

- Idziesz z nami?

- Być może.

Zwiadowca zerknął ze zdziwieniem na pozostałych.

- Być może?

- Jeśli ten facet powie nam prawdę.

Rzucił kamyk pod stopy Jana.

Skradacz skinął głową i przeniósł spojrzenie na staruszkę.

- Co ty na to?

Jan odgarnął długie włosy, tak delikatne, że unosiły się na wypełniającym grotę wietrzyku. Skinął szybko głową i machnął ręką na młodzieńca, kazując mu wstać.

- Proszę bardzo, Kyle. Sądząc z tego, co o tobie wiem, zasługujesz na lepsze traktowanie. - Chłopak wstał i strzepnął pył z ubrania. Jan wziął w rękę przedmiot, który nosił na szyi, zerwał rzemień i wsunął palec w to, co okazało się pierścieniem. - Twoje podejrzenia są prawdziwe, Kyle. Jestem księżę K'azz D'Avore. Swoją drogą, Jan to część mojego pełnego imienia.

- Wiedziałem od samego początku! - zawołał Głusza. Dał kuksańca Weszce. - Nie mówiłem?

- Nie.

- Ale czy nie jesteś za...

- Stary?

Chłopak wzruszył ramionami z zażenowaną miną.

- Ehe.

- Kiedy składałem Śluby, byłem młody, Kyle. Ale od tego czasu się postarzałem. Chociaż to chyba nie jest właściwe określenie. Stward-

niałem, ubyłoby mi ciała, że tak powiem. Mało jem, prawie w ogóle nie sypiam. To jakiegoś rodzaju przeobrażenie.

– W co? – zapytał Skradacz, mrużąc powieki.

– Nie jestem pewien. Podejrzewam, że jakiś element Ślubów przekształca mnie, a być może również innych Zaprzysiężonych. Próbuje nas zakonserwować, utrzymać przy życiu przez czas potrzebny do wypełnienia przysięgi.

Bracia wymienili przerażone spojrzenia. Skradacz skrzywił się wściekle.

– To niemożliwe.

K'azz wzruszył ramionami, zachęcając zwiadowcę do poszukania innego wyjaśnienia. Ta wiadomość nic nie znaczyła dla Kyle'a. Potwierdzała tylko, że dzieje się tu coś dziwnego. Ale przecież tego nie trzeba mu było mówić!

– Gdzie się podział ten mały szczur? – zapytał Weszka.

Wszyscy się rozejrzeli.

– Tam jest – odpowiedział K'azz, wyciągając rękę.

Kyle przymrużył powieki i ujrzał małego ciemnego punkcika na bezkresnym, wietrznym pustkowiu.

– Na miłość Nieskończonego – wydyszał Głusza. – Czy nawet nie zauważył, że się zatrzymaliśmy?

K'azz ruszył truchtem w pościg. Skinął na towarzyszy.

– Chodźcie. Nie możemy go zgubić.

Wszyscy pobiegli za nim. Z początku odnosili wrażenie, że w ogóle się nie zbliżają. Małego punkcika nie zmieniał rozmiarów, Kyle jednak wiedział już, że perspektywa i proporcje wyglądają w Cieniu inaczej. Przez pewien czas truchtali, a potem znowu przeszli w bieg. Widzieli już, że przewodnik jest coraz bliżej. Płuca chłopaka płonęły, dręczył go ból w stopach i udach. Żaden z jego towarzyszy nie zdradzał jednak oznak zmęczenia. Młodzieniec przełknął ból i biegł dalej. Nagle dogo-

nili przewodnika. Kapłan zatrzymał się i czekał na nich z wyrazem irytacji na pomarszczonej, włochatej twarzy.

- Tak? - zapytał.

Zatrzymali się. Kyle zgiął się wpół, wspierając dłonie na kolanach. Skradacz spojrział na przewodnika.

- Słucham? To wszystko?

Hethe przyłożył dłoń do ucha.

- Co? O co chodzi? Myślisz, że nie słyszysz? Mam świetny słuch! Doskonały!

Odrzucił się i znowu ruszył przed siebie na dziwnie ugiętych nogach.

- Przysięgam, że go zabiję - wychrypiął Weszka.

Kyle skinął na nich ręką.

- Chodźmy.

Ruszyli w dalszą drogę. Weszka mamrotał złowrogo pod nosem coś o duszeniu i torturach.

- Daję słowo, że prowadzi nas w kółko! - zawołał nagle.

- Nie mamy wyboru - odparł ze znużeniem w głosie K'azz.

Kyle podszedł do niego. Staruszek zauważył, że przygląda mu się z ukosa.

- Słucham?

Chłopak oblizwał wargi.

- To naprawdę ty? - zapytał.

- Tak, Kyle - odparł mężczyzna z pełnym wyrozumiałości uśmiechem.

Dokonał tego! Naprawdę go odnalazł! Byli jednak daleko od Quon.

- Znałem Przechyła.

K'azz uśmiechnął się szerzej.

- Tak, Przechył. Bardzo wiele się od niego nauczyłem, gdy byłem chłopakiem.

- Naprawdę jesteś księciem?

Mężczyzna przechylił głowę, zastanawiając się.

– Niektórzy tak mnie zwa. Byłem diukiem. Podczas wojen przez pewien czas broniłem księstwa. Ale ono również upadło...

Kyle odwrócił wzrok.

Ty głąbie! Musiałeś mu o tym przypominać?

– Popatrzcie! – zawołał nagle Weszka, wyciągając rękę przed siebie. – Tam leży jakiś biedny skurczybyk, którego poprowadził na śmierć przed nami!

W pustynnych piaskach spoczywał szkielet w zaśnieżonej zbroi. Wiatr zakrył jego kończyny niewielkimi wydmami. Gdy Hethe do niego dotarł, zatrzymał się nagle, jakby był zaskoczony. Dogonili go.

– Co to jest? – zapytał K'azz.

Szkielet wstał z piasku z szelestem i skrzypieniem ścięgien. Pięciu mężczyzn odskoczyło do tyłu, wyciągając broń. Przewodnik nie ruszył się z miejsca. Ożywiony trup złapał Hethego za szaty, uniósł go nad ziemię i potrząsnął nim jak pies. Weszka podszedł bliżej, gotowy zadać cios. Stwór uniósł rękę.

– Stój!

Spod wystrzępionej szaty wypadła skrzydlata, ogoniasta małpka, za którą szli przedtem. Zwiesiła główkę, rozgrzebując nogą piasek jak niegrzeczne dziecko przyłapanie na psocie.

– Sprawy zaszyły za daleko – oznajmiła istota. – Nie chcę, by Cię został w to wplątany. Idź już.

Stworzonko rozpromieniło się, wypięło pierś i ruszyło przed siebie. Po kilku krokach obejrzało się, zmarszczyło twarzyczkę, pokazało język i uciekło.

Wszyscy odprowadzali je spojrzeniem. Kyle odnosił wrażenie, że zniknęło w oddali z niewiarygodną prędkością. Przyjrzał się martwiakowi. Z bliska przypominał raczej wyschnięte, z mumifikowane ciało. Był podobny do Imassów, o których chłopak słyszał tak wiele. Zerknął

na K'azza, który również przypatrywał się stworzeniu ze zdumieniem i podejrzliwością na twarzy.

– Kim jesteś? – zapytał starszek.

– Nazywam się Chodzący po Krawędzi – odparła istota szeleszczącym głosem, brzmącym jak wiatr poruszający rozgrzanym słońcem piaskiem. – Ale dla was to nic nie znaczy. Ważne jest to, że nie powinniście tu przebywać. Odsyłam was z powrotem.

– Najwyższy czas – mruknął Weszka do Kyle'a.

– Do Quon? – zapytał K'azz, ale istota tylko machnęła ręką. – Quon Tali!

Szary półmrok groty zgęstniał, przesłaniając wszystko wokół nich. To nie był mrok ani noc, po prostu cień tak gęsty, że Kyle nic nie widział. Przed nimi pojawiła się biała luna. Chłopak znalazł się w jaskini wykutej w luźnym piaskowcu. Ruszył w stronę wylotu, gdzie gwiazdy świeciły zimnym, lecz jasnym blaskiem. Musiał przejść nad kilkoma przykrytymi cienkimi kocami postaciami, śpiącymi wokół wygasłego ogniska. Wyszedł w pogodną, zimną noc. Wokół piętrzyły się urwiska usiane mrocznymi otworami. Było tu mnóstwo jaskiń. Przed nimi biegła droga wspinająca się na stok. W oddali było słychać zgiełk. Na północy i na południu rozbłyskiwały oślepiające światła. K'azz wysunął się naprzód, spoglądając na południe. Podeszli do niego.

Droga schodziła serpentynami z urwisk, prowadząc do długiego, wąskiego kamiennego mostu nad szeroką rzeką. Na drugim brzegu roily się postacie oświetlone blaskiem niezliczonych pochodni. Skupiły się przy końcu mostu i wypełniały go mniej więcej do połowy długości. Tam tłum kończył się nagle, powstrzymywany przez zaledwie kilku ludzi. Zaprzysiężeni? Kyle zerknął na K'azza. Mężczyzna obserwował z uwagą most.

– Cole – wyszeptał. – Amatt, Chuda, Czarny i Turgal.

– Braciszku! – ryknął K'azz. – Słuchajcie!

Odpowiedziała mu cisza. Psy uciekały w panice, skacząc po skałach z podkulonymi ogonami. Kyle przyjrzał się uważniej mostowi. Tak nieliczna grupka powstrzymywała tłum żołnierzy. Dlaczego po prostu nie załatwili ich strzałami i bełtami? Z drugiej strony most miał kamienne balustrady, a tłum był bardzo gęsty. Ostrzał z pewnością powaliłby mnóstwo atakujących.

Skradacz trącił go łokciem i wskazał podbródkiem drugi koniec doliny. Ciemne wyloty licznych jaskiń po drugiej stronie coś zasłoniło. Z cieni wylaniały się szare, półprzezroczyste sylwetki. Ustawiły się w szereg, zmierzając ku nim bez słowa. Chłopak podskoczył nerwowo, gdy za nim pojawiły się następne. Setki cieni. Wszyscy polegli Zaprzysiężeni. Otoczyli ich grupkę. Puste, martwe oczodoły wpatrywały się w K'azza. Kyle czuł żar, straszliwą siłę woli ich spojrzenia. Dla cieni reszta grupki mogłaby równie dobrze nie istnieć. Jeszcze przed rokiem na taki widok chłopak uciekłby z wrzaskiem, teraz jednak uodpornił się już na grozę. Rozpoznawał nawet dwóch poległych.

K'azz również im się przyglądał, pozdrawiając wielu skinieniem głowy.

- Ten najazd jest sprzeczny z moimi pragnieniami. Kto dowodzi inwazją?

- Oprawca - odpowiedział syk płynący z setek widmowych gardeł.

K'azz skinął głową. Wiedział o tym już przedtem.

- Nie wykonujcie więcej jego rozkazów. Wykluczam go z naszej kompanii. Wyłączam ze Ślubów.

Braciszkwowie pochyłili głowy.

- Podejrzewam, że to nie będzie takie proste - szepnął do Kyle'a Skradacz.

- Przekażcie moje pozdrowienia tym, którzy bronią mostu, i zapytajcie, czy długo wytrzymają. Zawiadomcie też wszystkich, że wróciłem.

Braciszkwowie pokłonili się i wszyscy opadli na jedno kolano. Potem zaczęli się powoli rozpyływać, jak mgła w promieniach słońca. Wszyscy

poza jednym: niskim, chudym, jednorękim mężczyzną. Przechył podszedł z uśmiechem do Kyle'a.

– Dobra robota, chłopcze. Dobra robota. Wiedziałem, że tego dokonasz.

Kyle mógł jedynie potrząsnąć głową, słysząc te absurdalne słowa.

Obok K'azza zmaterializował się inny cień.

– Cole przesyła pozdrowienia i pyta, ilu dni potrzebujesz.

Książę uśmiechnął się półgębkiem.

– Powiedz mu, że wyślę posiłki najszybciej, jak będę mógł.

Cień nie znikał. K'azz, który ruszył już w drogę, zatrzymał się nagle.

– Słucham?

– Prawda wygląda tak, że są poważnie ranni i mogą już nie wytrzymać długo.

Dowódca Karmazynowej Gwardii odwrócił się nagle i spojrział na most. Potem popatrzył na północ, gdzie magia bojowa gorzała jak spowijające ziemię zorze, a ziemia trzęsa się od odgłosów walki.

Kyle przenosił spojrzenie z jednego na drugiego z nich. Bogowie, cóż za wybór! Zerknął na Przechyła.

– Jak myślisz?

Cień popatrzył na most i zgromadzone za nim tysiące ludzi. Podrapał się po podbródku.

– Nie wiem, co się dzieje na północy, ale nie możemy pozwolić, żeby się przedarli.

– Zgadzam się – rzekł K'azz.

Młodzieniec drgnął zaskoczony. Sądził, że książę jest zbyt daleko, by mógł ich słyszeć.

– Dziękuję, Kyle. Przechył, powiedz Cole'owi, że nadchodzę.

– Królowo, wybacz mi – wydyszał chłopak.

Idący obok niego Głusza wznosił ku niebu błagalne spojrzenie, jakby chciał zapytać: „Dlaczego ja, Kapturze, dlaczego ja?”

Ullen znajdował się na północnym zachodzie, gdy doszły go wieści o masakrze w szpitalu polowym. Przez chwilę patrzył na północ, całkowicie znieczulony.

Czy czegoś zaniedbał? Liczniejsza straż tylna? Więcej kurierów? Ciaśniejszy szyk oddziałów? Zawiodł swych żołnierzy. Ludzi, którzy na niego liczyli. Poblądły posłaniec odchrząknął.

- Komendancie?

Ullen zamrugał.

- Słucham?

- Co rozkażesz?

Uniósł słabą, dopiero co uzdrowioną prawą rękę i otarł czoło z potu.

- Przesuńcie szpital polowy bliżej odwodów.

- Nie ma już żadnych odwodów poza naszym oddziałem, komendancie.

Ullen uniósł wzrok.

- Tylko mój legion?

- Tak.

- W takim razie przenieście szpital bliżej pola bitwy.

- Tak jest.

Kurier zasalutował i się oddalił.

Ullen spojrział na południe. Nie chciał - nie był w stanie - patrzeć na swój sztab. Splótł spocone dłonie za plecami, by powstrzymać pragnienie wytarcia ich o mundur. Nad redutą na wschodzie nadal wisiała plama głębszej ciemności, pozbawiona gwiazd. Bogowie, błogosławcie tego tajemniczego maga. Uratował całe skrzydło. Gdyby tylko Ullen mógł przywrócić na zachodzie choć odrobinę porządku. Nie rozumiał, dlaczego nieprzyjaciel zwleka z atakiem na to skrzydło. Gwardia mogłaby ich rozbić, gdyby wykorzystwała tę szansę. W cen-

trum pojawiła się maszerująca pod wielkim sztandarem falanga, najwyraźniej mająca przejąć kontrolę nad polem bitwy. Co jeszcze mogli przeciwko niej rzucić? Nic. Jeśli nie zdołają jej powstrzymać, będzie się to w praktyce równało zwycięstwu Gwardii. Jego szyki zostaną przecięte na pół.

Do jego pozycji podbiegła młoda dziewczyna, jedna z untańskich ochotniczek. Jego strażnicy złapali ją za brygantynę i pociągnęli do tyłu. Próbowwała się im wyrwać, uderzając jednego z mężczyzn.

– Komendancie Ullen! – krzyknęła.

Skinął dłonią, nakazując ją przepuścić. Za duża kusza na jej plecach kołysała się z boku na bok.

– Komendancie, Gwardia idzie w rozsypkę!

– Jak to? – zapytał, przyglądając się jej z niedowierzaniem.

– Oddziały tracą spójność. Gwardziści biegają bezładnie po polu, a czasem walczą ze sobą. Słyszałam nawet, że Zaprzysiężeni atakują Zaprzysiężonych.

– To niewiarygodne. Dlaczego...? – Rozejrzał się wkoło, szukając potwierdzenia. – Kto jeszcze tak mówi?

– Widziałam to na własne oczy.

– Idzie tu pięść D’Ebbin! – zawołał jeden z poruczników.

Ullen odesłał dziewczynę, a potem potruchtał w stronę D’Ebbina. Niskiego, pękatego mężczyznę otaczała grupka strażników. Wszyscy nosili ślady walki. Zbroja pięści była uszkodzona, a policzek i usta miał obrzękłe od ciosów. Dowódca zdjął hełm i rękawice, by otrzeć twarz.

– Gratuluję, pięści – rzekł szczerze Ullen.

D’Ebbin machnął lekko ręką, jakby chciał powiedzieć, że to nie ma znaczenia.

– Między Gwardzistami wybuchł jakiś spór. Najwyraźniej dzielą się na dwa obozy. Jeden skupia się wokół falangi ze sztandarem, a drugi

tworzy się z ostrz zwróconych ku nam. Niemniej wygląda na to, że falanga jest zdeterminowana przejąć kontrolę nad polem bitwy.

- Musimy stawić jej czoło.

D'Ebbin skinął łysą głową.

- Rozumiem.

- Ilu ludzi możesz odesłać?

- Nadal musimy powstrzymywać główną grupę.

- Gdy tylko Kańczycy się przebiją, przyjdą nam z odsieczą.

Powinni przybyć niedługo.

- Naprawdę? - zapytał D'Ebbin, unosząc kościste, bezwłose łuki brwiowe. - Jak już się zjawia, zawrócimy na wschód.

- Zgoda.

- Zaczekacie na nas?

Ullen pokręcił głową.

- Nie możemy zostawić tego wyzwania bez odpowiedzi. To by wyglądało jak kapitulacja. Ludzie straciliby morale.

- Rozumiem. Kolumna liczy około dwóch tysięcy żołnierzy. Powinieneś jednak wiedzieć, że według oceny moich ludzi jest w niej około czterdziestu Zaprzysiężonych.

Czterdziestu? Jak można się było oprzeć tak potężnej sile? Niemniej zmierzało ku nim dwadzieścia tysięcy Kańczyków. To wystarczy, by otoczyć Zaprzysiężonych i zmiażdżyć ich jednego po drugim. Ile jednak minie czasu, nim się przebiją? Będzie musiał wytrzymać do tej chwili.

- Mam cztery tysiące malazańskiej piechoty, pięści. To odwody Ananda. Stawię im czoło.

Pięść włożył rękawice.

- Proszę, zaczekaj. Zwycięstwo jest w twoim zasięgu. Wykonałeś znakomitą robotę. Muszę ci pogratulować. Nie zmarnuj tego.

Ullen zasalutował.

- Ruszę do boju, by to uratować, pięści.

D'Ebbin skinął głową i zasalutował. Jego twarz zastygła w wyrazie posępnej rezygnacji.

- Za berło i tron, komendancie.

- Za berło i tron. - Pięść D'Ebbin oddalił się truchtem. Ullen ponownie zwrócił się do swego sztabu: - Przekażcie moje rozkazy. Ruszamy na spotkanie sztandaru Karmazynowej Gwardii. Musimy związać nieprzyjaciela bojem do chwili przybycia Kańczyków. Pora okrwawić miecze.

- Jesteśmy z tobą, komendancie - zapewnił imperialny porucznik.

Ullen zdziwił się, słysząc poparcie w jego głosie.

- Znakomicie. Każcie ludziom wymaszerować.

Jego oficerowie zasalutowali i pobiegli do swych oddziałów.

* * *

- Czy to prawda? - zapytała zdumiona Blask.

Cień, dawniej porucznik Shirdar, pokłonił się.

- Nie próbujemy się usprawiedliwiać. Daliśmy się osłepić. Śluby...

- W cholerę ze Ślubami! - wychrypiała kobieta. - Czepiec wykorzystał waszą obsesję, by wami manipulować!

Cień zamigotał, osłabł, ale potem odzyskał wyrazistość, jakby pragnął odejść, lecz zatrzymano go tu wbrew jego woli.

- To również twoja obsesja - wyszeptał.

Blask uniosła dłoń w pancernej rękawicy, jakby chciała go uderzyć.

- Zbierz Braciszków. Na polu bitwy zostali żołnierze z Drugiego i Trzeciego Poboru. Są samotni, odcięci. Znajdźcie ich, obrońcie i przyprowadźcie tutaj.

- A co z K'azzem?

- Będziemy... - Rozejrzała się i wskazała wzgórze na zachodzie. - Tam. To nasz punkt zborny.

Shirdar pokłonił się.

- Wedle rozkazu.

- Tak! Wedle rozkazu! Ruszaj!

Cień zniknął.

- Zaprzysiężeni! - ryknęła Blask. Uniosła ręce i zatoczyła krąg. - Na placu boju są opuszczeni żołnierze! Nasi bracia i siostry! Odszukajcie ich i przyprowadźcie do mnie! Braciszkiwie będą waszymi przewodnikami!

Zaprzysiężeni odpowiedzieli jej gromkim krzykiem, unosząc ręce nad głowy. Potem ruszyli na pole bitwy. Dymek, Shell i Altana zatrzymali się, spoglądając w oczy Blask. Skinęła dłonią, każąc im ruszać. Nawet Szara Grzywa pokłonił się jej. Najwyraźniej zamierzał iść z nimi.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała, unosząc brew. - Braciszkiwie nie będą z tobą rozmawiać.

Mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem.

- Mówisz, że Oprawcę wykluczono ze Ślubów? To świetnie. Pójdę zrobić to, co należało uczynić już dawniej.

Wstrzymała oddech.

- Zabraniam ci!

Uśmiechnął się nieco szerzej.

- Jak mi nieustannie przypominasz, Blask, nie jestem Zaprzysiężonym.

Pokłonił się i odszedł.

Ty głupcze! Jest ich zbyt wielu! Nie jest sam!

- Kapitanie? - odezwał się sierżant Gwardii, Okop.

- Słucham?

- Punkt zborny?

Oderwała z niechęcią spojrzenie od pleców oddalającego się rene-gata.

- Tak. Tędy. Wycofujemy się na tamto wzgórze.

Pojawił się przed nią cień Braciszka.

– Nadchodzą szpony.

Odepchnęła Okopa.

– Ruszajcie! Zbiórka na wzgórzu. – Odsunęła się. Mężczyzna zawałał się, sięgając po miecz. – Rozkazuję ci odejść!

Sierżant skrzywił się z niezadowoleniem, odwrócił i pobiegł za resztą.

Blask nadal się cofała. Wyciągnęła biczomiecz i machnęła nim przed sobą. Cieniutka klinga była z profilu niemal niewidoczna. Na polu wokół niej pojawiły się mroczne sylwetki. Obróciła się i policzyła je. Dziesięciu. Dwie dłonie. Machnęła orężem. Wzdłuż klingi przebiegła fala. Blask zakręciła się wkoło, z początku powoli, potem coraz szybciej. Usłyszała w głowie suchy głos, z jakim smagała ją dawna instruktorka: „Oto taniec. Taniec wirujących cięć. Piękny i nieubłagane śmiercionośny”.

Szpony ruszyły naprzód, pochylając się nisko. Rzucone noże odbiły się od wirującej klingi. Blask strzeliła z bicza z wprawą zrodzoną z ponad stu lat treningu, muskając hartowaną klingą ręce, nogi i głowy. Napastnicy odskoczyli trwożnie, wzdychając z bólu, gdy ostra jak brzytwa broń przecinała ciało i kości, odcinała dłonie, masakrowała twarze i podrywała gardła.

Do ataku rzuciła się druga fala. Szpony pochylały się, próbując się przebić przez zasłonę. Biczomiecz rozciągnął się nagle na pełną długość. Blask podskoczyła i zawirowała w powietrzu, wyginając ciało. Klinga pocałowała wszystkich pozostałych napastników. Kobieta wylądowała, wyciągając ręce przed siebie. Dyszała ciężko.

Znieruchomiała. W drżących dłoniach trzymała broń. Z klingi spływała krew. Wszystkich dziesięciu napastników leżało na ziemi. Niektórzy łkali, trzymając się za twarze albo kikuty kończyn. Kilka kroków dalej stało trzech następnych. Otwierali szeroko oczy. Gdy tylko Blask ich zauważyła, wszyscy unieśli kusze.

Cholera. Nie mam impetu.

Nagle wpadł między nich ktoś inny. Napastnik przetoczył się i wszyscy trzej napastnicy runęli na plecy, powaleni ciosami rąk i nóg. Przybysz podszedł do Blask. To była kobieta, szczupła i żyłasta, spowita od stóp do głów w pasy ciemnej tkaniny. Pasma pokrywające stopy i dłonie pozrywały się od gwałtownych uderzeń i nasączyła je krew. Blask przywitała ją pochYLENIEM głowy.

– Poradziłabym sobie sama.

– Być może. – Widać było tylko ciemne oczy nieznajomej. Przyglądała się Blask szacująco. Kobieta odwróciła wzrok, wskazując podbródkiem oddalających się Gwardzistów. – Wycofujecie się.

– Tak.

– Możecie odejść z moim pozwoleniem. Nigdy już nie wracajcie w te strony.

– A kim jesteś? – zapytała Blask, unosząc brwi.

Agentka Szponu zignorowała pytanie.

Z mroku wybiegł kolejny szpon, mężczyzna o chudej, szczerzej twarzy, ciemnych zmierzwionych włosach i niepokojącym, szalonym spojrzeniu. Blask znała go dzięki zebranych przez ich wywiad informacjom. To był Opos, szponmistrz. Przykucnął za kobietą, osłaniając jej plecy. Szponmistrz podążał za nią jak pies? A więc to z pewnością była... Blask zamarła pod wpływem szoku.

Bogowie! To ona! Oczywiście, była kiedyś mistrzynią Szponu, rywalką samego Tancerza!

Okop biegł już ku niej z całym ostrzem. Blask uniosła rękę, by ich powstrzymać.

Kobieta nie zważała na nich. Wskazała na wschód.

– A co z nimi?

Blask wiedziała, o kim mówi.

– Usunięci ze Ślubów. Zhańbieni. Skreśleni z rejestru.

– Rozumiem. Czy można zapytać o przyczynę tego sporu?

Nie wie o tym!

– Oprawca przekroczył swe uprawnienia.

To była prawda.

– Jakie to przygnębiająco znajome... – stwierdziła pogrążona w zamyśleniu kobieta – czy to naprawdę była Laseen? – nadal nie patrzyła na Blask. – W takim razie tu skończyliśmy. Odejdźcie! Jeśli wrócić, dopadniemy was i zabijemy. Umowa stoi?

Blask ukloniła się.

– Tak.

Kobieta odwróciła się i przystanęła przed szponmistrzem, który pokłonił się jej nisko, opadając na jedno kolano.

– Chodź, Opos. Musimy omówić wiele spraw. Natychmiast.

Zniknęła w mroku. Opos pożegnał Blask dwornym, drwiącym ukłonem – ten uśmiech z pewnością świadczył o niezrównoważeniu – i podążył za kobietą.

Okop podbiegł do Blask.

– Kto to był?

– Oficer Szponu. Zawarliśmy rozejm.

– Rozejm? A co z Oprawcą?

– Nie sądzę, by był zainteresowany zawieszeniem broni.

Okop poprawił brygantynę.

– Pewnie masz rację.

– Chodź, sierżancie, musimy usypać szańce. Lepiej nie ufać zbyt-
nio łaskawości imperium, mam rację?

– Ehe, kapitanie.

Sierżant oddalił się, ale Blask zwlekała. Spoglądała w miejsce, gdzie zniknęło tamtych dwoje.

A więc w końcu się spotkałyśmy. Czy dotrzymasz słowa, cesar-zowo? Pozwolisz nam się wycofać? A może przewagę zdobędą inne głosy, inne sugestie? Ciekawe...

Powierzchnia przerodziła się w ruchomą, zamazaną plamę, niebo wirowało nad ich głowami, gwiazdy śmigały jak meteory. Rillish musiał zamknąć oczy, by nie zwymiotować albo nie zemdleć. Opuścił głowę, kryjąc twarz w ciemnej grzywie wierzchowca. Zacisnął powieki. Zadał sobie pytanie, po czym właściwie jada, i zaraz tego pożałował. Wtem z przodu dobiegł radosny śmiech, zmuszając go do uniesienia głowy. Nul i Nadir wymieniali triumfalne uśmiechy, śmiali się w głos, ich włosy powiewały na wietrze.

Jakby do tej pory bali się, że wszyscy możemy zginąć.

Obejrzał się i tego również pożałował. Teren, po którym jechali, zniknął za nimi, rozplywał się w pustce, w Otchłani. O bogowie! Szybciej!

Wielka, pusta misa nieba obracała się tak szybko, że gwiazdy zamazywały się jak poruszające się pochodnie. Wszzło słońce, wielkie i karminowe, obrzękła parodia tego, jak powinno wyglądać. Czyżby było chore? Rillish wiedział, że niektóre ludy oddają słońcu boską cześć. W karmazynowym blasku zobaczył, że przed nimi leży... nicłość. Ziemia pojawiała się tuż przed ich kolumną, jakby tworzyła ją wola czarnoksiężników i czarownic połączonych więziami z bliźniakami, a gdy przejechali, znowu rozpuszczała się w miazmatach Otchłani.

Pędźcie, chłopaki i dziewczyny, pędźcie!

Przeraził go błysk końskich ślepiów. Uwidaczały się tylko białka! Wierzchowce były nieprzytomne! No pewnie, żadne zwierzę nie zniosłoby podobnego chaosu. Konie pędziły przed siebie, gnane wolą czarnoksiężników i czarownic. Podobnie jak sam Rillish i pozostali jeźdźcy! W pewnej chwili zorientował się, że wyciągnął miecz. Roześmiał się i wsunął go niezgrabnie do pochwy. Na cóż mogła mu się przydać tak żałosna broń?

Coś przemknęło przez bezkształtne, skłębione niebo. Ogromne, odległe stworzenie rozpościerało szeroko skrzydła, uderzając długim ogonem jak biczem. Jego tułów składał się tylko z kręgosłupa i żeber. Szkieletowy smok? Czemu by nie? W takim miejscu możliwe jest

wszystko, a zarazem nic. Jeszcze dalej, jeśli pojęcie dystansu miało tu jakikolwiek sens, piętrzyła się ogromna, mroczna forteca, posepna i nieruchoma. Wydawało się, że unosi się w pustce. Co to właściwie było? Halucynacje?

Znowu się obejrzał i włoski na karku i przedramionach zjeżyły mu się nagle. Pustka się zbliżała! Ziemia za nimi znikwała coraz prędzej. Zaraz doścignie ich nicłość!

Gnajcie, durnie! Śmierć jest blisko!

Blizniaki wyciągnęły ręce przed siebie. Wśród skłębionych miazmatów pojawiła się ciemna plama.

Nasza brama? To jeszcze tak daleko! Rillish obejrzał się i krzyknął przeraźliwie. Ostatnie szeregi zsuwały się z krawędzi, konie spadały w czeluść, jeźdźcy znikali mu z oczu. Popędził wierzchowca gwałtownym kopniakiem, bliski łez.

Gnajcie do Otchłani!

* * *

Ullen podzielił swój legion na dwie grupy, mające uderzyć na falangę Gwardii z przeciwnych stron. Liczył na to, że w ten sposób uda się ją okrążyć. To był najlepszy plan, na jaki było go stać. Chorągiew Karmazynowej Gwardii znajdowała się tylko kilka szeregów od początku szyku. Wiedział, że Zaprzysiężeni pokonają każdego żołnierza w indywidualnym pojedynku, ale przewaga liczebna w końcu sprawi, że nieustępliwi malazańscy i taliańscy weterani z ciężkiej piechoty otoczą ich ze wszystkich stron, a potem powalą. Tak przynajmniej sobie powtarzał.

Dwa oddziały wyłoniły się z mroku, maszerując ku sobie. Na północy tliły się szczątki cesarskiego namiotu. Ullen wiedział, że cesarszowej nie ma w pobliżu, ale gdyby pozwolił Gwardzistom dotrzeć tam bez przeszkód, równałoby się to ogłoszeniu ich zwycięstwa, przyzna-

niu, że nie mają już sił, odwagi albo ducha bojowego, by im się przeciwstawić.

Gdy obie formacje dzieliło od siebie tylko kilka kroków, Ullen uniósł miecz, dając znak do ostatniej szarży. Z ust imperialnych żołnierzy wyrwał się niski, zwierzęcy ryk, który nasilał się z każdą chwilą, przechodząc w gwałtowną inwokację gniewu, nienawiści i szału bojowego. Żołnierze unieśli tarcze i pochylili się, następne szeregi wspierały je na plecach poprzednich, popychając do przodu. Dwie grupy zderzyły się ze sobą z ogłuszającym trzaskiem pękającego drewna. Miecze wnikały w szczeliny, nogi wzbijały pył. Szyk napierał na szyk, szeregi mieszały się, powstawał chaos. Ludzie ginęli, ale tłok nie pozwalał im upaść. Krzyki łączyły się w jednolity ryk wypełniający uszy Ullena dziwnie stłumionym dzwonieniem. Wiedział, że krzyczy, ale nie słyszał własnego głosu.

Uderzał gwałtownie trzymanym niezgrabnie w lewej dłoni mieczem, próbując go wepchnąć w lukę między tarczami. Prawą rękę nadal miał zbyt osłabioną. Ziemia pod nogami zwartych w boju żołnierzy zrobiła się grząska od przelanej krwi. Obute w sandały stopy ślizgały się, ciała padały. Mężczyźni i kobiety przeklinali zabitych – na równi przyjaciół i wrogów – gdy potykali się o ich ciała. Walczący przesuwali się w przód i w tył, wdeptując poległych w krwawe błoto.

Ullen dźgał sztychem miecza wszystko, co się przed nim ruszało. Broń nieprzyjaciela uderzała w jego tarczę, czasami w niej grzęznąc. Walił mieczem nad jej górną krawędzią, odcinając ręce. Czyjaś dłoń złapała za jego tarczę i pociągnęła w dół. Uderzył całym ciężarem ciała, pchnął, ciął w nogę. Wokół padali mężczyźni i kobiety. Grunt zrobił się zdradliwy. Malazańskiego żołnierza po jego prawej stronie powalił straszliwy cios. Miecz przebił tarczę i hełm, a potem rozciął czaszkę i twarz, grzęznąc w obojczyku oraz górnych żebrach. Ullen odwrócił się, nie zastanawiając się nad straszliwą siłą idącą za tym ciosem, i uderzył mieczem, przecinając kończynę w łokciu. Erupcja

gniewu odrzuciła go do tyłu. Gwardzista rzucił się do ataku, ignorując odciętą rękę.

Na pociągnięcie Pani, to jeden z nich.

Gwardzista odrzucił swoją tarczę, złapał należącą do Ullena i szarpnął. Rzemienie pękły, łokieć komendanta się złamał. Kapitan Mech przepchnął się do niego i zaatakował bliźniaczymi mieczami, ale Zaprzysiężony zignorował ciosy. Jego wypełnione berserkerskim szałem oczy skupiały się wyłącznie na Ullenie. Uderzył pięścią i głowa komendanta odskoczyła do tyłu tak gwałtownie, że aż zobaczył nocne niebo. Hełm zleciał mu z głowy, uderzając go po drodze w plecy między łopatkami.

Czas zwolnił bieg. Ullen przyglądał się, jak mężczyzna znowu unosi pięść. Przed jego oczyma pojawiły się migotliwe światła. Wszystkie dźwięki przeszły w zamazany szmer. Wszelkie wrażenia odplynęły, pozostawiając tylko dziwne rozleniwienie.

Zza pleców Ullena i z obu boków wysunęły się włócznie. Gdy wbiły się w ciało Gwardzisty, mężczyzna warknął wściekle i sięgnął pozostałą mu ręką po Malazańczyka, przesuwając się naprzód po drzewcach. Towarzysze wciągnęli dowódcę do szeregu. Dalhońska porucznik, Gellan, uniosła jego twarz, próbując spojrzeć mu w oczy.

- Komendancie! - krzyknęła.

Przynajmniej wydawało mu się, że to był krzyk. Głos dobiegał z bardzo daleka.

Zamrugnął, marszcząc brwi. Komendancie?

- Idziemy w rozsypkę! Nie zdołamy ich powstrzymać!

W rozsypkę?

- Gdzie się mamy przegrupować?

Co? Przegrupować? Rozejrzał się. Obraz pływał mu przed oczyma. Grupki żołnierzy się wycofywały. Zaprzysiężonych było za wielu i skupili się na zbyt małej przestrzeni.

Bogowie, czterdziestu! Któż zdołałby powstrzymać taką formację? Nie zostało im już nic. Mogli jedynie kontynuować opór, w nadziei że wynegocjują korzystne warunki. Spróbował potrząsnąć głową, ale zakreśliło mu się w niej straszliwie. Zawroty nie chciały ustąpić.

– Reduta! Wycofujcie się do reducy! Będziemy się tam bronić!

– Tak jest! – zawołała kobieta, nadal trzymając go za głowę. – Przekażę wiadomość. – Spojrzała w bok. – Zabierzcie go na południe – rozkazała.

Ludzie złapali go i poprowadzili. Próbował się wyrwać. Zostawcie mnie, do cholery! Poznał jednego z nich. Kapitan Mech. To go uspokoiło. Stracił jedną rękawicę. Uniósł rękę i dotknął nią zimnej głowy. Kiedy ją cofnął, była umazana krwią. Popatrzył na to ze zdziwieniem. W której chwili to się stało? Ten cios, durniu! Rozłupał ci hełm!

Ullen i jego eskorta wlekli się z wysiłkiem na południe przez czarne, wypalone, usiane trupami pole. Komendant uświadomił sobie, że został poważnie ranny w głowę, gdy zobaczył wylaniającą się z mroku postać z jego młodych lat. Barczystą sylwetkę zakutego w zbroję Szarej Grzywy łatwo było rozpoznać. Jego strażnicy wyciągnęły broń i otoczyli go ochronnym pierścieniem. Ullen uniósł rękę.

– W porządku! Znam go! Szara Grzywa! – zawołał. Mężczyzna skreślił w ich stronę. – Szara Grzywa!

Podszedł bliżej i zatrzymał się, dysząc ciężko. Oczy w cieniu hełmu lśniły niemal nadnaturalnym blaskiem. Skierował je na Ullena.

– Znasz mnie?

– Jestem Ullen Khadeve. W dawnych czasach służyłem z Chossem.

– Aha. – Mężczyzna opuścił wzrok. – Słyszałem. Przykro mi.

– Mnie też. Co tu robisz?

Szara Grzywa odwrócił skrytą pod hełmem głowę i wskazał na północ.

– Szukam Oprawcy.

Gdyby Ullen usłyszał te słowa z ust kogokolwiek innego, skwitowałby je śmiechem. Teraz potrząsnął głową, wywołując kolejny atak zawrotów.

– Zaprzysiężonych jest zbyt wielu. Załatwią cię.

Zacisnął zakute w pancerne rękawice dłonie w pięści.

– Tak... to prawda... na razie. – Zachichotał. – Nici z naiwnych marzeń o zażądaniu satysfakcji na polu bitwy, hej?

– Chodź z nami. Wycofujemy się na to wzgórze. To nasza ostatnia reduca. – Ullen przycisnął dłoń do bolącego czoła. Czyżby miał złamaną czaszkę? – Ostrzegam jednak, że mogę zażądać parolu. Jeśli moi ludzie się zgodzą, nie pozwolę ci go złamać.

Skinął głową.

– Rozumiem.

– Tędy.

Zakuty w zbroję olbrzym nie ruszył się jednak z miejsca. Patrzył na północ.

– Co się stało?

– Coś... coś się zbliża. Jestem wrażliwy na groty i wyczuwam cholernie silne zakłócenia... Nadchodzi bardzo szybko! Kryj się!

Szara Grzywa stanął przed nimi, wyciągając miecz. Smukła klinga wydawała się śmiesznie mała w jego olbrzymiej łapie. Strażnicy Ullena, w tym również kapitan Mech, zajęli pozycję przed nim.

Ullen wiedział, że w mroku nie widzi nawet połowy z tego, co się dzieje. To jednak wystarczyło, by go przerazić. Powietrze w górze stoku zafalowało jak podczas upału. Przeszyły je błyski przypominające spadające gwiazdy. Falanga Oprawcy zatrzymała się przed tą zasłoną. Jej sztandar zwiślał bezwładnie. Grunt zadrżał, jak pod wpływem potężnego uderzenia. Trzęsienie ziemi? Migotliwy blask skupił się w ciemnoniebieską zorzę. Ullen przymrużył powieki, osłonił oczy dłonią, a potem odwrócił głowę. Z blasku wyłonił się klin jeźdźców.

Stok zadudnił od tętentu kopyt. Przybysze unosili miecze, otwierali usta w bezgłośnym krzyku. Klin uderzył w falangę Oprawcy.

Szyki Gwardzistów rozsypały się pod naporem, jak szereg patyków uderzony lawiną. Żołnierze padali tratowani kopytami. Sztandar pękł, runął na ziemię. Ullen przyglądał się temu ze zdumieniem. Pojawiali się wciąż nowi jeźdźcy, kolejne szeregi przemykały przez miejsce, gdzie przed chwilą stał zwarty szyk piechoty. Pierwszy szereg zawrócił na zachód. Kolumna gnała wciąż przed siebie. Konie spływały pianą, jeźdźcy wydawali okrzyki bojowe. To Wickanie, uświadomił sobie Ullen. Przybyli przez grotę!

Minęli ich. Ogłuszający tętent kopyt cichł w oddali. Nad zrytym kopytami zboczem unosiły się obłoki pyłu. Jeden z jeźdźców zbliżył się do nich i ściągnął wodze. Stary mężczyzna wytrzeszczył jedyne zdrowe oko. Drugie było mleczną, przesłoniętą bielmem kulą. Na jego twarzy zamarł śmiertelny grymas.

– To powinno położyć kres pogromowi, jaki nam urządziliście, co, Malazańczyku?! – zawołał, zanosząc się szalonym śmiechem.

– Rozbiliście ich doszczętnie – stwierdził słabym głosem Ullen.

Wickanin wyciągnął przed siebie zakrwawiony bułat. Jego koń stanął dęba.

– Bądź świadkiem, Malazańczyku, bądź świadkiem! – zawołał i odjechał z głośnym, zawodzącym okrzykiem bojowym.

Ullen odprowadzał go wzrokiem.

– Tak... będę.

O dziwo, na stratowanej ziemi poruszały się jakieś kształty. Tu i ówdzie Gwardziści podnosili się chwiejnie, otrząsali i prostowali. Ullena przeszył dreszcz na ten widok. Gapił się na to totalnie przerażony.

Wielcy bogowie! Czy Zaprzysiężonych nic nie powstrzyma? Są niezniszczalni jak Imassowie.

Szara Grzywa spojrział na niego z błyskiem ironii w oczach.

– Jak mówiłeś, Ullen, jest ich zbyt wielu. Ale siły choć trochę się wyrównały. To stwarza mi szansę.

Nim komendant zdążył się sprzeciwić, wojownik popędził na zryte kopytami zbrocze. Gdyby Ullen miał hełm, cisnąłby nim o ziemię.

– Cholera! – Spojrzał na swoich strażników. – Ruszajmy za nim. Nie możemy pozwolić, by poszedł sam.

Siedmiu malazańskich i taliańskich żołnierzy popatrzyło na siebie niepewnie.

– Rozkazano nam... – zaczął jeden z nich.

– Rozkazano wam podążać za mną – przerwał mu Ullen.

Mężczyzna zacisnął zęby i skinął głową. Komendant spojrział na Mcha, który również przytaknął, a potem wskazał podbródkiem pole bitwy.

– Nie jesteśmy osamotnieni...

Ze wszystkich stron zmierzały ku nim grupki imperialnej piechoty.

– Chodźmy!

Podtrzymywany przez Mcha Ullen pokuśtykał za Szarą Grzywą.

* * *

Pole bitwy zmieniło się w jatkę. Wszędzie leżały stratowane ciała. Oszołomione niedobitki chwiała się na nogach zbrukane krwią, nie zważając na mijających ich żołnierzy. Wyglądało na to, że druzgocąca szarża położyła kres walkom. Niestety ucierpiała od niej również część jego piechoty. Gdzieś z przodu było jednak słychać szcęk dwóch uderzających o siebie mieczy, mącący ciszę, jaka zapadła po przejściu szarży. Ullen wpatrywał się w przesyconą pyłem ciemność, szukając wzrokiem walczących. Przewodnikiem były dla niego stęknienia i brzęk żelaza uderzającego o żelazo. Po chwili dotarli do szczątków wozów z imperialnych taborów. Ullen zauważył walczących, gdy cios zadany przez jednego z nich odepchnął drugiego na płonący wóz. Wehikuł przewrócił się na bok, orząc kołami ziemię. Ullen rozpoznał

Szarą Grzywę. Mężczyzna był ranny. Stracił hełm, twarz zalewała mu krew. Z jego brygantyny odcięto żelazne fragmenty, pozostawiając zwisające rzemienie. W krąg światła wszedł Oprawca. Zamachnął się trzymanym w obu rękach mieczem i ciął w dół, ale renegat uchylił się przed ciosem, uderzając w leżący wóz. Deski rozpadły się w straszliwej eksplozji, w górę buchnęły chmury dymu i popiołu, zasłaniając widok. Szara Grzywa spróbował kontrataku, ale jego miecz odbił się od lśniącej nieziemskim blaskiem zbroi Zaprzysiężonego. Obaj mężczyźni zwarli się ponownie. Stękając z wysiłku, wymieniali ciosy zdolne zwalić drzewa. Oprawca wyprowadził błyskawiczną ripostę. Węższy miecz Szarej Grzywy eksplodował jak przebijacz, rozpadając się pod wpływem uderzenia. Była pięść nie cofnął się jednak, lecz podszedł bliżej i pochwycił przeciwnika. Obaj zniknęli Ullenowi z oczu. Komendant przedzierał się gorączkowo między przewróconymi wozami, zaszlachtowanymi końmi i płonącymi szczątkami, by ich nie zgubić. Mech i pozostali strażnicy biegli razem z nim.

To było szaleństwo! Miał złamaną prawą rękę i zapewne też pękniętą czaszkę, a mimo to ścigał koszmar z czasów podboju, i to najgorszy z nich! Wojownika, któremu, jeśli Szara Grzywa padnie, nie sprostą nikt z dzisiaj żyjących. Co mógł mu zrobić? Szczerze mówiąc, nie miał pojęcia.

Po chwili ujrzał walczących. Siłowali się ze sobą, tarzali w szczątkach, wymieniali ciosy niosące się echem pośród nocy. Szara Grzywa wstał i złapał Oprawcę od tyłu, zaciskając dłoń pod jego podbródkiem. Twarz zastygła mu w grymasie wysiłku. O dziwo, dowódca Zaprzysiężonych podźwignął się, unosząc przeciwnika nad ziemię, i cisnął zakutym w zbroję wojownikiem w noc. Trzask żelaza odbijającego się od kamieni świadczył, że Szara Grzywa spadł na żleb albo stok.

Oprawca poprawił długą kolczą koszulę i rozprostował jedno ramię, stękając z bólu. Pochylił się, podniósł hełm, włożył go na głowę i ruszył z powrotem na pole bitwy. Ullen był rozdarty. Czy ośmieli się rzucić mu wyzwanie? Ale co z Szarą Grzywą? Był ranny. Strażnicy

Ullena pobiegli już pomóc renegatowi. To rozstrzygnęło sprawę. Ullen podążył za nimi.

To był płytki, kamienisty żleb. Szara Grzywa leżał na ospysku u jego podstawy. Był bliski utraty przytomności. Podźwignęli go wspólnymi siłami, przenieśli na bok i położyli na ziemi. Spojrzał na Ullena – jedno oko miał czerwone z powodu pękniętych naczyń krwionośnych – i prychnął pogardliwie, kręcąc głową.

– Skurczybyk oszukiwał. Jego miecz jest zatruty. Skurwysyn mnie otruł! To mnie naprawdę wkurzyło. Skurwiel miał szczęście. Mało brakowało, a użyłbym miecza przeciwko niemu. Ale nie... sanktuarium jest za blisko. Kto wie, co mogłoby się stać?

Ullen ignorował jego słowa.

Miecza? O czym on gada?

– Spokojnie. Zaraz sprowadzimy uzdrowiciela.

Komendant skinął na jednego ze swoich strażników. Mężczyzna zasalutował i oddalił się biegiem.

Ullen spojrział w oczy kapitanowi Mchowi i wskazał głową w ślad za Oprawcą. Oficer spoglądał na niego przez dłuższy czas. Jego ciemne oczy niczego nie wyrażały, a usta zamieniły się w zaciśniętą linię. Uniósł dłoń, pocierając świeże blizny na twarzy, a potem skinął głową. Ullen wyprostował się, spojrział na Szarą Grzywę, a potem wskazał kolejnego strażnika.

– Zostań z nim. Reszta, za mną.

Potruchtał za dowódcą Zaprzysiężonych, zaciskając spoconą lewą dłoń na rękojeści miecza.

Lewą! Lewą, niech to szlag!

* * *

Odgłosy rozmowy pozwoliły mu odnaleźć drogę pośród resztek płonącego sprzętu i walających się na ziemi trupów. Zobaczył dwóch mężczyzn, którzy zatrzymali Oprawcę, ale huk ognia i przeraźliwe kwicze-

nie rannego konia zagłuszały ich słowa. Dwaj muskularni żołnierze wydawali mu się znajomi, nie potrafił jednak określić, gdzie ich widział. Za nimi z mroku wyłoniło się pięciu Karmazynowych Gwardzistów, z pewnością sami Zaprzysiężeni. Wyciągnęli miecze, otaczając dwóch mężczyzn.

Ullen ruszył w tamtą stronę, ale zatrzymał się, gdy ktoś nagle stanął mu na drodze.

Skąd on się wziął, do licha?

Mech skoczył naprzód, unosząc szablę, ale mężczyzna pokazał puste ręce. Był Dalhończykiem o cerze barwy żelaznego drewna. Twarz naznaczyły mu blizny, miał na sobie kolczą koszulę pięknej roboty. Długie kręcone włosy związał sobie rzemieniem w kucyk. Popatrzył na Ullena, jakby go znał. Wyglądał jak...

Nie, to niemożliwe! On nie żyje!

Duch wsparł rękę na ramieniu komendanta.

– Zrobiłeś już wystarczająco wiele, a nawet więcej, Ullen – rzekł głosem, od którego po plecach komendanta przebiegły ciarki. – Zwycięstwo należy do ciebie. Gratuluję. Jestem pewien, że Choss byłby z ciebie dumny. Zostaw to nam. – Na jego nieruchomej jak maska twarzy pojawił się nagle wyraz sympatii. Wskazał rozpoczynając się walkę. – Mógłbym przysiąc, że ci dwaj zrobili to celowo. Wiedzieli, że nie pozwolę, by walczyli z nim sami.

Oddalił się truchtem. Ustawieni w pierścień Zaprzysiężeni wzdrygnęli się na jego widok. Wśliznął się do środka i zajął miejsce obok dwóch spoglądających na Oprawcę żołnierzy.

Nie. Jak to może być on? Czyżby to był tylko duch przeszłości?

Trzej mężczyźni ustawili się w trójkąt. Zaprzysiężeni zamknęli pierścień wokół nich. Nowo przybyły spoglądał na Oprawcę, który uniósł rękę i powiedział coś. Jego słowa zagłuszył huk pożarów. Przybysz nie raczył odpowiedzieć. Wyciągnął ciemny, wąski miecz. Na znak Oprawcy wszyscy Zaprzysiężeni skoczyli do ataku.

Ullen był zdumiony tym, co zobaczył. Miecze poruszały się w blasku ognia tak szybko, że nie potrafił tego pojąć. Jeden z trzech obrońców krył się za kwadratową tarczą ciężkiego piechociarza, zza której spokojnie odbijał ciosy zdolne rozwalić mury, a potem uderzał mieczem, zmuszając do odwrotu Zaprzysiężonych, którzy podeszli za blisko. Drugi, muskularny Seti, walczył dwoma mocnymi długimi nożami, wyposażonymi w gardy z brązu. Parował straszliwe ciosy i odpłacał przeciwnikowi pięknym za nadobne. Jeden z Zaprzysiężonych zachwiał się nagle po uderzeniu nożem w hełm. Ullen skrzywił się, przypomniawszy sobie własną ranę.

To jednak pojedynek między Dalhończykiem a Oprawcą zaparł mu dech w piersiach. Gładkie, ekonomiczne ruchy ciemnoskórego wojownika wyglądały pięknie. Parował potężne uderzenia przeciwnika z pozoru leciutkimi dotknięciami, a potem wyprowadzał szybkie jak błyskawica riposty.

To z pewnością on! Jak to możliwe? Czy to odpowiedź na modlitwę?

Te riposty odbijały się jednak bez szkody od ciemnej, pokrytej plamami zbroi Zaprzysiężonego. Oprawca śmiał się w głos. W jego śmiechu Ullen słyszał pewność zwycięstwa.

Stojący u jego boku kapitan Mech zaczerpnął z zachwytem tchu.

– Kto to jest? Nigdy nie widziałem... Znał cię. Kto to jest? Ale ta zbroja... Oprawca go zrani. A wtedy... to będzie tylko kwestia czasu.

Ullen pokręcił głową.

– Nie. On wie. Musi wiedzieć.

Zaprzysiężeni nie przestawali naciskać, próbując zgnieść dwóch strzegących pleców Dalhończyka mężczyzn. Napastnicy odnieśli straszliwe rany, ale nie zdołali odepchnąć dwóch mężczyzn od siebie, rozluźnić ich szyku. Jeden z Zaprzysiężonych złapał za tarczę, ale cios miecza omal nie uciął mu ręki. Kończyna zwiisała bezwładnie u jego boku, lecz mimo to nie zaprzestawał walki. Seti był agresywniejszy od towarzysza, wyprowadzał cięcia na twarze i tułowia, zadając rany.

Zaprzysiężeni przyjmowali je w milczeniu, aż wreszcie ich nogi spływały krwią, a ziemia pod stopami pociemniała.

Nic wam nie pomoże, Zaprzysiężeni! Nikt nigdy nie przebił się przez Miecz, jego ochronę. Tylko zdrada zdołała go powalić.

Dalhończyk cały czas okładał Oprawcę kolejnymi ciosami, ale wszystkie kolejno odbijały się od najwyraźniej niezniszczalnej zbroi. Zaprzysiężony z kolei nie potrafił się przebić przez wirtuozowską obronę przeciwnika. Wszystko to na nic, pomyślał Ullen. Żaden z nich nie jest w stanie pokonać drugiego.

Czy Dalhończyk to rozumiał? Dlaczego nie przestawał zasypywać ciosami koleczugi przeciwnika? Z pewnością była nasycona grota, być może nawet aspektowana. Wszystko to na nic. Być może złowrogie przeczucia Ullena wpływały na to, co widział, odnosił jednak wrażenie, że strzegący pleców Dalhończyka mężczyźni zaczynają ulegać zmęczeniu. Nie było w tym nic dziwnego. Któż zdołałby bez końca powstrzymać Zaprzysiężonych? Wkrótce padną, a wtedy będzie po wszystkim. Oprawca w końcu zwycięży. Wróci na pole bitwy, zwoła swoich Zaprzysiężonych i razem z nimi zmiecie resztki zorganizowanego oporu. Triumf będzie należał do Gwardii.

Masywna tarcza ciężkiego piechociarza przerodziła się w ogryzek z popękanych desek. Odbijał ciosy wyłącznie krótkim mieczem. Seti zaprzestał kontrataków, ograniczając się do obrony. Tylko jedna z Zaprzysiężonych padła. Kobieta oddaliła się chwiejnie, trzymając się za brzuch, z którego wysunęły się wilgotne wnętrzności. Po kilku krokach upadła na twarz, poruszając słabo kończynami. Przerazająca żywotność Zaprzysiężonych nie pozwalała jej umrzeć.

Dalhończyk nie przestawał ripostować i kontratakować. Każdy z jego ciosów przeciąłby innego przeciwnika aż po kręgosłup, ale Oprawcy nie wyrządzały najmniejszej szkody. Ullen miał ochotę krzyknąć: „Ty durniu! Daj za wygraną! Wycofaj się!”. Nagle uznał, że ma już tego dość. Dla tego człowieka będzie walczył. To nie podlegało

dyskusji. Ruszył naprzód, unosząc miecz w lewej ręce. Mech otoczył mu szyję ramieniem i pociągnął go do tyłu.

– Nie bądź głupcem!

Wtem, w trakcie kolejnej wymiany ciężkich, potężnych ciosów Oprawcy i błyskawicznych ripost Dalhończyka ten drugi skoczył naprzód jeszcze dalej, niż robił to dotąd, i uniósł sztych miecza, który wniknął w szczelinę poniżej hełmu Oprawcy. Zaprzysiężony odrzucił głowę do tyłu i złapał się za szyję zakutą w stal dłonią. Wypływała spod niej krew. Cofnął się, nie cofając ręki od gardła. Nadal jednak unosił miecz gotów się bronić. Czterej pozostali Gwardziści przesunęli się, osłaniając jego odwrót. Dalhończyk podążał za nimi sam, nie przerywając ataku.

Oprawca cofał się, parując ciosy. Nagle wykrzyknął gardłowym głosem jakiś rozkaz albo błaganie i powietrze za jego plecami zawrzało. Spieniło się i pojaśniało, zmieniając kolor z ciemności nocy w niezdrową szarość. Wszyscy Zaprzysiężeni zniknęli w tej nierównej szczelinie. Dwaj z nich podtrzymywali Oprawcę. Dalhończyk znieruchomiał, nadal oddychając spokojnie. Wsunął ciemny miecz do pochwy.

Ullen podbiegł do dwóch żołnierzy, którzy opierali się o siebie. Obejrzał się na Dalhończyka, ale on również zniknął. Obok padło przekleństwo, świadczące, że kapitan Mech również zauważył ten fakt. Szeroki w barach, przysadzisty piechociarz odrzucił resztki tarczy. Zdjął hełm, wyciągnął zza pasa bukłak z wodą, po czym wylał sobie jej trochę na głowę i pociągnął łyk. Potem rzucił bukłak Seti.

– Gdzie jest... Dalhończyk? – zapytał Ullen.

– Nie było tu nikogo innego – wychrypiał stary, łysy piechociarz. – Nigdy nie było, hej?

– Ale...

Dyszący ciężko, przelękający ślinę z wysiłku weteran zbył obiekcje Ullena machnięciem ręki.

– Nie, tu było tylko nas dwóch. Mam rację, hmm, Wątlý?

– Wątlę? – warknął Seti. Otarł twarz grzbietem dłoni, zostawiając na niej plamę krwi. – Nie. Nazywam się... Słodka Trawa.

– Co? – Piechociarz zwrócił się ku towarzyszowi, chwiejąc się na nogach ze zmęczenia. – Słodka Trawa? I przez wszystkie te lata... żaden z nas o tym nie wiedział?

Na posiniaczonej, poranionej twarzy Seti pojawił się wojowniczy wyraz. Weteran wysunął podbródek.

– A co w tym złego?

– Nic. Po prostu się zdziwiłem.

Obaj spróbowali się schylić, by pozbiierać leżący na ziemi ekwipunek, ale przekonali się, że nie potrafią tego zrobić. Dali za wygraną, odwrócili się i ruszyli w stronę pola bitwy. Utykali, próbowali rozprostować plecy, a od czasu do czasu zatrzymywali się, by odetchnąć, dręczenia kaszlem. Ullen, Mech i strażnicy spoglądali na nich z niemym zachwytem.

– A jak brzmi twoje? – zapytał Seti, Słodka Trawa, drugiego weterana.

– Lepiej, żebyś tego nie wiedział.

– Co?

– Nie.

– Daj spokój.

Stary żołnierz zatrzymał się i pochylił dręczony mdłościami. Wreszcie zdołał wypluć garść flegmy.

– Nie.

– Boulbum?

– Nie.

– Ishfat?

– Nie!

Ullen spojrział na kapitana Mcha. Oficer zasłaniał uśmiech grzbietem dłoni.

Kiedy wrócili, sfatygowani, krwawiący Wyłam Ząb i Urko formowali z ocalałych Malazańczyków, Talian i Falarczyków falangi. Czterej weterani przywitali się radośnie, poklepując się po plecach. Potem, ku szokowi i przerażeniu Ullena, Wyłam Ząb i Urko zasalutowali mu, uśmiechając się złowieszczo. Odwzajemnił salut, a potem zbył ich gest machnięciem ręki.

– Nie. Ty tu dowodzisz, Urko.

– Nie. Jeszcze nie skończyliśmy. Ci tutaj zwiali, ale został jeszcze jeden oddział Gwardzistów. Okopali się na wzgórzu. Pięść D’Ebbin ze swymi ocalałymi żołnierzami oraz Wickanie nie pozwalają się im ruszyć. Pora, byśmy ich wspomogli. Ja pójde z jedną z jednostek, a ty będziesz koordynował. Gratulacje, komendancie.

Czterej weterani ruszyli ku swoim jednostkom, zostawiając Ullena z ostatnim z jego strażników. Komendant potarł ręką obolałą szyję. Czuł się przytłoczony.

– Dobra... znajdź jakiegoś wierzchowca i wyślij do pięści D’Ebbina wiadomość, że ruszamy z odsieczą.

Żołnierz zasalutował i oddalił się truchtem. Rogi zagrały sygnał do walnego szturmu. Po chwili chaosu kolumny pomaszerowały na południe. Było już dobrze po północy. Pożary dogasły i pole bitwy zamieniło się w pogrążony w mroku koszmar pełen ciał poległych, zniszczonego ekwipunku i konających koni.

Ullen posuwał się ostrożnie na południe. Towarzyszył mu Mech. Po chwili kapitan podszedł bliżej i rozejrzał się z zakłopotaną miną. Straszliwe blizny na jego twarzy miały intensywny siny kolor.

– Gdzie jest twój sztab? – zapytał.

– Rozproszył się.

– Potrzebujesz liczniejszej eskorty. – Wskazał w bok. – Powinniśmy dołączyć do tamtej kolumny.

Ullen wzruszył ramionami.

- Jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej.

Mężczyzna zatrzymał się nagle. Jego ręce powędrowały do wykonanych z kości słoniowej rękojeści szabli.

- Coś tu...

Nagle otoczyły ich kłęby kurzu. Ullen osłonił oczy, krzywiąc się z bólu.

- Kapitanie!

Szczęknęła broń, żelazo zgrzytnęło o żelazo. Ullen spróbował wyciągnąć miecz lewą ręką. Wtem coś uderzyło go z tyłu z siłą dwuręcznego młota. W jego plecy wniknął zimny metal. Odwrócił się z głośnym westchnieniem i zobaczył napastniczkę. Jej długie białe włosy powiewały na wietrze. Przymrużyła powieki, wykrzywiając usta w grymasie wściekłości. Nadszedł srebrny rozbłysk i jej głowa spadła z ramion. Trysnęła krew. Ciało zważyło się na ziemię. Ullen również padł.

Zobaczył gwiazdziste niebo, a potem twarz pochylającego się nad nim kapitana Mcha. Mężczyzna coś mówił, ale Ullen słyszał tylko puls dudniący mu w uszach. Nie mógł oddychać! Starał się, ale powietrze nie chciało wejść do jego płonących z bólu płuc. Cholera! Coś tu było nie w porządku.

Co...

Czy mógłby...

Puls zwolnił. Noc zamknęła się wokół Ullena, przesłaniając twarz Mcha i jego poruszające się usta. Ostatnie uderzenie serca zabrzmiało jak potężny, niosący się echem dźwięk młota.

Zaczekaj...

Rozdział III

Wizja słabnie, wspomnienie się zaciera.
Wszystko, co powstrzymano, jest zlekceważone.
I dlatego wraca do nieświadomych
Gwałtownym refrenem.

Lekcje płynące z pola bitwy
na skrzyżowaniu dróg Waden Burdeth, Unta

Kyle, K'azz i bracia Zagubieni przekonali się, że na północnym brzegu Idrynu czeka na nich flotylla prowizorycznych tratw. Do Mostu Pielgrzymów prowadził ślad poległych kańskich żołnierzy. Zabitym przyglądał się samotny Karmazynowy Gwardzista. Opierał się o kamienny murek mostu, rozstawiając szeroko nogi. Miecz wsparł sztychem o nawierzchnię przed sobą, a z ciała sterczały mu liczne strzały.

– Piekarz – odezwał się ochryłym głosem K'azz.

Mężczyzna poruszył się, unosząc głowę o długich rudych, zwisających w strąkach włosach. Na jego usta wypłynął smętny uśmiezek.

– Panie – mruknął, próbując się wyprostować.

Dowódca Gwardii powstrzymał go gestem.

– Zostań tu – rozkazał łagodnym tonem. – Ktoś musi strzec drogi na północ.

Piekarz uniósł kącik ust w asymetrycznym uśmiešku.

– Tak jest.

Bracia zbierali tarcze poległych. Kyle podążył za ich przykładem. Wszyscy nieśli pod pachami tyle, ile tylko zdołali udźwignąć. Chłopak wręczył jedną K'azzowi, który przyjął ją, kiwając głową. Potem potruchtali na most.

Przed nimi rozległ się niski, dźwięczny ryk, brzmiący jak przeciągły grzmot. Włoski na karku i przedramionach Kyle'a się zjeżyły. Niski, wibrujący, zwierzęcy warkot niemal całkowicie zagłuszył szcęk broni i stukot tarcz. Dotarli do walczących mniej więcej w połowie mostu. Czterech Zaprzysiężonych rozstawiło szeroko nogi, powstrzymując napierający na nich klin kańskiej piechoty. Tarcze tłukły o tarcze, włócznie i inna broń drzewcowa wyskakiwały naprzód. Piąta Zaprzysiężona stała krok za towarzyszami, obserwując i odpoczywając. Z całej piątki zwisały fragmenty rozbitych zbroi – wszyscy mieli poobtłukiwane hełmy, a ręce czarne od krzepnącej krwi. Stojąca z tyłu kobieta, niska i barczysta, zasalutowała przybyszom. Na jej skroni błyszczała otwarta rana, odcięty fragment skalpu zwisał bezwładnie. Pod stopami miała stertę skruszonych tarcz, połamanych mieczy, włóczni, lanc, strzał oraz fragmentów zbroi. Krew zabarwiła kamienną nawierzchnię na ciemny, karmazynowy kolor.

– Jakże się cieszę, panie! – zawołała kobieta, przekrzykując zgiełk.
– Ale nie posiliśmy o posiłki. – Zmarszczyła brwi, przyglądając się K'azzowi od stóp do głów. – Widzę, że wygnanie nie poszło ci na zdrowie. Zostaw to nam. Będziemy się bronić, dopóki nie padniemy!

– Zrobię to samo! Ja również się cieszę, że cię widzę, Chuda.

K'azz przygotował tarczę i unióś długi nóż. Poza nim nie miał żadnej broni. Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie, ty będziesz w odwodzie. – Skinęła głową do Kyle'a i kuzynów.
– Czy skądś was nie znam?

– To Skradacz, Weszka, Głusza i Kyle! – zawołał K'azz. – Poradzą sobie!

– Witajcie, bracia! – Wskazała Zaprzysiężonych rąbiących mieczami gęsty tłum napierających na nich żołnierzy, unoszących włócznie i oszczepy niczym las kołyszących się, próbujących uderzać w obrońców kijów. – To są Amatt, Cole, Czarny i Turgal.

Na moście mogło się zmieścić najwyżej ośmiu ustawionych obok siebie kańskich żołnierzy, choć przeciwnicy w tylnych szeregach byli

w stanie osiągnąć Gwardzistów włóczniami albo halabardami. Chuda uderzyła włócznią o tarczę i obrońcy cofnęli się o krok. Potem znowu rozstawili nogi i pochyłili się. Kańczycy ruszyli naprzód, ale powstrzymały ich szybkie, bezlitosne ciosy Zaprzysiężonych. Ranni i zabici utrudniali tylnym szeregom posuwanie się naprzód. Skradacz rzucił na most przyniesione przez siebie tarcze, zatrzymując sobie jedną, a potem podniósł włócznię. Bracia Zagubieni podążyli instynktownie za jego przykładem. Kyle zrobił to samo. Chuda spacerowała za plecami czterech obrońców, obserwując ich uważnie. Być może chciała się też upewnić, że K'azz nie zajmie niespodziewanie miejsca w szeregu. Puknęła Czarnego w tył uda, przywołując skinieniem Głuszę.

- Zmiana!

Czarny odwrócił się tak nagle, że Głusza dał się zaskoczyć. Wszedł jednak na jego miejsce, odtrącając wyciągnięte ku niebu włócznie.

Chuda przyglądała mu się z uwagą spod przymrużonych powiek.

Skradacz podszedł do Kyle'a i dotknął jego ramienia, wskazując miecz wiszący u pasa młodzieńca.

- Walcz tym.

Chłopak popatrzył na schowany w za dużej pochwie oręż, dar od Osserca. Nigdy jeszcze go nie wyciągał.

- Nie ma zasięgu! - odkrzyknął.

- Musi mieć jakieś zalety - stwierdził Skradacz.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

* * *

Chuda wymieniła kolejno wszystkich Zaprzysiężonych, aż wreszcie został tylko Cole, którego Kyle pamiętał z Kurzanu. Potem przyszła kolej na młodzieńca. K'azz się sprzeciwiał, ale najwyraźniej to Chuda dowodziła tym oddziałkiem i decyzja należała do niej. Pozostali Zaprzysiężeni, Czarny, Amatt i Turgal, dyszelili ciężko. Ich twarze błysz-

czyły. Wszyscy odnieśli straszliwe rany. Amatt kaszał krwią, a ze wszystkich szczelin żelaznego kirysu Czarnego sączył się czerwony płyn. Turgal miał wielką, prostokątną tarczę używaną przez malazańską ciężką piechotę. Przywiązał ją sobie do lewej ręki, złamanej i zmasakrowanej.

Kyle przytrzymał włócznię mocno pod pachą. Nagle poczuł straszliwe pragnienie, wiedział jednak, że lepiej nic nie pić, na wypadek gdyby został ranny w brzuch. Starał się nie myśleć o tym, co wydarzy się za chwilę. Chuda nie zwlekała, być może widząc jego narastający strach.

- Zmiana! - ryknęła.

Cole się cofnął, a młodzieniec wskoczył na jego miejsce. Jego włócznia niemal natychmiast ugrzęzła w gąszczu drzewc. Na trzymaną przez niego tarczę posypały się ciosy. Zachwiał się. Rękę i bark miał zupełnie odrętwiałe. Nie był w stanie unieść broni.

Na śmiech Zakapturzonego! Zaraz zginie. Nadzieją go na szpikulec jak dzika.

Ze wszystkich stron uderzały oszczepy. Chuda i pozostali cofnęli szereg, by mógł uwolnić włócznię. Odzyskał równowagę i pochylił się. Kątem oka widział, że bracia Zagubieni świetnie sobie radzą. Weszka i Głusza walczyli jak rozwścieczone, uśmiechnięte psy. Byli w swoim żywiole. Skradacz zachowywał całkowity spokój, nie cofając się ani o krok. Trzymali się. Kyle po raz kolejny zadał sobie pytanie: kim są ci ludzie, najwyraźniej dorównujący Zaprzysiężonym siłą, gwałtownością i wytrzymałością?

Jeśli zaś chodzi o niego... Kyle i stojący naprzeciwko niego kańscy żołnierze w tej samej chwili wyczuli, że to on jest słabym ogniwem łańcucha. Ciśnięty oszczep odbił się od hełmu, ogłuszając go na krótki moment. Po potężnym uderzeniu tarcza młodzieńca odskoczyła do tyłu, uderzając go w czoło. Oczy Kyle'a przesłoniły plamy bólu. Zamrugnął, próbując odzyskać jasność widzenia, i nie zauważył ciosu, który wytrącił mu włócznię z rąk. Dwaj Kańczycy stojący naprzeciwko niego

oraz żołnierze za nimi ruszyli naprzód z głośnym rykiem. Dłonie towarzyszy podtrzymały go od tyłu, oszczepy wysunęły się naprzód. Spanikowany Kyle wyszarpnął miecz, zrywając rzemienie utrzymujące w pochwie smukły, zakrzywiony oręż. Uniósł go, odbijając ciosy włócznie oraz halabard, i ze zdumieniem zauważył, że ciemnozłote ostrze przecina każde drzewce łatwo jak świecę.

Kańczycy cofnęli się trwożnie, szeroko otwierając widoczne pod brzegami hełmów oczy. Nagle zapadła cisza, maćona tylko trzaskiem spadającej na kamienie broni.

– Beru, błogosław nas wszystkich! – zawołała zdumiona Chuda.

Miecz Osserca! Czy to może być prawda?

Kyle ruszył naprzód, odzyskując równowagę. Skulił się za tarczą.

Teraz już jestem gotowy.

Weszka i Głusza wymienili okrutne, triumfalne uśmiechy.

* * *

Kyle został na miejscu, nawet gdy wszyscy pozostali się zmienili. Od chwili, gdy się okazało, że jego broń przecina tarcze i łamie miecze, nikt już nie próbował go atakować. Przerwa pozwoliła Zaprzysiężonym odzyskać siły, choć dla Czarnego i Amatta walka już się skończyła. Stracili tak wiele krwi, że nie mogli stać. Reszta zmieniała się często i ten system, stosowany bezlitośnie przez Chudą, pozwolił im się utrzymać.

K'azz utrzymywał łączność z Blask za pośrednictwem Braciszków. Dzięki temu dowiedział się, że Oprawca opuścił pole bitwy wraz z ocalałymi lojalnymi wobec niego Zaprzysiężonymi, porzucając regularnych żołnierzy Gwardii. Blask i większość pozostałych przy życiu Gwardzistów ustanowili redutę. Zapewniała, że zawarła zawieszenie broni z imperialnymi wojskami. Tak czy inaczej, Wickanie, którzy rozbili oddział Oprawcy, otoczyli ją. Później K'azz oznajmił im, że Blask w każdej chwili oczekuje rozpoczęcia formalnych negocjacji i muszą

powstrzymać Kańczyków, by umożliwić jej uzyskanie korzystnych warunków. K'azz się zgodził.

* * *

Chwilę po wiadomości od Blask kańscy jeźdźcy przedarli się do połowy długości mostu. Posuwali się przez tłum żołnierzy jak statki przez wzburzone morze, rozganiając ludzi kopniakami i uderzeniami szpicruty. Jadący na przodzie mężczyzna wyryczał głośny rozkaz i piechociarze odsunęli się, opuszczając włócznie.

- Kto tu dowodzi?! - zawołał Kańczyk.

- Ja! - odpowiedziała Chuda, występując naprzód. Uniosła odcięty skalp i położyła go na miejsce.

Mężczyzna zdjął hełm. Miał śniadą cerę i krótko przyszyryżone włosy oraz brodę. Pokłonił się tak elegancko, jak tylko mógł to zrobić, siedząc na koniu.

- Komendant Pirim 'J Shall do usług. - Wskazał jeźdźca za sobą. - A to jest śledczy Durmis.

Spowity w długą szatę mężczyzna pokłonił się znacznie mniej zgrabnie. Pełne bólu spojrzenie kierował daleko za ich plecy, na urwiska na północnym brzegu.

- Gratulujemy wam heroicznej obrony, Gwardziści, choć kosztowała nas bardzo wiele. Przynosimy wam jednak wieści. Czy przypadkiem utrzymujecie kontakt z waszymi głównymi siłami na północy?

Chuda obejrzała się niepewnie.

- Utrzymujemy - przyznała.

- W takim razie śledczy Durmis bardzo chciałby się dowiedzieć...

- Co wyczuwają? - przerwał mu drugi mężczyzna.

- Wyczuwają?

- Tak, do licha! Zapytaj ich poprzez waszych Braciszków.

Chuda znowu spojrzała za siebie, marszcząc okrwawione czoło. K'azz skinął głową.

- Chwileczkę - odpowiedziała.

- Wyczuwają zaburzenia w grotach - potwierdził K'azz, prostując się.

- Są coraz silniejsze - dodał śledczy. - Coś przebija się przez groty, jakby waliła się wieża. Zmierza prosto na nas!

Komendant machnął lekceważąco ręką.

- Niewykłuczone, że to przesada... zadaniem śledczego jest wykrywanie przypadków nieodpowiedzialnego nadużycia mocy przez ludzi zwanych przez was talentami, przypadków, które mogłyby stanowić zagrożenie dla naszej konfederacji. Swoją drogą, to główny powód, dla którego nie uciekliśmy się do tego rodzaju ekstremalnych środków, by usunąć was z drogi. W ten sposób narazilibyśmy się na odwet potężnej kadry Zaprzysiężonych magów, nieprawdaż? - Uśmiechnął się. - Tak czy inaczej, bardziej entuzjastycznym funkcjonariuszom urzędu zdarzało się niekiedy...

Śledczy Durmis ścisnął wierzchowca kolanami, trącając konia komendanta.

- To jest realne - wychrypiał.

- Tak jak to poprzednie ostrzeżenie? Przed nadchodzącą taumatyczną ingerencją? Skończyło się na przybyciu grupy jeźdźców.

- Nikt nie mógł odgadnąć, kto się zjawi! To mogli być sojusznicy Gwardii! Zresztą ci jeźdźcy wygrali bitwę dla cesarzowej.

- Dla nas, na tym moście, to raczej nie ma większego znaczenia!

Chuda odchrząknęła.

- Panowie! Czy nadal prowadzimy negocjacje?

Komendant Pirim ponownie skierował uwagę na nich. Poprawił długi kremowy żupan i przesunął trzymany pod pachą hełm.

- Śledczy Durmis domagał się, byśmy wymienili z wami informacje. Doszedłem do wniosku, że trzeba dopełnić formalności. Skończy-

liśmy.

Pokłonił się.

Chuda odwzajemniła ukłon, nadal przyciskając dłoń do głowy.

Komendant spróbował zawrócić wierzchowca, ale z narastającym gniewem i wściekłością na twarzy przekonał się, że to niemożliwe. Uderzał gwałtownie szpicrutą tłoczących się za nim ludzi.

– Z drogi, do cholery! Z drogi!

Chuda uniosła brwi, spoglądając na Kyle'a i resztę stojących w szeregu ludzi. Weszka zakrzyknął drwiąco. Durmis nie ruszył się jednak z miejsca. Okłapł na koniu, składając ręce przed sobą.

– Już tu jest – oznajmił głosem przepojonym poczuciem porażki.

Kyle zaryzykował szybkie spojrzenie za siebie. Na nocnym niebie nad urwiskami coś nagle zawirowało. Gwiazdy się zamazały. Pojawiła się różowo-pomarańczowa luna, wyciągająca się we wstęgi i przypominające kręgi korony, które poszerzały się, blaknąc stopniowo.

– Co to jest? – wydyszał młodzieniec.

Rozbłysło światło, przypominające ogromny, daleki pożar. Nagle zgasło. Po chwili dobiegł ich głuchy łoskot gromu. Chuda spojrzała na K'azza.

– Coś spadło na pole bitwy – oznajmił książę. – Przemknęło przez oddziały na zachodnim skrzydle, zostawiając za sobą ślad zniszczenia.

Komendant Pirim uniósł brwi w niemal komicznym geście zdziwienia. Kańczyk zerknął na Chudą.

– Sugeruję zawarcie tymczasowego rozejmu.

Kobieta pokiwała głową, krzywiąc się z bólu.

– Zgoda.

* * *

Nad Ho i towarzyszącymi mu zbiegłymi magami nie wisiała już groźba pochłonięcia przez morze. Yath wzmocnił kontrolę nad oddzielnymi

nićmi rytuału tworzonymi przez poszczególnych uczestników i mógł zadbać o ochronę statku. Z obu burt otoczył ich kokon mocy. Za jego pulsującymi, wielobarwnymi ścianami nie było już widać morza. Wydawało się, że *Beznadzieja* płynie w pustce.

Devaleth westchnęła z ulgą i usiadła obok Ho z głuchym łoskotem. Rozmasowała dłonie. Po jej popielatej twarzy spływały strużki potu. Deski kadłuba skrzypiały niepokojąco. Maszty drżały. Zorza mocy unosząca się nad statkiem ucięła ich wierzchołki. Pokład zadrżał pod nimi. Kobieta i Ho wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał cicho Frykas Palczaka.

- W Serc - wyszeptał mag.

Wszyscy podskoczyli, słysząc krzyk. Jeden z uczestniczących w rytuale magów zerwał się na nogi. Wskazał Yatha, bełkocząc coś niezrozumiałego. Dwaj Zaprzysiężeni, Tępy i Trzcina, podeszli do mężczyzny, by go uspokoić. Wyrwał się z ich uścisku i złapał za głowę, nie przestając wyc z przerażenia. Zaprzysiężeni próbowali go poskrocić, ale, o dziwo, chudzielec zdołał ich odepchnąć. Przeorał twarz paznokciami, jakby chciał ją rozerwać na strzępy. Potem podszedł dwoma długimi krokami do burty i wyskoczył za nią. Jego krzyk umilkł, gdy mężczyzna minął barierę.

- Otataralowy obłąd - odezwała się Devaleth, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

- Być może... - odparła Su.

Jej czarne, otoczone zmarszczkami oczy zmieniły się w wąskie szparki. Ho spojrział na nią, chcąc po raz kolejny warknąć, by przestała się zgrywać, ale powstrzymał się, widząc, że czarownica wpatruje się w Yatha. Kapłan z Siedmiu Miast odwzajemnił ze spokojem jej spojrzenie.

- Zidentyfikowałam źródło zaburzeń - oznajmiła Su, nie spuszczając wzroku z Yatha.

- Tak? - zapytał Ho.

- To uogólniona infekcja, która dotknęła nas wszystkich w większym lub mniejszym stopniu, ale koncentruje się głównie w dwóch nosicielach...

Siedzący dotąd ze skrzyżowanymi nogami kapłan z Siedmiu Miast wyprostował się powoli, unosząc przed sobą laskę. Rozciągnął usta w szerokim, głodnym uśmiechu.

- Tak? - powtórzył poirytowany Ho. - Kto?

- Dwoma głównymi ogniskami są nasz przyjaciel z Siedmiu Miast i... - wskazała głową w bok - ...on.

Stojący na rufie Blues uniósł brwi. Wskazał siebie.

- Co? Ja?

- Och tak...

Yath wycelował laskę w Trzcinę. Zaprzysiężony spojrzał niepewnie na Bluesa. Z laski wytrysnęła struga blasku tego samego koloru co otaczająca ich bariera. Trzcina wrzasnęła, wijąc się z bólu. Magiczny ogień pochłonął go na ich oczach, pozostawiając tylko poczerniałego, dymiącego trupa.

- ...a my popełniliśmy straszliwy błąd - dokończyła pośpiesznie Su.

- Niech go Królowa porwie!

Blues rzucił się do ataku z niewiarygodną dla Ho prędkością. Pokonał połowę drogi, nim Yath zdołał skierować nań laskę. Trysnął różowo-fioletowy ogień. Blues osłonił się swą grota i energia odbiła się od niej, rozpryskując się jak woda. Potem rozpostarła się w wachlarz, tworząc dzielącą ich od siebie barierę. Która zaraz pękła.

Wszyscy nagle stracili grunt pod nogami. Ho objął Su i Devaleth, przyciągnął je do siebie i złapał za uchwyty. Ludzie sypali się z pokładu na wszystkie strony, choć nikt ze związanych rytuałem magów nie ruszył się z miejsca. Yath padł na pokład i próbował się podnieść. Zaprzysiężony zwany Tęym był już blisko niego. Chwycił za linę i posuwał się wzdłuż niej w stronę maga z Siedmiu Miast.

- Wyrównajcie statek! - zawołał Ho.

- Już się robi! - odkrzyknął Palczak.

Tępy dotarł tymczasem do maga z Siedmiu Miast i wyciągnął rękę. Nagle pojawił się Sessin. Wyskoczył zza pleców Yatha i złapał Zaprzyśiężonego. Obaj mężczyźni szarpali się ze sobą gwałtownie, tylko zaciśnięta na linie ręka Tępego łączyła ich ze statkiem. Nie przestawali się mocować, aż wreszcie Gwardzista zwolnił uścisk i obaj ulecieli w pustkę. Pokład uniósł się, wybijając oddech z płuc Ho.

Moc Yatha uderzyła po raz kolejny, zaskakując Bluesa. Strumień gorejącej energii przeniknął jednak przez niego bez szkody. Obaj przeciwnicy wyprostowali się ze zdumieniem na twarzach. Blues popatrzył na siebie, nic nie rozumiejąc.

- Załatw go! - zawołał stojący u steru Frykas.

Blues skoczył do ataku. Yath stał pośród związanych rytuałem magów. Wszyscy byli nieruchomi jak posągi. Zamachnął się laską i w poprzek pokładu wyrosła migotliwa fala mocy. Blues, Frykas i Sept uderzyli w nią, ale ich ciosy odbiły się bezskutecznie. Mag z Siedmiu Miast śmiał się ukryty bezpiecznie za barierą.

Palczak leżał na plecach obok Ho, wykrzywiając twarz.

- Nie dam rady ciągnąć tego długo - wychrypiał, odślaniając zaciśnięte zęby.

- Zabierzcie nas stąd! - ryknął Ho.

- Dokąd? - warknęła Devaleth.

- Wszystko jedno!

- Chcecie opuścić to miejsce?! - zawołał Yath. Jego głos brzmiało słabo, z trudem przebijał się przez roziskrzoną barierę mocy. - Zabiorę was stąd, choć nie sądzę, by to się wam spodobało, przyjaciele!

Znowu się roześmiał i skinął ręką. Otaczający ich przestwór stał się mniej przejrzysty, pociemniały, nabrał szarzielonego odcienia, jakby zapadł niesamowity zmierzch. Statek spłynął łagodnie na jakieś pod-

łoże, przechylając się nieco. Palczak odetchnął z ulgą i rozluźnił mięśnie rąk. Wszystkie dźwięki zagłuszył potężny łoskot, przypominający huk wodospadu. Nozdrza Ho zaatakował smród prowadzący do mdłości.

Frykas wzdrygnął się, wyciągając rękę przed siebie.

– Co to jest, w imię Kaptura?

Ho wstał. Spływali w dół na strumieniu jakiegoś płynu. Przypominał mu lawę, ale krzepnącą, pełną pasm żółtych jak ropa i barwy niezdrowej zieleni. Tańczyły w nim jakieś sylwetki, co chwila rozpuszczające się i formujące na nowo. Wzywały ich gestami, tylko po to, by zaraz z powrotem obrócić się w substancję, z której powstały.

– To granica Chaosu – stwierdził.

– Tak! – zawołał Yath. – Najechaliście na mój kraj, szerząc śmierć i zniszczenie! Teraz ja przyniosę wam w zamian smak chaosu! – Rozpostarł ręce. – Ta kłątwa spadła na moją ojczyznę... teraz wasza kolej! Sprowadzę na wasz kontynent taką zarazę, że już nigdy się nie podnieście!

Odwrócił się plecami i uniósł nad głowę trzymaną w obu rękach laskę.

Otwiera kolejny portal. Tym razem prosto na Quon.

Ho spojrzał na wickańską czarownicę.

– Co możemy zrobić?

– Nic. Brakuje nam mocy. On kontroluje dwudziestu magów. My mamy tylko garstkę.

– Nic? Nic!

Zerknęła nań z ukosa, rozciągając usta w drwiącym uśmiešku.

– Cóż mogę ci poradzić, Ho? Czyż nie jesteś ekspertem w tej sprawie? Czyż sam nie chodziłeś po tych brzegach?

Niech ją szlag! Skąd o tym wie?

– Proszę bardzo. Blues, Palczak, Devaleth! Przyłączcie się do nas! – zawołał.

* * *

To nie był rytuał. Ho nie mógłby zmuszać ich do takiego wysiłku po tym, przez co niedawno przeszli. Można to było nazwać równoległym skupieniem. Wszyscy przygotowali się do wspólnej próby uniemożliwienia budowy trwałego mostu między tym miejscem a punktem, do którego chciał ich zabrać Yath.

Tymczasem dziób statku przechylił się jeszcze bardziej, tak mocno, że musieli się trzymać pokładu. Frykas i Sept przywiązali ich linami do burt, steru oraz nadburcia. *Beznadzieja* przyśpieszała z każdą chwilą, mknąc z głośnym skrzypieniem po strumieniu bezkształtnej, chaotycznej materii. Ho zastanawiał się, czy widziane przez nich postaci są jej mieszkańcami, czy więźniami. Być może byli to magowie schwytani podczas prób wykorzystania potencjału nieukształtowanej materii. Sam dawno temu ośmielił się zrobić coś takiego.

Strumień przecięła prowadząca w ciemność szczelina. Ho zauważył gwiazdy – nocne niebo? Statek przechylił się jeszcze bardziej, niemal do pionu, i zniknął w otworze. Mag odnosił przez chwilę wrażenie, że spadają w pustkę. Potem sięgnął po to, co mu ofiarowali Su, Blues i Devaleth, i omal się nie wzdrygnął. Cóż za moc! Prawie dorównywała jego własnej. Beru, nie pozwól, by go uwiodła! Nic dziwnego, że żadne z nich nie chciało się ofiarować Yathowi!

– Trzymajcie się!

Uniósł ich świszczący przeraźliwie wicher. Nagle rozległ się trzask pękających desek. Ho uderzył w coś mocno i poczuł, że spada. Potem ogarnęła go pustka.

* * *

Nait siedział obok Urfy i Miski oraz kilku innych sierżantów sabotażyстів. Przyglądali się, jak ich chłopaki i dziewczyny próbują rozpalić

ognisko, by ugotować ciepły posiłek. Przywołana przez Heuka ciemność nadal krążyła nad ich pozycją, ale powoli się rozpraszała. Zgodnie z oceną Naita do świtu powinna zniknąć. Heuk ciągle spał zwinęty nieopodal. Na jego twarzy utrzymywał się głupkowaty, zaśliniony uśmiezek. Ścisnął dzbanek silniej niż słono opłaconą dziewczynę albo chłopca. Nait był już gotowy zasnąć, gdy Urfa nagle wybałuszyła zezowate oczy i wskazała ręką w bok.

Zbliżał się Miecz Imperium, zabandażowany i zbrukany krwią. Jego poobtłukiwana zbroja głośno grzechotała. Podeszedł do oficerskiego ogniska w towarzystwie straży złożonej z kapitanów i poruczników. Nait zwiesił głowę.

Bogowie, nie! Nie pozwólcie, żeby nas wyruchał!

– Dlaczego się nie ruszamy?! – zapytał Miecz tak głośno, że słyszeli go wszyscy na stoku. – Wydałem rozkaz wymaszerowania! Gwardia nadal pozostaje na polu. Musimy atakować!

Sabotażyści kłócący się o to, jak najlepiej rozpalic ogień, zwrócili ku niemu twarze. Byli zajęci porównywaniem zalet hubek i krzemieni, palących się powolnym płomieniem węglowych pałeczek owiniętych w skórę, oraz gęsiego puchu zmieszanego z szarpkami, a ogniska wciąż były niezapalone. Nait wstał i skinął na Urfę i Miskę, każąc im podążyć za sobą. Wszyscy troje podeszli w miejsce, gdzie kapitanowie Blacharz, Kepp i Kwiat podnosili się z wysiłkiem. Kepp i Kwiat pomogli Blacharzowi, wręczając mu kij służący za kulę.

– Słucham, Mieczu – odezwał się Blacharz.

– Dlaczego nie wykonano rozkazów przesunięcia oddziałów? – zapytał Korbolo, wymawiając każde słowo bardzo dokładnie.

– Przesunięcia dokąd, Mieczu? – zapytał kapitan.

Napańczyk wyciągnął rękę.

– Tam! Na zachodzie broni się jeszcze reduta Gwardzistów! W każdej chwili mogą nas zaatakować! Trzeba ich zniszczyć! Wybić do nogi!

Blacharz pogładził z namysłem srebrne wąsy kciukiem i palcem wskazującym.

– Docierają do nas wieści, że Gwardziści się wycofali – stwierdził.

Korbolo podszedł do niego, wykrzywiając usta w przesadnym grymasie rozczarowania.

– Chyba nie odmawiasz wykonania wyraźnego rozkazu, kapitanie? – zapytał bardzo cicho. – Jeśli to zrobisz, każę cię aresztować. Jutro, gdy już zabijemy wszystkich, mnie, Korbolo Doma, Miecza Imperium, ogłosi się zwycięzcą nad Karmazynową Gwardią, pogromcą Oprawcy. A wtedy każę ukrzyżować ciebie i cały twój oddział. Uwierz mi, robiłem to już przedtem. A teraz... ruszać się.

Blacharz zasalutował.

– Chwała Mieczowi.

Korbolo odwzajemnił salut.

– Znakomicie, kapitanie. Bierzcie się do roboty.

Odmaszerował ze swoim oddziałem. Blacharz podskakiwał w miejscu, przyglądając się swej kuli. Nait, Urfa i Miska podbiegli do niego, razem z innymi sierżantami. Wszyscy mówili jednocześnie: skarżyli się, grozili, zapewniali, że nigdzie się nie ruszą. Wielu wskazywało śpiącego Heuka. Blacharz, Kepp i Kwiat unieśli ręce, by ich uspokoić.

– Nie mamy wyboru – oznajmił krótko ten pierwszy. – Zróbcie nosze dla maga. Weźmiemy go ze sobą. Chcę mieć kolumnę piechoty otoczoną harcownikami. Na pierwszą oznakę kłopotów zmiatamy z powrotem tutaj. Dobra?

Nait mógł tylko potrząsnąć głową na myśl o tak niewiarygodnej, monsturalnej głupocie.

A więc jednak dał radę nas wyruchać.

* * *

Nait postanowił towarzyszyć harcownikom, Heuka zaś nieśli regularni żołnierze. Drużyna nie tyle maszerowała, ile się skradała. Rozpostarli się w wachlarz i zgarbili, trzymając w rękach gotowe do strzału kusze. Wschodni horyzont jaśniał już nieco, gwiazdy świeciły tam sła-

biej. Omiótł spojrzeniem swoich ludzi. Mieli szczęście, stracili tylko dwóch: Kala i młodego Kupcia. Śmierć chłopaka zabolala Naita najbardziej. Nie z powodu młodego wieku, tylko dlatego, że zginął od własnego ostrzału. W całym tym zamieszaniu, towarzyszącym wchodzeniu do okopu i wychodzeniu z niego, czyjaś kusza wystrzeliła nagle tuż obok jego głowy. Bez najmniejszego ostrzeżenia. Wszyscy byli wstrząśnięci.

Na szczęście ta część pola bitwy była stosunkowo pusta. Najgorzej było na południe od nich, gdzie nadal paliły się ognie i krążyły kanie oraz inni śmiali nocni padlinożercy. Pokonali już większą część drogi, gdy z ciemności wyłonił się nagle oddział konnicy.

- Nie strzelać! Nie strzelać! - rycieli towarzyszący harcownikom sierżanci. To był szwadron wickańskich lansjerów. Jeźdźcy się zatrzymali.

- Kto tu dowodzi?! - zawołał jeden z nich, wiekowy weteran. W gruncie rzeczy wszyscy Wickanie wyglądali na weteranów.

- Miecz Imperium! - odkrzyknął ktoś. - Korbolo Dom!

Jeźdźcy zamarli, wytrzeszczając oczy. Potem ich dłonie powędrowały do ukrytych w pochwach długich noży i innej broni. Rozległy się przekleństwa po wickańsku.

- Czyje imię wymieniłeś? - zapytał weteran, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Moje! - Korbolo wystąpił z szeregu. - Jakie wieści przynosisz?

Siwowłosa weteran wsparł ręce na łęku wysokiego siodła, przyglądając się Napańczykowi z wyrazem twarzy bliskim zdumienia. Po pewnym czasie potrząsnął głową i splunął na bok, jakby chciał uwolnić usta od gorzkiego smaku.

- Muszę przyznać, że nie brak ci odwagi. Jak się czujesz jako nasz dłużnik, morderco?

Korbolo nie przejął się tymi słowami nawet w najmniejszym stopniu.

– Nie jestem niczym dłużnikiem. Jako Miecz Imperium dowodzę wszystkimi imperialnymi wojskami.

– W takim razie szczęśliwie się dla nas składa, że według waszej cesarzowej nie jesteście imperialnym wojskiem. Mimo to zawdzięczacie nam zwycięstwo. Zastanawiam się, na jaką wdzięczność możemy liczyć.

Miecz uśmiechnął się pyszałkowato.

– Decyzja w tej sprawie należy do cesarzowej.

– Zaiste. A ona i cała jej armia są świadkami tego, co się dziś wydarzyło.

Wickanin szarpnął wodze, zawracając wierzchowca. Szwadron popędził za nim.

Nait odprowadzał ich spojrzeniem. Kurde, za tym kryła się jakaś historia. Oficjalna wersja brzmiała tak, że Wickanie w Siedmiu Miastach zdradzili imperium i Korbolo tylko z najwyższym trudem zdołał uratować sytuację. Nait nie wierzył w ani jedno słowo owej wersji i ta konfrontacja potwierdzała jego opinię. Wickanie najwyraźniej uważali Korbola za zdrajcę. Odwrócił się. Jego ludzie nadal gapili się na niknących w oddali jeźdźców.

– Ruszać się! Szybko. Czeka nas jeszcze kawał drogi!

Równina przed nimi unosiła się łagodnie, przechodząc w niewysokie wzgórze. Na jednym z nich znajdowała się reduta ocalałych Gwardzistów. Słyszał, że jest ich około trzech tysięcy, wśród nich nie wiadomo ilu Zaprzysiężonych. Wzgórze otoczył oddział pięści D'Ebbina oraz wszystkie taliańskie, falarskie oraz inne jednostki, które dołączyły do niego w nocy. Czekala tam również wickańska konnica, sprawiająca wrażenie gotowej do szarży na własną rękę. Nie wystrzelono jednak jeszcze żadnej strzały ani bełtu. Gwardziści skryli się za ścianą tarcz, a żołnierze imperium czekali cierpliwie.

Podkraść się do niego Kubło. Chłopak sapał głośno, nieprzyzwyczajony do ciężaru zbroi. Dźwigał też kuszę, tarczę, torbę z pociskami Moranthów oraz cholernie wielki grisański miecz bastardowy, skryty

w pochwie. Jej wykonana z brązu końcówka drapała ziemię za młodzieńcem.

- I co teraz zrobimy? - zapytał.

- Dźwigasz za dużo ekwipunku, żołnierzu.

- Nie planowałem żadnego marszu. Chyba ich nie zaatakujemy, co? No wiesz, raz nam się pofarciło, ale lepiej tego nie nadużywać.

Nait parsknął śmiechem.

- Tylko posłuchaj, co mówisz. Byłeś gotowy naszczać każdemu w oczy, a teraz chcesz tylko trzymać głowę nisko. Dorosłeś.

- Mogę naszczać na ciebie! - obruszył się chłopak.

Nait nie przestawał się śmiać. To było zabawne, gdy się tak nabzdyczali. Chichot zamarł jednak powoli w jego gardle, gdy sierżant spojrział przed siebie. Niebo na zachodzie wyglądało dziwnie. Rozbłyśły na nim zielone, żółte i różowe światła. Przypominały te, jakie czasami widuje się zimą, ale były mniejsze, nie tak rozległe. Twarz muskał mu wietrzyk, poruszający również zdeptaną trawą. Nait uniósł pięść, nakazując ludziom się zatrzymać, a potem ukląkł. Co to było? Jakiś kontratak Zaprzysiężonych magów?

Kolumna przystanęła. Ludzie zdejmowali tarcze. Nait zauważył oddział Urfy i przywołał ją skinieniem.

- Co to jest? - zapytała kobieta, kucając obok niego.

- Kłopoty od samych Oponn.

- Nie gadaj. Co mamy zrobić?

Nait rozejrzał się po nagim stoku. Nawet wychudzony szczur nie znalazłby tu kryjówek.

- Nie mam pojęcia.

- A co z tym waszym staruszką, cudownym magiem?

- Odsypia to. Nawet Kaptur by go nie obudził.

- Hmm... - Wyciągnęła rękę na zachód. - Chyba właśnie nadchodzi.

Zorza stawała się coraz jaśniejsza i bardziej intensywna. Z zachodu dął nasilający się wiatr. Zbliżało się coś potężnego. Wtem Naita oślepił blask, potężny jak rozświetlająca niebo błyskawica. Odwrócił głowę i skrzywił się, podobnie jak wszyscy. Nagły wstrząs obalił go na ziemię. W oddali w ziemię uderzył jakiś potężny obiekt, który rozpadł się na fragmenty w kakofonii trzasków i drgań. Grunt zatrzęsł się pod Naitem. Drgania nie chciały ustać, zbliżając się ku nim jak nadchodząca burza. Sunął ku nim jakiś kształt, otoczony masą wzbitej w górę ziemi, pośród której migotały jakieś jasne przedmioty. Po chwili zwolnił i przewrócił się na bok. Pył okrył go gęstą chmurą, przesłaniając widoczność.

Zapadła niesamowita cisza, maćona jedynie stukotem kamieni i szmerem wywołanym przez osypującą się ziemię. Nait osłonił oczy, usuwając mruganiem łzy.

Gdy spowijająca wszystkich chmura pyłu i ziemi rozproszyła się powoli, sabotażysta zobaczył, że ze zbocza wzgórze bronionego przez Gwardię wyrwano spory fragment. Ślad ciągnął się dalej, przez szeregi wojsk pięści D'Ebbina. Stawał się coraz płytszy, wypełniały go drewniane fragmenty, aż wreszcie kończył się czymś, co wyglądało jak wrak żaglowca. Tutaj, w samym centrum kontynentu.

Wstał i wlepił spojrzenie w szczątki. Jego ludzie zrobili to samo, podobnie jak pobliscy harcownicy.

– I co robimy? – zapytała Urfa ze zdumieniem w głosie.

Zezowate oczy niemal wyłaziły mu z czaszki.

– Skąd mam wiedzieć?

Coś nagle się poruszyło. Ktoś wygramolił się z roztrzaskanych szczątków. Nait i Urfa wymienili pełne bojaźni spojrzenia. Kto to mógł być? Postać wróciła do wraku i po chwili pojawiła się znowu, wlokąc następną. To wyrwało Naita z transu.

– Chodźmy im pomóc! – zawołał.

Regularni żołnierze oraz harcownicy potruchtali za nim ku szczątkom.

Postać okazała się masywną, szeroką w barach kobietą. Nieznajoma chciała wrócić do wraku, ale nie była w stanie chodzić prosto. Nie ulegało wątpliwości, że jest w szoku. Jej twarz pokrywały siniaki i zadrapania. Była niemal naga, najdziwniej jednak wyglądała jej nierówno ogolona głowa. Nait złapał ją za ramię.

- Jak się nazywasz? Co się stało?

Zamrugnęła, poruszyła ustami i wymamrotała coś. Po jej brodzie ściekała krwawa ślina.

- Powstrzymajcie... - zdołała wykrztusić.

- Co? Kogo mamy powstrzymać? Nie rozumiem.

- Powstrzymajcie... go.

Usiadła ciężko. Jej kończynami targały drgawki. Pojawili się kolejni ocaleni. Wszyscy byli ubrani w łachmany, a włosy mieli krótko ostrzyżone albo zgolone.

Są w zbyt dobrym stanie. Powinni się rozlecieć na kawałki jak statek. Na pewno chroniła ich magia.

Z wraku wybiegli dwaj mężczyźni, ubrani tak samo jak reszta załogi. Ręka jednego z nich zamieniła się w zwisającą bezwładnie krwawą masę, w której prześwitywały kremowe kości i ścięgna, on jednak ignorował obrażenia, które dla zwykłego człowieka z pewnością okazałyby się śmiertelne. Drugi przyciskał dłoń do boku w miejscu, gdzie sterczał kawał drewna przeszywający na wylot jego tułów. Krew spływała mu po torsie i jednej nodze.

To Zaprzysiężony! Z całą pewnością!

- Znajdźcie go! - ryknął mężczyzna, niemal płacząc z bólu. - Starca z Siedmiu Miast! Znajdźcie go!

- Usiądź! - zawołał Nait, podbiegając do niego. Zbliżał się szwadron Wickan.

- Znajdźcie go! Zabijcie!

Nieznajomy zalał się łzami, wykrzywiając twarz. Jego towarzyszy błysnęły nagle białkami oczu i osunął się na kolana, a potem na bok.

Nait wyciągnął rękę do nadzianego na szpikulec mężczyzny, powstrzymał się jednak. Nie miał pojęcia, co robić.

– Uzdrowiciela! – zawołał.

Pisnął, gdy nieznajomy zdołał jakimś cudem wyrwać mu krótki miecz z pochwy. Uzbroiwszy się, pokuśtykał z powrotem do wraku.

– Zaczekaj! Kogo mamy zabić? Dlaczego?

Zza wraku wytrysnął fiołkowy ogień, siejąc śmierć i zniszczenie wśród zbliżających się Wickan. Konie i ludzie padali. Ziemia zatrzęsała się nagle. Nait się zachwiał.

– Jego – warknął mężczyzna. Zaklął, zatrzymał się, złapał obiema rękami za długi jak miecz kawał drewna i wyciągnął go z krzykiem z ciała.

– Kim jesteś? – wydyszał sierżant.

– Nazywam się Ho. Zwołaj swoich ludzi. Zabijcie go, szybko!

Nait skinął na harcowników, rozkazując im strzelać. Ruszyli naprzód, pochylając się nisko. Fiołkowy płomień przeciął nocne niebo szerokim łukiem. Wszyscy gapili się na to ze zdumieniem. Potem opadł na kolumnę żołnierzy. Gorejąca energia pozostawiła w niej ślad szeroki na pięciu ludzi. Szyk rozpadł się jak stłuczony kubek. Ludzie uciekali we wszystkie strony, w większości na wschód.

Zwiewajcie. Szukajcie schronienia. Przybyło najgorsze.

Ho wyciągnął rękę.

– Zaprowadź mnie do towarzyszy.

Nait ujął go za prawe przedramię, pomagając mu iść. Maja podbiegła do niego, pochylając się nisko. Ręce miała zakrwawione od opatrywania ran.

– Okopujcie się! – zawołał Nait, przekrzykując ryk mocy.

Zasalutowała i odbiegła.

Sierżant zaprowadził rannego w miejsce, gdzie zebrali się ocaleni ze statku. Leżała tam gruba nieznajoma, druga kobieta – stara Wickanka – mężczyzna ze zmiążdżoną ręką, młodzieniec, który ucierpiał

jeszcze bardziej, oraz dwóch innych, krwawiących, pogrążonych w szoku ludzi. Pomagali im uzdrowiciele z untańskiej milicji, a także kilku z regularnych oddziałów. Powstrzymywali krwawienie, przyciskając ręce do ran.

- Czy to wszyscy?

- Tak - potwierdził Ho pełnym bólu głosem. - Większość z nich to Gwardziści.

- Tak się składa, że właśnie z nimi walczyliśmy - zauważył Nait neutralnym tonem.

- Będą nam potrzebni.

Sierżant nie pytał po co.

- A co z tobą? Też potrzebujesz uzdrowiciela.

- Nie... czuję się już lepiej.

Nait podszedł bliżej i przyjrzał się nagiemu bokowi mężczyzny. Pod krzepnącą krwią i płynami ustrojowymi ranę gorszą niż ta zadana mieczem zamknęła już różowa blizna.

Kim... czym... był ten człowiek?

Sabotażysta pomógł mu usiąść na trawie, a potem zwrócił się w stronę harcowników. Kryli się w trawie w pobliżu wraku, strzelając do czegoś, co znajdowało się na wschodzie. Wskakiwali z ukrycia, strzelali i chowali się znowu.

Jak cholerne pieski preriowe. Tak jest! Pieski preriowe.

Chciał już pogratulować sobie tego porównania, gdy nagle ziemia pod nim się zatrzęsła. Zachwiał się. Ku wrakowi pomknęła łukowata ściana ciemnoniebieskiego ognia. Harcownicy rozpierzchli się, trawy stanęły w płomieniach. Sierżant padł na ziemię. Wszystko pokrył niesamowity cień. Nait uniósł wzrok, spoglądając na plamę, która pojawiła się nagle na nocnym niebie. Z każdą chwilą ciemniała, skupiała się, wyglądała, jakby sphywała do wnętrza.

- Okopywać się! - wrzasnął sierżant do gapiących się ludzi.

Kyle i bracia Zagubieni nie schodzili z posterunku. Stali w gotowości, unosząc broń. Kańczycy również nie opuszczali włóczni ani halabard. Oba oddziały przyglądały się sobie nawzajem. Siedzący na koniach oficerowie patrzyli na północne niebo, śledczy był pełen skupienia, komendant zaś wzdychał wyraźnie znudzony, nieustannie poprawiając opończę. Kyle również zerkał tam od czasu do czasu, ale nie widział niczego poza jasnymi światłami na niebie. Po dłuższej chwili śledczy Durmis wessał głośno powietrze przez zęby, wykrzywiając twarz w grymasie zaniepokojenia. Kyle zaryzykował spojrzenie za siebie. Na jaśniejącym niebie pojawiła się mroczna zasłona. Nie było za nią widać gwiazd. Znowu huknął grom. Most zadrżał leciutko.

– Zostańcie tu, jeśli chcecie! – zawołał śledczy. – My nie poprowadzimy swych żołnierzy przeciwko temu. – Spojrzał na komendanta. – Każ ludziom się wycofać. Niech zorganizują linię obrony na południowym brzegu.

Dowódca postukał pancerną rękawicą w udo, marszcząc brwi.

– Na twoją odpowiedzialność?

– Tak, na moją odpowiedzialność!

– Proszę bardzo, jeśli nalegasz – zgodził się, wzruszając niefrasobliwie ramionami.

Dał znak uniesioną ręką. Z tyłu zabrzmiały rogi. Wśród tłoczących się na brzegu żołnierzy wzniosły się flagi sygnałowe. Komendant zsalutował Chudej, pochylając głowę w wyrazie uznania. Kobieta skinęła głową, z bólem na twarzy.

Po długich przepychankach komendant, śledczy i ich strażnicy zdołali zawrócić wierzchowce. Potem przepchnęli się przez tłum, zmierzając ku brzegowi.

– Wycofujemy się stąd? – zapytała Chuda.

– Zaczekajmy – odparł K'azz.

Weszka i Głusza usiedli, wyjęli osełki i zajęli się ostrzeniem broni. Weszka nawet gwizdał jakąś melodię. Kyle przyjrzał się swojemu mieczowi. Na lekko zakrzywionej klindze nie było najmniejszej skazy. Wykonano ją z jakiegoś ciemnożółtego, przy brzegu niemal półprzezroczystego materiału, który nie był metalem. Schował broń do pochwy, oplatając sznurkiem długą rękojeść. Musi szybko znaleźć nową pochwę.

Podszedł do niego Skradacz, przyglądając się wgniecionemu hełmowi, który trzymał w rękach.

- To była trudna walka. Świetnie się sprawileś.

- Dziękuję. I co teraz?

Zwiadowca wskazał na północ.

- Trzeba coś zrobić w sprawie tego paskudztwa.

- Jesteś magiem? - zdziwił się młodzieniec.

Mężczyzna prychnął pogardliwie.

- Na Wielką Ciemność, nie. Po prostu mam wycucie do tych spraw. To u nas rodzinne.

- Naprawdę? I co teraz zrobimy?

- My? - Zwiadowca pokręcił głową. Jego długie, brudne blond włosy zwisały w strąkach pozlepiane od potu. - Nic. To zadanie dla magów. Ale mogą potrzebować osłony.

Kańczycy nadal się wycofywali. Szeregi żołnierzy odsuwały się od obrońców, opuściwszy włócznie. Po drodze przyglądali się uważnie Gwardzistom. Zaprzysiężeni, Kyle i bracia Zagubieni zerkali na K'azza, czekając na jego rozkazy. Bukłaki z wodą przechodziły z rąk do rąk. Na moście nagle pojawił się punkt światła. Wszyscy się wyprostowali, sięgając po broń. Punkt powiększył się, przechodząc w świetlisty wir. Wyłonił się z niego niski chudy mężczyzna w brudnych, podartych szatach. Kręcone włosy sterczały mu we wszystkie strony. Kyle uśmiechnął się, ciesząc się, że znowu widzi Dymka.

Mag chciał objąć K'azza, ale zatrzymał się nagle. Szeroki uśmiech na jego twarzy przerodził się w niespokojne zdziwienie. Diuk zbył jego pytania machnięciem ręki.

– Nie jest tak źle, jak się zdaje. – Ucisnął ramiona maga. – Cieszę się, że znowu cię widzę.

– Ja też.

– Jak sytuacja?

– Wygląda paskudnie. Blask zebrała wszystkich ocalałych magów. Dobrze chociaż, że znaleźli się Blues i Palczak. Są ranni, ale żyją.

K'azz znieruchomiał. Uśmiech zwarzył się na jego twarzy.

– Nie... nie wiedziałem, że zniknęli.

Dymek przeklął sam siebie pod nosem.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi. Wiem, że wiele mnie ominęło. – Spojrzał na Chudą.

– Dobra robota. Jak uważasz? Mogę zwolnić ludzi?

Pokłoniła się z uśmiechem. Uniosła hełm, a potem włożyła go na zakrwawioną głowę, bardzo powoli i ostrożnie.

– Pododdział, rozejść się!

Cole dźwignął Czarnego. Amatt delikatnie uniół Turgala. Chuda zebrała ekwipunek, na spółkę ze Skradaczem, Głuszą i Weszką. Dymek podszedł do Kyle'a, obrzucił go szacującym spojrzeniem i skinął z aprobatą głową.

– Jesteśmy ci winni przeprosiny i wdzięczność. – Wyciągnął rękę. Chłopak ucisnął ją z zażenowaniem. – Nigdy nie zdołamy spłacić tego długu.

– Nie mów tak – sprzeciwił się młodzieniec, krzywiąc się boleśnie.

Mag parsknął śmiechem.

– Ehe, jak sobie życzysz. Ale i tak ci dziękuję.

Zwrócił się w stronę wirującego portalu groty, zapraszając wszystkich skinieniem dłoni. Kyle przeszedł ostatni. Gdy uniół nogę i wsunął głowę do bramy, przez króciutką chwilę widział oślepiające świa-

tło i czuł gorący, suchy powiew. Potem zszedł niezgrabnie na zdeptaną, zeschniętą trawę. Jego uszu dobiegły odgłosy tłoczego, obłożonego obozu.

Świt był już bardzo blisko, ale ciemność uporczywie trzymała się zniszczonych, zoranych stoków. Kyle odnosił wrażenie, że najgęstsza jest na drugim końcu pola bitwy. Trzymała się jego granic, jakby nie chciała ustąpić przed nadchodzącym światłem. Środek pola przesłaniała inna plama mroku, unosząca się nad porozrzucanymi na stoku szczątkami.

Młodzieniec rozejrzał się, nie wiedząc, co robić ani dokąd iść. Jego towarzysze gdzieś nagle zniknęli. Chciało mu się spać, ale nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie ktokolwiek miał mieć na to szansę. Ogilvy podbiegł do niego truchtem, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. Złapał Kyle'a za ramiona i potrząsnął nim.

– Świetnie się spisałeś, chłopcze! Naprawdę świetnie. Cieszę się, że znowu jesteś z nami.

Dawny sierżant Kyle'a, Okop, przywołał go skinieniem dłoni i uściśnął jego ramię.

– Wybacz, chłopcze. Nie miałem pojęcia, co się stało. – Młodzieniec zbył te słowa machnięciem ręki. – Dostałeś awans. K'azz chce z tobą rozmawiać. Chodź ze mną.

Okop poprowadził go na drugi koniec wzgórza. Rozległ się gromki krzyk i żołnierze pochylili się nagle, szukając schronienia. Zaskoczony Kyle rozejrzał się i zobaczył, że ku ich pozycjom mknie coś przypominającego wystrzeloną z katapulty błękitną kulę, czy może lancę ognia. Okop pociągnął go na ziemię. Źródłem ataku była ciemna plama unosząca się w powietrzu pośrodku pola bitwy.

Błyskawica, czy co to tam właściwie było, uderzyła w ziemię przed ich szańcami. W górę trysnęły chmury dymu i pyłu. Przeorała szeregi oblegających, wyrzucając ludzi w górę jak lalki. Ich ciała wirowały w powietrzu i znikwały, pochłaniane przez straszliwą energię. Uszy Kyle'a wypełnił ryk brzmiały jak huk burzy ognia połączony z szu-

mem wodospadu. Odgłos ucichł nagle. Młodzieniec się zachwiał. Po ataku pozostała szeroka, nierówna blizna czarnego popiołu i spalonej ziemi.

Wielkie duchy! Cóż można wskórać przeciwko czemuś takiemu? Czy to była ta sławetna malazańska siła ognia, o której tak wiele słyszał?

Błyskawica uderzyła jednak w szeregi Malazańczyków. Nagle w drugą stronę pomknęła kolejna, spadając na przeciwny koniec pola bitwy. Okop dotknął łokcia chłopaka, wyrwywając go z transu. Sierżant poprowadził go naprzód.

Na tym spotkaniu chłopak czuł się zupełnie nie na miejscu. Skradacz i bracia Zagubieni gdzieś zniknęli, zapewne skryli się w okopie. Jedynym z obecnych, którego znał, był Dymek. Naradzie przewodniczyła Blask, K'azz zajął pozycję obok niej. Zjawili się też magowie. Poznał ich imiona, gdy zabierali głos. Trzy kobiety – Lor-Sinn, Shell i Opal – wyglądały na twarde weteranki. Był też obecny Gwynn – Kyle wiedział, że to jeden z magów Oprawcy. Łysy mężczyzna z kozią bródką i złotym kolczykiem, spowity w czarny strój, najwyraźniej postanowił się rozstać z dawnym dowódcą. W sumie było tu sześcioro Zaprzysiężonych magów.

Po chwili stało się oczywiste, że bronią się tylko z najwyższym trudem. Odpieranie kolejnych ataków pochłaniało wszystkie ich siły. Blask zwróciła się do Malazańczyków z prośbą o wspólne działanie i czekała teraz na odpowiedź. Ostatniej nocy w imperialnych wojskach ujawnił się wielki mag, o którym nikt dotąd nie słyszał. Jego moc bardzo wszystkim zaimponowała.

Zjawił się kurier i zamienił kilka słów z Blask. Kobieta skinęła głową.

– Przybyli malazańscy posłowie – oznajmiła zebrany.

W kręgu zrobiono dla nich miejsce. Grupa składała się tylko z trojga osób. Dwoje młodych ludzi o chudych kończynach i długich, rozczochranych czarnych włosach wyglądało niemal identycznie. Bliż-

niaki? Byli młodzi, tak jest, ale ich spokojne, pozbawione wyrazu twarze świadczyły o doświadczeniu znacznie wykraczającym poza ich lata. Trzecim był starszy mężczyzna, muskularny i szeroki w barach. Miał krótko ostrzyżone, siwe włosy i naznaczyły go ślady wielu zagojonych ran. Szeroką twarz o grubych rysach wykrzywił we wściekłym grymasie. K'azz, Blask i pozostali Zaprzysiężeni pokłonili mu się uprzejmie.

- Witaj, komendancie Urko.

Mężczyzna wskazał swych towarzyszy.

- To są Nul i Nadir. Co chcecie nam zaproponować?

- Współpracę. Razem będziemy mogli obronić naszych ludzi przed tymi atakami. Musimy jednak połączyć siły. - Blask skinęła głową ku młodemu posłom. - Przyprowadziłeś ze sobą dwoje Wickan, ale co z waszą kadrą magów?

- Broni wschodniej reduty i wszystkich żołnierzy, którzy tam się skryli.

- Rozumiem. A więc jesteśmy zdani na własne siły.

Urko pstryknął palcami wielkich, naznaczonych bliznami dłoni.

- Słyszę, że mówisz o obronie. A co z atakiem? Jak rozumiem, to coś trzeba zamknąć. Co to właściwie jest?

- Rozdarcie - odpowiedziała Shell. - Według naszych źródeł pozostałości podobnego można znaleźć w południowej Genabackis. Istnieją też inne. To luki w barierach dzielących królestwa. Żaden zdrowy na umyśle teurg nie odważyłby się stworzyć czegoś takiego. Tylko Wielkie Matrony K'Chain Che'Malle potrafiły zapanować nad rozdarciami.

Ta dziwna nazwa, K'Chain Che'Malle, uciszyła zebranych magów. Nawet Kyle wyczuł w niej echa najstarszych legend swego ludu, mówiących o bezkształtnej grozie czającej się w nocy.

Shell przerwała na chwilę, by się upewnić, że wszyscy zrozumieli jej słowa.

- To rozdarcie najwyraźniej prowadzi do Chaosu - podjęła. - I rośnie. Być może ten wzrost nigdy się nie skończy. Tak, trzeba je zamknąć za wszelką cenę.

Urko chrząknął.

- Jak wygląda plan?

Blask skierowała spojrzenie na wschód.

- Jak rozumiemy, za podtrzymywanie i wzrost rozdarcia jest odpowiedzialny tylko jeden mag. W tej chwili nie utrzymuje się jeszcze samo, ale zostało nam już niewiele czasu. Zabicie maga powinno rozwiązać problem.

- Jeśli to w ogóle możliwe - mruknął z kwaśną miną Gwynn.

Wzgórze się zatrzęsło. Wszyscy się pochylili. W szeregi Malazańczyków uderzył kolejny impuls niebiesko-czarnej mocy. Kyle zadrżał, słysząc odległe krzyki przebijające się przez huk. Urko uniósł drżące pięści.

- Skurwysyn! - Wyciągnął rękę do bliźniaków. - Przygotujcie wszystko! - Bierzemy się do roboty! - zawołał do Blask i oddalił się biegiem.

- Liczna grupa tylko przyciągnie uwagę - zauważyła dziewczyna, Nadir.

Trzymająca hełm pod pachą Blask odgarnęła długie czarne włosy i skinęła głową.

- Weźmiemy tylko garstkę.

- Jak się do niego zbliżyć? - zapytał chłopak, Nul.

- Potrzebny będzie element zaskoczenia - powiedział ktoś.

Wszyscy się odwrócili. Ujrzeni szczupłego mężczyznę w ciemnym stroju. Wąską, szczerzą twarz rozciągał w szyderyczym uśmiešku. Blask uniosła rękę, powstrzymując wszelkie działania.

- Jakie wieści przynosisz, Opos?

- W takiej sprawie jestem uprawniony obiecać współpracę cesarzowej.

- W jakiej postaci? - zapytał Dymek jadowitym głosem.
 - Prawa przejścia przez Cesarską Grotę.
 - Ta grotka to śmiertelna pułapka - warknął Gwynn.
- Na twarz mężczyzny powrócił szyderczy uśmiešek.
- Tylko dla nieautoryzowanych intruzów.
- Magowie popatrzyli na siebie, mrużąc powieki.
- Laseen... - wydyszał Dymek.
- Szpon pokłonił się dwornie.
- Ja jestem tylko skromnym posłańcem.

* * *

Wickańskie bliźniaki, Nul i Nadir, zgłosiły się na ochotników. Po długiej debacie Zaprzysiężeni magowie zdecydowali, że ich reprezentantami będą Gwynn i Dymek. Opos przeprowadzi ich przez grotę.

Gdy przygotowywali się do drogi, Kyle podszedł do Dymka.

- Życzę szczęścia.

Mag uśmiechnął się, odsłaniając ostre, szczurze ząbki.

- Jak za dawnych czasów, he? Jeśli już o tym mowa, pokaż mi ten nowy miecz.

Młodzieniec wyciągnął oręż i podsunął go Dymkowi. Mag wyciągnął ręce, ale zaraz cofnął je trwożnie. Wytrzeszczył oczy zdumiony, a potem spojrzał na Kyle'a.

- To nie jest metal. Nie odważyłbym się próbować go naznaczyć. Coś ci powiem. Lepiej go nikomu nie pokazuć.

Kyle schował oręż.

- Dziękuję. Poszedłbym z wami, gdybym mógł.

Mag zachnął się, a potem otarł rękawem brudne czoło.

- Może dojdzie i do tego. Nikt nie gwarantuje, że nam się uda.

Skinął dłonią na pożegnanie. Kyle zauważył, że pojawił się Skradacz, i podszedł do niego.

- Co o tym sądzisz?

Zwiadowca zmarszczył brwi.

- Powinniśmy pójść wszyscy. Uderzyć na niego całymi siłami. Może wtedy mielibyśmy szanse.

Kyle gapił się na obserwującego przygotowania magów przyjaciela. Skradacz miał jeszcze bardziej zaszępioną minę.

Z pewnością sytuacja nie może być aż tak rozpaczliwa? Prawda?

* * *

Nait czołgał się od jednego dołu do drugiego. Po plecach przebiegały mu ciarki, wywołane świadomością, że rzut kamieniem nad nim szaleje energia mogąca zmienić żelazo w parę.

Jak mrówki. Wszyscy jesteśmy tylko mrówkami.

Wskoczył do sięgającego mu bioder zagłębienia. Klęczący żołnierze rozpaczliwie wymachiwali tak często zniesławianymi, lecz niezwykle przydatnymi narzędziami sabotażystów, saperkami.

- Czy ktoś go widział, na Otchłan?! - zawołał, przekrzykując łoskot oszalałej mocy.

- Ehe, widziałem go - odparł najbliższy żołnierz. - To sam Kaptur przyszedł nas zabrać. - Wskazał ręką ku górze. - I przyniósł ze sobą swą bramę!

Nait odepchnął śmiejącego się mężczyznę i ruszył w dalszą drogę.

- To mag! - krzyknął mu ktoś do ucha. - Spowity w płomień. Żaden belt go nie dosięgnął. Wszystkie się spaliły. A nawet stopiły!

Sierżant pokiwał głową.

- Gdzie jest teraz?! - zawołał.

Żołnierz wskazał ręką przed siebie.

- Dziękuję. Połączcie ze sobą okopy!

Mężczyzna skinął głową. Sierżant dotarł do końca zagłębienia i wyczołgał się z niego ukradkiem. Posuwał się naprzód, ostrożnie

poruszając kończynami. Przód jego brygantyny orał ziemię. Za zasloną kołyszącej się na wietrze trawy ujrzał maga. To z pewnością był on. Wewnątrz szalejącego tornada mocy zdołał wypatrzeć ludzką sylwetkę z uniesionymi rękami.

Odwrócił głowę, spoglądając w górę. Perspektywa była zwodnicza, ale przywołanie – czy co to tam właściwie było – zdawało się wisieć wprost nad nimi, trudno było określić, jak wysoko. Może jak czubek wysokiego drzewa? Wewnątrz kipiała ciemność skażona cieniem szałności. W powietrzu unosiły się drobne odpadki i pył, wciągane przez coraz silniejszy wiatr dmący ku ośrodkowi mocy. To może być sama Otchłań!

Ktoś dotknął jego nogi. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Obejrzał się. To był jeden z Zaprzysiężonych. Twarz pokrywały mu fioletowe siniaki, a jedno oko zamykał obrzęk. Ho mówił, że męczyzna nazywa się Blues. Zaprzysiężony wezwał Naita skinieniem dłoni.

Sierżant machnął przecząco ręką. Cholerny dureń! Mało brakowało, by przez niego zerwał się na nogi i pobiegł przed siebie! Męczyzna nie dał jednak za wygraną. Skinął na Naita po raz drugi. Proszę bardzo! Sierżant poczołgał się w tył.

Spotkali się w tylnym okopie. Sabotażyści Urfy i Naita trudzili się wokół nich, pogłębiając szanse. Zebrali się tu sierżanci sabotażystów, ludzie, którzy ocaleli z katastrofy statku, oraz dwójka sierżantów z jednostek ciężkiej piechoty kryjących się w trawie: Pellan, Falarczyk, i Turmalin, Moranth. Nait był mile zaskoczony widokiem Heuka.

– Co tu robisz?! – zawołał.

Stary mag skrzywił się i podrapał po nierówno przyciętej brodzie.

– Skurwysyny rzuciły mnie i uciekły. To mnie obudziło.

– Co możemy zrobić? – zapytał sierżant malazańskiej ciężkiej piechoty, Pellan, gdy wszyscy już się przedstawili. – Poza zmiataniem stąd w cholere?

– Nie możemy się stąd ruszyć – sprzeciwił się Ho. – Wszystko, co się rusza, zmieni się w popiół.

– To co nam pozostaje? – Pellan wskazał gniewnie niebo. – Na to nic nie poradzimy.

Ho otworzył usta, ale uprzedził go Złoty Moranth.

– Rozdarcie trzeba zamknąć.

Wszyscy spojrzeli na niego, czy może na nią.

– Znamy takie... zjawiska. Pozostałości podobnego nadal istnieją na południe od naszych krain. To zbrodnie przeciwko bytowi. Zagrożają gruntowi, po którym stąpamy, powietrzu, którym oddychamy. Rozdarcie trzeba zniszczyć za wszelką cenę.

Pellam zamrugał. Pasja Morantha wyraźnie mu zaimponowała.

– Ale jak? – zapytał. – Nie możemy nic zrobić, chyba że wszyscy razem rzucimy się na tego maga.

– Nie ma mowy – sprzeciwił się Ho. – Każdy, kto się zbliży, spłonie.

Pellam uniósł z irytacją rękę nad głowę.

– Jesteście magami, wykombinujcie coś! – zawołał, wskazując Heuka.

Brudny staruszek wymienił spojrzenia z Ho, Bluesem i Palczakiem, oraz grubą kobietą o potężnych ramionach, zwaną Devaleth. Ostatnią z magów, starą wickańską czarownicę, nadal poddawano pośpiesznemu uzdrawianiu. Wszyscy wciąż wydawali się trochę skołowani, ale byli śmiertelnie poważni, do tego stopnia, że Nait zadawał sobie pytanie, co może ich łączyć ze źródłem tej sprawy? Jeśli byli śmiertelnymi wrogami, to dlaczego płynęli tym samym statkiem? Co więcej, prawie wszyscy byli magami. Był przekonany, że jeśli zamknie się razem tak wielu magów, kłopoty będą gwarantowane.

Ho pochylił się jeszcze niżej, jakby przyginał go do ziemi przerażający żar gorejący na górze.

– Może nam się nie udać zbliżyć do przywołującego, ale rozdarcie ciągle się powiększa.

– I co z tego? – zapytał Pellam.

Moranth pochylił skrytą pod hełmem głowę.

- Za chwilę będzie w zasięgu - oznajmił pozbawionym wyrazu głosem.

Ho i Złoty patrzyli na siebie bez słowa. Po chwili mag spuścił wzrok z dostrzegalnym dla Naita zawstyżeniem.

- Chcecie spróbować je zakłócić - odezwał się siedzący na ziemi Palczak. Krzywił się z bólu, ściskając w rękach zabandażowaną, krwawiącą głowę.

- Tak - potwierdził Ho. - Wystarczająco potężna eksplozja powinna zaburzyć przepływ, zwłaszcza jeśli rozdarcie jeszcze się nie utrwaliło.

Pellan odchylił się, krzyżując ręce na piersi.

- Rewelacyjny plan. A kto to robi?

- Ja - oznajmił Turmalin.

Nikt nie miał nic do dodania.

Ktoś nagle szturchnął przykucniętego Naita. Maja klęczała za jego plecami, lypiąc nań spode łba.

„Co?” - zapytał bezgłośnie.

Skinęła na niego gwałtownie, każąc mu przemówić.

- Już dobra, dobra!

- Ja ci pomogę - oznajmił Turmalinowi.

Moranth pokłonił się krótko.

Ehe, może potrzymam ci linę albo coś.

Nait przywołał gestem Urfę i oboje zaczęli się naradzać ściszonymi głosami.

- Jak wyciągniesz pociski od chłopaków i dziewczyn? - zapytała kobieta.

- Dobre pytanie. Powiedz im, że Złoci mają zapasy do rozdania. Wszyscy zaraz się zlecą.

Urfa parsknęła śmiechem, odsłaniając krzywe zęby.

- Cholera, ale z ciebie spryciarz, Cykor! Dobra, zawiadomię wszystkich. Zbierz trochę ciężkiej piechoty, żeby nie pozwoliła im

zwiąć.

– Będziemy potrzebowali cholernie dużo pocisków.

* * *

Gdy już ucichły krzyki i płacze, błagania i prośby Podbródki oraz groźby morderstwa płynące z ust weteranów Urfy, ciężcy odprowadzili ostatnich sabotażystów, a dwoje sierżantów rozpoczęło przegląd zgromadzonego skarbu. Zachowywali ostrożność. Niektórzy żartownisie byli zdolni umieścić w swych plecakach pułapki, na przykład pod postacią rzadko spotykanych „zapalników” Moranthów. Turmalin przyniósł wszystko, co zostało Złotym. Ułożyli razem większe pociski: osiem wstrząsaczy i cztery rozbijacze. To była przerażająca kolekcja. Naitowi nawet się nie śniło, że kiedyś zobaczy ich tyle naraz. Taki ładunek wystarczyłby, żeby zrównać z ziemią fortecę, ale gdy sierżant przyjrzał się wrzającej szczelinie wiodącej w pustkę, przechylającej się ciężko niczym tornado, zapas wydał mu się żałośnie nieadekwatny. Nie mieli jednak więcej.

Turmalin zaczął pakować pociski do używanych przez Moranthów płóciennych toreb o drewnianym szkielecie. Nait przyglądał się temu przez chwilę, a potem zaczął mu pomagać. Obaj wzięli po dwie torby i przenieśli je na koniec okopu. Urfa poszła za nimi, zaciągając mocno paski toreb.

– Wolałbyś się spotkać z Ryllandarasem, co?! – zawołał, przekrzykując nieustanny łoskot dobiegający z góry.

– Nagi z dupą posmarowaną dżemem!

Roześmiała się, unosząc kciuk.

Do okopu wsunęła się grupka magów. Wszyscy odwracali spojrzenia od wiszącej nad nimi plamy. Heuk podszedł do Naita.

– O co chodzi? – zapytał sierżant.

– Niektórzy z nas będą wam towarzyszyć – powiedział stary mag, przysuwając usta do jego ucha.

- A po co?
- Na wypadek gdyby was zauważył. Zrobiją, co tylko będą mogli.
- Rewelacja.

Turmalin spojrział na sierżanta i dał mu znak: „Ruszamy”. Wyszli z okopu. Nait odpychał się od ziemi wewnętrznymi powierzchniami wystrzępionych skórzanych sandałów, zaciskając ręce na twardej, ostrej trawie. Od unoszącego się w powietrzu pyłu chciało mu się kichać. Po obu stronach ciągnął torby z pociskami. Za zasłoną trawy widział dwóch towarzyszących im magów: Ho i Bluesa. Potem obaj oddalili się, znikając mu z oczu.

Nagle Naitowi nasunęła się pewna myśl.

- Zastanawiam się, czy w waszych oddziałach są też kobiety? - zapytał.

- Oczywiście. Wszyscy muszą walczyć w obronie ojczyzny.

- A ty? No wiesz, czy Turmalin to u was męskie czy żeńskie imię?

Skryta pod hełmem głowa odsunęła się gwałtownie.

- Żeńskie, oczywiście! Jak można tego nie wiedzieć?

Odczołgała się ze złością, wzbijając pył.

Nait zatrzymał się na chwilę porażony zdumieniem.

Bogowie na górze i na dole! Otaczały go ze wszystkich stron! Maja, Urfa, Bala, Rączka i teraz Turmalin. Silne kobiety! Były przekleństwem jego życia!

* * *

Minęli porozrzucane po równinie szczątki statku i Nait dogonił Turmalin. Kobieta Moranthów wyjęła saperkę i przecinała z furią grubą warstwę korzeni preriowej trawy. Sierżant spojrział w górę. Skaza, rozdarcie, czy co tam to właściwie było, wisiała pionowo nad nimi. Pył wzbity przez wysiłki Turmalin unosił się ku górze, zapewne wysany

przez szczelinę. Nait skrzywił się boleśnie na myśl, że jego może spotkać to samo.

Wciągnie mnie Otchłań albo brama samego Chaosu.

Było tu miejsce tylko dla jednej kopiącej osoby, sierżant rozejrzał się więc, wypatrując zagrożeń. Nieprzyjaciel stał daleko od nich. Jego mroczną, migotliwą sylwetkę spowijała wirująca zasłona energii, przypominająca jaskrawy całun.

Nait pełnił straż przez pewien czas. Padające z ukosa promienie słońca nieprzyjemnie rozgrzewały jego garnczkowy hełm. Zlewał go pot, cholernie chciało mu się pić. Był już późny ranek. Turmalin zdążyła wykopać w szarej glebie nieckowate zagłębienie.

Nagle coś się poruszyło. Między Naitem a nieprzyjacielskim magiem pojawiły się znikąd cztery sylwetki: dwoje Wickan i dwoje Karmazynowych Gwardzistów. Wytrzeszczył oczy, a potem przywarł do ziemi. Rozpoczął się atak!

Ekspłodowała moc. Podmuch odrzucił Naita do tyłu. Ziemia się zatrzęsała. Pośród traw zapłonęły ognie. Sierżant skoczył przed siebie, osłaniając ciałem leżącą na brzegu wykopu Turmalin. Nie był w stanie nic powiedzieć. Wyjąca wściekle nawałnica napierała na niego bezlitośnie, wyciskając mu z ust bezgłośny krzyk. Zaryzykował spojrzenie w górę, mrużąc powieki i osłaniając oczy przed unoszącym się w powietrzu pyłem i odpadkami. Czwooro magów uderzało niszczycielską energią w przeciwnika, który odpowiadał im gwałtownymi atakami. Nie byli jednak sami: jako wsparcie pojawili się też Ho i Blues.

Nait odnosił wrażenie, że szóstka magów zdobywa powoli przewagę. Kontratak ich przeciwnika stopniowo słabł.

Tak jest! Uda im się!

Niemniej mroczne tornado energii wcale nie traciło na sile. Jeden z atakujących uderzył strumieniem srebrnego ognia, wir jednak wciągnął ten impuls, dodając go do innych spowijających maga warstw.

Co tu jest grane? Dlaczego nie mogą go pokonać?

Uwagę Naita przyciągnął nagły trzask. Sierżant obejrzał się i rozdziawił usta z przerażenia. Sunęła ku niemu masa połamanych desek, wyszczerbionych fragmentów zdruzgotanego pokładu oraz oplecionych liną kawałków żelastwa, unosząca się nisko w powietrzu. Chciał krzyknąć: „Uwaga!”, ale, rzecz jasna, nie był w stanie nikogo ostrzec. Mógł jedynie pochylić głowę.

Szczątki przemknęły nad nim z impetem bełtu wystrzelonego ze skorpiona. Nait przyglądał się z bezsilnym oburzeniem, jak uderzają w sześcioro atakujących. Jednemu natychmiast ucięły głowę. Wszyscy unieśli się w powietrze jak ścięte kosą zielsko. Nait odnosił wrażenie, że drugi z magów oberwał w głowę wygiętą żelazną sztabą. Ho znowu przebiły na wylot kawałki drewna, a pozostałą trójkę również unieszkodliwiło jedno mistrzowskie posunięcie.

Turmalin skinęła na Naita, nakazując mu, by im pomógł. Sierżant wskazał na dół, ale kobieta potrząsnęła głową. Kolejnym gestem poleciła mu, by dał jej swoje pociski. Nait zaklął i zdjął torby, a potem ruszył w stronę Turmalin, trzymając głowę tak nisko, jak to tylko możliwe.

Po drodze miał oko na otoczonego pierścieniem energii maga. Mężczyzna najwyraźniej zapomniał o polu bitwy, koncentrując swe wysiłki na rozdarciu. To odpowiadało czołgającemu się przez przypaloną, targaną szaleńczym wiatrem trawę sierżantowi. Pisnął, napotkawszy dwoje posuwających się ku niemu Wickan. Młody chłopak i dziewczyna wyglądali niemal identycznie. Oboje pokrywały straszliwe, krwawiące rany. Ubrania mieli podarte. Nait złapał ich za ramiona i pociągnął w stronę okopu.

Tam przekazał ich w wyciągnięte ręce Heuka, dwóch Zaprzysiężonych, Frykasa i Septa, oraz starej Wickanki, która odzyskała już siły. Staruszka natychmiast zaczęła besztać w ojczystym języku dwoje młodych współplemieńców. Słuchali jej ze zwieszonymi głowami, jak karcone dzieci. Nait wrócił na pole bitwy, by znaleźć pozostałych. Dwaj Zaprzysiężeni podążyli za nim, pochylając się nisko.

Sierżant padł nagle na ziemię, zauważywszy jakiś ruch. Dwóch magów – Blues i Ho – wstało, a potem ruszyło w stronę przywołującego. Choć ich podarte ubrania odsłaniały straszliwe rany, a plecy Bluesa pokrywała krew, spływająca dalej po nogach, obaj kuśtykali nieubłaganie w stronę przeciwnika. Blues wyciągnął dwa krótkie miecze. Dotarli do pierwszej spiralnej warstwy energii i wtargnęli w nią, osłaniając dłońmi twarze. Nait odnosił wrażenie, że jakimś cudem udaje im się przedzierać przez ten koszmar. Dwaj Zaprzysiężeni padli na ziemię obok sierżanta.

– Blues, załatw go! – zawołał jeden z nich.

Nait zorientował się, że zaciska pięści.

Tak jest! Załatw go! Wyślij do Kaptura!

Wtem za plecami Bluesa pojawiły się jakieś sylwetki. Wskoczyły z trawy i zaatakowały Ho. Zaprzysiężeni zakłękli i zerwali się do biegu, wyciągając broń. Blues odwrócił się, by się bronić, ale wir kipiącej energii obalił go na stertę walczących. Trzej atakujący Ho mężczyźni wydawali się Naitowi dziwnie podobni do maga, jakby wszyscy byli kuzynami. Cała czwórka tarzała się po ziemi. Ich gwałtowne kopniaki i ciosy wyrzywały trawę z korzeniami.

W dwóch zbliżających się Zaprzysiężonych uderzyła rozjarzona, skwiercząca moc. Frykas i Sept potoczyli się w dół stoku jak piłki.

Obok Naita przebiegły dwie kolejne postacie. Młodzi Wickanie pomknęli w stronę Ho i jego przeciwników, odwracając twarze, by osłonić je przed gorejącą magią.

Pani, nie po to się zaciągałem. Z całą pewnością nie po to.

* * *

Zastanawiał się, czy wrócić do okopu, ale nagle zamarł w bezruchu. Ktoś stał tuż obok niego. Sierżant uniósł powoli głowę. Mężczyzna miał na sobie luźne spodnie, szarfę oraz niebieską bluzę z długimi rękawami. Jego długie włosy powiewały na wietrze, a mahoniowa

twarz była zmarszczona w wyrazie kwaśnego niesmaku. Nait nigdy w życiu go nie widział.

– Pozwalam im na te drobne utarczki – mówił nieznajomy, jakby głośno myślał. – Nie ingeruję w sprawę sukcesji. Sądziłem, że mojej pobłażliwości nic nie naruszy. Ale tego nie mogę tolerować!

Mężczyzna uniósł rękę i oślepiająca eksplozja odrzuciła Naita na bok. Sierżant przetoczył się po stoku. Leżał oszołomiony na plecach, gapiąc się na unoszący się w rozgrzanym powietrzu pył. Nie wiedział, czy stracił na moment przytomność. Potrząsnął głową, kaszląc i mrugając. Oczy zaszyły mu łzami. Podniósł się i spojrzał przed siebie. Ukrytego w ochronnym wirze energii maga atakował snop jaskrawego światła, spychający powoli do tyłu całe tornado. Nowy przybysz posuwał się nieśpiesznie naprzód.

Na jaja Kaptura! Kto to może być?

Pomknęła ku niemu kolejna sterta szczątków. Nie! Nie znowu to samo! Gdy jednak była blisko, ogarnęły ją płomienie. Połamane, drewniane fragmenty spłonęły natychmiast, zmieniając się w czarny, ulatujący z wiatrem popiół. Powykrzywiane żelastwo rozżarzało się, topiło i parowało.

Z kłębowiska dymu i pyłu wyłoniły się trzy sylwetki: Ho podtrzymywany przez dwoje Wickan. Zmierzali w stronę okopu. Choć mag był posiniaczony i podrapany, na jego twarzy wykwitł idiotyczny uśmieшек. Dziewczyna zauważyła Naita i zamigłała do niego „odwrót”. Nie trzeba go było popędzać.

* * *

Wszyscy skryli się w okopie. Ludzie wyciągali ręce, podtrzymując Naita. Jednym z nich był Heuk.

– Kto to jest, na łaskawość Kaptura? – zapytał go sierżant.

– Tayschrenn. – Stary mag uśmiechnął się, odsłaniając poczerwiałe zęby. – Jest niezły, co?

- Ehe.

Stara Wickańska czarownica podeszła pomóc Ho, który rozciągnął w uśmiechu krwawiące usta.

- Wygrałeś? - zapytała.

Skinął ze znużeniem głową.

- Podporządkowali się mi.

- Wiedziałam, że to zrobią. - Spojrzała na Nula i Nadir. - Gdzie jest ten drugi? Blues? Czemu go nie przyprowadziliście? Możemy go jeszcze potrzebować.

Wymienili zrezygnowane spojrzenia, pokłonili się jednak.

- Tak, Nianiu - oznajmili i opuścili okop.

- Uzdrowiciele! - zawołała staruszka, wskazując Ho. - Zajmijcie się nim.

Nait spojrział na skazę nadal unoszącą się na bezchmurnym niebie. Wyglądała jak siniak albo paskudna rana.

- Jest nisko - powiedział do Heuka.

- Tak, ale... popatrz!

Nieprzyjaciel - najwyraźniej miał na imię Yath - uniósł się nad ziemię, porwany przez gorejącą srebrnym blaskiem moc Tayschrenna. Wymachiwał rozpaczliwie kończynami. Wyglądało na to, że wielki mag próbuje go przepchnąć przez rozdarcie.

- Tak... - wyszeptał z uznaniem Heuk. - Może mu się uda je zamknąć. - Wtem mag wyprostował się i spojrział z pobladłą twarzą na Naita. - Najstarszy, wybac mi! - zawołał, łapiąc sierżanta za ramię. - Co z Turmalin? I jej pociskami? Tayschrenn stoi tuż obok nich!

* * *

Nikt nie kazał Kyle'owi opuścić szczytu wzgórza, chłopak został więc na miejscu, obserwując fajerwerki towarzyszące walce magów na równinie. Był z nim untański szlachcic, który przybył tu z poselstwem

Wickan. Młodzieniec nie pamiętał jego imienia. Untanin przyglądał się wszystkiemu z równą uwagą, jak on. Na jego twarzy zachwyty mieszały się ze strachem. Toczona na dole bitwa przypominała Kyle'owi tę na Ostrodze, ale jej skala była jeszcze większa. To zatem mieli na myśli weterani, opowiadając o starciach grot z czasów dawnych kampanii. Wyglądało to strasznie. Kyle lepiej teraz rozumiał wzajemne zależności między różnymi służbami quon'skich armii. Nic dziwnego, że potężny korpus magów odstraszał przed agresją, a jego brak do niej zachęcał. Niemniej, sądząc z reakcji obserwatorów, skala świadomości szerzonej destrukcji, jaką widzieli, była bezprecedensowa.

Skala konfrontacji wzrosła jeszcze, gdy na równinie pojawił się blask przypominający odbicie słońca w stojącej wodzie. Trzy Zaprzyśiężone czarodziejki towarzyszące Kyle'owi – Opal, Lor-Sinn i Shell – zakłęły, wzdrygając się. Ta ostatnia zatoczyła się do tyłu jak uderzona niewidzialną siłą.

– Znam to! – wydyszała Opal przez zaciśnięte zęby.

– Braciszkanie meldują, że to wielki mag – oznajmiła zdumionym głosem Blask.

– Pierwszy raz cieszę się na jego widok – dodał K'azz.

Stary malazański dowódca, Urko, chrząknął z uznaniem.

– Nie mógł zignorować czegoś takiego.

– Widziałas konfrontację w Pale? – zapytała Lor-Sinn, zwracając się do Shell.

Zapytana poprawiła kamizelkę. Na jej naznaczonej bliznami twarzy pojawiły się zmarszczki bólu.

– Rzucił wyzwanie Anomanderowi – wydyszała Lor-Sinn. – Władcy Odprysku Księżyca.

Opal potrząsnęła kędzierzawą kasztanową czupryną.

– To była pycha. Ascendent nie odpowiedział pełną mocą.

– Skąd możemy to wiedzieć?

– Nie zaryzykowałby takich konsekwencji – odparła Opal, wskazując pole bitwy.

Kyle widział, że Lor-Sinn nie dała się przekonać. Na dole rozbłysło oślepiające światło. Chłopak wzdrygnął się, odwracając wzrok. Potem spojrział z powrotem na pole, osłaniając oczy ręką. Rozległ się łoskot wyjątkowo głośnej erupcji mocy. Magowie się skrzywili.

K'azz uniósł rękę, przyciągając ich uwagę.

– Braciszkanie mówią, że do komendanta Urka przybył posłaniec.

– Słucham? – odezwał się Urko.

– Podaje się za oficera Armii Prowincji Cawnijskich.

Kyle zerknął na malazańskich dowódców: Urka i pięć D'Ebbina. Posiwałe brwi Napańczyka uniosły się niczym skalne półki. Pięć, choć straszliwie zmęczony wszystkim, przez co przeszedł w nocy, z początku wyglądał na zadowolonego. Potem jednak satysfakcja przerodziła się w niepokój, gdy zerknął na K'azza. Dwaj obecni tu mężczyźni byli jedynymi ocalałymi malazańskimi dowódcami na polu bitwy, pomijając Miecza, który ponoć dowodził wschodnią redutą. Welony Czepca zebrały straszliwe żniwo.

Urko skinął na K'azza.

– Przyślijcie go tu.

Na wzgórzu wspiął się żołnierz trzymający pod pachą hełm. Na kolczugę włożył oponczę ozdobioną romboidalnym godłem Cawn. Zasalutował Urkowi.

– Komendancie.

– Tak.

– Przynoszę wieści ze wschodu.

– To znaczy?

Mężczyzna zerknął na zebranych na wzgórzu Gwardzistów.

– Może powinniśmy porozmawiać na osobności... – odparł ściszym głosem.

– Może być tutaj. Jak widzisz, walczymy ze wspólnym wrogiem.

– Rozumiem. Jak sobie życzysz. Armia Prowincji Cawnijskich zajęła pozycje na wschodzie. Uznaliśmy, że rozsądniej będzie trzymać się na dystans. Mamy pięć tysięcy konnicy i trzydzieści tysięcy mieszanej piechoty. Dowodzą lordowie Mał Nayman, J’istenn i Viehman ’esh Wait. Mamy też zaszczyt gościć imperialnego radcę oraz rzeczownika Zgromadzenia, Mallicka Rela.

Urko ściągnął brwi ze zdziwieniem.

– Mallick opuścił Untę? – Zbył tę tajemnicę, kręcąc głową. – Pięści D’Ebbin, czy zechcesz towarzyszyć kapitanowi, by koordynować dowodzeniem.

D’Ebbin zasalutował.

– Tak jest.

– Chwileczkę! – zawołał K’azz. – Co z waszą kadrą magów, kapitanie? Może nam być potrzebna.

Oficer spojrział na Urka.

– Słucham? – zapytał z twarzą bez wyrazu stary dowódca.

– Mamy tylko magów drużyny, komendancie – przyznał z niechęcią kapitan. – Od pokoleń Cawn oddawało swych najlepszych ludzi imperium – dodał z namaszczeniem.

Urko skinął głową, łypiąc na niego spode łba.

– Rozumiem. Możesz odejść.

D’Ebbin pokłonił się K’azzowi i Blask. Kyle odnosił wrażenie, że pięść żegna ich przepraszającym spojrzeniem.

Chłopak ponownie skierował wzrok na pole bitwy, zastanawiając się, skąd mógł się wziąć ten wyraz oczu.

Aha, chodzi o liczebność. Imperialna armia nagle stała się dwukrotnie większa.

Zaprzysiężone czarodziejki zakrzyknęły jednocześnie, wyciągając ręce przed siebie. Jeden z walczących magów, zapewne ten, który przywołał rozdarcie, uniósł się nagle w powietrze, otoczony srebr-

nymi płomieniami. Kyle nie wiedział zbyt wiele o podobnych walkach, wyglądało jednak na to, że Tayschrenn zdobywa przewagę.

A jeśli zwycięży? Co się wtedy stanie? Chłopak zerknął na K'azza. Cawnijski oficer zapewne nie zdawał sobie sprawy, z kim ma do czynienia. Skąd miałby to wiedzieć? K'azz wyglądał jak zwykły staruszek o białych, rozczochranych włosach. Nadal miał na sobie stary rybacki strój – koszulę i spodnie z płótna, wystrzępione i wyblakłe na słońcu. Nawet nie przypasał miecza. Jedyнным gestem, na jaki sobie pozwolił, był srebrny herb Gwardii przypięty do piersi. Nie ulegało jednak wątpliwości, że to on tu dowodzi. Wszyscy Zaprzysiężeni instynktownie zgromadzili się wokół niego. Diuk kierował zakłopotane spojrzenie nie na pojedynkę magów, lecz na oddalającego się cawnijskiego posłańca.

Tak, on z pewnością również zadaje sobie to pytanie... Laseen dała słowo... ale wtedy siły były bardziej wyrównane. Czy pokusa uwolnienia imperium od najstarszych wrogów nie skłoni jej do zmiany zdania?

* * *

Nait posuwał się naprzód po czarnej, spopielonej trawie i pyłe powstałym ze starcia niewyobrażalnych sił toczzonego tuż nad jego głową.

Mrówki. Jesteśmy tylko mrówkami. A najgłupsza z nich to ja.

Wielki mag był już blisko. Zaraz wepchnie do płamy wijącego się, wymachującego kończynami Yatha. Wystarczająco blisko, by wybuch wstrząsaczy Turmalin rozerwał go na strzępy.

Ależ się popierdoliło!

Zatrzymał się. W którą stronę teraz? Zewsząd otaczało go zryte i wypalone pustkowie. Nagle wypatrzył pośród szarych i czarnych popiołów złoty błysk. Powlókł się w tamtą stronę. Turmalin poważnie ucierpiała. Pokrywała ją warstwa przeoranej przez czary gleby, maskująca najgorsze obrażenia. Mimo to Nait skrzywił się. Jej plecy

były jedną wielką blizną. Poparzona skóra stopiła się w całość z niezwykłą chitynową zbroją. Kobieta leżała na wzgórkach – na zasypanych pociskach.

– Turmalin! – zawołał sierżant tuż obok jej głowy.

Hełm zwrócił się w jego stronę.

– Wróciłeś, sabotażysto.

– Zwabił mnie twój urok.

Zachichotała.

– Nawet go sobie nie wyobrażasz, konusie. Ale jeśli mnie stąd wydostaniesz, może cię oświecę.

Niech ci się nie zdaje, że nie będziesz złapana za słowo.

Przyjrzał się wzgórkowi z ubitej ziemi. Włosy stanęły mu dęba, a oddech uwiązał w piersi, gdy zobaczył, że Turmalin ścisną w dłoni długi, smukły zapalnik kwasowy. Obiema rękami delikatnie rozchylił jej palce i wyciągnął przedmiot. Dopiero potem zdołał wypuścić powietrze z płuc.

Bogowie na dole, moje nerwy już długo tego nie zniosą.

Przyjrzał się magowi miotającemu się w kokonie oślepiającej, toksycznej energii. Między Yathem a Tayschrennem przebiegały skwierczące łuki mocy. Nieprzyjaciół był już blisko granicy zięjącego, kipiącego rozdarcia.

– Już niedługo! – zawołał Nait do Turmalin. – Może jednak uda się nam zachować cały towar!

Chorażwie mocy zadrżały, jakby coś nagle je uderzyło. Niektóre przerwały się, uderzając o ziemię niczym płonące bicze. W górę wzbily się kolejne chmury gleby, osypującej się na Naita i Turmalin. Sierżant osłonił głowę rękami.

Cholera, nie trzeba było tego mówić!

Wyjrzał na zewnątrz przez lukę między przedramionami. W półcieniu energii za plecami Tayschrenna wypatrzył trzy sylwetki pływające w niesamowitym tańcu ataków i kontrataków. Na ich drodze stał

jeden człowiek, zapewne strażnik osobisty strzegący pleców wielkiego maga. Niska, szczupła, niewiarygodnie szybka postać zakręciła laską, atakując jednego z napastników. Z pewnością nie byli oni szponami, zostawali więc tylko Karmazynowi Gwardziści, najprawdopodobniej Zaprzysiężeni.

Przybyli załatwić Tayschrenna, gdy nadarzyła się okazja!

Do walki włączyli się inni ludzie. Nait poznał Bluesa, Ho, oraz dwóch Zaprzysiężonych, Frykasa i Septa. Niestety, strażnik osobisty już padł. Zadano mu mnóstwo straszliwych ciosów. Ho rzucił się na jednego z atakujących, wykręcając mu głowę do tyłu. Blues i drugi napastnik zwalili się razem na ziemię, wymieniając gwałtowne pchnięcia nożami. Trzeci nieprzyjaciel skoczył naprzód i przetoczył się, omijając wszystkich, by przedostać się do wielkiego maga.

Potężna detonacja mocy porwała wszystkich jak cyklon wyrwijący chwasty z korzeniami. Niosąca ziemię i kamienie fala uderzeniowa ogarnęła Naita, który krzyknął, gdy powrócił ból we wszystkich odniesionych wcześniej ranach. Nie to jednak było najgorsze. Najgorszy był zapalnik, tulony przez niego do piersi niczym niemowlę. Gdy fala przeszła, sierżant przewrócił się na plecy, ocierając łzy z oczu.

Minęła chwila, nim sobie uświadomił, co widzi w górze. Tuż przy rozdarciu unosiły się dwie wirujące sylwetki – jedna wymachująca kończynami, a druga bezwładna. Między nimi pulsowała potężna energia grot. Nait gapił się na to z rozdziawionymi ustami. Obaj mężczyźni wpadli w otwartą paszczę rozdarcia i zniknęli.

* * *

Stojąca obok K'azza Blask zauważyła z zaskoczeniem i niepokojem, że wszyscy Zaprzysiężeni magowie stęknęli nagle i zatoczyli się do tyłu. Wstrząsnęła nimi jasna jak słońce eksplozja. Po chwili dotarł do nich głośny podmuch, uderzając kobietę w pierś.

– Tayschrenn oberwał – wyszeptała Shell. – Muszę z przykrością stwierdzić, że od kogoś z naszych. Chyba od Ishy. – Zaczerpnęła tchu i zakłęła pod nosem. – Unosi się bezwładnie... wciąga go... – Pode-rwała się, unosząc ręce. – Nie!

– Co się stało?

Shell spojrzała na nich. W jej oczach malowały się groza i niedo-wierzenie.

– Zniknął. Rozdarcie go pochłonęło. Ich obu.

– A co z samym rozdarcie? – zapytał K'azz.

– Nadal rośnie.

Blask spojrzała w oczy K'azzowi. Mężczyzna skinął głową.

– Komendancie Urko – odezwała się cichym, ale stanowczym głó-
sem. – Wygląda na to, że musimy połączyć wszystkie siły, jakie nam
zostały.

Napańczyk skinął ciężko głową, wyraźnie niezadowolony.

– Zgadzam się.

– Zostało nam sześcioro, może ośmioro Zaprzysiężonych magów.
Jak rozumiem, wśród Wickan jest wiele czarownic i czarnoksiężni-
ków. Co z kadrą magów?

W ciemnych oczach skrytych w cieniu potężnych wałów nadoczó-
dołowych pojawił się błysk gniewu. Potem Urko odwrócił wzrok.

– Jest rozbita. Mamy garstkę magów drużyny, ale nikogo, kto dys-
ponowałby poważną mocą, poza być może jednym wyjątkiem.

– Tym magiem Tiste Andii?

– Nie. Nic nie wiem o żadnym Andii. Mamy byłego wielkiego
maga, kobietę imieniem Bala. Bala Jesselt. Jest we wschodniej redu-
cie.

– Świetnie. Czy moglibyśmy skorzystać z Cesarskiej Groty, by...

K'azz przerwał jej, unosząc rękę.

– Wybacz, Blask. Braciszkanie meldują, że istnieje też inna opcja.
Powinniśmy zaczekać.

- Zaczekać? - warknął Urko, przyglądając się z uwagą twarzy K'azza. - Co tu jest grane? Wracacie do starych sztuczek? Na co mamy czekać?

- Na to, aż jeszcze trochę urosnie.

* * *

Nait nie wierzył własnym oczom. Potężne moce powinny im pomagać wykaraskać się z kłopotów, a nie dać się im pochłonąć. Spojrzał na mały zapalnik, który trzymał w brudnej dłoni.

Zostaliśmy tylko ty i ja, kochanie.

- Nic ci się nie stało?! - zawołał ktoś, przekrzykując ogłuszający huk, który nie milknął od tak dawna, że sierżant niemal o nim zapomniał.

Nait wzdrygnął się i rozejrzał wkoło. Ho klęczał na ziemi, spoglądając nań z góry. Zdumiony sabotażysta skinął głową, spoglądając na człowieka, któremu najwyraźniej nic nie mogło zaszkodzić.

- Kim właściwie jesteś? - zapytał.

Mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem i skinął głową na znak zrozumienia.

- Po prostu kolejnym durnym magiem, sierżancie Cykor. - Wskazał w górę. - Tak samo jak jemu, wydawało mi się, że jestem wszechmocny. Ale wszystkie moje badania i eksperymenty przyniosły mi jedynie cierpienia. - Usiadł ze skrzyżowanymi nogami, jakby odpoczywali na stoku wzgórza. Obrzucił rozdarciem szacującym spojrzeniem, a potem skierował wzrok z powrotem na Naita. - Możesz mi wierzyć lub nie, ale zainspirował mnie Ryllandaras. Jest jednopochwyconym, zwierzoludem, ale niewielu dziś pamięta, że jest również d'iversem, jednym, który jest wieloma. Któż może wiedzieć, ilu go jest? Być może ten tutaj rzeczywiście jest ostatni. Tak czy inaczej, spróbowałem odtworzyć nieprawdopodobnie starożytny i skomplikowany rytuał. Odkąd żywi sięgają pamięcią, nikt nie śmiał go odpra-

wiać, a i przedtem zdarzało się to bardzo rzadko. I udało mi się, choć na groteskowy sposób. Jestem d'iversem, sierżancie, ludzkim d'iversem. Przy życiu pozostało mnie czterech. Pozostali trzej zmówili się, by mnie uwięzić, ale wróciłem, a oni uciekli. – Wskazał wzgórek. – A teraz powiedz mi, czy to one?

– Tak.

Przytruchtali do nich trzej ludzie. Wszyscy krzywili się, spoglądając na brzeg rozdarcia, który wisiał już bardzo nisko nad ziemią. Tak bardzo nisko! Nait usiadł, a potem przywołał gestem przybyszy – Frykasa, Bluesa i Septa.

Niech nam Soliel pomoże! Cóż za żalosna kolekcja ulicznych żebraków!

Twarz Bluesa pokrywały siniaki, opuchlizna zasłaniała jedno oko. Frykas miał podarte ubranie, a kończyny czarne od zakrzepłej krwi zmieszanej z ziemią. Ucho i szyję Septa naznaczyła rana. Krew ściekała z niej na pierś.

– Zabierzcie ją stąd! – zażądał Nait, wskazując Turmalin.

Ho uniósł brwi. „Ją?” – zapytał bezgłośnie. Skinął jednak głową i przywołał gestem pozostałych. Turmalin uniosła słabo rękę i zamigała: „Nie”, ale to zignorowali. Złapali ją za kończyny i powlekli na bok. Ho został na miejscu. Spojrzał na Naita, unosząc pytająco brwi, lecz sierżant zbył go machnięciem ręki.

– Pora brać się do roboty.

Ho wyprostował się urażony.

– Ją! Tak! – Pochylił się nisko. – Jest jeszcze jedna! Strażniczka Tayschrenna! Niech ci Oponn sprzyjają!

Nait, który zdążył się już odwrócić, pokiwał głową. Otaczały go obłoki pyłu unoszone przez coraz silniejszy wiatr. Czuł, że podmuch szarpie jego oponczą. Położył się na boku i pochylił głowę, starając się ignorować kipiącą tuż nad nim pustkę.

Wyjął z torby drewniany kołek, mniej więcej szerokości małego palca. Następnie wepchnął go w ziemię wzgórek, najpierw szybko,

a potem bardzo powoli, aż wreszcie uderzył w coś twardego. Wycofał ostrożnie narzędzie, zostawiając otwór. Zebrał garść szarej gleby, splunął na nią i ulepił z niej kulę.

Duża przyczepność. Nie piasek i nie glina. Gęsta i powolna.

Odrzucił kulę na bok i nabrał drugą, mniejszą garść. Splunął po raz drugi i rozsmarował ziemię na dłoni.

Nie może przylegać za mocno.

Ulepił z niej wydłużony czop i wsunął do otworu. Następnie znowu wziął kolek i wepchnął powoli czop do środka, pukając lekko w narzędzie, aż napotkał opór.

Odetchnął głęboko. Podrapane, posiniaczone ręce cały czas mu drżały.

Spokojnie. Tylko spokojnie, Nait.

Spojrzał na rozdarcie. Było już cholernie blisko, ale czy to wystarczy? Jak długo ośmieli się jeszcze czekać? Popatrzył na złamane źdźbła trawy, które przemykały nad jego głową, wsysane w ryczący huragan, który szalał już chyba tylko kilka wzrostów mężczyzny nad głową sierżanta. Na próbę rzucił w górę garść ziemi. Nic nie spadło z powrotem.

Może to już wystarczy. Ale będzie tylko jedna szansa. A może... Nie! To cholernie powolna ziemia. Kto wie, ile czasu będzie potrzeba. Dobra. Zrób to.

Nacisnął kolek po raz ostatni, wyjął go i odrzucił w bok. Poleciał w górę i zniknął mu z oczu.

Cholera! Naprawdę jest blisko!

Pochylił się nad dziurą i wycisnął zatyczkę z kwasowego zapalnika. Powoli, boleśnie powoli, przechylił naczynko nad otworem. Patrzył, wstrzymując oddech, jak gęsta, lepka mieszanka zaczyna się wydostawać na zewnątrz. Pierwsza kropla zawisła na krawędzi rurki.

No, spadaj! Zachwiała się. Och, na miłość D'rek! Spadła.

W porządku. Jedna... może dwie. Tak jest, dwie. Lepiej się upewnić. Bardziej przechylił naczynko i druga kropla skapnęła powoli.

Cisnął zapalnik na bok i rzucił się do ucieczki. W pośpiechu popełnił jednak ten błąd, że się wyprostował. Coś złapało go z tyłu i pociągnęło w stronę wiru. Rzucił się na ziemię. Podmuchał zerwał mu hełm z głowy. Chwytał się trawy, posuwając się gorączkowo naprzód. Jego nogi uniosły się nad ziemię. Z jednej stopy spadł sandał.

Zostaw mnie, Kapturze! Twoja koścista łapa jest zbyt wolna!

Nie przestawał się czołgać, kalecząc dłonie o ostre trawy, aż wreszcie spadł do okopu. Przetoczył się i zerwał do biegu. Poruszał zawzięcie rękami, trzepocząc jednym sandałem. Wyobrażał sobie, jak gęsty kwas miesza się ze śliną, jak jego koncentracja rośnie tuż przy obudowie pocisku, którego dotknął. Sześć procent, siedemnaście, dwadzieścia osiem, pięćdziesiąt. Aż wreszcie zacznie się niepowstrzymana reakcja trawiąca skorupę. Już niedługo... niedługo...

Zwolnił, zatrzymał się i odwrócił. Czarno-szara kipiąca paszcza rozdarcia dotknęła ziemi. Tak mu się przynajmniej zdawało. Dudniący ryk, dziesięciokrotnie głośniejszy od słyszalnego dotąd hałasu, uderzył Naita w pierś i twarz z siłą młota. Sierżant zwałił się na ziemię. Podniósł się z furją, wymachując rękami. Ziemia mknęła w czarną paszczę z prędkością lawiny. Cholera! Wessało ładunki! Zastrane, pierdolone skurwy...

Światło. Podmuchał uniósł go w powietrze. Nait leciał, wymachując kończynami, pośród tumanów ziemi, kamieni i kłaczy. Potem padł na ziemię, gapiąc się na czyste, błękitne niebo.

Piękny. Jaki piękny wybuch.

* * *

Słyszał jakiś okropny hałas, niech to Otchłań. Dźwięk był tak głośny, że przebijał się przez dzwoniące uszy Naita. Tak głośny, że skłonił go do podniesienia głowy. Rozdarcie obracało się powoli. Zrobiło się wygięte i nieregularne. Rotacja jego granicy odsłoniła

wielki ubytek albo ukąszenie, tworzące własną, mniejszą spiralę pośrodku większej. Ta spirala kręciła się coraz szybciej.

Spróbował wstać, ale bezskutecznie. Usiadł ciężko, ręce opadły mu na kolana. Z nosa znowu skapnęła na grzbiet dłoni krew. Nawet okiem laika dostrzegął, że skaza ma kłopoty. Małała, ale wewnętrzna spirala rosła, jakby żywiła się zewnętrzną, która rozrzedzała się szybko. Jak wąż zjadający własny ogon. Na jego oczach ruch wirowy przyspieszył, spirala przerodziła się w zamazaną plamę. Rozdarcie zmniejszyło się kilkakrotnie. Ruch wirowy i zapadanie się przyspieszały z każdą chwilą, być może karmiąc się sobą nawzajem, aż wreszcie szczelina owinęła się wokół siebie i zniknęła.

Ha! Nait splunął zmieszaną z piaskiem plwociną. Pora się ruszyć. Spróbował wstać, ale nie udało mu się. Proszę bardzo. Może sobie chwilę posiedzieć. Popatrzeć na lunę. Ehe, tak właśnie robi. Wykonał niezłą robotę i tak dalej. Zastanawiał się, gdzie się podziała Turmalin. Może pora sprawdzić, jak Moranthowie zdejmują te zbroje.

Rozdział IV

Tajemnice nas intrygują. To, czego nie potrafimy łatwo zrozumieć albo wytłumaczyć, przyciąga naszą uwagę; wracamy do tego raz po raz. Z drugiej strony to, co proste i łatwe do pojęcia, szybko przyswajamy i lekceważymy. Dlatego właśnie ona wciąż nas intryguje. Opiera się wszelkim wyjaśnieniom, odmawia podporządkowania się naszym ludzkim, tchórzliwym, samolubnym pragnieniom wyjaśniania swych motywów. Bycia lubianym. „Rozumianym”. Rzecz jasna, to z tego właśnie powodu czujemy się śmiertelnie znieważeni i nienawidzimy jej.

Rozmyślenia o Laseen Eseista Quillian D'Ebrell, Arath

Opos nadal otaczał się odwracającymi uwagę zasłonami Mockra, choć ta grotta nie była jego najmocniejszą stroną. Wędrował jej krętymi ścieżkami tylko wtedy, gdy mogły wzmocnić Meanas, udoskonalić jej dary podstępny, iluzji i wprowadzania w błąd.

Pozostawał w ukryciu, ponieważ instynkt ostrzegał go, że to jeszcze nie koniec. Z pewnością nie, choć żołnierze śmiali się i świętowali w pośpiesznie wykopanych okopach pośrodku pola bitwy, a Laseen chodziła jawnie między nimi, z pozoru zupełnie niestrzeżona. Ludzie w ogóle nie zwracali na nią uwagi, z pewnością biorąc ją za zwykłego maga kadrowego albo szpona. Podeszła nawet do malazańskiego sierżanta, prosząc go o szmatę, i dostała brudny łachman, którym wytarła spoconą twarz i okrwawione dłonie. Opos był zaniepokojony. Co ona kombinowała?

Łaziła po wypalonym polu, rozwiązując po drodze spowijające ją pasma materiału i rzucając wystrzępione resztki na ziemię. Pod spodem miała jedwabną koszulę z krótkimi rękawami, której pot nadal ciemnozieloną barwę. Jej muskularne ramiona naznaczyły

siniaki i skaleczenia pozostałe po nocnych łowach. Ilu Zaprzysiężonych zabiła? Pięciu? Sześciu? Potem przyszła kolej na nogi. Laseen rzuciła pasma tkaniny, odsłaniając ciasne w kostkach jedwabne spodnie. One również nasiąkły potem. Jej krótkie kasztanowe włosy błyszczały, przylegając mocno do czaszki jak zwierzęca sierść.

Zatrzymała się na skraju krateru pozostałego po zdumiewającym wybuchu. Z poczerniałej gleby nadal unosiły się smużki dymu. Uniosła głowę, spoglądając przez chwilę na jasnoniebieskie, zwodniczo pogodne niebo. Nagle Opos zrozumiał. Ach tak. Jest ostatnia. Tay-schrenn zniknął, Choss poległ, Amaron zaginął bez śladu, a Urko ponoć uciekł, nim zdążono go aresztować lub, być może, ułaskawić. Została tylko ona. Gburka, czyli Laseen. Ostatnia żyjąca przedstawicielka pokolenia, które budowało na tak wielką skalę. Triumfatorka. Niekwestionowana władczyni. Cesarzowa.

Czyżby chciała podsunąć wrogom nieodparcie atrakcyjną przynętę – samą siebie – by zamknąć problem raz na zawsze? Opos wiedział, że nie on jeden ją obserwuje. Powiedziała mu o kimś jeszcze, znacznie lepiej ukrytym, kto czekał już od dłuższego czasu. Był przygotowany na zjawienie się jednego i tylko jednego mężczyzny. Taka była cena Laseen. Pytanie tylko, czy tamten połknie przynętę.

Z pewnością tak.

Opos poluzował ukryte w rękawach noże. Teraz. To z pewnością zdarzy się teraz. To będzie ostatnia okazja, nim armia przytuli Laseen do pokiereszowanej, krwawiącej, ale zwycięskiej piersi.

Rzeczywiście połknął przynętę, ale nie w taki sposób, jak spodziewał się tego Opos.

Nagle poczuł gwałtowne uderzenie w plecy. Potężny cios cisnął nim do przodu. Minęło parę cennych chwil, nim zdołał otworzyć oczy i zobaczył dwie sylwetki, splecione w tańcu o niezwykle choreografii.

To był ten, którego chcieli zwabić, jedyny, który pozostawał prawdziwym zagrożeniem. Zawsze już musieliby się go wystrzeżać. Mistrz

skrytobójców i wielki mag Karmazynowej Gwardii, rywal Tancerza sprzed lat, Czepiec.

Był naprawdę zdumiewający. Atakował odsłoniętymi nożami, a Laseen powstrzymywała go kopnięciami wymierzonymi w pierś i głowę. Czepiec skinął dłonią i powietrze zamigotało od magii grot, jak podczas upału. Moc jednak rozproszyła się w zetknięciu z cesarową.

Oczywiście. Pozostałości otataralowego proszku.

Ta bezskuteczna próba sprawiła, że Czepiec zapomniał o obronie. Cios w głowę zwałił go z nóg. Poderwał się jednak natychmiast i skoczył do ataku. Okręcił się wkoło, uderzając sztyletami w serii błyskawicznych cięć. Laseen uchylała się, uderzając rękami. Zdołała też trafić stopą w plecy maga. Jednakże z jej koszuli i spodni zwisały teraz pasy materiału. Krew spływała po jej ciele i skapywała z rąk.

Opos doszedł do wniosku, że czekał już wystarczająco długo. Wstał i otrząsnął się. Otrzymał straszliwy cios. Gdyby był celny, zabiłby go natychmiast, a i tak doprowadzi do jego śmierci, jeśli Opos nie poszuka pomocy uzdrowiciela. Miał jednak jeszcze czas. Gdy spowijał się Mockra, zawsze starał się wyglądać na o dobrą szerokość dłoni wyższego niż w rzeczywistości. Wyciągnął skryte w rękawach noże i włączył się do walki.

Gdy skoczył na Czepca, unosząc nogę, w wąskich jak szparki ciemnych oczach Zaprzysiężonego pojawił się błysk zaskoczenia. Mag odsunął się na bok, celując nożami w przeciwników. Ani Opos, ani Laseen nie wykorzystali jednak okazji. Oboje przykucnęli w pozycji obronnej. Skrytobójca pochylił nieco głowę, zastanawiając się nad tym. Nagle otworzył szeroko oczy.

Skoczył w bok, ale niewystarczająco szybko. Pojawił się ktoś nowy. Mężczyzna wyskoczył z groty i wyprowadził celne kopnięcie w bok. Czepiec zwałił się do krateru. Przybysz skoczył za nim. Był chudy jak szczapa, jego podarte ubranie łopotało na wietrze, a długie białe włosy miał brudne i splecione. Rzucił się do ataku. Obaj mężczyźni

wymieniali gwałtowne cięcia, wzbijali nogami obłoki pyłu, przetaczali się, próbowali chwytów i rzutów.

Wyprowadzone przez Czepca kopnięcie odrzuciło napastnika do tyłu, mężczyzna cisnął jednak w locie nożem i cienkie ostrze wbiło się w ciało skrytobójcy z Gwardii. Czepiec skinął dłonią i zniknął w grocie. Jego przeciwnik wylądował zgrabnie jak kot, powiewając białymi włosami, a potem podążył za nim.

Zaczął się pościg przez grotę i królestwa. Czepiec i Topper byli rywalami, nienawidzili się nawzajem już od pierwszego spotkania. Czy Topperowi uda się to, czego nie zdołał osiągnąć Tancerz, i czy stanie się najślawniejszym w swym fachu? Czy też zawsze będą to Tancerz i Czepiec, nigdy on? Czy jeszcze zobaczymy któregoś z nich? Mam nadzieję, że nie!

Opos osunął się na kolana, wspierając się na jednej ręce. Pierś przeszywał mu gwałtowny ból. Bogowie! Nie mógł oddychać! Był pewien, że to przebite płuco.

– Sprowadźcie uzdrowiciela! – zawołała Laseen do żołnierzy, którzy podbiegli do niej. Naprawdę robiła wrażenie zdyszanej. To byłby pierwszy taki przypadek.

Opos uśmiechnął się, chcąc zażartować na ten temat, ale nagle zauważył za brudnymi, usmarowanymi krwią stopami Laseen dwie inne – drobne, dziewczęce stópki w pięknych skórzanych pantofelkach.

O nie! Nie! Inni potrafią czekać równie cierpliwie!

Wyprostował się, choć w piersi zapłonął mu ogień, a przed oczyma pojawiły się mroczki. Laseen wpatrywała się przed siebie. W jej zwykle pozbawionym wyrazu spojrzeniu pojawiło się zdziwienie. Dziewczyna, która już dwukrotnie przedtem pokonała Oposa, odsunęła się od ofiary. Z długich sztyletów skapywała krew. Odśloniła ostre zęby w okrutnym uśmiechu.

– Zrobione! – zawołała triumfalnie i skoczyła.

Jej sztylety błysnęły, odbijając ciężkie noże rzucone zza pleców Oposa. Fale mocy magii grot odrzuciły ją do tyłu. Wiła się, warcząc i wymachując kończynami, na poczerniałej glebie krateru. Otworzyła się grot a dziewczyna wpadła do środka, zmieniając postać, przerażając się w coś innego.

Podbiegli do nich żołnierze i magowie. Opos klęczał obok cesarzowej, która osunęła się na kolana.

- Laseen - wydyszał, ledwie mogąc sformułować słowa. - Laseen...

W jej oczach nie widział błysku zrozumienia. Twarz przybrała łagodniejszy wyraz. Głębokie bruzdy, zrodzone z wielu lat nieustannej czujności i kalkulacji, zniknęły, odsłaniając lico z pozoru znacznie młodszej kobiety. Opos z pewnością nie nazwałby jej brzydką. Osunęła się na twarz, na spaloną zdeptaną ziemię. Magowie odepchnęli Oposa, uklękli i odwrócili ją na plecy. Ku niemu również wyciągnęły się ręce.

Zawiodłem. Miałem do wykonania jedno zadanie. Tylko jedno. I zawiodłem. I co mam teraz począć? Co jeszcze może mnie czekać?

Poczuł, że w jego ciało wnika uzdrowicielska magia Denul, łagodząc ból i przytępiając zmysły.

Drodzy uzdrowiciele, nie próbujcie mnie budzić.

* * *

Blask przyglądała się licznym szeregom kańskiej konnicy, nadciągającym z południa, by otoczyć ich pozycje. W jej piersi narastał niepokój. Za kawalerią maszerowały tysiące piechurów. Czy to były zwykłe środki ostrożności? Po zamknięciu skazy ostatni towarzyszący im malazański oficer, Urko, pozdrowił K'azza ironicznym pochyleniem głowy i oddalił się samotnie na zachód. Czyżby po zwycięstwie Laseen zamierzał znowu zniknąć? Bardzo możliwe.

- Czy my również odejdziemy na zachód? – spytała, zerkając na diuka.

Potrząsnął głową, splatając dłonie za plecami.

- Nie. Jeszcze nie. Wygląda na to, że dotąd nie wydano im żadnych rozkazów w naszej sprawie. Dopóki oni się nie ruszą, my również tego nie zrobimy. – Uśmiechnął się do niej uspokajająco. – Czasami kroki podjęte w obawie przed jakimś wydarzeniem same je wywołują. Ponieważ oni stali się teraz morzem, my będziemy górą.

Czysty K'azz. Nadal nie mogła się przyzwycząić do tego, że słyszy jego głos, jego słowa, płynące z ust starca o rzadziejących włosach i zapadniętych policzkach porośniętych siwą szczecina.

Przed Blask pojawił się Braciszek. Zauważyła ze smutkiem, że to Dymek. Pozdrowił ją i K'azza pochyleniem głowy.

- Ona nie żyje – oznajmił.

- Kto?

- Laseen.

- Co?! – zawołali jednocześnie wstrząśnięci Blask i diuk.

- To był zamach skrytobójczy.

- Czepiec! – warknął K'azz. – Musimy uciekać!

- Nie.

- Nie?

- Jego próba zakończyła się niepowodzeniem. Topper go zaskoczył, wypadając z Cesarskiej Groty. Obaj potem zniknęli. Nie wiadomo gdzie. Zapewne nadal walczą.

- Więc kto to był? – zapytała Blask.

- Nowy, nieznan talent. Nieludzki.

- Nieludzki?

- Powiedziałbym, że była mieszanej krwi. Pół człowiek, pół demon.

- Skąd?

- Nie mam pojęcia. Nie z Quon Tali. Ktoś musiał ją tu sprowadzić.

K'azz uniósł rękę.

- Dziękuję, Dymek. I... przykro mi.

Duch wzruszył niematerialnymi ramionami.

- Prędej czy później to musiało się zdarzyć. Przynajmniej śmierć była szybka.

Duch się rozproszył.

K'azz potarł z westchnieniem powieki kciukiem i palcem wskazującym.

- Całe szczęście, że to był ktoś obcy. W przeciwnym razie mogłoby się zrobić bardzo nieprzyjemnie dla nas. Niewykluczone, że i tak zapragną krwi.

- A Tayschrenn zniknął.

- Tak. - Potrząsnął głową ze szczerym żalem. - Jego obecność powściągała bardzo wielu. Obawiam się tego, do czego może teraz dojść. Niemniej... - Popatrzył na nią znacząco. - Nie byłbym taki pewien, czy on nie wróci.

Na pole wyjechały kolejne oddziały konnicy. Tym razem przybyły ze wschodu, traktem kupieckim wiodącym do Cawn. To była kawaleria prowincji cawnijskiej. Te siły również zajęły pozycje naprzeciwko Gwardzistów, od północy i wschodu. Żołnierzy było bardzo wielu.

- Gdzie były te armie dwa dni temu? - wyszeptła Blask, mimo woli myśląc na głos.

- Na szczęście gdzie indziej. - K'azz uśmiechnął się, ale potem skinął głową. - Było nam dane ujrzeć coś rzadko oglądanego, Blask. Zbiórkę sił rozległego imperium. Wygląda na to, że pod naszą nieobecność Malazańczykom udało się stworzyć polityczną i logistyczną całość... - Przerwał. Zmarszczki przy jego oczach pogłębiły się, gdy przymrużył powieki. Kąciki ust mu opadły. - To my jesteśmy teraz najeźdźcami, Blask. Quończycy nas nie chcą.

Odetchnęła. Razem z uciekającym z płuc powietrzem opuścił ją utrzymujący się w żołądku ucisk.

Dzięki wszystkim bogom, że to rozumie. Jest jeszcze dla nas nadzieja.

Rozejrzała się po reducie. Tak, zostali tu tylko Gwardziści oraz untański szlachcic towarzyszący Wickanom. Pojawili się rekruci z Baelu: Skradacz, Głusza i Weszka. Podeszli do Kyle'a. Sądząc z tego, co słyszała od K'azza, wszyscy czterej mieli nadzieję wrócić do Gwardii, coś jej jednak mówiło, że to się nie zdarzy. Zwiadowca, Skradacz, wskazał podbródkiem pole.

– Jest ich cholerna kupa. Słyszeliśmy wieści. Wicie, czy ktoś tam dowodzi? A jeśli tak, to kto?

– Lepiej, żeby to nie był Miecz – odezwał się ktoś w pobliżu.

Blask odwróciła się. To był ten untański szlachcic. Rillish?

– Dlaczego? – zapytał K'azz.

Mężczyzna zaczerpnął tchu, jakby zastanawiał się, od czego zacząć.

– Wickanie opowiedzieli mi, jak postępował na północy, w Siedmiu Miastach. Jest krwiożerczy. Nie zna litości. Każę zabić was wszystkich. Zapewne Wickan również. Nienawidzi ich.

– Z pewnością przelano już dość krwi... – sprzeciwił się z niedowierzaniem w głosie K'azz.

Blask przypomniała sobie spotkanie z Mieczem. Zaledwie wczoraj? Miała wrażenie, że to wydarzyło się w innym świecie, wiele lat temu. Tak jest, była skłonna zgodzić się z opinią untanina. Korbolo był człowiekiem, dla którego życie innych nic nie znaczyło.

– Ja i Oprawca spotkaliśmy się z nim – odezwała się. – Podczas rokowań. Kierując się tym, co wówczas usłyszałam, zgadzam się z Rillichem.

– Rozumiem. – K'azz zacisnął wąskie usta. – Rzecz jasna, z militarne-go punktu widzenia to ma sens... miałem jednak nadzieję, że osiągniemy polityczne rozwiązanie. Ale jeśli się nie uda... – Skinął na Blask. – Każ Braciszkom wezwać wszystkich magów.

Skinęła głową.

Podszedł do nich stary Wickanin. Jego gęste, siwe, rozczochrane włosy powiewały na wietrze. Poruszał się na krzywych nogach, trzymając rękę na gałce długiego noża. Uniósł szponiastą dłoń ku Rillishowi.

- Jesteś potrzebny na polu bitwy.

Untański szlachcic pokłonił się K'azzowi.

- Do zobaczenia, dowódco.

Diuk pochylił lekko głowę.

- Tak, mam nadzieję usłyszeć, jak zostałeś członkiem wickańskiego dowództwa. To z pewnością ciekawa opowieść.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Jestem przekonany, że twoja zainteresowałaby obecnych znacznie bardziej. Niech Pożoga strzeże twej drogi.

Zbiegł truchtem na dół. Blask odprowadzała go wzrokiem. Na szczycie zostali wyłącznie Gwardziści.

- Co planujesz zrobić? - zapytała K'azza.

- Myślę, że powinniśmy się przyjrzeć Cesarskiej Grocie - odparł, unosząc kącik ust w złośliwym uśmiešku.

* * *

Ho pozostał na miejscu, przyglądając się Malazańczykom, Falarczykom i Moranthom strzegącym zwłok cesarzowej. Otoczyli je nieoficjalną strażą, powstrzymując coraz gęstszy tłum, owinęli ciało czystą tkaniną, a potem zarekwirowali wóz do transportu rannych i ostrożnie ułożyli je na nim. Miejsce z przodu zajęła kobieta, którą spotkał na polu bitwy, strażniczka osobista Tayschrenna. Przedstawiła się jako Kiska. Sprawiała wrażenie wstrząśniętej, nie tyle odniesionymi ranami, ile utratą pracodawcy. Drugi ocalały agent Szponu, po uzdro-

wieniu z ran po prostu wstał i zniknął w kłębiącym się na polu bitwy tłumie.

Wszyscy magowie, którzy zebrali się tu, by powstrzymać Yatha, poszli swoimi drogami, z jednym tylko wyjątkiem. Ocalali Karmazynowi Gwardziści: Blues, Frykas, Sept, Gwynn i Palczak, wymknęli się dyskretnie, by dołączyć do swych braci i sióstr czekających na wzgórzu. Blues i Gwynn ponieśli Palczaka na noszach, jako jeszcze jednego z rannych. Kaptur wiedział, że było ich bardzo wielu. Wickańskie bliźniaki, czarownica i czarnoksiężnik, oddaliły się razem ze szwadronem, który przyprowadził dla nich konie. Su im towarzyszyła. Sądząc z tego, co udało mu się podsłuchać, była starszą kuzynką ich babki i być może najstarszą z żyjących Wickan.

– To jeszcze nie koniec! – zawołała do niego, siedząc na koniu przed wickańskim jeźdźcem. Jak zwykle musiała być enigmatyczna.

Pomachał jej ręką na pożegnanie.

Sabotażyści, w tym sierżanci Cykor i Urfa, siedzieli sobie spokojnie w okopach. Zdjęli hełmy i zbroje, a potem zajęli się opatrywaniem ran oraz wyludzaniem jedzenia i wody od kańskich bądź cawnijskich kawalerzystów, którzy wędrowali po polu bitwy, zbierając rannych oraz pamiątki.

Zostali tylko Ho oraz mag-kapłan, Heuk. Improvizowana gwardia honorowa ruszyła z wozem na północ. Ho skinął na drugiego maga, zapraszając go do przyłączenia się do konduktu.

– Chciałbym się przyjrzeć temu całemu Mallickowi, którym tak się zachwycają cawnijscy oficerowie.

Heuk ruszył obok niego.

– Nadal nie potrafię w to uwierzyć – stwierdził, wskazując wóz. Otarł brudnym rękawem równie umorusaną twarz i skrzywił się, spoglądając na gorejące słońce.

– Ja również. To wydaje się niemożliwe.

Ho czytał to samo z twarzy oszołomionych żołnierzy. Wszyscy zbierali się bez fanfar i bez rozkazów, podążając za wozem, jadącym

powoli na północ traktem kupieckim. Mag odnosił wrażenie, że dopiero teraz uświadamiali sobie, kim była dla nich cesarzowa. Stanowiła niezachwiane wsparcie, tak oczywiste, że nie musieli się nad nim zastanawiać. Niewykluczone, że to właśnie ona – bez względu na wszystkie swe wady – utrzymywała ich wszystkich razem. Po jej odejściu zerwanie z przeszłością stało się całkowite. Kto teraz zasiądzie na tronie? Kto będzie w stanie zająć to twarde, zimne, niebezpieczne miejsce? Kto się ośmieli? Nie przychodził mu na myśl żaden kandydat. Niemniej nie było go tu bardzo długo, a w imperialnej polityce nawet jeden dzień mógł być całą epoką.

Heuk spoglądał nań z ukosa. W jego oczach pojawił się nieprzyjemny wyraz kalkulacji.

- Imperium potrzebuje wielkiego maga...
- Wolałbym, żeby mnie żywcem obdarli ze skóry. A co z tobą?
- Ze mną? Ja jestem tylko magiem drużyny.

No jasne. Mag drużyny, którego wszyscy inni magowie panicznie się boją.

Nie odezwał się jednak. Każdy z nich miał swoje tajemnice, a wielu wołało anonimowość.

Kondukt dotarł w końcu do cawnijskiego obozu położonego obok skrzyżowania dróg. Zatrzymali się tam. Szlachcice z prowincji cawnijskich zebrali się, by złożyć wyrazy szacunku. Stawiło się też wielu imperialnych oficerów. Heuk pokazywał ich Ho, szepcząc pod nosem ich imiona:

- Ten blady, wysoki, to wielka pięść Anand. Obok niego stoi pięść D'Ebbin. Nie wiem, jak się nazywają Kańczycy i cawnijczycy.

Między oficerami przepychała się lektyka. Szedł przed nią olbrzymi, łysy Dalhończyk zakuty w zbroję. Ho i Heuk wymienili spojrzenia.

Bala. Chce się jak najszybciej wkraść w łaski nowej władzy.

Przyglądając się zebrany, Ho nie zauważył wśród nich żadnej dominującej postaci. Niemniej od pewnego mężczyzny wszyscy trzy-

mali się z daleka, otaczając go półokręgiem. Ho przyjrzał mu się uważnie. Z pozoru nieszkodliwy, niski, pękaty człowieczek z pewnością był Mallickiem Relem. Jego blada, okrągła twarz zastygła w wyrazie głębokiego żalu i smutku, Ho jednak dostrzegł pod tą maską starannie skrywany triumf.

- To bolesny dzień dla imperium - rzekł cicho Mallick do Ananda.

Wielka pięść, niewątpliwie cierpiący ból z powodu ran, spoglądał na niego z góry z wyraźnym niesmakiem.

- Dzień, który zapisze się w pamięci. - Mallick splótł dłonie na brzuchu. - Tak. I to nie tylko z tego, jakże ważnego, powodu. Choć bowiem opłakujemy utratę cesarzowej, musimy też radować się stłumieniem nieroztropnego powstania secesjonistów. A także rozbiciem naszych odwiecznych wrogów, najemników z Karmazynowej Gwardii. - Grubas spuścił wzrok w geście udawanej pokory. - Oto dziedzictwo pokoju i bezpieczeństwa, jakie zostawiła nam Laseen.

Bogowie, co on wygaduje?

Ho spojrzął na Heuka, który wznosił oczy ku niebu. Któż jednak nie zachwyciłby się tak jawnym tupetem?

- Mallick! - zabrzmiał niski, donośny głos.

Wszyscy zwrócili głowy w stronę, z której dobiegał. Korbolo Dom, Miecz Imperium, przepychał się przez tłum, podtrzymywany przez dwóch oficerów.

- Co jest grane, Mallick? - Miecz omiótł zebranych złowrogim spojrzeniem. - Co ma znaczyć ta zwłoka? Dlaczego nie przygotowujemy się do ataku? Nadeszła odpowiednia chwila! - Dyszał ciężko, spoglądając wszystkim kolejno w oczy. - Otoczyliśmy ich. Mamy przewagę liczebną. Musimy uderzyć! Ściąć wszystkim głowy! Obejmę dowództwo...

- Mieczu - przerwał mu cicho Mallick - cieszymy się, że jesteś z nami, ale sprawiają nam ból meldunki dotyczące bitwy z siłami Ligi Taliańskiej.

Korbolo wytrzeszczył oczy i rozdziawił szeroko usta, całkowicie skonsternowany.

– Co?

– Z wielu źródeł dotarły do nas wieści, że gdy twoja falanga poszła w rozsypkę, wycofałeś się na tyły. Czy zaprzeczasz tym doniesieniom?

– To prawda. Musiałem przejąć dowództwo nad innym oddziałem, by poprowadzić go do boju. Mallick, cóż to za głupoty? Tracimy czas...

Jednakże Falarczyk potrząsnął głową, opuszczając kąciki grubych ust, jakby musiał wykonać niemiły obowiązek.

– Przykro mi, Korbolo, ale gdy Miecz raz włączy się do walki, nigdy się nie cofa. Gdyby to zrobił, oznaczałoby to kapitulację całej armii imperium. – Mallick uniósł wzrok, spoglądając na zebranych oficerów. – Fakt, że nasi żołnierze nie pierzchli z pola bitwy, jest niezbitym świadectwem ich odwagi i hartu ducha. W związku z tym, jako radca imperialny i rzecznik Zgromadzenia, mam smutny obowiązek uwięzić cię do czasu, gdy sąd wojskowy będzie mógł rozpatrzyć te zarzuty.

– Co? – Miecz gapił się na Mallicka, poruszając ustami. Nagle skoczył na niego, ale złapali go dwaj ludzie, którzy do tej pory go podtrzymywali. – Ty... kreaturo! Nie możesz mi tego zrobić! Jestem Mieczem! Zwycięskim! To ja wygrałem tę bitwę! – Szarpał się w uścisku, wybałuszając oczy. Patrzył z wściekłością na zebranych oficerów. Jego napańska twarz pociemniała, z ust ciekła mu piana. – Jestem waszym dowódcą! Poprowadziłem was do zwycięstwa!

– Uciszcie więźnia – rozkazał Mallick.

Korbolo zakneblowano. Gdy go odprowadzali, kopał, wrywał się, bełkotał i próbował krzyknąć przez zatykającą mu usta szmatę.

Mallick potrząsnął ze smutkiem głową.

– Twoja mądrość i wyrozumiałość są dla nas wszystkich inspiracją, radco! – zawołała jakaś staruszka.

W oczach Mallicka pojawił się błysk. Omiótł spojrzeniem tłum, zatrzymując wzrok na jednej twarzy. Jego oczy zmieniły się w wąskie szparki.

- Wystap! - zawołał.

Wickańskie bliźniaki ruszyły naprzód, prowadząc Su między sobą. Ho napiął mięśnie, gotowy do akcji, ale Heuk go powstrzymał.

- Ach, Wickanie. Znowu się spotykamy. Ze wszystkich stron dochodzą mnie wieści, że to wasza szarża rozbiła Gwardię, otwierając drogę do imperialnego zwycięstwa. Z tego powodu wszyscy jesteśmy waszymi dłużnikami. I dziękujemy wam...

Su pokłoniła się mu lekko.

- Prosimy tylko o to, co prawnie należy do nas.

- Ach tak... oczywiście. - Mallick ponownie splótł dłonie na brzuchu. - Chodzi o tę nową, nieprzyjemną politykę dotyczącą waszych ziem. Była błędna i nieludzka. Rzecz jasna, zawsze się jej sprzeciwiałem.

Bliźniaki szarpnęły się naprzód z grymasami złości na twarzach, ale staruszka powstrzymała je, zaciskając dłonie na ich barkach.

- Być może zgodzimy się wydzierżawić te nowe imperialne posiadłości na dwadzieścia lat - zasugerowała. - To pozwoliłoby zapobiec dalszej przemocy oraz niepokojom.

Mallick wydał usta.

- Szczegóły, rzecz jasna, określi traktat.

- Oczywiście - zgodziła się Su, pochylając głowę.

Mallick machnął ręką w pobłażliwym geście.

- Zgoda. To by było wszystko. Możecie odejść.

- Twoja uczciwość i wyrozumiałość są wzorem dla nas wszystkich - zapewniła stara czarownica, kłaniając się nisko.

Gdy bliźniaki ją odprowadzały, Ho mrugnął do niej znacząco.

- Szlachetny radco! - zawołała z lektyki Bala.

- Słucham, wielki magu?

Wielki magu. Ho przeszył Heuka ostrym spojrzeniem. Staruszek ponownie wznosił wzrok ku niebu.

- Na wzgórzu otworzyły się liczne groty - oznajmiła kobieta.

Mallick pokiwał z zamyśleniem głową, a potem spojrzął na zebranych oficerów.

- Przekażcie Gwardzistom, że jesteśmy przekonani, że zginęło dziś wystarczająco wielu naszych dobrych, odważnych żołnierzy. Ta bezsensowna wendeta kosztowała już zbyt wiele krwi. Przemawiając, nieoficjalnie, w imieniu imperium, pozwalamy im się wycofać.

- To bardzo dogodne, że już to robią - mruknął Heuk.

Ho pochylił się, by mu odpowiedzieć.

- To będzie dobrze wyglądało w kronikach.

- Zmiatajmy stąd - odparł stary mag. - Mam już tego po dziurki w nosie. Jeszcze jedno jego oświadczenie i się porzygam. Chodźmy się napić z dobrymi, uczciwymi żołnierzami.

- Wyobrażam sobie te dzieła historyków - podjął Ho, gdy się oddalali. - Kellanved Groźny. Laseen Krwawa. I Mallick Dobrotliwy.

- Mallick Sprawiedliwy - podpowiedział Heuk.

- Magu kadrowy! - ryknął ktoś do nich.

Odwrócili się. Podążała za nimi lektyka Bali. Przed nią szedł olbrzymi, łysy, spocony Dalhończyk.

- Wielki mag wzywa was do siebie - oznajmił.

- To wystarczy, by skłonić mnie do wcześniejszego przejścia w stan spoczynku - mruknął Heuk.

Czekali, aż lektyka ich dogoni.

- Groten, pozwól im podejść! - zawołała Bala zza cienkich, białych zasłon.

Strażnik się pokłonił.

- Tak jest, pani.

Skinął na obu magów, nakazując im się zbliżyć.

Heuk westchnął i ruszył ku lektyce. Ho podążył za nim.

- Słucham, Bala - rzekł staruszek.

- Od tej pory masz się do mnie zwracać słowami „wielki magu”. - Bala rozparła się na poduszkach. Jej obfite kształty spowijały cienkie

jedwabie.

Ho zauważył, że sześciu krzepkich tragarzy poci się straszliwie od dźwiganego ciężaru.

Kobieta wachlowała się leniwie.

– Ponieważ jestem teraz wielkim magiem całego imperium, nie mogę tracić czasu na takie drobiazgi, jak kierowanie kadrą magów poszczególnych armii. W związku z tym mianuję cię szefem kadry Czwartej. Podlegasz tylko mnie. A ciebie... – wskazała wachlarzem Ho – ...nie chcemy w kadrze. Nie potrzebujemy takich jak ty.

– Są zbyt wielkim zagrożeniem, Bala? – zapytał stary mag.

– Nie zwracaj mi głowy bezsensowną gadaniną, Heuk. Życzę dobrego dnia. Audiencja skończona. Groten!

– Z drogi! – zawołał strażnik.

Mężczyzna odepchnął Ho, który odprowadzał wzrokiem oddalającą się powoli lektykę.

– Znam żołnierza, który natychmiast by zemdłał, gdyby ją teraz zobaczył – rzekł Heuk z zadumą w głosie. Skinął na towarzysza i ruszył przed siebie.

– A co z Laseen? – zapytał Ho.

– Mallick zapewne nie poskąpi wydatków na jej mauzoleum w Uncie. Ależ by się wściekła.

– Z jego punktu widzenia to pewnie dodatkowy powód, by to zrobić.

– A co z tobą? – zapytał Heuk.

– Wycofam się i zamieszkam w Heng. Dawno tam nie byłem. Bardzo dawno.

Heuk spojrział nań z ukosa, drapiąc się po rzadkiej, poplamionej brodzie.

– Naprawdę...?

– Ehe, naprawdę... Tak!

Staruszek poprawił niesiony pod pachą gliniany dzban.

- Skoro tak mówisz.

* * *

Kyle i bracia Zagubieni czekali, aż wszyscy Gwardziści przejdą przez bramę do Cesarskiej Groty.

Ostatni zrobili to K'azz, Blask, Shell oraz dwóch poważnie poturbo- wanych Zaprzysiężonych magów o imionach Blues i Palczak.

Podczas odwrotu żołnierze malazańskiej piechoty oraz oddziałów konnicy z Kan i Cawn przyglądali im się z uwagą. Unosili tarcze, ale miecze schowali w pochwach, a lance trzymali pionowo. K'azz podszedł do Kyle'a.

- Pozwalają wam odejść - stwierdził chłopak, wskazując otacza- jące ich szyki imperialnych wojsk.

Starzec skinął głową.

- Tak. Mallick z pewnością zamierza obciążyć Laseen winą za roz- lew krwi, raczej więc nie może go powiększać. Jesteś pewien, że nie chcecie iść z nami? Przyjmiemy was z radością.

- Dziękuję, ale nie. Niemniej bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby- ście zechcieli nas stąd przenieść.

- Rozumiem. A dokąd pragniecie się udać?

- Nie jestem pewien - odparł chłopak, wzruszając ramionami. - Musimy to przedyskutować.

- Proszę bardzo. Przekażę dowództwo w tym miejscu Shell. - Objął ramiona Kyle'a. - Tak czy inaczej, jestem ci winien więcej, niż potrafisz wyrazić. Zawsze możesz prosić Gwardię o pomoc. Tak?

Zawstydzony młodzieniec zbył to machnięciem ręki, skinął jednak głową na znak podziękowania.

K'azz podszedł do portalu, odwrócił się i pomachał do nich na pożegnanie. Kyle i bracia Zagubieni unieśli ręce. Blask również do nich pomachała i przeszła na drugą stronę. Blues i Palczak podążyli za

nią, a potem brama się zamknęła ze świstem powietrza. Shell, czekająca przy swojej, przywołała ich skinieniem dłoni.

- Polecono mi zabrać was w pewne miejsce.

Kyle uniósł brwi, wymieniając spojrzenia ze Skradaczem, Głuszą i Weszka. Ten ostatni podszedł bliżej, splatając dłonie.

- Dokąd się wybieramy, dziewczyno? Do Darudżystanu? Korelu? Arenu?

Uśmiechnęła się. Bruzdy wokół jej ust zaznaczyły się silniej.

- Przejdźcie pierwsi.

Kyle poczuł tylko przelotną dezorientację. Potem jego mokasyny dotknęły klepiska w pustym, dawno już porzuconym pomieszczeniu. Rozejrzał się, spoglądając na zakurzone ściany. Co to było za miejsce? Skradacz i bracia pojawili się znikąd i również się wzdrygnęli, sięgając po broń.

- Gdzie jesteśmy? - wydyszał Skradacz, zadając nurtujące wszystkich pytanie.

Głusza przykucnął pod otwartym oknem.

- Niech to Wieczny Lód! Nigdzie się nie przenieśliśmy.

- Co?

Wszyscy podeszli do niego.

- To pole bitwy!

- Widzę cawnijskie proporce.

Skradacz odsunął się od okna.

- Gdzie...

- W sanktuarium... - wyszeptał Kyle, rozglądając się. - Na tym wzniesieniu na wschodzie. Jak to Blask je nazwała?

- Sanktuarium Pożogi - odpowiedział Weszka.

- Dlaczego tutaj? - zapytał Skradacz.

- Dlatego że ktoś tu czeka - odezwał się ktoś.

Odwrócili się błyskawicznie, wyciągając broń z pochew, i zobaczyli jednego z Braciszków z Karmazynowej Gwardii.

- Przechył! – zawołał Kyle.
- Ehe, chłopcze.
- Co tu robisz, w imię Króla Wiatrów?

Cień podszedł bliżej, uśmiechając się szeroko. Miał na sobie kamizelkę, starą, za dużą koszulę i podarte spodnie, zupełnie jak za życia.

- Jestem z tobą, chłopcze.

Wszyscy schowali broń.

- Ze mną?

- Będę ci towarzyszył przez pewien czas. K'azz pozwolił.

- Tak samo, jak inni Braciszkwowie towarzyszą jemu?

- Ehe. Przez jakiś czas. Potem pewnie Śluby ściągną mnie z powrotem.

- Zupełnie jak w domu – mruknął Głusza do Weszki, który lypał tylko spode łba, nie odzywając się ani słowem.

- Dlaczego cię widzimy i słyszymy? – zainteresował się jak zwykle sceptyczny Skradacz.

Duch wzruszył półprzezroczystymi ramionami.

- Pewnie dlatego, że przez pewien czas służyliście w Gwardii.

- Nikt inny tego nie potrafi? – dopytywał się Głusza.

- Nie mam pojęcia. Nie jestem magiem. Pewnie tylko magowie albo kapłani Kaptura.

- To stanowczo za bardzo jak w domu – stwierdził Głusza, osłaniając usta ręką.

- Zamknij się – warknął Weszka. Otrząsnął się, strzepując pył z gęstej grzywy.

Kyle podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Zapadał już zmierzch. Na równinie płonęły ogniska.

Jest ich tak wielu. Skąd wszyscy przybyli?

- Zjawiliśmy się w tym miejscu dlatego, że ty tu byłeś?

Przechył podrapał się kikutem po skroni, zupełnie jak za życia.

– Nie. To ja podążam za wami. Tu czeka na was ktoś inny. Chodźcie. Zaprowadzę was do niego.

Kyle i bracia Zagubieni wymienili spojrzenia. Cień opuścił pomieszczenie przez jedno z otwartych drzwi. Po chwili wrócił i skinął na nich.

– Chodźcie. Tędy.

Skradacz wskazał Kyle'a, prosząc go, by ruszył pierwszy. Młodzieniec rozpostarł dłonie, jakby chciał powiedzieć, że nie ma z tym nic wspólnego, ale podążył przodem.

Przechył poprowadził ich przez labirynt opuszczonych pomieszczeń i korytarzy. Z niektórych zostały tylko przechylone mury pod otwartym niebem, w innych zaś było ciemno jak w zawalonej kopalni. Wszystko pokrywała wieloletnia warstwa kurzu.

Po pewnym czasie Kyle poczuł woń drzewnego dymu oraz przypalonego tłuszczu. Zatrzymał się, obejrzał na braci i dotknął palcem nosa. Pokiwali głowami i poluzowali broń w pochwach. Młodzieniec pochylił się i ruszył powoli przez szereg małych, mrocznych pokojów. Kierował się tam, skąd dobiegał trzask palącego się ognia. Po chwili zobaczył płomienie. Zatrzymał się, czekając, aż dogonią go bracia. Cień Przechyła zniknął przed nimi. Gdy już byli razem, Skradacz zamigał do Kyle'a, proponując, że on zajmie pozycję z prawej, chłopak z lewej, a Wieszka i Głusza pokryją środek. Wszyscy pokiwali głowami.

Policzyli bezgłośnie do trzech, unieśli broń i wpadli do środka. Pod ścianą pełnej odpadków komnaty siedział potężnie zbudowany mężczyzna. Paliło się przed nim małe ognisko.

– To ty, Kyle? – zapytał zdziwiony. – Skąd się tu wzięłeś?

Młodzieniec wyprostował się nagle. Broń wypadła mu z ręki.

– Szara Grzywa!

Jedno z oczu zasłoniły mu siniak i opuchlizna. Górną wargę miał rozciętą i obrzękniętą. Połowa jego twarzy przybrała sinofioletowy kolor, a włosy pokrywała zakrzepła krew. Zbroję rzucił w kąt pomieszczenia. Wskazał cień Przechyła.

- Wiedziałem, że to będzie Gwardzista, ale nie spodziewałem się ciebie.

- Dlaczego się tu ukrywasz? - zapytał chłopak, kucając obok ogniska.

Renegat opuścił wzrok z zażenowaną miną.

- No wiesz... imperium nadal oferuje nagrodę za moją głowę.

„Jego głowa jest warta beczułkę czarnych pereł” - przypomniał sobie Kyle. Skinął na braci.

- Dobra, pomożemy ci stąd zwać. Prawda, Skradacz?

Najstarszy z braci Zagubionych uniósł z westchnieniem dłoń do czoła.

- Jasna sprawa. Wygląda na to, że to nasza specjalność.

Głusza również przykucnął obok ogniska.

- Co się tu piecze? - zapytał.

- Królik.

- Chyba już jest gotowy. Można spróbować?

Szara Grzywa wyraził gestem zgodę.

- Powinniśmy ruszyć na południe - stwierdził Głusza, odrywając kawał mięsa i oblizując palce. Oparł potężne, włochate ręce na kolanach i zaczął jeść.

- Na północ - sprzeciwił się natychmiast Weszka.

- Ja zastanawiałem się nad zachodem - odezwał się lekko zdziwiony renegat.

- Północ mi się podoba - poparł Weszkę Skradacz, kiwając głową.

Głusza przełknął kęs mięsa i uniósł rękę, prosząc o ciszę.

- Wiecie co? Południe naprawdę byłoby lepsze.

Kyle uśmiechnął się, usiadł przy ognisku i zaczął rozwiązywać nogawice. Ta rozmowa może potrwać całą noc.

- Robisz sobie ze mnie jaja, tak? - zapytał Heuka Nait.

- Nie, to prawda. Słyszałem o tym od najróżniejszych ludzi.

- To znaczy jakich?

- Najróżniejszych.

- Cholera. - Sierżant z powrotem usiadł w chłodnym okopie. - Niech to szlag!

Podjechał do nich oficer kawalerii noszący cawnijskie barwy. Wyteżył wzrok, wpatrując się w coraz gęstszy, późnopołudniowy cień wypełniający okop.

- Szukam sierżanta Cykora - oznajmił.

Urfa wstała, skierowała na niego zezowate spojrzenie i odsłoniła w uśmiechu krzywe zęby.

- Ładny konik.

Podbródka, Kikuś i Kubło przydzwigali połamane fragmenty drewna i zwalili je na stos. Oficer skierował spojrzenie w ich stronę. Wyglądało na to, że zamierzają rozpalic wielkie ognisko.

- Chyba nie będziecie tu siedzieć całą noc?

- Będziemy - odparł Nait, wstając. - I co z tego?

- Jak rozumiem, wydano rozkazy zbiórki na wschód od szlaku kupieckiego. To jedno wielkie pole śmierci. Tu jest niezdrowo. I niebezpiecznie. Przyjdą szakale.

- Szakale nie lubią ognia - odparł ze śmiertelną powagą Nait.

Oficer zamrugał z niepewną miną.

- A więc tu nie ma sierżanta Cykora? - zapytał.

- Nie ma - zapewnił Nait. Skinał na Najmniejszego, który zasalutował mu, przechodząc obok. - Lim?! - zawołał do niego sierżant.

Barghast uniósł kciuk.

- Zapytaj w trzeciej kompanii - zasugerowała Urfa.

- A która to kompania?

Kobieta zmarszczyła brwi, co jeszcze pogłębiło jej zęza.

- Nie mam pojęcia. - Obejrzała się na okop. - Hej, bando nicponi!
Którą kompanią jesteście?

Z mroku odpowiedziały jej głosy:

- Chyba pierwszą.

- Czwartą.

- Nie, myślę, że pierwszą.

Urfa uśmiechnęła się krzywo i mrugnęła znacząco.

- Sam widzisz. Jesteśmy albo pierwszą, albo czwartą. Na pewno nie chcesz z nami zostać? Rozpalimy ognisko. Upieczemy ogromniastą rybę, upijemy się i pożegnamy ze wszystkimi przyjaciółmi.

- To brzmi uroczo - odparł z przekąsem cawnijski oficer. Pociągnął lekko za wodze. - W takim razie zostawię was waszym rozrywkom.

Urfa usiadła w okopie.

- Cholera. Był ładniutki. Lubię oficerów kawalerii.

- Znajdzie kapitana - ostrzegła ich Maja, leżąca na ostatnim słonecznym skrawku ziemi obok okopu.

- Prędzej czy później - zgodził się Nait i znowu przykucnął obok Heuka. Mag siedział na ziemi, tuląc do piersi gliniany dzban.

- Mówisz, że nie mogą jej zdjąć? Naprawdę?

Heuk pokiwał głową z przesadną emfazą, nie otwierając oczu.

- W żadnym wypadku. To niemożliwe.

- Cholera. - Sierżant wstał i przyjrzał się stosowi opału. - To ma być drewno na ognisko? Chcę go zobaczyć dwa razy więcej! Musimy znowu przejść się do wraku. Ruszajmy!

Cała jego drużyna podniosła się z chóralnym jękiem i powlokła za nim.

- Myślałem... sądząc z tego, co mówiła... no wiesz, że da się ją zdjąć.

„Nie” - poruszył ustami mag.

- To jak oni to robią?

Heuk wzruszył ramionami. Nait zaklął, cisnął na ziemię garść pyłu i się oddalił. Heuk otworzył jedno oko i odprowadzał go wzrokiem, uśmiechając się pod nosem.

Świetnie. Turmalin, jesteś mi winna trzy beczułki tego waszego destylowanego alkoholu. I lepiej dotrzymaj słowa, bo inaczej Nait może się dowiedzieć, że tę zbroję jednak da się zdjąć.

Rozdział V

Zasłane trupami pole ciągnęło się na kilka mil we wszystkie strony. Rzut powoli prowadziła niespokojnego wierzchowca między ogryzionymi przez padlinożerców zwłokami Seti. Wyglądali na martwych od dwóch dni. Smród zaczynał już słabnąć. Stada ptactwa zrywały się do ucieczki, tylko gdzieniegdzie na ziemi zostawały tłuste wrony albo kanie, zbyt obżarte, by chciało im się latać. Po łagodnych zboczach truchtały szakale i ich rywale, wilki.

Kolumna żołnierzy podążała bez słowa za nią, Rellem i Liss. Wiele wierzchowców dźwigało po dwóch jeźdźców, gdyż droga okazała się za trudna dla słabszych, bardziej chorych koni. Ponieważ zanosilo się na długi pościg, Rzut coraz poważniej zastanawiała się nad odesłaniem większości swych ludzi. W końcu widziała już Ryllandarasa i wiedziała, czego potrafi dokonać. Po co rzucać przeciwko niemu tych żołnierzy, jeśli o wszystkim i tak rozstrzygnie Rell oraz brzemień dźwigane przez jej wierzchowca?

Ryllandaras nie był też skłonny rzucać wyzwania tak licznej kolumnie. Był padlinożercą, a czasami oportunistycznym drapieżnikiem polującym na ludzi. Z pewnością będzie przed nimi uciekał przez bezkresną równinę dominującą nad centralną częścią Quon Tali, aż w końcu dadzą za wygraną. Albo osłabną na tyle, że staną się kuszącym celem. Jeśli odeśle większość ludzi, zostawiając,

powiedzmy, dziesięciu... może wtedy wydadzą mu się atrakcyjniejszym łupem.

Dotarli do głównego obozowiska Seti: poszarpane, opuszczone wigwamy, zdeptane ogniska, porzucony sprzęt i zabici. Mnóstwo zabitych. Mężczyźni, kobiety i małe dzieci. Wszystkich zmasakrowano, a potem zostawiono. Liss wyciągnęła rękę przed siebie. Rzut wyteżyła wzrok, osłaniając dłonią usta i nos przed muchami. Czekali na nich koń i jeźdźcie. Skierowała kolumnę w tamtą stronę. Wysoki, masywny mężczyzna miał ciemną, niebieskoczarłą skórę Napańczyka. Był odziany w kosztowny poczerniany kolczy płaszcz. Był też stary, jego kręcone włosy siwiały. Rzut uniosła pięść, nakazując ludziom się zatrzymać. Wszyscy zsiadli z koni. Usłyszała, że sierżant Banath rozkazał poszukać ocalałych, a także żywności i wody.

Podeszła do mężczyzny, który przywitał ją pochyleniem głowy. Jego wygląd sugerował, że rzeczywiście może być tym, za kogo go uważała. Jej podejrzenia potwierdzała też nieufna, niemal zrezygnowana mina nieznanego. Wskazał tyczkę wbity w ziemię obok wielkiego dołu na ogień. Wieńczyła ją makabryczna ozdoba, ludzka głowa ogryziona przez padlinożerców. Oczy i język zniknęły bez śladu.

- To Imotan - oznajmił mężczyzna. - Szaman Związku Szakali.

- Miałeś z tym coś wspólnego?

Potrząsnął głową.

- Nie. Przyjechałem to zrobić, ale Ryllandaras mnie ubiegł.

- Ryllandaras? Dlaczego?

- Imotan próbował nałożyć na niego przymus - wyjaśniła Liss, zatrzymując się obok Rzut. Pochyliła głowę w ostrożnym geście pozdrowienia. - Witaj, Amaron.

Śmieje się, Kapturze! To on. Człowiek, który rozkazał ją zabić i który razem ze swymi kumplami ze Starej Gwardii był odpowiedzialny za śmierć wszystkich zabitych w Heng. W tym również Drżączki. Odwróciła wzrok ku niebu, mrugając, by oczyścić oczy z łez.

Rell przystanął obok niej, przyglądając się nieufnie Amaronowi.

– Po co tu przyjechałeś? – zapytała prosto z mostu Liss. W jej głosie pobrzmiwało znużenie.

– Chciałem odpowiedzieć na morderstwo.

Z ust Rzut wyrwał się piskliwy śmiech.

– Słucham? Morderstwo? Tylko jedno? – Rozpostarła szeroko ręce.
– Rozejrzyj się!

– Nie masz prawa nikogo oskarżać, Rzut – odparł głosem twardym jak żelazo.

Jej śmiech ucichł nagle, jakby coś uderzyło ją w twarz, złapało za gardło.

– Był dobrym przyjacielem i dobrym człowiekiem – ciągnął Amaron. – Zaprzyjaźnił się z Seti i nie powinien był zginąć w ten sposób.

Liss skinęła głową, akceptując jego słowa. Odgarnęła z twarzy pozlepiane, przetłuszczone włosy.

– A teraz...?

Napańczyk spuścił wzrok, odetchnąwszy głęboko.

– Proszę, byście mnie przyjęli do swojej drużyny.

Rzut znowu się roześmiała – z jego zdumiewającej beczelności, swej oczywistej winy, albo z jednego i drugiego. Sama nie była tego pewna. Liss milczała, przenosząc spojrzenie z Rzut na Rella. Twarz szamanki niczego nie wyrażała.

– Może się nam przydać – stwierdził Rell, krzyżując ramiona na piersi.

* * *

Rozbili obóz w niewielkiej odległości od pola śmierci. Z nadejściem zmierzchu szczenie szakali i wycie wilków zbliżało się coraz bardziej. Rzut wystawiła podwójne straże.

– Chyba nie spodziewasz się go dzisiejszej nocy, co? – zapytał sierżant Banath, gdy zasiedli wokół ogniska, gryząc suchary znalezione

w obozie Seti.

– Nie spodziewam. Po prostu jestem ostrożna.

– A czy nie może okrążyć nas i wrócić do Heng?

– Nie robi tego, dopóki go ścigamy – zapewniła Liss. – W tej chwili wydajemy się mu znacznie atrakcyjniejsi.

Banath uniósł brwi w geście sugerującym, że wolałby o tym nie wiedzieć. Rzut zerknęła z ukosa na siedzącego przy swoim ekwipunku Amarona.

* * *

O świcie Rzut usłyszała gwizd, a potem głos jednego z wartowników. Wstała od dogasającego ogniska, ściskając w rękach kubek letniej herbaty, by je ogrzać. Rell podbiegł do niej truchtem. Miał broń i pełną zbroję, a nawet opuścił zasłonę hełmu.

– Co się stało? – zapytała.

– Zbliży się czterech jeźdźców!

– Seti?

– Nie.

– Gotuj broń! Kuszniczy!

Rzut wylała herbatę, wessała powietrze przez zęby i podała kubek adiutantowi. Gdy wyszła na spotkanie przybyszów, dołączył do niej Amaron. Nadal spoglądała na niego z nieufnością.

Na jego ustach wykwitł wąty uśmiešek.

– Nie ma powodów do obaw – zapewnił. – Znam jednego z nich.

– To twój przyjaciel?

– Tak.

Rzut nie wiedziała, czy to ją uspokoiło, czy wręcz przeciwnie. Jeźdźcy zbliżali się i musiała przyznać, że wyglądają imponująco. Trudno by było znaleźć bandę groźniejszych twardzieli.

Amaron podszedł ich przywitać. Jeden zeskokczył z siodła i obaj się uściskali. Trzej pozostali zsiadli z głośnymi jękami. Prostowali plecy i przytupywali. Rzut zauważyła, że wszyscy są raczej wiekowi.

Rell podszedł do niej i skrzyżował ramiona na piersi. Amaron doprowadził bliżej czwórkę przybyszów.

- Urko - rozpoczął prezentację, wskazując muskularnego mężczyznę o kwadratowej twarzy i srebrnych, ostrzyżonych na jeża włosach. Bogowie, to był sam stary dowódca we własnej osobie. - Starszy sierżant Wyłam Ząb.

Wskazany pokłonił się. Gęste, wydatne brwi niemal całkowicie zasłaniały mu oczy.

- A to są, hmm...

Jeden z dwóch pozostałych mężczyzn, z pewnością malazański weteran, pochylił opaloną, łysiejącą głowę.

- Harcik.

Ostatni, stary i krzepki wojownik Seti, ukłonił się od niechcienia.

- Słodka Trawa.

Rzut przedstawiła siebie, sierżanta Banatha i Rella. Liss gdzieś zniknęła.

Weteran, który przedstawił się jako Harcik, uścisnął dłoń Rella.

- To ty powstrzymałeś Ryllandarasa?

Młody mężczyzna skinął głową. Harcik i Seti wymienili przeciągłe spojrzenia.

- W czym możemy ci pomóc? - zapytała Urka Rzut. - Jak rozumiem, na południu wszystko się już rozstrzygnęło. Czy nie powinneś się stąd ulotnić?

Weteran ze Starej Gwardii mógł nie brać udziału w oblężeniu Heng, ale walczył po tej samej stronie co oblegający. Urko potarł głowę naznaczoną licznymi bliznami dłonią, krzywiąc się z niezadowolaniem.

- Hmm, chcieliśmy się przyłączyć.

- Przyłączyć?

- Tak. Do łowów na Ryllandarasa. Chcemy dostać jego głowę.

- Dlaczego?

- Widzieliśmy szpital polowy, dziewczyno - wyjaśnił Wyłam Ząb. Urko skinął głową.

- Wieści o tym dotarły do mnie po bitwie. Poszedłem zobaczyć to na własne oczy. Zmasakrował setki rannych żołnierzy. Bezbronnych mężczyzn i kobiet. Popenił błąd. Coś takiego nikomu nie może ująć na sucho.

- Będziemy go ścigać z wami albo bez was - dodał Harcik.

Zrobiliby to. Tylko we czterech. Oponn, brońcie! Teraz mogli mieć szansę.

Rzut skinęła niezobowiązująco głową.

- Zobaczymy. Na razie, witajcie.

Skinęła dłonią, zapraszając ich do obozu.

* * *

Liss spacerowała sama po prerii. Jej liczne spódnice muskały trawę. Rześki wietrzyk poruszał gęstymi, pozlepianymi włosami. Na nagich, tłustych ramionach uwidaczały się grube żyły oraz intensywnie czerwone otarcia. Rzut podeszła bliżej i zobaczyła, że szamanka patrzy w dół, grzebiąc w ziemi obutą w sandał stopą.

- Co się stało?

Staruszka zaczerpnęła głęboko tchu. Odwróciła się, jakby patrzyła na horyzont, lecz jej spojrzenie nadal zwracało się do wewnątrz.

- Nocą nadeszła wiadomość od Jedwabia. Storo nie żyje.

- Co?! - zawołała zdumiona Rzut.

Liss wlepiła w nią spojrzenie ciemnych oczu.

- To było zakażenie kości. Nie zauważyli tego na czas. Rany po ukąszeniach Ryllandarasa zawsze paskudnie się paprzą. Przykro mi.

Chcą, żebyś wróciła, Rzut. Zajęła się odbudową. Może powinnaś zostawić to tutaj Urkowi i jego kumplom. Wiem, kim są ci dwaj. Całkiem możliwe, że sobie poradzą.

Rzut oddaliła się jednak chwiejnym krokiem. Nie. To nie mogła być prawda. Kiedy go ostatnio widziała, żył. Był słaby, ale wracał do zdrowia. To nieprawda. Szła przez gęstą trawę, niczego nie widząc. Miała się zająć odbudową? To z pewnością żart. Zniszczyła wszystko. Uwolniła potwora, największego zabójcę ludzi na świecie. A co z kłątą? Czy rzeczywiście istniała? Kto z tych, którzy uczestniczyli w jego uwolnieniu, pozostał przy życiu? Ona, Jedwab i Rell. Podczas ich pierwszego spotkania Liss nazwała ją jednak Budowniczym. A jak patrzyła wówczas na Rella? Czy to był szacunek? Podziw? Rzut zatrzymała się nagle. Co, jeśli staruszka rzeczywiście była jasnowidząca, patronką tych, którzy widzą przyszłość?

Zawróciła i podeszła do Liss. Szamanka odwróciła twarz, nie chcąc jej patrzeć w oczy.

- Czy widziałaś nasz sukces? Czy pokonamy Ryllandarasa?

Liss uniosła podbródek, kierując ku niej bładą, obrzękłą twarz.

- Widziałam jedną drogę, która może was zaprowadzić do zwycięstwa.

- To wystarczy.

Rzut poszła poszukać sierżanta Banatha.

Rozkazała mu wrócić do domu z kolumną konnicy. Zatrzyma tylko niewielką straż osobistą. Rzecz jasna, sprzeciwiał się. Nie chciał jej posłuchać. Nie ustępowała jednak i później tego samego dnia dwie kolumny ruszyły w różne strony. Zdecydowanie większa kierowała się na południowy zachód, a znacznie mniejsza na północny zachód.

* * *

W ciągu kilku następnych dni Rzut zawarła swego rodzaju ugodę ze swą kłaczą. Zaakceptowała myśl, że być może zwierzę jej nie zabije za

zniewagę, jaką było dosiadanie go. Ze swej strony była skłonna przyznać, że koński ród może niekiedy być użyteczny dla ludzkości.

Rankiem trzeciego dnia Liss oznajmiła, że nocą Ryllandaras był blisko. Obserwował ich. Rzut podejrzewała, że człowiek-szakal zastanawia się, czy są po prostu absurdalnie pewni siebie, czy też stanowią realną groźbę. Szamanka była przekonana, że albo zaatakuje najbliższej nocy, albo zlekceważy ich i wróci do polowania. Oznajmiła, że zamierza go zwabić.

Tym razem Liss objęła kierownictwo nad przygotowaniami. W ciągu ostatnich dni spędziła wiele czasu na rozmowach z wojownikiem Seti, Słodką Trawą, i z jego grubo ciosanej twarzy zniknął wyraz zwierzęcej nieufności. Wydawała się teraz zamyślona, o ile coś takiego w ogóle było możliwe.

Kazała im zbierać drewno przez cały dzień, by rozpaścić potężne ognisko. Gdy nadszedł wieczór, skierowała kilku towarzyszących im jeszcze regularnych żołnierzy do pilnowania koni. Skinęła na Rzut, nakazując jej pójść z nimi. Ta nie ruszyła się z miejsca.

– Idź, Rzut. Nie jesteś weteranem, jak oni. Musisz usunąć się na bok.

– Potrafię walczyć.

– Nikt w to nie wątpi. Proszę. To dla mnie ważne.

Rzut wskazała ręką na południe. Zamierzali tam spętać konie, w bezpiecznej odległości od ogniska.

– Chcesz, żebym tam poszła? Proszę bardzo! Ale gdy tylko coś usłyszę, zaraz wrócę!

– Dziękuję.

Urko podszedł do nich i skinął głową do Liss.

– Zbliża się wieczór – oznajmił, wsuwając pod pachy szerokie, łopатовate dłonie. Jego ramiona były grube jak uda Rzut. – Amaron mówi, że powinniśmy wysłuchać twojego planu. – Uniósł brwi. – To jak on wygląda?

- Ukryjcie się w trawie, otaczając szerokim kręgiem ognisko. Gdy zjawi się Ryllandaras, otoczycie go. Nie pozwalajcie mu się oddalić od ognia. Jeśli do tego nie dopuścicie, nie zdoła uciec.

- Naprawdę? - Mężczyzna opuścił z niedowierzaniem kąćki grubych ust. - I to wszystko?

- Tak. Pod warunkiem, że wykonacie swoje zadanie i nie pozwolicie mu się przedostać.

- Och, zrobimy swoje. Możesz być tego pewna.

Odszedł, drapiąc się po głowie.

Rzut wysłuchiwała tego wszystkiego z grymasem znudzenia na twarzy.

- A ty? - zapytała. - Gdzie będziesz?

- Przy ognisku, Rzut.

- Przy ognisku? - Młodsza kobieta wpatrzyła się w gęstniejący mrok. - Z nim? Co to ma być za plan? Po co w ogóle miałyby się zbliżyć do ognia? Czy nie mówiłaś, że to oportunistyczny drapieżnik? Dlaczego nie miałyby zaatakować żołnierzy pilnujących koni?

- Dlatego, że go przywołam - wyjaśniła staruszka, uśmiechając się skromnie.

Rzut gapiła się na nią, nie wierząc własnym uszom.

- Przywołaś go? Co to znowu za bzdura? Rozszarpie cię na strzępy.

Szamanka uśmiechnęła się szerzej.

- Nie zrobi tego, dopóki będę tańczyć, Rzut.

- Tańczyć? - Odwróciła się ku pozostałym. - Rell, przemów jej do rozsądku. Widziałeś, co on potrafi!

- Stare legendy Seti mówią... - zaczął Słodka Trawa, drapiąc się po policzku.

- Och, zamknij się!

Liss uniosła rękę.

- Nie obawiaj się, Rzut. Dam sobie radę. Zapominasz, że jestem jasnowidzącą i tancerką świtu.

Chyba raczej byłaś.

Rzut omiotła ją spojrzeniem od stóp do głów.

- Liss, wspominam o tym z przykrością, ale nie jesteś już młodą dziewczyną.

Staruszka parsknęła głośnym, ochryłym śmiechem.

- Piękno nie jest we mnie, lecz w magii tańca, Rzut. Idź już zająć się końmi.

Przekłete konie! Co one mnie obchodzą?

Wykonała jednak polecenie.

Rell potruczał za nią.

- Nie przejmuj się. Jeśli bestia się zjawi, otoczmy ją i wykończymy.

- Dziękuję. Miej oko na Liss.

- Jasne.

- Ostrzeż Urka i jego chłopaków, że przyjdę. I to z ładunkiem!

- Tak, Rzut. Wszyscy widzieliśmy twój bagaż.

- Dobra. W takim razie w porządku. Niech ci Pożoga sprzyja.

- Seguleh nie uznają pojęcia przypadku ani szczęścia, ale i tak ci dziękuję.

Oddalił się truchtem.

Rzut spojrzała ze złością na wierzchowce i pilnujących ich żołnierzy.

Konie. Nie potrafię uwierzyć, że muszę pilnować przeklętych przez Kaptura koni.

* * *

Nastała noc. Rzut wyznaczyła strażę, a potem zaczęła ładować torbę. Przebijacze, ile tylko się zmieści. I dwa - nie, lepiej trzy - wstrząsacze.

To powinno wystarczyć, by wysłać go do Otchłani. Na każdy dobiegający z mroku dźwięk zrywała się na nogi. Wpatrzyła się w ciemność. Rozpalone przez Liss ognisko rysowało się jasną plamą na tle nocy. Rzut usiadła i po raz kolejny sprawdziła broń.

Konie zarżały nerwowo, szarpiąc wbite w ziemię paliki. Ludzie podeszli do nich, by uspokoić je szeptem. Rzut wytężyła słuch. Czy coś tam było? Jakiś dźwięk? Odległy pomruk?

Podsłuchiwała, słysząc nagłe, ochryple warknięcie. Konie kwiczały, stawały dęba i młóciły kopytami, plącząc się w sznury.

– Zajmijcie się nimi! – zawołała, a potem złapała torbę i pognąła w stronę ogniska. Dyszała ciężko, poruszając miarowo jedną ręką. Drugą podtrzymywała wypchany bagaż. Wbiegła na wzgórze i spojrzała w dół.

Między nią a sypiącymi skrami pod niebo ogniskiem rozciągała się wizja rodem z legend. Mężczyźni rozłożyli szeroko ręce, poruszając się z boku na bok, i otoczyli kręgiem potwora. Gdy stanął na tylnych łapach, był trzy razy wyższy od nich. Uderzał pazurami z głośnym rykiem. Za nim widziała sylwetkę Liss. Szamanka tańczyła wokół ogniska, wirowała, unosiła ręce nad głowę. Bez względu na to, z której strony próbował jej dosięgnąć ludojad, zawsze zasłaniał ją ogień.

Rzut gapiała się na to urzeczona. Przyszło jej do głowy, że w pieśni trubadurów magia tańca przywróciłaby teraz Liss postać młodej, gibkiej dziewczyny, a jej uroda urzekłaby potwora. To jednak nie był dworski romans. Szamanka pozostała niekształtną staruszką o grubych ramionach i wydatnym brzuchu. Mimo to sam taniec był piękny, jej ruchy wywoływały hipnotyzujące wrażenie. Skąd Liss wzięła taką grację? Taniec wabił ludojada. Z pewnością była to starożytna magia. Jakiś dawny rytuał przywołania.

Rzut była tak zafascynowana, że zapomniała o walce. Sześciu mężczyzn ruszyło do ataku na bestię. Ryllandaras ryknął z wściekłości i zamachnął się długimi, muskularnymi ramionami, by odtrącić ich na bok. Żaden jednak nie padł. Ciosy potwora odbiły się od szerokich

tarcz bądź napotkały ostre żelazo. Ludojad znowu wspiął się na tylne łapy i walnął długim ramieniem Harcika. Pochylił się, by chwycić oszołomionego mężczyznę w paszczę większą niż koński łeb, ale Wyłam Ząb osłonił towarzysza. Miał wielki dwuręczny miecz, którym odbijał szaleńcze ciosy Ryllandarasa. O dziwo, Harcik wstał, strząsnął z ręki resztki tarczy i wydobył drugi miecz. Potem przyszła kolej na wojownika Seti. Słodka Trawa skoczył naprzód z głośnym okrzykiem bojowym. Zaatakował bliższą nogę Ryllandarasa. Chciał przeciąć pęciny! Potwór odrzucił go jednak kopnięciem. Rzut niemal słyszała trzask pękających żeber.

Przypomniała sobie o trzymanym w ręce przebijaczu. Omal nie parsknęła śmiechem na widok małego pocisku. Nie! To nie wystarczy... Ruszyła w dół stoku, szukając w torbie wstrząsacza.

Za Ryllandarasem, tam, gdzie tańczyła Liss, w mroku nocy pojawiły się drobne fale. Rzut wyteżyła wzrok. Co to było? Rytuał? Czemu miał służyć? Zapomniała jednak o tym, gdy Ryllandaras wyprostował się nagle, dźwigając na plecach Urka. Podskoczyła z radości, omal nie upuszczając wstrząsacza. Któż by w to uwierzył? Z pewnością nikt inny nie potrafiłby dokonać takiej sztuki. Stary dowódca wsunął potężnie umięśnione ramię pod paszczę bestii. Potwór ryknął ochryple, próbując zerwać go pazurami. Pozostali rzucili się do ataku, unosząc broń. Ryllandaras zaczął się krztusić. Wybałuszył gorejące karminowym blaskiem ślepie. Osunął się na kolana, a potem wsparł się na pokracznej, pazurzastej dłoni. Urko wykrzywił poczerwiałą z wysiłku twarz, zaciskał pięść na łokciu drugiej ręki, nie przestając wzmacniać uścisku. Rzut nie wierzyła własnym oczom. Czy to było możliwe? Człowiek-szakal, klątwa Quonu, brat Treacha, uduszony przez śmiertelnika? Rzecz jasna, słyszała opowieści o legendarnych czynach Urka, ale Ryllandaras był czymś w rodzaju siły natury.

Człowiek-szakal machnął szaleńczo łapą, zmuszając pozostałych przeciwników do odwrotu. Potem sięgnął za głowę, wysuwając

pazury, i szarpnął. Urko poleciał, koziołkując, w górę i zniknął w mroku. Rzut usłyszała łoskot jego upadku.

Amaron zawył z wściekłości i rzucił się do szarży. Potężny cios przeorał bok człowieka-szakala, zmuszając go do cofnięcia się o krok. Bestia wyrwała jednak przeciwnikowi broń i uderzyła na odlew pazurzystą łapą w pierś potężnego mężczyzny. Amaron zakręcił się wkoło, syjąc na wszystkie strony kawałkami rozdartej kolczugi i plamiąc zdeptaną trawę krwią.

Rzut nie przestawała się zbliżać. Słyszała już wysilone oddechy i stęknienia bólu walczących mężczyzn. Choć odnosiła wrażenie, że Ryllandaras zaraz wszystkich pozabija, bestia spróbowała ucieczki. Rell zagroził jej drogę i zmusił do powrotu do ogniska. Jego miecze błyszczały w blasku ognia. Wyłam Ząb zamknął krąg, wspierając młodego szermierza. Ryllandaras odwrócił się z typową dla siebie zdumiewającą prędkością. Jego szczęki drasnęły bark pochylonego przeciwnika. Weteran zwałił się na plecy, rycząc z bólu. Słodka Trawa wstał. Utykał, trzymał się za pierś, a podbródek miał ciemny od wykasłanej krwi. Mimo to ruszył do ataku, trzymając w obu rękach długie noże.

Zza ogniska wychynęła Liss i znowu przywołała zwierzoluda skiniem. Bestia się odwróciła. Rzut miała wrażenie, że dostrzeża w jej ruchach niepokój. Ryllandaras skoczył ku szamance, ale ta odsunęła się poza jego zasięg. Jej sylwetka falowała jak miraż wywołany gorącym. Migotliwa obręcz światła otaczająca ognisko gorzała teraz złotokarmazynowym blaskiem, jaśniejszym niż płomień. Ryllandaras cofnął się przed tą poświatą, ponownie zwracając się ku ocalałym przeciwnikom. Harcik pochylił się nisko, w jednej ręce unosząc długi miecz, a w drugiej ciężki lewak. Rell również rozłożył ręce. Jeden z jego mieczy niemal dotykał oręża weterana. Słodka Trawa postąpił podobnie, przestępując z nogi na nogę.

Potwór stanął na tylnych łapach, prostując się na całą olbrzymią wysokość, otworzył paszczę o czarnych wargach i wydał z siebie ryk, pełen frustracji oraz żądzy krwi, ogłuszając Rzut. Skoczył na Słodką

Trawę i obalił go na ziemię, ale Harcik uderzył ciałem w bestię, jak człowiek podtrzymujący walącą się wieżę. Czarne pazury Ryllandarasa rozerwały kolczugę i zbroję na piersi mężczyzny. Weteran osunął się na kolana. Rell skoczył do ataku, uderzając oboma mieczami. Człowiek-szakał cofnął się o krok i zawył z bólu. Wodził nerwowo wzrokiem w poszukiwaniu drogi ucieczki. Rell nie przestawał naciskać. Parł naprzód, a jego miecze lśniły jak płynny ogień w blasku padającym teraz na grzbiet Ryllandarasa.

Bestia obejrzała się. Wybałuszyła ślepią, błyskając białkami. Rell skoczył naprzód, wbijając miecz głęboko w porośnięty futrem brzuch potwora. Zwierzolud zatoczył się z wrzaskiem do tyłu, po raz ostatni uderzając Genabackanina łapą. Rell padł z nóg, hełm zleciał mu z głowy. Bestia również straciła równowagę, wpadła w krąg falującego światła i zniknęła.

Rzut gapiła się na to ze zdumieniem. Wstrząsacz ciążył jej w spokojnej dłoni. Nikt poza nią nie stał. Tylko Harcik klęczał. Zwieszał nisko głowę, kołysząc się z boku na bok. Wirujący, roziskrzony pierścień, brama, czy co to było, co przywołała Liss, pękł z gwałtownym podmuchem. Skry posypały się kaskadą z ogniska.

Rzut ruszyła chwiejnym krokiem przed siebie.

– Liss? Rell? Liss?

Przy dogasającym ognisku nie widziała żadnych śladów szamanki. Z mroku wyłoniła się jakaś postać: człapiący ciężko Urko. Rzut podbiegła go podtrzymać. Złapał ramię kobiety tak mocno, że cały jej bok przeszyły lance bólu. Obrzucił ją błędnym spojrzeniem. Twarz zbrukała mu krew. Potem skierował wzrok na pole walki. Zamrugał.

– Przydałoby się nam trochę więcej ludzi, hej? Na przykład cała Piąta Armia.

– Uważaj na siebie.

Popatrzył na nią z góry, marszcząc brwi.

– Lepiej ty uważaj.

Zauważyła, że trzyma wstrząsacz pod pachą jak hełm.

– Przepraszam. – Posadziła ostrożnie Urka na ziemi i równie delikatnie schowała pocisk do torby. – Nic ci się nie stało?

Bogowie, cóż za głupie pytanie.

Machnął lekceważąco ręką.

– Sprawdźmy, co z resztą.

Najbliżej leżał Amaron. Nie żył. Miał wyprute trzewia. Rzut wstała, usłyszawszy tętent kopyt. Kolumna konnicy zbliżała się do nich szalonym pędem. No cóż, w tej sprawie nic nie mogła zrobić. Następny był Wyłam Ząb. Przyciskał dłoń do rany. Gleba leżał pod jego barkiem i zmasakrowanym ramieniem. Choć był upiornie blady, a twarz lśniła mu od potu, skinął głową do Rzut, nakazując jej zająć się innymi.

Podeszła do Harcika. Weteran próbował wstać, chwielejąc się jak pijany. Pomogła mu, jęknęła, gdy wsparł na niej swój znaczny ciężar. Nadal ścisnął w rękach broń, ale z jego zbroi zostały tylko luźno zwisające strzępy.

– Niech go bogowie przeklą – powtarzał raz po raz. – Niech bogowie przeklą tego stwora. – Spojrzał jej w oczy i rozciągnął usta w pełnym bólu uśmiechu. – Dziewczyno, jeśli nie masz nic przeciwko temu, usiądę sobie na chwilę. Chyba pora przejść w stan spoczynku.

– Proszę bardzo.

Pomogła mu usiąść.

Następny był Seti, Słodka Trawa. Oddychał, ale płytko i wilgotno. Gdy się ruszała, śledził ją wzrokiem. Poruszył ustami. Pochyliła głowę, by go usłyszeć.

– Udało się jej...? – wyszeptał.

Rzut skinęła głową.

– Tak, udało się.

– Może... może naprawdę była...

Uspokoila go, dotykając ręką rozpalonego czoła.

– Tak, może naprawdę.

A może była tylko starą, szaloną czarodziejką.

Strażnicy zbiegli ze wzgórza, gestykulując żywo. Wyprzedziła ich kolumna jeźdźców. Seti zeskakiwali z wierzchowców i biegli ku ran-
nym. Rzut dostrzegła wśród nich wielu wyglądających na szamanów
albo szamanki, nie widziała jednak żadnych zwierzęcych totemów.
Gdy kilku dotarło do Słodkiej Trawy, oddaliła się od niego i podeszła
do Rella.

Z jakiegoś powodu zostawiła go na koniec. Gdy tylko uświadomiła
sobie ten fakt, zrozumiała dlaczego. Coś w tym, jak padł. Tak bardzo
bezwładnie. Tak... ostatecznie. Leżał w tym samym miejscu, w którym
dotknął ziemi. Osunęła się na kolana u jego boku. Nie żył. Pazury czło-
wieka-szakala rozerwały mu gardło i dodatkowo naznaczyły już wcze-
śniej pełną blizn twarz.

Och, Rell, tak mi przykro.

Wyglądała nierówne włosy, które odrosły mu dopiero niedawno.

To nie tak miało być. Heng ogłosiło cię nowym protektorem. Mia-
łeś zająć jej miejsce w miejskiej świątyni. Sprowadzić długą epokę
dobrobytu... a teraz leżysz tutaj. Oddałeś życie, by położyć kres kląt-
wie. Być może to właśnie wyczuli. Że ich od niej uwolnisz. Ale nikt
nie chciał, by to się stało w ten sposób.

I co teraz zrobimy? Pewnie będziemy żyć dalej. Zaczniemy odbu-
dowę. Ha! Budowniczy. Zostaliśmy tylko ja i Jedwab. Tylko my dwoje
przeżyliśmy klątwę. Jeśli rzeczywiście istniała. Ale przecież istniała,
prawda? Sam Ryllandaras był klątwą.

Wstała i okrążyła dogasające ognisko, by się upewnić, że nigdzie
nie ma śladów Liss.

A więc udało się jej to, czego nie zdołał osiągnąć nikt przedtem.
Uwolniła Seti od ich klątwy. Ale przedtem rzuciła na nich własną. Jak
to ona brzmiała...?

Podeszły do niej szamanki, próbując coś powiedzieć, ale zignoro-
wała je, kręcąc głową.

Nie, jeszcze nie. Jak to ona brzmiała? Ach tak! Że Seti będą wędro-
wać bez celu, dopóki nie poproszą jej o przebaczenie. No cóż, bez

względu na to, czy rzeczywiście była Lissarathel, zapewniła sobie miejsce w ich panteonie, a przynajmniej w legendach. Z pewnością w modlitwach.

Potarła twarz, rozejrzała się i westchnęła. Do świtu zostało jeszcze wiele godzin. Wezwała skinieniem dłoni kaprała ze swego oddziału. Podbiegł do niej i zasalutował dziarsko, wybałuszając oczy. Wskazała Rella.

- Zawińcie go w całun. Zawieziemy go na pogrzeb. Weźcie też miecze. Trzeba je będzie zwrócić. Pora wracać do domu.

Epilog

Ze starego, zapadającego się namiotu z niewyprawionych skór i filcowych koców wyłoniła się zgarbiona postać spowita w łachmany. Nieznajomy pokuśtykał ku szerokiej, białej, piaszczystej plaży, wspierając się ciężko na lasce z wyrzuconego przez morze drewna. Przystawał od czasu do czasu, by zaczerpnąć tchu. Dotarł do brzegu turkusowej laguny, gdzie drobne fale omywały brzeg, tworząc cieniutką linię piany. Na granicy wody leżał potężnie zbudowany mężczyzna w zbroi, do połowy pogrzebany w piasku. Postać pochyliła się nad nim, przypatrując mu się przez pewien czas. Potem uderzyła go mocno laską. Mężczyzna wciągnął powietrze i podniósł się z wysiłkiem. Zerwał z głowy wysoki hełm, cisnął go na piasek i złapał się za szyję tuż poniżej blond brody. Jego oczy wypełniło zdumienie.

– Tak. Jesteś uzdrowiony, Oprawca.

Mężczyzna, Oprawca, był znacznie wyższy od zgarbionej postaci.

– Odpowiedziałeś... – mruknął.

– Oczywiście. Czyż nie byłem blisko ciebie już od pewnego czasu? Wiem, że w pewnych chwilach wyczuwałeś moją pomoc, tak? Miałem cię na oku, Oprawco z Zaprzysiężonych. – Spowita w łachmany postać wskazała swój namiot. – Pytanie brzmi: co ty możesz zrobić... dla mnie?

Oprawca zignorował zaproszenie, przesuwając spojrzeniem wzdłuż brzegu.

– Gdzie moi ludzie?

Postać odwróciła się i powlokła z powrotem w stronę namiotu.

– Zatrzymam ich, dopóki nie dojdziemy do porozumienia.

– Już do niego doszliśmy, Przykuty – warknął mężczyzna. Wyprostował się, krzywiąc się z bólu. Nadal trzymał się za szyję.

Postać obejrzała się. Jej owinięta szmatami głowa niemal dotykała piasku.

– Tak? Naprawdę?

– Tak. – Oprawca nadal przyglądał się brzegowi, mrużąc powieki w osłepiającym świetle odbijającym się od białego piasku. – Oto moje warunki. Dam ci siebie i około czterdziestu Zaprzysiężonych, a w zamian wezmę tytuł króla.

– Tak? Weźmiesz go?

Oprawca zdjął pancerne rękawice i je również rzucił na piasek. Skinął głową, spoglądając spod opadających powiek na zgiętą wpół postać.

– Tak. On należy do mnie.

– Świetnie. – Postać pokuśtykała przed siebie. – Pora już, by ktoś go przyjął.

– Moi ludzie!

Postać uniosła zniekształconą dłoń nad barkiem i machnęła nią od niechcenia, a potem zniknęła w niskim namiocie. Leniwe fale zaczęły wyrzucać na brzeg mężczyzn i kobiety, pojedynczo albo dwójkami. Oprawca poszedł pomóc im wygramolić się na plażę.

* * *

Nastała noc. Na polu bitwy, pokrytym nagą, zrytą ziemią i spaloną trawą, nie było nikogo poza węszącymi szakalami oraz garstką ludzkich łupieżców poszukujących zdobyczy. Mężczyzna odziany w kolczy płaszcz, na który zarzucił sznurowany skórzany strój, stał bez ruchu, zwieszając głowę. Długie czarne włosy opadały mu na smagłą, naznaczoną bliznami twarz.

– Witaj, Dessembræ – odezwała się leżąca nieopodal ogryziona czaszka. Pochowano ją w ziemi, ale padlinożercy ją wykopali. – Zwracam się do ciebie tym imieniem, ponieważ wyczuwam, że w tym właśnie aspekcie tu przybyłeś.

Mężczyzna wypuścił z płuc powietrze i pokręcił głową, by rozluźnić mięśnie szyi.

– Dawno się nie widzieliśmy, Kapturze.

– W rzeczy samej. Czy wolno mi powiedzieć, że jest zupełnie jak dawniej?

Mężczyzna wykrzywił twarz w grymasie nienawiści.

– Nie wolno.

– A mimo to tu przybyłeś. Po co?

– Chcę być świadkiem śmierci. Śmierci żołnierza.

– To takie... zwyczajne.

– Nie był zwyczajnym żołnierzem, choć o tym nie wiedział. Gdyby Seti nie odeszli, pokonałby wojska imperialne, a gdyby jego strażnicy osobiści byli o mgnienie oka szybsi, mógłby odnieść zwycięstwo również nad Gwardią. Zostałby wielką pięścią i z czasem okryłby się sławą jako jeden z najwybitniejszych dowódców w dziejach imperium. Cały ten potencjał zginął tu dziś niezrealizowany. Nikt o nim nie wie.

– Ja wiem, Dessembrae. Ja go zabrałem.

– Tak. Z czasem zabierasz każdego. Nie zadam ci pytania, jakie zadają wszyscy: „Dlaczego?”. Uświadomiłem sobie, że nie ma żadnych powodów. Pytać o nie, to jak narzucać niememu bytowi oczekiwania, których pod żadnym względem nie jest zobowiązany spełniać ani nawet rozpoznawać. Dlatego o nic nie pytam ani niczego nie pragnę.

Czaszka milczała przez pewien czas, co było typowe dla czaszek.

– A więc takim szlakiem podążają twoje myśli – stwierdził wreszcie Kaptur.

Mężczyzna odnosił wrażenie, że słyszy w jego głosie nutę... zaskoczenia.

– I co z tego?

Cisza.

Zapewniam, że jeszcze się spotkamy.

Lurin, Amagin i Shurll rzucali kamieniami w Dom Umarłych. Tak wszyscy w Malazie zwali stary, opuszczony budynek otoczony niesamowitymi drzewami, na których nigdy nie wyrastały liście. Zawsze ciskali weń kamieniami, jak ich matki i ojcowie przed nimi. Tej nocy ulice lśniły od zimnego deszczu przyniesionego przez wiatry z południa. Lurin był bosy i nogi mu zmarzły, dlatego rzucał ze szczególnym zapalem, żeby się rozgrzać.

- Widzieliście?! - zawołał do Amagina i Shurll. - Wpadł przez okno. Daję słowo.

- Nieprawda - zaprzeczył Amagin, pociągając nosem.

- Prawda! - Popatrzył na Shurll z prośbą o wsparcie, ale dziewczynka, najstarsza z nich, oplotła się tylko rękoma, spoglądając na ulicę opadającą ku portowi i widocznemu dalej morzu. Ostatnio robiła to coraz częściej. - Naprawdę wpadł, Shurll - zapewnił chłopiec.

Wzruszyła chudymi ramionami.

Amagin uniósł z uśmiechem kolejny kamień. Ciekło mu z nosa.

- Nie ma mowy, żebyś trafił w to okno.

Lurin wyrwał mu z ręki kamień.

- Zobaczysz.

Uniósł pocisk przed sobą, by wycelować w okno. Był stanowczo za ciężki. Amagin zawsze wybierał kiepskie kamienie, dlatego nigdy w życiu nie mógł w nic trafić. Wysunął język między zębami, zamachnął się, uniósł jedną nogę i rzucił.

W tej samej chwili na podwórzu coś się zmieniło. Pojawił się jakiś mężczyzna. Lurin nie pamiętał, by kiedykolwiek kogoś tam widział. Nieznajomy uniósł gwałtownie rękę, podsuwając pod swą bladą twarz jakiś przedmiot. Dzieci gapily się nań w osłupieniu. Mężczyzna podszedł do muru obok nich.

Amagin już się rozplakał. Shurll zamarła w bezruchu, wytrzeszczając oczy. Lurin się wzdrygnął. Pragnął uciec, ale nie mógł się ruszyć.

Ubranie mężczyzny pocięto na zwisające luźno pasy. Po jego tułowiu i rękach spływał ciemny płyn, a na szyi lśniły perłowe blizny. Wychylił się przez mur, trzymając rzucony przez Lurina kamień między kciukiem a palcem wskazującym.

– Zwiewajcie.

Amagin rzucił się do ucieczki, becząc głośno. Lurin skoczył na Shurll. Dziewczynka nie poruszyła się, być może nawet nie mrugnęła. Oplótł ją ramionami i wtulił twarz w jej pierś, zbyt przerażony, by patrzeć. Byli trupami. To był duch, który wciągnie ich w Otchłań. Czekal na dotyk kościstych palców Kaptura. Serce waliło mu wściekle, ale nic się nie wydarzyło. Po chwili Shurll wydała z siebie uspokajający dźwięk, głaszcząc chłopca po ramionach.

– Witaj, Topper! – zabrzmiał odległy głos ducha.

Odważył się spojrzeć. Duch, czy może człowiek, odsunął się od nich i spoglądał teraz na niski mur.

– Nie bądź głupcem, Czepiec – odpowiedział mu ktoś inny.

Lurin zerknął na Shurll. Dziewczynka otwierała szeroko oczy, gapiąc się z fascynacją na rozwój wydarzeń. Odwrócił się w stronę podwórka.

Czepiec, ten, który stał na dziedzińcu Domu Śmierci, uniósł trzymaną w obu rękach broń, zapraszając drugiego.

– Chodź, zakończmy naszą debatę tutaj. Jak sądzisz, do kogo będzie należało ostatecznie słowo?

Pojawił się drugi mężczyzna, Topper. Miał długie, skołtunione, białe włosy, ciemną twarz i był odziany w podarte łachmany. A jego oczy! Były skośne i gorzały jak lampy. Wzruszył ramionami.

– Z mojej ręki czy za sprawą Domu... to dla mnie bez różnicy.

Czepiec rozpostarł szeroko ręce.

– Sam wybieram własny los, Topper. Pozostaję niepokonany. Brak ci woli, by rzucić mi wyzwanie? Niech i tak będzie. To znaczy, że przegrałeś.

- Tancerz cię pokonał.

Czepiec zatoczył oczyma, udając, że zastanawia się nad tą kwestią. Dotknął ostrzem szyi.

- Moim zdaniem to był remis.

- Mylisz desperację z nieustępliwością. Oszukujesz tylko samego siebie.

- A ty jesteś tchórzem.

Topper wskazał podwórko.

- Zostało ci niewiele czasu. Uciekaj, póki możesz.

Lurin spojrział na dziedziniec i poderwał się przerażony. Gałęzie drzew się poruszały. Nigdy nie widział, by czarne konary wygięły się, czy choć zadrżały, nawet na najsilniejszym wicherze. Z pokrywających teren wzgórków buchała para, jak ze świeżo skopanej ziemi. Dziedziniec spowiła gęsta mgła.

Lurinowi nagle zrobiło się zimno, jak w zimowy poranek. Drżał niepowstrzymanie.

- Ty głupcze! - zawołał Topper. - Uwięzi cię! Uciekaj natychmiast!

Czepiec zachwiał się, jakby coś pociągnęło go za nogę. Nadal jednak szczyrzył w uśmiechu ostre, jasne zęby.

- Wybieram walkę! - zawołał z szaleństwem w głosie.

- Wybierasz rozpacz.

Mężczyzna zwany Czepcem opadł na jedno kolano. Wybuchnął śmiechem. Z początku był on cichy, ale jego głośność i tonacja wznośli się szybko, aż w końcu zagłuszył jakieś słowa Toppera. Po skórze Lurina przebiegły ciarki, gdy Czepiec zaczął się zapadać - tak jest: zapadać - w parującą ziemię, jakby coś wciągało go w głąb.

- Dołącz do mnie! - zawołał, śmiejąc się drwiąco.

Topper pochylił się i wsparł o kamienny murek.

- Ty głupcze! Jesteś Zaprzysiężonym! Nigdy nie umrzesz!

Czepiec odpowiedział na to jeszcze głośniejszym i bardziej szalonym śmiechem, pełnym mrocznego triumfu i radości człowieka,

który oszalał na dobre. Lurin ponownie wtulił twarz w pierś Shurll. W końcu śmiech ucichł i zapadła cisza. Gdy chłopiec się odwrócił, podwórko było puste. Zauważył mężczyznę zwanego Topperem, który gapił się na nich. Jego oczy gorzały w mroku, jak ponoć robią to niektóre klejnoty. Mężczyzna pochylił się, trzymając się jedną ręką za brzuch, a drugą wyciągając przed siebie. Cofnął się o krok i zniknął w ciemności.

Po chwili Lurin zorientował się, że znowu może oddychać.

– Co tu się stało? – wyszeptał, spoglądając na Shurll.

Dziewczynka głąskała go po głowie, wpatrując się nieobecny wzrokiem w noc.

– Nic – szeptała raz po raz. – Wszystko w porządku. Nic się nie stało. To nic.

* * *

Rankiem Talia zażądała, by opowiedział jej o wszystkim raz jeszcze – o szalonej eskapadzie przez Otchłań, bitwie, żalobnym orszaku transportującym ciało Laseen do Cawn, a nawet o nudnym rejsie statkiem handlowym do Unty.

– A co z cesarskim pogrzebem? – zapytała.

Rillish usiadł ze śmiechem.

– Bogowie, nic. Nas na niego nie zaproszono.

– Przecież byłeś członkiem oficjalnego wickańskiego poselstwa!

Odchylił się, wtykając pod plecy zwinięty koc.

– Uwierz mi, nie jestem w Uncie milej widziany niż sami Wickanie. Ledwie nas tam tolerowano.

– I ta kreatura Mallick rzeczywiście zostanie cesarzem?

– Jednomyślną decyzją Zgromadzenia, wszystkich regionalnych gubernatorów, pięści i tak dalej.

Pokręciła głową. Na jej czole pojawił się mars.

- A ja nigdy o nim nie słyszałam.
- Powinnaś częściej wychodzić, sierzancie.
- Skrzywiła się. Ściągnął koce z jej brzucha i położył na nim głowę.
- Hmm. To dziwne... nie widać, żebyś była w ciąży.
- Jeszcze nie, ty durniu. Bogowie, mężczyźni są naprawdę...
- Hmm... skoro tak mówisz.

Nacisnął delikatnie ręką.

Synu albo córko, być może dorosisz w świecie, w którym to wszystko będzie jedynie paskudnym wspomnieniem. Może też za kilka dziesięcioleci, jeśli pożyję tak długo, będę mógł ci pokazać wszystko, co zgodnie z prawem powinno należeć do ciebie. Może będę mógł dać ci coś więcej niż miłość, choć wiem, że jest ona warta bardzo dużo. Więcej niż wiele innych spraw.

* * *

Faktor, kupiec, oberżysta i były imperialny marynarz Aron Hul potrafił rozpoznać niebezpiecznego człowieka. Wzdłuż wszystkich jego nerwów przebiegł dreszcz, gdy tylko przybysz zsiadł z dobrze odżywionego i porządnie podkutego konia, noszącego nową, pięknie naoliwioną uprząż. Aron zauważył też, że mężczyzna ma buty z miękkiej skóry, skórzane nogawice nabijane ćwiekami, dobrze dopasowaną zbroję złożoną z kirysu z utwardzanej skóry oraz naramienników, bliźniacze szable o rękojeściach z kości słoniowej, noszone wysoko pod pachami, oraz kosztowny płaszcz podróżny. Jego uwagę przyciągnęła jednak przede wszystkim nadzwyczajna blizna, przecinająca twarz nieznanego od lewej skroni, przez spłaszczony nos aż po prawy policzek. Mężczyzna stał przez chwilę przed wejściem do factorii, spoglądając na południe, na szeroki, brązowy Idryn, toczący swe wody do Zatoki Cawnijskiej i Morza Napańskiego. Potem odwrócił się i wszedł do środka.

Aron szybko wydobyl swe najdrozsze trunki. Męzczyzna usiadł za jednym z dwóch stolików.

– Słucham? – zapytał oberżysta zza szynkwasu.

– Coś do picia.

– Mam taliańskie wino zimowe i blooriski destylat z jagód jałowca.

– Niech będzie wino.

– Proszę bardzo. – Aron wydobyl butelkę i kielich.

Nieznajomy rzucił na zryty blat złotą imperialną monetę. Oberżysta omal nie wypuścił butelki. Imperialne słońce. Ostatnio rzadko je tutaj oglądał.

– Nie masz nic drobniejszego? To tylko mała, nadrzeczna faktoria.

Męzczyzna oparł się wygodnie, rozciągając usta w uśmiechu, który zapewne miał uspokoić Arona.

– Wiem. Moneta będzie należała do ciebie w zamian za butelkę i kilka informacji.

Aron uniósł brwi, symulując zaskoczenie.

– Naprawdę? Informacji? A co my możemy tu wiedzieć?

Męzczyzna wskazał ręką w stronę rzeki.

– Och, kto tędy podróżuje. Co przewozi. Jacy ludzie tędy wędrują. Takie tam rzeczy.

Faktor nadal uśmiechał się dobronudnie, choć jego napięcie sięgało szczytu.

– Naprawdę? Na przykład jakie?

– Szukam kogoś, kto mógł tędy wędrować jakiś miesiąc temu. Podczas kłopotów. To młoda kobieta. Podróżowała samotnie. Jeśli ją widziałeś, na pewno ją pamiętasz, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Mrugnął znacząco.

Aron wrócił za kontuar.

– Mówisz kobieta... – Pokręcił głową. – A jak ona wyglądała?

– Szczupła, ciemnowłosa. Ładna twarz. Jak już mówiłem, przyciąga uwagę męzczyzn. Słyszałeś o kimś takim? Mogła wynająć łódź,

by popłynąć w górę rzeki.

Ten najemny robotnik, który zatrzymał się tu po drodze do Cawn... jak on się nazywał? Jestan? Jeth? Niech to Kaptur przeklnie!

Aron potarł porośnięte szczecina policzki. Ponownie spojrzął na złote słońce, błyszczące kusząco na blacie.

– Mogłem coś słyszeć o pasażerze na jednej z rzecznych łodzi...

Mężczyzna zakrył ręką monetę. Z jego twarzy zniknął uśmiech. Westchnął i wstał od stolika.

Jhal! To był Jhal! Co to on mówił? Popłynął z towarem aż do wodospadów i żartował, że jeden z jego ludzi zadurzył się w pasażerze...

Mężczyzna podszedł do szynkwasu i podsunął Aronowi złote słońce.

– Zastanów się lepiej. Możesz się gapić, ile chcesz, ale moneta się nie rozmnoży.

Aron oblizwał wargi i przełknął ślinę.

– Próbuję sobie przypomnieć.

– W porządku. Nie śpiesz się.

Wrócił do stolika, przyniósł butelkę, napełnił kielich i podsunął go Aronowi.

Faktor skinął głową na znak podziękowania i wypił wino jednym haustem.

Dlaczego musiał otwierać przeklętą przez D'rek gębę? Teraz już nie mógł się cofnąć. Ten człowiek nie dbał o forszę. Chodziło mu o coś więcej. Nikt nie wysyła kogoś takiego, gdy w grę wchodzi tylko pieniądze.

Mężczyzna przyglądał mu się z uwagą. Jego spojrzenie było leniwe, spokojne... cierpliwe.

Aron odchrząknął. Uniósł szmatę do twarzy.

Kto mógł wtedy płynąć w górę rzeki? Szpotawiec? Nie, on jest na południu. Kotka? Nie, ty idioto! To był mężczyzna! Stary Kilof? On nie pływa dalej niż do Heng. Tullen! To na pewno był Tullen. Nie widziałem go już kupę czasu.

– Słyszałem coś o przewoźniku, który zabrał pasażerkę mniej więcej w tym czasie...

– Tak?

– Popłynęli za Heng.

Mężczyzna skinął głową, marszcząc brwi.

– Wiesz, jak się nazywał ten przewoźnik?

Poproś, durniu. Ci, którzy o nic nie proszą, nic nie dostają.

– Hmm, nie masz przypadkiem przy sobie jeszcze jednego złotego słońca? – zapytał Aron, starając się uśmiechać przyjaźnie.

Mężczyzna westchnął głośno i zwiesił głowę. Uniósł ją, rozglądał się przez chwilę po wnętrzu, a potem spojrzął na Arona.

– Powiedz, faktorze, kiedy ostatnio zaglądali tu imperialni asesorzy?

Skurwysyn! O nie. Tylko nie asesorzy...

Mężczyzna skinął głową, powoli i z namaszczeniem.

– To był Tullen. Stary Tullen. Porządny, spokojny człowiek, nigdy nie robił nikomu kłopotów.

– Komu mam podziękować?

– Nazywam się Aron Hul. A ty... panie?

Mężczyzna zatrzymał się w drzwiach i wzruszył ramionami.

– Mech. Eustan Mech. Życzę miłego dnia, faktorze.

Aron podszedł do natłuszczonej skóry zastępującej szybę w jego oknie. Mech – jeśli rzeczywiście tak się nazywał – dosiadł konia, skierował go delikatnym ruchem w górę rzeki i odjechał.

Och, Tullen, kogo wysłałem w pościg za tobą? Przykro mi, starszku.

Nagle przypomniał sobie o monecie. Wrócił do szynkwasu, podniósł ją i przyjrzał się jej uważnie. Wyglądała na autentyczną. Potem ją ugryzł. Słyszał, że czystość złota można oceniać po jego miękkości. Kłopot w tym, że przedtem miał okazję ugryźć tylko jedną. Jego myśli dotknęły na chwilę tajemniczej kobiety. Kim mogła być? Zbiegłą żoną

albo córką jakiegoś szlachcica? Kto by pomyślał! Szlachcianka na stariej, dziurawej łodzi Tullena! To mało prawdopodobne. Nie, zapewne po prostu za dużo wiedziała albo usłyszała coś, o czym nie powinna usłyszeć, i dlatego uciekła. Jakaś służąca albo kochanka gubernatora. Lepiej nie mieszać się w takie sprawy.

Skoro już mowa o dziewczkach służebnych...

Zakorkował butelkę taliańskiego wina, wyjął tanie kańskie i napełnił sobie kielich. Może będzie go teraz stać na zatrudnienie jednej. Młodej, nie za bystrej i łatwej do zastraszenia. Wypił z uśmiechem wino. Będzie miała długie włosy.

* * *

Jemain posuwał się w stronę dziobu, rozstawiając szeroko nogi, by zachować równowagę. Jedną ręką trzymał się nadburcia, w drugiej zaś trzymał kubek gorącej herbaty. *Gorliwa* przechyliła się nagle na wzburzonym morzu i gorący płyn wylał mu się na dłoń. Mimo to nie zatrzymywał się, zaciskając zęby z bólu. Wreszcie przykucnął obok mężczyzny, który siedział zgarbiony, kryjąc twarz w dłoniach. Palce zaciskał na ciemnych, brudnych włosach.

– Wypij to, Krata! – zawołał, przekrzykując łoskot fal i zawrodoenie wichru. – Jest gorąca. Musisz w końcu coś przełknąć!

Gwardzista nie podnosił jednak wzroku. Nie chciał nic pić, nie wspominając już o jedzeniu. Jak długo jeden z Zaprzysiężonych mógł żyć bez jedzenia i wody? Corlo przypuszczał, że wiecznie.

Jemain ponownie zwiesił głowę.

– Wiesz, że wpłynęliśmy do Przesmyku! Porwał nas zachodni wiatr. Corlo mówi, że możemy spotkać demony żyjące w tych wodach.

Mężczyzna nie zareagował. Nadal kołysał się w powolnej udręce.

Jemain potrząsnął głową i postawił kubek między jego bosymi stopami. Potem wrócił do zejściówki i poszedł pogadać z Corlem. Mag palił fajkę, leżąc w hamaku.

- Nadal mi nie odpowiada.

- Nie robi tego – odparł Corlo, wyjmując fajkę z ust.

- Jesteś magiem. Czemu mu nie pomożesz? Nie złagodzisz jego szaleństwa?

- Nie zrobię tego bez jego pozwolenia – zachnął się Corlo.

- To znaczy, że nie możemy mu pomóc?

- Moglibyśmy się pomodlić o przybycie Jeźdźców. To go obudzi.

Jemain nie potrafił określić, czy mag mówi poważnie.

- Dziękuję, nie skorzystam.

Przez pewien czas gapił się na deski w górze, wsłuchując się w miotający *Gorliwą* sztorm.

- Nie rozumiem tego. Co się stało?

- Spóźniliśmy się. Nie zdążyliśmy na to, co skłoniło nas do wyruszenia w tak długą drogę. Wszystko, co wycierpieliśmy... – Zmarszczył brwi, przyglądając się białej, glinianej fajce. – Straciliśmy wielu przyjaciół. Czuję się temu winny.

- A ty?

Corlo wzruszył ramionami.

- Dla mnie wygląda to inaczej. Nie jestem Zaprzysiężonym. W moim przypadku więź nie jest tak silna.

- Myślałem, że ty też jesteś... jednym z nich.

- Nie. Ale zajmuję w hierarchii pozycję tuż za nimi. Jestem z Pierwszego Poboru. To ci zwerbowani wkrótce po Ślubach.

- Aha. Rozumiem.

Tak mu się przynajmniej zdawało. Nie był tego pewien, ale podejrzewał, że ów pobór wydarzył się znacznie dawniej, niż sugerował to wygląd z pozoru około czterdziestoletniego maga.

- Zbliża się statek! – zawołał jeden z ludzi Kraty, Garren, zbiegając z łoskotem po zejściówce.

Jemain nigdy w życiu nie widział podobnej konstrukcji. Nie było w tym niczego zaskakującego, jako że nigdy nie żeglował po tych wodach. Zdumiała go jednak swoboda, z jaką okręt mknął po wysokich falach Morza Sztormów – albo Przesmyku, jak zwał je Corlo. Długi, niski kadłub pociągnięto smołą. Galera miała jeden maszt i kwadratowe żagle, a pod powierzchnią krył się straszliwy taran, prująco fale, gdy tylko się przechyliła. O dziwo, wyposażono ją w cztery rzędy wiosel. Z pewnością podczas takiego sztormu powinna się przewrócić do góry dnem.

– Kto to jest?! – zawołał do Corla.

– Wygląda na okręt z Kobyły – odparł z ponurą miną mag. – Musimy uciekać.

Jemain omal nie wybuchnął śmiechem, nie chciał jednak okazywać rozpaczy, jaką wypełnił jego serce widok galery. Nie mieli szans przed nią umknąć!

– Ster na lewą burtę! Pokaż im rufę, Watt!

– Tak jest!

– Wszyscy na pokład! Gotuj kusze!

Załoga zaczęła się miotać we wszystkie strony. Zabezpieczano ekwipunek i wydawano ludziom nieliczną broń. Jemain przeszedł na rufę; Corlo podążył za nim. Ścigający ich okręt pojawiał się niekiedy w lukach między szarymi falami, rysując się na tle równie szarego nieba. Okrążał ich, zwinny jak mewa, podczas gdy *Gorliwa*, galera niewolnicza o tylko jednym rzędzie wiosel, w dodatku sfatygowana po długim oceanicznym rejsie, unosiła się na wodzie ciężko jak kłoda.

Zamierzali ich staranować.

– Przygotować się! – zawołał Jemain. – Gotuj się do skrętu w prawo – rozkazał Wattowi.

Stary sternik zacisnął bezzębne usta.

– Spróbujemy. Jemain.

Corlo poklepał go po ramieniu i wskazał dziób. Krata wstał i zaciął ręce na nadburciu, spoglądając na zbliżający się okręt.

– Biedni Kobylanie, co? – zapytał.

Raczej biedni my.

Jemain, który spędził całe życie na morzu, mógł jedynie gapić się ze strachem i niedowierzaniem na ten pokaz żeglarskiej biegłości. Galera była coraz bliżej. Wspięła się na ostatnią falę akurat na czas, by opaść w dół, zwiększając dodatkowo impet uderzenia. Tępo zakończony, okuty brązem taran zostawiał za sobą ślad torowy większy niż sam okręt.

To było piękne.

– Ster na lewą burtę!

Watt pociągnął w lewo. *Gorliwa* dopiero zaczęła reagować, gdy galera do nich dotarła.

Za wolno. Nie ma szans. Najmniejszych szans.

Uderzenie cisnęło *Gorliwą* w bok. Jemain padł z nóg i wyleciał za burtę. Lodowata woda piekła go jak wrzątek, wyciskając z płuc resztki powietrza. Widział i czuł cokolwiek tylko chwilami, gdy jego głowa wynurzała się nad powierzchnię. *Gorliwa* zanurzała się pod wodę, jej burta była roztrzaskana. Ludzie wpadali do morza. Krata stał na przechylonym dziobie, unosząc gniewnie pięści. Szara, spieniona woda przesłoniła mu widok. Straszliwy chłód wysysał życie z Jemaina. Kończyny i twarz miał całkowicie znieczulone. Potem odrętwienie pochłonęło również jego wzrok i myśli.

* * *

Ocknął się, kaszłąc i wypluwając wodę. Leżał na twardych deskach. Kończyny miał całkowicie bezwładne. Inni członkowie załogi *Gorliwej* również walali się po pokładzie jak wyciągnięte z wody ryby. Kobylanie w ciemnych skórzanych zbrojach zgromadzili się wokół zaplątanego w sieć mężczyzny, okładając go drewnianymi pałkami. Jeden

z nich zauważył, że Jemain jest przytomny. Podeszedł do niego i otarł czoło, dysząc ciężko.

– Jesteście z Genabaris, tak? – zapytał z silnym akcentem Południowej Konfederacji.

Jemain skinął głową.

– Zwykle staramy się zdobywać statki, poza malazańskimi, ale wasz był taką zniewagą, że musieliśmy go zatopić. – Uśmiechnął się, jakby mogło to wynagrodzić Jemainowi ten fakt. Znowu otarł czoło, zaczerpnął głęboko tchu i wskazał pałką bezwładną postać zaplątanego w sieć człowieka z *Gorliwej*. Jemain potrafił już odgadnąć jego tożsamość. – Wszyscy pójdziecie do Korelrijczyków. Zwłaszcza on. Nie chciał się poddać. Całe szczęście, że woda wykonała za nas połowę roboty, hej? Powinniśmy dostać za niego dobrą cenę. – Ponownie się uśmiechnął, szczerząc białe zęby. – Na pewno świetnie się spisze na murze.

Glosariusz

Nazwy i tytuły

- Agatii:** Tysiąc najwyższych rangą wojowników Seguleh
- Ascendenty:** Osoby dysponujące wielką mocą albo wpływami
- Baya Gul:** Bogini wróżb Seti, przewodniczka w ich rytuałach słońca
- Braciszkwowie:** Nazwa nadana przez Karmazynowych Gwardzistów ich poległym towarzyszom
- D'iversowie:** Zmiennokształtni wysokiej rangi
- Eleintowie:** Nazwa pradawnej rasy smoków
- Jednopochwyceni:** Zmiennokształtni
- Magowie kadrowi:** Malazańscy magowie, czarownicy i czarnoksiężnicy służący w armii
- Miecz Imperium/Pierwszy Miecz:** Czołowy wojownik imperium.
Tytuł używany przez Malazańczyków i Imassów.
- Pazury:** Organizacja imperialnych skrytobójców założona przez Tancerza, towarzysza i strażnika osobistego cesarza Kellanveda
- Pierwszy Pobór:** Żołnierze zwerbowani do Karmazynowej Gwardii w pierwszej fali, wkrótce po ślubach. Po nim nastąpiły Drugi i Trzeci
- Pięść:** Malazańskie określenie dowódcy wojskowego albo administracyjnego zarządcy
- Rotmistrz:** Quontaliański tytuł oficerski, w przybliżeniu równoważnik kapitana
- Seguleh:** Wojowniczy, izolacjonistyczny lud zamieszkujący wyspę u brzegów Genabackis
- Shalmanat:** Protektorka Li Heng

Stara Gwardia: Ci, którzy służyli imperium za czasów cesarza Kellaveda

Talia Smoków: Talia kart o zmiennej tożsamości, używanych do wróżenia

Thel Akai: „Pierwszy Lud”, pierwotne dzieci Matki Ziemi, przodkowie Thelomenów, Toblakai i Trellów

Welony: Organizacja skrytobójców z Karmazynowej Gwardii, stworzona przez Czepca jako odpowiedź na imperialny Pazur

Wielka pięść: Malazańskie określenie dowódcy kampanii albo zarządcy regionu.

Żołnierz Światła: Pozycja w Talii Smoków

Świat czarów

Grotty (Ścieżki – grotty dostępne dla ludzi)

Denul: Ścieżka Uzdrawiania

D'riss: Ścieżka Ziemi

Meanas: Ścieżka Cienia i Iluzji

Mockra: Ścieżka Umysłu

Ruse: Ścieżka Morza

Rashan: Ścieżka Ciemności

Telas: Ścieżka Ognia

Thyr: Ścieżka Światła

Serc: Ścieżka Nieba

Ścieżka Kaptura: Ścieżka Śmierci

Pradawne grotty

Kurald Galain: Pradawna Grota Ciemności

Kurald Emurlahn: Pradawna Grota Cienia

Kurald Liosan: Pradawna Grota Światła

Kurald Thyrrlan: Inna nazwa Pradawnej Groty Światła

Omtose Phellack: Pradawna Jaghucka Grota Lodu

Starvald Demelain: Grota Eleintów, Pierwsza Grota

Tellann: Pradawna Grota Ognia Imassów

Talia smoków

Wielki *Wielki Dom Śmierci*

Dom Życia

Król Król (Kaptur)

Królowa Królowa

(Królowa

Snów)

Obrońca Rycerz (kiedyś Dassem Ultor, obecnie Baudin) Rycerz (kie-

Obrońca dyś Dassem Ultor, obecnie Baudin) Rycerz (kiedyś Dassem
Ultor, obecnie Baudin)

Kapłan Mag

Kapłan

Herold Herold

Żołnierz Żołnierz Żołnierz

Żołnierz

Tkaczka Przędka Przędka

Murarz

Dziewica

*Wielki Dom Światła**Wielki Dom Świa**Wielki Dom Ciemności**Wielki*
*ta**Wielki Dom Światła**Wielki Dom Świa**Dom Ciemności*
ta

Król

Król

Królowa

Królowa

Obrońca (Osseric) Obrońca (Osseric)Rycerz (Anomander Rake)

Obrońca (Osseric)

Kapłan Kapłan

Mag

Kapitan

Kapitan

Żołnierz Żołnierz
Krawcowa
Budowniczy
Panna
Wielki Dom Cienia
Król (Tron Cienia/Ammanas)
Królowa

Skrytobójca (Sznur/Kotyliion)
Mag
Ogar

Żołnierz Żołnierz
Tkaczka
Murarz
Żona
Nieprzypisane
Oponn
Obelisk (Pożoga) Obelisk
(Pożoga)
Korona
Berło Berło
Jabłko Jabłko
Tron
Łańcuch Łańcuch
Władca Talii (Ganoes Paran)
Władca Talii (Ganoes Paran)

Wielki Dom Łańcuchów

Król w Łańcuchach

Małżonka (Poliel?)

Łupieżca (Kallor?)

Rycerz (Toblakai)

Siedmiu od Wygasłych Ognia (Niezwiązani)

Kaleka

Trędowaty

Głupiec

Pradawne rasy

Tiste Andii: Dzieci Ciemności

Tiste Edur: Dzieci Cienia

Tiste Liosan: Dzieci Światła

T'lan Imassowie: Starożytna nieludzka rasa uważana za wymarłą

Jaghuci: Starożytna nieludzka rasa uważana za wymarłą

Forkrul Assailowie: Starożytna nieludzka rasa uważana za wymarłą

K'Chain Che'Malle: Starożytna nieludzka rasa uważana za wymarłą

Eresowie/Eres'ale: Starożytna rasa uważana za legendarną

Eleintowie: Pradawna rasa smoków

Trelowie: Nieludzki koczowniczy lud pasterski

Teblorzy: Nieludzki koczowniczy lud pasterski

Theł Akai: Zapomniany lud, przodkowie Thełomenów, Toblakai, Teblorów, a być może również Barghastów